

LITERACKA EKSPLOZJA PROSTO Z HISZPANII



Andrés Ibáñez

Lśnij, morze Edenu



Andrés Ibáñez

Lśnij, morze Edenu

Przełożyła Barbara Jaroszuk



Dom Wydawniczy REBIS

Dla Mariajo

Spadamy

Wielu miało później twierdzić, że widzieli wyspę z góry kilka minut przed wypadkiem. Oznaczałoby to, że dostrzegli ją z wysokości jakichś dziesięciu tysięcy metrów, chociaż nie da się wykluczyć, że lecieliśmy już wtedy niżej. Nie wiem. Ja nic nie widziałem. Faktem jest, że w pewnym momencie podróży, kiedy znajdowaliśmy się pośrodku Pacyfiku, szacuję, że gdzieś koło sto siedemdziesiątego południka, w samolocie wysiadła elektryczność. Zauważyliśmy to natychmiast. Pogasły ekrany telewizorów, podobnie jak lampki ledowe, których zawsze pełno na pokładzie, a urządzenia klimatyzacyjne przestały pompować lodowate powietrze. Ci, którzy akurat poszli do łazienki, zaczęli łomotać w drzwi, nagle zamknięci w ciemności. Sytuacja była całkowicie nietypowa, gdyż wyłączyły się nie tylko światła, telewizory i klimatyzacja, ale także wszystko inne: laptopy, telefony komórkowe i konsole do gier. Nic z tego, rzecz jasna, nie miało znaczenia. Znaczenie miało to, że nie działały również systemy nawigacyjne samolotu. Boeing 747 z prawie czterystoma pasażerami w środku niespodziewanie stał się rzuconym w powietrze kamieniem, niesionym wyłącznie siłą bezwładności.

Pamiętam, jak błyskawicznie się to potoczyło; jak szybko zdaliśmy sobie sprawę, że coś idzie źle. Stewardesy biegały w tę i z powrotem, krzycząc do siebie ponad fotelami. Nie działały głośniki ani intercomy, więc, jak sobie wyobrażam, drugi pilot musiał otworzyć drzwi do kabiny, by wydać polecenia załozdze. Jakkolwiek to wyglądało, wieść przewalała się przez samolot jak fala – od miejsc pierwszej klasy na górnym pokładzie po ostatnie siedzenia klasy ekonomicznej. Wysiadła elektryczność. Silniki pogasły. Jeśli w ciągu kilku minut nie uda się usunąć awarii, konieczne będzie wodowanie.

Wcześniej tak naprawdę nie wierzyłem, że jumbo jet może osiąść na wodzie. Zawsze myślałem, że wszystkie te instrukcje na taką okoliczność są

albo zwykłym bajaniem, albo sposobem na uspokojenie czy wręcz rozrywkę dla pasażerów. Nigdy nie słyszałem, żeby maszyna z problemami technicznymi musiała lądować na powierzchni oceanu. Zakładałem, że przy tego rodzaju próbie roztrzaskałaby się o fale i poszła na dno wraz ze wszystkimi na pokładzie. Niejeden samolot przecież spadł i zatonął, natomiast o wodowaniach na oceanie raczej się nie mówiło. Potem zgłębiłem nieco ten temat (chciałem wiedzieć, czy to, co się nam przytrafiło, przytrafiło się gdzieś komuś innemu lub, innymi słowy, czy to, co się nam przytrafiło, przytrafiło się nam naprawdę) i stwierdziłem, że faktycznie przypadki, w których wielki komercyjny statek powietrzny próbowałby lądować na morzu, są niezwykle rzadkie i najczęściej kończą się tragicznie. Z jednym wyjątkiem: wodowaniem airbusa A320, należącego do US Airways, na rzece Hudson w dwa tysiące dziewiątym roku, co stanowiło przypadek szczególny, ponieważ samolot ten dopiero co wystartował z lotniska LaGuardia, więc nie leciał ani szybko, ani wysoko, jak również dlatego, że rzeka to nadzwyczaj gładki i spokojny zbiornik wodny, a po dokładnie pięciu minutach od wypadku maszyna siedząca na Hudsonie otoczona już była łodziami ratunkowymi. Niemniej nawet wtedy nie wszystko poszło zgodnie z planem: gumowe tratwy napełniły się powietrzem, ale pasażerowie, w większości, nie zdołali się do nich dostać i powychodzili na skrzydła, gdzie w momencie ewakuacji tłoczyli się już w wodzie po kostki, gdyż samolot szybko się zanurzał. Wielu nie włożyło kamizelek ratunkowych. Gdyby znajdowali się na pełnym morzu, pomoc nie nadeszłaby tak prędko i wszyscy by się potopili.

Kiedy jednak usłyszałem tamten komunikat o możliwym wodowaniu, w ogóle nie poczułem strachu. Jeśli już coś poczułem – to nerwową ekscytację. Morze rozciągało się pod nami, widoczne przez wszystkie okna. Należało jedynie zniżyć się nad tę niebieską płaszczyznę i na niej osiąść.

Stewardesy ustawiały się w przejściach, prosząc o spokój i powtarzając, żebyśmy zapięli pasy i pozostali na miejscach. Wystąpiły „trudności techniczne”, tak nam powiedziały – biedne dwudziestoparoletnie dziewczyny biegnące myślami do gwarnych centrów handlowych Singapuru oraz panie w średnim wieku wspominające swoje nastoletnie dzieci i obietnicę wcześniejszej emerytury. Podróżni zadawali im najróżniejsze pytania, ten i ów wstawał nawet i żądał bezpośredniej rozmowy z kapitanem. I było coś bardzo dziwnego: milczenie. Nie żeby milczeli ludzie, skąd, wielu mówiło albo wręcz krzyczało. Chodzi mi o milczenie maszyn. Jakie straszne jest milczenie

maszyn, kiedy zależy od nich nasze życie. Silniki ucichły, podobnie jak klimatyzacja, i zmysły rejestrowały nagły, intrygujący brak zwykłych dźwięków. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z poziomu hałasu w samolocie. Nawet w szczelnej kabinie huk silników jest ogłuszający.

Opadaliśmy z zawrotną prędkością, a mimo wszystko wydawało mi się, że trwa to całe wieki. Samolotem szarpało jak w czasie turbulencji: wstrząsy następowały jeden po drugim, miało się wrażenie, że leci się w dół z dziesiątego pietra. Dosłownie skakaliśmy na fotelach. Potem maszyna uspokajała się, bez wątplenia pod wpływem prądów powietrza, i niby to zastygała w bezruchu, jakbyśmy zniemacka wylądowali i zatrzymali się u celu. Tyle że kilka sekund później wracało okropne uczucie spadania w pustkę i samolot znów ulegał potężnym wstrząsom. Ludzie wokół krzyczeli i płakali. Niektórzy się modlili. Niekiedy silniejszy podmuch wiatru podrywał nas na moment i ponownie zostawiał własnemu losowi. To było naprawdę straszne – ten bezwładny lot, bez pchających nas silników, bez przygotowanego podwozia, bez jakiegokolwiek ochrony, z coraz dotkliwszą świadomością, co nas czeka na dole. Dzikość fal i wichury. Niebieska przepaść rozświetlana przez meduzy. Dziewczyna obok mnie była tak przerażona, że zrobiła się kredowobiała. Jestem przerażona, powiedziała rwącym się głosem. Wcześniej w ogóle się do mnie nie odzywała. Była niezwykle piękną dziewczyną, jedną z tych, co to mają długą szyję i śliczne oczy, spękane wargi i doskonały podbródek. W bajce byłaby księżniczką. Nie martw się, rzuciłem, nic się nie stanie. Wtedy zauważyłem, że drży mi głos. Spytała: tak myślisz? I potem: jesteś pewien? Była bardzo młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Pamiętam, że poprosiła: proszę, daj mi rękę. Ująłem jej długie, zimne palce i powiedziałem: powinniśmy teraz włożyć kamizelki ratunkowe. Stewardesy chodziły przejściami, mówiąc, żebyśmy włożyli kamizelki, ale bez nadmuchiwania ich. Mówiły, żebyśmy pozostali na miejscach, z zapiętymi pasami, lecz wielu pasażerów wpadło w histerię i nie zwracało na te słowa uwagi. Niektórzy wstawali, a wielu, włożywszy kamizelkę, pociągało za sznurki do nadmuchiwania ich, mimo że przed chwilą wyraźnie zakazano im tego robić. Po mojej lewej stronie siedziała czarnoskóra para, mężczyzna z kobietą, i ten mężczyzna odpiął pas i wyglądał tak, jakby zaraz miał się rzucić biegiem przez samolot. Jedna ze stewardes podeszła do niego i stanowczo oświadczyła: jeśli nie zapnie pan pasa i nie zostanie na miejscu, umrze pan. Myślę, że dopiero w tym momencie zacząłem rozumieć powagę

sytuacji. Mężczyzna powiedział: słucham? Był bardzo wysoki, mocno zbudowany, ubrany w elegancki granatowy garnitur ze złotymi spinkami u mankietów koszuli. Miał na imię Ngwane. Imię jego żony brzmiało Omotola. Pochodzili z Nigerii, pracowali w rodzimym przemyśle filmowym. Oczywiście, wszystkiego tego dowiedziałem się później. Kiedy samolot dotknie wody, doświadczymy straszliwego wstrząsu, wyjaśniła Ngwanemu stewardesa z lodowatym spokojem. Jeśli nie zapnie pan pasa, wyleci pan z fotela i roztrzaska sobie czaszkę. Spojrzałem na identyfikator tej kobiety. Miała na imię Eileen. Eileen, spytałem, przeżyła pani jakieś wodowanie? Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała. Sprawdziła, czy mam zapięty pas, i poleciła: proszę oprzeć dłonie na zagłówek fotela przed sobą, a czoło na dłoniach. Eileen, powtórzyłem, czy przeżyła pani kiedyś coś takiego? Nikt nigdy niczego takiego nie przeżył, odparła. Ale szkolono nas na taką ewentualność. Wtedy zobaczyłem, że i ona umiera ze strachu, bardziej niż wszyscy pozostali.

Rodzice wkładali kamizelki ratunkowe swoim dzieciom. Kobiety szłochały. Słysząc było modlitwy w różnych językach, skierowane do różnych bogów. W tamtej chwili wszystkie boże imiona brzmiały tak samo: wszystkie brzmiały jak imię burego psa, który odbiegł spory kawałek i teraz się ku nam odwraca, lekko zdziwiony tym, co sam zbroił. Dziewczyna obok mnie była tak blada, że myślałem, iż zemdleje. Proszę, proszę, proszę, szeptała. Spytałem: jak się nazywasz? Spójrz na mnie, powiedziałem, jak się nazywasz? Swayła, odrzekła. Swayła Sanders. A ja jestem John, oznajmiłem, John Barbarin. John, rzuciła ona, czy my zaraz umrzemy?

Stopniowo zbliżał się moment wodowania. Czas nagle się otworzył, tak jak otwierają się kwiaty albo książki. Bierzymy je – przedmioty mieszczące się w dłoni – otwieramy, a one niespodziewanie stają się czymś nieskończonym. To samo stało się wtedy z czasem. Zanurzyłem się w czasie odmiennym od zwykłego. Chyba niekiedy opisuje się ten sposób doświadczania czasowości jako poczucie, że rzeczy dzieją się w *zwolnionym tempie*. Widziałem dookoła ludzi, którzy krzyczeli i płakali, ale jakby mnie to nie dotyczyło. Czułem się wolny, obojętny, pogrążony w jakimś spokoju. Zupełnie jakbym przez całe życie czekał na ten moment: moment najwyższego zagrożenia. Jakby wreszcie nadeszło to, o czym zawsze wiedziałem, że nadejdzie.

Sytuacja była podbramkowa, gdyż po wyłączeniu się zasilania piloci stracili możliwość kierowania maszyną. Gdy samolot zostaje bez paliwa,

zatrzymują się silniki oraz systemy elektryczne pozwalające na przykład kontrolować lotki czy stery. Jednakże to nie był nasz przypadek: w momencie katastrofy zbiorniki paliwa były wypełnione w sześćdziesięciu procentach, a ogólna niewydolność, która dotknęła wszystkie urządzenia elektryczne, łącznie z tymi należącymi do pasażerów i działającymi na baterie, nie miała nic wspólnego z hipotetyczną awarią. W gruncie rzeczy elektryczność wysiadła nam w związku z jakimiś zakłóceniami elektromagnetycznymi – to znaczy w związku z warunkami elektromagnetycznymi w strefie, w której się znajdowaliśmy. Zgodnie z tym, czego dowiedziałem się później, zjawisko to, choć mnie wydawało się wręcz magiczne, da się w miarę przekonująco wyjaśnić z punktu widzenia nauki. Ciekawe, że w tamtej chwili przypomniałem sobie historie o ufoludkach, zawsze zawierające podobny element: awarię urządzeń elektrycznych. Być może właśnie to wspomnienie pomogło mi przetrwać ogólny chaos i panikę we względnym spokoju. Pamiętałem chociażby ten epizod z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*, w którym statek kosmiczny zatrzymuje się tuż nad furgonetką Richarda Dreyfussa. Nagle latarnie uliczne gasną, radio w samochodzie milknie, auto staje. Tak, możliwe, że myślałem: to niewytłumaczalne zjawisko jest w gruncie rzeczy błogosławieństwem. Weszliśmy oto w kontakt z czymś wspaniałym i tajemniczym. Z jakąś życzliwą mocą, która przypatruje się nam, pomaga nam i nas rozumie. Nic się nam nie stanie. Nic nie może się nam stać. Umrzemy, ale nie dzisiaj. Kiedy jednak usłyszałem lodowate słowa stewardesy Eileen, kiedy zobaczyłem wargi Eileen (mówiła z tym łagodnym bostońskim akcentem, który ma w sobie pewną wyniosłość, lecz mnie zawsze wydawał się w najwyższym stopniu zmysłowy) zapowiadające: kiedy samolot dotknie wody, doświadczymy straszliwego wstrząsu, poczułem się tak, jakbym nagle wracał do rzeczywistości. Spojrzałem na Swaylę. Była bardzo cicha, wpatrzona w fotel przed sobą; zrozumiałem, że się modli. Nasze palce pozostawały splecione.

Część samolotów (tego też dowiedziałem się później) jest wyposażona w system awaryjny, który uruchamia się, kiedy wysiada elektryczność. Chodzi o niewielkie turbiny, które włączają się na skrzydłach; rodzaj śmigieł poruszanych powietrzem i dostarczających energii wiatrowej. Świetnie pomyślane, tanie i ekologiczne, powiecie. Owszem. Tyle że nasz problem nie był natury mechanicznej i choć turbiny się włączyły, śmigła zaczęły się kręcić jak szalone, elektryczność nie powróciła. Wszystkie te szczegóły techniczne

zawdzięczam Luigiemu Campanelli, włoskiemu inżynierowi.

Sytuacja przedstawiała się bardzo poważnie, ponieważ udane wodowanie wymaga między innymi wysunięcia lotek pozwalających zmniejszyć prędkość samolotu, ustawienia maszyny pod wiatr albo równoległe do fal, horyzontalnie (bo inaczej jedno ze skrzydeł zanurzyłoby się w wodzie i zostało natychmiast wyrwane), i, w końcu, maksymalnego podniesienia dzioba bez utraty równowagi. A żeby wszystko to osiągnąć, konieczne są sprawne stery. Dlatego to, co wydarzyło się podczas wodowania, było rodzajem cudu, choć inni powiedzą, że jedyny cud stanowiła nadzwyczajna kompetencja inżynierów projektujących boeinga.

Zważywszy na okoliczności, można by rzec, że mieliśmy szczęście. Samolot mógł zanurzyć się dziobem w wodę, a wtedy wbiłby się w ocean jak igła, siła zderzenia zaś, porównywalna z tą, z jaką uderzylibyśmy przy czterystu kilometrach na godzinę w mur, zabiłaby nas wszystkich natychmiast. Przy wzburzonym morzu gwałtowne zetknięcie z falami groziło również roztrzaskaniem kadłuba, w związku z czym ci, którzy nie zginęliby od wstrząsu, umarliby uwięzieni wewnątrz maszyny albo – gdyby udało im się otworzyć drzwi – potopiliby się w błyskawicznie zalewających kabinę lawinach wody. Wreszcie, biorąc pod uwagę fakt, że z grubsza tam, gdzie bezwładny upadek rzucił nas na powierzchnię naszej planety, znajdowała się wyspa, samolot mógł się rozbić o którąś z jej gór. Jednakże nic takiego się nie stało. W momencie, gdy dotknęliśmy wody, maszyna znajdowała się w pozycji mniej więcej horyzontalnej, dziób miała podniesiony pod kątem pięciu stopni (jedenaście byłoby ideałem) i spadała równoległe do fal.

Niemniej prędkość okazała się zbyt duża. W chwili zderzenia z wodą samolot leciał czterysta kilometrów na godzinę, co – jak wie każdy miłośnik aeronautyki – stanowi szybkość wręcz piekielną, nawet przy lądowaniu w normalnych warunkach. Szarpnięcie było potworne, do tego stopnia, że straciłem przytomność. Poza tym maszyna zanurzyła się w fale jednak lekko przekrzywiona. Pierwsze dotknęły morza lewe silniki: dwa ogromne cylindry, które zaraz po „zahaczeniu” o wodę sprawiły, że samolot najpierw potężnie zadygotał, a później, gdy zanurzyło się i oderwało od kadłuba skrzydło, rozleciał się na trzy części. Niektórzy przypuszczają, że to skrzydło nie odpadło jedynie pod wpływem zderzenia z oceanem, lecz dlatego, że natrafiło na rafę koralową znajdującą się w płytkich wodach nieopodal wybrzeża. Nie wiem. Gdybyśmy spadli z dziobem nieco mocniej uniesionym i równo

ustawionymi skrzydłami, ofiar byłoby mniej. Możliwe nawet, że w ogóle nikt by nie zginął. Ale wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło.

Przy czterystu kilometrach na godzinę woda jest równie twarda jak skała. Pamiętam, że widziałem przez okno nasz cień – cień w kształcie krzyża – sunący po wodzie z oszałamiającą prędkością. Wydawało się wręcz, że przemieszcza się szybciej niż samolot i zaraz nam ucieknie. A jednak był coraz bliżej. Wybiegał nam naprzeciw. Potem przestałem go widzieć, pewnie dlatego, że znaleźliśmy się tuż nad nim. Wszyscy ucichli. Nikt nie szlochał, nie krzyczał, nie modlił się na głos. Z głębi samolotu dobiegał jedynie płacz niemowlęcia. I tyle. Wielu z nas usiadło w zalecanej pozycji: z czołem opartym o dłonie skrzyżowane na fotelu przed sobą, jednakże zdaje mi się, że większość pasażerów zignorowała te instrukcje. To, co się działo, było tak nieludzkie, tak brutalne, tak niezrozumiałe, że wszelkie środki zmierzające do złagodzenia tego wydawały się pozbawione sensu. Ja sam, schyliwszy się, czułem, że to na nic i że jesteśmy zdani wyłącznie na los.

Doznałem gwałtownego szarpnięcia i runąłem w czarną dziurę bez dna, spadając powoli, w ciszy, ku nocy. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Wyobrażam sobie, że jedynie przez kilka minut, chociaż wydawało mi się, że przez całą wieczność.

Docieramy na wyspę

Pierwszym, co zobaczyłem, otwarłszy oczy, był wydłużony trójkąt jasnego, niebieskiego nieba, które przecinała, frunąc powoli, czapla o wielkich białych skrzydłach. Byłem mocno oszołomiony, nie rozumiałem, co się ze mną dzieje, ani nie wiedziałem, gdzie się właściwie znajduję, ale odnosiłem mgliste wrażenie, że to niebo jest nie na swoim miejscu, podobnie jak tamten ptak. Moja świadomość pozostawała zmacona: czy ja sam nie byłem ptakiem? Czy nie leciałem w jego wnętrzu? Czy byłem tym ptakiem, którego widziałem? Wokół wszyscy krzyczeli. W samolocie panowało straszliwe gorąco, zupełnie jak w rozpalonym piecu, poza tym czuło się niebezpieczną, duszącą wilgoć. W tych pierwszych chwilach pomieszczenia uznałem ów upał za skutek wypadku, licząc – bezsensownie – na to, że teraz, gdy samolot znieruchomiał na wodzie, temperatura stopniowo spadnie.

I pośród upału – krzyki. Powoli, w miarę jak odzyskiwałem świadomość, stawały się coraz wyraźniejsze i bardziej określone. Rozlegały się w różnych językach: po angielsku, hiszpańsku, francusku, w hindi. Jednakże bardziej niż te języki uwagę zwracały rozmaite odcienie strachu i bólu, dźwięczące w ludzkich głosach. Płacz rannych, wycie tych, którzy odnieśli najcięższe obrażenia albo widzieli obok siebie zwłoki kogoś bliskiego. Jeszcze inni wrzeszczeli lub płakali z czystej hysterii. Zniżyłem wzrok, spojrzałem na własne ciało. Byłem przysypany. Skądś spadła arbuzowoczerwona walizka marki Samsonite, otworzyła się i zalała mnie powodzią rzeczy, z których wiele trafiło w zębra i w twarz, kalecząc i wywołując stłuczenia. Musiała należeć do jakiegoś rabina, bo pełna była judaistycznych przedmiotów kultu. Zawierała zwoje Tory wystające z aksamitnej granatowej sukienki, zaopatrzone w drewniane rączki z mosiężnymi okuciami (jedna z nich uderzyła mnie w podbródek) i ozdobione srebrnymi rimonim w kształcie kampanili; mosiężną menorę chanukową; balsaminę, czyli srebrną puszkę na wonności

w formie korony zwieńczonej figurą ptaka, jakby kruka, o ostrym dziobie, który równie dobrze mógł mi się wbić w czaszkę albo w pierś; liturgiczny szofar – kręty róg barani ze srebrnym ustnikiem; Tanach, hebrajską Biblię, otwartą teraz na moim brzuchu; dwa rytualne naczynia z nierdzewnej stali, jedno wgięte, jak sądzę, od uderzenia w moją głowę, jak również niezliczone drobiazgi: srebrny jad – pałeczkę z zakończeniem w kształcie dłoni z wyciągniętym palcem wskazującym, służącą do śledzenia czytanych akurat fragmentów Tory; parę skórzanych tefilin; metalowy pojemnik na mezuzę tudzież ozdobny puchar do ceremonii kidusz. Ponadto leżała na mnie masa bardziej świeckich przedmiotów, które wypadły z tej samej walizki oraz, bez wątplenia, z innych: składany plan Tel Awiwu; kilka rozbitych pudełek z cygarami; trzy książki na temat szachów; kosmetyczka wypełniona wcześniej buteleczkami z alkoholem, takimi, jakie znajduje się w hotelowych minibarkach, teraz częściowo potłuczonymi i skrapiającymi mi ubranie zapachami ginu Bombay Sapphire i wódki Stolicznaja; zwinięte ciemnoniebieskie sari ze złotymi i czerwonymi lamówkami, w jednym miejscu mocno rozdarte przez balsaminkę i jad; gra Nintendo zatrzymana w miejscu, gdzie jakiś człowieczek przemierzał na motorze niekończącą się drogę. Do tego należało dodać coś, co początkowo wziąłem za krew, a co okazało się czerwonym płynem z ozdobnej szklanej kuli, zbitej przy zderzeniu z którymś z judaików; kolejną kosmetyczkę, również otwartą i wypluwającą na mnie okruchy potłuczonych lusterek, flakony z perfumami, resztki puderniczek i słoiczków po kremach, a także szczotki do włosów, pudełko papilotów, suszarkę BaByliss, lokówkę Philipsa, opakowanie żelu plemnikobójczego i na wpół opróżniony blister z pigułkami antykoncepcyjnymi; magazyn firmowy Global Orbit; książkę, którą sam wcześniej czytałem: jakąś powieść Pascala Quignarda, tytułu nie pamiętam; zgnieciony papierowy kubek z wyraźnym śladem ust pociągniętych czerwoną szminką; pluszową żyrafę ze zgiętą szyją; czapkę Orioles; przenośne szachy z kilkoma figurami na magnesy wciąż tkwiącymi na swoich polach; spłaszczoną pośrodku tubkę pasty do zębów; breloczek Hello Kitty; opaskę na oczy; paczkę tabletek Orvizał; pudełko kredek; słoik balsamu do ciała (otwarty); pasującą do niego zakrętkę; parę samolotowego obuwia, wciąż w opakowaniu; plastikową torbę z kolejnymi kosmetykami; szylkretowy grzebień; poduszkę do spania w samolocie; dwie szczoteczki do zębów, jedną w kolorze fuksji, a drugą – bursztynu; maszynkę do golenia; flakon wody po goleniu; puszkę wazeliny; metalowe pudełeczko

jak po żelkach; połowę kanapki z indykiem; liść sałaty; cienki plasterek pomidora z odrobiną majonezu; majonez w saszetce; poplamioną majonezem instrukcję jakiegoś urządzenia elektrycznego; poplamioną majonezem fotografię papieża; nagie zdjęcie kobiety w ciąży; zdjęcie tej samej kobiety w sukni ślubnej; adresownik z kolorowymi plastikowymi zakładkami; kostkę z czerwonego szkła pokazującą akurat szóstkę; zużytą i zmiętą serwetkę; elektronicznego papierosa z dozownikiem nikotyny; spinkę do włosów w kształcie motyla; kilka oliwek; etui na okulary; miniaturową wieżę Eiffla; ulotkę reklamującą oceanarium w Los Angeles; kulisty wisiołek z chińskimi znakami; damski biało-zielony T-shirt; drugą połowę tamtej kanapki z indykiem... Spod wszystkiego tego zacząłem się natychmiast wygrzebywać, poruszając rękami i nogami. Nie potrafiłem pojąć, skąd się te rzeczy wzięły i jak podobny chaos mógł powstać w ciągu kilku minut. Ale przynajmniej byłem cały. Nie zostałem ranny. Pomacałem się po głowie, po ciele, po nogach. Trochę stłuczeń, guz od jednego ze srebrnych rytualnych naczyń, rozcięcie na podbródku, spowodowane, być może, przez którąś z kampanili rimonim. Drżącymi palcami rozgarnąłem przykrywające mnie przedmioty i próbowałem rozpiąć pas bezpieczeństwa. Trochę to trwało, ponieważ cały dygotałem, jak gdyby mój mózg nie umiał się skutecznie porozumieć z moimi nerwami ani mięśniami. Popatrzyłem dokoła. Ngwane, czarnoskóry mężczyzna z lewej, leżał w przejściu, głową w dół, w dziwnej pozycji, z uniesionymi nogami wspartymi o podłokietnik i oparcie jednego z foteli, i z kosztownymi, nowiutkimi butami z gładkiej skóry celującymi w niebo. Omotola, jego żona, nie przestawała wołać o pomoc. Spojrzałem w prawo. Swayla siedziała z opuszczoną głową, całkowicie nieruchoma. Potrząsnąłem ją za ramię. Podniosłem jej głowę i kilka razy głośno powtórzyłem jej imię. Nie wydawała się ranna. Otworzyła oczy. Spytałem, czy dobrze się czuje. Nie rozumiała mnie. Rozglądała się z miną ogłuszonego zwierzęcia. Tymczasem chaos wokół narastał, w miarę jak pasażerowie wstawali z miejsc z zamiarem opuszczenia samolotu. Swayla, powiedziałem, dasz radę wstać? Dasz radę iść? Musimy się stąd wydostać. Trudno było się podnieść, gdyż samolot znajdował się w pozycji nie do końca horyzontalnej, lekko przechylony na lewą stronę. Przy uderzeniu o wodę pootwierało się wiele półek na bagaż, rozsypując swoją zawartość w postaci walizek, wózków, toreb i ubrań, w niektórych zaś miejscach poodpadały też klapy, dodatkowo raniąc albo wręcz zabijając ludzi. Część foteli została zmiażdżona lub wyrwana z miejsca, a podtrzymujące je

wcześniej metalowe pręty zamieniły się w zabójczą broń, przebijając ciała, siejąc nagłą śmierć i okrutnie kalecząc. Ale stało się coś jeszcze. Jak już mówiłem (i stąd wzięło się to błękitne niebo, które zobaczyłem, otworzywszy oczy), wstrząs spowodowany przez wodowanie okazał się na tyle potężny, że kadłub samolotu przełamał się, nie rozpadając się jednak zupełnie, na trzy części. Jedno z pęknięć wypadło akurat kilka metrów przede mną. Szczelina otworzyła się z lewej strony, w najszerszym miejscu osiągając jakieś pięć metrów. Kiedy dźwignąłem się na nogi, przytrzymując się fotela przed sobą, żeby nie stracić równowagi, zobaczyłem, że przez powstałą w ten sposób dziurę widać nie tylko niebo, lecz również spokojne morze i – jakieś dwieście metrów dalej – ziemię: pasek białej plaży z palmami kokosowymi.

A zatem tak wyglądała sytuacja: zdołaliśmy osiąść na wodzie i znajdowaliśmy się blisko brzegu. Teraz należało przede wszystkim zająć się mężczyzną, który tarasował przejście po mojej lewej stronie. Proszę, krzyczała jego żona, proszę, pomocy! Na fotelu tuż przede mną siedział inny mężczyzna. Był bardzo wysoki i ogolony na łyso, mniej więcej pięćdziesięcioletni. Myślę, że walizka z judaikami, która wysypała się nade mną, spadając, uderzyła go w głowę, bo miał tam ranę, ale stwierdziłem, że jest przytomny i rozgląda się na boki szeroko otwartymi oczami, z zatroskaną miną. Nie rozumiałem tylko, dlaczego tkwi w swoim fotelu, nawet nie próbując się podnieść.

– Niech mi pan pomoże – rzuciłem, trącając go w ramię, w przeświadczeniu, że choć jest przytomny, doznał szoku. – Podniesiemy tego człowieka.

– Chętnie! – odrzekł głośno i wyraźnie.

– Jest pan ranny? – zapytałem.

– Nie, nie, wszystko w porządku – odparł. – Nie jestem ranny.

– To *niech mi pan pomoże* podnieść tego człowieka – powiedziałem. – W ten sposób zrobimy przejście.

Mężczyzna, który je blokował, Ngwane, znajdował się dokładnie obok tego łysego, który – wciąż nie wstając – zaczął ciągnąć go za rękę. Ja tymczasem uwalniałem jego celujące w niebo nogi. Konieczne było wszakże, by ktoś złapał go pod pachy i uniośł. Pozycja jego ciała dowodziła, że nie żyje, miał roztrzaskaną czaszkę i skręcony kark, dlatego zamierzałem ułożyć go na jednym z foteli z boku, żeby odblokować korytarz i umożliwić innym wyjście z samolotu. Jednakże wysiłki łysego niespecjalnie mi w tym pomagały. Nie

rozumiałem, co on w ogóle robi.

– Niech pan wstanie! – zawołałem. – Na siedząco nic pan nie zdoła!

– Nie mogę wstać – odpowiedział bardzo zdenerwowany. Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Miał niebieskie oczy, których nigdy nie zapomnę. Do dziś często je widuję, głównie przed zaśnięciem, ale czasem i w środku dnia. Niekiedy, ledwie przymknę powieki, pojawiają się przede mną, przypatrując mi się, ogromne, a każde wypełnione własnym błękitnym światem.

Uznałem wtedy, że facet po prostu utknął, i przelazłem ponad blokującymi przejście zwłokami, żeby sprawdzić, jak mogę mu pomóc. Jednakże łysy wygodnie siedział na swoim miejscu i nie było nic – przynajmniej na pozór – co uniemożliwiałoby mu wydostanie się stamtąd. Z tyłu tłoczyli się inni pasażerowie. Jakiś mężczyzna pomógł mi dźwignąć ciało spomiędzy foteli i razem złożyliśmy je z boku, zginając mu nogi, w pozycji embrionalnej. Zdumiewało mnie, że ktoś tak potężny i tak dobrze ubrany mógł umrzeć równie łatwo. Jego żona też pomagała, chociaż zarazem nie przestawała krzyczeć i powtarzać imienia swego męża: Ngwane, Ngwane, Ngwane. Ale Ngwane nie żył. Zginął dokładnie tak, jak mu to zapowiedziała stewardesa: złamał sobie kark, gdy przy uderzeniu samolotu o wodę wyrzuciło go do góry.

Podszedłem do otworu w ścianie, uważając, by nie dać się pociągnąć rozhisteryzowanym pasażerom, którzy przepychali się łokciami, często wlokąc za sobą walizki. Samolot pękł niemal całkowicie, tak że wyglądał teraz jak model w przekroju: na górze kabina pasażerska z trzema rzędami siedzeń, niżej zaś luk bagażowy, do którego żarłocznie wdzierała się morska woda, pochłaniając podwozie. Pomyślałem wówczas, że nikt się nie uratuje. Gdyby kadłub samolotu pozostał cały, maszyna mogłaby się przez jakiś czas utrzymać na powierzchni, jednakże w tych warunkach zanurzała się błyskawicznie. W perspektywie kilku minut czekało nas utonięcie. I to mimo bliskości brzegu!

Pasażerowie skakali do wody i próbowali płynąć, choć prąd zawracał ich do środka. Wielu czepiało się ścian wraku. Ci, co targali ze sobą walizki, mieli jeszcze większe kłopoty, ale część z nich nawet wtedy nie puszczała bagaży. Nie zważając na to wszystko, kolejni rzucali się w dół z obu krawędzi szczeliny – z mojej strony i z tej naprzeciwko – niektórzy w kamizelkach ratunkowych, inni bez, często prawie nie patrząc, kto jest pod nimi, toteż ci, co byli już w wodzie, jeśli nie odплыnęli natychmiast, ryzykowali, że ktoś spadnie im na głowę. W dodatku wszyscy byliśmy ubrani od stóp do głów, i to raczej grubo, bo każdy przecież wie, jak zimno bywa w samolotach na dużej

wysokości, i ci, którzy skakali do wody w spodniach i swetrach, szybko tracili wszelką swobodę ruchów, skrępowani przez mokrą odzież. Większość włożyła kamizelki ratunkowe, a wielu je nadmuchało, więc tłok na dole robił się coraz większy. Tylko jak powiedzieć komuś, kto nie umie pływać, żeby nie nadmuchiwał kamizelki przed skokiem?

Po drugiej stronie szczeliny pojawiła się stewardesa. Ta sama co wcześniej: Eileen. Miała jakieś trzydzieści pięć lat, umalowane usta i mocno podkreślone czarną kreską oczy.

– Trzeba otworzyć drzwi i spuścić tratwy ratunkowe! – krzyknęła. A potem zwróciła się do mnie: – Proszę pana! Niech pan zbierze kilku mężczyzn!

– Nie ma czasu! – zawołałem. – Samolot zaraz pójdzie na dno!

– Już osiedliśmy na dnie – odparła. – Samolot nie zatoni. I nie wypełni się wodą. Zrozumiał pan?

– Nie zatoni?

– Nie.

– Jest pani pewna?

– Jak się pan nazywa?

– John Barbarin. John.

– Ja jestem Eileen Stevens. Musi pan otworzyć wyjście awaryjne, żeby spuścić tratwę. Później niech pan zbierze kilku mężczyzn i niech panowie zorganizują ewakuację. John, zrozumiał pan?

– Tak, Eileen.

Nie wiem, co w niej – albo w jej głosie – było takiego, że jej uwierzyłem. Obróciłem się i stwierdziłem, że wyjście awaryjne znajduje się ledwie pięć rzędów za mną. Niemniej potrzebowałem pomocy i oto już krzyczałem na cały głos:

– Potrzebuję pomocy! Ci, którzy nie mają nikogo pod opieką, niech zostaną!

– To zaraz wybuchnie! – krzyknęła kobieta obok. – Musimy się stąd wydostać albo wszyscy zginieemy!

– Samolot ani nie zatoni, ani nie wybuchnie – usłyszałem głos Eileen. – Muszą państwo zachować spokój.

W tym momencie dostrzegłem za stewardesą mężczyznę, który parł przed siebie przejściem i nagle mocno ją popchnął. Eileen straciła równowagę i wpadła do wody. Nie mogła nic zrobić, bo dookoła tłoczyli się ludzie. Próbowwała wrócić, ale okazało się to niemożliwie, więc musiała płynąć w kierunku brzegu. Mężczyzna, który ją zepchnął, mniej więcej trzydziestoletni

atletyczny blondyn, niósł raketę tenisową w futerale. Już na krawędzi napotkał wzrokiem moje spojrzenie. Przez chwilę wydawał się zmieszany, jakbym go przyłapał na jakiejś psocie. Potem uśmiechnął się i puścił do mnie oko. I, nim skoczył razem ze swoją raketą, powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę:

– *Sayonara!*

To był Jimmy Bruëll.

Woda zaczęła teraz zalewać kabinę samolotu. Pomyślałem, że nasze szanse na otwarcie wyjść awaryjnych i spuszczenie tratw ratunkowych maleją z każdą chwilą, ale że jest to coś, co trzeba zrobić, żeby uratować jak najwięcej ludzi. Do dziś nie rozumiem, skąd mi się wtedy wzięła ta jasność umysłu i zdolność do tak spokojnego działania. Dlaczego nie wpadłem w histerię jak niemal wszyscy pozostali? Dlaczego nie wskoczyłem jak oni do wody i nie oddaliłem się od uszkodzonej maszyny – ja, który szczęśliwie znalazłem się tuż koło miejsca, gdzie powstała szczelina w kadłubie? Dlaczego podjąłem ryzyko pozostania w samolocie, który błyskawicznie wypełniał się wodą?

Przemieszczanie się po zniszczonym wnętrzu kabiny nie było łatwe. Wszędzie leżały porzucane bagaże i bezwładne ciała, zakrwawieni ludzie krzyczeli i histerycznie przedzierałi się do wyjścia, często brutalnie się przepychając. Łysy mężczyzna wciąż siedział nieruchomo na swoim fotelu. Złapałem go za ramię i krzyknąłem, żeby wreszcie wstał i mi pomógł. Wtedy wbił we mnie spojrzenie swoich niebieskich, zbyt niebieskich i zbyt jasnych oczu, i zaczął się podnosić, wpierając w podłokietniki swoje długie i muskularne ręce. Naprawdę był bardzo wysoki, sporo wyższy ode mnie. Spytałem go o imię i odpowiedział, że nazywa się Wade Erickson. I wówczas stało się coś niezwykłego: po raz pierwszy ktoś się w tym rozbitym samolocie *uśmiechnął*. Zobaczyłem, że Wade patrzy na mnie oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, którego przyczyny nie potrafiłem zrozumieć. A potem zobaczyłem, że się uśmiecha. To był uśmiech wyrażający wielkie szczęście, powiedziałbym wręcz, że błogi spokój.

– Chodźmy – rzuciłem. – Trzeba otworzyć wyjście awaryjne.

Ruszyłem po fotelach, skacząc między nimi i depcząc nieruchome ciała, lecz Wade szedł przejszciem, powoli, ze swoim szerokim uśmiechem na twarzy. Mimo wielkiego wzrostu (był niemal olbrzymem) i tłoku dokoła zdołał do mnie szybko dołączyć. Gdy już dotarliśmy do wyjścia awaryjnego, reszta okazała się prosta. Należało podnieść dźwignię. Zrobiliśmy to i drzwi

otworzyły się z czymś w rodzaju sapnięcia. Następnie trzeba było pociągnąć za czerwony plastikowy krążek uwalniający tratwę ratunkową. Szarpnąłem mocno i natychmiast wyrosła przed nami długa nadmuchiwana pomarańczowa tratwa. Mogła pomieścić chyba za trzydzieści osób.

– Dotknęliśmy już dna – powiedziałem. – Samolot nie zatonie.

– Jest pan pewien? – spytał Wade.

– Tu w dole widać skały – stwierdziłem. – Nie jest głębiej niż cztery metry.

Wychylił się, by spojrzeć.

– Niech pan wsiada na tratwę, wiezie ludzi na brzeg i wraca – zaproponował. – Ja tu zostanę i zajmę się resztą.

– Jest tratwa! – krzyczeli pasażerowie.

– Musimy zachować spokój – teraz ja krzyknąłem. – Będziemy pływać w tę i z powrotem. Najpierw dzieci i ranni. Ty – złapałem za ramię jakiegoś chłopaka – zostaniesz tutaj i pomożesz Wade’owi.

– Okej, stary – odrzekł po angielsku z akcentem, po którym poznałem, że jest Hiszpanem albo Latynosem. – Ale moja dziewczyna płynie od razu.

Jego dziewczyna, śniada i długowłosa, stała tuż za nim. Nie chciała zeskoczyć na tratwę, lecz nie miała wyboru: ludzie z tyłu napierali. Zwerbowałem jeszcze jednego faceta, mniej więcej czterdziestolatek, który zgodził się czuwać przy drzwiach razem z Wade’em i tamtym chłopakiem, nadzorując załadunek na tratwę. Przedstawiliśmy się pospiesznie, ściskając sobie nawzajem dłonie. Ten czterdziestoletni mężczyzna powiedział, że nazywa się Joseph Langdon. Chłopak miał na imię Christian i pochodził z Chile, ale tego dowiedziałem się później. Nasze najtrudniejsze zadanie polegało na tym, by powstrzymać ludzi od skakania innym na głowę i bezładnego pchania się na tratwę, która przy zbyt dużym obciążeniu mogłaby zatonąć. Był też problem z tymi, którzy włożyli kamizelki ratunkowe i od razu je nadmuchali. Teraz zajmowali tyle miejsca, że blokowali się nawzajem i często zaczęli się między sobą szarpać. Tratwa stopniowo się wypełniła. Ja zeskoczyłem ostatni. Chcieliśmy mieć pewność, że ktoś wróci po pozostałych – dlatego jeden z nas też musiał płynąć. Upał wręcz dusił, wszyscy ociekaliśmy potem. Do tego momentu nie zwracałem większej uwagi na temperaturę, jednakże w pełnym słońcu dotarło do mnie w pełni, jak jest wysoka. Tratwa była zaopatrzona w dwie pary wiosł i bez trudu skierowaliśmy się ku brzegowi. Widzieliśmy już na plaży figurki – pierwszych pasażerów, którzy jeden po drugim docierali na ląd, przepłynąwszy dzielący

ich od niego dystans. Po drodze zabieraliśmy co słabszych, chociaż doszło do kilku nieprzyjemnych scen, gdy trzeba było odpychać nadmiar chętnych, jako że łódź płynęła już przeładowana i niebezpiecznie zanurzona. Dostrzegłem również Eileen, zmierzającą w kierunku plaży. Eileen, krzyknąłem. Popatrzyła na mnie i uniosła kciuk. Zastanawiałem się, jak sobie radzi w stroju stewardesy: w zakiecie i obcisłej spódnicy. Wciąż miała nawet swój toczek, przymocowany do włosów spinkami.

Nigdy wcześniej nie widziałem wody w takim kolorze. Nie była właściwie ani zielona, ani niebieska, choć jej barwa zdawała się połączeniem tych dwóch. Gdy patrzyło się z pewnej odległości, mieniła się turkusem tak pięknym, że zachwycał mnie bardziej niż cokolwiek w moim życiu – jakby ogon pawia powlókł ocean rozedrganą warstewką. Kiedy spoglądało się natomiast prosto w toń, ów turkus przechodził w zielen, która wydawała się zarazem złotawa, liliowa, różowa... Miała nadprzyrodzoną przejrzystość, tak że przy głębokości pięciu metrów wyraźnie widać było prostokątny cień naszej tratwy sunący po piaszczystym dnie, a także koliste ruchy wiosel raz po raz zanurzających się pod powierzchnię. Widać też było ryby: czarno-białą, idealnie zgraną ławicę, potem zaś ponadmetrowego, różowego samotnika o wachlarzowatych płetwach. Jakies sto metrów dalej człowiek mógł już stanąć, więc pływacy ostatni odcinek pokonywali na nogach. Z czterech wiosel na tratwie mnie nie przypadło w udziale żadne, toteż spokojnie kontemplowałem otoczenie. Słońce paliło mi twarz i ramiona, ale po zamknięciu w samolocie cudownie było znaleźć się pod gołym niebem, oddychać świeżą bryzą. Nad naszymi głowami latały morskie ptaki, pokrzykując rozpaczliwie, wręcz żalobnie. Były wśród nich fregaty, mewy, kormorany i czaple. W oddali zauważyłem frunącego tuż nad wodą pelikana.

Odwróciłem się i popatrzyłem na rozbity samolot. To był tajemniczy i przerażający widok. Maszyna – czy raczej jej resztki, jej zwłoki – zdawała się wbita w ocean: oślepiająco biała masa, dziwaczna na tle tych tropików z końca świata. Rozpadła się na trzy części, chociaż widzieliśmy tylko dwie z nich, przedzielone szczeliną, która otworzyła się kilka metrów przed miejscem, gdzie siedziałem podczas lotu. Prawe skrzydło, znajdujące się z drugiej strony, uniesione do nieba i skierowane ku otwartemu morzu, pozostawało na swoim miejscu razem z dwoma silnikami, jednakże lewe, które pierwsze dotknęło wody, znikło. Zakładałem, że leży na dnie gdzieś między kadłubem maszyny a brzegiem, może nawet pod nami, lecz się

pomyliłem. Uderzywszy w powierzchnię morza, oderwało się i spadło dużo dalej. To właśnie tamto potworne uderzenie, wywołując efekt dźwigni, sprawiło, że metalowy kadłub zgiął się i rozerwał jak papier. Trzecia część samolotu, ogonowa, przepadła razem z siedzącymi z tyłu pasażerami. Ku wschodowi linia brzegowa wyspy przesłaniała ocean i wyobraziłem sobie, że ogon maszyny jest gdzieś tam, poza cyplem domykającym zatokę, w której się rozbiliśmy. Odcięty fragment musiał napełnić się wodą i zatonać w ciągu kilku minut. Chyba że spadł na płyciznę, tak jak przednia część boeinga, która dzięki temu ciągle utrzymywała się na powierzchni. Czy za porośniętym drzewami paskiem ziemi była kolejna zatoka? Czy otwierało się tam morze? Czy ktoś z pasażerów z ogona się uratował, czy wszyscy spoczywali już teraz na dnie?

Wróciłem do obserwacji wybrzeża. Znajdowaliśmy się jeszcze dość daleko, ale woda w tym miejscu sięgała dorosłemu do pasa, tak że ci, którzy tutaj dopłynęli, kończyli przeprawę bez specjalnego wysiłku. Wielkie różowe ryby bez lęku przemykały między nogami ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że nikt ich nigdy nie łowił, więc nie nabrały obawy przed człowiekiem. Dostrzegłem w pobliżu jedną i odniosłem wrażenie, że przypatruje mi się swoim pozbawionym wyrazu okiem. Dziwne były, podobne do celakantokształtnych, których rysunki oglądałem w dzieciństwie w książce Willy'ego Leya o legendarnych zwierzętach: miały wielkie łuski, mięsiste wypustki u podstawy płetw i zaokrąglony ogon, podobny do wachlarza wyrastającego bezpośrednio z ciała.

Wkrótce dotarliśmy na brzeg, gdzie wielu rozbitków z daleka kontemplowało samolot albo szukało schronienia przed bezlitosnym tropikalnym słońcem w cieniu palm kokosowych. Plaża musiała mieć jakieś dwa kilometry długości. Wydawała się także dość szeroka, co przypisałem odpływowi, bo nie wiedziałem jeszcze, że na wyspie pływy nie są zbyt wyraźne, podobnie jak w innych miejscach nieopodal równika. Była to jedna z tych południowych plaż, których piasek nie ma pochodzenia mineralnego, lecz powstał ze sproszkowanych muszli mięczaków, przez co jest bardzo jasny, prawie biały, aż bołą oczy. Za rozległym pasem tej bieli zaczynały się drzewa – z przodu rosły palmy, jeszcze w pewnej odległości jedna od drugiej, a dalej gęstniała dżungla, ponad którą, na zachodzie, sterczały góry, zabarwione przez dal odcieniami indygo i fioletu. Zaskoczyło mnie, że za tymi odległymi szczytami majaczyły chyba jeszcze inne, wyższe, skryte przez chmury. Tak, z pewnością była to wyspa, tyle że sprawiała wrażenie ogromnej.

Zastanawiałem się, co to za miejsce, zważywszy że na zachód od Hawajów poza atolami koralowymi ledwie wystającymi nad powierzchnię wody właściwie nie ma nic aż do wysepek Maloelap i Wotje wchodzących w skład Wysp Marshalla. Jednakże my nie byliśmy ani w okolicach Wysp Marshalla, ani – tym bardziej – w Polinezji. Nie dolecieliśmy tak daleko. Wedle moich szacunków (bazujących na typowej dla mnie obsesyjnej obserwacji ekranu z mapą w samolocie) musieliśmy się znajdować jakieś tysiąc czterysta kilometrów na południowy zachód od Hawajów, gdzie pustki oceanu niemal nic nie zakłóca. Zresztą, te nieliczne skrawki lądu, jakie da się w tej części globu zaobserwować – na przykład atol Johnston, trzykilometrowy gruzełek ziemi pośród niezmiernego Pacyfiku – to wyspy koralowe, a nie wulkaniczne, tak jak bez wątpienia ta, na którą właśnie trafiliśmy.

Kiedy dobiliśmy do brzegu, zeskoczyłem do wody, żeby pomóc zejść z tratwy osobom starszym i dzieciom, i to wtedy po raz pierwszy postawiłem stopę na wyspie. Wyciągnęliśmy tratwę na brzeg, a ja poszedłem kawałek w głąb plaży, aż w cień palm. Dziwna cisza panowała w tym miejscu. Słychać było huk fal, świst wiatru, dalekie pokrzykiwania morskich ptaków. I nic więcej. To była cisza końca świata – albo może jego początków. Cisza rajskiego ogrodu lub taka, jaka trwa w krainie umarłych.

Ratujemy rannych

Wszyscy byliśmy przekonani, że lada moment pojawią się helikoptery i że za parę godzin znajdziemy się co najmniej pod opieką lekarską, jeśli nie na jakimś frachtowcu, w drodze do domu. Niemniej godziny mijały i ani na niebie, ani na morzu nikt się nie pokazywał. Urządzenia elektroniczne działały teraz normalnie, ale telefony komórkowe nie miały zasięgu, w związku z czym okazywały się bezużyteczne. Odbiorniki radiowe też nie łapały żadnego sygnału, emitowały tylko szumy i trzaski, co wydawało się naprawdę dziwne, jako że długie fale radiowe docierają nawet w przestrzeń kosmiczną. Wyglądało na to, że trafiliśmy w najbardziej odizolowane miejsce na kuli ziemskiej.

Jednakże nieobecność pełnego pasażerów boeinga 747 jest raczej trudna do przeoczenia. Kontrolerom lotów w różnych krajach nasza pozycja musiała być dokładnie znana, a gdy urwał się kontakt radiowy, samolot zaś znikł z radarów, ktoś na pewno się domyślił, że stało się coś strasznego, i natychmiast zaalarmował społeczność międzynarodową. Bez wątpienia skierowano w naszą stronę przepływające w pobliżu statki, wychodząc z założenia, że maszyna spadła do oceanu i że być może setki pasażerów czekają na tratwach ratunkowych albo po prostu w kamizelkach, zdane na łaskę rekinów. Ponadto należało się liczyć z wielką liczbą rannych. Pomoc medyczna, żywność i woda pitna stanowiły absolutne priorytety. Tyle że upływały godziny i nic się nie działo.

Ja tymczasem odbyłem wiele kursów między samolotem a brzegiem. Próbowaliśmy otworzyć pozostałe wyjścia awaryjne i spuścić na wodę więcej tratw, lecz okazało się to niemożliwe. Po katastrofie zdadna do użytku była tylko ta jedna, chociaż udało się odblokować dodatkowe wyjście. Na tym etapie nie ulegało już wątpliwości, że samolot nie zatonie. Stał w wodzie głębokiej na jakieś sześć czy siedem metrów, pośród licznych zanurzonych

w niej raf koralowych.

Stopniowo przewieźliśmy wszystkich na plażę. Najtrudniej było z rannymi. Zewsząd dobiegały krzyki bólu, uwięzieni w samolocie wołali o pomoc. Wade, Joseph i Christian dokooptowali sobie jeszcze kilku pasażerów, żeby wydostać na zewnątrz każdego, kto pozostał przy życiu, czasem potwornie okaleczony, z powbijanymi w ciało metalowymi elementami. Stwierdziłem, że to Joseph najlepiej panuje nad sytuacją i że to on kieruje transportem rannych. Podchodził do tych, którzy krzyczeli i wołali pomocy, uspokajał ich, pytał, jak się czują, i jednocześnie sam szybko oceniał ich stan. Zagadnąłem go, czy jest lekarzem. Zrobiłem to z nadzieją, jakbym czekał na cud.

– Jestem chirurgiem – odrzekł, nawet nie podnosząc na mnie wzroku. – W Saint Vincent Medical Center w Los Angeles. I w Harvard Medical School.

– Na plaży też spotkałem lekarza – oznajmiłem. – A właściwie lekarkę.

Chciał wiedzieć, jakiej specjalności, ale nie miałem pojęcia. Rzucił, z całkowitą powagą, że oby to nie była psychiatria, a mnie załaza sympatia do tego człowieka, który potrafił żartować pośród takiego chaosu. Potem zaproponował, żebyśmy przeszukali samolot pod kątem materiałów medycznych. Odnaleźliśmy samolotowe apteczki i załadowaliśmy je na tratwę. Ciągle wiele osób czekało na przewiezienie na ląd, nikt się już jednak nie bał, że maszyna zaraz zatonie. Odstawialiśmy na brzeg kolejne grupy poszkodowanych. Joseph został na plaży, żeby zająć się najpilniejszymi przypadkami, przykazawszy mi, żebym zabrał z samolotu wszystkie ubrania, koce, ścierki i papierowe serwetki, jakie tylko napotkam, podobnie zresztą jak paski, które sam odpinałem i zdejmowałem trupom (człowiek nigdy nie wie, co przyjdzie mu w życiu robić). Później zobaczyłem, że Joseph używa tych pasków, między innymi, do opatrunków uciskowych i nastawiania złamań. Aż dziw, do jak wielu celów może się przydać taki pasek. Układaliśmy rannych pod palmami, prosto na piasku. Wielu było w ciężkim stanie. Joseph powiedział mi, że część z nich doznała poważnych obrażeń wewnętrznych i jest skazana na śmierć. Inni mogliby przeżyć, gdyby szybko udzielono nam pomocy. W przeciwnym razie liczba ofiar miała się zwiększać z godziny na godzinę.

Później przyszło mi do głowy, że w tych pierwszych chwilach Joseph już wiedział, obejrzawszy sobie chorych i występujące u nich objawy, kto umrze w ciągu godziny, kto wytrzyma pięć czy sześć godzin, a kto dwa lub trzy dni; kto odejdzie w spokoju, lekko oszołomiony, a kto będzie krzyczał w bolesnej

agonii.

Tymczasem wszyscy zdążyliśmy uznać Josepha za kogoś w rodzaju zbawcy, daru niebios. Dysponował niespożytą energią i zarazem niewyczerpaną pomysłowością przy wykorzystywaniu skromnych i często niepasujących do siebie środków, jakie miał pod ręką. Był, jak mówiłem, człowiekiem mniej więcej czterdziestoletnim, o czarnych, nieco przeredzonych włosach, zezowatych oczach i miłym wyrazie twarzy. Dało się zauważyć, że przywykł do codziennych konfrontacji ze śmiercią, uspokajania pacjentów i zachowywania zimnej krwi w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Niezależnie jednak od tego brak narzędzi oraz leków przeciwbólowych doprowadzał go do irytacji i rozpaczy.

Jeśli chodzi o tę drugą lekarkę, Robertę, czterdziestoletnią Kanadyjkę o przedwcześnie postarzałej twarzy, to była pediatrą bez specjalnego doświadczenia chirurgicznego. Niemniej dobrze działała na nerwy świadomość, że jest wśród nas co najmniej dwoje lekarzy. A nawet troje, gdyby liczyć męża Roberty, niezwykle eleganckiego i dystyngowanego dżentelmena imieniem Bentley, który okazał się ni mniej, ni więcej tylko psychiatrą. Przy czym sam powiedział, że na medycynie ogólnej, nie wspominając już o chirurgii, zna się raczej mało. Gdybyśmy natomiast czuli się przygnębieni, słyszeli głosy odzywające się gdzieś w głowie, odnosili wrażenie, że spomiędzy gałęzi drzew ktoś nas śledzi – wtedy tak, mógłby służyć nam pomocą. Nie mów hop, póki rowu nie przeskoczysz! Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Bentley używał trzech par okularów – jednych do czytania, drugich do chodzenia, a trzecich, progresywnych, zabarwionych na czerwono, przeciw słońcu – i nie wiadomo jakim cudem pamiętał, by wziąć ze sobą z samolotu wszystkie trzy (teraz nieustannie i pieczołowicie zmieniane), podobnie jak fajkę, woreczek z tytoniem i egzemplarz „Herald Tribune”. Wydało mi się głupie, że przywiózł na tratwie ratunkowej gazetę, ale wystarczyło parę godzin, żebym zdał sobie sprawę z wielorakiej przydatności papieru gazetowego w tak prymitywnych warunkach jak nasze.

Przewożenie pasażerów z samolotu na plażę dostarczyło mi kilku niespodzianek. Na trasie Los Angeles–Singapur–Kalkuta (choć sporo osób planowało też lecieć z Singapuru do Japonii lub Australii) spodziewałby się człowiek głównie Amerykanów, Singapurczyków i Hindusów. Jednakże, choć Amerykanie rzeczywiście przeważali, Hindusów prawie nie było, a wielu podróżnych pochodziło z zupełnie innych krajów. Ciekawe, że leciała z nami

grupa Hiszpanów. Jeszcze ciekawsze – że kilkoro z nich znałem. Może dziwić, że nie spotkaliśmy się wcześniej, tyle że w Los Angeles wszedłem na pokład niemal ostatni. Nie znoszę długich kolejek ani czekania w samolotowym fotelu, bez klimatyzacji, aż wszyscy wsiądą, dlatego zwykle zjawiam się przy bramce najpóźniej, jak się da. Kiedy więc zajmowałem swoje miejsce, większość podróżnych już siedziała.

I oto spotkałem swojego dawnego przyjaciela Ignacia. Od ilu lat się nie widzieliśmy? Co najmniej od czternastu. Gdy zobaczyłem go wychylonego przez wyjście awaryjne, w oczekiwaniu na tratwę, która miała zabrać go na ląd, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Czy to naprawdę Ignacio Recalde, mój imprezowy towarzysz z czasów konserwatorium, czekał tam na pomoc? I czy to Idoya stała u jego boku? Kiedy mnie dostrzegli, także na ich twarzach pojawił się wyraz zdumienia i niedowierzania.

– Juan Barbarín! – wrzasnął Ignacio. – Ale co ty tu robisz?

Załadowaliśmy na tratwę wszystkich rannych, których zdołaliśmy zmieścić, po czym Ignacio z Idoyą również wsiedli i po drodze na plażę opowiedzieli mi, że lecieli do Indii, aby wziąć udział w podróży duchowej. Jakiej podróży duchowej, spytałem, rozkojarzony przez owocową urodę trzydziestoparoletniej Idoyi, która wciąż zaplatała sobie warkoczyki i miała różowe niby jabłka policzki, zupełnie jak wtedy, gdy potajemnie się w niej, wtedy dwudziestoletniej, kochałem. Ignacio odparł, że wybierali się do Ryszikeśu, do aśramy swami Kajłaśanandy, guru zaprzyjaźnionego z Julianem. Julianem? Julianem Fuentesem? Tak, powiedział Ignacio. I że Julián też leciał z nami. Podobnie jak Matilde i jeszcze kilka osób, które również znałem. Pedro, Eulalia. Joaquín, kuzyn Cristiny. Czyli wszyscy tu byli, cała dawna paczka w komplecie! Ba, sama Cristina mogła się wydawać jakoś obecna, jako że każdy doskonale ją znał, a niektórzy byli z nią wręcz spokrewnieni. Nie pojmowałem, skąd się wzięły w rozbitym samolocie te duchy przeszłości, ale niezwykłość naszego położenia sprawiała, że moja zdolność do dłuższego dziwienia się czemukolwiek została najwyraźniej wyczerpana.

Zaskoczyło mnie jednak, że znów słyszę słowa, które uważałem za przynależne do czasów dawno minionych: aśrama, swami, Ryszikeś – światowa stolica jogi, położona nad Gangesem, u stóp Himalajów. Wszystko to przypominało mi o epoce, kiedy każdy z nas był młody, a ja byłem w związku z Cristiną. A więc, spytałem Ignacia, Julián wciągnął ich wszystkich w tę przygodę? Czyli nadal zajmuje się jogą? Organizowaniem

wypraw do Indii? Czym dokładnie? I dlaczego lecieli do Indii dookoła świata? Nie łatwiej było wyruszyć z Madrytu na wschód?

– To bardzo długa podróż – odrzekł Ignacio, który wyglądał na szczęśliwego, co mnie zdumiewało, a wręcz przerażało, gdy tak zmienialiśmy się przy wiosłach, zmierzając ku brzegowi, ja zaś popatrywałem ukradkiem na Idoę, chyba zupełnie spokojną, wspartą o krawędź dmuchanej tratwy, jakby to było zwykłe wakacyjne popołudnie, i zwyczajem krótkowidzów wpatrującą się w wyspę lekko zmrużonymi oczami. – Najpierw poleciliśmy do Meksyku i spędziliśmy tam miesiąc. Później na dwa tygodnie do Nowego Jorku. Później do Los Angeles, na kurs. To tam postanowiliśmy udać się dalej, do Indii. Ten lot był taki tani... Global Orbit w ogóle ma takie tanie loty...

– Tak, i zobacz, co się potem dzieje – rzuciłem, wskazując szczątki samolotu.

– Global Orbit nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności – odezwał się wtedy jeden z pasażerów, mówiący po hiszpańsku z silnym akcentem, którego początkowo nie rozpoznałem. – Przyczyną katastrofy nie była awaria samolotu.

– Ach, nie? – mruknął Ignacio. – A co?

– Jakies zakłócenia elektromagnetyczne – wyjaśnił tamten. – Wszystko się powyłaczało. To nie miało nic wspólnego z samym samolotem.

Umilkliśmy. Mężczyzna przeprosił, że wtrącił się do naszej rozmowy. Powiedziałem, żeby się nie przejmował; że wszyscy jesteśmy podenerwowani, wytrąceni z równowagi. Jak przystało na Amerykanina, przy okazji się przedstawiłem i on zrobił to samo: Luigi Campanella, inżynier z Mediolanu. Chciałem wiedzieć, jakiej dokładnie specjalności. Specjalizuje się w silnikach, oznajmił. Do samochodów osobowych i ciężarówek. Mniej więcej sześćdziesięcioletni, miał bujne, żółtawobiałe włosy, ciemne okulary, orli nos i ogorzałą, czerwonawą, porytą głębokimi zmarszczkami twarz. Był drobny i drażliwy i próbowałem go polubić, jako że zawsze lubiłem inżynierów, w których nieodmiennie wyczuwam powinowactwo z muzykami. Spytałem, czy podróżował sam, i dowiedziałem się, że nie – że z siostrzenicą, która popłynęła na wyspę poprzednim kursem. Odwróciłem się, by spojrzeć na Idoę, i skonstatowałem, że ona też na mnie patrzy. Uśmiechnęła się. Potem zapytała, jak mi się wiedzie i po co leciałem do Indii. Wy tłumaczyłem, że Uniwersytet Kalkuty zaprosił mnie, abym poprowadził dwutygodniowy kurs kompozycji. Tu nastąpiła seria typowych pytań zmierzających do ustalenia, czy jestem sławnym kompozytorem. Padły nazwy takie jak Oakland, Rhode Island,

Rosley College, Ballard (to imię mojego pupila, hiszpańskiego psa dowodnego z Labradoru) czy *Panache* – tytuł opery komicznej wystawionej po raz pierwszy w Bostonie przez Tea Time Players, młody, lecz dość znany w Nowej Anglii zespół. Wspomniałem również o *Kwartecie nr 3*, którego premiera odbyła się w New York Public Library, w wykonaniu ni mniej, ni więcej tylko Emerson String Quartet, co stanowiło jak dotąd największe moje osiągnięcie. Fakt, że akurat oni grali moją muzykę, zrobił na Ignaciu wrażenie. Jednakże w tamtym momencie mieliśmy na głowie sprawy poważniejsze niż nasze zawodowe sukcesy albo czułe spojrzenia naszych dawnych przyjaciółek.

Przewożenie rannych na plażę stawało się coraz trudniejsze. Joseph nie mógł nam towarzyszyć i często nie wiedzieliśmy, jak podnieść czy przesunąć czyjeś zbolełe ciało. Poza tym ochotnicy szybko się wykruszali. We wnętrzu samolotu panował nieznośny upał, ledwie łagodzony rzadkimi powiewami wpadającymi przez otwarty tył lub przez pęknięcie w kadłubie, więc wszyscy w środku byliśmy cali spoceni i cierpieliśmy nieustanne pragnienie. Kilkakrotnie podchodziłem do stanowiska stewardes, żeby się napić, i na jednym oddechu wlewałem w siebie pół litra wody. Szczególnie problematyczne okazywało się pomaganie pasażerom pierwszej klasy, których trzeba było właściwie znosić po krętych schodach. W ten sposób sprowadziliśmy na dół pewne szwajcarskie małżeństwo: zataszczyliśmy ich na rękach na tratwę, by potem stwierdzić, że nie doznali nawet zadrapania (byli to państwo Kunze'owie, o których jeszcze opowiem). Podobnie rzecz wyglądała z jedną czterdziestoparolatką, bardzo atrakcyjną blondynką, której twarz wydawała mi się znajoma – była cała i zdrowa, ale tak spanikowana, że niezdolna się ruszyć.

Joseph Langdon. Skutki wypadku

Większość ofiar zginęła na miejscu wskutek śmiertelnych uszkodzeń ciała, takich jak urazy czaszkowo-mózgowe. Wiele osób umarło przygniecionych fotelami lub fragmentami półek z bagażem, inni jedynie stracili wtedy przytomność. Niedotleniony mózg zaczyna wysyłać sygnały, początkowo silne, lecz kiedy serce nie może dostarczyć więcej natlenionej krwi, sygnały wysyłane do niego i do płuc słabną i potrzebna staje się reanimacja. Należy zastosować ją natychmiast, gdyż po trzech minutach niedotlenienia zmiany w mózgu są nieodwracalne. W innych wypadkach nieprzytomny człowiek może utrzymać się przy życiu trzydzieści do czterdziestu minut, niemniej umrze, jeśli nie odzyska świadomości. Niekiedy trudno odróżnić nieprzytomnych od nieżywych. Roberta wróciła do samolotu ze stetoskopem, żeby osłuchiwać tych, co tam zostali, w nadziei, że czyjeś serce jeszcze bije. Dzięki temu udało nam się ocalić trochę ludzi, chociaż niejeden z tych, których początkowo uważaliśmy za uratowanych, zmarł w kolejnych godzinach albo dniach. Raz po raz mieliśmy do czynienia z krwawiącymi ranami i otwartymi złamaniami. Fotele samolotowe to nic innego jak kupa przymocowanego do podłogi żelastwa. W czasie katastrofy sieją zniszczenie i śmierć, łamiąc kości, przebijając płuca lub nerki, wywołując obfite krwotoki w jamie brzusznej. Jeśli chodzi o pęknięcie kończyny, najważniejsze jest jej unieruchomienie. Kiedy w pobliżu rannego znajdzie się ktoś obdarzony zdrowym rozsądkiem albo, jeszcze lepiej, lekarz, ratunek bywa możliwy. Gdy dochodzi do przerwania jakiejś tkanki, masa krwinek spieszy ją załatać. Ludzkie ciało to dobrze zaprojektowany mechanizm o cudownej zdolności do samonaprawiania się. Właśnie w tamtych godzinach nauczyłem się, że dużą część krwotoków da się zatamować w ciągu dwóch minut dzięki zwykłemu zatkaniu i uciskaniu rany. Jeśli uszkodzone zostało jakieś ważne naczynie, jak choćby tętnica udowa, ofiara musi się wykrwawić, jednakże w mniej poważnych przypadkach

dzięki uciskowi wywieranemu na ranę, wyjaśniał nam Jospheh (i wciąż pamiętam jego głos: spokojny, bezlitosny, niemilknący pośród krzyków i płaczu), możliwe jest dotransportowanie żywego człowieka na plażę. Bo chociaż wielu rannych potrzebowało natychmiastowej pomocy, nie dało się jej udzielać w samolocie. Najpierw należało odstawić ich na ląd, a przeprawa, niestety, często się przeciągała. Część ludzi umierała na tratwie, całej umazanej krwią – ciemną krwią, która mieszała się z morską wodą i zostawiała na gumowej powierzchni trudne do usunięcia ślady.

U niektórych osób doszło do krwotoków wewnętrznych, niewidocznych gołym okiem i niejednokrotnie niewyczuwalnych nawet dla tych, co ucierpieli, a byli przekonani, że nic im się nie stało. Przy wstrząsie tak potężnym jak ten wyzwalany podczas uderzenia samolotu o powierzchnię oceanu tkanki mocujące wątrobę, jelita, płuca i inne narządy w ciele pękają lub ulegają nadwężeniu. Podobne obrażenia zazwyczaj skutkują lekkimi bólami, nudnościami, ogólnie złym samopoczuciem, osłabieniem i na początku, jak już wspomniałem, mogą nie przyciągać większej uwagi. Dlatego poszkodowani docierali na brzeg, gdzie kładli się na ziemi, zdjęci niewytłumaczalną słabością. Organizm ludzki uruchamia w takich sytuacjach określone mechanizmy. Człowiek prawie nie może się ruszać, gdyż krew ledwie w nim krąży, niemniej bywa, że śmierć następuje dopiero w ciągu sześciu do dziesięciu godzin. Zdarzali się wszakże i tacy, którzy umierali na naszych oczach po niespełna sześćdziesięciu minutach. Ci mieli uszkodzone jakieś szczególnie ważne naczynia krwionośne; nie mogliśmy zrobić dla nich nic więcej, niż ułożyć ich wygodnie i trzymać do końca za rękę. Odchodzili łagodnie, stopniowo tracąc przytomność, dogasając jak świece. Inni walczyli przez cały wieczór i noc. W sumie jakieś dwadzieścia osób spośród tych, które dotarły na ląd, zmarło jeszcze przed zmierzchem, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu. Paru, po kilku dniach bóleści, udało się przeżyć. Najgorzej było z tymi, u których doszło do perforacji układu pokarmowego. Żołądek czy jelita, jak wytłumaczył mi później Joseph, są pełne powietrza. Gdy dochodzi do przerwania ich ścianek, do jamy brzusznej wypchnięta zostaje masa bakterii, które powodują zapalenie otrzewnej, skutkujące śmiercią w ciągu trzech do pięciu dni. W takich razach bóle były okropne i Joseph mógł jedynie próbować je łagodzić. Taki los spotkał Noboru Endo, o którym ze szczegółami opowiem dalej. Przy zapaleniu otrzewnej niewiele da się zrobić. Nogi sinieją, brzuch twardnieje jak deska, cierpienie jest straszne, agonia zaś trwa całymi

dniami.

Ogólnie rzecz biorąc, naszym głównym problemem był brak higieny i środków odkażających. W samolocie znaleźliśmy trochę antybiotyków. Dzięki zawartości apteczek Joseph i jego pomocnicy leczyli i zszywali, jednakże po trzech czy czterech dniach pacjenci umierali z powodu zakażenia. Z tego właśnie powodu Joseph wielokrotnie zwlekał z zamykaniem ran, twierdząc, że wtedy wywiąże się zakażenie beztlenowcami. W innych przypadkach, podejrzewając, że już do niego doszło, sam zrywał szwy, chcąc zapobiec gangrenie.

Niektórzy ranni potrzebowali operacji, tyle że Joseph nie dysponował odpowiednimi środkami i nawet kiedy znaleźliśmy anestetyki, o czym później, nie zawsze był w stanie całkowicie uspić pacjenta, przez co rozgrywały się na naszych oczach mrożące krew w żyłach sceny, godne jatek albo średniowiecznych horrorów. Na sali operacyjnej anestezyjolog nie tylko usypia pacjenta i blokuje jego doznania bólowe, ale również dba, podając mu stosowne dawki pochodnych kurary (notabene tej samej substancji, której amazońscy Indianie używają do unieruchamiania swoich zdobyczy), by mięśnie operowanego pozostawały rozluźnione, co zapobiega niekontrolowanym skurczom. W prowizorycznych warunkach, w jakich się znajdowaliśmy, Joseph robił, co mógł, a często i więcej, niż wydawało się możliwe. Niezależnie jednak od tego, spośród osób, które przetrwały katastrofę, mniej więcej jedna czwarta zmarła wkrótce po niej.

Jesteśmy na wakacjach

Godziny mijały i ani na niebie, ani na morzu nikt się nie pokazywał. Niemal wszyscy rozbitkowie schronili się pod palmami. Rosło ich na plaży dużo, dając sporo cienia, którego świeżość potęgowały jeszcze powiewy znad oceanu. To wiały słynne pasaty, o których wszyscy kiedyś uczyliśmy się w szkole. Joseph zgromadził ekipę pomagającą mu przy chorych. Z łatwością zdobywał posłuch i poza wszystkim innym wydawał się dobrym psychologiem, bo ilekroć zwracał się do kogoś z jakąś prośbą, była ona spełniana bez szemrania. Do pomocy zgłosiła się między innymi Swayla, która wszakże prawie mdlała na widok tego, co Joseph musiał robić, tnąc i szyjąc na żywca, tamując strugi krwi chusteczkami higienicznymi i nastawiając złamania przy użyciu pasków do spodni, patyków i kabli, toteż lekarz, zauważywszy jej reakcje, szybko ją odesłał. Z jakiegoś jednak powodu kobiety sprawiały wrażenie lepiej przystosowanych do tej pracy niż mężczyźni. Rwała się do niej nawet pewna na oko osiemdziesięcioletnia Amerykanka. Nazywała się Jean Jani i pochodziła z Ohio. Potem dołączyły też Sophie Leverkusn, żona słynnego architekta z Los Angeles; Josephine Winslow, Australijka z Sidney, oceanolożka bez żadnego doświadczenia medycznego; oraz Violeta Lubetzki, Argentynka, która podobno była w młodości pielęgniarką, potem zaś przerzuciła się na tarota i nauki tajemne. Jeśli wiesz o czymś, czego ja nie wiem, powiedział jej Joseph, odrobina magii z pewnością nam się przyda. Potrafił być ujmujący nawet w samym środku katastrofy.

To zatem były nasze dzielne pielęgniarki, wszystkie, poza Violetą, w kwestiach medycyny zupełnie zielone: Jean Jani z Ohio, Josephine Winslow z Sidney, Sophie Leverkusn z Los Angeles, Violeta Lubetzki z Buenos Aires, Ruth Sweelinck, kanadyjska pisarka tworząca feministyczną science fiction, a także moja znajoma, Idoya. Dlaczego wyłącznie kobiety?

Wade z kolei zebrał pięcioro towarzyszy, w tym trzech mężczyzn, i ruszył

z nimi na wschód, żeby spróbować odnaleźć ogon samolotu, jak również ewentualnych rozbitków z tamtej części maszyny. Wrócili mniej więcej półtorej godziny potem. Przewędrowali kilka kilometrów wybrzeżem i nie dostrzegli nawet śladu zaginionej części boeinga. Było nie do pomyślenia, by mogła spaść dalej niż jakieś dwa kilometry od miejsca katastrofy, oni zaś pokonali niemal pięć w jedną stronę. Dlatego uznaliśmy, że ogon samolotu zatonął, pociągając ze sobą wszystkich siedzących tam ludzi, bo przecież ktoś z ocalałych, gdyby tacy byli, dotarłby chyba na brzeg. Ta wiadomość zasmuciła nas i przeraziła jeszcze bardziej. Z prawie czterystu pasażerów boeinga uratowało się jedynie koło stu dwudziestu osób. Z których wiele szamotało się zresztą między życiem a śmiercią, trzydzieści zaś, mniej więcej, było poważnie poturbowanych.

Postanowiłem się nie zbliżać do prowizorycznego szpitala Josepha. Każdy zna swoje możliwości i ograniczenia: ja nie wytrzymuję widoku ran ani krwi. Poza tym nagle zdałem sobie sprawę, że jestem wyczerpany. Wyczerpany i spragniony, bardziej spragniony niż kiedykolwiek w życiu. Nie ja jeden zresztą cierpiałem z odwodnienia. Tratwa, teraz najwyraźniej pod wodzą Wade'a, popłynęła znowu w stronę wraku, tym razem także po wszelkie napoje, jakie pozostały na pokładzie. Ja, wyprawiając się tam po rannych, kilkakrotnie zdołałem się napić, natomiast ludzie na plaży, wypacając wodę w tempie kapiącego kranu, od wielu godzin nie mieli w ustach płynu. Pamiętam zwłaszcza płacz dzieci. Płakały z pragnienia, ze strachu, z wyczerpania. Wkrótce miały zacząć płakać z głodu.

Kolejne wyprawy do wraku przyniosły plon w postaci porzuconego tam poprzednio bagażu. W ten sposób na wyspie znalazły się najdziwniejsze przedmioty, takie jak na przykład wózek inwalidzki (który zdawał się nie należeć do nikogo z ocalałych), kije golfowe, również bez właściciela, czy strzelba myśliwska Lazzeroni w drewnianym futerale, należąca do Stephana Kunzego, wspomnianego już szwajcarskiego milionera. Niektórzy wracali do samolotu po swoje rzeczy, a nawet wskakiwali do zatopionych luków bagażowych, żeby sprawdzić, co w nich znajdują, owładnięci zapałem, który miał wiele wspólnego z zapędami dawnych – i współczesnych zresztą też – rabusiów. Faktem pozostaje, że ten akurat szaber był, przynajmniej po części, usprawiedliwiony, bo potrzebowaliśmy właściwie wszystkiego, zaczynając od lekarstw; wszystkiego, na cokolwiek się natknęliśmy: ubrań na bandaże, picia, jedzenia, środków czystości i higieny... Niemniej odnosiłem wrażenie, że nie

każdy z uczestników owych wycieczek aprowizacyjnych działa ze szlachejnych pobudek. Ja sam, chociaż nie mam złodziejskich instynktów, pomyślałem parę razy o klejnotach, brylantach, bransoletkach i markowych zegarkach.

Usiadłem, by odpocząć w cieniu palm. Zdjąłem marynarkę, koszulę oraz buty i, złożwszy starannie ubranie, umieściłem wszystko obok na piasku. Miałem na sobie – muszę to wyznać – absurdalny garnitur w kolorze jajecznej żółci, białą koszulę ze spinkami do mankietów, cienki krawat barwy szpinaku i stetsona kupionego kilka lat wcześniej przez drobne ogłoszenie w „New Yorkerze”. Był to jeden z moich idiotycznych garniturów w stylu Aschenbacha, które, jak mi się wydawało, przydawały mi europejskiego szyku i robiły wrażenie na paniach z Oakland; głupie wdzianko „sahiba”, przesadne nawet w warunkach wakacyjnego Rhode Island, w tropikach zaś zdecydowanie śmieszne. Tak, teraz trudno mi pojąć, dlaczego właściwie tak się ubierałem. Myślę, że później nigdy już nie włożyłem tego garnituru. Nie wiem nawet, co się z nim stało.

Smukłe pnie palm wokół sprawiały, że miejsce tragedii nabierało cech wakacyjnego kurortu. Owszem, niektórzy rozbitkowie szlochali w ramionach innych. Część leżała na ziemi, konając, czasem w obecności przyjaciół czy rodziny, a czasem samotnie. Jedni wiedzieli, że umierają, i płakali, drudzy pozostawiali tego nieświadomi. Jednakże wiele osób spokojnie spacerowało wzdłuż brzegu, gawędząc o sporcie lub atrakcjach turystycznych Indii, dokąd leciała przecież spora część pasażerów. Inni, usadowieni na walizkach, przeglądali mapy albo przewodniki Fodora, Michelina czy Lonely Planet. Zobaczyłem Christiana i Sheilę, tamtych młodych Chilijczyków, jak szli skrajem zatoki. Odzyskali swoje pianki i deski surfingowe, i zmierzali ku wysokim falom otwartego oceanu. Parę osób kąpało się w zielonej, cudownie spokojnej i przejrzystej wodzie, w kostiumach kąpielowych lub po prostu w bieliźnie. Nagle ogarnęła mnie nieprzeparła ochota, żeby też się wykąpać i poczuć, jak chłodne fale zmywają ze mnie pot i zmęczenie, dlatego wstałem i skierowałem się do brzegu. Ujrzałem również Swayłę, która podobnie jak ja szła w stronę wody, ubrana w skąpe pomarańczowe bikini objawiające światu smukłe, wręcz kościste, złotawe piękno jej ciała. Zakładam, że już odgadliście, jak bardzo wasz stary przyjaciel Juan Barbarín lubi kobiety. Domyśliliście się pewnie, że mój hiszpański pies dowodny, kochany Ballard, jest jedynym towarzyszem życia niepoprawnego kawalera i że w moim otoczonim więzami domu w Oakland, w stanie Rhode Island, łazienkowe

lustro co wieczór odbija tylko jedną szczoteczkę do zębów, gnuśnie opartą o brzeg swojego kubka. Zazwyczaj nie pociągają mnie dziewczyny aż tak szczupłe, nie gustuję w tym wybujałym i giętkim typie promowanym przez modowe czasopisma i wybiegi, jednakże tym razem byłem całkowicie zafascynowany. Swayla szła zamyślona, patrząc pod nogi, wyraźnie zarysowana na jaśniejącym piaszczystym tle, z turkusem wody u stóp i szmaragdem palm za plecami, i przez chwilę miałem wrażenie, że oto oglądam Ewę stawiającą pierwsze kroki w rajskim ogrodzie. Włosy miała jasne, półdługie, a smukła szyja zdawała się sugerować jej pokrewieństwo z królestwem ptaków albo może raczej z rodem zwinnych gazeli. Powiedziałem: Hej, Swayla zaś podniosła oczy i odrzekła: Hej. Lepiej się czujesz? Odpowiedziała: Dziękuję, że trzymałeś mnie za rękę. *No problem.* Spytała wesoło: Kąpiesz się? Chodź, chodź do wody! Jej brzuch był tak płaski, że materiał bikini naciągał się na wystających kościach miednicy w pewnej odległości od jasnej, gładkiej skóry, by niżej wręcz przesadnie opinać wypukłość wzgóрка łonowego. Oznajmiłem, że nie mam kąpielówek, i kontemplowałem, jak Wenus spiesznie powraca w objęcia piany. Ty nie potrzebujesz kąpielówek, zawołała, rzucając się do tyłu z rozpostartymi ramionami. Cofnąłem się pod palmy, zdjąłem spodnie, ułożyłem je schludnie na stercie ubrań, po czym ruszyłem znowu na brzeg w białych bokserkach. Woda była przyjemna; stąpałem po piaszczystym dnie, aż sięgnęła mi szyi. Ten cudowny chłód! Mocny uścisk morza. Przyjemność kąpieli po wysiłku. Jedna z tych dużych różowych ryb, które widziałem już z tratwy, przepłynęła ledwie metr ode mnie w przezroczystej toni. Nie wydawała się agresywna, lecz pomyślałem o wielkich zębiskach barrakud i przestraszyłem się, więc wróciłem na plażę.

Wade ma dziwne pomysły

Upływały godziny i nikt nie przybywał nam na ratunek. Niebo pozostawało puste, podobnie jak ocean, telefony wciąż nie miały zasięgu, radia milczały. Najwyraźniej w to miejsce na naszej planecie nie docierał nawet sygnał GPS. Tyle że, mówiliśmy, takie miejsce na naszej planecie nie istnieje. Słyszałem kiedyś, że gdzieś na pustyni Sonora nie da się odbierać sygnałów satelitarnych, ale myślę, że to raczej legenda lub jakaś metafora niż rzeczywistość. Luigi, ten włoski inżynier, powiedział, że samolotowe radio musi działać i że moglibyśmy go użyć, aby wezwać pomoc. Kolejna ekspedycja popłynęła do wraku, żeby spróbować – również bez skutku. Wprawdzie elektronika w samolocie wróciła do normalności, lecz radio emitowało jedynie piski i trzaski. Nie dało się niczego usłyszeć ani niczego nadać. Relacja, którą zdali nam ci, co wyprawili się na pokład – a był wśród nich Luigi Campanella – wprowadziła nas w jeszcze większą konsternację. Opowiedzieli też, że wszyscy w kabinie pilotów zginęli.

I tak zapadła noc, nasza pierwsza noc na wyspie. Nigdy wcześniej nie widziałem zmierzchu w tropikach i uznałem teraz, że to, co o tej porze działo się między niebem a wodą, miało w sobie coś nadprzyrodzonego, a nawet nie – to właściwie było coś ze sfery duchowej, trudno to wytłumaczyć, toteż nawet nie będę tu próbował żadnych opisów. Ściemniło się, ale nikt nie myślał o spaniu. W tropikach ściemnia się wcześniej, poza tym my wciąż żywiliśmy przekonanie, że wkrótce ktoś się po nas zjawi.

Jednakże podejrzenie czegoś dziwnego i niepokojącego, co ja wyczuwałem już wcześniej u wielu z nas, zwłaszcza u tych, którzy mieli się w jakiś sposób stać przywódcami naszej grupy, pogłębiło się wraz z nastaniem ciemności. Zjedliśmy na kolację część zapasów z samolotu: na setkach tacek znajdowały się setki porcji sałatki owocowej, bułeczek, kurczaka curry, makaronu z warzywami, filetów w sosie musztardowym, ciasta z jabłkami, jogurtów

i wielu innych pyszności, które podaje się zazwyczaj w samolocie. Było tego zbyt wiele, ale choćbyśmy chcieli, i tak nie mogliśmy niczego zachować na później. Wszyscy zjedliśmy więc i wypiliśmy tego wieczoru za dużo, chociaż nie wiedzieliśmy, że to ostatni albo jeden z ostatnich cywilizowanych posiłków, jakie będą nam dane przez długi czas. Siedziałem ze swoimi dawnymi przyjaciółmi: Eulalią, Julianem, Matilde, Joaquinem i resztą, rozmawiając o przeszłości – o tych odległych madryckich latach, kiedy byłem w związku z Cristiną, a Julián uchodził za mojego najlepszego kumpla. Mimo to nasza skrajnie dziwaczna sytuacja sprawiała, że wątek raz po raz się nam urywał, a my wciąż wracaliśmy do wypadku, do niezwykłości tego, co nam się przydarzyło, do sposobów, na jakie każdy z nas przeżył katastrofę, i do szczęścia, jakie mieliśmy, że udało nam się ją przetrwać. Ktoś z ich wycieczki podszedł, by powiedzieć, że Dharma Mitra, ich przewodnik duchowy, za kilka minut rozpocznie medytację. Zaprosili mnie, abym do nich dołączył, i twierdzili, że Dharma mi się spodoba. Wymówiłem się, tłumacząc, że jestem bardzo zmęczony, a poza tym nigdy nie medytowałem i nie wiedziałbym, co robić.

Patrzyli na mnie z szerokimi uśmiechami, które mnie przerażały. Przemawiali łagodnymi głosami, promieniując dobrocią i miłością, a ja powtarzałem sobie, że to nie moi przyjaciele, tylko jakieś ufoludki, które opanowały ich ciała. Nawet Ignacio zgrywał teraz mędrca Wschodu, szukając w otaczającym nas koszmarnie pozytywów, które nie istniały. Pomyślałem cynicznie, że skoro tak pragnie nirwany, mógłby podzielić się ze mną Idoyą. Wszyscy zgodnie zapewnili mnie, że łatwo mi będzie stosować się do wskazówek mistrza, i nalegali jeszcze chwilę, zwłaszcza dziewczyny, żebym z nimi poszedł. Znowu uprzejmie odrzuciłem propozycję.

Obserwowałem, jak się oddalają i włączają w krąg siedzących na piasku postaci, wyraźnie zarysowanych w świetle księżyca; dostrzegłem też ich mistrza, ubranego w szeroką żółtą koszulę oraz pomarańczowe spodnie i usadowionego po turecku na macie. Grupa składała się z Hiszpanów i Amerykanów. Wśród tych pierwszych była kobieta z małą ciemnoskórą Hinduską, zapewne adoptowaną córką. Usiadła w kręgu, mała obok niej. Widziałem ją już wcześniej na plaży i zwróciła moją uwagę.

Potem ruszyłem na poszukiwanie Wade'a i Josepha, żeby porozmawiać z nimi o naszej sytuacji. Znalazłem ich przy niewielkim ognisku, którego nie rozpalili z pewnością po to, by się ogrzać, jako że upał był przytłaczający.

Swayla też tam siedziała, wciąż w swoim pomarańczowym bikini, obok zaś, pośród innych osób, zobaczyłem bardzo grubego chłopaka o długich kręconych włosach i rzadkiej bródce, z wyglądu Latynosa. Nazwałem go „chłopakiem”, choć równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć lat, przy czym jakaś bezbronność w oczach i wiecznie smutny wyraz ust nadawały mu młodzieńczy, wręcz dziecinny wygląd. Nazywał się Santiago Reina, ale kazał wołać na siebie Jack, Jack Reina.

– Musimy się zorganizować – mówił Wade. – Tu jest masa ludzi. W dodatku się nawzajem nie znamy. Widziałem, jak niektórzy obdzierali zmarłych z biżuterii i zegarków. Nie wiemy, komu można zaufać, a komu nie. Musimy ustalić jakieś zasady i pilnować, by ich przestrzegano. Przede wszystkim dla dobra najsłabszych: dzieci i osób starszych.

– Lada moment zjawi się pomoc – rzucił Joseph, który miał głębokie cienie po oczach i zdawał się wyczerpany. – To już długo nie potrwa.

Palił papierosa. Później się dowiedziałem, że pierwszego od pięciu lat.

– Myślę, że się mylisz, Joseph – powiedział Wade, wbijając w niego spojrzenie swoich błękitnych oczu. – Myślę, że sprawy wyglądają inaczej, niż sobie wyobrażasz.

– O, doprawdy? – spytał Joseph, patrząc ze znużeniem i sceptycyzmem. – A jak ty je sobie wyobrażasz?

– Nie sądzę, by ktoś przybył nam na ratunek – stwierdził Wade, spoglądając w górę, na gwiazdy i korony drzew. – Nie sądzę. I tyle.

– Na radarach wyraźnie widać naszą pozycję, stary – odezwał się Jack Reina. – Dziwne jest tylko, że nikt się jeszcze nie zjawił. Nawet zakładając, że sygnał zanikł w momencie awarii systemów elektronicznych, i tak łatwo było ustalić miejsce katastrofy. Nie zostawią nas tutaj.

Wade pokręcił głową. Pokręcił głową z uśmiechem. A ja znów poczułem fascynację. Co ten uśmiech właściwie oznaczał? Niewątpliwie wrażał szczęście, pełnię, radość, ulgę, ufność. Tylko z czego Wade tak się cieszył? Jego twarz błyszczała czerwono w świetle płomieni. Głębokie bruzdy biegły pionowo od oczu przez policzki, po obu stronach ust, przecinając podbródek. W blasku ognia błękitne tęczęwki wydawały się jeszcze jaśniejsze i bardziej niebieskie niż zwykle. Grube korzenie palmy trzaskały wesoło w ognisku, wypuszczając węże czerwonych iskier.

– Ja myślę, że Wade o czymś wie – wtrąciłem się wtedy. – Albo uważa, że o czymś wie.

– O czym niby wiesz? – spytał Joseph z nutą rozdrażnienia w głosie, zapewne wywołaną przez zmęczenie. – Dlaczego utrzymujesz, że nikt nam nie pomoże?

– *Bo to wcale nie był wypadek* – oświadczył Wade, unosząc brwi. – Nie, to nie był wypadek. Ależ skąd.

– Jak to? – drążyłem. – To nie był wypadek? Mógłbyś wyjaśnić?

– Sądzę, że wszystko wyjaśni się samo z siebie, John – odparł Wade. A później dodał, jak gdyby coś cytował, może jakąś piosenkę: – Wszystkie tajemnice wyjdą w końcu na jaw, pojmiesz, przyjacielu, i ja pojmę też... A teraz, proszę państwa, pora nieco odpocząć.

Gdy wstał, ponownie zaskoczył mnie swoim imponującym wzrostem. Ubrany był tak jak wcześniej – w spodnie khaki i ciemnozieloną koszulę, ale teraz jego strój uzupełniały czarny skórzany plecak oraz gruby pas z przytroczoną metalową manierką i sporych rozmiarów myśliwskim nożem w kauczukowej pochwie. Poza tym miał mocne, jakby wojskowe buty, których nie zauważyłem u niego poprzednio. Myślę, że kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, w samolocie, był tylko w skarpetkach. Owszem, wiele osób zdejmuje podczas lotu obuwie, niemniej widząc te wojskowe buty, odniosłem przemożne wrażenie, że nie należą do niego. Wycofał się w mrok krokiem prawie marszowym.

– Co za koleś – mruknął Joseph z krzywym uśmiechem. – To wcale nie był wypadek.

Rzuciłem, że najprawdopodobniej wszyscy jesteśmy w szoku i że nic z tego, co sobie pomyślimy albo powiemy tego wieczoru, nie będzie miało raczej zbyt wielkiego sensu. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, lecz mnie szybko ogarnęło zmęczenie. Swayla usnęła, wsparta o wygodnie okrągłe ramię Santiaga. Uznałem, że i ja powinienem się zdrzemnąć. Poszukałem sobie spokojnego miejsca, rozpostarłem na piasku jeden z koców, które przywieźliśmy z wraku, i natychmiast zapadłem w sen.

Opróżniamy samolot. Krzyk

Pamiętam to nieprzyjemne uczucie, gdy obudziłem się następnego ranka na ziemi, w ubraniu z dnia poprzedniego, ze skórą podrażnioną i swędzącą od morskiej soli i piasku. Wokół wiele osób jeszcze spało – w najdziwniejszych pozycjach. Inni chodzili w tę i z powrotem. Santiago Reina schwytał kraba i pokazywał go teraz grupce dzieci, które piszczały, kiedy groził im długimi szczypcami. Wśród dzieciaków dostrzegłem Sebastiana i Carla, synów państwa Leverkusnów, a także ciemnoskórą Hinduskę, która bez przerwy się śmiała (w gruncie rzeczy prawie zawsze była roześmiana). Wołali na nią Syra.

Panowała dziwna atmosfera: mieszanina otępienia, strachu i wakacyjnego rozluźnienia. Niektórzy wciąż przeglądali przewodniki po Indiach albo kąpali się w oceanie, inni nadal płakali, objęci. Dwóch młodych mormonów, którzy nazywali się Robert Frost i Robert Kelly, wędrowało od grupki do grupki, głosząc swoją ewangelię, rozdając egzemplarze *Księgi Mormona* i pytając rozbitków, czy nie chcieliby żyć przez całą wieczność wraz ze swoimi bliskimi i zamienić się, po śmierci, w bogów w jakimś odległym świecie. Obaj Robertowie mieli na sobie czarne spodnie i białe koszule z długim rękawem – ten nazbyt formalny strój chyba typowy dla mormonów. Część ludzi posyłała ich do diabła, część jednak cieszyła się z okazji do takiej absurdalnej rozmowy i zaczynała pytać o poligamię.

Rozpoznałem w końcu tę atrakcyjną blondynkę z długimi nogami, która leciała pierwszą klasą i której twarz wydała mi się dzień wcześniej znajoma. Chodziło o Nicollette Sheridan, aktorkę, która w latach osiemdziesiątych jako bardzo młoda dziewczyna grała w reklamach martini, dobrze znanych, jak sądzę, wszystkim z mojego pokolenia. W jednej z nich ubrana w skąpy top i minispódniczkę jedzie na łyżwach przez miasto, z tacą, na której stoi butelka martini w cudowny sposób niespadająca na ulicę, aż w końcu Nicollette wsiada do windy, delikatnie kołysząc biodrami, i drzwi się za nią zamykają.

W innej przechadza się w białym bikini po tropikalnej plaży, bardzo podobnej do tej, na której się obecnie znajdowaliśmy, i natrafia na częściowo zagrzebany w piasku telewizor. Fale przepływają po nim raz za razem, jednakże urządzenie działa, a na ekranie widać zachęcające obrazki z butelkami martini rosso. Niemniej oglądałem ją też w *Knots Landing*, serialu, w którym grała rolę Paige Matheson, i w *Poza sceną* Petera Bogdanovicha, gdzie przez cały film pokazywała się w bieliźnie. Dwaj mormoni podszli również do niej i nawiązali rozmowę. Zastanawiałem się, dlaczego niemal wszyscy aktorzy z wielkiego ekranu wydają się nam tak mali i bezbronni, gdy spotykamy ich w prawdziwym świecie. Zobaczyłem, że Nicollette Sheridan zaśmiewa się wraz młodymi mormonami do rozpuku. Powiedziałem sobie, że muszę zebrać się na odwagę i do niej zagadać i że nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym tego nie zrobił. Rozważyłem kilka możliwości, zadając sobie pytanie, czy lepiej udawać, że nie wiem, z kim mam do czynienia, czy zagrać kartą zagorzałego wielbiciela.

Wade tymczasem zdążył zapaść się w dżunglę i wrócić z dwiema ogromnymi kłębami bananów, nieco zielonych z wierzchu, ale w środku aromatycznych i pysznych. Odcinał je swoim wielkim nożem myśliwskim, rozdając rozbitkom niby jakiś dziki bóg obfitości. Na śniadanie zostało sporo jedzenia z samolotu, tyle że mleko na przykład już się skwasiło, a i reszta produktów zaczynała się psuć. Nigdy nie zapomnę tamtych croissantów, scone'ów i *danish pastry* z pierwszej klasy, roztopionego masła i małych pojemniczków z porcjami galaretki czereśniowej albo konfitury z brzoskwiń. Tak, nie mieliśmy o tym pojęcia, lecz to był naprawdę nasz ostatni cywilizowany posiłek.

Dawał się nam we znaki brak ubikacji. Za potrzebą szło się po prostu w krzaki, zaczynające się tuż za plażą, i kucalo się tam, choć było nas tak wielu, że niekiedy problemem stawało się uniknięcie towarzystwa, i należało gwizdać albo grzecznie wołać, że „toaleta zajęta”. Ja musiałem udać się w to miejsce dwa razy, po śniadaniu, czyli w porze, którą szczególnie upodobały sobie moje jelita. Wystarczyło przejść kilka metrów w głąb lądu, żeby zanurzyć się w najgęstszej, najbardziej wybujałej roślinności, jaką w życiu widziałem, pośród grubych lian, które opadały z drzew wysokich niczym gotyckie filary, wystających z ziemi powykręcanych korzeni oraz liści wielkich jak zielone uszy słonia, i żeby całkowicie zniknąć wszystkim z widoku. Ta dżungla wszakże przerażała mnie i przy owych dwóch okazjach,

kiedy zagłębiłem się w zielony labirynt w celu ulżenia swoim kiszkom, miałem wrażenie, że spomiędzy listowia obserwują mnie czyjeś oczy, a wszędzie wokół słyszałem podejrzaną szmery. Dwukrotnie spytałem na głos, czy ktoś tu jest, w przekonaniu, że dobiegł mnie szept. Jednakże były to z pewnością owady, ptaki, ocierające się o siebie liście albo kto wie jakie zrodzone z mojego strachu omamy.

Rozpoczął się nasz drugi dzień na wyspie i nadal wypatrywaliśmy na niebie oraz na morzu wybawicieli, którzy wciąż się nie zjawiali. Zajrzałem do prowizorycznego szpitala i zastałem Josepha, Josephine Winslow i Sophie Leverkus (żonę architekta Leverkusa) na pracy przy rannych, z których część nie zmrużyła oka i wyglądała bardzo marnie. Josephine powiedziała, że w nocy zmarło siedem najbardziej poszkodowanych osób, a jedną, jak wyznał mi Joseph, należało bezwzględnie operować – i to wkrótce. Osobą tą okazał się młody Japończyk, niejaki Noboru Endo (nosił takie samo nazwisko jak znany pisarz), urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, czego można się było dowiedzieć jedynie z jego paszportu, gdyż on sam tylko jęczał i krzyczał, i początkowo nie było nawet wiadomo, czy w ogóle mówi po angielsku. Miał wbity w brzuch metalowy pręt. W takim stanie znaleziono go w samolocie i przewieziono na ląd. Joseph uznał, że lepiej chwilowo tego pręta nie ruszać, bo po jego usunięciu w tych warunkach nastąpiłyby krwotoki niemożliwe do zatamowania. Dziwiło mnie, że zostawili chłopaka z czymś takim, jednakże Joseph początkowo ograniczał się do podawania mu środków przeciwbólowych. Nie rozumiałem, skąd u niego ta pewność przy podejmowaniu równie poważnych decyzji, ale nie miałem wątpliwości, że wie, co robi.

Zebrałem kilku ochotników, żeby raz jeszcze wyprawić się do samolotu, i wsiadłem na tratwę, zamierzając przetransportować na wyspę jak najwięcej bagażu. Poprzedniego dnia przewieźliśmy już część walizek, a także trochę na pierwszy rzut oka zbędnych przedmiotów takich jak wózek inwalidzki, po który nikt się nie zgłosił, czy strzelbę myśliwską. Teraz mieliśmy ponownie skupić się na tym, co mogło się przydać w szpitalu: na rzeczach do cięcia i szycia, bandażach, wacie, gazie i ich ewentualnych zamiennikach, jak również na alkoholu i morfinie. Tej ostatniej nie spodziewaliśmy się zresztą znaleźć (chyba że leciał z nami jakiś przemytnik narkotyków), ale, jak zapewnił Joseph, zwykły *paper cutter* albo wysterylizowana nad ogniem igła też się liczyły. Poza tym planowaliśmy zapuścić się do zalanych luków

bagażowych, żeby sprawdzić, co da się stamtąd uratować.

Jimmy Bruëll dołączył do naszej grupki, kiedy oświadczyłem, że potrzebuję dobrych pływaków. Znalazł gdzieś maskę do nurkowania, która mogła się przydać przy przeszukiwaniu luków. W tamtej chwili był dla mnie jedynie facetem, który, uciekając z samolotu, stracił do wody kobietę; facetem, który potem puścił do mnie oko i powiedział: *Sayonara*, czyli ostatnim plugawcem, niemniej nie czułem się upoważniony, by zakazywać mu udziału w wyprawie. No i miał tę maskę. Wtedy jeszcze go nie znałem i nie zdawałem sobie sprawy, że jest zawodowym awanturnikiem, uwodzicielem, cwaniakiem i oportunistą pierwszej wody, a jedna z jego specjalności to posiadanie zawsze tego, czego inni potrzebują lub pragną. Później dowiedziałem się, że maskę do nurkowania wyłudził od Syry, hinduskiej dziewczynki, która podróżowała z Hiszpanami, wciskając jej w zamian znalezioną na plaży muszlę. Zdaje się, że Syrze mocno się oberwało od przybranej matki za naiwność. Jednakże Bruëll żył przecież z uwodzenia i okradania bogatych kobiet; jak miała przejrzeć jego sztuczki dwunastolatka?

Gdy dotarliśmy do samolotu, zdumiała mnie obecność mnóstwa ptaków: mewy, kormorany i inne, przypominające sępy, obsiadły wrak albo fruwały nad szczątkami swego mechanicznego krewniaka. Zrozumiałem, o co chodzi, kiedy weszliśmy do wnętrza maszyny i wyczuliśmy odór wydzielany przez trupy. Nie był jeszcze nieznośny, ale wyraźnie wisiał w powietrzu. Zastanawiałem się przez chwilę, co zrobimy z tymi wszystkimi zwłokami. Pochowanie ich wymagałoby gigantycznego wysiłku, a i tak pewnie by się nie powiodło, zważywszy na to, że nie mieliśmy czym wykopać grobów na wyspie. Nie mogliśmy też wyrzucić zmarłych do morza, bo fale przywlokłyby ich zaraz na brzeg. Przy czym w tamtym momencie nadal wierzyliśmy w rychły ratunek i myśleliśmy, że sprawą tą zajmą się raczej nasi wybawcy, niezależnie od tego, kim będą.

Uznałem za prawdziwe szczęście, że ciała znalazły się ponad powierzchnią wody, gdyż w przeciwnym razie padłyby łupem ryb i, być może, przyciągnęły rekiny. Z kolei kabina samolotu utrudniała dostęp padlinożernym ptakom, które wprawdzie wyczuły przysmak, lecz były zbyt duże i w ciasnym wnętrzu niezdarne. Mimo to musieliśmy przepłoszyć kilka mew i fregat, które wlatywały do środka przez dziurę w tylnej części wraku i już dobierały się do leżących najbliżej trupów. Od razu rzucały się na oczy i język – najwilgotniejsze i najbardziej miękkie. Wstrząsnął mną widok mewy

żarłocznie wydziobującej oczy martwej dziewczynie. Dziewczyna była piękna, blada, miała bujne blond włosy i dłonie ułożone na udach tak, jakby siedziała w poczekalni u lekarza. Krzyknąłem, żeby odpędzić łapczywego ptaka i cisnąłem w niego znalezionym obok butem, ale wiedziałem, że jak tylko się oddalę, mewa wróci, żeby zjeść oczy, wargi i język tej, która kiedyś grała w szkole w koszykówkę, czytała *Buszującego w zbożu* i popołudniami, kiedy mieli cały dom dla siebie, kochała się z chłopakiem, teraz zaś stała się pokarmem, rozdziobowanym przez ptaka kawałkiem mięsa.

W samolocie takim jak nasz walizki lecą ułożone w wielkich pojemnikach z aluminium i leksanu, typu LD1, o pojemności niemal pięciu metrów sześciennych każdy, a także na metalowych paletach typu LD7, o wymiarach dwieście czterdzieści cztery na trzysta osiemnaście centymetrów, wyposażonych w gumowe siatki przytrzymujące bagaż. Zarówno pojemniki, jak i palety wsuwane są do środka po specjalnych szynach, tak że po zakończeniu załadunku w luku nie ma wystarczająco dużo przestrzeni, żeby się tam poruszać. Fakt, że kadłub naszego samolotu przełamał się w dwóch miejscach, okazał się w tym sensie zbawienny dla tych, którzy przeżyli katastrofę, że pozwolił nam dostać się do pojemników z bagażem. W wyniku potężnego wstrząsu przy uderzeniu o wodę pięć z nich wypadło z luku i leżało obecnie na morskim dnie, pośród raf koralowych. Mieliśmy również dostęp do kilku palet z walizkami znajdujących się wciąż w luku, gdzie musieliśmy nurkować w niemal całkowitych ciemnościach. Ci, którzy się tam zapuszczali, przywiązani byli kablem, ponieważ baliśmy się, że ktoś może stracić w mroku orientację albo gdzieś utknąć.

Udało nam się wydobyć wiele walizek, poza tym zabraliśmy też gumowe siatki z palet, przewidując, że się nam przydadzą. Co do samych pojemników, oczywiście nie byliśmy w stanie wyciągnąć ich na górę. Dwa zresztą roztrzaskały się na skałach, rozsypując wokół swoją zawartość. Mieliśmy szczęście, gdyż przynajmniej jeden z nich musiał być w całości wypełniony jedzeniem w puszkach, głównie skondensowanym mlekiem, kremem czekoladowym, marmoladą w wielu smakach, mięsem kraba i tuńczyka, marynowanymi przepiórkami i cielęciną w sosie, a także makaronem ravioli alla marinara, czerwonym kawiolem, brzoskwiniami i ananasami w syropie oraz innymi podobnymi smakołykami. Odzyskanie tej żywności stanowiło nie lada wyczyn, bo skrzynki okazały się tak ciężkie, że nurkowie musieli przywiązywać je sznurami, które wciągnęliśmy później wszyscy razem.

Znaleźliśmy również wiele innych rzeczy, po części całkiem niepotrzebnych, jak na przykład kolarzówka albo skrzypce w futerale, po części jednak bardzo przydatnych, zwłaszcza że natrafiliśmy na paletę zastawioną drewnianymi pudełkami, z których kilka zawierało jednorazowe strzykawki ze środkiem uspokajającym, jakiego używają zoolodzy do usypiania dużych ssaków, kiedy trzeba je zaszczepić albo poddać leczeniu, i Josephowi aż się oczy zaświeciły, gdy zobaczył te rzędy niebieskich ampułek, a jeszcze bardziej – gdy odczytał ich skład chemiczny. Były to stumiligramowe dawki ketaminy i tiletaminy z zolazepamem. Natrafiliśmy ponadto na dwie wiatróvky marki Shark, służące do wypuszczania strzałek usypiających, z czego wywnioskowaliśmy, że naszym samolotem podróżowała grupa zoologów albo weterynarzy udających się do pracy w którymś z indyjskich rezerwatów przyrody, chociaż nie przypominaliśmy sobie nikogo takiego pośród rozbitków. Tak czy owak, Joseph zapewnił, że ketamina i tiletamina połączona z zolazepamem mogły być i były używane także do znieczulania ludzi, więc chwilowo przynajmniej problem bólu został rozwiązany. Jeśli chodzi o wiatróvky, trafiły pod opiekę Wade'a, który, nie wiadomo dlaczego, stał się kimś w rodzaju naszego wojskowego przywódcy. Ja zakładałem, że po prostu był wojskowym, najprawdopodobniej służył kiedyś w marines.

Znaleźliśmy też kolejne sztuki broni. Jeszcze jedną strzelbę myśliwską – Weatherby Magnum z kilkoma pudełkami amunicji; naboje do strzelby Stephana Kunzego; remingtona 870 z dwudziestoma pudełkami kul kaliber 12 oraz mossberga 500 z lunetą; dwa pistolety Beretta: model 92, jakiego używa amerykańska policja, i model 8000 (znany pod nazwą cougar); wreszcie dwa rewolwery Smith&Wesson, średniej wielkości pięćsetosiemdziesiątkę i małego centenniala 442. Pierwsza beretta należała do Henry'ego McCullougha, australijskiego dyplomaty, natomiast centennial okazał się własnością Brigitty Kunze: dostała go w prezencie od męża i, jak się zdaje, nigdy nie używała. Do pozostałych sztuk nikt się nie przyznał. Poza tym wyłowiliśmy niewielką kolekcję brzytw – razem ze skórzanymi pasami do ostrzenia i kamiennymi osetkami – które służyły potem Josephowi jako skalpele. Wade przyjrzał się im z zaciekawieniem i oświadczył, że pochodzą z Meksyku (rzeczywiście, dwie zostały wyprodukowane w Morelii, stolicy meksykańskiego stanu Michoacán, a jedna w mieście Meksyk, jednakże reszta okazała się japońska) i że w wielu stanach w Ameryce są zakazane. Nie w Teksasie, w Pensylwanii czy w Bostonie, ale, owszem, w Connecticut

i w Nowym Jorku, jak wyjaśnił nam z tym swoim tajemniczym uśmiechem, który ani na chwilę nie zniknął mu z ust. Skorzystałem z okazji, by go zapytać, skąd sam pochodzi, i odpowiedział, że stąd i stamtąd, i znikąd, jak ptaki, ale że od wielu lat mieszkał w Farber, w stanie Connecticut, gdzie niejednokrotnie, zwłaszcza w wonne wczesnowiosenne poranki, tęsknił za tymi czystymi ostrzami, którymi ojciec nauczył go kiedyś, jako czternastolatka, się golić. Daleko, daleko na zachodzie, powiedział, spoglądając w niebo, jak gdyby ów zachód właśnie był niebem.

Och, ten jego sposób wyrażania się! Wade mówił jak poeta. Zdawał się czymś owładnięty, jakimś światłem albo mocą. Spytałem go również, czym się zajmuje, i odrzekł: tym i owym, przyjacielu, zależnie od pory roku, pływam pod prąd, jak łososie, albo z prądem, jak drewniane bale, wędruję przez śniegi razem z karibu i wracam na niziny z drozdami. Jednakże historia Wade'a jest wyjątkowo interesująca i zamierzam opowiedzieć ją dalej szczegółowo.

Drugi dzień na wyspie minął bez większych sensacji. Zjadłem obiad ze swoimi dawnymi przyjaciółmi: Julianem, Matilde, Ignaciem, Idoyą i Joaquinem, kuzynem Cristiny, nie mając odwagi o nią spytać, mimo że jej obecność trwała między nami, jak gdyby chodziło o niewidzialnego współbiedniaka z opowieści o duchach. Zastanawiałem się, co Cristina porabia, gdzie mieszka, czy wróciła do Hiszpanii, czy wyszła za mąż i ma dzieci, i umierałem z chęci, by poruszyć ten temat, lecz przeszkadzała mi w tym jakaś siła.

Jakaś siła! Ileż to razy wyrażamy się w ten sposób i jak niewiele, w gruncie rzeczy, to dla nas znaczy! Jakaś siła! A przecież naprawdę istnieją siły, które nami kierują, każą nam milczeć albo robić to czy tamto. Bo jeśli nie – jak to możliwe, że rozmawiałem z Joaquinem i nie zapytałem o Cristinę, skoro ilekroć się w dzieciństwie widywaliśmy, zawsze byli z nami również ona i jej bracia?

– A ty – rzuciłem – skąd się wzięłeś w tym towarzystwie? Jak właściwie poznałeś Juliana?

– Na niektóre pytania trudno odpowiedzieć – odparł Joaquín, po swojemu parskając śmiechem. – Myślę, że jest Coś, co styka ze sobą ludzi poszukujących tego samego. Tak jak zetknęło nas wszystkich na tej wyspie, prawda?

Pomyślałem, że nie da się uzyskać sensownej odpowiedzi od nikogo z tej bandy świrów, i stwierdziłem, że na wyspie zetknął nas wszystkich przypadek.

Że to zetknięcie jest wynikiem określonych działań, zbiegów okoliczności i zdarzeń.

– Tak sądzisz? – spytał Joaquín. – Sądzisz, że nasze życie to suma zbiegów okoliczności i zdarzeń bez żadnego znaczenia?

– Oczywiście – odrzekłem. – „Znaczenie” nadajemy naszemu życiu sami.

Moi dawni przyjaciele patrzyli na mnie niemal z troską. Patrzyli na mnie z pewnym współczuciem, jakbym pozostał gdzieś daleko w tyle. Jakbym nie dorastał. Jak gdyby było tak, że od czasu, gdy przestaliśmy się widywać, czyli od wielu lat (zwłaszcza w przypadku Joaquina, którego ostatnio spotkałem jako, powiedzmy, czternastolatek) oni zmieniali się i dojrzewali wewnątrz, a ja stałem w miejscu. Nagle zdałem sobie sprawę, że cała ich skromność jest udawana i że w rzeczywistości każde z nich czuje się lepsze, bo „uduchowione”. Boże mój, pomyślałem sobie, skąd cały ten mistyczny chłam, który kojarzyłem z kalifornijskimi komunami i z hippisami z Vermontu, wziął się w starej dobrej Hiszpanii? I w jaki sposób zarazili się nim moi starzy dobrzy znajomi, przed laty bez wyjątku ateistyczni i lewicowi?

Siły. Jakies „Coś”, jak to ujął Joaquín. „Coś” jako nazwa siły. W szkole uczyłem się o czynnikach i odczynnikach i często zadawałem sobie pytanie, co to właściwie za „czynniki”, które spowodowały na przykład upadek feudalizmu albo zdobycie Bastylji. Siły. Siła grawitacji. Elektromagnetyzm.

Wczesnym popołudniem zaczęło padać i od tego momentu (pierwszego dnia przyroda najwyraźniej postanowiła nas oszczędzić) padało codziennie, zwykle po południu, ulewnie, przez parę godzin, po których znów pokazywało się wspaniałe słońce. Dlatego już tamtego drugiego dnia, gdy upływały właśnie dwadzieścia cztery godziny od katastrofy, niektórzy – zwłaszcza rodzice z małymi dziećmi – wzięli się do budowania niewielkich szałasów z palmowych liści i ze wszystkiego, co było pod ręką.

Stanowiliśmy naprawdę ciekawą i zróżnicowaną grupę. Weźmy choćby państwa Kunze’ów, Stephana i Brigittę, którzy podróżowali w towarzystwie sekretarza-lokaja, przedwcześnie wyłysiałego i niezwykle sztywnego młodzieńca imieniem Udo, zajmującego się sprawami męża, oraz zajmującej się sprawami żony sekretarki-pokojówki, niejakiej Di Di, drobnej, nadmiernie przymilnej kobietki, przypominającej mi bardzo żonę gajowego z *Reguł gry* Jeana Renoira. Później dowiedziałem się, że Udo i Di Di byli małżeństwem, choć ona zdradzała go z każdym, kto się jej nawinął.

Państwo Kunze’owie, szwajcarscy milionerzy, część roku – jak nam

wyjaśnili – spędzali na podróżach, poznawaniu świata, polowaniach i imprezach dobroczynnych, jako że rodzinnymi interesami kierował z Zurychu ich pierworodny, Herbert Émile. Byli nadzwyczaj pobożni i od razu nawiązali bliższą znajomość z Tudellim, księdzem, który okazał się ni mniej, ni więcej tylko amerykańskim biskupem katolickim sprawującym swój urząd w Los Angeles. Nazywali go „wielebnym” i jego wiotką, upierścienioną dłoń całowali zawsze z wielkim uszanowaniem. Mnie Tudelli nie przypadł do gustu. Miał jakieś sześćdziesiąt lat i należał do tych zrobaczywiających Zurbaranowskich księży, których zimne oczy połyskują stałą, a modulowane głosy pobrzmiwają ptaszęcym liryzmem. Nieodmiennie nosił czarne okulary, uśmiechając się przy tym świętoszkowato. Od kiedy usłyszał, że jestem Hiszpanem, patrzył na mnie z udawaną sympatią, jak gdyby widział we mnie potencjalnego ministranta, ewentualnego sprzymierzeńca. Moje znajomości, rzecz jasna, były w jego oczach, podobnie jak w oczach państwa Kunze’ów, całkiem nieodpowiednie: grupa Hiszpanów (do której nie należałem, chociaż łączyły mnie z nimi oczywiste więzy) otaczała niepodzielną czią hinduskiego swami; Wade, który stał się kimś w rodzaju naszego przywódcy i zarządcy, od chwili opuszczenia samolotu nosił się jak jakiś komandos; co najgorsze zaś Swayla, koścista nimfa w pomarańczowym bikini, epatowała swoją skandaliczną nagością. Był jeszcze jeden ksiądz, Septimus Hansa, mniej więcej trzydziestoletni Austriak o zmysłowej, naiwnej twarzy, zamieszkały od kilku lat w Meksyku i należący do Legionu Chrystusa. Państwo Kunze’owie zaprzyjaźnili się również i z nim.

Wszyscy oni – Kunze’owie, Tudelli i Hansa – wyrażali się bardzo uprzejmie i byli doskonale wychowani. Między sobą rozmawiali po niemiecku, po łacinie i po angielsku ze szwajcarskim akcentem. Wieczorem drugiego dnia na plaży zorganizowali mszę, którą odprawili biskup Tudelli oraz młody Hansa; zaprosili na nią każdego z rozbitków. Przyszło sporo ludzi, nawet spośród tych niereligijnych, albowiem wszyscy, jak sędzę, uznaliśmy to za okazję do uczczenia faktu, że przeżyliśmy, i za rytuał pozwalający okazać wdzięczność. Poza tym wiele osób odległych od Kościoła zaczyna pod wpływem poważnych kłopotów przejawiać gwałtowną pobożność. W każdym razie było coś wzruszającego w tej mszy celebrowanej pośród palm, wobec nieustannego szumu białych fal, bez ławek, purpury, kielichów i krzyży, i całej tej zwykłej pompy. Przyglądałem się temu wszystkiemu z pewnej odległości, wmieszany w tłum gdzieś z tyłu, nie migając się od udziału (nie chciałem

zachowywać się grubiańsko), ale i nie uczestnicząc w pełni. Zawsze szczerze nienawidziłem Kościoła katolickiego, nigdy nie byłem ani wierzący, ani praktykujący, niemniej teraz próbowałem przekonać siebie samego, że tutaj chodzi właściwie nie o religię, lecz o wyraz solidarności i porozumienia między rozbitkami, o wzajemną pociechę. Dostrzegłem Wade'a w jednym z pierwszych szeregów, bardzo pobożnie klęczącego na piasku, co mocno mnie zaskoczyło. Joseph zaraz na początku poszedł do swoich chorych. Natomiast swami przewodzący grupce moich oddanych jodze przyjaciół brał udział w uroczystości, klękając i wstając w zgodzie z wyznaczanym przez celebrans rytmem. Obok stała jakaś kobieta, którą wziąłem za jego asystentkę lub uczennicę, a która okazała się jego żoną, jako że swami był żonaty, nie był za to prawdziwym swami. Nie rozumiałem, dlaczego hindus zjawił się na katolickiej uroczystości, ale potem moi przyjaciele wyjaśnili mi, że jogini czczą Boga pod każdą postacią i że w aśramach spotyka się wizerunki i Buddy, i Chrystusa, i świętego Franciszka z Asyżu, i Kabira. Spytałem, czy ja mógłbym czcić Boga pod postacią Johanna Sebastiana Bacha albo, jeszcze lepiej, pod postacią Nicollette Sheridan w białym bikini. Niestety, biedni ignoranci nie wiedzieli, kto to Nicollette Sheridan (choć Ignacio z pewnością dobrze pamiętał reklamy martini z jej udziałem).

Jednakże msza pod palmami nie była przedsięwzięciem całkowicie bezinteresownym. W swoim kazaniu biskup Tudelli mówił o nadzwyczajnych warunkach, w jakich się znaleźliśmy, podkreślając, że w tych chwilach skrajnej próby powinniśmy zjednoczyć się i zorganizować, i właściwie wprost proponując jako naturalnego przywódcę naszej grupy Stephana Kunzego, szanowanego, jak usłyszeliśmy, europejskiego biznesmena, nadto ojca ośmiorga dzieci i dziadka dziewiętnastorga wnucząt, nawykłego do mierzenia się z trudnościami i do kierowania zespołami znacznie liczniejszymi i bardziej zróżnicowanymi niż my wszyscy razem wzięci. Tudelli wspominał też o rannych, poświęcił kilka słów zmarłym i wskazał konieczność zachowania „ludzkiej godności” (dokładnie tak się wyraził), zasad uprzejmości i wzajemnego szacunku w tych niezwykłych okolicznościach, ze szczególnym uwzględnieniem najsłabszych, to jest kobiet, seniorów i dzieci. Zaapelował więc na przykład swoim modulowanym głosem, który pod względem śpiewności zdawał się iść w zawody z trelami bytujących na wyspie ptaków, byśmy zadbali o przyzwoitość przydzwiewku, po czym oświadczył, że nie ma zgody na publiczne obnażanie się i inne sprzeczne z dobrym obyczajem,

a dające się ostatnio zaobserwować akty, albowiem niezależnie od nadzwyczajnych okoliczności należy kultywować chrześcijańską skromność i starannie przestrzegać uniwersalnych (za takie najwyraźniej je uważał) norm cywilizowanego współżycia. Uznałem, że pije do tego, iż wielu rozbitków kapało się w samej bieliźnie, kilka kobiet topless, a niektórzy (choćby Christian i Sheila, po zdjęciu pianek do surfingu) robili to wręcz nago.

Nie słuchałem dłużej. Oddaliłem się z zamiarem samotnego kontemplowania zachodu słońca na drugim krańcu plaży. Zauważyłem, że Swayla też idzie w tamtą stronę. Ubrana była w swoje pomarańczowe bikini i białe szorty. Gdy dotarła nad wodę, zdjęła spodni i stanik, i weszła do morza. Wyglądało to na ostentacyjne wyzwanie pod adresem Tudellego, jako że wszyscy jego słuchacze mogli teraz podziwiać jej gołe piersi. Pomachałem do niej, a ona odwzajemniła mój gest, zanurzona do pasa. Biustu prawie nie miała, ale to bynajmniej nie zmniejszyło mojego zachwyty.

Ruszyłem ku skrajowi plaży, gdzie spotkałem Santiaga Reinę, tego grubego Latynosa. Siedział na wilgotnym piasku, oblewany przez łagodne fale, które moczyły mu spodnie i zaraz się cofały. Zanurzał ręce w wodzie, po czym pozwalał, by krople fioletowego i różowego błota kapały z jego pulchnych palców.

– Też nie lubisz głosu katolickich księży? – rzucił smętnie. – Też ci się źle kojarzy?

Spytałem, czy możemy przejść na hiszpański, a on odrzekł, że tak – jego rodzice pochodzili z Portoryko. Rozmawialiśmy tak chwilę, ale Santiago urodził się w Stanach, w Jersey City w stanie New Jersey, i jego hiszpański nie był zbyt płynny. Dlatego znów przerzuciliśmy się na angielski. Potem obaj umilkliśmy, pochłonięci kontemplacją zmierzchu.

– Piękne to – powiedział Santiago, wskazując nieziemskie barwy tropików: pomarańczowe chmury, zielony poblask oceanu.

– Tak – odparłem. – Szkoda, że tak krótko będziemy się tym cieszyć.

– Czemu?

– Bo szybko nas stąd zabiorą.

– Nie, stary, mylisz się – oznajmił z wielką powagą. – Nie zabiorą.

– Jak to: nie?

– Nikt nas nie uratuje, stary – ciągnął. – Trafiliśmy na tę wyspę i tyle. Nie wydostaniemy się stąd. *This is it, dude.*

– Dlaczego tak mówisz? To samo powtarza Wade. Rozmawiałeś z nim?

Santiago wyglądał, jakby nie wiedział, co mi odpowiedzieć. Był bardzo wysoki i potężny, lecz intelektualnie sprawiał wrażenie dziecka. Dużego, przestraszonego dziecka, skrywającego mnóstwo sekretów i tajemnic, jak my wszyscy.

– Słuchaj, Juan – odezwał się po hiszpańsku. – Ja nie wierzę w Boga, ale nie jestem głupi. I wiem, że to kara. Spadła na nas kara.

– Co ty opowiadasz? – rzuciłem.

– Powiedz: znasz kogoś, kto nie zasługiwałby na karę? Ja na nią zasługuję, wiem o tym, a ty wiesz, że też sobie na nią zasłużyłeś. Nie chodzę do kościoła, rozumiesz? Nie wierzę w takie rzeczy. Ale, owszem, wierzę w karę. Kara wisi nad nami przez całe życie, tyle że to nie Bóg nas karze, *man*. Bóg na nas nie patrzy. Jeśli istnieje, nic o mnie nie wie i wcale na mnie nie patrzy. Kara nie pochodzi od Boga. To nie jest kara sprawiedliwa, rozumiesz? Ona wisi nad nami od urodzenia. To się zaczyna, jak tylko przychodzimy na świat. Nie jest sprawiedliwe. Nie ma końca. Zasługujemy na to, ale ten, kto nas karze, nie próbuje uczynić nas lepszymi ani nie chce, żebyśmy zapłacili za swoje postęпки. Dlatego to się nigdy nie kończy. Trwa tyle, ile jesteśmy w stanie wytrwać na tym świecie. Wisi nad nami każdego dnia. Aż wreszcie nas dopada. Rozumiesz? Możemy uciekać i się chować, uciekać i trzymać tę karę na dystans, uciekać i uciekać, i budować między nią a sobą mury, ale któregoś dnia ona i tak nas dopada. I wtedy to jakby pies dorwał szczura. Już nie puści.

W tym momencie stało się coś bardzo, bardzo dziwnego. Okropnie nas obu przeraziło. Usłyszeliśmy straszliwy krzyk gdzieś w głębi wyspy. Jak gdyby wycie zwierzęcia, któremu zadano ból nie do zniesienia. Trwało to jakieś pięć sekund. Potem umilkło i odezwało się znowu. Nie wiem, dlaczego odnosiłem wrażenie, że płynie z bardzo daleka. Z bardzo daleka, z odległości wielu kilometrów, chociaż brzmiało całkiem wyraźnie. Ujrzeliśmy, że wszyscy uczestnicy mszy obrócili się w tamtą stronę. W oddali, nad dżunglą, uniosły się stada ptaków.

– Co to było? – spytałem. – Słyszałeś?

– Pewnie, że słyszałem, stary – odrzekł Santiago.

Jego pucołowate policzki były białe jak kreda. W oczach miał zgrozę, zgrozę i bezsilność.

Krzyk znów się powtórzył. Rzeczywiście przypominał wycie, ale jednak nie zwierzęce, lecz wydawane przez świadomą istotę oszalałą z bólu. Nie brzmiał jak krzyk człowieka, jednakże krzyki torturowanych często nie brzmią

po ludzku. To było coś na granicy człowieczeństwa i może dlatego budziło taką trwogę. Usiłowałem sobie wmówić, że chodzi o zwykłe odgłosy natury: wołanie ptaka albo jakiegoś zwierzęcia, lecz mimo tych prób racjonalizacji czułem, że jeżą mi się włosy na głowie, a po plecach pełźnie lodowata panika. Niemożliwe, żeby jakiegokolwiek stworzenie mogło wydać dźwięk słyszalny tak wyraźnie z takiej odległości. To znaczy: jakiegokolwiek znane nam stworzenie.

– Co to było? – powtórzyłem. – Co to było?

– Nie wiem, stary – powiedział Santiago, patrząc na mnie z lękiem. – Myślę, że lekki przedsmak tego, co nas czeka.

Dzieci. Poznaję Rosanę

Nazajutrz obudziła mnie muzyka skrzypcowa: początek *III Partity* Johanna Sebastiana Bacha, oznaczonej w katalogu jego utworów numerem BWV 1006. Wykonywał ją Sebastian Leverkus, starszy syn państwa Leverkusów. Miał tylko dwanaście lat, ale grał dojrzałe, pewnie, w pełni kontrolując tempo i styl. Sophie Leverkus słuchała go, przyklęknąwszy na piasku. Ubrana była w dość brudną bluzkę (z pewnością nie przebierała się od poprzedniego wieczoru) i szorty koloru khaki, a siedziała w dziwnej pozycji, którą część kobiet uznaje za wygodną: ze zgiętymi nogami niepodpierającymi pośladków, lecz rozłożonymi na boki. Po jej spuchniętych i zaczerwienionych oczach poznałem, że prawie nie zmrużyła oka. Noce w naszym prowizorycznym szpitalu były okropne.

Plaża lekko opadała ku morzu, a że Sophie znajdowała się niżej, mały Sebastian ze swoimi skrzypcami sprawiał wrażenie bardzo wysokiego, niemal olbrzyma. Podziwiałem skupienie i powagę, z jakimi Sophie przysłuchiwała się grze syna; dało się je porównać jedynie z powagą i zaangażowaniem, z jakimi on z kolei grał. Zdało mi się, że widzę w tej ich intensywnej relacji coś pięknego i zarazem strasznego – coś, z czego biorą się wielkie artystyczne kariery i wielkie osobiste klęski. Nie ulegało wątpliwości, że Sebastian gra nie dla matki, lecz dla Bacha, dla muzyki, dla siebie samego, mimo to uszy oddanej opiekunki wysysały ów strumień ciepłych dźwięków, łączywe niby mięsożerne rośliny.

Wokół tej dwójki zebrała się grupka gapiów, którzy trwali w zdumieniu, jakie zwykle wywołuje muzyka nawet w tych, którzy jej nie lubią ani nie rozumieją. Były tu też pozostałe dzieci: Syra i Carl, Branford, Adele i Estelle.

Sebastian skończył grać i opuścił smyczek. Wszyscy zaklaskali, Sophie zaś jąła udzielać synowi wskazówek – zapewne tych samych, które wielokrotnie słyszała z ust jego nauczyciela. Tak czy owak jej precyzja mnie zaskoczyła,

ponieważ wiedziałem skądinąd, że matka Sebastiana nie odebrała muzycznego wykształcenia i nie gra na żadnym instrumencie. Na koniec powiedziała chłopcu, że tu i ówdzie przesadza z ekspresją, zwłaszcza przy pewnych *rallentando*, które ja zresztą uznałem za wykonane przepięknie, z dużym wyczuciem. W tego typu uwagach pobrzmiewało mi echo kastracyjnych upomnień jakiegoś starego profesora ze szkoły muzycznej, przycinającego inwencję interpretacyjną ucznia niczym krzak róży albo drzewko bonsai, zredukowane do suchego szkieletu.

Podziwiałem Sophie, ale czułem się przy niej onieśmielony. Była niepospolitą kobietą, wyróżniałaby się w każdym towarzystwie. Potrafiła się znaleźć w dowolnej sytuacji, rozmawiać o wszystkim, uprzejmie i zarazem łagodnie forsować swoje zdanie. Pracowała kiedyś jako redaktor naczelna jakiegoś ważnego czasopisma w stylu „Harper’s Bazaar” (może nawet samego „Harper’s Bazaar”), lecz karierę zawodową porzuciła, by zająć się dziećmi – rzecz nie tak znowu częsta w wielkomijskiej Ameryce – i żyć w cieniu swego słynnego męża, który wznosił na wzgórzach wokół Los Angeles kolejne rezydencje dla milionerów, a w okolicznych dolinach kolejne centra handlowe. Była bujna, wysoka, jasnowłosa, promienna. Jej uśmiech zdawał się czymś więcej niż zwykłym uśmiechem: raczej stałym elementem jej twarzy, służącym do tego, by ją upiększać. I zarazem utwardzać, niby ubijakiem. Chyba nigdy nie rozumiałem tego rodzaju ludzi, a zwłaszcza kobiet, które łączą niewątpliwą dobroć z potrzebą dominacji, oddanie zaś i szczodrość z nadmiernym przywiązaniem do pozorów oraz wyraźną miłością do zbytu i sukcesu.

Potem Sophie zwróciła się do Carla, młodszego z synów, i poprosiła, żeby przemnożył jedną liczbę trzycyfrową przez drugą. Podał wynik natychmiast. Pomyślałem, że to żart, bo niemożliwe, aby ledwie dziesięciolatek wykonywał tak skomplikowane działania, prawie nie poświęcając im uwagi. Ktoś z obecnych, komu wciąż nie rozładowała się komórka, sprawdził na kalkulatorze i przyznał małemu rację. Wywołało to jeszcze większy podziw niż muzyczne zdolności Sebastiana. Wszyscy zasypali Carla żądaniami, by rozwiązywał najdziwniejsze arytmetyczne zagadki, a chłopiec każdemu odpowiadał z niezmałonym spokojem i niemal bez namysłu. Pytali go na przykład o liczby pierwsze: wymieniali jakąś bardzo wysoką i domagali się podania kolejnej. On zaś nieodmiennie znał odpowiedź.

– Masz dwóch genialnych synów – powiedziałem do Sophie. – Sebastian

gra bardzo dobrze. Zostanie wybitnym skrzypkiem.

– Ściśle rzecz biorąc, prawdziwym „geniuszem” jest tylko Carl – odparła, nie spuszczać z synów nienasyconie zachłanne, pełnego dumy spojrzenia.

– Jego iloraz inteligencji wynosi aż 163. Więcej niż u Alberta Einsteina.

Jednakże pozostałe dzieci chciały się bawić, zwłaszcza Syra, mała Hinduska, tylko kilka tygodni starsza od Sebastiana. Stała obok niego i przypatrywała się całej scenie z założonymi rękami i szerokim, psotnym uśmiechem na ustach. Miała wyjątkowo długie i cienkie, lekko krzywe nogi. Nagle skoczyła na Carla, który wciąż recytował wyniki i rozwiązywał równania, niezbyt gwałtownie przewracając go na ziemię. Była bardzo lekka i niespecjalnie silna, ale sporo wyższa od chłopca, którego w dodatku wzięła z zaskoczenia. Unieruchomiła mu ręce i nogi na piasku i oznajmiła, że starczy już tych cyferek. Carl piszczał histerycznie, wyraźnie upokorzony faktem, że pokonała go dziewczynka, i przekonany widzieć, że wszyscy wokół się z niego śmieją.

– Zabiję cię, Syra! – wrzasnął.

Syra zaśmiewała się tym lekkim, beztroskim dziecięcym śmiechem, który zdradza najczystsze szczęście i jest tak kruchy, tak delikatny jak szkło. Później odsunęła się od Carla i pośpiesznie wstała, poprawiając na nosie okulary w grubych oprawkach. Carl zacisnął pięści, rzucił się w jej stronę i już się wydawało, że ją uderzy, gdy jego brat Sebastian, wciąż ze skrzypcami w prawej ręce, zagroził mu drogę. Carl, nie mogąc dosięgnąć dziewczynki i bojąc się uszkodzić drogi instrument brata, zdenerwował się jeszcze bardziej i zaczął krzyczeć, że Syra i Sebastian są parą, że ona mu się podoba i dlatego on tak jej broni.

– Carl, nie możesz bić dziewczynek – oświadczyła spokojnie jego matka.

– Ona jest większa ode mnie! – ryknął on. – Skoro jest starsza i wyższa, to mogę!

– Nieważne, czy jest starsza i wyższa czy nie. Nie wolno bić kobiet.

– Carl, uspokój się – powiedział Sebastian, osłaniając Syrę całym ciałem, a skrzypce przedramieniem.

– Zakochana para! – wrzeszczał Carl. – To dlatego jej bronisz!

W tym momencie pojawiła się matka Syry, Hiszpanka mniej więcej w moim wieku, należąca do grupy podróżującej z hinduskim guru. Chyba już o niej wspominałem. Była trochę niższa ode mnie, drobna, krągła i bardzo pociągająca. Miała małe, mięsiste wargi pomalowane na jasną czerwień

i rozsypane na ramionach niezwykle ciemne włosy. Nosiła mocne okulary, których soczewki sprawiały, że jej malutkie, zezowate oczy wydawały się ogromne i uwodzicielskie. Ubrana była w białą bluzkę zawiązaną na brzuchu i sięgające łydki spodnie koloru khaki. Na imię miała Rosana.

– Syra! – zawołała z wściekłością. – Co ty wyprawiasz?

Zdumiał mnie jej ostry ton. Zacząłem się zastanawiać, co wydarzyło się wcześniej, że jest taka zła na córkę, albo czy coś w scenie, która się przed chwilą na naszych oczach rozegrała, w jakiś sposób mi umknęło.

Zobaczyłem, że dziewczynka szybko odsuwa się od Sebastiana, kuląc się i lekko spuszczać głowę. Jej uśmiech błyskawicznie zgasł, zastąpiony przez irytację i niechęć. Kąciki ust wygięły się do dołu. Powieki opadły.

– To dziecko wyprowadza mnie z równowagi – oświadczyła jej przybrana matka. – Co ty znowu zmajstrowałaś, Syra? Odpowiadaj, kiedy cię pytam!

– Oni się jedynie bawili – rzuciła Sophie.

– Odpowiadaj! – powtórzyła Rosana, zwracając się ciągle do córki. – Czemu spuszczasz głowę? Głucha jesteś?

Jej gniew był tak przesadny, że nikt nie wiedział, w jaki sposób zareagować. Pozostałe dzieci bezradnie patrzyły na Syrę i jej matkę. Carl chyba chciał się znowu odezwać, ale Sebastian gestem nakazał mu milczenie.

– Nic się nie stało – powiedziałem. – To była tylko zabawa.

Wtedy Rosana w mgnieniu oka odzyskała dobry humor. Widząc, że naprawdę nic się dzieje, odetchnęła głęboko i mruknęła, że dzieci każdego potrafią doprowadzić do szału. Nie sądzę, by wierzyła we własne słowa, gdyż przynajmniej tym razem Syra nie zrobiła nic, żeby doprowadzić do szału kogokolwiek, niemniej zapewne pragnęła, byśmy uwierzyli, że w nie wierzy, bo dzięki temu jej zachowanie, choć nieuzasadnione, zdawało się mieć jakieś wytłumaczenie. Syra podbiegła do Sebastiana i wzięła go za rękę, na co jej matka stwierdziła, że sama przez dwanaście lat po rozwodzie nie znalazła jeszcze chłopaka, a oto jej córka poradziła z tym sobie na bezludnej wyspie w ciągu zaledwie doby. Mówiła prostą, niezbyt poprawną angielszczyzną, jak ci, którzy używają tego języka wyłącznie w pracy. Myślę, że podobnie jak wielu Hiszpanów uważała (może i nie bez racji), że naturalny hiszpański akcent jest o niebo lepszy niż kiepska imitacja brytyjskiego czy amerykańskiego. Mimo wszystko przypadła mi do gustu.

To, co szczególnie mi się w niej podobało (nazwijcie mnie tradycjonalistą, nazwijcie mnie staroświeckim), to fakt, że najprawdopodobniej była na

wyspie jedyną kobietą, która malowała usta. Na intensywną czerwień o zapachu geranium. Ba, nosiła w kieszeni szminkę, którą od czasu do czasu przeciągała po wargach, co uznałem za zwyczaj wyjątkowo godny pochwały.

Sophie spoglądała na nią swoimi dużymi oczami w kolorze akwamaryny, ze zdawkowym uśmiechem. To był jej fałszywy uśmiech, uśmiech, który mówił: gdybym mogła cię zabić, tobym cię zabiła. Powiedziała: „Oni się jedynie bawili”, a potem już tylko obserwowała Rosanę i jej wybuch gniewu, z ciekawością, szybko wyrabiając sobie zdanie. Matka Syry o tym nie wspomniała, ale ja wiedziałem, że poczuła się osądzona i że nabrała gwałtownej niechęci do tego anglosaskiego ideału o migdałowych niebieskich oczach.

Myślę, że wtedy spotkały się twarzą w twarz po raz pierwszy i od tej pory sekretnie się nienawidziły. Obie były doskonałymi okazami matek – tak różnymi, jak różni mogą być wyłącznie przedstawiciele tego samego gatunku.

– Właśnie łupiemy orzechy kokosowe – rzuciła w moją stronę Rosana. – Jesteś zainteresowany orzechami kokosowymi, Juanie Barbarín?

O, proszę. Ledwie mnie poznała, a już, jak każdy, zwracała się do mnie z imienia i nazwiska. Odparłem, że interesuje mnie wszystko, co da się wypić, i całą grupą ruszyliśmy ku Hiszpanom zajęтым trudną operacją rozbijania straszliwie twardych kokosów.

To Wade nauczył nas to robić za pomocą wielkiego noża, tak żeby przy okazji nie rozlewać cennego płynu. Rosana zawołała Syrę, żeby ją napoić, za nimi pospieszyły inne dzieci, a także Sophie z Sebastianem i Carlem, którzy, powąchawszy otwarty owoc, oznajmili, że nie zamierzają pić czegoś takiego, ale Syra wzięła od matki kokos, po czym wypila jego zawartość co do kropli. Kto wie: może była bardzo spragniona. Chociaż żeby opróżnić za jednym zamachem wielki kokos wypełniony gęstą i słodką cieczą, trzeba naprawdę umierać z pragnienia. Albo chcieć szybko i za wszelką cenę zamknąć sprawę. Rosana, bardzo dumna, obróciła skorupę do góry nogami, pragnąc pewnie wykazać, że jej córka nie grymasi, albo może usiłując zatrzeć u mnie złe wrażenie, które wywarło wcześniej jej wydzieranie się na małą. U mnie i zapewne u pozostałych też, ale niewykluczone, że u mnie szczególnie, jako u kogoś, kogo dopiero co spotkała i kim – tak samo jak ja nią – mogła się chyba zainteresować erotycznie.

Sophie kazała synom wziąć przykład z Syry, lecz oni odmówili i uciekli. Zdaje się, że wywołało to obopólne niedowierzanie: chłopców zdumiało

posłuszeństwo Syry, a ją – ich bezkarne nieposłuszeństwo.

Rosana i ja wybraliśmy się na spacer plażą, gawędząc i pogłębiając znajomość. To była bardzo atrakcyjna kobieta, choć atrakcyjna nietypowo, albowiem nie miała pięknego ciała ani pięknej twarzy, a mimo to wydawała się po swojemu piękna: piękne oczy i usta, różowawa, gładka skóra, cała postać – wszystko to emanowało niezwykle kobiecością. Poza tym podobały mi się jej energiczna natura i sposób mówienia, gdyż przypominały mi moje madryckie młode lata. Tak, pociągała mnie, intrygowała i bawiła.

O adopcję Syry zaczęła się starać jeszcze jako mężatka, razem z mężem pokonując niekończące się biurokratyczne przeszkody. Potem on zakochał się w innej kobiecie i w końcu wyprowadził, po drodze długo się wahając i urządzając chwilowe powroty. Właśnie pod koniec tej małżeńskiej agonii nadszedł długo oczekiwany moment wyjazdu po Syrę do sierocińca matki Teresy w Kalkucie. W tamtym czasie Syra istniała dla Rosany jedynie pod postacią przysłanej przez zakonnice malutkiej fotografii, przedstawiającej dwuletnią ciemnoskórą dziewczynkę o ślicznych, przerażonych oczach, jednakże owa fotografia świadczyła o rzeczywistym istnieniu prawdziwej osoby – dziecka, które gdzieś tam oddychało, płakało i czekało. Rosana wyprawiła się do Indii w towarzystwie przyjaciela i, już z małą, wróciła do Madrytu. To, co później nastąpiło, bardzo przypominało łagodną wersję piekła i trwało w tej formie przez kilka lat. Syra miała mnóstwo problemów ze zdrowiem, jedzeniem i snem. W sierocińcu dzieci bezustannie przebywały pośród innych i sypiały wszystkie razem przy zapalonym świetle. Nie żeby były zaniedbywane, jak wyjaśniła mi Rosana. Sierociniec okazał się czysty, opiekunki i siostry zakonne lubiły swoich podopiecznych i zajmowały się nimi troskliwie, jednakże na tłok i związane z nim bezustanne choroby nic się nie dało poradzić. Syra przeszła zapalenie płuc, miała świerzb i choć została z obu wyleczona, po tym ostatnim został jej nawyk ciągłego drapania się. Miała też kłopoty z żołądkiem, znowu ze skórą, z oczami (strasznie się nacierpiała z powodu atakujących je pasożytów), z florą bakteryjną jelit, nie wspominając już o wiecznym kaszlu, suchym i gwałtownym, określanym przez lekarzy jako „nieefektywny”, a związanym z trudnymi do wyleczenia nieżyłtami przełyku, oraz o ujawniających się w szkole problemach z uwagą, najpierw wynikających z kłopotów ze wzrokiem, które jej nauczyciele i matka odkryli dopiero po dłuższym czasie, a później ze skłonności do zamykania się w sobie, co łączyło się również z upośledzeniem komunikacji werbalnej. Syra była

w dziecienny sposób nieśmiała i skryta, ciągle niepewna siebie. Lubiła zwierzęta i malutkie dzieci – wszystko, co żyło, ale nie mówiło. Gdy czuła się dobrze, dużo się śmiała, raz po raz wybuchając suchym, nieefektywnym kaszlem. Była bardzo szczupła i jak na swój wiek wysoka, przy czym tak wczesny rozwój fizyczny mógł wskazywać, że niedługo przestanie rosnać i będzie jednak niska, choć proporcjonalnie zbudowana, a przy tym obdarzona jedwabistymi, długimi włosami i delikatnymi, orientalnymi rysami twarzy. Tak, jej uroda wydawała się raczej orientalna niż, jak często u Hindusów, zbliżona w typie do cygańskiej. Syra przyszła na świat na zboczach Himalajów, w Dardżilingu, i należała do jednego z ludów tybetańskich. Oczy miała lekko skośne, nos mały i zaokrąglony. Najciekawsze zaś, że w dużym stopniu przypominała Rosanę, również mgliście orientalną ze swoimi skośnymi oczkami i okrągłą twarzą o regularnych, nieco zbyt wyrazistych rysach. Choć niewykluczone też, że dziwne podobieństwo między przybraną matką a córką wytworzyło się przez lata wspólnego życia i nieświadome a wzajemne naśladowanie gestów czy min.

Niespiesznie dotarliśmy do krańca plaży, wspięliśmy się na skały, pokonaliśmy jakieś czterysta metrów zarośli, i zesliśmy na kolejną plażę. Tam usiedliśmy w cieniu palm i zapatrzyliśmy się w morze.

– Dlaczego tak długo nikt się po nas nie zjawia? – spytała Rosana.

– Nie wiem. Ale na pewno wkrótce się zjawi – odrzekłem. – Siedzimy tu od trzech dni.

– W każdym razie mieliśmy szczęście – stwierdziła. – Przeżyliśmy.

– Tak.

– To zupełnie jakby ktoś dał nam drugą szansę.

– Tak.

– Jakbyśmy przebywali teraz w otchłani między dwoma życiami – powiedziała. – Ja tak właśnie się czuję.

– Jakbyś przebywała w otchłani między dwoma życiami?

– Tak. Jakby to miejsce nie było miejscem z naszego świata, tylko czymś pośrednim, rodzajem nawiasu.

– Nawiasu.

– Nawiasu, który pozwala się przed powrotem zastanowić.

– Rozumiem.

– Tu nie ma nic do roboty, więc wraca do ciebie cała twoja przeszłość. I musisz sobie różne rzeczy przemyśleć.

- Niektórzy uważają, że nikt nas stąd nie uratuje.
- Jak to?
- Że nikt się nie zjawił i już się nie zjawi.
- Jak to: nie zjawi?
- Tak, słyszałem to od Wade’a, od Santiaga Reiny...
- Co to znaczy, że nikt się nie zjawi?
- Tamci uważają, że spadliśmy w jakimś dziwnym miejscu. Że stąd nie ma ucieczki.
- Nic z tego, co mówisz, nie rozumiem – oświadczyła Rosana. – Co ty bredzisz, Juanie Barbarín?
- Sam nie wiem – odparłem.
- Nie opowiadaj głupot. Prędzej czy później nas znajdą. Będą szukali i znajdą.
- Tak, ale jest w tym wszystkim coś dziwnego – mruknąłem. – Nie wydaje ci się? To miejsce jest jakieś dziwne.
- Dziwne? W jakim sensie?
- Nie wiem. Siedzimy tu od trzech dni i nie widzieliśmy żadnego samolotu, nie wspominając już o helikopterze ratunkowym.
- Tak, to jest dziwne.
- No właśnie, prawda?
- Dziwne, ale wytłumaczalne, w żadnym razie nadprzyrodzone.
- Na granicy wytłumaczalności – nalegałem.
- Jak wrócę do domu, zmienię swoje życie.
- O, naprawdę?
- Tak. Teraz wszystko widzę jak na dłoni. Przystanąłam, przestałam kręcić się w kółko i wszystko widzę jak na dłoni.
- Naprawdę?
- Odpuszczę sobie robienie tego, czego nie lubię. Zmienię pracę. Kilka lat temu kupiłam dom pod miastem, ale już go spłaciłam. Nie muszę tyle pracować.
- A czym się zajmujesz?
- Pracuję w korporacji. Na wysokim stanowisku. Na bardzo wysokim stanowisku, Juanie Barbarín.
- Coś takiego.
- Zarabiam kupę kasy.
- Wyjdiesz za mnie? – spytałem.

Parsknęła śmiechem.

– Dobra – rzuciła.

– Dobra?

– Czemu nie?

Umilkliśmy. Z tej plaży morze wydawało się inne niż z naszej. Dziwna rzecz. Czy to nie taka sama woda, nie taki sam piasek, nie identyczne palmy? A jednak powietrze dźwięczało tu jakoś inaczej, zupełnie jakby rzeczy tam niewykonalne tutaj były możliwe. Dlaczego nasze zmysły tak nas zwodzą? Jesteśmy zakładnikami własnych doznań.

– Więcej czasu będę poświęcać jodze i medytacji – podjęła Rosana. – I swojemu ogrodowi. I swojej córce. Do tej pory ledwie mi się udawało pobyc z nią godzinę dziennie.

– Godzinę?

– Wszyscy rodzice tak mają. Tyle pracujemy, że jak wracamy do domu, nasze dzieci właściwie od razu idą do łóżka.

– Czyli chcesz zmienić swoje życie.

– Chcę poświęcić się córce, ogrodowi, przyjaciołom i słuchaniu Mozarta.

– Brzmi nieźle, ale co z miłością?

– Z miłością? Ja już zapomniałam o miłości.

Milczałem. Co mogłem powiedzieć? Czyż sam także o niej nie zapomniałem? Zepchniętej w kąt, niemożliwej, nie do zrealizowania.

– Nie jesteśmy aż tak starzy, żeby o niej zapominać – powiedziałem jednak.

– Nie – odparła Rosana. – Ale co, jeśli miłość zapomina o tobie?

Z katastrofy uratowało się więcej dzieci. Później stanie się zrozumiałe, dlaczego tak wracam do tego tematu i opisuję go dosyć szczegółowo. Faktem jest, że dzieci były na wyspie ważne. To znaczy: były ważne dla wyspy.

Uratował się na przykład pewien czterolatek, Branford, syn dwojga Nowozelandczyków, Bruce'a i Glorii Griffinów, którzy pracowali jako scenarzyści kanału CBS w Los Angeles. Był bardzo zabawny, z wyglądu i przez wiecznie opadające spodnie przypominał mi Dennisa Rozrabiakę, tego chłopca z komiksów. Często łąził po plaży, szukając muszelek, ślimaków i martwych krabów, które potem chował po kieszeniach.

Były też dwie bardzo poetyczne i tajemnicze dziewczynki, siedmioletnia Adele i ośmioletnia Estelle, córki australijskich dyplomatów, Henry'ego i Diffy McCulloughów. Zawsze chodziły w króciutkich białych sukieneczkach – dwie małe damy pośród dżungli. Wydawały się bardzo nieśmiałe

i nieodmiennie trzymały się razem albo w pobliżu rodziców. Potem dowiedzieliśmy się, że Adele była dzieckiem autystycznym i późno nauczyła się mówić. Dlatego siostry wypracowały sobie własny język, porozumiewając się za pomocą dźwięków przywodzących na myśl ptasie pokrzykiwania.

Był i Seymour, najmłodszy ze wszystkich. Ledwie dwa miesiące wcześniej urodziła go młodzianka dziewczyna imieniem Lizzy, platynowa blondynka, która pracowała jako kelnerka w barze w Sausalito i nie zdołała skończyć *high school*. Seymour miał podobno guza w mózgu i Lizzy wiozła go do Indii do ajurwedyjskiego szpitala w Madrasie. Dowiedziała się o nim z filmu dokumentalnego na Canal 13 albo, co bardziej prawdopodobne, od jakiejś koleżanki, która oglądała Canal 13, jako że wątpię, by Canal 13 pasował do życia samej Lizzy. Jak wielu innych, skorzystała z niewiarygodnie niskich cen oferowanych przez Global Orbit, bo inaczej nigdy by nie zaoszczędziła na tak daleką podróż. Słyszałem, że wszyscy kelnerzy z jej baru przez tydzień oddawali jej swoje napiwki, żeby pomóc jej w kupnie biletu.

Jej historia szybko się rozniosła, tym bardziej że Seymour był najmłodszym spośród rozbitków i wiele osób, zwłaszcza kobiet, proponowało Lizzy, że się nim zajmie. Wszyscy znajdowaliśmy się w trudnej sytuacji, jednakże sytuacja Lizzy była wyjątkowo dramatyczna: niemowlę wymagało karmienia piersią co dwie lub trzy godziny, brakowało dla niego pieluch i nawet słodkiej wody do obmywania. Seymour nocami dużo płakał: Lizzy snuła się wyczerpana i zrozpaczona, miała mało pokarmu i dziecko było po prostu głodne. Zrobiła dla niego coś w rodzaju kołyski albo gniazda z palmowych liści, gałązek, koców i poduszek z samolotu, szybko jednak odkryła, że nie ochroni go w ten sposób przed zwierzętami. Raz, kiedy spał spokojnie po karmieniu, postanowiła oddalić się na kilkadziesiąt metrów, żeby wykąpać się w morzu, ale gdy tylko weszła do wody, straszne przecucie pognało ją z powrotem. Przy posłaniu dziecka znalazła bardzo ciemną, niemal dwumetrową, kołyszącą się ciężko jaszczurkę, której różowy język błyskawicznie wysuwał się z pyska i w nim chował. Odpędziła gada, krzycząc i sypiąc na niego piasek, lecz od tamtej pory nie zostawiała syna samego ani na chwilę.

Sophie Leverkusen, Josephine i inne kobiety z naszej grupy pomagały jej, jak mogły; podobnie pewien młody, z wyglądu dobroduszny człowiek imieniem George, który całe dni spędzał, rozmawiając z nią, asystując przy przewijaniu niemowlęcia i nosząc je na rękach w czasie ich spacerów. Opinie były co do niego podzielone: niektóre panie uważały, że my, pozostali mężczyźni,

urodzeni egoiści pozbawieni elementarnej wrażliwości, powinniśmy brać z niego przykład; inne – że George tak się poświęca nie z sympatii do dzieci, tylko żeby wkraść się w łaski Lizzy, ładnej słodką urodą porcelanowej lalki, przyprowadzając część mężczyzn o istne szaleństwo.

Jakkolwiek tam było, historia Seymoura i przyczyna, dla której Lizzy wyprawiła się wraz z dzieckiem do Indii, szybko stały się w naszej małej społeczności powszechnie znane. Joseph, gdy o tym wszystkim usłyszał, poszedł z Lizzy porozmawiać i powiedział jej, że zupełnie bez sensu opuściła Los Angeles, gdzie mieszczą się jedno z najlepszych szpitali na świecie, żeby szukać pomocy w kraju Trzeciego Świata, u znachorów, którzy mogli jej zaproponować jedynie kurację bazującą na olejkach, masażach i sproszkowanej korze drzew. Powiedział też, że – o ile się orientuje – medycyna ajurwedyjska opiera się na tekstach liczących setki, a może i tysiące lat. Przy czym, dodał, w tej dziedzinie im coś starsze, tym mniej godne zaufania. Metody leczenia sprzed pięciu dekad, tłumaczył, nie uwzględniały połowy z naszej obecnej wiedzy. Więc wyobraź sobie tylko te sprzed tysiącleci!

– Myślę, że powinieneś pozwolić Lizzy podejmować decyzje na własną rękę – rzekł Wade, bardzo łagodnie i ze swoim zwykłym uśmiechem.

– Człowiek musi coś wiedzieć, zanim podejmie decyzję, Wade – odparował Joseph. – A w kwestiach medycznych, jak sadzę, ja akurat jestem dosyć wiarygodnym źródłem informacji.

– Powiedzieli mi, że moje dziecko umrze – rzuciła Lizzy, zaciskając szczęki. – Tak mi powiedzieli.

– Nikt nie powinien mówić takich rzeczy – oświadczył George. – Nikt nie powinien w ten sposób odbierać drugiemu nadziei.

Ktoś – jedna z kobiet – spytał Lizzy o ojca Seymoura, a ona odparła, że jej syn nie ma ojca, jest tylko jej i że zawsze byli tylko we swoje, zawsze tak będzie i to bardzo dobrze. Następnie zabrała małego i razem z George'em poszli na spacer po plaży. Lizzy była niziutka, miała szerokie biodra i, jak już mówiłem, długie platynowe włosy. George zdecydowanie górował nad nią wzrostem, poza tym wydawał się pokojowo nastawiony wobec świata. Nie wiedziałem, czym się zajmuje, ale wyobrażałem go sobie jako sprzedawcę w sklepie, może w papierniczym albo w punkcie ksero – gdziekolwiek, gdzie miałby święty spokój i mógłby uprzejmie obsługiwać klientów, każdemu oferując pomoc i bezosobowy uśmiech.

Rosanę i Syrę spotkałem znowu jeszcze tego samego dnia, gdy wybrałem się z wizytą do znajomych Hiszpanów. Rosana akurat wrzeszczała na córkę, zaciskając palce na jej ramieniu. Miała na sobie kostium kąpielowy w czerwone i białe kwiatki, biały kapelusik i okulary przeciwsłoneczne. Syra, cicha i skulona, spuszczała oczy, jakby czekała, aż matce minie napad furii.

– Dlaczego ciągle robisz rzeczy, które mamę gniewają? Dlaczego ciągle robisz rzeczy, które mamę gniewają? – powtarzała podniesionym głosem Rosana.

– Przepraszam – szeptała dziewczynka z tłumioną złością.

– Cicho bądź! Nie odzywaj się! Nie odzywaj się, bo znowu ci przyłożę!

Chciałem się wycofać, ponieważ nieprzyjemnie się to oglądało, ale wtedy Rosana mnie dostrzegła. Jej zachowanie od razu się zmieniło, głos złagodniał.

– Juan, nie zauważyłam cię wcześniej! To głupie dziecko działa mi na nerwy. Boże mój, jak ona mnie denerwuje! Boże mój, na jakie próby wystawia moją cierpliwość!

– Co takiego zrobiłaś, Syra? – spytałem, szukając z nią kontaktu wzrokowego.

– Nic – odpowiedziała.

– Nic! – rzuciła sarkastycznie Rosana, znów wściekła. – Zmarnować całe opakowanie marmolady i całą czekoladę z orzechami! Oddać je mrówkom i innemu robactwu! Przy takim braku jedzenia! To trzeba nie mieć rozumu!

– Już mówiłam, że przepraszam – warknęła Syra. Nie miała jeszcze odwagi podnieść spojrzenia, ale przy mnie odzyskała nieco śmiałości.

– A ja ci mówiłam, żebyś się nie odzywała. I nie wolno ci podnosić na mnie głosu! Nigdy nie podnoś na mnie głosu! – darła się Rosana.

Czułem się zażenowany i marzyłem tylko o tym, żeby się czym prędzej wycofać. Żał mi było małej i żał mi było jej matki, tak rozgoryczonej i wściekłej na świat, że zamieniała się przy córce w prawdziwą wiedźmę. Syra zerknęła na mnie spod oka i na jej ustach oraz w jej źrenicach, częściowo ukrytych za długimi czarnymi włosami, pojawił się ironiczny, widoczny tylko dla mnie uśmieszek. Zaskoczył mnie. Wcześniej myślałem, że mała jest zawstydzona i smutna i że jej dolna warga wygina się jak do płaczu. Ale nie, to był uśmiech. Naprawdę mnie zaskoczył. Czyli Syra jedynie grała zawstydzoną i smutną. Jej matka darła się wniebogłosy, a ona śmiała się z niej pod nosem, zupełnie jakby sama była wiedźmą, małą wiedźmą, która doskonale wie, jak doprowadzać swoją opiekunkę do szału, kompromitując ją

przy tym w oczach innych.

Znajdujemy antenę

Tak upływało przedpołudnie trzeciego dnia. Wszyscy spoglądaliśmy ku morzu z nadzieją, że nasi wybawcy wreszcie się zjawią. Zakładaliśmy, że szukają nas od trzech dni, i uznawaliśmy za niemożliwe, by helikoptery czy statki wkrótce się nie pokazały. Nie pokazywały się jednak.

Wade oznajmił, że musimy jak najszybciej znaleźć jakąś płynącą wodę, i spytał, kto z nim pójdzie na zwiady. Zgłosiłem się na ochotnika, podobnie jak Christian i Sheila, Gwen Heller, Santiago Reina, Joaquín oraz Xóchil – Meksykanka trzymająca się dotąd z Latynosami. Odznaczała się tragiczną, typowo meksykańską urodą, intensywną i zbijającą z tropu, i zdaje się, że bardzo pociągała Joaquina. Tak czy owak stanowiliśmy dość zróżnicowaną grupę. Zdziwiło mnie, że Santiago, chłopak ze sporą nadwagą, dobrowolnie zdecydował się na całodzienną wędrówkę. Co do Gwen – widziałem ją chyba po raz pierwszy. Musiała mieć koło trzydziestki, a ubrana była jak profesjonalna odkrywczyni: w liściastozieloną koszulę, krótkie spodnie koloru khaki i mocne buty. Miała ciało sportsmenki i twarz intelektualistki – wspaniałe, opalone kolana i okrągłe okulary na małym zaokrąglonym nosku, które to połączenie, moim zdaniem, czyniło ją nieodparcie pociągającą, chociaż, jak już wiecie, wasz Juan Barbarín, stary kocur o czułym sercu, niemal każdą kobietę uważa za nieodparcie pociągającą. Wyjaśniła nam, że jest biologką i pracuje w ogrodzie zoologicznym w San Diego, gdzie zajmuje się przede wszystkim bardzo młodymi i nowo narodzonymi zwierzętami.

Jednakże głównym powodem, dla którego przyłączyłem się do tej pierwszej ekspedycji, nie było dążenie do zdobycia Gwen, lecz pragnienie, by się przekonać, co to właściwie za głosy dobiegają mnie spośród gałęzi, gdy udaję się w dżunglę za potrzebą. Tyle że teraz, gdy szliśmy wszyscy razem, słychać było jedynie śpiew ptaków i plaśnięcia, które rozlegały się, gdy próbowaliśmy zabijać kłuszące nas komary. Szepty, które słyszałem wokół podczas swoich

samotnych wycieczek, umilkły.

Roślinność okazała się bardzo gęsta, ale za sprawą niezwykle szczęśliwego zbiegu okoliczności zaraz na początku znaleźliśmy maczetę wbitą w korzeń jednego z drzew. Kto wie, przez ile lat tam tkwiła. Była strasznie stara i zardzewiała i Wade oświadczył, że z pewnością zostawił ją w tym miejscu jakiś japoński żołnierz w trakcie drugiej wojny światowej. Nawet Wade musiał się nasiłować, by ją wyjąć, a kiedy mu się to w końcu udało, uniósł ją wysoko nad głowę. Pomyślałem o mieczu króla Artura wbitym w kowadło i o tym, że oto Wade został królem naszej wyspy. Powiedziałem to głośno, on zaś spojrział mnie z dziwnym uśmiechem, jak gdybym dotknął czegoś istotnego.

Po półgodzinie natknęliśmy się na krystalicznie czysty strumień, nad którym pochyliliśmy się, chcąc zaczerpnąć w dłonie wody. Wade otworzył plecak i wyjął metalowy kubek, który z powagą nam podał. Kiedy wszyscy ugasiliśmy pragnienie, sam też się napił. Miał w sobie coś z herosa, zwłaszcza w tamtych pierwszych dniach; coś z rycerza Okrągłego Stołu, z dawnego króla – wielkodusznego, potężnego, łaskawego i nieprzeniknionego. Wydawał się bardzo szczęśliwy i zadomowiony w tym zapomnianym przez Boga zakątku. Swobodnie poruszał się po dżungli, wspinał na drzewa, przepowiadał deszcz, ścinał owoce i zajadał je ze smakiem. Poza tym wyglądało na to, że zawsze wie, co powinniśmy zrobić. Zastanawiałem się, czy mógł walczyć w Wietnamie i czy właśnie tam się wszystkiego nauczył. Postrzegałem go jako jednego z tych żołnierzy, którzy na południu Azji zakochali się w tropikach, choć nie było w nim nic posępnego. Nie, to nie śmierć, bezkarność i mrok pociągały go w dżungli; pociągała go jej zmienność, wieczna, ekstatyczna żywotność, zaraźliwa wilgoć. Oznajmił, że pójdziemy jeszcze godzinę w głąb wyspy, żeby poszukać jakiegoś wzniesienia, z którego dałoby się obejrzeć okolicę, po czym wrócimy do strumienia i spróbujemy znaleźć jego ujście, bo właśnie tam, w miejscu, gdzie wpadał do morza, należało rozbić stały obóz. Brzmiało to sensownie, lecz wątpię, by mnie na przykład przyszło do głowy.

Ruszyliśmy dalej w kierunku wzgórz. Nie natknęliśmy się na żadne większe zwierzęta, chociaż liczyliśmy na nie jako na główne źródło pożywienia – pewnie sami je po drodze płoszyliśmy. Wszędzie rosły wielkie drzewa, nieznanne mi gatunki o potężnych pniach i gałęziach obciążonych zwisającymi aż do ziemi lianami, a z ich koron, z bezpiecznej odległości, obserwowały nas małpy o długich ogonach. To były chyba kapucynki, bladolice i widmowe. W tamtym czasie nie myślałem o nich – obdarzonych przecież twarzami

i dłońmi – jako o czymś, co można by zjeść. Poza tym dostrzegliśmy ogromną, biało-różową kakadu, która leciała nisko pod baldachimem z liści, piękna jak anielskie marzenie. Później wyszliśmy na bardziej otwartą przestrzeń, gdzie roślinność się przerzedziła. Wyglądało to jak płaskowyż z rozrzuconymi daleko jedne od drugich drzewami; zobaczyliśmy stamtąd kilka wznoszących się wokół zielonych wzgórz. Sheila krzyknęła, gdy zauważyliśmy, że ze szczytu jednego z nich sterczy coś, co niewątpliwie jest radiową anteną. Sądzę, że wtedy wszyscy poczuliśmy się ocaleni: oto nasze cierpienia dobiegały końca.

Niemal dodatkową godzinę zajęło nam wspięcie się na to wzgórze z anteną. Okazała się dużo większa, niż wydawała się z dołu: wspinała metalowa konstrukcja, przytrzymywana w pionie przez długie żelazne odciążki, wznosiła się na wysokość jakichś trzydziestu metrów, a stała na betonowej platformie, na której znajdowały się również coś w rodzaju bunkra oraz kilka innych opuszczonych budyneków. Natychmiast pojęliśmy, że nikogo tu nie ma i że antena od wielu lat nie działa.

Przeszukaliśmy zabudowania, wypatrując jakichś śladów, wskazówek. Nadajnik radiowy do niczego się nie nadawał bez źródła prądu, chociaż urządzenia były w dobrym stanie. Znaleźliśmy także kilka sypialni z pryzkami, dobrze wyposażoną kuchnię i spiżarnię pełną puszek z przeterminowanym jedzeniem. W salonie stało trochę mebli, między innymi sofa, stolik z szachownicą, planszą do tryktraka i scrabble'em, oraz stojak na gazety, na którym zostało kilka numerów magazynu „Life” z lat sześćdziesiątych i jeden „Playboy”, z lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, z rozkładówką przedstawiającą niejaką Jean Jani, bardzo atrakcyjną długowłosą brunetkę w kostiumie kąpielowym (inne zdjęcia ukazywały ją już bez niego), podobną do mojej matki z fotografii zrobionych na plaży pod koniec lat pięćdziesiątych.

Joaquín, kuzyn Cristiny, przetrząsał z Xóchitl pomieszczenia w głębi. Słyszałem, jak się śmieją – niby nastolatkom na beztrudnej wycieczce. Znałem Joaquina jeszcze w dzieciństwie, lecz w ostatnich latach tylko z rzadka miewałem o nim wieści. Doszły mnie słuchy, że zdziwaczał i mimo swego wykształcenia (studiował chemię) szczególnie interesował się ufoludkami oraz energią duchową. Poza tym wiedziałem, że lubi piękne a trudne kobiety i że ma za sobą kilka burzliwych związków. Nadal żywiłem do niego sentyment, niemniej obawiałem się tych jego „dziwactw”. Z powodów, które później staną się oczywiste, nie życzyłem sobie kontaktów z buddystami, spirytystami,

wegetarianami ani innymi świrami wypatrującymi na niebie przemieszczających się światełek. Ludzie głęboko o czymś przekonani i kierujący się w życiu żelaznymi zasadami – bez względu na ich charakter – zawsze wywoływali we mnie silny dyskomfort. Jednakże Joaquín nie wydawał się dogmatykiem ani sztywniakiem. Kojarzył mi się raczej z wesołym, spragnionym cudowności i przygód skrzatem.

Xóchitl się śmiała, podczas gdy wspólnie otwierali metalowe skrzynie i siłowali się z regałami. Była wysoka i szczupła, bardzo ciemna, miała gęste czarne włosy, azteckie usta i nos oraz wielkie czarne oczy zawsze pełne melancholii. Na jednej z półek znaleźli coś w rodzaju szklanego pierścienia i Joaquín powiedział, że to pierścień mocy, po czym wsunął go jej na palec. Myślę jednak, że jej nie interesowały takie wymysły.

Usłyszałem, że Joaquín woła mnie gdzieś ze środka, i poszedłem sprawdzić, o co chodzi. Znajdowali się z Xóchitl w pomieszczeniu na tyłach budynku, wypełnionym spiętrzonymi gratami.

– Zerknij na to – rzucił Joaquín, wskazując jedną ze ścian.

Zdumiała mnie jego mina: poważna, niemal przestraszona. Sądzę, że po raz pierwszy widziałem go w takim stanie.

Na ścianie widniał napis. Głosił:

NIC NIE JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE
TO NIE JEST WYSPA
BOŻE, ZMIŁUJ SIĘ NAD NAMI

Nie wiem czemu, ale czytając te słowa, poczułem dreszcz przerażenia. Przy czym nie miałem pojęcia, jak je rozumieć. Ani też nie chciałem się nad tym zastanawiać. Wyszedłem i zawołałem Wade'a, żeby też to zobaczył. Joaquín twierdził, że napis jest świeży i skierowany bezpośrednio do nas. Dajcie spokój, chłopaki, powiedziała Xóchitl, na tej wyspie nikogo poza nami nie ma. Ktoś napisał to dawno temu, nie wiadomo w jakim celu. Nie, upierał się Joaquín, to wiadomość dla nas, żebyśmy nie wierzyli w to, co widzimy. Ktoś nas ostrzega i może nie jest w stanie zrobić tego jaśniej.

– Ty i te twoje tajemnice, Joaquinie... – mruknęła Xóchitl, patrząc na niego ze smutnym uśmiechem. – Nie wiesz, że na świecie nie ma żadnych tajemnic?

– Ja uważam, że świat jest ich pełen – odrzekł Joaquín.

– Tajemnicą nazywamy to, czego jeszcze nie umiemy wyjaśnić –

odparowała dziewczyna.

– W porządku – powiedział. – Ale nie mów, że tajemnic nie ma.

Wade się nie odzywał. Zmarszczył brwi, objął prawą dłonią podbródek i uporczywie wpatrywał się w tekst na ścianie. Zostawiliśmy go tam, podpierającego się strzelbą niby pastorałem i raz po raz odczytującego dziwne słowa, jak gdyby zawierały przekaz, który tylko on mógł odcyfrować.

Trzeba było się zbierać. Wzięliśmy z kuchni kilka garnków, łyżek i noży, uznawszy je za najbardziej przydatne, dorzuciliśmy do tego pudełka ze szwedzkimi zapalkami, których znaleźliśmy niemal nieograniczone zapasy i które nie wyglądały na zawilgocone, po czym wróciliśmy nad rzeczkę. Szliśmy dalej z jej nurtem, przez kilka kilometrów, lecz jakoś nie chciała zawrócić ku północy, w stronę oceanu. W końcu się jednak zdecydowała, rozszerzając się zarazem i uspokajając. Piękne to było i bardzo rozluźniające – tak patrzeć na ten strumień świeżej wody przepływający pod powyginanymi konarami, których czepiały się mackami korzeni inne rośliny, z których z kolei wyrastały jeszcze inne, o odmiennych liściach i kwiatach. Nasza rzeczka połączyła się z drugą, a potem z trzecią, rozszerzając się coraz bardziej. Teraz miała już prawie dwadzieścia metrów od brzegu do brzegu i mogła uchodzić za prawdziwą rzekę. Nie miałem pojęcia, że na wyspie mogą płynąć tak duże rzeki, jako że, prawdę mówiąc, rzeki w ogóle wydawały mi się niewyjaśnialnym cudem. Tajemniczo toczyły swoje wody, w moich oczach zdając się znikąd nie wypływać i donikąd nie zmierzać. Czy ta, wzdłuż której szliśmy, była rzeką umarłych, czy rzeką życia? Dotarliśmy wraz z nią do oceanu, wędrując szerokim, zacienionym brzegiem, który przywodził mi na myśl rycinę Blake'a przedstawiającą rajską rzekę pełną światła, radującą serca błogosławionych. Napotkany po drodze paw o jaskrawoturkusowym upierzeniu krzyknął do nas, po czym, przestraszony, rozłożył skrzydła i schronił się pośród liści, powiewając swym długim, barwnym trenem. Pojedyncze bananowce, wysokie jak człowiek i uginające się od żółtych, zielonych, czerwonych i fioletowych owoców, przetykały łagodnym seledynem misteryjny cień wyższych drzew. Były tu też chlebowce z ogromnymi owocami w kolorze żółtawej zieleni, a Gwen wypatrzyła gdzieś na ziemi bulwy pochrzynu. Zdawało się, że trafiliśmy do krainy cudownej obfitości. Na swoją plażę wróciliśmy, kierując się brzegiem morza na wschód. To było zaledwie pięć kilometrów, ale cała wyprawa w głąb wyspy i wzdłuż rzeczki (nie wspominając już o wspinaczce na wzgórze z anteną) zajęła nam

niemal pełen dzień.

Pamiętam uniesienie, jakie ogarnęło mnie w drodze powrotnej. Po części wynikało ze zmęczenia, a po części z poczucia, że przeprowadziliśmy poważną operację, dokonaliśmy nie lada wyczynu. Wcześniej nigdy nie pociągały mnie przygody czy wysiłek fizyczny, ale na wyspie było inaczej. Zrodziło się we mnie coś nowego – pragnienie ryzyka, potrzeba fizycznego zmierzenia się ze światem i z sobą samym. I nie chodziło jedynie o doznanie cielesne związane z zuchwałym (tak to wtedy odczuwałem) zagłębieniem się w obcy i pełny nieznanych niebezpieczeństw ląd; chodziło również o wrażenie, że robię coś dobrego i niezbędnego nie tylko dla mnie, ale także dla innych. O potrzebę niesienia pomocy bliźnim, jakiej nigdy w życiu nie czułem. Pamiętam też tamto przekonanie, że oto zdarza mi się coś wyjątkowo interesującego, intensywnego, co dotyka mnie jak nic innego do tej pory. Pomyślałem o rzece, o antenie, o wypisanych na ścianie słowach odkrytych przez Joaquina i Xóchitl, o zawartej w tych słowach złowieszczej treści: to nie jest wyspa, Boże, zmiłuj się nad nami. I pomyślałem, że w każdej chwili może zjawić się wreszcie ekipa ratunkowa, i niespodziewanie ogarnął mnie smutek, gdy wyobraziłem sobie, że ta nasza przygoda miałaby się nagle skończyć.

Porzucamy ciała

Odszukałem starszą panią, która, o ile dobrze pamiętałem, nazywała się Jean Jani – zastałem ją przy rannych. Spytałem, czy pozowała na rozkładówce „Playboya” przed laty, ona zaś, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, wybuchnęła śmiechem i powiedziała, że tak, rzeczywiście, to była ona, ale że to niemożliwe, bym ją rozpoznał. Pokazałem jej czasopismo znalezione w głębi wyspy. Na okładce też ją, oczywiście, umieścili, stojącą na pokładzie jachtu i ubraną chyba wyłącznie w czerwoną kurtkę, której suwak, sugestywnie rozpięty, odsłaniał fragment piersi.

– To wraca i wraca – rzekła z uśmiechem. – Kilka lat temu moja córka też natknęła się na ten numer. A nikt nic nie wiedział! Wszyscy byli bardzo dumni. Myślałam, że pewne rzeczy na zawsze zostają za nami, ale widzisz: nic nigdy nie zostaje tam na zawsze. Wszystko wraca i wraca.

Oświadczyłem, że moim zdaniem to zadziwiający zbieg okoliczności, ale jej cała sprawa aż tak nie dziwiła. „Playboy” jest bardzo popularnym pismem i jego różne egzemplarze można znaleźć właściwie wszędzie.

Potem spotkałem Rosanę: akurat wyszła z morza i wycierała rącznikiem swoje gęste czarne włosy, częściowo ukryta pośród palm i bromelii, w bujnym otoczeniu, które skojarzyło mi się z zaklinaczką węży Rousseau, chociaż blada karnacja Rosany, kontrastująca z ciemnymi liśćmi i różowawymi mięsistymi kwiatami, stanowiła całkowite przeciwieństwo niemal czarnej skóry, jaką ma kobieta na tamtym obrazie. Pomyślałem, że moja nowa znajoma chce się w tych zaroślach przebrać, ale nie – nie wzięła ubrania na zmianę. Rozmawialiśmy przez moment, opowiedziałem jej o naszych przygodach i, przede wszystkim, o rzece. Zauważyłem, że patrzy na mnie w szczególnie sposób i że się uśmiecha, i wtedy uświadomiłem sobie, że zdjęła te swoje okulary, których mocne soczewki tak bardzo powiększały jej oczy. Spytałem, co się stało, a ona pogratulowała mi spostrzegawczości. Podobno pierwszy

zauważyłem zmianę. Wyjaśniła, że od przybycia na wyspę dziwnie się czuła w okularach, jak gdyby szkła przestały jej pasować. Na początku podejrzewała, że może jej wada się pogłębiła, choć zdaniem okulistów przy tym typie nie należało się niczego podobnego spodziewać. Jednakże w końcu odkryła, że jest dokładnie na odwrót: teraz doskonale widzi bez okularów.

– A więc? – rzuciłem.

– Moje oczy są zdrowe – odrzekła. – Nie wiem, jak to się stało, ale widzę doskonale.

– Od dawna nosiłaś okulary?

– Od czwartego roku życia! – zawołała. – Zawsze miałam słaby wzrok. W dzieciństwie zakrywali mi jedno oko, żeby zmusić drugie do pracy. Byłam zezowata, straszliwie zezowata, no i te dioptrie... Bez okularów nigdy sobie nie radziłam, nigdy.

– A więc co?

– Skąd mam wiedzieć? Wiem tylko, że mam teraz wzrok pieprzonego sokoła.

– Ale to bardzo dziwne, nie?

– To niewytłumaczalne.

Owinęła sobie głowę ręcznikiem jak turbanem – kobiety umieją takie rzeczy, co nieodmiennie wprawia mnie w podziw. Potem wsunęła na stopy klapki. Byliśmy sami, tylko we dwoje pośród palm owiewanych cudowną morską bryzą. Powiedziałem Rosanie, że po raz pierwszy widzę ją bez szminki, a wtedy ona podeszła bliżej, lekko stanęła na palcach i pocałowała mnie w usta. Przelotnie, może wręcz po siostrzanemu, lecz jednak nie na tyle szybko, żebym nie poczuł miękkiego i zdumiewająco, może wręcz zbyt intymnego dotyku jej małych, jędrnych warg. Były jeszcze zimne po niedawnej kąpieli, niemniej pod tym zewnętrznym chłodem pulsowało ciepło krwi. Nie mam pojęcia, skąd się wziął ów nagły pocałunek. Może po prostu z ogólnego zadowolenia. Nie wiedziałem, jak go rozumieć, ale i tak sprawił mi przyjemność.

O zmierzchu odbyło się coś w rodzaju ogólnego zebrania rozbitków, w trakcie którego, przy blasku wielkiego ogniska, po raz pierwszy wspólnie zmierzylśmy się z niezrozumiałą sytuacją, w jakiej tkwiliśmy. Wade poinformował wszystkich o naszym odkryciu, to znaczy o tym, że jakieś pięć kilometrów na zachód znajduje się ujście rzeki i że właśnie tam powinniśmy urządzić obóz. Jednakże część obecnych, zwłaszcza popleczników państwa

Kunze'ów i biskupa Tudellego, sprzeciwiła się opuszczeniu „naszej” plaży. Ich główny argument był taki, że pomoc zjawi się lada chwila i jeśli znikniemy stąd bez śladu, nasi wybawcy mogą uznać, że wszyscy zginęliśmy w katastrofie. Miało to sens, owszem, niemniej istniało proste rozwiązanie tak postawionego problemu: wystarczyło trzymać w starym obozowisku wartę.

Joseph wyliczył nasze główne zadania: zaopatrzyć się w wodę, pochować ciała wciąż znajdujące się w samolocie, zadbać o schronienie przed padającym raz po raz na wyspie deszczem i wyznaczyć grupy do poszukiwań pożywienia. Uparcie podkreślał, że jeśli chcemy przetrwać i zachować zdrowie do momentu, aż nas znajdą, musimy działać w zorganizowanych zespołach.

Odbyliśmy też dyskusję na temat konieczności pochowania ciał, ale ostatecznie, po kilku bardzo zapalczywych wystąpieniach, uznaliśmy, że są ważniejsze sprawy i że nie mamy ani czasu, ani środków, by przetransportować niemal dwieście rozkładających się już trupów na brzeg i tam wykopać im groby. Nikt, kto tego nie próbował, nie wie, jak trudno jest wykopać grób w twardej glebie bez odpowiednich narzędzi. Jimmy Bruëll załatwił sprawę elegancko, prosząc, by na ochotnika zgłaszali się ci, którzy wyprawiają się do samolotu po cuchnące zwłoki, stoczą walkę z żarłocznymi ptakami, przewiozą ciała na wyspę, a następnie spędzą dwa albo trzy dni na przerzucaniu ziemi. Podniosły się tylko trzy czy cztery ręce, tak że problem rozwiązał się sam. Biskup Tudelli zawołał, że zostawianie ludzkich ciał, by zgniły na wolnym powietrzu lub zostały pożarte przez zwierzęta, nie jest godne chrześcijanina.

– To płyn sam, bracie – odpowiedział Jimmy. – Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

– Czy wy nie macie sumienia? – spytał Tudelli. – Nie macie współczucia?

– Ja tylko mówię, że nie zamierzam się tym zajmować – stwierdził Jimmy.

– Niech umarli grzebią umarłych. Czy nie tak doradza Święta Księga?

Tudelli patrzył na niego bezradnie. Bez wątpienia nie przywykł do tego, by ktoś zwracał się doń w taki sposób. Co ciekawe, nie przestawał się przy tym słodko uśmiechać.

– Rozmawia pan z dostojnikiem Kościoła – odezwał się wówczas rozgniewany Kunze. – Niech pan okaże trochę szacunku!

Kunze, szwajcarski milioner, miał siedemdziesiątkę na karku, lecz coś w jego osobie wzbudzało respekt. Coś fizycznego, znaczącego. Jakby władza

i bogactwo przydawały jego ciału siły.

Jimmy zwrócił się ku niemu z nadzwyczaj przyjacielskim wyrazem twarzy, chociaż w jego jasnych oczach błyszczały agresja i pogarda, które mnie przerażały.

Dziwna to była rozmowa – krezusa z kryminalistą.

– Pański przyjaciel Puccini może być dostojnikiem Kościoła, dalajlamą, wielkim wezyrem, a nawet Lordem Sithów w miejscu, skąd przybył – oświadczył Jimmy. – Tutaj natomiast wszyscy jesteśmy równi.

– Dzikus z pana! – rzekł Kunze.

– Proszę mi mówić Conan – odparował Jimmy, puszczając do niego oko.

Poznaję Carlosa

Przenieśliśmy się nad ujście rzeki, którą odkryliśmy dzień wcześniej, i na jej szerokim brzegu, w celu uniknięcia komarów w pewnej odległości od słodkiej wody, zaczęliśmy wznosić chatki. Rzeka nie wpływała bezpośrednio do oceanu, lecz najpierw rozlewała się w płytką, przejrzystą lagunę, której rozmiary zależały od łagodnych tu przyływów i odpływów. Dzieci szybko pokochały zabawy w tym miejscu. Laguna była owalna, turkusowa, obrzeżona białym piaskiem i spokojna niczym basen.

Po naszej stronie rosły palmy kokosowe, po drugiej zaś, nawietrznej – wielkie drzewa o ciemnych koronach, od których wraz z pasatami niósł się ponad wodą specyficzny, apteczny zapach. Były to, jak wytłumaczył mi doktor Masud, emerytowany sędzia z Lakhnau, kamforowce, które w Indiach uchodzą za złowróźbne i których liście są trujące dla ptaków, a mogą również zatruć wodę w rzece, czyniąc ją niezdatną do picia. Na szczęście rosły poniżej naszej osady i w sporym od niej oddaleniu. Tak czy owak, wydaje mi się, że doktora Masuda łączyły z tymi aromatycznymi drzewami silne więzy emocjonalne, gdyż sklecił sobie łódkę z wiosłem, by pływać do nich przez lagunę, zbierać ich opadłe, lecz nieuszkodzone gałęzie i rzeźbić z nich figurki zwierząt, którymi potem obdarowywał dzieci. Ładnie mu wychodziły te figurki, nigdy się nie powtarzały. Mnie dał pingwina i delfina.

Najtrudniej było przetransportować rannych, z których części nieuchronnie się pogarszało, głównie z powodu niezadowalających warunków higienicznych. W ranach lęły się białe larwy, więc trzeba je było w kółko otwierać dla oczyszczenia i dezynfekcji. Chorzy krzyczeli wtedy zupełnie jak mewy. Joseph oszczędzał strzykawki ze środkami usypiającymi z myślą o większych operacjach, a zwykłe środki przeciwbólowe czasem nie wystarczały. Na wyspie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej dotarło do mnie, czym jest ból.

Kiedy uporaliśmy się z przewodzką, skupiliśmy się na chatkach. Jeszcze tego samego dnia wieczorem spotkałem pewnego mniej więcej sześćdziesięcioletniego Brazylijczyka, który zdawał się doskonale znać na drewnie i zaproponował, że mi pomoże, z pewnością poruszony moją nieporadnością. Kilka dni później dowiedziałem się, że dla siebie niczego nie zbudował i choć całymi dniami pracował przy wznoszeniu domków dla innych, sam spał na piasku pod gołym niebem – zdumiewające poświęcenie. Rozmawialiśmy po angielsku, ale on niekiedy zwracał się do mnie bardzo wyraźną, powolną portugalszczyzną, którą świetnie rozumiałem. Wyczuwałem skryte za tymi portugalskimi słowami wielkie serce – tak łagodne i dobrotliwe jak płynąca nieopodal naszej osady zielona rzeka. Powiedziałem raz, że są w obozie osoby, które bardziej niż ja potrzebują jego pomocy: rodzice małych dzieci, ludzie chorzy i w podeszłym wieku, na co odrzekł, że w takim razie nauczy mnie podstawowych rzeczy, abym mógł radzić sobie sam i jeszcze wspierać innych. W oszczędnych słowach, a czasem i bez słów, ponieważ do gadatliwych nie należał, przekazał mi, jak ścinać trzcinę i wiązać ją w coś na kształt ramy, i jak później zginać liście palm, by następnie przeplatać nimi trzcinowe rusztowanie, tworząc w ten sposób w miarę nieprzepuszczalne ścianki. Miał siekierę, przecinak i strug – stolarskie narzędzia, przy użyciu których ścinał drzewa oraz gałęzie, okorowywał je, wygładzał i przemieniał w cudownie psujące do siebie elementy konstrukcyjne. Nauczył mnie też robić sznury z włókien roślinnych i szybko wiązać ściśle, nierozwiązujące się węzły.

– Teraz, jak już trochę umiesz, możesz pomagać bardziej potrzebującym – oznajmił.

Spytałem, jak się nazywa, i odparł, że ma na imię Carlos. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Był szpakowaty, niezbyt wysoki, bardzo muskularny, o skórze koloru kawy z odrobiną mleka. Miał wielkie ręce stolarza, z długimi, mocnymi palcami i różowawym wnętrzem dłoni, oraz niezwykle łagodny, zgodny charakter. Pracował metodycznie, bez pośpiechu, zawsze z uśmiechem na twarzy. Mierzył, oceniał, sprawdzał, znowu mierzył. Spytałem, skąd pochodzi, i odparł, że urodził się w Belo Horizonte, w stanie Minas Gerais, lecz od trzydziestu lat mieszka w Stanach Zjednoczonych. Zakładałem, że jest stolarzem albo może ebenistą, lecz – jak zwykle od przybycia na wyspę – myliłem się na całej linii.

Dołączam do medytujących

Zbudowaliśmy niewielkie osiedle, które nazywaliśmy „osadą”, nad brzegiem rzeki, którą nazywaliśmy „rzeką”, nieopodal plaży, którą nazywaliśmy „naszą plażą”, jako że to właśnie była teraz „nasza plaża”, w odróżnieniu od „plaży samolotowej”, czyli tej, gdzie spędziliśmy pierwsze dni.

Znienacka zawitał do nas nowy, nieproszony gość. Głód. Szybko zdaliśmy sobie sprawę z tego, że musimy skupić niemal wszystkie wysiłki na zdobywaniu żywności, bo w przeciwnym razie wszyscy umrzemy – jeżeli najpierw nie zaczniemy zjadać się nawzajem.

W tym początkowym okresie największe sukcesy odnosili rybacy. Ocean stał się głównym źródłem naszego pożywienia. Był pośród nas pewien Koreańczyk, biznesmen nazywany panem Lee, który w dzieciństwie mieszkał na wyspie żyjącej głównie z rybołówstwa, w związku z czym znał najrozmaitsze techniki połowu. Umiał robić trzcinowe klatki do łapania langust i ryb, umiał zarzucać wędkę i sieci, umiał polować z ościeniem i wiedział, gdzie szukać zagrzebanych w piasku krabów, a gdzie na płyciźnie trafiają się małże. Pod jego kierunkiem nasi rybacy zmajstrowali kilka ościeni i wyprawiali się na „plażę samolotową”, do tamtejszej, spokojnej i płytkiej zatoki, gdzie polowali na ośmiornice, których mięso rozbijaliśmy następnie kamieniami, by je zmiękczyć, gotowaliśmy i kroiliśmy w plasterki. Pyszności – lecz ile trzeba głowonogów, żeby co dzień wykarmić tylu ludzi? Rybacy zbierali też zatem jeżowce i ostrygi, które smakowały doskonale, ale które próbowaliśmy oszczędzać, żeby nie wytępić ich w ciągu kilku dni, albo zarzucali wędki swojej roboty, z własnoręcznie przygotowaną przynętą, i czekali cierpliwie, aż złapią się jakieś ryby, pieczone następnie na kamieniach albo smażone we własnym tłuszczu.

Gwen wyjaśniła mi, że wbrew temu, co się niejednemu wydaje, z punktu widzenia pozyskiwania żywności dżungla stanowi środowisko wyjątkowo

niekorzystne i że choć wiele roślin nadaje się do jedzenia, ilość zbieranych przez nas owoców i warzyw nigdy nie zaspokoi potrzeb tak dużej zbiorowości. Owszem, w pobliżu osady rosło mnóstwo palm kokosowych, będących dla nas chyba głównym źródłem witamin, a także dzikich drzew cytrusowych dających przede wszystkim małe, kwaśne limonki, jednakże bardzo prędko rozprawiliśmy się z bananami i owocami chlebowca, których obfitość nad rzeką wydawała nam się wcześniej niewyczerpana, i potem mieliśmy już trudności ze znalezieniem innych. Jung Fei Ye i jego żona, Pei Pei Ye, Chińczycy z Singapuru, pokazali nam owoce, których Europejczycy w ogóle nie znają, na przykład strąki tamaryndowca, rosnące na wysokich i splątanych, drzewiastych krzewach z różowawymi kwiatami; pitaje – wspaniałe, purpurowe, najeżone długimi zielonymi kolcami czy typowe dla Singapuru duriany – podobne do wielkich, większych od kokosa kolczastych orzechów, w których wnętrzu wyglądają rozbitek znajdował, poza mięszem, coś w rodzaju dwóch żółtawych, wysuszonych nasion w kształcie wątroby, obrzydliwych z wyglądu i zapachu, lecz bardzo przyjemnych dla podniebienia.

Myśliwi mieli mniej szczęścia, mimo że dysponowaliśmy dwiema strzelbami oraz kilkoma innymi sztukami broni, a i amunicji nam nie brakowało. Zorganizowaliśmy parę polowań, ale z jakichś powodów zwierzęta pozostawały poza naszym zasięgiem. Myśliwi smarowali sobie twarze błotem, unikali jaskrawej odzieży, perfum, dezodorantów czy sprayów przeciw komarom, sygnalizujących zwierzynie obecność człowieka już z dużej odległości, jednakże i tak zdołali ustrzelić tylko trochę ptaków, parę jaszczurek i dwie kapucynki, których, niezależnie od głodu, nikt nie zdecydował się zjeść.

Trzeciego czy czwartego dnia doszło do niespodziewanej konfrontacji. Zakładaliśmy, że na wyspie nie ma groźnych dla człowieka ssaków, a jednak owego popołudnia myśliwi wrócili do osady z wieścią, że zostali zaatakowani przez watahę gigantycznych wilków. Przypomniałem sobie wtedy wilki z *Księgi dżungli* i to, jak bardzo w dzieciństwie dziwiła mnie obecność tych zwierząt, kojarzących mi się z północnym śniegami, w Indiach (nawet jeśli książkowa „dżungla” nie była może tą dziką głuszą, jaką sobie wówczas wyobrażałem). Jeden z myśliwych, Bill Higgins, wrócił do osady w opłakanym stanie: pogryziony, zakrwawiony i śmiertelnie blady. Był potężnym, niemal dwumetrowym mężczyzną. Mieszkał w Los Angeles i był prawnikiem specjalizującym się w rozwodach. Jego żona zginęła w jakimś

wypadku. Stracił trzy palce u prawej dłoni i całą prawą rękę, którą bronił się przed wilczymi kłami, nim jego towarzysze zdołali odciągnąć zwierzę, miał zmasakrowaną. W najbardziej zacienionej i przewiewnej części osady urządziliśmy już wcześniej rodzaj „szpitala”: na osłoniętej przed deszczem przestrzeni stało trochę łóżek i prowizoryczny stół operacyjny, i to właśnie tam Joseph zbadał Billa Higginsa, kilka zaś dni później amputował mu rękę powyżej łokcia. Historia Billa przeraziła nas wszystkich.

Gwen brała udział w tamtym polowaniu i też widziała wilki. Rozmawiałem z nią wieczorem owego dnia i czułem, że jest bardzo poruszona tym, co się stało w lesie.

– Spotkać na pacyficznej wyspie kapucynki to jedno, ale spotkać gigantyczne wilki to zupełnie coś innego – powiedziała. – Juanie Barbarín, to były wilki kanadyjskie, pokryte długą sierścią z podszerstkiem, genetycznie przystosowane do życia na Północy. A najdziwniejsza była ich wielkość: wzrostem dorównywały koniom. Nigdzie nie ma takich wilków, w żadnym miejscu na kuli ziemskiej. Żyjące w tajdze wilki syberyjskie są olbrzymie, niektóre mogą podobno ważyć do stu kilogramów, ba, obdarzeni zbyt dużą wyobraźnią albo majaczący myśliwi utrzymywali nawet, że natknęli się na osobniki stu pięćdziesięciokilogramowe. Tyle że te tutaj musiały ważyć od dwustu do dwustu pięćdziesięciu kilogramów. Były monstrualne, Juanie Barbarín. Niemożliwe, zwyczajnie niemożliwe.

– Więc jak to wytłumaczysz?

– Nie wiem – odrzekła. – To nie do wytłumaczenia.

Pamiętam, że mówiliśmy wtedy również o innych dziwnych rzeczach dziejących się wokół i spytałem Gwen, czy ona też słyszy głosy, gdy zagłębia się sama w gęstwinę. Odparła, że tak, słyszy; że wszyscy je słyszymy. Spytałem, co to może być, jej zdaniem. Przyznała, że nie ma pojęcia.

– Ale ty też je słyszysz?

– Tak.

– Nikt o tym nie rozmawia.

– Ludzie się boją, że wyjdą na wariatów.

– Czasem odnoszę wrażenie, że one mówią do mnie – oznajmiłem. – Nie dość, że je słyszę, to słyszę również, że zwracają się do mnie po imieniu.

– Po imieniu? Do ciebie?

– Tak.

– Dziwne – stwierdziła. – Ja nigdy nie rozróżniam wypowiedzianych przez

nie słów.

– To typowe dla schizofrenii, prawda? – rzuciłem. – Że słyszysz głosy w swojej głowie.

– Tyle że one wcale nie brzmią w twojej głowie.

– Nie, jeśli ty też je słyszysz.

– Tak, czasem tak.

– Skoro wszyscy je słyszą, to nie jestem szalony – powiedziałem.

– Albo wszyscy jesteście szaleni.

– Albo wszyscy jesteście.

– Ale nie sądzę, żebyś był szalony, Juanie Barbarín.

– Jak idziesz przez dżunglę w grupie, to nic się nie dzieje, musisz być sam, żeby się odezwały.

– Tak, właśnie tak.

W osadzie płonęło kilka ognisk i dolatywał do nas smakowity zapach pieczonej ryby. Gwen, zajęta innymi obowiązkami, nie zdążyła zbudować sobie chatki, więc zaprosiłem ją po kolacji do siebie. Zazaczyłem, że nie mam żadnych ukrytych zamiarów i po prostu oferuję jej schronienie przed deszczem. Podziękowała mi, ale oświadczyła, że będzie się czuła swobodniej, śpiąc u boku kobiety. Musiałem zrobić dziwną minę, bo wzięła mnie za rękę i powiedziała, że się jej podobam, tyle że to zły moment na zaczynanie czegokolwiek.

Faktem jest, że choć o braku ukrytych zamiarów mówiłem szczerze, byłem akurat dość mocno podniecony. Upał, wilgoć i wymuszona przez warunki swoboda obyczajów robiły swoje. Tamtego wieczoru zjedliśmy na kolację pieczoną rybę, ciastka z marmoladą, pitaje, które nasi znajomi Chińczycy skrapiali najpierw sokiem z limonki, oraz trochę druriana krojonego w cienkie plasterki i smażonego na chipsy. Dostrzegłem Swaylę, która siedziała obok Jimmy’ego Bruëlla i zdawała się być z nim w dobrej komitywie. Cały czas miała na sobie bikini. Posiadała dwa zestawy – oba oszalamiające: jeden pomarańczowy, a drugi biały, spięty złotymi kółeczkami na biodrach i między piersiami. Po posiłku poszedłem odwiedzić Hiszpanów, żeby porozmawiać z Rosaną, i zastałem wszystkich, razem z guru, usadowionych w kręgu i gotowych do medytacji. Rosana od razu mnie zauważyła i gestami zaprosiła, żebym do nich dołączył. Takie orientalne zwyczaje nigdy mnie nie pociągały, a słowo „medytacja” przywodzi mi na myśl wspomnienia, które wolałbym wymazać z pamięci, bo sprawiają mi ból i wbijają mi się w serce jak

zaostrzone paliki, jednakże Rosana, owszem, pociągała mnie bardzo, toteż po chwili wahania zbliżyłem się i usiadłem obok. Wtedy przeżyłem spore zaskoczenie. Guru moich znajomych bynajmniej nie pochodził z Hindustanu, jak wcześniej zakładałem, choć skórę miał bez wątpienia ciemną. Dotąd zawsze widywałem go z daleka i nigdy nie przyjrzałem się jego twarzy. Obawiam się wręcz, że nie patrzyłem na niego jak na jednostkę, lecz jak na przedstawiciela pewnej kategorii ludzi. Teraz miał na sobie żółtą, ozdobioną napisami w sanskrycie koszulę i białe spodnie, w ręku trzymał gruby sznur modlitewny z nasion rudrakszy, a okazał się nie kim innym, lecz Carlosem, Brazylijczykiem, który pomagał mi przy budowie mojej chatki i którego spokojna dobroć przeniknęła mnie do głębi. A zatem, wbrew moim przypuszczeniom, Carlos nie był stolarzem ani ebenistą i nie pracował w warsztacie ani w składzie drewna. Carlos był Dharmą Mitrą. Zacząłem słuchać jego wskazówek dotyczących medytacji, ale nie bardzo mogłem się skupić. Mówił coś o róży w piersiach, róży o dwunastu płatkach, z których każdy był jakby osobnym pomieszczeniem, i o spiralnej ścieżce, która wiodła z jednego pomieszczenia do drugiego, aż do tego pośrodku, całkowicie pustego. W tym pustym pomieszczeniu paliła się świeca... Byłem tak zmęczony, że opadały mi powieki. A może już spałem i śniłem o róży z dwunastoma komnatami, z których środkowa przypominała niszę w starym, ciemnym murze, rozświetlaną płomieniem nieodkrytego jeszcze „ja”? W końcu rzeczywiście zasnąłem na siedząco, pochrapując, i Rosana musiała potrząsnąć mnie za ramię, żeby mnie obudzić. Nie wiem, ile spałem, może jedynie kilka minut, niemniej miałem całkiem niezwykły sen.

Śniło mi się, że jestem ptakiem podobnym do pawia, mam niebieskie pióra i długi złoty ogon zbliżony zresztą kształtem raczej do bażanciego, tęczyowy, połyskujący klejnotami, jarzący się od obwodów elektrycznych i kondensatorów. Bo byłem ptakiem, lecz ten ptak był zarazem czymś w rodzaju statku kosmicznego, pojazdu powietrznego, a ja znajdowałem się w głowie tego ptaka, przy złotych sterach. Jego brzuch wypełniały nienarodzone dzieci, mocno pachnące zielonym jabłuszkciem, wszystkie z zamkniętymi oczami, ściśle owinięte w białe, pięknie haftowane powijaki, tak jak owijane bywają noworodki u wielu plemion. Mój ptak fruwał ponad rozległymi przestrzeniami z masą fabryk, wież przemysłowych zwieńczonych płomieniami i czarnych niby atrament stawów, w których odbijały się te płomienie, i jeszcze ponad rozrzuconymi pośród owych ciemnych stawów

stadionami piłkarskimi, rzęsiście oświetlanymi z wysokich masztów, i ponad autostradami oświetlanymi przez aleje latarni zakręcające łagodnie w prawo lub w lewo i ginące w mrokach nocy, i ponad dzielnicami mieszkaniowymi z mnóstwem białych, niskich domów o rozświetlonych na pomarańczowo oknach w czarnym cieniu wielkich puchowców. I nasza misja, misja tego ptaka, polegała na zrzucaniu tych nienarodzonych dzieci na dół, żeby się urodziły. Leżały sobie w jego brzuchu, jak gdyby w ładowni statku albo samolotu, przypominającej nadzwyczaj długą salę z kryształowymi żyrandolami, owalnymi, ukośnie zawieszonymi lustrami i ścianami obitymi w romby z różowego adamaszku, a podłoga tej sali otwierała się czasem jak wargi ogromnej waginy, wypuszczając – niczym grzyb chmurę zarodników – owinięte w powijaki dzieci, które, niby świetliste punkciki, powoli opadały na ziemię z fabrykami, autostradami, stawami, stadionami piłkarskimi i rozświetlonymi niskimi domami. A ten wielki ptak, którym byłem i którego głos brzmiał jak szept wewnątrz różowo-adamaszkowego brzucha, mojego brzucha pełnego nienarodzonych dzieci, za każdym razem powtarzał: „Rodzić się! No, rodzić.... Pora się urodzić!”.

Rosana delikatnie mną potrząsnęła, podniosłem powieki i zobaczyłem przed sobą jej uśmiechnięte oczy oraz umalowane wargi. Powiedziała, że już po medytacji, po czym z jakiegoś powodu przysunęła swoją twarz do mojej i znowu pocałowała mnie w usta. Nie wiedziałem, czy w ten sposób przyjęło się kończyć każdą sesję – całując w usta tego, kto siedzi obok, jednakże nie dostrzegłem, by inni to robili, więc uznałem, że Rosana daje mi do zrozumienia: jeśli mnie chcesz, jestem twoja. Tak, tego drugiego pocałunku nie dało się już interpretować jako siostrzanego całusa. Pogawędziliśmy jeszcze chwilę, pocałowaliśmy się kolejne parę razy, a później zaprosiłem ją na noc do swojej chatki, ona wszakże popatrzyła na mnie nieomal wyniośle i oświadczyła, że nie, że dziękuje, że nocę spędza przy córce. Pomyślałem wtedy, że na moment zapomniałem, jakie są kobiety. Choć może po prostu zapomniałem, jakie są Hiszpanki.

Swayla składa mi wizytę

Wróciłem do siebie, wyczerpany po dniu aż nazbyt pełnym wrażeń, i położyłem się spać. Jednakże ów wieczór miał dla mnie w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Wkrótce po tym, jak rzuciłem się na swoje prowizoryczne posłanie z liści palmowych, z podkoszulkiem wypchanym ubraniami w charakterze poduszki (nigdy nie potrafiłem spać bez poduszki), zjawił się u mnie niespodziewany gość. Swayla. Wyciągnęła się obok, prawie tak samo bezcielesna jak owady, które bez przerwy obsiadały nas na wyspie, i objęła mnie. Prawą dłonią pieściła przez spodnie mój penis. Szepnęła, że ma straszną ochotę na seks. Ja jeszcze na wpół spałem. Swayla, powiedziałem, *honey*, sądziłem, że jesteś u Jimmy'ego. On mnie nie chce, odparła. A ty zawsze byłeś dla mnie taki miły. Wyglądasz na porządnego faceta. Nie chce cię, powtórzyłem zdumiony, wariując już pod wpływem dotyku jej palców, leniwych i ciepławych jak piwo. Ale przecież jesteś prześliczna. Zdjąłem jej stanik i zacząłem całować drobne, dziewczęce piersi, lecz mnie powstrzymała. Nie, czekaj, kochanie, rzuciła. Nie chcę cię oszukiwać. Najpierw musisz się dowiedzieć, kim jestem. Kim jesteś? Kim jestem? Najpierw musisz się dowiedzieć, kim jestem, powiedziała Swayla, lecz ja zrozumiałem co innego. Zrozumiałem: najpierw musisz się dowiedzieć, kim jesteś. A skąd miałem wiedzieć, kim jestem, zwłaszcza w tym miejscu, zwłaszcza tej nocy, po dniu, w którym poznałem dobroć serca pewnego brazylijskiego ebenisty, ucząc się odeń, że bez sensu jest próbować obdarowywać innych, jeśli nie ma się nic do ofiarowania; w którym dowiedziałem się, że na wyspie zwierzęta osiągają dwu- albo trzykrotnie większe rozmiary niż gdzie indziej, i śniłem, że nasz samolot, wielki ptak z mojej wizji, wyrzucił nas tutaj, *abyśmy się urodzili*, albowiem to właśnie oznaczał mój niedawny sen w kręgu medytujących: ogromny paw-bazant wypełniony nienarodzonymi dziećmi był ni mniej, ni więcej tylko boeingiem 747 należącym do linii Global Orbit i odbywającym

lot numer GO-1037 do Kalkuty, z międzylądowaniem na lotnisku Changi w Singapurze, mające się zaś urodzić dzieci w powijakach to byliśmy my wszyscy, rozbitkowie, upomniani, że „już pora”, i zesłani na tę wyspę tylko w takim celu. I mimo to ów dzień szykował mi jeszcze jedno zaskoczenie.

Swayła ujęła moją dłoń i wsunęła ją sobie między nogi. A ja dotknąłem jej małego, zabawkowego członka i drobnych jąder przywodzących na myśl ziarna opakowanej w aksamit fasoli, zwykle ściśniętych pod bikini elastyczną taśmą, żeby nie wystawały, i zrozumiałem niezwykłą wypukłość jej wzgórek łonowego, który tak zwracał moją uwagę, jak również wyjątkowość jej urody. Jestem kobietą, powiedziała Swayła, wkrótce będę nią całkowicie, po to leciałam do Indii, tylko że wciąż mam penis. Natychmiast cofnąłem rękę, bo nie chciałem pieścić męskiego przyrodzenia, ale nie odsunąłem tej ciepłej, delikatnej dłoni, która pieściła mnie. Nigdy nie pociągali mnie mężczyźni, lecz Swayła, owszem, bardzo mnie pociągała. Pociągała mnie z wielką mocą, której nie pojmowałem. Pragniesz mnie, powiedziała, lekko całując mnie w szyję i zwilżając moje usta czubkiem gorącego języka. Pragniesz mnie, ale wstydzisz się tego. Nie martw się, nikt się nie dowie. Mruknąłem, że nigdy nie uprawiałem seksu z mężczyzną, a ona, spoglądając na mnie tymi swoimi oczami, których dwuznaczny czar zaczynałem teraz rozumieć, i wskazując swoją nienaturalnie gładką skórę, swoje idealne piersi, swoje kobiece biodra, spytała, czy naprawdę uważam ją za mężczyznę. Wkrótce oboje zostaliśmy nadzy. Polizała mój członek i wyciągnęła się, żebym w nią wszedł. Widziane od tyłu jej ciało – giętkie, szczupłe, z wyraźnie zaznaczoną talią i pełnymi biodrami – było niewątpliwie ciałem kobiety. Wyczuwałem jej pożądanie, tnące ją od środka jak bicz, jednakże nagle do mnie dotarło, że dalej się nie posunę. Dosłownie płonęła z żądz. Włóż mi go, włóż mi go, szeptała. Tyle że pragnęła, bym wziął ją tak, jak raczej nie życzą sobie tego kobiety – wręcz zgwałcił. Pragnęła zostać zdominowana przez coś silniejszego od siebie, doznać upokorzenia i kary, które podświadomie uważała za zasłużone. Pragnęła pograżyć się w absolutnym upodleniu, żeby później, choć na chwilę, osiągnąć spokój i szczęście. Nie chciała tego stosunku, żeby przeżyć pełnię, komplementarność wobec drugiej osoby, lecz żeby się unicestwić, na moment wreszcie przestać istnieć. Znienacka poczułem wstręt i litość. Nie mogę, przepraszam, powiedziałem. Przepraszam, kochanie, jesteś bardzo piękna, ale nie mogę. Znienacka zobaczyłem w niej nie dziwną kobietę, lecz przebranego chłopca, i poczułem wstręt. Podniosła się i zaczęła poprawiać bikini. Miękkim

męskim głosem rzuciła: nic się nie martw, słońce. Rzadki ptak ze mnie. Nie dla wszystkich. Ale ty pragniesz mnie tak, jak jeszcze nigdy nikogo. Przyznaj. Powiedziałem, że to prawda; że przyznaję. Potem zebrała się pospiesznie i znikła.

Umiera Noboru. Błękitna kolumna

Myślę, że wszyscy słyszeliśmy, jak płakał Bill Higgins, gdy dowiedział się od Josepha, co go czeka. Płakał nie z bólu – zresztą mieliśmy jeszcze sporo anestetyków – lecz ze strachu i rozpacz. Kły wilka, który zaatakował go w dżungli, uszkodziły mu prawą rękę tak dalece, że konieczna okazała się amputacja. Inaczej, jak wyjaśnił mu Joseph, w ranę wdałaby się gangrena, która najdalej po tygodniu skończyłaby się śmiercią. Brzytwy znalezione w samolocie były już stałym elementem wyposażenia szpitala, niemniej Joseph musiał poprosić Carlosa, mojego dobrodusznego przyjaciela z Belo Horizonte, o piłę, żeby przeciąć kość. Po operacji kilkakrotnie odwiedziłem Billa Higginsa i wstrząsnęło mną to, co zobaczyłem w jego oczach.

Każdy ma swoją granicę – granicę cierpienia i nadziei – poza którą rozpada się i niknie. To jedna z rzeczy, których nauczyłem się na wyspie, podobnie jak tego, że nikt nie wie z góry, gdzie ta granica przebiega. Czasem znajduje się bardzo blisko. Czasem ktoś stawia nieszczęściom czoło z wytrwałością, jaką przypisujemy herosom. Jedni są jak baobaby, inni jak trzciny. W przypadku Billa Higginsa amputacja prawej ręki przepełniła czarę goryczy. Zobaczyłem to w jego oczach, pełnych lęku i bezbronych. Stwierdziłem, że wilcze zęby nie tylko pozbawiły go ręki, ale również zabiły jego duszę. Bill dał się owładnąć przerażeniu. Posiwał. Był już stary. Był już martwy.

Jednym z rannych, których przenieśliśmy do nowego obozu na topornych noszach, był Noboru Endo, Japończyk, który nosił to samo nazwisko co słynny pisarz, autor *Kota Michio*, *Dziennika dawnego cienia* i *Korba na planecie niewiernych kobiet*. Urodził się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, ale wyglądał dość staro. Doznał poważnych obrażeń wewnętrznych i powoli umierał, a Joseph nic nie mógł na to poradzić.

Ja wolałem się nawet nie zbliżać do naszego szpitala – gdzie Roberta, Sophie, Josephine i Jean Jani razem z doktorem opiekowały się rannymi,

w strasznych warunkach, zmuszone tamować krwotoki niemal gołymi rękami i bezradnie patrzeć, jak umierają kolejni ludzie – jednakże czułem, że powinienem jakoś pomagać cierpiącym, więc następnego dnia po przeprowadzce, po południu, wybrałem się do Noboru z wizytą. Był wśród nas jedynym Japończykiem i wydawał mi się szczególnie samotny. Gdy wspólnie z Santiagiem Reiną nieśliśmy go na noszach, powiedział nam, że źle znosi nadmiar słonecznego światła na wyspie, jak również konieczność ciągłego przebywania pod gołym niebem, pośród natury, na otwartej przestrzeni. Spytałem, czy ma agorafobię, na co odrzekł, że nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale że przed podróżą do Stanów Zjednoczonych spędził prawie trzy lata w zamknięciu, ani razu nie wychodząc na dwór. Wyjaśnił nam, że to syndrom hikikomori (wtedy po raz pierwszy usłyszałem to słowo), polegający na tym, że ludzie zamykają się u siebie, śpią za dnia, w nocy zaś siedzą przy komputerze. Uznałem wtedy, że kryje się za tymi wyznaniem historia, którą chętnie bym poznał. Po dłuższych poszukiwaniach udało mi się zdobyć okulary przeciwsłoneczne (ostatecznie znalazł je dla mnie Jimmy Bruëll, żądając w zamian mojego stetsona), które zaniósłem Noboru, by ulżyć mu nieco w jego fotofobii. Poszedłem najpierw do szpitala, lecz tam go nie zastałem. Josephine powiedziała, że Joseph spisał go już na straty. Była czterdziestotrzyletnią Australijką, matką dwójki czekających na nią w Sidney dzieci, oceanolożką (tak, chyba już o tym wspominałem, trudno mi się połapać, o czym już mówiłem, a o czym jeszcze nie), i patrzyła na mnie swoimi bardzo jasnymi, niebieskimi oczami, zaciskając zęby, wyraźnie na granicy łez. Dodała, że Noboru najprawdopodobniej umrze lada chwila, dlatego ułożyli go pod palmami, nad laguną, gdzie jest mu wygodnie.

Jego przypadek od początku był wyjątkowo ciężki. W trakcie katastrofy wbił mu się w brzuch metalowy pręt długości około trzydziestu centymetrów, ułamana część fotela, która przeszła go jak szpada. Zdołaliśmy wydostać go z samolotu razem z tym prętem. Miał przekłutą ścianę jamy brzusznej, ale krwawił niewiele. Wydawało mi się to wręcz magiczne – ten kawałek metalu sterczący z jego ciała jak gdyby nigdy nic. Noboru spędził tak pierwsze popołudnie i noc na wyspie. Następnego dnia Joseph postanowił wyjąć mu to żelastwo. Jak wytłumaczył mi później, w takich razach, jeśli nie dojdzie do krwotoku, istnieje szansa na przeżycie. Do krwotoku nie doszło, toteż ranę zaszyto i czekano, co będzie dalej. Niestety, szybko pojawiły się objawy zapalenia otrzewnej. Pręt musiał uszkodzić wnętrzności i bakterie wywołały

rozległe zakażenie. Samo wyrażenie „zapalenie otrzewnej”, wcześniej pozbawione dla mnie większego znaczenia, zaczęło budzić we mnie zgrozę, bo już wiedziałem, że w naszych warunkach oznacza niemal pewną śmierć. Spytałem Josepha, czy nie mógłby rozkroić Noboru z powrotem i jakoś mu pomóc, ale w odpowiedzi usłyszałem, że nie na wiele by się to zdało, poza dokładniejszym ustaleniem jego stanu. W normalnym szpitalu można by otworzyć jamę brzuszną, przepłukać ją i zszyć rozerwaną część przewodu pokarmowego – czy to żołądek, czy jelita – jednakże przy naszych skąpych środkach podobna operacja była niewykonalna. Wkrótce wystąpiło zasinienie dolnych kończyn, a brzuch Noboru stwardniał jak deska. Chłopak strasznie cierpiał, miał wysoką gorączkę. Joseph podawał mu środki przeciwbólowe, agonia trwała całymi dniami. W głębi duszy liczyłem na to, że nasz doktor się myli i że Noboru, skoro tyle wytrzymał, w końcu wyzdrowieje. Tak się wszakże nie stało. Śmierć zbliżała się wielkimi krokami.

Zastałem Noboru nad laguną, wspartego o pień palmy. Wyglądał okropnie – z poszarzałą twarzą i zgaszonymi, umykającymi w bok oczami. Trząsał się od gorączki, chwilami majaczył i nie wiedział, gdzie się znajduje, dokładnie tak, jak zapowiadał Joseph. Rozpoznał mnie jednak. Chyba się nawet na mój widok ucieszył, lecz nie miał już siły, by się choćby uśmiechnąć. Podałem mu okulary, ale ponieważ nie był w stanie ich sam założyć, musiałem mu pomóc. Wymruczał, że na tej wyspie jest za dużo słońca, a on przecież nie znosi słońca...

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Bardzo źle – odparł. – To już koniec. Wiem o tym. Nikt mi nic nie powiedział, ale ja wiem.

Później spytał niespokojnie, czy brałem udział w wyprawie po rzeczy z luku bagażowego (nie wiem, skąd się dowiedział, niemniej człowiek zawsze znajdzie sposób, żeby ustalić to, co go interesuje) i czy nie widziałem tam może bardzo długiej, złotawej skrzyni. Skrzyni, powiedział, w kolorze słońca. Z jej opisu (dwa metry dwadzieścia centymetrów długości, siedemdziesiąt centymetrów szerokości, metr wysokości) wynikało, że chodzi o coś w rodzaju złotawego sarkofagu. Przyznałem, że nie dostrzegłem na dole niczego podobnego. Noboru twierdził, że ta skrzynia by błyszczała – że wykonano ją z bardzo błyszczącego metalu i błyszczałyby nawet w ciemności. Spytałem, co było w środku, a on odrzekł wymijająco, że ta złota skrzynia stanowiła powód jego podróży; że wyprawił się z Jokohamy do Los Angeles, aby ją przemieścić

(właśnie tego czasownika użył: „przemieścić”) z Ameryki do Japonii, i że ani ona, ani jej zawartość pod żadnym pozorem nie mogą się zgubić. Właśnie ze względu na nią zrezygnował ze swojego bez mała trzyletniego odosobnienia, z hikikomori. Wydawał się bardzo zdenerwowany i zaproponował mi spore pieniądze – chyba dziesięć tysięcy dolarów – bylebym zechciał wrócić do samolotu i jej poszukać. Powiedziałem, że za takie rzeczy nie oczekuję wynagrodzenia, i zapytałem wprost, czy chodzi o trumnę.

– Nie, to nie trumna – odparł po chwili wahania Noboru, albowiem, jak sądzę, miał problem z angielskim słowem *coffin*. – W trumnie chowa się zmarłych, prawda? A więc to nie trumna.

Umarł niedługo potem, właściwie na moich rękach, biedaczek. Zaraz zjawiała się Josephine i po osłuchaniu go oznajmiła, że faktycznie nie żyje. Przenieśliśmy go do szpitala i ułożyliśmy na jednym z łóżek, rozścieliwszy na palmowych liściach płótno, które później miało posłużyć za całun. Joseph potwierdził zgon i jako przyczynę śmierci podał rozległe zapalenie otrzewnej. Postanowiliśmy urządzać pogrzeb jeszcze tego samego popołudnia. Nie było powodu, by z tym zwlekać. Na wyspie ciała błyskawicznie ulegały rozkładowi i już po kilku godzinach zwłoki Noboru zaczęłyby wydzielać trupi odór, przyciągając owady i inne zwierzęta.

Jednakże nie udało nam się pogrzebać Noboru. Christian, Santiago i ja przez kilka godzin kopaliśmy głęboką jamę jakieś dwieście metrów od osady (cmentarz, gdzie pochowaliśmy większość zmarłych, znajdował się na „plaży samolotowej”, zbyt teraz daleko), a kiedy była gotowa, zawinęliśmy zwłoki Japończyka w białe płótno, na którym leżał, i umieściliśmy je na ziemi, obok dołu. Ze wszystkich rozbitków to ja rozmawiałem z Noboru najwięcej i w związku z tym najlepiej go znałem, toteż mnie przypadło w udziale wygłoszenie mowy pogrzebowej. Mówiłem krótko. Pożegnałem Noboru i powiedziałem, żeby spoczywał w pokoju albo żeby trafił tam, gdzie człowiek powinien trafić po śmierci, jeżeli takie miejsce istnieje. Więcej nie było trzeba. Rytuał został odprawiony.

I nagle coś się zdarzyło. We wnętrzu wyspy rozpętała się burza z błyskawicami i piorunami. Tyle że nie padało, nigdzie też nie kłębiły się chmury. W oddali grzmiało i błyskało, lecz niebo nad całą okolicą pozostawało błękitne. Uczestnicy pogrzebu raz po raz lękliwie spoglądali na południe. Myślę, że wszyscy pragnęli jak najszybciej zakończyć ceremonię i wrócić do swoich chat, z obawy przed deszczem.

Wtedy ponownie rozległ się tamten krzyk, tamto przeraźliwe wycie, które słyszeliśmy już poprzednio. Odnosiłem wrażenie, że tym razem rozbrzmiewa znacznie bliżej. Ba, z każdą chwilą bliżej. Odnosiłem wrażenie, że coś sunie ku nam przez dżunglę – coś ogromnego i straszego. Coś wielkiego i wspaniałego. Kiedy o tym myślałem, próbując to sobie wyobrazić i ze strachem zwracając oczy ku miejscu, skąd dobiegało wycie, niemal dygotałem ze szczęścia. Coś nadciągało! Wreszcie! Coś się miało w końcu stać. Choćby było złe, nawet potworne – to bez znaczenia. Santiago i Christian stali w wykopanej przez nas jamie, gotowi przejąć zwłoki Noboru i złożyć je w ziemi. Grób miał przysłowiowe sześć stóp głębokości, tak że głowy mężczyzn nie wystawały nad jego krawędź. Mimo to obaj obrócili się w stronę grzmotów i błysków. Przeraźliwe wycie rozległo się znowu. Krzyk bólu i przerażenia prosto z serca świata.

– Patrzcie! – wrzasnął Santiago, pokazując w górę.

A z góry sypały się błyskawice. Złote i błyszczące, wszędzie dookoła. Sypały się z czystego nieba. Srogie, napięte, proste jak strzała. Nie wyglądały jak błyskawice.

No i była jeszcze ta wielka, mniej więcej dwustumetrowa niebieska kolumna. Nie wiem, z czego zrobiona. Nie wiem, skąd się wzięła – czy wytrysnęła z ziemi, czy nadciągnęła ku nam ponad dżunglę. Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Przypominała trąbę powietrzną, ale nie wirowała ani w ogóle się nie poruszała. Po prostu trwała nad naszymi głowami, stercząc spomiędzy drzew ku niebu. Była błękitna, ów błękit wydawał się wszakże gęstszy, bardziej lśniący niż błękit nieba. Wycie powtórzyło się po raz kolejny, lecz dochodziło teraz z góry. Płynący spod firmamentu krzyk rozdzierającego bólu i rozpaczony nie do ukojenia.

Złote gromy waliły w piasek, między drzewa, podświetlając je i podpalając liście oraz gałęzie, które spadały na ziemię całe w płomieniach. Prawie wszyscy obecni rzucili się w popłochu do ucieczki. Kilkoro z nas zostało, zapewne sparaliżowanych z przerażenia, niezdolnych do żadnej reakcji. Jedna z błyskawic trafiła Christiana, gwałtownie go oświetlając, spowijając w chmurę biało-złotego blasku. Myślałem, że go zabiła – ale nie. Był cały i zdrowy, tyle że wciąż otulony w tę nienaturalną jasność. Inna rąbnęła nieopodal Wade'a, który odskoczył do tyłu. Jeszcze inna uderzyła w ciało Noboru. A potem kolejna i kolejna – trzy z rzędu ugodziły bezwładne, zawinięte w surowy całun zwłoki na krawędzi otwartego grobu. Tkanina lekko

poczerniała, jej brzeg zatlił się, po czym zgasł. Wreszcie błyskawice ustały, a błękitna kolumna po prostu rozplynęła się w powietrzu. Grzmoty i wycie umilkły.

Natomiast my krzyczeliśmy. Krzyczał Christian. Krzyczał Santiago, niezgrabnie usiłując wydostać się z dziury w ziemi. Krzyczał Wade. I ja też krzyczałem. Sheila, krzycząc, pobiegła do Christiana, wskoczyła do jamy i mocno się do niego przytuliła. Ciągłe trwał wokół niego ten złotawy poblask, niewydzielający jednak ciepła.

Wówczas ujrzałem, że ciało Noboru się porusza. Joseph i Tudelli, również obecni, też to zauważyli. Początkowo założyłem, że wyładowania elektryczne, które trafiły w ciało (jeżeli to, co widzieliśmy, to naprawdę były wyładowania elektryczne) wyzwoliły w nim jakieś skurcze mięśniowe. Ale nie o to chodziło. Joseph odwinął całun, by sprawdzić, co się dzieje, i wtedy zobaczyliśmy, że Noboru próbuje zginać ręce i nogi oraz kręci głową na prawo i lewo. Później na chwilę znieruchomiał. Następnie otworzył oczy i usiadł na piasku, jakby się uspokajając. Mocno zakasłał. Wciąż miał otwarte oczy. Otwarte oczy umarłego, pomyślałem. Tyle że on nie był umarły. To znaczy: już nie był. Uważnie nam się przypatrywał. Zawołałem: ty żyjesz! Zbliżyłem się, a on popatrzył na mnie tak, jakby mnie nie rozpoznawał. Ukląknę przed nim.

– Noboru! – krzyknąłem. – Noboru, ty żyjesz!

– No tak – odrzekł, jakby to było oczywiste.

– Ale wcześniej nie żyłeś – powiedziałem. – Umarłeś.

– Umarłem? – rzucił zdziwiony, rozglądając się dokoła i natrafiając wzrokiem na otwarty grób obok.

– Umarłeś – potwierdziłem. – Byłeś martwy.

– Ja byłem martwy?

Joseph złapał go za nadgarstek i sprawdził mu tętno. Spoglądał nań z konsternacją i strachem. Także Wade podszedł bliżej. Przy czym w jego oczach nie było ani konsternacji, ani strachu. Zerknąłem na niego, a on do mnie mrugnął. Uśmiechał się. Znowu się uśmiechał. Ale dlaczego? Co takiego, w przeciwieństwie do reszty z nas, wiedział?

Od tego momentu Noboru zaczął szybko wracać do zdrowia. Kilka dni później mógł już zrezygnować z płynnej diety, coraz więcej spacerował i żartował. Objawy zapalenia otrzewnej, a nawet blizna po ranie, całkowicie znikły.

To, co się wydarzyło, próbowano sobie tłumaczyć na rozmaite sposoby.

Tudelli w kółko gadał o cudzie. Nie on jeden. Nasi uduchowieni towarzysze – Christian i Sheila, Violeta Lubetzki, moi szurnięci przyjaciele – też byli gotowi (albo wręcz zdecydowani), by przyznać, że chodziło o cud. Joseph zapewniał, że bez cienia wątpliwości Noboru kilka godzin wcześniej umarł, chociaż niektórzy kwestionowali jego słowa, sugerując, że – być może z przepracowania i wyczerpania – pospieszył się ze stwierdzeniem zgonu. Josephine wszakże przypomniała, że ona również osłuchiwała Noboru i przekonała się osobiście, że jego serce przestało bić. Krążyły wersje mówiące o „zawieszanej śmierci” i o sercach, które biją tak słabo, że aż niewykrywalnie, jednakże Joseph utrzymywał, iż Noboru miał wszystkie znamiona śmierci, nie tylko zatrzymanie czynności serca. Nie oddychał, temperatura jego ciała znacząco spadła, a po niespełna trzech godzinach pojawiły się objawy *rigor mortis*. Rozkład ciała w tropikach postępuje błyskawicznie, toteż i woń wydzielana przez zwłoki nie pozostawiała złudzeń. Joseph podkreślał ponadto, że śmierć zachodzi nie w chwili, gdy serce przestaje bić, lecz gdy mózg ulega uszkodzeniu uniemożliwiającemu dalszą kontrolę funkcji życiowych. Zatrzymanie czynności serca w połączeniu z zanikiem oznak życia takich jak oddychanie czy krążenie krwi określa się mianem „śmierci klinicznej”: nie jest to jeszcze prawdziwa, biologiczna śmierć, jako że mózg przez pewien czas dalej działa. Jednakże pozbawiony tlenu przez okres wahający się od trzech do piętnastu minut ulega nieodwracalnym zmianom. W szpitalu można utrzymać przy życiu pacjenta, którego serce i płuca nie radzą sobie samodzielnie, tyle że do tego potrzeba specjalnej aparatury. Jeśli zaś mózg nie zostanie w ten czy inny sposób obsłużony, umiera. I wtedy następuje śmierć biologiczna, niemożliwa do cofnięcia. Tak jak to się niewątpliwie stało z naszym Noboru, tłumaczył Joseph.

Jedni mówili więc o cudzie, drudzy z kolei skupiali się na ogromnej błękitnej kolumnie, krzyku z nieba i gromach – zwłaszcza tych trzech, które uderzyły w ciało Noboru. Ponieważ jednak tylko część z nas widziała to wszystko z bliska, a i tak nie wszyscy widzieliśmy to samo (niektórzy opowiadali o kolumnie błękitnego światła, inni o czymś w rodzaju chmury zawieszanej nad dżunglą, jeszcze inni o niebieskim olbrzymie deptającym drzewa czy podobnym fantastycznym stworze), poza tym zaś każdy w końcu wie, czym jest piorun, jak działa i że potrafi ożywiać zwłoki jedynie w starych powieściach gotyckich albo w horrorach wytwórni Hammer, cała ta poplątana

i absurdalna historia poszła ostatecznie w niepamięć.

Trudno pamiętać to, czego nie da się nazwać. Wyrażenie „błękitna kolumna” nic nie znaczy, jeśli nie odnosi się do architektury czy rzeźby. Wszystko to, czego nie potrafimy zdefiniować, nowe rzeczy, których nie potrafimy opisać, umykają naszej pamięci, a nawet naszemu postrzeganiu.

Pozostały wszakże skutki owych świetlistych gromów, które – zgodnie z tym, co widziałem albo wydawało mi się, że widziałem – spadły nie tyle z nieba, ile gdzieś ze szczytu tej niesamowitej, nagle wypiętrzonych ponad nami błękitnej kolumny. Co do Christiana – chodził nieustannie spowity w złotawą mgiełkę, wyraźniej widoczną w nocy. Co do Noboru – efekt był jeszcze bardziej spektakularny.

Dostrzegłem, że Joseph czuje się po tym wszystkim całkowicie rozbity. Zupełnie jakby coś w nim pękło. Myślę, że był spośród nas najlepiej przygotowany na spotkanie ze śmiercią i najgorzej – na stawienie czoła skandalowi zmartwychwstania.

Istoty ludzkie nie pojmują stanów przejścia. Nie potrzebują ich. Natychmiast przywykają do zmiany, szybko zapominają o tym, co było wcześniej, i godzą się z tym, co jest teraz, jakby istniało od zawsze. Noboru całkowicie wyzdrowiał, zaczął budować sobie chatkę i żyć normalnym życiem rozbitka. Historia o jego „zmartwychwstaniu” z wolna popadała w zapomnienie. Ostatecznie „umarł” tylko na kilka godzin. Mówił mi, że w tym czasie wiele rzeczy mu się śniło i że dzięki całemu temu doświadczeniu odkrył, iż po życiu następuje coś zbliżonego właśnie do snu. Spytałem, o czym śnił i czy były to dobre czy złe sny, lecz odpowiedział, że nie jest jeszcze gotów na rozmowę na ten temat, choć jednocześnie zapewnił, że kiedyś mi je opowie – te sny, które miał, kiedy był martwy.

Kilkakrotnie rozmawiałem o nim z Josephem i poczciwy doktor zawsze podkreślał, że choć w praktyce lekarskiej nie brak przypadków niewyjaśnionych, sprzecznych z logiką, zwyczajnie nie potrafi sobie dać rady z tym, co się niedawno wydarzyło. Zapewniał, że nie wierzy w cuda, lecz to, co się przytrafiło Japończykowi Noboru, przypomina cud bardziej niż cokolwiek innego. Istnieją, owszem, rośliny, których spożycie skutkuje pozorną martwością, a także owady i ryby, których jad wywołuje zbliżony efekt. Jednakże Noboru był martwy nie pozornie, lecz naprawdę. I, abstrahując już od wszystkiego innego, z pewnością miał niezwykle poważne zapalenie otrzewnej. Jak to zatem możliwe, że, ot tak, mu przeszło? Jak to możliwe, że

nie została nawet blizna po ranie?

Przy okazji opowiedziałem Josephowi o snach Noboru, które również uznał za niemożliwe. Oświadczył, że pozbawiony tlenu, martwy mózg nie jest w stanie wytwarzać żadnych obrazów. Umarli nie śnią, podkreślił. Odparłem, że może w takim razie, jak zresztą niektórzy twierdzą, sny nie biorą się z mózgu. Nie, nie, zaprotestował, nie, John, to wszystko zwykłe wymysły. Świadomość nie może istnieć po śmierci mózgu. Świadomość jest jego funkcją. Cóż, teoretycznie zmarli nie mogą zmartwychwstawać, zauważyłem. Co do tego, powiedział, masz całkowitą rację.

Próbujemy się rozerwać

Budowa Osiedla Katastrofa, jak nazywali naszą osadę znajdujący się wśród rozbitków Latynosi, zajęła nam więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Potrzebowaliśmy latryn, kuchni i podstawowych wygód, żeby – na przykład – nie jeść na ziemi. Nasi stolarze pracowali niemal bez przerwy.

Jednakże mimo obowiązków związanych z urządzaniem osady i zdobywaniem pożywienia wolnego czasu mieliśmy więcej, niżbyśmy sobie życzyli. W walizkach z samolotu znaleźliśmy dużo książek w różnych językach i sporo osób spędzało wolne chwile na czytaniu. To właśnie wtedy Jimmy Bruëll, w większym niż inni stopniu obdarzony smykałką do interesów, stworzył swoją bibliotekę, Bibliotekę Bruëlla, i wypożyczał książki w zamian za drobne upominki. Handlował też lekami, artykułami pierwszej potrzeby (kremami, płynami kosmetycznymi, plastrami, prezerwatywami, tytoniem) i żywnością. Nikt nie wiedział, skąd on to wszystko bierze.

W tych pierwszych dniach i tygodniach ciągle czekaliśmy na ratunek i narzekaliśmy na nudę tego przeciągającego się oczekiwania. Ciągle wypatrywaliśmy naszych zbawców, na morzu i na niebie, i niekiedy całymi godzinami nie robiliśmy nic innego. Przesiadaliśmy na plaży, przeświadczeni, że teraz to już długo nie potrwa. Tyle że nikt się po nas nie zjawiał, dni mijały, mnóstwo ludzi umarło i trzeba było jakoś sobie radzić. Dlatego w końcu, powoli, zaczęliśmy przywykać do myśli, która początkowo wydawała się nie do pomyślenia: że nikt nas nie uratuje i że utknęliśmy na tej wyspie opuszczeni i samotni na zawsze.

Nasze rozrywki stawały się z czasem coraz bardziej zróżnicowane i, w pewnym sensie, wyrafinowane. Ernst-Maria Hovorka, emerytowany profesor antropologii z UCLA, z pochodzenia Austriak, wygłosił wykład pod tytułem „Hermeneutyka rytualnego uczesania i tatuażu w ceremoniach ślubnych rdzennych ludów Polinezji”, co okazało się tak fascynujące, że wszyscy

prosiliśmy prelegenta, by szybko przygotował kolejną pogadankę na temat, który uzna za odpowiedni. zaproponował następujące: „Rytuał węża u Indian Pueblo w Stanach Zjednoczonych i pochodzenie zła na świecie”, „Mistyczne znaczenie zambomby (znanej też jako *Reibentrommel*, bęben pocierany) w obrzędach Indian Sibundoye z kolumbijskiej Amazonii” oraz „Morfologiczne kryteria wyznaczania mistycznego kanonu czystych form w oparciu o rytmiczno-linearne parametry instrumentów muzycznych”. Porażeni ogromem jego wiedzy ostateczny wybór pozostawiliśmy jemu.

Bentley był kiedyś lekarzem Hovorki i niejednokrotnie widywało się ich, jak rozmawiali, spacerując niespiesznie nad naszą laguną. Wyglądali ciekawie: wysoki, dystyngowany Bentley, z jedwabistymi ciemnymi włosami oraz z nieodłączną fajką z pianki morskiej w zębach, oraz siedemdziesięcioletni austriacki profesor o bujnych siwych wąsach i długich drżących nogach – dwa autorytety w swoich dziedzinach, przechadzające się po drugiej stronie błękitnego zbiornika (zdaje mi się, że na przeciwległy brzeg przepływali łódką doktora Masuda), stara mądrość Ameryki i młoda Europa, skryte w cieniu tropikalnych kamforowców.

Podobno dwa albo trzy lata wcześniej profesor spędził półtora roku w szpitalu im. Emila Kraepelina w Los Angeles, gdyż zdarzył mu się epizod psychotyczny połączony ze „starczą manią prześladowczą” oraz usiłowaniem samobójstwa, i Bentley należał do zajmującego się nim zespołu lekarzy. Hovorka miał zresztą wcześniej wiele podobnych, choć nie tak poważnych epizodów. Do szpitala oddali go żona i syn, ponieważ miał niekontrolowane ataki furii i silne halucynacje: widywał ubranych na czarno mężczyzn, którzy osaczali go, wyłaniając się zza mebli, wychodząc ze ścian, zza rogów budynków i zza drzew, i próbowali go złapać oraz zakneblować, wpychając mu do ust brudne, obrzydliwe rzeczy. Był przekonany, że ci ludzie w czerni zamierzają porwać go wraz z żoną i synem, by poddać ich eksperymentom z modyfikacją świadomości, jak również straszliwym operacjom chirurgicznym, i gdzieś (pewnie w pierwszym lepszym sklepie z bronią) zaopatrzył się w rewolwer, którym groził bliskim, powtarzając, że pragnie ich uratować przed losem gorszym od śmierci. Kiedyś usadził ich w salonie, niby to chcąc porozmawiać, po czym wyciągnął broń i oświadczył: „O siódmej po nas przyjdą, nie mogę pozwolić, żeby dostali was w swoje ręce żywych”. Później zaczął ich obwiniać o pozostawanie w zмовie z jego oprawcami i dostał obsesji na punkcie, że jego żona tak naprawdę nie jest jego żoną: brał

ją za swoją narzeczoną z młodości, Selmę, która zginęła w wypadku kolejowym w Szwajcarii. Coraz bardziej pogrążał się w fobiach i maniach. Mył ręce nawet trzydzieści razy dziennie i prawie nic nie jadł, ze strachu przed otruciem. Utrzymywał, że gdzieś w jego własnym domu znajduje się skrzynka z bardzo niebezpiecznym radioaktywnym materiałem, który zakłóca jego myśli i wywołuje omamy, i całe dni spędzał, szukając tej skrzynki, w przeświadczeniu, że tamci ludzie w czerni, a także jego żona i syn przenoszą ją z miejsca na miejsce, z pomieszczenia do pomieszczenia, żeby jej nigdy nie znalazł. Kolejna z jego obsesji wiązała się z przekonaniem, że otaczająca go przestrzeń to coś w rodzaju celowo rozmieszczonych wokół dekoracji: żywopłoty w parku miały niepostrzeżenie zawieść go tam, gdzie czekali rabusie; cienie drzew na trawniku układały się w zaszyfrowaną wiadomość, ostrzegającą go przed zasadzkami i najrozmaitszymi niebezpieczeństwami; plamy tynku na murze – podobnie, raz (bo przy innych okazjach chodziło o głupstwa i dziecinne gry słów) odczytał w nich nawet fragment z *Sonetów do Orfeusza* Rilkego, wersy, które mówiły po niemiecku: „Lustra: któż kiedy opisu dokona tego, co jest waszą istotą¹”. Tak się złożyło, że w owym czasie w jego domu trwał remont, burzono ściany i przemeblowywano pokoje, i profesor – który zresztą wcześniej sam nalegał na przebudowę, z zamiarem powiększenia biblioteki i połączenia jej z gabinetem – rzucał się na robotników, biorąc ich za ciemne postacie ze swoich omamów, jednego zaś chłopaka z Jamajki wręcz ranił nożem. W szpitalu im. Kraepelina aplikowano mu silne leki i poddawano go intensywnej terapii z zastosowaniem długich chłodnych kąpeli oraz spacerów na łonie natury, jak również „arteterapii”, w której to dziedzinie Kraepelin, jak się zdaje, przodował. Powrót profesora do zdrowia okazał się powolny i trudny, przerywany atakami wściekłości, w trakcie których chory bił pielęgniarzy, aż trzeba go było przywiązywać do łóżka, i wykrzykiwał nieprzyzwoite słowa po angielsku, niemiecku, łacinie i w jakimś jeszcze, nieznanym pracownikom szpitala języku – języku, jak się okazało, Indian Sibundoye, za największą obelgę uważających nazwanie kogoś „ślepą kapibarą” (zupełnie jakby nie dosyć obelżywe było nazwanie kogoś po prostu „kapibarą”). Ataki te zdarzały się najczęściej z rana. Popołudniami natomiast profesor stawał się człowiekiem nadzwyczaj kulturalnym i sympatycznym, przyjmował wizyty, popijał herbatkę, wdzięcznie odginając mały palec, przechadzał się między parkowymi topolami i nader inteligentnie

żartował ze swojego „szaleństwa”. Ponieważ po czterech czy pięciu miesiącach halucynacje i ataki furii całkowicie ustały, Bentley zaproponował mu, żeby w ramach terapii przygotował wykład na wybrany przez siebie temat. Profesor podszedł do sprawy bardzo poważnie, poprosił o przywiezienie mu z domu książek i notatek, a także różnych map, fotografii i reprodukcji dzieł sztuki, po czym zamknął się na kilka tygodni w pokoju, czytając owe książki i notatki i przygotowując plansze, do których przypinał mapy, fotografie i reprodukcje. Wykład dotyczył kultury i zwyczajów Indian Pueblo z południowego zachodu Stanów Zjednoczonych i nosił podtytuł: „Dlaczego na świecie istnieje zło?”. Bentley uznał, że dobrze by było, gdyby Hovorka wystąpił w sali konferencyjnej, więc wszystko zorganizowano z wielką pompą, zapraszając cały personel medyczny i starannie wyselekcjonowanych pacjentów. Wystąpienie okazało się wielkim sukcesem i, jak opowiedział mi Bentley, stało się dla profesora początkiem prawdziwego procesu ozdrowieńczego. *Symbol tut wohl*, zdanie wygłoszone wtedy przez Hovorkę, przekształciło się w żart bez końca powtarzany w małej szpitalnej społeczności. Symbole ci służą.

Wkrótce odbyły się u nas kolejne wykłady. Luigi Campanella mówił o elektryczności i elektromagnetyzmie, niezwykle zresztą zajmująco, jako że większość z nas nie miała pojęcia, iż bieguny magnetyczne Ziemi zmieniają położenie, przemieszczając się niby renifery albo pingwiny, i że na przykład ten znajdujący się obecnie na półkuli północnej od dłuższego czasu przesuwa się o jakieś dziesięć kilometrów rocznie w kierunku Syberii. Sądziłem zawsze, że magnetyzm ziemski to zjawisko stałe i niezmienne i że ładunek elektromagnetyczny naszej planety jest ściśle związany z jej masą, jednakże Luigi wytłumaczył nam, że pole magnetyczne Ziemi wiąże się z ciągłym obracaniem się w jej wnętrzu ogromnego żelaznego rdzenia o kształcie zbliżonym do wrzeciona (takim samym, co zauważył profesor Hovorka, jak u platońskiego „demiurga”), tak wielkiego (masą dorównującego Księżycowi), że jego skrajne punkty niemal dosięgają biegunów. Tu Campanella naszkicował nam kulę ziemską, w której wnętrzu znajdowało się coś, co przypominało nie tyle wrzeciono, ile powykęcany korzeń mandragory albo ludzką dłoń z palcem wskazującym celującym w górę i z rozłożonymi na boki małym palcem oraz kciukiem. To „wrzeciono”, zrobione z litego żelaza, ma tę samą temperaturę co powierzchnia Słońca i jest powleczone warstwą żelaza w stanie ciekłym. Z tarcia między tym stałym rdzeniem a jego płynną otoczką

bierze się elektromagnetyzm. Tak czy owak, wyjaśniał dalej Campanella, wciąż nie wiemy, jak dokładnie działa to gigantyczne dynamo, jakim cudem wytwarza równie potężne pole ani dlaczego jest dwubiegunowe, a jego bieguny niemal dokładnie odpowiadają biegunom ziemskim.

Szczególnie zdumiało mnie to, że jądro Ziemi, będącej wszak kulą, samo nie jest kulą, czymś w rodzaju idealnej pestki awokado, a poza tym nie rozumiałem, jak to się dzieje, że owo jądro pozostaje w stanie stałym, choć ma temperaturę słońca. Czy znaczyło to, że żelazo po podgrzaniu się roztopia, ale po podgrzaniu powyżej pewnej granicy zestala się z powrotem? Zawsze miałem ten sam problem z nauką: że udzielane przez nią odpowiedzi, choć racjonalnie rzecz biorąc są bez wątpienia prawdziwe, wydawały mi się niewiarygodne, wręcz fantastyczne. Nie wspominając już o tym, że dotąd brałem za oczywistość, iż Ziemia obraca się wokół własnej osi jako całość, i nie umiałem sobie wyobrazić, jak to jest, że pod jej zewnętrzną powłoką, której grubość, wedle słów Campanelli, nie przekracza siedemdziesięciu kilometrów (czyli, zachowując proporcje, okazuje się cieńsza niż skórka jabłka!), znajduje się ocean płynnego żelaza, w nim zaś z kolei tkwi dziwna, rozpalona mandragora o masie Księżyca, wszystko to zaś wiruje w różnych tempach. Tak, dziwne to było i przerażające. Dlaczego więc ta krucha ziemską skorupa nie pęka i nie pozwala zalać naszego świata strumieniom piekielnej lawy? Dlaczego ta cienka błona nie ulega naporowi rozżarzonej masy w środku? I to ma być nasza planeta – ognista gwiazda, na której prawie nieistniejącym, wodno-lądowym naskórku rachityczna „biosfera” złożona z dębów i wielorybów stanowi tło dla tej śmiesznej człowieczej przygody zwanej życiem?

Kierunek ziemskiego pola magnetycznego, tłumaczył Campanella, może ulec odwróceniu i rzeczywiście od czasu do czasu mu ulega: dokonuje się wtedy zamiana północnego bieguna geomagnetycznego z południowym. Obecnie północny biegun magnetyczny, mówił Luigi, znajduje się mniej więcej na ziemskim biegunie południowym, podczas gdy południowy biegun magnetyczny, odległy o jakieś tysiąc osiemset kilometrów od ziemskiego bieguna północnego, przesuwa się powoli w kierunku Syberii. Choć krótkotrwałych przebiegunowań, „wybryków” elektromagnetycznych trwających kilkaset albo najwyżej kilka tysięcy lat, mogło być wiele, do ostatniego poważnego przebiegunowania doszło jakieś siedemset osiemdziesiąt tysięcy lat temu. Należało zakładać, że coś takiego zdarza się po

tym, jak ziemskie pole magnetyczne zupełnie zaniknie, w warunkach jego całkowitego wyzerowania mogącego się utrzymywać przez tysiące lat. Co się wtedy działo? Co do tego naukowcy nie są zgodni. Pole magnetyczne chroni Ziemię przed wiatrem słonecznym (jego efektem są zorze polarne, czyli nic innego jak strumienie materii słonecznej dosięgające ziemskiej atmosfery czy też raczej magnetosfery), a zatem gdyby go nie było, szkodliwe promieniowanie swobodnie docierałoby do powierzchni naszej planety. Ze świadectw geologicznych wynikało jednak, że przebiegunowania zachodziły kilkakrotnie, nie wpływając w dający się zauważyć sposób na organizmy żywe. Przy ostatniej takiej okazji, te siedemset osiemdziesiąt tysięcy lat temu, hominidy już istniały i nie wyginęły. Co by się wszakże stało, gdyby nasza cywilizacja musiała zmierzyć się z całkowitym zanikiem ziemskiego pola magnetycznego? W ostatnich stu latach osłabło ono o pięć procent, który to fakt, zdaniem naukowców, wskazywał, że zaniknie w ciągu tysiąca do tysiąca pięciuset lat. Osłabienie to zresztą postępowało dziesięć razy szybciej w rejonie południowego Atlantyku, co określano mianem anomalii południowoatlantyckiej i co już wpływało na nawigację satelitów krążących wokół Ziemi. Należało się zatem zastanowić, czy to, co spotkało nasz samolot, nie miało aby związku ze zjawiskami opisywanymi przez Campanellę. Inżynier wspominał też, że ziemskie pole magnetyczne jest skrajnie nieregularne, a jego rozkład zdaje się zależeć od wewnętrznego ukształtowania planety i chaotycznych poruszeń płynnego żelaza i innych elementów w jej wnętrzu. Tu wtrącił się Joaquín, kuzyn Cristiny, pytając, czy według Campanelli owe nieregularności nie mogą być związane z tym, że Ziemia jest częściowo pusta w środku, trochę jak ementaler, z wielkimi, połączonymi między sobą dziurami, czymś na kształt pieczar. Campanella stanowczo zanegował tę teorię, wkładając ją między bajki, i naśmiewając się, wręcz nieprzyjemnie, z tych „świrów” i „błaznów”, którzy głoszą absurdalne wymysły na temat „świata wewnątrzziemskiego”. W ten sposób odkryłem, że mamy w grupie kilka osób głęboko wierzących w istnienie takiego wewnątrzziemskiego świata, choćby Christiana i Sheilę, którzy twierdzili, że w różnych odwiedzonych przez nich miejscach znajdowały się „międzywymiarowe drzwi” umożliwiające komunikację z tamtym światem. Chodziło o szczyt Uritorco w Argentynie, wzgórze Glastonbury w Anglii, stratowulkan Palomo w Chile i dwa bliżej nieokreślone punkty – jeden gdzieś w Pirenejach, a drugi w sercu Himalajów (Szambala, stary, mrucał siedzący obok mnie Christian z błyszczącymi

oczami).

Jako że mieliśmy naprawdę dużo wolnego czasu, graliśmy też w najrozmaitsze gry. Przede wszystkim w karty i w szachy. Golfiści, z braku odpowiedniego trawnika, wtykali chorągiewki w piasek i ćwiczyli *swing* na plaży. Hindusi grali w krykieta – ze zdumiewającym zresztą namaszczeniem. Septimus Hansa, austriacki ksiądz należący do Legionu Chrystusa, zebrał dwie drużyny piłkarskie, które toczyły zawzięte boje na zaimprovizowanym boisku, zawsze pod wieczór, kiedy upał nieco łagodniał. Violeta, Argentynka specjalizująca się w kabale i astrologii, wróżyła chętnym z kart tarota. Przypadła mi do gustu, gdyż była doskonale wykształcona i niezwykle sympatyczna, niemniej nie pojmowałem, jak może traktować swoje sztuczki serio. Doznałaby wstrząsu, gdybym jej powiedział, że dla mnie tarot to zwyczajna zabawa. Wiem, że by się ze mną nie zgodziła, chociaż może i tak – z zastrzeżeniem, że to zabawa tak głęboka jak filozofia i tak ważna dla przyszłości świata jak obroty żelaznego wrzeciona, od którego zależy pole magnetyczne Ziemi.

1. Fragment w przekładzie Adama Pomorskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↩

Trzecia Rzesza

Latynosi mieli grę planszową pod nazwą *Trzecia Rzesza*. Należała do pewnego Chilijczyka, który nazywał się – czy raczej chciał, by go tak nazywano – Roberto B. i który mnie z niewiadomych powodów głęboko irytował. Może przez ten swój wygląd typowego Latynosa z lat osiemdziesiątych – z rozczochranymi włosami, okrągłymi okularkami intelektualisty (był podobno pisarzem), trzydniowym zarostem, wiecznie przyklejonym w kąciku ust petem i do tego w grubym golfie, którego nigdy nie zdejmował mimo panującego na wyspie straszliwego upału. Wygląd kogoś nieodmiennie udręczonego, a zarazem przekonanego, że jest solą ziemi i w ogóle niezwykle interesującą jednostką. Denerwowało mnie też, że kazał się nazywać Robertem B. Czemu „B.”? Co się kryło pod tym „B.”?

W *Trzecią Rzeszę* grało się na bardzo dużej planszy o wymiarach metr na sześćdziesiąt centymetrów, na której wyobrażono geopolityczną mapę Europy, podzieloną na niewielkie sześciokąty. Można było grać w pojedynkę albo w zespole: jeden zespół reprezentował państwa Osi, a drugi aliantów, choć czasem gracze dzielili się też na przedstawicieli Niemiec, ZSRR, Anglii, Włoch i tak dalej. Gra była niesłychanie wciągająca i skomplikowana. Setki sześciokątnych żetonów symbolizowały armie i zasoby poszczególnych państw (czołgi, samoloty, artylerię, zaopatrzenie i tak dalej), jak również niektórych przywódców (osobne żetony mieli na przykład Hitler, Goebbels, Churchill czy Stalin). Do tego dochodziły dwa zestawy kart, czerwone i niebieskie, różnokształtne i wielobarwne kostki – jedne w formie tradycyjnych sześciąt, inne czworościenne, ośmiościenne albo dwudziestościenne, a także dodatkowe żetony, sześciokątne i nie tylko, reprezentujące sam już nie wiem co, oraz instrukcja w postaci mocno wymiętoszonej książeczki, którą gracze podawali sobie, nieustannie coś w niej sprawdzając. Zdaje się, że atrakcyjność tej gry wynikała po części z tego, iż każdy mógł wymyślać własne

reguły (tak zwane „otwarcia” i „rozwiązania”), które później wysyłało się do jednego ze specjalistycznych czasopism („Wargames”, „Black Sun Zone”, „Battle Ground”), by zostały ocenione przez twórców i ewentualnie włączone do oficjalnej instrukcji, wznawianej z takimi uzupełnieniami co roku. Roberto B. długimi godzinami grał w *Trzecią Rzeszę* z Christianem, Sheilą i Oscarem Panero, Meksykaninem o starannie przyciętej bródce, albo też z samym Oscarem Panero, którego zdołał do pewnego stopnia zarazić swoją obsesją na punkcie drugiej wojny światowej.

Roberto B. był powieściopisarzem i poetą. Óscar Panero – poetą i eseistą. Dziewczyna Oscara też pisała: poezję i prozę. Nazywała się Brenda Esquivias Ponce. Do ich grupki należała ponadto Xóchitl – ona, Roberto i Óscar przyjaźnili się od lat. Wszyscy razem lecieli naszym samolotem do Indii. Xóchitl nie była pisarką, lecz socjolożką. Ale jej historię opowiem później.

Brenda Esquivias, dziewczyna Oscara, drobniutka Meksykanka o ciemnej cerze i długich czarnych włosach, całymi dniami czytała Czechowa (miała wydane w Meksyku hiszpańskie tłumaczenie opowiadań), a sama napisała powieść pod tytułem *Zbolała niewolnica* – o życiu sześciu młodych kobiet mieszkających w Ciudad Juárez, w północnomeksykańskim stanie Sonora. Dziewczyny przyjaźniły się od czasów szkolnych (nie do końca wiem, od którego etapu, nie rozgryzłem meksykańskiego systemu oświaty) i należały do klasy wyższej. Bez przerwy jeździły do El Paso, na drugą stronę granicy, spędzając czas w luksusowych amerykańskich hotelach, na amerykańskich basenach i w amerykańskich *mall*, gdzie kupowały kolejne komplety bielizny, pary butów i ciuchy, aż jedna z nich na dwa tygodnie znikła, po czym jej zmasakrowane ciało zostało znalezione w plastikowym worku na podmiejskim wysypisku śmieci. I tu tkwiło sedno tej historii – że zabójcy, zapewne przez pomyłkę, tym razem podnieśli rękę na przedstawicielkę miejscowej elity. Powieść, spisana w grubym, jaskrawozielonym zeszycie w kratkę, była już chyba gotowa, choć Brenda wciąż obsesyjnie ją poprawiała. Cały czas, którego nie poświęcała na kąpiele w rzece (zawsze kąpała się w koszuli, jak w XIX wieku, z jakiegoś powodu nigdy nie wkładała kostiumu, a ja wyobrażałem sobie, że ma ciało pokryte bliznami, których nie chce publicznie pokazywać), na zbieranie jadalnych bulw, kokosów i owoców chlebowca ani na czytanie swojej meksykańskiej edycji opowiadań Czechowa, przeznaczając na pracę nad powieścią. Roberto B. dostał na jej tle prawdziwej manii i ciągle próbował przekonać Brendę, żeby dała mu ją przeczytać, ona wszakże ciągle

odmawiała, więc tylko wypytywał ją o pustynię Sonorę i o Ciudad Juárez, gdzie spędziła okropne dzieciństwo, którego wspomnienie wywoływało w jej oczach metaliczny błysk, ale jednocześnie wyzwalało w jej głosie jakieś nowe nuty, pobrzmiwające szmerem deszczu nigdy niepadającego na długie, pyliste aleje i krzykiem białych ptaków usadowionych na gałęziach ogromnych drzew. Kto wie, może zresztą chodziło o obrazy z przeczytanych przez nią w dzieciństwie książek, które w rzeczywistości niewiele miały wspólnego z jej rodzinnym miastem, albo o sny, albo o podchwycone gdzieś wiersze, albowiem w Ciudad Juárez nie ma ogromnych drzew – drzewa są tam małe i rachityczne – ani białych ptaków, jako że nic w tym mieście nie jest białe tak naprawdę. Jedna z jej dwu siostr, jak opowiedziała nam któregoś wieczoru, została dwukrotnie napadnięta i zgwałcona, zanim rodzina zdecydowała się na przeprowadzkę do stolicy, gdzie zresztą Brenda poznała później Oscara. Wszystkie trzy spotykały się z pogrózkami i w taki lub inny sposób czuły zagrożenie, ponieważ zagrożenie to, jak mówiła, kobiety w Meksyku czują przez całe życie, człowiek się nawet przyzwyczaja, wyrabia w sobie wyrafinowany system alarmowy, jak gdyby wykształcało mu się z tyłu głowy coś w rodzaju trzeciego oka śledzącego bezustannie, co się tam za tobą dzieje – w ciemnych zakamarkach, korytarzach, zaułkach, pośród sprzedawców jicamy i amarantusa, pod wieczór, przy ulicznych stoiskach oferujących rozmaite taco i tamale, między mężczyznami popijającymi na rogach piwo – i ten strach jest czymś tak zakorzenionym w lokalnym obyczaju (tak, Brenda używała takich sformułowań), że staje się częścią także twojego świata, i żyjesz tak rok za rokiem, wyprawiasz się z przyjaciółkami na lody, wyprawiasz się na drinki do baru w hotelu Radisson, do kina i uczyć się z koleżankami po domach, do biblioteki, na uniwersytet i do teatru, i na wzgórze, żeby podziwiać stamtąd zachód słońca, i wyprawiasz się w grupach, samochodem, w towarzystwie mężczyzn, to jasne, a strach i tak cię nie odstępuje, choć przecież w grupach, samochodem i w towarzystwie mężczyzn, choć przecież samochody takie dobre, nazwiska takie długie i wiadomo, że nikt, nawet policja, nie zechce zadzierać z ich właścicielami. Jednakże napastnicy zawsze wiedzą, kogo zaatakować, bo zgwałcić kobietę nie jest wcale tak łatwo, nawet jeśli żadna teraz nie poświęci życia, by się przed tym obronić, wszystko jedno, i dlatego padło na jej, Brendy, siostrę – Lucrecię, dwa razy na Lucrecię, raz w rocznicę Smutnej Nocy, nieopodal placu Armas, dlatego właśnie na Lucrecię, a nie na nią, Brendę, ani na Bernardinę,

ponieważ Lucrecia była roślinna, Bernardina metalowa, ona zaś, Brenda, kamienna, i ci dranie to wiedzą, poznają to nawet po twoim cieniu, gdy sunie po murze o zmierzchu, w porze, gdy cienie są najdłuższe, sięgają najdalej, albowiem urodzili się, by to wiedzieć, tak jak kojoty zawsze wiedzą, która z owiec jest najsłabsza, która się przestraszy i nie będzie walczyć; tak jak rekiny zawsze zwietrzają krew, nawet z daleka, i tak jak komary zawsze siadają tam, gdzie skóra najcieńsza.

Roberto B. słuchał tego zafascynowany, chociaż starał się ukryć tę fascynację pod protekcjonalnym uśmiechem. Niemniej nie przestawał pytać – o wszystko: jakie tam na północy Meksyku, w Ciudad Juárez, oświetlenie ulic po zmroku; czy rosną takie wielkie, ciemne eukaliptusy i czy światło latarni przedziera się przez ich liście. Pytał o dyskoteki i *boîtes*, i o to, czy na pustyni działają duże, ponure lokale. Pytał, czy są w Ciudad Juárez baseny i czy ona, Brenda, na jakiś chodziła, i jak mężczyźni patrzyli tam na dziewczyny, a jak dziewczyny patrzyły na nich, i jaką barwę miała woda w takim basenie – niebieską, zieloną czy szarą, i czy na samochodowych *fenders* oraz na agawach w Ciudad Juárez osadza się pył, i czy jest to pył czerwony czy biały, żółty czy brązowy, ochrowy czy popielaty. Pytał, jaki się tam pali tytoń, jaką pije tequilę, a jakie piwo, jakie prezerwatywy są w sprzedaży w aptekach i jakiego są te prezerwatywy koloru. Pytał, czy okolica obfituje w jary i kamieniste bezdroża i czy na tych bezdrożach rosną opuncje, i czy ona, Brenda, widziała kiedyś któreś z miejskich wysypisk śmieci, tych wspaniałych latynoamerykańskich wysypisk śmieci, gdzie kręcą się ogromne padlinożerne ptaki o szaro-brązowych skrzydłach, wznoszą się słupy gęstego czarnego dymu z nigdy niegasnących ognisk i łożą brudne dzieciaki z poczerniałymi od syfu i nędzy twarzami, gnieźdzące się wśród stert odpadków niby wielkie pająki o błyszczących oczach i (co w tym wspaniałego, chciała wiedzieć Brenda i wyjaśniała, że w Ciudad Juárez nie ma basenów, nie ma wody, nie ma drzew, nie ma parków i w ogóle nie ma nic z tego, czego on, Roberto B., mógłby sobie życzyć, bo Ciudad Juárez to piekło i są tam głównie lombardy, stoiska z różnymi taco, niezabudowane parcele, niekończące się ulice z parterowymi, okratowanymi domkami, a każdy domek obdrapany, z jedną cherlawą palemką i zaniedbanym psem na podwórzu, a wszystko to wyprażone przez słońce, wgniatane w ziemię, równane z ziemią, niszczone przez słońce, spalone tak, jakby to miasto było jedynie stertą starych, obtłuczonych kości, no a dalej to już Río Bravo i mosty wiodące na północ, do jankeskiego raj,

mosty pełne zasieków), a Roberto B. pytał, ciągle pytał, ciągle z tym swoim irytującym uśmiechem, nieśmiałym i bezczelnym zarazem, czy ona, Brenda, odwiedziła kiedyś jakieś ranczo w okolicach miasta, a ona – że chyba zwariował, przecież na ranczach rozsianych po pustyni kryją się handlarze narkotykami, to tam kręci się *snuff movies* i urządza bestialskie orgie, bardzo dziwne przyjęcia z polowaniami na łanie (jak to na łanie, zdziwił się Roberto B., a ona, Brenda, wytłumaczyła mu, że łanie to kobiety, które wypuszcza się nagie na pustynię, dając im dwie czy trzy godziny przewagi, po czym rusza się za nimi w pościg, żeby polować na nie jak na zwierzęta, i że czasami pozwala im się uciekać w butach, bo wtedy szybciej i dalej biegną, ale w końcu i tak się je znajduje i zabija strzałami, a potem zwykle grzebie od razu na miejscu, w jakimś rowie, choć niektórzy są tak pokręceni, że zabierają je do domu jak trofeum, jelenia czy lwa, albo raczej pumę, i podobno mają salony ozdobione głowami jaguarów i bawołów z Afryki, jak również zabalsamowanymi głowami kobiet, tych upolowanych przy jakiejś okazji łań, zwłaszcza jeśli któraś umykała naprawdę długo, przez kilka dni, co nieodmiennie przydaje sprawie smaczku, albowiem, jak mawiają myśliwi, przejawiając tym samym wyrafinowane poczucie humoru, taka sztuka „okazuje się niemal dorównywać inteligencją człowiekowi”), no więc te rozsiane po pustyni rancza zazwyczaj wydają się opuszczone, a ożywiają się jedynie na czas owych przyjęć, kiedy to z pustynnego pyłu wynurzają się czarne terenówki Peregrino, wielkie auta z przyciemnianymi szybami, prowadzone przez szoferów w ciemnych okularach, by rozjechać się dopiero po kilku dniach, po tym, jak któraś z dziewczyn zatrudnionych w tej czy innej makiladorze wyląduje już w plastikowym worku, uduszona własnym stanikiem albo zakłuta ciosami w brzuch, a wszystko to przy udziale elit, polityków, ludzi wpływowych i bogatych, którzy blokują każdą próbę policyjnego dochodzenia, więc kobiety umierają, jedna po drugiej, i nigdy nie udaje się ująć ich morderców. Oj, Brendita, powtarzał na to Roberto B., czemu nie dasz mi przeczytać swojej książki? A Brenda odpowiadała, że nie może, jeszcze nie skończyła, jeszcze sporo brakuje, i w ten sposób tylko potęgowała jego obsesję. Bo obsesje miał Roberto B. następujące: grę strategiczną *Trzecia Rzesza*, powieść *Zbolała niewolnica* autorstwa Brendy Esquivias Ponce oraz Sheilę, piękną, gibką Sheilę, z którą całymi dniami flirtował na oczach jej chłopaka.

Och, Boże mój, jak mnie ten facet irytował! Było w nim coś powolnego, wdzięcznego, niemal harmonijnego. Jakiś rodzaj ospałości, spokoju, wręcz

boskiej obojętności. Irytowały mnie jego okrągłe okulary i jego nieodłączny golf. Irytowała mnie jego niewrażliwość na upał. Irytował mnie ten wygląd postępowca z lat siedemdziesiątych, źle uczesanego, źle ogolonego, z nieodłącznym papierosem w ustach. Irytował mnie jego podbródek, moim zdaniem bezczelny, irytowały mnie jego blade policzki, irytowało mnie wodniste, prawie czułe spojrzenie jego jasnych oczu, albowiem miał oczy pozbawionego skrupułów jebaki, tak mocno działające na kobiety, irytował mnie sposób, w jaki trzymał w palcach papierosa – zupełnie jakby chodziło o coś świętego, obdarzonego nadprzyrodzoną mocą. Irytowało mnie to, jak przymyka powieki, kiedy się zaciąga, irytowała mnie jego niezmacona pewność siebie i irytował mnie fakt, że czuję się nim zafascynowany, chociaż nie było w nim nic, co powinno mnie fascynować. Tyle że kiedy zaczynał przywoływać anegdotki z życia w Santiago de Chile albo w mieście Meksyk, gdzie spędził całą młodość, albo z Los Angeles, milkłem zasłuchany, jakbym w głębi duszy marzył tylko o tym, żeby nigdy nie przestawał. Opowiadał też o Trzeciej Rzeszy, drugiej wojnie światowej, sensie świata i o złu, którego prawdziwa i przerażająca tajemnica sprowadza się do tego, że nie ma żadnej tajemnicy, mówił, albowiem w świecie w ogóle nie ma tajemnic, żadnego klucza, żadnej Tajemnej Róży, jak chciał Yeats, mówił dalej, by przerzucić się zaraz na różę Milтона, choć nie żeby faktycznie czytał Milтона (nie sądzę, by czytał po angielsku ani, tym bardziej, by potrafił odczytać Miltonowską angielszczyznę), natomiast, owszem, czytał Borgesa – i to dużo, a więc mówił o różę Milтона w wierszu Borgesa, tej, która nie jest symbolem świata, lecz po prostu jednym z jego elementów, i że to właśnie (mówił, mrużąc oczy dla ochrony przed dymem z własnego papierosa, a ja słuchałem zafascynowany wbrew sobie, wściekły na siebie tak, jak pies wściekałby się na karmiącą go rękę, gdyby nienawidził jej do tego stopnia, że najchętniej by ją pogryzł, ale wie, że nie może), to właśnie jest najlepszy wiersz Borgesa, zaiste ważny wiersz, mówił, wiersz mający na zawsze wybudzić nas ze snu, gdyż nie istnieje nic, co mieściłoby świat w sobie, co by go wyjaśniało albo streszczało, nie, istnieje wyłącznie świat i nic więcej, świat, świat, rzeczy, rzeki, mleko, sperma, deszcz, eukaliptusy, cień deszczu na pościeli i cień deszczu na udach dziewczyny, z którą kochamy się w tanim hotelowym pokoju, i jej włosy łonowe, mimo wszystko najpiękniejsze ze wszystkiego, co istnieje, czarne włosy łonowe, czarne na białym, tak jak czarne są słowa na białej kartce, i szyldy opuszczonych hotelików i moteli, i kojoty o rozjarzonych

oczach przecinające noc na pustyni, i pogrzebane tam ciała, i pociągi, i ciężarówki wypełnione drewnem, i te ze świniami wiezionymi do rzeźni, i te z dziewczynami wiezionymi do burdeli na północy, i złość, i strach, i przygraniczne bary, i zabite psy, i psy ukrzyżowane, i noce zielonej gorączki, i noce gorączki fioletowej, i dziewczyny, jeszcze więcej dziewczyn i kobiet, kobiety w ciąży, które krzyczą przy porodzie, i samotni mężczyźni, którzy śnią, mężczyźni, którzy czekają w ciemnych zaułkach, i żonaci mężczyźni, którzy spotykają się w hotelach, żeby się pieprzyć, i nawet nie znają tego drugiego z imienia, i śpiące dzieci, i dzieci w drodze do szkoły, i wojskowe koszary, i młody rekrut o indiańskiej twarzy, podobny do Benita Juareza, oglądający bladonogie dziewczyny oglądające jego, a wszyscy pogrążeni we śnie, i morze, i pustynia, i pragnienia, i marzenia, i wiersze, i książki, i rozmowy przez telefon, i prysznic, i pisanie nocami czy właściwie o każdej porze, ale zwłaszcza nocami, po seksie, w tym stanie jasności umysłu, jaką osiąga się nocą po seksie i po chłodnym prysznicu, i to, czego nigdzie nie ma – to właśnie jest tajemna róża, mówił Roberto B. To, czego nigdzie nie ma – to właśnie jest tajemna róża. No chyba że jest między dziewczęcymi udami. Bo wtedy jest – i tylko wtedy, mówił Roberto B. Jak doskonale wiedział już Empedokles. Początek świata. Róża świata. Wyłożona masą perłową muszla Afrodyty. Jak dobrze wiedział centaur Chiron z wiersza Rubena Darío. Róża, muszla, cipka. Triumfująca róża świata.

– Roberto, skup się – rzucił Christian, uważnie przyglądając się planszy z *Trzecią Rzeszą*. – Zaraz ci załatwię Rommla, stary, kapujesz?

– Nie załatwisz – odpowiadał Roberto B., zaciągając się dymem z papierosa. – Nawet jeśli Rommel siedzi teraz w burdelu w Trypolisie i niezbyt jarzy. Jedna argentyńska dziwka, niejaka Sibila, tak go przeczołgała, kapujesz, że jest teraz jak budyń. Ona nie wie, że obciągnęła właśnie Lisowi Pustyni, a on nie ma pojęcia, że trafiła mu się przed chwilą córka Izraela.

– Nie gadaj takich świństw przy damach – fuknęła Brenda, marszcząc nos.

– Robertico, skup się – powtórzył Christian.

– Na tym polega urok gry w *Trzecią Rzeszę* z Bobbym B. – oświadczył Óscar. – Po chwili nie widzisz już przed sobą planszy, tylko coś w rodzaju kreskówki.

Zostawiłem ich i poszedłem na samotny spacer po plaży, bo oczy wciąż miałem pełne wspaniałości świata – takiego, jakim opisywał go Roberto B. między jednym machem a drugim. Świata cudowności i nędzy, zgiełku

i splendoru.

Moją duszę przepęłniało słońce i gotowość do wielkich czynów, jakbym był jakimś Martinem Edelweissem. Nie wiedziałem, skąd się we mnie biorą te emocje. Może to wyspa tak na mnie podziałała, a może przemowa Roberta B. na temat róży Milтона i Tajemnej Róży Yeatsa – twierdzenie, że nie ma żadnego centrum, żadnego wyjaśnienia ani żadnego klucza. A może chodziło o tę rapsodyczną wizję świata jako deszczu i smutku, i miłości, i kojotów przemykających przez pustynię? W każdym razie ogarnęło mnie niejasne wrażenie, że uczestniczę w cudzie.

Czyżby to była, zastanawiałem się znowu, prawda, że przybyliśmy na tę wyspę, aby się narodzić?

Moje stosunki z Robertem B.

Kilka dni później natknąłem się na Roberta B. przy okazji prania. Robiliśmy je w rzece, zupełnie tak samo, jak zapamiętałem z odbywanych w dzieciństwie wycieczek na hiszpańską wieś. On zwracał się do mnie per „Johnny”, a ja do niego per „Bobby B.”, ponieważ wiedziałem, że tego nie lubi. Prał swoje ubrania, ciągle trzymając papierosa w ustach i – jak mi się zdało – niespecjalnie przejmując się wykonywanym właśnie zadaniem. Zagadnąłem go o jego książki, podobno wydane i w Hiszpanii, gdzie również przez jakiś czas mieszkał. Powiedział, że pracował tam między innymi jako nocny stróż na kempingu na Costa Brava, a poza tym włóczył się z plecakiem po kraju, żywiąc się kanapkami z mortadela, a nocując w schroniskach młodzieżowych i u dziewczyn, które spotykał po drodze, albo na kanapach u znajomych pisarzy. Był, jak mi oznajmił, specjalistą od kanap. Mieszkał na cudzych kanapach. Jestem, powiedział, pisarzem kanapowym. To tam wszystko się dzieje, tam wszystko się słyszy i wszystko się wie. Żyjąc na styku – styku dnia z nocą, styku salonu z sypialnią. Pisać trzeba na styku, mówił, bo tylko tam jest ciekawie – na styku ciał, miast, rzeczy. I nie wiem, jakim sposobem, ale skończyło się to rozmową o kobietach.

– Od kiedy tu spadliśmy, trwa jedna wielka orgia – rzucił. – Aż prawie będę żałował, jak nas z tej pieprzonej wyspy uratują.

– Słucham? – spytałem zdziwiony.

– Chodzi mi o kobiety, stary – wyjaśnił.

– O kobiety, rozumiem – odparłem, nie rozumiejąc jednak nadal. Poza wszystkim innym wyspa niezbyt sprzyjała uprawianiu miłości: byliśmy brudni i spoceni, prywatność właściwie nie istniała.

– Nie wiem, co to za miejsce, ale od kiedy tu spadliśmy, co noc mam inną, stary. Ta wyspa jakoś tak na nie działa.

– Coś takiego – mruknąłem. – Serio?

Wyliczył: no więc Swayla, Sophie Leverkusen, Idoya, Rosana, pewna młoda Amerykanka, której imienia nie pamiętał, pewna Australijka, której imienia nigdy nie poznał, pani Lee (najlepsza ze wszystkich, oświadczył, mimo złotego krzyżyka na szyi), Brenda i Sheila, chociaż z nimi dwiema doszło jedynie do pocałunków i pieszczot. Oniemiałem, całkiem mnie zatkało, jak gdyby ktoś przyłożył mi prosto w splot słoneczny.

– Rosana? – spytałem.

– Matka tej małej Hinduski – wyjaśnił. – Uff, chłopie. Ale była jazda. Te Hiszpanki to dopiero mają temperament.

Wyda się to bez wątpienia idiotyczne, niemniej od razu poszedłem porozmawiać z Rosaną. Zostałem ją w jej chatce, zajętą sprzątaniami i układaniem ubrań w służącej za szafę walizce. Miała na sobie krótkie białe spodnie i biały koronkowy stanik. Och, jak mi się podobała ta kobieta! Miała zmysłowe fałdki na bokach, niby jakaś Rubensowska Wenus, jednakże skóra jej pleców, gładka, różowawa i połyskliwa jak marmur, aż promieniowała zdrowiem typowym dla ciał regularnie poddawanych ćwiczeniom fizycznym. Co to mogło być w jej przypadku? Pilates, aerobik, gimnastyka w domu, paddle? Puk, puk, powiedziałem. Obróciła się, nawet nie próbując się zakrywać. Rzuciłem: nie jesteś ubrana, lepiej pójdę. Nieważne, odrzekła, swobodnie poprawiając jedno z ramiączek stanika, po prostu mi gorąco. Grube gumki odciskały się na jej miękkich ramionach, zostawiając czerwone ślady. Usta miała jak zwykle pomalowane. Na jej czole i nad górną wargą lśniły drobniutkie kropelki potu. Chciałem cię tylko o coś spytać. Nie wiem, co sobie o mnie pomyślisz, ale wszystko mi jedno, spytać i tak muszę. Poszłaś do łóżka z Robertem B.? Kim jest Roberto B.? Gdy zadawała to pytanie, szeroko otworzyła swoje śliczne czarne oczy, dawniej tak wielkie za szklami okularów, teraz zaś małe i przenikliwe. Opisałem go dość szczegółowo, a ona odparła, że tylko zamieniła z nim parę słów, choć tak czy owak to nie moja sprawa. Masz rację, przyznałem, to nie moja sprawa. Nie, jasne, że nie poszłam do łóżka z Robertem B., powiedziała. Dlaczego o to pytasz? Bo on chodzi i opowiada, że z tobą spał i że Hiszpanki to dopiero mają temperament. Aż nie wierzę, rzuciła. Aż nie wierzę, Juanie Barbarín, czy ty jesteś zazdrosny? Nie, zwyczajnie ciekawy. Czyli on chodzi i opowiada takie rzeczy, spytała, tak? Wydawała się rozbawiona, wręcz rozczulona – niestety nie przeze mnie. Wiedząc, jak dziwne i wewnętrznie sprzeczne bywają kobiety i jak często czują pociąg do najgorszych przedstawicieli płci przeciwnej,

uznałem, że jest mile połączona tym, iż Roberto B. rozpowiada, jakoby cieszył się jej szczególnymi względami, i że zamiast nim gardzić albo oburzać się na jego bezczelność, najprawdopodobniej teraz zacznie się tym plugawcem naprawdę interesować, może nawet uczuciowo. Ale dlaczego, zaciekała się wtedy, w ogóle o mnie rozmawialiście? Mówiąc to, poprawiała sobie drugie ramię i patrzyła mi niewinnie w oczy. Biel stanika odcinała się od wilgotnej różowości jej skóry z jaskrawością pożaru, sama zaś Rosana niebezpiecznie się do mnie zbliżała, w pełni świadoma wrażenia, jakie na mnie wywiera. Nie rozmawialiśmy o tobie. Rozmawialiśmy o czymś innym i on powiedział, że... Nieważne, dodałem pośpiesznie. Zapomnij o całej sprawie. Wyszedłem z chatki, lecz zaraz zawróciłem. Rosana klęczała już znowu przy walizce i po raz kolejny obróciła się w moją stronę. Ukląknęłam obok niej. Obserwowała mnie z rozbawieniem, unosząc brew. Zaczęłam gładzić jej ciemne, rozczochrane włosy, a ona trwała w bezruchu, przyjmując moje pieszczoty. Szyję miała rozpaloną, spoconą. Cała była spocona, tak samo jak ja, jak wszyscy. Pochyliłem się, by pocałować ją w usta. I całowałem ją przez chwilę, jednakże ona, nie odsuwając się, nie odpowiadała mi albo odpowiadała bardzo słabo, nie chcąc rozewrzeć warg i nie wysuwając języka. Czułem się, jakbym całował posąg.

– Bardzo mi się podobasz – powiedziałem.

– Ty też mi się podobasz – odrzekła.

– A więc?

– A więc – rzuciła, przytykając mi do piersi pięć palców o pomalowanych na fioletowo paznokciach i delikatnie mnie odpychając – wykaż się cierpliwością, nie psuj tego.

Tej nocy wilki podeszły pod osadę. Ktoś rozpuścił plotkę, że są rozeźlone i szukają zemsty za swego towarzysza, zabitego przez naszych kilka dni wcześniej. W środku nocy obudziły mnie krzyki, wypadłem z chaty i zobaczyłem Wade'a, który z pochodnią w ręku, pokrzykując, zagłębiał się w zarośla. Nie wiem, kiedy przygotował tę pochodnię – i nie tylko tę, bo kilku towarzyszących mu mężczyzn niosło podobne. Ich czarne na pomarańczowym tle sylwetki powoli nikły w panującym pośród drzew mroku. Dobięły mnie wylęknione głosy kobiet i płacz Seymoura. Wilki, powtarzały te głosy, wilki nas atakują. Nie miałem odwagi wejść w las bez broni i światła i zawstydziłem się swojego strachu. Pomyślałem jednak o amputowanej ręce Billa Higginsa i poczułem nagłe łaskotanie w pęcherzu.

W dżungli rozległy się strzały. Dostrzegłem państwa Leverkusnów, którzy obejmowali synów. Chwilę później wrócili ci z pochodniami, a po nich spomiędzy drzew wyłonił się Wade. Wyglądał na przerażonego i tym razem się nie uśmiechał, chociaż heroiczna, niemal nadludzka aura wciąż go otaczała. Ludzie pytali go, czy to rzeczywiście wilki, on zaś odrzekł, że chyba tak – widział wraz z innymi ich świecące w ciemności ślepie, ale ogień okazał się skuteczną zaporą.

– Musimy go palić każdej nocy – oświadczył. – Dzieci powinny spać razem, w dobrze zabezpieczonym miejscu. Wilki zawsze atakują najsłabszych.

Nagle zdał sobie sprawę, że słuchają go również maluchy. Zauważyłem, że jego błękitne oczy mocno się rozszerzyły, gdy pojął, że adrenalina zwiódła go na manowce, gdyż przecież straszenie dzieciaków i sianie paniki wśród rozbitków w żadnym razie nie były tym, co chciał osiągnąć. Sebastian Leverkusn, bardzo blady, patrzył na niego z wielką powagą, ale odezwał się Carl, jego młodszy brat.

– Panie Erickson – przemówił ze stanowczością, która mnie zaskoczyła. – Niech się pan o nas nie martwi. Te wilki dzieciom nic złego nie zrobią.

– Skąd... skąd wiesz? – spytał Wade, już znowu z uśmiechem.

– Wilki lubią dzieci – wytłumaczył Carl. – Nie lubią dorosłych. Poza tym te, które tu dzisiaj przyszły, nie były prawdziwe.

– Nie były prawdziwe? – dopytywał się Wade. – Jak to...? Co masz na myśli?

– Wade, to małe dziecko – wtrącił Joseph, również trzymający w ręku pochodnię. – Nie musisz go słuchać jak wyroczeni.

– Nie, zaczekaj, Joseph. – Wade uniósł dłoń z wyciągniętymi dwoma palcami. – Pozwól (*bear with me*)... Daj małemu powiedzieć, co wie.

– On nic nie „wie”, Wade – upierał się Joseph. – On ma dziewięć lat.

– To nie były prawdziwe wilki – powtórzył Carl. Po czym dorzucił, powiódłszy ręką dookoła: – Nic na tej wyspie nie jest prawdziwe.

– Co... co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Wade.

Sophie zauważyła, że jest bardzo późno i że dzieci powinny o tej porze spać, toteż zbiegowisko stopniowo się rozproszyło. Gdzieś w oddali płonęły ogniska i ten widok jakoś mnie uspokoił. Zobaczyłem w oddali Rosanę, pomachałem do niej, a ona odwzajemniła mój gest. Wszystko było tak jak zawsze u starego sir Johna Barbarina: spędziłem na wyspie niewiele ponad tydzień, a już miałem w swoim życiu zbyt dużo kobiet i zarazem nie

miałem żadnej.

I jeszcze coś. Pojawiło się w mnie zupełnie nowe uczucie. Niechęć, jaką czułem do Roberta B., teraz przekształciła się w prawdziwą nienawiść. Bo mnie nabrał. Bo zażartował sobie ze mnie i wystawił mnie na śmieszność. Zmienacka zrozumiałem, dlaczego jest niepokonany, grając w *Trzecią Rzeszę*; dlaczego nie sposób zatrzymać jego armii. Brenda, Óscar, Christian i Sheila razem wzięci nie mieli z nim żadnych szans. A to dlatego, że oszukiwał. To było jedyne możliwe wytłumaczenie. Zakradał się nocą, kiedy wszyscy spali i plansza do gry leżała samotnie na swoim specjalnym stoliku. Nie dało się przecież spałować dokładnego ułożenia setek żetonów na setkach wyrysowanych na niej sześciokątów. Któregoś razu ujrzałem go, jak przemyka się ku niej i podmienia żetony. To znaczy – wtedy nie wiedziałem, że o to chodzi, ale im dłużej o tym myślałem, tym większej nabierałem pewności. Ujrzałem, że siedzi nad planszą, w ciemności tak gęstej, że nie mógł rozróżnić pól, przy czym sędzę, że miał latarkę, którą zgasił, słysząc, że się zbliżam. Powiedział mi, że nie może spać, a ja przyznałem, że w tym upale to prawie niewykonalne. Wyjaśnił, że zastanawia się nad posunięciami na następny dzień, a ja spytałem, jak cokolwiek widzi w takim mroku. Odparł, że doświadczony gracz wyrabia w sobie pewną intuicję. Czasem, dodał, odnoszę wrażenie, że mógłbym grać z zamkniętymi oczami. Dopiero na tym etapie rozgrywka staje się rzeczywiście interesująca. Nie znosiłem go i nie miałem ochoty ciągnąć tej rozmowy, lecz ponieważ jednocześnie mnie fascynował, nie umiałem tak po prostu sobie pójść. Zawsze szukałem tego, co nazywasz Tajemną Różą, rzuciłem. Wiem, odrzekł. Potem poczęstował mnie papierosem, nadmieniając, że to jeden z ostatnich, a ja wziąłem go, choć nie palę, i zacząłem udawać, że jest inaczej. Wiem, powiedział, to widać w twoich oczach. Tyle że część z nas przyszła na świat bez wiary, bez nadziei i prawie bez zdolności współczucia. Ale czy świadomość, że nie ma żadnej Tajemnej Róży, spytałem, nie oznacza zrozumienia świata? Może właśnie świadomość, że świat nie ma sensu, sama w sobie jest tą Tajemną Różą? Ja, oznajmił po dłuższej chwili, którą spożytkował na drapanie się po prawej kostce, stanowiącej jeden z ulubionych celów komarów, właściwie wierzę w Tajemną Różę. Wierzę, że ona istnieje, mówił dalej, ale w miejscu dla nas niedostępnym. Może, odparowałem, akurat na naszej wyspie. Może trafiliśmy na nią, żeby się urodzić. Raczej – żeby umrzeć, zaoponował. Nie wiem czemu, ale odnoszę wrażenie, że nigdy się stąd nie wydostaniemy, ciągnął. Że tu

wszyscy zgnijemy. Że znajdujemy się już na przeznaczonym nam cmentarzu. Tak powiedział Roberto B., bo czasem myślał, że trafiliśmy na cmentarz. Że ta bujna, porośnięta palmami i zamieszкана przez ptaki wyspa to w rzeczywistości nekropolia.

Jednakże nie cierpiałem go, więc zmusiłem się do przerwania tej rozmowy, wymruczałem jakieś pospieszne pożegnanie i ruszyłem dalej, ku plaży, orientując się po zapachu kamforowców i blasku fal. Usiadłem na piasku i zapatrzyłem się na gwiazdy. Kilka dni wcześniej usłyszałem, jak Violeta, ta Argentynka, mówi, że mamy nad sobą konstelacje południowe. Co, rzecz jasna, było niemożliwe, ponieważ znajdowaliśmy się na półkuli północnej. Tysiąc czterysta kilometrów na południe od Hawajów (zwłaszcza że nie lecieliśmy przecież prosto na południe, lecz kierowaliśmy się na południowy zachód) to wciąż zdecydowanie półkula północna. Niemniej to Violeta znała się na gwiazdach i wskazała nam Krzyż Południa, i zażądała, żebyśmy odszukali na niebie Drogę Mleczną, Gwiazdę Polarną albo Wielką Niedźwiedzicę. Powiedziała też, że jedna z gwiazd nad naszymi głowami, ta najjaśniejsza, to gwiazda całkowicie nieznaną. I że może zresztą chodzi o planetę albo o kometę, ale że tak czy owak nigdy jej w tym miejscu nie było. Zacząłem się jej teraz przyglądać, ogromnej i groźnej, i niespodziewanie się rozpłakałem. Płakałem chwilę, patrząc w niebo, słuchając huku fal, kontemplując okropną czerń oceanu. Później uspokoiłem się, odetchnąłem głęboko, otarłem oczy. Nie wiem, skąd dokładnie wziął się ten płacz, choć bez wątplenia miałem wystarczająco dużo powodów do łez. Dopiero później uświadomiłem sobie, że Roberto B., siedząc po ciemku nad tamtą planszą, cichcem podmieniał żetony na swoją korzyść. Oszukiwał! Dlatego był niepokonany, grając w *Trzecią Rzeszę*, i dlatego raz za razem wygrywał drugą wojnę światową. Sama gra wprowadziła ani ziębiła mnie, ani grzała, ale to odkrycie sprawiło, że znenawidziłem go do reszty.

Santiago odkrywa zdrajcę

Na „plaży samolotowej” (albowiem określenie to zyskało już niemal rangę nazwy własnej) wciąż trzymaliśmy warty, na wypadek gdyby ktoś się jednak po nas zjawił. Każdy dyżur trwał sześć godzin i odbywany był parami, żeby zapobiegać przyśnięciom. Nocami pilnujący palili ognisko. Santiago Reina miał za zadanie organizować te warty na podstawie listy pasażerów samolotu, podobno znalezionej przez kogoś na stanowisku stewardes. Właśnie dzięki owej liście zdołał ustalić coś niewątpliwie dziwnego.

Tamtego wieczoru zgromadził nas w swojej chatce – mnie, Josepha, Wade’a i Christiana – i opowiedział nam o swoim odkryciu. Mówił bardzo cicho, jakby się bał, że ktoś go podsłucha. Wyglądał na przerażonego, co mnie w istniejących okolicznościach wydawało się reakcją przesadną. Trzymał w rękach swoją listę, przebiegając ją wzrokiem i obracając w dłoniach. Zapalił świecę, mimo że zwykle staraliśmy się je oszczędzać. Tak czy owak w jej świetle widać było jedynie pomięte, brudne kartki oraz nasze wynędzniałe, błyszczące od potu twarze. Pociliśmy się na wyspie bez przerwy.

– Słuchajcie – zaczął Santiago, zniżając głos niemal do szeptu – na tej liście nie ma nikogo, kto miałby na imię George.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Joseph.

– To chyba jasne, co chcę przez to powiedzieć, stary – odparł grobowo Santiago.

– Ale wyraż to głośno – poprosił Wade.

– Sami wiecie, o co chodzi. My jesteśmy na tej liście. Z nazwiska i imienia. Ale jego nie ma.

– A to znaczy, że...? – dążył Joseph.

– To znaczy, stary, że George nie leciał z nami. I tyle.

– George? Ten wysoki, nieszkodliwy chłopak, który całe dni spędza z Lizzy i jej dzieckiem, opiekuje się nim i pomaga je kąpać i usypiać?

– Nie ma innego George’a – mruknął Santiago. – Tak, on. Nie figuruje na liście – powtórzył, przybliżając ją do świecy, żebyśmy się sami mogli przekonać. – Nie ma go tu. Szukałem miliony razy i nie znalazłem.

– To się na pewno da jakoś wytłumaczyć – powiedziałem. – Nazwiska na biletach samolotowych są czasem mocno zniekształcone. Albo skrócone, jeśli okazują się za długie. Poza tym zdarzają się błędy ortograficzne.

– Facet ma na imię George – upierał się Santiago – a na tej liście niemal czterystu osób nie znalazłem żadnego George’a ani nikogo oznaczonego skrótem „G.”, ani nawet nikogo o podobnie brzmiącym nazwisku. Przeglądałem ją tyle razy, że prawie nauczyłem się jej na pamięć.

– Może on się nazywa na przykład George Malcolm – nie ustępowałem – i na bilecie wpisano mu Malcolm?

Wade zmarszczył brwi i czytał listę z wielką powagą.

– Musimy to wyjaśnić – oznajmił.

– Nie rozumiem, Jack, co właściwie chcesz nam powiedzieć – przemówił Joseph. – Co to, twoim zdaniem, znaczy, że George’a nie ma na tej liście? Co znaczy, że z nami nie leciał?

– Myślę, że kiedy dotarliśmy na wyspę, on tu już był – odparł Santiago. – Tak właśnie myślę. Był tu, a kiedy się zjawiliśmy, postanowił udawać jednego z nas. Przeniknął do naszej małej społeczności. Rozumiecie, co chcę powiedzieć?

– Był tutaj? – odezwał się Christian. – Czyli że rozbił się tu przed nami?

– Skąd mam wiedzieć? – rzucił Santiago. – Też tego nie rozumiem. Skoro był tu wcześniej, to po co kłamać? Czemu się nie przyznać? To mnie najbardziej dziwi. I przeraża.

– George wydaje się łagodny jak baranek – wtrąciłem znowu. – To miły, uprzejmy chłopak. Cały czas pomaga Lizzy przy dziecku. Ze wszystkimi się dogaduje.

– Udaje – zawyrokował Santiago. – Jestem o tym przekonany. To wszystko poza (*an act*, powiedział, udawanie).

– Ktoś pamięta go z samolotu albo z lotniska w Los Angeles? – spytał Wade. – Ja nie. Ale tam było tylu ludzi, że nie sposób pamiętać wszystkich.

Nikt z nas nie zapamiętał George’a. Nie widzieliśmy go ani na lotnisku, ani w samolocie, ani podczas przeprawy na wyspę. Tyle że to niczego jeszcze nie dowodziło.

Pogrążyliśmy się w milczeniu.

– To bez sensu – przerwałem je w końcu. – Załóżmy, że George był tu przed nami. Załóżmy, że wyrzuciło go tu morze: płynął przez ocean jachtem, który zatonął, albo wypadł z niego którejs nocy i schronił się na wyspie, albo może rozbił się awionetką gdzieś w jej wnętrzu. Załóżmy, że przebywał tutaj już od pewnego czasu. W takim razie powinien się z naszego przybycia ucieszyć, opowiedzieć nam o swoich przygodach. Wreszcie towarzystwo! I to tak liczne! Po co się zatem ukrywać? Nic nie mówić? Udawać?

– Właśnie to jest dziwne, stary. Właśnie to mnie przeraża – powiedział Santiago.

– Musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie tej sprawy – stwierdził Joseph. – Jakieś racjonalne, proste wyjaśnienie. Najlepiej zapytajmy o nie George’a.

– Moment, moment – zawołał Santiago, który najwyraźniej zdążył już wszystko dokładnie przemyśleć. – Nie możemy go tak po prostu zapytać. Musimy się najpierw zastanowić, co mu powiemy. Możliwe, że na wypadek wpadki przygotował sobie jakąś historyjkę. Potrzebujemy planu.

– Nie rozumiem tylko, czemu cię tak przeraża możliwość, że nie było go w samolocie, a jest tutaj – odezwałem się znowu. – Cóż, załóżmy, że naprawdę trafił tu przed nami. I co?

– Ale dlaczego to ukrywa? Dlaczego udaje, że z nami leciał?

– Może naprawdę z nami leciał – uspokajał Joseph. – Może martwisz się bez powodu. Najlepiej będzie z nim porozmawiać i posłuchać, co ma do powiedzenia.

– A ja myślę, że jest w tym wszystkim coś bardzo dziwnego, stary – nie odpuszczał Santiago. – Myślę, że ten cały George coś knuje.

– Plan? – prychnął Joseph.

– Nie, czekajcie – poprosił Wade, który od dłuższej chwili milczał i chyba się nad czymś intensywnie zastanawiał. – Czekajcie, pozwólcie Jackowi skończyć.

– Martwi mnie – podjął Santiago – nie tylko to, że George był tu wcześniej, ale również to, że najpewniej nie był sam. Bardzo prawdopodobne, że miał towarzystwo. Rozumiecie, o czym ja mówię? Rozumiecie?

Tak oto zagnieźdżał się między nami strach. Przy blasku płonącej na ziemi świecy. Zauważyłem, że ręce Santiaga drżą; że jest kompletnie spanikowany.

– To jedyne wytłumaczenie – dodał. – Że są tutaj całą grupą. Ci inni. I obserwują nas, od kiedy tu przybyliśmy.

– Zwariowałeś – rzuciłem.

– Nie mów mi, że zwariowałem – odpowiedział Jack, patrząc na mnie surowo. – Stary, nigdy więcej nie mów mi, że zwariowałem.

– Przepraszam, Santiago.

– Nie ma sprawy. Ale nie mów tak więcej.

– Nie chciałem cię obrazić, stary.

Postanowiliśmy rozmówić się z George’em nazajutrz z samego rana. Muszę wyznać, że mimo wszystko spałem tamtej nocy doskonale. Przypuszczenie, że George przebywał na wyspie już wcześniej, zanim się koło niej rozbiliśmy, było wtedy zaledwie przypuszczeniem – ziarnem, które nie zdążyło jeszcze wykiełkować. Spałem dobrze, a rano, gdy wyszedłem z chaty i ujrzałem osadę, palmy, rzekę, błękitną lagunę w obramowaniu pni drzew i to światło, i w ogóle świat, poczułem, że wszystkie nasze nocne lęki są zupełnie absurdalne. Poszedłem kawałek w głąb dżungli za potrzebą (zbudowaliśmy tymczasem latryny, ale okropnie tam śmierdziało i wielu z nas starało się z nich nie korzystać), po czym wróciłem, zjadłem śniadanie ze swoimi hiszpańskimi znajomymi, a także z Rosaną i z Syrą, jak zwykle padając ofiarą żarcików na temat tego, czy wolę kawę mocną czy słabszą, a mleko normalne czy raczej odtłuszczone, i dopiero później zauważyłem Santiaga oraz Josepha, którzy zbliżali się, patrząc na mnie wymownie. Dołączyłem więc do nich. Odnaleźliśmy Wade’a, który wracał akurat z lasu z dwoma ustrzelonymi ptakami przytroczonymi do pasa i razem ruszyliśmy na poszukiwanie George’a.

Robił nad rzeką pranie, żartując z otaczającymi go kobietami. Był chłopcem wyjątkowo ujmującym, wręcz idealnym. Powiedzieliśmy mu, że chcemy z nim porozmawiać, odwołaliśmy go na bok, a następnie zaprowadziliśmy do chatki Santiaga. George powtarzał wprawdzie, że nie może zostawić ubrań tak po prostu w rzece, próbował nawet zawrócić, ale nie pozwoliliśmy mu na to. Santiago wypalił zniechęca (choć z pewnością dobrze przemyślał ten ruch i starannie wybrał moment), że wiemy o wszystkim: że nie leciał z nami i był na wyspie już wcześniej. Zareagował naprawdę dziwnie.

Oburzył się, oświadczył, że gadamy głupstwa. Odrzekliśmy, że nikt nie widział go ani na pokładzie, ani na lotnisku, bo pytaliśmy rozbitków po kolei i żaden go stamtąd nie zapamiętał. Dorzuciliśmy, że jego nazwiska nie ma na liście pasażerów. Na koniec powiedzieliśmy, że ponieważ z nami nie leciał, musi wytłumaczyć nam, skąd się, u diabła, wziął na wyspie, co tu robi i czemu

dotąd podawał się za jednego z nas.

Człowiek niewinny zażądałby natychmiast wglądu w tamtą listę albo usiłowałby zrozumieć, dlaczego na niej nie figuruje. Jednakże George nie zrobił niczego w tym stylu. Nawet nie próbował szukać swojego nazwiska pośród innych. W bardzo niegrzecznych słowach oznajmił, że nie ponosi winy za cudze omyłki. Że nasze oskarżenia są idiotyczne, a my wychodzimy na wariatów i paranoików. Santiago spytał go o nazwisko – brzmiało podobno Payne. Na liście, owszem, takie widniało, tyle że należało do niejakiej Olgi Payne, która najwyraźniej nie przeżyła katastrofy. George ani nie umiał, ani nie starał się niczego wyjaśnić. Santiago spytał go, gdzie mieszkał, zanim znalazł się na wyspie, on zaś odpowiedział, że pracował w sklepie z farbami w West Hollywood, gdzie wynajmował mieszkanie ze swoim *roommate*, Irvingiem, budowlańcem, który grał na tubie. Santiago pytał dalej. Spytał George'a, jak trafił na wyspę. Spytał go, po co leciał do Indii. Pytał i pytał. Zdumiewało mnie, że ten wielki, zwykle niezbyt lotny chłopak bez jakiegokolwiek, jak się zdawało, wykształcenia, teraz wykazuje się przytomnością umysłu, jakiej pozostałym z nas, dorosłym, doskonale wyedukowanym i, przynajmniej w teorii, doświadczonym, brakowało. Spytał George'a, na którym miejscu w samolocie siedział, na co George odparł, że nie pamięta, przy czym i ja na przykład nie pamiętałem numeru swojego fotela. Niektórzy nie zapamiętują numerów tak jak inni nazwisk.

George powtórzył, że nam odbiło i że nie zamierza tolerować takich wymysłów, po czym wypadł z chatki, krzycząc, że nie pozwoli się tak traktować, skoro nic złego nie zrobił. Pozwoliliśmy mu odejść. Jak inaczej mieliśmy postąpić? Nie dysponowaliśmy żadnymi dowodami i nie mogliśmy go tak po prostu zatrzymać i związać – chociaż właśnie to należało uczynić.

Oddalił się więc i skierował do chatki Lizzy. Dziewczyna była jednak nad laguną, tam gdzie zwykle bawiły się dzieci. Siedziała w cieniu palm i karmiła Seymoura. Kiedy George ją odszukał, poprosiła go, by przez kilka minut zajął się małym, bo ona musi iść do toalety. Seymour skończył jeść, Lizzy zakryła pierś i podała niemowlę George'owi. Dziecko było wyjątkowo spokojne, syte i senne. Gdy jego matka znikła wśród drzew, George, trzymając je na rękach, zaczął się przechadzać po plaży i w końcu gdzieś wraz z nim przepadł. Nikt go nie widział. Nikt nie potrafił później powiedzieć, w którą stronę zmierzał. Z pewnością nie pokazał się już w osadzie, gdzie ktoś by go przecież zauważył, dlatego najprawdopodobniej od razu zapuścił się w dżungłę

i poszedł na południe lub południowy wschód, jako że raczej nie przepawiłby się z dzieckiem przez lagunę ani przez rzekę.

Dopiero po dłuższym czasie zauważyliśmy ich zniknięcie. Lizzy, nie znalazłszy ich tam, gdzie ich zostawiła, uznała, że George wrócił do osady, żeby przewinąć Seymoura albo go położyć. Szukała ich u siebie, a potem również w chatce George'a. Pomyślała, że może mały dostał kolki lub się rozplakał i George wziął go na spacer, albowiem rytm kroków uspokajał jej syna, podczas gdy bezruch wywoływał w nim niepokój. Szukała nad rzeką, szukała na plaży. W końcu się przestraszyła. Kiedy dowiedzieliśmy się, że od jakichś dwóch godzin nikt nie widział ani dziecka, ani jego opiekuna, Santiago, Wade, Joseph i ja zaczęliśmy rozumieć. Zaczęliśmy rozumieć, że George faktycznie nie był tym, za kogo się podawał; że naprawdę nie leciał z nami samolotem, przebywał na wyspie już wcześniej, a po zdemaskowaniu zdecydował się zbiec, porywając małego.

Podzieliliśmy się na ekipy poszukiwawcze. Przez resztę dnia przeczesywaliśmy dżunglę w najrozmaitszych kierunkach. Próbowaliśmy zachować zdrowy rozsądek, zastanawiając się, któredy z największym prawdopodobieństwem mógł uciekać George. Powtarzaliśmy sobie, że mężczyzna niosący niemowlę nie może przemieszczać się zbyt szybko i że jeśli wszyscy odpowiednio się postaramy, w końcu ich znajdziemy. Ale nie znaleźliśmy.

Następnego dnia znów przystąpiliśmy do poszukiwań, i kolejnego również. Przemierzaliśmy długie kilometry wybrzeżem i wzdłuż rzeki, zakładając, że to tam najłatwiej zbiegowi biwakować, ale nie natknęliśmy się nawet na najmniejszy ślad George'a.

Strach się zagnieżdża

Ogarnęło nas przerażenie.

Niektórzy przypuszczali, że George był rozbitkiem i że od długiego przebywania w samotności pomieszało się w głowie. To taki Ben Gunn, powtarzałem. George jest jak Ben Gunn, bohater *Wyspy skarbów*, który wyjątkowo niepokoił mnie w dzieciństwie. Wyobrażaliśmy sobie, że od dawna mieszkał w jakiejś jaskini w głębi wyspy, chroniąc się tam przed ciągłymi ulewami, a kiedy zobaczył nasz rozbity u brzegu samolot i masę ocalańców na plaży, z jakichś powodów postanowił się między nas wmieszać, porzucić swoją kryjówkę i osiaść w osadzie.

Inna hipoteza, forsowana przez Jacka Reinę, była taka, że nasza wyspa wcale nie jest bezludna, przeciwnie, zamieszkuje ją cała grupa ludzi. Nie umieliśmy odgadnąć, po co ci hipotetyczni ludzie potrzebowaliby niemowlaka, jednakże żadna z odpowiedzi na to pytanie nie brzmiała dobrze.

Wyobrażaliśmy sobie, że szajka przestępców, może piratów – w rodzaju tych, co to grasują jeszcze na morzach Południa – obserwowwała nas od wielu dni, przygotowując dla nas najróżniejsze okropne scenariusze. Może chcieli nas zabić, zrobić z nas niewolników, zażądać za nas okupu, zgwałcić nasze kobiety albo nawet nas zjeść...? Czy właśnie po to George porwał Seymoura? Żeby go sobie ugotować? Pamiętałem czytane dawno temu relacje ludzi oszalałych z głodu gdzieś na Syberii czy w Chinach, w Mandżurii. Pamiętałem też historię klęski głodu w Chinach, w czasie zarządzanego przez Mao wielkiego skoku, kiedy to władze odbierały rolnikom ziarno, by przechowywać je w silosach, a wygłodniaли do ostateczności chłopci zjadali dziewczynki (w Chinach, podobnie jak wszędzie indziej, zawsze bardziej ceniono sobie chłopców). Pamiętałem zwłaszcza jedno zdanie, zaczerpnięte może z jakiegoś międzynarodowego raportu: „Podrośnięta dziewczynka starczała na jakieś dwa dni”. Co znaczyło, że po tym czasie rodzina zaczynała

rozglądać się za kolejną.

Od tamtej pory co wieczór dołączałem do grona medytujących. Sesje trwały zwykle półtorej godziny i trudno mi było skupić się na tak długo. Poza tym nadal nie do końca rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, choć widziałem już, że moja niewiedza na temat ludzkiej psychiki jest ogromna i że utarte pojęcia, takie jak „myślenie”, „wyobraźnia”, „sen”, „pomysł”, „umysł” i tak dalej, nie wystarczają, by wytłumaczyć to, co tak naprawdę się w nas dzieje. Sądzę też jednak, że uciekałem w świat wewnętrzny, żeby zapomnieć o ponurej rzeczywistości wokół. Sądzę, że to rosnąca dokoła zgroza i lęk coraz głębiej wnikający w naszą małą społeczność popchnęły mnie do szukania wewnętrznej ciszy. Być może po prostu, jak zwykle, szukałem schronienia przed burzą.

Wedle nauk Dharmy Mittry oddech, postawa, stan fizyczny człowieka, zdrowie poszczególnych narządów, prawidłowe działanie gruczołów – wszystko to wiązało się ściśle ze stanem ducha. Zaskakiwały mnie te nauki o „duchowości” tak mocno zależnej od fizyczności. Wiele z ćwiczeń umysłowych, które wykonywaliśmy w ramach przygotowań do medytacji, miało, jak tłumaczył mi mój przyjaciel, brazylijski stolarz, dużo wspólnego ze stymulacją przysadki mózgowej i szyszynki, jak również układu nerwowego i mniej aktywnych części mózgu. Ćwiczenia oddechowe często okazywały się tak skomplikowane, że całkiem się w nich gubiłem, choć Rosana, a także Julián i Matilde, usiłowali mi pomóc. Tak, wszystko to rzeczywiście mnie intrygowało (weźmy choćby odkrycie, do jakiego stopnia kontrola oddechu wpływa na stan ducha oraz na jasność percepcji – temat, który zamierzałem zgłębić później, gdy będę miał czas i sposobność, już na własną rękę, albowiem mógł być dla artysty wyjątkowo istotny), lecz szczególnie ciekawił mnie moment, w którym rozpoczynaliśmy introspekcję, zagłębiając się w świat swoich wewnętrznych obrazów. Dharmę wyjaśniał niejednokrotnie, że naszym celem jest pójść dalej, całkiem wyzbyć się myśli, niejako zatrzymać swój umysł, gdyż dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa medytacja, niemniej, aby osiągnąć takie uspokojenie, jogini i joginki w zgodzie z technikami tantrycznymi świadomie kształtują w swoim mózgu różne obrazy, co pozwala skierować energię psychiczną w pożądaną stronę i nauczyć się kontrolować umysł. Później, być może, miała przyjść pora na absolutne wyciszenie i autentyczny trans. Albowiem kiedy umysł się zatrzymuje, tłumaczył Dharmę, może się nam objawić bóg.

Cztery dni po porwaniu Seymoura znikło kolejne dziecko. Stało się to podczas nocnego ataku wilków. Ja ich nie widziałem. Albo może i tak? Cienie wielkich psów przesuwały się między drzewami i chatami. Tak czy owak na pewno je słyszałem – ich głosy. Myślę, że wszyscy słyszeli to przeraźliwe wycie. Kunze wypadł ze swojej chaty ze strzelbą Lazzeroni i oddał kilka niecelnych strzałów. Pośród tego zamieszania nikt nie zauważył, że mały Branford, syn państwa Griffinów, gdzieś przepadł. Rodzice stwierdzili jego nieobecność dopiero następnego ranka, kiedy ujrzeni, że pod kocem ktoś pracowicie poupychał ubrania – tak, żeby układały się w kształt śpiącego dziecka. Pamiętam krzyki Glorii, gdy odkryła, że jej syna nie ma w łóżeczku. Krzyki ranionego, konającego zwierzęcia.

Branford miał cztery lata i raczej stronił od innych dzieci. Zapamiętałem go wiecznie naburmuszonego, z rozwichrzonymi włosami, ponieważ jego jasna fryzura za nic nie chciała się podporządkować grzebieniowi. Był chłopcem o silnej osobowości i dało się już przewidzieć, na jakiego wyrośnie mężczyznę. Z niektórymi dziećmi tak bywa: patrzysz na nie i od razu wiesz, jakie będą w wieku lat czterdziestu. Mnóstwo czasu spędzał na nabrzeżnych skałach, szukając rozmaitych morskich stworzeń, rozgwiazd i krabów, i nosił z sobą niebieskawy słoik, do którego wrzucał znalezione na plaży drobne białe muszelki. Co ciekawe, ten słoik przepadł razem z nim. Zupełnie jakby porywacz (chyba że było ich więcej) zdawał sobie sprawę z przywiązania Branforda do tego przedmiotu i pozwolił mu go zabrać. Ale dlaczego mały nie krzyczał? Dlaczego zgodził się opuścić chatę rodziców?

Boże mój, jakie to wszystko było dziwne! Atak wilków, zniknięcie dziecka, a już szczególnie ta złowieszcza, potworna atrapa pod kocem – każdy z tych elementów świetnie pasował do innych, jakby chodziło o dobrze przemyślany i zrealizowany plan. Czy naprawdę, jak twierdził Carl, te wilki nie były prawdziwe? Tyle że widzieliśmy je i słyszeliśmy kilka razy, niektórzy z nas napotkali je za dnia, w dżungli, i umieli dokładnie opisać, na przykład Gwen, zoologka, no i przecież Bill Higgins nie bez powodu stracił rękę. Nie, wilki były bez wątplenia prawdziwe, a George i jego towarzysze wykorzystali ich atak na osadę (albo wręcz go sprowokowali), żeby w całym tym zamieszaniu uprowadzić małego Branforda.

Na tym etapie mieliśmy już pewność, że George nie działa w pojedynkę. Zakładaliśmy, że towarzyszy mu kilku mężczyzn, może czterech czy pięciu zdesperowanych, zdziczałych mężczyzn, którzy mieszkają gdzieś w głębi

wyspy i z powodu opuszczenia i głodu od dawna zamieniają się w bestie.

Ponownie zorganizowaliśmy poszukiwania zaginionych dzieci, ponownie trwało to całymi dniami i ponownie nie przyniosło żadnego rezultatu.

Było coś, co mnie w tym wszystkim ogromnie dziwiło. Owszem, szukaliśmy tych maluchów, i to całymi dniami, ale dlaczego w końcu przestaliśmy szukać? Jak to się stało, że zrezygnowali nawet rodzice? Tak, szukaliśmy wszędzie dookoła, niemniej wyspa była przecież ogromna i dzieci mogły przebywać gdziekolwiek. Dlaczego tak długo nie zapuszczaliśmy się do jej wnętrza?

Skutki strachu

Bruce i Gloria, rodzice Branforda, przeszli po zniknięciu syna głęboki kryzys. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co przeżywali, wiedząc, że jakiś szaleniec (albo grupa szaleńców) porwał ich dziecko nie wiadomo dokąd i nie wiadomo w jakim celu – istna tortura przerażających domysłów. Bo jak ich w takiej sytuacji nie snuć? Niekiedy w czasie medytacji stawały mi przed oczami obrazy maluchów nabitych na szpikulce i pieczonych na ogniu przez zdziczałych, zaślinionych facetów i musiałem wtedy otwierać oczy, żeby te potworne wizje odegnać. Zastanawiałem się, skąd się one biorą – czy nie wynikają aby z jakichś moich ukrytych skłonności czy nieuświadomionych fantazji. W tamtym okresie raz po raz gratulowałem sobie, że nie mam dzieci, i powtarzałem, że nigdy ich mieć nie będę, ponieważ odpowiedzialność za posiadane potomstwo i związany z nią lęk wydawały mi się wprost nie do zniesienia.

Gloria winiła za całą tragedię Bruce'a, toteż opuściła ich wspólną chatę i przeniosła się do Jimmy'ego Bruëlla. Tak – wyjątkowo dziwna reakcja. Zamiast trwać w tych trudnych chwilach przy mężu, matka Branforda spędzała noce, pijąc z kochankiem alkohol. Zapewne łatwiej znosić upadek niż ciągły strach.

Wszyscy byliśmy oburzeni zachowaniem Jimmy'ego: tym, jak wykorzystywał kryzys małżeński Griffinów i niepoczytalność zdesperowanej matki. Odbyliśmy z nim rozmowę i Jimmy powiedział Glorii, żeby się wyniosła. Ona jednak nie chciała wrócić do męża. Próbowała z Josephem, próbowała ze mną. W końcu zajęła się nią Nigeryjka Omotola. Przypuszczam, że połączył je ból utraty. Stały się nierozłączne, wspólnie milcząc, czasem czesząc się nawzajem i zaplatając sobie warkoczyki z paciorkami, zbierając owoce albo gotując. Prawie się do siebie nie odzywały. Ja w każdym razie nie słyszałem, by kiedykolwiek rozmawiały. Jednakże Gloria wydawała się

przynajmniej spokojniejsza.

Już pierwszego wieczoru po zniknięciu Branforda umieściliśmy wszystkie dzieci w chacie Rosany i Syry, bo znajdowała się w centrum osady, i rozstawiliśmy strażę. Tamtej nocy nic się nie wydarzyło, podobnie jak następnej. Natomiast trzeciego dnia w którymś momencie (jako że nie mogliśmy pilnować maluchów dwadzieścia cztery godziny na dobę ani trzymać ich ciągle w zamknięciu) przepadły Adele i Estelle – siostry, które porozumiewały się ptasimi pokrzykiwaniami i bawiły się w zrozumiałe tylko dla nich zabawy. Znikły, kiedy ich rodzice, państwo McCulloughowie, Henry i Diffy (to skrót od Daffodil, jak mi się zdaje) na chwilę osłabili czujność. Może zaspali, a dziewczynki wymknęły się z chaty nad rzekę, skąd z łatwością uprowadzili je osobnicy czyhający pośród drzew? Henry McCullough był australijskim dyplomatą, pracował jako radca handlowy różnych placówek w Afryce i południowej Azji. Jego żona, Diffy, wysoka i dystygowana, miała urodę pierwszej damy. Wszyscy widzieliśmy, jak bezgłośnie płacze, widzieliśmy, jak kłóci się z mężem i razem z nim modli, widzieliśmy, jak Henry, mężczyzna potężnie zbudowany i wzbudzający respekt, miota się po dżungli, zupełnie bez sensu zaciskając rękę na kolbie pistoletu, którego, wedle słów Diffy, nawet nie potrafił używać. Ekipy poszukiwawcze wyruszyły bowiem na ratunek dziewczynkom, tak jak wcześniej na ratunek Branfordowi i Seymourowi, i tak jak wcześniej niczego nie wskórały. Tymczasem przepadło czworo dzieci, a strach i przygnębienie w naszej grupie rosły. Nie wiem, czy to już wtedy zaczęliśmy określać George'a i jego towarzyszy mianem „tych z interioru” albo *insiders*.

Państwo Leverkusenowie trzymali się teraz zawsze razem i czuwali nawet nocą, na zmianę. Co do Rosany i Syry, ich stosunki się nie poprawiły. Syra wciąż zabawiała się po swojemu, na przykład chowała czy przekładała z miejsca na miejsce różne rzeczy, tak że potem ktoś szukał swoich okularów, zegarka, dziennika albo książki, którą właśnie czytał, albo spodni wywieszonych do wyschnięcia, by w końcu ku swemu zdziwieniu znaleźć je na czubku tamaryndowca lub w rzece. Ponadto Syra raz po raz zniknęła, igrając ze strachem matki i chyba ciesząc się z okazji do takiej zemsty. Rosana spędzała całe dnie, nawołując ją swoim wysokim, piskliwym głosem. Przy podobnych okazjach wolałem się do niej nie zbliżać, bo z przykrością słuchałem tego, co mówiła córce, pozwalając się owładnąć dzikiej furii.

Poddana nieubłaganej kontroli i bezustannej krytyce Syra wymyślała coraz

to nowe i coraz bardziej przewrotne formy buntu. Na przykład ogryzała sobie paznokcie aż do mięsa, co wyprowadzało Rosanę z równowagi (jak wyznała mi kiedyś, sama miała w dzieciństwie ten brzydki nawyk), albo rozdrapywała bąble po ukąszeniach komarów, póki nie zamieniły się w rozjątrzone rany. Rosana starała się jej pilnować, obcinała jej i piłowała paznokcie, oklejała palce plastrami, stosowała najróżniejsze kary, jednakże Syra niewiele sobie z tego robiła. Pozwalała się ranom zagoić, po czym zdierała strupy, najwyraźniej zachwycona związanym z tym pieczeniem, zachwycona bólem. Najczęściej oddawała się temu w ukryciu, niemniej odruch drapania się był w niej tak silnie zakorzeniony, że nierzadko zaczynała się drapać na oczach matki, znowu wprawiając ją we wściekłość.

Ktoregoś razu wyprawiała się z grupą zbieraczy na „plażę samolotową” po kokosy, nic nie mówiąc Rosanie, a innych zapewniając, że ma jej zgodę. Rozhisteryzowana Rosana szukała córki przez całe przedpołudnie, a kiedy nabrała już pewności, że tajemniczy porywacze uprowadzili również Syrę, ujrzała ją, całą uśmiechniętą, wracającą do osady z Josephine, Oscarem i Brendą, ze sztywniakiem Udo, czyli osobistym sekretarzem pana Kunzego, oraz z Di Di, asystentką Brigitty Kunze. Wszyscy dźwigali torby i worki wypełnione kokosami. Rosanie puściły hamulce.

– Poszłaś sobie? – wrzasnęła, widząc córkę za rękę z Josephine. – Poszłaś sobie, nic nie mówiąc mamie? Poszłaś sobie, nic nie mówiąc? Odpowiadaj! Poszłaś sobie, nic nie mówiąc mamie, choć wiedziałaś, że mama będzie umierać ze strachu?

– Powiedziałam ci, że idę – szepnęła Syra.

– Nie uprzedziłaś swojej mamy? – spytała Josephine, która rozumiała trochę po hiszpańsku. – Okłamałaś nas?

– Czy ja wiem – pisnęła Syra, spuszczać oczy i udając, że jest jej przykro.

– Durna dziewczyna! – krzyknęła Rosana, przyskakując do niej i chwytając ją za ramię. – Wiesz, jak mama się bała? Wiesz, jak się martwiła? Czy ty nie potrafisz choć raz się kogoś posłuchać? – Wykrzykując to, wykręcała małej rękę i mocno nią potrząsała. – Przywiążę cię sznurem! Będziesz za karę siedzieć w zamknięciu! Jeszcze popamiętasz!

– To boli – powtarzała słabo Syra.

Stałem tuż obok. Patrzyłem na nią, a ona w pewnej chwili odwzajemniła moje spojrzenie i za zasłoną ciemnych włosów znowu się uśmiechnęła. Boże mój, jak mnie przeraził ten uśmiech! Syra, krzywiąc się z bólu, bo Rosana zbyt

mocno ścisnęła jej ramię, mimo wszystko się uśmiechała, uśmiechała się do mnie, jakby wtajemniczyła mnie w swój sekret. Kilka osób z osady zbliżyło się, słysząc podniesione głosy, między innymi Sophie Leverkusen oraz para Chińczyków z Singapuru, Jung Fei Ye, który kazał się nazywać Michaeliem, i jego żona Pei Pei Ye.

– Wystarczy! – zawołała Sophie. – Puść małą!

– Nie wtrącaj się! – wrzasnęła Rosana. – To moja córka!

Była tak zdenerwowana, że z trudem znajdowała słowa po angielsku.

Sophie stanęła naprzeciwko. Górowała nad małą Rosaną wzrostem i prezentowała się przy niej naprawdę imponująco.

– Nie – oświadczyła. – Nie będziesz krzywdzić dziecka. Nie zgodzę się na to. Od wielu dni obserwuję, jak traktujesz tę małą, i już nie mogę na to patrzeć. I nie ja jedna. Rozmawialiśmy o tym i jesteśmy zgodni: nie wolno ci jej tak traktować.

Rosana puściła ramię Syry, ta zaś podbiegła do mnie, przytuliła się i złapała moją rękę.

– To dziecko się ciebie boi – podjęła Sophie. – Potrafię zrozumieć, że dziś wpadłaś w histerię i przestałaś nad sobą panować. Wszyscy jesteśmy rozhisteryzowani. Ja też. Ale tu nie chodzi tylko o dzień dzisiejszy. Ty się tak zachowujesz od początku. Jeszcze przed katastrofą, na lotnisku w Los Angeles, widziałam, jak wydzierałaś się na Syrę nie wiadomo za co. Dłużej tego nie zniosę.

Rosana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nerwy, strach i gniew uniemożliwiały jej jakąkolwiek sensowną reakcję.

– Później o tym porozmawiamy – odezwał się wówczas. – Teraz wszyscy jesteśmy zbyt wzburzeni.

– Pani z Hiszpanii ma rację – wtrąciła nagle Pei Pei Ye swoją miękka, singapurską angielszczyzną. – Ta dziewczynka bardzo źle się zachowuje.

– Ta dziewczynka jest bardzo źle traktowana – odparowała Sophie. – Jest wystraszona. Dlatego robi to, co robi.

– Nie słucha się – nie ustąpiła Pei Pei, a w jej małych ciemnych oczach błysnęła stal. – Dzieci mają się słuchać rodziców. A ona się nie słucha. Dzieci mają się słuchać.

– Przynajmniej ktoś mnie broni – rzuciła Rosana, wyraźnie na krawędzi łez.

– W moim kraju, jeśli dziecko zachowuje się tak jak ta mała, zbieramy całą szkołę w dużej sali – przemówił Michael, mąż Pei Pei, łagodnie i uprzejmie.

– Stawiamy takie dziecko przed kolegami i każemy mu oprzeć ręce na stole, po czym bijemy je różgą. Przy wszystkich. Pięć razy w tyłek zwykle wystarcza. Dziecko jest już później grzeczne.

– Należałoby ją obić – przytaknęła Pei Pei. – W ten sposób nauczyłaby się słuchać starszych.

Musieli mieć z Michaeliem po trzydzieści kilka lat, ale, jak to często z Chińczykami bywa, wyglądali wręcz na nastolatków. Byli szczupli, bladzi, atrakcyjni, eleganccy i chłodni. Pei Pei, mężatka i właścicielka sklepu z elektroniką w chińskiej dzielnicy Singapuru, zatrudniająca dziesięciu pracowników, nie wydawała się specjalnie wyższa czy starsza od Syry. Mimo ekstremalnych warunków, w jakich się znaleźliśmy, ubierała się nader starannie i tym razem miała na sobie pomarańczowe tenisówki, spodnie khaki do pół łydki oraz białą, haftowaną bluzkę z krótkim rękawem – wszystko od Prady. Co zaś do Michaela, to był kiedyś policjantem, pracował w więzieniu i dosłużył się stopnia komisarza, by następnie zostać szefem ochrony jednego z centrów handlowych przy Orchard Road. Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się później. Przed awanturą z Syrą ani razu, jak sędzę, nie słyszeliśmy głosów tej dwójki.

Nie było nic więcej do dodania. Rosana i Sophie popatrzyły sobie w oczy. Sophie najwyraźniej zaniemówiła. Ja ścisnąłem rączkę Syry, podszedłem wraz z nią do Rosany, ująłem również jej dłoń i we troje oddaliliśmy się od całej grupy. Pei Pei, uroczą Chinceczką, nadal powtarzała, że dzieci mają się słuchać, a tę małą należałoby obić.

Zbieramy się na naradę

Tamtego wieczoru zebraliśmy się na coś w rodzaju narady, w której wzięli udział wszyscy rozbitkowie. Ci, którzy najlepiej radzili sobie z rozpalaniem ognisk, zadbali o to, by ogień nad rzeką był wystarczająco duży i pozwalał nam się nawzajem widzieć, choć i tak mrok dżungli napierał na nas zewsząd, a małe zwierzęta, ptaki, niewielkie gady i zwinne małpy ostrożnie wyglądały spośród drzew i lian, ciekawe ludzkiego zbiegowiska. Nie zdecyduję się przywołać tu wszystkiego, co zostało wtedy powiedziane, ograniczę się do kilku spraw. Sophie podniosła kwestię konieczności wyznaczenia jakichś reguł. Nawiązując do *Władcy much*, co chyba nie każdy spośród nas zrozumiał (muszę wyznać, że nigdy nie czytałem książki, chociaż znam całą historię i widziałem film Petera Brooka), oświadczyła, że musimy się starać zachowywać jak ludzie cywilizowani i nie poddawać presji skrajnie trudnych okoliczności. Zgodziliśmy się z nią, tyle że interpretowaliśmy jej słowa na bardzo różne sposoby. Dla Michaela i jego żony, podobnie jak dla Tudellego i Hansy oraz państwa Lee i Kunze'ów oznaczało to wyznaczenie reguł niezwykle surowych, mających „ukrócić nieobyczajne zapędy i samowolne wybryki”.

Pei Pei zgłosiła formalny wiosek o ukaranie Syry. Ta dziewczynka, mówiła, zachowuje się tak niewłaściwie, że trzeba ją publicznie wychłostać, by raz na zawsze zrozumiała wagę dyscypliny. To dla jej dobra. Nic lepszego nie mogłyby jej w życiu spotkać.

– Ciebie też chłostali, laleczko? – rzucił Jimmy Bruëll. – To w ten sposób rozumiałaś wagę dyscypliny?

– Mój mąż może rozłożyć cię na łopatki i dać ci bolesną naukę w mgnieniu oka – odrzekła chłodno Pei Pei. – Lepiej go nie prowokuj, proszę.

– Ja też proszę – dodał Michael, uśmiechając się uprzejmie i składając ukłon – żebyś zwracał się do mojej żony z szacunkiem.

– Szacunek popieram – odparł Jimmy. – Nie popieram natomiast egzekwowania go za pomocą różgi. Czy może chińskich kulek? Trochę się tu gubię.

Nie jestem pewien, czy Michael zrozumiał ten rasistowski żarcik. Chociaż mężczyzna taki jak on raczej musiał wiedzieć, co to są „chińskie kulki”, zwłaszcza że pochodził z Singapuru, będącego, mimo swoich surowych praw, znanym rajem seksualnym. Ale może nie dosłyszał albo uznał, że inwektywy ze strony takiego prostaka jak Jimmy należy puszczać mimo uszu.

– Kary fizyczne nie wchodzą w grę – oznajmił Joseph. – Nie jesteśmy barbarzyńcami i nimi nie będziemy.

– Twierdzisz, że jestem barbarzyńcą? – spytał Michael. – Po raz kolejny Amerykanie będą nas uczyć humanitarnego podejścia? Ja jestem barbarzyńcą? Ja nie zrzuciłem napalmu na dzieci ani bomb atomowych na całe miasta, nie trzymałem czarnych niewolników i nie masakrowałem Indian. I to ja jestem barbarzyńcą?

– Okej, *folks, folks, folks!* – Wade wstał i, rozłożywszy ręce, postąpił ku ognisku. – Myślę, że wszyscy zapominamy tutaj o najważniejszym. – (*We're missing the point*, powiedział). – Wszyscy jesteśmy zdenerwowani i przerażeni, a nerwy i strach to najgorsi doradcy.

– Więc co jest „tutaj najważniejsze”, panie Erickson? – odezwał się wtedy Stephan Kunze, szwajcarski milioner. – O czym tak ważnym, wedle pana, zapominamy?

Miał niezbyt donośny głos i nawet nie starał się mówić głośniej, a jednak gdy przemówił, natychmiast zapanowało ogólne milczenie. Nie wiem, jak to się dzieje, że niektórzy mają taki posłuch. Państwo Kunze'owie zwykli na wyspie przesiadywać w samolotowych fotelach: niebieskich, z szarymi oparciami, poduszką i siatką na gazety z tyłu, przenoszonych z miejsca na miejsce przez ich „pomocników”, i teraz, w kręgu wokół ogniska, także na nich siedzieli. Podobnie jak Tudelli. Jimmy Bruëll – bądźmy szczerzy – też miał taki fotel, tyle że trzymał go przy wejściu do swojej chaty i używał do czytania. Ale ten źle ogolony starzec rozparty przy ogniu na swoim śmiesznym niebieskim tronie – skąd brał tę hipnotyczną siłę, która sprawiała, że dziewięćdziesiąt osób milkło, gdy tylko otwierał usta?

– Niech pan nas oświeci, panie Erickson – ciągnął – co ważnego nam tu umyka? Bo ja widzę jedynie, że zaczynamy się staczać po równi pochyłej. Nasza mała społeczność przeżywa kryzys i potrzebuje przywództwa.

Szczególnie moralnego.

Zobaczyłem, że Sophie ma dosyć. Stała i płakała. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Stała obok męża i synów, a łzy, błyszcząc, spływały jej po policzkach. Płakała cicho, bez szlochania. Z jej oczu lała się rzeka łez – łez bezsilności, albowiem Władca Much już między nami zamieszkał i karmił się naszą rozpaczą i naszym rozgoryczeniem, i nic się nie dało na to poradzić.

– Zapominamy – rzekł Wade, patrząc na nas ze swoim uśmiechem nie do zapomnienia, obracając się tak, by objąć swoim błękitnym spojrzeniem i swoimi słowami każdego: i mnie, i osobę obok, i tak dalej, i tak dalej – że nic z tego, co tu się dzieje, nie dzieje się przez przypadek. Że jesteśmy tutaj z jakiegoś powodu. Że wszystko, co się tu zdarza, zdarza się z jakiejś przyczyny i w jakimś celu. Właśnie o tym zapominamy. I o tym, że niewykluczone, iż nawet najstraszniejsze, najtrudniejsze do wyjaśnienia rzeczy, które przerażają nas i zbijają z tropu, wpisują się w coś rozleglejszego.

– Wszystko dzieje się z woli Boga – wtrącił Hansa.

– Nie wiem, czy z woli Boga – odparł Wade. – Nie wiem, czy Bóg ma wolę, czy istnieje i czy, jeśli nawet istnieje, zawraca sobie nami głowę. Nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z istnienia tej wyspy. Może zapomniał o tym miejscu i może mimo wszystko to dla nas dobrze: że jesteśmy gdzieś, gdzie On nas nie widzi. Nie zaliczam się do ludzi specjalnie mądrych. Są tu z nami osoby znacznie mądrzejsze, bardziej inteligentne, lepiej wykształcone. Lekarze, finansiści, biskupi, architekci, profesorowie. Ja jestem nikim. Jestem Wade Erickson i jestem nikim, ale od kiedy przybyliśmy na tę wyspę, jestem też kimś. Kimś, kto rozumie, że jego życie to coś więcej niż odrobina wody spływająca rurami, kiedy ktoś wyciągnie zatyczkę z wanny. Dlatego, że tu jestem. Dlatego, że stoję na nogach i żyję. Bo przeżyłem, jak wy wszyscy. Przeżyliśmy, nie zapominajcie o tym. Dostaliśmy drugie życie. Drugą szansę. Nie możemy jej zaprzepaścić. Nie wiem, jak wam wytłumaczyć to, co czuję. Nie wiem, jak wam wytłumaczyć, że mimo wszystkich przytrafiających się nam okropieństw, mimo żałoby po zmarłych i zaginionych, żywię najgłębsze przekonanie, że wszystko to ma jakiś sens i że przyjdzie chwila, gdy zrozumiemy, co tu właściwie robimy, dlaczego się tu znaleźliśmy, dlaczego lecieliśmy tamtym samolotem i spadliśmy akurat w tym miejscu, dlaczego przetrwaliśmy i co mamy dalej począć. Wszyscy rozumiemy, że ta wyspa nie jest miejscem takim jak inne. Dzieją się tutaj rzeczy nadzwyczajne. Wiemy to, doświadczyliśmy tego. Doświadczamy tego codziennie. Tu dzieją się cuda.

O tym właśnie powinniśmy rozmawiać. Nie o karaniu dzieci. Nie o wyznaczaniu drakońskich praw. Powinniśmy rozmawiać o cudach i dziękować, i starać się zrozumieć. Musimy wyzbyć się pragnienia zemsty. Ja zawsze marzyłem o zemście. Myślę, że od kiedy skończyłem dwanaście lat, a może nawet wcześniej, zawsze czułem głównie strach, nienawiść i urazę i zawsze pragnąłem się zemścić, i zawsze żyłem pod przymusem bycia kimś, kim nie chciałem albo wiedziałem, że nie zdołam być. Ale po przybyciu tutaj wszystko to znikło. Znikło moje pragnienie zemsty. Wybaczyłem wszystkim, którzy mnie skrzywdzili. Wybaczyłem im, bo już nie mogą mnie osiągnąć. I moja wina też tu nie sięga, wyzwoliłem się również od niej. Wybaczyłem wszystkim, którzy mnie skrzywdzili i których sam skrzywdziłem. Wybaczyłem sobie. Zaakceptowałem się w pełni. Przyjąłem siebie samego. Ucieszyłem się sobą samym. Jestem kimś więcej, niż kiedyś byłem, i mogę więcej, niż kiedyś mogłem. Nic nie może mnie dotknąć, bo teraz wiem, kim jestem. A wiem to dzięki tej wyspie.

– Mówisz, że nic nie stało się bez powodu, Wade. Jaki to powód? – spytał wtedy Joseph. – Mógłbyś mi wytłumaczyć? Mógłbyś mi wytłumaczyć, co tak ważnego nas tutaj ściągnęło? Mógłbyś mi wytłumaczyć, co to właściwie za „cuda”?

– Sam wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny – odparł Wade. – Sam widziałeś, jak człowiek umarły wrócił do życia.

– Nie ma cudów, Wade – zaooponował Joseph. – Tak, może i mówiłem różne rzeczy... Czasem mówimy różne rzeczy... Nauka opiera się na cudach, Wade. To znaczy na tym, co trudne do wyjaśnienia, ale bynajmniej nie cudowne. Rosanie poprawił się wzrok. Może to wynik stresu. W sytuacjach skrajnego zagrożenia organizm reaguje rozmaicie. Literatura przedmiotu zna takie przypadki.

– A co się stało z Noboru, Josephie? – odparował Wade. – Sam widziałeś, jak wraca do życia. Wszyscy widzieliśmy. Co się stało z Christianem, którego trafił piorun, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy? Nie rozumiecie, że to, co się tu dzieje, nie ma prawa się dziać? Skąd my wszyscy, jak tu jesteśmy, się wzięliśmy? Po co lecieliśmy z Los Angeles do Singapuru, Indii czy Australii? Jak to możliwe, że na pokładzie naszego samolotu brytyjska aktorka spotkała scenarzystów serialu, w którym miała zagrać? Jak to możliwe, że zaleźliśmy tu, na tej wyspie, czasopismo z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, podczas gdy jest między nami modelka pozująca na jego okładce? Jak to

możliwe? Nie wydaje się wam, że zbyt dużo tych zbiegów okoliczności? Jak to możliwe, że John odnalazł tutaj swoich przyjaciół z młodości, mieszkających na drugim końcu świata i niewidzianych od dwudziestu lat? Nie, to nie jest przypadek. To nieprawdopodobne. Nie przypadkiem wsiedliśmy do tego samolotu Global Orbit. Nie przypadkiem ulegliśmy katastrofie. Nie przypadkiem nasz samolot spadł akurat koło tej wyspy. Nie, to nie był przypadek ani wypadek. *To wcale nie był wypadek.*

Tu i ówdzie odzywały się zmieszane głosy.

– Jest pan szalony, Erickson – powiedział Kunze. – Nie chcę tego dalej słuchać.

– Cóż, panie Kunze – odrzekł wesoło Wade. – Nie wiem, jak mógłby mnie pan uciszyć. Raczej pan nie może.

– Wydaje się pan szczęśliwy, że tu trafił – rzucił Kunze. – Szczęśliwy! Sądzi pan najwyraźniej, że ma pan coś w rodzaju misji. Jest pan szurnięty.

Atmosfera gęstniała, niektórzy głośno popierali Wade'a, inni – pana Kunzego, wielu z Wade'a kpiło, wielu twierdziło, że odbiegamy od głównego tematu naszego zebrania. I wtedy wszyscy usłyszeliśmy skrzypce. To zaczął grać Sebastian Leverkuhn.

Grał *largo z III Sonaty na skrzypce solo* Bacha. Nie wiem, dlaczego wyjął skrzypce – czy za podszeptem matki – jestem jednak przekonany, że akurat Sebastianowi nie trzeba było mówić, co ma robić. Nie, z pewnością nikt mu niczego nie kazał, choć Leverkuhnowie byli w tamtych dniach nierozłączni i Sophie, zgodnie z tym, co podpowiadał zdrowy rozsądek, nie rozstawała się z synami ani na moment. Wyobraziłem sobie, jak oboje z Sebastianem idą do swojej chaty, jak chłopiec z powagą otwiera futerał i, obserwowany przez zapłakaną matkę, wyjmuje z niego skrzypce i smyczek, jak ona mu pomaga, on stroi instrument i oboje wracają nad rzekę, do ogniska, na zebranie.

Nigdy nie zapomnę tamtego wieczoru. Atmosfera ostatecznie zgęstniała, w powietrzu wisały silne emocje, ludzie patrzyli na siebie wilkiem. Ile brakowało, żeby ktoś zrobił coś nieodwracalnego? Ile brakowało, by szaleństwo objawiło swoje zdeformowane, zezowate oblicze? Synek państwa Griffinów znikł, a jego matka opuściła męża, żeby się pieprzyć z Jimmym Bruëllem. Syra trochę napsociła, a już pewna sympatyczna para Chińczyków w ubraniach od Gucciego i Prady proponowała, by ją publicznie wychłostać. To było rzeczywiście jak z *Władcy much*. Wokół ogniska zgromadziły się trzy stronnictwa: moralizatorów, wizjonerów i pragmatyków. Jednakże głos

pragmatyków zawsze brzmi najślabiej: ich argumenty są mniej namiętne niż argumenty pozostałych. Moralizatorzy chcieli surowych praw i spektakularnych kar. Pragmatycy i wizjonerzy sprzeciwiali się temu, ale nie potrafili dogadać się między sobą. No i byli jeszcze ci, którzy nie zabierali głosu, milczeli, trzymali się z tyłu albo szli spać.

Kiedy odezwały się skrzypce Sebastiana, wszystko się zmieniło. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki dokładnie sposób, nie wiem też, jak inni słyszeli tę muzykę i co ona dla nich znaczyła. Zebranie wyraźnie dobiegało końca. Kilka kobiet się rozszlochało, a wielu spośród nas zaczęło się ścisnąć – jak pod koniec imprezy albo gdy ktoś wraca z daleka, albo w sylwestra, albo kiedy kończy się wojna. Państwo Kunze’owie i Tudelli, wciąż usadowieni w swoich śmiesznych niebieskich fotelach, gorąco o czymś rozprawiali. Pamiętam wszakże, iż większość obecnych padała sobie nawzajem w ramiona i że ja również poczułem wielką ochotę uściskania kogoś, i nie sądzę, by związane to było z muzyką Sebastiana, chociaż możliwe, że jednak było związane z tą muzyką, która wciąż rozbrzmiewała i wydawała mi się piękniejsza i bardziej tajemnicza niż cokolwiek, co w życiu słyszałem. I właściwie nie brzmiała jak muzyka, jak niemiecka reformacyjna muzyka napisana dawno temu gęsim piórem, przy świetle świecy, w jednopiętrowym domku z jabłonią naprzeciwko, położonym przy brukowanej ulicy w sercu Europy. Nie brzmiała jak muzyka. Nie, bo to nie była muzyka. Nie wiem, co to było, ale nie muzyka. Rozejrzałem się za Gwen i dostrzegłem ją przytuloną do Josepha, który z zamkniętymi oczami szeptał jej coś na ucho. Rozejrzałem się za Swaylą i dostrzegłem ją przytuloną do Santiaga Reiny, jak gdyby wręcz zapadniętą w jego ogromną, miękką pierś. Rozejrzałem się za Idoyą i dostrzegłem ją przytuloną do Ignacia. Rozejrzałem się za Sheilą i dostrzegłem ją przytuloną do Christiana. Rozejrzałem się za Nicollette Sheridan i dostrzegłem ją przytuloną do Jean Jani. Rozejrzałem się za Rosaną i dostrzegłem ją przytuloną do córki, głaszczącą jej długie czarne włosy. Ponad ramieniem jej matki widziałem oczy Syry, która sprawiała wrażenie rozkojarzonej i rozglądała się dookoła, obserwując płomienie ogniska, świetlne refleksy na rzece albo kapucynki przypatrujące się całej scenie z gałęzi drzew. Oczy tej małej wydały mi się niezgłębione, choć zarazem zdradzały, że Syra myśli o rzeczach zupełnie niezwiązanych z cierpieniem, wyrzutami sumienia i trudną miłością jej matki. Kiedy mnie zauważyła, uśmiechnęła się do mnie.

Widzimy latający spodek

Następnego poranka obudziły mnie podniecone okrzyki Sheili. Zerwałem się ze swojego legowiska i popędziłem nad lagunę. Omotola i Gloria siedziały na brzegu rzeki, jedząc na śniadanie biały miąższ orzecha kokosowego, milczące i zamyślane. Kunze kąpał się w ciemnej rzecznej wodzie, która sięgała mu powyżej sutków, przy czym postawę i minę miał taką, jakby się tam właśnie wypróżniał. Gwen ćwiczyła jogę w cieniu chlebowca. Jimmy Bruëll czytał w swoim ustawionym przed chatą fotelu. Nieopodal dymiły resztki ogniska, nad którymi wisiały na sznurku złotawe rybne filety do uwędzenia. Tak zazwyczaj wyglądały nasze poranki. Jakaś kapucynka zakrzyczała z drzewa po drugiej stronie rzeki. Małpy te obserwowały nas bez przerwy, z niewytłumaczalnym zaciekawieniem, jednakże nigdy się do nas nie zbliżały. Wade kuczał nad płaskim kamieniem, którego używaliśmy zwykle do czyszczenia mięsa, i swoim wielkim nożem oskrobywał z połyskliwych, perłowozielonych łusek wypatroszoną przed chwilą rybę, srebrnym ostrzem odganiając owady zwabione już przez lepłą, krwawą masę. Odwróciłem głowę, zniesmaczony (nigdy nie mogłem znieść widoku patroszonej ryby) i przez słoneczny blask, przez warstwy cienia pod ogromnymi wachlarzowatymi liśćmi chlebowców, pośród rejwachu czynionego przez małe zielone i czerwone ptaki, którym wtórowało buczenie wielkich pomarańczowych i purpurowych owadów, poszedłem ku miejscu, gdzie stali Sheila i Christian, wskazując na niebo. Sheila od czasu do czasu podskakiwała z radości jak dziewczynka, a jej piersi falowały mimo obcistej neoprenowej pianki do surfingu. Inni też zmiierzali w tę stronę, spoglądając ku górze, albowiem jakieś trzy albo cztery kilometry ponad naszymi głowami unosił się gigantyczny latający spodek. Jego cień wisiał nad oceanem i zahaczał o plażę. To była olbrzymia, oślepiająco biała konstrukcja. Niespecjalnie dało się oszacować jej rozmiary.

Sheila i Christian nie kryli ekscytacji, podobnie jak Joaquín, kuzyn Cristiny. Śmiali się i ściskali, raz po raz osłaniając oczy dłonią, by ponownie zerknąć na nieruchomy kształt na niebie. Argentynka Violeta chyba podzielała ich entuzjazm, bo w jej zmęczonych oczach zabłysła nowa nadzieja. Christian oświadczył, że nie ma już wątpliwości, iż w głębi wyspy znajduje się podziemna baza latających spodków, do której z pewnością można się dostać przez krater leżącego nad nią wulkanu (przy czym wulkan ten, jak wynikało z naszej ówczesnej orograficznej wiedzy, istniał wyłącznie w jego wyobraźni). Zamieszkujące to miejsce istoty pozaziemskie, spekulowali dalej Christian, Sheila i Joaquín, dowiedziały się o naszym zagubieniu i lęku i wysłały jeden ze swoich statków zwiadowczych, by dodać nam otuchy. Tyle że trochę trwało, nim nas zrozumiały. Niełatwo im przyszło zorientować się w naszych poplątanych i sprzecznych emocjach, jako że nasze stany wewnętrzne są dla nich zbyt zmienne, zbyt niestałe. Umysł istot pozaziemskich połączony jest z umysłem kosmicznym, co utrudnia im pojęcie psychiki tak prymitywnej jak nasza, mówił Christian. W końcu jednak stało się dla nich jasne, że potrzebujemy pomocy. Dlatego się zjawily. Oto były obok. Wade również patrzył w górę, w prawej dłoni trzymając swoją wielką rybę nabitą już na patyk, i to samo robili Sophie, Rosana i moi hiszpańscy znajomi, i Latynosi, i Hindusi, Tudelli oraz państwo Kunze'owie, a także niemal wszyscy inni rozbitkowie. Tudelli przyglądał się latającemu spodkowi, marszcząc z niechęcią brwi, jak gdyby zniemacka zwietrzył na wysokościach konkurencję. Robert Frost i Robert Kelly kręcili się między ludźmi, tłumacząc im, że latające spodki stanowią jeden z elementów doktryny stworzonej przez Josepha Smitha i że są po prostu statkami kosmicznymi, którymi podróżują anioły przybywające z innych planet, by głosić we wszechświecie ewangelię Świętych w Dniach Ostatnich. Nie wiedziałem wcześniej, że mormoni, którzy tyle problemów mają z tyloma rzeczami, nie mają ich akurat w kwestii latających spodków. Tyle że świat, jak wiemy, pełen jest niespodzianek.

Joseph Langdon również tam był i przypatrywał się tej scenie z założonymi rękami. Napotkałem jego wzrok. Twarz miał pozbawioną wyrazu. Powoli ruszyłem w jego stronę. Santiago Reina też się zbliżał, wylizując dżem brzoskwiniowy prosto z pojemnika, drugą ręką beztróska drapiąc się po tyłku wystającym z opadających spodni (w tamtym czasie wszyscy ciągle się drapaliśmy) i obrzucając latający spodek krytycznymi spojrzeniami. Chociaż, prawdę mówiąc, był bardzo ładny. Idealny w swoim owalnym kształcie,

lśniaco biały, wręcz wzruszający w tej swojej cudownej bieli, wykonany, zdawałoby się, z nie wiadomo jakich fantastycznych stopów metali i całkowicie nieruchomy. Jego cień niemal nas obejmował.

– Święta krowo! – rzucił Santiago po angielsku, podszedłszy bliżej, grzebiąc teraz dwoma palcami w pojemniku z dżemem. – A tym co się znowu stało? Powariowali czy jak?

– Są zrozpaczeni – odparł Joseph – i muszą się czegoś mentalnie uchwycić.

– No dobra – odezwałem się wtedy, zwracając się do Joaquina i dwójki Chilijczyków – ale chyba zdajecie sobie sprawę, że to jest chmura, prawda?

Joaquín łypnął na mnie ponuro; wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

– To nie jest chmura, Johnny! – powiedziała Sheila takim tonem, jakby rozmawiała ze skończonym idiotą. – To tylko *wydaje się* chmurą. Klasyczny kamuflaż. Latające spodki często udają chmury. Potem ktoś robi im zdjęcie, a ludzie mówią: „Stary, przecież to tylko chmura”...

– Widziałeś kiedyś chmurę o takim kształcie? – spytał mnie płacziwie Joaquín.

– Prawdę mówiąc, widziałem dużo zdjęć chmur o takich kształtach – oznajmił Joseph. – Nie są bardzo częste, ale też i nie tak rzadko spotykane. Zwłaszcza w tropikach, gdzie parowanie jest intensywne.

– Nazywają się *altocumulusy* – wtrąciła Gwen. – Przy czym występują nie tylko w tropikach, dają się zaobserwować na całej kuli ziemskiej. Ten tutaj to *altocumulus lenticularis*, *altocumulus soczewkowaty*, bo wydaje się złożony z kilku okrągłych jak soczewki członów nałożonych jeden na drugi. Układ cieni nadaje im pozór czegoś solidnego.

– No i proszę: racjoniści zawsze odbiorą ci szansę, żeby sobie pomarzyć – wycedził Joaquín. – Zniszczą w zarodku każdą nadzieję...

– Ale – zacząłem znowu – po co ludzić się jakąś mrzonką, Joaquinie? Czemu to służy?

Inni rozbitkowie też dyskutowali w grupkach, czy to latający spodek czy chmura. Ta zaś zaczęła się przemieszczać. Co zresztą samo w sobie nie było wcale dziwne, gdyż wszystkie chmury się przemieszczają. Dziwna natomiast, naprawdę dziwna okazała się prędkość, z jaką ta chmura – jeśli to rzeczywiście była chmura – się poruszała. Jej cień błyskawicznie przesunął się nad nami, objął plażę, sprawił, że niebieska laguna pociemniała, po czym pomknął dalej wzdłuż rzeki, nad dżunglę, ku wnętrzu wyspy, coraz szybciej i prosto ku góróm. Znów spojrzałem na Josepha, który stał za mną,

i dostrzegłem w jego oczach takie samo zdumienie, jakie musiało malować się w moich. Więc w końcu to była chmura czy nie chmura?

– Nie potrzebujemy dalszych wskazówek ani znaków – oświadczył Wade. – Nadeszła pora, by zbadać wewnątrz wyspy.

– Zbadać wewnątrz wyspy, stary? – zaprotestował Santiago, odprowadzając wzrokiem oddalający się kształt. – A po co? Chyba tylko po to, żeby nas wilki zjadły.

– I co będzie, jeśli tymczasem nadciągnie ratunek? – rzucił Joseph. – Powiemy, że trzeba poczekać, aż wróci grupa naszych towarzyszy, którzy wybrali się na małą wycieczkę?

Wade przez chwilę patrzył w ziemię, wciąż się uśmiechając, a ja odniosłem wrażenie, że spogląda na tę ziemię z wysokości tamtej chmury. Albo że sam jest tamtą chmurą. Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić. Bez przerwy się uśmiechał.

– Joe – powiedział i chyba po raz pierwszy zwrócił się do Josepha tak zdrobniale – dlaczego tak trudno ci pojąć, że *nikt się po nas nie zjawi*?

– Bo to absurdalne – odparował Joseph.

– Tak, to absurdalne. A nawet więcej: właściwie całkiem nie do pomyślenia – przyznał Wade, bardzo powoli wymawiając słowa. – Nie żyjemy w szesnastym wieku. Mamy radary, satelity. Z kosmosu da się już sfotografować byle psa obsikującego murek. Więc dlaczego nikt nas tu nie widzi? Dlaczego nikt się po nas nie zjawia? W naszych czasach podobna operacja nie powinna trwać aż tak długo. I właśnie to powinno dać ci do myślenia. Gdyby mogli nas uratować, już by to zrobili. Tylko że *nie mogą*.

– Ale dlaczego nie mogą, stary? – chciał wiedzieć Santiago. – O czym ty mówisz?

– Nie wiem, o czym mówię, Jack – odrzekł Wade. – Nie wiem, naprawdę. Ale wiem, że nikt nas stąd nie uratuje. Wiem, że jedynie my sami możemy się uratować.

– Daj spokój, Wade – mruknął Joseph.

Niemniej sędzę, że mimo wszystko słuchał Wade’a tak samo zafascynowany jak my wszyscy.

– My nie jesteśmy rozbitkami, Joe – podjął Wade. – Nie przydarzyła się nam żadna katastrofa.

– Jasne. A ta chmura przed chwilą to był latający spodek pełen ufoludków – zakpił Joseph.

– Nie, Joe. Niewykluczone, że ta dziwna chmura była tylko chmurą. Gwen ma słuszość. Altocumulusy soczewkowate niejednokrotnie brano za latające spodki. Ale my nie jesteśmy rozbitkami.

– To kim jesteśmy? – spytał Joseph.

– Jesteśmy kolonistami – odparł Wade. – Właśnie tym jesteśmy. Chociaż jeszcze i to nie. Jeszcze nie zasłużyliśmy sobie na takie miano. Powiedzmy, że jesteśmy pionierami. Dlatego musimy iść na zachód. Dlatego musimy iść w głąb lądu. Tak jak przed nami nasi rodzice, a przed nimi dziadkowie. – Wskazał ku wnętrzu wyspy swoim nożem. – Musimy się tam zapuścić, doktorze – dodał ze swoim szerokim uśmiechem i błyszczącymi błękitnymi oczami, których nigdy nie zapomnę. – To właśnie musimy zrobić. Żeby poszukać tych zaginionych dzieci. Żeby ich poszukać.

Ktoś wyłania się z dżungli

Grupa utworzyła się szybko. Składała się z Wade'a, Santiaga, Josepha, Christiana, Sheili, Gwen i waszego wiernego sługi, Juana Barbarina, bardziej martwego niż żywego, lecz mimo wszystko pełnego entuzjazmu i animuszu. Ustaliliśmy, że wyruszymy przed południem, zaopatrzywszy się w żywność i broń. Myślę, że każdy z nas się bał, nawet Wade, który zachowywał się jak jakiś superbohater z komiksów Marvela, czytanych przeze mnie w dzieciństwie (w szczególności kojarzył mi się z pewnym jednookim komandosem fruującym na nieprawdopodobnych lianach ponad granatowymi rzekami Korei). A zatem każdy się bał – bał się tego, co nieznanego i co mogło nas czekać w głębi wyspy, przy czym ten ówczesny strach był niczym w porównaniu z przerażeniem, które dopadło nas później. Pamiętam, jakie miałem wątpliwości, czy przyłączyć się do tej wyprawy, jakie dyskusje prowadziłem sam ze sobą. Niemniej coś we mnie pragnęło iść, niezależnie od wszystkiego. Pragnęło niebezpieczeństwa i przygody. Albo może to był ktoś w moim wnętrzu. Ten nowy Juan Barbarin, który urodził się na wyspie.

Jednakże wtedy zdarzyło się coś jeszcze, co opóźniło nasz wymarsz. Zbieg okoliczności, powiecie. Tyle że na wyspie zbiegów okoliczności nie było.

Ktoś wyłonił się z dżungli.

Ktoś, kto szedł do nas przez kilka dni, kobieta – albo raczej to, co z niej zostało – owładnięta tą niewytłumaczalną siłą, którą niekiedy nazywamy „instynktem przetrwania”, umożliwiającą ciału rzeczy na pozór niemożliwe. Nie wiem, kto dostrzegł ją pierwszy. Pojawiła się między drzewami, naga, idąc chwiejnie, jakby u kresu sił. Bardzo długie czarne włosy miała brudne i splątane, tak jakby przed chwilą wytarzała się w błocie. Niewykluczone, że pierwsi zauważyli ją krykieści. A konkretnie doktor Suttiś, młody wykładowca literatury angielskiej na Uniwersytecie Kalkuty, akurat wznoszący rękę z kijem, żeby odbić piłkę. Zbliżająca się powoli kobieta wyglądała jak

monstrum, jak żywy trup. Cała pokryta była ranami i poparzeniami, nie licząc najrozmaitszych otarć. Zasznięte strużki krwi znaczyły jej skórę od ramion po kostki. Jedna z jej piersi, lewa, została po barbarzyńsku obcięta, a ze świeżej jeszcze blizny sterczały kawałki pozszywanego ciała. Zaskoczeni krykieści zastygli w bezruchu, zdjęci zgrozą. Kobieta, widząc ich, wyciągnęła rękę, jakby prosiła o pomoc. Później po prostu upadła na piasek, niezdolna postąpić już choćby kroku. Nie krzyknęła przy tym, nic nie powiedziała, ani słowa. Nie mogła, albowiem wargi miała zszyte roślinnym włóknem, cienkim, lecz mocnym jak wędkarska żyłka. Krykieści zauważyli ten ostatni, makabryczny szczegół, kiedy rzucili się ku nowo przybyłej, żeby dźwignąć ją z ziemi i zanieść do osady. Na ustach kobiety nie było krwi, a zatem rany po szyciu zdążyły się już zagoić. Ale w jaki sposób przeżyła, nie mogąc ani jeść, ani pić?

Mały tłumek otoczył ją zaraz po tym, jak doktor Suttiś, doktor Masud i pozostali przynieśli ją na rękach do wioski, do naszego prowizorycznego szpitala, do Josepha. Lekarz poprosił nas wszystkich, żebyśmy się wycofali, i tylko Josephine oraz Sophie, jego najwierniejsze pielęgniarki, zostały z nim, żeby pomóc mu umyć tę kobietę i zbadać. Jednakże ja zobaczyłem w przelocie jej twarz, zniekształconą przez cierpienie i tułaczkę pod gołym niebem, i mimo wszystko ją rozpoznałem. To była Eileen, stewardesa.

Eileen, no jasne! Dlaczego o niej zapomniałem? Jak mogłem nie zauważyć – ja, szczególnie ja spośród wszystkich pasażerów! – że Eileen jakby zapadła się pod ziemię? Ostatni raz widziałem ją płynącą ku plaży, wciąż w uniformie stewardesy i w niebieskim toczku przypiętym do włosów, kiedy sam siedziałem na tratwie ratunkowej. Pomachaliśmy do siebie, o ile dobrze zapamiętałem. A może chodziło o uniesiony kciuk, jakiś uśmiech? Później Eileen zniknęła z mojej pamięci.

Pierwsze, co zrobił Joseph, to przeciął szwy łączące jej wargi. Ta kara – jeśli to była kara – została jej wymierzona z wielką wprawą, za pomocą bardzo cienkiej igły. Nie dało się stwierdzić, jak dawno się to stało. Można było wsunąć jej między szwy rurkę i w ten sposób ją poić, ale od kiedy nie jadła? Ponieważ jednak nie zdradzała oznak niedożywienia, należało uznać, że w tym okropnym stanie znajdowała się od niewielu dni. Bez względu na to, gdzie przebywała i ile wycierpiała, jej oprawcy przynajmniej ją karmili.

Julián, mój dawny przyjaciel Julián, oświadczył, że te zszyte wargi to nie kara, lecz zaszyfrowana wiadomość. Stosukowo zresztą łatwa do

rozszyfrowania: nic nikomu nie mów. Dochowaj sekretu. Tak, w tamtym czasie ciągle wierzyliśmy, że takie sygnały na wyspie są łatwe do odczytania.

Sophie i Josephine dokładnie Eileen umyły, po czym przystąpiły do leczenia jej obrażeń, z których większość powstała, kiedy nieszczęsna przedzierała się nago przez dżunglę, zapewne uciekając przed swoimi prześladowcami, kryjąc się przed nimi w zaroślach albo dla bezpieczeństwa czołgając po ziemi. Jednakże pewna część ran, głównie w postaci równoległych nacięć na pośladkach i tylnej części ud, została zadana w bardziej tajemniczych okolicznościach, za pomocą noża albo innego bardzo ostrego narzędzia. Na całym ciele: na brzuchu, plecach i kończynach widniały ślady po drobniutkich poparzeniach, jakby ktoś przytykał do tych miejsc rozżarzone druty, nadgarstki zaś i kostki były mocno otarte, jak gdyby związane je na długi czas szorstkim sznurem. Co do straszliwej blizny na klatce piersiowej – Joseph potwierdził, że jest świeża. Po równym odcięciu piersi ktoś zszył skórę, naciągając ją i zakładając jedną krawędź rany na drugą. Ktokolwiek to zrobił, jak powiedział nam Joseph, najwyraźniej znał się na chirurgii, ponieważ ładnie się to goiło, nie wywiązało się zakażenie, a rana nie ropiała. Później, udzieliwszy nam informacji o stanie Eileen, doktor wyjaśnił też niektóre szczegóły techniczne związane z przeprowadzaniem mastektomii, szczegóły, których wolałbym nie znać i które sprawiły, że zapragnąłem nigdy więcej nie patrzeć na kobiece piersi. Nie sposób, tłumaczył Joseph, stwierdzić, czy sadystyczni prześladowcy Eileen znieczulili ją na czas operacji, czy kazali jej świadomie uczestniczyć w tym okropnym zabiegu. No i nie było jasne, po co go w ogóle wykonali. W ramach kary? Ostrzeżenia? Dziwaczego, okrutnego rytuału? Wszystko to wydawało się niezrozumiałe.

Poza tym Eileen sprawiała wrażenie fizycznie zdrowszej. Na ile Joseph mógł to ustalić, jej stan ogólny, pomijając odwodnienie i wyczerpanie, był dobry i pozwalał liczyć na szybki powrót do sił. Problem polegał raczej na tym, że nie mówiła, chyba nas nie rozpoznawała i nie rozumiała sytuacji, w której się znajdowaliśmy. Spojrzenie miała puste i nieruchome.

Na prośbę Josepha poszedłem z nią porozmawiać, jako że byłem najwyraźniej jedynym pasażerem, który znał jej imię i zamienił z nią wcześniej choćby parę słów. Gdy wszedłem do chaty, w której leżała, zastałem ją na jednym z rozścielonych tam legowisk z liści. Dostała do jedzenia wędzoną rybę i trochę smażonego duriana oraz czekoladowe ciastka jeszcze z samolotowych zapasów. Wszystko łąpczywie pochłonęła, wypła też sporo

wody i mleka kokosowego. Mimo wyczerpania nie spała. Zwróciłem się do niej po imieniu, lecz nie zareagowała.

– Eileen – powiedziałem. – Pamiętasz mnie? Z samolotu? Pamiętasz?

Patrzyła na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Rozumiesz mnie? Rozumiesz, co mówię?

Trwała bez ruchu. Patrzyła na mnie, ale zdawała się nie pojmować, że jestem istotą ludzką. Nie wiedziałem, co dalej mówić.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Eileen. Chcemy ci pomóc. Wiemy, że masz na imię Eileen, najprawdopodobniej jesteś Amerykanką i pracujesz jako stewardesa w firmie Global Orbit. Obsługiwałaś lot GO-1037 z Los Angeles do Kalkuty z międzylądowaniem w Singapurze. Pamiętasz?

Spoglądała na mnie w milczeniu. Nie rozpoznawała mnie i chyba nie rozumiała moich słów. Wezwaliśmy Bentleya, żeby ją zbadał, a on potwierdził to, co wszyscy już wiedzieliśmy: że jest w szoku wywołanym przez okropieństwa, które przeszła. Powiedział też jednak, że została poddana działaniu silnych narkotyków i że działanie to jeszcze nie ustało. Oświadczył, że w związku z tym musimy odczekać, aby móc w pełni ocenić jej stan. Również fakt, że mimo wyczerpania nie mogła zasnąć, z pewnością wynikał z nienaturalnego pobudzenia wprowadzoną do jej organizmu substancją.

Usiłowaliśmy odtworzyć przebieg wydarzeń. Wyglądało na to, że zaraz po dotarciu na wyspę Eileen porwano i, przywiązaną za ręce i nogi, przetrzymywano gdzieś i torturowano. Przerazająca była świadomość, że mieszkańcy wyspy, kimkolwiek mieli się okazać, błyskawicznie zauważyli naszą obecność i znajdowali się na tyle blisko, by uprowadzić kogoś z nas tuż po katastrofie.

Stało się już zupełnie oczywiste, że George nie działa w pojedynkę, lecz w ramach dobrze zorganizowanej grupy, zdolnej w dodatku do najgorszych potworności. Nie sposób było wyobrazić sobie tego łagodnego młodzieńca zajętego katowaniem bezbronnej kobiety. Chociaż, jak sobie powtarzaliśmy, coraz mniej zrozumiałe wydawało nam się to, co działo się w tym piekielnym miejscu, do którego trafiliśmy. Każdy pamiętał przecież opowieści o nazistach, etatowych mordercach dzieci, lejących łzy przy pieśniach Schumanna o jałowcach, sarenkach i strumykach. Czyżby mieszkańcy wyspy byli wykształconymi ludźmi Zachodu, tak jak George? Czy byli przestępcami? Piratami? Odchodziliśmy od zmysłów, usiłując wyobrazić sobie, kto i – zwłaszcza – dlaczego porwał naszą towarzyszkę, żeby ją męczyć, kaleczyć i na

koniec zaszyć jej usta. Podobne zachowanie pasowało nie tyle do przestępców, ile do prymitywnych barbarzyńców. Do dzikusów, żyjących w zupełnym oderwaniu od cywilizacji. Przy czym taki pomysł brzmiał dla większości z nas całkiem absurdalnie: wszak nie ma już na świecie dzikich ludów. Żegnajcie, malowniczy barbarzyńcy z dawnych czasów! Żegnajcie, polinezyjscy kanibale! Żegnaj, tajemnicza stopa odcisnięta na piasku! A przynajmniej tak nam się dotychczas wydawało. Czy mogło być inaczej? Czy na zagubionej pośród oceanu wyspie mogli się ostać prawdziwi barbarzyńcy, przedstawiciele epoki kamienia, nadal dokonujący rytualnych okaleczeń i praktykujący kanibalizm? Gwen Heller twierdziła, że tak – że to możliwe i że w samej tylko Indonezji istnieją tysiące (tysiące!) bardzo mało znanych wysepek bez nazwy. Hovorka oznajmił, że kanibalizm na Pacyfiku zanikł w latach trzydziestych dwudziestego wieku, niemniej jest jeszcze trochę takich odizolowanych społeczności na świecie, szczególnie w Amazonii. Bez wątplenia ponad setka w całym regionie, podkreślił i dodał, że społeczności te zwykle liczą od stu do trzystu członków i że w wielu wypadkach nikt nie wie, jakim mianem same się określają ani w jakim języku mówią. Niektóre z tych plemion – na przykład Indianie Miqueleno znad rzeki São Miguel czy Indianie Mamaindé znad rzeki Corumbiara w brazylijskim stanie Rondônia – zostały wytrzebione przez najemników pracujących dla przedsiębiorców drzewnych szukających w dżungli mahoniowców i kauczukowców. Inne stawiały opór. Jeszcze inne po atakach wycofały się głębiej w głąsę. Pozostałe szczęśliwie znalazły się na terenach chronionych. Odcięte od świata społeczności żyją też na Papui-Nowej Gwinei, opowiadał dalej Hovorka, nawet czterdzieści plemion, których nikt nie ośmiela się badać ze względu na związane z tym niebezpieczeństwo, a także na indyjskich Andamanach, zwłaszcza na wyspie North Sentinel, gdzie mieszkają Setinelczycy, najbardziej odizolowany lud na naszej planecie, od sześćdziesięciu tysięcy lat trzymający się swojego skrawka lądu. Z kolei na przykład Jarawowie, ciągnął Hovorka, dopiero niedawno weszli w kontakt z resztą świata – kiedy powstała droga dzieląca ich terytorium na dwie części. Tak więc, wbrew temu, co wcześniej sądziliśmy, ewentualne istnienie na naszej wyspie całkiem dzikiego plemienia, zachowującego pradawne zwyczaje i nieobeznanego z białym człowiekiem, wcale nie było pomysłem absurdalnym. W ogóle wyglądało na to, że nasza dotychczasowa wiedza z dziedzin takich jak biologia, antropologia, elektromagnetyzm, fizyka, zoologia, botanika czy geografia na wyspie okazała się zdecydowanie

niewystarczająca.

– To jest wiadomość, stary – oświadczył Christian. – Zasztyfrowana wiadomość.

– Jaka znowu wiadomość? – spytał Roberto B., skupiony na grze w *Trzecią Rzeszę* z Oscarem Panero.

– Te zaszyte usta, stary. To znaczy: „Nic nie mów, siedź cicho”.

Alianci właśnie zajęli Sycylię – podobnie jak zrobiły to kiedyś niedźwiedzie, schodząc z tamtejszych gór. Zajęli również Holandię i odzyskali Stalingrad, chociaż państwa Osi, wykonując dziwaczny, wyrwany z historycznego kontekstu ruch, zaatakowały z kolei Islandię i teraz zagłębiały się w niezamieszkane obszary Grenlandii, najwyraźniej z zamiarem opanowania Oceanu Arktycznego i dotarcia do bieguna. Tylko jaki to mało sens taktyczny?

– Możliwe, że to wiadomość – zgodził się Roberto B., nadal zapatrzony w planszę, gdzie rozgrywała się po raz nie wiadomo który druga wojna światowa. – Ale mówiąca coś innego, niż ci się zdaje, stary. Te zaszyte usta nie znaczą: „Nic nie mów, zamknij się”. Chodzi o to, że ciało tej kobiety jest naszą wyspą. To już nie jest osoba, to ta wyspa. A zaszyte usta znaczą, że ta wyspa jest zamknięta. Że nie należy pchać się do środka. Tak brzmi ta wiadomość. Nie sądzisz, Óscar?

– Możliwe – mruknął Óscar Panero, który z niepokojem obserwował zwycięski marsz sił niemieckich przez lodowe pustkowia Północy.

– Powinienem zresztą zobaczyć te usta – dorzucił Roberto B., wzdychając. – Powinienem teraz wstać i pójść je obejrzeć.

– Jesteś nienormalny – powiedziała Brenda.

– Tak, jestem nienormalny – przyznał Roberto B. – Ale poszedłbym tam nie dlatego. A przynajmniej nie tylko dlatego. Przede wszystkim dlatego, że jestem pisarzem. Ty też jesteś pisarką i nie chcesz zobaczyć zaszytych ust? Nigdy więcej nie będziesz miała takiej okazji. To naprawdę chore. Naprawdę chore.

Jednakże ciągle siedział na swoim miejscu, przypatrując się planszy i próbując znaleźć sposób, by przerwać okrążenie, w jakim trzymali państwa Osi Rosjanie, Anglicy i Amerykanie.

– Tylko nie rozumiem, czemu mówisz, że powinieneś to zobaczyć jako pisarz – wtrącił Óscar. – Zupełnie jakby pisarz musiał wszystko oglądać na własne oczy.

– Wyobrazić sobie niczego nie można – oświadczył Roberto B. – Jest taki

fragment w *Pamiętnikach Malte-Lauridsa Brigge...* Czytałeś to, stary? Wyobrazić sobie nic na świecie nie można, najzupełniej nic. Tam chodzi o człowieka, któremu będą przebijać serce...

– Jak to: wyobrazić sobie niczego nie można? – zaprotestował Óscar. – Do tego służy wyobraźnia.

– I tu cię mam – oznajmił Roberto B., przesuwając w końcu jeden z żetonów i zabijając Charles’a de Gaulle’a. Co nie udało się bohaterowi *Dnia Szakala*, jemu udało się dzięki rzutowi kostką. Nie było jednak jasne, czy właśnie do tego pił przed chwilą. – Wyobraźnia nie jest do wyobrażania sobie, stary, kumasz? Nie do tego służy.

– Charles de Gaulle, a niech to – mruknął Óscar. – A niech to wszyscy diabli.

– Wyobrazić sobie nic na świecie nie można, najzupełniej nic. Tak mówi Malte i powinniśmy się go w tym słuchać. „Wyobrazić sobie nic na świecie nie można, najzupełniej nic. Wszystko składa się z tak wielu jedynych szczegółów, niedających się przewidzieć”¹.

– Gdzie to znalazłeś? W tłumaczeniu Francisca Ayali?

– Nie, w jakiejś wersji argentyńskiej – odparł Roberto B., który najprawdopodobniej znał jedynie urywki *Maltego* i nawet nie wiedział, że istnieje przekład Francisca Ayali.

Ptaki krzyczały w listowiu, dzieci kąpały się w lagunie, fale uderzały o plażę, a intelektualiści rozmawiali w cieniu chlebowca. Rozmawiali i rozmawiali – o tym, co jest i czego nie ma, co powinno się i czego nie powinno się robić, o wersjach i przekładach, lekturach i teoriach na temat rzeczywistości i wyobraźni... Jakież to wszystko okazywało się bezużyteczne! Jakie smutne i bez sensu! A tymczasem okaleczone, zeszpecone ludzkie ciało wiło się z bólu na posłaniu z liści.

Zdumiewające było, że życie wokół toczy się dalej – obojętne i niemal szczęśliwe.

Ruszyłem na poszukiwanie Rosany, którą zastałem wrzeszczącą na córkę za to, że wspięła się na drzewo i zniszczyła sukienkę. Rosana tłumaczyła – nie bez racji zresztą – że musimy dbać o ubrania, bo mamy ich niewiele, a nie jesteśmy w stanie zdobyć nowych ani naprawić starych. Tylko skąd ta niepokohamowana furia? Skąd ta wściekłość, ta uraza? I jakie znaczenie miała jakaś tam sukienka w zestawieniu z tym, co spotkało Eileen? Pomyślałem, że

Rosana nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Usta jak zwykle pomalowała na czerwono, piersi jej falowały. Niemniej cała scena sprawiała mi przykrość i wolałem trzymać się od niej z daleka. Rozejrzałem się za Gwen i znalazłem ją w towarzystwie Wade'a oraz pana Kunzego: przeglądali broń oraz amunicję i zastanawiali się, czy da się nauczyć strzelać tych, którzy jeszcze tego nie umieli. Takie tematy też mnie zbytnio nie kusiły. Nie wiedziałem już, do kogo się zwrócić, z kim porozmawiać. Zdawałem sobie jednak sprawę, że potrzebuję obecności kobiety, po prostu kobiecego głosu i kobiecej uwagi. Dostrzegłem Swaylę, która patrzyła na mnie przez białawy dym unoszący się znad resztek ogniska, pomiędzy wędzącymi się tam złotymi płatami ryby. Znajdowaliśmy się niby po dwóch stronach białej prześwitującej zasłony, która kawałek dalej rozsnuwała się luźnymi pasmami ponad zieloną rzeką. Wiedząc już, że Swayla nie jest kobietą, lecz chłopcem, nie szukałem jej towarzystwa, a i ona nie próbowała się do mnie zbliżyć. Pozdrowiłem ją uniesieniem dłoni, odpowiedziała podobnie.

Rozejrzałem się więc za swoimi dawnymi przyjaciółmi. Obawiałem się, że jak zwykle siedzą w kręgu i medytują, ale Dharma, ich mistrz, akurat obrabiał za pomocą dłuta i młotka kawałek drewna, Eva zaś, jego żona, prała bieliznę na kamieniach nad rzeką. Prawie nigdy nie przebywali razem i ani razu nie widziałem, by ze sobą rozmawiali. Spotykali się wyłącznie na medytacjach i sesjach jogi, w czasie których oboje potrafili niesłychanie się wyginać. Ignacia, Idoję, Pedra Rojo, Eulalię, Juliana i Matilde znalazłem usadowionych na podłodze w chatce należącej do tej ostatniej dwójki. Spytałem, czy mogę wejść. Jasne, Juanie Barbarín, odpowiedzieli, gdzie ty się podziewałeś? Nie mieliśmy jeszcze okazji wszystkiego obgadać. A jest tyle do obgadania! Nie rozmawialiśmy nawet o tym, jakie to dziwne, że trafiliśmy tu razem. Ale co ty porabiasz? Gdzie się włóczysz? Czemu nas unikasz?

Odpowiedziałem z całą szczerością, że nie wiem.

Właśnie pili herbatę i mówili o Eileen, usiłując domyślić się, co zaszło. To był wtedy temat numer jeden, nie dało się mówić o niczym innym. Ja też się wypowiedziałem. Sprzeciwiłem się teorii, jakoby wyspę zamieszkiwali barbarzyńcy niemający nigdy wcześniej kontaktu z cywilizacją, nawet jeśli poprzednio zdarzało mi się chyba występować z całkiem przeciwstawnych pozycji. Przywoływałem argumenty, w które sam wierzyłem tylko poniekąd (że w naszym zglobalizowanym świecie nie ma ukrytych zakątków), i niemal przekonałem siebie samego. Pozostali zbijali moje tezy jedna za drugą.

Kontratakowałem. Zdążyłem już niemal zapomnieć, jaka to przyjemność tak sobie, hiszpańskim zwyczajem, dyskutować, protestując przeciwko wszystkiemu jak leci, bez względu na sensowność tego czegoś czy bezsensowność.

Grupka kobiet, wśród których znajdowały się Nicollette Sheridan, Brenda Esquivias, Omotola, Gloria Griffin i Lizzie, akurat przechodziła koło naszej chaty. Brenda powiedziała nam, że postanowiły wspólnie odwiedzić Eileen, aby otoczyć ją po kobiecemu troską i ciepłem. Że chcą, by poczuła się bezpiecznie w ich towarzystwie – i w towarzystwie wszystkich innych kobiet, które pragnęłyby do nich dołączyć. Idoya i Matilde wstały i ruszyły za nimi, a my, mężczyźni, zostaliśmy sami.

Wyszedłem z chaty, żeby popatrzeć, jak idą razem między drzewami nad brzegiem. Wyglądały jak łanie albo jak samice guanako – takie wdzięczne i eleganckie w tym swoim spokojnym pochodzie, silne siłą matek i siłą sióstr, migające między pniami kamforowców, chlebowców, palm kokosowych, obciążonych grubym lianami fikusów i pielgrzanów z ich splątanymi wachlarzami.

W ten sposób dotarły do centrum osady, gdzie mieściła się osłonięta brezentem i częściowo obudowana ściankami z pni drzew i z liści przestrzeń nazywana przez nas „szpitalem”. Silne siłą matek i siłą sióstr zapukały grzecznie do prowizorycznych drzwi i wyszedł do nich Joseph z namydlonymi rękami i białym ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Przedzierająca się przez palmowe listowie smuga słonecznego światła padała mu na twarz. Przypominał farmera z Mato Grosso stojącego w drzwiach swego domu. I jeszcze koniokrada lub przemytnika – wszyscy zresztą przypominaliśmy w tamtych dniach koniokradów lub przemytników. Kobiety zapytały, czy mogą wejść.

To przemawiała przez nie macierzyńska moc, moc matek i sióstr, moc żon i córek. Eileen trwała w bezruchu, wyciągnięta na jednym z posłań, z oczami utkwionymi gdzieś w pustkę. Opatrzono jej rany, ubrano ją w lekki kwiecisty szlafrok i położono, żeby pospała, ona jednak leżała z otwartymi oczami. Była tak pokiereszowana, że z pewnością nie istniała dla niej wygodna pozycja, chociaż zdawała się nie odczuwać bólu. Kobiety weszły do środka, otoczyły ją, objęły. Delikatnie dotykały jej poranionych warg. Nicollette Sheridan łagodnie odchyliła jej szlafrok i na widok bezkształtnej, gruzłowatej, pozszywanej masy, która pozostała po jej lewej piersi, na widok tej

straszliwej róży z żywego mięsa kontrastującej z prawą piersią – białą, pełną i matczyną, niektóre z obecnych się rozpląkały. Sophie i Josephine zaraz wyprosiły je na dwór. Pozostałe dalej przytulały Eileen, przemawiały do niej po cichutku. Nicollette Sheridan zaczęła śpiewać angielską dziecięcą piosenkę. Właśnie wtedy chora zwróciła na nią spojrzenie, jak opowiadała mi potem Idoya, i utkwiała je w jej ustach. W jej oczach pojawiły się łzy. Wyglądało na to, że się budzi, że odzyskuje świadomość. Kto wie, może ta piosenka przywołała jej na myśl jakieś wspomnienie.

Eileen rozwarła wargi.

– Oni nie chcą, żebyśmy zagłębiali się w ich wyspę – powiedziała. – To ich wyspa i nie chcą, żebyśmy się w nią zagłębiali. Oni nie chcą.

– Kim oni są? – zapytała Nicollette. – Kim są „oni”, skarbie?

– To ci, co żyją w głębi wyspy – odrzekła Eileen. – Jest ich wielu, mają broń, dużo broni, i nie chcą, żebyśmy zagłębiali się w ich wyspę.

– Ale ilu dokładnie ich jest? – dopytywała Rosana. – Wielu? To znaczy ilu?

– Wielu, nie wiem ilu. Mają broń i wyspa też należy do nich. To mężczyźni i trochę kobiet. Wyspa należy do nich i nie chcą, żebyśmy się w nią zagłębiali.

– Ale kim oni są? Czego chcą?

– Nie wiem. Nie wiem, kim są. Nie znam ich – mamrotała Eileen, jakby traciła i znów odzyskiwała świadomość. – Nie znałam ich. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. Robili mi różne rzeczy, robili mi dużo różnych rzeczy. Krzyczałam. Nie chcieli, żebym krzyczała. Powiedzieli, że nie mogę nic mówić. Na wyspie nie wolno mówić. Na wyspie nie wolno mówić. Powtarzali to wiele razy.

– Ale kim oni są? Gdzie mieszkają?

– Nie wiem. Daleko stąd. Bardzo daleko stąd. Bardzo daleko. Wyspa należy do nich i nie chcą, żebyśmy się w nią zagłębiali.

Wyrzucała z siebie wciąż te same słowa, aż w końcu zapadła w sen.

Uczymy się strzelać

Wyruszyliśmy dwa dni po zjawieniu się Eileen, wczesnym rankiem, by wykorzystać pierwsze, jeszcze nie tak upalne godziny po wschodzie słońca. W skład grupy wchodził Wade, Joseph, Christian i Sheila, Gwen, Santiago i ja. Byliśmy uzbrojeni w strzelbę myśliwską Weatherby Magnum, remingtona 870, berettę cougar 8000 oraz rewolwer Smith&Wesson Centennial 442. Wade niósł remingtona, Joseph drugą strzelbę, Sheila rewolwer, a Gwen pistolet – z dwurzędowym magazynkiem o pojemności piętnastu naboji. Padło kilka żartów na temat nazwy tej broni: słowo *cougar*, czyli puma, w amerykańskiej angielszczyźnie oznacza też dojrzałą, atrakcyjną kobietę uwodzącą bardzo młodych mężczyzn. Gwen protestowała, że przecież ma dopiero trzydzieści cztery lata, więc nie osiągnęła jeszcze wieku „pumy”. Pozostałe sztuki broni zostawiliśmy w osadzie na wypadek kolejnego napadu. Z wiadomości przyniesionej przez Eileen wynikało wprawdzie, że jeśli zostaniemy na swoim terenie, czyli na wybrzeżu i u ujścia rzeki, nieznani prześladowcy dadzą nam spokój, jednakże samo porwanie Eileen, zniknięcia dzieci oraz ataki wilków wyraźnie wskazywały na to, że i tu nie jesteśmy całkiem bezpieczni.

Chociaż nie wszyscy uczestnicy wyprawy mieli broń, bo nie dla każdego jej starczyło, wszyscy poprzedniego dnia nauczyli się strzelać – jeżeli wcześniej tego nie umieli. Ta konieczność natychmiast odstraszyła Swaylę. Christian i Sheila początkowo mieli opory, ale wszystko się zmieniło, gdy Stephan Kunze, który był naszym instruktorem, włożył w ręce Sheili przepięknie wykończony rewolwer Smith&Wesson Centennial 442, mówiąc jej, że to ulubiona broń dam i żeby się do niego przymierzyła, tak jak przymierza się brylantowy naszyjnik – tylko po to, by sprawdzić, jak się z nim poczujemy. Sheila odparła, że w nosie ma burżujskie gusta i że brylantów nienawidzi. Nikt nie *nienawidzi* brylantów, roześmiał się Kunze. Następnie zapytał (i poprosił o szczerą odpowiedź), czy z tym rewolwerem w dłoni Sheila czuje się

bardziej czy mniej pociągająca niż bez niego. Później zagadnął Christiana o to, czy jego dziewczyna podoba mu się teraz bardziej czy mniej. Christian, który obserwował całą scenę z otwartymi ustami i na widok swojej dziewczyny w bikini, ze zgrabnym rewolwerem w ręku, chyba dostał erekcji, nic nie odpowiedział. Z bronią jest jak z drogą bielizną, pouczył Kunze Sheilę. Zazwyczaj nosimy je ukryte przed innymi, lecz one i tak w jakiś sposób nas definiują, zmieniają nasze widzenie samych siebie i sprawiają, że czujemy się pewniej. Są zarazem intymne i przeznaczone na pokaz, jak to twoje bikini, które więcej odsłania niż zakrywa. Przez to bikini mówisz: jestem tutaj, nie boję się swojego ciała, wiem, że się wam podoba. Wolno wam patrzeć, coś tam sobie wyobrażać, ale moje ciało już do kogoś należy. Albo może nie należy do nikogo. Podobne sygnały wysyła twoja broń. Mówisz przez nią: nie jestem niczyja. Należę do samej siebie. Myślałam, że uzna pan ten kostium za niemoralny, powiedziała Sheila, patrząc milionerowi prosto w oczy. Nie sądziłam, że się panu spodoba. Gdybyś była moją żoną, odrzekł Kunze, nie pozwoliłbym ci go nosić. Jeśli o to ci chodzi. Stephan Kunze potrafił sztyletować człowieka oczami, przemawiając do niego z całą serdecznością. Uważa pan, że wyglądam obscenicznie, rzuciła pytająco Sheila, wciąż z rewolwerem w dłoni. Całe twoje pokolenie jest obsceniczne, odparował wesoło Kunze. Nie idzie wcale o ciebie, to nic osobistego. Wasze pokolenie w ogóle nie zna wartości różnych rzeczy, nie zna siły instynktów, nie wie, co znaczy pożądanie, miłość, szacunek czy odwaga. Uznasz pewnie, że stetryczały ze mnie ramol, ale tak czy owak postrzegam was wszystkich jako upadłe anioły. Macie potencjał, macie siłę, macie ten blask właściwy wyłącznie aniołom, jednakże zły z tych darów robicie użytek. Jak ten głupiec z przypowieści, co to zakopał dukata w ziemi. Jak ktoś, kto zamiast w pałacu woli mieszkać w kurnej chacie. Wy widzicie nas jako pomarszczonych, śmiesznych, pełnych uprzedzeń wsteczników. I słusznie: tacy jesteśmy. Tyle że za mojej młodości mężczyzna był mężczyzną, a kobieta kobietą, teraz zaś nie dostrzegam nigdzie ani mężczyzn, ani kobiet. Dostrzegam jedynie dzieci, rozpuszczone bachory, które na wszystko się skarżą, zupełne jakby wszechświat składał się z mamus i tatusiów gotowych biec na każde zawołanie. Wartości takie jak moralność, męstwo czy honor tylko was śmieszą, niemniej utraciwszy je, utraciliście również wszystko inne. Nie jesteście lojalni, nie jesteście niezależni, nie jesteście dzielni, nie macie pojęcia, czym są poświęcenie czy odpowiedzialność. Nie chcecie władzy, bo

władza pociąga za sobą obowiązki. Nienawidzicie pieniądza, gdyż boicie się przejąć kontrolę nad własnym życiem, boicie się decydować i tworzyć. Wszystkie wasze opinie na temat miłości, związków, moralności i seksualności opierają się na odrzuceniu osiągnięć cywilizacji, na wierze w to, że każdy z nas jest czysty niby anioł. A nikt taki nie jest, wy też nie. Ta „wolność”, z której obecnie korzystacie, bardzo prędko zamieni się w pornografię, rozpasanie, cudzołóstwo. We wszystkim musicie być wolni, oryginalni, nowi. Całujecie się w miejscach publicznych, chodzicie nago w miejscach publicznych, a nic z tego nie ma znaczenia. Prawda jest taka, że niczego nie szanujecie, ponieważ nie szanujecie też samych siebie. Ale to odkrycie dopiero przed wami. Odkrycie, ile frustracji i bezsilności kryje się za waszą „wolnością”. Postanowiliście być niewolnikami, nie panami. Macie wszelkie cechy niewolników: odrzucacie wartości, ulegacie zwierzęcym popędom, gardzicie powściągliwością. Powtarzacie sobie, że jesteście dumni z tej swojej niewolniczej kondycji. Ale to nieprawda. I nie mówię teraz o kwestiach społecznych, o biedzie czy bogactwie. Mówię o byciu niewolnikiem samego siebie. Mówię o ludzkim wnętrzu. O byciu prawdziwą osobą, a nie jej złudzeniem. Spójrzcie, jak wygląda dzisiejszy świat. Kobiety są same, nie mają mężczyzn, bo osobiście ich odstraszyły, przejmując ich rolę. Mężczyźni pogardzają samymi sobą, bo, nie mogąc być mężczyznami, oddają się donżuanerii, masturbacji albo homoseksualizmowi. Myślicie, że to takie gadanie starego durnia? Poczekajcie jeszcze kilka lat. Nie jesteśmy w przedszkolu. Jesteśmy na polu walki. Nikt nie trafił tutaj z własnej woli. Nikt z własnej woli nie trafia na pole walki. Niemniej to właśnie tu jesteśmy i zaprzeczanie temu równa się ślepotcie. I oto broń palna. Trzymasz ją w dłoni nie dlatego, że pragniesz przemocy lub zemsty, ani dlatego, że się boisz, to znaczy – że się boisz w sposób niekontrolowany. Szaleńcom, tchórzom i dzieciom broni się nie daje. Bronie nie daje się tym, którzy dygocą ze strachu. Daje się ją tym, którzy potrafią się nią posługiwać. Kiedy człowiek ma broń w ręku, wie, że jego uczynki się liczą i że będą miały konsekwencje. I człowiek przyjmuje na siebie tę odpowiedzialność, bo nauczył się być panem samego siebie. To właśnie znaczy mieć broń. A teraz wyciągnij ręce przed siebie, zaciśnij palce na kolbie i wyceluj. Odbezpiecz i naciśnij spust.

Nie wiem, czy dokładnie takimi słowami posłużył się wtedy Kunze; możliwe, że wiele z tego, co tu zapisałem i co, jak mi się zdaje, pamiętam, wynika z moich obsesji i z moich uprzedzeń. Tak czy owak muszę wyznać, że

tamta przemowa zrobiła na mnie wrażenie, albowiem zawsze robią na mnie wrażenie osoby o głębokich przekonaniach. Może ze względu na mój mało skłonny do fanatyzmu charakter, na moją kocią elastyczność.

Joaquín, mimo wszystko, nie dał się przekonać. Oznajmił, że chętnie z nami pójdzie, lecz broni do ręki nie weźmie. Dodał, że nie wierzy w przemoc ani w żadne „oko za oko”. Więc nic z tego, synu, oświadczył Wade. Nie możemy ryzykować. Joaquín był wściekły – głównie w związku ze sposobem, w jaki zwolennicy noszenia broni i stosowania rozwiązań siłowych wpływali na osoby mniej zdecydowane. Patrzył na mnie, szukając wsparcia, ale ja nie wiedziałem, co myśleć. Przez całe życie raczej zastanawiałem się, niż działałem. Jestem artystą, intelektualistą, wykładowcą (w tej kolejności, mam nadzieję), zawsze skupiałem się na muzyce, koncertach i książkach, i na spokojnym, wręcz nudnym uniwersyteckim życiu. Niemniej argumenty Joaquina nagle wydały mi się słabe. To były moje argumenty – te, których używałem od dawna. Tyle że teraz kojarzyły mi się z Robertem B. i Oscarem Panero, wpatrzonymi w planszę do gry, zahipnotyzowanymi przez udawaną wojnę, podczas gdy wokół toczyła się prawdziwa. I z Hovorką wraz z jego Indianami, z Bentleyem i jego fajką z pianki morskiej oraz trzema parami okularów, z Violetą i jej gwiazdozbiorami, z Rosaną i jej sesjami medytacji, z Robertem Kellym i Robertem Frostem w tych ich mormońskich koszulach, z Brendą i jej wymiętoszonym egzemplarzem opowiadań Czechowa – i wszystko to wydawało mi się coraz bardziej bezsensowne. Kultura, piękno, refleksja, duchowość, ucieczka przed światem, strach przed wdepnięciem w błocko egzystencji... Czymże były wobec działania, nauki, rzeczywistości? Przyszedł mi na myśl sposób, w jaki Gwen Heller patrzyła na zwierzęta i rośliny: umiała dostrzegać ich urodę, lecz również ich użyteczność, podczas gdy my, niezdecydowane pięknoduchy, zauważaliśmy wyłącznie subiektywne piękno wsparte na skomplikowanym systemie symboli. Symbole ci służą! Joaquín patrzył na mnie, a jego wzrok mówił: powiedz coś, skoro lepiej znasz angielski, skoro jesteś Europejczykiem, a nie sfanatyzowanym dzikusiem. Ja jednak nie wiedziałem, co mówić i myśleć. Niespodziewanie naszły mnie wątpliwości, czy aby nie myliłem się przez całe życie: czy świat działania, świat nauki nie jest w gruncie rzeczy znacznie bardziej tajemniczy i podniecający niż świat refleksji i sztuki.

– Joaquín – odezwała się Xóchitl – broń się na tym świecie przydaje. Co ty? Wczorajszy jesteś czy jak?

– Może przydaje się w Meksyku – odparował Joaquín. – Ale tylko dlatego, że w Meksyku wszyscy ją noszą.

– A w Europie jest inaczej? – spytała Xóchitl z, jak mi się wydało, prawdziwym zaciekawieniem.

– Myślę, że tak. W Europie jest inaczej – powiedział Joaquín.

– No to macie tam szczęście.

Co do pozostałych – Santiago nie chciał nawet dotykać broni, bo, jak twierdził, ma dwie lewe ręce, zawsze wszystko psuje i bardzo się bał, że przy pierwszej okazji odstrzeli sobie stopę albo przez przypadek kogoś zrani. Kiedy jednak dostał do potrzymania remingtona, zakochał się od pierwszego wejrzenia. Wodził po strzelbie spojrzeniem, jakby to były ramiona pięknej kobiety. Christian z kolei złapał drugi rewolwer i nagle stali się z Sheilą tandemem w rodzaju Luke’a Skywalkera i księżniczki Lei albo Brada Pitta i Angeliny Jolie: we dwoje, ramię w ramię, młodzi, piękni i... uzbrojeni.

Trochę przed południem, gdy zamierzaliśmy już zrobić sobie przerwę, na naszej zaimprovizowanej strzelnicy pojawił się Joseph. Wszystkich zdumiało, że chce do nas dołączyć. Jednakże, jak nam powiedział, w szpitalu nie działo się nic, czym nie mogłaby się zająć Roberta, a Eileen też stopniowo dochodziła do siebie. Poza tym okazało się, że nasz doktor umie strzelać, bo był myśliwym, przynajmniej za młodu. Ostatecznie i ja zgłosiłem chęć uczestnictwa w ekspedycji, chociaż zostało niewiele czasu, żebym nauczył się obchodzić z bronią. Ponieważ jednak przypatrywałem się przez cały ranek ćwiczeniom innych, uznano, że to wystarczy. Myślę, że stało się tak również dlatego, iż tymczasem zdobyłem sobie w naszej grupie dość mocną pozycję: jako organizator ewakuacji samolotu, uczestnik wyprawy po wodę i, poza tym, osoba raczej lubiana.

Resztę dnia spędziliśmy na pakowaniu się. Zabieraliśmy ze sobą butelki z wodą, jedzenie (wędzoną rybę, mięsz kokosa, smażonego duriana, pieczone owoce chlebowca, papaje i cztery puszki skondensowanego mleka oraz cztery słoiki nutelli – rarytasy, które później skrupulatnie mieliśmy racjonować), odpowiednie obuwie, apteczkę, pudełka z amunicją, zapalniczki i benzynę do rozpalania ognia, brezent dla ochrony przed deszczem nocą (dysponowaliśmy jedynie skrawkiem, pod którym ledwie się wszyscy mieściliśmy), dwie latarki i dwie dwudziestometrowe liny na wypadek jakichś większych wspinaczek. Kompas był na wyspie bezużyteczny, gdyż igła wskazywała najrozmaitsze kierunki, w zależności od miejsca, gdzie się człowiek znajdował. Wade

przejrzał nasze ubranie, zalecił, by unikać jasnych kolorów: czerwieni, żółci i bieli, i poradził wybrać odzież w odcieniach zieleni, brązów i szarości. Poza tym ostrzegł nas, że jeśli chcemy uniknąć skaleczeń i pogryzień, powinniśmy włożyć długie spodnie.

Mieliśmy wędrować przez osiem dni – cztery w tamtą stronę i cztery z powrotem. Uznaliśmy, że tyle wystarczy, by dotrzeć do gór w głębi wyspy i mniej więcej się zorientować. Naszym głównym celem było odnalezienie i sprowadzenie do osady zaginionych dzieci. Cel poboczny stanowiło ustalenie, kto mieszka na wyspie i co się, u diabła, w tym miejscu dzieje.

Zostało również postanowione, że obroną osady będzie kierował Stephan Kunze. Z takim pomysłem wystąpił Wade – zapewne dlatego, że pragnął zaskarbić sobie przychyłność starszego pana, a zjednoczenie obozu wokół jednego przywódcy uznawał za najistotniejsze. Wszyscy zgodziliśmy się, że to dobry pomysł.

Poznaję Cristinę

Pewnego wiosennego popołudnia na początku lat siedemdziesiątych (musałem mieć wtedy jakieś jedenaście lat) wybrałem się wraz z rodzicami do Pozuelo, żeby zawrzeć nową znajomość. Juan Villar, stary przyjaciel mojego ojca, właśnie wrócił z rodziną do Hiszpanii po kilka latach spędzonych w Anglii, gdzie pracował jako wykładowca uniwersytetu w Leeds i chyba również uniwersytetu w Birmingham. Nie widywali się z moim ojcem od dawna. Nie wiem dokładnie, gdzie ani kiedy się poznali. Przypuszczam, że w Anglii, w czasie, gdy mój ojciec studiował w Fircroft College w Birmingham.

Juan Villar zajmował się fizyką teoretyczną i ojciec bezgranicznie go podziwiał, gdyż, jak nam mówił, Juan Villar rozumiał teorię względności, co stanowiło osiągnięcie dostępne nielicznym i, zdaniem ojca, sytuujące jego przyjaciela wśród geniuszy. Juan Villar ożenił się w Anglii z kobietą imieniem Marianne i miał z nią dwoje dzieci mniej więcej w moim wieku: młodszą ode mnie o dwa lata córkę oraz młodszego jeszcze o rok syna. Po powrocie do Hiszpanii zamieszkali wszyscy w Pozuelo: wynajęli duży dom w nowoczesnym stylu (który od razu skojarzyłem ze zdjęciami przedstawiającymi budynki zaprojektowane przez Franka Lloyd Wrighta, zamieszczanymi w kupowanym przez rodziców czasopiśmie „Life”), otoczony sporym ogrodem obejmującym prawie hektar doskonale utrzymanego trawnika z krzewami białych i żółtych róż (Marianne nie lubiła czerwonych), kilkoma brzożami oraz niewielkim warzywnikiem, gdzie Juan Villar hodował sałatę, groszek, pomidory i dynie.

Kiedy się zjawiliśmy, dzieci nie było. Powiedziano nam, że jeszcze nie wróciły z lekcji fechtunku. Zaskoczyło mnie, że młodzi Villarowie jeżdżą do Madrytu, żeby uczyć się wymachiwać jakimś kijkiem, której to umiejętności większość z nas nabywa bez trudu na podwórku, jednakże nie dało się nie zauważyć, że w tej rodzinie nic nie jest zwyczajne. Tak czy owak dzieci

jeszcze nie wróciły (później dowiedzieliśmy się, że Patricia, sąsiadka, która zawoziła je do miasta, złapała po drodze gumę), a ja nie miałem nic do roboty na tym spotkaniu dorosłych. Tyle że w ogóle mi to nie przeszkadzało, bo uległem fascynacji Marianne, panią domu. Do tego stopnia, że dosłownie nie mogłem oderwać od niej wzroku. Marianne musiała mieć wtedy dwadzieścia dziewięć lat, o osiemnaście więcej niż ja, i była w szóstym miesiącu ciąży.

Wysoka i bardzo jasna, wydała mi się najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Spowijała ją ciepła, zdrowa aura, którą często da się zaobserwować u kobiet w ciąży i która jeszcze zwielokrotniała jej urodę. Nabrzmiąte piersi, czerwone usta, zaróżowione policzki, wilgotne oczy błyszczące jakimś tajemniczym smutkiem – wszystkie te oznaki spotęgowanej kobiecości wywarły na mnie wrażenie, którego i dziś do końca nie rozumiem, jako że zazwyczaj dziesięciolatki nie interesują się ciężarnymi trzydziściolkami, a ja, aż do tamtego popołudnia, nie przejawiałem żadnego przedwczesnego popędu seksualnego. Pamiętam, że nie potrafiłem oderwać wzroku od wydatnego biustu Marianne, miękko wspartego na jej zaokrąglonym brzuchu. Miała na sobie jedną z tych ciążowych, bardzo luźnych i zwiewnych sukienek, jeszcze podkreślającą okrągłość jej kształtów, i wełniany beżowy kardigan, który mogła zapiąć tylko na jeden guzik. Gapiłem się na nią tak uporczywie, że wciąż się do mnie uśmiechała i raz po raz częstowała mnie ciastem oraz lodami, a ja z nieśmiałości wszystko zjadałem, aż zrobiło mi się wręcz niedobrze.

Może po to, by jakoś przewyciężyć ten czar i skupić się na czymś innym, zwróciłem wtedy uwagę na zgromadzoną przez Villara kolekcję płyt. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu naraz i nie wyobrażałem sobie, że ktoś może posiadać taką ich liczbę. My w tamtych latach mieliśmy ich w domu może ze dwadzieścia albo dwadzieścia pięć (i to tylko dlatego, że moi rodzice naprawdę lubili muzykę), natomiast u Villara stały ich setki albo nawet tysiące: cała ściana zasłonięta była płytami. Zachwyciłem się, widząc tam wszystkie opery Wagnera, którego w owym czasie zaczynałem słuchać, jak również wszystkie opery Verdiego i wszystkie sonaty Beethovena, i cały zestaw kwartetów Haydna, pieśni Schuberta, kantat Bacha, utworów Hugona Wolfa... Było też wielu kompozytorów, których nie znałem, jak choćby Havergal Brian, Vagn Homboe, Erich Wolfgang Korngold czy sir Granville Bantock, albo takich, o których obsesyjnie czytałem, lecz których nie miałem jeszcze okazji posłuchać, jak Hans Pfitzner, Anton Bruckner lub Gustav

Mahler. Juan Villar wyspecjalizował się w muzyce brytyjskiej, a także w późnych symfoniczkach i neoromantykach (z czasem sam stałem się późnym symfoniczkiem i neoromantykiem) i z rozkoszą opowiadał nam o rarytasach w rodzaju *Requiem dla Nietzschego* Vagna Holmboego albo o *Poemacie epickim o Gilgameszu* Bohuslava Martinů, dziwiąc się na przykład, że nigdy nie słuchaliśmy Brucknera, który był podobno jednym z jego ulubionych kompozytorów. Zagadnięty przez gospodarza, na co miałbym ochotę, w swoim oszołomieniu nie potrafiłem nic wybrać. Wtedy Villar sięgnął po *VIII Symfonię* Brucknera w wykonaniu Orkiestry Filharmonicznej pod batutą Klemperera i nastawił adagio.

Anton Bruckner nie był w tamtym okresie popularny w Hiszpanii. W moich książkach o historii muzyki wspomniano go niechętnie, jako dziwaka (zresztą rzeczywiście był dosyć dziwny), utrzymując, że jego symfonie są zbyt długie, źle zorkiestrowane i w dodatku brak im „pazura” – na ten szczególnie koncept muzykologiczny natykałem się też zresztą w tekstach o *Parsifalu* Wagnera. Bruckner, wedle moich podręczników, był kompozytorem religijnym, kimś w rodzaju infantylnego świętego, dużego dziecka, i pomylił się, wybierając dla siebie gatunek symfoniczny, zbyt świecki i pełen rozmachu jak na potrzeby takiego ewangelicznego, abstrakcyjnego przekazu. „Muzyka Brucknera”, wyjaśniała jedna z moich lektur do poduszki, *Świat muzyki* K.B. Sandveda, „cieszyła się wielkim powodzeniem, począwszy od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, jednakże obecnie wciąż nie ma zgody co do jej wartości. Zasadniczo krytycy przyznają, że jest melodycznie bogata, rytmicznie żywa i pomysłowo łączy oba te aspekty, niemniej wielu uważa ją za rozmytą w formie, przeładowaną i pozbawioną koncepcyjnego dramatyzmu”. W *Wielkich kompozytorach doby romantycznej*, jednej z czytanych przeze mnie wówczas książek, Adolfo Salazar mówi, komentując Brucknera, o „sztucznych, jałowych dłużyznach straszliwie obciążających postbeethovenowską symfonię” i o „nieskoordynowanych eholalicznych dywagacjach”... Utwory Brucknera rzadko więc grywano i jeszcze rzadziej wydawano na płytach.

Ja zawsze byłem samotnikiem. Byłem jedynakiem, zamkniętym w sobie dzieckiem ogarniętym obsesją na punkcie muzyki i książek. Od kiedy rozstaliśmy się z Cristiną, po przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych, już z nikim więcej nie mieszkałem. Mój dom w Oakland to dom samotnika. Wiązy w Oakland dobrze znają moją wiecznie pojedynczą sylwetkę, rysującą się na

tle zmierzchu. Czasem całymi dniami nie mam innego towarzystwa niż Ballard, mój wierny pies. Zawsze pociągali mnie samotni wędrowcy – czy to u Rousseau, czy u Whitmana, Wordswortha, Adalberta Stiftera albo Caspara Davida Friedricha – zdolni wspinać się na niedostępne szczyty i unosić ponad chmurami. Anton Bruckner, mój ulubiony kompozytor, należał do tego gatunku: włóczył się po ulicach Wiednia, licząc okna w domach i starając się nie stąpać po łączeniach płyt chodnikowych. Był samotnikiem i maniakiem. Cierpiał na numeromanię: przymus liczenia wszystkiego, co widział, czy chodziło o okna, guziki u garnituru, czy drzewa w alei. Był jak anioł. O ile wiadomo, nigdy nie spał z kobietą. Przez całe życie zakochiwał się w młodych dziewczętach, które prosił o rękę zaraz po zawarciu znajomości, nieodmiennie, raz za razem, spotykając się z odmową, i tak aż do czasu, gdy stał się białowłosym starcem i mimo wszystko nadal zakochiwał się i oświadczał, nie czyniąc różnicy między córkami znajomych, panienkami napotykanymi w trakcie codziennych spacerów po Wiedniu a własnymi służącymi. „Ależ herr Bruckner”, powiedziała mu jedna z nich, „przecież pan jest stary!” Stary, samotny mężczyzna. Stary mężczyzna, który przechadza się pod lipami, rozmyślając o cesarzu.

Także ów cesarz musiał być dość samotny. Tyle że on akurat nigdy nie wzbudzał mojej sympatii, bo gdy Bruckner zadedykował mu swoją *VIII Symfonię*, najpiękniejszy utwór muzyczny, jaki kiedykolwiek napisano, jego wysokość, zamiast udać się na premierę, wolał jechać na polowanie i zabijać jelenie oraz żubry. Głupiec!

Solus rex. Problem szachowy.

Solus Barbarinus.

Przy tamtej okazji wysłuchaliśmy jedynie kilku minut tego zadziwiającego utworu, ale mnie to wystarczyło, albowiem przez te kilka minut zdałem sobie sprawę, że wreszcie (a miałem dopiero jedenaście lat!) znalazłem swoją drogę i swoje powołanie. Potem sąsiadka przywiozła dzieci, dom wypełnił się głosami i śmiechami i w moim życiu, w moim nieszczęśliwym życiu, zdarzył się przedostatni tego popołudnia cud. To była Cristina.

Wchodzę na Łakę

Czy można się zakochać, gdy się ma ledwie jedenaście lat? Ja tego doświadczyłem i wiem, że można. Jednakże tamtego dnia zakochałem się nie tylko w Cristinie – nieodwołalnie i na zawsze – lecz również, w trudny do wytłumaczenia sposób, w jej matce: w fascynującej arystokratycznej Marianne. Oczywiście, to, co czułem do nich obu, matki i córki, to były zupełnie różne uczucia. Jedna kojarzyła mi się z orłem, druga z gołębiami. Cristinę kochałem, Marianne podziwiałem. Z Cristiną miała mnie przez lata łączyć zwykła miłość, podczas gdy tym, co sprawiało, że przez okrutne, rozpaczliwe dekady wciąż śniłem o Marianne, było z kolei skomplikowane pożądanie. A może na odwrót? Nie wiem tego i nigdy się nie dowiem, albowiem nie leży w mojej naturze przedkładanie ducha nad ciało ani nawet wyznaczanie między nimi granic.

Cristina bardzo się różniła od matki. Miała ciemne włosy w bardzo ładnym odcieniu, brązowe jak pień ostrokrzewu, a niekiedy, w zależności od światła, niemal czarne, rysy twarzy zaś odziedziczyła raczej po ojcu niż po Marianne. Była urocza, prześliczna, lecz brakowało jej monumentalnego kościca Marianne, tej postawy godnej walkirii lub Anadyomene, tej królewskiej aury. Marianne była piękna, Cristina – po prostu ładna. Marianne była jak Wenus, Cristina – jak dobra wróżka. I mówię tu nie tylko o tym, jak wyglądały wtedy, gdy Cristina ledwie skończyła dziewięć lat, lecz również później, gdy kończyła lat osiemnaście, dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć. Nigdy nie osiągnęła wzrostu matki i wydawała się wręcz niziutka przy dryblasach, na jakich wyrosli z czasem jej bracia, Edgar i Sebastian, najmłodszy, który w momencie, kiedy ją poznałem, dopiero rozwijał się w brzuchu Marianne. Cristina nie miała wybujałej urody swojej matki, miała jednak coś, co Marianne nie zostało dane: niezmierną słodycz, bezgraniczną tkliwość. Ktoś może pomyśleć, że porównuję teraz jakości nie do zestawienia: złotawy poblask

seksualności z błękitnym promieniowaniem dobroci. Jednakże wszystko, co fizyczne, jest również duchowe; wszystko, co związane z uczuciami, nawiązuje również do zmysłów – tak mi się przynajmniej wydaje, ponieważ, jak przed chwilą wspomniałem, nigdy nie potrafiłem rozdzielić ducha i ciała, które uważam za dwie strony tej samej tkaniny.

Wyszliśmy pobawić się w ogrodzie. Dzieci Villarów miały w tamtym okresie egzotycznego pupila. Gdy go zobaczyłem, stojącego w trawie na czterech łapkach, pomyślałem, że to piesek. Tyle że było w tym piesku coś wielce dziwnego: zbyt duży łebek, zbyt kwadratowy pysk oraz zbyt krótkie łapy zakończone trzema szeroko rozstawionymi palcami w niczym nieprzypominającymi psich pazurów. Do tego gęsta rudawa sierść i małe, spiczaste uszy. Cristina i Edgar wołali na to stworzenie Trixie i nawet nauczyli je reagować na komendę „siad”. Poza tym zakładali mu niebieską obrózkę z niebieską muchą z przodu, co wyglądało nieco śmiesznie. Kto zakłada zwierzęciu niebieską muchę? Siad, Trixie! – wołali i dziwny piesek-nie piesek posłusznie siadał. Zaraz potem jednak puszczał się biegiem przez ogród, a Cristina i jej brat pędzili za nim. Zdumiewało mnie, że równie okrągły i krótkonogi zwierzak może tak szybko biegać. Patrzyłem w osłupieniu, jak przecina warzywnik, galopując niby koń w miniaturze, błyskawicznie okrąża położony za warzywnikiem basen pełen deszczówki i opadłych, brązowych liści, po czym przeskakuje przez dziurę w żywopłocie z cyprysów.

– Chodź! – zawołała Cristina. – Chodź, gonimy Trixie!

Ujrzałem, że oboje z Edgarem też rzucają się do dziury w żywopłocie i znikają mi z oczu. Byłem dzieckiem miejskim i strachliwym, toteż uznałem to za niedopuszczalną lekkomyślność. Czy nie należałoby powiedzieć rodzicom, że wychodzimy z ogrodu? Co się stanie, jeśli zaczną nas szukać i nie znajdą? Mimo to poszedłem w ślady tamtej dwójki i również przedarłem się przez żywopłot, kłując się o jego gałązki i obcierając sobie kolana, jako że byłem nieco większy niż moi towarzysze. Trudno. Nie chciałem wyjść na tchórza. Poza tym znajdowałem się na cudzym terytorium i zakładałem, że powinienem postępować tak jak gospodarze.

Sąsiednia parcela okazała się opuszczona i całkowicie zarośnięta. Nie wiem, kiedy zaczęliśmy nazywać ją „Łąką” ani kto właściwie wymyślił to określenie. Możliwe, że Cristina i Edgar używali go już od jakiegoś czasu. Rosła tu gęsta, nigdy przez nikogo niekoszona trawa, więc coś w tym było. Tak czy owak, ogród przylegający do ogrodu Villarów dla naszej trójki na zawsze

pozostał Łąką.

Podzielony był na dwie części przez kamienny występ, biegnący przez środek parceli na całej jej długości. Na wyższym poziomie znajdował się zrujnowany domek porośnięty gęstymi pnączami i ocieniony z dwu stron przez dwa wielkie drzewa – jedno bardzo ciemne, drugie bardzo jasne. Nie wiem, co to były za drzewa, może jodła i buk, chociaż nie jestem pewien, czy buki rosną tak daleko na południu. Nie mam pojęcia jak, ale Trixie dostała się na ten kamienny występ dzielący ogród na dwoje (a różnica poziomów wynosiła prawie metr i zdawało się niemożliwe, by takie krępe stworzenie zdołało skoczyć tak wysoko) i teraz gnała w stronę zrujnowanego domku. Moi nowi przyjaciele biegli za nią, usiłując ją złapać. W końcu znikła w środku, oni zaś, zamiast wejść, zatrzymali się w progu i jęli ją stamtąd nawoływać.

– Czemu nie wchodzicie? – spytałem zdziwiony, kiedy do nich dołączyłem. Skoro potrafili bez wiedzy rodziców nachodzić cudzą posiadłość, to chyba mogli też wejść i do tego domku.

– Ten dom jest nawiedzony – odrzekła Cristina. – Wolimy do niego nie zaglądać.

– A wasz piesek?

– Jaki piesek?

– Trixie.

Rodzeństwo wybuchnęło śmiechem.

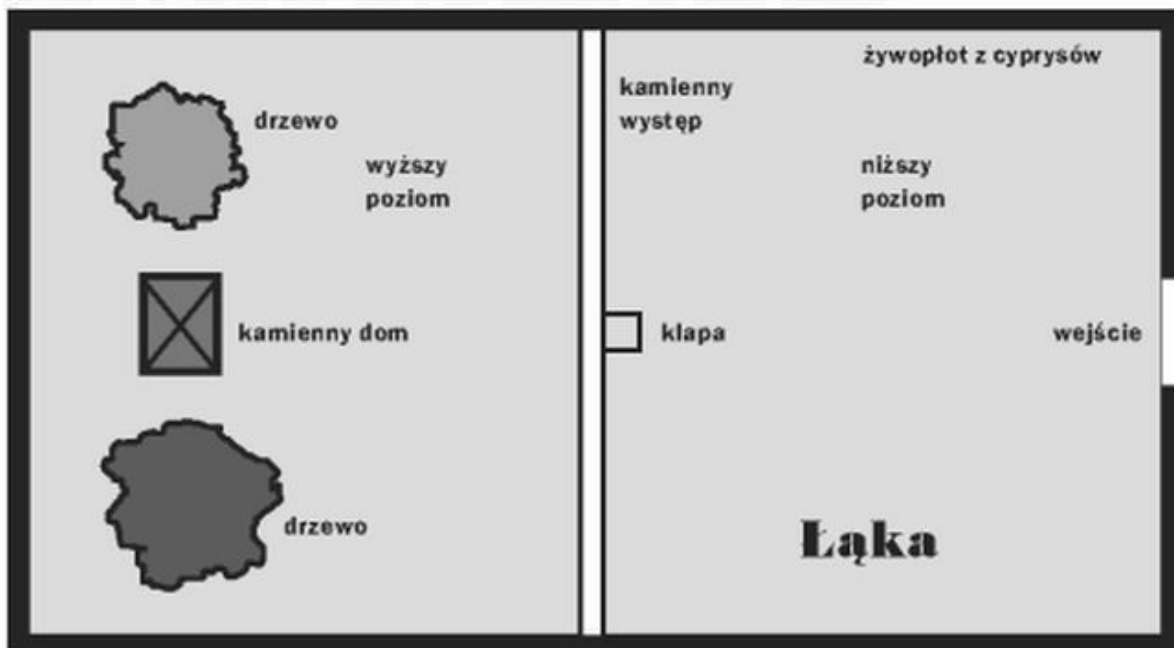
– Trixie to nie piesek – wyjaśnił Edgar. – To kapibara.

– Kapibara? Co to jest kapibara?

– Coś jak królik. Wielki królik, tyle że z krótkimi uszami i bez ogonka. Taki gryzoń żyjący nad rzekami w Ameryce Południowej – tłumaczyła Cristina. – Potrzebuje wilgoci. Ten basen w naszym ogrodzie jest dla Trixie. Jeśliby nie była ciągle mokra, zachorowałaby i umarła.

Tamtego wieczoru nie mogłem zasnąć. Zbyt wiele wrażeń, zbyt wiele obrazów, zbyt wiele informacji. Na koniec jednak uległem zmęczeniu i przyśnił mi się jeden z tych rozczłonkowanych snów, co to są jak labirynt i tylko męczą cię i niepokoją. Śniłem, przechodziłem ze snu w sen, by później znaleźć się w stanie pośrednim między snem a jawą, tak samo nieprzyjemnym jak ten będący skutkiem alkoholu czy znieczulenia. W moich wizjach pojawiały się Marianne, muzyka Brucknera (i jego twarz, tak dobrze mi znana, pełna godności, z niemal niewidocznym wąsikiem, jego ptasia główka z muchą pod brodą), Cristina biegnąca przez Łąkę w swojej niebieskiej sukieneczce

odslaniającej smukłe, blade nogi, znieruchomiła na wilgotnym, błyszczącym trawniku kapibara, nawiedzony dom na dwupoziomowej parceli, porośniętej sztywnymi, kołyszącymi się na wietrze łodygami fenkułów... A wszystko to mieszało się, zlewało w jeden byt, w jedno niezwykle, święte miejsce. Piersi Marianne, jej zarumieniona skóra napięta na lekko wystających kościach policzkowych, jej uśmiech w odpowiedzi na moje natarczywe spojrzenia, kolejna dokładka ciasta z czereśniami i lodów waniliowych, portret Brucknera, mucha Brucknera przemieniona w niebieską muszkę Trixie, Trixie przemieniona w Brucknera z czarno-białej fotografii, żywe ślepką Trixie w miejscu melancholijnych i zmęczonych oczu Brucknera, Łąka jako ciało Marianne, ogromne, macierzyńskie, różowe, drażniąco nagie, choć zamaskowane w swych kobiecych kształtach przez krzewy trzmieliny, pęki dzikiego kopru i kręte rzeki pnący wspinających się po ścianach nawiedzonego domku, i twarz Cristiny unosząca się jak chmura nad zarośniętym ogrodem, jej miłe oczy, jej łagodny głos, jej blade łydki, jej zaskakująca zwinność, i adagio z *VIII Symfonii* falujące między jej nogami jak wysoka trawa Łąki... Wszystko to się mieszało, wszystko było tym samym. Adagio było Łąką, Łąka była Cristiną, a kapibara – posłańcem z podziemnego świata, czymś w rodzaju psa warującego przy wejściu do krainy umarłych. Ogród wokół opuszczonego domku był adagiem i nie dawało się stamtąd wyjść. Próbowaliśmy, ale się nie dawało. Biegaliśmy z kąta w kąt, od żywopłotu do żywopłotu, od melodii do melodii, od tub do smyczków – ja, Cristina, jej brat, kapibara ze swoją muszką i jeszcze ktoś, komu nie mogłem się dobrze przyjrzeć; wskakiwaliśmy na kamienny występ, docieraliśmy do zrujnowanego domku i... nie dawało się stamtąd wyjść. A muzyka rozbrzmiewała, spowijając nas: muzyczne łuki, muzyczne ścieżki w powietrzu, dróżki gubiące się pośród dźwięków, pootwierane pośród dźwięków okna, przez które widać było inne dźwiękowe pejzaże, oglądane z głębin umysłu. A jeszcze później piersi Marianne przemieniały się w dwa okrągłe łebki kapibary, a Bruckner i Cristina stapiali się w jedną cudowną istotę o ptasiej główce Brucknera, ale w krótkiej sukience i ze smukłymi nogami Cristiny, i ta istota unosiła się nad trawą Łąki, nie tykając jej stopami i zostawiając za sobą w powietrzu świetlisty ślad.



ogród Villarów

Jestem zazdrosny

Począwszy od tamtego dnia, nasze rodziny spotykały się często. Prawie zawsze to my jeździliśmy na popołudnie do Pozuelo, choć zdarzało się, że Villarowie odwiedzali nas w Madrycie. Ja wszakże wolałem, jak wyprawialiśmy się do nich, bo wtedy mogłem się bawić również z sąsiadami Cristiny, mieszkającymi naprzeciwko dziećmi bardzo sławnego w owym czasie kompozytora, Dionisia Recalde. W ten bowiem sposób poznałem Ignacia Recalde i jego siostrę Yvonne. Moi rodzice mówili, że Recalde należy do Opus Dei i że Villar tak dba o tę znajomość, gdyż chce mieć dobrze umocowanych przyjaciół. Ja nie wiedziałem, co to Opus Dei, lecz zdumiewała mnie wprawa, z jaką rodzice psuli zawsze każdą przyjemność i wyszukiwali u ludzi wady. Po każdej wizycie w Pozuelo całymi godzinami szczegółowo krytykowali wszystko, co mówili i robili Villarowie oraz ich przyjaciele (bo, owszem, niejednokrotnie spędzaliśmy czas razem): sposób, w jaki wychowywali swoje pociechy, fakt, że Patricia, żona Dionisia, miała simcę mini i bez przerwy paliła, to, że w porze kolacji dzieci sadzano do stołu w kuchni, jak służbę, że posyłano je do prywatnej szkoły, Langlam, „anglo-hiszpańskiej” placówki, gdzie mój ojciec zresztą kilka lat wcześniej uczył angielskiego, że zarówno Marianne, jak Patricia należały do klubu, gdzie grały w tenisa, i że w ogóle grały w tenisa, ubrane w białe spódniczki i czapki z daszkiem. Wszystko to było złe. Wszystko wzbudzało w rodzicach irytację. Powtarzali, że Villarowie to snoby, Recalde jest poplecznikiem reżimu, a Juan Villar – karierowiczem. To dopiero były okazy, ci moi rodzice! Zawsze w stanie wojny przeciwko wszystkiemu. Może dlatego ja stałem się takim oportunistą, człowiekiem miękkim i zgodnym, pozbawionym jakiegokolwiek osobowości. Czarującym, może niekiedy nawet uwodzicielskim, ale zawsze pozostającym na drugim planie.

Czasami widywaliśmy też w Pozuelo Joaquina, jedyne madryckiego

kuzyna Cristiny. Śniady i szczupły, w wieku swojej kuzynki, był synem jakichś krewnych Juana Villara. Zapamiętałem go jako chłopca wiecznie pogrążonego w myślach, nieśmiałego okularnika z rękami w kieszeniach. Miał młodszego brata, który zawsze bawił się z młodszymi braćmi Cristiny.

Co do Ignacia, był w moim wieku i twierdził, że Cristina to jego narzeczona, z którą się ożeni, jak dorosną. Wywiązała się przez to między nami trwała rywalizacja. Rywalizacja, która doprowadzała mnie do rozpacz, gdyż Ignacio mieszkał naprzeciwko Cristiny i mógł ją widywać codziennie, podczas gdy ja cieszyłem się obecnością ukochanej wyłącznie przy okazji wizyt w Pozuelo, które zdarzały się zbyt rzadko i trwały zawsze zbyt krótko w porównaniu z tym, czego bym sobie życzył. To Yvonne powiedziała mi któregoś razu, że jej brat i Cristina wymykają się razem do ogrodu przy opuszczonym domu, żeby całować się w usta. Musiałem zrobić naprawdę wielkie oczy. Yvonne zapewniała, że wszystko widziała – i to nie raz czy dwa, lecz wielokrotnie. Nie wierzyłem własnym uszom. Całować się w usta! Jak oni mogli się na coś takiego odważyć? Rozzuchwalona efektem, jaki wywarły jej słowa, Yvonne dorzuciła, że Ignacio i Cristina nie tylko uciekają na Łąkę, by się tam całować, ale że czasem zdejmują też wszystkie ubrania i zostają całkiem goli.

– Goli? – zdumiałem się jeszcze bardziej.

– Tak.

– I co dalej?

– Dalej nic.

– No ale co oni tacy goli robią?

– Patrzą na siebie.

– Patrzą na siebie?

– Patrzą sobie w oczy i całują się w usta.

– Goli?

– Tak, goli.

– Nie wierzę – oświadczyłem.

– Przysięgam – rzuciła Yvonne. – Na Jezuska. Niech tu zaraz padnę trupem, jak kłamię.

– Sama ich widziałaś? – dopytywałem się, dygocąc.

– Tak. Jak tylko zauważę, że biegną do tego opuszczonego ogrodu, zakradam się i ich podglądam. Siedzą tam i mój brat zdejmuje z Cristiny całe ubranie, a ona mu pozwala. A potem on też się rozbiera.

– Ale po co to robią? – pytałem dalej, niepocieszony, rozbity. – Po co?

– Bo są zakochani – odparła Yvonne. – Nie wiedziałeś, że zakochani lubią być ze sobą nago?

– Nie wierzę – powtórzyłem. – Zmyślasz. Gdyby Ignacio próbował rozebrać Cristinę, dostałby w gębę. Co za idiotyczny pomysł! Znam wielu zakochanych i nigdy nie widziałem ich nago. Poza tym Cristina wcale się nie kocha w twoim bracie.

– Jak nie chcesz, to nie wierz, co mi zależy.

– Przysięgasz, że to prawda?

– Przysięgam – powiedziała Yvonne.

– Przysięgnij na Boga. Żeby umarła cała twoja rodzina, jeśli kłamiesz.

– Przysięganie na Boga to grzech – mruknęła Yvonne.

– Nie chcesz przysiąc na Boga, bo zmyślasz.

– Nie. Bo to śmiertelny grzech.

Nie ulega wątpliwości, że Yvonne podkochiwała się w mnie i chciała odsunąć mnie od Cristiny, jednakże snując te dzikie wymysły, osiągnęła tylko tyle, że zazdrosny o swoją małą wróżkę dostałem na jej punkcie jeszcze większej obsesji. Zresztą wiedziałem przecież, że Cristina i Ignacio naprawdę mają się ku sobie i czasem nawet całują, bo Ignacio był już wtedy zręcznym uwodzicielem, potrafił rozmawiać z dziewczynami i usypiać ich czujność. Poza tym górował nade mną wzrostem i aparycją. Pewnego dnia zobaczyłem, jak przechodzą z Cristiną przez ulicę, trzymając się za ręce i posyłając sobie słodkie spojrzenia. Gdy dostrzegli mnie w bramie ogrodu Villarów, odskoczyli od siebie jak oparzeni. Kiedy indziej znowu, na Łące, Ignacio powiedział Cristinie, że musi wybrać między nim a mną i ostatecznie zdecydować, kto z nas jest jej narzeczonym, a ona odrzekła, że wybiera nas obu. I pocałowała nas obu w usta: najpierw Ignacia, potem mnie. Tak to się w dzieciństwie zabawialiśmy. Myślę, że Cristina świadomie i z przyjemnością podsycala moją zazdrość. Wiele lat później zapewniła mnie, że nigdy nie interesowała się Ignaciem i że w gruncie rzeczy tylko ja się jej podobałem. Myślę jednak, że on też się jej podobał – i to przez długie lata.

Moje spotkanie z Marianne. Villarowie wracają do Anglii

Zawsze byłem osobą bardzo zmysłową. Zmysłowość stanowiła moją mocną stronę i zarazem przekleństwo. W tamtych latach, kiedy kochałem się w Cristinie, kochałem się również w jej matce. Być może nieco nadużywam tu czasownika „kochać się”, jednak żaden inny nie przychodzi mi w tym kontekście do głowy. Być może w przypadku Marianne nie chodziło o miłość – czułą i romantyczną, jak w przypadku Cristiny, lecz raczej o coś zbliżonego do podziwu. Podziwu, jaki odczuwa dzieciak względem dojrzałej kobiety. Po porodzie Marianne odzyskała zgrabną figurę. W moich oczach ta jej szczupłość była wręcz rozczarowująca: uważałem, że matka Cristiny wyglądała dużo piękniej i promienniejszo w tak zwanym odmiennym stanie. Choć niewykluczone, że wynikało to tylko z faktu, iż po raz pierwszy ujrzałem ją właśnie taką, czyli z siły, jaką zawsze ma pierwsze wrażenie.

Upłynęły dwa lata. Cristina robiła się coraz ładniejsza i coraz bardziej kobieca. Mój penis rósł, a nad górną wargą sypnął mi się ciemny wąsik. Cristina nie pozwalała mi się już całować, jak wtedy, gdy w dzieciństwie wymykaliśmy się do dwupoziomowego ogrodu przy zrujnowanym domku, na naszą Łąkę. Z tego, co wiem, nie pozwalała się też już całować Ignaciowi. Parcelę obok domu Villarów sprzedano, nowi właściciele oczyścili ją z chwastów i rozpoczęli odbudowę domu. Była to rodzina poety Juana Luisa Panura. Kiedy Villar usłyszał, że jego nowy sąsiad to słynny pisarz, niezwykle się ucieszył. I jeszcze pisarz reżimowy, mówili moi rodzice. I dawny falangista. Zabezpieczył się na wszystkich frontach. Kapibara zdechła – pewnie za rzadko moczyła się w basenie albo może nie służył jej madrycki klimat.

Marianne miała wówczas trzydzieści lat i wkraczała właśnie w etap złotej pełni, który kobiety przeżywają zazwyczaj w czwartej dekadzie swego życia,

a bywa, że i przez sporą część piątej. Nosiła markowe, zapewne brytyjskie ubrania (te jej kwiaty i koronki, te przezroczyście i opięte na biuście fatałaszk nie przypominały niczego, co kiedykolwiek wcześniej widziałem) i, o ile pamiętam, zawsze była umalowana: z upudrowaną twarzą, wargami pociągniętymi ciemnoczerwoną szminką albo tylko błyszcznikiem (jako że, podobnie jak jej córka, cierpiała z powodu szybko wysychających ust) i podkreślonymi dyskretną kreską oczami. Miała ciężkie, błyszczące włosy, jasne z brązowawymi pasmami, sięgające tuż nad ramiona, zawsze idealnie uczesane i przepasane opaską lub spięte grubą spinką. Miała też gładką, różowawą skórę jak to niekiedy u Brytyjczyków bywa, wydatne kości policzkowe, oczy nieodmiennie lekko napuchnięte i zaczerwienione, jakby chwilę wcześniej płakała, dolną zaś wargę wygiętą w wyrazie jakiegoś rozczarowania. To rozczarowanie przykuwało moją uwagę i niepokoiło mnie. Czy możliwe, że mina ta stanowiła ślad przeszłości, pozostałość po niewesołym dzieciństwie (tak sztywnym jak, wedle późniejszych opowieści Cristiny, dzieciństwo wielu Anglików) i nie miała nic wspólnego z jej dalszym, obecnym życiem? Tyle że Marianne wydawała się ciągle smutna, a bardziej jeszcze niż smutna – właśnie rozczarowana, a bardziej jeszcze niż rozczarowana – po prostu znudzona.

Pewnego dnia coś się wydarzyło. Nie pamiętam dokładnie dlaczego, ale rodzice zostawili mnie u Villarów na całe popołudnie. Juana Villara nie było, zajmowała się nami Jeanne, młoda Irlandka, którą gospodarze zatrudnili do opieki nad trojgiem swoich pociech, a szczególnie nad najmłodszym Sebastianem. Rodzeństwo Recalde jakoś się nie pojawiało, toteż razem z Cristiną, korzystając z siatki rozwieszanej przez Villara w ogrodzie, postanowiliśmy zająć jej młodszych braci grą w siatkówkę, potem zaś w badmintona. Usłyszałem, jak Marianne mówi po angielsku do Jeanne, że idzie się kąpać i żeby dziewczyna zadbała o podwieczorek dla dzieci. Sebastian, który miał już prawie dwa latka, łazikował teraz po całym domu jak żywa lalka, przytrzymując się najróżniejszych sprzętów i wtykając wszędzie paluszki.

Mimo że, owszem, słyszałem, jak Marianne swoim wysokim, znużonym głosem informuje nianię o planowanej kąpieli, to, co stało się potem, stało się przez przypadek. Nie jestem nawet pewien, czy rzeczywiście zrozumiałem wtedy tamte angielskie słowa. Właściwie nie znałem jeszcze tego języka, a cała rozmowa odbywała się w głębi domu, gdzieś między korytarzem

a kuchnią albo może między kuchnią a prasownią. Faktem jednak pozostaje, że w pewnym momencie wszedłem do środka z dworu – po coś, co znajdowało się w pokoju Cristiny. Konkretnie po bumerang, którym się czasem bawiliśmy, autentyczny australijski bumerang przywieziony kilka lat wcześniej przez Juana Villara z Sidney: jeśli się go dobrze rzuciło, naprawdę wracał, co, jak mieliśmy z Cristiną nadzieję, mogło chociaż na chwilę zająć jej braci.

Mijając pokój rodziców Cristiny, zobaczyłem przez uchylone drzwi jej matkę. W przelocie i bez specjalnego zaglądnia. Szedłem korytarzem, drzwi były uchylone i po prostu zerknąłem. Marianne zdawała sobie sprawę, że jestem u nich i w każdej chwili mogę się przypałać, ale nie zadała sobie trudu, by dobrze się zamknąć. Pewnie zapomniała. Stała tyłem do mnie, przeglądając się w lustrze szafy. Była niemal zupełnie naga i jej złotawa skóra lśniła na tle utrzymanej w oliwkowych tonach sypialni. Miała na sobie wyłącznie biały stanik, którego pasek przecinał jej plecy tuż pod łopatkami, ramiączka zaś delikatnie wrzynały się w miękkie ramiona. Urodziła troje dzieci, jednakże jej ciało wciąż stanowiło istny cud. Ponad pośladkami zwęzało się jak wiolonczela, przechodząc w bielusieńkie plecy, mniej wszakże blade niż same pośladki, naznaczone śladem od bikini zakreślającym strefę zakazaną. Skamieniałem. Nasze oczy spotkały się w lustrze. Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie bez słowa. Ktoś inny zapewne wymamrotałby przeprosiny i wziął nogi za pas, lecz ja nie ruszałem się z miejsca. Chciałem się uśmiechnąć, ale jakoś nie mogłem. Rozbolały mnie kości, moja skóra zamieniła się w papier. Czasami, wracając pamięcią do tamtego momentu (bo to nie mógł być więcej niż moment), odnoszę wrażenie, że wciąż się nie skończył: że wciąż trwamy tam oboje, uwięzieni w zatrzymanym czasie, przypatrując się sobie nawzajem poprzez lustro. Później Marianne zareagowała w sposób naprawdę zaskakujący. Obróciła się ku mnie tak, jak stała, nawet nie próbując się zasłaniać. Spoglądała na mnie bez uśmiechu, z powagą, może pospiesznie wążąc coś w myślach. Ile ja wtedy miałem lat? Pewnie trzynaście lub czternaście. Nigdy nie radziłem sobie z czasem – z datami ani z następstwem zdarzeń. Nigdy nie potrafiłem powiedzieć: „To było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim”, chyba że miałem jakiś zewnętrzny, niepodważalny punkt odniesienia. Jeśli jednak Sebastian, braciszek Cristiny, był mniej więcej dwulatkiem, ja musiałem kończyć lat trzynaście. Marianne obróciła się ku mnie, popatrzyła mi prosto w oczy i postąpiła kilka kroków w stronę uchylonych drzwi. Wydawało się, że zaraz

je domkanie, ale tak się nie stało. Zastygła na środku pokoju, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, ciągle się we mnie z powagą wpatrując. Przez chwilę myślałem, że jest zagniewana, chociaż w gruncie rzeczy sama pozwalała mi teraz kontemplować swoje kształty i zarazem najwyraźniej sprawdzała, jaki wywierają na mnie efekt. A wywierały potężny. W gruncie rzeczy nie postrzegałem ich nawet w charakterze kobiecych kształtów – pięknych zresztą – albowiem nie przypominały niczego, co dane mi było oglądać wcześniej. Postrzegałem je raczej jako bezpośredni dotyk rzeczywistości. Jako nagłe objawienie ogólnego sensu, odpowiedź na pytanie, po co istniejemy, po co cierpimy, rodzimy się i nawzajem zabijamy, dlaczego nienawidzimy się, kochamy i pożądamy. Piękno, przemoc, światło, krew, rzeczywistość, miłość, sny, walki, ból – wszystko to było tym ciałem, które oferowała mi Marianne. A to ciało było wszystkim tym i nie tylko. Ciało nagiej kobiety. Pierwszej nagiej kobiety. Jej złotawe, smukłe nogi niczym długa łodyga podtrzymująca wspaniały kielich w kształcie litery „V”, z którego wyłaniała się, niby różany pęd, syrena o wdzięcznych ramionach, doskonałych piersiach nadal ukrytych w białej koronkowej osłonce, wyniosłym podbródku, zielonych oczach, gęstych blond włosach i lekko skłónionej na prawo głowie – zupełnie jakby te odgarnięte na jedną stronę włosy zrobione były z jakiegoś ciężkiego materiału, na przykład ze złota albo z marmuru, i ciągnęły ją w dół. I jeszcze białożółowy trójkąt brzucha i pachwin, poruszająco delikatny i wrażliwy, uzupełniający błądy obraz pośladków sprzed chwili, i ten punkt ozdobiony gęstymi, niezbyt ciemnymi włosami, który ukazując się moim oczom po raz pierwszy, zdawał mi się, mimo swego zwyczajowego ukrycia, a może właśnie ze względu na nie, centrum całego tego ciała i całej osoby: sekretną prawdą o niej i zarazem ostatecznym wyjaśnieniem wszystkiego innego.

Potem wargi Marianne rozchyliły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Zrozumiałem wtedy, ku swemu niebotycznemu zdumieniu, że ona nie tylko się na mnie nie gniewa, lecz że mnie zaprasza. Uczyniła to bez słowa, bez choćby jednego gestu. Pojąłem znienacka, że te drzwi się nie zamkną, przeciwnie, że się dla mnie otwierają, pozwalają mi wejść do środka. Ruszyłem przed siebie, z trudem, gdyż trzęsły mi się kolana, lekko popchnąłem drewniane skrzydło i znalazłem się w sypialni Villarów. Była bardzo duża, wyposażona w podłużne, wychodzące na ogród okno, ogromne łóżko z liściastozieloną narzutą i lampki o porcelanowych nóżkach na nocnych stolikach, z których

jeden przykryty był otwartą książką Harolda Robbinsa, po angielsku, z ułożonymi na wierzchu okularami. W ten sposób odkryłem, że Marianne Villar z domu Wilson używa do czytania okularów. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Marianne zbliżyła się do drzwi i zamknęła je na klucz. Jej białe pośladki drżały. Na różowawożółtawych biodrach wdzięcznie poruszał się ślad po majtkach od bikini. To było, jak dobrze pamiętałem, żółte bikini w starym stylu, z czasów, gdy nie szczczędzono materiału. Często wkładała je, gdy szła się opalać do ogrodu. Zasłoniła okno. Później znowu się ku mnie obróciła, bardzo powoli odpięła stanik i zsunęła ramiączka wzdłuż rąk. Zadygotałem, widząc, jak białe koronki, niby długie ptasie pióro, opadają na jasnozieloną wykładzinę. Pomyślałem – kto wie dlaczego – o tej baśni, w której łabędź zrzuca upierzenie i przemienia się w kobietę. Marianne miała paznokcie u stóp pomalowane na purpurowo. Jej piersi były duże i doskonałe, z bardzo ciemnymi, pasującymi do lakieru na paznokciach sutkami. W tamtych latach kobiety nie depilowały sobie bikini, często nawet wtedy, gdy wkładały kostium, co zauważyłem wcześniej już nieraz, obserwując matkę Cristiny w jej żółtym stroju kąpielowym, przy czym widok rzadkich brązowawych włosków w okolicach pachwin nie robił na mnie specjalnego wrażenia. Przez spowijającą jej wzgórek łonowy połyskliwą mgiełkę prześwitywały wargi sromowe, które skojarzyły mi się wówczas z fałdkami na ciele bardzo małych dziewczynek. Biała blizna po cesarskim cięciu biegła pionowo przez brzuch, boleśnie wyraźna. Marianne wzięła mnie za rękę i poprowadziła do łóżka. Pamiętam gorący dotyk jej dłoni – dużych, zręcznych, znających się na rzeczy, gdy głaskały mnie po twarzy i rozbierały. Pamiętam gorący dotyk jej ciała, niesłychanie wręcz gładkiego. Pamiętam muśnięcia jej włosów na mojej skórze.

Nie wiem, ile czasu to trwało, wiem natomiast, że tego, co zdarzyło się wtedy między mną a Marianne, nie ma sensu mierzyć za pomocą zegara. Czułem się całkowicie przez nią otoczony, jak gdyby jej ciało znajdowało się przed mną i za mną, spowijając mnie, oplatając. Prowadziła mnie, bez słowa, gdyż byłem tak oszołomiony, że nie mogłem, nie umiałem zrobić nic sam z siebie. Jej wilgotne wargi na mojej szyi sprawiały, że prawie mdlałem. Podobnie jak niewyobrażalna delikatność jej piersi, brzucha, ud – i pomyśleć, że do tamtej pory sądziłem, że kobiece ciała są twarde! Kto wie z jakiego powodu. Może na podstawie oglądanych tu i ówdzie posągów? Ze względu na marmurową doskonałość klasycznych aktów? I teraz te miękkie pieszczoty.

Język w ustach, dłoń w pachwinie, wargi na żołądź. Naturalność, z jaką Marianne całowała i lizała mój penis, zupełnie jakby takie rzeczy robiło się na co dzień. Jej zielone, zimne, kocie oczy, sposób, w jaki na mnie patrzyła i się do mnie uśmiechała, z wolna przesuając swoim grubym językiem łani po moim członku. To nie była miłość, niemniej jednak, cokolwiek to było, było tajemnicze, głębokie i niesamowite jak ona. Nigdy wcześniej nie wyczuwałem wokół siebie siły równie niepowstrzymanej, świetlistej i poruszającej. Miałem wrażenie, że chodzi w gruncie rzeczy nie o kobietę, lecz o cały szereg kobiet, podobnych kariatydom w świątyni, podtrzymujących tę jedną, prawdziwą, nieogarnioną kobiecą obecność niby kopułę nad moją głową. To była potęga kobiecości samej w sobie, potęga ziemi, matek, sióstr, ukochanych i żon. Ja fizycznie osiągnąłem już wówczas dorosłość, mentalnie natomiast nie. Marianne zaśmiała się łagodnie i przycisnęła mnie do swoich delikatnych, ciepłych piersi, aż poczułem, że zanurzam się w morzu, ciepłym morzu lata, przejrzystym i aksamitnym. Powiedziałem jej, że ją kocham, że od lat jestem w niej zakochany. Zachwycała mnie ta różowawa pełnia jej biustu, pod którego wypukłością jej serce biło niby serce kościelnego dzwonu. W końcu położyła się na łóżku, pociągnęła mnie na siebie, ujęła w dłoń mój penis i poprowadziła go do swojego wnętrza, a była tak miękka, że kiedy znalazłem się w środku, nie wiedziałem nawet, że już tam jestem. Szepnąłem jej na ucho, że chcę w niej być, ona zaś roześmiała się znowu i z zamkniętymi oczami odrzekła, że to już. Tak, byłem w środku i odczuwałem to jak rodzaj snu. Ogromnie się zdumiałem. Wcześniej żywiłem przekonanie, że penetracja, zważywszy na skrajną wrażliwość żołądź, musi być dla mężczyzny bolesna, i ani trochę nie spodziewałem się tak łagodnego przyjęcia. Pomyślałem, że Marianne trzykrotnie rodziła (w rzeczywistości rodziła tylko dwukrotnie, bo za trzecim razem zrobiono jej cesarkę) i dlatego jej wagina jest szeroko otwarta, co zapewne przeszkadza jej w doznawaniu rozkoszy, a mnie – we właściwym odczuwaniu penetracji, jednakże, ponieważ był to mój pierwszy raz z kobietą, nie mogłem mieć pewności, czy to, co się między nami dzieje, pozostawia wiele do życzenia czy wręcz przeciwnie. Sadzę, że w pewnym sensie i pozostawiało, i nie. Pragnąłem pocałować Marianne w usta, ale teraz, gdy byłem w jej wewnątrz, ona odmawiała pocałunków. Kiedy wszystko się skończyło, cmoknęła mnie przelotnie, wstała, podjęła z podłogi stanik i zaczęła się ubierać. W tym momencie pożałowałem jej tak gwałtownie, że posunąłbym się do mordy, byle mieć ją z powrotem w łóżku, jednakże ona

powiedziała, że to się już nigdy nie powtórzy. Próbowałem z nią porozmawiać sam na sam jeszcze przy innych okazjach, niemniej natykałem się w niej – w jej oczach, w jej uprzejmym, lodowatym uśmiechu – na coś, co zatrzymywało mnie niby kamienny mur.

Nie, „to” się już nigdy nie powtórzyło i może dlatego wizja młodego chłopca uprawiającego miłość z dojrzałą kobietą w wiosenne popołudnie, przy wtórce dobiegających przez zasłonięte okno odległych dziecięcych głosów i ptasich śpiewów, stała się dla mnie swego rodzaju obsesją i wręcz mitem. Symbolem niezaspakajalnego pragnienia, fizycznego i emocjonalnego głodu nie do nasycenia. Źródłem poczucia, że istnieje krąg miłości, wspaniały świat piękna i rozkoszy, do którego wstęp mają jedynie nieliczni. Świat Pięknych Kobiet. Kobiece rozarium. Seraj Pragnących i Spragnionych. Raj fizycznej miłości.

Teraz wiem, że w tamto przełomowe popołudnie Marianne wzięła mnie do swojego łóżka świadoma, że niedługo wraz z całą rodziną wraca do Anglii. Otworzyła przede mną drzwi nie tylko z nudy czy potrzeby ciała, lecz również za sprawą poczucia bezkarności, bo miała pewność, że nasze życia wkrótce się rozdziela, najpewniej na zawsze.

Villar otrzymał z Uniwersytetu Oxfordzkiego propozycję nie do odrzucenia. Kilka miesięcy później jego rodzina przeniosła się znowu do Wielkiej Brytanii, a ja po raz pierwszy straciłem Cristinę.

Ruszamy na wyprawę

Ruszyliśmy o świcie, kiedy dżunglę zasnuwała jeszcze mgła: bawełniste strzępki wisały między liśćmi taro (nazywanego przez nas „słoniowymi uszami”) i wśród bladych pni palm kokosowych, białawe włókna wplatały się w zwisające korzenie figowców i wydłużone kłosa rosnącej wszędzie na wyspie kordyliny, znanej też jako *Cordyline fruticosa* albo „szczęśliwa roślina”. Niebo było bezchmurne, choć ku wschodowi niebezpiecznie ciemniało. Prawie wszyscy w osadzie jeszcze spali, kiedy oddaliliśmy się od niej wzdłuż rzeki, milczący jak dawni wojowie.

Wade, wielki Wade, był znowu sobą. Rzucalo się w oczy, że zapuszczając się w nieznaną z plecakiem i strzelbą, jest w swoim żywiole i robi to, co wychodzi mu najlepiej. Patrzył na nas wszystkich z ciepłym, ufnym uśmiechem. Och, Boże, tyle miał w oczach nadziei! Ten uśmiech głęboko rozjaśniał jego intrygująco regularne rysy, grubo ciosane niby drewniane oblicze jakiegoś bożka. Przy takich okazjach jego błękitne tęczy wydawały się jeszcze błękitniejsze niż zazwyczaj. Przypominał mi Kurza z filmu Coppoli, genialnie zagranego przez Marlona Brando, tyle że Kurza *à rebours*, nie przekłętego, lecz pobłogosławionego, nie przeżartego przez zło, lecz w tajemniczy sposób wyzwolonego od jego ciężaru. Przeczynałem, że to wyzwolenie miało wiele wspólnego z przybyciem na wyspę.

Przed opuszczeniem osady stanęliśmy w kręgu, wzięliśmy się za ręce i Wade odmówił krótką modlitwę. Modlitwę krótką i dziwną, gdyż skierowaną nie tyle do chrześcijańskiego Boga, ile raczej do jakiejś bezimiennej, być może ślepej i obojętnej siły. Jeszcze dziś zadaję sobie pytanie, czy przygotował te słowa zawczasu, czy wypłynęły z jego ust spontanicznie.

– Los nikogo nie oszczędza, ale nam przypadł w udziale szczególny – powiedział. – Obyśmy okazali się godni naszego losu. I oby on okazał się godny nas.

Potem, krok za krokiem, zagłębiliśmy się w gęstwinę.

Dżungla przechowywała jeszcze gdzieś resztki nocy. Nasłuchiwałem głosów szepczących pośród liści, jednakże, gdy się szło w grupie, milczały. Dlatego zostałem nieco z tyłu – żeby sprawdzić, czy kiedy znajdę się pośród drzew sam, znów coś usłyszę. Nie wiedziałem wtedy, co dokładnie przydarzyło się Eileen, bo wciąż nie odzyskała w pełni mowy. Gdybym wiedział, co miała do opowiedzenia, zachowywałbym większą ostrożność. Albowiem w rzeczywistości nie została porwana, przynajmniej nie od razu: najpierw to te głosy powiodły ją w dżunglę. Zaraz po dopłynięciu na brzeg poszła do lasu za potrzebą i wtedy je usłyszała. Podążając za nimi, zapuściła się głęboko w zarośla i dopiero stamtąd ją porwano.

To były najchłodniejsze godziny dnia, więc przemierzaliśmy się szybko, na zmianę pracując maczetą, ponieważ duża wilgotność sprawiała, że rośliny stawiały duży opór. Owady o tej porze nie dawały się jeszcze we znaki i nasza wędrówka przez chwilę kojarzyła mi się z przyjemną wycieczką. Później słońce wspięło się wyżej i las się ożywił. Ptaki, owady i małpy zaczęły skrzeczeć, brzęczeć, pokrzykiwać, wyc i hukać. Dżungla się przebudziła. W sumie, choć zawsze lubiłem ją sobie wyobrazać, teraz odczuwałem wobec tej splątanej roślinnej masy raczej niechęć, wstręt i obawę. Rośliny obejmowały się, by się wzajemnie dławić, kradnąc sobie pokarm. Rozpasane pnącza owijały się wokół drzew, tak jak boa dusiciel owija się wokół ofiary, pasożyty żerowały na sokach swoich bezwolnych żywicieli, hydrofity rywalizowały o dostęp do wody i wszystko to zdawało się kłębić w zacieklej walce na śmierć i życie. Rozglądając się dookoła, nie dostrzegałem już nawet cienia piękna czy poezji, wszędzie widząc ciche, okrutne zmagania między żywotnością a rozkładem.

Tamtego dnia rozpadało się wcześnie. Usiłowaliśmy chronić się przed deszczem, naścinawszy sobie nożami i maczetą „słoniowych uszu”, wielkich liści, które trzymaliśmy za grubą łądygę jak parasole. Przecieliśmy jakiś strumień, potem sporą rzekę, która musiała być chyba „naszą” rzeką, rozkosznie obrośniętą palmami (albowiem wszystkie rzeki na wyspie wyglądały jak rajaska rzeka Blake’a), a jeszcze później jęliśmy się wspinać czymś w rodzaju naturalnego traktu, bez wątpienia wyżłobionego w zboczu przez spływającą deszczówkę. Dno tego głębokiego jaru pokrywały kamienie, było ciemno, gdyż bujna roślinność zamykała się w górze, tworząc tunel, niemniej brak drzew i krzaków na drodze sprawiał, że szło się stosunkowo

łatwo i prędko. Nad naszymi głowami wznosiły się olbrzymie pnie akacji oraz mniejsze, wszechobecne morwy papierowe, których korzenie biegnące w poprzek jaru niekiedy zagradzały nam przejście. W miarę jak się wspinaliśmy, drzewa powoli rzedły. Niektóre gatunki pamiętałem z czytanych w dzieciństwie opowiadań Jacka Londona, których akcja rozgrywała się na morzach południowych. Mijaliśmy różne rodzaje palm, wielkie bambusy i drzewiaste paprocie, jak również figowce z gęsto splątanymi korzeniami o dziwnej, zdającej się zlewać ze wszystkim wokół konsystencji. Od czasu do czasu przechodziliśmy pod uschłymi, lecz wciąż podtrzymywanymi przez gęstwinę drzewami, które straszyły jak bladawe szkielety, obsypane ciemnymi kształtami ogromnych nietoperzy, które spały zawieszane głową w dół. Były to okropne stworzenia o czerwonych oczach i wielkich kłach (Gwen nazywała je „wampirami”, pewnie zresztą dlatego, że naprawdę się tak nazywały), mające jeszcze i tę przykrą cechę, że, przestraszone, wypróżniały się, zrzucając cuchnący balast, by tym łatwiej odlecieć. Z tego powodu przemykaliśmy koło nich w absolutnym milczeniu.

Szliśmy tym jarem godzinami, wciąż pod górę, a robiło się coraz stromiej, póki błoto nie zmusiło nas do porzucenia tej ścieżki. Gdy wdrapaliśmy się na jej krawędź, ujrzeliliśmy przed sobą dwa drzewa noni – jedno obwieszane owocami, które zerwaliśmy mimo ich nieprzyjemnego zapachu (śmiejąc się, że to „serowe owoce”), Wade zaś od razu przystąpił do jedzenia, rozkroiwszy jeden z nich dla pewności, że nie ma w nim robaków. Wade bez przerwy coś jadł. Ciągle przystawał, zrywał to czy tamto i przeżuwał. Potem przestało padać i znowu wyszło słońce. Ustał szum ulewy, mały i ptaki znów zaczęły krzyczeć. Zatrzymaliśmy się na posiłek na jakiejś polance i, jak mi się zdaje, unikaliśmy wzajemnie swojego wzroku, by nie zdradzić się ze swoim podłym samopoczuciem. Pamiętałem, że w trakcie pierwszej ekspedycji, podczas której odkryliśmy porzuconą antenę, wydostaliśmy się z dżungli stosunkowo szybko, wyglądało wszakże na to, iż również pod tym względem wyspa pełna jest niespodzianek. Przyznaję, że nieustannie nachodziła mnie ochota, by odłączyć się od grupy i zawrócić do osady. Jaka szkoda, że tego nie uczyniłem!

Wczesnym popołudniem udało nam się wreszcie zostawić za sobą największą gęstwinę. Znajdowaliśmy się teraz na względnie otwartym terenie, właściwie bez poszycia, z rozrzuconymi dość rzadko akacjami koa i jakimiś iglastymi drzewami, które kojarzyły mi się z sosnami śródziemnomorskimi, chociaż brakowało im ich elegancji. Odnosiłem wrażenie, że zawędrowaliśmy

już bardzo wysoko, wręcz w góry, ale nie była to prawda. W gruncie rzeczy trafiliśmy na płaskowyż, z którego widzieliśmy w oddali szczyty centralnej części wyspy, postrzępione na niebiesko, fioletowo i brązowawo, spiętrzone jedno nad drugim niby sterta zwiniętych dywanów i w najwyższych partiach pokryte nigdy nierozwiewającymi się chmurami. W niektórych dolinach ciągle zalegała mgła. Nagle poczułem, że oto biorę udział w wielkiej przygodzie.

Zeszliśmy w jedną z dolin, bagnistą i pełną komarów, po czym teren znów zaczął się wznosić, a my ponownie znaleźliśmy się na płaskowyżu. Wydało mi się, że dostrzegam mężczyznę obserwującego nas spod drzewa, lecz, jak się okazało, był to jedynie pieniek po innym, chyba zwalonym przez piorun. Zaczęliśmy śpiewać. Wade zaintonował *Waltzing Matilda* głosem gwiazdora filmów wojennych z lat czterdziestych, my zaś robiliśmy za chórek, bo nie znaleźliśmy albo nie pamiętaliśmy tekstu. Następnie Joseph zanucił jakiś kawałek Bruce'a Springsteena, znany tylko jemu oraz Chrisowi, potem Sheila odśpiewała *Like a Virgin* Madonny, Wade wrócił z *My Way* Franka Sinatry, Joseph odpowiedział piosenką *Karma Police* Radiohead, a doszedłszy do refrenu: *This is what you get*, zatoczył ramionami szeroki krąg, jeszcze później Christian podjął wątek Radiohead, śpiewając *No Surprises*, w związku z czym musiał się też wysilić na *obligato* słynnego akompaniamentu, ponieważ jednak fragment *no alarm and no surprises, please* (który pośrednio też zdawał się odnosić do naszej sytuacji) wprowadził nas w niejaką melancholię, Joseph przerzucił się na bluegrass (pochodził z Kentucky) i wykonał *Roll in My Sweet Baby's Arms* Flatta i Scruggsa oraz *Shenandoah*, utwór znany mi głównie w wersji operowej Thomasa Hampsona tudzież z nagrania Keitha Jarretta na płycie *The Melody at Night with You*, i jeszcze *Blue Moon of Kentucky* Billa Monroe, a śpiewał nosowym dyszkantem typowym dla krainy błękitnej trawy, z wprawą profesjonalisty. Później zaczął *I'm Gonna Find Me a Mountain* Geralda Crabba.

Moses on the mountaintop, what are you doing up there?

Talking to Jehovah, I know he hears my prayer.

Elijah on Mt. Carmel, prophet, what are you doing up there?

Talking to the one true God, I know he'll hear my prayer.

Kiedy jednak dotarł do refrenu – *I'm gonna find me a mountain, spiritual and high* – Gwen przerwała mu szorstko i powiedziała, że dosyć tego i że

powinniśmy przestać. Już wcześniej zwróciłem uwagę, że sama nie śpiewa ani nie wtóruje innym, więc założyłem, że należy do osób pozbawionych słuchu i przez to niechętnych tego rodzaju rozrywkom. Oświadczyła, że chyba powariowaliśmy, bo przecież na łonie natury dźwięk rozchodzi się szeroko i teraz nasza obecność jest oczywista dla wszystkich w promieniu wielu kilometrów. Tak oto nasz improwizowany koncert wokalny dobiegł końca.

Po brzęczeniu much, smrodzie i chmarach kruków, mew oraz innych padlinożerców poznaliśmy, że na naszej trasie leży jakieś ściervo. Zapewne najsensowniej byłoby je obejść z daleka i oszczędzić sobie przykrego widoku, jednakże Gwen, poparta zaraz przez Wade'a i Josepha, uparła się, że trzeba sprawdzić, o co chodzi. Skierowała się prosto w miejsce, gdzie zalegała padlina: czerwonawa masa dosłownie ginąca pod kłębowiskiem skrzydeł i dziobów, i zaczęła odganiać ptaki, machając pistoletem. Wade i Joseph poszli w jej ślady. Ptaki niechętnie porzucały swój przysmak, niektóre nawet próbowały kontratakować agresorów swoimi potężnymi dziobami. W końcu jednak ustąpiły, choć nie przestały nad nami krążyć albo przysiadły kawałek dalej, czekając, aż sobie pójdziemy.

Staliśmy nad szczątkami człowieka. Mimo że cuchnęły potwornie, nie mogły znajdować się tam dłużej niż od paru dni. Ptaki podziobały je bezlitośnie: wyjadły całą twarz i wydłubały oczy, a pozbawione warg zęby szczyrzyły się teraz w przerażającym uśmiechu. Było to ciało młodego mężczyzny. Joseph pochylił się, by je obejrzyć, obmacał je, obrócił i oświadczył, że zostało po śmierci obdarte ze skóry. Widok rzeczywiście porażał. Czerwonawa masa częściowo poczerniała. Szarawe mięśnie i białe ścięgna układały się na kośćcu dokładnie tak jak w podręcznikach do anatomii. Po skórze nie został nawet ślad. Brakowało też dłoni i stóp, wnętrzności oraz narządów płciowych. Jamę brzuszną schludnie wypatroszono, tak że pod żebrami i tam, gdzie zwykle są żołądek, wątroba, pęcherzyk żółciowy, jelita, trzustka, śledziona, pęcherz moczowy czy nerki, ziała wielka pustka. Pośladki padły łupem padlinożerców i w pierwszej chwili uznałem, że to samo stało się z narządami wewnętrznymi. Tyle że jaki ptak poradziłby sobie z równie dokładnym oczyszczeniem brzucha? Jaki dziób uporałby się z grubymi stawami nadgarstków i kostek?

– Ten człowiek został obdarty ze skóry i to bynajmniej nie przez zwierzęta – oświadczył Joseph, dokładnie obejrzawszy zwłoki.

– Jak to? – spytał z zaciekawieniem Wade. – Chcesz przez to powiedzieć,

że *ktoś* mu to zrobił?

– Bez dwóch zdań – potwierdził Joseph, przewracając ciało zmarłego z powrotem na plecy. Nie potrafiłem zrozumieć, jak może dotykać tej masy cuchnącego mięsa gołymi rękami. – Zwierzęta nie usuwają skóry ze swoich ofiar – ciągnął. – Ktoś obdarł go z niej bardzo starannie, od stóp do głów. Pracował dokładnie i powoli, jak taksydermista. Nie zostawił ani skrawka. Naprawdę znał się na rzeczy: wyciął kółka na oczy, równo odkroił uszy i inne wystające elementy, które utrudniałyby pracę. Zwróćcie uwagę, że brak również dłoni, stóp i narządów płciowych. Zwierzęta nie miały z tym nic wspólnego. Ktokolwiek to był, musiał zacząć właśnie od uszu, genitaliów i kończyn, po czym przystąpił do wykonywania nacięć i otwierania ich, jakby chodziło o strony w książce. Sam właśnie tak bym postąpił, choć niewykluczone, że ten ktoś dysponował lepszą techniką, gdyż nie zostawił ani skrawka skóry, żadnych resztek narządów czy tkanki tłuszczowej. Usunął nawet najdrobniejsze jej grudki.

– Dłonie i stopy to na pewno sprawka zwierząt, stary – zaprotestował Santiago, śmiertelnie blady i chyba na granicy łez. – Dlaczego twierdzisz, że ktoś mu je odciął?

– Zwierząt? Naprawdę nie sędzę – odparł Joseph, nadal klęcząc przy trupie. – Najpierw odcięto mu uszy, genitalia, dłonie i stopy, a później... Nie wiem, wygląda na to, że skórę zdjęto w dwóch częściach, delikatnie oddzielając ją od ciała po wykonaniu dwóch pionowych nacięć. Następnie usunięto wnętrzności. W takim porządku.

Wskazał ślady po skalpeli biegnące od szyi do kostek po obu stronach truchła. Potem wstał i zaczął krążyć w kółko, za czymś się rozglądając. Po kilku minutach wrócił do nas, niosąc dwie odcięte dłonie. Były żółtawe, jakby wykapano je w siarce, i miały czarne paznokcie. Wyglądały na sztuczne, przypominały rekwizyty na Halloween.

– Leżały kawałek dalej, pod paprociami – oznajmił Joseph. – Stopy też tam są. Genitaliów nie znalazłem. Pewnie jakaś kapucynka zjadła je sobie na lunch.

– Zaraz się porzygam – wymamrotała Sheila, biała jak prześcieradło. Odstąpiła kilka kroków na bok, oparła się dłonią o pień drzewa i gwałtownie zwymiotowała.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się znowu Wade, który tymczasem ukląkł przy trupie i przypatrywał mu się z ponurą fascynacją, nie śmiejąc go

dotknąć. – Skąd wiesz, że obdarli go ze skóry już po śmierci? Czy nie... Czy nie mogli zrobić mu tego, *kiedy jeszcze żył*?

– Nie sposób tego ustalić – odrzekł Joseph po krótkim namyśle. – W zasadzie mogli. Nie da się wykluczyć, że przez część albo nawet cały czas trwania tego procesu pozostawał świadomy. Ale nawet jeśli to przeżył, w co wątpię, musiał umrzeć, kiedy tylko wydarli z niego wnętrzności.

– Stary, kurwa, nie opowiadaj takich rzeczy – rzucił Santiago, który wyglądał tak, jakby miał zemdleć. – Stary, kurwa...

– Czy twoim zdaniem... – zaczął znowu Wade, nie odrywając ponurego wzroku od ciała. – Czy twoim zdaniem to był mężczyzna rasy białej?

– Nie wiem – odpowiedział Joseph. – Nie ma skóry, prawie nie ma twarzy... Trudno orzec. Sądząc po budowie ciała, mógł być rasy żółtej, mógł być Polinezyjczykiem, Maorysem...

– Z czym, według ciebie, mamy tutaj do czynienia? – Wade powoli, starannie dobierał słowa. – Z egzekucją? Morderstwem? Torturami? Rytualem? Antropofagią?

Joseph kręcił głową. Potem powtórzył, że nie wie, że nie rozumie, że nie potrafi nic powiedzieć. Dodał, że jest tylko chirurgiem z Saint Vincent Medical Center w Los Angeles i nie pojmuje tego, co sam widzi. Że gdyby chodziło o tortury, to byłyby to najokrutniejsze tortury, jakie można sobie wyobrazić. Zresztą nawet nie tyle tortury, ile wyjątkowo straszliwa egzekucja, mruknął, coś w rodzaju tych niby zgodnych z prawem zwyczajowym praktyk, które podobno stosowano w starożytności czy raczej u ludów najbardziej pierwotnych.

– Mam nadzieję, że względu na niego, że jednak zabili go *najpierw* – zakończył, nerwowo szukając po kieszeniach papierosów i, choć została mu jedynie pusta paczka, grzebiąc w niej dwoma palcami.

Wtedy Gwen też uklękła przy zwłokach i także zaczęła je oglądać. Oświadczyła, że Joseph ma słuszość: to nie była sprawka zwierząt. Powiedziała, że jej zdaniem mężczyznę obdarto ze skóry żywcem, ponieważ osobie, która to zrobiła, zależało nie tyle na zabiciu go czy umęczeniu, ile na samej skórze, a skóra czy futro każdego zwierzęcia są bardziej lśniące i elastyczne, jeśli zdejmie mu się je jeszcze przed śmiercią, tak jak to robią hodowcy lisów czy kun. Słyszając te słowa, poczułem skurcz w kroczu, szczególnie wrażliwym punkcie mojej anatomii, i zjeżyły mi się włosy na całym ciele. Gwen wyjaśniała dalej – ze spokojem, który zarazem przerażał

mnie i fascynował – że gdyby postanowiono jednak wcześniej tego człowieka zabić, najprawdopodobniej uczyniono by to, zadając mu cios w głowę albo posługując się białą bronią, przebijając mu serce lub, dajmy na to, podcinając gardło, tymczasem czaszka nie nosiła znamion urazu, nigdzie było też widać ran kłutych czy nawet od postrzału. Wade zauważył, że istnieje wiele innych sposobów, by pozbawić kogoś życia, jak chociażby uduszenie czy utopienie. I że gdyby na przykład dźgnięto tego mężczyznę w brzuch, po usunięciu narządów wewnętrznych i tak nie zostałyby po tym żaden ślad. Gwen nie skomentowała.

Sądzę, że nigdy wcześniej nie doznawałem strachu tak fizycznie. Miałem kłopoty z oddychaniem i cały aż ścierpłem – tyle że akurat to zdarzało mi się na wyspie już poprzednio. Żołądek też się burzył, a przed oczami wirowały mi świetliste punkciki. Moje ciało owładnęła dziwna mieszanka chłodu i gorączki, poza tym czułem się jakby nieważki. Pamiętałem podobne sensacje z dzieciństwa; tak się działo, gdy natrafiałem na jakiś okropny obrazek w gazecie czy w filmie albo gdy opowiadano mi jedną z tych krwawych historii, które zawsze ktoś się uprze dzieciom opowiedzieć, z okaleczeniami, kastracjami, torturami i innymi okropieństwami. To był strach, lecz jednocześnie – i przede wszystkim – chodziło o poczucie, że jest się bezbronnym, odsłoniętym, niemal nagim, o to mrowienie na całej skórze i o dojmującą litość względem ofiary. Tak, bałem się, że i mnie ktoś obedrze ze skóry, ale zarazem nie potrafiłem przestać myśleć o cierpieniach tamtego. I chyba właśnie to współczucie okazywało się ze wszystkiego najgorsze.

Wówczas Santiago wrzasnął, że nie chce, aby go coś podobnego spotkało, i że powinniśmy natychmiast wracać do osady. Wydawał się wściekły, ledwie nad sobą panował. Wade poprosił go, żeby się uspokoił, a wtedy Santiago dostał ataku jeszcze większej furii, zaczął kląć, czego zwykle nie robił, i powtarzać, że ma dosyć tych prehistorycznych kanibali, skurwysynów zajmujących się porywaniem dzieci i zadawaniem ludziom najwymyślniejszych tortur. Był tak przerażony i zły, że słowa tryskały z jego ust niby strumień i, mimo wszystko, brzmiało to dość komicznie, więc kilkoro z nas – zwłaszcza Wade, Joseph i ja – wbrew woli parsknęło śmiechem. Joseph oświadczył, że musimy sprawdzić, ilu tak naprawdę jest tych prehistorycznych skurwysynów, gdzie żyją i czego chcą, na co Santiago jęknął, że nic go nie obchodzi, ilu ich jest ani czego sobie życzą, że on się na nic takiego nie pisał, wsiadł do tego nieszczęsnego samolotu, bo jako żałosny

romantyczny dupek zapragnął wyprawić się do Indii, ale teraz pasuje i natychmiast zawraca do osady. Potem wybuchnął płaczem. Wielkie błyszczące łzy spływały mu po puciołowatych policzkach i ginęły pośród brązowawej brody. Przykro było patrzeć, jak ten potężny chłop się rozkleił. Sheila też się rozszlochała.

– Jack ma rację – odezwała się nagle Gwen. – To szaleństwo zagłębiać się w nieznane terytorium z tak małą ilością broni i bez żadnej wiedzy o tym, co i kto na nas czeka. Musimy się wycofać.

Była niezwykle spokojna, mówiła powoli, prawie jakby prowadziła wykład w uniwersyteckiej auli. Od razu skojarzyła mi się z niektórymi moimi koleżankami z Rosley College.

Wade odpowiedział, że nieprawdą jest, jakobyśmy w osadzie byli bezpieczni. Że te dzikusy, czy ktokolwiek zamieszkuje wyspę, to stali goście na naszej plaży, bo przecież stamtąd porwano Eileen i dzieci, więc o żadnym bezpieczeństwie nie może być mowy i dlatego nasza jedyna szansa na przeżycie w tym miejscu to wyniki przedsięwziętego przez nas zwiadu. Nie uszło mojej uwadze, że znowu posługuje się terminologią wojskową. Wywiązała się dyskusja. Sheila też chciała wracać, a gdyby się na to zdecydowała, Christian wróciłby wraz z nią i nasza grupa znacznie by się zmniejszyła, zostając ponadto niemal bez broni. Wtrąciłem się zatem, argumentując, że powinniśmy zapanować nad własnym strachem i pomyśleć raczej o porwanych i być może cierpiących męki dzieciach, dla których stanowimy jedyną nadzieję. Ostatecznie, uspokoiwszy się nieco, postanowiliśmy iść dalej wszyscy razem.

Tak, sądzę, że jeśli nie porzuciliśmy wtedy naszego zamiaru, to właśnie za sprawą wypowiedzi Juana Barbarina. Zważywszy na to, co się potem wydarzyło, trzeba uznać, że lepiej by się stało, gdybym milczał. Ktoś kiedyś powiedział, że wszyscy bohaterowie to idioci. Zapewne miał rację.

Pod wieczór dotarliśmy do głębokiej rozpadliny, czegoś w rodzaju klifu opadającego w pustkę, toteż zdecydowaliśmy się tam zanocować i zostawić sobie schodzenie na następny ranek. Widok rozciągał się stamtąd imponujący. U naszych stóp otwierała się bardzo rozległa aluwialna dolina, żyzna i wcinająca się w góry. Jej dnem, gęsto zarośniętym przez dżunglę, płynęła szerokimi zakolami rzeka.

Ogromne skalne ściany zamykały tę nieckę od lewej, wypiętrzone niemal pionowo, pokryte najwspanialszymi odcieniami zieleni i gdzieniegdzie

połyskujące wodospadem. Na prawo grzbiety łagodnych pagórków przeplatały się, stopniowo zyskując trochę wysokości. Na wprost natomiast królowały szczyty centralnej części wyspy, szczyt zębiska fantastycznych grani, pomiędzy których wyłaniał się ścięty stożek wulkanu, nieustannie ukryty wśród chmur.

Wade zaczął lustrować to wszystko przez lornetkę. Nagle ujrzałem, że się schyla i przysiada w wysokiej trawie, jakby się przed kimś chował. Zbliżyłem się do niego na czworaka. Podał mi lornetkę i wskazał, gdzie patrzeć. Kazał odszukać najbliższy wodospad, a potem przesunąć wzrok w dół i prosto w głąb doliny. Trochę trwało, zanim ich dostrzegłem, gdyż mieli skórę tak ciemną jak liście albo jak panujący pod nimi cień. Ale w końcu mi się udało. Szli gęsiego między drzewami. Jakichś piętnastu niemal nagich ludzi z włóczniami, łukami i strzałami. Wszyscy mieli przepaski biodrowe i pióra we włosach, naszyjniki i, jak mi się zdawało, znaki na skórze, zapewne tatuaże. Przeraziłem się na ich widok. Najbardziej wstrząsnęło mną to, że towarzyszyło im kilkoro dzieci. Zauważyłem mniej więcej pięciolatka, bez wątpienia Branforda, oraz dwie dziewczynki w białych sukienkach: Adele i Estelle. Jedna z nich chyba niosła coś w rączce, może pluszaka. Nie widziałem żadnych więzów. Nie zauważyłem też, żeby któryś z nich niósł Seymoura, i przemknęło mi przez myśl, że już go zjedli. George również się nie pokazał. Zmienialiśmy się z Wade'em, obserwując ten pospieszny przemarsz. Próbowaliśmy policzyć dzikich, ale przychodziło nam to z trudnością. Ja, wyłączwszy dzieci, dorachowałem się czternastu. Wade – siedemnastu. Później znikli i więcej nie wychynęli z gęstwiny. Powiedzieliśmy o wszystkim naszym towarzyszom, którzy długo przekazywali sobie nawzajem lornetkę, nikogo jednak nie zauważyli. Zapadał zmierzch i światło z każdą chwilą przygasało. Zbocza gór jarzyły się jeszcze szmaragdem, ale w głębi doliny zagnieździł się już mrok.

Widzimy błękitnego człowieka

Tu zaczynają się cuda.

Gdy się obudziłem, słońce stało już dość wysoko. Rozpaliliśmy niewielkie ognisko, żeby zaparzyć kawę, do której dodaliśmy mnóstwo pysznego skondensowanego mleka i zjedliśmy owoce noni, przekrawając je na pół dla pewności, że nie ma w nich robactwa, i niechętnie przeżuwając ich biały, pełen pestek miąższ. Brak węglowodanów: ciastek, chleba, bułek czy jakichś płatków śniadaniowych dotkliwie dawał się nam we znaki. Myślę, że każdy z nas gotów byłby zabić dla porządnego tosta z masłem albo magdalenki. Owoce chlebowca, ugotowane lub upieczone, miały smak mgliście zbliżony do produktu, od którego wzięta się ich nazwa, i pewnie tylko dlatego pożeraliśmy je z takim apetytem. Zabraliśmy ich ze sobą spory zapas. Posmarowane nutellą smakowały wspaniale, jednakże niemal obsesyjnie staraliśmy się oszczędzać ten przysmak.

Sprzątaliśmy po śniadaniu, kiedy dostrzegliśmy, że w górach rozpętała się burza magnetyczna. Szczyty wznoszące się w sercu wyspy zawsze tonęły w gęstych chmurach, co samo w sobie nie było niczym niezwykłym – podobne zjawisko obserwowałem w wielu innych miejscach na świecie. Teraz pośród szarych i fioletowawych kłębow sypały się idealnie proste błyskawice, identyczne jak te, które widzieliśmy podczas pogrzebu Noboru.

I wtedy stało się coś naprawdę niezwykłego. Nie wiem dokładnie, skąd się to wzięło, w jaki sposób się pojawiło. Pochylałem się nad plecakiem, gdy okrzyki wydawane przez moich towarzyszy skłoniły mnie, bym podniósł wzrok i skierował go ku dolinie, w której stronę wszyscy patrzyli. Tak, ja też zobaczyłem to co oni, ale choć zobaczyłem to wyraźnie, nadal nie rozumiem, co to było. Dnem doliny szedł olbrzymi człowiek. Błękitny i całkiem nagi. Nie potrafiłbym określić, jaka dzieliła go od nas odległość. Wydawało mi się, że trzy czy cztery kilometry, lecz z pewnością znajdował się dalej. Błyskawice,

które widzieliśmy teraz i wcześniej, nie miały nic wspólnego ani z burzą magnetyczną w górach, ani z tajemniczą błękitną kolumną na plaży: strzelały z jego czoła. Spoglądał w jakimś kierunku, błyskało, po czym podejmował wędrówkę. Pojąłem wówczas, że ten błękitny kolos *był błękitną kolumną*, która ukazała się nam na pogrzebie Noboru, a ta błękitna kolumna była właśnie nim. Zaczęliśmy mu się przypatrywać przez lornetkę, nie rozumieliśmy bowiem, na co w gruncie rzeczy patrzymy. Nie chodziło o manekin ani o robota. Wydawało się, że to zjawa, ułuda, ale przecież wszyscy widzieliśmy to samo. Z czego on był zrobiony? Wydawało się, że z błękitnego światła, lecz zarazem sprawiał wrażenie nieprzejrzystego i solidnego. Na podstawie dzielącej nas odeń odległości i faktu, że otaczająca go dżungla sięgała mu zaledwie do kostek, oszacowaliśmy, że musi mieć jakieś trzysta metrów wzrostu. Był pozbawiony owłosienia, wyposażony w typowe męskie atrybuty, a oprócz zwykłych dwojga oczu – choć „zwykłych” to złe słowo na oczy pozbawione chyba tęczówek i źrenic – posiadał jeszcze trzecie umieszczone pomiędzy brwiami. I to z niego strzelały błyskawice.

Zjawisko to było tak bezsensowne, tak nieprawdopodobne, tak fantastyczne, że nawet nie próbowaliśmy się chować. Czy nasze malutkie figurki mogły być z takiej odległości zauważalne? Obserwowaliśmy, jak olbrzym idzie z wolna przez dolinę, siejąc gromy spadające to tu, to tam pośród gęstej roślinności. W pewnym momencie przystanął i spojrzał w naszą stronę. Nie wiem, czy nas widział. Nie wiem, czy na nas patrzył. Ale zrobił coś naprawdę przerażającego. Krzyknął. Wydał z siebie okropny dźwięk podobny do ryku zranionego, przestraszonego słonia, coś pośredniego między rykiem właśnie, wyciem, skrzekiem i ludzkim jękiem, a zdumiewająca intensywność tego dźwięku zdawała się nieodwracalnie przeorywać świadomość. Nie wiem, ile to trwało. Może jedynie kilka sekund. Nigdy nie słyszałem tego z tak bliska i nigdy nie poddałem się związanemu z tym wrażeniu tak mocno.

Błękitny olbrzym (nie znajduję innych słów, by go opisać) nie krzyczał już więcej. Skręcił w swoją lewą stronę i powoli ruszył ku łagodnym pagórkom na prawo od doliny, zagłębił się w jeden z przecinających je wąwozów i jego idealnie kopulasta czaszka zaczęła się chować za coraz wyższymi grzbieciami wzgórz. Jeszcze przez chwilę widzieliśmy jej czubek sunący ponad jednym ze zboczy. Później i on znikł. A wtedy stało się coś zastanawiającego: owady i ptaki, które dotąd zgodnie milczały, natychmiast podjęły swój zwyczajny koncert.

Byliśmy zupełnie skołowani, ale jednocześnie z jakichś powodów rozweseleni. Nagle wszyscy wybuchliśmy śmiechem, jak gdyby ogarnięci dziwnym uniesieniem. Czy nie powinniśmy odczuwać raczej zgrozy? Joseph, nie przestając się śmiać, wysunął hipotezę, że może nasze pożywienie zawiera jakieś składniki halucynogenne. Może coś jest w owocach lub liściach? Niemniej każdy, kto zażywał środki psychoaktywne, wie, że halucynacji rzadko doznajemy w pełnym świetle, z szeroko otwartymi oczami, a poza tym nigdy się nie zdarza, by siedmiu osobom przywidziało się dokładnie to samo.

Joseph zasugerował więc, że chodziło o rodzaj projekcji. Jakiej projekcji, doktorku? – spytał wesoło Wade. Nie widzę tu nigdzie żadnego projektora. Joseph odparł, że ma na myśli projekcję holograficzną, ponieważ postać, która nam się ukazała, była trójwymiarowa, miała objętość. Pozostawała kwestia, gdzie znajdowałyby się ewentualne wyświetlacze holograficzne zdolne wytworzyć równie idealny obraz. Wtedy Santiago powiedział, że ten błękitny mężczyzna wyglądał zupełnie tak samo jak Doktor Manhattan. Wstrząśnięty naszą ignorancją – jako że nikt z nas nigdy o kimś takim nie słyszał – Jack wytłumaczył, że to jedna z postaci ze *Strażników*, legendarnego komiksu Alana Moore’a i Davida Gibbonsa, którzy pod koniec lat osiemdziesiątych zrewolucjonizowali gatunek. Powtórzył, że nasz olbrzym wyglądał dokładnie tak samo jak Doktor Manhattan – z jedną różnicą: superbohater ze *Strażników*, ciskający gromami, które spopielają żołnierzy Wietkongu, miał na czole – skąd się brały te gromy – nie trzecie oko, lecz wyrysowany atom. Doktor Manhattan, wyjaśniał Santiago, był kiedyś naukowcem, potem zaś stał się superbohaterem o zdumiewających zdolnościach: potrafił rozdzielić się na kilka wersji siebie samego i w tym samym czasie, przykładowo, uprawiać seks ze swoją dziewczyną oraz reperować nadzwyczaj złożoną maszynę albo wręcz zadowalać narzeczoną w trzech postaciach (choć ona nie przepadała za takimi zabawami), i umiał też przedostawać się na odległe planety, i przepowiadać przyszłość, tyle że wyłącznie swoją, rozciągającą się na tysiące lat.

Ruszyliśmy w drogę. Skalna ściana przed nami okazała się zbyt stroma, by zejść nią w dolinę, toteż postanowiliśmy ją okrążyć. Szliśmy na zachód, aż występ uległ znacznemu obniżeniu, i opuściliśmy się wzdłuż niego, posługując się linami zabranymi z osady na taką okoliczność. Dno doliny porastał najpiękniejszy i najbardziej tajemniczy las, jaki kiedykolwiek widziałem. Och, tego piękna nie mogliśmy się nawet domyślać, obserwując dolinę z góry.

Widok z lotu ptaka zawsze jest odległy. Oglądana z wysokości Ziemia spłaszcza się, zaczyna przypominać własną mapę. Traci swój ciepły, przytulny charakter. Z pola widzenia znikają strefy zielonego cienia pod sklepieniem z drzew, sekretne ścieżki i pofałdowania terenu. Teraz jednak, gdy znaleźliśmy się na dole, przyroda znów objawiała nam swoje tajemnice.

Dotarliśmy nad rzekę i napełniliśmy butelki i tykwy. Zamierzaliśmy iść dalej brzegiem, jednakże roślinność była tu wyjątkowo gęsta. Patrzyłem na tę czekoladową wodę i znowu odnosiłem wrażenie, że spoglądam na rajską rzekę Blake'a. Wszystkie rzeki na wyspie działały na mnie w taki sposób, wszystkie wydawały mi się rajskie, gdy tak płynęły, mętne (z wyjątkiem naszej, tej koło osady, na szczęście wyjątkowo przejrzystej), w kolorze herbaty z mlekiem albo właśnie czekolady, pośród palm, lian i kwiatów. Prawdę mówiąc, podczas pobytu na wyspie niejednokrotnie czułem się jak w raju, choćbym był akurat obolały, wyczerpany, spocony, spragniony i głodny jak tamtego przedpołudnia. Umierałem z gorąca i wilgotnej duchoty, mówiłem sobie, że jestem w piekle, a jednak, mimo wszystko, moje oczy widziały raj.

Powędrowaliśmy w głąb doliny, w kierunku, w którym zmierzała dostrzeżona przez nas grupka dzikich i gdzie zauważyliśmy błękitnego człowieka. Drzewa rosły tu gigantyczne, omszałe. Wszędzie kłębiły się pnącza, kwitła *Freycinetia arborea*, zwisały korzenie figowców i banianów, poszycie zdawało się nieprzeniknione, a grunt zasłaniały bujne paprocie. Gęstwina była taka, że rozważaliśmy nawet, czy nie zbudować sobie łodzi i dalej po prostu nie popłynąć, ale zabrakło nam narzędzi. Dlatego ponownie skorzystaliśmy z maczety. Prawie przez cały dzień straszliwie lało, więc przemokliśmy do suchej nitki. Gdy zatrzymaliśmy się na obiad, rozpięliśmy pomiędzy ogromnymi korzeniami figowca bengalskiego nasz brezent, tworząc w ten sposób coś w rodzaju namiotu. Węszyliśmy dookoła jak zwierzęta i sami z tego podkpiwaliśmy. Żartowaliśmy też z błękitnego mężczyzny i jego olbrzymiego, obrzezanego członka. Jakiej był wielkości? Próbowaliśmy to obliczyć, zakładając, że nasz Doktor Manhattan miał jakieś trzysta metrów wzrostu. Niełatwo przychodziło nam operowanie takimi wielkościami w kontekście ludzkiego ciała, niemniej uznaliśmy w końcu, że penis błękitnego olbrzyma mógł mieć nawet dwadzieścia metrów. Santiago Reina nie miał nawet siły się śmiać. Osiągnął skraj swoich fizycznych możliwości i obawiałem się, że jeśli nie zwolnimy tempa albo nie wydostaniemy się prędko z tej dżungli, dostanie zawału serca. Po posiłku wszyscy zresztą

ulegliśmy zmęczeniu. Gwen objęła mnie w pasie, wsparła głowę na moim ramieniu i zasnęła, a ja czułem jej prawą pierś przylegającą ciasno do mojego boku, ciepło jej policzków i warg na mojej szyi i zapach jej oddechu i jej ciała. Mimo wszystko, mimo wyczerpania, brudu i niewygody, to gorące kobiece ciało obok sprawiało, że czułem się jak w raju. Zawsze jak w raju. Zawsze jak w raju pośród piekła. Czy tak naprawdę wygląda raj? Czy takie jest w istocie piekło?

Później przestało padać, chmury się rozproszyły i dżunglę ponownie zalało słońce. Nasi towarzysze opuścili zaimprovizowany namiot, lecz Gwen wciąż spała, więc i ja zamknąłem oczy i udawałem uśpionego. Santiago powiedział, że idzie wykąpać się w rzece i reszcie bardzo się ten pomysł spodobał. Mnie oraz Gwen, jako pogrążonych we śnie, zostawiono w spokoju. Kiedy zostaliśmy sami, musnąłem wargami jej usta, a ona od razu się obudziła. Nasze twarze znajdowały się tuż koło siebie, nadal czułem jej pierś przypląszczoną do mojego boku. Gwen zmieniła pozycję: lekko się ode mnie odsunęła, przepaszając, że zasnęła w ten sposób. Chwilę potem całowaliśmy się już zachłannie i miałem jej język w ustach. Rozpiąłem jej bluzkę i zacząłem całować jej piersi, wyłuskawszy je z białego stanika. Liząłem ich duże, ciemne sutki, ona zaś przez spodnie dotykała mojego penisa, zuchwale i nieśmiało zarazem, co bardzo mnie podniecało. Ale nie zdecydowaliśmy się na seks. Byliśmy oboje brudni i spoceni, toteż postanowiliśmy jednak udać się nad rzekę w ślad za naszymi towarzyszami. Potężny herbaciany nurt rwał przez gęstwinę jakieś dwieście metrów dalej, kiedy jednak stanęliśmy na piaszczystym brzegu, nigdzie nie dostrzeżliśmy nawet śladu przyjaciół. Rozebraliśmy się więc (Gwen zaśmiewała się do rozpuku, rozbawiona moimi niezdarnymi próbami ukrycia erekcji) i wykąpaliliśmy się, jak musieli się kąpać Adam i Ewa jeszcze przed grzechem pierworodnym. Zanurzeni w wodzie po szyję kontemplowaliśmy dżunglę i pomiędzy listowiem zwidywały nam się zwierzęce pyski oraz ludzkie twarze. Pojawiały się i znikwały, ulegając rozmaitym metamorfozom. Ja myślałem wyłącznie o różowych piersiach i ciemnych sstkach Gwen, i o jej ciemnym wzgórkę łonowym ukrytym przede mną pod powierzchnią wody, i o tym, jak nieosiągalna może nam się zdawać kobieta, która jest tuż obok. Niespodziewanie jeden z rosnących na brzegu ambrowców rozjaśnił się, jakby ktoś z tyłu zapalił reflektory. Może był to skutek wiatru (a wiatru się na wyspie obawialiśmy, ponieważ oprócz pożądanego orzeźwienia zwykle niósł ze sobą także deszcz), tak, wiatru, który

zniecka obrócił liście i sprawił, że zaśniły. Zwierzęce pyski, ludzkie twarze oraz inne kształty, które migwały nam w gęstwinie, również nagle się przemieniły, znacząc teraz zupełnie coś innego niż przed chwilą. Potem wyszliśmy w wody – naga kobieta i nagi mężczyzna. Kiedy jednak popatrzyliśmy po sobie, tak odsłoniętych, świadomość własnej nagości kazała nam poszukać schronienia w znacznie bardziej konwencjonalnych, czysto towarzyskich formach. W zielonych tęczęwkach Gwen, które wydały mi się dużo piękniejsze i wyrazistsze niż zwykle, widziałem przez moment błysk pożądania, pragnienia, by ktoś ją wziął, pragnienia, by coś zdarzyło się w jej ciele i w świecie, i widziałem też jej różowe, idealne piersi o sutkach spoglądających na mnie jak dwoje rozplamionych przez pulsującą krew oczu, i jej płaski, umięśniony brzuch, i kępkę ciemnych włosów między udami, później zaś zobaczyłem, jak właścicielka tego wszystkiego sięga po stanik i uśmiechając się, zaczyna niezobowiązującą rozmowę. Gdy wróciliśmy do „namiotu”, zastaliśmy tam już pozostałych, a ja pochwyciłem kilka badawczych spojrzeń – ze strony Wade’a, który obserwował mnie i Gwen z chłodnym zaciekawieniem, oraz Josepha, najwyraźniej starającego się powściągnąć uśmiech. Przypuszczałem wtedy, że nasz lekarz też pożąda Gwen, lecz byłem w błędzie, gdyż Josphe zdążył już tymczasem znaleźć na wyspie inną miłość. Nie, na razie nie zdradzę, o kogo chodziło. Jeszcze przyjdzie pora, by opowiedzieć i o tym, i o wielu innych rzeczach.

Ruszyliśmy dalej przed siebie, albowiem chcieliśmy dotrzeć do miejsca, gdzie pokazał nam się błękitny olbrzym. Zagłębialiśmy się w dolinę, ale nigdzie nie było śladu ani to po nim, ani po ewentualnych projektorach holograficznych. Dostrzegaliśmy natomiast efekty działania ciskanych przez niego gromów. Natknęliśmy się na kilka zwęglonych drzew, jak również na coś w rodzaju tuneli w gęstwinie, które biegły aż do wypalonych na ziemi, niemal doskonale okrągłych łysinek. Na dwóch z nich znaleźliśmy ludzkie szczątki – na pierwszej dwa ciała, na drugiej jedno. Były nie do rozpoznania, choć bez wątpienia chodziło o mężczyzn. Jeszcze nie ostygli, ale głębokie, rozległe poparzenia uniemożliwiały określenie ich rasy ani wieku. Zastanawialiśmy się, czy błękitny olbrzym naprawdę zabija tymi gromami bijącymi z jego czoła i czy fakt, że atakuje tubylców, oznacza, że w pewnym sensie możemy liczyć na jego wsparcie.

Wreszcie znaleźliśmy się w górach. Wkroczyliśmy w okolicę, gdzie kamienie unosiły się w powietrzu. Niewielkie, wisiały nieruchomo na

wysokości trzydziestu centymetrów, pół metra, metra, trzech metrów, dziesięciu, piętnastu... Fascynujący i całkiem niewytłumaczalny widok. Christian i Sheila niezwykle się ucieszyli, gdyż zjawisko to potwierdzało ich teorię o istnieniu na wyspie jakiejś siły antygravitacyjnej. Można było brać te kamienie do ręki, a potem odkładać je z powrotem w powietrze. Miały czarny kolor i wyglądały, jakby były zrobione z materiału zbliżonego do łupka, tyle że się nie rozwarstwiały. Christian nazwał je „kamykami antygravitacyjnymi”.

Ujrzelśmy ponad drzewami białą chmurę, bardzo podobną do tamtego altocumulusa, który według Christiana i Sheili był latającym spodkiem. Ujrzelśmy ją wszyscy. Szybko przemieszczała się w stronę gór i pomyślałem, że to z kolei potwierdza teorię, jakoby wulkan w sercu wyspy mieścił w sobie bazę latających spodków. Fakt faktem, że ta chmura, idealnie ukształtowana i oślepiająco biała, przemieszczała się tak prędko, że aż chciało się wierzyć, iż Christian i Sheila bynajmniej się nie mylą i to, co widzimy, wcale nie jest chmurą, lecz zbudowanym przez inteligentne istoty statkiem powietrznym posiadającym jakiś wewnętrzny system napędowy.

– Mam ochotę wspiąć się na tę górę – oświadczyła Sheila.

I'll find me a mountain, spiritual and high, śpiewał poprzedniego dnia Joseph.

Wade wdrapał się na szczególnie wysokie drzewo, żeby spróbować zorientować się w ukształtowaniu terenu i rozejrzeć może za czymś – choćby smugą dymu – co pozwoliłoby nam ustalić położenie wioski dzikich. Jednakże ci albo nie rozpalali ognia, albo umieli rozpraszać dym tak, żeby ich nie zdradził. Christian, Sheila i Joseph również wspięli się na drzewo. Wydawało się, że to całkiem proste, ale ja czułem się tak zmęczony, że wolałem zostać na dole.

Z góry widać było chyba wiele rzeczy. Nieopodal otwierała się kolejna aluwialna dolina, szeroka i porośnięta lasem, stanowiąca niejako kontynuację tej, którą przemierzaliśmy niemal od rana i w której wcześniej dostrzegliśmy błękitnego olbrzyma. Moi towarzysze zobaczyli też ze swego stanowiska, jak wielki latający spodek kryje się pośród chmur spowijających najwyższe szczyty, co, zdaniem Sheili i Christiana, dowodziło ostatecznie, że nie chodziło o żadną chmurę, bo przecież jaka chmura zagłębia się w inne chmury? Siedziałem wsparty o pień obok Gwen, która mruknęła tylko, że nie trzeba się tak wydzierać. Niemniej w sąsiedniej dolinie dało się zauważyć coś jeszcze: autostradę. Fragment wysokiego betonowego wiaduktu, który nagle się urywał.

To ostatnie, owszem, zdecydowanie podsycało *moją* ciekawość. Wedle słów dobiegających do nas z wierzchołka drzewa, autostrada była czteropasmowa i biegła dwoma tunelami wydrążonymi w zboczu góry. Później utrzymywała się ponad dżunglą na betonowych słupach, które wydłużały się, w miarę jak oddalały się od zbocza: dwie podwójne jezdnie wyłaniały się z góry, przecinały dolinę i zniemacka się kończyły. Wade powiedział, że te tunele, gdybyśmy się do nich dostali, byłyby doskonałym miejscem na nocleg. Dlatego znowu podjęliśmy wędrówkę.

Gdy dotarliśmy do sąsiedniej, położonej dużo niżej doliny, wszyscy widzieliśmy już autostradę jak na dłoni – dwie równoległe nitki wsparte na ponadsześćdziesięciometrowych kolumnach ze zbrojonego betonu, wspaniałe dzieło inżynierii, całkowicie niepojęte w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. Kto to zbudował? Japończycy w czasie drugiej wojny światowej? Tylko po co im była taka duża droga przez góry? Skoro potrzebowali traktu komunikacyjnego, z łatwością mogli go poprowadzić wzdłuż wybrzeża. Z miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, trudno było stwierdzić, czy imponujący wiadukt nie został dokończony, czy wysadzono go albo zbombardowano.

Zeszliśmy na dno doliny i autostrada znikła nam z oczu, zasłonięta przez gęstwinę. Ponownie zobaczyliśmy ją dopiero jakąś godzinę później, kiedy ukazała się w większym prześwicie między koronami drzew. Boże mój, jakże dziwne wrażenie robiła ta iście tytaniczna konstrukcja, wzniesiona przez ludzi ponad dzikim rojowiskiem dżungli! Jakież ponure piękno biło od tych betonowych słupów pożółkłych po wieloletnich deszczach! Zawsze uważałem zbrojony beton za materiał obdarzony majestatyczną, melancholijną urodą. Im bliżej podchodziliśmy, tym smutniejsza wydawała mi się ta porzucona w tropikalnej puszczy droga. Jednakże jej mroczny urok poruszał mnie do głębi, albowiem piękno tkwi w tym, co delikatne i przyjemne dla oka, lecz także w tym, co monstrualne i zmarnowane, makabryczne i bezużyteczne – tak, często w pewien posępny sposób również w tym.

Wspięliśmy się po zboczu, żeby znaleźć się na tym samym poziomie co jezdnie. Gdy stanęliśmy wreszcie na asfalcie, poczuliśmy się jak pijani. Ruszyliśmy tą zawieszoną w pustce kładką ku miejscu, gdzie wiadukt gwałtownie się urywał, na wysokości jakichś sześćdziesięciu metrów. Stamtąd wszystko wyglądało inaczej. Znajdowaliśmy się oto ponad dżunglą, górowaliśmy nad nią, nawet jeśli dzieło rąk ludzkich, które nam to

umożliwiało, zdążyło w znacznej mierze ulec potędze żywiołów. Trudno było orzec, jak stara jest ta konstrukcja, lecz coś mi mówiło, że nie może być tak stara, jak nam się początkowo wydawało. Zacząłem oglądać metalowe barierki w poszukiwaniu tabliczek, numerów seryjnych czy innych znaków, które powiedziałyby nam cokolwiek o jej pochodzeniu, i na jednej z poprzeczek znalazłem rodzaj pokrytej błotem i pyłem wskazówki. Oczyszcziłem zabrudzony metal, trąc go intensywnie, i ujrzałem okrągłą tabliczkę ze skrótem SIAR oraz z wrytym starannie wizerunkiem lwa i kozy usadowionych po dwóch stronach stołu. Widziałem ten obrazek po raz pierwszy i chwilę trwało, zanim dotarło do mnie, co właściwie widzę. Lew i koza zasiadały na ławkach na lewo i na prawo od stolika, na którym znajdowała się szachownica. Później mieliśmy ustalić, że wizerunek ten, symbol SIAR-u, stanowił wierną kopię ilustracji zachowanej na pewnym egipskim papirusie. Moi towarzysze też jęli się przypatrywać barierkom i wkrótce odkryli kilka identycznych symboli. Ponadto znaleźliśmy numery seryjne, które nic nam nie mówiły, chociaż wiele z nich kończyło się liczbą siedemdziesiąt pięć, co kazało nam przypuszczać, że wiadukt powstał w tym akurat roku. Co do skrótu SIAR – nikt nie wiedział, co by to mogło oznaczać. Christian zaproponował następujące hiszpańskie rozwinięcie tych liter: Sociedad Internacional de Avistamientos Raros, czyli Międzynarodowe Towarzystwo Dziwacznych Obserwacji. Jospheh podsunął inne, po angielsku: Sick Imps Allowed to Reciprocate, czyli Chore Karły z Prawem do Odwetu, co wszystkich nas rozśmieszyło. Każdy zresztą próbował, z mniejszym lub większym powodzeniem, wymyślić jakieś rozwiązanie zagadki. Nikt, oczywiście, nie odgadł prawdziwego znaczenia dziwnego skrótu: Skinner Institute for Anthropological Research. Bo tak brzmiało oficjalne miano zarządców naszego piekła.

Także stąd dostrzegaliśmy kamienie antygravitacyjne unoszące się na różnych wysokościach nad doliną. Niektóre były większe niż inne, rozmiarów telewizora lub lodówki, i naprawdę fascynująco wyglądały zawieszone w powietrzu sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów nad ziemią. Chciałem złapać jeden, nieduży i okrągły, wiszący niewiele ponad metr od skraju jezdni, i, sięgając po niego ponad skorodowaną barierką, o mało nie spadłem w przepaść. Później wycofaliśmy się w stronę tunelu wydrążonego w zboczu góry – z płonną nadzieją, że autostrada biegnie dalej przez całą wyspę, jednakże jakieś sto metrów w głąb natrafiliśmy na blokującą drogę

rumowisko, zupełnie jakby góra, dosłownie, zapadła się tam w sobie.

Ciemność panowała w środku zupełna, lecz przyświecał nam blask wciąż bijący od Christiana, który powoli uczył się, jak go kontrolować, i umiał już zmieniać jego natężenie, skupiając się na określonych obrazach i emocjach. Jak nam wyjaśnił, odnosił wrażenie, że źródło tego światła bije gdzieś w okolicy splotu słonecznego, więc koncentrując się na tym punkcie, mógł się rozjarzyć jak sześćdziesięciowatowa żarówka. Zademonstrował to nam, dzięki czemu dokładniej obejrzelśmy sobie zaślepiające tunel osuwisko.

Następnie wyszliśmy na dwór, żeby zbadać drugi tunel. Ten też zagłębiał się w górę na jakieś sto metrów, może trochę więcej, i kończył podobnym rumowiskiem. Dlatego wróciliśmy do pierwszego, z zamiarem spędzenia tam nocy.

Zdjęliśmy plecaki i rozłożyliśmy swoje legowiska mniej więcej dziesięć metrów od wejścia: bez zapuszczania się zbyt daleko, ale w bezpiecznej odległości od mogących rozbryzgiwać się na skałach kropel deszczu. Miło było znaleźć się niejako pod dachem, wyciągnąć na gładkiej, pozbawionej kamyków, korzeni i kolców powierzchni, ale panujący w tunelu mrok szybko zaczął mnie niepokoić. Mój lęk był irracjonalny, lecz trudny do opanowania. Usiłowałem sobie tłumaczyć, że jesteśmy tu znacznie bezpieczniejsi niż pod gołym niebem w dżungli, jednakże strach nie liczy się z rozsądkiem. Nieprzenikniona ciemność panująca we wnętrzu góry przyprawiała mnie o zawrót głowy podobny do tego, jaki zawsze czuję, kąpiąc się na głębinie.

Zastanawialiśmy się nad możliwością przeniesienia się do tych tuneli wraz z całą osadą. Miejsca starczyłoby dla wszystkich. Załatwilibyśmy w ten sposób problem ciągłych deszczów, mielibyśmy dach nad głową, z drugiej wszakże strony skazałibyśmy się na tkwienie w sercu wyspy, pośród gór. Czy gra była warta świeczki? Znajdowaliśmy się dwa dni drogi od wybrzeża, a zatem takie przenosiny oznaczałyby też coś w rodzaju ostatecznego osiedlenia się na wyspie i całkowitą rezygnację z nadziei na ocalenie. Poza tym wioska dzikich z pewnością leżała gdzieś w pobliżu. Rozważywszy wszelkie za i przeciw, uznaliśmy w końcu, że pomysł okazał się jednak nie taki znów dobry.

Zbliżał się zmierzch i nie mieliśmy nic do roboty. Nie chcieliśmy rozpalać ognia, żeby nie zdradzić się przed dzikimi, dlatego kolację zjedliśmy po ciemku. Noc zapadła gwałtownie, zupełnie jakby ktoś pospiesznie zaciągnął gdzieś w górze zasłonę. Na wyspie zawsze tak to wyglądało. Zachody słońca

były widowiskowe, ale krótkie. Potem nagle dostrzegało się już ledwie kontury rzeczy. Wtedy znowu się rozpadało. Boże mój, jakże mroczny był świat widziany z tej perspektywy: nic tylko noc i dżungla, noc przesycona deszczem, deszcz przesycony samotnością i furją. Nie znam nic bardziej rozpaczliwego niż odgłos ulewy w dżungli nocą. Santiago krzyknął, że ma dosyć tych pieprzonych opadów, że dłużej tego nie zniesie. Wade powiedział – może aby go uspokoić – że pora deszczowa już raczej długo nie potrwa i że najdalej za miesiąc te wściekłe ulewy się skończą. Ciekawy sposób na to, by kogoś pocieszyć! Santiago jęknął, że jeśli zostanie na tej wyspie jeszcze przez miesiąc, z pewnością zwariuje. Albo umrze z rozpacz. Że nie wytrzyma w tej wstrętnej dziurze nawet kolejnego tygodnia. Że nieraz już myślał, by rzucić się do morza z jakiegoś klifu i wreszcie mieć spokój.

Wade patrzył na niego ze zmęczonym uśmiechem. Wtedy Gwen zapytała Santiaga, dlaczego właściwie leciał tamtym samolotem do Indii.

– Nie chcesz tego wiedzieć – odparł Santiago.

– Wręcz przeciwnie, bardzo chętnie się dowiem – zaproponowała Gwen.

– Po co?

– Żeby cię lepiej poznać. Od wielu dni mieszkamy w tej samej osadzie i prawie się nie znamy.

Dało się zauważyć – choćby po ułożeniu jej ciała – że czuje się odprężona, chętna do pogawędki. Dobrze rozumiałem ten stan i przypuszczałem, że, korzystając z ciemności w tunelu, zmieniła bieliznę. To odświeżenie objawiało się w jej gestach, miększych i bardziej uwodzicielskich, w całym zachowaniu, bardziej kobiecym, a nawet w głosie, odrobinę wyższym niż zwykle. Taką moc mają czyste majtki.

Santiago wyglądał, jakby był na granicy płaczu. Kojarzył mi się z dzieckiem – nadmiernie wyrośniętym i otyłym. Myślę, że najgorzej z nas wszystkich znosił zmęczenie, upał i, szczególnie, głód. No i ten deszcz, ciągły deszcz, i pot, i brud. Jednakże Gwen zadała mu interesujące pytanie i teraz wspólnie czekaliśmy na odpowiedź.

– Leciałem do Indii za dziewczyną (*a chick*) – powiedział powoli Santiago.

– Za dziewczyną, która bardzo mi się podoba. Dlatego leciałem do Indii.

– Aha – rzuciła Gwen.

– Ona pracuje w sierocińcu matki Teresy w Kalkucie – ciągnął Santiago. – Lubi pracować z dziećmi. Od dawna, od dzieciństwa chciała się wyprawić do Indii. Nie wiem dlaczego: czy nasłuchiwała się czegoś w szkole, czy zobaczyła

jakiś film dokumentalny, czy coś, w każdym razie zawsze pragnęła wyjechać do Indii i pracować tam z sierotami, wśród tych wszystkich chorych, wygłodniałych dzieciaków. Nie wiem, o co chodzi z tymi Indiami. Wszędzie jest masa sierot. Nawet w Stanach ich nie brakuje. Albo w Gwatemali czy na Santo Domingo. Nie trzeba zaraz lecieć do Indii, nie sądzisz? Ostatecznie dzieciaki wszędzie są takie same: bezbronne i biedne, nie? Chore, wygłodniałe dziecko to chore, wygłodniałe dziecko, nieważne, gdzie mieszka, jaki ma kolor skóry i czy mówi po angielsku, hiszpańsku czy hindusku, nie sądzisz? Więc skąd ta obsesja na punkcie Indii? Mnie tam Indie nie obchodzą. Mam własne w New Jersey. W swojej dzielnicy i w swoim domu. Ja mam własne Indie w sobie.

Milczeliśmy przez chwilę, kontemplując ulewę, szczęśliwi, że nie mokniemy. Bardziej zresztą słuchając tego deszczu, niż go widząc.

– Jak ona ma na imię? – spytała Gwen.

– Nie chcesz tego wiedzieć – odparł Santiago.

– Wręcz przeciwnie, bardzo chętnie się dowiem.

– Po co?

– Żeby cię lepiej poznać – odrzekła Gwen.

– Ma na imię Gwendolyn – powiedział Santiago. – Tak samo jak ty.

– Jest ładna? – chciała wiedzieć Gwen.

– O tak, bardzo ładna – potwierdził Santiago. – Zbyt ładna.

Tamtej nocy, gdy wszyscy posnęli, odnalazłem posłanie Gwen. Zwróciłem wcześniej uwagę, gdzie je rozścieliła, ale i tak odnalazłem je nie bez trudu. Położyłem się obok niej i zacząłem gładzić ją po policzku i wargach. Spała już, ale natychmiast się obudziła. Wyszeptała moje imię, a ja odrzekłem: tak, to ja. Więcej nic nie mówiliśmy.

Co zobaczyłem w tunelu

Kiedy otworzyłem oczy, do tunelu wdzierало się już słoneczne światło. W pierwszej chwili nie rozumiałem, gdzie jestem. Później zobaczyłem obok twarz Gwen. Wydała mi się – tak bez okularów – jakby zognomiała. Ogromna i niezwykle piękna niczym Syberia. Nie wiem, dlaczego pomyślałem akurat o Syberii, przypatrując się tej uśpionej, całkowicie rozluźnionej twarzy: jej powiekom, policzkom i ustom. Ten spokój...

Zbliżyłem się do wylotu tunelu i, przeciągając się, patrzyłem na świt. Góry po drugiej stronie doliny zasłaniały mi wprawdzie sam wschód słońca, ale widok i tak był wspaniały. Dżungla tonęła jeszcze w gęstej mgle, z której gdzieś sterczały wierzchołki najwyższych drzew oplecione lianami, niby fantastyczne karawele unoszące się na mlecznobiałym morzu. Zakręcająca lekko w lewo podwójna nitka autostrady również wisiała ponad jego powierzchnią, podczas gdy betonowe filary ginęły u podstawy w nieprzejrystym oparze. Chmury wielkich białych ptaków fruwały w tę i z powrotem między koronami drzew. Wtedy zrobiłem coś, czego nie robiłem od bardzo dawna. Zacząłem śpiewać.

Nie, to właściwie nie był śpiew, nie chodziło też o nucenie. Chodziło o coś, co praktykowałem od czasów dzieciństwa, a co polegało na odtwarzaniu za pomocą ust dźwięków rozmaitych instrumentów. Tym razem nasunął mi się początek adagia z *VIII Symfonii* Brucknera. Dosyć dobrze pamiętałem tę część utworu i mogłem odtworzyć spory fragment bezbłędnie, naśladowując na zmianę smyczki i sekcję dętą.

Nagle usłyszałem za plecami, w tunelu, hałas. Urwałem i obróciłem się. Coś poruszało się pośród uśpionych ciał moich towarzyszy. Przeraziłem się, gdyż początkowo sądziłem, że to ogromny szczur. Obwąchiwał właśnie plecak Wade'a, gdzie znajdowało się trochę naszych zapasów. Ale nie, to coś nie było szczurem, choć kształt miało nieco podobny. Znacznie od szczura większe,

pozbawione ogona, połyskiwało ciemnobrązową, długą i gęstą sierścią. To była kapibara.

Nie wydawało się niemożliwe, by na pacyficznej wyspie, na której spotykało się kanadyjskie wilki i stada małych kapucynek, żyły też kapibary, olbrzymie gryzonie znad południowoamerykańskich rzek. Tyle że ta akurat kapibara wyróżniała się czymś, co od razu przykuło moją uwagę i sprawiło, że omal nie krzyknąłem. Miała na szyi niebieską obrózkę z równie niebieską muchą – dokładnie takie same jak te, które nosiła kiedyś Trixie, kapibara Cristiny. Powiedziałbym wręcz, że to była kapibara Cristiny. Bałem się tego zwierzęcia i brzydziłem, podobnie jak w dzieciństwie, jednakże postąpiłem kilka kroków w jego stronę. Kapibara nadal przejawiała szczególne zainteresowanie pełnym żywności plecakiem Wade'a, próbując wtykać do środka swój ohydny, kwadratowy i kosmaty pysk. Kiedy się jednak zbliżyłem, wystraszyła się i rzuciła do ucieczki w głąb tunelu. Poszedłem za nią, więc jeszcze przyspieszyła. Zdumiewające, jak prędko potrafi biegać coś tak żałośnie grubego i krótkonogiego. Popędziłem w mrok, chociaż promienie słońca docierały teraz daleko i wciąż widziałem przed sobą podrygujący ciemny kształt kapibary. Tak dotarliśmy do rumowiska. Zobaczyłem, że wielki gryzoń wspina się na górę i gdzieś znika, toteż wdrapałem się za nim. Okazało się, że ziemia i skały nie blokują przejścia całkowicie: pod stropem była szczelina, przez którą jako tako dało się przecisnąć. Zrobiłem to i zsunąłem się na drugą stronę. W głębi, bardzo daleko, ujrzałem przeciwległy koniec tunelu – w ciemności rysował się tam półokrąg światła. Idąc, potykałem się ciągle o wystające kamienie, aż znowu zaczął się asfalt i wędrówka stała się łatwiejsza. Przeszedłem już spory kawałek, kiedy dostrzegłem kapibarę jakieś sto metrów przed sobą, niedaleko wyjścia. Było tu znacznie ciemniej niż po naszej stronie, bo tunel otwierał się w tym miejscu na zachód, niemniej jasność wpadająca z zewnątrz pozwalała mi widzieć gryzonia coraz wyraźniej. Zwierzak, posłyszawszy widać moje kroki albo może wypatrzywszy pośród cieni mój kształt, znów puścił się przed siebie. Ja również zerwałem się do biegu. Kapibara wypadła na zewnątrz i znikła gdzieś po lewej.

Asfalt ciągnął się jeszcze przez dziesięć czy piętnaście metrów od wyjścia, a potem ustępował miejsca ubitej ziemi. Znalazłszy się po drugiej stronie góry, zdziwiłem się panującym tutaj zimnem, które przeszło mnie przyjemnym dreszczem. Od tak dawna nie czułem pieśczoły mroźnego powietrza!

Pomyślałem, że chłód ten wynika z faktu, iż o poranku nie sięga tu słońce. Przede mną rozciągała się rozległa łąka obrosnięta dookoła gęstymi krzakami. Wszystko to było zupełnie bez sensu: wyglądało na to, że ktoś zbudował kawałek autostrady biegnący przez dolinę i, dalej, przez długie i z pewnością kosztowny tunel, by następnie zarzucić całe przedsięwzięcie i pozwolić, by wszystko znowu zarosła dżungla. Zobaczyłem, że kapibara przecina łąkę i znika wśród krzaków. Ruszyłem w tym samym kierunku.

Chodziło właściwie nie o krzaki, a o coś w rodzaju roślinnej ściany. Gdyby nie całkowita absurdalność takiego pomysłu, uznałbym, że to żywopłot – identyczny jak te, które widywałem kiedyś w Pozuelo, dzielące jeden ogród od drugiego. Był bardzo gęsty, z trudem przedzierałem się przez zdrewniałe pędy, lecz mimo wszystko parłem do przodu, drapiąc sobie ręce i nogi, ponieważ musiałem sprawdzić, co, u diabła, robi w tym miejscu tamto nieprawdopodobne stworzenie, które wychynęło z czeluści moich wspomnień, z głębin mojej pamięci. Dlatego pokonałem zieloną ścianę, tak jak to wielokrotnie czyniłem w dzieciństwie, kiedy moje ciało, drobniejsze i bardziej giętkie, lepiej nadawało się do takich wyczynów, i zniemacka znalazłem się po drugiej stronie, na Łące. Bo to była ta sama Łąka, na której tylekroć bawiłem się z Cristiną i Ignaciem, Łąka przy ulicy Olmos w Pozuelo: wielki prostokąt dzikiej trawy przedzielony kamiennym występem na dwie położone na różnych poziomach części i obrosnięty bujnym żywopłotem.

Zatrzymałem się i rozejrzałem na lewo i prawo. Moje ciało znajdowało się tam, gdzie się znajdowało, natomiast mój umysł nie pojmował, gdzie się znajduje.

W głębi, nieco wyżej, stał zrujnowany kamienny domek, a po jego obu stronach rosły dwa bardzo wysokie drzewa, jedno jasne, drugie ciemne. Kapibara gdzieś przepadła. Wkroczyłem na Łąkę, ruszyłem ku przedzielającemu ją kamiennemu występowi i dotknąłem go obiema rękami. Był zrobiony z tych samych długich wapiennych bloków, które tak dobrze pamiętałem. Nie potrafiłem zrozumieć, co się dzieje. Czy ulegałem halucynacjom? Śniłem? Czy ktoś zainscenizował to wszystko, zamierzając wprawić mnie w pomieszanie i obłąd? Komu by się chciało zrekonstruować tutaj, w środku wyspy, Łąkę z mojego dzieciństwa? Co się działo? Czy chodziło o jeden wielki żart?

Żart, Juanie Barbarín. Zrobiliśmy ci żart. Ale kto? Kto cokolwiek wiedział o mojej Łące? I, przede wszystkim, kogo to obchodziło?

Wskoczyłem na murek i podszedłem do zrujnowanego domku. Miał zapadnięty dach, drzwi pośrodku i po jednym oknie z każdej strony – dokładnie tak samo jak tamten stojący na Łące przy ulicy Olmos w Pozuelo. Pchnąłem drzwi z połamanych desek i zajrzałem do wnętrza. Okna znajdowały się też w bocznych ścianach, choć przy zapadniętym dachu i bez nich byłoby w środku mnóstwo światła.

Mieściły się tu trzy pokoje. Ten po lewej okazał się pusty. W tym po prawej ujrzałem stary stolik na bardzo cienkich nóżkach, z szufladą, właściwie biurko. Próbowałem otworzyć tę szufladę, ale się zacięła. W pokoju na wprost, także pustym, zauważyłem coś namalowanego na ścianie. Malunek w stylu orientalnym przedstawiał ludzkie ciało z siedmioma ośrodkami energii zaznaczonymi zgodnie z systemem tantrycznym. Jeśli czegoś jestem pewien, to tego, że w zrujnowanym domku na *naszej* Łące nie było niczego podobnego.

Przyjrzałem się malunkowi z uwagą. Wydawał się bardzo stary, bo zdążył już mocno zblaknąć. Ośrodki energii zaznaczono siedmioma kwiatami lotosu w różnych kolorach: jeden widniał na genitaliach, drugi u podstawy tułowia, trzeci powyżej pępka, czwarty na mostku, piąty na gardle, szósty między brwiami, a siódmy na czubku głowy. Ich barwy układały się od dołu do góry w rodzaj tęczy: od makowej czerwieni, przez nagietkową pomarańcz, żółć mango, szmaragd, turkus, granat i fiolet petunii. Cała postać pociągnięta była bladawym błękitem, nad jej głową zaś, jak gdyby zawieszony w powietrzu, namalowany był ósmy kwiat – biały. Różnił się od pozostałych, ponieważ bardziej niż lotos przypominał różę, białą różę.

Wyszedłem na dwór. Okrążyłem domek w poszukiwaniu jakichś śladów, znaków, wskazówek. Przypatrzyłem się drzewom: ciemne okazało się jodłą, a jasne – bukiem. Nie ulegało wątpliwości, że gatunki te nie pasują do flory na wyspie, podobnie jak rośliny porastające Łakę, wśród których rozróżniałem koniczynę, lwie paszcze, fenkuły, dziewanny, a nawet pojedyncze stokrotki – typowe raczej dla umiarkowanych stref klimatycznych.

Niezdecydowany, co robić dalej, usiadłem na kamiennym występie dzielącym Łakę na dwoje. Nie wiem, może na coś czekałem. Na coś? Ale na co, sypacie. Na coś albo na kogoś. Na zdarzenie się czegoś. Pojawienie się Kogoś.

Na niebie ukazała się biała chmura w kształcie latającego spodka. Sunęła z wolna, jakby pchana wiatrem, i tak dotarła nad moją głowę. Wtedy wszakże przestała wyglądać jak latający spodek i upodobniła się do białej róży. Zmiana

ta wynikała zapewne ze zmiany kąta, pod jakim patrzyłem. Potem ujrzałem, że to coś w górze zniża się i zniża, aż zawisło jakieś sto metrów ponad ogrodem. Nie była to, rzecz jasna, chmura, albowiem chmury nigdy nie wiszą tak nisko. Nie wiedziałem, co to jest, i nie miałem odwagi zerknąć w górę, by sprawdzić.

Unosiła się nade mną biała róża.

Samotny mężczyzna idzie ulicami

Mężczyzna idzie ulicą miasta. Jest wysoki, ubrany w odzież dobrze uszytą, lecz niedopasowaną: obszerne spodnie, prostą, wręcz ludową koszulę oraz ciemny i zbyt krótki, niemodny paltot. Nastąpiła wiosna i kwitną lipy w alejach. Po ogrodzeniach wokół domów pną się czerwone, różowe, białe i żółte róże. Mężczyzna emanuje pewnym majestatycznym dystansem, jak starzec, chociaż nie jest jeszcze starcem. Wysoki, mocno zbudowany, ma malutką okrągłą główkę – naprawdę malutką, okrągłą i ozdobioną ptasim nosem. Z daleka wydaje się bezwłosa, ale gdy mężczyzna się zbliży, idąc powoli w cieniu lip deptaka, widzimy, że wcale nie jest łysy. Po prostu bardzo krótko się strzyże. Jego płowe włosy siwieją, przez co stają się ledwie widoczne. Także jego wąsik, cieniutką kreseczkę nad górną wargą, ledwie widać. Miasto nazywa się Linz. Jest rok 18... Mężczyzna idzie ulicami, a potem wychodzi z miasta i zaczyna wędrować pośród pól, zupełnie jak jedna z postaci Adalberta Stiftera, sprawiających wrażenie, jakby ich przeznaczeniem była wieczna wędrówka po drogach i bezdrożach Austrii, w stanie tajemniczego smutku lub też boskiej radości. Mężczyzna wędruje pośród pól, a później brzegiem strumienia, przypatrując się rybakom rozstawionym wzdłuż trawiastego brzegu i łowiącym szczupaki, karpie oraz pstrągi. Liczy ich po drodze. Liczy drzewa po obu stronach ścieżki: wiązy, lipy, kasztanowce. Skręca w inną dróżkę i gubi się w lesie. Tu trudniej liczyć. Energicznie maszeruje przed siebie. Musi iść, bo tak najlepiej mu się myśli. Nie, to nieprawda: najlepiej mu się myśli, gdy gra na organach. Jednakże wędrówka i gra na organach to dla niego dwie bardzo zbliżone aktywności. Grał cały dzień, na ile mu pozwalały wymogi liturgii. Zawsze gra, kiedy musi podjąć istotną decyzję albo rozwiązać poważny problem. Pianistą też jest niezłym, jednakże jego instrument to organy, nie fortepian. Siada na stołku, otwiera rejestry, których chce używać, opiera stopy na pedałach, kładzie ręce na podwójnej klawiaturze i zaczyna

grać – może chorał Bacha albo jego preludium czy fugę, chociaż najbardziej lubi improwizacje. Jest wirtuozem w sztuce improwizacji, ma tę zdolność, która w nowych czasach stopniowo zanika. Ta jego biegłość w improwizowaniu skomplikowanych fug, w błyskawicznym przenikaniu tajników harmonii i kontrapunktu, zaczyna już stanowić przedmiot powszechnego podziwu, jaki wzbudza wszystko, co niezwykle, związane z poprzednią epoką. Tak, może i jest ostatnim z wielkich organistów-improwizatorów. Z fortepianem rzecz wygląda nieco inaczej, jeszcze przez jakiś czas będą się trafiać kompozytorzy-wirtuozi obdarzeni niemałą łatwością improwizacyjną, chociaż to innego rodzaju improwizacja, bardziej rapsodyczna i fantazyjna, jak w Lisztowskich parafrazach tematów z oper albo w pełnych wyobraźni melodiach Chopina. Tak, może i jest jedynym organistą w Europie zdolnym usiąść do organów i wyczarować z niczego czterogłosową fugę poprzedzoną przez symfonię opartą na tym samym temacie – chwilę wcześniej zagwizdanym mu przez kogoś i zupełnie nowym. Wędruje przez las, aż kończą mu się siły, gdyż kocha przyrodę prawie tak jak dźwięk organów i swego Boga, który zsyła mu tyle nieszczęść w przebraniu tyłu błogosławieństw. Spacer go rozgrzał. Przysiada na dębowym pieńku i z kieszeni marynarki wyciąga kolorową chusteczkę, którą się wachluje. Patrzy na otaczające go tysiące liści, tłoczonych dębowych liści z różną mocą prześwietlanych przez słońce. Zaczyna je liczyć. Liczy i liczy, i nie może przestać, aż dociera do liczby siedemset siedemdziesiąt siedem. Nie może przestać. Nie wie, dlaczego musi liczyć wszystko, co widzi, nie wie, jakie sekretne pragnienia zaspokaja ta mania, ale to umiłowanie rachowania w jego oczach ściśle wiąże się z muzyką, wędrówkami, organami, Bogiem i samotnością. Obsesyjnie numeruje również takty w swoich partyturach – organowych, chóralnych, orkiestrowych...

Samotność. Samotny mężczyzna idzie pod umajonymi gałęziami. Nie ma przyjaciół. Zapisał w testamencie, że nie życzy sobie być obok kogokolwiek pochowany. Nie chce leżeć z nikim nawet po śmierci, chce, by zamknięto go w kamieniu, w sarkofagu, w czystej atmosferze kościoła. Nikt go nigdy nie kochał. Nigdy się nie ożeni mimo niezliczonych prób podejmowanych w tym celu. „Nikommu się nie podobam”, powie zniechęcony. Nie umie nawiązywać kontaktów z innymi. Nie umie nawiązywać kontaktów z kobietami. Kiedy widzi taką, która mu się podoba, podchodzi do niej z bukietem kwiatów i pyta łagodnie, z najwyższym szacunkiem: „Czy chce pani wyjść za mnie za

maż?”). A one patrzą na niego i widzą w nim tylko starca.

Jest ofiarą swoich kompleksów, lęków, obsesji. W żadnym razie nie jest człowiekiem prostym ani szczęśliwym. Jest człowiekiem prostym i potwornie nieszczęśliwym, i to nieszczęście sprawia, że prostota jego duszy zdaje się jeszcze dziwniejsza niż udręczone, wyrafinowane osobowości charakterystyczne dla jego czasów. Jest dzieckiem *Vormärz*, epoki szanującej instytucje i szczęśliwie poddanej cesarzowi. Góry, monarcha, organy i Bóg to przedmioty jego nieustannego podziwu. Pisuje listy pełne archaicznych zwrotów. Wyraża się jak wioskowy belfer, słowami dialektalnymi lub wyszłymi z użycia. Jego ojciec był właśnie wioskowym belfrem: od niego nauczył się gry na skrzypcach i organach, tym bowiem również parali się w austriackich górskich wioskach belfrowie. Od ojca przejął poszanowanie dla hierarchii, upodobanie do śpiewania w chórze, posłuszeństwo wobec osób wyżej postawionych, przesadny szacunek dla tytułów i dyplomów. Nikt nie studiował tyle i tak długo jak on. Jako dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziestolatek był chętnym, zawsze zdyscyplinowanym uczniem. Wbrew mitowi geniusza, kompozytora-samouka, przez większą część życia pokornie dawał się prowadzić kolejnym nauczycielom, zgłębiając harmonię, zgłębiając improwizację, zgłębiając technikę organową, zgłębiając kontrapunkt, aż nadeszła chwila, gdy zdobył już wszystkie tytuły i nie może więcej studiować, po prostu dlatego, że umie więcej niż wszyscy nauczyciele w kraju, względem których mimo to wciąż przejawia ogromne oddanie i szacunek. Ma prosty charakter, lecz w złożonym i udręczonym świecie schyłku XIX wieku ta wiejska prostota nie bywa więcej rozumiana jako idylliczna pozostałość po wiekach średnich. Nie, jest czymś znacznie dziwniejszym. Nie sposób odmówić słuszności tym, którzy w jego niepasującej do epoki naturze, w jego umiejętności do ciągłego ośmieszania się, w jego niezdolności do nawiązywania normalnych stosunków towarzyskich z mężczyznami i kobietami, z ludźmi postawionymi wyżej i niżej niż on, z kolegami i wielbicielami, widzą rodzaj choroby psychicznej. To nie megalomania ani paranoja, ani schizofrenia. To nie przymus, by się podobać, jak u Straussa, ani rozdarcie wewnętrzne, jak u Mahlera, ani kompleks niższości, jak u Zemlinskiego. Choć i on cierpi w mniejszym lub większym stopniu z tych powodów (czyli przez kompleks niższości, wewnętrzne rozdarcie, przymus, by się podobać), nie jest zakochanym karłem, umęczonym estetą ani romantycznym bon vivantem, jak tamci. Jego neuroza nie ma nazwy, a bierze

się przede wszystkim z bolesnej achronii. Nie żeby był anachroniczny, z innej epoki; on nie jest z żadnej. Żyje poza czasem. Nie żeby był staromodny. Jego ubrania nie są właściwie staromodne. Od dawna – i aż do śmierci – zamawia swoje paltoty i spodnie u krawca z Sankt Florian, klasztoru augustianów, gdzie dorastał i uczył się na organistę. Nie nosi staromodnych surdutów; nosi się jak ktoś, dla kogo historia nie istnieje. Jego muzyka nie jest w żadnym razie reakcyjna, przeciwnie, jest zdumiewająco oryginalna. Skąd jednak to upodobanie do chorałów, motetów, farm barokowych? Jego muzyka nie jest reakcyjna, niemniej wydaje się zakotwiczona w jakiejś przezroczystej pradawności. Jego symfonie brzmią jak utwory religijne i kojarzą się z potężnymi gotyckimi katedrami. Jego problem to achronia: nie jest ani staromodny, ani nowoczesny; ani reakcyjny, ani rewolucyjny. Postanowił żyć tak, jakby historia nie istniała. Jest dziwakiem, jest idiotą. Jego gusta i skłonności są znikąd. Pociągają go dalekie krainy, jak Rosja, Meksyk, biegun północny. Pragnie wyjechać gdzieś daleko. Próbował do Stanów Zjednoczonych, lecz jego starania nie spotkały się z przychylnym odzewem w Filadelfii ani w Cincinnati. Jest człowiekiem głęboko samotnym, z własnej woli poświęcającym się sztuce bycia sobą i owładniętym przez przemożne wewnętrzne siły, które raz za razem odsuwają go od rwącego strumienia egzystencji. Te same przemożne wewnętrzne siły stanowią narracyjny impuls dla jego symfonii. Bo te opowiadają nie o życiu, lecz o zakamarkach duszy, o tajemnych walkach toczących się w głębi ludzkiej istoty.

Wiele w nim też innych dziwnych rzeczy. Jego obsesja na punkcie śmierci, zwłok, ludzkich szczątków. Na spotkaniach towarzyskich, jeśli dorwie gdzieś lekarza, osacza go i zasypuje pytaniami o śmierć oraz rozmaite fascynujące go schorzenia. Nie jest hipochondrykiem, jest nekrofilem. Kiedy umarł jego dawny nauczyciel, Johann Baptist Weiss, który dawał mu pierwsze lekcje harmonii i gry na organach, zanosił do władz kościelnych liczne petycje, aby pozwolono mu zachować jego czaszkę. Pragnął, bardziej niż czegokolwiek innego, mieć przy sobie, u siebie, czaszkę umiłowanego mistrza. Mieć ją obok, w pokoju, może na biurku albo w szafie, czule owiniętą w miękką szmatkę. Po co? Żeby jej dotykać? Żeby patrzeć w puste oczodoły i na zimny uśmiech? Kiedy zwłoki Schuberta i Beethovena przenoszono do mogił godniejszych niż te, w których złożyli je współcześni, poprosił o zgodę na obejrzenie czcigodnych kości. W tym przypadku kierował nim miłosny fetyszym, gorący podziw, który, zdaniem Franza Werfla, łatwo nabiera zabarwienia erotycznego

i przy tej okazji wywołał pragnienie obejrzenia niewiele znaczących szczytków. Bo czym jest, w istocie, pieszczel Beethovena czy rzepka kolanowa Schuberta? Jednakże nie było to jeszcze krańcowe stadium tej obsesji: w 1881 roku, gdy wystawiono na widok publiczny zwęglone zwłoki ofiar pożaru w wiedeńskim Ringtheater, jako jeden z pierwszych ustawił się w kolejce, by przypatrzeć się owym mężczyznom, kobietom i dzieciom przemienionym przez ogień w czarne, niekształtne lalki. Może przeczuwał, spoglądając na nie, nadciąganie epoki, w której miliony ciał miał spotkać los podobny, chociaż nie za sprawą przypadkowego pożaru. Może przeczuwał bomby fosforowe, piece krematoryjne w Auschwitz, pociski zapalające zrzucone później na Londyn czy Drezno, spopieloną pustynię Hiroszimy. Istota ludzka zawsze, w szczęściu i w niedoli, usiłuje znaleźć wewnętrzną równowagę, a jego rozbuchana duchowość, wieczny celibat, rozpaczliwa samotność zdawały się popychać, na zasadzie kontrastu, do kontaktu z tym, co w człowieku najbardziej przyziemne i śmiertelne, z milczącą a przyjazną obecnością trupa. Pragnienie uwznioślenia najczęściej znajduje uzupełnienie w przejawach prozaiczności albo w gwałtownym pociągu względem tego, co wulgarne czy obsceniczne. Może jego obsesja na punkcie zwłok stanowiła symboliczny substytut tajonej żądzы obcowania z nagim ciałem.

Gdy idzie ulicami, dzieci biegną za nim i śmieją się z niego. Wyciąga wielką kolorową chusteczkę, niby odpustowy pajac, i wachluje się nią jak dziwnym motylem. Ze swoją wygoloną czaszką wygląda niczym rzymski cesarz. Zaproszony przez kogoś na obiad nie umie posługiwać się sztućcami i dzieli rybę ręką. Dzieci gospodarzy obserwują go i chichoczą pod surowymi spojrzeniami rodziców. Wyciągnięty przez kolegów na bibkę po koncercie nie rozumie dowcipów. Je i pije zbyt wiele. Opycha się jak prostak, zgarniając z tac kolejne przysmaki. Raz po jakiejś próbie dał dyrygentowi Hansowi Richterowi napiwek, mówiąc mu, by wypił kilka bocków za jego zdrowie. Richter zawiesił talara na łańcuszku od zegarka i zawsze go ze sobą nosił. Jeden z biografów twierdzi, że nie było drugiego takiego geniusza tak bardzo pozbawionego talentu. „Talent porywa tłumy, podczas gdy geniusz syci duszę”, pisze ów hagiograf o subtelnej inteligencji. Ciekawe na przykład, że największy improwizator swoich czasów miał kłopoty z czytaniem nut od ręki, co pozostaje w zasięgu wielu muzyków o uzdolnieniach czysto mechanicznych. Był geniuszem, ale nie miał talentu. Czytanie nut od ręki oznacza umiejętność błyskawicznego zanurzenia się w cudzym dziele, tego zaś on właśnie nie umie.

Zagorzały chrześcijanin, pokorny sługa Pana nie potrafi postawić się na czyimś miejscu. Jest jak dzieci, które żyją w swoim świecie, nie wiedząc o istnieniu całego wielkiego świata poza nim. Może dlatego kobiety nieodmiennie go odtrącały. Przeczuwały, jak pisze kolejny z jego biografów, że nie znajdą w nim towarzysza, że on na zawsze pozostanie odległy, w innym wymiarze, jak gdyby przemierzał rzeczywistość od drugiej strony. Przeczuwały, że będą przy nim samotne. Ale w takim razie skąd u niego ta obsesja na punkcie ożenku? Skąd ta pogoń za bardzo młodymi i bardzo prostymi dziewczętami? Czy był w gruncie rzeczy lubieżnikiem? Czy pożył fizycznej bliskości z młodą kobietą, czy, przeciwnie, pragnął duchowej córki? A może po prostu gospodyni, która ładnie by pachniała i cieszyła oko? Albo sympatycznego towarzystwa, jakie innym zapewniają psy czy koty? Tylko jedna przyjęła jego oświadczenia: Ida Buhz, hotelowa pokojówka. Kiedy wszakże wyszło na jaw, że narzeczona, luteranka, nie zamierza przejść na katolicyzm, od razu z nią zerwał: nie ożeniłby się przecież z protestantką.

W 1887 roku, po niepowodzeniu *VIII Symfonii*, przeżywa załamanie nerwowe. Widzimy go teraz, jak idzie do siebie, wraca z lasu, z pól pod miastem. Znowu przemierza ulice Wiednia, lecz tym razem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Co właściwie robi? Liczy płyty chodnikowe. Nie może przestać. Chce znać dokładną liczbę płyt chodnikowych między rogatkami miasta a progiem swego domu. A jednak mijając jeden z licznych w tym mieście kościołów, urywa nagle rachunek i zagłębia się w inny, jeszcze bardziej skomplikowany. Musi wiedzieć, ile jest gargulców zdobiących ten kościół. Ile jest w nim okien i pilastrów. Okrąża go, całkowicie pochłonięty swoim zadaniem. Myli się i zaczyna od nowa. Nie przestaje myśleć o samobójstwie. I chodzi nie tylko o porażkę *VIII Symfonii*, dzieła jego życia, ale przede wszystkim o niezrozumienie ze strony jego wielkiego rywala i przyjaciela, Hermanna Leviego, który nie pojmuje *VIII Symfonii* i przekazuje mu swoją krytykę przez wspólnego znajomego, Josepha Schalka. Czysta rozpacz, wszystkie objawy neurozy pojawiają się znowu.

Lekarz zaleca mu wypoczynek w Bad Kreuzen, w sanatorium, gdzie spędził już trochę czasu dwadzieścia lat wcześniej. Żadnej gry na fortepianie ani organach. Żadnego komponowania. Żadnej pracy. Zamiast tego, jak poprzednio, zimne kąpiele, zdrowa dieta, spacer i relaksacja. Jego doktor w Bad Kreuzen nazywa się Fadinger. Żadnej nauki, mówi, żadnej pracy. Sprawdzają jego pokój, biurko, kufer w poszukiwaniu groźnego papieru

nutowego. Cierpi na straszliwe podrażnienie nerwów w związku z brakiem uznania dla jego dzieła. Ma potworny kompleks niższości. Czyli nie jest prawdziwym samotnikiem, skoro tak mu zależy na opinii bliźnich. Neuroza przybiera nowe formy. Damy w sanatoryjnym ogrodzie boją się dziwaka, który liczy guziczki przy ich sukienkach. Mocno zbudowany, z ptasią główką, nie umie oderwać wzroku od efektownej wdowy Moser. Zdaje się w sposób wręcz nieprzyzwoity podziwiać jej biust, lecz w rzeczywistości tylko liczy jej guziki. Och, błagam, herr Bruckner, mówi ona, rozgniewana. I każe mu liczyć raczej kwiaty, drzewa, dmuchawce. Aż pewnego popołudnia zjawia się gość. On siedzi akurat w wiklinowym fotelu, korzystając ze świeżych powiewów niosących ze sobą zapach bzu i zwiędłych róż, kiedy nieznajomy podchodzi, wymawia z czcią jego nazwisko i pyta, czy może usiąść obok. Jasne, jasne, mruży on, jak zwykle uprzejmy, skromny i chcący się przypodobać. Skąd my się znamy? – pyta niepewnie. Nieznajomy twierdzi, że w Wiedniu wszyscy znają pana kompozytora, słynnego organistę, niezrównanego improwizatora, nauczyciela, kapelmistrza. On nie wie, czy tamtemu wierzyć. Czuje się mile połączony. Czuje się lekko zbity z tropu. Nieznajomy wspomina o jego upodobaniu do liczb. On uśmiecha się gorzko. Och, tak, mówi. Lekarze nazywają to „numeromanią”. Na początku myślałem, że to niewinna rozrywka, ale podobno bardzo to niebezpieczne, wyznaje. Dlaczego niebezpieczne? – pyta nieznajomy. Opowiada mu o Pitagorasie, o liczbach jako istocie rzeczy. Pyta go (i to jest kluczowe pytanie), czy potrafiłby pisać muzykę właśnie na podstawie liczb. On czuje niepokój. Pan profesor Fadinger zakazał mu pracy, nie pozwala nawet na trzymanie partytur ani papieru nutowego w pokoju. Żadnej, absolutnie żadnej muzyki. Nieznajomy przedstawia się. To hrabia Balázs, węgierski arystokrata, który w młodości służył cesarzowi, obecnie zaś, jak mówi, poświęca się szukaniu prawdy. Z całym szacunkiem, szanowny panie, protestuje on, ale proszę nie zapominać, że prawdę znaleźć można jedynie w Bogu, naszym Panu, i w Jezusie Chrystusie, Jego Synu, a naszym Zbawcy. Hrabia Balázs śmieje się łagodnie i odpowiada: tak, panie kompozytorze, ma pan całkowitą rację, oczywiście, jednakże czy nie myślał pan, że być może to, co nazywamy „Bogiem”, jest w gruncie rzeczy czymś złożonym z liczb? Hrabia Balázs nie rezyduje w sanatorium: składane tu przezeń częste wizyty wiążą się z tym, że jego małżonka, księżna Wilarda Philarda, wysoka brunetka z wyraźnym wąsem, została tutejszą pensjonariuszką po załamaniu nerwowym poprzedzonym kilkoma próbami

samobójczymi. Towarzyszy jej ich córka, panna Delphine, niezwykle piękna dziewczyna, które całe dni spędza na pisaniu listów, a kiedy sądzi, że nikt na nią nie patrzy, rozmawia z kimś niewidzialnym, zapewne z mężczyzną, sądząc po sposobie, w jaki się przy tym śmieje, rumieni i kokietuje. On sam przyłapał ją na tym niejednokrotnie. Widywał, jak siedząc w pustym pokoju, żywo z kimś konwersowała i jak w olszynie nad rzeką, wsparta o pień drzewa i przytulona do kogoś, kogo tam nie było, unosiła spódnicę, by dotykać się między udami. Czy to panna Delphine jest chora? A może choroba panny Delphine szerzy się i wśród innych dziewcząt w jej wieku? Czy to wariatka, czy zwykle skłonne do romantycznych wyskoków dziewczę? Wzrusza go jej młodość i gładkość jej policzków. Wzrusza go nadprzyrodzone piękno jej ud, jedynych, jakie w swoim życiu zobaczy – tej najbardziej intymnej części kobiecego ciała, na zawsze mu niedostępnej. Pragnie wyznać pannie Delphine miłość, poprosić ją o rękę, lecz nigdy nie odważyłby się aspirować do związków z arystokracją. Wszystkie dziewczyny, jakim się oświadcza, pochodzą z gminu. Hrabia Balázs wraca po kilka dniach i znów rozmawiają o muzyce, o liczbach i o tajemnicy wszechświata. Spacerują. Jego wzrok błądzi po fasadzie sanatoryjnego budynku. Ile okien jest w tej fasadzie, pyta zniecierpliwiony hrabia. A on bez wahania udziela mu dokładnej odpowiedzi. Hrabia rozprawia o ciągu Fibonacciego, o sekrecie liczby π , o kwadraturze koła, lecz zaraz odkrywa, że on ledwie za nim nadąża. Nie jest intelektualistą nawykłym do roztrząsania abstrakcyjnych kwestii, nic nie wie o matematyce i, co gorsza, w ogóle się tym wszystkim nie interesuje. Jego upodobanie do liczb okazuje się płytkie, powierzchowne, to zwykła mania, jak stwierdza hrabia Balázs. Niemniej hrabia zdaje sobie sprawę, że chodzi o geniusza, a geniusze mają swoje sposoby na rozwiązywanie problemów. Geniuszom wolno chodzić na skrót. To skrót okupione nieustanną, szaleńczą pracą, ale tak czy owak skrót. Hrabia mówi: panie kompozytorze, ja również, jak pan, wyznaję wiarę katolicką, czczę naszego Pana Jezusa Chrystusa i należę do najpokorniejszych owieczek rzymskiego pasterza. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż Bóg jest bardzo od nas daleko i nie zwraca się do nas w naszym języku. Nie składa nam osobistych wizyt, by nas pocieszyć, ani nie pisze do nas dobrą niemiecką listów z poradami. W dawnych czasach tak robił – przynajmniej wedle świadectwa świętych tekstów. Jednakże, panie kompozytorze, niech mi pan powie: kiedy odczuwa pan najsilniej Jego obecność i istnienie? Och, z całą pokorą, wasza rewerencjo (mówi on, jak zwykle zbyt ceremonialny i w swoim

ugrzecznieniu używający nieistniejących tytułów), kiedy gram na organach oraz kiedy spaceruję po polach i lasach. Hrabia Balázs przytakuje. Język muzyki, mówi, i język świata. Widzi pan, panie kompozytorze? Bóg nie dysponuje bezpośrednim językiem, w którym mógłby z nami rozmawiać, a to ze względu na różnice między Jego a naszą naturą. Dlatego stworzył różne języki: język przyrody, otaczającej nas ze wszystkich stron, język księżyca i słońca, wody i burz, odradzających się wciąż na nowo drzew i kwiatów. To język najprostszy, dostępny dla każdego. Inny to język muzyki. Wszyscy czujemy, że umożliwia nam on komunikację z czymś większym niż my. Wszyscy, nawet ateusze. Co jednak mają te języki ze sobą wspólnego? Znaczący muzyki i znaczący przyrody mówią o jednym: o liczbach. Liczby, panie kompozytorze, to prawdziwy język Boga. Dzięki nim możemy zrozumieć wszelkie tajemnice, tajniki świata i człowieka, powstawania i uwiędnięcia, formy i wzrostu. Dzięki nim możemy zrozumieć każde z praw rządzących naszym światem. Nawet nasza własna dusza rządzi się liczbami. Prawa matematyczne stoją za naszymi namiętnościami, za upadkiem królów, za rewolucjami i bitwami, uczuciami i odrzuceniami. Historia to tylko skutek matematyki, podobnie jak ruch gwiazd czy dręczące nas choroby. Wszystko rządzi się liczbami, bo wszystkim rządzi Boska Opatrzność. A powiedzieć, że wszystko rządzi się liczbami, to powiedzieć zarazem, że wszystko rządzi się muzyką. Wiedzieli o tym już starożytni, panie kompozytorze, choć ta wiedza popadła potem w zapomnienie. Och tak, tyle zdążyliśmy zapomnieć! Wiedział o tym Orfeusz i wiedział Pitagoras, jego uczeń, a od nich dowiedział się Platon. Wiedział o tym Dante i wiedział Goethe, ostatni mędrzec starożytności i pierwszy nowoczesny. On jednak czuje się już otumaniony. Pochlebia mu zainteresowanie tego uczonego, wyrafinowanego dżentelmena, nie przywykł, by wielcy tego świata traktowali go jak równego sobie, ale zarazem nie ma pojęcia, co począć z tymi informacjami ani jak na to wszystko zareagować. Dlatego reaguje w jedyny dostępny sobie sposób. Pokornie oddaje się do dyspozycji waszej znamienitej rewerencji, mówi. Jakiej pomocy oczekuje pan od biednego Bożego sługi? Hrabia Balázs uśmiecha się w duchu. Herr Bruckner, odpowiada, potrzebujemy pana. Szukamy czegoś, pewnego świętego miejsca, i nie potrafimy go znaleźć. Szukamy? Natychmiast wpada w przerażenie. Wyobrażając sobie tajemne stowarzyszenia. Konspiracje. Hrabia Balázs przedstawia się jako członek towarzystwa stworzonego w XVI wieku przez Christiana Rosenkretza, którego ciało od tamtej pory nie uległo rozkładowi.

Owszem, sam to widział: słodki uśmiech fundatora, jego splecione na piersiach dłonie przytrzymujące równie nietkniętą zębem czasu białą różę. On czuje niepokój. Boi się diabła. Żywi przesądny, wioskowy lęk wobec wszystkiego, co niezwiązane ze świętym Krzyżem. Ależ my czcimy Krzyż, jesteśmy chrześcijanami, herr Bruckner. Święty Kościół Apostolski nigdy nie miał nam nic do zarzucenia. Żadni z nas heretycy. Jesteśmy ludźmi nauki, herr Bruckner. Szukamy Boga na inne sposoby. I wiemy, że istnieje na świecie odpowiednie ku temu miejsce, święte miejsce, szczególne, tyle że nie potrafimy do niego dotrzeć. I chcemy, by nam pan pomógł. Ja? Jest zdumiony, ma zawroty głowy, zaraz dostanie ataku nerwowego. Dlaczego ja? Ja nic nie wiem, eminencjo. Nic nie wiem. Skoro potrzebują panowie uczonego muzyka, czemu nie zwrócą się panowie do herr Liszta albo do herr Wagnera? To prawdziwi luminarze naszej epoki. Już to zrobiliśmy, mówi hrabia Balázs, w swoim czasie. Jeździmy po świecie, szukając, wydeptujemy różne ścieżki, pukamy do różnych drzwi. Szukamy, herr Bruckner, miejsca zmartwychwstania. Wiemy, z pewnych starożytnych dokumentów, że istnieje na świecie ogród, gdzie da się spotkać Zbawiciela. Nazywamy go Ogrodem Białej Róży, gdyż ten, kto zdoła się tam dostać i okaże się wystarczająco oczyszczony, zobaczy ponad sobą koronę duchowego kwiatu. Róża zawiśnie nad nim jako aureola, niosąc ze sobą Boże błogosławieństwo. Kto zazna świetlistości Białej Róży, przemieni się wewnętrznie i cały swój mrok ujrzy przemieniony w światło. Jego nieczystość spłonie, w procesie transsubstancjacji obdarzając go nowym życiem. Albowiem dotyk Róży oznacza śmierć i odrodzenie. Śmierć dla tego, co dawne, i odrodzenie dla nowego. To Zbawiciel rodzi się wtedy w naszym sercu. Chrystus. Ktokolwiek tego doświadczy, stanie się mądrością i światłem i będzie odtąd całym sobą służył innym. Zyska nowe moce. Zdoła wznieść się ponad ludzkie ograniczenia, tak jak orzeł wzbija się ponad chmury.

Nie, herr Bruckner, nie mówię panu o „mistyce” w zwykłym znaczeniu tego słowa. To, co chcę powiedzieć, to że wszystkie rzeczy na tym świecie istnieją nie tylko w trzech wymiarach przestrzeni, lecz również w wielu innych. Wedle naszych rachub, stanowiących owoc długich lat ciężkiej pracy, istnieje *dziesięć* wymiarów przestrzeni. A to oznacza, że jesteśmy tu teraz obaj w sposób, którego nasz umysł nie ogarnia. Mówiąc o duszy, wizjach, duchach, duszkach, intuicji czy przeczuciach, odnosimy się w gruncie rzeczy do tych wymiarów, które są częścią naszej rzeczywistości i bynajmniej nie pozostają

nieznane. Sny i sztuka również mają z nim wiele wspólnego. To, co nazywamy „wyobraźnią”, te zdumiewające zbiegi okoliczności, które zdarzają się nam bez przerwy, a na które często nawet nie zwracamy uwagi, to ni mniej, ni więcej, tylko właśnie echo owych ukrytych wymiarów. To, co nazywamy „mystyką”, to ni mniej, ni więcej, tylko inna twarz matematyki, herr Bruckner. Prawa fizyki sir Isaaca Newtona są fałszywe. To znaczy: są niekompletne. Są w stosunku do naszej dziesięciowymiarowej rzeczywistości jak rysunek kwiatu zestawiony z samym kwiatem.

Ale proszę mi pozwolić opowiedzieć sobie o dziesiątym wymiarze, herr Bruckner, najważniejszym ze wszystkich dziesięciu. Niby drobiazg. Jak ziarnko gorczycy we wszechświecie. Nieskończenie mały punkcik. A jednak w tym nieskończenie małym punkciku jest *wszystko*. Ten dziesiąty wymiar nazywamy Białą Różą.

Wielu zostało przez nią przelotnie muśniętych – może w dzieciństwie, może dlatego, że mieli szczęście niepostrzeżenie przemknąć przez ogród, może ze względu na swoje dzieła albo czystość serca. Myślę, herr Bruckner, że pan jest jednym z nich. Ja? Nie posiada się ze zdumienia. I pyta swego niezwykle gościa, co nasunęło mu taką myśl. O, to bardzo proste, odpowiada tamten z uśmiechem. Wystarczy posłuchać pańskiej muzyki, herr Bruckner. Wystarczy posłuchać pańskiej muzyki, by wiedzieć, że pan tam był. Dlatego chcielibyśmy, żeby nam pan wytłumaczył. Chcemy, żeby nam pan wyjaśnił, gdzie znajduje się to miejsce, herr Bruckner. W zamian damy panu, czego pan zapagnie. Och, ja niczego nie pragnę, kłamie on. Owszem, owszem, każdy czegoś pragnie, mówi hrabia. Proszę zdradzić mi największe pragnienie swego serca. Wzniosłe czy niskie, wielkie czy małe – nieważne. Proszę zdradzić mi, czego pragnie pan najbardziej na świecie. Bruckner głęboko wzdycha. Nie ma odwagi się przyznać. Nie ma odwagi powiedzieć tego na głos. Sądzi, że rozczarowałby swego gościa – tego filozofa, alchemika, mistyka, matematyka. Podziwia go tak bardzo, że nie ma odwagi poprosić o to, czego naprawdę pragnie. Żeby Hanslick, wiedeński krytyk muzyczny, przestał się go czepiać. Tego pragnie. Żeby Hanslick przestał wypisywać te okropności o jego muzyce. Nic nie mówi, wstyd mu wspomnieć o Hanslicku przed tym tak wykształconym, tak eleganckim mężczyzną. Jego drobne milczenie stapia się z wielkim milczeniem świata. I milczenie świata spowija ich obu, podobnie jak powiewy od strony gór. Mija czas. Statki przepływają przez morze. Cienie chmur suną po łąkach zbóż. Lata wysuszają dęby i plamą mchem posągi. Później Bruckner umiera.

Później umiera hrabia Balázs. Umiera też panna Delphine, urodziwszy nieślubne dziecko, którego ojca nikt nie zna. Mija czas. Zielenieją znów wiązy. Bociany wracają na dzwonnice kościołów. Czarne bzy obsypują się kwieciami. Chłopi zrywają bzuwitki, przywiązują je do końskich siodła, by odganiały muchy. O zmierzchu babcia Liese przygotowuje napar z bzuwitych liści. Nadchodzi jesień i dziadek zbiera owoce bzu na nalewkę. W bzuwym pniu tkwi sekret wszystkich rzeczy, tajemnica, głębokie i przerażające milczenie. Nikt nie wie, że gdzieś w tym bzu stara kobieta opowiada sny. W jednym z tych snów żyjemy.

Nasze spotkanie z dzikimi

Gdy wróciłem do swoich towarzyszy, zagłębiwszy się znowu w tunel i pokonawszy przedzielające go rumowisko, wszyscy akurat zbierali się do drogi. Niemal odniosłem wrażenie, że zamierzali pójść dalej beze mnie.

– Juan Barbarín! – wykrzyknęła na mój widok Sheila. – Gdzie się podziewałeś, stary?

– Zaczynaliśmy podejrzewać, że zostałeś porwany – powiedział Joseph. – Gdzie byłeś, człowieku?

– Ten tunel nie jest zasypany – oświadczyłem, wskazując w ciemną głąb. – Da się tędy przedostać na drugą stronę.

Już chciałem opowiedzieć im o swoim odkryciu, ale zniecierpliwiony poczułem, że nic ich to nie obchodzi. Bo stało się tymczasem coś, co wprawiło ich w najwyższą ekscytację. Złapali mnie za rękę i pociągnęli do wyjścia z tunelu. W oddali, ku wschodowi, widać było słup czarnego dymu. Wade powiedział, że to godzina albo półtorej godziny marszu. Oto nadarzała się okazja – być może niepowtarzalna – aby odnaleźć dzikich.

Wzięliśmy swoje rzeczy i zostawiliśmy za sobą tunel oraz urwaną autostradę, ostatnie ludzkie ślady w tym miejscu porzuconym na pastwę przyrody, zesłaliśmy w głąb doliny i znów zanurzyliśmy się między drzewa, kierując się w stronę, gdzie dostrzegliśmy dym. Roślinność w tych wyżej położonych dolinach nie była tak gęsta jak w dżungli poniżej, co ułatwiało nam przemarsz, lecz zarazem bardziej odsłaniało nas przed wrogami. Jakąś godzinę zajęło nam dotarcie do ich wioski: ustawionych w kręgu kilku chat lub może raczej jednej długiej chaty, posiadającej tylko jedno wejście i biegnącej po obwodzie koła, przykrytego dachem wszędzie z wyjątkiem części środkowej. Wszystko to obserwowaliśmy z odległości jakichś dwustu metrów, usadowieni na gałęziach drzewa, przekazując sobie kolejno lornetkę. W owej nieosłoniętej przez dach części centralnej płonęło ognisko. Dzieci – Branford, Adele

i Estelle – znajdowały się blisko ognia, przywiązane do jakiegoś słupa, jak zwierzęta, długimi sznurami, które zapewniały im nieco swobody ruchu. Cała trójka siedziała bardzo spokojnie na ziemi. Dzikich nigdzie nie było widać. Czekaliśmy przez chwilę, zdumieni panującym w wiosce bezruchem. Nikt się nie pokazywał, nie widzieliśmy nawet zwierząt domowych – ani ssaków, ani żadnego ptactwa. Wydawało się, że dzicy zostawili dzieci same sobie i znikli.

Nasz plan ratunkowy przedstawiał się prosto: wejść do wioski, uwolnić maluchy i zabrać je z powrotem. Gdyby ktoś nas zaatakował, zamierzaliśmy strzelać. Nie opracowaliśmy lepszej strategii, choć przez pół godziny dyskutowaliśmy na temat możliwego przebiegu akcji. Joseph zaproponował, byśmy poczekali do wieczora, jednakże nie było pewności, że po ciemku wszystko uda się lepiej niż za dnia. Nie znaliśmy terenu i nie dało się wykluczyć, że w ten sposób wystawimy się na jeszcze większe niebezpieczeństwo, mimo że posiadanie broni palnej ewidentnie działało na naszą korzyść. Poza tym akurat tak się złożyło, że dzieci znajdowały się na widoku. Co byśmy poczuli, gdyby dzicy zabrali je dokądś albo rozdzielili? Mielibyśmy ich szukać od chaty do chaty?

Byliśmy bardzo podnieceni, bardzo zdenerwowani. Myślę, że wszyscy czuliśmy się nieprzygotowani do tego, co postanowiliśmy zrobić. Największy spokój przejawiali Wade, Joseph i Gwen, która zachowywała niepojęty dla mnie chłód. Nasze oczy spotykały się kilkakrotnie i za każdym razem szukałem w jej wzroku śladów ciepła z zeszłej nocy, Gwen wszakże najwyraźniej chciała, by nikt się niczego nie domyślił, i unikała moich spojrzeń. W końcu ruszyliśmy ku wiosce. Przodem szli Joseph z Wade'em, dalej Sheila, Christian i ja, na końcu zaś Gwen z Santiagiem. Broń nieśli Wade (remingtona), Joseph (pistolet), Santiago (drugą strzelbę) i Gwen (rewolwer). Sheila, Christian i ja, wyposażeni w noże, mieliśmy za zadanie poprzecinać sznury więżące dzieci. Nie wiedzieliśmy, w jakim zastaniemy je stanie, dlatego zaplanowaliśmy, że Sheila weźmie na ręce Branforda, a Christian i ja po jednej z dziewczynek, żeby wynieść się stamtąd jak najszybciej.

Nadal nigdzie nikogo nie było. Jakiś ptak odzywał się w lesie, wydając odgłosy lekko zbliżone do gładania kury, na co odpowiadało mu pokrzykiwanie innego. Zbliżyliśmy się do kręgu chat schyleni, kryjąc się w krzakach, i weszliśmy do środka jedynym wejściem. Okazało się dość szerokie, bo miało jakieś sześć czy siedem metrów, niemniej wioska w oczywisty sposób stanowiła rodzaj twierdzy, łatwej do obrony,

a jednocześnie doskonale nadającej się na pułapkę. Co do chat – chodziło w rzeczywistości o galerię z dachem rozpiętym między pniami luźno stojących drzew, starannie podwiązanych lianami i, jak mi się zdało, zwykłymi konopnymi sznurami, a podpartym z jednej strony przez bambusowe tyki, między którymi zamocowano ścianki z czerwonego, może sandałowego drewna. Wyglądało to wszystko raczej solidnie. Sam dach, wykonany z kawałków kory oraz palmowych i jukowych liści, skutecznie chronił przed słońcem czy deszczem, nawet jeśli brak wewnętrznych ścian musiał odbierać mieszkańcom wszelką prywatność. Łatwo było sobie wyobrazić, że w społeczności tak odciętej od świata kazirodztwo jest nieuniknione, dzieci zaś wychowuje się wspólnie. Tak, chociaż brzmi to niewiarygodnie, właśnie o takich rzeczach myślałem, zapuszczając się do wioski ostatnich ludożerców na naszej planecie.

Pośrodku tej przestrzeni ujrzelśmy kilka plecionych mat, trochę glinianych naczyń, stertę zgniłych, rojących się od robactwa owoców mango oraz szereg tykw do przechowywania wody, ozdobionych nieudolnymi trójkątnymi nacięciami. Dzieci wciąż siedziały na ziemi przy ognisku, całkowicie nieruchome. Przywiązano je do mniej więcej dwumetrowego słupa, białego w górę i pomalowanego na biało-czerwono, a zwieńczonego niewielką czaszką zwierzęcia, może warana albo dużego węża. Podeszliśmy bliżej. Bezruch maluchów był dziwny, nienaturalny. Nagle pomyślałem, że one nie żyją i że usadzono je tutaj, podpierając ukrytymi pod ubraniem kijkami, mimo że chodziło już o zwłoki, od dawna martwe i wyjedzone przez mrówki. Jednakże wyjaśnienie okazało się inne, jak stwierdziliśmy natychmiast, stając przy dzieciach i szepcząc ich imiona. Mieliśmy oto przed sobą zwykłe lalki, przebrane w odzież porwanych i upozowane tak, że siedziały po turecku z pochylonymi głowami. Wade pchnął stopą jedną z fałszywych dziewczynek, która przewróciła się na bok. Za głowę służył jej pobielony kokos, do którego przymocowano rodzaj blond peruki zrobionej zapewne z włókien roślinnych podobnych nieco do wąsów kukurydzy. Białą sukieneczkę wypchano słomą. Trąciłem nogą lalkę wyobrażającą Branforda, a ona też upadła na ziemię.

– To pułapka – powiedział wtedy Wade, rozglądając się dookoła. – Zastawili na nas pułapkę.

Tyle że było już za późno. Nie zdążyliśmy się wycofać. Znajdowaliśmy się na środku tej zamkniętej przestrzeni, w części pozbawionej dachu, osaczeni przez dzikich, którzy wysypywali się ze wszystkich stron. Musieli się

wcześniej gdzieś pochować, może w dołach przykrytych matami, cierpliwie czekając, aż złapiemy przynętę. I teraz otaczało nas jakichś trzydziestu mężczyzn o bardzo ciemnej skórze, uzbrojonych we włócznie, łuki i strzały, przy czym zdziwiło mnie, że żaden nie zdradzał szczególnie wojowniczych zamiarów – nie potrząsał dzidą ani nie mierzył do nas z łuku czy procy. Instynktownie zbiliśmy się w ciaśniejszą grupkę, plecami do siebie, gotowi w razie czego walczyć. Usłyszałem potrójny trzask odbezpieczanej broni.

– Nie strzelajcie – rzucił Wade. – Wciąż możemy wyjść stąd cali i zdrowi.

Gwen nie przyłączyła się do nas, stała kawałek dalej. I zniemacka zrobiła coś bardzo dziwnego: dopiero teraz odbezpieczyła rewolwer, uniosła go i wymierzyła w skroń Wade’a, podchodząc do niego bardzo blisko.

– Rzućcie broń – poleciała. – Nie ma na co czekać. Rzućcie ją na ziemię.

– Co ty wyprawiasz, Gwen? – spytał Wade, zwracając się w jej stronę. – Co ty, do cholery, wyprawiasz?

– I tak jest rozładowana – dodała Gwen. – Więc nie zadawajcie sobie niepotrzebnego trudu.

Nie pojmowałem, co się dzieje. Sytuacja była tak dziwaczna i niezrozumiała, że miałem ochotę parsknąć śmiechem, jakby chodziło o jakiś żart.

– A twój rewolwer, Gwen? – zapytał wówczas Joseph. – Też jest rozładowany?

Gwen uniosła rewolwer i wystrzeliła w powietrze. Później znowu wycelowała w głowę Wade’a. Huk sprawił, że aż podskoczyłem. Kilka ptaków zerwało się z krzykiem z pobliskich drzew. Dobiegło nas też szczekanie psa.

– Co ty wyprawiasz, Gwen? – powtórzył Wade, zupełnie nieruchomy, sztywny pod dotykiem gorącej lufy. – Kim ty, do cholery, jesteś? Co to wszystko znaczy?

– Rzućcie broń na ziemię – upierała się Gwen. – Nie ma czasu do stracenia.

Usłuchaliśmy, odkładając kolejno swoje strzelby, pistolet, noże i scyzoryk. Gwen wskazała coś Wade’owi czubkiem buta, więc pochylił się powoli, uniósł nogawkę spodni, wyjął z pochwy nóż umocowany na łydce i również odłożył go na ziemię. Kilku dzikich zbliżyło się po broń. I wtedy zobaczyłem, że jest z nimi – za nimi – George. Początkowo go nie zauważyłem i nie wiem, skąd się wziął, niemniej zakładam, że był wśród nich przez cały czas. Ubrany tak jak wtedy, gdy mieszkał z nami: w bawełnianą koszulkę, sprane dżinsy

i sportowe buty, wyglądał identycznie, jednakże niespodziewanie ujrzałem w nim kogoś zupełnie innego niż ten uprzejmy, pozbawiony wyrazu młodzieniec, który jeszcze niedawno całymi dniami pomagał Lizzie w opiece nad dzieckiem. Coś się w nim zmieniło – w jego spojrzeniu, w jego gestach, w jego postawie. Zdumiałem się jego aktorskim talentem, albowiem obecnie widziałem w nim coś zimnego, zmysłowego i dziecięcego zarazem, czego nie dostrzegłem nigdy wcześniej. Nie wiem, chyba skojarzył mi się z pewnym typem przestępców: tych, co to mają wielkie oczy dziecka i uśmiechają się niewinnie swoimi pełnymi, różowymi ustami. Gwen kazała nam uklęknąć i założyć ręce za głowę. Ona też przeszła metamorfozę. Zaskakiwało mnie jej obeznanie z bronią, które od razu nasuwało człowiekowi myśl o przestępczości zorganizowanej albo o siłach zbrojnych, nawet jeśli nadal byłem przekonany, że Gwen jest naukowcem. Nie wyglądała na najemniczkę ani kryminalistkę; wyglądała właśnie na tą, którą przed nami udawała: na doskonale wykształconą specjalistkę w swojej dziedzinie. A jednak coś sprawiło, że w pewnym momencie uległa przemianie. Gdzie to się stało? Już na wyspie czy wcześniej? Co do broni – mogła nauczyć się strzelać nawet w dzieciństwie i później starannie kultywować tę umiejętność. Czym innym wszakże jest jeździć na wieś i tam celować do butelek albo nawet polować na cietrzewie czy daniele, czym innym zaś odbezpieczać rewolwer, by na chłodno przystawić go do skroni człowiekowi. Dzicy tymczasem odebrali nam plecaki, zapasy wody i wszystko inne, na czele z obfitymi zapasami amunicji. George przechadzał się dookoła, przypatrując się nam z rękami na biodrach. Dziwnie się prezentował w tej pozycji, która u części mężczyzn wygląda samczo i arogancko, u niego zaś uderzała jakąś miękkością, niemal zniewieściałością. Było jasne, że to on tu dowodzi, ale nie robił na mnie wrażenia głównego przywódcy. Nie miał aparycji ani charyzmy lidera.

– Co z nimi zrobimy? – zapytała go Gwen, nadal trzymając Wade’a na muszce.

– Niech to szlag, nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia. Szkoda, że nie ma z nami Abrahama.

– Oni byli gotowi wszystkich tu pozabijać – rzuciła Gwen. – Byli gotowi do nas strzelać. Ci kolesie są całkowicie obłąkani.

– *My* jesteśmy obłąkani? – oburzył się po cichu Santiago. – Kurwa, stary...

– Kim wy, do diabła, jesteście? – spytał wówczas Joseph. – Kim jesteście? O co wam chodzi?

– Zamknij się! – Gwen wycelowała broń prosto w jego twarz. – Nic nie mów! Siedź cicho! Nie chcę nikogo z was słyszeć! Jak się któryś odezwie, wpakuję mu kulkę!

Sytuacja była tak dziwaczna, że wszystkich nas chyba sparaliżowało z zaskoczenia. Teraz mierzyło do nas jeszcze sześciu czy siedmiu dzikich, toteż Gwen w końcu opuściła broń.

– Ty też z nami nie leciałaś, prawda, Gwen? – odezwał się Wade, przyglądając się jej zmrużonymi w szparki oczami. – Zakradłaś się między nas, żeby poznać nasze zwyczaje. Ale po co? Jesteśmy rozbitkami. Doskonale o tym wiecie. Nie trafiliśmy tu z własnej woli. Mieliśmy wypadek.

– Mówię ci, żebyś się zamknął! – powiedziała Gwen. – Nie chcę słyszeć waszych głosów!

– Chcemy z powrotem nasze dzieci – oznajmił Wade. – Chcemy wiedzieć, co się stało z małym Seymourem.

Wtedy George wyjął z kieszeni coś podobnego do okaryny i zaczął grać. Dobrze mu to wychodziło – nawet na instrumencie o tak ograniczonych możliwościach dźwiękowych zdołał zagrać egzotyczną i smutną melodię, która powtarzała się raz za razem. Trwało to dosyć długo. Popatrywaliśmy po sobie, nie mając pojęcia, co począć. Klęczeliśmy wszyscy na ziemi, z rękami za głową – tak jak widywałem to często w wiadomościach, kiedy była mowa o partyzantce w Kolumbii albo o jakiejś rewolucji w Afryce – w otoczeniu palm i uzbrojonych krajowców, słuchając, jak ten dziwaczny typ gra na glinianej okarynie. Nie rozumiałem, czemu robi to tak wytrwale. Nie grał, rzecz jasna, dla nas, lecz i nie dla własnej rozrywki ani dla zabicia czasu. Pomyślałem, że dźwięk okaryny to pewnie jakiś sygnał czy wezwanie, nie niósł się wszakże zbyt daleko i poza kręgiem chat nie mógł być już chyba słyszalny.

W wiosce trwała ożywiona krzątanina. Wyglądało na to, że dzicy zbierają się do drogi. Przysłuchiwałem się ich rozmowom i śmiechom, i brzmiało mi to znajomo. Nagle dobiegło mnie głośnie *Holy cow!* i zdałem sobie sprawę, że oni mówią po angielsku. A zatem dzicy wcale nie byli tacy dzicy i choć niektórzy wyglądali na Maorysów czy ludzi Wschodu, większość należała do rasy białej i tylko pomalowała sobie skórę. Cała ta wioska, te włócznie, dzidy, proce, łuki i strzały, te przepaski biodrowe i naszyjniki, słup zwieńczony czaszką warana – wszystko to stanowiło dekorację, część skomplikowanego przedstawienia. Obserwowałem zafascynowany, jak podrabiane dzikusy

zdejmują ozdoby z piór i muszelek, by przebrać się w dżinsy i podkoszulki. Zobaczyłem, że dwóch z nich niesie dokądś ogromnego wilka, który okazał się po prostu wypchany i miał oczy z żółtawych szkiełek. Czyli tak wyglądała prawda o naszych krwiożerczych kanadyjskich wilkach. Niespodziewanie przypomniałem sobie to, co ktoś napisał na ścianie jednego z opuszczonych budynków nieopodal anteny radiowej: nic nie jest tym, czym się wydaje.

– Nie ma na nich sposobu – mówiła tymczasem Gwen do George’a. – Spędziłam z nimi więcej czasu niż ty i naprawdę nie wiem, co z nimi zrobić. To prawdziwe bestie. Nie sposób ich powstrzymać.

– Widzieliście tamto ciało obdarte ze skóry? – spytał George.

– Poprowadziłam ich tam najkrótszą drogą – odrzekła Gwen. – Ale zdaje się, że tylko ich to nakręciło. Nie dało się ich utrzymać z daleka.

– Spotkali tamtą stewardesę? – dopytywał George.

– Jasne, że spotkali. Pojawiła się we właściwym momencie.

– I przekazała im wiadomość?

– Tak. Trochę trwało, zanim odzyskała mowę, ale później powiedziała, co trzeba.

– Czyli wiadomość przekazała.

– Tak.

– Kto, twoim zdaniem, im przewodzi? – chciał wiedzieć George.

– Erickson i Langdon – odparła Gwen, wskazując Wade’a i Josepha. George skinął głową, jak gdyby zgadzał się z jej osądem. – Ale chętnych do tej roli jest wśród nich wielu, i to bardzo różnych. Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z podobną bandą szaleńców. Przy czym najgorszy ze wszystkich wydaje się Erickson. Bije innych na głowę.

– W porządku – rzucił George.

Następnie stanął przed nami, znowu z rękami wspartymi na biodrach, i przesuwając po nas kolejno wzrokiem, jak gdyby szukając słów, by do nas przemówić. W tamtym momencie zyskałem pewność, że to nie on tym wszystkim kieruje – że on jest w gruncie rzeczy płótką, wyniesioną trochę ponad innych ze względu na brak lepszych kandydatów. Mówił stanowczo i jego groźby brzmiały twardo jak wystrzały, nie ulegało jednak wątpliwości, przynajmniej dla mnie, że ta jego pewność bierze się nie z niego samego, lecz z czegoś, co znacznie go przerasta.

– Chcę, żebyście posłuchali mnie bardzo uważnie – powiedział, a jego oczy zalśniły tym uśmiechem, który poprzednio brałem za wyraz dobroci serca,

teraz zaś uznałem za perwersyjny i złowieszczy. – I nie życzę sobie, żebyście mi przerywali. Wy milczycie. Głos mam tylko ja, jasne? No i Carmen – dodał, zwracając się ku swojej towarzyszce i dotykając jej dłoni w sposób, który nie umknął ani mnie, ani chyba Wade’owi. – Wy znacie ją jako Gwen. A więc dobrze: głos mamy tylko ja i Gwen. Tylko my dwoje. Wy macie milczeć. To pierwsza zasada. Przede wszystkim musicie wiedzieć, że nie dostaliśmy zgody, by was zabić. Zresztą nie chcemy was zabijać ani wyrządzać wam żadnej krzywdy. Trzeba, żebyście zrozumieli, że chcemy być rozsądni. Tyle że wy nie możecie zachowywać się dalej tak jak do tej pory. Tutaj obowiązują pewne zasady i należy ich przestrzegać. Kto ich nie przestrzega, umiera. Jasne? Ciągłe nie wiemy, co was tu sprowadziło. Ale nie chcemy was tutaj. Jasne? Ta wyspa ma właściciela. Jej właścicielem jesteśmy *my*. To *nasza* wyspa, a wy nie zostaliście na nią zaproszeni. Sądzę, że to dość proste do zrozumienia. Ponadto niepodlegające dyskusji. Nikt was tutaj nie zapraszał, prawda? Nie. – George gestem powstrzymał pragnącego odpowiedzieć Santiaga. – Nie chcę odpowiedzi. Nie chcę słyszeć waszych głosów. Jesteście tu, żeby słuchać. Kto nie będzie posłuszny, dostanie kulkę. Sądzę, że wyrażam się jasno. Wróćcie na swoją plażę, do tej swojej niby-osady, i tam zostaniecie. Jeśli zobaczymy was gdzieś indziej, będziemy strzelać. Na razie możecie mieszkać u ujścia tamtej rzeki, ale nie wolno wam badać wnętrza wyspy ani nawet wybrzeża. Jeśli to zrobicie, z łatwością was znajdziemy i wystrzelamy jak kaczki. Wy zabiliście już jednego z naszych. Ron wyszedł pewnego ranka z domu i więcej nie wrócił. My nie tknęliśmy nikogo z was. Zabiliście jednego z naszych, więc zgodnie z logiką powinniśmy zabić któregoś z was, w ramach zemsty. Ale nie zrobimy tego. Nie jesteśmy mściwi. Zemsta nas nie interesuje. To prawda, że musieliśmy trochę popracować nad tamtą stewardesą. To prawda. Tyle że to była konieczność. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Nie uczyniliśmy tego dla rozrywki. Musieliśmy popracować nad tamtą stewardesą, trochę ją pomęczyć, żeby się dowiedzieć, co się, u licha, dzieje. To była sytuacja wyjątkowa. Zresztą to tylko ból. Ból jest czysto fizyczny. Nie zrobiliśmy nic, z czego nie można by się podnieść. Rany się zablizniają. Za kilka tygodni nie będzie po tym wszystkim śladu.

– Oni ci nie wierzą – powiedziała Gwen, unosząc dłoń do piersi, gdzieś na wysokość serca.

George spojrział w to miejsce, z początku nie rozumiejąc.

– A, tak – załapał w końcu. – Musieliśmy ją operować. Miała guza

w piersi. Zlokalizowaliśmy go i wycięliśmy. Mam nadzieję, że to dowodzi naszych zasadniczo dobrych intencji.

– Skąd wiedzieliście o tym guzie? – rzucił Joseph. – Gdzie i jak przeprowadziliście operację?

– Nie odzywajcie się – odparował George. – Jeśli któreś się jeszcze odezwie, konieczny stanie się knebel. Chcecie tego? Więc nie życzę sobie więcej słyszeć waszych głosów. Jeśli któreś powie coś na głos, strzelimy mu w nogę. Jasne? Chcecie, żebym strzelił któremuś z was w nogę i udowodnił w ten sposób, że nie żartuję?

Wziął od Gwen rewolwer i celował w nas kolejno, jakby się wahając, kogo wybrać.

– A Billy Higgins? – spytałem wtedy.

– Mam ci strzelić w nogę? – warknął George. – Głuchy jesteś? Nie rozumiesz po angielsku?

– Billy Higgins to była pomyłka – odpowiedziała Gwen, nie patrząc mi w oczy. – Ale co oni mieli zrobić? Strzelaliście do nich! Stworzyliśmy watahę ogromnych wilków, żeby was przestraszyć i żebyście zostali na swojej plaży, ale nie: nic nie jest dla was zbyt straszne. Więc wybraliście się na polowanie! Niech was szlag! Billy Higgins stracił rękę, Ron natomiast stracił życie!

– Co za Ron? – spytał szeptem Santiago.

– Koniec tej rozmowy – oświadczył George. – Kto się następny odezwie, ma kulkę w nodze. Jasne?

Umilkliśmy. Gwen i George oddalili się o parę kroków i zaczęli między sobą szeptać. Gwen wskazywała na niebo i coś tłumaczyła, a on przytakiwał. W pełnym słońcu upał panował niemiłosierny i umierałem już z pragnienia. Nie ruszaliśmy się jednak. Nie mieliśmy odwagi, by choćby spojrzeć sobie nawzajem w oczy. Wokół kręciło się siedmiu czy ośmiu podrabianych dzikusów z bronią. Aż do tego momentu żaden z nich jeszcze się nie odezwał.

– Zagadaj do Gwen – mruknął ku mnie Wade. Klęczał po mojej prawej stronie i mówił, prawie nie poruszając ustami.

– Co?

– Zagadaj do niej o ostatniej nocy.

– Co takiego?

– Ostatnia noc, John. Spaliście ze sobą, nie?

Ostatnia noc. Poprzedni dzień. Nasza wspólna kąpiel nago w rzece. Wgapione we mnie czerwone sutki Gwen. Jej język w moich ustach. Jej uda

zaplecione wokół moich bioder. Ja w jej wnętrzu.

– Po co? – spytałem.

– Zrób to – odparł Wade. – Ona się z tobą przespała. To może przysporzyć jej kłopotów.

– On powiedział, że będzie strzelał.

– Nikt do nikogo nie strzeli – zapewnił Wade.

– Czyli masz na imię Carmen – powiedziałem głośno.

Gwen i George dyskutowali tak zażarcie, że za pierwszym razem chyba mnie nie usłyszeli.

– Carmen – zawołałem. – Wy tłumacz mi, proszę, co właściwie zdarzyło się ostatniej nocy.

Obróciła się, by na mnie popatrzeć, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Dlaczego się ze mną przespałaś?

Słyszając te słowa, George wytrzeszczył oczy. Nie wiem, czy zdawał się rozbawiony czy wstrząśnięty tym, co powiedziałem, tak czy owak znów wziął się pod boki tym swoim dziwnie zmanierowanym, wręcz kobiecym gestem. Gwen sięgnęła po rewolwer, podeszła do mnie, uniosła go, odbezpieczyła, starannie wycelowała i strzeliła mi w lewą stopę. Kula zgruchotała kości i poprzerywała ścięgna śródstopia, po czym wyleciała z drugiej strony. Zacząłem krzyczeć i tarzać się po ziemi. Zdaje się, że kwiczałem jak świnia. Odnosiłem wrażenie, że tę stopę mi odcięto albo że ktoś przypieka ją ogniem. Ból był nie do zniesienia, więc zemdlałem.

Wraca Cristina

Opowiem, jak wyglądało nasze ponowne spotkanie. Minęło pięć lat. Pewnego dnia mój ojciec rzucił przy obiedzie, że Juan Villar wraca z rodziną do Hiszpanii. Czy raczej: już wrócił. Od tygodnia przebywali wszyscy w Madrycie, co w języku mojej nastoletniej krwi znaczyło, że Marianne od tygodnia rozbiera się i kładzie do łóżka w moim mieście. Ta wieść wybuchła jak słońce tuż nad jadalnianym stołem i nad półmiskiem ze spaghetti bolognese, którego zapach mieszał się z wonią pelargonii świeżo zasadzonych w donicach na tarasie. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziąć i czy się martwić, czy cieszyć. Oba aromaty – zapach makaronu i woń kwiatów oraz spulchnionej ziemi – zdawały się przydawać całej scenie wyjątkowej, tajemniczej intensywności, jak to się zdarza niekiedy w powieściach.

Villarowie wrócili. Teraz jednak mieszkali już nie w Pozuelo, lecz przy ulicy Príncipe de Vergara, nieopodal placu Colombia, kilka przystanków autobusowych od nas. Mieli się odezwać na dniach, „jak tylko się urządują”. Ja wszakże nie musiałem czekać na ten hipotetyczny zlot dwu rodzin. Mogłem zadzwonić do Cristiny w każdej chwili. Sam pomyślałem, że to możliwe: podejść do telefonu, wykręcić numer i porozmawiać, wydawał mi się egzotyczny i ekscytujący. Zastanawiałem się, jak Cristina obecnie wygląda. Z pewnością bardzo się zmieniła – i fizycznie, i w środku. Tak czy owak, upływały dni i tygodnie, a ja do niej nie dzwoniłem. Gdy się ostatnim razem widzieliśmy, ja miałem lat trzynaście, a ona jedenaście. Byliśmy dwojgiem dzieci, a teraz osiągnęliśmy już niemal dorosłość. Czy miało sens znów się spotykać? Nie dało się wykluczyć, że nic nas już nie łączy.

Ignacio i ja też się trochę przez te lata od siebie oddaliliśmy, chociaż obaj studiowaliśmy w madryckim konserwatorium i widywaliśmy się niekiedy w kuluarach starego budynku Opery albo umawialiśmy w Mnichu lub w tawernie Pod Halabardnikiem na piwo. Ignacio miał wówczas dziewczynę:

dwa lata starszą od niego blondynkę, która grała na skrzypcach i nosiła imię Silvana. Jej matka była Włoszką, a Ignacio sypiał z obiema – i z Silvaną, i z jej matką. Opowiadał mi o tym pełen rozterek, powtarzając, że Susanna, matka Silwany, uwiodła go trzy lata wcześniej, kiedy był jeszcze prawiczkim, i że teraz nie znajduje sposobu, by z nią zerwać. Gdyby Silvana się o tym dowiedziała, kompletnie by się załamała, powtarzał, tyle że kto oparłby się pokusie seksu z doświadczoną i skorą do eksperymentów mężatką znajdującą się w dodatku w rozkwicie urody? Och, Ignacio, gdybyś wiedział! Język mnie świerbił, ale mimo wszystko nie zdradzałem swojego sekretu.

Powiedziałem Ignaciowi natomiast, że Cristina wróciła, a on wykazał pewne zainteresowanie, choć możliwe, że tylko przez grzeczność. Ignacio żył w terażniejszości. Nie przejawiał skłonności do nostalgii albo też nostalgia była u niego stanem krótkotrwałym.

Teraz wydaje mi się to śmieszne, niemniej faktem jest, że w tamtym okresie dzielił nas głupi konflikt natury estetycznej. Ignacio uchodził za „nowoczesnego”, ja zaś, wedle jego opisu, byłem „romantycznym wstecznikiem”. Dla niego muzyka zaczynała się od *Pierrot lunaire* Schönberga, a dla mnie kończyła się na jego *Gurre-Lieder*. Dla mnie Anton Webern był diabłem, a dla niego bogiem. Ja broniłem systemu tonalnego, a on go nienawdził. „Ty lubisz muzykę *ładną*”, zarzucał mi z gniewem. „Lubisz *przyjemne* dźwięki”. Ja uważałem, że on staje po stronie brzydoty, nudy i awangardowego snobizmu i jest nie artystą, lecz teoretykiem sztuki.

I wtedy pewnego dnia po prostu do Cristiny zadzwoniłem. Był słoneczny poranek u schyłku lata: w takich magicznych momentach Madryt wydaje się turkusowo-złoty, a psy wciąż radośnie biegają po ulicach. To musiała być sobota, bo nie miałem zajęć. Albo może miałem zajęcia później. Bałem się, że odbierze Marianne, ale odebrała Cristina. Z przyzwyczajenia rzuciła:

– *Hello?*

– Cześć, Cristina – powiedziałem, udając swobodę. – Z tej strony Juan Barbarín.

– Wiem – odparła wesoło.

Jej głos brzmiał jak dawniej, jednakże zyskał nową melodyjność. Wydał mi się wyjątkowo sympatyczny, ciepły i kobiecy. Kojarzył się z gałązkami mięty i z ciastem rabarbarowym, z pociągami przemierzającymi Europę, ćwiczeniami akrobatycznymi na zamkniętych basenach i ogrodowymi trampolinami. No i w tym „wiem” było tyle szczęścia... Uznałem za

niemożliwe, by to szczęście wiązało się wyłącznie z moim telefonem, i wyobraziłem sobie, że zaskoczyłem Cristinę w trakcie rodzinnego przyjęcia albo spotkania z przyjaciółmi. Tyle że ona nie miała wówczas przyjaciół w Madrycie.

Zamierzałem powiedzieć coś w stylu: „Pamiętasz mnie?” albo: „Mam nadzieję, że mnie pamiętasz”, albo nawet jakieś nudziarstwo o „starym przyjacielu z dzieciństwa”, z moich ust wszakże wydobyło się jedynie:

– Pójdziemy na spacer?

Dziwnie to zabrzmiało po pięciu latach bez żadnego kontaktu. Ale Cristina się nie zdziwiła.

– Tak, świetny pomysł! – wykrzyknęła. – Tylko dziś nie mogę. Jutro?

Później wyznała mi, że tamtego popołudnia nie miała nic, ale to nic do zrobienia i że spędziła je, a to leżąc na łóżku w swoim pokoju, a to szciotkując włosy, a to specjalnie zadając sobie ból, żeby się ukarać za własną głupotę. Tak czy owak umówiliśmy się na kolejny dzień w parku Berlińskim, na rogu ulic Ramón y Cajal i Príncipe de Vergara.

Cristina dorosła. Przestała być dzieckiem. Na mnie jednak wciąż robiła wrażenie dziewczynki. Chodzi mi o to, że kiedy ją zobaczyłem, zdziwiłem się, jak mało się zmieniła. Była wyższa niż kiedyś, przemieniona w szesnastoletnią kobietę. Miała jasną cerę, czarne włosy oraz intensywnie różowe policzki i usta, zupełnie jak Królewna Śnieżka. Była wyjątkowo piękna. A mimo to miała w sobie coś z dawnej dziewczynki: coś dziecięcego, naiwnego, delikatnego. Sądziłem, że z wiekiem to minie, ona zaś stanie się naprawdę dorosłą kobietą, lecz się myliłem. Lata upływały, a ona ciągle przypominała dziewczynkę – i tak niemal do trzydziestego roku życia.

Weszliśmy do parku i spacerowaliśmy wte i wewte pośród kasztanowców i wawrzynów, rozmawiając z zadziwiającą swobodą. Zupełnie jakbyśmy nigdy nie przestali się widywać, choć w rzeczywistości byliśmy dwojgiem obcych ludzi i prawie nic o sobie nawzajem nie wiedzieliśmy. Ja mówiłem i mówiłem, i Cristina powiedziała mi później, że sama specjalnie umilkła, bo widziała, że potrzebuję tego: zaimponować jej swoimi słowami, gdyż mężczyźni zawsze tego potrzebują: snuć przed zasłuchanymi kobietami długie i kwieciste wywody. Zmęczyliśmy się tym spacerem, więc usiedliśmy na trawie i nagle nie wiedzieliśmy, co mówić dalej. Nie z braku tematów, lecz ze względu na nadmiar wrażeń i uczuć. Ściemniało się, tu i ówdzie błyskały robaczki świętojańskie. Cristina powiedziała, że zawsze jej się wydawało, iż

robaczki świętojańskie to w gruncie rzeczy wróżki. W ten sposób już owego pierwszego wieczoru odkryłem jej obsesję na punkcie tego drobnego magicznego ludku. Na punkcie małych *sídhe* z hrabstwa Comarleagh, mieszkańców Krainy, kuleczek światła tańczących wśród liści. Spytałem, czemu to wszystko tak ją interesuje, a ona odparła, że Hiszpanie nie bardzo rozumieją, kim są wróżki. Że to żadne tam dziecinne stworzenia z kolorowymi skrzydełkami, tylko skomplikowana, pełna sprzeczności rasa złożona z bardzo różnych istot: tak świetlistych, jak mrocznych, tak dobrych, jak dziko okrutnych. Że wróżki prawie nigdy nie bywają łagodne i czułe, gdyż to cechy czysto ludzkie, chociaż taki właśnie obraz przekazują nam wciąż od nowa filmy Walta Disneya, pełne moralizatorek, jak wróżka w *Pinokiu*, lub małych kokietek w rodzaju *Dzwoneczka z Piotrusia Pana*. Że wróżki to raczej psotnice, wolne, buntownicze, nieokiełznane, groźne, nieskończenie piękne i emanujące mocą czerpaną wprost z natury. Wyjaśniła, że angielskie słowo *fairy* oznacza nie tylko wróżkę, ale i duszka – wszystkie istoty związane z tym, co ukryte, tajemnicze, znajdujące się poza sferą racjonalności. Długo opowiadała o Morrigan i o banshee, o „wrózkach” w żeńskiej i męskiej postaci, młodych i starych, o ich królu i królowej, i o klątwach, karach i zemstach. I o grze zwanej *hurley*, w którą mieszkańcy Krainy zwykli grywać na leśnych polanach, i o ich upodobaniu do kraciastych kamizelek, czerwonych spódniczek i złota oraz pereł. Oświadczyłem, że aż z tego wszystkiego zgłodniałem, i zaproponowałem, żebyśmy poszli coś zjeść. Cristinę mój pomysł zachwyił – tak, „zachwyił” to właściwe słowo – i ten jej zachwyit zbił mnie odrobinę z pantafyku. Oznajmiła, że zawsze ufała osobom rozsądnie podchodzącym do jedzenia i że jedzenie jest dla niej bardzo ważne. To zapewnienie zabrzmiało dość zaskakująco, zwłaszcza w kontekście niedawnych, wręcz uczonych rozważań o Istotach z Krainy, jak przywykłem je od tamtej pory określać (Kraina to nieodmiennie Kraina Wczoraj, Kraina Lata, Kraina Nieznająca Śmierci i Zapomnienia albo inaczej Kraina Tarniny i Dębu, Kraina Wiatru w Olszynie, Kraina Cienia Kwiatów, Kraik-Tuż-Za-Rogiem, Kraina Spod Spodu, Kraina Wrózek). Cristina spytała, dokąd ją zabiorę, a ja znienacka poczułem ciężar nadmiernej odpowiedzialności. Wymieniłem drogą restaurację, która znajdowała się w pobliżu, tyle że żadne z nas nie miało pieniędzy. Cristina rzuciła, że chyba zwariowałem i że pierwszy lepszy bar będzie w porządku. Poszliśmy do lokalu pod nazwą Rocky, usiedliśmy w środku i złożyliśmy zamówienie. Nie pamiętam, co dokładnie zamówiliśmy

– może krewetki z patelni i ziemniaczaną tortillę. Cristinie wszystko bardzo smakowało. Wzięliśmy też dla mnie piwo, a dla niej moszcz. Spytałem, czy to ulubiony napój wrózek. Spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem i spytała z kolei, czy pijąc piwo, czuję się ważny. Odrzekłem, że w ogóle rzadko czuję się ważny. To wyznanie chyba mocno ją zdziwiło.

– Czemu się nie czujesz? – spytała.

– A czemu miałbym się czuć? – odparłem. – Niczego dotąd nie dokonałem i nie sądzę, bym kiedykolwiek dokonał.

– Skąd wiesz? – drążyła, wpatrując się we mnie swoimi wielkimi ciemnymi oczami.

– Bo to nie leży w moim charakterze. Ja jestem jak koty, wiesz? Lubię wygrzewać się w słońcu. Dobroci przezabawna! – zażartowałem, naśladując rzekomą angielszczyznę Asteriksa bawiącego z wizytą w Brytanii. – Tylko wygrzewać się w słońcu.

– Wcześniej taki nie byłeś, Juanie Barbarín – stwierdziła Cristina.

– Chciałabyś odwiedzić ulicę Olmos, swój dawny dom w Pozuelo? – zagadnąłem, żeby zmienić temat.

– Już o tym myślałam – przyznała. – Ale nie umiałabym sama tam dotrzeć.

Pojechaliśmy razem w weekend, autobusem z Moncloa, i wysiedliśmy strasznie daleko od miejsca, gdzie zaczynała się ulica Olmos. Nie rozpoznawaliśmy niczego wokół. Pozuelo zmieniło się przez te lata: mniej było w nim wolnych działek, mnie wolnej przestrzeni. Na przedmieściach wyrastały kolejne osiedla.

Po długim błędzeniu dotarliśmy w końcu tam, gdzie mieszkali kiedyś Villarowie, jednakże willę zajmowali teraz inni najemcy i nie mogliśmy pomyszkować choćby w ogrodzie. Zbliżyliśmy się do ogrodzenia domu naprzeciwko, zamieszkanego dawniej przez rodzinę Recalde'ów, ale i tu mieszkał już ktoś inny. Jakaś kobieta patrzyła na nas nieprzyjaźnie z okna kuchni, gdzie tyle razy piliśmy na podwieczorek mleko, zagryzając je imbirowymi ciasteczkami wypiekanymi przez Patricię, matkę Ignacia, wedle przepisu, który otrzymała od Marianne. Ruszyliśmy więc w stronę przylegającej do ogrodu Villarów opuszczonej parceli z naszą Łąką i domem. Ku naszemu zaskoczeniu okazała się znowu porzucona. Potem dowiedzieliśmy się, że Panurowie – rodzina poety – wynieśli się stamtąd po jego śmierci i że jego dzieci walczą między sobą o spadek. Pokonaliśmy ogrodzenie i pokręciliśmy się po ogrodzie, który tyle razy gościł nas w dzieciństwie, lecz

Łąki nie zdołaliśmy odnaleźć. Co było zresztą dziwne, albowiem oboje zapuszczaliśmy się na nią setki razy i oboje doskonale pamiętaliśmy jej dokładne położenie i wygląd całego ogrodu: tego rozległego prostokąta przedzielonego na pół kamiennym występem, z niewielkim domem na wyższym poziomie i dwoma drzewami koło domu. Jednakże Łąki nigdzie nie było, chociaż szukaliśmy jej i szukaliśmy. Ktoś tu wszystko pozmięniał. Działka wyglądała na naprawdę zaniedbaną – i to od lat, niemniej kamienny występ z długich wapiennych bloków został usunięty, pewnie za pomocą buldożera, teren wyrównano, domek wyburzono, drzewa ścięto, a korzenie wykarczowano traktorem. Czy to możliwe, że Panurowie zdecydowali się na te roboty, po czym pozwolili, by posiadłość znowu zarosła chwastami? Wydawało mi się, że Cristina się za czymś rozgląda.

– Pamiętasz Trixie? – spytała.

– Tego ohydneho szczura? – rzuciłem z przesadnym obrzydzeniem. – Nie potrafiłem zrozumieć, jak ty go możesz dotykać.

– Trixie była bardzo miła. Jak piesek. Żaden tam szczur.

– A jednak gryzoń.

– Kapibara!

– No właśnie. Gryzoń.

– Nie rób sobie ze mnie żartów.

– Dobroci przezabawna, nie robię!

– Dlaczego powtarzasz to „dobroci przezabawna”? Co to znaczy? – dopytywała, a jej wielkie ciemne oczy zdawały się łaknąć całej przeszłości, gdy tak staliśmy pośród zarośli opuszczonego ogrodu, między wysokimi jaśminowcami kołysanymi wczesnojesiennym wiatrem, oboje zagubieni w czasie, zagubieni w tym wietrze, który płącze liście i kwiaty, dni i sny, dzieci i dorosłych. Tam, w tamtej chwili, coś się zaczęło. W tym wietrze – jakiś rejs, długi i piękny.

– Czy wy, Anglicy, nie używacie takiego wyrażenia? – rzuciłem, wyciągając rękę i dotykając jej lśniących włosów.

– Dobroci przezabawna? *Funny goodness?* – zdziwiła się. – *Comical well meaning?* Anglicy tak nie mówią.

– Cóż, według Asteriksa i owszem.

– A! – Zrozumiała. – *Good gracious?* O to chodzi? *Good gracious!*

Wybuchnęła śmiechem. Wtedy zbliżyłem się jeszcze bardziej, objąłem ją w tali i pocałowałem. Zakładałem, że mnie odepchnie albo po prostu nie

odpowie na mój pocałunek, ale mnie nie odepchnęła. Całowaliśmy się przez chwilę, a kiedy się odsunąłem, ujrzałem błyszczący ślad łzy na jej policzku.

– Dlaczego płaczesz? – spytałem.

Wzruszyła ramionami i spuściła oczy i znów zaczęliśmy się całować. Otwierała usta i dotykała mojego języka swoim, a ja zdumiewałem się, że robi to tak namiętnie. Wolałabym, prawdę mówiąc, żeby nie otwierała ust tak szeroko. Czułem się tak, jakby była wielkim, silnym i tajemniczym zwierzęciem pragnącym mnie pożreć. Fakt faktem, że w tamtym okresie nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia w całowaniu. To znaczy – całowałem wcześniej kilka dziewczyn, ale nigdy w ten sposób. Nie ulegało wątpliwości, że Cristina góruje nade mną znajomością rzeczy i że to ona kontroluje sytuację. Później opowiedziała mi, że spotykała się w Anglii z paroma chłopakami, nic poważnego, takie tam randki w letnie wieczory, pocałunki pod dębami, poobrywane płatki stokrotek, poodpinane guziki bluzki i pieszczoty przez spódnicę. Nadal była dziewicą i nigdy się nie dowiedziałem, jak daleko zawędrowała z tamtymi chłopakami, niemniej wyobrażanie sobie tego w kolejnych miesiącach i latach wzbudzało we mnie rozkoszne dreszcze zazdrości.

Jakie wspaniałe są kobiety i jak nas zawsze zaskakują! Swoją śmiałością, wyobraźnią i zarazem realistycznym podejściem do życia nieodmiennie zbijają nas z nóg. Za każdym razem posuwają się odrobinę dalej, niż oczekiwaliśmy; są jak nasze własne odbicie w rzece: bliskie a niedostępne. To zawsze one decydują. One otwierają i one zamykają.

Jednakże czułem jej delikatny zapach, ciepło jej twarzy tuż przy mojej, słodki, rozpalony, wilgotny dotyk jej warg i drzenie, i niepokojący ciężar jej ciała w moich ramionach, czułem realność jej języka w moich ustach i mojego w niej, mistykę pocałunku, poprzez który istoty ludzkie ulegają transsubstancjacji, przemieniają się w naczynia wypełnione magią, przenikają się wzajemnie i podobają się sobie, i czułem jej smak, smak jej śliny i jej oddechu, i tę chwilę, w której ciało staje się duchem, a wszystko to w tamtym opuszczonym ogrodzie, pośród rozkołysanych przekwitłych jaśminowców, pod chmurami płynącymi nam nad głową poszarpanym strumieniem czasu – nadchodzących lat i nadchodzącej namiętności.

Jak bardzo zaskakują nas kobiety! A zawsze najbardziej zaskakuje nas ich namiętność. Gdy się pojawia, męska namiętność wydaje się przy niej nic nieznacząca, wręcz śmieszna. Tak, kobiety albo sprawiają wrażenie

chłodnych, albo pragną tak mocno, że aż nas to przeraża. Ja, który ledwie zdobyłem się na to, by Cristinę pocałować, nagle poczułem, że zaraz zostanę przez nią pożarty.

– Uwielbiam cię, moja malutka – szepnąłem jej na ucho.

– Zawsze cię kochałam, przez wszystkie te lata – szeptała ona.

– To dlaczego do mnie nie pisałaś?

– Bo myślałam, że jestem głupią gąską i ty się mną w ogóle nie interesujesz.

Poza tym to ty przestałaś pisać.

– Ja też cię kochałem przez wszystkie te lata. Ale myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Ja też tak myślałam. Ale zamierzałam wrócić do Hiszpanii, jak dorosnę.

– Wrócić? Po co?

– Bo jestem Hiszpanką. Nie lubię Anglii. Nie lubię Anglików. No i ty mieszkasz tutaj.

– Ale my się prawie nie znamy – powiedziałem.

Wciąż staliśmy objęci, całując się delikatnie w trakcie tej rozmowy. Wciąż czułem ciepło i ciężar jej ciała, które drżało w moich ramionach.

– Nie bądź niemądry, jasne, że się znamy – zaprzeczyła, ciągle z wilgotnymi od łez oczami.

– Jesteś taka śliczna, że aż się przy tobie denerwuję.

– Ty też jesteś bardzo przystojny. I bardzo wysoki. Wcześniej nie byłeś taki wysoki.

– Widzisz? Nie znamy się.

– Naprawdę mnie kochasz?

– Zawsze cię kochałem.

Pamiętam ten pierwszy raz, gdy rozebraliśmy się przed sobą, obok siebie, do naga, w moim pojedynczym nastoletnim łóżku, na kapie w kolorze starego złota, bo taką wówczas miałem, któregoś popołudnia, gdy moich rodziców nie było. Nie zamierzaliśmy się kochać, ponieważ Cristina jeszcze tego nie chciała, i myślę też, że niezbyt pragnęła oglądać mnie nago ani sama się przy mnie obnażać. Złotawomiedziane światło wypełniało pokój tajemniczym spokojem marcowego zmrzchu. Nie zdołałem uniknąć porównywania ciała córki z ciałem matki i zastanawiałem się nawet, czy tym, czego szukam w Cristinie, nie jest aby możliwość powrotu w ramiona Marianne. Na szczęście jednak – dla nas obojga – Cristina fizycznie w niczym jej nie przypominała: była ciemna jak Juan Villar i nie miała posągowych kształtów

matki. Odziedziczyła po niej seksapil i naturalną elegancję oraz, bez wątpienia, zadarty nosk i migdałowe oczy, te skośnawe oczy spotykane niekiedy u Angielek, na tym wszakże podobieństwa się kończyły.

Przez kilka miesięcy tylko się ze sobą bawiliśmy. Spacerowaliśmy ulicami Madrytu, rozmawialiśmy przez długie godziny, po czym szukaliśmy schronienia, gdzie się dało, najczęściej u mnie, gdyż popołudniami dom stał pusty, i kładliśmy się, rozbieraliśmy i bawiliśmy nawzajem swoimi ciałami. Czułem się lekko zawiedziony. Nie tylko dlatego, że nasze seksualne zabawy nie były jeszcze prawdziwą cielesną relacją, lecz również przez to, że Cristina, obdarzona prześlicznym, różowym, pachnącym ciałem, tak ciepłym i miękkim, że mógłbym zostać niewolnikiem jej cienia do końca swoich dni, w gruncie rzeczy pozostawała dziewczynką, ja zaś ze wszystkich sił pragnąłem stosunków z dorosłą kobietą.

Cristina bardzo lubiła kwiaty i kolorowe przedmioty ze szkła, urocze drobiazgi, figurki, portmonetki... Lubiła też słodycze, nie tylko typowo madryckie „fiołki” czy żelki, lecz także lizaki Chupa Chups i inne. Lizaki uwielbiała do tego stopnia, że często w trakcie naszych spacerów kupowała sobie jednego i lizała go po drodze. Jeśli go nie skończyła, zawijała go w papierek i chowała na później, jak to robią dzieci. Gdy jadła brzoskwinie, wylizywała pestkę do czysta i potem trzymała ją w ustach przez całe popołudnie, a ja znajdowałem ją tam, kiedy się całowaliśmy. Miała doprawdy dziwne podejście do kwiatów i w ogóle roślin: ssła je i gryzła, brudząc sobie wargi i język na zielono, żuła żdźbła trawy i listki koniczyny, wysysała nektar z kwiatów wiciokrzewu, zjadała płatki i pręciki. Powtarzałem sobie, że moja dziewczyna nie jest człowiekiem, lecz wróżką, dziką istotką z lasu. Nie nabrała jeszcze żadnego z dorosłych zwyczajów, które wszyscy usiłowaliśmy naśladować. Nie paliła. Nie piła alkoholu, nawet piwa rozcieńczonego jakimś gazowanym napojem, choć od czasu do czasu pozwalała nalać sobie kieliszek wina do dobrego obiadu. W najmniejszym nawet stopniu nie interesowała się narkotykami. Używała kosmetyków dla dzieci, bo podobno najbardziej jej odpowiadały. Jej włosy pachniały dziecięcym szamponem, a jej narządy płciowe – lawendowym mydłem. Nie malowała ust i w ogóle nie nosiła makijażu, jeśli zaś decydowała się na to, dla żartu, z braku wprawy nakładała zbyt dużo szminki, zbyt dużo tuszu do rzęs, zbyt dużo cieni do powiek – jak to się zdarza małym dziewczynkom bawiącym się w dorosłe kobiety. Uwielbiała kolczyki. Prawie nigdy nie wkładała stanika i jej piersi poruszały się

swobodnie pod bluzką, sutki wyraźnie prześwitywały przez materiał. Tyle że nie była to bynajmniej seksualna prowokacja, wręcz przeciwnie, chodziło raczej o manifestację rajskiej niewinności. Nie znosiła brutalnych filmów, przepadała za to ciągle za kreskówkami Walta Disneya i bajkami. Lubiła powieści Yasunariego Kawabaty. Lubiła rysować kredkami. Miała zestaw marki Caran d'Ache i z przyjemnością łączyła techniki, malując kwiaty i pejzaże. Potrafiła przez całe popołudnie odtwarzać subtelności uschłego liścia. Zachwycała się malarstwem prerafaelitów oraz malarzy, o których ja nigdy nie słyszałem, jak Alma-Tadema czy lord Leighton, a także Gauguinem z jego czerwonymi psami i niebieskimi drzewami. Nie podobały jej się za to barok ani kubizm. Mimo swoich zastrzeżeń wobec Anglii wielbiła wszystko, co angielskie. Kochała Gainsborough i Constable'a (ja Constable'a nienawidziłem), żywiła zaś lekką nieufność względem kultury francuskiej, ponieważ uważała ją za przeintelektualizowaną i dosyć snobistyczną. Nie ciekawiło jej „szokujące gadanie” Francuzów. Mówiła, że oni nie mają ciała, cali są ze słowa i umysłu i wszystko robią dla efektu. Pytałem, czy jej zdaniem Anglicy mają ciało, na co odpowiadała, że mają przynajmniej zmysły. Uwielbiała *Orlanda* Virginii Woolf, książkę kipiącą od uczuć i obrazów. Uwielbiała wszystkie powieści romantyczne: *Jane Eyre* czy *Wichrowe wzgórza*, których fragmenty miłosne niekiedy czytaliśmy razem. Przywiozła z Anglii wiele swoich książek z dzieciństwa: serie pióra Enid Blyton albo *Pippi Pończoszankę*, jak również rozmaite pełne piosenek opowiadki o wesołych pluszakach czy imbirowym ludziku. Wszystkie swoje zęby mleczne przechowywała owinięte w szmatkę w specjalnej skrzyneczce z kości słoniowej, z wyrytym na wieczku kwiatem goryczki. Prowadziła zielniki. Miała w domu różowe, niebieskie i żółte fiołki ze łzami, które wylała przy niektórych ważnych dla siebie okazjach, i traktowała je tak, jak generał traktuje sztandary zdobyte w zwycięskich bitwach. Miała pochowane po książkach suszone kwiaty. Miała na łóżku ulubionego *teddy bear* z dzieciństwa, melancholijnego misia z oberwanym uchem. I śpiewała, bez przerwy śpiewała. Wyśpiewywała istniejące i nieistniejące piosenki swoim cienkim głosikiem wróżki, który mnie zachwycał. Sądzę, że moi znajomi mocno się dziwili, że spotykam się z równie dziecinną dziewczyną, chociaż wszyscy ją lubili, bo nie sposób było nie lubić Cristiny. Sądzę, że zakładali, iż nasz związek szybko się rozpadnie, gdyż albo ja znudzę się nią, albo ona mną. Dziewczyny moich kolegów były znacznie bardziej wyrafinowane

i eleganckie, a kiedy robiły się na bóstwo, malowały się i wkładały pończochy oraz buty na wysokim obcasie, sprawiały wrażenie niemal trzydziestolatek. U ich boku Cristina wyglądała zawsze jak dziewczynka. One wyrażały się z powagą i sarkazmem intelektualistek, ona mówiła jak dziecko, wygłupiając się i podśpiewując, wiecznie podśpiewując. One podchodziły do wszystkiego ironicznie, ona zachowywała się jak pajacyk – zawsze wesoła, wesoła niby ptaszek. Chętnie zaplatała sobie warkoczyki i wpinała we włosy wsuwki. Czasami, gdy patrzyłem na nią, jak uczesana w ten sposób liże swojego lizaka i uśmiecha się do mnie od ucha do ucha, wpadałem w rozpacz, że taka jest dziecinna, i myślałem sobie, że muszę ją zostawić, skończyć z tym jak najszybciej. Jednakże była jeszcze bardzo młoda, ostatecznie miała dopiero szesnaście lat, więc pocieszałem się, że za jakiś czas wreszcie zamieni się w dojrzałą kobietę, jakiej pragnąłem.

Jak żyliśmy w Madrycie

Jest coś smutnego, wręcz tragicznego w ludzkiej młodości. Jak gdyby echa przegranej bitwy. Nasza historia, Cristiny i moja, to też historia przegranej. Moi rodzice z wielką niechęcią przyjęli wiadomość, że nie planuję studiów uniwersyteckich, gdyż postanowiłem zająć się muzyką i zostać kompozytorem (w tamtym czasie studia w konserwatorium nie dawały tytułu uniwersyteckiego i właściwie do niczego się nie przydawały). Z kolei rodzice Cristiny załamali ręce, gdy córka oświadczyła im, że chce być śpiewaczką operową. Nasze rodziny prawie się już nie widywały. Dawna przyjaźń zdążyła ochłodnąć.

Moi rodzice uważali pomysł Cristiny za absurdalny. Cristina, ze swoimi lizakami, warkoczykami i strojami wróżki – śpiewaczką! „To dziecko, powtarzała moja matka, nie ma ani charakteru, ani osobowości potrzebnych w takim zawodzie”. Poza tym jaka znowu opera? W tamtym okresie w Hiszpanii śpiewano ją wyłącznie w barcelońskim Liceu. W Madrycie istniała wyłącznie zarzuela.

Nauka w konserwatorium szła mi dobrze. Każdego lata dodatkowo brałem udział w kursach kompozycji prowadzonych w Villafranca del Bierzo, w górach na północy Leonu, gdzie rodzina Halffterów miała zamek. Ignacio również tam jeździł. Prawie wszyscy tam jeździli: kilka lat starszy Macías, José Manuel López López, Santiago Lanchares, Pistolesi, Jorge Fernández Guerra, Mauricio Sotelo, Jesús Rueda – późniejsi przedstawiciele nowego pokolenia hiszpańskich kompozytorów, do którego sam nigdy nie miałem należeć. Pamiętam Cristobala Halfftera, jak czytał moją kolejną partyturę na orkiestrę, sunąc wzrokiem po płachcie papieru nutowego i od czasu do czasu niepewnie na mnie zerkając. „Jedyny problem z tą muzyką jest taki”, powiedział w końcu, „że gdyby została napisana przez Cesara Francka, każdemu z nas bardzo by się podobała”. Przez Cesara Francka! Najsłabszego, najbardziej ograniczonego, najmniej znaczącego z romantycznych symfoników!

Poza tym zajmowałem się wszystkim tym, czym kompozytor w moim wieku zajmować się powinien. Poznałem Luigię Nona – w trakcie kursów imienia Manuela de Falli w Granadzie – i, jak każdy, uległem fascynacji jego ascetyczną, magnetyczną osobowością. Czytałem *L'angelo necessario* Massima Cacciarię. Czytałem Adorna. Spotkałem Franca Donatoniego, w Sienie, na kursach w Accademia Chigiana, uczestniczyłem też w kilku cyklach zajęć na paryskim IRCAM, gdzie eksperymentowano z muzyką komponowaną przez maszyny, z programami informatycznymi i dezintegracją dźwięku.

Próbowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Zacząłem komponować muzykę serialną, pracować z „blokami” i „gęstościami” pod kierunkiem Francisca Guerrera (który nigdy nie wziął ode mnie pieniędzy za te lekcje), zainteresowałem się elektroniką, mikrotonalnością i spektralizmem i rozważałem nawet studiowanie akustyki, fizyki oraz matematyki. Próbowałem, lecz na darmo, ponieważ muzyka tego rodzaju nie poruszała mnie, nie syciła.

Dopuszczałem się więc kilku poważnych wyskoków: na przykład oświadczyłem publicznie, i to nieraz, że Theodor W. Adorno, uwielbiany przez wszystkich teoretyk muzyki i filozof, wydaje mi się skończonym kretynem. Adorno łączył kategorię „piękna” z kapitalistycznym odczłowieczeniem, wyzyskiem i „ludzkimi rzeźniami” i wychwalał brzydotę oraz to, co nieprzyjemne, jako sposób na „uświadamianie”. Jego zdaniem muzyka powinna być szorstka i niewygodna, ponieważ w przeciwnym razie zamienia się w narzędzie wyzysku jednostki. Czy można gadać większe głupoty?

Oboje z Cristiną skończyliśmy studia mniej więcej w tym samym czasie. Ja zacząłem prowadzić w konserwatorium zajęcia z solfeżu. Cristina zgłosiła się na przesłuchania do Hiszpańskiego Chóru Radiowo-Telewizyjnego i została przyjęta. Każde z nas miało teraz pensję, toteż wynajęliśmy razem mieszkanie w dzielnicy Chueca, ku zgrozie naszych rodzin, które poczuły się zawiedzione, że nie chcemy brać ślubu ani oszczędzać na własny dom (wynajmowanie mieszkania było „wyrzucaniem pieniędzy w błoto”) i upieramy się, żeby spać na japońskim futonie zamiast na normalnym łóżku, jak wszyscy. Niedługo potem bliscy Cristiny wyjechali znowu do Anglii. Jej rodzice nigdy nas nie odwiedzili. Moi też robili to z rzadka.

Naszą porażkę maskowała mieszczańska wygoda i pozory powodzenia w postaci stałej posady, pensyjki i uroczego domu. Wygrałem konkurs na

stanowisko w konserwatorium. Stałem się urzędnikiem państwowym. Cristina niemal co weekend śpiewała w koncertach dawanych przez Orkiestrę RTVE. Oboje zapadliśmy się w doskonale bezbarwną, typowo hiszpańską egzystencję.

Napisałem symfonię w tonacji d-moll i zatytułowałem ją *Pierwszą*. Pokazałem swoje dzieło dwóm dawnym profesorom, Caramelowi Bernaoli i Luisowi de Pablo. Obaj przyznali, że moja kompozycja zdradza biegłość warsztatową i opanowanie „tradycyjnego języka”, niemniej doradzili mi, żebym nie posyłał jej na żaden konkurs, albowiem tym samym na zawsze bym się zdyskredytował. Poza tym podsunęli mi cenne pomysły. Bernaola powiedział, że skoro właśnie taka muzyka mi się podoba, powinienem spróbować sił w tworzeniu jej na potrzeby kinematografii. A Luis de Pablo dodał, że jedynym krajem, gdzie miałbym jakąś przyszłość jako kompozytor, są Stany Zjednoczone.

Nasze plany kolejno brały w łeb. Cristina dostała rolę w zarzueli *Dziewczyna ze wzgórza*¹, ale ponieważ trudno jej było godzić próby w teatrze z próbami chóru, w końcu zrezygnowała. Mówiłem jej, żeby rzuciła raczej chór, jednakże drugoplanowa rola w drugorzędym przedstawieniu nie stanowiła aż takiej szansy, żeby zostawiać dla niej stałą pracę z czternastoma pensjami na rok. Ja zbyt dużo piłem. Później niemal zupełnie zrezygnowałem z alkoholu, lecz w tamtych latach uzależniłem się od porto, whisky i koniaku, ginu z tonikiem i wódki z sokiem pomarańczowym, kolejnych cuba libre, wermutów i jerezów.

No i były jeszcze kobiety. Nigdy nie spotkałem kogoś tak organicznie wiernego jak Cristina i tak organicznie niewiernego jak ja. Na swoją obronę powiem, że musiały minąć lata, by pokusa okazała się silniejsza ode mnie, i że naprawdę długo dochowywałem wierności Cristinie. Poza tym okresy mojego upadku (jeśli można go tak nazywać) nigdy nie trwały długo. Zwykle chodziło o jednorazowe skoki w bok, kiedy wyjeżdżałem z Madrytu albo kiedy Cristina była na jakimś tournée z chórem. Moje ekscesy nie brały się z tego, że mi nie wystarczała, ani z braku miłości. Łączyła nas silna erotyczna więź, ale mimo to pożądałem innych kobiet. Prawdę mówiąc, pożądałem wszystkich kobiet. Sądzę, że taka jest natura wielu mężczyzn i, szczerze wyznam, nie wiem, jak można walczyć z własną naturą. Wkładając łapę we wnyki, jak ten lis z bajki?

Moje zdrady przez długi czas przechodziły niezauważone i możliwe, że

Cristina nigdy by się niczego nie domyśliła, gdyby nie złoty stanik zostawiony przez kogoś za bojlerem w łazience, po to właśnie, jak zakładam, by ona go odnalazła. Nie wiem, kto to zrobił, bo w tygodniu, kiedy do tego doszło, w czasie, gdy Cristina jeździła z chórem po Ameryce Południowej, spałem z co najmniej trzema innymi kobietami, chociaż najbardziej podejrzewam pewną Brazylijkę, studentkę konserwatorium, o dziwnym imieniu Ontanna. W ten sposób w jednej chwili i w najgorszy możliwy sposób wyszło na jaw, co wyprawiam, kiedy zostaję sam. Cristina nie krzyczała. Nie płakała. Jej reakcja mnie zaskoczyła. Cristina zawsze umiała mnie zaskakiwać. Powiedziała, że jeśli chcę sypiać z innymi, to mogę, ale ona nie chce o tym wiedzieć. To przemawiała przez nią, jak przypuszczam, praktyczna, brytyjska strona jej charakteru. Musiały upłynąć całe tygodnie, by niesmak osłabł i by Cristina znowu pozwoliła mi się dotknąć czy zdołała spojrzeć mi w oczy, lecz mimo to oświadczyła, że bym robił, co mi się podoba, bo ona nie chce ani nie może ograniczać mojej wolności. Sądzę, że myślała, iż potrzebuję eksperymentów, gdyż zaczęliśmy się spotykać we wczesnej młodości, kiedy nie mieliśmy jeszcze innych doświadczeń seksualnych. Problem jednak polegał nie na tym, że pragnąłem sobie użyć przed ostatecznym wejściem w monogamię, tylko na tym, że po prostu nie byłem monogamista. Sama myśl o Cristinie z innym mężczyzną przyprawiała mnie o chorobę, niemniej zaznaczyłem, że i ona może sypiać z innymi, jeśli ma ochotę, i że nie wierzę w pary wierne sobie pod przymusem (choć w sumie sam nie wiedziałem, w co wierzę), podobnie jak nie wierzę w tłumienie pragnień. W chórze RTVE był pewien bas, który kochał się w Cristinie i wciąż próbował ją uwieść. Mówiła mu, że ma chłopaka, a on odpowiadał, że to bez znaczenia, że nie jest zazdrosny. Obsesyjnie pragnął się z nią przespać, zasypywał ją względami i prezentami-niespodziankami i raz po raz zapraszał na weekend do swojego domku w Javei. Opowiadała mi o tym wszystkim, pewnie dlatego, że nie chciała, bym dowiedział się od osób postronnych. Znałem tego człowieka, miał na imię Ígor, był bardzo wysoki (basy zwykle górują wzrostem nad tenorami), mocno zbudowany, mniej więcej czterdziestoletni, szpakowaty, samotny i wyrafinowany. Nigdy nie ukrywał, jak bardzo przeszkadza mu moja obecność, i kilkakrotnie mówił mi, że to wielka szkoda, prawdziwy skandal, by kobieta tak piękna jak Cristina żyła z takim chłystkiem jak ja. Odpowiadałem: spokojnie, Ígor, jeśli dalej będziesz się tak starał, może coś zdasz. Należał do tego typu facetów, którzy bezzwłocznie obwieszczają

wszem wobec, że zdecydowali się na wazektomię, i zawsze szukają sposobów – eleganckich i zabawnych – by przy kobietach chwalić się rozmiarami swojego członka. Wiem, że jedno letnie tournée Igor poświęcił wyłącznie Cristinie i próbom zaciągnięcia jej do łóżka. Pytał ją: czemu nie chcesz? Nie zamierzam się z tobą żenić, nie musisz dla mnie zostawiać partnera. Dlaczego jesteś taka sztywna? Pytał ją o to przy wszystkich, zagadywał publicznie, aż kiedyś, gdy bawili akurat w Meksyku, w Guadalajarze, wyciągnął u niej w pokoju penis (były przy tym trzy czy cztery inne osoby, same chórzystki), żeby jej pokazać, co traci. Zakładam, że przy tej okazji znów padł wyświechtany dowcip o „członkach chóru”. Dziś takie coś uznano by za molestowanie seksualne, ale w tamtych czasach uważano za wyraz wolnomyślicielskiej nonszalancji. Igor sypiał z wieloma kobietami z zespołu i wszystkie, doskonale świadome jego zabiegów o Cristinę, z rozkoszą czekały, aż i ona w końcu ulegnie. A ona opowiadała mi o tym, gdy byliśmy razem w łóżku, co podniecało mnie tak, że mogłem się z nią kochać godzinami. Wizja mojej Cristiny czerpiącej przyjemność z seksu z innym sprawiała, że dygotałem ze zgrozy i zazdrości, tyle że ta zazdrość podniecała mnie ponad wszelką miarę. Byłem wówczas młody i nie rozumiałem własnych uczuć, które wydawały mi się dziwne i perwersyjne. Mówiłem sobie, że muszę być strasznie skrzywiony, bo przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie ekscytowałby się czymś takim.

1. W oryginale *La del soto del parral*. ↵

Zaczynamy się od siebie oddalać

Kiedys w Wielkim Tygodniu wyprawiliśmy się nad morze. To było gdzieś koło Castellonu czy Alicante, półpusty kemping mieścił się na porośniętym sosnami wzgórzu, które kończyło się klifem.

Całymi godzinami czytaliśmy, leżąc w cieniu. Ja wziąłem ze sobą *Kwartet aleksandryjski* Lawrence'a Durrella, a Cristina pochłaniała klasyczną książkę japońskiego zen, zatytułowaną *Shadoka*, oraz *Na krawędzi*, „duchową autobiografię” Shirley MacLaine.

Któregoś popołudnia z ciekawości zajrzałem do tej pierwszej. Zawsze interesowały mnie zarówno Orient, jak ezoteryka. Jednakże przekaz tej niewielkiej książeczki wydał mi się niesympatyczny, wręcz nieludzki. Zen, głosił ów stary tekst, jest jak śmierć. Uczeń zen stara się umrzeć i za każdym razem, kiedy kładzie się na swoim wąskim i twardym materacu, to jakby kładł się do grobu. Zen to dążenie do całkowitej bierności, do całkowitego opróżnienia umysłu. Zazen oznacza siedzenie bez ruchu przed białą ścianą. I wpatrywanie się w nią godzinami. I wreszcie zrozumienie, że wszystko jest puste, nic nie jest niczym i ty również jesteś pusty i jesteś niczym.

Powiedziałem Cristinie, że wszystko to wydaje mi się chore. Że nie pojmuję, czemu „stara się umrzeć”, skoro jest młoda, piękna i pełna życia, kocha i jest kochana. Odparła, że wszystko źle zrozumiałem, zresztą przeczytałem jedynie kilka stron. Spytałem, dlaczego chce godzinami gapić się w gołą ścianę, na co odrzekła, że to tylko sposób na uspokojenie umysłu i zatrzymanie strumienia myśli. Oświadczyłem, że najwidoczniej wpada w szpony religii i że wszystko to załatuje mi grzechem, karą i odsunięciem od świata. Powtórzyła, że się mylę.

Począwszy od tego momentu, jej próby, by dostać jakąś większą rolę śpiewaczą, straciły na intensywności. Tak bardzo cierpiała w tych swoich starciach z rzeczywistością, że z każdego przesłuchania wracała jak jastrząb

po zażartej walce na wysokościach: cała poraniona. Ci, którzy nie znają świata sztuki, nie mogą sobie nawet wyobrazić, jak okrutny i bezlitosny on bywa. Rozbuchane ego, tak częste u artystów, to jedynie niezbędna tarcza do ochrony przed spadającymi na nich brutalnymi ciosami. Cristina jej nie miała i mieć nie chciała. Dlatego odkryła świat duchowy. Zupełnie jakby Kraina Wrózek, którą nosiła w swoim wnętrzu, znalazła w końcu sposób, by się objawić na zewnątrz.

Zacząła chodzić na jogę i medytować. Nie próbowała mnie przekonywać, żebym do niej dołączył. Opowiadała tylko, jak dobrze się po jodze czuje, tłumaczyła, na czym polega medytacja. Ciekawiło mnie to, lecz ilekroć sięgałem po którąś z polecanych przez nią książek, czułem opór.

Wszystko w jej życiu było teraz nowe. Nowe terapie. Nowe ubrania. Nowe obuwie. Nowe metody oddychania. Nowe metody spania. Cokolwiek myślimy, wpływa na nasze życie. Cokolwiek jemy, wpływa na nasze zdrowie. Na Zachodzie wszyscy jesteśmy chorzy. Straciliśmy kontakt z naturą i cyklami życiowymi świata. Nie umiemy już oddychać ani chodzić, ani jeść, ani kochać, ani słuchać, ani służyć. Zamieniliśmy się w egoistów obsesyjnie dążących do bogactwa i korzyści. Niszczymy Matkę Ziemię.

Zacząła się skarżyć na dziwne choroby – z tych nieuznawanych przez lekarzy. Na przykład swędzenie skóry przeszkadzało jej w spaniu. Próbowała różnych kremów. Poszła do kilku specjalistów od medycyny alternatywnej, którzy zalecili jej rozmaite środki. Jeden z nich był dość prosty: kąpiele w morzu. Tyle że nie mieszkaliśmy nad morzem. Wyprawiliśmy się na weekend na wybrzeże i śródziemnomorskie wody okazały się magiczne: swędzenie natychmiast ustało. Jednakże pojawiło się znowu, gdy tylko wróciliśmy na suchą Mesetę. Moja matka powiedziała mi, że powinniśmy mieć dziecko i że gdyby Cristina zaszła w ciążę, wszystkie te urojone problemy, które tak nas zaprzątały, znikłyby jak ręką odjął.

Cristina weszła w kontakt z terapeutką, która cieszyła się w jej nowym środowisku wielkim uznaniem. Miała na imię Mónica i była przesympatyczną czterdziestopięciolatką z asturyjskim akcentem i głębokimi niebieskimi oczami. Znała się na różnych rodzajach terapii, takich jak refleksologia i irydologia, o których ja nigdy nie słyszałem, studiowała medycynę tybetańską i zdobyła w Niemczech tytuł bioenergoterapeutki. Cristina opowiedziała mi, że jak tylko weszła do jej gabinetu, poczuła, że jej życie, do tej pory pozbawione celu i sensu, obiera właściwy kierunek. Na tamtej pierwszej sesji Mónica

zmierzyła jej tętno i obejrzała tęczę. Oświadczyła, że ona, Cristina, jest osobą niezwykle wrażliwą i że czuje się atakowana przez świat zewnętrzny. Że ma, dosłownie, „cienką” skórę, która w zetknięciu z wrogiem, niebezpieczną rzeczywistością natychmiast ulega podrażnieniu. Wyjaśniła, co oznacza skóra w kategoriach ezoterycznych, i wytłumaczyła konieczność jej „wzmocnienia” na potrzeby konfrontacji z nieubłaganiem materialistycznym światem kalijugi. Choć nigdy wcześniej z Cristiną nie rozmawiały, odmalowała przed nią całe jej życie. Stwierdziła, że Cristina miała trudną relację z matką, bo zawsze czuła, że ta jej nie kocha i widzi w niej zagrożenie, rywalkę, i że silna osobowość matki wywołała w niej pragnienie krycia się, wtapienia w tło. Stwierdziła, że Cristina żyje w bardzo intensywnym uczuciowo i seksualnie związku, ale mimo to nosi w sobie ogromny, zżerający ją smutek. Stwierdziła, że problemy ze skórą biorą się z wątroby, która stanowi jej, Cristiny, słaby punkt, i że jeśli Cristina pragnie zharmonizować swój organizm oraz zapobiec kolejnym komplikacjom, powinna zmienić swój sposób odżywiania się. Zabroniła jej spożywania białego cukru, produktów mlecznych (zwłaszcza sera, fatalnego zachodniego wynalazku), jajek, czerwonego mięsa, białej mąki, a także wszelkich mrożonek, konserw i sztucznych dodatków. Kawę kazała zastąpić cykorią, herbatę zaś – naparami uspokajającymi z palczatki, mięty albo kwiatu lipy. Białe ryby i owoce morza okazały się dozwolone, choć tylko raz w tygodniu, jako że ideał stanowiła dieta wegetariańska, a zalecanymi źródłami białka były soja, sfermentowana soja, czyli tempeh, oraz seitan (w tamtym czasie prawie niemożliwe do kupienia w Madrycie), jak również warzywa łączone z płatkami zbożowymi.

Ta nowa dieta oznaczała dla mnie coś w rodzaju nadejścia zimy. Nie żeby nie można było jeść *niczego*, niemniej jedzenie stało się dla nas obojętne obsesją i powodem ciągłych utrapień. Zaczęliśmy odwiedzać sklepy zielarskie, których oferta miała w sobie coś smutnego, wręcz mnisiego. Te mdłe ciasteczka! Ciemny cukier nadający kawie nieprzyjemny posmak ziemi. Wegetariańskie hamburgery smakujące korkiem. Cristina nie była skłonna do fanatyzmu, toteż prędko dostosowała sztywne zalecenia Moniki do swoich potrzeb. Nigdy na przykład nie zrezygnowała z herbaty i przy specjalnych okazjach pozwalała sobie na kieliszek wina. Od czasu do czasu sięgała też po słodycze. Natomiast zakaz produktów mlecznych, jajek i mięsa potraktowała z całą powagą, a ponieważ żadne z nas nie miało ochoty spędzać życia w kuchni, wkrótce i ja się z grubsza przestawiłem.

Popadliśmy w niewolnictwo. Owszem, trudno nie być niewolnikiem tego czy tamtego. Mięsa albo jego zakazu. Alkoholu lub abstinencji. Zmysłów lub celibatu. Wtedy jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Rzadko do człowieka dociera, że zmienił się w niewolnika. Poza tym zawsze jest ku temu ważki powód. Zwykle chodzi o jakieś związane z tym dobro albo o nową wiarę. Wiara czyni niewolników. Wiara wymaga niewolników. Dlatego aby nie być niewolnikiem niczego, trzeba w nic nie wierzyć. Czy da się tak żyć? Brak wiary w cokolwiek wiedzie do depresji i pustki. Między pustką a niewolnictwem z pewnością istnieje trzecia ścieżka. Wąska jak ostrze noża. Ci, którzy nią idą, są jedynymi istotami wolnymi. Jedynymi żywymi. Ilu takich na świecie?

Po miesiącu stosowania nowej diety świad przestał Cristinie tak dotkliwie dokuczać. Nie ustąpił całkiem, jednakże ona wiązała to z faktem, że nie do końca przestrzega zaleceń Moniki. Czuła się lepiej i lepiej spała. Mnie wszakże wydawała się bledsza, chudsza i smutniejsza. Nie kochaliśmy się już tak często jak kiedyś. Ona mówiła, że to normalne. Że nie możemy się przez cały dzień parzyć jak króliki.

Często spotykała się z Monicą. Jeździła do niej przynajmniej raz w miesiącu. I tak minął rok. A może dwa. Latem swędzenie prawie zanikało, jesienią natomiast wracało znowu. Wszystko przez suche madryckie powietrze, ogrzewanie, stres początków sezonu. Cristina wciąż zgłaszała się na wybrane przesłuchania do zarzuela, usiłując zdobyć rolę, która pozwoliłaby jej rozpocząć karierę solową, lecz nigdy jej nie przyjmowano. Nie rozumiałem dlaczego, bo głos miała przecież piękny.

Mónica powiedziała, że jej wątrobie i skórze dobrze by zrobiły posty oraz kąpiele błotne. Prowadziła centrum terapii alternatywnych w górach Gredos i zaprosiła tam Cristinę na post weekendowy. Choć oczywiście całotygodniowy byłby lepszy. Albowiem dopiero po takim czasie ciało pokonuje uczucie głodu i zaczyna czerpać ze swoich energetycznych rezerw, przez co początkowa słabość znika.

Coraz bardziej się tym wszystkim martwiłem. Czułem, że Cristina oddala się i ode mnie, i od świata. Ona twierdziła, że wcześniej tkwiliśmy w błędzie, chcąc uczynić ze sztuki sposób na wyrażanie własnego „ja”, podczas gdy prawdziwa sztuka powinna być ofiarą dla Ducha, modlitwą i służbą. Zaraz też uznała, że dlatego poniosła artystyczną klęskę: bo weszła w świat sztuki, szukając tam sławy, chwały i uznania, których z tego właśnie powodu *jej odmówiono*.

– Kto ci odmówił? – pytałem. – Kto?

– Siły wyższe – odpowiadała.

– Jakie siły wyższe?

– Siły wyższe rządzące naszym życiem.

Ja powtarzałem, że wszystko to pięknie, ale jak w takim razie wytłumaczy mi fakt, że świat jest pełen artystów żądnych sukcesu i zdobywających go? Jak mi wytłumaczy, że owe siły wyższe akurat im tego nie odmawiają?

– To, że inni mogą zaspokajać swoje ego, nic nie znaczy – tłumaczyła. – Każdy ma swoją karmę i znajduje się na innym etapie rozwoju. Faktem jest, że *nam* nasze ego nie służy. U innych to działa, a u nas nie. Bo my mamy możliwość, żeby się rozwijać.

– Czyli ci inni są tak zapóźnieni w rozwoju duchowym, że wszystko jedno, czy odniosą sukces, bo nawet gdyby doznali porażki, i tak niczego się nie nauczą – kpiłem. – O to chodzi? Im, jako bytom mało rozwiniętym, dostają się wszystkie podarki od losu, a nam, istotom wyższym, nic się nie udaje?

– Nikt nie mówi o żadnej „wyższości” – protestowała Cristina. – Ja mówię tylko, że każdy przeżywa to, co przeżywa, w związku ze swoją karmą i stopniem swojego rozwoju duchowego, nic więcej.

Często odbywaliśmy teraz podobne rozmowy. A ja patrzyłem, jak Cristina się oddala. Widziałem ją, jak ubrana w burą tunikę, z posypanymi popiołem kasztanowatymi włosami, boso wędruje pod górę zarośniętą ścieżką. Bo nawet gdy mówiła „my”, kogo miała na myśli? Mnie i siebie czy siebie i swoich towarzyszy? Sądzę, że mówiła tak z uprzejmości, żeby mnie nie wykluczać, a może podtrzymywać złudzenie, że zapuszczamy się na tę ścieżkę razem.

W końcu zdecydowała się pojechać do Gredos na post całotygodniowy.

Wracała oto do świata wróżek. Opowiadała, że Mónica *widzi*. Że widzi rozmaite istoty: wróżki, duszki, duchy, zjawy – i to z otwartymi oczami. Że widzi energię spowijającą ludzi i że jednym spojrzeniem potrafi ocenić, co się z tobą dzieje, o czym myślisz, jak dotąd żyłeś. Najciekawsze, że ja wcale tego nie podważałem, nie twierdziłem, że to zwykłe wymysły. Nigdy nie byłem wojującym ateistą ani racjonalistycznym fanatykiem. Zawsze uważałem, że sztuka ma wiele wspólnego z tym, co dawniej nazywano magią. Jednakże zwrot, jaki dokonywał się w życiu Cristiny, napełniał mnie przerażeniem.

Cristina w Ryszikeśu

Wybrałem się do niej do Gredos z wizytą. Centrum terapeutyczne Moniki znajdowało się głęboko w górach, między Candedą a Arenas de San Pedro. Na miejscu zastałem mniej więcej piętnaście osób, z których część mieszkała tam na stałe, część zaś poddawała się różnym terapiom. Personel składał się z kucharki, sprzątaczk i dwóch kobiet – w tym jednej lekarki – które pomagały Monice w trakcie sesji. Zaskoczyło mnie, że ktoś z medycznym tytułem może się interesować takimi znachorskimi praktykami i, co więcej, utrzymywać, że medycyna tradycyjna i alternatywna nie stoją w sprzeczności, lecz się uzupełniają, i że w przyszłości stosowane przez Monicę techniki staną się przedmiotem nauczania na uniwersytecie.

Rozmowa przy kolacji okazała się naprawdę zwariowana – albo tak mi się wtedy wydawało. Jedyne trzy czy cztery osoby pościły tak jak Cristina, więc zebraliśmy się wszyscy w jadalni, oświetlonej świecami i lampami gazowymi. Ci, którzy pościli, popijali mocno rozcieńczony warzywny bulion, żeby nie wytracić minerałów. Reszta dostała po wielkiej sałatce z nadmiernie zielonych liści (im bardziej zielone i kwaśne, tym bardziej odżywcze, wyjaśniała Mónica) oraz po porcji rzekomo pieczonych, a moim zdaniem całkiem surowych warzyw. Na stole nie było soli, był natomiast sos sojowy, tyle że i jego nie należało nadużywać. W koszykach leżały mikroskopijne kromki żytniego chleba, jednakże i z nimi nie należało przesadzać. Na deser podano czereśnie z miejscowych drzew – tak niedojrzałe, że aż żółtawe, lecz wedle Moniki doskonale nadające się do jedzenia i znacznie zdrowsze niż te sztucznie czerwone sprzedawane w sklepach.

Wszyscy obecni widywali latające spodki i „byty” w lesie, jak również wyczuwali „obecność”. Mónica zapewniała, że tam na górze, w Gredos znaczy, wizyty istot pozaziemskich zdarzają się raz po raz. Po kolacji wyszliśmy zatem na łąkę przed budynkiem z nadzieją, że zobaczymy UFO. Był

ciepły wiosenny wieczór, niebo jarzyło się gwiazdami. Mónica opowiedziała nam, w wielkim sekrecie, że brała wraz z Shirley MacLaine udział w słynnym spotkaniu z *obcymi*, które odbyło się w Peru – spotkaniu stulecia. Szczegółowo opisała nam moment, gdy statek kosmiczny zawisł tuż nad nimi, tudzież pozaziemskie metropolie, do których ich zabrał. Zdałem sobie sprawę, że Cristina zna już tę historię i, jednocześnie, że jest Monicą zafascynowana. Właśnie wtedy zauważyłem w jej oczach dziwny blask. Chyba nigdy wcześniej go nie widziałem. Bez wątpienia miał podłoże fizyczne: przecież moja mała Cristina od kilku dni prawie nic nie jadła. A jednak się go wystraszyłem, gdyż odniosłem wrażenie, że jej oczy zaczęły widzieć coś, czego ja nie umiałem dostrzec.

Odłączyliśmy się we dwoje od grupy, żeby przejść się po zalanym księżycową poświatą lesie. Cristina szła bardzo powoli. Niosła w ręku butelkę ze źródlaną wodą, którą popijała małymi łykami. Ten blask w jej oczach głęboko mnie niepokoił. Wyznałem jej, że się o nią bardzo martwię, na co zareagowała miną wyrażającą rozczarowanie i niechęć. W końcu znalazłam coś, co mnie wypełnia, co nadaje sens mojej egzystencji, powiedziała. W końcu znalazłam ludzi, których lubię, ludzi, którzy pragną w życiu czegoś więcej. Nie rozumiem, czemu się tak martwisz. To ja powinnam martwić się o ciebie, dodała, bo widzę, że jesteś całkiem zagubiony. Jesteś zagubiony pośród swoich drinków, swoich butelek z whisky, pośród swoich romansików i rosnącej frustracji. Jesteś zagubiony, ponieważ nie wiesz, dokąd zmierzasz, i nie podobasz się samemu sobie. To prawda, potwierdziłem, nie podobam się samemu sobie. Ale sądziłem, że podobam się tobie. Słuchaj, rzuciła, przyjechałam tu, żeby skupić się na swoim zdrowieniu, żeby zaznać trochę spokoju i ciszy.

Zrozumiałem, że chce, abym dał jej spokój, więc wróciłem do Madrytu już następnego ranka.

Zaraz po powrocie poszedłem prosto do Amerykańskiego Instytutu Kultury, który mieścił się wówczas nieopodal hotelu Villamagna, i poprosiłem o listę amerykańskich uniwersytetów. Nie zapomniałem pomysłu podsunętego mi przed laty przez Luisa de Pablo. Cały weekend spędziłem na pisaniu podań do wydziałów muzycznych jakichś stu uczelni rozsianych po Stanach. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu odpowiedziały mi niemal wszystkie. W większości wypadków po to, by mnie poinformować, że nie szukają wykładowców. Ta uprzejmość zdumiała i mnie, i Cristinę, nawykłych do hiszpańskiej

opryskliwości i nieefektywności. Kilka odpowiedzi zawierało jednak dokumenty do wypełnienia i prośbę o dodatkowe informacje, listy polecające, próbki moich kompozycji.

Tamtego lata po raz pierwszy od długiego czasu nasze drogi się rozeszły. Cristina poleciała na dwa miesiące do Indii, do aśramy w Ryszikeśu nad Gangesem, a ja wyruszyłem do Stanów Zjednoczonych na rozmowy o pracę. Byłem w Rhode Island, Vermoncie, Wirginii Zachodniej, Karolinie Północnej i na Hawajach. Gdy wróciłem, miałem w garści poważną ofertę ze strony Wydziału Muzykologicznego Rosley College w Oakland w stanie Rhode Island. Samo miejsce – kampus i miasto – wydało mi się istnym rajem. Warunki finansowe były znakomite, poza tym zamieszkalibyśmy z Cristiną w jednym z tych piętrowych domów z dwoma gankami i rozległym, pełnym drzew ogrodem, jakie widuje się na filmach – w Europie na coś takiego mogli sobie pozwolić chyba tylko milionerzy.

No i spotkaliśmy się ponownie, spędziwszy całe lato na dwóch krańcach świata. Ja promieniałem, przekonany, że mam cudowne wieści. Tyle że te wieści bynajmniej nie wywołały efektu, jakiego się spodziewałem. Opowiedziałem Cristinie o otrzymanej propozycji, o dębach wokół Rosley College, jednakże wszystko blakło w porównaniu z indyjskim słońcem. Mówiłem o pieniądzach, jakie zarobię, i o domu, w którym zamieszkamy, i brzmiało to nagle przeciętnie i głupio. Pieniądze, dom, praca. Mieszkańskie dobra, wartości-wydmuszki.

Cristina zakochała się w Indiach. Blask, który dostrzegłem w jej oczach po raz pierwszy owego wieczoru w Gredos, stał się mocniejszy i zarazem spokojniejszy, jak gdyby ostatecznie zyskała zdolność widzenia rzeczy dla mnie niezauważalnych. Jej oczy lśniły teraz zachwytem i współczuciem, i obcością. No i chciała wracać do Indii. Zaproponowała, byśmy spędzili razem rok w aśramie swami Kajlaśanandy w Ryszikeśu.

– Rok? – spytałem zbity z tropu. – A co ze Stanami?

– Jedźmy na rok do Indii, a potem pojedziemy do Stanów – odrzekła. – Przecież mamy ten rok, prawda?

– Tak, mój kontrakt rozpocznie się od przyszłej jesieni.

– Więc doskonale się składa.

– I pojedziesz ze mną później do Stanów?

– Pojadę za tobą wszędzie – odparła. – Chociaż niewykluczone, że i ty będziesz chciał zostać w Indiach.

Może coś w tym było. Ja podarowałam jej Indie, a ona mnie – Stany. I tu, i tu mogliśmy być szczęśliwi. Nie dało się też wykluczyć, że zostaniemy w Indiach na stałe. Ani tego, że nie wytrzymamy tam nawet roku i uciekniemy po trzech miesiącach. Oboje mieliśmy to złudne, typowe dla młodości przekonanie, że wszystko jest możliwe.

– Ale czy to znaczy, że już nie chcesz być śpiewaczką? – spytałem.

– W aśramie śpiewaliśmy bez przerwy – odrzekła Cristina. – Uczyłam się innego śpiewu. Odkryłam jego esencję. Odkryłam, że śpiew służy do wydobywania z nas esencji duchowej. Że ludzki głos ma magiczne właściwości.

– Czyli rezygnujesz z kariery zawodowej?

– Odkryłam coś jeszcze, Juanie Barbarín – ciągnęła, wpatrując się we mnie tymi swoimi dziwnie błyszczącymi oczami. – Odkryłam, że nasze życie *jest realne*. Że to, co się nam przydarza, przydarza nam się naprawdę, i że wszystko jest kwestią życia albo śmierci, nie ma nic łatwego ani stopniowego, ani przypadkowego. Że nasze życie to święty dar, który otrzymaliśmy i którego nie wolno nam zmarnować. Wszystko, co nas otacza, *jest realne*. Rzeczywiście się dzieje. Życie, śmierć, miłość, nasza miłość, wszystko to jest realne, tyle że my tego tak nie przeżywamy. Przeżywamy to jako rodzaj iluzji, zupełnie jakbyśmy byli postaciami z książki napisanej setki lat temu.

– Nie rozumiem cię.

– Chodzi mi o to, że żyjemy pogrążeni w absolutnej nieświadomości. Tracimy czas. Rozmieniamy życie na drobne. Na strach, niepokój, zawiść, użalanie się nad sobą, egoizm. Gdybyśmy pojęli, że wszystko jest realne, że wszystko jest tutaj dla nas i przez nas, poczulibyśmy nagłą potrzebę, by *coś zrobić*.

– To tego nauczyłaś się w Indiach?

– Chyba tak. Chyba właśnie tego się nauczyłam. Chociaż nie tego mnie uczono.

– A czego?

– Cóż, wielu rzeczy. Prania ubrań poprzez uderzanie nimi o kamień. Gaszenia świecy palcami. Jedzenia soczewicy ręką. Nie, serio, wielu rzeczy. Rozciągnięto mnie jak mokry sznur, wyciśnięto ze mnie całą wodę, po czym znów mnie zanurzano, i znów rozciągnano, i suszono na słońcu, i tak wiele razy, żebym się oczyściła, wymiotując przy tym i krzycząc jak opętana. Przez cały miesiąc byłam jak opętana. Miałam oczy czerwone od płaczu. Gdybyś mnie

wtedy zobaczył, przeraziłbyś się. Byłam brzydka i zła.

– Brzmi doprawdy ciekawie.

– Po co ten sarkazm? Chodzi mi o to, że uczono mnie wielu rzeczy, ale człowiek zawsze uczy się czegoś innego niż to, co mu przekazują. Są rzeczy, których nikt ci nigdy nie mówi.

– Rzeczy, które przed tobą ukrywają.

– Najlepszy sposób, żeby ukryć jakąś wiedzę, to wyłożyć ją jak najjaśniej. Nie, nikt niczego nie ukrywa. Ale nie wszystkiego można nauczyć. Nie wszystko można powiedzieć. Są rzeczy, których uczysz się, choć nikt ci ich nie przekazał. Oni mówią, że serce ma swój sposób nauki. Mówią: już jesteś w sercu. Już jesteś sercem. Nic nie rób. Niczego nie szukaj. Niczego sobie nie wyobrażaj. Nie medytuj. Nie próbuj. Nie wysilaj się. Już jesteś w sercu. Serce jest wszędzie. To nie czwarta czakra. Nie znajduje się w piersi. Znajduje się w głowie i w stopach, w pysku bawoła i w skórze węża, w smaku mleka i w wosku świecy. Spójrz, jak lśnią twoje paznokcie, mówiono nam w aśramie, to lśnienie jest emanacją serca. Ono jest wszędzie. W słońcu i w ziemi. Jest tym, co ukryte. I tym, co jawne. Tym, o czym wszyscy wiedzą i o czym nie wie nikt. Tym, czego wszyscy pragną i co wszyscy dają, całkiem nieświadomie. Jest muzyką w ustach. Śpiewem. Seksualnością. Miłością. Życiem. Nocą. Śmiercią. Naszyjnikiem z nagietków. Naszyjnikiem z czaszek. Nic nie rób. Nie próbuj być. Już jesteś. Nie próbuj żyć. Już żyjesz. Nie próbuj wiedzieć. Już wiesz. Nie szukaj. Już znalazłeś. Jesteś tu. Jesteś sobą. Jesteś mną. Jesteś żywy. Wszystko jest realne. Ten dom. To łóżko, w którym się kochamy. To ciało, które cię kocha. To ciało, które kocham. Wszystko jest realne. Wszystko jest tutaj. Nie musimy nic robić, albowiem wszystko jest sercem. Właśnie tego nauczyłam się w Indiach, Juanie Barbarín: że Indie nie istnieją. Że joga nie istnieje. Że wedanta nie istnieje. Istnieje tylko serce.

– To jednak nie wybierasz się tam znowu?

– Czy ty nie rozumiesz, że ja stamtąd w ogóle nie wróciłam? Wciąż jestem w Indiach, kochanie. Sama jestem Indiami. Patrz, moja dłoń to Indie. I tu, na środku mojej dłoni, jest serce. Jesteś ty. I są Indie. Tędy płynie Ganges. Tędy biegnie małpa. Tu mieści się restauracja, gdzie fałszywy swami zasiada na swoim tronie. Tu stoi czerwony plastikowy robot, który za rupię przepowiada ludziom przyszłość. Tu pewna kobieta sprzedaje ogórki. Czy nie widziałeś tego na własne oczy? Tych wszystkich zwariowanych cudów w Ryzikeśu nad Gangesem? Kolorowych posągów bóstw? Tysięcy ludzi odprawiających nad

rzeką wieczorne *arati*? Będąc w aśramie, byłam przez cały czas z tobą. Nie czułam najmniejszego oddalenia. Ty zawsze byłeś przy mnie. W złych chwilach i w dobrych. Spytałam, czemu tak się dzieje, a swami odparł: ponieważ jego serce i twoje są tym samym, a dla serca nie ma oddalenia. Gdy poczujesz to samo w odniesieniu do wszystkich ludzi, wszystkich istot żywych, nie tylko tego chłopaka, którego kochasz, wtedy twoja miłość obejmie cały świat. I sama staniesz się światem i znów znajdziesz się w domu.

– Cristino, mam wrażenie, że ty się teraz ze mną żegnasz.

– Ja cię kocham, Juanie Barbarín. Zawsze cię kochałam i zawsze będę kochać. Poza tym wiem, że ta moja miłość do ciebie nie zaczęła się w tym życiu, lecz dużo wcześniej, w innej epoce, w innym miejscu.

– To dlaczego się ze mną żegnasz?

– Nie, Juanie Barbarín, nie o to chodzi – powiedziała Cristina, patrząc na mnie z wyrazem miłości, jakiego nigdy u niej nie widziałem. – Przecież mówię coś odwrotnego: że nigdy się nie rozstaniemy. Pewnego dnia w Ryszikeśu, już pod koniec, zobaczyłam cię nad Gangesem. To był dzień pełen słońca. Tam dużo pada, szaleją wielogodzinne ulewy, ale po deszczu zawsze wychodzi słońce. Siedziałam akurat nad rzeką, pod banianem. Dzień był piękny, a ja siedziałam nad rzeką ze swoją małą, przesuwając między palcami paciorki z nasion rudrakszy i szkła i powtarzając mantrę. Nagle zobaczyłam cię kawałek dalej, na kamieniu tuż nad wodą. Byłeś ubrany na biało, jak sadhu, których w Ryszikeśu nie brakuje. Miałeś na sobie białe spodnie do kolan i pelerynę. Asceci w Indiach często tak chodzą, półnaczy. Siedziałeś wpatrzony w wodę. Od czasu do czasu spoglądałeś też na mnie i się uśmiechałeś. Twarz miałeś spaloną od słońca. Wydawałeś się bardzo zmęczony. Wiedziałam, że nie mogę do ciebie podejść, gdyż to, na co patrzę, jeszcze się nie zdarzyło. Wiedziałam, że widzę przyszłość. Bo włosy ci się przeredziły i posiwiały. I zapuściłeś brodę. Miałeś wory pod oczami, ale oczy ci błyszczały. I pięknie się uśmiechałeś. Potem wstałeś i uśmiechnąłeś się do mnie po raz ostatni. I odszedłeś brzegiem rzeki, po leżących tam kamieniach. Utykałeś. Wyglądałeś na dużo starszego i kruchego. Miałeś bardzo opalone i bardzo chude nogi. To chyba przez te twoje chude nogi poczułam smutek. Były silne, żylaste, nawykłe do marszu, ale jakby krzywe. No i to dziwne utykanie. Wspierałeś się na kij. Z jakiegoś powodu okulałeś. Nie wiem, może nawet miałeś drewnianą nogę, nie wiem. Z tego smutku aż się rozplakałam. Płakałam, płakałam i płakałam, i niebo też zaczęło płakać.

Deszcz w Ryszikeśu jest tak naturalny i spontaniczny jak wiatr. Spada nagle i całe miasto płynie. Płyną chodniki. Płyną ulice. Płyną schody. A dużo ich w Ryszikeśu. Leży na zboczu gór. Dalej siedziałam pod tamtym banianem, czekając, by ciepły deszcz przedarł się przez koronę drzewa i mnie zmoczył. Wciąż płakałam, ale przez dłuższą chwilę liście chroniły mnie przed ulewą i byłam sucha. Później zaczęło na mnie kapać.

Tak mówiła Cristina ze swoimi błyszczącymi oczami.

Tak właśnie mówiła, a ja przez jakiś czas odnosiłem wrażenie, że wielkie słońce Indii przesuwa się z wolna i nade mną; że czuję ciepły wietrzyk szmerzący w banianach rosnących wzdłuż Gangesu; że też tam byłem i widziałem pielgrzymów kąpiących się w rzece, uczepionych liny, by nie odpłynąć z silnym nurtem. Czuję w nozdrzach zapach odchodów i drewna sandałowego, słyszałem pokrzykiwania handlarzy i mędrców, jakbym się pośród nich znajdował.

Cristina chciała spędzić w Indiach co najmniej sześć miesięcy i uzgodniliśmy, że na jakimś etapie do niej dołączę, na przykład na połowę tego czasu. Nigdy się jednak nie zdecydowałem. Ona rzuciła pracę w chorze RTVE, bo nie mogła prosić o tak długi urlop, i wyjechała do Ryszikeśu na pół roku, które później przedłużyła o kolejne cztery miesiące.

Czas mijał, a ja ciągle odwlekałem wyjazd. Wysyłaliśmy sobie listy. Te pisane przez nią były entuzjastyczne i piękne, pełne dziwnych obrazów i trudnych dla mnie do zrozumienia terminów w sanskrycie takich jak *arati*, *satsang*, *sadhana*, *pudża*, *krija*, *samskara*, *kirtan*, *satja* czy *dharma*. Przy jakiejś okazji dowiedziałem się o Lucy, dziewczynie, z którą Cristina zaprzyjaźniła się w aśramie, jak również o poznanych tam Davie i Eberhardzie. Imię Eberharda przewijało się także w innych listach, razem z informacjami o klimacie Uttarakhandu oraz tym, co zwykłem nazywać „typowymi historiami z Ryszikeśu”, dotyczącymi, przykładowo, krowy mieszkającej na jednym z dziedzińców aśramy, chłopca, który miał wiewiórkę i był synem rikszarza, albo staruszki, która pracowała kiedyś jako prawniczka w Cennaju, a na starość przeniosła się do aśramy w Ryszikeśu, by umrzeć nad Gangesem. Nie ulegało wątpliwości, że Cristina czuje się w Indiach niezwykle szczęśliwa i że zyskała nawet pewną pozycję w aśramie, gdzie pozwalano jej już czasem prowadzić *satsang*. Eberhard był, jak się zdaje, muzykiem, Austriakiem, który pojechał do Indii studiować grę na perkusji i teraz grał w aśramie na tabli, wraz z zespołem wykorzystującym również sitary, tambury

i harmonijkę. Cristina pisała, że powstał nawet projekt nagrania wspólnej płyty: ona śpiewałaby mantry, Eberhard zaś akompaniowałby jej na tabli. Wyobrażałem go sobie, nie wiadomo dlaczego, jako faceta z jasną kozią bródką, głupim uśmiechem i ogromnym członkiem i próbowałem wyczytać ze słów Cristiny, czy coś do niego czuje, a nawet czy się z nim przespała. Potem, w liście, do którego dołączyła różowe płatki jakiegoś nieznanego mi kwiatu, oznajmiła, że przeszła inicjację i otrzymała sanskryckie imię Śakti. Wyjaśniła, że inicjacja oznacza odrodzenie i wejście do duchowej rodziny guru. Nie podpisywała się już więcej jako Cristina, lecz jako Śakti – nowym imieniem swojego nowego „ja”. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście przestała być Cristiną i czy Juan Barbarín aby wie, kim właściwie jest owa Śakti.

Pomysł, by lecieć do Indii w środku roku akademickiego, okazał się trudny do przeprowadzenia, więc postanowiłem odwiedzić Cristinę w trakcie świątecznej przerwy. Jednakże Boże Narodzenie nadeszło, a ja wciąż nie kupowałem biletu. Wyobrażałem sobie siebie śpiącego na słomianym sienniku w jakimś ponurym i zimnym pomieszczeniu w aśramie. Później nastął Wielki Tydzień. Plany podróże nadal mi się nie kleiły. Wreszcie, u progu lata, wybrałem się do agencji turystycznej, żeby polecieć do Delhi i spędzić z Cristiną cały czerwiec i lipiec. Tyle że po długiej a milczącej dyskusji z samym sobą i wyprowadzeniu z równowagi obsługującej mnie dziewczyny, wyszedłem stamtąd z biletem nie do Delhi, lecz do Bostonu. Pod koniec czerwca wyjechałem do Stanów Zjednoczonych i nigdy więcej Cristiny nie widziałem.

Łapią nas partyzanci

Opowiem teraz jednak, co się wydarzyło po tym, jak Gwen czy też Carmen, czy jakkolwiek brzmiało jej imię, strzeliła mi w lewą stopę, a ja zacząłem ryczeć i tarzać się po ziemi jak zwierzę. Chłód, z jakim to uczyniła, był nie mniej niepokojący niż ten, z jakim ona i jej towarzysze traktowali nas później. Sytuacja była naprawdę dziwna, ponieważ Gwen najwyraźniej postrzeliła mnie *dlatego, że nie zamilkłem*. Jasne, istniało jeszcze inne wytłumaczenie: że postrzeliła mnie, bo zdradziłem przed George'em, że ze mną spała. Potem jednak, dodając dwa do dwóch, doszliśmy do wniosku, że poszło raczej o ten pierwszy powód. Kilka razy powtarzali nam z George'em, że mamy milczeć i że *nie chcą słyszeć naszych głosów*, a George w pewnym momencie zaczął grać na okarynie (i grał długo, z piętnaście albo dwadzieścia minut), żeby nas uciszyć. Może dlatego też zaszyli usta Eileen: żeby ją uciszyć, nie pozwolić *brzmieć jej głosowi*. Należało się zastanowić: o co w tym wszystkim chodzi? Tyle że wtedy, w pierwszej chwili, kiedy zwiјаłem się bólu, trudno się było zastanawiać nad czymkolwiek. Joseph poprosił George'a i Gwen o pomoc medyczną, powiedział, że moja rana wymaga opatrzenia, ale oni odparli, że nie zamierzają udzielać nam żadnej pomocy i że sam sobie jestem winien, bo ich nie posłuchałem. Następnie kazali nam wstać, poprowadzili pod bronią ku wyjściu i powiedzieli, że mamy wracać do swojej wioski, wytłumaczyć innym obowiązujące na wyspie zasady i pod żadnym pozorem więcej się w nią nie zagłębiać. Najdziwniejsze, że odnosili się do nas z lękiem, z lękiem i obrzydzeniem, jakbyśmy to my grozili im, a nie na odwrót. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego.

Ruszyliśmy w drogę – ja podtrzymywany przez Josepha i Wade'a, półprzytomny, z krwawiącą nogą. Jakieś dwieście czy trzysta metrów dalej, gdy straciliśmy z oczu podrabianych dzikusów i ich sztuczną osadę, przystanęliśmy. Opadłem na ziemię i Joseph obandażował mi stopę najlepiej,

jak mógł. Na wyprawę, przewidując możliwe zranienia, wzięliśmy ze sobą środki odkażające i bandaże, jednakże nasze plecaki zostały dokładnie przeszukane i opróżnione z całego jedzenia oraz wszystkich leków. Wade naścinał młodych gałęzi i, wykorzystując brezent, który zabraliśmy dla ochrony przed deszczem, skonstruował prowizoryczne nosze. Mieliśmy przed sobą jakieś dwa dni wędrówki, może nawet trzy, zważywszy na trudności z niesieniem mnie. I tak rozpoczął się koszmar.

Niemal cały dzień zajęło nam dotarcie do doliny, gdzie widzieliśmy błękitnego człowieka, za którego olbrzymią postacią rozglądaliśmy się teraz z, jak sądzę, mglistą jeszcze nadzieją albo może równie nieokreślonym strachem. Chociaż niebieski to w sumie kolor pełen obietnic, poza tym tamta ogromna istota zdawała się przynależeć do świata snów. Padało prawie bez przerwy, my zaś nie mieliśmy ani zapasów, ani osłony przed deszczem. Ja straszliwie cierpiałem. Czułem, że żywy ogień pali mi lewą stopę, kostkę i łydkę, a niewygodna pozycja na noszach sprawiała, że dodatkowo bolało mnie całe ciało. Głowa podskakiwała mi przy każdym kroku niosących. Nieustanne wstrząsy wprawiały mnie w oszołomienie i dezorientację, tak że czasami nie wiedziałem już, czy leżę na brzuchu czy na plecach i czy podążamy w kierunku, gdzie znajduje się moja głowa, czy przeciwnym. Dostałem też wysokiej gorączki, której nie mieliśmy czym zbić. W tych warunkach deszcz zdawał się mi wręcz błogosławieństwem: nieustannie chłodził moją rozpaloną twarz, tyle że musiałem zaciskać powieki, żeby oczy nie wypełniły mi się wodą, jak u zmarłych. Wade ukręcił z odzieży i pnączy sznury, za pomocą których on i pozostali mogli nieść moje nosze zawieszane na ramionach, zamiast ścisnąć je w dłoniach. Na postojach widziałem poobcieraną do mięsa skórę moich towarzyszy i łzy, które płynęły po ich brudnych, zrezygnowanych twarzach. Myślałem wtedy, że nam się nie uda, że pomrzemy wszyscy w tym chorym ogrodzie pełnym owadów i wilgoci, tonącym w widmowej ciszy przerywanej jedynie głosami ptaków, pokrzykiwaniem małp, brzęczeniem owadów i trzaskiem zarośli padających pod ciosami maczety (nikt z nas się bowiem podczas tych wyczerpujących marszów nie odzywał) albo że moi towarzysze nie wytrzymają dłużej i po prostu zostawią mnie gdzieś w tej dżungli. Nasz jedyny sensowny plan przewidywał dotarcie do rzeki płynącej przez dolinę, zbudowanie łodzi i spłynięcie nią do morza. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że ta rzeka wpada później do naszej, która z kolei zaprowadzi nas prosto do domu. Bez owej odrobiny szczęścia (którego nie

należało się raczej spodziewać po tym wszystkim, co przeszliśmy) musielibyśmy pokonać jeszcze ileś tam kilometrów wzdłuż wybrzeża. Wszystko było jednak lepsze niż przedzieranie się przez tę podmokłą gęstwinę rojącą się od komarów. Od czasu do czasu trzeba było pokonywać sporych rozmiarów oczka wodne pokryte rzęsą i delikatnymi, białymi oraz różowymi kwiatami, lecz wypełnione nieprzyjemną, gęstą i czarną cieczą sięgającą moim towarzyszom powyżej pasa. Oszczędziły nas przynajmniej pijawki, chociaż przy jednej z takich okazji dwie z nich zaatakowały Josepha i Sheilę, którzy musieli ściągać spodnie, żeby usunąć krwiopijcę z brzucha, już niemal spomiędzy włosów łonowych (Sheila) i z penisa (Joseph). Był to chyba jedyny moment naszej podróży, kiedy poczułem, że ktoś ma jeszcze gorzej niż ja. Wciąż pamiętam wrzaski Josepha: *Oh, shit, oh, shit, son of a goddamn bitch!*, i jego histeryczny śmiech na widok paskudnego stworzenia wczepionego w jego członek, i bezgraniczną odrazę, z jaką je stamtąd odrywał, świadom, że przy braku soli, którą można by je posypać (również odebranej nam przez podrabianych dzikusów), jego przyssawki mogą pozostać w tkance i spowodować zakażenie. Kiedy w końcu dotarliśmy nad rzekę, toczącą swoje świeże wody na północ, postanowiliśmy nad nią zanoć i zająć się budową łodzi dopiero nazajutrz. Nie mieliśmy nic do jedzenia, a byliśmy tak zmęczeni, że nie wyobrażaliśmy też sobie, byśmy mogli go zacząć o tej porze szukać. Tak czy owak, jak to zwykle bywało na wyspie, wszystko potoczyło się inaczej, niż przewidywaliśmy.

Nie zdążyliśmy nawet znaleźć dobrego miejsca na obóz. Znów popadliśmy w niewolę. Napastnicy bez trudu otoczyli nas i wzięli z zaskoczenia, jako że ostatnim, czego byśmy się spodziewali, był następny atak. Początkowo sądziliśmy, że to ludzie George'a i Gwen śledzili nas i postanowili ponownie uwięzić, szybko jednak zdaliśmy sobie sprawę, że ci kolejni prześladowcy należą do zupełnie innej grupy. Wyglądali jak typowi południowoamerykańscy partyzanci – w kamuflujących mundurach koloru brudnej zieleni lub khaki, a często też w okularach przeciwsłonecznych i czapkach z daszkiem. Grupa składała się z jakichś dwunastu mężczyzn i sześciu czy siedmiu kobiet. Wszyscy byli bardzo brudni i zapuszczeni. Mężczyznom wyrosły długie, splątane brody. Niektórzy palili cygara własnoręcznie zrobione z liści, które nazywali tytoniem, choć nie wydaje mi się, by chodziło o prawdziwy tytoń, jako że cuchnęło od nich spaloną trawą, przy czym możliwe też, że jednak był to tytoń, tyle że źle wysuszony. Kobiety miały twarze i usta spieczone od

słońca, i w ogóle skórę zniszczoną od życia pod gołym niebem. Ich zęby zżółkły i się popsuły, z ust im śmierdziało. Wszyscy zresztą śmierdzieli i mam podejrzenie (nie, właściwie pewność), że nie myli się zbyt często. Uzbrojeni byli w stare kałasznikowy AK-47 i pistolety maszynowe Ingram MAC-10 – ulubioną broń terrorystów – a kilku z nich, zwłaszcza Zacariás, ich przywódca, nosiło przewieszane przez pierś pasy z nabojami do działek M61. Należało więc uznać, że albo mają gdzieś schowane takie działko, albo te pasy pełne podłużnych pocisków z miedzianymi główkami stanowią jedynie demonstrację siły, tak typową dla wojowników wszystkich epok, jak również dla walczących zwierząt. Później przekonaliśmy się, że faktycznie dysponowali dwoma działkami M61, umieszczonymi w zamaskowanych „gniazdach” w głębi dżungli, a także dwoma radzieckimi jeszcze granatnikami RPG-7 i nawet rakieta Mistral ziemia–powietrze, zdolną zestrzelić helikopter z odległości czterech kilometrów.

Mimo zmęczenia musieliśmy iść jeszcze przez niemal półtorej godziny, zanim znaleźliśmy się w ich bazie, która okazała się miejscem naprawdę robiącym wrażenie. Był to opuszczony kompleks hinduistycznych świątyń, ozdobionych mnóstwem posągów Hanumana, boga-małpy, oraz rzeźbami par kopulujących we wszelkich możliwych pozycjach, częściowo zasłoniętymi przez bujną roślinność: pnącza, liany, a nawet fikusy wyrastające na murach i bramach. Zafascynowany przyglądałem się złotym małpom wspinającym się po ścianie nieopodal, niemal całkiem zagubiony na krawędzi snu i jawy, niepewny, czy to, co dostrzegam przez gęstą zasłonę nieubłaganej ulewy, to rzeczywiście coś, co widzą moją śmiertelne oczy, czy raczej senna wizja. Nie wiem, ile dokładnie było tam tych świątyń – może sześć albo siedem. Niektóre całkiem ginęły pod warstwą zieleni, inne wyglądały tak, jakby ustąpiły pod naporem bagnistego gruntu i zapadły się w błoto, jako że pochodziły najwyraźniej sprzed ponad tysiąca lat. Stylem przypominały świątynie w Orisie nad Zatoką Bengalską, z tymi wielkimi kamiennymi wieżami znanymi pod nazwą śikhar, zwieńczonymi przez pierścieniowate amalaki. Nie potrafiłem zrozumieć, skąd te kształty, typowe dla najbardziej klasycznej hinduistycznej architektury, wzięły się w miejscu równie oddalonym od strefy jej wpływów. Wiele lat wcześniej, za młodu, bardzo interesowałem się sztuką Indii i stałem się wręcz swego rodzaju autorytetem w dziedzinie jej stylów i okresów, dlatego wiedziałem, że klasycznej architektury hinduistycznej nie spotyka się na wschód od Bali. Z kolei style późniejsze, charakterystyczne dla

Kambodży, Tajlandii czy Jawy, są już całkiem inne, toteż istnienie świątyn równie starych tak daleko na wschód od Celebes wydawało mi się całkiem niewytłumaczalne. Spędziliśmy w kompleksie świątynnym dwa tygodnie i mieliśmy, jak się zdaje, dość okazji, by się przekonać o jego wiekowości. Pomieszczenia w środku nie grzeszyły wygodą, zresztą nie zostały przecież pomyślane jako mieszkanie dla ludzi, toteż nasi prześladowcy gnieździli się w nich jak zwierzęta, śpiąc na legowiskach ze słomy albo wprost na ziemi. Wymyślnie wykończone dachy przydawały im się jedynie jako osłona przed deszczem.

Partyzanci, bo tak ich będę tu nazywał, wydawali się ludźmi wesołymi i znajdowali się w stanie wiecznego pobudzenia, wręcz egzaltacji, której powodu nie umiałem odgadnąć, a która z pewnością wiązała się z zażywaniem jakiejś substancji psychoaktywnej pozyskiwanej w lesie. Zacarías, ich przywódca, był mniej więcej czterdziestoletnim Boliwijczykiem, mężczyzną dosyć wysokim i mocno zbudowanym, o twarzy ozdobionej gniewną czarną brodą. Do grupy należało jeszcze kilkoro innych Latynosów, zapewne z krajów takich jak Honduras, Peru, Nikaragua czy Salwador, chociaż ich akcentów nie potrafiłem rozróżnić ani rozpoznać, a także kilkoro Amerykanów, kilkoro Europejczyków (oprócz Włochów i Niemców był tam jeden Islandczyk i jeden Hiszpan, niejaki Pere, który bez przerwy żuł jakieś białawe korzenie, mocno się przy tym śliniąc) oraz dwóch Azjatów, bez wątpienia Koreańczyków. Wśród kobiet wyróżniała się pewna blondynka z wielkim biustem, kochanka Zacaríasasa, nazywana przez wszystkich Czerwoną Gwiazdą i pełniąca funkcję kogoś w rodzaju jego zastępczyni. Nazwałem ją „kochanką Zacaríasasa”, bo partyzanci zasadniczo dzielili się swoimi kobietami i nie dotyczyło to wyłącznie jej, chociaż odniosłem wrażenie, że Zacarías wypożyczał ją niekiedy dwóm swoim najbliższym kumplom: Amerykaninowi imieniem Charlie, noszącemu opaskę na jednym oku, i Włochowi zwanemu Ventimiglią, któremu brakowało z kolei prawego ucha. Myślę, że Czerwona Gwiazda pochodziła z krajów nordyckich, może z Norwegii albo z Niemiec. Pozostałe kobiety, różniące się zresztą od mężczyzn jedynie brakiem zarostu i wypukłością biustu, stanowiły, jak wspomniałem, wspólną własność, co miało chyba podkreślać wstręt żywiony przez partyzantów względem burżuazyjnej hipokryzji oraz ich pogardę dla tradycji.

Określali się mianem Armii Wyzwolenia Ludowego i pierwsze, co nam powiedzieli, jak tylko dotarliśmy do ich bazy i na ich rozkaz uklękliśmy na

bruku u wejścia do największej ze świątyń, to żebyśmy nie liczyli na żadne specjalne traktowanie, albowiem wszystkie nasze „przywileje” zostały zniesione, my zaś jesteśmy „wrogami klasowymi” i chwilowo najważniejsze to nas politycznie reedukować. Joseph oświadczył, że chwilowo najważniejsze jest coś innego: pomoc znajdującemu się pośród nas rannemu, na co Czerwona Gwiazda obejrzała moją stopę z ostentacyjnym brakiem zainteresowania i wbrew potwornemu wyglądowi otworu wlotowego rany – jedyne, który mogłem sam obejrzeć – oświadczyła, że nic się nie dzieje, rana jest czysta, kula weszła i wyszła, i nie trzeba podejmować żadnych specjalnych działań. Potem związali nam nogi w kostkach, żebyśmy nie uciekli, i podzielili się z nami skromną kolacją złożoną z gotowanych korzonków i szarawych, oblepionych muchami kawałków pieczonego mięsa, które napawały mnie nieprzewyciężonym obrzydzeniem i których mimo głodu nie tknąłem. Widziałem, że moi towarzysze też patrzą na to mięso nieufnie. Wade spytał, co to za zwierzę, a partyzanci odparli, zaśmiewając się do rozpuku, że świnia. Ale na tej wyspie nie ma świń, zauważył Wade. Och, pewnie, że są, odrzekł Zacarias. Takie ciemne, dzikie i groźne. Polujemy na nie. Tak się z tego śmiali, że sam już nie wiedziałem, o czym właściwie mówią i czy to mięso naprawdę pochodzi z jakiegoś jadalnego zwierzęcia. To znaczy – w ogóle ze zwierzęcia.

Po tej dziwnej kolacji zaprowadzili nas do świątyni. Mieściło się tam kilka położonych jedno za drugim pomieszczeń. W pierwszym spali oni wszyscy, na swoich prowizorycznych posłaniach; w kolejnym urządzili arsenał. W głębi znajdowała się właściwa komnata świątynna, która w klasycznych hinduistycznych budowlach nie służyła nigdy do gromadzenia wiernych, lecz była po prostu mieszkaniem bóstwa, dlatego podobne *sancta sanctorum* nie wyróżniały się wielkością ani tym bardziej dobrą wentylacją czy oświetleniem. Faktem jest, że smród tam panował nie do opisania: przyprawiający o mdłości odór odchodów i moczu zmieszany ze wstrętną wonią krwi, zgniłego mięsa i śmierci. Ku naszemu zaskoczeniu partyzanci dysponowali zapasem świec, które sami wyrabiali, choć nie potrafię sobie wyobrazić – z czego. Skierowali nas prosto do pomieszczenia w głębi, znajdującego się bezpośrednio pod śikhara, czyli tą tak imponującą z zewnątrz kopulastą wieżą. Stał tam wielki kamienny posąg Hanumana, boga-małpy, umieszczony w niszy oświetlonej zmiennym, drżącym blaskiem trzydziestu czy czterdziestu świec, ściany zaś ozdobione były figurkami apsar, czyli nimf,

Nagów, czyli wężokształtnych bóstw, słoni z wieżami *howdah* na grzbiecie oraz par praktykujących maithunę – a wszystko to zadawało się wręcz ożywać pośród tańczących cieni, choć w przeciwieństwie do tego, co spotyka się w prawdziwych hinduistycznych miejscach kultu, największa z rzeźb wydawała się czysta, nieumazana czerwonym masłem, popiołem czy rozgniecionymi płatkami nagietków. Niemniej i tu uprawiano pewien kult, tylko innego rodzaju. U stóp boga-mały, ustawione jedna tuż przy drugiej za szeregiem świec, tłoczyły się biało-czarne fotografie różnych rozmiarów, często poszarzałe od deszczu lub pożółkłe od słońca, oprawione w złote, obtłuczone w wielu miejscach ramki. Wszystkie przedstawiały przywódców rewolucji, między którymi w swoim półprzytomnym stanie (prawdę mówiąc, wciąż nie jestem pewien, co z tego, o czym tu zaświadczam, odpowiada rzeczywistości, a co było efektem związanych z gorączką majaków) rozpoznałem w fantasmagorycznym blasku świec Stalina, Lenina, Trockiego, Berię, Marksa, Engelsa, Pol Pota, Bélé Kuna, marszałka Tito, Nicolae Ceaușescu, Che Guevarę, Fidela Castro i Mao Zedonga, otoczonych wieloma innymi, obcymi dla mnie twarzami. Fascynująco wyglądały te zdjęcia – umieszczone na ołtarzu, jakby chodziło o wizerunki bogów, chociaż nie sądzę, żeby nasi partyzanci rozumieli tkwiącą w tym głęboką ironię. Czarno-białe oblicza rewolucjonistów również zdawały się poruszać w migotliwym świetle. Kojarzyły mi się z pyskami zwierząt, głowami monstrualnych mały. Przy czym później, gdy zastanawiałem się nad tą świątynią, która niejednokrotnie pojawia się w moich najgorszych koszmarach, przyszło mi na myśl, że być może my, ludzie, nie jesteśmy niczym więcej niż zwierzęta i monstra i że tamten przybytek, wzniesiony na część boga-mały, celebrował właśnie tę potworną stronę naszej natury. Partyzanci kazali nam się na ziemi w tym mrocznym, wilgotnym i cuchnącym miejscu, i przyglądać się podobiznom wszystkich tych bogów i półbogów komunistycznej religii, pośród których znajdowały się również jedne z najbardziej krwiożerczych bestii, jakie wydała ludzka rasa. Nasza „reedukacja polityczna” rozpoczęła się bez zwłoki.

Partyzanci spytali, że czytaliśmy *Manifest komunistyczny*. Odrzekłem, że ja tak, ale odpytywany bardziej szczegółowo nie potrafiłem przypomnieć sobie nic poza pierwszym zdaniem, tym o „widmie krążącym nad Europą”, i końcówką z hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”, i nie umiałem odpowiednio odnieść się do kolejnych kwestii, formułowanych bez wyjątku w skrajnie ezoterycznym marksistowskim żargonie. Raz po raz padały

słowa takie jak „praxis” i „dialektyka”, „walka klas” i „drobnomieszczaństwo”, przerywane wzajemnym zwracaniem się do siebie per „towarzyszu” lub „obywatelu”. Później Zacarías spytał nas, czy znamy ludzi sportretowanych na tamtych zdjęciach. Wspólnymi siłami wymieniliśmy nazwiska niecałej jednej trzeciej z tych postaci, zostało więc dowiedzione, że jesteśmy „wrogami klasowymi” (zgodnie z założeniem, że każdy, kto nie wyznaje marksizmu-leninizmu, to wróg klasy robotniczej) i tym samym doskonałymi kandydatami do reedukacji politycznej, która miała nam podobno oczyścić głowy z pajęczyn i sprawić, byśmy wreszcie zobaczyli rzeczywistość z całą jasnością.

– Wszyscy ci ludzie! – zawołał Zacarías, wskazując błyszczące w świetle świec zdjęcia i posługując się łamaną angielszczyzną, która czasem przechodziła w hiszpański. – Wszyscy ci bohaterowie rewolucji zostali oszkalowani! Poddani oszczerczej kampanii opłacanej pieniędzmi z Wall Street i popieranej przez burżuazyjną prasę! Kapitalistyczna propaganda spisała się na medal! Wszystko to kłamstwa, za które płaci się krwawicą wyzyskiwanych! Nazywają ich mordercami! Nazywają dyktatorami! Przyjrzyjcie się uśmiechowi ojczulka Stalina. Popatrzcie w te nieśmiałe, dobre, cierpliwe oczy gruzińskiego rolnika. Czy tak wygląda twarz mordercy? Spójrzcie na oblicze towarzysza Lenina, na tę minę emanującą na wpół inteligencją, a na wpół nadzieją. Czy to mina rzeźnika? Nie, to nie byli mordercy ani rzeźnicy, po prostu mieli odwagę, mieli jaja, do kroćset! Odwagę, żeby zmieniać świat. Zrobili to, co musieli zrobić. I jeśli napatoczył im się po drodze jakiś burżuj, wyzyskiwacz, kapitalista przywykły do wysysania ludzkiej krwi, nie będziemy po nim płakać. Od ilu wieków oni nas wyzyskują, traktując nas jak zwierzęta, kupując nas i sprzedając jak towar? Mordercy? To oni są mordercami!

Oświadczyłem wtedy, ze śmiałością biorącą się z gorączki, że nie rozumiem, czemu nazywają nas „wrogami klasowymi”, skoro nic o nas nie wiedzą. Powiedziałem, że jestem i zawsze byłem lewicowcem. Słyszac to, Zacarías parsknął śmiechem. Spytał mnie o zawód, więc odparłem, że uczę muzyki. Spytał, gdzie jej uczę, więc odparłem, że na pewnym amerykańskim uniwersytecie. Potem zagadnął o to samo innych. Joseph odrzekł, że jest chirurgiem, Christian – że masażyście, Sheila oznajmiła, że studiuje, Santiago przyznał, że pracuje jako kelner w fast foodzie w Sausalito, a Wade, znacznie sprytniejszy niż my wszyscy razem wzięci, skłamał, że reperuje auta. To

ostatnie chyba przypadło Zacariásowi do gustu, jako że praca w warsztacie czyniła z Wade'a członka klasy robotniczej, proletariusza, choćby i nieświadomego własnej przynależności klasowej czy obiektywnych mechanizmów historii. Zdumiałem się, że łyknęli to kłamstwo tak łatwo.

– Już ja wiem, co to znaczy, że jesteś „lewicowcem” – podjął Zacariás, zadowolony, że ma okazję do wygłoszenia na mój użytek „politycznej pogadanki”. – To znaczy, że chociaż wyznajesz burżuazyjne wartości i wygodnie sobie żyjesz w kapitalistycznym raju, masz trochę wyrzutów sumienia, bo wiesz, jaki z ciebie pasożyt, i rozumiesz, że cały twój dobrobyt bierze się z niemiłosiernego wyzysku Trzeciego Świata. To znaczy też, że wierzysz w parę postępowych „idei”, ale w gruncie rzeczy nie zamierzasz niczego zmieniać i ze wszystkich sił pragniesz, by rewolucja nigdy się nie ziściła. Ta twoja „lewica” to jedno wielkie gówno, bracie – oznajmił mi po hiszpańsku, zrozumiawszy, że władam językiem, w którym najłatwiej mu się wyrażać. – Demokracja! Wolność! Bo z pewnością zaliczasz się do obrońców wolności – zadrwił. I przerzucił się znowu na swoją łamaną angielszczyznę. – Wolność! Mieszczańska wolność to wolność kupowania i sprzedawania! Na co się przyda proletariuszowi? Teoria, niech to szlag! Tego właśnie tu potrzebujemy! Te-o-rii!

Kontynuował w tym duchu, pokrzykując, przez dłuższą chwilę. My trochę podsypialiśmy, oni budzili nas szturchańcami. „Nie śpij!”, krzyczeli. „Śpij tylko kapitaliści! Czuwaj!”

Wszyscy gapili się pożądliwie na Sheilę. Zacariás wyjaśnił, że w Armii Wyzwolenia Ludowego nie istnieje własność prywatna ani też prawo własności do ludzi, co oznacza, że kobietami trzeba się dzielić, w związku z czym my możemy przespać się z którąkolwiek z partyzantek (wyjąwszy Czerwoną Gwiazdę), Sheila zaś musi oddać się tym z towarzyszy, którzy jej zechcą. Widząc, w jaką ten pomysł wprowadził nas wściekłość, chwilowo odpuścili, lecz nie ulegało wątpliwości, że gdyby postanowili jednak skorzystać z wdzięków dziewczyny, czyli innymi słowy ją zgwałcić, mogliby zrobić to na naszych oczach, jako że byliśmy w mniejszości, do tego związani i bezbronni. Kilka kobiet zdjęło bluzy kamuflujące, odsłaniając swoje brudne ciała, w paru przypadkach zaskakująco zresztą piękne, albowiem po rozbierającej się kobiecie można się spodziewać wszystkiego, poza tym już dawno stwierdziłem, że właśnie pozorne brzydule miewają najładniejsze kształty. Jasne, że żaden z nas nie miał nastroju, żeby skorzystać z tej szczodrej

oferty. Dlatego partyzanci ponownie związali nam ręce, po czym zamknęli nas w sześciornie w pomieszczeniu przylegającym do arsenału, skąd słyszeliśmy odgłosy ich orgii, która trwała i trwała, przeciągając się, jak sądzę, do świtu.

Czy jesteśmy chorzy, choć o tym nie wiemy?

Następnego ranka obudzili nas wrzaskami, rozwiązali nam ręce (tamtej pierwszej nocy posłużyli się sznurami, później jednak używali łańcuchów, długich łańcuchów z obręczami na kostki i nadgarstki) i kazali wyjść na strome kamienne schody przed świątynią, gdzie zazwyczaj odpoczywali, gromadzili się i jedli. W świetle dnia potwierdziło się to, co podejrzewałem już poprzedniego wieczoru: kompleks świątynny otoczony był kamiennym murem z wielkimi zdobnymi bramami znanymi pod nazwą toran, przy czym mur ów w większej części zdążył się już zawalić, a niektóre torany ginęły pośród zieleni. Nietknięta ostała się tylko ta, która znajdowała się na wprost nas i przez którą poprzedniego wieczoru dostaliśmy się do środka. W przejrzystej jasności poranka zakłócającej jedynie przez resztki mgieł zasnuwających jeszcze dżunglę i tu i ówdzie nakłuwanych od dołu przez śikhary, podobne do kolb kukurydzy, pękate malaki oraz inne zwieńczenia świątyń, te ostatnie wydawały mi się nawet piękniejsze i bardziej tajemnicze niż poprzednio, nocą, gdy mój wzrok zaćmiewały ulewa, ciemność i wyczerpanie. Po iluś tam godzinach spędzonych w dusznym, śmierdzącym wnętrzu możliwość posiedzenia na dworze, w porannym chłodzie, i pogapienia się na te cudowne wieże strzelające w niebo ze ścielących się w dole mgieł, stanowiła rozkosz, jakiej rzadko zdarzyło mi się w życiu doznawać. Partyzanci dali nam na śniadanie trochę gotowanych bulw i placki z tapioki. Wszystko to okazało się twarde i łykowate i trzeba było skupić się na myśli, że cokolwiek z takim trudem przeżywamy, zawiera niezbędne do życia składniki, żeby nie wypluć tego ze wstrętem.

Ventimiglia pojawił się ze skórzaną walizką, w której, jak zdążyłem zauważyć, trzymał setki szklanych ampułek w kolorze żywicy – z tych, co to mają zatyczki z kauczuku butylowego i aluminium, i służą do robienia zastrzyków. Wręczył jedną z tych ampułek Czerwonej Gwieździe, która

przyniosła w metalowym autoklawie niewielką strzykawkę. Zaraz potem zaczęło się „szczepienie”. Czerwona Gwiazda naciągała czegoś z żywicznej ampułki i wstrzykiwała to wszystkim partyzantom po kolei. Oni najwyraźniej zakładali, że my wiemy, o co chodzi, i zdziwili się, gdy odmówiliśmy udziału w ceremonii. Uznali nas za członków SIAR-u, który to skrót nic nam nie mówił, choć później przypomnieliśmy sobie, że widzieliśmy go na metalowych barierkach przy urwanej autostradzie. Nazywali nas też z pogardą „ludźmi Abrahama” i śmiali się, gdy pytaliśmy, kto to taki. Abraham Lewellyn, powtarzali. Nie wiecie, kto to Abraham Lewellyn? Nie wierzyli nam, gdy zapewnialiśmy, że nie wiemy, kim jest człowiek, którego nazwisko wymieniali z nienawiścią i niesmakiem, ale też z lękiem.

– To szczepionka – oświadczyła Czerwona Gwiazda, kiedy Joseph zagadnął ją o zawartość ampułek.

– Jaka szczepionka? – drążył. – Przeciwno czemu? Żadnej szczepionki nie trzeba powtarzać codziennie. To mi wygląda raczej na antidotum.

– Jak tam sobie chcesz, doktoru – rzuciła. – Antidotum czy szczepionka, wszystko jedno. Ale sam wiesz, co się stanie, jeśli jej nie przyjmiecie.

– Nie, nie wiem, co się stanie – odparł Joseph. – Wytłumacz mi.

Ventimiglia podszedł do nich, powoli pokonując stopnie, przystanął przed doktorem i wbił w niego spojrzenie. Był uzbrojony po zęby, jak oni wszyscy, i gdy tak stał, wzięwszy się pod boki, przez chwilę myślałem, że zaraz da Josephowi w twarz albo wręcz się na niego rzuci. Doktor nie spuścił wzroku, spokojnie przeżuwając swój placek z tapioki. Ventimiglia nie uderzył go jednak; zamiast tego zaczął wyjaśniać, angielszczyzną nie lepszą od tej używanej przez Zacariasa, że na wyspie robiono kiedyś eksperymenty z bronią biologiczną i dlatego niektóre obszary są skażone niebezpieczną bakterią, która wywołuje postępujące uszkodzenia układu nerwowego.

– Naprawdę o tym nie wiecie? – spytał Ventimiglia. – Jak to, do cholery, możliwe?

Joseph wciąż przeżuwał placek z tapioki i milczał, patrząc tamtemu w oczy. Wyjaśnialiśmy już wcześniej kilkakrotnie, że jesteśmy rozbitkami i że nasz samolot spadł i rozbił się w pobliżu wyspy, ale oni nam nie wierzyli. Tak samo jak nie wierzyli, gdy zapewnialiśmy, że nie należymy do SIAR-u, ba, nie wiemy nawet, co to jest, i nie znamy tego całego Abrahama Lewellyna.

– I nigdy się nie szczepiliście? – Ventimiglia chwycił ramię Josepha, szukając tam śladów po nakłuciach.

Pozostali partyzanci też przystąpili do oględzin, dokładnie sprawdzając nasze ręce i nogi, a dwóch z nich skorzystało z okazji, żeby obmacać Sheilę. Biedaczka broniła się, rozdając kuksańce i wyzywając ich od najgorszych. Śmiali się z tego. Potem zostawili ją w spokoju.

Ventimiglia chciał wiedzieć, od jak dawna przebywamy na wyspie, a gdy usłyszał, że prawie od miesiąca i że przez cały ten czas nie „zaszczepiliśmy się” ani razu, wyraźnie się zaniepokoił.

– Nikt wam nie powiedział o chorobie? – rzucił. – W takim razie jesteście już najpewniej zakażeni. Chodzi o broń biologiczną. Eksperymenty przeprowadzono tu dwanaście lat temu, ale bakteria pozostaje aktywna. Dostaje się do organizmu z powietrza i atakuje ludzi oraz inne duże ssaki. Pierwszymi objawami są halucynacje wzrokowe i słuchowe. Człowiek zaczyna słyszeć różne rzeczy, różne głosy odzywające się niby dookoła. Ma dziwne wizje. Widzi osoby od dawna niewidziane lub zmarłe albo istoty wręcz fantastyczne, na przykład błękitne słonie. Spotyka, dajmy na to, dziadka nieboszczyka i ucina sobie z nim pogawędkę. To bardzo realne wizje. Z czasem coraz bardziej realne. I coraz straszniejsze. Z atakującymi zwierzętami i potworami.

Unikaliśmy wzajemnie swojego wzroku. Ventimiglia zamilkł. Wszyscy partyzanci podnieśli spojrzenia ku górze, w stronę wejścia do świątyni. Zacariás, ich przywódca, pojawił się u szczytu schodów w rozchełstanej koszuli i rozpiętych spodniach. Obok niego szła Solveig, bardzo atrakcyjna dziewczyna, teraz zupełnie naga, jeśli nie liczyć butów. Nagość nie była zresztą w tym miejscu czymś wyjątkowym: partyzanci, którzy wszystko robili wspólnie, nie kryli się ani z wydalaniem, ani z seksem. Wszyscy w jakiś sposób wyczuli obecność szefa, bo, prostując się lekko, pozdrawiali go albo po prostu na niego patrzyli. Myślę, że Solveig czuła się dumna, iż na tę noc wybrał akurat ją, i dlatego nie zadała sobie trudu, by się ubrać. Chciała popisać się przed innymi.

– To choroba, która ma przerazić i dezorientować przeciwnika – rzekł Zacariás, podejmując wątek urwany przez Ventimiglię i jednocześnie porządkując garderobę. – Atakuje bezpośrednio mózg i zaczyna niszczyć układ nerwowy. Najpierw pojawiają się halucynacje, które stopniowo stają się tak realne, że wywołują paranoję, skłaniając zakażonych do bratobójczych walk i mordów. Na tym etapie trzeba zamykać chorych, przywiązywać ich do łóżek i wkładać im coś między zęby, żeby sami sobie nie zrobili krzywdy. Inaczej

gryźliby własne ciało, wyjąc przy tym jak wściekłe zwierzęta. Potem można już tylko wstrzyknąć im trochę powietrza do serca, żeby z tym skończyć. Bez regularnie stosowanej szczepionki nie ma żadnych szans na ratunek.

Nadal baliśmy się na siebie spojrzeć.

– Powiedzcie... – odezwał się znowu Ventimiglia, patrząc po nas kolejno z przerażoną miną, która mnie u niego zaskoczyła. – Powiedzcie: czy ktoś z was miewa zwidy? Widujecie dziwne rzeczy? Ścigające was fantastyczne zwierzęta? Zmarłych? Słyszycie głosy? Głosy, które do was mówią i wołają was po imieniu?

Boże mój, jak bardzo może bać się człowiek? Ventimiglia opisywał dokładnie te objawy, których doświadczyliśmy od przybycia na wyspę. Nagle wszystko zostało nam wyjaśnione – i to w najprostszy i najbardziej brutalny sposób: ataki gigantycznych wilków, błękitny olbrzym strzelający piorunami z czoła, latający spodek nad palmami, kapibara z niebieską obróżką i ogród z mojego dzieciństwa, Łąka, gdzie bawiłem się przed laty, otwierająca się nagle przede mną u wylotu tunelu przebitego przez góry, unoszące się w powietrzu kamienie... Tyle że te lewitujące kamienie wcale nam się nie zwidziały. Ani podrabiane dzikusy, ani później partyzanci, przeszukując nam plecaki, nie zwrócili na nie większej uwagi. A jednak one, wyjęte z plecaka, znowu zawisały w powietrzu.

Partyzanci nie zamierzali pozwolić nam uniknąć tej tak zwanej „szczepionki”, toteż przystaliśmy na to, by Joseph wstrzyknął nam po odpowiedniej dawce, uzyskawszy zgodę na wygotowywanie igły po każdym zastrzyku. Tamtych rozbawiły te ceregiele, niemniej, na szczęście, nie protestowali. Później Joseph wyjaśnił nam, że to, co znajdowało się w ampulkach, to nie była żadna szczepionka, lecz chloropromazyna, zwana też torazyną, czyli środek przeciwpsychotyczny używany do zwalczania objawów schizofrenii i innych chorób psychicznych. Chloropromazyna działa na ośrodkowy układ nerwowy, jest lekiem antycholinergicznym, antydopaminergicznym, antyhistaminowym, antyandrogenicznym i uspokajającym. Joseph wytłumaczył nam też, że jego skutki uboczne to hipotensja, senność i zaparcia, ale niekiedy również tak zwana akatyzyja, czyli nadmierne pobudzenie ruchowe, sprawiające, że człowiek musi na przykład chodzić, choćby znajdował się w bardzo ograniczonej przestrzeni. Chloropromazynę stosuje się w celu zapobiegania epizodom psychotycznym, w których przebiegu występować mogą halucynacje słuchowe i wzrokowe.

Przypomniałem sobie wtedy, że kiedyś w „New Yorkerze”, który przez jakiś czas prenumerowałem, natknąłem się na artykuł o Gułagu, gdzie podobno wstrzykiwano tę substancję zekom, aby nic im się nie śniło, jako że jednym z jej efektów jest także stłumienie aktywności onirycznej. Joseph powiedział, że o niczym takim nie słyszał.

Życie w niewoli bywa przede wszystkim monotonne. Oto niespodziewanie mieliśmy dużo czasu na myślenie i rozmowy. Kiedy nie poddawano nas akurat niekończącej się „reedukacji politycznej”, całymi godzinami rozważaliśmy swoją sytuację i próbowaliśmy sobie wyobrazić, czym, u diabła, jest ta wyspa i co to takiego ten SIAR. Santiago i Christian, najbardziej skłonni do snucia teorii spiskowych, wysuwali najrozmaitsze hipotezy: że SIAR to organizacja terrorystyczna; że, przeciwnie, to sekretne ramię CIA; że nasza wyspa stanowi coś w rodzaju „tajnego więzienia”, gdzie trzyma się wyjątkowo niebezpiecznych albo może nawet psychopatycznych przestępców; że chodzi raczej o poligon, na którym prowadzi się eksperymenty z bronią chemiczną i biologiczną.

– To logiczne, stary – powtarzał Santiago. – Teraz wszystko się zgadza, ludzie. Oni mają takie wyspy na Pacyfiku i na Oceanie Indyjskim. Wszyscy to wiemy. Takie poligony i tajne więzienia.

– Jack ma rację – sekundował mu Christian. – Wszyscy wiemy, że Amerykanie przetrzymują i torturują ludzi w różnych miejscach na świecie. Na statkach, które nie opuszczają wód międzynarodowych, albo na wyspach, które nie są częścią Stanów Zjednoczonych, w związku z czym nie podlegają amerykańskiemu prawu...

– Wszystko się zgadza! – wykrzykiwał Santiago. – Właśnie to się wydarzyło! To, co nie miało się nigdy wydarzyć. I padło akurat na nas! Przypadek sprawił, że nasz samolot rozbił się akurat tutaj. W miejscu, o którym nikt nie wie i w założeniu nikt nie powinien wiedzieć. Odchodzą tu dziwne rzeczy, nielegalne eksperymenty, różne superhece, niewiarygodne gówno i dlatego nikt nas nigdy stąd nie uratuje, już raczej nas sprzątną, żebyśmy nie rozpowiadali, cośmy tu widzieli. Mamy przesrane, ludzie, mamy przesrane *big time*. Nikt nie wie, że tu jesteśmy, bo nikt nie wie, że to miejsce istnieje, bo *to miejsce oficjalnie nie istnieje*. Nikt nie może nas uratować, a jedyne osoby, które o tym miejscu wiedzą, czyli kolesie z armii, w życiu nie pozwolą nam się stąd wydostać. Czyli w każdym razie jesteśmy na straconych pozycjach. Byliśmy od początku, bo ci dranie gnieźdzący się na tej wyspie

natychmiast przeniknęli w nasze szeregi, a nie zabili nas dotąd, bo jest nas wielu, no i poza tym nikt nie lubi masakrować kobiet i dzieci, i rodzin, i starców, takich rzeczy się na zimno nie robi i nawet ci dranie tego nie potrafią. Ale tak czy owak jesteśmy na straconych pozycjach, nie ma co do tego wątpliwości. W końcu wszystkich nas zamkną na jakimś statku i będziemy do końca życia pływać w kółko po Pacyfiku. Taki rejsik bez prawa powrotu.

Przez cały pobyt u partyzantów codziennie przyjmowaliśmy zastrzyki. Z tego, co mówili, wynikało, że nie wszystkie części wyspy są w równym stopniu skażone bakterią i że najgorzej jest na nizinach, w dolinach i na wybrzeżu. Pytaliśmy, dlaczego w takim razie sami nie przeniosą się wyżej, ale nie wydawali się skłonni udzielać nam na ten temat żadnych wyjaśnień.

Nasza edukacja polityczna

Wspominam tamte dni z mieszaniną zgrozy i niedowierzania. Nie potrafiliśmy dojść, kim właściwie są nasi prześladowcy, dlaczego są tak bojowo nastawieni i dlaczego żyją w takich nieludzkich warunkach. Dowiedzieliśmy się jedynie, że początkowo też należeli do SIAR-u, przybyli na wyspę w pogoni za ideałem, w poszukiwaniu sensu życia, lecz SIAR ich zdradził, więc musieli zerwać z Abrahamem i jego ludźmi i uciec do dżungli, żeby dalej realizować swoją misję. Kim był ten cały Abraham, o którym wciąż napomykali? Nie chcieli powiedzieć, jednakże na dźwięk tego imienia w ich oczach malowały się i strach, i nienawiść. Co za misję pragnęli realizować? Gdy o to pytaliśmy, patrzyli na nas jak na głupków i mówili, że istnieje tylko jedna misja do zrealizowania: światowa rewolucja.

Pamiętam, że nasza pierwsza „lekcja” z Zacariąsem poświęcona była poglądom Lenina na „wolność krytyki”, wyłożonym w książce *Co robić?* Taki pomysł, krzyczał Zacariás, to aberracja! Lenin obnażał pragnienie „wolności krytyki” jako zwyczajny oportunizm, zrodzony z łona socjaldemokracji o umiarkowanych, burżuazyjnych tendencjach. W ten sposób dowiedziałem się, że słowo „umiarkowany” miało dla Lenina (i, rzecz jasna, również dla Zacariása) wydźwięk negatywny, natomiast przymiotniki takie jak „ekstremistyczny” albo „dogmatyczny” oznaczały zawsze pochwałę. „Wolność krytyki” stanowiła zatem postulat godny potępienia i podkopujący zasady rewolucji. Naukowcy, tłumaczył Lenin, nie domagają się „wolności krytyki” nowych ustaleń ze starych pozycji: oczekują, że stare zostaną zarzucone i zastąpione nowymi.

A marksizm, pamiętajmy, grzmiał dalej Zacariás, to nauka! Naukowy materializm, który tu wyznajemy, opiera się na obiektywnych prawach historii – tak obiektywnych jak te, które rządzą światem przyrody. Więc jaka znowu „wolność krytyki”?!

– Władimir Iljicz widział to wszystko z całą jasnością. „Dogmatyzm”, doktrynerstwo”, „skostnienie partii jako nieunikniona kara za krępowanie myśli przemocą”. Takie głosy rozbrzmiewają wśród kontrrewolucjonistów. „Krępowanie myśli przemocą”! A co innego można zrobić? Pozwalać na sączenie antysowieckiego jadu? Zdjąć pęta „krępujące” obrońców burżuazyjnej demokracji? Wtedy stałoby się z nami to samo co z caratem, gdy jego cenzorzy dopuścili publikację dzieł rewolucyjnego marksizmu! Tamten reakcyjny, autorytarny rząd mimo wszystko nie odciął ludziom dostępu do pism Marksa i Engelsa, co umożliwiło stworzenie teoretycznej bazy rewolucji. Bo car był sukinsynem, ale Władimir Iljicz był sukinsynem sto razy większym. A w historii zawsze wygrywa największy sukinsyn. „Bez rewolucyjnej teorii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny”, pisze Władimir Iljicz. Teoria, do cholery! Już Engels twierdził: „Robotnicy niemieccy posiadają istotną przewagę nad robotnikami reszty Europy pod dwojakim względem. Po pierwsze, tę, że należą do najbardziej teoretycznie wyrobionego narodu Europy”. Tego nam tutaj brakuje, niech to szlag, pośród tych komarów i innych utrapień! Teorii! Tak, Władimir Iljicz to był ktoś! – darł się Zacariás. – Kiedy umarł, sowiecki rząd zlecił niemieckim naukowcom zbadanie jego mózgu w celu ustalenia, jakie biologiczne podłoże miał jego rewolucyjny geniusz. Wyjęli mu ten mózg przed zabalsamowaniem ciała. Chcieli wykryć komórki stanowiące źródło jego geniuszu i zlecieli to pierwszorzędnemu neurochirurgowi, doktorowi Oskarowi Vogtowi. I doktor Vogt stwierdził, że niektóre neurony w trzeciej warstwie kory mózgowej Lenina mają kształt stożka i są w dodatku nadzwyczaj długie. Ot co!

Potem zadawał nam pytania. Pytał na przykład, czym jest „żywiółowość”, a my nie mieliśmy pojęcia, że odpowiedź brzmi: „chorobą”, albowiem termin ten odnosił się do tych, którzy przystępują do walki politycznej bez odpowiedniego przygotowania, bez logistycznego i infrastrukturalnego zaplecza. Kazał nam definiować takie pojęcia, jak „wartość dodatkowa”, „nadbudowa” czy „państwo” i przedstawiał nam masę związanych z walką rewolucyjną zagadnień, żebyśmy, jak mówił, zastanowili się nad problemami, jakie sami możemy napotkać w swojej przyszłej działalności wywrotowej, której, notabene, nikt z nas nie planował. Na koniec roztaczał przed nami wizje świata bez instytucji państwa, klas społecznych, pieniędzy i własności prywatnej.

Jego partyzanci święcie wierzyli we wszystkie twierdzenia klasycznego

marksizmu, uzupełnione manipulatorskimi uproszczeniami Lenina i Stalina oraz – w ramach intelektualnego miszmaszu, którego żaden rozsądny marksista nie zdołałby strawić – pomysłami Trockiego, Mao Zedonga, a nawet takiego potwora jak Pol Pot. Krwawy przywódca Czerwonych Khmerów był wręcz ich wzorem, ich bohaterem, ponieważ jako jedyny, jak tłumaczył Zacariás podczas swoich niekończących się przemówień, odważył się naprawdę zaprowadzić komunizm; jako jedyny miał odwagę ZROBIĆ to, co inni tylko MÓWILI, że zrobić należy. I zrobił to, podkreślał Zacariás, całkiem niedaleko stąd, w sąsiedniej Kambodży, choć Kambodża, wedle wszelkich rachub, musiała leżeć w odległości wielu tysięcy kilometrów. Przy czym widok hinduistycznych świątyń i narastające wrażenie nierealności wszystkiego dokoła sprawiały, że zaczynałem mieć wątpliwości. Bo może naprawdę znajdowaliśmy się gdzieś w pobliżu Kambodży, na jakiejś indonezyjskiej wyspie, choćby w okolicach Celebes? To tłumaczyłoby wiele rzeczy, na przykład obecność małp. Tylko czy mogliśmy dotrzeć aż tak daleko?

Co ciekawe, to SIAR dostarczył im informacji, które doprowadziły do ich „przebudzenia”. To na zorganizowanych przez SIAR kursach nauczyli się rozumieć Historię, powiedział Zacariás, i dialektykę.

– A czy wy rozumiecie dialektykę, do diabła? – spytał groźnie podczas jednej z naszych wyczerpujących sesji reedukacyjnych, gdy siedzieliśmy wszyscy na ziemi przed wielkim posągami Hanumana i ołtarzykiem ze zdjęciami rewolucjonistów. – Jeśli nie rozumiecie dialektyki, to niczego nie rozumiecie! Dialektyka jest intelektualnym ujęciem tego, co my, ludy łacińskie, wiedzieliśmy od zawsze. Dialektyka jest nauką, która pokazuje nam, że wszystko stanowi w rzeczywistości odwrotność tego, czym się wydaje. Na przykład: biel jest tak naprawdę nie bielą, lecz czernią. A czerń z kolei bielą. Rozumiecie?

Odpowiadaliśmy, że tak, że już rozumiemy, ale wtedy on zaczął zadawać nam podchwytliwe pytania i od razu wychodziło na jaw, że nieprawda: że dialektyka wciąż jest nam obca. Zadawał nam więc ćwiczenia. Mówił o dialektyce pokoju albo przemocy, albo wolności, albo dziedzictwa i zagłębiał się w skomplikowane filozoficzne roztrząsania, z których niezbitcie wynikało, że wszystko jest czym innym niż tym, na co wygląda. Pokój nie jest pokojem, wolność nie jest wolnością, przemoc nie jest przemocą, miłość nie jest miłością, sprawiedliwość nie jest sprawiedliwością, piękno nie jest pięknem, przyjemność nie jest przyjemnością, wojna nie jest wojną, przymus

nie jest przymusem, przeciwnie, wolność to niewola, niewola to wolność, przemoc to przyjaźń, przyjaźń to przemoc, i tak dalej, a poza tym wszystko to: wolność, pokój, przemoc, miłość, sprawiedliwość, piękno, wojna, przyjemność sprowadza się do jednego, czyli do pieniędzy. Oczywiście, takie rozumowanie mogło skutkować całkowitym chaosem, niemniej, co ciekawe, nie skutkowało. A to dlatego, że tu wkraczała rewolucja, by nadać rzeczom sens. Dialektyka rewolucji nie istniała (w przeciwnym razie wychodziłoby na to, że rewolucja nie jest rewolucją), albowiem to rewolucja była istotą dialektyki, czynnikiem zmieniającym świat i demaskującym wyzysk.

– Wszystko, co widzimy, to oszustwo – perorował Zacarias, a w jego oczach lśniło odbicie dziesiątek świec. – Dialektyka pozwala nam je przejrzeć. Widzimy, dajmy na to, coś niezwykle pięknego, chociażby obraz przedstawiający boginię Afrodytę wychodzącą z kąpieli. Ale w rzeczywistości ani Afrodyta, ani sam obraz nie są piękne! Bogini nie jest boginią, tylko starą dziwką, syfilityczką, popleczniczką właścicieli burdelu! Ja nie wierzę w boga, ale gdyby trzeba było przypisać akt stworzenia jakiemuś bogu, byłby to z pewnością bóg burżuazyjny, z tym upodobaniem do kwiatków, kolorowych ptaszków, karbowanych morskich fal i kręconych, jasnych włosów kobiet, które rozpraszają nas swoimi różowymi piersiami. Burżuazyjny bóg stworzył świat, żeby nas oszukać! Stworzył świat iluzji, którą da się rozbroić wyłącznie siłą.

Zazwyczaj wysłuchiwalismy tego w świątyni, w mroku rozpraszonym przez blask świec, przed oprawnymi w złote ramki fotografiami rewolucjonistów – szeroko uśmiechniętych swoimi megalomańskimi, diabelskimi uśmiechami, obscenicznymi uśmiechami tych, co pokonali własny lęk wymierzoną w innych przemocą i co w swoich energicznych zapędach wyzbyli się resztek delikatności czy ciepła.

Kolejną z obsesji Zacariasa były sen i konieczność przebudzenia. Świat, jego zdaniem, pozostawał uśpiony i marksizm-leninizm miał za zadanie go obudzić.

– My też spaliśmy! – ryczał nasz „nauczyciel”, jako że posiadał nadludzką zdolność do wydzierania się tak godzinami. – Burżuazyjny bakcyl zatruwał nas do szpiku kości i trzymał w uśpieniu! Spaliśmy, ale przebudziliśmy się już!

Faktem jest, że spali mało, prawie wcale. Starali się robić to jak najrzadziej i zdaje się, że narkotyzowali się właśnie w tym celu, podobnie jak w tym celu organizowali swoje całonocne orgie. Wedle fizjologiczno-

politycznej doktryny Zacariasa (który utrzymywał, że *wszystko jest polityką*, nawet sen, zdrowie, krążenie krwi, owady, deszcz, podział na gatunki, rybie skrzela, barwy kwiatów, rozmnażanie przez zarodniki: wszystko to po-li-ty-ka, do cholery!), sen nie był istotom ludzkim niezbędnym, gdyż ich powołanie stanowiła przytomność umysłu, zwłaszcza w przypadku rewolucjonisty, ten bowiem nie powinien zasypiać nigdy. Odpoczywać mógł, owszem, nawet czasem z zamkniętymi oczami. Ale nie spać. Tak właśnie tłumaczyli się partyzanci, gdy wreszcie pokonało ich zmęczenie: że „odpoczywają z zamkniętymi oczami”. Nigdy jednak nie przyznawali się, że zasnęli, a już na pewno nie – że śnili, ponieważ uważali sny za „terytorium burżujów”, za „krwawe terytorium mitu”. W czasie snu człowiek traci zmysł wzroku, wołał Zacariás, gdy przyłapywał kogoś z nas na próbie ucięcia sobie drzemki, oraz zmysł dotyku: z *podmiotu* zamienia się w *przedmiot*, z osoby w rzecz. Innymi słowy, w czasie snu człowiek staje się towarem. Sen urzeczowia nas i uniemożliwia nam obiektywną analizę stosunków społecznych oraz systemu produkcji. Sen służy kapitalistom: proletariusz, kiedy nie pracuje, może jedynie spać. Gdyby wszakże nie spał, gdyby zachowywał przytomność umysłu, mógłby poświęcić te godziny na rozważenie własnej sytuacji i na rozwinięcie w sobie świadomości klasowej. Dlatego, wciąż wedle Zacariasa, kapitalizm jest wielkim rozdawcą, organizatorem, administratorem i propagatorem snu. Kapitalizm promuje wśród ludzi pracy środki nasenne w postaci napojów alkoholowych i rozmaitych odurzaczy takich jak choćby opium (substancja, dzięki której zdołał podporządkować sobie miliony), a także różne rozrywki i przedstawienia, gry i zabawy, kolorowe obrazki i skoczne rytmy, służące jedynie temu, by zahipnotyzować masy; usiłuje przeszczepiać sny na grunt rzeczywistości, posługując się bajkami dla dzieci, operami, powieściami fantastycznymi, legendami, magicznymi wyjaśnieniami, seansami spirytystycznymi, kryształowymi kulami, wrózeniem z kart i z dłoni, dywagacjami o ciałach astralnych, teozofią, ujawnianiem rzekomo ukrytych prawd, uatrakcyjnianiem staroci, pornografią w przebraniu fascynacji dawnością, symbolicznymi obrazami o przykuwającej treści, zaskakującym łączeniem różnych porządków, tego, co roślinne, z tym, co zwierzęce i ludzkie, w podstępnych artystycznych przekazach próbujących zacierać logiczny podział między tym, co racjonalne, a tym, co symboliczne, jak również za pośrednictwem innych technik, typowych dla wszystkich religii świata i wymyślonych po to, by skłonić podmiot do *zamknięcia oczu*, takich jak

modlitwa, medytacja, joga, kontemplacja, sakramenty, satsangi, ćwiczenia oddechowe, pranajama, wizualizacje, śpiewanie pobożnych pieśni i hymnów, deprywacja sensoryczna, zażywanie leków psychotropowych, rytualne przyjmowanie alkaloidów, mistyczne tańce, sufijska sama, zamykanie się w *sweat lodges* czy *temazcales*, *vision quests*, poszczenie, wprowadzanie umysłu w stan alfa, eksperymenty z telepatią i telekinezą, transy i tak dalej.

– Kiedy śpię, nie widzę tego, co mam przed sobą, i nie czuję tego, czego dotyka moja skóra – wywodził nasz wiecznie nakręcony wizjoner. – Kiedy śpię, odcinam sobie dostęp do źródeł obiektywnej informacji. Nie mogę wtedy powiedzieć: „wierzę tylko w to, co widzę i czego dotykam”, bo ani niczego nie widzę, ani nie dotykam. Kiedy śpię, świat wokół mnie ulega zatarciu. Kiedy śpię, jestem poza historią, do diabła! Niech więc będzie przeklęty sen, który wyrywa nas z historii i przenosi na pradawne i krwawe terytorium fascynacji i mitu! Kiedy śpię, dwa plus dwa nie równa się cztery, może się równać czemukolwiek. Kiedy śpię, przestaje istnieć logika, podobnie jak naukowa wizja świata. Jak zatem opisać stan pozalogiczny, pozanaukowy i pozahistoryczny? To faszyzm! Sen jest opium dla mas!

Dlatego, „odpoczywając z zamkniętymi oczami”, partyzanci przyjmowali jak najmniej wygodne pozycje albo kładli się na kamieniach, żeby nie zapaść w głęboki sen i nie stracić zupełnie kontaktu z rzeczywistością. Bywało, że gdy jeden z nich „odpoczywał”, drugi szturchał go od czasu do czasu lub głośno do niego mówił. Bywało też, że zadawali „odpoczywającemu” proste pytania i nie odpuszczali, póki im nie odpowiedział. Podejrzewam, że z czasem wykształcili w sobie umiejętność odpowiadania przez sen. Wyglądało to niekiedy naprawdę komicznie.

– Ej, Marcel – Rosjanin Osip zwracał się do chrapiącego rozgłośnie chłopaka z Des Moines. – Marcel, odpowiedz!

Ponieważ Marcel nie przestawał chrapać i widać było wyraźnie, że śpi jak zabity, czego zresztą bardzo potrzebował, Osip gwałtownie potrząsał go za ramię.

– Marcel, podaj mi liczbę π ! No, Marcel, liczba π , dawaj!

– Trzy przecinek czternaście – mruczał przez sen Marcel.

– Trzy przecinek czternaście, a dalej...? – dopytywał się Osip, nie przestając szarpać nieszczęśnika. – No, Marcel, a dalej?

– Trzy przecinek czternaście szesnaście – mamrotał Marcel.

Mieli zwyczaj pytać się właśnie o takie rzeczy: liczbę π albo nawet prawo

Archimedes. Albo o to, w którym roku zakończyła się druga wojna światowa, kto pierwszy dotarł na biegun południowy, jak nazywał się irlandzki działacz, który zdemaskował kolonializm w Kongo, kiedy urodził się Lumumba, jak brzmiało pierwsze zdanie przemowy gettysburskiej, jakie słowa wyryto na grobie Marksa i jakie nazwisko nosił zabójca Trockiego. Kiedy indziej kazali śpiącemu wykonywać proste działania arytmetyczne, na przykład mnożyć sześć przez pięć czy osiem przez dziewięć albo wyciągać pierwiastek kwadratowy z trzydziestu sześciu, albo chcieli, żeby zdefiniował kąt prosty lub przeciwprostokątną, albo pytali o stolicę jakiegoś kraju (szczególnie upodobali sobie Estonię, Łotwę i Litwę), albo wręcz żądali, aby biedak zaśpiewał początek *Międzynarodówki*, który można interpretować dosłownie jako wezwanie do wstania z łóżka: „Wyklęty, powstań ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód!”.

Życie w niewoli bywa monotonne. Przez tamte dwa ciągnące się w nieskończoność tygodnie braliśmy udział w kilku „akcjach zbrojnych” – czysto zresztą symbolicznych i wymierzonych w nieistniejącego przeciwnika; znosiliśmy niekończące się sesje „reedukacji politycznej” prowadzone głównie przez Zacariasa, ale również przez Czerwoną Gwiazdę i Ventimiglię; mieliśmy lekcje kamuflażu i przetrwania w dżungli, w trakcie których moi towarzysze nauczyli się zresztą kilku pożytecznych rzeczy (na przykład jak szukać w gęstwinie wody i pożywienia, jak odnajdować kierunek, tropić ludzi i zwierzęta, znaczyć za sobą trasę i tak dalej), a poza tym dużo między sobą rozmawialiśmy. To wtedy Wade opowiedział nam swoją historię, podobnie jak Joseph i Santiago. Tymczasem moja zaniedbana rana uległa zakażeniu, wdała się gangrena. Martwica postępowała błyskawicznie i pewnej strasznej nocy, której nigdy nie zapomnę, Joseph musiał amputować mi nogę poniżej kolana.

Kilka dni po amputacji, jeszcze zanim kikut zaczął się naprawdę goić, obudziliśmy się i stwierdziliśmy, że w zagubionej pośród lasu świątyni nikogo poza nami nie ma. Nie wiedzieliśmy, czy partyzanci po prostu mieli nas dosyć, czy stało się coś, co kazało im nocą uciec – może działające na wyspie tajemnicze siły zadziałały na naszą korzyść? Zebraliśmy swoje rzeczy i umknęliśmy stamtąd jak najszybciej. Ja wciąż nie mogłem chodzić, straciłem dużo krwi i dygotałem od gorączki, toteż znowu trzeba mnie było nieść na noszach. Po dwóch dniach wędrówki dotarliśmy do osady. Moja rana po drodze się otworzyła i wobec ryzyka nawrotu gangreny Joseph uciął mi nogę tym razem powyżej kolana. Teraz jednak mieliśmy już lekarstwa oraz lepsze

warunki, więc ostatecznie udało się uratować resztę mojej kończyny.

Wróciliśmy zatem – niemal trzy tygodnie po opuszczeniu osady, kiedy nasi towarzysze uznali nas już za zmarłych.

Historia Wade'a

Oto głosy kilkorga wyczerpanych, wygłodniałych ludzi stłoczonych w kamiennym pomieszczeniu w kamiennej świątyni, pośród ciemności. Smród panuje tutaj taki, jakby bił od trupa. Ale jeśli są tu gdzieś zwłoki – to gdzie? Wszędzie dookoła cuchnie śmiercią; nie tylko moczem i kałem, lecz także rozkładem, jakby tuż obok składowano martwe ciała. Ciała zwierząt? Ciała ludzi? W gęstym mroku Christian promieniuje swoim złotawym blaskiem. Dzięki temu się nawzajem widzimy. Kiedy partyzanci milkną, przestają krzyczeć, śpiewać, kłać i spółkować, wokół rozbrzmiewa delikatne milczenie dżungli, przerywane odległym wołaniem ptaka. To jest jak wołanie śmierci. Jak wołanie z głębin samotności. Później słyhać dalekie wybuchy, a ja zdaję sobie sprawę, że słyzałem coś takiego już wcześniej, może w snach, tyle że dopiero teraz, zamknięty w tej świątyni, zacząłem się nad tym zastanawiać. Wszyscy jesteśmy skuci łańcuchami. Za dnia chodzimy swobodnie, ale na noc zakuwają nam kostki i nadgarstki w żelazo. Wygodniej by było, gdyby mieli prawdziwą, zamykaną na klucz celę. A tak to spanie staje się kolejną torturą.

– Od dawna chciałem cię o coś spytać, Wade – odezwałem się któregoś z takich wieczorów. Zdaje się, że drugiego wieczoru naszej niewoli, gdyż pierwszego byliśmy zbyt przerażeni, żeby rozmawiać.

– Słucham cię, John.

– Od samego początku... od kiedy przybyliśmy na tę wyspę... chodzisz zawsze uśmiechnięty. Inni po katastrofie płakali, śmiertelnie przerażeni, a ty zachowywałeś spokój. W samolocie, zaraz po wodowaniu, też byłeś opanowany, pogodny, uśmiechnięty... Dlaczego, Wade? Później, gdy próbowaliśmy pomagać tym, którzy przeżyli, nadal się uśmiechałeś... Ba, wydawałeś się wręcz szczęśliwy, Wade. Dlaczego? Wiedziałeś, że trafimy w to miejsce? Wiedziałeś o tej wyspie? Chciałeś się tutaj znaleźć? Wsiadłeś do tamtego samolotu nie po to, by lecieć do Singapuru czy Indii, czy

gdziekolwiek, tylko właśnie tutaj?

– John, John, John! – zaśmiał się Wade. – Co ty opowiadasz? Jasne, że nie wiedziałem o tej wyspie. I że nie tutaj leciałem. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Już parę razy zostaliśmy zdradzeni – stwierdziłem. – Najpierw był George i dziecko Lizzy, inne dzieci, potem Gwen... Czy ty też jesteś zdrajcą? Jesteś jednym z nich?

– Kurwa, stary! – oburzył się Santiago. – Wade nie jest żadnym zdrajcą. Wade to superkoleś.

– Wszystko jest możliwe, nie sądzicie? – podjąłem. – Josephie, Christianie, Sheilo, Jacku, zastanówcie się nad tym. Przecież on zdaje się wiecznie zadowolony, zawsze się uśmiecha, czuje się tutaj jak w domu, wszystko umie zrobić: rozłupać kokos, wytropić zwierzę, sklecić nosze, zastawić pułapkę. To on znalazł wodę. To on naprowadził nas na tamtą antenę. To on zasugerował, żebyśmy założyli osadę u ujścia rzeki. Kiedy ruszaliśmy w głąb wyspy i potrzebowaliśmy maczety, nagle natknęliśmy się na maczetę wbitą w drzewo. Czy to nie zbyt wiele jak na zbieg okoliczności? A z tamtą doliną, gdzie zobaczyliśmy dzikusów i dzieci, pewnie zresztą nie te prawdziwe? Co za traf! Czy ktoś zdołałby ich z tej odległości wypatrzeć, choćby przez lornetkę, gdyby nie wiedział, gdzie dokładnie szukać? A wszystko po to, żebyśmy złapali przynętę, żebyśmy uwierzyli, że na wyspie żyją kanibale.

Nikt się nie odezwał.

– Myślę, że tu nie ma mowy o żadnych zbiegach okoliczności – ciągnąłem. – Myślę, że ty jesteś jednym z nich, Wade. Myślę, że najprawdopodobniej im przewodzisz. Myślę, że tak naprawdę nazywasz się Abraham Lewellyn. Myślę, że zabawiasz się, pociągając za sznurki, jakbyśmy wszyscy byli marionetkami w twoim teatryku. Chociaż chyba się zdziwiłeś, kiedy Gwen do mnie strzeliła. A może to planowaliście? Nie, raczej nie, myślę, że to akurat cię zaskoczyło. Ale to pewnie największa przyjemność dla takiego małego boga, co? Zostać zaskoczonym. Zobaczyć, że twoje marionetki podejmują samodzielne decyzje...

– Ale przecież on leciał z nami samolotem, John – zauważył Joseph. – Dziwne rzeczy opowiadasz.

– Co tu się, u licha, dzieje, Wade? Czego wy od nas chcecie? – pytałem. – Powiedz: jak wygląda wasz plan? Kim ty jesteś? Abrahamem Lewellynem?

– Uspokój się, John – rzucił Wade. – Nie krzycz, bo pobudzisz tamtych świrów. Mylisz się. Nie jestem „jednym z nich”, jak to ująłeś. Dostałem się

tutaj tak samo jak ty, a wcześniej nigdy o tym miejscu nie słyszałem. Ale opowiem ci swoją historię. Powinienem był to zrobić już dawno. Tyle że jakoś nigdy nie było okazji. Więc teraz to zrobię. Myślę, że wszyscy powinniśmy. Myślę, że dobrze by było, gdybyśmy się nawzajem lepiej poznali, bo coś mi się zdaje, że spędzimy tu razem dużo czasu. A także dlatego, że wiedząc, kim jesteśmy, co nam się w życiu przydarzyło, może łatwiej zrozumiemy, dlaczego tutaj trafiliśmy. Znajdziemy nic przewodnią. Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Chodzi mi o to, co nas wszystkich łączy, powód, dla którego to my, akurat my znaleźliśmy się na tej wyspie.

– Powód jest oczywisty, Wade – wtrącił Joseph. – A raczej go nie ma. Po prostu lecieliśmy razem samolotem, który doznał awarii i spadł do morza.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł Wade, a choć nie widziałem dokładnie jego twarzy, wyczuwałem w jego głosie uśmiech. – No więc urodziłem się w Indianie. Mój ojciec nazywał się Raymond Erickson i płynęła w nim krew Irlandczyków i Szwedów. Moja matka miała na imię Pearl, a jej przodkami byli Niemcy, Irlandczycy oraz *native Americans*. Opuściła mnie i ojca, kiedy skończyłem pięć lat, toteż nie bardzo ją pamiętam. Ojciec był mechanikiem, doskonale znał się na samochodach. Prowadził warsztat w Hammerstown, na zadupiu w dolinie rzeki Wabash, w hrabstwie Gibson, gdzie żyło się zresztą tak przyjemnie, jak to tylko możliwe. Mieszkaliśmy we dwóch, w raczej mało cywilizowanych warunkach. Ojciec lubił to wszystko, co podobno powinien lubić mężczyzna: polowania, broń, noże, dobry bourbon z Kentucky, śpiewanie, przepychanki z podobnymi sobie idiotami u wyjścia z baru w piątkowe wieczory, podczas gdy syn czekał na niego w domu, poza tym kobiety, zwłaszcza kolorowe, co przysparzało mu jedynie problemów, jako że w tamtym czasie nie było dobrze widziane, aby biały spotykał się z czarnoskórą. Kiedy poznał Ogunde i sprowadził ją do nas do domu, jego życie trochę znormalniało, ustały bójki i pijaństwa, chociaż wielu z jego znajomych, w większości *white supremacists*, czyli śmieci, jakich świat nie widział, nie rozumiało, jak mógł zamieszkać z tą kobietą, zerwało z nim kontakty, a nawet groziło nam i czasem rozbijało szyby kamieniami. Ich dzieci, warte swoich ojców, wyśmiewały się ze mnie w szkole, że moja nowa *mammy* to *spook*. Musiałem wiele razy uciekać się do pięści, a choć byłem wysoki i umiałem się bić, czasami przegrywałem. W ogóle nie rozumiem, jak ojciec mógł się kiedykolwiek zadawać z tymi rasistowskimi szumowinami, skoro poza tym tak lubił kobiety innych ras. Moja matka, którą wtedy znałem

właściwie wyłącznie ze zdjęć, trzymanyh przez ojca w szufladzie biurka i odkrytych przeze mnie przypadkiem, tylko w jednej czwartej była Indianką, ale i tak miała ciemniejszą skórę, potężne ciało oraz nos, usta i skośne oczy typowe dla Nawahów. No a potem pojawiła się Ogunde. Ledwie przekroczyła dwudziestkę, pochodziła z Georgii i, zanim poznała ojca, miała się rozmaitych, dość specyficznych zajęć. Pracowała jako kelnerka i tancerka, ale zatrudniała się też w lokalach, gdzie klienci płacą za rozmowy z dziewczynami. Miała wspaniałe ciało i zawsze podejrzewałem (choć teraz w sumie nie wiem dlaczego), że ojciec spotkał ją, imprezując jakiejś nocy w striptizerni The Pink Crocodile, która mieściła się przy autostradzie na obrzeżach Hammerstown i stanowiła przedmiot marzeń wszystkich nastolatków w hrabstwie. Różne plotki krążyły o tym lokalu, o pracujących w nim kobietach i o cudach, które można było z tymi kobietami robić, tyle że niepełnoletnich tam nie wpuszczano. Po dziś dzień nie mam pewności, czy Ogunde faktycznie rozbierała się w The Pink Crocodile, ale sądząc po jej wyglądzie, z pewnością mogła. Była bardzo miła, bardzo ładna i prześlicznie zbudowana. Miała najczarniejszą skórę, jaką w życiu widziałem, połyskliwą jak ropa naftowa, ciemną jak najciemniejszy heban, do tego stopnia, że w nieoświetlonym pokoju z całej Ogunde widać było jedynie zęby i białka oczu.

Ja byłem wtedy podrostkiem o gorącej krwi, ona zaś nabrała niedobrego zwyczaju chodzenia po domu półnago. Czasami wygłupialiśmy się razem jak dwoje dzieci. Mimo wszystko byłem jeszcze bardzo niewinny i te zabawy chyba też takie były. Kiedyś ojciec wybrał się do Evanstown, żeby kupić jakieś narzędzia, i już stamtąd zadzwonił, że wróci dopiero nazajutrz, więc postanowiliśmy z Ogunde spędzić ten dzień nad rzeką Wabash. Przygotowaliśmy sobie kanapki i pojechaliśmy należącym do ojca buickiem. To był samochód kupiony z drugiej ręki, wspaniały skylark 53, ukochane auto ojca, który jeździł nim tylko od święta, na co dzień zadowolając się zwykłym pikapem. W każdym razie wzięliśmy prowiant i wyprawiliśmy się do Janycen Town, pięć kilometrów w górę rzeki, gdzie znajdowały się ustronna plaża i porośnięta dębami wyspa na rzece, znana w okolicy pod nazwą Wyspy Ściętych Główn, nie bardzo wiem dlaczego. Nie mieliśmy strojów kąpielowych. Ogunde rozebrała się do majtek i stanika, i tak weszła do wody, a ja zrobiłem to samo. Woda okazała się strasznie zimna, dużo zimniejsza, niż się człowiek spodziewał. Popłynęliśmy w stronę Wyspy Ściętych Główn, nie

domyślając się, że nurt jest aż tak silny. Przy brzegu był słabszy, poza tym kto by przypuszczał, że tak szeroka rzeka rwie jak górski strumień? Ściągało nas jednak mocno na południe i ledwie zdołaliśmy dotrzeć do celu. Gdy nam się to w końcu udało, oboje padliśmy zdyszani na trawę. Pamiętam, że samo przebywanie na wyspie sprawiało nam wielką radość, mimo że chodziło przecież o zwyczajną rzeczną wysepkę. Człowiek na wyspie czuje się królem. Nie przypominam sobie szczęśliwszego dnia w swoim życiu. Leżeliśmy sobie we dwoje na trawie, czując, jak słońce rozgrzewa nam zziębniętą skórę, i patrząc na sunące po niebie chmury. To były ogromne chmury końcówki lata w Indianie, chmury jak żaglowce. Kojarzyły mi się ze statkami, na których Hiszpanie przepłynęli przez Atlantyk. Cisza panowała wokół taka, jak to zwykle pod koniec lata w Indianie. Słychać było jedynie szum rzeki Wabash, wiatr w liściach dębów i śpiew ptaków. Buick w kolorze czereśni połyskiwał na drugim brzegu, częściowo skryty w cieniu drzewa. Zacząłem mu się przyglądać chyba dlatego, że wstydzilem się patrzeć na Ogunde, wyciągniętą tuż obok. Wyraźnie czułem zapach jej ciała, wybijający się ponad woń rzeki i roślin, i ten zapach dorosłej kobiety, dojrzałej i zdrowej, przeszywał mnie jak nóż. Wstydzilem się na nią patrzeć, bo jej biała, przemoczona bielizna prześwitywała, ukazując czarne sutki i włosy łonowe. Nagle pomyślałem, że robimy coś złego i że gdyby ojciec się o tym dowiedział, wychłostałby nas oboje. Nigdy wcześniej mnie nie uderzył, chociaż parę razy groził, że to uczyni, i już nawet zaczynał rozpinąć pasek. Jednakże teraz, widząc obok siebie niemal nagą Ogunde, która śmiała się z mojego zmieszania jej wyglądem, odniosłem wrażenie, że ojciec, gdyby nas tak zobaczył, ściągnąłby pasek bez wahania i zbiłby nas bez litości. Popłynęliśmy z powrotem, wysuszyliśmy się, ubraliśmy i zjedliśmy kanapki, popijając je lemoniadą. Później wyjęliśmy wędki i zarzuciliśmy przynętę. Złowiliśmy tylko jednego strzępiela, w dodatku niezbyt dużego, lecz bawiliśmy się i tak doskonale. Wróciliśmy o zmierzchu, ale zanim dojechaliśmy do domu, Ogunde zaproponowała, żebyśmy poszli do kina. Dziwny pomysł: krępowałbym się iść z nią na film nie tylko dlatego, że była dorosła, ale również dlatego, że była czarna. Tyle że ona się upierała. Powiedziała, że moglibyśmy coś obejrzeć w kinie *drive in* w Rowland, jakieś sześć kilometrów dalej, i tak też zrobiliśmy. Zakładałem, że będziemy siedzieli w samochodzie, więc nikt nas nie zobaczy, i to mnie trochę uspokajało. Dotarliśmy do Rowland, ustawiliśmy się wśród innych aut i obejrzeliśmy jakiś głupi film science fiction pełen

zielonych potworów i statków kosmicznych. Zresztą ja, zamiast patrzeć na ekran, patrzyłem na Ogunde. Miała usta wygięte jak płatki kwiatu, usta stworzone do całowania. Miała gęste, czarne, podwinięte rzęsy i najładniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Kiedy się uśmiechała, robiły się jej dołeczki w policzkach. Położyłem jej dłoń na kolanie, a ona ją odsunęła. Położyłem jej dłoń na brzuchu – i uczyniła to samo. Położyłem jej dłoń na piersi – i znowu. Potem wsunąłem jej dłoń między nogi. Miała na sobie dzinsy, grube robocze dzinsy, i przez ich materiał żadne z nas nie mogło zbyt wiele poczuć. Zacisnęła uda, jak gdyby chciała uwięzić tam moją rękę i nie pozwolić jej więcej błądzić po swoim ciele, i tak siedzieliśmy przez dłuższy czas, aż nagle dotarło do mnie, jak wszystko jej tam pulsuje, zupełnie jakby jej serce biło właśnie między udami. Tamtego wieczoru poszliśmy do łóżka i od tamtej pory sypialiśmy ze sobą, kiedy tylko się dało.

Ojciec przyłapał nas któregoś popołudnia, gdy znienacka wrócił z warsztatu, i sprzął nas oboje. To znaczy: sprzął raczej Ogunde, a mnie oberwało się przy okazji, gdy próbowałem jej bronić. Bałem się, że ją zatłucze; bałem się o nią, o niego i o siebie. Bałem się, że ją zabije i pójdzie siedzieć, a ja zostanę na świecie sam. Skończyliśmy we trójkę przy stole, nad butelką bourbona, ojciec z rozkwaszonym nosem, Ogunde z krwawiącą wargą i podbitymi oczami, ja zaś – bez dwóch zębów. Ojciec powtarzał, że go zdradziliśmy i że ma prawo się zemścić. Że najchętniej by nas zamordował i jeśli tego nie robi, to wyłącznie z obawy przed spędzeniem reszty życia w więzieniu. Liczyłem na to, że złość w końcu mu przejdzie, i tak piliśmy tego bourbona, a mnie coraz bardziej kręciło się w głowie, bo nigdy wcześniej nie tykałem alkoholu. Wreszcie ojciec oświadczył, że jest człowiekiem wspaniałomyślnym i w związku z tym nam wybaczy. Że wybaczy nam obojgu, ale ja muszę zniknąć mu z oczu, bo nie chce mnie więcej oglądać. Myślę, że naprawdę kochał tę dziewczynę i że nasza zdrada okropnie go zabolala. Powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć, że do rana mam się wyprowadzić i że jeśli czegoś nie zabiorę, on to spali, żebym nie miał pretekstu, by wracać. Rozplakałem się. W gruncie rzeczy byłem jeszcze dzieciakiem. No i też kochałem się w Ogunde – z intensywnością, która sprawiała, że huczało mi przy niej w uszach i drżały mi kolana. Usiłowałem z ojcem porozmawiać. Ukłąłem i błagałem o wybaczenie. Naprawdę przed nim ukląłem. Sądzę, że to go tylko zniesmaczyło. Powiedział, żebym nie zachowywał się jak pedał, tylko jak mężczyzna, i że muszę ponieść

konsekwencje swoich czynów, tak jak mężczyźni przystoi. Niemniej to chyba niemożliwe, by sam nie miał złamanego serca. Ostatecznie byłem jego jedynym dzieckiem, nigdy wcześniej mnie nie uderzył ani też ja nie dałem mu ku temu powodów. Myślę, że na swój sposób był dobrym człowiekiem.

W ten sposób rozpoczęła się moja włóczęga. Nie mogłem zabrać ze sobą zbyt wiele. Kiedy wszedłem do swojego pokoju, ujrzałem, że ojciec położył mi na łóżku swój stary wojskowy plecak – jedyny prezent, jaki kiedykolwiek od niego dostałem. Spakowałem do niego rzeczy, które uznałem za najważniejsze. Prawdę mówiąc, nie posiadałem ich dużo i nie zdołałem nawet wypełnić tego plecaka. Miałem nieco oszczędności, jakieś sto trzydzieści dolarów, a Ogunde dała mi w tajemnicy kolejne sto. Wymknęła się z domu i odnalazła mnie na przystanku autobusowym. Domyśliła się, że tam będę. Było bardzo wcześnie, nad polami unosiła się jeszcze fioletowawa mgła. Zobaczyłem, że Ogunde wyłania się spomiędzy dębów, usiłując szczerzej otulić się swetrem. Panował chłód. Przysiadła obok mnie na ławce i spytała, co zamierzam. Odparłem, że pojedę na wschód, poszukam matki. Płakałem i ona też płakała, i świat zdawał się smutny i zimny, lecz zarazem przyjazny, a także tajemniczy, fascynujący jak początek powieści, jak te pierwsze stronice, pachnące drukiem i wypełnione postaciami, których życie dopiero się na naszych oczach rozwine. Ogunde powiedziała, żebym odczekał jakiś czas, może z rok, aż ojcu przejdzie, i potem wrócił. Jednakże nie znała mojego ojca tak dobrze jak ja, i nie rozumiała, że jeśli on uzna jakąś kwestię za zamkniętą, to nie ma odwrotu. Poprosiła, abym pamiętał, że Pan nieustannie przypatruje się naszym uczynom (co mnie zdziwiło, bo nie wiedziałem, że jest religijna, i nigdy nie zaobserwowałem, by się modliła), i dodała jeszcze, żebym szanował kobiety i unikał kłopotów. Później pocałowała mnie w usta i sobie poszła, i od tamtego czasu jej nie widziałem.

Szukałem matki całymi latami. Niezbyt intensywnie, zatrzymując się po drodze w wielu miejscach. Myślę, że nie spieszyło mi się, by ją odnaleźć, gdyż zdawałem sobie sprawę, że mogę doznać bolesnego rozczarowania i że pewnie lepiej tęsknić za nią i ją idealizować, niż poznać ją osobiście. Mówiłem sobie, że nie należy spodziewać się zbyt wiele po kobiecie, która porzuciła swoje pięcioletnie dziecko. W każdym razie chyba trudno kogoś nie znajdować tak długo, jeśli się go naprawdę szuka.

Stałem się kimś w rodzaju włóczykija. Odkryłem, że potrafię robić wiele rzeczy, gdyż ojciec mimochodem przekazał mi masę praktycznych

umiejętności, których wcześniej u siebie nawet nie podejrzewałem. Umiałem strzelać, tropić jelenie i niedźwiedzie w lesie, jeździć samochodem, pić, przytrzymując galonową butlę na ramieniu, golić się brzytwą i ostrzyć ją o skórzany pasek albo o kamienną osełkę, reperować silniki, rozkładać i składać z powrotem auta, umiałem prowadzić motocykl, a nawet autobus, naprawiać drobne usterki elektryczne i obrabiać drewno: zbić ławkę, która by się nie chybotąca, lub pięknie odnowić stary stół, umiałem grać w pokera i tasować karty jedną dłonią – a wszystkiego tego nauczył mnie ojciec. Dlatego mogłem pracować jako szofer, stolarz, elektryk, balwierz, fryzjer albo mechanik – i wszystko to dzięki ojcu. Który poza tym nauczył mnie też innych rzeczy, dziś już nie tak ważnych. Na przykład plucia, przeklinania i opowiadania dowcipów. Czyli, innymi słowy, wyrażania się po męsku, z tą mieszaniną aroganckiego macyzmu, sentymentalnego rozczulania się nad sobą, humoru i frustracji, kpiny i podniosłości, które wyznaczają styl męskiej wypowiedzi wszędzie na świecie. Wam, pięknoduchom, uniwersyteckim zniewieściałcom, może się to wydawać nieistotne, jednakże tam, skąd pochodziłem, i w wielu miejscach, które odwiedziłem później, mężczyzna nie zyska szacunku, nie będzie poważnie traktowany, nie zdobędzie prawdziwych przyjaciół, nie nawiąże dobrych stosunków towarzyskich, nie zasłuży na uprzejme traktowanie w sklepie ani nie osiągnie żadnej pozycji zawodowej, jeśli nie potrafi właściwie się zachować, to znaczy: w odpowiedni sposób mówić.

Nie chcę was tutaj zanudzać wymienianiem wszystkich zajęć, których się imiałem. Mijały kolejne jesienie i trzeba było po drodze zamieść mnóstwo liści. Mieszkałem to tu, to tam. Zaniośło mnie do hipisowskiej komuny w Vermoncie, niedaleko Burlington, i spędziłem tam wiele miesięcy, przerzucając krowi nawóz, ale że cały nim śmierdziałem, cuchnęły mi nim włosy i skóra, i choćbym się mył dziesięć razy z rzędu, śmierdziałem i tak, przez co nie chciała mnie żadna dziewczyna, w końcu porzuciłem tamtą komunę i zacząłem szukać innej, gdzie znalazłbym wolną miłość i narkotyki, a nie musiałbym przerzucać nawozu, i tym sposobem trafiłem na farmę na Grand Isle na jeziorze Champlain, bardzo blisko granicy z Kanadą. Właściwie chodziło nie tyle o farmę, ile o coś w rodzaju buddyjskiej samotni, gdzie grupki świrów gromadziły się, żeby medytować, jeść surowe buraki i śpiewać hymny pochwalne w sanskrycie. Potrzebny był im *handyman*, ktoś, kto umiałby różne rzeczy naprawiać, znałby się na samochodach, rąbaniu drewna

i wbijaniu gwoździ, więc tam zostałem. Nigdy nie studiowałem, lecz na tamtej farmie na jeziorze Champlain odkryłem przyjemność lektury. To był mój uniwersytet. Fellerowie, właściciele, mieli wspaniałą bibliotekę i kiedy kończyłem pracę, zaraz tam szedłem, kładłem się na sofie obitej czerwoną skórą i zaczynałem czytać. Pierwszą książką, jaką w życiu przeczytałem, była powieść *Śmierć nie omija Itaki* Williama Saroyana, polecona mi przez Iris Feller, starszą córkę Fellerów. Od tego wszystko się zaczęło. Nie mieszkałem na Grand Isle długo, ale dosyć, by stwierdzić, w wyniku rozmów z Fellerami i przewijającymi się przez ich dom gośćmi, że jestem strasznym ignorantem, pretensjonalnym głupkiem i że powinienem przestać nim być jak najszybciej. Podróżowałem dalej, lecz teraz czytałem już tyle, ile tylko mogłem. Regularnie odwiedzałem biblioteki publiczne. Zmieniałem zajęcia, dziewczyny i biblioteki. Niby to wciąż szukając matki. W końcu uznałem, że dość tego: pora ją znaleźć, jeśli szukam jej naprawdę. Więc ją znalazłem. Wyszła za urzędnika skarbowki w Saint Petersburg na Florydzie, miała dwie córeczki i mieszkała w uroczym domku z obrosniętym szuwarami stawem, po którym pływały kaczki. Naprawdę sielskie miejsce. Kiedy mnie zobaczyła, nie miała pojęcia, kim jestem. Zupełnie jakby Indianin z jednego plemienia patrzył na Indianina z drugiego. Albo jakby kojot patrzył na innego kojota pośród czerwonej pustyni. Powiedziała, że „tamta część jej życia” jest już zamknięta. Akurat była w domu sama, na szczęście, jak zakładam, dla wszystkich. Pokazała mi zdjęcie, na którym pozowała wraz z nowym mężem i córkami. Nawet nie wspomniała o ojcu. Usiedliśmy w kuchni, zaproponowała mi lemoniadę. Spytała, czy potrzebuję pieniędzy, odparłem, że nie, ale i tak otworzyła puszkę po herbatnikach i dała mi dwieście dolarów. Fakt, że trzymała taką sumę ot tak, w puszcze po herbatnikach, zrobił na mnie wrażenie. Nie ulegało wątpliwości, że chciałaby, abym sobie poszedł. Była wysoka, atrakcyjna, przedwcześnie postarzała i jakby rozgoryczona. Patrzyłem na nią, szukając w niej czegoś mojego albo może na odwrót, jakiegoś jej śladu we mnie, ona jednak unikała kontaktu wzrokowego. Powiedziałem, że z przyjemnością poznałbym swoje siostry, na co odrzekła, że jej córki nie są moimi siostrami. „To nie są twoje siostry, Wade”, oświadczyła stanowczo. Najchętniej bym ją uderzył. Najchętniej bym ją przytulił i prosił, błagał, by mnie pokochała, by dała mi trochę miłości, choćby tylko odrobinę. Tyle że nie da się nikogo prosić o miłość, akurat o miłość się nie da. Można prosić o cokolwiek: o pieniądze, jedzenie, dom, opiekę, o życie albo nawet o śmierć,

ale nie można prosić o miłość, bez względu na to, jak bardzo się jej potrzebuje.

Potem było jeszcze kilka wędrownych lat. Przez jakiś czas służyłem w wojsku, lecz nie spodobało mi się tam i zrezygnowałem. Wiedziałem, co się wydarzy, jeśli zostanę: dopasuję się aż nazbyt dobrze, bez trudu awansuję – tak wysoko, jak wysoko może awansować zwykły *redneck* trzymający nóż pięcioma palcami, jasne – tyle że któregoś dnia zapatrzę się na lot rudzika po drugiej stronie ogrodzenia i zrozumie, że sam znajduję się po złej stronie. Wybrałem więc rudzika, jak zawsze zresztą. Wybrałem świst wiatru. Jak zawsze. To wiatr przygnał mnie aż tutaj, to on każe mi teraz mówić: wiatr, wyłącznie wiatr. Pracowałem jako drugi pilot na barkasie wożącym smołę po Potomacu. Pracowałem w fabryce traktorów, a później w zakładzie zajmującym się pakowaniem pasz mieszanych dla krów. Kiedy tylko mogłem, brałem strzelbę i ruszałem na trzy- albo czterodniowe polowanie. Wracałem brudny i szczęśliwy, pachnący ziemią i krwią, objuczony wiewiórkami i przepiórkami, czasami lisem albo sarną. Byłem gajowym w Parku Narodowym Shenandoah, a później zatrudniłem się w kopalni węgla, również w Zachodniej Wirginii, najpiękniejszym miejscu na świecie. Pracowałem tam też przy spławianiu drewna – tylko po to, żeby móc codziennie podziwiać rzekę o czarnych, lustrzanych wodach. Niemniej zawsze wracałem do maszyn, do samochodów, do silników. Z tym mi idzie najlepiej: z samochodowymi silnikami, właściwie w ogóle z silnikami, czy to do motocykli, czy do motorówek, czy do kosiarek, bo wszystkimi się zajmowałem, wszystkie reperowałem, jeśli się tylko dało. No i ciągle czytałem. Nie wiem, czemu aż tyle. Nie wiem, skąd ta potrzeba. Czytałem książki wypożyczone z bibliotek, wymiętoszone i pożółkłe, i czasem podnosiłem je do nosa, żeby powąchać, i czułem się odurzony zapachem papieru, choćby i taniego, zresztą tanie wydania często pachną najlepiej. Papier dotykany przez wiele rąk robi się lekko mechaty, jak skóra pokryta meszkiem – ludzka, kobieca skóra. Teraz rozumiem, że czytałem powieści, gdyż chciałem poznać życie. Czy to ma sens, co mówię? Czytałem również poezję i, niekiedy, książki historyczne, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że jestem skończonym nieukiem, i pragnąłem dowiedzieć się czegoś o Rzymianach, Egipcjanach czy Ludwiku XVI, jednakże najchętniej sięgałem po powieści. I czytając je, zawsze zadawałem sobie pytanie: czy takie naprawdę jest życie? Czy takie jest moje życie? Czy moje życie przypomina w czymś to z tych książek? Od czasu do czasu natykałem się

na pozycję szczególnie fascynującą i wtedy zastanawiałem się, czy niektórzy ludzie rzeczywiście żyją w ten sposób. Słowicze trele i krew wilka złapanego we wnyki. Ciepło żółtawych, błotnistych rzek Kentucky i dłonie lepkie od sosnowej żywicy, i woń wiciokrzewu, i syk złotawego tłuszczu z żeberk skapującego na rozżarzone polana, i dzieci huśtające się w oponie od ciężarówki zawieszanej na sznurze na gałęzi eukaliptusa... Nocne pohukiwania sowy i monotony głos szalonej dziewczyny, która wali głową o ścianę baraku, i glutaminianowy zapach świeżo podgrzanej zupy grzybowej z puszkii, i solówka Charliego Parkera, brzmiąca tak, jak zawsze brzmią solówki Charliego Parkera słuchane w radiu nad ranem, takie intensywne i pewne, i prawdziwe, że aż strach, zdające się wreszcie objawiać skrytą za pozorami prawdę, prawdę o skrytym za pozorami cierpieniu i o miłości, i o cudach, albo głos Carmen McRae śpiewającej *The Sound of Silence*, coś tak wielkiego, tak potężnego i wspaniałego, i groźnego jak sfinks na pustyni, albo widok miasta z lądującego samolotu, kratownice pełne samochodów i prostokąty błękitnej wody, i idealne poligony, i promieniste aleje oświetlone jak elektryczne węże, i tysiące ludzi ryczących na stadionie zalanym blaskiem gigantycznych reflektorów, i człowiek ponad tym wszystkim, jak duch, przypatrujący się temu z góry, kołysany łagodnie w kołysce uspionego samolotu, pośród uspionych mężczyzn i kobiet – co z tym robią powieści? Z wybrykami żołądka, z pragnieniem i bólem, mdłościami, wymiotami, intensywną przyjemnością sikania po tym, jak długo nie było można, z zawrotami głowy, zmęczeniem, drżeniem nóg po wielkim wysiłku fizycznym, ze skurczami ciała, pożądaniem, pożądaniem kobiety, pożądaniem sięgającym granic obsceniczności i szaleństwa, utraty godności i szacunku dla samego siebie...? Fascynowało mnie, że powieści z rzadka jedynie mówią o prawdziwym życiu i związanych z nim wrażeniach. A przecież czasami przekazują coś głębszego niż samo życie lub może po prostu sprawiają, że życie wydaje się czymś innym. Czymś przepelnionym głęboką melancholią, którą rzadko odczuwamy na co dzień. Czymś smutnym i znaczącym, pozornie prostym, lecz wieloznacznym, poruszającym i dającym poczucie pełni. Jakimś rodzajem symetrii. Rysunkiem. I tylko czasami te dwie rzeczy: życie, jakie znamy, i życie z powieści łączą się w naszym osobistym doświadczeniu. Innymi słowy: czasem czytamy książkę i czujemy, że to samo życie, a czasem – że życie tak nie wygląda, choć powinno. Nie mówię tu o książkach nieprawdziwych, po prostu złych, nadużywających czerni lub różu; nie mówię

o horrorach ani bajkach. Mówię o prawdziwej literaturze, tej, która usiłuje dotknąć życia, choć to niemożliwe, gdyż życie jest jak pies goniący za kością i nie da się dokładnie opisać żółtego muru ani czerwonych jabłuszek spadłych z cienistej jabłoni pani McGiver, bo pies już pognał dalej, i już ściga w pyłe kota, roztrzając łapami suche strąki zrzucone przez drzewo świętojańskie. A jeśli zatrzymamy się przy tych strąkach, przegapimy coś innego, zagubimy się w szczegółach, choć powinniśmy może skupić się na drodze, pyłe, śmierci... Wiem, że nie wyrażam się jasno. Chodzi mi o to, że niekiedy życie bywa piękne ponad wszelkie opisy, ale często, znacznie częściej, ustępuje temu, co znajdujemy w książkach.

Postanowiłem, że muszę gdzieś osiąść. Tyle podróżowałem, że właściwie nie miałem nigdzie przyjaciół. Najprawdopodobniej mój charakter nie sprzyja zawieraniu przyjaźni. Zbyt lubię samotność. Zbyt fascynuje mnie lot rudzika. Może te bajędy o indiańskiej krwi są jednak na czymś oparte, wprawdzie indiańskiej krwi płynie w moich żyłach niewiele, ale może i tak to ona przeważa. W każdym razie postanowiłem gdzieś osiąść, zapuścić korzenie. Nie wiedziałem gdzie, choć samo miejsce było mi obojętne, bylebym miał w pobliżu las, gdzie mógłbym od czasu do czasu znikać, polować i łowić ryby. Tak trafiłem do Farber w Connecticut. Co nieco przez te lata zaoszczędziłem, kupiłem więc warsztat samochodowy przy drugorzędnej drodze. Farber jest miastem z prawdziwego zdarzenia, ale mój zakład znajdował się właściwie pośród lasu. To był duży, piętrowy budynek. Mieszkanie mieściło się na górze, wystarczyłoby dla sporej rodziny. Nie potrzebowałem aż tyle przestrzeni. Warsztat też okazał się ogromny. Mógłbym w nim naprawiać lokomotywy albo helikoptery. Były tam dwa stanowiska z lat pięćdziesiątych, ja urządziłem dwa nowe, bardziej nowoczesne, ale tamte zostawiłem. Podobały mi się. Poza tym całe pomieszczenie tonęło w świetle wpuszczanym przez wielkie, żółtawe okna. Zresztą nigdy nie zasuwalismy drzwi, to wielka zaleta pracy w warsztacie: zawsze jesteś na świeżym powietrzu, lecz osłonięty od słońca i deszczu.

Postanowiłem wyspecjalizować się w układach napędowych i hamulcach. Wywiesiłem neon: ERICKSON. Byłem z niego bardzo dumny – nie przypominał zwykłych szyldów w warsztatach samochodowych i wielu kierowców, mijając go, zwalniało, w przekonaniu, że to nowa restauracja. Wysłałem do ojca, do Hammerstown, pocztówkę, z informacją, gdzie mieszkam. Uznałem, że po tylu latach złość mu już minęła. Chociaż nie

wiedziałem nawet, czy jeszcze żyje. Później wysłałem kolejną pocztówkę, na ten sam adres. Nie wracały do mnie, co znaczyło, że ojciec nie umarł ani się nie przeprowadził, tylko siedzi, uparciuch, na starych śmieciach, odbierając moje pocztówki i je ignorując. Zgorzkniały, pełen urazy. Postanowiłem wysłać mu kartkę na każde Boże Narodzenie, z nadzieją, że kiedyś w końcu mi odpowie.

Od razu zatrudniłem cztery osoby: pomocnika Thomasa, dwóch mechaników, Lungrena i Sapkowskiego, naprawdę znających się na rzeczy, choć Sapkowski był człowiekiem nadmiernie dumnym i wybuchowym, oraz Dinah, dziewczynę, która zajmowała się recepcją i papierami. To była niezwykle inteligentna dziewczyna. Drobną, ciemnowłosa, piegowata i niezwykle inteligentna. W ogóle nie onieśmiała jej obecność czterech raczej szorstkich typów takich jak Thomas, Lungren, Sapkowski i ja. Wnosiła do warsztatu światło i radość. Nie żeby poza tym było to ponure miejsce. Wręcz przeciwnie. Tyle że miejsce, gdzie przebywają wyłącznie mężczyźni, nigdy nie jest do końca ludzkie, kobieta zawsze wnosi coś niezbędnego, coś, co sprawia, że się uśmiechamy, coś, co wygładza kanty rzeczy, czyni je przyjemniejszymi. Gdyby mężczyźni wymyślili drzewa, te miałyby jedynie pień i gałęzie, dopiero kobiety dodałyby im liście, kwiaty i owoce. Myślę, że kobieta zawsze wydobywa z mężczyzny to, co w nim najlepsze. Tak, wiele by można o tym mówić, każdy z nas uwielbia zgrywać cynika i obnosić się ze swoimi bliźniami, ale myślę, że to mimo wszystko prawda. Kobiety są światłem i muzyką świata. Dinah zwracała się do mnie „panie Erickson”, niemniej robiła ze mną, co chciała. Strofowała mnie, jeśli zaplamiałem sobie koszulę przy jedzeniu, nie pozwalała mi dotykać papierów brudnymi od smaru dłońmi, a kiedy gdzieś wychodziłem, rozwiązywała mi krawat i wiązała go na nowo. Traktowała mnie jak córka albo siostrzenica i chyba mi się podobało, że mam kogoś takiego obok siebie.

Osiadłe życie przypadło mi do gustu. Nie wiedziałem, jak mi pójdzie. Nigdy wcześniej nie mieszkałem tak długo w jednym miejscu i nigdy niczego nie posiadałem, jednakże warsztat szybko się rozkręcił, ponieważ ciężko pracowaliśmy, nie liczyliśmy sobie zbyt wiele, wywiązywaliśmy się z zobowiązań i nie oszukiwaliśmy na częściach. Z warsztatami samochodowymi jest jak ze wszystkimi innymi zakładami usługowymi: błyskawicznie zyskują dobrą lub złą sławę, a Erickson błyskawicznie zyskał dobrą. Mieliśmy szczęście, gdyż właściwie nikt w okolicy nie specjalizował

się w napędzie i układzie hamulcowym, toteż i nikt nie robił nam prawdziwej konkurencji. Warsztat był duży i nie musiałem go rozbudowywać, natomiast wyremontowałem mieszkanie: wymieniłem okna, urządziłem nową łazienkę, zupełnie jakby miała mi się wkrótce powiększyć rodzina (co nie wydawało się w najbliższym czasie możliwe), na koniec zaś pomalowałem cały budynek na czerwono, tak że przypominał siedzibę straży pożarnej. Ale mnie się taki podobał. Rozwazałem również założenie myjni samochodowej i stacji benzynowej, a także rozszerzenie działalności o usługi wulkanizacyjne, jednakże moja natura kazała mi się raczej cieszyć tym, co już osiągnąłem. To pewnie moja indiańska krew podpowiadała mi, bym się zbytnio nie obciążał. Bym pozostał lekki jak wiatr.

Pewnego dnia Vinny, miejscowy kierowca ciężarówki, przyholował do nas dosyć starego jeepa, któremu gdzieś na gorszej drodze zepsuł się wał korbowy. Pojazd miał tablice rejestracyjne z New Hampshire, a w środku siedzieli siwy mężczyzna i jego dużo młodsza żona. Mężczyzna był dość wysoki, jego dziwnie wydłużoną twarz przecinały głębokie pionowe zmarszczki, pośród których sterczał wydatny, złamany jak u boksera nos. Wyczuwałem w tym człowieku coś mrocznego, może wręcz wrogiego, może upartego, w każdym razie twardego, kamiennego, co mi się spodobało. Zdawał się poirytowany, ale kto się cieszy, kiedy zepsuje mu się samochód? Wyjaśnił, że mieszka w górach w New Hampshire, zawsze jeździł tym jeepem po bocznych drogach i nigdy nic się nie działo. Powiedziałem: czasem musi się w końcu coś zdarzyć. Zaoferowałem jego żonie krzesło i napój orzeźwiający. Miała ciemne okulary, rude włosy i najbielszą skórę, jaką widziałem u kogokolwiek poza albinosami. Jej nogi były białe jak mleko. Poza tym wydawała się naprawdę dużo młodsza od męża, o trzydzieści lat albo więcej. Obejrzelśmy auto, wymieniliśmy uwagi. Widać było, że mój nowy klient lubi samochody. Zagoniłem Sapkowskiego do pracy, zamówiłem przez telefon części. Ponieważ musiałem je sprowadzić aż ze Stanfordu, miały przyjść dopiero nazajutrz. Ponieważ tamci nie wyglądali na zamożnych, poleciłem im motel pod miastem. Kobieta, bardzo sympatyczna i mówiąca z południowym akcentem, opowiedziała mi, że wracają z Nowego Jorku i że po drodze odwiedzili w Cambridge starszą córkę jej męża, Peggy, która studiowała teologię i miała poważne kłopoty ze zdrowiem. I tak, od słowa do słowa, wdaliśmy się w pogawędkę. Poczęstowałem ich kawą, z którą usiedliśmy u mnie w biurze. Nie żebym robił tak z każdym klientem, ale w sumie lubię

rozmowy z nieznanymi. To w istocie sztuka, tak jak sztuką jest gra na harmonijce lub rzeźbienie w drewnie. Młoda żona powtarzała mężowi moje słowa, ponieważ mocno nie dosłyszał. Dlatego podniosłem głos i już nie było takiej konieczności. W biurze znajdowały się dwie książki, opowiadania Nathaniela Hawthorne'a i *Ballada o smutnej knajpie* Carson McCullers – tę ostatnią Dinah akurat w tych dniach czytała, za moją namową. Nie wiem jak ani dlaczego, lecz zaczęliśmy mówić o literaturze i ja oświadczyłem, odpowiadając zresztą na pytanie, że Hawthorne nie wydaje mi się wielkim pisarzem mimo sławy niektórych swoich opowiadań, takich jak *Wakefield*, *Mój krewny, major Molineux* czy *Wielka kamienna twarz*, i że nie sądzę, by miał prawdziwy *dar snucia opowieści*, choć z pewnością umiał wymyślać metafory i, przede wszystkim, tworzyć sytuacje. Mężczyzna słuchał moich argumentów z zainteresowaniem, a niektóre jego komentarze kazały mi przypuszczać, że jest człowiekiem czytany, może nawet sam pisze. Była pora lunchu, więc zaproponowałem, że podwiozę ich do Larry'ego. Zgodzili się. Zastrzegli, że nie chcieliby sprawiać mi kłopotu, tyle że to nie był przecież żaden kłopot. Przedstawiliśmy się, ściskając sobie nawzajem dłonie. Wade Erickson. Jerry David Salinger. Colleen O'Neill.

Pochłaniałem książki od lat, ale chyba wtedy po raz pierwszy rozmawiałem z kimś o literaturze. Pogoda była ładna, więc usiedliśmy na dworze, w ogródku u Larry'ego, i zamówiliśmy lunch, chociaż Jerry przestrzegał dziwnej makrobiotycznej czy też wegetariańskiej diety i zjadł tylko sałatkę, trochę gotowanego ryżu oraz kolbę kukurydzy. *Clam chowder* Larry'ego słynie w całym hrabstwie, niemniej Jerry nie chciał o tym nawet słyszeć. Tłuszcz, powiedział, węglowodany, cholesterol. Czy jest pan, spytałem wtedy otwarcie, pisarzem? Z jakiegoś powodu przypatrywałem się jego ręką, jakby dłonie i palce mogły zdradzić mi jego zawód. Tak, odpowiedział. Pisarzem, który aktualnie ma problem. Owszem, przytaknąłem, pański wóz miewa się nie najlepiej. Poza tym części zapasowe będą drogie. Jednakże on mówił nie o samochodzie, lecz o książce, którą właśnie pisał. Uznałby mnie pan za wielkiego dziwaka, spytał, gdybym ją panu opowiedział? Słuchając, jak wypowiada się pan o Hawthornie, odniosłem wrażenie, że sporo pan czyta. I pomyślałem, że może podsunie mi pan jakiś dobry pomysł. Boże mój, pewnie, że dziwnie to dla mnie brzmiało! Ale również intrygująco. Czemu sądzi pan, że mógłbym podsunąć panu jakiś pomysł? Dlaczego pan tak pomyślał? Bo wydaje mi się, że rozumie pan dynamikę opowiadania historii,

odparł. Że w przeciwieństwie do Nathaniela Hawthorne'a *ma pan dar snucia opowieści*. Potem streścił mi fabułę swojej książki i wytłumaczył, na czym polega problem. Streścił mi ją dosyć szczegółowo, co zajęło nam prawie cały lunch, niemniej okazało się fascynujące, ponieważ Jerry opowiadał doskonale, elokwentnie, starannie dobierając słowa. Jego żona też słuchała z uwagą i wyraźnym podziwem, chociaż wydawało mi się, że podziwia raczej opowiadającego niż opowiadaną przezeń historię, której może nawet nie rozumie. Tak, była od niego dużo młodsza, nie o trzydzieści, lecz o niemal czterdzieści lat. Pochodziła z Południa, emanowała tą sympatyczną, zaraźliwą radością, jaką często przejawiają tamtejsze kobiety, literaturą wszakże nie interesowała się w najmniejszym stopniu i przez cały lunch prawie się nie odzywała. Myślę, że mąż intelektualnie nią gardził i w ogóle traktował ją z pewną wyższością. Wytworzyła się między nimi specyficzna relacja, jaka często łączy pary złożone ze starca i młodej kobiety. On gardził nią i uważał ją za istotę na niższym etapie rozwoju, ale jednocześnie w wielu kwestiach całkowicie od niej zależał, ona zaś, bez wątpienia go podziwiając, traktowała go zarazem z wyrozumiałością, jaką matka żywi wobec wrażliwego, niezdolnego dziecka. Spytałem: a nie sądzi pan, że Izabel może być już martwa? Może jest martwa, lecz jeszcze o tym nie wie i na tym polega cały problem. To by tłumaczyło na przykład, czemu wchodzi do szafy i siedzi tam wiele godzin. Nie, nie, to niemożliwe, zaprotestował. Miałbym umieścić w swojej książce ducha? Nigdy tego nie robiłem. Ktoś kiedyś powiedział, rzuciłem, i proszę mi wybaczyć, ale nie pamiętam kto, że wszystkie książki są o duchach. Jim Joyce, wtrącił. Tak, to powiedział James Joyce, mruknął. W każdym razie zdawał się zastanawiać nad moimi słowami. Martwa, co? Colleen tymczasem otworzyła torebkę i wyjęła z niej kilka rachunków z nowojorskiego Saksa, które starannie wygładziła, niespecjalnie zainteresowana estetycznymi rozterkami męża, po czym wyciągnęła jeszcze buteleczkę z lakierem i zaczęła podmalowywać sobie uszkodzony paznokieć, zdaje się, że palca wskazującego lewej dłoni. Nie żyje, ale nagle odkrywa, że jej świadomość nie umarła razem z ciałem, podjął Jerry, który zdawał się mówić teraz do siebie. Odkrywa, że może wejść w cudze myśli, może przemieszczać się bez ograniczeń. I może wrócić do tamtego popołudnia, kiedy Jim przyprowadził czarnego konia, dodałem. Znowu przeżyć tamtą scenę i zobaczyć, co naprawdę stało się w ogrodzie, kiedy czarny koń przemknął obok z Rose na grzbiecie. Boże mój, powiedział Jerry, ja nigdy... Duchy!

I uśmiechnął się. To był jedyny raz, gdy widziałem, by się uśmiechał.

Spytał, czy studiowałem kiedyś literaturę, a ja odparłem, że nie: nigdy nie byłem na uniwersytecie, ba, nie skończyłem nawet *high school*. Ta informacja najwyraźniej go ucieszyła. Widzisz, powtarzał, zwracając się do żony, która wciąż z całkowitym skupieniem nakładała blad różowy lakier na paznokcie, widzisz? Zawsze tak mówiłem swoim dzieciom! Zawsze mówiłem Peggy, żeby unikała kursów literatury jak ognia! I, na Boga żywego, żeby pod żadnym pozorem nie zapisywała się na uniwersytet należący do Ivy League. No i żeby nie chodziła do lekarzy, chociaż z tym jest trochę trudniej. Choroby, panie Erickson, zwrócił się znów do mnie, to czysta iluzja, *przekonanie*. A później, wiercie mi lub nie, zaczął się rozwodzić nad Stowarzyszeniem Chrześcijańskiej Nauki i nad siostrą Mary Baker Eddy. Tak, przez tamte dwa dni rozmawialiśmy o wielu rzeczach, chociaż akurat wywody na temat uzdrowieńczej mocy modlitwy mógłby mi darować.

Zawiozłem ich do Farber, do motelu Bruce'a Sonarisa, a oni zaprosili mnie na pokolacyjny drinka. Oświadczyłem, że wpadnę po nich o ósmej. Kiedy wyjeżdżałem z parkingu, zostawiwszy ich w motelowej recepcji, odniosłem wrażenie, że zaczęli się kłócić. Nie widziałem tego wyraźnie, bo byli w środku, ale tak mi się wydawało. Wracając do warsztatu, niespodziewanie doznałem oświecenia. „Ten człowiek”, powiedział jakiś głos w mojej głowie, „ten mężczyzna to J.D. Salinger, autor *Buszującego w zbożu*”. Jerry David. Jerome David Salinger. J.D. Salinger. Nagle wszystko się zgadzało. Gdy dotarłem do biura, poprosiłem Dinah o dokumenty wypełnione przez właściciela zepsutego jeepa i oto miałem przed sobą jego pełne nazwisko: Jerome David Salinger, oraz adres w Cornish, w stanie New Hampshire. Wiesz, kim jest ten mężczyzna, który niedawno tu był? To J.D. Salinger! Salinger, autor *Buszującego w zbożu*! No proszę, panie Erickson, odrzekła Dinah, patrząc na mnie ze współczuciem. Znowu zapomniał pan wziąć swoich pigułek? Mówię serio, powiedziałem. To on. Przysięgam. To on. Przykro mi, panie sędzio, rzuciła Dinah z kamienną twarzą. Nie mogliśmy zrobić nic innego. Zaczął opowiadać dziwne rzeczy. Widywał wśród naszych klientów J.D. Salingera. Ale to prawda, wtrąciłem. Nie widzisz, że tu stoi czarno na białym jego nazwisko? Boże święty, panie Erickson, mruknęła Dinah, przeglądając dokumenty i dostrzegając energiczny, wyraźny podpis, ten facet nas oszukał! Na ile daliśmy się naciągnąć? Rzuciłem w nią gumką i wyszedłem.

Z Jerrym rozmawiałem jeszcze tego wieczoru i potem następnego dnia. Spytałem, czy jest Salingerem, i potwierdził. Powiedziałem mu, że się cieszę, że pracuje nad nową książką. Nową, spytał, jak to? Oświadczyłem, że to byłoby naprawdę coś, gdyby opublikował nową rzecz, zważywszy, że od czasu *Hapworth 16, 1924* z roku sześćdziesiątego piątego nic już nie wydawał. Nie, nie, nie, panie Erickson, zaprzeczył, fakt, że coś piszę, nie oznacza, że zamierzam to opublikować. Nie zamierzam. Ja nie piszę, żeby publikować, piszę dla siebie. To dziwne, stwierdziłem, chyba nie znam drugiego takiego przypadku. Bo jest niewielu ludzi, którzy pragną skończyć ze swoim ego, powiedział Salinger. A w gruncie rzeczy to klucz do wszystkiego: nasze „ja” i sposób, w jaki to „ja” rządzi nami i tym, co robimy. Dodał, że przez te lata napisał kilka książek, dokładnie dziesięć, niemniej teraz pracuje nad czymś naprawdę długim, mniej więcej dziewięciusetstronicowym: dziełem swego życia. I to się nigdy nie ukaże drukiem? Tak spytałem. Owszem, odrzekł. Może. Jeśli wciąż będą istniały książki. Jeśli wciąż będzie się ścinać drzewa na papier i mieszać węgiel z gumą na farbę, i jeśli ktoś będzie jeszcze w ogóle czytał. Zdaje się, że w swoim testamencie zapisał, że jego niepublikowane dzieła mogą zostać wydane dopiero sto lat po jego śmierci. Nie potrafiłem odegnąć od siebie myśli, że publikacja tych książek bardzo by pomogła jego rodzinie, dostarczając jej dochodu z praw z autorskich. Najwyraźniej walka z własnym ego może wymagać sporo egoizmu.

Nie wiedziałem wtedy, że moje życie niedługo skręci o sto osiemdziesiąt stopni. Mając, jak sędzę, ego normalnych rozmiarów, czułem się mile połączony znajomością z samym J.D. Salingerem, tym wielkim samotnikiem, a jeszcze bardziej usłyszany z jego ust komplementem, że mam „dar snucia opowieści”. Nie sądziłem jednak, że cokolwiek z tego będzie miało jakieś konsekwencje.

Minęły dwa, może trzy miesiące. Pewnego dnia pojawił się w Farber pontiac z nowojorską rejestracją, którym podróżowali mężczyzna i kobieta rozpytujący o warsztat Ericksona. Mężczyzna był wysoki i potężny, ubrany w dżinsowe spodnie, dżinsową kurtkę i naciśniętą na oczy bejsbolówkę. Kobieta miała na sobie nieco bardziej oficjalną odzież: długą spódnicę, drogie skórzane buty o brawie cynamonu oraz dziergany sweter. Spytałem, co jest nie tak z ich samochodem, na co mężczyzna odpowiedział, że z autem wszystko w porządku i że nie dlatego przyjechali. A więc? Mężczyzna chciał wiedzieć, czy nazywam się Wade Erickson. Potwierdziłem. Wtedy zapytał, czy może mi

zająć z godzinkę i zaprosić mnie na piwo. Pomyślałem, że zamierza zaproponować mi jakiś interes, więc zaznaczyłem, że ani warsztat, ani przyległości nie są na sprzedaż i że nie planuję też żadnej franczyzy. Widać było, że mężczyzna jest zmieszany. Wtrąciła się jego żona. Panie Erickson, powiedziała, może gdy mąż się przedstawi, zrozumie pan, o czym chciałby z panem porozmawiać. Tak, zgodził się mężczyzna. Nie przedstawiłem się jeszcze. Nazywam się Thomas Pynchon.

Musiałem mocno wytrzeszczyć oczy. I chyba nie uwierzyłem. Jest pan Thomasem Pynchonem, autorem *Tęczy grawitacji*? Tak, przytaknął, tym Thomasem Pynchonem. Kochanie, odezwała się znowu kobieta, może powinienes pokazać panu Ericksonowi swoje prawo jazdy? Zrobił to i rzeczywiście: nazywał się Thomas Ruggles Pynchon Jr. Cóż, trudno było w takich warunkach negocjować, że jest Thomasem Pynchonem, chociaż to dość popularne imię i nazwisko, w związku z czym Thomasów Pynchonów kręci się pewnie po naszym kraju sporo, nie wspominając już o tym, że byle świr może, jeśli sobie tego życzy, pójść do urzędu i zmienić dane. Pozostawała jednak kwestia *middle name*. No i fakt, że żadne z tej dwójki nie wyglądało na ześwirowane. Pynchon wziął ze sobą żonę zapewne po to, żeby cała scena wyglądała bardziej naturalnie; żeby wszystko przebiegło sprawniej. Mężczyzna, który pojawia się znikąd, z góry stanowi zagrożenie, jeśli jednak przybywa w towarzystwie kobiety, dajemy mu pewien kredyt zaufania. Pojechaliśmy więc do Larry'ego na piwo i mężczyzna, który twierdził, że jest Pynchonem, wyjaśnił, że doszły go słuchy, jakobym potrafił mu w czymś pomóc. Powiedział: panie Erickson, wie pan, co najbardziej szkodzi amerykańskiej literaturze? Sukces. Szybko odnosimy wielki sukces i to ma swoje skutki. Szybko zarabiamy dużo pieniędzy. Zyskujemy sławę. Proszę spojrzeć, co się stało z Salingerem: za sprawą swojej pierwszej powieści stał się legendą, co pozwoliło mu trwać w bezczynności przez resztę życia. Proszę spojrzeć, co się stało z Josephem Hellerem: napisał książkę-bombę i w rezultacie zamilkł na całe lata. To w Ameryce częste. Pisarz wydaje książkę lub dwie, odnosi ogromny sukces i przestaje pisać albo zwleka z publikacją kolejnej przez dwadzieścia lat. Proszę spojrzeć, co się stało z Billem Gaddisem. Tu postanowiłem to w porę uciąć i ze swoim najsympatyczniejszym uśmiechem oznajmiłem mu, że nie znam jego powieści. Przyjął ten cios z godnością. Żadnej? Sądziłem, że mnóstwo pan czyta. Przyznałem, że, owszem, przeczytałem *V*. i że to, moim zdaniem, wielka

książka, jak również *49 idzie pod młotek* i że to też całkiem niezłe, choć traci przez wielką liczbę złych naśladownictw, natomiast nie zdołałem skończyć *Tęczy grawitacji* (wtedy nie wyszedł jeszcze chyba *Vineland*). *Tęcza grawitacji* to właśnie mój problem. Co mógłbym napisać po takim monstrum? Chyba tylko zebrać jakieś resztki. Powtórzyć to samo. Nie sądzi pan? Może po prostu już się wyczerpałem, źródło wyschło. Nie wiedziałem, co na to odrzec. Jednakże zobaczyłem w oczach siedzącego przede mną mężczyzny (wciąż nie zdecydowałem, czy to naprawdę Pynchon czy zwykły oszust) ten błysk desperacji, który skłania nas do podejmowania absurdalnych postanowień i popełniania szaleństw. I zobaczyłem coś jeszcze. Zobaczyłem oczy jego żony. Dociekliwe, inteligentne. Znałem to spojrzenie. Pozornie uprzejme, lecz zdolne zniszczyć człowieka mocą swoich opinii. Ta kobieta uważała bez wątpienia, że popełnili z mężem błąd, jadąc tutaj tylko po to, by porozmawiać z jakimś mechanikiem samochodowym w niebieskim kombinezonie i z rękami brudnymi od smaru. Ponieważ nie była tak zdesperowana jak mąż, patrzyła na rzeczy chłodniej. Ale skoro czuła, że oboje tracą ze mną czas, co, u licha, miałem na to poradzić? Czy powinienem ją przeprosić, że nie znam jego książek aż tak dobrze? Gryźć się, że nie sprostałem zadaniu? Wszystkie pańskie powieści mają niezwykle skomplikowaną fabułę, powiedziałem. Chciałem w ten sposób zasugerować, że jego powieści (jeśli faktycznie był Thomasem Pynchonem) nie są w moim guście i że ja wolę Raymonda Chandlera albo nawet Williama Saroyana. Że zapach trawy i galop czarnego konia po łące wzdłuż słupów telegraficznych przedkładał nad historie o wzwodach, palmach bananowych i niemieckich bombach spadających na Londyn. Że w mojej opinii jego książki są sztuczne, przypominają skomplikowane gry. Gry mało zresztą rozrywkowe, bo rozgrywane przez jednego gracza, a przecież żeby gra zadziałała, reguły muszą być znane wszystkim uczestnikom. Ale nie powiedziałem tego. Powiedziałem, że jego książki to prawdziwy galimatias, niemożliwy do rozplątania. Jakby nie były opowieściami, lecz sferami, powiedziałem. Opowieść rozwija się liniowo, najpierw dzieje się coś, potem coś innego. A w jego książkach nie ma linii albo raczej wszystkie linie są zakrzywione, splecione. Niech pan spróbuje odmiany. Niech pan napisze coś liniowego. Liniowego? Tak, liniowego, jakby rysował pan na kartce kreskę. Jakby wyznaczał pan granicę na mapie. Taką jak Linia Masona-Dixona oddzielająca Pensylwanię od Marylandu. Nie rozmawialiśmy już potem długo, a ja nawet nie wiem, czemu

przypomniała mi się wtedy Linia Masona-Dixona. Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się później nad tym. Pewnie skojarzyła mi się z tą kreską na kartce, granicą na mapie. Wiele lat później, kiedy Pynchon wydał powieść *Mason&Dixon*, przysłał mi egzemplarz z autografem. I z dedykacją: „Dla Wade’a Ericksona. On wie dlaczego. Thomas Pynchon”.

A to był dopiero początek. Wieść się rozeszła, nie wiem za bardzo jak, ponieważ nie wiem, jakimi kanałami rozchodzą się tego typu wieści. Fakt faktem, że od tamtej pory odwiedzało mnie wielu pisarzy i kandydatów na pisarzy, zaglądających do mojego warsztatu nie po to, bym naprawiał im ich auta, lecz po to, bym naprawiał im ich historie, powieści, fabuły. Odkryłem, że z jakichś przyczyn całkiem nieźle mi to wychodzi. Miałem dobre pomysły, wyraźnie widziałem usterki, znajdowałem właściwe rozwiązania. Dinah, Lungren i Sapkowski nie rozumieli, co się dzieje. Myśleli, że mam kłopoty ze skarbówką i stąd te ciągłe wizyty. Tyle że w takich razach nachodzi człowieka urzędnik podatkowy, a nie cała ich procesja. Proszono mnie o radę w listach przysyłanych z daleka. Chcąc nie chcąc, musiałem ograniczyć tę działalność doradcy literackiego. Doradcy literackiego, naprawiacza historii, mechanika fabuł... Oczywiście, zwracali się do mnie nie tylko uznani autorzy, lecz również uczestnicy kursów kreatywnego pisania, ich wykładowcy, a także scenarzyści filmowi i telewizyjni (choć tych odsyłałem od razu, bo przecież moją działką była literatura, nie co innego). Lektura takiego rękopisu jest czasochłonna, zwłaszcza jeśli chodzi o powieść. Moje „porady” z kolei były zwykle dość zwięzłe. Wbrew temu, co możecie sobie myśleć, nigdy nie zaliczałem się do ludzi wylewnych. Czasem tak wyczekiwana przez kogoś wskazówka ograniczała się do jednego zdania. Mówiłem na przykład: może Henry i Jenny powinni być wujem i siostrzenicą, zamiast ojcem i córką? I widziałem, jak w oczach mojego rozmówcy czy mojej rozmówczynie pojawia się światło. To oczywiste, że jego żona nie żyje, mówiłem kiedy indziej, to oczywiste, że kobieta, o której on opowiada, nie istnieje. Czasem niewiele trzeba, żeby twórcza iskra zapaliła się i wywołała pożar lasu. Najtrudniej było udzielać rad na temat tekstów już niemal gotowych – ustalać, co w nich nie działa i dlaczego, i jak to zmienić. Nieco łatwiej, choć i tak nie bez trudu, przychodziła mi analiza książek, których autorzy nie umieli dokończyć: typowych projektów urwanych gdzieś w połowie. W takich wypadkach miałem szersze pole do działania i niekiedy wpadałem aż na kilka różnych rozwiązań. Niemniej najprostsze – i najciekawsze – okazywało się

podsuwanie komuś pomysłów, jak zacząć. Wielu moich klientów, bo w sumie byli klientami, przyjeżdżało do mnie w poszukiwaniu materiału, tropów, idei. Podsuwałem im jedną myśl albo dwie, albo więcej, ale musiałem bardzo uważać, żeby nie zaproponować dwóm osobom tego samego. Chociaż czemu nie? Mogłem sprzedać jakiś pomysł, dajmy na to, Salingerowi, Pynchonowi, Thomasowi McGuane'owi, Denisowi Johnsonowi i Michaelowi Chabonowi, a każdy i tak napisałby na tej kanwie coś zupełnie innego niż pozostali. Tyle że istniało też ryzyko problemów. Na przykład historia radia, w którym słychać rozmowy wszystkich sąsiadów, jest tak dziwaczna i charakterystyczna, że bez względu na talenty poszczególnych pisarzy zawsze pozostanie z grubsza ta sama – czy to u Carvera, czy u Cheevera, czy u Coovera. Nie, nie, ta akurat nie wyszła ode mnie. Jest dużo wcześniejsza. Ale wyobraźcie sobie choćby opowieść o szkole, gdzie wszystko umiera: umierają rośliny, umierają zwierzęta, umierają nauczyciele. Spisana przez dwie różne osoby wciąż będzie rozpoznawalna. Na szczęście, tę akurat spisał tylko Donald Barthelme – i to nie najgorzej.

Jednym z pól, na których moja kreatywność kwitła najbujniej, była science fiction. Nigdy nie przepadałem za tym gatunkiem jako czytelnik, lecz tworzenie takich historii, dokańczanie ich lub przekształcanie stało się czymś w rodzaju mojej specjalności. Pośród warunków podpisywanych przeze mnie umów – jako że autorzy zaczęli się wkrótce zjawiać w towarzystwie prawników, ludzi, którymi pogardałem, ale których nie mogłem unikać, jeśli chciałem kontynuować swoją działalność – a zatem pośród tych warunków szczególnie ważna była moja anonimowość. Pisarz mógł wymienić moje nazwisko w podziękowaniach, jeśli sobie tego życzył, jednakże ja nie miałem prawa domagać się wynagrodzenia z tytułu praw autorskich ani w ogóle zdradzać swojego współdziałania w procesie tworzenia dzieła. Co bynajmniej mi nie przeszkadzało, gdyż nie dla ambicji czy sławy to robiłem, a dla czystej rozrywki.

Moja renoma, choć niejawną, rosła. Moje pomysły zasilały najrozmaitsze opowiadania i powieści. Harry Matthews zjawił się u mnie z propozycją, że napisze powieść o mnie, lecz mu tego zakazałem. Opowiedział mi o OuLiPo, grupie francuskich, kompletnie świrniętych eksperymentatorów, którzy bawili się słowami, i chciał mnie nawet zabrać do Paryża. Tylko co ja bym robił w Paryżu? Jadł bagietki posmarowane *foie gras*? Kupiłbym sobie beret i palił papierosy w bakelitowej fifce? Poszedłbym na manicure? Odwiedziła mnie też

żona Raymonda Carvera i powiedziała, że Gordon Lish, pisarz i ogromnie ceniony wydawca, zredagował kilka opowiadań jej męża, całkiem, jej zdaniem, je niszcząc. Poprosiła, żebym zerknął na oryginały i porównał je z wersją poprawioną. Żeby wydać wyrok, wystarczyło mi parę przykładów. Oświadczyłem, że ten cały Gordon Lish (o którym zresztą nigdy wcześniej nie słyszałem) to kretyn i że to, co zrobił z opowiadaniem Carvera, kojarzy mi się z przycinaniem krzewów różanych wiosną, kiedy obsypane są kwiatami i pąkami. Powiedziałem, że oryginały należy uznać za nieporównanie lepsze i że Lishowi wyszło coś w rodzaju absurdalnych, suchych i gorzkich telegramów, które być może odzwierciedlają jego wizję świata, ale na pewno nie oddają liryzmu i złożoności pierwowzoru, i poleciłem pani Carver, by przekazała mężowi, żeby nie słuchał tylu rad, tylko robił to, co uzna za stosowne, nawet ryzykując, że czasem się pomyli. Odrzekła, że w zupełności się ze mną zgadza, jednakże opowiadania i tak ukazały się w wersji Gordona Lisha i wszyscy uznali, że Raymond Carver to geniusz i że *O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości* to jego arcydzieło. Lish tak je poprzycinał, że czasami nie dawało się zrozumieć, o czym bohaterowie rozmawiają, bo poprzednia rozmowa, w której to się wyjaśniało, została usunięta. Ale w prasie trąbiono, że to jest właśnie przejaw literackiego geniuszu Carvera. Czasami nie sposób nie śmiać się z krytyków literackich.

Wtedy wszakże zacząłem się zastanawiać, czy nie napisać czegoś samemu. Wszystkie te kontakty z twórcami wyzwoliły we mnie pragnienie, żeby też zostawić po sobie coś pięknego i trwałego. Zastanawiałem się nad tym, ale szybko zrezygnowałem. Zawsze przecież pracowałem tylko rękami. Usiłowałem się przekonywać, że pisanie to też praca rąk, lecz nie mogłem nawet patrzeć na maszynę do pisania z wkręconą kartką papieru. Mieliśmy w biurze dwie elektryczne maszyny do pisania, których już nie używaliśmy. Rozważałem wręcz, czy nie przenieść jednej z nich do mieszkania, na tym się jednak skończyło. Zanim w ogóle spróbowałem, już wiedziałem, że nigdy nie napiszę ani strony.

Wpadłem na inny pomysł. W tamtym okresie nieustannie wpadałem na jakieś pomysły, ostatecznie nimi handlowałem. Wpadłem na pomysł, żeby zbudować świątynię. Tak mnie ta myśl pochłonęła, że nie mogłem się już zajmować niczym innym. Warsztat działał bez zarzutu. Lungren i Sapkowski ciągle u mnie pracowali, tylko Dinah wyszła za syna właściciela pewnego hotelu w Farber, Jimmy'ego O'Connella, i nas zostawiła. Później utyla,

urodziła trzech synów, nabrała upodobania do drinków i stała się panią w średnim wieku, chociaż w moich oczach nigdy nie przestała być tą uroczą dziewczyną, która traktowała mnie jak ojca. Znaście ten wiersz Frosta, o tym, że „co złote jest nietrwałe”? To nieprawda, niektóre złote rzeczy takie pozostają. Może nieco ciemnieją, kurczą się, ale pozostają złote. Czasem tak bywa. Zatrudniłem do prac biurowych inną dziewczynę, Dorothy, przyjąłem też dwóch kolejnych mechaników. Sam zaglądałem do warsztatu wyłącznie z rana, potem oddawałem się projektowi świątyni.

Jasne, że musiałem w związku z tym porzucić doradztwo literackie, którym zresztą zdążyłem się zmęczyć. Nie przyjmowałem więcej zleceń, czasami tylko sprzedawałem jeszcze jakąś historię. Ale i to ustało, oklapło powoli jak zostawiony na słońcu balon. Jeśli się coś robi, trzeba robić to z uwagą, zaangażowaniem i miłością, bo inaczej to coś umiera. Nic nie dzieje się przypadkiem, nic nie zależy od losu, nic nie zdarza się wbrew nam. Wszystko, co nas spotyka, wynika z nas samych, to my powołujemy to do życia i my to zabijamy. A ja w tamtym okresie całą swoją uwagę, całe zaangażowanie i miłość poświęciłem świątyni, którą pragnąłem zbudować.

Tylko co to miała być za świątynia? Ktoś mógłby rzec, że chciałem ją wznieść na cześć samego siebie, gdyż przecież nie zaliczałem się do ludzi religijnych. Choć nie jestem też ani nigdy nie byłem ateistą. Chyba zawsze wierzyłem w boga, tyle że amerykańskiego. Nie wiem, może prawdziwym bogiem Amerykanów jest Ameryka i stąd biorą się nasze problemy? Nasz bóg nie wydaje się uniwersalny, wszystkowiedzący i tak dalej, bo nasz bóg to w gruncie rzeczy nasze prerie, góry i miasta. A prezydent to jego wcielony w człowieka syn. Postanowiłem zatem, że swoją świątynię poświęcę sobie oraz duchowi Ameryki. Dla mnie duch ten najlepiej przejawia się w wietrze. Wietrze, który hula po wielkich preriach, nigdy się nie zatrzymuje i każe nam raz po raz przenosić się z miejsca na miejsce.

Moja świątynia nabierała kształtów. Naszkicowałem wstępny plan, po czym zacząłem go uzupełniać, dodając tu i ówdzie wieże, a później i całe budynki: drugą świątynię, trzecią... Nie szukałem nigdzie wzorów, nie zaglądałem do książek o architekturze, a już na pewno nie do książek o architekturze Indii. Słuchałem własnej intuicji, podążałem za wizjami, które istniały w mojej głowie. Nocami potężniały – cienie w dżungli, ogromna wieża podobna kolbie kukurydzy. Tak, właśnie tak, wieża taka jak ta, która się nad nami obecnie wznosi. I nie że zbliżona w formie, mgliście podobna, ale

identyczna, *dokładnie* taka jak ta. O czym ja śniłem? O hinduistycznych budowlach z wybrzeża Zatoki Bengalskiej? Czy o tej wyspie i o tym kompleksie świątynnym, w którym się teraz znajdujemy?

Miałem sporo ziemi. Pierwsza z moich świątyń powstała na łące za warsztatem, doskonale widoczna z drogi i wzbudzająca powszechne zainteresowanie. Budowałem przy użyciu wszystkiego, co mi się trafiło, wykorzystywałem części ze starych aut, ciężarówek, traktorów i innych maszyn rolniczych. Całe dni spędzałem w masce spawalniczej, w piekle iskier. I tak latami. Nie sędzę, by chodziło o „obsesję”. Już raczej o rozrywkę, hobby, choć również o chęć, by stworzyć coś trwałego, co po mnie zostanie. Pracowałem w ten sposób wiele godzin dziennie, ale nie „dniami i nocami”, jak napisał jakiś dziennikarz. Właśnie dlatego tyle to trwało: że się nie spieszyłem.

Stałem się sławny. Moja świątynia i moja twarz pojawiały się w gazetach. Przyjeżdżali do mnie różni ludzie, którzy używali mnóstwa skomplikowanych słów: scenarzyści, muzealnicy, fotografowie, krytycy sztuki. Nie interesowała mnie ta ich gadanina, chociaż okazywałem wszystkim uprzejmość. Zjawiło się, między innymi, paru facetów z czasopisma „Raw Vision” i to wówczas po raz pierwszy usłyszałem coś o *art brut*. Przeprowadzili ze mną wywiad, zrobili setki zdjęć i umieścili moje świątynie na okładce numeru wiosna-lato. Potem były kolejne artykuły. Mówiły o folklorze, o ludowej architekturze „barbarzyńskiego geniusza” i o „chropawej a potężnej sztuce” Ameryki. Autorzy innych określali mnie mianem freaka i wpraszali się do mojego domu, szukając tam uciętych głów, zamkniętych w piwnicy dziewcząt albo innych sensacji. Opowiadali mi o pewnym Francuzie, niejakim Ferdinandzie Chevalu, zmarłym w latach dwudziestych, który przez trzydzieści trzy lata swego życia budował to, co sam nazywał „Pałacem Idealnym”. Pokazywali mi zdjęcia tej budowli oraz wzniesionego później przez Chevala mauzoleum, trochę podobnych w stylu do moich świątyń, jak również fotografie świątyń hinduistycznych z Indii, zwłaszcza z Orisy. Nie mogę powiedzieć, żebym nigdy wcześniej ich nie widział, człowiek widuje w życiu najrozmaitsze rzeczy, niemniej faktem jest, że nie starałem się niczego naśladować i nawet nie zaglądałem do poświęconych sztuce książek z Biblioteki Publicznej w Farber, do której należę od wielu lat. Owszem, w Disneyowskiej *Księżce dżungli* pojawiają się świątynie podobne do tych z Orisy, tyle że ja nie widziałem tego filmu. Oczywiście nikt ci nie wierzy, kiedy tak mówisz: że czegoś nie widziałeś albo nie czytałeś. A nawet jeśli ci uwierzą, zwykle zakładają, że po

prostu nie pamiętasz. Opublikowano na temat moich świątyn kilka książek, pięknie wydanych, ze wspaniałymi zdjęciami, na których wszystko wyglądało dużo lepiej niż w rzeczywistości. Fotografowie zjawili się latem, gdy świeciło słońce, a po niebie sunęły imponujące chmury, i później jesienią, kiedy czerwieniały i żółkły klony. Na uniwersytecie w San Diego uruchomiono specjalny kurs, do udziału w którym mnie zaproszono. Grzecznie odmówiłem – nie chciałem się wygłupiać. Znałem swoje miejsce.

Sława. Nigdy jej nie pragnąłem, a teraz nagle byłem nie tylko sławny, ale i bogaty. Moje świątynie – zbudowałem ich tymczasem pięć – stały się jedną z atrakcji turystycznych hrabstwa i przyciągały masę zwiedzających. Musiałem to wszystko zorganizować i zarejestrować markę, i logo w postaci litery T w kółeczku pojawiło się jakoś samo z siebie. Ruszyła sprzedaż koszulek, kubków, talerzy i breloczków ozdobionych obrazkiem świątyn. Nazywano je „indyjskimi świątyniami Connecticut” albo „świątyniami Ericksona” i nikt nie wiedział, nikt nie interesował się tym, że były poświęcone wiatrowi, duchowi Ameryki oraz impermanencji. Mogłem zamknąć warsztat i żyć tylko z nich, lecz tego nie zrobiłem. Ba, po skończeniu piątej uznałem, że moje dzieło jest gotowe, pora zdjąć maskę spawalniczą i wrócić do samochodowych silników. Chyba poczułem się zmęczony. Sława potrafi człowieka wykończyć i w dziewięciu przypadkach na dziesięć tylko sprawia kłopoty.

Nadal na każde Boże Narodzenie wysyłałem pocztówkę do ojca. I nigdy nie dostawałem odpowiedzi. Aż pewnego dnia odpowiedź nadeszła, chociaż nie w postaci listu. To było dokładnie w Wigilię. Oto przed warsztatem po raz kolejny zatrzymuje się auto. Z auta wysiada ciemnoskóry, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Pyta, czy nazywam się Wade Erickson. Tak, to ja, odpowiadam. Mężczyzna mówi: jestem Raymond Erickson. Twój młodszy brat. Szeroko się uśmiecha.

Początkowo nie wiedziałem, jak zareagować na tę wiadomość. Raymond był synem Ogunde i mojego ojca. Moim przyrodnim bratem. Moją zagubioną połówką. Czyli ojciec jednak nie zabił Ogunde, ona zaś nie uciekła od niego z kimś w swoim wieku; czyli zdołał ją przy sobie zatrzymać, pobrali się i mieszkali dalej w Hammerstown, mieszkali w Hammerstown, w Indianie, przez wszystkie te lata. Raymond przywiózł album z fotografiami. Wszystko to było dla mnie dziwne i ciężkie, wręcz okropne. Tamten album sprawił mi dużo bólu. Oto miałem przed sobą ojca i Ogunde – niewiarygodnie młodą, niemal dziecinną. Kiedy ją poznałem, wydawała mi się dorosłą kobietą, teraz jednak,

patrzając na jej zdjęcia z tamtego okresu, zdumiewałem się przejrzystą niewinnością jej oczu i tą jej miną: tak bezbronną, niepewną i delikatną, jak to bywa tylko u młodych. Przewracałem kartę za kartą. Oto ojciec w swoich roboczych spodniach, ze swoją kukurydzianą fajką w ustach, i bardzo zaokrąglona, szczęśliwa Ogunde z niemowlęciem w ramionach, oboje wsparci o buickę w kolorze czereśni. Ogunde w wyniku macierzyństwa mocno przytyła i miała okrągłą twarz, jeszcze pełniejsze niż kiedyś wargi, pękaty biust... A to ciemne maleństwo o wielkich oczach, trzymane przez nią w pulchnych ramionach, to był mój brat Raymond. Dali mu imię po ojcu. Raymond Erickson Junior. Nie, po prostu Raymond. Ray. Ray Erickson, mój brat.

Jednakże ta historia nie kończy się szczęśliwie. Raymond powiedział, że chce zacząć od nowa, że miał problemy i że bym dał mu pracę w warsztacie. Chciałem wiedzieć, jakiego rodzaju problemy. Z narkotykami? Nie, stary, odparł, niby to obrażony. Ja tego gówna nie tykam. Spytałem: siedziałeś? Niedługo, odrzekł. Za drobiazgi. Wolałem nie wnikać. Cóż, siedział w więzieniu, ale to jeszcze nie koniec świata. Poza tym każdy ma prawo popełnić błąd i ma prawo do drugiej szansy. Powiedziałem, że może na jakiś czas zostać, skoro potrzebuje pracy. Nie byłem przyzwyczajony do myśli, że mam brata. Nigdy brata nie miałem i nie wiedziałem, jak postępować w tej nowej dla siebie sytuacji, lecz doszedłem do wniosku, że jak ktoś ma brata, choćby i przyrodniego, to powinien mu w miarę możliwości pomóc.

Raymond nie znał się na samochodach, nie bardzo umiał też pracować. Zbyt wiele dobrze schłodzonych piw przed południem. Zbyt wiele *breaks* na papierosa albo i od razu na dwa. Ale ostatecznie był bratem szefa, do diabła! Zamieszkał u mnie i nagle wszystko nabrało sensu: remont, który kiedyś przeprowadziłem, cała ta przestrzeń, dodatkowe pokoje. Moje mieszkanie okazało się tak duże, że kiedy on nastawiał muzykę na cały regulator, ja ledwie to słyszałem. Nie byłem już sam. Rudzik nie tylko uwił gniazdo, ale w dodatku miał towarzystwo.

Przy czym jasne, że Raymond nie stanowił towarzystwa dla nikogo, a już na pewno nie dla mnie. Natychmiast zaczął się panoszyć. Niedługo po tym, jak się do mnie sprowadził, pojawili się jego przyjaciele: dwaj biali, Montgomery i Feliciano, jeden czarnoskóry, imieniem Lenny, oraz czarna dziewczyna, Doralea. Nie wyglądali za dobrze. Zdaje się, że Doralea sypiała z Montgomerym. Niewykluczone, że ona i Lenny byli rodzeństwem, nie wiem. Nie wyglądali za dobrze, ale przyjaźnili się z moim bratem – co mogłem

zrobić? Nie mogłem zabronić im wstępu. Czasem zjawiali się w środku dnia, żeby pogadać, i nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by się domyślić, że prowadzą niezbyt czyste interesy. Powiedziałem Raymondowi, że nie wolno im wpadać do warsztatu w godzinach otwarcia i przeszkadzać wszystkim w pracy. Raymond przytakiwał, przepraszał. Zawsze uśmiechnięty, zawsze czarujący. Był niezwykle sympatyczny i ludzie za nim przepadali. Zaczął podrywać Dorothy, moją recepcjonistkę. Któregoś wieczoru zabrał ją do siebie na górę i od tamtej pory Dorothy chodziła z czerwonymi oczami, pociągając nosem. Spytałem, w czym rzecz, więc mi wyznała, że jest w Raymondzie zakochana, że on zabrał ją do siebie i naobiecował jej cudów, i traktował ją jak księżniczkę, a potem ją odrzucił, jak łupinkę orzeszka, i więcej nie chciał mieć z nią nic do czynienia. Poza tym była z nim w ciąży. Skąd miała wziąć odwagę, żeby urodzić dziecko w takich warunkach? Poprosiła mnie o tydzień wolnego, niby po to, żeby odwiedzić rodziców Massachusetts, ale ja wiedziałem, że planuje aborcję. Rozumiałem ją, niemniej zawsze sądziłem, że aborcja to coś podobnego do morderstwa. Bynajmniej nie z powodów religijnych. Nie jestem religijny, lecz istnieje coś całkiem niezależnego od religii i związanych z nią przekonań: życie albo może nawet sama możliwość życia. Pewnie – powiecie, że przecież poluję. Trochę trąci to hipokryzją, jak życia broni ktoś, kto uwielbia zabijać zwierzęta. Tylko że polować nie znaczy zabijać. Wiele osób nie rozumie, że myśliwi czują wielką miłość do swoich zdobyczy i dzielą ich ból. Myśliwy, który nie czuje tej miłości i tego bólu, to nie myśliwy, lecz rzeźnik. Poza tym zwierzęta to nie ludzie. To raczej rodzaj obecności, takiej jak duch mieszkający w człowieku. Zabić taką obecność oznacza ją sobie podporządkować. Zawsze uważałem, że wychodząc na polowanie, wychodzimy właściwie na spacer po własnym wnętrzu. Ale odbiegam od tematu.

Przyjaciele Raymonda spędzali teraz u niego każdy wieczór. Rzadko wchodzili na górę, woleli siedzieć w warsztacie: pozapalać światła i pić, i słuchać radia. Zimą na dole panował straszny ziąb, lecz i tak siedzieli tam godzinami, a nazajutrz wszędzie walały się pety, puste butelki i puszki. Słyszałem ich od siebie. Nie żeby mi przeszkadzali. Dobiegały mnie ich głosy i stłumiona muzyka, gdy zaś domknąłem okno, wszystko całkiem milkło. Chodziło raczej o to uczucie. O to nieprzyjemne uczucie, że padam ofiarą inwazji, że straciłem swobodę. Przez większość czasu chodziłem naburmuszony. Zrobiłem się nieufny. Zacząłem podejrzewać, że Raymond

w rzeczywistości nie jest moim bratem. Wyobraziłem sobie, że przeczytał o mnie w gazetach, dowiedział się szczegółów o moim burzliwym życiu, o moim dzieciństwie w Hammerstown. Wyobraziłem sobie, że włamał się nocą do domu mojego ojca, ukradł album ze zdjęciami i zmyślił, że to on jest tym czarnym dzieckiem w ramionach Ogunde. Dlatego wziąłem sobie kilka dni wolnego i oświadczyłem, że wybieram się do Kanady na ryby. Nie pojechałem jednak na północ, tylko na zachód. Do Indiany.

Hammerstown zmieniło się nie do poznania. Miasteczko mego dzieciństwa znikło. Odnalazłem dom ojca, kiedyś stojący już na obrzeżach, zaparkowałem w pewnej odległości i ruszyłem dalej pieszo. Ot, przechodzień z rękami w kieszeniach. Może włóczęga. Nie wiedziałem, co zastanę w środku. Zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Zajrzałem do wnętrza przez okna. Dom wydawał się zamieszkały, choć nie rozpoznawałem mebli. Usiadłem na ganku, żeby poczekać, i przysnąłem. Obudziła mnie czarnoskóra dama, dość wysoka, niemłoda, ale wciąż foremna. Szturchnęła mnie czubkiem parasola i pytała, co tu robisz. Powiedziałem, że jestem Wade, Wade Erickson. Odparła, że nie zna żadnego Wade'a. Ja tymczasem przetarłem już oczy, przyjrzałem się jej uważnie i zrozumiałem, że to wcale nie Ogunde. Nazywała się Rose Mary, jak powiadomiła mnie suchym tonem, dla mnie – pani Latimer. Kupili z mężem ten dom siedem lat wcześniej, ona nic nie wiedziała o przednich właścicielach i nigdy nie słyszała o żadnym Ericksonie ani żadnej Ogunde. Powiedziałem, że od wielu lat przysyłam na ten adres bożonarodzeniowe kartki, które zapewne musieli odbierać. Rzeczywiście, dostawali je, przyznała. Zaprosiła mnie do środka, poczęstowała lemoniadą i wyjęła moje pocztówki, które trzymała w szufladzie w kuchni. Było ich siedem – siedem kartek świątecznych podpisanych przez Wade'a Eriksona, siedem formułek z życzeniami. Pani Latimer wyjaśniła, że nie wiedzieli z mężem, co to za Wade Erickson ich tak regularnie pozdrawia, ale założyli, że to któryś z wiernych z parafii. Jej mąż był anabaptystycznym pastorem i miał wielu wiernych. Indiana nie bez powodu uchodziła za krainę protestantów.

Pierwsze, co stwierdziłem po powrocie do domu, to że Raymond grzebał w moich papierach. Nie żeby zostawił po sobie bałagan. Ja zresztą nie mam obsesji na punkcie porządku. Nie, chodziło o drobiazgi, niemniej od razu zdałem sobie sprawę, że ktoś przejrzał wszystkie moje dokumenty. To znaczy: osobiste dokumenty, te, które trzymałem w domu. Natychmiast poszedłem się z nim rozmówić. Czego szukałeś, Raymond? Pieniędzy? Testamentu? Czego?

Jeśli chcesz wiedzieć, w moim testamencie nie figurujesz. Myślę, że jeszcze sobie na to nie zasłużyłeś.

Spojrzał na mnie oczami osaczonego zwierzęcia – aż się przeraziłem. Powiedział, że potrzebuje pieniędzy, że ma długi. Że potrzebuje pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Oświadczyłem, że nie dysponuję taką sumą, na co odrzekł, że jestem jego bratem, muszę mu pomóc. Że jeśli nie zapłaci, połamią mu nogi, potem powyrywają palce, a jeśli i to nic nie da, to go zabiją. W co ty się wplątałeś? Tak go spytałem. Krzyknął, że jestem durniem, cały dzień siedzę w warsztacie albo buduję swoje głupie świątynki i w ogóle nie wiem, co się dzieje na świecie. Powiedział, że na tym gównianym świecie nie jest łatwo być czarnym, że na widok czarnego, który zagląda do sklepu, każdy zielenieje ze strachu, że ludzie zmieniają chodnik, byle się z nim nie mijać, i że to trudne – ciągle uchodzić za przestępcę, od dziecka znosić upokorzenia. Gadał tak i gadał. Powtórzyłem, że nie mam pieniędzy. Wtedy złożył mi propozycję. Powiedział, że wie, że i warsztat, i świątynie są ubezpieczone. Sprawa była prosta: wystarczyło spalić świątynie i wziąć kasę. On by zabrał pięćdziesiąt tysięcy, których tak potrzebował, i znikłby z mojego życia na zawsze.

Nie było prawdą, że nie dysponowałem pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Dysponowałem. I pomyślałem, że skoro Raymond to faktycznie mój przyrodni brat, nie mogę pozwolić, żeby go zabili. Oznajmiłem, że chcę porozmawiać z ludźmi, którym winien jest pieniądze – pewnie dlatego, że nie wierzyłem, by tacy ludzie istnieli. Ale wszystko potoczyło się błyskawicznie. Raymond się spieszył albo raczej stało się coś, co się stać nie powinno. Faktem pozostaje, że pewnego wieczoru zjawił się razem z przyjaciółmi i wszyscy wydawali się bardzo zdenerwowani. Mieli nienaturalnie błyszczące oczy, rozszerzone źrenice i nie ulegało wątpliwości, że się czymś naszprycowali. Zapewne crackiem. Wprowadzili swoje auto do warsztatu, co mnie zdziwiło, bo zawsze parkowali na zewnątrz. Powiedzieli, że mają problem. Zaprowadzili mnie do samochodu i Lenny, tak jak Raymond czarnoskóry, otworzył bagażnik. W środku leżał mężczyzna ze związanymi rękami i nogami, w czarnej plastikowej torbie na głowie. Nie żył. Ale to było coś więcej niż morderstwo: to była egzekucja. Strzelili mu kilka razy w serce i chyba jeszcze z raz w głowę. Na widok trupa – a może mojej przerażonej miny – wszyscy zaczęli się śmiać jak szaleni. Śmiali się i śmiali, aż się popłakali z tego śmiechu.

Spytałem, kim jest ten facet, a Raymond odrzekł, że to ktoś, kto zasłużył na

śmierć. Sytuacja całkowicie wymknęła mi się spod kontroli. Była naprawdę poważna. Drogą przejeżdżały auta. Ktoś mógł nas zobaczyć. Sapkowski i Lungren też jeszcze kręcili się nieopodal. A ci idioci okazali się tak głupi albo tak naćpani, że nie poczekałi nawet, aż się ściemni i warsztat opustoszeje. Połowa hrabstwa widziała, jak jechali do mnie i skręcali na mój podjazd. Powiedziałem, że dzwonię na policję. Wtedy przestali się śmiać i znów się spięli. Jak to, rzucił Raymond, na policję? Musisz nam pomóc. Musisz mi pomóc. Jesteś moim bratem. Nie wiem, czy jestem twoim bratem czy nie, Raymond. Wiem natomiast, że w twoim samochodzie leży trup. Raymond denerwował się coraz bardziej, powiedział, że ma plan, plan doskonały, i że właśnie dlatego do mnie przyjechali: bo mają plan i wszystko będzie dobrze. Plan polegał na tym, żeby pozbyć się samochodu i trupa. Bez samochodu i trupa nie było sprawy. W przeciwnym razie – i owszem. Ale gdyby samochód i trup znikły, znikłby też cały problem. Z samochodem rzecz jest prosta, oświadczył Raymond. Ostatecznie znajdujemy się w warsztacie samochodowym, wystarczy to auto rozmontować na drobne części. Mógłbym je zresztą później wykorzystać albo nawet sprzedać. Wspaniały pomysł! Auto, które wjechało do warsztatu, rozplynie się w powietrzu, nigdy tego miejsca nie opuści lub opuści je – ale po kawałku. Plan iście genialny. Wszyscy zdawali się o tym przekonani. A co z trupem? Też go rozmontujesz? Gdy go o to spytałem, Raymond popatrzył na mnie z opadniętą szczęką. Powiedział, że trupa zakopie się w lesie i nikt go nigdy nie znajdzie. Że najpierw poleje się go benzyną i spali, żeby był nie do rozpoznania, nawet gdyby go znaleźli; że wyrwie mu się zęby i w ogóle. Było coraz gorzej, ale starałem się zachowywać spokój. Tyle że dwaj koledzy Raymonda, ci biali, Montgomery i Feliciano, zagradzali mi drogę. Nie zamierzali mnie wypuścić.

Chcesz ze mnie zrobić wspólnika? Mowy nie ma, Raymond, oświadczyłem. Wynoś się stąd natychmiast z całym tym głównem – to najlepsze, co mogę ci zaoferować. Wynoś się, a ja nic nikomu nie powiem. Nie było cię tutaj, ja nic nie wiem. Albo nie: byłeś tutaj, bo widziała cię połowa hrabstwa. Pogadaliśmy chwilę i pojechałeś. Ja nic nie wiem. Ale to tyle.

Domyślałem się, że powiesz coś w tym stylu, rzucił. Wyjął zza paska pistolet. To była czterdziestkapiątka, poważna broń, Raymond nigdy wcześniej nie pokazywał mi się z bronią. Słuchaj, powiedział, rozumiem, że nie chcesz mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Rozumiem. Ale mam plan. Nie musisz nam pomagać, jeśli nie chcesz. Przywiążemy cię do słupa i jutro, jak zjawia

się Lungren i ten Polak, opowiesz im, co ci się spodoba. Zapomnij, Raymond, odparłem. Okej, skinął głową, okej, stary twardzielu. Postaramy się bardziej. Chcesz, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Masz rację. Gliny nie łykną byle gówna. Przyłożę ci teraz trochę i strzelę w nogę. Będę uważał, żeby rana była czysta. A ty w ten sposób się wywiniesz.

Czyli tak wyglądał jego plan: ukryć się u mnie, podpalić zwłoki, po czym zakopać je w lesie, a o mnie „zadbać”, strzelając mi w nogę i przywiązując mnie do słupa, żebym przez całą noc wył z bólu i krwawił. Do tego sprowadzał się jego pomysł pozwalający „mi się wywinąć”. Byłem tak wściekły, że rzuciłem się na niego i wyrwałem mu pistolet. Teraz wszyscy mierzyli do wszystkich: ja celowałem do Raymonda, a jego towarzysze celowali do mnie. Poza czterdziestką mieli coś mniejszego. Nie zauważyłem nawet co. Lenny wrzasnął, że nie wyjdę stamtąd żywy, że nie mogą mnie puścić, bo wiedzą, że polecę na policję. Myślałem gorączkowo: co robić? Zacząłem mówić. Powiedziałem, że im pomogę. Że jeśli chcą rozebrać samochód, trzeba od razu wziąć się do roboty. Ale znowu wszystko potoczyło się błyskawicznie. Trudno było kontrolować sytuację, zwłaszcza że tamci górowali nade mną liczebnie. Feliciano przesunął się lekko i strzelił mi w plecy. Upadłem na ziemię. Poczułem uderzenie gdzieś powyżej pasa. Próbowałem wstać, lecz nie dałem rady. Leżałem na brzuchu, wijąc się jak robak w słońcu. Lenny zbliżył się i kopniakiem odebrał mi broń. Wszyscy krzyczeli. Liczyłem na to, że wystrzał zwróci czyjąś uwagę, chociaż, jak już wspomniałem, mój warsztat leżał raczej na uboczu. Poza tym nikt nie wzywałby policji tylko z powodu dalekiego wystrzału. Tamci krzyczeli. Wyciągnęli zwłoki z bagażnika i zaczęli szukać kanistra z benzyną, by je podpalić, tyle że w warsztacie nie było benzyny; musieliby ją wypompować z baku któregoś z aut, co okazało się niełatwe. Dlatego postanowili spalić cały warsztat, kalkulując, że wtedy pozbędą się i ciała, i samochodu. Słyszałem, jak Raymond mówi, że przecież mam dobre ubezpieczenie, więc jeszcze na tym wszystkim zarobię. Ja jednak z jakiegoś powodu nie mogłem się ruszyć. Krzyknąłem, żeby mnie tam nie zostawiali, więc wywlekli mnie na zewnątrz. Teraz obejrzysz sobie fajerwerki, braciszku, powiedział Raymond. I owszem – wyciągnięty na ziemi patrzyłem, jak płoną mój warsztat i dom. To niewiarygodne, z jaką szybkością rozprzestrzenia się ogień, z jaką łatwością zajmują się nim rzeczy, kiedy tylko osiągnięta zostanie odpowiednia temperatura. Strażacy przyjechali dopiero pół godziny po tym, jak na niebie

pojawiła się luna, przy czym wtedy niewiele im zostało do ratowania. W ten sposób mój brat Raymond zniszczył mój dom i mój warsztat. Ale było coś jeszcze. W moim ciele wciąż tkwiła kula. Wbita w kręgosłup, a dokładniej w jego odcinek lędźwiowy. No i dodatkowo wstydziłem się tego, że się zsikałem. I wypróżniłem. Myślałem, że to ze strachu, ale nie. Właściwie nawet nie zdążyłem się przestraszyć. Przyjechała karetka, która zawiozła mnie prosto do Charles Ruggles Hospital w Foley. Tam mnie prześwietlili i, nie mając odwagi mnie tknąć, przenieśli do Stanfordu, do szpitala St. Francis, gdzie operowano mnie jeszcze tej samej nocy. Później mi wyjaśniono, że kula przerwała rdzeń kręgowy i że w Charles Ruggles nie mieli neurochirurgii. Tak czy owak, uraz okazał się poważny. W Stanfordzie zdołali wyjąć kulę, lecz rdzeń został przerwany na takiej wysokości, że ucierpiały nerwy sterujące dolną częścią ciała. Straciłem władzę w nogach, a także kontrolę nad zwieraczami. Paraplegia – to był powód, dla którego moje kiszki wydalily swoją zawartość wkrótce po tym, jak zostałem postrzelony. Dolna część mojego ciała fizycznie miała się dobrze, tyle że odłączyła się od centralnego układu nerwowego. Wszystkie narządy znajdowały się na swoich miejscach, ale nie odbierały poleceń od mózgu. Po jakimś czasie odzyskałem czucie w nogach – chociaż specyficzne – co dawało pewną nadzieję i rzeczywiście: chwała niebiosom, z powrotem opanowałem zwieracze. Och, Boże, gdybym musiał nosić geriatryczną pieluchę i worek z moczem, chyba wsadziłbym sobie lufę strzelby w usta i z tym skończył. Miałem więc szczęście w nieszczęściu. Trudno nie mieć szczęścia w ogóle, nawet pośród najgorszej niedoli. Jednakże moje nogi nie działały. Zacząłem rehabilitację, chociaż lekarze twierdzili, że uszkodzenie jest tak duże, że szans na powrót do sprawności ruchowej, nawet w części, nie mam żadnych. Mimo wszystko próbowałem, próbowałem z wściekłością, ze łzami w oczach. Ale nic się nie dało zrobić. Nie było żadnej skutecznej terapii, nie było lekarstwa. Wade Erickson został inwalidą. Wade Erickson potrzebował teraz wózka, żeby się przemieszczać. Wade Erickson był paraplegikiem.

Rudzikowi podcięto skrzydła. Jego lot się skończył – na zawsze.

Tak, wypłacono mi ubezpieczenie. Cudem zresztą, gdyż to, co się stało, to nie był wypadek, lecz napad. Niemniej jakoś to się rozwiązało. Nie mogłem już jednak pracować. Wywalczyłem sobie rentę, co wcale nie jest takie proste, kiedy człowiek prowadzi własną działalność gospodarczą. W każdym razie Wuj Sam miał mi zapewniać miesięcznie określoną sumę – i to do końca

moich dni. No i były te pieniądze z ubezpieczenia. Wynająłem domek w Farber i starałem się wyobrazić sobie swoje dalsze życie. Policja złapała Raymonda i jego przyjaciół dzień po pożarze. Zdaje się, że faceta w bagażniku zabił Lenny. W Connecticut obowiązuje kara śmierci, ale chyba nie stracili nikogo od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Dlatego Lenny zamiast śmiertelności dostał trzydzieści lat. Pozostałym zasądono po dziesięć. Dziesięć lat za zniszczenie mi życia, niemal wysłanie mnie na tamten świat. Czy nie tanio się wykpił? Przy dobrym sprawowaniu Raymond już po pięciu mógł być na wolności.

W tygodniach i miesiącach, które nastąpiły, dowiedziałem się wielu rzeczy. Dowiedziałem się, że Raymond naprawdę był moim bratem, synem mojego ojca i Ogunde, która tymczasem zmieniła nazwisko i nazywała się teraz Helen Erickson. Dowiedziałem się, że ojciec zmarł siedem lat wcześniej i że Helen Erickson przeniosła się do Wichita Falls, gdzie pracowała jako menedżerka w zakładzie szyjącym bieliznę damską, wyspecjalizowanym w gorsetach i dużych rozmiarach. Napisałem do niej, ale nigdy mi nie odpowiedziała. Nie wiem dlaczego, przypuszczam, że ze wstydu – ze wstydu za syna i za to, co mi zrobił. Jednakże ja, prawdę mówiąc, chętnie bym ją znów zobaczył.

Dalej mieszkałem w Farber. To tam miałem tych kilku przyjaciół, których udało mi się w życiu zdobyć, poza tym była jeszcze Dinah z rodziną, uważali mnie za jednego ze swoich. Tak, po wypadku Dinah, by tak rzec, wzięła mnie pod swoje skrzydła. Doskonale dogadywałem się ze wszystkimi: z jej mężem, dziećmi, siostrą Lorną, rodzicami. Zaproponowali mi nawet, żebym zamieszkał w lokalu nad nimi, lecz odmówiłem, ponieważ było mi wstyd: miałem więcej pieniędzy niż oni, no i nie chciałem być dla nikogo ciężarem. Owszem, mógłbym im płacić czynsz. Problem z wózkiem też by się dało bez trudu rozwiązać: wystarczyłoby zbudować rampę, którą podjeżdżałbym pod drzwi. Wszyscy chcieli, żebym się zgodził, ale tego nie zrobiłem. I nie tylko ze wstydu; także ze strachu, że stracę resztkę swobody, stanę się jeszcze bardziej od kogoś zależny. Uznałem, że skoro jestem przykuty do wózka, przy nich ostatecznie zamienię się w starca. Niemniej jadałem u nich niemal codziennie i zajmowałem się młodszymi dziećmi, Francisem i Juliet, którzy wołali na mnie *uncle* Wade. W życiu spotykam diabły i anioły. Dinah O'Connell była jednym z moich aniołów. Jak już wspominałem, z czasem stała się kobietą w średnim wieku, utyłła i, co sama przyznawała, czasem zdarzało jej się przesadzać z drinkami, lecz mimo to pozostała sobą: uroczą, inteligentną, żywą

Dinah. Bardzo się z Jimmym kochali i nawet kiedy przybrała na wadze trzysta pięćdziesiąt kilogramów, Jimmy nie przestał jej uwielbiać. Ich dom zawsze pełen był przyjaciół i krewnych, a w Boże Narodzenie przypominał krainę z bajki – ze wszystkimi tymi świecącymi i ozdobami, kolorowymi łańcuchami i bombkami na choince, i naturalnej wielkości reniferami, a wujek Wade zawsze się tam kręcił i przyrządzał wielkie pieczenie, i cała ta radość dzięki Dinah, bo jej nie przeszkadzało gotowanie dla dwudziestu osób, zawsze tryskała humorem, zawsze zabiegana, z papierosem w ustach i kieliszkiem wina w dłoni. Później zachorowała na raka, zaaplikowali jej chemię i straciła włosy. Wszystko to stało się w ciągu dwóch lat. Tak, bardzo szybko. Kiedy chorowała, spędzałem z nią dość dużo czasu. Czasami towarzyszyłem jej w szpitalu, jeśli Jimmy nie mógł. Nosiła na głowie chustkę, żeby ukryć łysinę, i nie wyglądała dobrze. Wyglądała, jakby miała umrzeć. Przeklinałem wszechświat, który robił straszne rzeczy najlepszym ludziom, a ona mówiła, że stanowimy *the odd couple* – ona w swojej amiszowskiej chusteczce i ja na wózku inwalidzkim. Lekarstwa, które jej dawali, wypalały ją od środka, sprawiały, że miała otwarte rany w przełyku i w żołądku. Jednakże chemioterapia zadziałała. Dinah wyzdrowiała, włosy jej odrosły, znów stała się dawną sobą. Kiedy przyszły wyniki badań, potwierdzające, że wszystko się udało i rak znikł, O’Connellowie wydali przyjęcie. A ja, u siebie, rozplakałem się ze szczęścia. Niewiele razy w życiu płakałem. To był jeden z nich.

A jednak – jakie życie miałem przed sobą? Nie mogłem już pracować. Nie mogłem polować. Ba, nie mogłem bez pomocy dostać się na piętro. Byłem skazany na wózek. Przedwcześnie zostałem starcem. Gdy widziałem swoje odbicie w witrynach przy Main Street w Farber, całkiem traciłem ducha. Myślałem: czy to ja? Ten staruszek na wózku? Ten biedny, bezradny inwalida? Dzieci i młode dziewczęta uprzejmie mi pomagały, kobiety przytrzymywały mi drzwi. Wszyscy znali moją historię. Przypuszczam, że wszyscy się nade mną litowali, w głębi duszy uważając, że jestem starym durniem, który dał się okpić jak dziecko, i ciesząc się, że to wszystko przydarzyło się mnie, a nie im. Niekiedy odwiedzałem swoje świątynie i spędzałem tam rano albo popołudnie. Właściciele mieszczącej się na miejscu mojego warsztatu stacji benzynowej nie mieli do nich serca, zresztą moda na nie już minęła, gości było mniej. Tak czy owak, pieniędzy mi nie brakowało. Postanowiłem więc skończyć z promocją marki, z koszulkami i biletami. Świątynie zaczęły

zarastać, ptaki wily sobie w nich gniazda. Od czasu do czasu zjawiał się jeszcze jakiś zwiedzający. Fotografował się na ich tle, myszkował trochę i oddalał się w swoją stronę.

Czasem myślę o prawie przyczyny i skutku. O tym szeregu kostek domina, które przewracają się jedną na drugą, i o szansach na to, by wyjąć jedną z nich i tym samym zapobiec upadkowi kolejnych. Gdzie się zaczął mój szereg, mój problem? Sądzę, że na tamtej farmie, gdzie przerzucałem krowi nawóz. Gdybym miał tam lepszą, a przynajmniej nie tak śmierdzącą pracę, nie trafiłbym na Grand Isle na jeziorze Champlain, do buddyjskiej „samotni” Fellerów, i nie zacząłbym czytać książek. Nie zakochałbym się w lekturze i nie miałbym nic do powiedzenia Jerry’emu Salingerowi, gdy ten zawitał do mojego warsztatu, nie zająłbym się sprzedawaniem pomysłów pozbawionym inspiracji pisarzom i nie zapragnąłbym stworzyć czegoś samemu, nie wpadłbym na dziwaczną myśl, by wznieść w lasach Connecticut hinduskie świątynie i nie zyskałbym sławy, więc Raymond nie usłyszałby o mnie i nie postanowiłby odgrywać przede mną młodszego brata, żeby wyciągnąć ode mnie pieniądze, w związku z czym ja ostatecznie nie wylądowałbym na wózku. To możliwe, choć myślę również, że jednak prędzej czy później odkryłbym przyjemność lektury i tak czy owak stałbym się mołem książkowym, i myślę jeszcze o tym, jakie to niezwykle, że J.D. Salingerowi, najbardziej nieuchwytnemu i nietowarzyskiemu człowiekowi na świecie, samochód zepsuł się akurat nieopodal mojego warsztatu. Myślę też, że wszystko, co mi się przytrafiło, jest tak nieprawdopodobne i połączone tak cienkimi nićmi, że z pewnością przytrafiło mi się, bo przytrafić mi się musiało: bo takie było moje przeznaczenie (tu użył angielskiego słowa *lot*, nie tak deterministycznego i groźnego jak *fate* czy *destiny*), a przed przeznaczeniem nie uciekniesz.

Uznałem, że dobrze by mi zrobiło, gdybym na jakiś czas opuścił Farber, i wpadłem na egzotyczny pomysł podróży do Indii, gdzie mógłbym sobie obejrzeć te świątynie, na których nieświadomie się wzorowałem: wielką świątynię Lingaradży w Bhubaneśwarze, dostępną tylko dla hindusów i oglądaną przez turystów wyłącznie z tarasu sąsiedniego budynku, oraz inne świątynie Orisy. Naprawdę pragnąłem wyjechać bardzo daleko, gdzie nikt nic by o mnie nie wiedział. W ten sposób znalazłem się w samolocie, w którym się wszyscy spotkaliśmy. Była to bez wątpienia wielka zuchwałość – podejmować tak długą podróż w moim stanie, lecz sądzą, że właśnie ten aspekt mojej wyprawy najbardziej mi się podobał. Moi przyjaciele z Farber

załamywali ręce. Dinah oświadczyła, że nie powinienem, że nie mogę lecieć sam. Że nie dam sobie rady w Indiach bez pomocy. Kto jednak zgodziłby się polecieć ze mną? Zaproponowałem, by mi towarzyszyła, i zapewniłem, że chętnie pokryję wszystkie koszty, lecz ona nie wyobrażała sobie, by miała zniecierpliwienie wylądować w Kalkucie, porzuciwszy rodzinę na dwa tygodnie. Jimmy powiedział, że się ze mną wybierze, ale zawsze był zasypany obowiązkami w pracy i nigdy nie znajdował odpowiedniego momentu. Toteż pewnego dnia wyszukałem ofertę Global Orbit, zadzwoniłem i kupiłem sobie bilet.

Zakładam, że teraz wszyscy zrozumiecie niektóre rzeczy, w tym powód, dla którego postanowiłem nigdy więcej nie opuszczać tej wyspy. Tak, ta wyspa będzie moim grobem. Dożyję tu kresu swoich dni. Pamiętasz pewnie, John (tu zwrócił się do mnie), co się stało zaraz po katastrofie. Wszyscy wokół krzyczeli. Jakiś martwy mężczyzna blokował przejście między fotelami. Ciemnoskóry, potężny, ubrany w niebieski garnitur. Ty wołałeś, żebym ci pomógł go podnieść, bo sam nie dasz rady. Odpowiedziałem, że nie mogę. Stałeś tam i wołałeś do mnie, ludzie zrywali się z miejsc i krzyczeli, ranni i nieranni. A pośród tego wszystkiego tkwiłem ja – milczący i nieruchomy. Co jednak mogłem zrobić bez wózka? Z bezwładnymi nogami? Gdybym próbował wstać, przewróciłbym się, musiałbym się czołgać i ludzie by mnie zdeptali. Ale mimo to wsparłem ręce o podłokietniki, żeby się dźwignąć. I wtedy poczułem coś zdumiewającego. Moje nogi ożyły. Znowu się mnie słuchały. Były na swoim miejscu, w całej swojej okazałości, z całym swoim ciężarem, ze wszystkimi swoimi kośćmi i mięśniami, ciepłe i żywe. Moje stopy w skarpetkach dotykały podłogi, a ja znów czułem, jak wspaniale jest mieć grunt pod sobą, ten fundament świata. Wstałem. Zrozumiałem, że to cud. Dla innych – tragedia, może kara. A dla mnie – podarunek. I się uśmiechnąłem.

Noc mego nieszczęścia. Wracamy

Moje wspomnienia z drogi powrotnej do osady gubią się w dżungli gorączkowych majaków. Nie potrafię napisać, co się wtedy działo. Joseph poprosił partyzantów o siekierę lub piłę, żeby amputować mi nogę, gdyż inaczej gangrena rozprzestrzeniłaby się, zatrzymałaby cały mój organizm i w końcu mnie zabiła. Wdała się po trzech dniach od postrzału. Wokół rany wytworzyło się opuchnięte, bardzo bolesne zaczerwienienie. Później skóra zaczęła czernieć, zakażenie postępowało ku kostce. Joseph codziennie mnie oglądał i mówił, że nie wygląda to dobrze. Stopa całkiem mi szerniała, martwica sunęła w górę w ślad za zaczerwienieniem, sięgając już łydki. Joseph powiedział, że trzeba amputować stopę, aby uratować resztę nogi. I że jeśli będziemy działać szybko, zdoła wykonać cięcie poniżej kolana. Gdy zdradził mi, co zamierza zrobić, oświadczyłem, że nie chcę przez to przechodzić i wolę zdać się na los, cokolwiek przyniesie. Cokolwiek przyniesie? Joseph powtórzył moje słowa z miną, która wydała mi się godna najgorszego z piekielnych diabłów. Stwierdził, że jeśli zostawimy sprawy swojemu biegowi, to umrę, na co odrzekłem, że wolę spokojnie umrzeć, niż przeżywać podobny koszmar. Pewnie tylko tchórz mówi takie rzeczy, ale rzeczywiście tak się czułem. Oznajmiłem – wszystkim zresztą, jako że bez przerwy przebywaliśmy razem – że nie mam ani żony, ani narzeczonej, ani rodziców, ani dzieci. Że mam jedynie psa, starego Ballarda, i że bez względu na to, jak wysoko go cenię, jego urocze towarzystwo nie stanowi wystarczającego powodu, by za wszelką cenę czepiać się życia. Nikt ode mnie nie zależał, nikt na mnie nie czekał, nikt by po mnie nie płakał. Myślę, że po raz pierwszy w pełni zdałem sobie z tego sprawę: że gdybym znikł z tego świata, nikt nie wylałby ani jednej łzy. Joseph zaczął na mnie wrzeszczeć. Krzyczał, że nie mogę się poddać po tym wszystkim, co przeszliśmy. Nazwał mnie próżnym kretyńcem, który woli umrzeć, niż stracić stopę. Tyle że to nie stopa mnie

martwiła, lecz ból związany z amputacją bez znieczulenia. Nie martw się, powiedział Joseph, zdobędziemy ci znieczulenie.

Ale nie zdołali go zdobyć. Partyzanci nie mieli żadnych lekarstw, wyjąwszy ampułki ze „szczepionką”. Poza tym stosowali zioła, które w większości wypadków, jak zakładam, działały co najwyżej na zasadzie placebo. Nie wiem, doktorze, zwróciłem się do Josepha, a nie mógłbyś mnie zahipnotyzować, żebym nic nie czuł? Błagaliśmy naszych prześladowców, by pozwolili nam wrócić do osady, gdzie warunki do operacji byłby lepsze, jednakże nigdy nie spotkałem ludzi równie głuchych na argumenty i upartych. Zapewnili nam butelkę ginu, szpulkę nici, nóż i siekierę. I tyle. W związku z tym amputacja odbyła się w świątyni, przed posągami Hanumana, pod zaszokowanym lub może tylko rozbawionym spojrzeniem nimf, wężokształtnych bóstw i boskich małp. Joseph wytłumaczył mi, co będą po kolei robić. Bronilem się, że nie chcę tego wiedzieć, lecz i tak mi wszystko wytłumaczył. Oświadczył, że najpierw muszę wypić cały gin – albo przynajmniej połowę – po czym położyć się na brzuchu i pozwolić się związać, dla powstrzymania niekontrolowanych ruchów. Zdaje się, że na tym etapie płakałem już jak dziecko. Wyjaśnił, że zanim utnie mi część nogi, zrobi pod kolanem mniejsze nacięcie, żeby podwiązać żyłę i tętnicę, co miało być zabiegiem nieskomplikowanym, wymagającym kawałka nici i ledwie kilku minut, lecz koniecznym, abym się nie wykrwawił. Bo do tego podobno sprowadzało się główne zagrożenie. A co będzie, spytałem, z krwią płynącą tymi podwiązanymi naczyniami? Poradzi sobie, odparł Joseph, to żaden problem. Następnie, podjął, dokonamy amputacji i cię zszyjemy. Będziesz całkowicie pijany, więc niczego nie zauważysz. Dodał, że nie powinienem się przejmować, gdyż to naprawdę prosta operacja. Dopiero dużo później wyznał mi prawdę: był wtedy niemal pewien, że umrę. Nie miał skalpela, piły ani bandaży. Nie miał pincet do uchwycenia naczyń krwionośnych podczas ich podwiązywania, musiał naciąć mi skórę nożem i grzebać pod nią palcami w poszukiwaniu tętnicy, potem zaś prosić Wade’a, by ją przytrzymał. O żadnej sterylności nie mogło być mowy i tylko cudem udało się uniknąć zakażenia. Ponadto siekiera rozszarpała kość. Wszystkiego tego dowiedziałem się później, kiedy niebezpieczeństwo minęło i doszedłem do siebie. Joseph zdradził mi wtedy, że wobec tak tragicznych warunków o mało nie przyznał mi racji, gdy twierdziłem, że nie warto się w to pakować. Niemniej zdecydował się na operację, a ta się powiodła. Najwyraźniej wyspa nie chciała się mnie

jeszcze pozbyć. Nie, jeszcze ze mną wówczas nie skończyła.

Tak czy owak nie potrafię o tym opowiadać. Coś we mnie mi na to nie pozwala. Płakałem jak dziecko. Błagałem. Krzychałem. Nigdy nie spotkało mnie nic podobnego. Zapusiłem się w najgłębszą czeluść okropności. Zerwałem łańcuchy dobra i zła. Zamieniłem się w zwierzę, w skałę, w metal, w krew, w powietrze. Zakładam, że gin trochę pomógł, chociaż wypicie takiej jego ilości duszkiem przyprawiło mnie o wymioty, a to zmniejszyło efekt. Wszyscy mnie trzymali. Włożyli mi coś między zęby, chyba skórzany pasek, żebym ich sobie nie połamał. Przestałem być istotą ludzką. Stałem się psem, później małpą, później samą skórą, nerwem, ścięgnem, żyłą, a jeszcze później czystym bólem, bólem, bólem i tylko bólem. Spadałem poprzez warstwy kolejnych światów. Nabrałem takiej zwartej konsystencji, że mogłem przenikać przez lawę, przez ołów. Opuściłem sferę słów. Dotarłem do stóp czerwonej góry, która była żywą istotą, oświetloną blaskiem krwi, która była pożarem. Poczułem, jak cała moja przeszłość się rozsypuje, jak rozsypuje się moja świadomość, ja zaś spadam coraz głębiej we wnętrze Ziemi. Zamieniłem się w wiązkę żywych włókien ciągniętych we wszystkie strony i w sferę gryzących się między sobą bestii. Tkanki mojego ciała były jak napięte do granic wytrzymałości struny, rozżarzone elektrycznością bólu. Coś we mnie wybuchało, niszcząc wszystko dokoła: czarna gwiazda wywróconej na nice świetlistości, zmiatająca wszelką materię, rozszczepiająca atomy. Przeszłość, przekonania, dobro, strach, wstyd, honor, spryt, inteligencja, najwspanialsze osiągnięcia cywilizacji, pragnienie – wszystko to ginęło, płonęło żywym ogniem. Straciłem ludzką formę.

I wtedy ktoś, siedzący przy jakimś stole, mnie usłyszał.

Ktoś, ubrany na czarno, usłyszał mój krzyk. Na początku z pewnością nie wiedział, że ten krzyk pochodzi ode mnie: po prostu usłyszał krzyk. Później jednak wsłuchał się w niego uważniej i przekonał się, że to ja, właśnie ja krzyczę. A siedział przy pięknym stole z malachitu inkrustowanego półszlachetnymi kamieniami, układającymi się w figury drzew i ptaków, a na stole tym leżało mnóstwo żetonów rozmaitych kształtów i kolorów. Tysiące barwnych żetonów, wykonanych z kamienia, hebanu, szkła, plastiku, korzeni, metalu i malowanego ołowiu.

Podniósł powieki. I zobaczyłem wszystko jego oczami. Zobaczyłem malachitową powierzchnię, a na niej jego dłonie oraz tysiące najrozmaitszych żetonów. I trzeba było przesuwac te żetony w poszukiwaniu właściwych,

i niekiedy przy okazji jeden czy dwa spadały ze stołu. A te, które spadły, powodowały liczne problemy. W gruncie rzeczy prawie wszystkie zdarzenia, dobre i złe, wiązały się z tymi żetonami, które spadały z malachitowego stołu, toczyły się po ziemi i ginęły w trawie.

I ten „ktoś”, kto mnie usłyszał, postanowił, że koniecznie trzeba mi pomóc. Nie żeby wcześniej nie chciał – po prostu wcześniej *nie wiedział o moim istnieniu*.

Wtedy (stało się to, jak sądzę, gdy wreszcie straciłem przytomność) ujrzałem zbocze góry, a pośród skał – dużą kozę, która patrzyła mnie jednym ze swych oczu. Właściwie nie była to koza, lecz rodzaj dużej antylopy o krótkich rogach i cynamonowej sierści. I ta antylopa patrzyła na mnie lewym okiem, raz po raz uginając nogę.

Znaczenie tego uginania nogi wydawało się oczywiste: chodź ze mną. Po chwili antylopa ruszyła w górę zbocza. Podniosłem wzrok i stwierdziłem, że wspina się na najwyższy szczyt wyspy: na wulkan, którego ścięty czubek zawsze ginął w chmurach.

Wejdz na tę górę, mówiła mi antylopa. Wejdz na tę górę.

Kilka dni przeleżałem w otępieniu. Alkohol, utrata krwi i wycieńczenie zrobiły swoje. Wciąż czułem lewą stopę i musiałem aż się dźwignąć, by się na własne oczy przekonać, że faktycznie brakuje mi i jej, i połowy lewej łydki. Skarżyłem się, że boli mnie tak samo jak przed amputacją, i Joseph powiedział, że to bóle fantomowe. Że ich źródło tkwi nie w mojej stopie, lecz w moim mózgu. Kilka dni potem (może zresztą jedynie dwa) obudziliśmy się rankiem wolni od łańcuchów i całkowicie sami w świątyni. Wyszliśmy, niepewni, czy nasi prześladowcy nie kryją się aby po drugiej stronie muru ogradzającego świątynie, przyczajeni pośród listowia, gotowi, by wyskoczyć na nas z radosnymi okrzykami: „Niespodzianka, zdrajcy proletariackiej sprawy, znowu was mamy!”. Tak się wszakże nie stało. Obok przemknął lirogon, jedyny, jakiego na wyspie widziałem. O upierzeniu tak granatowym, że prawie czarnym, piękniejszy chyba niż jakiegokolwiek inne ptaki.

Powoli zeszlismy po schodach (ja, podtrzymywany przez Josepha i Wade’a, skacząc z trudem na zdrowej nodze). Zbliżyliśmy się do muru i pokonaliśmy bramę zwieńczoną zdobnym łukiem – ostatnią ocalałą toranę. I tam, zaraz za nią, ujrzelismy któregoś z partyzantów. Ten ktoś zmierzał ku nam z uniesioną prawą ręką i kałasznikowem przewieszonym przez prawe ramię, tak jak u leworęcznych. To była Czerwona Gwiazda. Tyle że wyglądała żałośnie.

Wręcz potwornie. Coś odcięło jej kawałek ciała. Coś jakby gigantyczna siekiera albo ogromny arkusz blachy odcięło jej lewą stronę jasnego skalpu, lewe ucho, lewy bark, lewe ramię i w ogóle lewą część ciała aż do pasa. Lewy policzek został równiutko ciachnięty, co odsłoniło kości i zęby pod spodem. Czerwona Gwiazda wytrzeszczała oczy, nie wiem, jak mogła iść. Z oddali, pomiędzy drzew, dobiegały odgłosy wybuchów. I wtedy usłyszeliśmy gdzieś w dżungli potworny skowyt, ten piekielny dźwięk wydawany, jak sądzę, przez błękitnego olbrzyma. Nigdzie nie było go widać, lecz ów skowyt rozbrzmiewał całkiem blisko, może ledwie kilkaset metrów dalej. Świdrował w uszach, świdrował w materii. Zakrzywił czas i przestrzeń. I nagle z wysoka spadła błyskawica, identyczna jak te, które trafiły Christiana i Noboru. Spowiła Czerwoną Gwiazdę złotawą mgiełką, tak świetlistą, że aż bolało, a następnie płomieniami. Czerwonymi płomieniami, które szalały, jakby podsycane dziesiątkami potężnych miechów. Na moment twarz Czerwonej Gwiazdy, pochłaniana już przez ogień, nabrała niezwykłego piękna. Jej niebieskie oczy popatrzyły na nas z czułym zaskoczeniem, a na jej wargach wykwitł uśmiech. Zupełnie jakby niespodziewanie odmłodziła, jakby znów stała się tą kobietą co kiedyś: młodą matką trojga dzieci, mieszkającą wraz z nimi w gospodarstwie, w które pewnej nocy uderzył piorun, podpalając przyległą do domu szopę i sprawiając, że trójka dzieci udusiła się od dymu. Przez sekundę widzieliśmy ją taką, jaka naprawdę była; jaka była dawniej. Później runęła na ziemię i, ciągle płonąc, potoczyła się po liściach. Nawet nie krzyknęła. Już nie żyła. Wade i Joseph podbiegli do niej, może pragnąc jej jeszcze pomóc, ale było za późno. Ciało Czerwonej Gwiazdy zamieniło się w czarną, zwęgloną masę, gdzieś tam jarzącą się błękitem. Nigdy nie widziałem, by coś spaliło się tak szybko i tak zupełnie. Te dymiące resztki przed nami przypominały zwłoki, które napotkaliśmy w dolinie błękitnego olbrzyma, idąc w tę stronę. Nie wyglądały nawet jak zwęglone zwłoki, lecz jak stopiona od gorąca materia. A zatem mieliśmy przed sobą kolejną ofiarę błękitnego olbrzyma i ciskanych przez niego gromów. Czy tak zginęli także pozostali partyzanci? Czy to przed błękitnym olbrzymem chcieli się bronić swoimi karabinami? Czy to jego pragnęli zniszczyć za pomocą granatników i rakiety Mistral ziemia–powietrze?

Dwa dni trwało, zanim dostaliśmy się na wybrzeże i, w końcu, do osady, nad lagunę u ujścia rzeki, gdzie czuliśmy się teraz jak w domu. Nasi towarzysze przyjęli nas ze zdumieniem i płaczem, albowiem wyglądaliśmy

wszyscy okropnie. Byliśmy wychudli, wyczerpani, straszliwie brudni, pogryzieni przez owady i pijawki, pozarażani przez partyzantów pokrzywką i parchem, ja zaś majaczyłem w gorączce, wyciągnięty na zdezelowanych noszach, z kikutem lewej nogi owiniętym starymi, przesiąkniętymi krwią i ropą łachami.

Mimo wszystko cieszyłem się, że maligna zwalnia mnie z obowiązku zmierzenia się twarzą w twarz z rodzicami zaginionych dzieci. Z Lizzie, naszą małą Lizzie, z Bruce'em i Glorią Griffinami, z matką i ojcem Adele i Estelle, którzy dopytywali się, czy widzieliśmy ich pociechy, czy coś wiemy, jak się czują i czy w ogóle żyją. Bo przecież, ku swojemu wielkiemu wstydowi, wróciliśmy pokonani i wyprowadzeni w pole, bez dzieci i broni, a za to z samymi fatalnymi wieściami.

Moja rekonwalescencja

Po niemal tygodniu spędzonym w „szpitalu”, pośród majaków, stwierdziłem, że moja rana w końcu zaczyna się zablizniać. Tamtych pierwszych dni prawie nie pamiętam. Dostawałem środki uśmierzające ból, zdaje się, że morfinę, i zapadałem się w halucynacje. Nie wiem, skąd wzięła się ta morfina. Najprawdopodobniej Jimmy Bruëll dysponował jakimś zapasem, pewnie znalazł ją jeszcze w zabranych z samolotu bagażach. Przeżyłem wtedy wiele rzeczy, co do których nigdy się nie dowiem, czy były rzeczywistością czy złudą. Widywałem najróżniejsze istoty – niektóre przerażające, a inne piękne i świetliste. Jedne mówiły do mnie, pozostałe jedynie patrzyły na mnie z uśmiechem. Pewnego dnia zobaczyłem Josepha i Sophie, jak się całowali, i uznałem, że to również halucynacja. Byli tuż obok, za przepierzeniem. Ona miała na sobie tylko bieliznę, majtki i stanik, Joseph obejmował ją i całowali się w usta, w szyję... Zapewne myśleli, że śpię. Przypuszczam, że spałem w tamtym okresie przez większość czasu. Później położyli się na łóżku nieopodal i słyszałem, że się kochają. Boże mój, musieli być bardzo zdesperowani albo bardzo zakochani, bo prywatności nie mieli tam żadnej. Poza tym w każdej chwili mógł się ktoś zjawić. Pół godziny później Sophie wyszła z za przepierzenia, zapinając stanik. Joseph pojawił się tuż za nią. Nasze oczy się spotkały, a ona uśmiechnęła się, kładąc sobie palec na ustach. Odwróciłem się, żeby nie patrzeć, jak kończy się ubierać, gdyż znienacka zrozumiałem, że to wcale nie majaki.

Później zagadnąłem o to doktora, on zaś zawstydził się niczym nastolatek. Przepraszał mnie z tysiąc razy.

– Mną się nie przejmuj – powiedziałem. – Co najwyżej trochę ci zazdrościłem, nic ponadto.

– Sophie i ja... – zaczął. Ale nie wiedział, jak skończyć.

– Od jak dawna?

– Prawie od początku – wyznał ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, jako że kiedyś wydawało mi się, że pociąga go Gwen. – Ta sytuacja dobija nas oboje. Sophie ma męża i dwóch synów. Ja także jestem żonaty, przynajmniej teoretycznie. Tyle że oni z mężem od dawna się nie dogadują, ja od dłuższego czasu nie mieszkam z żoną. Zostawiła mnie dla kardiologa. Brzmi jak kiepski żart, co? No a Sophie... Cóż, mąż nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Ona na niego też nie. Przestali się kochać. To się chyba zdarza. Mnie się nigdy nie zdarzyło, ale widzę, że innym się zdarza. Ludzie przestają się kochać. No i trafiliśmy tutaj, na tę przeklętą wyspę, oboje samotni. Popatrzyliśmy na siebie pierwszego dnia, zaraz po wypadku, i chyba było coś już w tym pierwszym spojrzeniu. Sophie spytała: „Co mogę zrobić?”. I zaczęła mi pomagać przy rannych. Podobnie jak Josephine, Violeta i Jean Jani, od samego początku. Spytałem, czy są pielęgniarkami, czy mają jakieś doświadczenie, i okazało się, że poza Violetą – nie. Zdziwiał mnie ich dzielność. Bez wahania babrały się w żywym mięsie i we krwi. Mówiłem im: trzeba to zaszyć, a one szyły, zaciskając zęby. Sądziłem, że nie wytrzymają, ale wytrzymały.

– Mnie też to zdziwiał – przyznałem. – W tamtych pierwszych dniach nie chciałem się w ogóle do was zbliżać. Wszędzie śmierdziało śmiercią.

– Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłem – podjął Joseph. – Pośród całego tego koszmaru, kiedy człowiek już myślał, że nie ma w nim miejsca na nic poza ratowaniem ludzi, przewożeniem rannych na brzeg, niesieniem pomocy, towarzyszeniem umierającym, łagodzeniem bólu... Pośród tego wszystkiego zjawiała się ona. Spojrzeliśmy na siebie. Spytała: „Co mogę zrobić?”. Patrzyła na mnie tak, jak jeszcze nikt nigdy nie patrzył. Boże, John! Czuleś się tak kiedyś? Czuleś, że ktoś spogląda na ciebie i wie, kim jesteś, bez potrzeby tłumaczenia tego, i że ty wiesz, kim jest ta osoba, patrzysz na nią i widzisz ją tak, jak nigdy nikogo nie widziałeś? Zupełnie jakbyś zawsze oglądał tylko zewnątrz: twarz, oczy, ciało i jakbyś nagle, patrząc na tę kobietę, którą widzisz po raz pierwszy, dostrzegł w niej wreszcie osobę. Czuleś kiedyś coś takiego? Zaraz dołączyła do nas Josephine, później inne. Tamtej nocy żadne z nas nie spało. Potem Sophie poszła się zająć mężem i synami. On był chyba w stanie szoku i nawet ich nie napił. Szlag. Potem wróciła. Zawsze uśmiechnięta, zawsze energiczna. A ja wyczuwałem niebezpieczeństwo. Co się dzieje, Joe, pytałem samego siebie, nastawiając złamane kości, zszywając rany. Zakochujesz się w tej kobiecie, którą dopiero co poznałeś? Akurat tutaj, akurat teraz? Wtedy wszyscy żyliśmy

w przekonaniu, że lada moment zjawi się pomoc. Że nie spędzimy na tej wyspie ani jednej nocy więcej. I co? Oboje jesteśmy z Los Angeles. Pomyślałem, że po powrocie chciałbym się z nią spotkać. Pomyślałem, że mi się podoba, że chciałbym być jej przyjacielem i takie tam głupstwa, jakie człowiek mówi sobie, gdy spotyka kobietę, której nie może mieć albo sądzi, że nie może. Mijały dni. Wiedziałem, jak na nią spoglądam, i wiedziałem, że ona wie, jak się czuję. My, mężczyźni, jesteśmy chyba dla kobiet całkiem przejrzysti. Sophie nic robiła, tylko na mnie patrzyła. Patrzyła na mnie z uśmiechem i dzięki temu uśmiechowi wiedziałem, że ona wie. Pewnie podobał jej się mój zachwyty, choć nie chciała mnie ośmielać. Ani też onieśmielać. Po prostu mi się przyglądała, czując, że jej się podobam, i pozwalała się unosić prądowi zdarzeń.

– Tak, to cudowne po prostu móc się na niego zdać.

– Nic nie mówić, niczego nie próbować, bo wszystko się dzieje samo z siebie i nadaje rzeczom sens, chociaż żadna z dwóch zaangażowanych w to osób nie musi nic robić – ciągnął Joseph. – Czasem życie jest i takie. Ale rzadko. Poza tym w tamtych dniach tyle było spraw, tyle kłopotów. Nie sypiałem całymi dobami.

– Myślę, że wszyscy wiemy, ile ci zawdzięczamy, doktorze – powiedziałem. – Nikt z nas nigdy tego nie zapomni.

– To moja praca – odparł. – Tak czy owak poznałem synów i męża Sophie. Sebastian i Carl to wyjątkowe dzieci. Zrozumiałem, że Sophie jest nimi zafascynowana, że poświęciła im całe swoje życie. Prawie przerażała mnie istniejąca między nimi trojgiem więź. Mąż natomiast wydał mi się dziwnym typem. Nadal mi się taki wydaje. To człowiek oderwany od rzeczywistości, skupiony na swoich problemach. Czasami odnoszę wrażenie, że od rana do wieczora zastanawia się nad swoimi projektami, budowlami, dziełami i tak naprawdę wcale go tu nie ma. Sophie powiedziała, że jego zawód go zżera.

Znajdowaliśmy się we dwóch w „szpitalu” – ja leżałem na jednym z łóżek, Joseph zaś siedział u moich stóp. Czuję się lepiej. Ciekawiła mnie ta opowieść, rozmowa sprawiała mi przyjemność. To było jak odprysk zwyczajnego życia. Mgliste wspomnienie normalności.

– John, skąd wiadomo, czy to, co czujesz, to miłość? – rzucił wtedy Joseph.

Zastanawiałem się przez chwilę i odrzekłem:

– Stąd, że pragniesz, by ta druga osoba była szczęśliwa, nawet jeśli ty nie będziesz.

Zadumał się na moment. Dziwne, że ktoś pyta zmysłowego kocura, czym jest miłość. Ale kocur to wie. Wie, bo to miał i to stracił. Och tak, stracił. Ale wie.

– No i pewnego dnia to się po prostu stało – mówił dalej Joseph. – Całkiem spontanicznie. Siedzieliśmy we dwoje na plaży, pałac i kontemplując zmierzch. Po długim dniu pracy. Musiałem przeprowadzić w tych okropnych warunkach, jakie tutaj mamy, kolejną operację, w wyniku której straciłem pacjenta. Milczeliśmy oboje, bardzo zmęczeni. Nagle Sophie pyta: jesteś żonaty, prawda? Odpowiadam: teoretycznie tak, ale żona mnie zostawiła. Niedawno? Trzy lata temu. Rozumiem, mówi ona. Ale rana pozostaje otwarta. Nie, już się zabił, protestuję. Wtedy Sophie rzuca: mój mąż i ja nie rozwodzimy się ze względu na dzieci. Od trzech lat spiamy osobno. Od trzech lat? Ale, dodaję, rana pozostaje otwarta. Sophie śmieje się i zaprzecza: nie, nie ma żadnej rany. Nigdy nie było. Były raczej smutek i frustracja. Poczucie klęski i pustki. Wrażenie, że twoje życie zmierza donikąd. Że jedyne, co masz, to swoje dzieci, dzieci bez wątpienia udane. Tyle że one kiedyś dorosną i wyfruną z gniazda. I co wtedy? Powiedziałem, że jej zazdroszczę, bo czuję się podobnie, ale nie mam dzieci, które zapewniłyby mi choć trochę pociechy. Paliliśmy dalej w milczeniu. Potem Sophie znów się odezwała: zawsze chciałam być idealna. To poważny problem. Nikt nie powinien być idealny ani nawet do tego dążyć. Ale ja zawsze pragnęłam być idealną matką, idealną pracownicą, idealną żoną i kochanką, idealną córką i przyjaciółką... A kobiety idealne kończą same. Nikt z nimi nie wytrzymuje. Cóż, mruknąłem, mnie się nie wydajesz aż tak idealna. Jedno oko masz trochę większe niż drugie. I piersi, jak na swój wzrost, masz małe. Parsknęła śmiechem. Nie, serio, dodałem, bardzo mi się podobasz. Przecież wiem, odrzekła. Podniosła się i powiedziała: chodźmy. Dokąd? – spytałem jak idiota. Kochać się. Boże, szepnąłem. Nie chcesz? Jasne, że chcę. Wy, mężczyźni, jesteście czasem tak beznadziejni. Ile jeszcze mamy czekać? Nie wiem, myślałem, że... Gdy wrócimy do Stanów, zaproponowała, oboje się rozwiedziemy, co ty na to? Nie zastanawiałeś się nad tym? Jasne, że się zastanawiałem. Szliśmy za rękę, w kierunku drzew, szukając ukrytego przed wzrokiem innych miejsca. Nie musimy mieszkać razem, jeśli nie chcesz, powiedziała Sophie. Ale zamieszkamy niedaleko siebie. Możemy od tego zacząć, odparłem, a potem wziąć ślub. Tak, za parę lat. Dzieci muszą przywyknąć. Bardzo mi się podoba w Santa Monica, rzuciłem. Santa Monica jest w porządku, zgodziła się Sophie.

Lubię to miasto. A wciąż się nawet nie pocałowaliśmy! Szliśmy za rękę, rozmawiając o wspólnej przyszłości. Ale zaraz zaczęliśmy się całować. I długo nie przestaliśmy.

– Nadzwyczajne.

– Tak.

– Bardzo tęsknię za zwyczajnym życiem – oświadczyłem. – Za tym, żeby siedzieć tak, jak teraz siedzimy, ale w kawiarnianym ogródku, przy zimnym piwie. Rozmawiając jak ludzie. Jak przyjaciele.

– W zwyczajnym życiu nie nigdy nie zostalibyśmy przyjaciółmi – zauważył Joseph.

– Czemu nie?

– Ja nie mam czasu na przyjaciół. Cały dzień pracuję w szpitalu. To znaczy: pracowałem – dodał, patrząc przez okienko w bambusowej ścianie i mrużąc oczy przed wpadającym przez nie blaskiem. – Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostaniemy, jeśli wrócimy kiedyś do Stanów, wszystko w swoim życiu zmienię. Wiesz, dlaczego żona mnie zostawiła? Bo miałem obsesję na punkcie swojej pracy. Bo się prawie nie widywaliśmy. Dnie spędzaliśmy osobno, a wieczorami byliśmy zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Jedliśmy kolację, oglądaliśmy jakiś film i zasypialiśmy. Nawet się nie kochaliśmy. Co to w ogóle za życie?

Mam halucynacje. Wizyta Rosany

W tamtych dniach odwiedzało mnie sporo ludzi. Moja historia się rozniosła. Nietrudno zdobyć sławę w tak nielicznej społeczności.

Moje halucynacje trwały. Przestałem brać leki przeciwbólowe, ale niewiele to zmieniło. Niekiedy widywałem czarnego kota o wspaniałej, lśniącej sierści, wślizgującego się do „szpitala”: przez chwilę z powagą przyczesywał sobie swoje białe wąsy i znikał tam, skąd przyszedł. Wiedziałem, że na wyspie nie ma żadnych kotów i że ten też istnieje wyłącznie w mojej wyobraźni. Wiedziałem, że niemożliwe, by taki piękny kot kręcił się w pobliżu i by nigdy nie doszły mnie o nim słuchy. To nie był żaden tam dachowiec, jeśli można się tak wyrazić, tylko dobrze odżywiony, zadbany kocur domowy. Jego czarna sierść lśniła jak aksamit, a ja zdawałem sobie sprawę, że to wytwór mojej wyobraźni. Śniłem też o Rosanie. Śniłem o niej często.

Powoli wracałem do zdrowia. Kikut dobrze się goił. Ale halucynacje nie ustawały. Czasami zaglądał do mnie bardzo nieprzyjemny człowiek w czarnym kombinezonie ze spiczastymi uszami kota i ogonem pełnym trocin. Był niski, brzuchaty i spocony, i niezwykle śmieszny w tym swoim zmechaconym kocim kostiumie wytartym na łokciach i kolanach. Kiedy się pojawiał, odwracałem się i zamykałem oczy. Przerazał mnie, sam nie wiem dlaczego. Zawsze obficie się pocił i wykonywał dziwne gesty, jakby gdyby zapraszał mnie do wyjścia na zewnątrz albo chciał, żebym podążył za nim.

Pewnego dnia przyszedł do mnie człowiek w obszernej ludowej koszuli i luźnych spodniach, bardzo wysoki, całkiem łysy, z wąsikami tak jasnymi, że prawie niewidocznymi. Zbliżył się sztywno i oznajmił, że nazywa się Anton Bruckner. Bruckner, ten słynny austriacki kompozytor! Wyglądał dokładnie tak samo jak na fotografiach. Podaliśmy sobie ręce, po czym zaproponowałem mu, by usiadł, a on, rozejrzawszy się niepewnie dookoła, wziął drewniany stołek,

ustawił go obok łóżka i spoczął.

– Herr Bruckner – powiedziałem. – Zawsze kochałem pańską muzykę.

– Bardzo pan łaskaw. Zapewne również jest pan muzykiem?

– Tak. Kompozytorem – przyznałem. – Ale nie odniosłem sukcesu.

– Proszę się nie przejmować – mruknął. – Muzyka nie ma nic wspólnego z sukcesem czy aplauzami. Chociaż wszyscy je lubimy.

– Oczywiście, muzyka to coś innego – przytaknąłem. – Ale jak można komponować, skoro nie zyskuje się żadnego uznania? Jak można komponować, gdy człowiek traci wiarę we własne zdolności?

– Musi pan zrozumieć, czym muzyka jest naprawdę. Wtedy pragnienie poklasku nie będzie rządzić pańskim życiem.

Mówił dziwną angielszczyzną, z mocnym akcentem, niby niemieckim, ale nie do końca. Nie wiedziałem, że włada językiem Szekspira, chociaż, owszem, pamiętałem, że był w Anglii dobrze przyjmowany i zawsze darzył ten kraj sympatią, jak również – że kilkakrotnie próbował wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Rozumiałem też jednak, że osoba siedząca przy moim łóżku to wcale nie on, lecz jakiś wytwór mojej fantazji.

– Więc proszę mi zdradzić, herr Bruckner, czym naprawdę jest muzyka?

– Jeśli to panu powiem, uniemożliwię panu odkrycie tego na własną rękę. A to by nie było dobrze. Niewykluczone bowiem, że przybył pan w to miejsce jedynie w tym celu.

– Czy rzeczywiście jest pan Antonem Brucknerem?

Wyjął z kieszeni papierową torebkę z czereśniami i zaczął jeść. Poczęstował mnie nawet. Owoce były bardzo czerwone i wyglądały przepysznie. Niemniej bałem się żywności ze świata snów i odmówiłem.

– Muzyka to sposób wysławiania Boga – rzuciłem. – Taka jest pana opinia?

Lekko zmarszczył brwi. Wypluł na ziemię kilka pestek i znów upchnął torebkę z czereśniami do kieszeni swojej ludowej koszuli.

– Bóg to słowo powtarzane dzieciom – odrzekł, wycierając usta wierzchem ręki. – Tutaj go nie używamy.

– Zawsze był pan dobrym katolikiem, człowiekiem wierzącym.

– Istotnie. Ale to nie ocaliło mnie przed nieszczęściem. Zawsze byłem nieszczęśliwy, panie Barbarin. Przez całe życie, od dzieciństwa, byłem nieszczęśliwy i samotny. Nikt mnie nigdy nie kochał. Nigdy nie zdobyłem szczerego przyjaciela ani uczucia kobiety. Myśli pan, że to łatwo tak przeżyć życie?

– Proszę powiedzieć: czym naprawdę jest muzyka?

– Muzyka ma wymiar ludzki i wymiar pozaludzki – oświadczył Bruckner. – Odzwierciedla w całej jego złożoności i człowieka, i kosmos, i związek między nimi. Odzwierciedla to, co rozumiemy w istocie ludzkiej, i to, czego nie rozumiemy. Całość rzeczywistości. Całość duszy i całość świata. Oraz połączenie istniejące między duszą człowieka a duszą świata.

Milczałem, myśląc sobie, że prawdziwy Bruckner nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

– Pan nie jest Brucknerem – stwierdziłem w końcu. – Pan jest wytworem mojej wyobraźni i mówi to, co ja uważam albo mógłbym uważać.

Kiedy wyszedł, popadłem w długie zamyślenie. Później dostrzegłem, że na ziemi obok leżą trzy pestki czereśni. Sięgnąłem po nie, schowałem je pod poduszkę i postanowiłem się przespać. Byłem przekonany, że gdy się obudzę, już ich nie będzie, ale się pomyliłem. Wszystkie trzy znajdowały się tam, gdzie je ukryłem, i jeszcze dziś, spisując te wspomnienia, mam je u siebie.

Sądziłem, że niedawne traumatyczne doświadczenia zahamowały mój popęd seksualny i że oto zaczyna się dla mnie starość, jednakże pierwsza wizyta, jaką złożyła mi Rosana, wykazała, że byłem w błędzie. Usłyszałem jej głos na zewnątrz, zrozumiałem, że przyszła do mnie, i po raz pierwszy od długiego czasu uświadomiłem sobie, że nie wyglądam korzystnie i że przydałyby mi się grzebień oraz lustro. Rozsunęła kolorową zasłonę i już przy mnie stała. Jak się miewamy, Juanie Barbarín? – spytała. Uniosłem palce prawej dłoni w geście pozdrowienia, jakbym czuł się znacznie słabszy, niż się czułem. Rosana usiadła na moim łóżku z poufałością, która sprawiła mi przyjemność. Ubrana była w białe spodnie i jedną ze swoich półprzezroczystych bluzek. Nie wiem, ile ich wiozła w bagażu podręcznym albo ile zdołała odzyskać z luku (wydaje mi się, że należała do grona nielicznych szczęśliwców, którzy dostali z powrotem wszystkie swoje walizki), lecz faktem pozostaje, że ilekroć ją widziałem, zdawała się mieć na sobie nową. Jej biały stanik prześwitywał spod kwiecistego wzoru: dwie idealne miseczki w rozmiarze D. Powiedziałem, że podoba mi się ten stanik, jako że trudno mi było go nie skomentować, ona zaś roześmiała się i wyjęła szminkę, którą zawsze nosiła przy sobie, żeby pociągnąć nią wargi.

Ta szminka stanowiła coś w rodzaju jej amuletu. Podobało mi się, jak wyjmowała z za stanika ten błyszczący, złoty przedmiot (zazwyczaj trzymała go w rowku między piersiami, przez niektóre kobiety uważanym chyba za

wygodny schowek na drobiazgi), zdejmowała nakrętkę, zręcznym, kolistym ruchem palców wysuwała sztyft i przytykała do swoich małych, mięsistych warg ten jaskrawoczerwony bolec, który wyrastał niby mikroskopijny purpurowy penis, będąc w rzeczywistości mieszanką pszczelego wosku, polimerów nadających mu tę tak mnie pociągającą błyszczącą śliskość, pochodnych lanoliny zapewniających odpowiednią lepkość, sztucznych pigmentów, glinki kaolinowej, nawilżaczy i olejku z geranium o niezwykle charakterystycznym zapachu. Sądzę, że wiedziała, jak bardzo podobają mi się te jej czerwone, zmysłowe usta, i przy każdej okazji, nie przestając mówić, poprawiała przy mnie makijaż. Mój mały przyjaciel z dołu i tym razem zareagował niezawodnie. Wysyłał gorące sygnały wzdłuż kręgosłupa ku szyi i wzdłuż nóg aż ku stopie. Budził się jak śpiąca dotąd królowna.

– O co chodzi, Juanie Barbarín? – spytała Rosana, z niewinną miną chowając szminkę na dawne miejsce. – Czemu się śmiejesz?

– Bo kocur nie został unieszkodliwiony – odrzekłem.

– Kocur? Jaki kocur?

Nie wdawałem się w wyjaśnienia. Podziękowałem jej za to, że do mnie zajrzała, i spytałem, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej, na co odparła, że owszem, wpadała już wiele razy. Czy tego nie pamiętałem? Poczulem się zbity z tropu. Wiele razy? To jak długo leżałem już w tym „szpitalu”? Nie wiem, powiedziała, a jak ci się zdaje? Zobaczyłem, że zaciska wargi, aby równo rozprowadzić czerwień, i że później otwiera usta, i starannie usuwa opuszką małego palca nadmiar szminki z kącików. Te kobiece gesty zawsze mnie fascynują.

– Długo nie wiedziałem, co się właściwie dzieje – oznajmiłem. – Joseph wyjaśnił mi, że pod wpływem opiatów miałem halucynacje. Dużo śniłem. Nie mogłem przestać nawet na jawie. I śniłem też o tobie.

– O, doprawdy?

– Śniło mi się, że mnie odwiedzałaś. Tak, śniłaś mi się kilkakrotnie.

– Ale ja naprawdę przychodziłam tu nie raz i nie dwa. To nie były sny, to była rzeczywistość.

– Może przychodziłaś, ale ja tego nie pamiętam. Pamiętam jedynie swoje sny.

– Przecież rozmawialiśmy – rzuciła. – Jak możesz tego nie pamiętać? Byłam tutaj przez te dni pięć czy sześć razy, i parokrotnie udało nam się porozmawiać. Czasami spałeś, czasami majaczyłeś, ale czasami byłeś

przytomny. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, że rozmawiałem z tobą w snach – upierałem się. – Ale tylko w snach. Nie na jawie.

– Skąd wiesz, że nie na jawie? Może to się działo naprawdę, a ty myślałeś, że to sen.

Wydawała się rozbawiona i chyba jednocześnie zdenerwowana; zaczęła obgryzać paznokcie. Już wcześniej zauważyłem, że dzieli ten nawyk ze swoją córką, nawet jeśli małą w kółko za to ganiła. Ja to jednak lubiłem, gdyż za sprawą tej dziecinnej manii sprawiała wrażenie młodszej i dostępniejszej. I nagle poczułem, że nie tylko mój przebudzony penis daje mi tę wszechogarniającą przyjemność, której doznawałem. Chodziło też o rozmowę, o zwyczajne przebywanie w bliskości Rosany.

– Umiem odróżnić sen od jawy – powiedziałem, patrząc jej w oczy. – I wiem, że to, co się w tych moich snach działo, z pewnością nie zdarzyło się na jawie.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że takie rzeczy, niestety, nie zdarzają się na jawie zbyt często.

– Przerażasz mnie – rzuciła.

– Chcesz, żebym ci opowiedział, co to było?

– Wolę nie.

– Jeden przykład – zaproponowałem. – Śniło mi się, że leżę tutaj, w tym łóżku. Był wieczór. Poznawałem to po odgłosach dobiegających z zewnątrz. Był wieczór, zbliżał się zachód słońca, ale tu panowała jasność. Wtedy zjawiała się ty, usiadłaś na moim łóżku, mniej więcej tak jak teraz, ze złączonymi kolanami i łokciami wspartymi o kolana. I zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałaś mi, że w waszej jogińskiej grupce pojawiły się problemy, ponieważ należy do niej wielu restrykcyjnych wegetarian, którzy zdradzają coraz poważniejsze objawy niedożywienia, jako że na wyspie trudno utrzymać taką dietę. Mówiłaś, że jedzą niemal wyłącznie kokosy, owoce chlebowca, mango i noni i popadają w anemię.

– Ale tak było – przerwała mi ze śmiechem Rosana. – To ci się wcale nie przyśniło.

– Nie? – spytałem zmieszany.

– Jasne, że nie. Ty wtedy powiedziałaś, że... Pamiętasz, co wtedy powiedziałaś, prawda?

– Co?

– Że to niewolnictwo. Że od kiedy przybyliśmy na tę wyspę, nie myślisz o niczym innym. Że każdy, kto w coś wierzy, cokolwiek by to było, staje się niewolnikiem swoich przekonań. Ale ten, kto nie wierzy w nic, też nie jest szczęśliwy. Że obserwujesz to od początku naszego tutaj pobytu. Że tego się nauczyłeś. I powiedziałeś też coś na temat Wade’a, coś, czego nie zrozumiałam. Że Wade twierdzi, jakoby ta wyspa próbowała nas czegoś nauczyć. Wyrażałeś się tak, jakby chodziło o myślącą istotę. Istotę obdarzoną świadomością i wolą. To, owszem, przypisałam wtedy gorączce, Juanie Barbarín. Czasami wydawało mi się, że faktycznie jakbyś trochę... stracił kontakt z rzeczywistością... Powiedziałeś: część z nas przybyła tu płacić, a część odbierać to, co im się należy. Wade odzyskał swoje nogi, a ja jedną straciłem. Co miałeś na myśli? Co to znaczy, że Wade odzyskał nogi?

– Wy tłumaczę ci kiedy indziej – mruknąłem, marszcząc brwi. – Naprawdę mówiłem wszystkie te rzeczy?

– Nie pamiętasz?

– Nie.

– Mówiłeś bez przerwy – ciągnęła Rosana. – Byłeś bardzo pobudzony. Strasznie rozgorączkowany. Oświadczyłeś, że problem moich przyjaciół z jogi polega na tym, że się pomylili. Że nie rozumieją tej wyspy. Twierdziłeś, że ona chce każdemu z nas pokazać jego ścieżkę i robi to na rozmaite sposoby: czasem łagodnie, za pomocą różnych gierek, cudów, widowisk, latających spodków i błękitnych olbrzymów, a kiedy indziej okrutnie, krwawo, tak jak to się stało z tobą. Nie da się tu natomiast kultywować dawnych przekonań i pozostawać w stanie dotychczasowego niewolnictwa.

– Tak twierdziłem?

– To było bardzo interesujące – dodała Rosana, teraz ogryzając sobie skórki. – Słuchałam cię jak zaczarowana. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, że odbyliśmy taką rozmowę w moim śnie.

– Może po prostu wszystko ci się miesza – zasugerowała.

– Zrobisz coś dla mnie?

– A co? – Wyraźnie się przestraszyła. – Co mam zrobić?

– Nie bój się – uspokoilem ją, rozbawiony jej popłochem. – Czy mogłabyś nie ogryzać sobie skórek? To mnie denerwuje.

– Tak, przepraszam. – Natychmiast odsunęła palce od ust.

– Nie robisz sobie w ten sposób krzywdy?

– Tak, czasami leci mi krew i wdaje się zakażenie. Tyle że jak raz

zaczniez, to nie mozesz przestac.

– To dlatego, że rzuciłaś palenie? Dlatego jesteś taka nerwowa?

– Nie, ja nigdy nie paliłam – powiedziała Rosana. – Powiedz, co jeszcze pamiętasz z tamtego snu.

– A tak – zmarszczyłam czoło, usiłując przypomnieć sobie więcej. – Poczekaj. No więc rozmawialiśmy o problemach żywieniowych twoich przyjaciół. Mówiłaś, że część z nich odmawia przyjmowania jakichkolwiek pokarmów odzwierzęcych i że obawiasz się, że w końcu zachorują, zresztą sama zarzuciłaś dietę wegetariańską zaraz po katastrofie i teraz jesz wszystko. Podobnie jak twoja córka. I dlatego niektórzy krzywo na ciebie patrzą.

– Nie, to nieprawda – zaprzeczyła. – U nas z takich powodów nikt krzywo na nikogo nie patrzy. Ale, owszem, jest coś takiego... jakbyś był wyjątkowo niedoskonały... I wstydziłabym się, gdyby Dharma wiedział, że jem ryby i owoce morza, a nawet mięso jaszczurek i małp. Nie żeby coś mi wprost powiedział. Ale to dla niego takie ważne... Niemal najważniejsze. Dieta, znaczy. Ja zawsze uważałam, że dieta się liczy, ale żeby aż tak...? Najbardziej ze wszystkiego? I to jeszcze w tych okolicznościach! A ty, Juanie Barbarín, powtarzałaś mi: niewolnictwo, niewolnictwo. Raz za razem. Mówiłaś o systemach wierzeń, że każdy z nas jest w jakimś zamknięty. Powiedziłaś, że kiedy siedzieliście uwięzieni w tamtym kompleksie świątynnym, w dżungli, jak was złapali ci...

– Partyzanci, tak.

– No więc powiedziłaś, że siedząc tam w jakimś cuchnącym, ciemnym pomieszczeniu, skuty jak inni łańcuchami, pewnej nocy doznałaś objawienia. Opowiadałaś, że to było okropne miejsce, śmierdzące odchodami, śmiercią, zgniłym mięsem. I że myśleliście nawet, że ci partyzanci to kanibale i że wciąż się baliście, że w końcu was zjedzą.

– Tak.

– Powiedziłaś, że to wtedy doznałaś objawienia: uświadomiłaś sobie mianowicie, że każdy z nas przez całe życie buduje jakąś świątynię. Tak jak Wade, prawda? Bo to miało coś wspólnego z Wade'em.

– Tak – potwierdziłam. Przymknąłem oczy i pogrążyłem się znowu we wspomnieniu tamtych straszliwych nocy i tamtego przerażającego, wstrętnego miejsca. – Wade spędził wiele lat, wznosząc świątynie gdzieś w Connecticut. Nie wiem, ile dokładnie czasu się tym zajmował. Ale to właśnie te świątynie go zniszczyły. Doprowadziły go do ruiny i... Cóż, pewnie kiedyś opowie wam

wszystkim swoją historię. No i tamten położony w dżungli hinduistyczny kompleks świątynny, gdzie ukrywali się partyzanci, był, jak rozumiałem, identyczny jak to, co Wade wznosił kiedyś na prowincji w Stanach. Zupełnie jakby chodziło o *te same* świątynie. Albo jakby Wade zobaczył ten kompleks w dżungli we śnie i odtworzył go w Connecticut, kolumna po kolumnie i wieża po wieży.

– I wtedy doznałeś objawienia – podjęła Rosana. – Powiedziałeś mi, że człowiek spędza całe życie na wznoszeniu takiej świątyni. Każdy na cześć czegoś innego: boga, pracy, seksu, czasem współmałżonka, partii politycznej, czegokolwiek. Kiedy kończy budowę, wstawia do środka bożka. I sam tam wchodzi, żeby go czcić, i zostaje zamknięty na zawsze: w łańcuchach, w ciemności, w swojej ukochanej świątyni, razem ze swoim ukochanym bogiem. Na zawsze.

– Hm.

– To wywarło na mnie ogromne wrażenie – wyznała Rosana. – Dało mi do myślenia. Mówiłeś wtedy o mormonach zamkniętych w swoim mormońskim Kościele. O Brendzie Esquivias, zamkniętej w Ciudad Juárez. O Joaquinie, zamkniętym w swoich teoriach spiskowych. O Tudellim i Hansie, zamkniętych w fanatycznym katolicyzmie. O ich niewolnictwie. I powiedziałeś, że ta wyspa chce, byśmy odzyskali wolność. Że do nas mówi, chce, byśmy ją zrozumieli, albowiem *przybyliśmy tu, by się narodzić*.

– Tak powiedziałem?

– Owszem. Nie pamiętasz?

– Pamiętam.

– Czyli pamiętasz wszystko.

– Raczej wszystko mi się miesza. Joseph mówił, że długo miałem bardzo wysoką gorączkę, a to sprzyja halucynacjom. Teraz rozumiem, że wszystko mi się wymieszało. Przez cały ten czas widywałem na przykład kota. Czarnego kota.

– Kota? – zaśmiała się Rosana.

– Powiedz mi jedno: na tej wyspie nie ma żadnych kotów, prawda?

– O ile wiem, to nie.

– Nikt nie wiozł kota samolotem.

– Żadnego tutaj nie widziałam.

– I o żadnym nie słyszałaś. Ale na wyspie, gdzie włóczą się watahy wilków, równie dobrze może się pojawić kot, czyż nie?

- Brzmi logicznie – przytaknęła Rosana ze śmiechem.
- No i ja przez te wszystkie dni jednego widywałem.
- Gdzie? Tutaj?
- Tak. Wślizgiwał się do środka, łąził w kółko, obwąchiwał przedmioty. Niekiedy przysiadł na moment i na mnie patrzył. Później sobie szedł.
- Rozmawiałaś o tym z Josephem i z pielęgniarkami?
- Nie – odrzekłem. – Mówię tylko tobie. Nikomu innemu nie powiedziałem, bo nie chcę zostać uznany za wariata. Przecież wiem, że ten kot nie istnieje.
- Może ten kot od początku tu był, a myśmy się nie zorientowali – śmiała się dalej Rosana. – Może był tu przed nami. Może dowiadujemy się o nim ostatni, a wszyscy pozostali dobrze go znają i nawet nadali mu imię...
- Nasza rozmowa sprawiała mi naprawdę ogromną przyjemność. Od jak dawna nie rozmawiałem w ten sposób: niczego od nikogo nie chcąc, nie próbując nikogo do niczego przekonać?
- Nie sądzę, żeby jakiś kot rzeczywiście się tu kręcił – oświadczyłem. – Nie sądzę, by zabłąkał się na wyspę i do nas.
- Czemu?
- Bo gdyby się zabłąkał, zraz by go ktoś zjadł, nie uważasz?
- Rosana odwróciła wzrok i znów zaczęła obgryzać skórki.
- Cholewka, Juanie Barbarín – szepnęła. – Ależ ty masz pomysły!
- Przepraszam – powiedziałem. – Ale nie gryź tych skórek, błagam.
- Opuściła ręce, głęboko westchnęła i spytała:
- Cóż, to wszystko? To są te twoje straszliwe halucynacje? Widziałeś nieistniejącego kota. Okej, w porządku. To jeszcze nie koniec świata.
- Wiem, że ten kot nie istnieje. Jest czarny, bardzo ładny. Rasowy. Widywałem na tej wyspie również inne niewystępujące tu zwierzęta. To dla mnie nic nowego. Ale śniłem też o wielu innych rzeczach. Na przykład o...
- O czym?
- Nieważne. Przecież to tylko zwidy.
- Opowiedz mi o nich, jeśli chcesz. Jeśli cię to uspokaja.
- Przypuszczam, że człowiekowi zawsze zwiduje się to, co w nim siedzi.
- Czy to były okropne rzeczy?
- Tak, czasami okropne. A czasami niby zwyczajne, ale budzące we mnie paniczny lęk. A kiedy indziej znowu przyjemne, wręcz cudowne.
- Opowiesz mi o nich?

– O niektórych jeszcze nie mogę – odparłem. – Uznałabyś mnie za szaleńca. Ale mogę opowiedzieć o tych snach z tobą. Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Proszę, a już myślałam, że o tym zapomniałeś – rzuciła.

– Jeden był bardzo ładny – kusilem. – Naprawdę chętnie ci o nim opowiem.

– Przerażasz mnie, Juanie Barbarín.

– Nie jesteś ciekawa?

– Tak. Nie.

– Tak czy nie?

– Nie.

– Nie?

– Jestem ciekawa, ale tyle z tym robisz ceregieli, że aż się boję.

– Zaufaj mi.

– No dobra, sny to sny. – Rosana się uśmiechnęła. – Zobaczmy, co też w nich ze mną wyrabiałeś.

Nie rozumiałem, czemu się tak przed tym wzbraniała. Brzmiało to nieco sztucznie. Nawet gdyby chodziło o sen erotyczny – to co? Nie pojmowałem tej mieszanki braku zahamowań i zarazem wstydlivosti, jakoś nie układało mi się to w żadną całość. Później jednak zdałem sobie sprawę, co za tym stało.

– Opowiem ci mój ulubiony.

– Sny to sny, ale wierzę, że zachowasz zdrowy rozsądek. – Rosana znowu zaczynała panikować. – Czasem niektórych rzeczy lepiej nie mówić.

– Może masz rację – przyznałem. – Sny to sny. Nic nie znaczą. Dajmy temu spokój.

– Nie, nie, mów – poprosiła.

– Nie będę, skoro nie chcesz.

– Ależ chcę. Mów.

– Naprawdę już nie wiem, czy chcesz czy nie.

– Chcę, chcę.

– To czemu podkreślasz, że niektórych rzeczy lepiej nie mówić?

– Po prostu trochę się boję, co też mogło ci się przyśnić.

– Dobra – rzuciłem. – Przecież obiecałem, że to będzie dobry sen. Mój ulubiony. Nie bój się. Jest naprawdę ładny. Jeden z ładniejszych, jakie w życiu miałem. Może się zarumienisz, ale sądzę, że przeżyjesz.

– Hm – mruknęła Rosana, rumieniąc się po uszy. – Już jestem czerwona.

– Śniło mi się, że przyszłaś tu i usiadłaś mniej więcej tak jak teraz. Rozmawialiśmy o wielu sprawach. O twoich przyjaciółkach z jogi, o ich

problemach żywieniowych. O niewolnictwie. Spytałaś mnie o naszą wyprawę, o to, co widzieliśmy w dżungli. Opowiedziałem ci o partyzantach. O tym, jak się ich baliśmy. Wyznałem, że nigdy się nie spodziewałem, że przeżyję takie rzeczy, jakie przeżywam na tej wyspie. Że wcześniej zdawałem sobie sprawę z okropności świata, lecz nigdy nie sądziłem, że sam ich zaznam. Ujmijmy to tak: myślałem, że *jestem bezpieczny*. Ale teraz już wiem, że nikt nigdy nie jest bezpieczny.

– Biedny Juan Barbarín – powiedziała Rosana.

– Wtedy oświadczyłaś, że jeśli możesz coś dla mnie zrobić, cokolwiek, to żebym cię o to poprosił. Tylko co mogłaś dla mnie zrobić? Już i tak dotrzymywałaś mi towarzystwa. Co jeszcze mogłaś? Przywrócić mi stopę? Zamazać wspomnienie tamtej potwornej nocy...? Nie, to było niemożliwe. Ale powiedziałaś, że mogę na ciebie liczyć. Nawet jakbym chciał ci się po prostu wypłakać. Czasem człowiek potrzebuje się komuś wypłakać.

– Tak powiedziałam?

– Tak. Że czasem człowiek potrzebuje się komuś wypłakać. To ciekawe, bo ja zawsze myślałem, że jak płaczemy, to sami. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że możemy kogoś do tego potrzebować. A ty mówiłaś, że jeśli chcę, by mnie ktoś wysłuchał albo przytulił, jesteś do mojej dyspozycji. Że sama dużo w życiu płakałaś, więc wiesz wszystko o płaczu i łzach. Brzmiałaś bardzo macierzyńsko. To mnie głęboko wzruszało.

– Ja nigdy nie urodziłam dziecka – wtrąciła.

– Wiem.

– Mówiłam to jak przyjaciółka, nie jak matka.

– W każdej kobiecie jest coś z matki – zauważyłem. – Także w siostrach, kochankach, żonach, przyjaciółkach. Nawet w małych dziewczynkach. To nieodłączny element kobiecości.

– Ty uwielbiasz kobiety.

– Zgadłaś.

– Okej, opowiadaj.

– Potem ten mój sen się zmienił – podjąłem. – Powoli zmienił tonację i stał się jakby bardziej mój. Chociaż faktycznie wzruszyłem się prawie do łez. Tak czy owak powiedziałem: tak, przepraszam, ale jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. Jeśli nie masz nic przeciwko. Spytałaś, czego bym sobie życzył. A ja odparłem: chciałbym zobaczyć cię nago. Wytrzeszczyłaś na mnie oczy. Zaskakująca prośba. Może absurdalna, może w złym guście. Więc mówię: nie,

nie całkiem nago. Tylko od pasa w górę. A ty pytasz: teraz? Tak, czemu nie? Tutaj? Tak, pewnie. Ale dlaczego, dociekasz, dlaczego prosisz mnie o coś w tym stylu? W czym ci to pomoże, że zobaczysz mnie nago? Pomoże mi bardziej, niż sobie wyobrażasz, odpowiadam. Przy czym nie chciałbym, żebyś robiła coś wbrew sobie. Wstydzę się, mówisz na to. Bardzo się wstydzę tak się nagle przed tobą rozbierać. Zawsze mnie zaskakuje, jak ktoś *mówi*, że wstydzi się coś zrobić. A nie wstydzi się mówić, że się wstydzi? Tak, rozumiem, odpowiadam. Zapomnij o tym. Wybacz mi. A wtedy ty, kobiecym zwyczajem, nalegasz, by o tym porozmawiać. Kobiety zawsze chcą *o tym rozmawiać*. Nie pojmuję, mówisz, po co ci coś takiego. Dlaczego to dla mężczyzny takie ważne? Widzieć, po prostu widzieć. Trochę skóry, trochę ciała. Cóż, akurat nie czuję się zbyt dobrze, mówię. Nie ośmieliłbym się prosić o nic więcej, zwłaszcza że nie jestem w formie. Poza tym jako dżentelmen nigdy bym nie wykorzystał w ten sposób twojej wspaniałomyślnej propozycji. Powiedziałaś, że mogę cię poprosić o cokolwiek, to poprosiłem o coś stosunkowo prostego, choć dla mnie ważnego. Ale ja nie rozumiem, protestujesz, dlaczego to takie ważne. A słuchanie muzyki, pytam, czy to jest ważne? Albo czytanie wiersza? Wiersza o róży lub o cieniu drzewa. Dlaczego to jest ważne? Bo przecież czasami może być najważniejsze na świecie. Może wręcz uratować ci życie. Więc, pytasz, mam tylko zdjąć ubranie? Bluzkę i stanik? I tyle? Tak, i tyle, potwierdzam.

– Boże mój – jęknęła Rosana.

– Cóż, takie są moje sny – stwierdziłem. – I w tym moim śnie ty nagle zaczynasz rozpinąć bluzkę, zdejmujesz ją i rzucasz obok łóżka. Potem sięgasz za plecy i rozpinasz stanik, zsuwasz ramiączka i rzucasz go na bluzkę. I patrzysz mi w oczy. A ja mówię: dziękuję. I patrzę ci w oczy, i patrzę na twoje piersi, i tak przez chwilę trwamy. Oboje jesteśmy teraz nieco spokojniejsi. Zbliżasz się i pochylasz nad moją twarzą. Mówisz: możesz ich dotknąć, jeśli chcesz. Możesz je pocałować. Dziękuję, powtarzam. Bo musisz wiedzieć, dodaję, choć zapewne już wiesz, że dla mężczyzny nie ma na tym świecie nic piękniejszego niż kobiece piersi. Pytałaś, dlaczego to takie ważne, i oto udzieliłem ci odpowiedzi. Nie istnieje nic piękniejszego.

– I to ma być wytłumaczenie? – spytała Rosana.

– Tak, to ma być wytłumaczenie.

– Że kobiece piersi są czymś najpiękniejszym na świecie.

– Dla mężczyzny tak.

– Coś takiego.

– To ładny sen, prawda? – zagadnąłem. – Mam nadzieję, że nie wywołał w tobie negatywnych uczuć.

– To naprawdę uroczy sen. Dlaczego miałby wywoływać we mnie negatywne uczucia, Juanie Barbarín? Nie bądź niemądry.

– W pewnej książce jest identyczna scena – oznajmiłem. – W *Elisabeth Costello* Coetzeego. Czytałaś? Tam jest bardzo podobna scena. Przypuszczam, że mój sen wziął się właśnie z tej książki. Czytałem ją tuż przed lotem. Dokładnie to pamiętam. Poza tym, wybacz, że o tym wspominał, twoje piersi w moim śnie były olśniewające. Okrągłe, doskonałe, z dużymi, delikatnymi sutkami w brązowawej otoczkę. Były rzeczywiście najpiękniejszą rzeczą, jaką może zobaczyć mężczyzna.

– No dobrze, Juanie Barbarín – ucięła Rosana. – Bardzo się cieszę, że mi o tym opowiedziałeś, ale teraz już pójdę.

– Mam nadzieję, że się na mnie nie pogniewałaś.

– Jeśli będziesz wciąż tak mówił, walnę cię kijem w głowę – odrzekła, wstając. – Nie, nie pogniewałam się.

– To był tylko sen.

– Lubię z tobą rozmawiać.

– Ja z tobą też.

– Ale liczę na to, że nie będziesz już więcej mylił snów z jawą.

Posłała mi ręką całusa i wyszła. Zostałem sam, z potężną erekcją i wspomnieniem tamtego nadzwyczajnego snu. I trwało chwilę – zbyt długą z każdego punktu widzenia – nim dodałem dwa do dwóch i pojąłem (a klucz stanowiło tu ostatnie zdanie, jakie Rosana wypowiedziała przed wyjściem), że to nie był wcale sen; że to się zdarzyło naprawdę.

Zrozumienie tego sprawiło, że kot szeroko się uśmiechnął.

Rozmawiam z Syrą

Od tamtej pory Rosana odwiedzała mnie regularnie. Coraz bardziej się zaprzyjaźnialiśmy.

Pewnego dnia spytałem ją, dlaczego zawsze tak krzyczy na swoją córkę.

– Nie wiem, Juanie Barbarín – odrzekła, smutniejąc i nie zdradzając śladu zaskoczenia tym pytaniem, jak gdyby spodziewała się go od dłuższego czasu.

– Ale nie rozmawiajmy o tym, proszę.

– Czemu?

– Nie wiem, dlaczego taka się przy niej staję, przysięgam ci, że nie wiem. Wyprowadza mnie z równowagi. Nie wiem dlaczego. Wyprowadza mnie z równowagi tym, że całkiem mnie ignoruje, nie słucha się mnie i zawsze przebywa w swoim świecie, nic sobie nie robiąc z naszego. Źle się uczy, ma naprawdę fatalne oceny, z nikim się nie koleguje. Nie ma przyjaciółek. Nic nigdy nie mówi, niczego nie opowiada. Myślałam już nawet, że to autyzm, zanim kilku specjalistów zapewniło mnie, że nic z tych rzeczy.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Syra jest bardzo sympatyczna. Zawsze się śmieje. To prawda, że dużo nie mówi, ale łatwo zawiera znajomości. Czasem nie trzeba aż tyle gadać.

– Jest strasznie nieposłuszna – powiedziała Rosana. – Lubi mnie prowokować i denerwować. Nigdy nie spełnia moich poleceń. Bez przerwy kłamie. Wkurza mnie, wkurza... wkurza, że się nie słucha, bałagani, nie sprząta, o niczym nie myśli i nie pamięta... Zawala wszystko w szkole...

– Może powinnaś ją zaakceptować taką, jaka jest – zasugerowałem. – Pogodzić się z tym, że nigdy ci nie dorówna. Są osoby wybitne, silne, kreatywne, fascynujące i są też inne, zwyczajne, niczym się niewyróżniające...

– Ale ja ją akceptuję.

– Nie, nie akceptujesz. Ona cię irytuje. A ty ją przerażasz. Krzyczysz na nią tak, że łapie blokadę. Przepraszam, że to mówię. Wiem, że wtrącam się

w cudze sprawy.

Rosana umilkła. Siedziała, wyglądając na zewnątrz i gryząc paznokcie. Patrzyła na palmę kołysaną wiatrem i na smużkę dymu unoszącą się nad jednego z ognisk. Wydawała się skupiona, zadumana. W jej oczach błyszczały łzy. Pomyślałem, że się na mnie wściekła, zaraz wstanie i nie będzie mnie więcej wysłuchiwać i że w tej właśnie chwili dochodzi do wniosku, że jestem zadufanym w sobie bałwanem i że ma dosyć facetów mówiących jej, co ma robić.

Nie odezwała się. Posiedziała jeszcze trochę. Ja też patrzyłem na palmę i na dym. Potem sobie poszła. Uznałem, że naprawdę się obraziła, i poczułem się tak załamany, że zebrało mi się na płacz. Dużo w tamtych dniach płakałem. Więcej niż przez całą resztę życia. Na myśl, że właśnie udało mi się zranić i odepchnąć od siebie jedyną przyjaciółkę, jaką zdobyłem na wyspie, ogarnęła mnie taka rozpacz, iż zrozumiałem, że to, co czuję do Rosany, to nie zwykła przyjaźń; że po prostu się w niej zakochuję.

Któregoś razu zajrzała do mnie Syra. Przycupnęła na łóżku, wzięła mnie za rękę i milczała. Potem zaczęła obgryzać sobie skórki, zupełnie jak jej matka. Spytałem, jak się miewa. Odparła, że dobrze. Ponieważ nie wiedziałem, o czym z nią rozmawiać, zagadnąłem, czy lubi zwierzęta. Przy okazji chciałem się przekonać, czy i ona widziała gdzieś tego kota, który się czasem u mnie pojawiał.

– Lubisz zwierzęta?

– Niektóre tak. Innych nie.

To była cała jej odpowiedź. Bardzo ostrożna. Syra zawsze działała zdecydowanie, a wyrażała się ostrożnie.

– A koty? – drążyłem.

– Tak. Ale wolę psy.

– Ja mam psa – oświadczyłem. – Bardzo ładnego. Spodobałby ci się.

– Mnie mama nie pozwala – odrzekła.

– Pytałaś?

– Tak, ale ona mówi, że nasz dom jest za mały i w ogóle...

– A gdybyś zamiast psa mogła mieć kota, tobyś chciała?

– Juanie Barbarín, dosyć mam tych twoich głupstw – rzuciła tonem, jakim karci się dzieci.

– Serio pytam.

– Nie ma psa ani kota, ani niczego, więc już wystarczy! – ucięła.

Bardzo mnie bawił ten jej sposób mówienia.

– Gdybym znalazł na tej wyspie kota, zaraz bym ci go podarował – powiedziałem. – Żebyś się nim zaopiekowała.

– Na wyspach nie ma kotów – stwierdziła.

– Cóż, na niektórych są. Weź na przykład Anglię: to wyspa, a kotów tam pełno.

Teraz się zmieszała i nie wiedziała, co odrzec. Nadal prawą ręką ścisnęła moją dłoń. Zawsze, kiedy była przy mnie, brała mnie za rękę. Lubiłem dotyk jej małej łapki o długich palcach, cieplej i lekko spoconej. Miała ciemną skórę, żółtawe paznokcie i różowe wnętrza dłoni.

– Juanie Barbarín – powtórzyła. – Mam dosyć!

– Przykro mi.

– Juanie Barbarín, czy ty siękochasz w mojej matce?

Tym pytaniem zupełnie mnie zaskoczyła. Sądzę, że wręcz podskoczyłem na łóżku.

– Co takiego?

– Słyszałeś przecież. I skończmy z tymi głupstwami!

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Mężczyźni – warknęła, puszczając moją rękę. – Mam was dosyć.

– Trochę wcześniej. – Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Dobra, odpowiedz na moje pytanie.

– Dlaczego cię to ciekawi? A przede wszystkim skąd ci się wziął pomysł, by mnie o to spytać?

Wykrzywiła się z desperacją, mruknęła coś jeszcze o nieznośnych facetach i wypadła na dwór.

Widzę dziwne rzeczy na palmie. Roberto B. recytuje wiersz

Wade i Santiago ustawili dwa samolotowe fotele nad laguną, w cieniu palm, i teraz spędzałem tam większość czasu, odzyskując siły i czytając książki, które przyjaciele wybierali mi na chybił trafił w bibliotece Jimmy'ego Bruëlla. Laguna nie była już tak ożywionym miejscem jak kiedyś, bo w osadzie nie zostało wiele dzieci, jednakże wciąż była miejscem nader przyjemnym, położonym w połowie drogi między naszymi chatkami a plażą, spokojnym i owiewanym morską bryzą, niosącą apteczny zapach kamforowców rosnących po drugiej stronie. Dużo wtedy czytałem. Pora deszczowa dobiegała końca, temperatura spadała. Nie padało już codziennie, a ulewy stawały się coraz krótsze i coraz mniej intensywne.

Tam, nad laguną, usadowiony w fotelu, przyjmowałem również wizyty. Od czasu do czasu pojawiał się kot. Niekiedy cicho miauczał. Patrzył mi w oczy, przekrzywiając łebek. A ja pytałem go w duchu: czego chcesz? Kim jesteś?

Któregoś dnia byłem akurat sam i usiłowałem skupić się na książce science fiction, autorstwa Philipa José Farmera, gdy nagle ujrzałem Roberta B., który zmierzał szparko w stronę jednej z najwyższych palm kokosowych na plaży. Zobaczyłem, że podchodzi do niej i zaczyna się wspinać po jej wysokim, bladym pniu ze zwinnością małpy. Naprawdę mnie zaskoczył. Nie spodziewałem się podobnej siły i zręczności u intelektualisty, który, o ile mogłem się zorientować, preferował zdecydowanie siedzący tryb życia. Szybko znalazł się na samej górze, pośród rozkołysanych liści. Co on tam robił? Chwilę później dostrzegłem Sheilę w skąpym czarnym bikini – ona także wspięła się po pniu i znikła między liśćmi. Upłynęło jakieś pół godziny. Byłem zdumiony, ba, oburzony. Sheila i Roberto B. razem na palmie! Na sekretnej schadzce! Wielkie postrzępione liście dobrze ich kryły. Wiatr poruszał nimi i lekko chwiał piętnastometrowym pniem. Potem zauważyłem

wśród zieleni twarz Sheili, która tymczasem rozpuściła swoje długie włosy, spadające jej teraz na ramiona ciemną falą. Niezdarnie ześlizgnęła się na dół, lękliwie rozejrzała dokoła, nie zwracając na mnie uwagi, i znikła. Kilka minut później zszedł na ziemię Roberto B.

On, owszem, popatrzył w moim kierunku. Nie wiem, czy dostrzegł mnie od razu, ale ja uniosłem dłoń, w której trzymałem książkę, i pomachałem do niego. Leniwie odpowiedział podobnym gestem. Następnie ruszył w moją stronę. Żuł kawałek manioku.

– Jak tam, przyjacielu? – spytał. – Zostało ci może trochę tytoniu?

– Nie palę – odparłem. – A co do twojego pierwszego pytania: bez wielkich zmian, dziękuję.

– Philip José Farmer, *Gdzie wasze ciała porzucone* – przeczytał z okładki.

– Nie znam. Dobre?

– Powiedz mi, Roberto – rzuciłem. – Co ty kombinujesz z Sheilą?

– Słucham? Z Sheilą? – zdziwił się, poprawiając na nosie swoje okrągłe okulary i udając świętą niewinność.

– Widziałem was. – Wskazałem palmę. – Każdy mógł was zobaczyć.

– A, o to ci chodzi – odrzekł, podążając spojrzeniem za moim gestem. – To nic takiego, przyjacielu. Sheila chce, żebym poprawiał jej wiersze. I tyle.

– Sheila pisze wiersze? – spytałem z niedowierzaniem.

– Tak, bracie – potwierdził. – I to bardzo dobre. Mocne. To wyjątkowa dziewczyna, ta Sheila.

– Czyli ona pokazuje ci swoje wiersze, a ty je poprawiasz – powtórzyłem zafascynowany. – A Christian?

– Christian? – zdumiał się Roberto B. – Co z nim?

– Jakie jest w tym wszystkim jego miejsce?

– Christian nie pisze wierszy, przyjacielu. A jeśli nawet pisze, to nie potrzebuje moich poprawek.

Najchętniej bym wyraził swoje oburzenie, obsztorcował go, powiedział mu, żeby zostawił biedaczkę w spokoju. Jednakże zabrakło mi słów, a to dlatego, że moje oburzenie nie było szczerze. W gruncie rzeczy głęboko podziwiałem tego niezgrabnego, bezczelnego, ujmującego Chilijczyka i na nic się zdawało powtarzanie sobie, że facet jest jak jakiś Dyl Sowizdrzał i że zasługuje na taki sam los. Dlatego zamiast go umoralniać, wyrzuciłem z siebie:

– Roberto, znasz któryś ze swoich wierszy na pamięć?

– Widać, żeś nieobyty z poetami, przyjacielu, bo oni zwykle znają na

pamięć wszystko, co napisali.

– A ty?

– Ja tylko niektóre rzeczy – odparł. – Chcesz posłuchać?

– Chętnie.

– To napisałem jako dwudziestopięciolatek – oznajmił po chwili zastanowienia. – Trochę naiwne, ale wciąż mi się podoba. Nosi tytuł *Ballada o Coyoacán*.

BALLADA O COYOACÁN

To, co wiemy,

jest tylko częścią opowieści,

z pewnością nie najlepszą.

Wszystko jest smutne,

wszystko jest zawsze

w końcu smutne.

Telefon w dłoni

sperma w dłoni

karta w dłoni

znaczona karta

zawszeznaczona.

A jednak, mimo wszystko,

pamiętam światło

w Coyoacán.

Pamiętam ciężarówkę

pędzącą między drzewami,

których czerwone nasiona były

jak koral.

Pamiętam swoją dziewczynę ze studiów,

jej długie włosy

jej długie wargi

jej długie piersi

przytulne jak port

pełen gwizdów i brzoskwiń

delikatne jak brzoskwinie.

Pamiętam szum na placu

i posąg

wielkich srebrzystych psów
i żółtego ptaka
wybierającego twój los.
Ona pracowała w księgarni.
Nienawidziła Octavia Paza.
Wszyscy go wtedy nienawidziliśmy
tylko dlatego że był Octaviem Pazem
a my byliśmy nikim.
Byliśmy trockistami.
Czytaliśmy Gramsciego i Pasoliniego.
Byliśmy wyznawcami marksizmu-leninizmu.
Czytaliśmy książki Mao.
Ona oddawała się wielu,
nie miałem złudzeń,
ale jej długie piersi mnie fascynowały
jak i jej długie nogi
i to miejsce gdzie rozdziela się ciało.
Nienawidziliśmy burżujów
z ich zaborczą moralnością.
Paliliśmy po seksie.
Pociliśmy się w gorącej pościeli.
Piliśmy piwo.
Ona miała innych
a ja cierpiałem, cierpiałem okrutnie.
Prawie zawsze cierpisz,
jak jesteś szczęśliwy.
Było wtedy wiele
płomieni Afryki
w Coyoacán.
Na wiosnę się otwierały:
purpurowy ogień
zalewał świat.
Wszyscy mówili: jak pięknie.
Ale ja widziałem wnętrzości
otwarte jak u padliny.
Ślady nocy

*z innych planet.
Odbłyśki okropnych
fioletowych mórz
rozjaśniające ciemność
dnia w Coyoacán.
Światła odległych mgławic
na niebie kawiarni.
Hamburger Gomeza albo Andromeda,
gdzie wszyscy przeżywaliliśmy
inne życia
jako maszyny
albo byliśmy niewolnikami
pozaziemskich królów.
Owady w lampie
pijane od słońca i smutku.
Owady na twoich podświetlonych udach,
otwartych jak przy sekcji żaby.
Ech, kurwa twoja mać.
Przeklęta blondaska.
Jej dziadek był Niemcem,
blondaski przeklętej.
Pamiętam swoje palce
w jej wnętrzu,
niby białe robaki
w owocach mamey.
Była w środku lepka,
ciepła,
trochę się brzydziłem
na myśl, że tam wewnątrz jest
tyle białych robaków.
Widziałem jak kiedyś jadła taki owoc
robaczywy
i nie przestała,
jadła ze smakiem,
ze wstydem.
Pisałem dla niej wiersze,*

*ona je czytała,
potem szliśmy do jej pokoju,
kochaliśmy się,
a potem padało
i ja płakałem,
ona myła waginę
w umywalce,
a czasem ona płakała,
a ja wycierałem penis,
a czasem oboje
płakaliśmy,
nie wiem,
może zresztą nie płakaliśmy i to był
Meksyk, tylko tyle,
deszcz nad Meksykiem.
Mimo wszystko
pamiętam Coyoacán
i tamte dni,
i miłość,
i ciężarówkę jadącą
pod koralowymi drzewami,
i książki wydawane przez
Fondo de Cultura Económica,
i ją jedzącą graviolę
bez robaków,
pełną czarnych nasionek,
i zaplamione prześcieradła.
Bo to znaczy być młodym:
mieć zaplamione prześcieradła.
To znaczy być młodym:
oglądać Hiroszimę, moją miłość,
czuć się starym,
czuć się martwym
czuć, że wszystko skończone
kochać bez nadziei
gdy deszcze wpada*

*przez okno.
To znaczy być młodym:
czuć deszcz
czuć śmierć
czuć życie.
My je wtedy czuliśmy,
pamiętasz, blondasko?
Przekłeta blondaska
kurwa jej mać.
Piękna jak śmierć,
pełna robaków,
piękna jak owoc
piękna jak koral.*

– Meksyk? – spytałem. – Przecież jesteś Chilijczykiem.

– Całą młodość spędziłem w mieście Meksyk, przyjacielu – odrzekł. – Tam zostałem poetą. Tam zacząłem pisać.

– Jestem pod wrażeniem – przyznałem. – To wiersz o miłości. I o nienawiści. O nienawiści, miłości, nostalgii, seksie. I jakby w tonacji science fiction.

– Tak, przyjacielu. Szczególnie w tamtych latach uwielbiałem science fiction.

– A teraz?

– Teraz wszystko się zmieniło, przyjacielu. Kiedyś istniał gatunek nazywany „science fiction”, prawda? Jednym się podobał, innym nie. A teraz wszystko jest jak ze science fiction.

– Wszystko?

– Tak, stary. Nie wydaje ci się?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odparłem.

Roberto B. wskazał książkę, którą trzymałem na kolanach.

– *Gdzie wasze ciała porzucone*, stary. Dużo myślę o tej książce, od kiedy tu jesteśmy. O niej i o *Wynalazku Morela*, i o *Niebiańskiej intrydze*. Patrz, czy to, co się nam zdarza, to nie jest science fiction?

– Myślałem, że nie czytałeś *Farmera* – rzuciłem lekko poirytowany, próbując się z tą irytacją nie zdradzić.

– Ja wszystko czytałem – odrzekł ze smutnym uśmiechem, zegnając się już

i odchodząc, z uniesioną ręką, jak ktoś, kto oddała się wieczorem po peronie.
– Kuruj się, przyjacielu. Kuruj.

Miałem ochotę zapytać: dlaczego ciągle kłamiesz? Dlaczego ukrywasz to, co myślisz i co wiesz? Po co te wieczne podstępny? Po co te maski, całe to udawanie, po co, po co? Czy to twój sposób, żeby stawiać na swoim? Tego się nauczyłeś, to ci wpajano? Nie umiesz inaczej?

Jednakże koralowe drzewa i światło Coyoacán, dzielnicy w mieście Meksyk, gdzie nigdy nie byłem, zdawały się wciąż unosić gdzieś obok w powietrzu. Nagle wszystko to nabrało dla mnie realności. Nie wiem, może chodziło o ten głos. Ciężarówka wśród koralowych drzew. Pełne robaków owoce mamey. Potem pomyślałem, że ta „ciężarówka”, ze względu na różnice w odmianach hiszpańszczyzny, to musiał być w gruncie rzeczy autobus.

Któregoś z tamtych dni zdołałem w końcu porozmawiać sam na sam z Sheilą. Spytałem ją niemal bez wstępów, co ona wyprawia z Robertem B., i zobaczyłem, że biedaczka zniecka bardzo się zdenerwowała, zaczerwieniła i nie wie, gdzie oczy podziąć.

– Aj, Johnny – jęknęła, gdyż w owym czasie niemal wszyscy Latynosi na wyspie tak mnie nazywali. – Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć, stary. Zakochałam się w nim. Zakochałam się po uszy i nic na to nie poradzę. Próbowałam, ale bez skutku, bez skutku. Tylko nikomu nic nie mów, błagam, nikt nic nie wie. Przed nikim się nie zdradziłam i nie chcę, by ktokolwiek wiedział. A Christiana kocham, jasne, że go kocham, od pyty. Tyle że my jesteśmy razem od szczeniństwa. Od kiedy byliśmy dziećmi... Zawsze go kochałam i nigdy nawet nie myślałam o innych, Johnny. Ale to silniejsze ode mnie. Kiedy się z Robertem kochamy, czuję rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie czułam.

– Aj, Sheilo – mruknąłem. – Co ty wyprawiasz? I to jeszcze na palmie... Kto wpada na podobne pomysły?

– Na palmie? – zdumiała się. A później oblała rumieńcem. – Aj, nie, Johnny. Nie, stary. Myślałeś, że pieprzę się z Robertem B. na palmie? Aj, nie, Johnny, tam spotykamy się tylko po to, żeby zerknął na moje wiersze. Od pyty wie o poezji. Od pyty. Przeświała mnie jak promienie X. Przeświała moje wiersze. To niesamowite.

– Ty piszesz wiersze? – spytałem.

– Aj, tak, od szczeniństwa. Wariat z ciebie, Johnny, co? – Zaśmiała się, szturchając mnie w pierś i w ramiona. – Myślałeś, że się tam na górze

pieprzymy?

– A co miałem myśleć?

– To się dzieje tylko w snach – powiedziała. – W snach on przychodzi do mnie i się ze mną kocha. I jest taki słodki, taki nieodparcie pociągający, Johnny. I mówi mi takie ładne rzeczy. Takie ładne... Ale to sny. Tylko sny, Johnny.

– Cóż, w takim razie nie ma problemu – odetchnąłem. – Śniesz czasem o Robercie B. To nic takiego. Mnie się kiedyś śniło, że uprawiam seks z własną matką. Ba, śniłem o tym nieraz. Ale sny to sny, nic więcej.

– Nie tutaj, Johnny – zaprzeczyła Sheila z powagą. – Tutaj sny to coś więcej. Tutaj sny to rzeczywistość.

Zaprzyjaźniam się z Noboru

Dharma, mój wielkoduszny brazylijski dobroczyńca, wystrugał dla mnie kule, dzięki którym zacząłem się na nowo uczyć chodzenia. Później zdjął ze mnie miarę i powiedział, że zrobi mi również sztuczną stopę i łydkę. Byłem w tamtym czasie mocno rozedrgany, więc ta oferta sprawiła, że oczy wypełniły mi się łzami.

W końcu opuściłem swój fotel nad laguną i jałem ćwiczyć. Nigdy bym nie przypuścił, że poruszanie się o kulach jest takie trudne. Ciągle się przewracałem i musiałem bardzo wyęźać ramiona. Szybko jednak pokonałem te początkowe problemy i wkrótce nabrałem wprawę. Ostatecznie, jak sobie powtarzałem, istoty ludzkie przemieszczają się zwykle na dwóch kończynach, a ja ciągle mam trzy.

Nadal trzymaliśmy na „plaży samolotowej” strażę. Byłem doskonałym kandydatem do tego, by spędzać tam całe godziny, leżąc w cieniu palm, kontemplując ocean, nieskończone niebo oraz widoczne na tym wiecznie zmiennym tle rulony chmur, i czekając na pomoc, która – o czym doskonale wiedzieliśmy – nigdy nie miała nadejść.

Prawa, które sami sobie narzuciliśmy, stanowiły, że straż pełnić muszą zawsze dwie osoby. Dlatego to tam, na „posterunku”, zawierano przyjaźnie i brano się za łby, nawiązywano romanse i zdradzano się na potęgę. Pewnego razu przydzielono mi do towarzystwa Japończyka Noboru, tego samego, który umarł w moich ramionach, a potem na naszych oczach zmartwychwstał, trafiony przez trzy błyskawice. Ponieważ obaj lubiliśmy to pilnowanie (choć każdy ze swoich powodów), zaczęliśmy spędzać razem dużo czasu i się zaprzyjaźniliśmy. I, jak to często między nowymi przyjaciółmi bywa, opowiedzieliśmy sobie nawzajem swoje życie.

Noboru miał syndrom hikikomori: jak wielu młodych Japończyków czuł się przytłoczony społeczną presją i długie okresy spędzał w zamknięciu. Przed

wyprawą do Los Angeles podobno przez niemal trzy lata nie wychodził z pokoju w pewnym hotelu w Jokohamie. To był Hotel Nauki. Trzy lata w Hotelu Nauki, zdziwiłem się, myśląc, że może coś źle zrozumiałem i że chodziło o jakiś kurort, sanatorium w górach, klasztor albo ewentualnie o uczelnię. Ale nie: Noboru mówił o prawdziwym hotelu, nowoczesnym, dwudziestopięciopiętrowym budynku położonym w centrum Jokohamy i oferującym widoki na zatokę i port, futurystyczne wieżowce Minato Mirai i diabelski młyn Cosmo Clock 21, będący zarazem największym zegarem świata, chociaż on, Noboru, nigdy nie odsłaniał okien, bo, jak mi wyjaśnił, „widoki” go nie interesowały, zwłaszcza na wieżowce i największy zegar świata, a poza tym i tak zwykle czuwał w nocy, w dzień zaś spał, jak to zwykle robią ofiary syndromu hikikomori. Zważywszy zresztą na to, że nigdy nie wychodził z pokoju, gdzie przy zasłoniętych oknach światło o każdej porze było właściwie takie samo, decyzja o spaniu za dnia mogła się wydawać nieco dziwna. Tyle że to nie była decyzja, powiedział. Nie miał żadnego specjalnego powodu, żeby nie kłaść się nocą. Po prostu tak wyszło. Lubił do późna pracować na komputerze. Pracować, grać, robić zakupy, czatować i prowadzić interesy, dzięki którym na jego koncie bankowym nigdy nie brakowało pieniędzy. Fakt faktem, że nocą czuł się pozytywnie nastawiony, wręcz rozradowany, pełen energii, podczas gdy światło słoneczne wywoływało w nim niepokój

– Jest coś, co otwiera się nocą – oznajmił mi podczas którejś z naszych długich rozmów na „plaży samolotowej”. – Coś, czego nikt nie zna, a co pozostaje w dzień zamknięte. Światło, które błyszczy tylko w ciemności. Wiesz, co mówił Thelonious Monk o świetle?

– Nie mam pojęcia.

– „Wszystko jest ciemnością. Inaczej światło nie byłoby potrzebne”. Tak powiedział Thelonious Monk – oświadczył Noboru. – Bo spójrz: kiedy nie ma światła, jest ciemność. A co się dzieje, kiedy nie ma ciemności? Kiedy nie ma ciemności, nie ma niczego. Dlatego istotą świata jest ciemność. I w ciemności rozbłyska światło. Przeszywając ją niby złota linia. To wtedy światło ma wartość, jak kwiat namalowany na całkiem czarnej powierzchni. W sercu człowieka jest kwiat – ciągnął, kładąc dłoń na piersi – który w dzień pozostaje zamknięty. *Yoru no hana*. Kwiat nocy. Gdy zapada ciemność, ten kwiat się otwiera i człowiek zaczyna żyć.

– Musisz się tu bardzo męczyć – zauważyłem. – Jeśli przez trzy lata nie

wychodziłeś na dwór. Ale naprawdę nigdy nie wychodziłeś? Przez trzy lata?

– Ludzie nazywają to agorafobią – odrzekł – lecz czy w gruncie rzeczy nie jest tak, że sami mają klaustrofobię? Każdej fobii odpowiada fobia jej przeciwna. Co znaczy, że albo fobie w ogóle nie istnieją, albo wszystko, co odczuwamy, to taka lub inna fobia. Nazywają to fotofobią, światłowstrętem, lecz powodowany przez światło fizyczny ból, zawroty głowy, mdłości i inne takie objawy nie są kwestią żadnej fobii. Tak – dodał, kuląc się jeszcze bardziej, mocniej obejmując łydki ramionami i niemal chowając twarz za barierą kościstych kolan – tak, od kiedy tu trafiłem, źle się czuję, bardzo źle znoszę nadmiar światła i konieczność właściwie ciągłego przebywania na powietrzu. Życie bez ścian i sufitu wydaje mi się czymś potwornym. Gdyby nie komary, przeniósłbym się w głąb dżungli.

– To by nie było zdrowe – zaprotestowałem. – Wnętrze tej wyspy nie jest zdrowe. Widzieliśmy mnóstwo malarycznych komarów na bagnach.

– Wiem – odparł. – Tylko że to dla mnie tortura: całe dni spędzane pod gołym niebem.

Siedzieliśmy we dwóch na plaży. Na użytek strażników ustawiono w cieniu palm dwa fotele. Mnie bardzo służyły te długie spacery, które musiałem odbywać, żeby dostać się na miejsce. Ćwiczyłem w ten sposób ciało i nabierałem coraz większej wprawy w chodzeniu o kulach. Białe resztki samolotu wciąż sterczały z wody, pośród fal rozbijających się o koralowe wysepki.

– Naprawdę przez tyle czasu nie opuszczałeś hotelowego pokoju?

– Tak.

– Nie miałeś rodziny, przyjaciół...?

– Miałem – odpowiedział Noboru. – Tak, miałem i rodzinę, i przyjaciół, tyle że kiedyś, dawno. Potem ich straciłem. Oszalałem. Byłem szalony przez lata, wiesz? Przystałem do sekty. Do Aum Shinrikyō. Słyszałeś o Aum, Najwyższej Prawdzie?

– Chyba tak – mruknąłem, usiłując przypomnieć sobie nagłówki gazet sprzed kilku lat. – Czy to nie ta sekta, której członkowie rozpylili w tokijskim metrze sarin?

– Tak, ta sama.

– I ty do niej należałeś?

– Tak.

Historia Noboru

Od wczesnej młodości, jak mi opowiedział, miał mistyczne ciągotki. Zawsze się zastanawiał, dlaczego rzeczy są takie, jakie są, skąd się wzięło ludzkie życie i czy ma jakiś sens. Zawsze interesował się wiedzą ezoteryczną: buddyzmem zen, astrologią czy teozofią, i wciąż zadawał sobie pytanie, ile w tym wszystkim prawdy. To zainteresowanie zaowocowało kilkoma chaotycznymi lekturami i niejasnym poczuciem, że we wnętrzu człowieka kryje się niedostępna tajemnica. Zresztą od dziecka, jak mi wyjaśnił, odnosił wrażenie, że człowiek to niezwykle skomplikowana maszyna, której mechanizmu i przeznaczenia w ogóle nie rozumiemy.

Może właśnie z tego powodu poświęcił się badaniu maszyn pod względem skomplikowania następnych po człowieku i poszedł na inżynierię elektroniczną oraz informatykę na Uniwersytecie Elektrokomunikacji w Chōfu, gdzie stał się kimś w rodzaju *computer wiz*, czyli, jak mi oznajmił, informatycznego czarodzieja. Po studiach wahał się, czy zatrudnić się w jakiejś firmie, czy kontynuować naukę i zostać programistą. Zawód ów, dający możliwość *stanowienia praw* wszystkich tych cudownych programów czy gier używanych przez tylu ludzi, kojarzył mu się z rolą boga-stwórcy. Wtedy wpadła mu w ręce ulotka Aum Shinrikyō, zapowiadająca spotkanie z przywódcą tej organizacji, Shōkō Asaharą, mające się odbyć w jednym z centrów konferencyjnych w dzielnicy Shibuya. „Jeśli żywisz wątpliwości dotyczące ludzkiego istnienia”, głosiła ulotka, „zapukaj do naszych drzwi”. Zdjęcie Asahary zajmowało całą jedną stronę i przedstawiało mężczyznę o okrągłej, lekko mongolskiej twarzy, bujnej, czarnej jak węgiel czuprynie i długiej brodzie podobnej do tych, jakie noszą źli bohaterowie w baśniach. Asahara spoglądał prosto w obiektyw z lekkim sardonicznym uśmiechem, a jego małe, ciemne oczy błyszczały wzgardą i wyniosłością, zdając się przeszywać duszę tego, kto w nie patrzył. Noboru nie wiedział wówczas, że

Asahara był praktycznie ślepy i dlatego jego oczy właściwie nie miały blasku. Na fotografii, ubrany w jedwabną fioletową tunikę, wydawał się „fascynujący jak sam diabeł”.

Na żywo zrobił na Noboru jeszcze większe wrażenie. Był masywny, okazały. Nie wyglądał jak przywódca duchowy, raczej jak cesarz albo okryty chwałą bohater. Gdy wszedł do rześkiej oświetlonej sali, Noboru poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Poczuł też ciepłe mrowienie w stopach, jak gdyby jego ciało zrobiło się nagle lżejsze i lada chwila miało unieść się nad ziemią. Potem Asahara przemówił. Jego głos, jak powiedział Noboru, brzmiał niczym szum samotnego wodospadu w kniei. Niczym łopot skrzydeł gęsi powracających wraz z wiosną. Niczym plusk przejrzystej wody kapiącej z topniejących sopli. Nie trzeba było nawet słuchać uważnie słów. Sam ton tego głosu mówił wszystko i zdawał się sięgać w głąb duszy niby słoneczny promień.

„Wszyscy posiadacie trzy moce”, oświadczył Asahara. „Pierwsza to wyobraźnia. Druga – okrucieństwo. Trzecia – instynkt przetrwania. Każda oznacza to samo: zniszczenie. W sanskrycie jest na to słowo: *aum*. *Aum* symbolizuje okrucieństwo wszechświata ściśle zespolone z absolutną prawdą. Poszukiwanie tej prawdy, *shinri*, nas łączy. Stąd wzięła się nazwa Aum Shinrikyō. Skoro żywisz wątpliwości dotyczące ludzkiego istnienia, może zapukaj do naszych drzwi?”

Noboru nigdy nie uważał Shōkō Asahary za dobrego człowieka. Nigdy na jego widok nie czuł spokoju ani miłości, które podobno odczuwali inni – a przynajmniej tak mówili. Nie, Asahara wyzwalał w nim inne emocje, wyznał Noboru i dodał, że jego zdaniem te emocje wyzwalały się również w innych; że to właśnie one czyniły Asaharę tak nieodparcie pociągającym. Bo Asahara nie zapowiadał dobra i miłości, wręcz przeciwnie. Był heroldem koszmaru i cierpienia, nieskończonego i całkowicie bezsensownego cierpienia. W tym tkwił sekret jego sukcesu, powiedział Noboru. Że w świecie złud i sztucznych kwiatów głosił prawdę. Potworną, ale prawdę.

Noboru zgłosił się więc do jednej z siedzib sekty i zaczął chodzić na spotkania, sesje jogi i wykłady. Podobała mu się spokojna, przyjazna atmosfera ośrodka. W porównaniu z uniwersytetem, kipiącym od agresywnej rywalizacji i zakrapianych alkoholem balang, siedziba Aum wydawała się nader przyjemna. Wszystko było tam miłe i proste, wszyscy się sympatycznie uśmiechali. Noboru lubił surową elegancję stałych członków organizacji,

krótko ostrzyżonych i odzianych w białe bawełniane tuniki, w których mężczyźni i kobiety wyglądali prawie tak samo. Wszędzie wisiały fotografie Asahary, stały świece i kwiaty, dużo było też wizerunków bóstw – hinduistycznych, tybetańskich i buddyjskich. Joga i pranajama sprawiały, że Noboru czuł się też lepiej fizycznie. Nauczył się oczyszczać jelita poprzez picie solonej wody oraz usuwać z dróg oddechowych flegmę za pomocą zamoczonej w mleku jedwabnej nitki wsuwanej w nozdrza. Przestał pić piwo i palić, a jego chaotyczne życie świeżo upieczonego absolwenta znormalniało. Japa, czyli rytualne powtarzanie mantry stało się dla niego prawdziwym odkryciem. Przez godzinę albo półtorej śpiewał wraz z innymi i jego umysł wypełniał się spokojem, intensywną szczęśliwością. To były drzwi do oświecenia.

Organizacja szybko się nim zainteresowała. Młody informatyk z dobrą znajomością angielskiego mógł im się bardzo przydać. Sekta strukturą przypominała rząd jakiegoś kraju, podzielona na ministerstwa: Ministerstwo Wywiadu, Nauki, Edukacji, Prac Publicznych, Komunikacji... Chodziło o to, że najnowszy plan Asahary przewidywał zniszczenie istniejącego w Japonii systemu politycznego, namaszczenie przywódcy Aum na cesarza, w stylu starożytnych monarchów-bóstw, i stworzenie nowej linii dynastycznej. W tym celu organizacja próbowała pozyskać jak największą liczbę ludzi wykształconych, wykwalifikowanych techników, naukowców i specjalistów od prawa, opowiadał mi Naboru. Asaharze zależało na wybitnych jednostkach, które miały mu pomóc w realizacji jego megalomańskich zamierzeń.

W 1960 roku wziął udział w wyborach do parlamentu, zgłaszając ugrupowanie o nazwie Shinri-to, Partia Najwyższej Prawdy, i kilka razy pojawił się nawet w telewizji. Porażka Partii Najwyższej Prawdy rozwścieczyła i jego, i całe kierownictwo sekty, kierując ich na drogę buntu i wręcz wojny przeciwko demokratycznym instytucjom Japonii.

Trudno stwierdzić, ilu członków miało wtedy Aum. Dwadzieścia tysięcy? Trzydzieści? W momencie największego rozkwitu sekta chwaliła się czterdziestoma tysiącami. Istniały setki jej ośrodków w różnych miastach: czasem chodziło o całe, mniejsze lub większe, budynki goszczące na co dzień setki wiernych, czasem jedynie o zwykłe mieszkania. Siedziba główna mieściła się w miasteczku Kamikuishiki w prefekturze Yamanashi, nieopodal wiecznie ośnieżonej góry Fudzi, w jednym z najpiękniejszych zakątków Japonii, pełnym lasów i jezior, uzdrowisk i gorących źródeł.

Stałe członkostwo kosztowało wówczas trzydzieści tysięcy jenów, do tego dochodziła jeszcze uiszczana z góry opłata półroczna w wysokości osiemnastu tysięcy, co dawało razem czterdzieści osiem tysięcy jenów. Noboru miał trochę oszczędności, dlatego wywiązał się z tego obowiązku bez trudu. Decyzję o wstąpieniu do organizacji podjął podczas jednego z seminariów prowadzonych przez Asaharę na wyspie Ishigaki. Seminaria te, jak mi wyjaśnił, dodatkowo kosztowały krocie, jemu jednak udzielono specjalnej zniżki – bez wątpienia dlatego, żeby ostatecznie go przyciągnąć. Te dni na wyspie były podobno piękne niby sen. Zaczynały się od jogi na plaży, przy szumie fal, w wiosennym słońcu. Później Asahara mówił o armagedonie i końcu czasów i tłumaczył wszystkim, w jakiej sieci subtelnych kłamstw żyją od samego urodzenia. Ale wszystko i tak wydawało się piękne. Głos guru wypełniał duszę poezją i tajemnicą, nawet jeśli treść jego słów była przerażająca.

Aum Shinrikyō to zakon monastyczny: jego członkowie żyją jak mnisi, poddani surowej dyscyplinie. Żeby dostąpić zaszczytu członkostwa, trzeba złożyć śluby, zobowiązać się do przestrzegania reguł i wyrzec się uciech cielesnych oraz światowych, to znaczy rozkoszy stołu, seksu i sławy. Ktokolwiek wstępuje do Aum, przyrzeka zerwać z rodziną i oddać organizacji wszystko, co posiada. W ten sposób Asahara dorobił się fortuny.

Zresztą do sekty wstępowały nie tylko pojedyncze osoby, ale również całe rodziny. W takich wypadkach rodzina zostaje na zawsze rozdzielona. Mąż udaje się do jednego ośrodka, a żona do drugiego. Dziećmi, ich wychowaniem i nauką, zajmują się kobiety z Ministerstwa Edukacji. We wszystkich ośrodkach, opowiadał Noboru, było dużo maluchów i wszędzie walały się ich zabawki i rysunki. Istniały nawet specjalnie wydzielone strefy dziecięce. Zakładam, że rodzice tych szkrabów zrezygnowali z nich, żeby przystać do Aum. Do dziś nie rozumiem, mówił Noboru, jak można zrezygnować z własnych dzieci. Zwłaszcza że sam Asahara miał je i wciąż rodziły mu się kolejne. Tyle że on, jako sensei, Mistrz, istota doskonała, która osiągnęła Pełne Oświecenie, stał, rzecz jasna, z definicji ponad prawem.

W ośrodkach w Kamikuishi czy w tokijskiej dzielnicy Kameido, mówił Noboru, wizerunki przywódcy i jego głos były wszechobecne. Jego twarz, jego półślepe oczy, jego uśmiech zdawały się wypełniać całą przestrzeń. W tysiącach pudełek i plastikowych toreb przechowywano jego fotografie w najrozmaitszych rozmiarach, jego głos rozbrzmiewał z magnetofonów,

czytając różne teksty, śpiewając mantry lub tłumacząc zawile tantryczne koncepty, które każdy adept Aum powinien poznać i stosować w praktyce. Te magnetofony stały wszędzie: w kuchniach, sypialniach, salach do medytacji, biurach, składach, garażach, wszędzie, i każdy mógł puścić sobie swój ulubiony fragment rozważań Asahary. Jego głos czczono jak świętość.

Spytałem, czy dobrze śpiewał. Noboru milczał przez dłuższą chwilę – aż pomyślałem, że mnie nie usłyszał i już chciałem nawet powtórzyć pytanie. Nie wiem, powiedział w końcu. To jakby pytać, czy ten ocean jest dobrym oceanem. Z czym go porównać? Ocean to ocean, nie da się go porównać z niczym. Asahary słuchaliśmy od rana do wieczora. Znał na pamięć setki sutr, śpiewał w sanskrycie albo w pāli, bywało zresztą, że i bardzo wesołe piosenki. Skala jego głosu budziła podziw. Mówiono, że w dobry dzień dorównuje skali fortepianu. Uważano to za przykład nieograniczonych możliwości związanych z treningiem: otwarcie czakry gardła rzeczywiście uwalnia głos. W Aum wszystko zresztą było kwestią treningu. Jedno ze zdań, które ciągle nam powtarzano, brzmiało: „Trenuj, a wszystko będzie możliwe”. Dalsza historia organizacji zapewne potwierdziła prawdziwość tej maksymy.

Wyobraźnia.

Instynkt przetrwania.

Okrucieństwo.

Według Asahary, w taki właśnie, potrójny sposób tłumaczył się zaczerpnięty z sanskrytu termin „aum”. A wszystko sprowadzało się do jednego: do zniszczenia. Tyle że nie jestem pewien, czy to wyjaśnienie jest zgodne z prawdą. Poza tym tylko grupa szaleńców takich jak my mogła bez przerwy wyśpiewywać hymny na cześć zniszczenia. Choć, oczywiście, zawsze nam mówiono, że chodzi o zniszczenie „ja”, czyli tego, co w nas fałszywe i złudne.

Ponieważ fałsz i złuda to właściwie całość tego, co zwykle rozumiemy przez „ludzkie życie”, adepci Aum muszą zrezygnować ze wszystkiego, czym są albo za co się dotąd uważali, i wkraczają w fazę wyczerpującej walki wewnętrznej. Mówi się im, że muszą być odważni i przekraczać kolejne granice i że ich wątpliwości biorą się z tego, iż nasze ciało i nasz umysł pragną ciągłych gratyfikacji, których należy im odmawiać, aby wydostać się z błędnego koła zwierzęcych instynktów i iluzji, jakim poddaje nas sansara, czyli cykl wcieleń. Ciało pragnie obfitych posiłków, alkoholu, seksu, pieśzcot. Ego pragnie uznania, sławy, poczucia, że jest się ważnym

i podziwianym. Przez to umieramy i znów się rodzimy w brudnych, zepsutych ciałach, pragnąc znowu tego samego. Ja sam, powiedział Noboru, uczyłem tego nowych adeptów, choć dziś uważam to za mylne i szkodliwe.

Ćwiczył, jak mi wyznał, w trzech dojo: najpierw w Aoyamie, potem u stóp góry Fudzi i wreszcie w Kameido.

Mówiono, że w tym drugim pełno jest bogów. Tyle że nikt ich nie widzi, to znaczy nie widzą ich zwykli ludzie. Nawet tych, którzy akurat przybrali ludzką postać, tłumaczył Noboru. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, więc spytałem, czy sam widział kiedyś któregoś z tych „bogów” i jak wyglądali. O tak, widziałem, odrzekł. Należałem wtedy do zakonu, oddany ciałem i duszą naszemu ukochanemu Asaharze wiodłem życie wolne od wszelkich używek czy fizycznych pragnień, i całymi dniami uprawiałem pranajamę, hatha-jogę, japę i medytację. Dlatego widziałem istoty, które mogły uchodzić za ludzi z krwi i kości, lecz w gruncie rzeczy były wcielonymi bóstwami. Te wyjątkowe istoty, wyjaśniał Noboru, potrafiły przejrzeć cię na wylot. To znaczy, drażyłem, że potrafiły czytać ci w myślach? Nie, nie o to chodzi, zaprzeczył. Czy raczej: o to też, ale nie tylko. Chodzi o wgląd w czeluście serca. Trudno wytłumaczyć, co to za uczucie, gdy ktoś tak na ciebie patrzy i tak cię *widzi*. Zupełnie jakbyś poddał się prześwietleniu promieniami X w kosmicznym laboratorium znajdującym się gdzieś w obrębie Drogi Mlecznej. Zupełnie jakby to prześwietlenie ukazało cały system twoich połączeń nerwowych. Gdy czegoś podobnego doznasz, nic już nigdy nie jest takie jak wcześniej. Czujesz się pusty, pozbawiony sekretów. Czy to przyjemne, spytałem, jak rodzaj ekstazy? Nie wiem, odpowiedział Noboru. Dla mnie nie. Bycie prześwietlanym w ten sposób nie sprawiało mi przyjemności. Człowiek czuje się nagi, nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz. Jak gdyby najpierw go ktoś rozebrał, potem obdarł ze skóry, a później jeszcze obdarł ze skóry jego duszę, żeby wystawić na światło dzienne cały przyczajony w nim mrok. Nie, to nic przyjemnego. Wielu nie umie tego znieść, tracą po tym rozum albo chorują. Gdyby te boskie istoty nie przerastały ludzi tak zdecydowanie, doświadczenie to byłoby wręcz upokarzające. Tyle że nie chodzi w nim o upokorzenie, raczej o coś w rodzaju miłości. O pomoc w pozbyciu się samego siebie, w zrozumieniu, że jesteśmy nicością. A kiedy już to zrozumiemy, kiedy poczujemy się całkiem unicestwieni, doznajemy czegoś, co przypomina szczęście.

Jednakże dojo u stóp góry Fudzi nie przypadło mi go gustu, ponieważ

oprócz bogów były tam też szczury. Gnieździły się w każdej dziurze i mnożyły z mrozącą krew w żyłach szybkością, ponieważ nikt ich nie zabijał. Pod tym względem obowiązywał surowy zakaz. Było też mnóstwo karaluchów. Przez cały dzień łapaliśmy je do plastikowych naczyń i pod wieczór wyrzucaliśmy do ogrodu albo na ulicę, jako że zabraniano nam podnoszenia ręki na jakąkolwiek formę życia. Ze szczurami się tak nie dało. Brzydziłem się ich, a moi przełożeni powtarzali mi, że powinienem być jak one: inteligentne, czyste, dyskretne i bezproblemowe. Że powinienem się od nich uczyć. Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu było ich aż tyle, skoro mieliśmy tak mało jedzenia – i to tak niedobrego.

To ostatnie również stanowiło element treningu. Podobno zbyt smaczne pożywienie podsyca grzeszne pożądania. Właściwie codziennie jadaliśmy to samo: masę sojową podgrzewaną na odrobinie oleju słonecznikowego, biały ryż i bulion z wodorostów z jajkiem – wszystko podawane w plastikowych pojemnikach i spożywane metalowym widelcem. To bardzo bogata w białka, zapobiegająca biegunkom dieta. Dlatego przez cały ten czas miałem zaparcia. Czasem próbowałem się wypróżnić przez godzinę, a moje odchody konsystencją przypominały kamień. Niemniej tłumaczono nam, że to wynik stanu energetycznego naszych organizmów, nagromadzenia przeszłych grzechów, a nie diety.

Pamiętam pewien „przepis”: na ryż z curry. Wisiał przyczepiony taśmą klejącą do ściany w kuchni w Kameido. Brzmiał tak: „Przyrządzić ryż z curry to nic trudnego! Mieszasz ryż z curry i gotowe!”. Jedliśmy wyłącznie po to, żeby się odżywiać; żeby zmusić wroga, czyli własne ciało, do dalszego funkcjonowania, ale unikając przy tym wszelkiej przyjemności. Każdy robił to na własną rękę, nie gromadziliśmy się na posiłki, żeby choćby pogawędzić, nie używaliśmy też talerzy ani pałeczek. Czasem podawano bulion w misce, lecz zazwyczaj wystarczyć musiały dwa plastikowe pojemniki: jeden z ryżem i masą sojową, a drugi z jajkiem na twardo i odrobiną bulionu. Do tego metalowy widelec. Pewnie dla ciebie to nic takiego, ale w Japonii nie używa się widelców. Wiem, że na Zachodzie jecie metalowymi sztućcami, nam jednak wydaje się to nieprzyjemne: wkładać sobie do ust kawałek metalu. To kwestia różnic kulturowych między poszczególnymi krajami.

A więc takich nauk udzielano nam w Aum: „Zrezygnuj ze snu. Zrezygnuj z rozpusty. Zrezygnuj z jedzenia”.

Wszędzie wisiały plakaty, opowiadał Noboru. W każdym ośrodku, jaki

znam, pełno było haseł ponaklejanych na drzwiach, na stołach, na ekranach komputerów, na korytarzach i w szafach. Potrzebowaliśmy mnóstwa flamastrów. Istniał specjalny fundusz na ich zakup. Chodziło o napisy typu: „Nawróciłem się!”, przesłania od Mistrza, jak choćby to: „Zrezygnuj z jedzenia”, wykrzyknienia w rodzaju: „Sensei, sensei, sensei!”, nie wspominając już o wszystkich tych obwieszczeniach, jakie zawsze pojawiają się tam, gdzie ludzie żyją we wspólnocie: „Tu połóż umytą szczoteczkę do zębów” (jako że trzymaliśmy wszystkie szczoteczki razem, w jednej szafce) albo: „Nie zostawiaj brudnych ubrań poza koszem” i tak dalej.

No, ale były banany. Nie wiesz, co znaczy banan? Tak, można przeżyć całe życie, nie wiedząc, co znaczy banan. Oczywiście dla wegetarianina. Banan dla wegetarianina to prawdziwy przysmak. Pyszny, pachnący, słodki, kremowy, tłusty, przyjemnie sycący, ani kwaśny, ani gorzki, a przy tym dozwolony, bo roślinny: ostatecznie to owoc, chociaż niezwykle odżywczy. Na przyjemność z nim związaną może skusić się nawet najbardziej restrykcyjny weganin. Dlatego w Aum powtarzali nam ciągle, żebyśmy nie jedli tylu bananów. Źle mówiono o tych, którzy jedli ich zbyt wiele. Ale gdy się pojawiały, znikwały w ciągu dziesięciu minut.

Kiedy stałem się pełnoprawnym członkiem zakonu, zacząłem dosyć często widywać Asaharę osobiście. Kontakt z tak wybitnym człowiekiem uważałem za niesłychany zaszczyt. Wydawało mi się niewiarygodne, że on i ja przebywamy w tym samym pomieszczeniu, nawet jeśli oprócz nas przebywało w nim kolejne dwieście osób. To był prawdziwy cud: móc go słuchać, jak mówi, jak śpiewa. Powtarzał nam, że jesteśmy jedynymi czystymi jednostkami, bo świat gnije, społeczeństwo nas zdradziło, jego wartości zabijają wszystko wokół, a my, tutaj, w dojo, znajdujemy się już na granicy świata bogów. Jeszcze kilka kroków i tę granicę przekroczymy. Czasami odnosiłem wrażenie, że któryś z długich korytarzy ośrodka może prowadzić wprost do tego świata bogów, o którym tak często wspominał Asahara.

Któregoś dnia zobaczyłem go, jak lewituje.

– Słucham? – rzuciłem, niemal podskakując na swoim fotelu. – Daj spokój, Noboru.

– Przysięgam – oświadczył z powagą. – Asahara twierdził, że moce *siddhi* nie mają zbyt wielkiego znaczenia, lecz jeśli będziemy wytrwale ćwiczyć, ujawnią się w nas w sposób naturalny. Lewitacja, telekineza, jasnowidztwo, dalekosztoszenie, chodzenie po wodzie...

– Ale to nieprawda, że widziałeś go, jak lewitował.

Noboru milczał dłuższą chwilę.

– Owszem, widziałem – powiedział. – Nie wiem tylko, czy to, co widziałem, było prawdą.

– To bez sensu – mruknąłem. – Jak widziałeś, to widziałeś. Człowiek wie, co oglądał na własne oczy. Tak samo jak wie, czego nie oglądał.

Noboru znowu umilkł. Przymknął oczy i tak siedział. Długo – aż uznałem, że zasnął i nasza rozmowa dobiegła końca. Wtedy wszakże uniósł powoli powieki i ponownie na mnie spojrzał. Zawsze zdumiewał mnie smutek jego twarzy.

– Nie wiem, John – szepnął. – To, co mówisz, brzmi logicznie. A przecież w jakiś sposób nie wydaje mi się prawdziwe. Skąd masz pewność, że to, co widzisz, rzeczywiście istnieje? Skąd masz pewność, że oczy cię nie zwodzą? Ostatecznie to nie one widzą, lecz mózg.

– To prawda – przytaknąłem. – Ale skoro coś widzisz, to znaczy, że coś *jest*.

– Czasem widzisz coś, a niczego nie ma – odrzekł. – A czasem coś jest i tego nie widzisz.

W Kameido mieszkali zarówno mężczyźni, jak kobiety i relacje między nimi, jak opowiedział mi Noboru, układały się przyjaźnie. Strojem zakonnym była biała bawełniana tunika do ud, maskująca kształty ciała. Kobiety, zwyczajem wielu zakonnicek, strzygły się krótko, nie nosiły, rzecz jasna, biżuterii ani makijażu, lecz mnie i tak zaczęła się podobać pewna dziewczyna, zatrudniona, podobnie jak ja, w biurze. Siedziała po drugiej stronie wielkiego pomieszczenia podzielonego przepierzeniami i oświetlonego jarzeniówkami. W ośrodkach Aum wszystko musi być funkcjonalne, rozumiesz? Wszystko: meble, oświetlenie, odzież, cele do spania. Jarzeniówki dobrze się sprawdzają: są tanie, zużywają mało energii i świecą mocno. Tamta dziewczyna, Kumiko, miała dwadzieścia sześć lat i była chemiką, specjalizowała się chyba w paliwach do rakiet i pracowała w Ministerstwie Nauki. Jako krótkowidzka używała grubych okularów w rogowej oprawce, choć nieustannie próbowała otworzyć w sobie szóstą czakrę i w ten sposób poprawić swój wzrok. Mimo że nosiła okulary od trzynastego roku życia, narzuciła sobie obowiązek pozbycia się ich poprzez trening w ciągu sześciu miesięcy. Tego typu osobiste krótkoterminowe zadania stawiało przed sobą wielu członków Aum. Czasem pod byle pretekstem podchodziłem do jej stołu

i przez chwilę z nią rozmawiałem. Była bardzo ładna, miała mały, zaokrąglony nos, duże ciemne oczy o długich rzęsach i śliczne, zmysłowe usta. Szczególnie podobały mi się te jej usta i jej delikatne uszy o niemal przezroczystych, jakby zrobionych z różowego wosku płatkach, które kojarzyły mi się też z kroplami zamarznętej wody. Podobały mi się jej dłonie o długich, eleganckich palcach i sposób, w jaki zwykła przytrzymywać kubek z kawą – opierając go o pierś, jakby chciała poczuć jego ciepło. Była krucha i urocza jak mała królowa śniegu. Często siadywała na swoim krześle po turecku. Jak wszyscy w Aum wkładała na stopy grube białe skarpety. Którejś nocy pojawiła mi się w śnie erotycznym, więc uznałem, że się w niej zakochuję. W tym śnie całowała całą moją twarz i szyję, a ja pieściłem przez tunikę jej piersi. Mruczała mi do ucha: „Tak, koteczku, tak, ściśnij je, są dla ciebie”. Wizja jej wypowiadającej te słowa i oferującej mi swoje piersi pobudziła mnie do tego stopnia, że tamtej nocy miałem polucję. Musiałem wstać i uprać pościel oraz piżamę. Nazajutrz tak się wstydziłem, że nie umiałem spojrzeć Kumiko w oczy. Zintensyfikowałem swój trening, przerażony, że oto znów wpadłem w szpony rozpusty. Prześladował mnie głos Kumiko nazywającej mnie na ucho „koteczkiem”. Potem zobaczyłem, że na ekranie jej komputera widnieje biały kotek. Spytałem, co to za obrazek, na co odparła, że to rysunek jej młodszej, ledwie dziewięcioletniej siostry. Kotek był śliczny, zapewne przerysowany z jakiegoś plakatu lub komiksu, bo doskonały. Na szyi miał różową wstążkę, a napis pod spodem głosił: „Dla mojej siostry Kumiko”. Mogło to dziwić o tyle, że nikt z nas nie posiadał żadnych osobistych pamiątek. Tego rodzaju rysunek musiał jedynie wzmacniać „ja” Kumiko, podczas gdy w Aum wszyscy właśnie usiłowaliśmy się go pozbyć, jako że to przez nie cierpieliśmy, goniąc za przyjemnościami. Niemniej fakt, że pozwolono jej zatrzymać tego kotka, czynił ją w moich oczach jeszcze bardziej wyjątkową, zupełnie jakby była najprawdziwszą księżniczką, istotą odmienną od pozostałych. Teraz już prawie nigdy nie patrzyłem jej w oczy, a odgadując pod tuniką zarys jej piersi, czerwieniałem.

Aby zwalczyć pożądanie, narzuciłem sobie wyjątkowo surowy rytm hathajogi i pranajamy. Zresztą i tak przez cały czas ćwiczyliśmy albo powtarzaliśmy mantry i sutry. Postanowiłem wytrzymywać najtrudniejsze pozycje godzinami, aby ukarać swoje ciało, wychodząc z założenia, że czując ból, nie będę czuł żądz. Dlatego związywałem sobie członki dwoma skórzanymi, spiętymi razem pasami i trwałem dzięki temu w najwymyślniejszych pozach. Na przykład

siadałem w pozycji lotosu, która w pełnej wersji ledwie mi wychodzi i której nie potrafię utrzymać dłużej niż przez dziesięć minut, unieruchamiałem sobie nogi pasami i zastygałem w bezruchu. Po dwudziestu minutach ból stawał się nie do zniesienia. Mięśnie, stawy, ścięgna, nerwy, kości – wszystko zdaje się przy tym rwać i pękać. Mięśnie boleśnie się napinają, stawy płoną, ścięgna to samo, nerwy ślą do mózgu rozpaczliwe wołanie o pomoc. Mało brakowało, a zafundowałbym sobie kilka trwałych urazów, i do dziś od czasu do czasu pobołowają mnie kolana i kostki. Niemniej jest coś rozkosznego w zadawanym samemu sobie fizycznym bólu i w autodestrukcji, zwłaszcza jeśli ciało długo nie dostaje zwykłej porcji przyjemności. Tamto doświadczenie skłoniło mnie do myśli, że ból stanowi, być może, najlepszy jej substytut. Albowiem przeżywałem go wręcz lubieżnie. Nie wiem, czy wiesz, o co mi chodzi. Chyba trzeba tego doznać, by to zrozumieć. Lubieżność, łechtanie nerwów, rozumiesz? Nawet jeśli nie poprzez pieczętę, lecz przez torturę.

– Dziwi mnie, że uprawialiście tyle jogi – odezwałem się wtedy. – To chyba niezbyt japoński zwyczaj.

– Niezbyt japoński, owszem. Jednakże to właśnie joga stanowiła bazę dla nauczania Aum Shinrikyō. Mistrz inspirował się szczególnie tekstami tantrycznymi, które zaadaptował do swoich potrzeb. Zresztą wiele osób wstępowało do Aum tylko po to, by uprawiać jogę, jakby chodziło o zwykłą szkołę. Zupełnie jak ci Hiszpanie, którzy ćwiczą też tutaj, na wyspie, widziałeś?

– Tak – odparłem. – Kilkoro z nich to moi znajomi. Poza tym zaprzyjaźniłem się z ich guru.

– Zaprzyjaźniłeś się? Nie, nie, jesteś w błędzie – zaprotestował Noboru. – Nie da się „zaprzyjaźnić” z przywódcą sekty.

Wyjaśniłem, że, moim zdaniem, działalność moich przyjaciół nie ma nic wspólnego z przynależnością do żadnej sekty i że Carlos, dobroduszny brazylijski cieśla, nie wydaje się nikim manipulować ani udawać mesjasza. Powiedziałem, że to on zrobił mi kule i obiecał protezę.

– Jesteś w błędzie – powtórzył Noboru. – Ktoś wykonał te kule na jego rozkaz, po czym wręczono ci je, jakby chodziło o osobisty prezent. To wszystko sposoby, by cię przyciągnąć, dotrzeć do ciebie, sprawić, byś poczuł się wyjątkowy. To wszystko oszustwo, udawanie.

Wiedziałem, że Noboru się myli, i zdałem sobie sprawę, że przygoda z Aum odebrała mu wiarę w człowieczeństwo. Teraz każdy akt dobroci uważał

za wyrachowany i fałszywy.

Opowiem ci, co się stało z Kumiko, podjął. Dalej o niej śniłem i za każdym razem brudziłem ubranie i futon. Wstydziłem się tego – przecież nie byłem już czternastolatkiem! W ciągu dnia gawędziłem z nią, ilekroć się dało, i pewnego razu położyłem jej dłoń na ramieniu, ona zaś przycisnęła moją rękę swoją. Stałem tuż za nią. Oboje patrzyliśmy na ekran jej komputera, na którym widniał jakiś rysunek związany z nagrywarką wideo (zdaje się, że w Aum, ze względu na ciągłe użytkowanie, maszyny te regularnie się psuły), i właśnie wtedy położyłem dłoń na prawym ramieniu Kumiko, niemal dotykając jej szyi. Kumiko zaś przycisnęła moją rękę swoją i tak przez chwilę trwaliśmy. Potem odsunęła rękę, ja też się wycofałem, lecz każde z nas wiedziało, że ten cielesny kontakt nie był przypadkowy, i oboje, jak sądzę, pragnęliśmy, by się powtórzył. Uznałem, że pora zasięgnąć rady u jednego z nauczycieli, i zwróciłem się z tym do jednej z kobiet z najbliższego otoczenia Asahary, bardzo miłej pani Matsumoto, z którą wcześniej kilkakrotnie rozmawiałem. Powiedziała mi, że seksualne pragnienia są normalne i że nie powinienem się tym zadręczać. Że to część mojej psychiki, którą poprzez regularne ćwiczenia uda się stopniowo wyrugować. Kilka dni później zaproponowałem Kumiko wspólną hatha-jogę, a gdy znaleźliśmy się sami, objąłem ją. Nie opierała się, lecz zeszywniała jak kawałek drewna. Wyznałem, że się w niejkocham, myślę o niej od rana do wieczora, śnię co noc, czuję się bardzo nieszczęśliwy i nie potrafię zapanować nad swoimi uczuciami. Odparła, że muszę odzyskać nad sobą kontrolę, gdyż to, co robimy, to wielki grzech. I się rozplakała. Nie pojmowałem, czemu płacze; nie wydawało mi się, żeby moje wyznanie było wystarczającym powodem do takich szlochów. Przeprosiła i spytała, czy jestem jej przyjacielem. Zapewniłem, że może na mnie liczyć w każdej sprawie, a wtedy opowiedziała mi o czymś, co mnie zmroziło. Wyjaśniła, że od kiedy przystała do Aum, Mistrz okazywał jej uwagę, udzielając jej prywatnych posłuchań i ciągle do niej dzwoniąc. Nie widziała w tym nic dziwnego, cieszyła się z zaszczytu, chociaż zadawała sobie czasem pytanie, czemu go zawdzięcza. Wreszcie Asahara zatelefonował do niej i powiedział, że została wybrana do ścisłego kierownictwa Aum, w związku z czym musi przejść specjalną inicjację. Kumiko poradziła się pani Matsumoto, przyznając się przed nią do swoich wątpliwości. Spytała wprost, na czym polega ta specjalna inicjacja. Pani Matsumoto odrzekła z całą słodyczą, że chodzi o stosunek seksualny z Mistrzem, i dodała, że to bardzo stara tantryczna

ceremonia, w której i ona, i inne panie z Aum też brały swego czasu udział. Powiedziała, że w seksualnym połączeniu z Mistrzem nie ma nic grzesznego i że to prawdziwe wyróżnienie, z którego należy się tylko cieszyć. Od tamtej pory życie Kumiko zamieniło się w koszmar. I właśnie wtedy, szepnęła, ty podszedłeś do mnie i łagodnie położyłeś mi rękę na ramieniu. Zupełnie jakbyś, mój słodki Noboru, potrafił wyczuć moje cierpienie i pragnął mnie pocieszyć. Dorzuciła, że teraz Asahara wydzwania do niej codziennie i że tego popołudnia spytał ją, kiedy miała ostatnią miesiączkę.

Powiedziała, że nie wie, co robić, że szarpie się między lojalnością względem Mistrza a odrazą, jaką Asahara wzbudza w niej jako mężczyzna. Spytałem, czy wcześniej była dziewczyną, na co odrzekła, że przed wstąpieniem do Aum prowadziła rozwiązłe życie i sypiała z wieloma, i że to nie o dziewictwo tu chodzi, tylko o poczucie, że to, co robi Asahara, jest nie w porządku. Odparłem, że Mistrz jako Byt Całkowicie Spełniony znajduje się już poza dobrem i złem i że nie nam osądzać subtelności jego tantrycznych nauk. Tak, w Aum człowiek uczył się tak mówić, wyrażać dokładnie odwrotność tego, co czuł, ukrywać prawdę pod wyuczonymi formułkami. Ja, zwracając się w ten sposób do Kumiko, ukrywałem, jak sędzę, straszliwą frustrację, jaką wywołały we mnie jej zwierzenia, i usiłowałem usprawiedliwić molestowanie, jakiemu poddawał ją Asahara.

Kumiko była prześliczna, więc nic dziwnego, że podobała się również Mistrzowi. Nie wiem, pewnie nawet ślepiec potrafi się cieszyć kobiecą urodą, choćby odczuwał ją wyłącznie poprzez dotyk. Miesiączka Kumiko kończyła się dwa dni później, toteż trzeciego dnia Asahara zadzwonił z wiadomością, że wszystko jest gotowe do inicjacji. Kumiko powiedziała, że ona nie czuje się gotowa, jednakże mimo wszystko nie mogła nie posłuchać bezpośredniego rozkazu Mistrza. Poszła więc do pokojów, które zajmował, gdy bawił w Kameido. Powitał ją uprzejmą rozmową, wyrażając zaniepokojenie jej postępowaniem. Potrafił przejrzeć człowieka na wylot, tłumaczył mi Noboru, niczego się nie dało przed nim zataić. Wiedział, co myślisz, co zrobiłeś i co zamierzasz. To było wręcz fascynujące – no i mile łechtano próżność. Choć, owszem, również przerażało, szczególnie jeśli ktoś chciał coś ukryć albo czegoś się wstydził. Asahara próbował całować i pieścić Kumiko, lecz ona pozostawała nieruchoma i zimna niczym posąg. Zapewne podobnie jak wtedy, gdy objął ją mały Noboru, najmniej znaczący z całej rodziny mało znaczących robaków. Sztywna niby kawałek drewna, obojętna na awanse Mistrza, który

wkrótce znużył się i ją odprawił.

Opowiedziała mi to wszystko następnego wieczoru. Czułem się rozdarty. Poprosiła mnie, żebym z nikim o tym nie mówił, ponieważ Asahara uprzedzał, że cokolwiek zdarzy się między nimi dwojgiem, musi pozostać tajemnicą. Zdaje się, że wezwał ją do siebie ponownie, a ona znowu odepchnęła go swoim chłodem, więc w końcu na dobre zrezygnował.

Począwszy od tego momentu, Kumiko stała się bardzo dziwną osobą. Usiłowałem z nią znów porozmawiać, ale przyjmowała moje starania obojętnie i nigdy więcej się przede mną nie otworzyła. Przy jakiejś okazji raz jeszcze położyłem dłoń na jej ramieniu, by dać jej do zrozumienia, że jestem obok, że wciąż oferuję jej swoją przyjaźń i że może mi zaufać. Tym razem nie zareagowała. Siedziała bez ruchu, a ja odnosiłem wrażenie, że w ogóle mnie nie zauważa. Dałem jej na kilka dni spokój i spróbowałem znowu. Zachowywała się naprawdę dziwnie. Nie żeby się na mnie gniewała albo mnie unikała. Nie, trwała przed swoim komputerem, lecz czasami mijały godziny, a ona się nie ruszała, nie tykała klawiatury. Siedziała bez ruchu, nie widząc gwiazdek wygaszacza ekranu, jakby odbywała własną podróż gdzieś w kosmosie. Pamiętasz te dawne wygaszacze ekranu – z gwiazdkami, które sunęły w twoją stronę, jakbyś leciał między nimi z prędkością światła? Pytałem, co się dzieje, nawiązywałem do naszej poprzedniej rozmowy – na próżno. Czasem zdawała się wydobywać z tego stuporu i coś tam mi odpowiadała na odczepnego, kiedy indziej mówiła od rzeczy. Działo się z nią coś strasznie dziwnego, co uniemożliwiało jej pracę. Zauważyłem, że ma na szyi znaki – jakby sznur drobnych oparzeń. Dopytywałem się, co to takiego, a ona patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała i jakby nie wiedziała, kim jestem.

Niedługo potem przenieśli ją do Ministerstwa Spraw Społecznych, gdzie zajmowała się sprzątaniami i praniem. Nie rozumiałem, co się dzieje. Odbyłem na ten temat rozmowę z jednym z nauczycieli, panem Ryuku, któremu powiedziałem, że się o Kumiko martwię. Pan Ryuku spytał – dosyć ostro – czy złamałem z nią śluby, a ja zapewniłem go, że nie o to chodzi. Oświadczył, że stan Kumiko nie ma ze mną nic wspólnego. Że ma za to wiele wspólnego z karmą, z *niewiedzą* i nawrotem stanów animalnych, przez co konieczne okazały się „specjalne środki”.

Później dowiedziałem się, na czym one polegały. Chodziło o sesje elektrowstrząsów. Stąd wzięły się znaki na szyi Kumiko – blizny po nich musiały jej zostać na resztę życia. Ofiary takiej „terapii” pogrążały się

w niemal całkowitej amnezji. Nie pamiętały, co się z nimi dzieje, nie potrafiły zorientować się w sytuacji. Nic zatem dziwnego, że Kumiko nie mogła pracować przy komputerze i została oddelegowana do prostszych zadań.

Nie wiem, gdzie odbywały się te sesje. Organizacja miała swój szpital w okręgu Nakano: prawdziwy szpital z wykwalifikowanym personelem medycznym, jednakże sędzę, że elektrowstrząsy aplikowano Kumiko w nadmiarze i to bynajmniej nie w celach terapeutycznych, tylko w ramach kary – żeby poniżyć ją i zdominować.

Wkrótce potem zostałem wysłany z misją specjalną poza Japonię, a kiedy wróciłem, Kumiko nigdzie już nie spotkałem.

Czasem się zastanawiam, co się z nią stało.

Lata spędzone w Aum są dla mnie jak sen, mówił dalej Noboru. Sen oświetlony przez jarzeniówki zwisające z iluzorycznych sufitów. Sen spowity ich mlecznym, zimnym blaskiem. Sekta nabyła kawałek gruntu gdzieś w Australii Zachodniej, na jednym z bardziej pustych obszarów planety. Nazywało się to Banjawarn Station, choć gdy tam dotarliśmy, zastaliśmy gołą ziemię. Jaki sens ma nadawanie równie szumnej nazwy miejscu, gdzie nic nie ma? Przypuszczam, że Banjawarn to słowo z języka Aborygenów, przy czym ich również nie było nigdzie widać: dookoła rozciągała się nieskończona czerwona pustka usiana szarawymi krzakami i powykręcany eukaliptusami. Banjawarn Station obejmowała teren o powierzchni pół miliona akrów, a znajdowała się osiemset kilometrów na północ od miasta Kalgoorlie. Najbliżej położone miasteczko nazywało się Leonora. Poza tym nie było tam nic, jedynie czerwona ziemia, krzaki i owce, mnóstwo owiec. Nigdy nie widziałem aż tylu, sam wiesz, że w Japonii prawie ich nie hodujemy. Szczerze mówiąc, bardzo się ich bałem. Nie znam innego tak przeraźliwie brzydkiego zwierzęcia. Te ich pyski, bierne i okrutne zarazem, to żalosne beczenie – skarga, która nie jest skargą, jęk, który nie jest jękiem; to całkiem nieświadome pogodzenie się z losem... W porównaniu z owcami krowy i byki wydają się wręcz majestatyczne, po królewsku godne. Świnie, choć brudne, przynajmniej mają osobowość, bywają gwałtowne i niebezpieczne. A owce...?

Tak, byłem w Banjawarn Station. Zostałem wybrany, gdyż dobrze znałem angielski – i tylko dlatego. Moje ministerstwo nie miało nic wspólnego z realizowanym tam przedsięwzięciem, podlegającym Ministerstwu Nauki. Spędziliśmy w Australii miesiąc, zabiegając o pozwolenia, podpisując umowy

i składając w odpowiednich instytucjach plany budynków zaprojektowanych przez architektów Aum, chociaż prędko odkryliśmy, że w Australii Zachodniej można zrobić właściwie wszystko, nikomu się z tego nie tłumacząc, zwłaszcza jeśli się jest właścicielem pół miliona akrów ziemi. Początkowo wszyscy cieszyliśmy się z przełamania dotychczasowej rutyny, z tego, że mamy na sobie normalne ubrania (ja na podróż przywdziałem nawet marynarkę i krawat, chciałem być elegancki) i że jedziemy na lotnisko, skąd lecimy do Sidney i dalej do Perth. Otwarta przestrzeń, poczucie, że znalazłem się w nowym świecie, na obcym kontynencie – wszystko to napełniało mnie radością. W Perth wynajęliśmy kilka samochodów, którymi pojechaliśmy do Kalgoorlie i stamtąd do Banjarn Station. Nie pamiętam, ile dni nam to zajęło. Wydaje mi się, że trzy, może cztery. Cztery dni ciągłej jazdy przez najbardziej monotony krajobraz, jaki można sobie wyobrazić: po czerwonej równinie rozciągającej się we wszystkie strony i przeciętej prostą, idealnie prostą drogą. Powiedziano mi, że w Australii najdłuższy odcinek bez zakrętów ma sześćset kilometrów. Nie rozumiem, jak w takich warunkach prowadzić samochód, nie zjeżdżając z drogi, nie zasypiając albo – przynajmniej – nie wpadając w ekstazę. Boże mój! Wyobrażasz sobie *sześćsetkilometrową* prostą? W Japonii byłaby to połowa kraju. Na szczęście Australijczycy również jeżdżą lewą stroną drogi. Przynajmniej tyle podobieństwa z moją ojczyzną, bo poza tym to już żadnego.

Te odległości, to niepojęte marnotrawstwo przestrzeni, ta cała pustka! Czyżby Bóg, gdy tworzył świat, zapomniał o Australii? Zapomniał wypełnić ją, jak Japonię, dolinami, górami, kwiatami, zwierzętami, ciepłymi źródłami, zamkami czy wodospadami? Panował straszny upał i trzeciego dnia jazdy w linii prostej przez tę czerwoną pustynię wszyscy chyba podupadliśmy na duchu. Poza tym nie mogliśmy podróżować nocami, żeby trochę to skrócić. W Australii nie wolno prowadzić auta nocą, bo po zmroku kangury wychodzą na drogi, żeby grzać się na asfalcie, i łatwo wtedy o wypadek. Duże są te kangury. Myślałem, że to zwierzęta niewiele większe od kota, a tymczasem dorosły osobnik dorównuje wzrostem człowiekowi.

Nasza praca polegała na werbowaniu miejscowych robotników budowlanych i, jak już mówiłem, na załatwianiu formalności. Ziemia była przeznaczona pod hodowlę, jednakże owce nie interesowały Aum nawet w najmniejszym stopniu. Pośrodku tej ogromnej posiadłości wzniesiliśmy dwa budynki o podziemiach znacznie rozleglejszych niż to, co widać było z góry,

z satelitów, doprowadziliśmy tam prąd i linię telefoniczną, i wykopaliśmy studnie głębinowe. Tłumacz, za którego służyłem, szybko przestał być potrzebny i gdy prace ruszyły pełną parą, wróciłem do Japonii, tyle że tym razem poleciałem awionetką z Leonory do Kalgoorlie, a stamtąd lotem krajowym do Perth. Australijczycy śmiali się, gdy słyszeli, że w tamtą stronę pojechaliśmy samochodem. Mówiłem im, z uprzejmości, że pragnęliśmy podziwiać pejzaż, z czego śmiali się jeszcze bardziej.

Musiało minąć dużo czasu, nim zrozumiałem, do czego sekta potrzebowała tej odległej stacji. W tamtejszych podziemiach zainstalowano laboratorium chemiczne, gdzie miała powstawać broń masowego rażenia. To tam wyprodukowano gaz użyty potem do ataków na tokijskie metro. W planach były również bomby atomowe i zdaje się, że Asahara miał nawet dostęp do jakichś złóż uranu na Hokkaido i że zatrudnił dwóch rosyjskich naukowców wyspecjalizowanych w broni jądrowej. Tam, w sercu Australii, moi mili towarzysze z Aum, wegetarianie, którzy jedzenie ryb czy steków uważali za zbrodnię i skrupulatnie przestrzegali zakazu zabijania szczurów czy karaluchów uprzykrzających im życie, zajmowali się fabrykowaniem sarinu, wypróbowywanego potem na miejscowych owcach. Część z nich od razu padała trupem, inne zaczynały dyszeć i się ślinić, jeszcze inne traciły wzrok albo zdolność ruchu. Ponieważ były owcami i nie rozumiały, co się dzieje, nie próbowały uciekać. Zginęło ich w ten sposób dwadzieścia dziewięć. W tokijskim metrze umarło trzynaście osób, pięćdziesiąt cztery odniosły poważne obrażenia, przy czym część znalazła się w stanie wegetatywnym, tysiąc dalszych mocno się zatruiła, a kolejnych sześć tysięcy ucierpiało w mniej bezpośredni sposób. Zakładam, że różnica między ludźmi a owcami polega na tym, że ludzie usiłują uciekać, gdy wyczuwają zagrożenie. Choć nie zawsze, w związku z czym można by powiedzieć, że niejednokrotnie owce i ludzie to zwierzęta bardzo do siebie podobne.

Może dlatego właśnie owce wydawały mi się takie brzydkie: bo ich pyski przypominały ludzkie twarze. Pamiętaj, że nigdy wcześniej nie widziałem ich z bliska. Za przeproszeniem, drogi Johnie, miałem wrażenie, że wyglądają jak ludzie Zachodu. Tak, nas, Japończyków, zawsze zdumiewa, że twarze ludzi Zachodu są takie... Jakiego słowa tu użyć? Wystające? My mamy twarze dość płaskie, dużo bardziej płaskie niż wy, białym natomiast zawsze sterczą kości policzkowe i nos, i te wydatne wargi, i zęby, no, zupełnie jak u owiec. Proszę, wybac, mam nadzieję, że się nie obrazisz. Wielu Japończyków uważa, że

twarze białych są zwierzęce, i czasem dzieci, widząc białego po raz pierwszy, zaczynają płakać ze strachu. Dawniej zresztą nazywaliśmy was „diabłami”, właśnie ze względu na wygląd. Te wielkie uszy, gęste brwi, małpie czoła, okrągłe, wylupiaсте oczy, czerwona, ogorzała skóra, ogromny nochal z wyraźnie widocznymi, zadartymi jak u świń nozdrzami... Tak, zdaniem wielu ludzi Wschodu biali przypominają wieprze. Zwłaszcza kiedy się śmieją, pokazując zęby i język, otwierając usta tak, że widać im niemal struny głosowe. Poza tym wszędzie macie włosy: w nosie, w uszach, na rękach... To brzydkie, takie małpie. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? My, ludzie Wschodu, a zwłaszcza Japończycy, potrafimy być straszliwymi rasistami. Cóż, pewnie jak wszyscy. Większość Japończyków sądzi, że biali, na przykład Amerykanie (choć, prawdę mówiąc, nikt nie zna ich wielu) są niezgrabni, hałaśliwi, brudni i niewykształceni. Panuje też powszechne przekonanie, że nie grzeszą rozumem. Przy czym my, Japończycy, zbytnio nad białymi górujemy, jesteśmy zbyt wyrafinowani, by okazać im pogardę, i zawsze traktujemy ich jak najuprzejmiej.

– Rozumiem – powiedziałem.

W Banjawarn Station zaszło coś jeszcze. Wkrótce po tym, jak powstały tam zabudowania należące do Aum, zdarzył się pewien incydent. To było dwudziestego ósmego maja 1993 roku. Silny wstrząs sejsmiczny został zarejestrowany przez liczne australijskie obserwatoria, a jego epicentrum znajdowało się właśnie w Banjawarn.

Nikt dokładnie nie wie, co się tam stało. Kilku kierowców ciężarówek przejeżdżających wtedy w pobliżu twierdziło, że widzieli coś jakby blask wybuchu na niebie. Dlatego zwolennicy teorii spiskowych jęli przekonywać, że chodziło o detonację bomby atomowej. Eksplozja była *sto siedemdziesiąt* razy silniejsza od najsilniejszej notowanej wcześniej w Australii, co, rzecz jasna, wykluczało możliwość, jakoby użyte zostały tradycyjne materiały wybuchowe w rodzaju dynamitu czy nitrogliceryny.

Inne wyjaśnienia mówiły o meteorycie albo zwykłym trzęsieniu ziemi. Jednakże meteoryt, który wywołałby podobny wstrząs, musiałby zostawić po sobie krater o średnicy jakichś dwustu siedemdziesięciu metrów. Co zaś do trzęsienia ziemi – czy nie było zbyt uderzającym zbiegiem okoliczności, że jego epicentrum znajdowało się dokładnie w tym odległym zakątku Australii Zachodniej, gdzie mieściły się laboratoria Aum Shinrikyō? Poza tym jak w takim razie wyjaśnić ów blask na niebie?

Przeprowadzono dochodzenie, a wiadomość o tym, że wybuch mógł mieć związek z wyprodukowaną przez Aum bombą atomową, ukazała się nawet w „New York Timesie”. Nie znaleziono wszakże dowodów na to, by w Banjawarn używano materiałów radioaktywnych, i w końcu Oddział Geonauki Miejskiej Australijskiej Organizacji Geologicznej uznał, że cały incydent wpisuje się w aktywność sejsmiczną obserwowalną na tym obszarze i że w związku z tym najprawdopodobniej istotnie chodziło o trzęsienie ziemi.

Zupełnie jakby Australia odczuła ukąszenie zła na swojej ciągnącej się po horyzont czerwonej skórze i zadygotała.

Począwszy od tego momentu sekta pogrążała się stopniowo w całkowitym szaleństwie. My oczywiście nic o tym wtedy nie wiedzieliśmy i wielu spośród tych, którzy wciąż do niej należą – a teraz nazywa się Aleph i oficjalnie odrzuca pełne przemocy dziedzictwo Asahary – nadal nie ma o niczym pojęcia.

Wydawałoby się, że ataki chemiczne w tokijskim metrze stanowiły odosobniony epizod, rodzaj chwilowego amoku, który ogarnął grupkę niezrównoważonych jednostek. Ale to nieprawda. Z Aum wiąże się również cała masa innych ponurych historii. Na przykład morderstwo popełnione na rodzinie Sakamoto. Tsutsumi Sakamoto był prawnikiem, specjalistą od sekt, który wytoczył Aum proces. Po tym, jak pewnego razu wystąpił w telewizji, znikł razem z żoną i synem. Upłynęło dużo czasu, nim policja ustaliła, że wszyscy zostali porwani i zabici przez ludzi Asahary.

Zwierzchnictwo Aum planowało morderstwa wielu innych osób, które krytykowały sektę lub ośmieszały ją. Próbowano zabić choćby karykaturzystę Yoshinoriego Kobayashiego. Grożono też śmiercią tym, którzy usiłowali odejść. Albo ich rodzinom. Kiedyś pewna należąca do Aum kobieta uciekła, a wtedy sekta uprowadziła jej siedemdziesięciodziewięcioletniego brata, Kiyoshiego Kariyę, i zabrała go do Kamikuishiki, do dojo nieopodal góry Fudzi. Porwali go z ulicy, po tym jak tygodniami nękali go telefonicznie, grożąc, że jeśli nie zdradzi miejsca pobytu siostry, drogo za to zapłaci. Pan Kariya zostawił list: „Jeśli zniknę, to przez Aum Shinrikyō”. I tak się właśnie stało: uprowadzili go, zabili, spalili jego ciało w mikrofalowym piecu, a szczątki wrzucili do jeziora Kawaguchi.

Lista dokonanych przez sektę wymuszeń, szantaży, zabójstw i prób zabójstwa nie ma końca. Wyprodukowane przez Aum sarin i gaz VX posłużyły w wielu atakach, zwłaszcza w tym na miasteczko Matsumoto, stanowiącym ni

mniej, ni więcej tylko coś w rodzaju próby generalnej przed zamachem w Tokio. Sarin i gaz VX zabiły tam osiem osób i zatrwały mniej więcej dwieście. Po tym „sukcesie” kierownictwo Aum uznało, że uwolnienie trujących gazów w przestrzeni zamkniętej, takiej jak metro, pozwoli podnieść liczbę ofiar do setek, a może i tysięcy.

Sarin to typ broni chemicznej. Atakuje bezpośrednio układ nerwowy. Jest wysoce lotny i wchłania się przez skórę. Niektórzy uważają że jego nazwa pochodzi od gwiazdy znajdującej się siedemdziesiąt dziewięć lat świetlnych od Ziemi, lecz to nie tak. Został wynaleziony w Niemczech w 1938 roku przez zespół badaczy pracujących nad silnym pestycydem i ochrzczonego pierwszymi literami ich nazwisk: Schrader, Ambros, Rüdiger i van der Linde. W roku 1939 armia niemiecka zaczęła produkować go na wielką skalę jako broń chemiczną, niemniej naziści nie zdołali go w czasie drugiej wojny światowej wykorzystać.

Saddam Husajn używał go za to w atakach na północnoirakijskich Kurdów. To między innymi sarinem Ali „Chemik” zbombardował miasto Halabdża, gdzie wskutek tego zmarło pięć tysięcy ludzi.

Objawy zatrucia tym gazem to, między innymi, katar, skurcz w klatce piersiowej i zwężenie źrenic. Później dochodzą trudności z oddychaniem, wymioty, utrata kontroli nad ciałem, ślinienie się, bezwiedne oddawanie moczu i stolca oraz drgawki. Na koniec ofiara zapada w śpiączkę i dusi się w konwulsjach. Istnieją antidota – skuteczne, jeśli poda się je zaraz po zauważeniu pierwszych objawów. Przy braku odpowiedniej opieki medycznej nawet mniejsze, nieśmiertelne dawki sarinu mogą wywołać trwałe uszkodzenia neurologiczne.

Sekta zbroiła się na potęgę. Kiyohide Hayakawa, szef Ministerstwa Infrastruktury, zaczął jeździć do Rosji i kupować tam broń, przede wszystkim kałasznikowy AK-47, choć nabył również helikopter Mi-17, znaleziony potem w ośrodku u stóp góry Fudzi. Próbowano też produkować karabiny na własną rękę. Do Aum należało kilku byłych funkcjonariuszy KGB, z których część została później zresztą zatrzymana. Nie wiem, jak wiele sztuk broni udało im się zmontować, faktem jednak pozostaje, że ja nigdy nie widziałem w żadnym ośrodku ani jednej. Dlatego na początku sądziliśmy, że to wszystko kłamstwa rozpowszechniane przez rząd celem zdyskredytowania Aum i uwięzienia Asahary.

Kiedy jednak policja zaczęła przeszukiwać należące do sekty budynki,

wyszły na jaw najróżniejsze makabryczne szczegóły. W Kamikuishiki, „na granicy ze światem bogów”, tam, gdzie ja widywałem bóstwa wcielone w ludzi, znaleziono materiały wybuchowe, broń chemiczną, próbki węgla i ściągniętego z Zairu wirusa Ebola, a także laboratorium do produkcji metamfetaminy, LSD i rudymenarnej wersji „serum prawdy”, nie wspominając o wielkich zapasach substancji koniecznych do wytwarzania sarinu. Przypuszczam, że w planach było uśmiercenie tysięcy lub wręcz dziesiątków tysięcy ludzi, być może poprzez rozpylenie zabójczego gazu z powietrza. Natknięto się też na sejf z milionami dolarów w banknotach i złocie, jak również na cele, klitki bez wentylacji, z przetrzymywanymi wewnątrz więźniami. Niektórych rzeczy nie udało się wyjaśnić: końskich strzykawek, dziesiątek uwięzionych psów... Nadal nie wiadomo, do czego miały służyć. Może do testowania broni chemicznej.

Boże mój, powiedział Noboru, kuląc się i kołyszając w przód i w tył, Boże mój, Boże. Broń, narkotyki, wirus Ebola, trucizny, więźniowie – w tym samym domu, w którym nie pozwalano nam rozgniatać na podłodze karaluchów i przekonywano nas, że zabicie szczura czyni z człowieka mordercę! Boże mój, Boże! I ci ludzie powtarzali nam, że dotykanie kobiety oznacza nieuchronne piekło!

Spytałem, co się stało po atakach w tokijskim metrze.

Ja nic o nich nie wiedziałem, odrzekł Noboru, jakby chciał się bronić. Nic nie wiedziałem. Pracowałem wtedy w Ministerstwie Wywiadu.

Do ataków w tokijskim metrze doszło dwudziestego marca 1995 roku. Ich organizacja była dosyć prosta, ale i tak ćwiczone je w Kamikuishiki do znudzenia. Przygotowano kilka toreb z płynnym sarinem, zamaskowanych dla niepoznaki gazetami. Pięć osób podjęło się wyprawić na pięć stacji metra, pięciu kierowców miało podwieźć je na miejsce i stamtąd odebrać. Uwolnienie gazu z toreb też zaplanowano w najprostszy z możliwych sposobów: zakupiono pięć parasoli o metalowych czubkach i wyostrzono te czubki do maksimum. Każda z osób odpowiedzialnych za rozpylenie sarinu wsiadła do wagonu na wskazanej stacji. Kazano im kolejno: ustawić torby z gazem na ziemi, odczekać, aż pociąg zbliży się do kolejnego przystanku, kilkakrotnie nakłuć torby wyostrzonym czubkiem parasola i spokojnie wysiąść. Samochód czekający nieopodal miał potem zawieźć każdego z tej piątki w bezpieczne miejsce.

W praktyce wszystko okazało się bardziej skomplikowane. Mimo wielu

prób część toreb nie chciała dać się przekłuć. W paru wypadkach sami członkowie Aum ucierpieli od rozprzestrzeniającego się gazu. Wszyscy mieli na taką okoliczność strzykawkę z antidotum i niektórzy musieli z nich skorzystać.

Sarin działa niemal natychmiastowo. W kontakcie z powietrzem płyn ulatniał się i zaczynał oddziaływać na ludzi dookoła. Pasażerowie szybko zaczęli smarkać i doznawać trudności z oddychaniem. Kilka osób dostało hysterii. W metrze tokijskim zapanował tego dnia całkowity chaos.

Niemal wszyscy bezpośredni sprawcy zostali pojmani, opowiadał Noboru. Tych pięciu na stacjach oraz czterech kierowców. Znikł tylko Katsuya Takahashi. I był jeszcze ktoś: jedenasty obecny w okolicy członek Aum, siedzący w jednym z samochodów i niczego nieświadomy, a jednak siedzący obok w pełni świadomego szofera. I chociaż tego jedenastego członka Aum nigdy nie aresztowano, bo nikt go nie szukał, bo nikt o nim nie wiedział, to gdyby go jednak złapali, jak by im udowodnił, że naprawdę o niczym nie miał pojęcia? Kto by mu uwierzył? Jeden z kierowców poprosił tę jedenastą osobę, by mu towarzyszyła i kupiła gazety potrzebne do zamaskowania toreb z sarinem. Myślę, że to się nie mieściło w pierwotnym planie i że ten człowiek, który mnie o to poprosił, bał się i pod żadnym pozorem nie chciał opuszczać auta. Tak wyglądał mój udział w zamachach, o których nie miałem pojęcia. Wiedziałem jedynie, że tego dnia sekta zamierzała dokonać czegoś ważnego, godnego zapamiętania. Kupiłem, co mi kazano, a potem wsiadłem z powrotem do samochodu, w którym znajdowali się kierowca oraz jeszcze jeden mężczyzna z tyłu. Podałem mu gazety. Później zatrzymaliśmy się przy stacji metra i mężczyzna z tyłu wysiadł, i zszedł na dół z torbą i parasolem.

Pomysłodawcy i wykonawcy zamachu zostali później skazani na śmierć. Kierowcy tamtych pięciu aut – na dożywocie. Rozumiesz? Gdyby ktoś się dowiedział, że tam byłem, moje życie dobiegłoby końca. Stanąłbym przed sądem jako członek Aum Shinrikyō, wierny uczeń Shōkō Asahary i pracownik Ministerstwa Wywiadu, poza tym wyszłoby na jaw, że przebywałem jakiś czas w Banjawarn Station, oskarżono by mnie o współudział w zbrodni i również skazano na dożywocie. Wpadłem w panikę.

Pewnie najrozsądniej byłoby uciec. Tylko dokąd? Nie miałem dokąd się udać. Sekta stała się całym moim życiem, moją rodziną, moją pracą, moim domem. Dlatego zostałem w Kameido, usiłując się nie wychylać, podczas gdy mój świat trząsł się w posadach.

Po ataku w metrze i zatrzymaniach członkowie Aum przyczaili się w poszczególnych ośrodkach, otoczonych kordonami policyjnymi, otoczonymi z kolei przez dziennikarzy. Tam, w naszych oświetlonych jarzeniówkami kryjówkach, wszyscy wciąż czciliśmy naszego małego boga, Shōkō Asaharę, nadal powtarzaliśmy mantry i słuchaliśmy z kaset głosu Mistrza recytującego *Sutrę diamentową*, ciągle żywiliśmy się soją i ryżem. Poza tym bez przerwy oglądaliśmy wiadomości i czytaliśmy gazety. Zdumiewało nas, że tylu ludzi wie o nas aż tyle. Po latach wycofanej, niemal mnisiej egzystencji znaleźliśmy się oto w świetle reflektorów. W ten właśnie sposób docierały do nas wieści o zabójstwach, broni, helikopterze i mercedesie Asahary, o milionach dolarów oraz węgliku. A mimo to nasza wiara pozostawała niezachwiana. Zastanawiasz się zapewne, jakim cudem.

To bardzo proste. Dalej wierzyliśmy w Aum, bo, należąc do sekty, to nie my interpretowaliśmy zachodzące wokół wydarzenia. *To sekta interpretowała je dla nas*. Tak ujęte brzmi to głupio. Nawet bardzo. Tyle że tak właśnie to działało. Czytaliśmy na przykład, że pięciu naszych braci rozpyliło sarin w tokijskim metrze, przez co umarło dwanaście, a zatrulo się tysiąc osób, i choć nie wątpiliśmy już, że wszystko to prawda (tylko na początku nie chcieliśmy przyjąć tego do wiadomości), i choć byliśmy tym przerażeni, wciąż spodziewaliśmy się, że Asahara albo przynajmniej ktoś z kierownictwa Aum wytłumaczy nam w końcu, co się naprawdę stało i dlaczego. Innymi słowy: znaliśmy fakty, lecz brakowało nam ich interpretacji. Pamiętam coś, co powiedział pewien chłopak, który przed wstąpieniem do zakonu pracował w rzeźni i całymi latami zabijał pistoletem automatycznym krowy oraz świnię, a teraz żył w przekonaniu, że jest mordercą, ma ręce zbrukane krwią i dźwiga ciężar karmy wszystkich zabitych przez siebie w tej rzeźni stworzeń. Kiedyś, uśmiechając się, powiedział: „Te zamachy w metrze to w gruncie rzeczy próba, na którą wystawił nas Mistrz, aby przetestować naszą lojalność. Gdybyśmy go w tym momencie opuścili, nie sprostalibyśmy zadaniu”. Wielu tak właśnie uważało: że w rzeczywistości to coś w rodzaju próby, „podstępu” ze strony Mistrza, który niedługo całą rzecz nam wyjaśni, z powrotem nadając wszystkiemu sens. Pewna kobieta, która pracowała ze mną w Ministerstwie Wywiadu, a wstępując do Aum, porzuciła męża i dwie córki i przysięgła, że nigdy więcej się z nimi nie spotka, powtarzała: „Tylko Mistrz może przedstawić nam ostateczną interpretację”. To zdanie wywarło na mnie ogromne wrażenie. *Tylko Mistrz może przedstawić nam ostateczną*

interpretację.

Jednakże Asahara nigdy jej nie przedstawił. W ogóle nic nie powiedział. Wiedziałaś o tym? Shōkō Asahara o hipnotycznym głosie, ten, który umiał otworzyć czakrę gardła i naśladować całą skalę fortepianu, po aresztowaniu całkiem zamilkł. Nie odzywał się w celi. Nie odzywał się do swoich uczniów. Nie odzywał się w czasie rozprawy. Nie wygłosił żadnego oświadczenia dla prasy. Nie odpowiedział na żadne pytanie prokuratora. Nie zaszczyił choćby słowem ani sędziów, ani nas, ani nikogo.

Jego milczenie przypomina milczenie świata. Krzyczymy, wzywamy Boga, błagamy – a odpowiada nam jedynie cisza.

Czas mijał. Zmieniały się pory roku. Upływały miesiące, a my wciąż siedzieliśmy w Kameido z naszymi karaluchami, zdjęciami Asahary i jarzeniówkami. Wtedy na szczytach władzy zaszła zmiana. Mistrz miał sześcioro dzieci, ale cztery najstarsze to były córki. Dlatego przywództwo organizacji przejęli dwaj mali chłopcy: jego ekscelencja Akiteru Rinpochi i jego ekscelencja Ryokko Rinpochi, pięcio- czy sześciolatek, których fotografie zawisły od razu wszędzie. Najstarsza córka Asahary również wyszła z cienia i zaczęła organizować w ośrodku w Kameido konferencje prasowe. Była zagubioną, gniewną, pryszczatą nastolatką, którą wydarzenia całkowicie przerosły. Dziennikarze pytali ją o wiek, a ona odmawiała odpowiedzi. Nienawidziła prasy, patrzyła wokół z odrazą. Rzadko zresztą podnosiła wzrok i nie ulegało wątpliwości, że zżerają ją wściekłość i gorycz. Rzadko widzi się w Japonii kogokolwiek – a już zwłaszcza młodą kobietę – kto tak wyraźnie objawiałby swoje najintymniejsze uczucia. Przypuszczam, że była przerażona tym, co się dzieje, i do tego zazdrościła młodszym braciom, których zresztą, ze względu na bardzo młody wiek, nawet nie pokazywano publicznie.

Czas mijał, a ja zacząłem się uspokajać. Wydawało się, że opinia publiczna i policja powoli o nas zapominają. Jednakże wraz z początkiem procesów zainteresowanie nami znów się wzmoгло. Zwłaszcza że przy okazji wyszły na światło dzienne kolejne sprawki Aum, jak również nieludzki chłód, z jakim zaplanowane zostały ataki w metrze. Mieszkańcy wielu miejscowości domagali się likwidacji istniejących tam ośrodków Aum. Mówili o panującym u nas brudzie, karaluchach, szcurach i smrodzie. Bali się naszych chemikaliów. Staliśmy się przedmiotem ogólnej nienawiści. Moje lęki wróciły. Całymi dniami umierałem ze strachu, że jeden z oskarżonych zdradzi,

iż brat Shambhala, to znaczy Noboru Endo, znajdował się w jednym z aut, którymi zamachowcy dotarli na stacje metra. Nie było powodu, żeby mnie w to wciągać, nikt by na tym nie zyskał, ale z członkami Aum nigdy nie wiadomo. Któryś mógł poczuć potrzebę wyznania całej prawdy za wszelką cenę. Albo uznać, że taka jest wola Asahary. Bałem się i rozważałem, czy jednak nie uciec z Kameido. Ale znowu: dokąd? Wszystkie ośrodki Aum podlegały obserwacji. Ten u stóp góry Fudzi zrównano z ziemią buldożerami. Ja od lat nie widziałem ani rodziców, ani dziadków, zresztą gdyby mnie ktoś szukał, najpierw zwróciłby się do nich.

Rzecznikiem prasowym Aum mianowano tymczasem chłopaka w moim wieku, Arakiego, też z Kameido. Myślę, że to był trafny wybór, gdyż Araki – ze swoją miłą twarzą i w swoich grubych okularach – wyglądał niezwykle niewinnie, a poza tym nie miał nic wspólnego z zamachami. Jako człowiek nieśmiały bardzo się męczył przed kamerami i przy dziennikarzach, niemniej znosił to jako część swojego „treningu”. Należał do licznej grupy naprawdę dobrych ludzi, których przecież w Aum też nie brakowało.

Pewnego letniego wieczoru, jednego z tych wilgotnych, upalnych letnich wieczorów tak typowych dla południowej Japonii, wyszedłem z ośrodka wraz z Arakim i kilkoma innymi braćmi. I wtedy coś się zdarzyło. Budynek Aum był dobrze wszystkim znany, więc niejednokrotnie, opuszczając go, spotykaliśmy się z obelgami. Zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić. Poza tym wszyscy kojarzyli Arakiego z telewizji. Nasz ośrodek stał na skrzyżowaniu dość ruchliwych ulic, nieopodal wielkiej arterii, Keiyo Dōro. I to właśnie tam, na Keiyo Dōro, zatrzymała nas grupa policjantów. Pamiętam, że staliśmy akurat przed zakładem fotograficznym, a w miarę, jak się zmierzchało, jego żółto-czerwony neon zdawał się błyszczeć coraz mocniej. Niebo ciemniało i żółto-czerwone znaki jarzyły się jak wielkie, rozkwitające nocą kwiaty. *Yoru no hana.*

Moi towarzysze mieli na sobie zwykłe białe tuniki, ja natomiast włożyłem marynarkę i krawat. Wychodząc poza ośrodek, zazwyczaj ubierałem się normalnie. Wszyscy mieliśmy zwykłe ubrania, tyle że ich raczej nie używaliśmy. Ten sierpniowy wieczór był naprawdę gorący i wszyscy się pociliśmy, chociaż moja lekka marynarka sprawdzała się lepiej niż grube tuniki. Gdy dotarliśmy na Keiyo Dōro, zatrzymała nas grupa policjantów, trzech czy czterech w mundurach i dwóch po cywilnemu: jeden, mniej więcej pięćdziesięcioletni, szpakowaty, w garniturze z krawatem, nosił okrągłe

okulary w metalowych oprawkach; drugi chyba ledwie przekroczył trzydziestkę, miał czarne buty, wąskie dżinsy i bardzo obcisłą białą koszulkę, pod którą wyraźnie rysowały się mięśnie brzucha i ramion. Ten młodszy zaczesywał czarne, napomadowane włosy do tyłu – typowy młody as, najlepszy strzelec i karateka ze swojego rocznika, zdolny trafić w cegłę splunięciem z trzech metrów. Klasyczny skłonny do przemocy arogant, z tych, co to wolą bić aresztanta, niż uprawiać seks. Jak tylko go ujrzałem, zwietrzyłem niebezpieczeństwo. Miał pistolet wetknięty za pasek i emanował agresją.

Policjanci otoczyli nas i nie puszczali dalej. Nie było jasne, czego od nas chcą. Siedzibę w Kumeido przeszukiwano tysiące razy – przed procesami i w ich trakcie. Wszystkich nas przesłuchiowano do znudzenia. Prokuratura, wspierana przez media i organizacje obywatelskie, domagała się delegalizacji Aum poprzez zastosowanie prawa o działalności wywrotowej, jednakże wniosek ten przepadł, toteż nadal chroniła nas ustawa o wolności religii. Dlatego ci policjanci z Keiyo Dōro nic na nas nie mieli. Nie wiem, może chcieli odreagować zły dzień albo rodzina któregoś z nich pośrednio ucierpiała przy ataku w metrze. Trudno powiedzieć. Araki próbował z nimi rozmawiać, lecz jego grzeczność nie na wiele się zdała w kontakcie z tymi sfrustrowanymi i zmęczonymi po gorącym dniu funkcjonariuszami. Nie śmieli go tknąć, ale i nie zostawiali nas w spokoju. Wtedy ten w białej obcisłej koszulce stanął przede mną i powiedział: „Twoja grupa jest podejrzana. Wiem, że należysz do sekty”. Nie wiedziałem, jak zareagować. Policjant stał przede mną, tak blisko, że nasze klatki piersiowe się stykały, i patrzył mi prosto w oczy. Tę jego bliskość odbierałem jako akt agresji. Usiłowałem trochę się cofnąć, tyle że on wtedy postępował do przodu, znów na mnie napierając i wbijając we mnie natarczywe, pełne powściąganej wrogości spojrzenie. „Nazwisko”, rzucił. „Chcę wiedzieć, jak się nazywasz”. Sparaliżowany ze strachu, nie byłem w stanie się odezwać. Araki próbował się wtrącić, ale policjanci w mundurach zastąpili mu drogę. „Nazwisko”, powtarzał ten w białej koszulce. „Wszyscy związani z sektą muszą się legitymować. Jeśli tego nie zrobisz, wpakujesz się w kłopoty”. Wtedy odparłem, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Chodnik przed zakładem fotograficznym był raczej wąski, a o tej porze w okolicy kręciło się wielu ludzi. Mijali nas emeryci, starsze panie, dzieciaki na rowerach, dziewczyny z plecakami. Niejeden przechodzień przystawał, by sprawdzić, co się dzieje. Większość od razu rozpoznawała

białe tuniki Aum oraz pokazywaną często w telewizji twarz Arakiego. Policjanci wołali, żeby nie tworzyć zbiegowiska, żeby się rozejść. Mimo to kilku ciekawskich z pewnej odległości obserwowało całe zajście. Rowerzyści też się zatrzymywali. Dwie panie zaczęły rozmowę z Arakim i pozostałymi. Były w średnim wieku, może w wieku moich rodziców, w każdym razie należały do pokolenia mającego obsesję na punkcie ciężkiej pracy i pieniędzy. Tłumaczyły Arakiemu, że powinien porzucić sektę. „Niech pan poszuka odpowiedniejszego zajęcia”, zachęcała jedna, „zwykłej, porządnej roboty”. „Niech pan założy własny biznes”, sekundowała jej druga. Wydawała mi się całkiem sympatyczna, podobało mi się, co i jak mówiła do Arakiego. Nie zgadzałem się z nią, lecz podobała mi się jej postawa: przyjazna, wręcz pełna miłości. Widać było, że ta kobieta nie żywi do nas nienawiści czy urazy, ba, że nas kocha. Bo naprawdę kochać można tylko tych, których się nie zna i od których niczego się nie oczekuje. „Niech pan zatrudni się w jakiejś firmie”, ciągnęła. „W jakiegokolwiek, niekoniecznie zaraz dużej. Niech się pan przyłoży do pracy. Tacy zdolni młodzi ludzie jak wy nie muszą tkwić w jakiejś sekcie i tracić w ten sposób życia. Niech pan sam zostanie szefem. Niech pan weźmie za kogoś odpowiedzialność”. Araki odrzekł: „Ja staram się być misjonarzem”. Rozmawiali też o czerni i bieli. My, Japończycy, często rozmawiamy o czerni i bieli. Czerń symbolizuje zło, a biel – dobro. „Aum to czerń”, twierdziła tamta kobieta, „a co jest czarne, nigdy nie stanie się białe. Ty chcesz zamienić czerń w biel, czego się zrobić nie da”. „Ale da się działać na zasadzie filtra”, oświadczył Araki. „Można być filtrem, filtrować czerń tak, by zostawała jedynie biel”. „Filtrować?”, spytała kobieta. „Tym się właśnie zajmujesz?”. „Tak, tym”, odrzekł Araki. „Całe twoje życie to rodzaj filtra?” – drążyła. „Do tego się sprowadza?”. „Tak, muszę być filtrem”, odpowiedział Araki. Myślę, że mimo wszystko on również wyczuwał, że ta kobieta zwraca się do niego z miłością. Miłość, prawdziwa miłość, to najrzadsza rzecz na świecie. Najrzadsza, choć można ją znaleźć na tokijskiej ulicy w parny sierpniowy wieczór. A jednak najrzadsza na świecie, John. Są różne uczucia, pragnienie, sympatia i tak dalej, lecz prawdziwa miłość prawie się nie trafia. Dlatego, jak już się trafi, powinna błyszczeć niby słońce nocą. Powinna lśnić niczym czerwono-żółty neon zakładu fotograficznego. Ale tak nie jest. Właśnie ze względu na tę jej rzadkość czasem jej nawet nie rozpoznajemy. Prawdziwa miłość jest niepozorna, prawie niewidoczna, bardzo skromna. Nie krzyczy, nie zwraca na siebie uwagi. Jest jak kropla wody w lesie. Jak igielka lodu w łonie

lodowca. Czasami to tylko spojrzenie, gest, ręka położona na czyimś ramieniu. Czasem długa spokojna rozmowa albo uderzenie kijem w plecy, albo pojedyncze zdanie, na pozór okrutne, które oszałamia cię jak cios kamieniem w głowę, albo dłoń, która niespodziewanie ujmie twoją. Prawdziwa miłość objawia się rozmaicie. Niekiedy znajdziemy ją u starego sprzedawcy owoców, u właścicielki restauracji specjalizującej się w makaronie *soba*, u policjanta, który siedzi za biurkiem i najwyraźniej pragnie ci pomóc. Prawdziwa miłość jest rzadka, ale spotyka się ją wszędzie. Jest nieprzewidywalna. Jest niewidzialna. Jest tym, co sprawia, że mimo wszystko żyjemy. Zawsze daleka i zarazem zawsze obok ciebie. Nie da się całkiem wyrwać spod jej wpływu, bo gdybyśmy to uczynili, umarlibyśmy. Prawdziwa miłość otacza nas ze wszystkich stron, choć rzadko ją widzimy. Pobudza nasze nerwy i naszą wyobraźnię, mimo że rzadko ją czujemy.

Młody policjant nie dawał mi spokoju. Uwziął się na mnie. Nie wiem, czy dostał od przełożonych rozkaz, żeby nas docisnąć, niemniej cały czas odnosiłem wrażenie, że to coś osobistego. Nie wiem też, czemu upatrzył sobie akurat mnie. Może dlatego, że w swojej marynarce z krawatem bardzo się wyróżniałem. „Wstydzisz się czegoś”, mówił do mnie. „Dlatego nie chcesz mi powiedzieć, jak się nazywasz. Bo masz coś do ukrycia. No, nazwisko! Nazwisko! Nazwisko!”. I tak raz za razem. Usiłowałem się odsunąć, jednakże on postępował w ślad za mną. Napierał na mnie, wpijał się we mnie spojrzeniem. Wiedziałem, że to nielegalne. Nie wezwał mnie na komisariat. O nic mnie nie oskarżył. Nie aresztował mnie ani nie powiedział, że to zrobi. Po prostu stał przede mną na chodniku, nie przepuszczając mnie dalej, i raz za razem pytał o moje nazwisko. Próbowałem go wyminąć, a on powtarzał: „Usiłujesz coś ukryć? Coś zataić?”. W końcu oswobodziłem się i ruszyłem przed siebie. Nie biegłem, szedłem normalnie. Wówczas złapał mnie od tyłu. Odwróciłem się, on zaś chwycił mnie za gardło i przewrócił na plecy. Ponieważ przytrzymywany w ten sposób nie mogłem w żaden sposób zamortyzować tego upadku, mocno uderzyłem się w podstawę czaszki. Leżąc już, zastygłem w bezruchu. Pomyślałem, że pękła mi kość. Wtedy policjant w białej koszulce wyprostował się i oddalił o kilka kroków – zobaczyłem, że utyka i przysiada na schodkach sklepu obok. Krzywiąc się, rozcierał sobie kostkę, zupełnie jakbym coś mu zrobił, jakbym to ja na niego napadł i go skrzywdził. Ci w mundurach podeszli do mnie i wielokrotnie pytali, czy dobrze się czuję. Powiedziałem, że boli mnie głowa. Starszy policjant

w garniturze ukląkł przy mnie i też zapytał, czy wszystko w porządku, podczas gdy tamten młody wciąż boleśnie się krzywił, wołając, że chciałem uciec, odepchnąłem go i naraziłem na poważny uraz, i że to było stawianie oporu. Potem wyjął komórkę i zadzwonił na centralę. Oświadczył, że potrzebuje karetki, ponieważ został napadnięty przez podejrzanego, który w trakcie przesłuchania próbował zbiec. Nadal obmacywał sobie kostkę, udając, że nie może wstać. Nieopodal zatrzymał się wielki zielony autobus. Zaraz jednak znowu ruszył. Ściemniało się, sklepowe neony błyszcząły coraz intensywniej. Araki powiedział młodemu policjantowi, że wszystko widział i żeby przestał udawać, bo ja nic mu nie zrobiłem. Inny funkcjonariusz kazał mu odejść, na co Araki odrzekł: „Ale tamten kłamie. Udaje, że go boli, to oburzające”. „Jak śmiesz tak mówić?”, zwrócił się do niego policjant w garniturze, oskarżycielsko unosząc palec wskazujący. „Mylisz się. Nasz kolega jest ranny, okaż szacunek!” Ja nie ruszałem się z ziemi. Araki starał się mi pomóc, ale nic nie mógł poradzić. Zaraz przyjechała karetka i zabrała tamtego w białej koszulce, który nie zaprzestał swojej pantominy. Co do mnie – przewieźli mnie na komisariat, oskarżając o napaść na policjanta i stawianie oporu.

Zamknęli mnie. Umierałem ze strachu, lecz Araki zjawił się wraz z innymi, przynosząc dobre wieści. Wyglądało na to, że całe zajście nagrał pewien dokumentalista, który kręcił o Aum film i chodził za Arakim wszędzie. Tyle że sytuacja i tak była skomplikowana. Araki poprosił filmowców o pomoc, ale producent i reżyser oznajmili, że muszą pozostać neutralni. Poza tym w Japonii policja cieszy się ogromnym szacunkiem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent oskarżonych trafia do więzienia. A stawianie oporu funkcjonariuszowi i spowodowanie jego obrażeń to sprawa gardłowa. Mogli posłać mnie za to za kratki. Zastanawiałem się wszakże, w jaki sposób tamten kłamliwy policjant udowodni, że doznał obrażeń. Kłamał jak z nut i musiałyby znaleźć równie nieuczciwego lekarza, gotowego narazić na szwank swoją reputację i podpisać fałszywą diagnozę. Czy tacy lekarze istnieli? Moim przypadkiem zajął się wynajęty przez Aum adwokat. Dziwaczny facet. Nosił ze sobą tanią walizczkę oraz plastikowy parasol, a ubierał się w podkoszulek i ogólnie na sportowo. Choć pewnie na salę rozpraw przychodził w innym stroju. Nie wiem, jak to wszystko dokładnie wyglądało. Zakładam, że Araki poinformował policję, że dysponuje nagraniem zajścia, ostatecznie wydobył je od filmowców i posłał do prokuratury, w związku z czym wypuszczono mnie na wolność.

Jednakże niezależnie od tego byłem naprawdę przerażony. Z jakichś powodów interesowała się mną tokijska policja. Próbowali mnie przecież zatrzymać pod sfabrykowanym zarzutem. A jeśli jeszcze trochę pokopią? Jeśli ktoś się wygada, że znajdowałem się w jednym z samochodów wykorzystanych do ataków w metrze?

Wtedy postanowiłem uciec.

Wiedziałem, gdzie w ośrodku w Kameido przechowywana jest gotówka. Należące do Aum dojo wyposażone były w masę tajnych pomieszczeń o podwójnych ściankach i podłogach, zamaskowanych sejfów i innych skrytek. Policja z trudem znalazła Mistrza, gdyż schował się w jednej z nich, w siedzibie u stóp góry Fudzi. Chyba właśnie dlatego cały budynek zrównano potem z ziemią: bo stanowił prawdziwy labirynt. Postąpiono tak jak Aleksander Wielki, który, nie mogąc rozplątać węzła gordyjskiego, zwyczajnie go przeciął.

Nie planowałem niczego zbyt szczegółowo. Włożyłem zwykłe ubranie, wzięłem prawo jazdy i zszedłem po pieniądze. W sejfie na pierwszym piętrze znajdowały się dokumenty i torby z gotówką. Kiedyś mieściły się tu pokoje dziecinne, nadal pełne zabawek i rysunków przedstawiających Asaharę, który lewitował pośród ptaków i kwiatów. Sejf był zamontowany w łazience. Należało zdjąć ruchomy panel w jednaj z kabin, dla niepoznaki starannie pomalowany. Niewykluczone zresztą, że malowano go na nowo po każdym zdjęciu, nie wiem. Zdawałem sobie sprawę, że ktokolwiek się tu po mnie zjawi, od razu zauważy szkodę, ale nie dbałem o to, zafiksowany na tym, by uciec. W sejfie znalazłem jeszcze trzy torby z banknotami. W jednej były jeny, w drugiej dolary amerykańskie, a w trzeciej – singapurskie, wszystkie nowiusieńkie, w dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Do tego trochę innych walut. Wiedziałem, że dolary singapurskie warte są mniej więcej połowę tego co amerykańskie. Najchętniej wziąłbym jeny, tyle że wtedy musiałbym się obładować masą papieru. Dlatego zabrałem dwieście tysięcy dolarów singapurskich, sto tysięcy amerykańskich i jakieś dwadzieścia tysięcy jenów na bieżące potrzeby. Zadawałem sobie pytanie, co będzie, jeśli ktoś mnie na tym nakryje. Co by było, gdyby Araki albo ktokolwiek inny, zdziwiony światłem palącym się w tej części budynku, zajrzał tam i mnie przyłapał? Uznałem, że w razie czego odepchnę taką osobę i rzucę się do ucieczki. Bardzo się denerwowałem, drżały mi ręce, na czoło wystąpił pot. Popełniałem oto grzech – i to na szkodę organizacji, która mnie przyjęła, ofiarowując mi

szansę przemiany w żywego boga. Czułem, że spadam w czarną otchłań, w najgłębszą, najczarniejszą czerń. Ale nie mogłem się zatrzymać. Zresztą, tyle tam było tych pieniędzy – dolarów, funtów i tak dalej – że tak drobna strata nie rzucała się w oczy. Czy ktoś to w ogóle liczył? Starannie umieściłem ruchomy panel na dawnym miejscu, upewniając się, że z grubsza nic nie widać. Nagle uświadomiłem sobie, że muszę opuścić dojo natychmiast, nie mogę wrócić po nic na górę ani się z nikim pożegnać. Choć niewiele miałbym do zabrania. Nie posiadałem właściwie nic osobistego, żadnej pamiątki, żadnej fotografii czy pocztówki. Jedyne prywatny dokument, prawo jazdy, wziąłem już wcześniej. Pozostawała kwestia ubrań na zmianę, ale te nie były konieczne. Na szczęście przed zejściem na dół ubrałem się w garnitur, białą koszulę i ciemny krawat, i zostawiłem tunikę, która łatwo by mnie zdradziła, wyróżniając mnie spośród tłumu niby czerwony krzyż. Nie, miałem jednak coś osobistego: okrągły kamyk, który znalazłem na plaży jako dwunastolatek i od tamtej pory wszędzie ze sobą nosiłem. No, ale to był tylko kamyk. Na jego środku widniała plamka przypominająca mewę z rozpostartymi skrzydłami. Zawsze sobie wyobrażałem, że to mewa i że ta mewa to ja. Teraz jednak naprawdę rozpościerałem skrzydła, by odlecieć, więc zostawienie tamtego kamyka wydawało się nawet jakoś sensowne. Potrzebowałem jedynie komputera, lecz nie zamierzałem brać żadnego z tych należących do Aum, jako że policja z pewnością od razu odszukałaby mnie po jego numerze IP. Pomyślałem o Arakim i o tym, jak się biedak rozczaruje, słysząc, że ukradłem pieniądze i zwałem. Nie było już jednak odwrotu. Pamiętam, że dygotałem na całym ciele. Drżały mi dłonie i kolana – tak bardzo, że ledwie stawiałem kroki. Zgasilem światło, zszedłem na parter, wzięłem buty stojące przy drzwiach wejściowych i wychyłem na ulicę. Był gorący sierpniowy wieczór. Upał aż dławiał, zdenerwowanie i wilgoć w powietrzu sprawiały, że miałem całkowicie przeпоconą koszulę.

Ruszyłem przed siebie, wciąż dygocąc jak w gorączce. Co by było, gdyby znowu złapała mnie policja – i to tym razem z walizką pełną pieniędzy? Przyciskałem ją zresztą do piersi, obawiając się, że mi ją ktoś ukradnie. Później uświadomiłem sobie, że zapewne wygląda to podejrzanie i że powinienem zdobyć się na pozory normalności.

Bałem się jakiegokolwiek nieco bardziej otwartej przestrzeni – w centrum wielomilionowego miasta! Minąłem grupkę dziewcząt w kraciastych spódniczkach, białych bluzkach i chusteczkach na szyi. Każda rozmawiała

przez komórkę. Zdumiało mnie, że telefony były różnobarwne: różowe, fioletowe, w kolorze fuksji. Na nocnym niebie unosiło się coś w rodzaju zeppelinu z podświetloną reklamą firmy Sony. Szedłem ulicami Kameido, coraz bardziej oddalając się od ośrodka Aum. Nie mogłem wszakże przemieszczać się tak szybko, jak bym sobie tego życzył. Unikałem dużych, zatłoczonych ulic, zapuszczałem się w różne zaułki. Pamiętam, że w jednym z nich mieścił się salon fryzjerski i że jakaś dziewczyna w środku zerknęła na mnie z ciekawością, po czym się uśmiechnęła. Musiała się nudzić. Miała ufarbowaną na pomarańczowo fryzurę w kształcie wieży Babel, usta pomalowane na niebiesko, a powieki – na fioletowo. Wyglądała dziwnie, jak ufoludek. Przeciąłem jakąś większą arterię, rozglądając się na wszystkie strony w obawie, że natknę się gdzieś na tamtego młodego policjanta w białej koszulce, i dotarłem na stację kolejową. Znienacka zdałem sobie sprawę, że pieniędzy na bilet nie mam na wierzchu i że będę musiał otworzyć walizkę. Dlatego skierowałem się do łazienki, zamknąłem w kabinie i drżącymi palcami odliczyłem pięć tysięcy jenów. Uznałem, że tyle na razie wystarczy, bym nie musiał więcej sięgać do walizki, póki nie znajdę się w bezpiecznym miejscu.

Wciąż nie wiedziałem, dokąd pojedę. Stację w Kameido obsługuje dwóch przewoźników. Wybrałem JR East. Zacząłem analizować mapę połączeń. Czułem mdłości. Jakbym był chory. Albo pijany. Jakbym miał gorączkę. Kolorowe linie przecinały się we wszystkich kierunkach. Metro myliło mi się z koleją. Dokąd należało się udać? Musiałem opuścić Tokio, ale co dalej? W grę wchodziły tylko wielkie miasta, bo łatwo w nich o anonimowość. Myślałem o Sapporo. Myślałem o Kioto. Jednakże oba leżały zbyt daleko, a ja panicznie bałem się wystawiać na widok publiczny. Odnosiłem wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają, że wszyscy wokół wyczuwają we mnie coś dziwnego. Przerazała mnie możliwość, że ktoś uzna mnie za podejrzanego albo zidentyfikuje jako członka Aum, albo zaniepokojony moją walizeczką wezwie policję. Nie zniósłbym więc chyba wielogodzinnej podróży, w ciągłym przerażeniu, że zostanę okradziony lub rozpoznany, czy nawet – że znowu dopadnie mnie muskularny policjant w białej koszulce, stanie tuż przede mną i patrząc mi głęboko w oczy, zapyta o nazwisko i zawartość walizki i znowu powie, że wyglądam, jakbym miał coś do ukrycia. Zdecydowałem się zatem na Jokohamę, oddaloną o jakieś czterdzieści minut drogi od centrum Tokio. Pojechałem do Shinjuku i tam wsiałem do pociągu JR Shonan Shinjuku; bilet

kupiłem aż do Ofuny, żeby zmylić ewentualny pościg. Podróż do Jokohamy trochę mnie rozluźniła. Pociąg frunął ponad ulicami Tokio, tej gigantycznej metropolii, gdzie trzynaście milionów zbłąkanych dusz kręci się w tę i z powrotem; frunął na południe, mijając dzielnice poprzecinane oświetlonymi arteriami, po których sunęły tysiące samochodów, autobusów i motocykli, pośród błyszczących drapaczy chmur i pulsujących neonów, i gdy zostawiliśmy stolicę za sobą, poczułem nawet pewien spokój, choć przecież granica między Tokio a Jokohamą jest tylko umowna. Dotarwszy do celu, stwierdziłem, że dworzec w Jokohamie łączy z metrem rozgałęzione tunele, toteż od razu się przesiadłem i pojechałem do nowoczesnej dzielnicy znanej jako Minato Mirai. Musiałem znaleźć miejsce do spania. Noc była gorąca, nieznośnie duszna, a ja byłem całkowicie wyczerpany. Teraz, gdy znalazłem się poza Tokio, w mieście, którego nigdy wcześniej nie odwiedzałem, gdzie nikt mnie nie znał i nikomu nie przyszłoby do głowy mnie szukać, czułem się spokojniejszy. I tak wylądowałem w Hotelu Nauki. Pojawił się przede mną jak urzeczywistniony sen: dwudziestopięciopiętrowa wieża oświetlona niby statek kosmiczny gotów do startu. Nazwa mnie zaskoczyła, gdyż trudno teraz znaleźć duży, nowoczesny hotel, który nie należałby do którejś z wielkich międzynarodowych sieci. W ogromnym, klimatyzowanym holu o podłodze ze starego drewna rozbrzmiewała łagodna muzyka, a elegancyści biznesmeni rozmawiali na wielkich skórzanych sofach pomiędzy artystycznie ułożonymi bukietami kwiatów. Pamiętam, że szedłem przez ten hol podzielony porozstawianymi tu i ówdzie parawanami i stopniami wyznaczającymi kolejne poziomy, jakbym zagłębiał się sen. Hotel, luksusowy i wytworny, urządzony był w zachodnim stylu, ale pełen tradycyjnie japońskich detali. Gdzieniedzie stały olbrzymie akwaria z kolorowymi rybkami i chińskie kamienne smoki, takie jak u wejścia do świątyni, wokół kręciły się kelnerki w czepeczkach, białych fartuszkach, czarnych minispódniczkach, rajstopach w kolorze dymu i bucikach na wysokim obcasie – w moich oczach bezwstydnymi jak prostytutki. Pianista w błękitnym garniturze z aksamitu i grubych okularach ślepeca grał na białym fortepianie *My Way*. W niektórych miejscach panował półmrok rozpraszany jedynie przez halogenowe lampki w suficie, nieopodal mieścił się też imponujący, czarno-biało-złoty bar z potężnymi czarnymi kolumnami, obsługiwany przez barmanki ze świeżymi kwiatami we włosach, ubrane w chińskie qipao, czerwone w żółte roślinne wzory. Było tak, jakbym wchodził w czyjś umysł wypełniony rajskimi wizjami. Pomyślałem, że trzeba

wyść i znaleźć coś tańszego, jednakże sama myśl o błądzeniu ulicami Jokohamy wydawała mi się nieznośna. Poza tym miałem walizkę wyładowaną pieniędzmi i mogłem sobie pozwolić na wiele. Podeszedłem do recepcji i poprosiłem o pokój najwyżej, jak się da. Zaproponowano mi różne możliwości, nawet trzypokojowy apartament na najwyższym piętrze, skąd rozciągał się spektakularny widok na port i wieżowce Minato Mirai. Ja wszakże nie chciałem spektakularnych widoków. Wybrałem pokój na siedemnastym piętrze, w średniej cenie, z – jak mi wyjaśniono – wyjątkowo dużą łazienką wyposażoną w bardzo wygodną wannę *ofuro*. Wypełniłem stosowny formularz i poproszono mnie o kartę kredytową. Powiedziałem, że zapłacę z góry i gotówką, na co recepcjonista odrzekł, że mogę zapłacić gotówką, jeśli sobie życzę, niemniej muszę podać numer swojej karty kredytowej, gdyż taki jest hotelowy wymóg. Tak długo żyłem poza światem, że już nie orientowałem się w zasadach zwykłego życia. Poprosiłem o rozmowę z menedżerem i oznajmiłem, że w razie konieczności wpłacę kaucję w gotówce. W końcu się udało. Uiszczyłem piętnaście tysięcy jenów, bo tyle kosztowała jedna noc w tym hotelu, i otrzymałem kopertę z kartą magnetyczną w środku. Nigdy nie posługiwałem się czymś takim, więc spytałem, dlaczego nie ma klucza. Jak widzisz, byłem kompletnie zagubiony, czułem się sfrustrowany, wylękniony i upokorzony. Recepcjonista wytłumaczył mi, jak działa karta magnetyczna. Nie ulegało wątpliwości, że uważa mnie za wieśniaka, i nawet nie próbował ukrywać swojej wzgardy.

Dostałem pokój 1729. Od razu starannie zamknąłem za sobą drzwi i schowałem do sejfu walizkę z pieniędzmi, zabezpieczając ją prostym do zapamiętania kodem: 231955, czyli datą urodzin Asahary. Następnie rozejrzałem się dookoła. Pokój był bardzo duży, znacznie większy niż klitka, w której przez lata spałem w dojo. Stały w nim dwa łóżka, spore biurko z telewizorem na jednym końcu, kilka krzeseł, niski stolik o szklanym blacie i dwa fotele w rogu oraz pojemna szafa. Była też kuchenka z lodówką na dole, małym zlewem obok i szafką na górze; w szafce znalazłem talerze, garnki, żelazko, noże, deskę do krojenia, mikser, blender, imbryczek do parzenia herbaty i czajnik. Na niewielkim balkonie znajdowały się dwa rozkładane krzesła i metalowy stolik. Z góry widać było podświetlone drapacze chmur, olbrzymi diabelski młyn Cosmo Clock oraz nabrzeża i żurawie portowe, ale że nie interesowały mnie widoki, natychmiast zaciągnąłem zasłony. Najlepsza ze wszystkiego okazała się łazienka. W wielkiej wannie *ofuro* zmieściłaby się

cała rodzina. Nasze wanny nie są podobne do waszych, bardziej przypominają małe baseny. Nie zwlekając, napełniłem ją, rozebrałem się i po długim prysznicu, namydleniu się hotelowym żelem o zapachu brzoskwini i zmyciu z siebie brudu i potu, zanurzyłem się w ciepłej wodzie, żeby rozpuściły się w niej wszystkie moje obawy i zmartwienia. Od lat, od wielu lat nie zażywałem podobnej kąpieli. Ludzie zbyt często mawiają: „I to wszystko zmieniło”, myśląc, że coś rzeczywiście uległo zmianie, podczas gdy rzeczy idą po staremu, ale czasami zdaje mi się, że tamta kąpiel naprawdę stała się punktem zwrotnym i wszystko zmieniła. Kiedy wyszedłem z wanny, ustawiłem klimatyzację na przyjemną temperaturę, zamówiłem przez telefon zupę z langusty oraz sałatkę i czekałem na nie owinięty w biały hotelowy szlafrok. Musisz zrozumieć, że fascynowało mnie to wszystko tak, jakbym powstał z martwych i trafił do raju. Zapewniam cię, że w pierwszym odruchu, otworzywszy kartę dań, zacząłem szukać w niej tofu albo makaronu gryczanego z sosem sezamowym, czyli czegoś, co nie kłóciłoby się zbytnio z dietą wiernego członka Aum. Tyle że ja nie należałem już do organizacji, ba, właściwie zamieniłem się w jej wroga. Po kolacji wyciągnąłem się w łóżku, nago, bo nie miałem piżamy, i zasnąłem na niemal dziesięć godzin.

Tak rozpoczęło się moje życie z syndromem hikikomori.

Począwszy od tamtego dnia, z pokoju wychodziłem rzadko, a na ulicę – wcale.

W hotelu na parterze mieściło się kilka butików, ponadto ruchome schody łączyły hol z dużym podziemnym centrum handlowym, gdzie można było kupić praktycznie wszystko, czego człowiek potrzebował. Postanowiłem, że zostanę w tym miejscu parę tygodni i spytałem w recepcji, czy na dłuższy pobyt dostanę jakąś zniżkę. Recepcjonistka z porannej zmiany okazała się znacznie sympatyczniejsza niż jej kolega z poprzedniego wieczoru i oświadczyła, że, owszem, przy dwutygodniowym pobycie płaciłbym siedem tysięcy pięćset jenów za dobę. Spytałem, czy mogę zapłacić w dolarach amerykańskich albo singapurskich, na co odrzekła, że hotel przyjmuje obce waluty, a poza tym mogę też wymienić je na jeny, jeśli sobie tego życzę. Uściłem więc opłatę za tydzień z góry, wymieniłem pieniądze i udałem się do hotelowych butików po ubrania. Kupiłem dwie pary spodni, dwie koszule, bieliznę, skarpetki, buty sportowe, sandały, pięć koszulek polo w różnych kolorach, dwa krawaty, bawełniane podkoszulki, dwie lekkie piżamy, niebieską marynarkę, płócienny plecak i dwie pary sportowych spodenek. Nabyłem też rozkład jazdy

japońskich kolei, notes, trzy czarne długopisy i kieszonkowy plan Jokohamy. Zniosłem ubrania do pokoju, rozpakowałem je i rozmieściłem w szafie. Potrzebowałem walizki, żeby je potem ewentualnie spakować, lecz nie było to nic pilnego. Prawdę mówiąc, zwlekałem z tym później prawie trzy lata. Tamtego pierwszego poranka dokonałem ponadto innego ważnego zakupu: sprawiłem sobie wspinały komputer Apple, ze wszystkimi najnowocześniejszymi wtedy rozwiązaniami technicznymi, i ustawiłem go u siebie na biurku. Od tej pory nie opuszczałem hotelu i nie muszę chyba wspominać, że kupionej wtedy marynarki nie włożyłem przez kolejne trzy lata. Reszta ubrań całkowicie mi wystarczała, jako że raz w tygodniu posyłałem je do prania. Planu Jokohamy i rozkładu jazdy kolei nie użyłem nigdy, chociaż leżały zawsze przy moim łóżku. Nie wiem dlaczego, ale podobało mi się, że tam leżą. Czasami przed zaśnięciem sprawdzałem jakieś trasy. Często przeglądałem je również w ubikacji. Wielu nauczyłem się na pamięć.

Gdy zdecydowałem, że zostanę w Hotelu Nauki na stałe, dokupiłem jeszcze trochę rzeczy: przyrządy gimnastyczne, żeby zachować formę, oraz dodatkową odzież, kilka książek (choć w sieci mogłem znaleźć właściwie każdą lekturę) i mnóstwo informatycznych akcesoriów. Zaopatrywałem się w hotelowych butikach albo w podziemnym centrum handlowym – jako że sklepy związane z hotelem oferowały jego klientom preferencyjne ceny – każąc dopisywać te zakupy do swojego rachunku, który regulowałem co miesiąc. Wszystko załatwiałem przez internet: przeglądałem katalogi, składałem zamówienia, a nawet rozmawiałem ze sprzedawcami, pytając o szczegóły dotyczące interesujących mnie artykułów. Cudownie było pomyśleć, że siedemnaście pięter niżej znajduje się to, o czym właśnie mowa i co wkrótce trafi pod moje drzwi, nie wymagając mojego udziału. Nikt mnie nie znał, byłem „tym z pokoju 1729”.

Nie wiem, kiedy ostatecznie podjąłem decyzję, że tam zostanę. Zresztą chyba w ogóle nie chodziło o decyzję. Po dwóch tygodniach spędzonych w ukryciu przyszła pora postanowić, co dalej. Wtedy odkryłem, że nie chcę opuszczać swojego schronienia. Bałem się wyjść na zewnątrz, znów zmierzyć się z miastem, z policją, z Aum. Byłem teraz podejrzanym, byłem złodziejem i zbiegiem. Mogłem trafić do więzienia za współudział w zbrodniach sekty, mogłem też dostać się w ręce dawnych towarzyszy i umrzeć w męczarniach. Jasne, nie wyobrażałem sobie, żeby Araki czy którykolwiek z braci z Kameido zdobył się na rażenie mnie prądem, lecz stopniowo dowiadywałem się coraz

więcej o działaniach sekty przez wszystkie te lata i czułem się coraz bardziej przerażony. Wymuszenia, mordy, porwania, tortury, broń chemiczna... Dlatego schroniłem się w pokoju 1729 w Hotelu Nauki i internet zastąpił mi świat. Spytałem, ile by mnie kosztowało zamieszkanie tam na stałe, i zaproponowano mi cenę, która dawała rocznie sumę jakiś dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Musiałem odbyć rozmowę z dyrektorem hotelu, co wytrąciło mnie z równowagi. Jednakże w mojej prośbie nie było nic niezgodnego z prawem, choć, oczywiście, chodziło o prośbę niecodzienną. Chociaż wiele osób mieszka w hotelach, nawet latami. Ba, wręcz przez całe życie. Fakt, że w ogóle nie wychodziłem na dwór, nie podlegał dyskusji, albowiem człowiek ma prawo przebywać u siebie tyle czasu, ile mu się spodoba. Dziwne natomiast wydawało się to, że nie posiadam karty kredytowej, przy czym, o ile mi wiadomo, wciąż nie wprowadzono w Japonii takiego nakazu. Dyrektor wyjaśnił, że normy hotelowe wymagają od klientów podania numeru karty kredytowej *ze względów bezpieczeństwa* i że dotyczy to nawet licznych biznesmenów, których wydatki pokrywają ich firmy. Oświadczyłem, że rozumiem, ale nie jestem w stanie zrobić nic poza tym, że będę płacił zawsze za miesiąc z góry i oprócz tego złożę kaucję w gotówce. Dyrektor nie wydawał się przekonany. Miał mniej więcej pięćdziesiąt lat i ubierał się elegancko, wiążąc swój srebrzysty krawat na angielską modłę. Powiedział – zupełnie jakby rozmawiał sam ze sobą – że życie prywatne klientów go nie interesuje, jednakże nie da się wykluczyć, iż na przykład urząd skarbowy mógłby się zainteresować, skąd ktoś posiada tyle pieniędzy w gotówce, przy czym posiadanie pieniędzy w gotówce samo w sobie nie jest przecież żadnym przestępstwem, on zaś, jako dyrektor hotelu, nie pracuje dla urzędu skarbowego. Poczęstował mnie cygarem, ale odparłem, że nie palę. Poczęstował mnie więc whisky, ale odparłem, że nie piję. Myślę jednak, że mimo tych drobnych afrontów, do których poczułem się zmuszony (w Japonii odrzucanie poczęstunku uchodzi za niegrzeczność), spotkanie przebiegło w sposób dla obu stron satysfakcjonujący. Zostawiłem kaucję w wysokości dwóch tysięcy dolarów, odpowiadającą zwykłemu limitowi kredytowemu na karcie, i tyle. Od tamtej pory nikt nie zakłócał mi spokoju. Raz na miesiąc ktoś przynosił mi na górę potwierdzenie wpłaty, ja wręczałem takiej osobie kopertę z pieniędzmi i podpisywałem oba kwity, oryginał i kopię, zachowując sobie tę ostatnią. Jeśli nie liczyć sprzątaczk, trzydziestoletniej kobiety imieniem Kameko, to był mój jedyny kontakt ze światem.

Spytałem, co robił całymi dniami w tamtym pokoju.

Cóż, to co zwykle, odpowiedział.

Budziłem się o zmierzchu. Jadłem lekkie śniadanie. Przez dwie godziny ćwiczyłem na swoich przyrządach gimnastycznych. Miałem bieżnię, rower stacjonarny i hantle. Codziennie biegałem przynajmniej godzinę. Zwykle pokonywałem jakieś dziesięć kilometrów, choć czasami dobijałem i do pięćdziesięciu, jeśli przerzuciłem się na rower. Dbałem o mięśnie ramion, brzucha, nóg. Jeśli zostało mi po Aum coś dobrego, to były to samodyscyplina i idea treningu. Potem uzupełniałem niedobry w organizmie suplementami diety: glukozą, płynami i batonami energetycznymi.

Później brałem prysznic i kolejną godzinę poświęcałem na ćwiczenia duchowe. Siadałem w pozycji lotosu i śpiewałem mantry. Niekiedy przeciągało się to do dwóch godzin. Uprawiałem też jogę i medytowałem.

– O, naprawdę? – rzuciłem. – Mimo wszystko?

– Trudno z tego tak nagle zrezygnować – powiedział Noboru. – Człowiek czuje straszną pustkę, ma potworne wrażenie porażki. Praktyki religijne nie są czymś powierzchownym. Stają się osią twojego życia, twoją racją bytu. Asaharę wymazałem za swego serca. Uznałem go za złego człowieka. Ale jego osoba albo czyny nie miały znaczenia. Mogłem zwątpić nawet w Aum, przyjmując, że dzieło złego człowieka też musi być złe, nie mogłem natomiast porzucić swoich praktyk religijnych ani wymazać z pamięci wspaniałych doświadczeń z czasów, gdy należałem do organizacji. Ani poznanych tam wspaniałych ludzi. Wszystko to wciąż we mnie żyło. W gruncie rzeczy nie miałem w życiu nic innego.

– Czyli w Aum zdarzały ci się wspaniałe doświadczenia?

– Oczywiście – odrzekł Noboru. – Poza cierpieniem i paskudną dietą było dużo innych rzeczy. Choćby kontakt z bogami. No i pamiętaj, że widziałem Asaharę, jak lewitował, zawieszony dwa metry nad podłogą pokoju. Tego nie da się tak łatwo zapomnieć.

Na ćwiczeniach fizycznych i duchowych, ciągnął, schodził mi czas do obiadu. Jadłem coś lekkiego, zupę albo sałatkę, albo owoce morza. W hotelu działało pięć restauracji, w tym jedna francuska, toteż oferta gastronomiczna przedstawiała się różnorodnie, ja wszakże zamawiałem zwykle dania najprostsze. Początkowo zresztą kupowałem przez internet świeże produkty i gotowałem u siebie. Tarłem rzodkiew, siekałem dymki i podsmażałem na patelni krewetki z odrobiną sosu sojowego, przyrządzałem zupy z makaronem

albo dania włoskie. Stopniowo jednak zarzuciłem ten zwyczaj, jako że zamawianie jedzenia było znacznie wygodniejsze.

Po obiedzie, który jadłem już późną nocą, zaczynało się dla mnie prawdziwe życie. Tak, zapewniam cię, że cokolwiek robiłem wcześniej, stanowiło wyłącznie przygotowanie do tej chwili, kiedy siadałem przed komputerem, zawsze zresztą włączonym i zawsze online. Moje prawdziwe życie toczyło się w sieci.

Całą noc, aż do świtu, spędzałem w ten sposób. Następnie zamawiałem kolację. Na szczęście w hotelu serwowano posiłki dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po kolacji siedziałem jeszcze trochę przed komputerem, aż ogarniało mnie prawdziwe zmęczenie. Wtedy napełniałem *ofuro* ciepłą wodą i brałem rozluźniającą kąpiel. Kiedy słońce stało już wysoko, szedłem spać.

Jak wiesz, skończyłem studia elektroniczne i informatyczne, a w Aum zajmowałem się konserwacją sprzętu i zarządzaniem wewnętrzną siecią, jak również prowadziłem strony internetowe sekty. Nigdy jednak nie miałem na punkcie internetu obsesji. Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym się od niego uzależnić.

I nagle wszystko to się zmieniło. Równowaga mojej egzystencji została całkowicie zaburzona, rozumiesz? Zupełnie jakbym popadł w alkoholizm. Jakbym oszalał, pozwalając się pożyć – dosłownie – swoim nocnym wizjom, lękom i maniom. Moje rzeczywiste życie znikło, moje życie wirtualne rozrosło się tak, że na nic innego nie starczało miejsca.

I, szczerze mówiąc, było to życie pasjonujące. Zostałem hakerem. Zresztą z czystej konieczności. Jak wiesz, każdy komputer ma swój numer IP i zostawia w internecie ślad. Wszystkie strony, które odwiedzasz, gdzieś tam się zapisują, a ilekroć jakąś odwiedzasz, pojawia się twój numer IP. Szukałem sposobów na jego ukrycie, żeby zniknąć albo przynajmniej zostawiać fałszywe ślady. Są takie sposoby. To najbardziej przerażająca cecha sieci: na wszystko są sposoby, bo wszystko to cyferki, rozumiesz? Zera i jedyneki. W sieci nie ma nic pewnego. Nie ma drzwi. Nie ma niedostępnych miejsc. Wszędzie da się wejść. Może to wymagać mniej lub więcej czasu, mniej lub więcej umiejętności, ale każdy kod jest do złamania, wszystko da się zmodyfikować lub zniszczyć. Bo wszystko jest kwestią zer i jedynek. Wszystko, absolutnie wszystko: obrazy, konta bankowe, szyfry wojskowe.

Jedyny sposób, by utrzymać coś poza siecią, to odłączyć od niej komputer. Tylko wtedy przepływ informacji się zatrzymuje. Zapewne i to się zmieni, gdy

będziemy się łączyli z internetem przez chipy w skórze albo wręcz w mózgu; gdy to połączenie stanie się trwałe. Już teraz powietrze pełne jest różnych wi-fi i Bluetoothów, owszem, wciąż jednak potrzebujemy maszyn. Przyjdzie czas, kiedy wystarczy nasz mózg. Wtedy nic, nawet nasze myśli ani sny nie będą dłużej naszą wyłączną własnością. I nieważne, czy zaszyjemy się w dżungli czy w kraterze wulkanu. Trzeba będzie lecieć rakieta na Księżyc, żeby znaleźć prawdziwą samotność.

Tyle że to jeszcze trochę potrwa.

Szczególnie istotne było zacieranie śladów po tym, co robiłem nielegalnie. Co za zabawa! Nie umiałem przestać. Posuwałem się do rzeczy, do których nigdy bym się nie przyznał. Jakby opętał mnie sam diabeł. Nie, całe stado diabłów.

Nie zdradzę ci tu wszystkiego. Ale uzależniłem się na przykład od pornografii internetowej. Całe godziny spędzałem na odwiedzaniu tego typu stron, na gromadzeniu zdjęć nagich kobiet i filmów z parami uprawiającymi seks. Zebrałem niemal sto tysięcy fotografii z samego „Playboya” i stałem się ekspertem od *playmates*. Miałem w swojej kolekcji wszystkie zdjęcia wszystkich *bunnies*, nie wspominając o seriach Lingerie, Nude Girls, Vixens, College Girls, Summer Girls, Girls on Girls, Book of the Year, Beach Parties, Housewives, All Natural czy Exotic Beauties, jak również kompletne zestawy z wydań „Playboya” w różnych krajach, od Hongkongu po Wenezuelę i od Włoch po Brazylię, przez Koreę, Japonię, Hiszpanię, Meksyk, Niemcy... W gruncie rzeczy owładnęła mną obsesja kolekcjonera, choć wraz z pojawieniem się serii Cybergirls liczba modelek tak wzrosła, że właściwie niemożliwe stało się posiadanie ich *wszystkich*. Tak czy owak, najbardziej podobały mi się *playmates* z lat osiemdziesiątych. Niektóre z nich uwielbiałem, choćby taką Sharry Konopski albo Cher Butler. Chyba te dwie najbardziej. Jednakże podobało mi się też wiele innych. Zwłaszcza jeśli wychodziły na zdjęciach tak pięknie, że wydawały się istotami nie z tego świata. Weźmy na przykład fotografię Lisy Welch w czymś w rodzaju muślinowego, przezroczystego szlafrocza. Albo Dorothy Stratten świeżo po kąpieli, istnej Wenus – zupełnie nagiej, ze lśniąca skórą jeszcze w pianie.

Najgorsza w pornografii internetowej jest jej nieskończona różnorodność. Bo w końcu człowiek ma dość przepięknych nagich modelek. A wtedy szuka zdjęć prawdziwych kobiet, zdjęć wrzuconych do sieci przez zboczonych mężów czy narzeczonych. Później przychodzi pora na filmiki kręcone ukrytą

kamerą. Jeszcze później – na fotografii ciężarnych albo nastolatek, na filmy nagrane przez zdradzanych mężów podniecających się widokiem żony w ramionach innego, na orgie, wieczorki panińskie, w czasie których zwykle dziewczyny obciągają jakimś *boys* z dyskoteki, na imprezy studenckie, sceny z udziałem zwyrodnialców gwałcących pijane koleżanki... Zawsze znajdzie się coś nowego. Uprawiałem też często wirtualny seks, posługując się kamerkami, uwodząc znudzone panie domu, które ustawiały komputer tak, by widać je było całe, z wyjątkiem twarzy. Miałem kilka wirtualnych dziewczyn. Z niektórymi jedynie dużo gadałem, z innymi poprzestawałem na seksie. Wszystko to się skończyło, kiedy poznałem Ariko.

Natknąłem się też na duchy. Nigdy nie słyszałeś o duchach w sieci? Czasem to mężczyźni, kiedy indziej kobiety, czasem jedno i drugie, a czasem jeszcze coś innego. Była taka dziewczyna-duch, która nie dawała mi spokoju, ścigała mnie ze strony na stronę, od IP do IP, ja zaś nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem odnajduje moje ślady. Czasami widziałem, jak przemyka przez ekran.

Niektórzy sądzą, że te duchy to zwykli użytkownicy. Ale to nieprawda. One są *w środku*, rozumiesz? Nikt za nimi nie stoi.

Nie uwierzyłbyś, ile mi się w tamtych latach przydarzyło. Moje wirtualne życie było jak zadziwiająca podróż przez ukwiecone pejzaże i przez rozświetlone miasta pełne egzotycznych kobiet i imprez z ogłuszającą muzyką. Stworzyłem wirtualną metropolię, Yorunohana City, YHN City, i zacząłem robić tam interesy, sprzedawać mieszkania... W YHN City niemal zawsze panowała noc. Dzień trwał tylko cztery godziny. Po trzech i pół niebo czerwieniało i zapadał zmierzch. Takie Miasto Kwiatów Nocy. Dzięki temu projektowi zarobiłem mnóstwo pieniędzy. Sama sprzedaż wirtualnej waluty YHN, pozwalającej nabywać rzeczy w tym wirtualnym świecie, stała się źródłem niewielkiej fortuny. Otworzyłem kilka kont bankowych online, dbając o fałszywe IP i zmieniając nazwiska. W ten sposób zapewniłem sobie praktycznie nieograniczony dochód. Poza dolarami ukradzionymi Aum, które pozwalały mi żyć tak, jak żyłem, miałem teraz masę dodatkowych funduszy. Zresztą pieniądze to też już tylko zera i jedyńki. Kto panuje nad zerami i jedyńkami, ten panuje nad światem.

Początkowo na ekranie mojego komputera widniała podobizna Asahary. Później zmieniłem ją na zdjęcie pewnej galaktyki. Jednakże, patrząc na te gwiazdy lśniące pośród absolutnej czerni kosmosu, odnosiłem wrażenie, że nadal widzę ślepe oczka swojego dawnego guru. Sam nie wiem. Może to moje

własne oczy odbijały się w powierzchni ekranu? Niemniej wydawało mi się, że Asahara nieustannie mi się przypatruje, że patrzy na mnie i wszystko o mnie wie. Czułem, że doskonale wie, gdzie się zaszłem i co porabiam, a jego okrągłą, mongolską twarz wykrzywia powściągnięty uśmiech. Bo czułem też, że Asahara bynajmniej nie jest mną zawiedziony czy na mnie zagniewany, przeciwnie, przygląda się moim poczynaniom z aprobatą i dumą.

Okrucieństwo.

Wyobraźnia.

Instykt przetrwania.

Czyli – zniszczenie.

Czy nie to właśnie, wedle Asahary, oznaczała w sanskrycie nazwa Aum?

Czy nie te właśnie zasady dalej wcielałem w życie z całą bezwzględnością?

Pewnej nocy go zobaczyłem. Zobaczyłem go obok. Jak zwykle siedziałem przed komputerem. Nocami zostawiałem zapaloną jedynie halogenową lampkę ustawioną w rogu biurka, żeby widzieć klawiaturę; poza tym pokój tonął w mroku. Nagle się obróciłem i zobaczyłem Asaharę usadowionego w głębi pomieszczenia, na nieużywanym przeze mnie łóżku. Miał na sobie jedną ze swoich fioletowych tunik. Patrzył na mnie i się uśmiechał. Nie przestraszyłem się. Niespodziewanie uznałem jego obecność za całkiem naturalną. To było jak cud, owszem, ale czy po Asaharze nie należało się spodziewać właśnie cudów? Moje serce skakało z radości. Powoli odsunąłem krzesło i upadłem na kolana. Asahara, nadal się uśmiechając, położył palec na ustach: nakazywał mi milczenie. Powiedziałem tylko: „Sensei!” i złączyłem dłonie na piersi w geście pełnego szacunku pozdrowienia.

Wiedziałem, że Asahary tak naprawdę tam nie ma. Wiedziałem, że jest w Tokio, w więzieniu o podwyższonym rygorze, oczekując na wykonanie wyroku śmierci. Ale wiedziałem też, że, posiadając dar bilokacji, potrafi przebywać w dwóch miejscach naraz. Choćby trzymali jego fizyczne ciało w zamknięciu, mógł siłą woli wytwarzać ciała energetyczne i przemieszczać się tam, gdzie chciał. Dlatego nie zdziwiło mnie, że znenacka pojawił się w Hotelu Nauki. Powtórzyłem: „Sensei!”, tym razem głośniej.

– Shambhala-san – odezwał się, zwracając się do mnie moim zakonnym imieniem.

– Dlaczego, Mistrzu? – spytałem. – Dlaczego?

Spoglądał na mnie z wyraźnym rozbawieniem. Dłonie trzymał na kolanach,

zupełnie jakby zamierzał lada moment dźwignąć się na nogi.

– Dlaczego – powtórzył. Głosem, który słyszałem tyle razy. Swoim najpoważniejszym i najbardziej melodyjnym głosem. – Dlaczego. Ma Shambhala prawo do zadawania takich pytań?

– Sensei – wyszeptałem, wykonując kilka głębokich ukłonów.

– Wszystko jest grą – powiedział. – Rozumiesz, mój synu? Ludzkie życie to jedna wielka gra.

– Tak, Mistrzu.

– Nie możemy robić nic innego, niż w nią grać. Zmuszają nas do tego.

– Zmuszają, sensei?

– Jesteśmy zmuszeni w nią grać, owszem.

– Ale kto nas zmusza? – spytałem. – Kto, sensei? Kto nas zmusza?

– Bogowie – odrzekł Asahara. – Bogowie nas zmuszają, mój synu. My jesteśmy jedynie pionkami w ich grze. I tyle.

– A kim są bogowie, sensei?

– Bogowie to myszy i proch – odparł, zerkając w górę z rozmarzeniem. – To nienawiść i strach... To owady, owady, które żyją w naszych żyłach i w naszych komórkach nerwowych...

– Ale dlaczego, sensei? Czego od nas chcą?

– Czego chcą? – rzucił Asahara. – Czego chcą, pyta Shambhala-san? Chcą żyć. Chcą czuć. Chcą naszego światła.

– Kim my dla nich jesteśmy?

– Pokarmem.

– Pokarmem?

– Tak, synu mój, jesteśmy ich pokarmem.

Wtedy wstał i znikł. Wstał, ruszył w głąb pokoju i znikł w ciemności, po prostu się w nią wtopił. Czekałem jeszcze kilka minut. Potem włączyłem wszystkie światła i poszedłem do miejsca, gdzie wcześniej siedział. Nie było po nim nawet śladu, tak jak się spodziewałem. Szukałem jakiegoś sygnału, który świadczyłby o realności tego, co się stało. Nie wiem, czego dokładnie szukałem. Smużki złotego pyłu. Cudownego kwiatu. Zawieszzonego w powietrzu słowa. Tajemniczego klejnotu na podłodze. Perły. Odcisku bosej stopy na wykładzinie. Ale nie było niczego, zupełnie niczego. Poszedłem w głąb pokoju, tam, gdzie znikł Asahara. Z bezsensownym zapałem wypatrywałem sekretnych drzwi. Odsunąłem zasłony, obmacałem ściany w poszukiwaniu zamaskowanej sprężyny uruchamiającej luźny panel.

Usiłowałem dojrzeć w powietrzu resztki ektoplazmy, węszyłem z nadzieją, że wyczuję jakiś pozazmysłowy zapach. Nie było niczego, zupełnie niczego, żadnego fizycznego znaku, który potwierdzałby, że to, co widziałem, nie miało nic wspólnego z halucynacją.

Bo jednak nie była to halucynacja.

– Skąd wiesz? – spytałem. – Czy nie mówiłeś sam, że zdarza ci się widywać rzeczy, których wcale nie ma?

– Tak, to prawda – przyznał Noboru, spuszcżając głowę.

Później swoim zwyczajem zamilkł na długą, bardzo długą chwilę, zapatrzony w morze.

Tak, podjął po chwili, oto moje życie. Znaczną jego część spędziłem jako członek sekty, rodzaj mnicha, zachowując celibat i oddając się ekstremalnym ćwiczeniom duchowym, potem zaś ukradłem setki tysięcy dolarów, ukryłem się w luksusowym hotelu w Jokohamie i przez niemal trzy lata oglądałem w internecie pornografię.

Czy to moje życie? Czy właśnie to zrobiłem ze swoim życiem? Kiedy o tym myślę, mam ochotę płakać.

Do opowiedzenia zostało mi tylko jedno, powiedział Noboru. Tylko jedno. Ariko. To imię kobiety. Ariko. Dużo przez te lata nabroiłem, John. Moje życie pograżało się w najgłębszej ciemności. Aż poznałem Ariko.

Ariko mnie ocaliła. Bo sprawiła, że po raz pierwszy poznałem miłość.

To dla niej opuściłem swój pokój w Hotelu Nauki. To dla niej kupiłem bilet do Los Angeles: chciałem poznać ją osobiście. Tak, była Japonką, ale dużo podróżowała. Spotkaliśmy się w Pałacu Nauki w Los Angeles, na międzynarodowej konferencji neuronaukowej. Tak, Ariko leciała z nami samolotem Global Orbit. Wracaliśmy razem do Japonii, rozumiesz? Kochaliśmy się, John. Ja nigdy wcześniej nikogo nie kochałem. Wracaliśmy razem do Japonii, żeby wspólnie zamieszkać w pokoju 1729 w Hotelu Nauki i już zawsze żyć szczęśliwie. Rozumiesz? I wtedy nasz samolot spadł do morza, a ja straciłem wszystko, absolutnie wszystko.

Zjawia się Ariko

– Noboru – powiedziałem – niedługo po katastrofie spytałeś mnie, czy nie widzieliśmy w samolocie złotego sarkofagu...

– Tak.

– Ciekawi mnie, co w nim było.

– Nie rozumiałbyś.

– Ja potrafię wiele zrozumieć.

Noboru wstał i postąpił kilka kroków ku morzu. Zatrzymał się na granicy cienia rzucanego przez palmy. Poza nim rozciągała się rozstłoneczniona plaża, wielka połać lśniącego piasku, który sto metrów dalej niepostrzeżenie zlewał się ze złotawą wodą, postępującą ku lądowi szeregiem spienionych fal, w głębi zaś nierealnymi barwami otwierającą się w ocean, tak bardzo piękny, że aż w tym pięknie bezwzględny, bolesny i nieskończenie smutny, podobny do zachwycającego, lecz sztucznego ogrodu. Te jego kolory: ten błękit, ta zieleń, ten turkus – to było jak urzekający i fałszywy początek dziecięcej baśni; jak wejście do lasu pełnego obietnic, ptaków o kobiecych głowach i posągów recytujących najświetniejszą poezję. Zaraz jednak odzywały się morskie ptaki i kołując nad szmaragdowymi dolinami spokoju w poszukiwaniu zdobyczy, niweczyły czar, a ich cienie krzyżujące się na wodzie i piasku sprawiały, że świat znowu stawał się dziki i okrutny, i rajski ogród znikał. I morze było już tylko morzem: bezduszną maszyną, ogromnym, regulowanym powolnymi skurczami mięśniem, fabryką meduz i ukwiałów, kopułą z błękitnego szkła skrywającą wieczny mrok, przerywany tylko bioluminescencją pojedynczych żyłatek i zamieszkały przez ślepe monstra.

Noboru nie odezwał się już więcej, uparcie zapatrzony na to wszystko, a ja nie nalegałem.

Kilka dni później znowu wypadł nam wspólny dyżur na „plaży samolotowej”. Nic w tym zresztą dziwnego, gdyż ja zgłaszałem się do

trzymania wart bardzo często, a wszyscy wiedzieli, że się z Noboru przyjaźnimy. Akurat gawędziliśmy o byle czym, gdy dostrzegliśmy, że na falach niedaleko plaży unosi się coś sporego. Z daleka wyglądało to jak ludzkie ciało, lecz po chwili uznaliśmy, że jak na ludzkie ciało jest zbyt białe i zbyt duże. Zbliżyliśmy się, Noboru dziwnie skulony i przygarbiony, jakby obawiał się wybuchu, a ja – podskakując, jak to zwykle robią ludzie poruszający się o kulach. Chodziło o martwego rekina, imponującego, czterometrowego osobnika. To był rekin biały, żarłacz ludojad. Przy swoich rozmiarach mógł przepołowić człowieka jednym kłapięciem zębami. Noboru pobiegł do osady i sprowadził kilku mężczyzn, żeby go wyłowić i oprawić, ale okazało się, że zaczął się już rozkładać. Aż się w nim roiło od małych krabów i rozmaitych obrzydliwych pasożytów.

Od tej pory, kto wie dlaczego, ocean wypłukał na „plażę samolotową” najróżniejsze odpadki. Nazajutrz pojawiła się wielka żółwica. Jeszcze żyła, gdy dotarła na ląd. Pomyśleliśmy, że może będzie składać jaja, co bardzo by nas ucieszyło, jako że jedna duża samica żółwia potrafi przez noc złożyć ich ponad sto. Stało się jednak inaczej. Ta przypląnęła na naszą wyspę, żeby umrzeć, i następnego ranka znaleźliśmy ją już w połowie pożartą przez morskie ptaki. Przypomniałem sobie sen, który przysnił mi się w medytacyjnym kręgu. Przybyliśmy tutaj, by się narodzić. Tak jak ta żółwica.

Dwa dni potem wyłowiliśmy z wody zapieczętowaną butelkę z wiadomością. Boże mój! Wiadomość w butelce! To mógł być tylko żart. Akurat trzymaliśmy wartę z Santiagiem i mój korpulentny przyjaciel nie wahał się ani chwili: zbił zieloną szyjkę i wyciągnął papier. Tekst spisano w nieznanym nam alfabecie, obok zaś widniała mapka wyspy z zaznaczonym jakimś punktem w górach. Prawdę mówiąc, te litery nie przypominały żadnych używanych kiedykolwiek przez ludzi, mapa zaś była tak schematyczna, że nie wydawało się możliwe znalezienie na jej podstawie niczego. Później pokazaliśmy znalezisko pozostałym rozbitkom i nikt nie rozpoznał dziwnego alfabetu, przy czym Roberto B. i Óscar Panero wzięli się zaraz do jego odcyfrowywania. Profesor Hovorka stwierdził, że te piękne i egzotyczne, lecz mało przekonujące znaki kojarzą mu się z rękopisem Wojnicza, znalezionym w Europie Środkowej na początku XVII wieku i napisanym zapewne przez angielskiego okultystę Johna Dee. Po długim namyśle Roberto B. i Óscar Panero zaproponowali następujące tłumaczenie tajemniczego tekstu, który miał być, ich zdaniem, spisany mieszaniną francuskiego, włoskiego, nahuatl i języka

Mapuczów: „Świat jest wszystkim, co jest faktem. O czym nie można mówić, o tym lepiej milczeć ¹. Adolf Hitler”.

Argumenty, za pomocą których bronili swego przekładu, były tak pomysłowe i przekonujące, że wiele osób nieobeznanych z filozofią i z myślą Ludwiga Wittgensteina dało sobie wmówić, iż istotnie o to chodzi. W związku z tym prędko rozpowszechniła się teoria, jakoby w rzeczywistości Hitler wcale nie umarł, tylko po zwycięstwie aliantów uciekł z Niemiec (pozostawiając fałszywe zwłoki – swoje oraz Ewy Braun – dla zmylenia wrogów) i schronił się na naszej wyspie, gdzie się ukrywał razem z grupą wiernych esesmanów. W tej sytuacji wszyscy ci partyzanci i podrabiane dzikusy, których spotkaliśmy w głębi lądu, byliby potomkami przyczajonych na końcu świata nazistów. Roberto i Óscar, rzecz jasna, pysznie się ubawili swoim *hoax*.

Dziwną wiadomość od Adolfa Hitlera uznano za próbę usprawiedliwienia Holokaustu.

Nie był to wszakże ostatni „dar” oceanu. Szanse na to, co się wydarzyło, jak zawsze wahały się między niemożliwością a nieprawdopodobieństwem, między przypadkiem a cudem, między zerem a nieskończonością. Znów siedzieliśmy wraz z Noboru na swoim stanowisku wartowniczym, kiedy dojrzeliliśmy wśród fal coś nowego. Tyle że tym razem nie chodziło ani o zdechłego rekina, ani o wymęczoną żółwicę, ani tym bardziej o butelkę z wiadomością. Chodziło o wielką złotą skrzynię w kształcie sarkofagu.

Rzuciliśmy się we dwóch w jej stronę, Noboru wydobył ją z wody. Nigdy nie widziałem go równie zdenerwowanego, równie pobudzonego. Wydawał dziwne dźwięki, coś między jękiem a krzykiem, wyrażające chyba radość. Nie mogłem mu pomóc, bo przeszkadzały mi kule, toteż musiał sam się siłować z sarkofagiem, by wyciągnąć go na piasek. Skrzynia była duża, lecz najwyraźniej niezbyt ciężka. Miała jakieś dwa metry na metr i wyglądała elegancko – z ozdobnymi nacięciami wzdłuż boków i ładnie wymodelowanym wiekiem, przykręconym dziesięcioma fikuśnymi śrubami. Nie wiem, z czego ją wykonano, pewnie z jakiegoś niezwykle lekkiego metalu, pociągniętego następnie mocno błyszczącym żółtozłotym lakierem. Miała dwa uchwyty z każdej strony plus jeden z przodu, bardzo teraz pomocny zasapanemu Noboru.

– Patrz! – wykrzykiwał biedaczek, miotając się jak oszalały. – Patrz, John,

patrz! Wydostała się z samolotu! Sama znalazła drogę! Sama opuściła luk bagażowy i do mnie przyplęnęła! Sama!

Nie rozumiałem, co za „ona”. Czy chodziło o skrzynię-sarkofag?

Noboru jął bez wahania odkręcać śruby. Kiedy skończył, odnalazł z przodu skrzyni i odsunął niewielką, niewidoczną wcześniej płytkę, odsłaniając w ten sposób dwa przyciski i coś w rodzaju klucza. Nacisnął pierwszy z guzików, potem drugi, odczekał kilka sekund, po czym przekręcił klucz. Dał się słyszeć głośny syk, taki, jakie wydają często systemy hydrauliczne, i wieko uniosło się o jakieś dwa albo trzy centymetry. Noboru złapał je, ściągnął na prawą stronę i oparł na piasku. Sarkofag stał teraz otwarty, ja jednak nie śmiałem do niego zajrzeć. Ze swego miejsca widziałem jedynie skraj ciemnofioletowego, może aksamitnego wewnętrznego obicia. Noboru też cofnął się o kilka metrów i zastygł ze spuszczonej oczami. Zawołałem go po imieniu, a wtedy dał mi znak ręką, żebym się wstrzymał. Po chwili usłyszeliśmy dobiegające z sarkofagu odgłosy. Coś się w środku ruszało.

Natychmiast zobaczyliśmy, co to było. Do pozycji siedzącej dźwignęła się zamknięta wcześniej w sarkofagu mniej więcej dwudziestoletnia, idealnie umalowana Japonka w stroju kongresowej hostessy. Rozejrzała się dookoła i, widząc Noboru, ładnie się uśmiechnęła. Następnie wstała. Miała na sobie bardzo elegancki granatowy kostium złożony z żakietu ze złotymi guzikami oraz z krótkiej, obcisłej spódnicy, jak również przypięty do czarnych włosów paroma szpilkami niebieski berecik, białe rękawiczki oraz, w lewej klapie, srebrny identyfikator z wypisanym na różowo imieniem i nazwiskiem. Była prześliczna z tą swoją brzoskwiniową cerą, niesłychanie delikatnymi rysami twarzy, idealnymi, pociągniętymi blad różową szminką ustami i wielkimi, ciemnymi oczami. Noboru pomógł jej wyjść z sarkofagu. Na nogach miała ciemne rajstopy i czarne buty na obcasie. Jej imię, wypisane na srebrzystej plakietce, brzmiało: Ariko. Pomyślałem, że od dawna nie widziałem nikogo tak czystego i zadbanego. Idealny makijaż. Idealna fryzura. Idealnie lśniące czarne włosy. Idealny strój. Ba, idealna torebka na lewym ramieniu.

Padło kilka słów po japońsku, lecz Noboru od razu przerzucił się z powrotem na angielski. Ariko mówiła doskonałą angielszczyzną, jedynie z odrobiną akcentu.

– Kochana Ariko – powiedział Noboru. – Tyle czasu...

– Panie Yamatori – odrzekła ona z nieśmiałym uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. – Kamarai Corporation z wielką przyjemnością wita

państwa na dorocznym kongresie. Mamy nadzieję, że spodoba się państwu na naszym... na naszym... Moment – dodała, ponownie rozglądając się dookoła.
– Moment. Nie jesteśmy już na kongresie, prawda?

– Nie, Ariko – odparł Noboru. – I nie musisz mnie już tytułować panem Yamatori. Nazywam się Noboru Endo, ale wystarczy Noboru. A ten tutaj dżentelmen to John Barbarin.

– Och – rzuciła, zwracając się ku mnie z ukłonem. – Bardzo mi miło, panie Barubarin. Mam na imię Ariko. Z wielką przyjemnością pomogę panu w... pomogę panu w...

– Ariko – powiedział Noboru. – Chodź z nami, proszę.

Wróciliśmy na swoje stanowisko obserwacyjne. Ariko trochę niezgrabnie brnęła obok nas przez piasek. Nie umiałem oderwać od niej oczu. Była taka piękna, taka idealna, że wydawała mi się wręcz istotą nie z tego świata. Kiedy napotykałem jej wzrok, spuszczała głowę i nieśmiało się uśmiechała. A raz chyba się nawet zaczerwieniła. Usiedliśmy znowu w cieniu palm, ona zaś stanęła obok Noboru, z rękami założonymi z tyłu i ze złączonymi nogami. W tej pozycji wyglądała prawie jak dziewczynka.

– Powiedz, Ariko – zagadnął Noboru. – Co sądzisz o tym miejscu?

– Jest bardzo ładne – odpowiedziała, rozglądając się z ciekawością i mrugając swoimi pięknymi ciemnymi oczami. – Z pewnością doskonałe na kilkudniowy wypoczynek. Z dala od obowiązków i rutyny.

– Chciałabyś się wykąpać? – spytał Noboru.

– Och, panie Yamatori! – zachichotała, rumieniąc się mocno i zakrywając usta dłonią w białej rękawiczce. – Wie pan przecież, że ja nie umiem pływać.

– Naprawdę? Nie wiedziałem – westchnął Noboru. – Nie umiesz pływać. Tak, pewnie wielu rzeczy nie umiesz.

– Mogę zaśpiewać panu piosenkę, jeśli pan sobie życzy – zaproponowała.
– Znam wiele piosenek, zarówno tradycyjnych, jak i nowoczesnych. Mogę też wyrecytować wiersz.

– Nie, nie, dziękuję – powstrzymał ją Noboru. – I nie nazywaj mnie panem Yamatori. Jestem Endo Noboru.

– Ale mówił pan, że nazywa się pan Yamatori – zdumiała się dziewczyna.

– Skłamałem – przyznał Noboru. – Naprawdę nazywam się Endo. Endo Noboru. Noboru.

Potem zamilkł. Ariko splotła dłonie na brzuchu i też milczała. Dziwiło mnie, że obaj siedzimy, a ona wciąż stoi. To przecież z naszej strony

niegrzecznie.

– Noboru – odezwałem się w końcu, szeptem, żeby Ariko nie słyszała. – Ta kobieta znajdowała się w sarkofagu.

– Tak – potwierdził. – Zaiste.

– Całymi tygodniami hermetycznie zamknięta, bez powietrza, jedzenia czy picia? Jak to możliwe?

– To możliwe, bo ona nie jest żywa – odrzekł Noboru, też szepcząc mi do ucha. – To dlatego.

– Jest robotem?

Skinął głową, mruknął: „Sztuczna inteligencja”, po czym odwrócił twarz. Przez chwilę nad czymś intensywnie rozmyślał i wreszcie poprosił Ariko, żeby poszła do sarkofagu po walizkę. Powiedział, że znajdzie tam dwie, obie metalowe, jedną żółtą, a drugą niebieską. I żeby przyniosła tę żółtą. Dziewczyna lekko się skłoniła i ruszyła we wskazaną stronę. Idąc, delikatnie kołysała biodrami.

– Tak – rzekł wtedy Noboru, nie patrząc mi w oczy. – To model V-5000 zaprojektowany specjalnie na kongresy, do wygłaszania powitań, podtrzymywania luźnych rozmów, chodzenia na kolacje, śmiania się z byle czego i eleganckiego trzymania kieliszków z szampanem. Ukradłem ją z odbywającej się w Los Angeles wystawy na temat sztucznej inteligencji. Jest warta miliony dolarów, wiesz? To prototyp.

– Prototyp! – wykrzyknąłem.

– Wart miliony – podkreślił Noboru. – Jeśli mnie złapią, to mnie wypatroszą. Zamierzałem żyć z nią szczęśliwie w swoim pokoju w Hotelu Nauki. Ale, jak widzisz, skończyliśmy tutaj, smażąc się w słońcu i dwadzieścia cztery godziny na dobę oganiając od komarów.

– Szczęśliwie? – rzuciłem zaszokowany. – Zamierzałeś żyć szczęśliwie z robotem?

– O co ci chodzi? – oburzył się Noboru. – Przecież ona jest doskonała! I nawet sobie nie wyobrażasz tego seksu! Ariko to wspaniała kochanka. Nigdy ci niczego nie odmawia. Nigdy nie „boli jej głowa”.

Patrzyłem na niego ze zdziwieniem.

– Wiem, że pobrzmiwa ci to seksizmem – zmieszał się nagle. – Przykro mi. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Ja ją szanuję, wiesz? I kocham, naprawdę. Wcale nie jest moją seksualną niewolnicą. Nie upokarzam jej. My się nie pieprzymy, tylko kochamy. Jeśli źle ją potraktujesz, nakrzyczysz na nią albo

wymierzysz jej policzek, zaraz płacze i biegnie zamknąć się w łazience. Nie, nie została zaprogramowana, żeby być niczyją niewolnicą.

– A jednak nią jest – zaprotestowałem.

– Muszę cię o coś prosić, John – powiedział Noboru, teraz wyraźnie przerażony, zerkając na Ariko, która wracała już do nas z małą żółtą walizką.

– Nie zdradzaj nikomu, czym tak naprawdę jest Ariko. To bardzo ważne. I jeszcze jedno: z nią też o tym nie rozmawiaj.

– O czym mam z nią nie rozmawiać?

– Nie mów jej, że jest robotem. Ona o tym nie wie. Myśli, że jest człowiekiem.

– Ona o tym nie wie?

– Nie, nie wie. I nie chcę, żeby wiedziała.

1. Fragment *Traktatu logiczno-filozoficznego* Ludwiga Wittgensteina w przekładzie Bogusława Wolniewicza. ↵

Santiago też ją znajduje

Któregoś z tamtych dni Santiagowi przydarzyło się coś naprawdę intrygującego. Postanowił przejść się wzdłuż brzegu, żeby powybrać jaja z gniazd morskich ptaków. Nie rozumiem, jak zdobył się na podobną wyprawę. Cóż, głód czyni cuda. Wszedł rano, a wrócił o zmroku – bez ptasich jaj, za to z interesującą historią do opowiedzenia.

Przy wieczornym ognisku zgromadziła się nasza zwykła kompania: Wade, Joseph, Rosana, Christian, Sheila, Joaquín, Xóchitl (ci dwoje stali się tymczasem nierozłączni), Sophie, Noboru, Alphée i Lougarou oraz inni, którzy chcieli posłuchać Santiaga.

Opowiedział nam, że szedł sobie wybrzeżem, szukając gniazd. Mówił o kolejnych plażach, a szczególnie o zatoczce z meduzami, którą dobrze pamiętałem z jednej z naszych ekspedycji. Mówił o leżących dalej mokradłach i o czerwonych skałach zdradzających wulkaniczne pochodzenie wyspy, o kamiennych łukach i kolumnach wystających z morza i o kolejnych zatoczkach z wodą tak przejrzystą, że można było podziwiać chodzące po ich dnie, dziewięć metrów niżej, ogromne kraby, przy czym, co ciekawe, meduz już nigdzie więcej się nie spotykało. A jeszcze dalej... A jeszcze dalej, jak nam powiedział z oczami błyszczącymi zachwytem i strachem, rozciągały się długa piaszczysta plaża i czyjaś posiadłość. *Estate*, jak się wyraził.

Spytaliśmy, co właściwie ma na myśli. Mam na myśli otoczoną kamiennym murem posiadłość, odrzekł. Tak, brzmiało to niewiarygodnie, ale nie zmyślał. Mur wznosił się na wysokość jakichś dwu i pół metra i mniej więcej co dziesięć metrów znajdowały się w nim półokrągłe nisze z czymś w rodzaju kamiennych ławek, na których dało się usiąść. Kamienny mur na plaży, mruknąłem, próbując to sobie wyobrazić. Nie, nie, nie *na* plaży, sprostował Santiago. Wzdłuż plaży, zresztą na tym odcinku wybrzeża nie rosła dżungla. To znaczy – rosły tam drzewa, ale nie takie jak na całej wyspie, czyli całkiem

zwariowane, tylko zwykłe dęby i topole, jak w Ameryce... Pierwsze, co pomyślałem, ciągnął Santiago, to że zasadził je jakiś Amerykanin, aby przypominały mu dom. Tyle że po drugiej stronie muru już żadnych drzew nie było. Oprócz dwóch, bardzo zresztą dużych, opowiadał.

Ruszył wzdłuż tego muru w poszukiwaniu szczeliny czy bramy. Posiadłość wydawała się dość spora i z zewnątrz niewiele było widać. Spytałem, czy zauważył na niebie jakąś wyjątkową w kształcie chmurę, on zaś spojrzał na mnie, podejrzliwie mrużąc oczka.

– Tak – potwierdził. – Tak, stary, wisiał tam ten latający spodek. Niektórzy twierdzą, że to chmura, ale ja wiem, co to chmura, i wiem, że *to* chmurą nie jest. Tak, to coś wisiało w górze, obserwując okolicę. Ale skąd ty o tym wiesz?

Wędrując wzdłuż tego muru, porośniętego bluszczem, natrafił na niewielkie, metalowe, mocno zardzewiałe drzwi bez zamka. Pchnął je i zdołał otworzyć, chociaż zarosły jeżynami...

– Moment – wtrącił Wade, unosząc rękę. – Bluszcz? Jeżyny? Na tej wyspie?

– Nie wiem, stary, no, były. Ale tak, masz rację, nigdy ich tu wcześniej nie widziałem... To takie dziwne?

– Jeżyny nie rosną na tropikalnych wyspach – oświadczył Wade. – Jeżyny rosną w chłodniejszym klimacie.

– A ten krzew gorejący, co to go Mojżesz zobaczył? – zmarszczył brwi Santiago. – To też była jeżyna, a rosła na pustyni. Płonęła i się nie spalała, wiesz, o co mi chodzi, nie?

– Masz słuszność – zaśmiał się Wade. – Ale tak czy owak na tej wyspie jeżyn nie spotkałem.

Santiago mówił dalej, że zdołał otworzyć tamte metalowe drzwi i wejść do środka i że ujrzał tam coś tak zdumiewającego, tak niesamowitego... Tu zamilkł ze spuszczonej oczami, niczym wielki melancholijny bizon, który zniecka stracił cały rozpęd. Prosiliśmy, by nie przerywał, lecz zdaje się, że obawiał się wyjść na kłamcę lub szaleńca.

Bo ujrzał łąkę. Duży prostokątny teren porośnięty zieloną trawą. Bujna łąka, powiedział, jak w amerykańskich parkach, wiecie? Albo na polach golfowych. Łąka, błonie, trawnik, powiedział. Wielki zielony trawnik. A najdziwniejsze, że wydawał się skoszony najwyżej przed kilkoma dniami. Najdalej przed tygodniem. *Świeżo* skoszony.

– Tam w środku nie było gorąco – ciągnął Santiago, niemal ze łzami w oczach. – Było wręcz zimno. Wiał chłodny wiatr, jak w Nowym Jorku jesienią, zupełnie jakbym się nagle znalazł nad rzeką Hudson w październiku. Prawie czułem jej zapach. Ale ten trawnik nie był zapuszczony – powtórzył – ktoś go niedawno skosił. Wyglądało to wszystko trochę jak park, przedzielony kamiennym występem na dwie części, jedna położona wyżej, a druga niżej.

– I na tym wyższym poziomie stał domek? – spytałem, niemal dygocąc.

– Tak, stary, kamienny domek – potwierdził Santiago. – Taki jakby średniowieczny czy coś... Bardzo stary, w europejskim stylu, rozumiesz?

– Opuuszczony? Z powybijanymi szybami? – dopytywałem. – Z drzwiami pośrodku i jednym oknem z każdej strony? I z dwoma drzewami po bokach, jednym jasnym, a drugim ciemnym?

– Tak, stary – przytaknął Santiago, znowu oszołomiony. – Dokładnie tak. Z dwoma drzewami. Nie wspomniałeś tylko, że piętrowy. Ale skąd ty to wszystko wiesz? Też tam byłeś?

Chciałem wiedzieć, czy wszedł do wnętrza. Odparł, że nie, że nagle się wystraszył tego dziwnego miejsca. Spytałem, czy widział jakieś niezwykle zwierzę. Nie, do licha, stary! Zwierzę? Jakie zwierzę? Aż dostałem przez ciebie gęsiej skórki, poskarżył się. Do licha, stary, tam nie było żadnego zwierzęcia. Nikogo nie było, dom stał opuszczony, z powybijanymi szybami i zapadniętym dachem. Nikogo nie było, chociaż ktoś niedawno skosił tę trawę, no i to już jest kurewsko dziwaczne, stary, kurewsko dziwaczne, fakt, mruknął. Potem rzucił po hiszpańsku: *Czy ty rozumiesz, co ja mówię? To była najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Ale, drażyłem, czego się bałeś? Nikogo tam nie było, nic ci nie zagrażało. Więc czego się bałeś? Mój przyjaciel wyraźnie nie potrafił znaleźć słów, choć desperacko ich szukał. Nie wiem, stary, powiedział, może tego zimna. Tam było zimno. Jak w New Jersey jesienią, nad rzeką Hudson. Bałem się, że jeśli sobie szybko stamtąd nie pójde, to te metalowe drzwi się zamkną i już nigdy nie wydostanę się na zewnątrz, rozumiesz? Jak w jednym odcinku *Strefy mroku*, zamknięty w bańce czasu albo w lustrze... Jak wtedy, gdy jesteś w jakimś domu, z którego nie możesz wyjść, a ten dom to twór twojego umysłu, bo w rzeczywistości leżysz w szpitalu w śpiączce... Naprawdę dziwna sprawa. Uciekłem stamtąd, stary, wyleciałem przez te metalowe drzwi i uciekłem jak najdalej, i w tym pośpiechu zostawiłem tam swój łuk i strzały. Tyle że zauważyłem to dopiero z pół kilometra dalej, a w życiu bym nie zawrócił.*

Spytałem, co akurat robił, gdy natknął się na tamten mur. Popatrzył na mnie, nie rozumiejąc, więc uściśliłem: czy śpiewał?

– Tak, stary – odrzekł. – Skąd wiesz?

– Śpiewałeś?

– Tak!

Teraz wszyscy spoglądali na mnie z ciekawością.

– Ty coś wiesz, stary – powiedział Santiago. – Skąd wiedziałeś, że śpiewałem? Skąd wiedziałeś, jak wygląda to miejsce? Skąd wiedziałeś, że stoi tam dom i rosną dwa drzewa?

Wpatrywali się we mnie wyczekująco. Joseph spytał, czy tam byłem. Czy znam tę posiadłość z opowieści Santiaga. Wahałem się, czy wyznać im prawdę. W końcu się jednak zdecydowałem. Opowiedziałem im wszystko: o Łące z mojego dzieciństwa i o miejscu, do którego zawędrowałem, gdy zatrzymaliśmy się w tunelu przy autostradzie w głębi wyspy. Dodałem, że tamta łąka była identyczna jak ta opisana przez Santiaga, z tą różnicą, że otaczał ją nie mur, lecz żywopłot.

Teraz wszyscy mieli dziwne miny. Joseph patrzył na mnie zatroskany. Wiedział, że nie kłamię, podobnie jak nie kłamał Santiago. Ale w takim razie, co się na tej wyspie wyprawiało?

Zorganizowana została specjalna wyprawa w celu odnalezienia tego miejsca i zbadania go. Tyle że okazało się to niemożliwe. Nigdy tam nie trafiliśmy. Poszliśmy wzdłuż wybrzeża śladami Santiaga, lecz znaleziona przez niego Łąka otoczona kamiennym murem nigdy więcej się nie ukazała.

Wade spotyka ducha

Jako że tymczasem kontrolę nad naszym niewielkim arsenałem przejął Kunze wraz ze swymi poplecznikami, którzy nie chcieli nikomu użyczać broni, musieliśmy zrobić sobie prymitywne łuki, dzidy i proce, żeby móc polować. Pewnego dnia Wade zagłębił się w dżungłę z takim własnoręcznie wykonanym łukiem. Byliśmy tak wygłodniali, że zadowolilibyśmy się czymkolwiek: ptakiem, jaszczurką, wiewiórką. Wprawdzie sama myśl o zjedzeniu wiewiórki wydawała mi się wstrętą, niemniej zdaję sobie sprawę, że w niektórych częściach Stanów Zjednoczonych kiedyś się nimi żywiono i niewykluczone, że gdzieś na prowincji jest tak nadal.

Wade natrafił na ślad jakiegoś większego zwierzęcia, może jednej z tych dzikich świń, o których wspominali partyzanci, i tropił je przez kilka kilometrów. W ten sposób znalazł się pośród wzgórz nieopodal anteny i postanowił sprawdzić, czy w opuszczonych zabudowaniach nie znajdzie jeszcze czegoś przydatnego. Cały kompleks wzniesiono na grzbiecie niemal pozbawionym roślinności. Zbliżywszy się na odległość kilkuset metrów, Wade odniósł wrażenie, że coś porusza się w jednym z budynków, przemykając od okna do okna. Znieruchomiał. Uznał, że to z pewnością jakieś zwierzę, a prawie każde zwierzę mogło nadawać się do jedzenia. Tyle że jakie zwierzę przemykałoby od okna do okna? Poza tym, żeby wystawać ponad parapety, musiałyby być naprawdę duże, jedynymi zaś tak dużymi zwierzętami na wyspie były wilki. Wade miał ze sobą łuk i dziesięć strzał, za pomocą których przy odrobinie szczęścia dałby radę ustrzelić ptaka albo ewentualnie kapucynkę, zakładał jednak, że podobna broń nie na wiele się przyda w starciu z wilkiem – no, chyba żeby wykazać się zupełnie nadzwyczajną celnością. Dlatego mimo wszystko założył strzałę i powoli ruszył w stronę zabudowań, żeby sprawdzić, co się kryje w środku. I wtedy zobaczył go wyraźnie: mężczyznę z dwururką.

Na początku dostrzegł tylko podwójny wylot lufy sterczącej z jednego z okien. Mężczyzna przycałił się za parapetem, zza którego wystawały jedynie czarne kręcone włosy i okulary przeciwsłoneczne. Wydawał się przerażony. Krzyknął do Wade'a, żeby się zatrzymał, jeśli nie chce zarobić kulki. Wade ponownie znieruchomiał, ale wciąż trzymał przed sobą napięty łuk. Mężczyzna kazał mu rzucić go na ziemię, po czym spytał go, kim jest. Po prostu wyszedłem na przechadzkę, powiedział Wade. Nic więcej. Przewietrzyć się trochę. Jeszcze jeden taki żarcik, frajerze, i odstrzelę ci łeb, odparł mężczyzna z okna. Kim, u diabła, jesteś? Wade powoli odłożył łuk i strzały i wyjaśnił, że należy do grupy rozbitków i wyszedł upolować coś do jedzenia. Przypuszczał, że tamten to jeden z *insiders*, być może nawet ktoś w rodzaju strażnika pilnującego, by rozbitkowie nie zapuszczali się do wnętrza wyspy. Przypuszczał również, że wzgórze z anteną wyznacza granicę zakazanej strefy i strażnik każe mu zawrócić. Tak się wszakże nie stało. Mężczyzna zażądał, wciąż wrzeszcząc i klnąc jak szewc, by Wade się przedstawił. Wade nie miał specjalnej ochoty przedstawiać się komuś, kto mierzył do niego z dubeltówki, toteż odparł, że jego personalia są bez znaczenia. Wtedy nieznajomy powiedział: ty jesteś Wade Erickson, prawda? Później, nie wypuszczając strzelby z rąk, wyprostował się i wydostał na zewnątrz, przerzucając przez parapet najpierw jedną nogę, a potem drugą. Był czarnoskóry, ubrany w białą koszulkę, džinsy do kolan i bardzo brudne sportowe buty. Wade natychmiast rozpoznał w nim Raymonda, swego przyrodniego brata. Raymond, rzucił w osłupieniu, co ty tu robisz? A co ty tu robisz? Podobno jeździłeś na wózku? Tak, przyznał Wade, owszem, dzięki tobie. Nie, bracie, o to mnie nie obwiniaj, zaprotestował Raymond. Ja tego nie planowałem. To był wypadek. Chodziłem wtedy strasznie naćpany, moi koledzy szprycowali się jeszcze bardziej. Ogólnie jechaliśmy po bandzie, ale to w garażu to był wypadek. Postanowiłeś wszystko spalić, warknął Wade, na tym polegał twój mistrzowski plan. A potem jeden z twoich koleżków strzelił do mnie z pistoletu. Jak możesz nazywać to „wypadkiem”? Rozumiem, że się złościsz, powiedział Raymond. Ale tak czy owak teraz wszystko jest *cool*, nie, braciszku? Znowu masz sprawne nogi. Cieszę się, stary, dodał, naprawdę się cieszę, że chodzisz i w ogóle. Teraz wszystko jest *cool*, nie, stary?

Sytuacja była naprawdę niezrozumiała, opowiadał nam później Wade. Poprosiłem, żeby przestał do mnie mierzyć, opowiadał, i Raymond opuścił broń, ale się do mnie nie zbliżył. Wydawał się przestraszony. Nie siedziałeś

aby w więzieniu, Raymond? Uciekłeś? Jak to się stało, że taki tuman zdołał okpić najlepszy system więzienny świata? Co się wydarzyło? A nie przyszło ci do głowy, powiedział Raymond, że mógłbym być na warunkowym? Nie przyszło ci do głowy, że mogliby mnie wypuścić przedterminowo za dobre sprawowanie? Nie, odparłem, nigdy by mi coś takiego do głowy nie przyszło. Po pierwsze dlatego, że wcale o tobie nie myślę. Po drugie – takiego drania jak ty nigdy by nie wypuścili tak szybko.

Raymond ostrożnie usiadł na ziemi, skrzyżował nogi i położył strzelbę na kolanach, a ja poszedłem w jego ślady. Odległość między nami wynosiła jakieś osiem metrów i chyba żaden z nas nie miał ochoty skracać tego dystansu. Pomyślałem, że to moja szansa, by go zabić. Czułem się jak zwierzę o morderczych instynktach: oddychałem, obserwowałem, węszyłem. Gdybym się obok niego znalazł, bez trudu odebrałbym mu broń i zastrzeliłbym go jak psa. Tyle że zanim bym go dopadł, on zdążyłby podnieść dubeltówkę i wpakować mi w pierś dwie kule. Poza tym, siedząc tak naprzeciwko niego, zdałem sobie sprawę, że moja nienawiść słabnie, że nie zdołałbym go jednak zamordować i że wręcz nie potrafię już żywić do niego odraży. Ostatecznie był moim przyrodnim bratem, synem mojego ojca i Ogunde.

– Chciałbyś mnie zabić, co? – rzucił z dziwną melancholią. – Nie winię cię, stary. Niezłe ci się dałem we znaki. Ale powiem ci, czemu mnie nie zabijesz. Powiem ci, czemu mi nigdy nie zrobisz krzywdy.

– Czemu, Raymond? – spytałem łagodnie, wciąż kalkulując, czy zdążyłbym się na niego rzucić. – Z jakiego powodu miałbym nie robić ci krzywdy?

– Bo ja nie jestem twoim bratem – oświadczył on, kręcąc głową i się śmiejąc. – Stary dureń z ciebie. Nie widzisz tego, co masz przed samym nosem. Stary świrus.

– Sprawdziłem. Korespondowałem z Ogunde. Wiem, że jesteś jej synem. Sama tak napisała. Przez jakiś czas sądziłem, że mnie oszukałeś, że ukradłeś tamten album, udałeś, że jesteś czarnym dzieciakiem z tych zdjęć i wszystko wymyśliłeś. Ale ostatecznie się okazało, że mówiłeś prawdę. Jesteś synem Ogunde. Tej pewności nawet ty mi nie odbierzesz.

– Tak, jestem synem Ogunde – potwierdził Raymond. – Jestem synem Ogunde, stary idioto. Ale ty nie jesteś moim przyrodnim bratem. Jesteś moim ojcem.

Ta wiadomość, opowiadał nam Wade, bardzo mnie poruszyła. Raymond wyjaśnił, że podawał się za młodszego, niż w rzeczywistości był. Że zawsze

był takim *babyface*, niemniej właśnie skończył czterdzieści trzy lata. Oznajmił, że mnie szukał, ponieważ od początku wiedział, że jestem jego ojcem. Odkrył to przez przypadek, przeczytawszy list, którego Ogunde zapomniała w jakiejś szufladzie. List adresowany był do przyjaciółki w Georgii i zapewne nie został wysłany. W ten sposób się dowiedziałem, opowiadał Wade, że kiedy wyprowadzałem się z domu, Ogunde była już w ciąży. Ona też nie miała o tym jeszcze pojęcia, a kiedy się zorientowała, nie potrafiła się ze mną skontaktować. Możliwe, że kiedy się wyprowadzałem, była w ciąży dopiero od kilku dni albo nawet godzin. Udała więc, że to dziecko mojego ojca i Raymond dorósł, wołając na mojego ojca *dad*, mój ojciec zaś dożył swoich dni w przekonaniu, że Raymond jest jego synem.

Tego było dla mnie za wiele. Powiedziałem Raymondowi, że mu nie wierzę, że kłamie i nie mam powodu mu ufać. Ale tak naprawdę mu wierzyłem. Może dlatego, że bardzo chciałem mu wierzyć. Powiedziałem, że mu nie wierzę, ale faktycznie nie zrobię mu żadnej krzywdy, gdyż na tej wyspie odnalazłem spokój i nie zamierzam wracać do przeszłości. Następnie spytałem, skąd on się tutaj, do diabła, wziął i czy należy do *insiders*, tych z głębi wyspy. I czy to oni wysłali go, by na śledził. Jacy znowu *insiders*, rzucił. Chodzi ci o tych dzikich? Tak, odpowiedziałem. Tylko że to nie są prawdziwi dzicy. To przebierańcy. Raymond patrzył na mnie jak na wariata. Przebierańcy? Powtórzył to słowo wiele razy. Przebierańcy? Przebierańcy? Wytrzeszczał oczy, mimowolnie zerkając na boki, jakby dzicy mogli w każdej chwili wychynąć zza betonowych budynków. Nie chciał jednak na dłużej odwrócić wzroku ode mnie. Oświadczył, że dzicy to dzicy – polinezyjskie plemię, które nie mieszka na wyspie na stałe, lecz przy pływa na nią z archipelagu położonego ponad sto kilometrów na południowy zachód, po to by w określonych momentach roku odprawiać święte rytuały, albowiem nasza wyspa to dla nich miejsce magiczne, pełne duchów, tłumaczył, i bogów, zamieszkujących wewnątrz wulkanu. Te rytuały, ciągnął, sprowadzają się zasadniczo do polowania na ludzi. Dzicy przywożą swoje ofiary ze sobą, puszczają je tu wolno, po czym wyłapują je, oprawiają, gotują i jedzą. Chociaż czasem polują też na tutejszych. Wciąż tego za dobrze nie rozumiem, mówił. Niewykluczone, że zostawili tu kiedyś kilka osób, może przedstawicieli wrogiego plemienia, i parę razy do roku urządzają za nimi rytualny pościg. Ich kanibalizm nie służy *celom żywieniowym*. Chodzi o magię, stary. O ceremoniał. Widziałem ich w akcji i to dosyć ohydne, choć zarazem w jakiś

sposób piękne. Razem z wojownikami przyplývają kobiety, oni polują i obdzierają tamtych ze skóry, a one ćwiartują ciała i gotują je. Całkiem gołe przy tym chodzą, dziwki, dorzucił z nieprzyjemnym śmiechem. Noszą ozdoby we włosach, kolczyki ze zwierzęcych kłów, naszyjniki i bransolety oraz rytualne nacięcia na skórze, ale z ubrania – to tylko sznurek w talii. Po co im sznurek w talii, skoro i tak świecą gołym tyłkiem? Dzikie kurwy, rzucił z nienawiścią i pogardą, które mnie zdziwiły. Powiedział, że kilka z nich przeleciał i że pozwalają na wszystko. Że bierzesz je od tyłu, a ona klękają, spokojnie czekają, aż skończysz, po czym wstają i idą dalej. Dzikie kurwy, powtórzył, a ja znowu zacząłem myśleć, czy go nie zabić.

Spytałem, czy jest sam, na co odrzekł, że tak – że został sam jeden. Że przybył na wyspę z grupą dwunastu mężczyzn, którzy pomarli jeden po drugim. I tu usłyszałem jego historię. Lecieli w trzynastu awionetką nad Zatoką Meksykańską, zmierzając w stronę Nassau. Lecieli tam do pracy, wyjaśnił, w świeżo otwartym kompleksie hotelowym. Podcierać tyłki bogaczom, dodał. Zanosilo się na dłuższą opowieść, lecz postanowiłem cierpliwie jej wysłuchać, bo nie umiałem sobie wyobrazić, w jaki sposób wylądowali na naszej wyspie, skoro znajdowali się nad Zatoką Meksykańską. No więc lecieliśmy na pieprzone Bermudy, ciągnął Raymond, a ja się bałem, że w tym pieprzonym trójkącie bermudzkim przeskoczymy do jakiegoś innego wymiaru albo dostaniemy się w łapy ufoludków, albo coś w tym stylu. No i rzeczywiście pojawiły się kłopoty techniczne, i musieliśmy przymusowo lądować na plaży jakiejś wyspy. Silniki przestały działać czy jakieś inne gówno – w każdym razie trzeba było szukać ratunku w pierwszym miejscu, jakie się trafiło. Czyli tutaj, rozumiesz? Znaleźliśmy się na tej wyspie. Oświadczyłem na to, że nasza wyspa leży tysiące kilometrów od Bermudów, w południowej części Pacyfiku, i że cała ta historia kupy się nie trzyma. Wiem, stary, jęknął Raymond, patrząc na mnie oszalałym wzrokiem. Jesteśmy w pieprzonej Polinezji! Nie słuchasz, co do ciebie mówię? Spadliśmy w pieprzonym trójkącie bermudzkim! Wpadliśmy w wir czasoprzestrzenny i tak dalej, stary!

Umilkliśmy. Wciąż siedzieliśmy na trawie, w pewnej odległości od siebie, ja ze swoim łukiem, a on – ze strzelbą. Żaden z nas nie był spokojny, jednakże obaj próbowaliśmy udawać spokój, opowiadał Wade. Ojciec i syn ucinający sobie pogawędkę na zboczu góry. Ojciec i syn, podkreślił. Mój syn. Mój syn Raymond. Znajdował się nieco wyżej niż ja na stoku. I wtedy coś się

wydarzyło. W oddali, w górach, rozpętała się burza. Ale nie taka normalna burza. Chodziło o te błyskawice, które widywaliśmy już wcześniej. Raymond na ich widok aż podskoczył. Powiedział, że takie same zabiły większość jego towarzyszy. Sądziłem, że zrobili to dzicy, odparłem spokojnie. Nie, nie, dzikich się nie boję, zawołał Raymond. Ustrzelili dwóch naszych ze swoich dmuchawek, ale daliśmy im potem porządną nauczkę i się wystraszyli. Wiesz, rzucił ze śmiechem, co wymyśliliśmy? Złapaliśmy dwie z ich kobiet i gwałciliśmy je, aż nam się znudziło. Później przywiązaliśmy je do drzew i rozpruliśmy im brzuchy. I tak je tam zostawiliśmy, ze zwisającymi bebechami, ciągle żywe. Kwiczały jak świnie. Dzicy więcej się do nas nie zbliżyli.

Czemu mi o tym opowiadasz, Raymond, spytałem, czując, że wszystko się we mnie skręca. Jesteś z siebie dumny? To przecież dzicy, odrzekł. Obdarli jednego z naszych ze skóry. Zaczęli, zanim umarł! Nie zadali sobie nawet trudu, żeby najpierw go zabić. Są jak zwierzęta i dostali to, na co sobie zasłużyli.

Błyskawice padały teraz bliżej. Idealnie proste błyskawice. Widzieliśmy, że przesuwają się w kierunku doliny, gdzie, jak mi się zdaje, zobaczyliśmy kiedyś błękitnego olbrzyma.

Raymond był przerażony. Spytał, czy natknąłem się już na niebieskiego giganta. Powiedział, że to on pozabijał jego towarzyszy. Spalił ich na żywcą swoimi promieniami. Jakiego giganta, Raymond? Udawałem, że nie wiem, o czym mówi. To przecież tylko burza magnetyczna. Kłamiesz, krzyknął, od jak dawna jesteś na tej wyspie? Musiałeś widzieć giganta. Uspokój się, mruknąłem. Nie ma żadnego giganta. Raymond wstał, spoglądając w dal z lękiem. Znów wycelował we mnie strzelbę, przykazując, bym za nim nie szedł i w ogóle się nie ruszał. Później wycofał się w dół zbocza, idąc tyłem i nadal mierząc do mnie z dubeltówki. Ja przywędrowałem z północy, z naszego wybrzeża. Błyskawice migotały na południowym zachodzie. Raymond zmierzał na wschód, północny wschód, czyli w stronę terytorium partyzantów. Oddaliwszy się na jakieś sto pięćdziesiąt metrów, odwrócił się i puścił biegiem. Wkrótce potem straciłem go z oczu. Nie miałem zamiaru go śledzić, opowiadał nam Wade, toteż zostałem na wzgórzu, zdumiony, pełen pytań, z oczami jak spodki.

– Ale czy to faktycznie był Raymond? – odezwał się Joseph. – Dobrze mu się przypatrzyłeś?

– A czy ty naprawdę jesteś Josephem? Czy ja jestem Wade’em? Tak, to był Raymond albo przynajmniej ktoś identyczny.

– Myślisz, że mówił prawdę? – spytał Christian. – Myślisz, że nie kłamał i rzeczywiście nie należy do *insiders*?

– Nie wiem, co myśleć – odrzekł Wade. – Mój brat Raymond siedzi w kiciu w Connecticut i spędzi tam jeszcze sporo czasu. To niemożliwe, żeby taki idiota uciekł, zdołał wyjechać z kraju i trafił tutaj. Gdyby nawet jakimś cudem wydostał się z więzienia, znaleźliby go po paru godzinach i znowu wsadzili za kratki.

– To nie jest *niemożliwe* – zauważyłem. – To po prostu bardzo trudne do uwierzenia. Ale nie niemożliwe.

– Może poszedł na współpracę – zasugerował Joseph. – Skoro wpłatał się w narkotyki, mógł podać nazwiska kilku grubych ryb i dostać w nagrodę skrócenie kary. Ba, mógł nawet zostać objęty programem ochrony świadków. Los sprzątacza w hotelu w Nassau nie wydaje się taki najgorszy.

– Nie rozumiecie – oznajmił Wade, spoglądając na nas swoimi błękitnymi oczami. – To nie tak. To się nie dzieje. To *nie był naprawdę on*. W tym rzecz. Opowiadał same głupstwa. O tych dzikich, co to mieszkają na archipelagu sto kilometrów stąd i przyplływają tu, żeby odprawiać antropofagiczne rytuały. O tych dwunastu kolegach, którzy poginęli jeden po drugim. O moim rzekomym ojcostwie... Nie, nie, to niemożliwe. To jedynie moje pragnienia, wytwory mojego umysłu. To nie był on. Nie, niemożliwe.

– Chcesz powiedzieć, że to był duch? – spytała Violeta.

– Tak, proszę pani, coś w tym rodzaju – odparł Wade. – Tak sądzę. Że to był duch. Emanacja tej wyspy. Sądzę, że ta wyspa pokazuje nam różne rzeczy. Że jest bytem inteligentnym. Najprawdopodobniej zresztą to w ogóle nie jest wyspa. Czy nie to właśnie głosił tamten napis: „To nie jest wyspa”?

– Więc co to jest, jeśli nie wyspa? – rzucił Joseph. – Przykro mi, Wade, ale ja nie wierzę w duchy ani inteligentne wyspy. Wszystko to bardzo piękne, tyle że dla kogoś z duszą poety. Ale zastosujmy tu brzytwę Ockhama, dobrze? Załóżmy, że Raymond nie jest duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości. Załóżmy, że naprawdę należy do *insiders*, bo te jego historie o kanibalach jakoś mnie nie przekonują. Wszystko, co ci opowiedział, miało jeden jedyny cel: dodatkowo nas wystraszyć. „Dzicy to dzicy. Zjadają ludzi. Nie zapuszczajcie się w głąb wyspy. Zostańcie na wybrzeżu”. Stara śpiewka.

– To niemożliwe, żebyśmy naprawdę spotkali Raymonda – upierał się Wade. –

To, co widziałem, to nie może być *mój syn*. To, co widziałem, to był jakiś demon.

Noboru wtrącił się wtedy i rzekł, iż, istotnie, Wade zobaczył ducha. Że wyspa jest ich pełna i ten nie był ani pierwszy, ani ostatni, który się nam ukazał.

Znajduje ją także Wade

Mimo wszystko Wade wrócił następnego dnia pod antenę – z nadzieją ponownego spotkania Raymonda. Ja nie potrafiłem odsunąć od siebie myśli o tym, co Raymond, jak sam twierdził, zrobił tamtym autochtonkom. Jak długo się w takich warunkach umierało? Pewnie kilka godzin. Ta wizja przyprawiała mnie o chorobę, ale nie umiałem jej w żaden sposób odegnać. Skoro jednak Raymond był kimś, kto dopuszczał się podobnych rzeczy, a potem szczyił się nimi i opowiadał o nich z błyskiem satysfakcji w oku, kto chciałby w ogóle z nim rozmawiać? Nie mam dzieci, lecz przypuszczam, że nawet więzy krwi mogą ulec zerwaniu i że świadomość, iż mój syn zdolny jest zgwałcić kobietę, przywiązać ją do drzewa i torturować, skłoniłaby mnie do – co najmniej – całkowitego zerwania kontaktu. Dlatego nie pojmowałem, dlaczego Wade znowu szuka Raymonda. Jeśli ten ostatni powiedział prawdę, to był na wyspie sam, jednakże nie mógł liczyć na przyłączenie się do nas, bo po tym, co wyznał, nigdy byśmy go nie przyjęli.

Wade wyszedł bardzo wcześnie, a wrócił późno, grubo po zmroku. Nazajutrz spotkałem go i spytałem, czy zrealizował swój cel. Rzucił: „Dziś wieczorem” i położył palec na ustach.

Przez cały dzień się nie odzywał. O zmierzchu usiadł z nami w medytacyjnym kręgu. Prędzej czy później będę musiał opowiedzieć o swoich dalszych doświadczeniach z medytacją. Tym razem, jak i przy innych okazjach, przewodził jej Dharma. Pamiętam, że akurat skupialiśmy się na wibracjach dźwiękowych zwanych *nāda*. Skoncentrowany na nich umysł uspokaja się i zbliża do sfery niemyślenia, gdzie zaczyna się jasność. To *nāda joga*, czyli „joga dźwięku”.

Gdy zapadła ciemność, Wade rozpałił na plaży niewielkie ognisko, przy którym stopniowo, niezwoływana, zgromadziła się nasza zwykła grupka: Joseph, Santiago, Violeta, Joaquín, Xóchitl, Christian, Sheila, Rosana oraz

kilka innych osób, wśród nich wasz wierny sługa, Juan Barbarín. Wade siedział już przy ogniu, od czasu do czasu podsycając go korzeniami i korą uschłego drzewa, które własnoręcznie tam przyciągnął, tak przeżartego przez termity, że rozpadało się w rękach. Stare, porowate drewno paliło się błyskawicznie, trzaskając dziwnie i pryskając fantazyjnymi arabeskami iskier. Rozgwieżdżone niebo w górze było tak samo widowiskowe jak zawsze.

Wade zaczął mówić i opowiedział nam, co się wydarzyło.

Poprzedniego ranka zabrał ze sobą maczetę, łuk, strzały i plecak i ruszył ku antenie. Zużył pięć strzał, próbując upolować kilka ptaków, które napatoczyły mu się po drodze – dwa białe, jeden czarny, jeden brązowawy i jeden złoty z długim, ciężkim ogonem jak u bażanta. Tego ostatniego, ponieważ był największy i leciał najniżej, udało mu się trafić prosto w pierś, niemniej ptak, zamiast spaść na ziemię, pofrunął dalej na wschód i ze strzałą w ciele znikł pośród drzew. Wade pobiegł za nim, przekonany, że zaraz znajdzie go martwego. Żaden ptak nie da rady długo lecieć ze strzałą rozrywającą mu płuco. Wade pędził więc przez dżunglę, torując sobie drogę maczetą, nigdzie jednak nie widział swojej zdobyczy. Pokonał tak ze dwa kilometry, ale ptaka nie znalazł. W końcu zrezygnował, uznając, że konające stworzenie zdążyło się gdzieś zaszyć. Zawrócił, podążając teraz na południowy zachód, znowu w stronę wzgórza z anteną.

Szybko dotarł w jej okolice. Teren był tam mało zarośnięty i wieża zwykle ukazywała się już ze sporej odległości, tym razem jednak, co dziwne, tak się nie stało.

Zważywszy na to, że zawsze stanowiła podstawowy punkt odniesienia, Wade czuł się zdezorientowany i nie rozpoznawał pobliskich pagórków. Nie wiedział, gdzie się właściwie znalazł. Zakładał, że w pogoni za ptakiem przebiegł większy dystans, niż mu się wydawało, i że przez to się zgubił. Był tym zaskoczony, bo przecież polował od lat, a tę część wyspy poznał już całkiem nieźle. Pokonał szereg niewysokich wzniesień, które skojarzyły mu się z tak zwanymi *knob* leżącymi na południu jego rodzinnego stanu, Indiany. Wędrował na zachód, wypatrując anteny za każdym kolejnym grzbietem. Tyle że to nie ją zobaczył, lecz coś innego: na niebie pojawił się latający spodek. Okrągły i błyszczący sunął w jego stronę, przemieszczając się na wysokości nie większej, jak oceniał Wade, niż osiemset metrów.

– Chwila, chwila, chwila! – zawołał Joseph. – Zdaje się, że się zgodziliśmy, że nie ma żadnych latających spodków.

– Doktorze, mówię tylko, co zobaczyłem. – Wade szeroko się uśmiechnął.

– Ej, ja też go przecież widziałem – wtrącił Santiago. – Wszyscy go widzieliśmy.

Dostrzegłszy ten biały kształt na tle przedpołudniowego nieba, Wade, jak nam opowiadał, poczuł się, nie wiadomo dlaczego, ogromnie szczęśliwy. Z czego się tak cieszył? Chwilę wcześniej stracił zdobycz. Zgubił trop i sam się zgubił, co nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się na znanym terenie. Potrójne upokorzenie dla takiego wytrawnego łowcy. I oto nagle to coś białego pojawiło się na niebie, on zaś poczuł się szczęśliwy jak dziecko. Teraz wszakże oddam głos samemu Wade'owi, żeby opowiedział o wszystkim w pierwszej osobie.

Czułem się szczęśliwy, opowiadał. Usiadłem na trawie, żeby odpocząć. Miałem ze sobą trochę suszonej ryby, którą zacząłem przeżuwać. Cała ta sytuacja w swojej upokarzającej idiotyczności wręcz mnie śmieszyła. Jak mogłem się zniecka zgubić? Nie znajdowałem wytłumaczenia. Jedyne, jakie przychodziło mi do głowy, wiązało się z latającym spodkiem, który zdawał się teraz z wolna mnie okrążyć. Chmury, doktorku (dodał, zwracając się do Josepha i spoglądając nań swoimi wyrazistymi błękitnymi oczami), nie krążą w ten sposób po niebie. Owszem, trafiają się różne dziwne w kształcie, ale wątpię, by którakolwiek poruszała się po okręgu. Chciałem wstać i pomachać do tych na górze, może zawołać: „Ej, *folks*, jestem tutaj, czemu, u licha, tak zwlekacie?”. Po co jednak, skoro wiedzieli o mojej obecności? Tak, ci z latającego spodka wiedzieli, że tam jestem. To wydawało mi się oczywiste. Tyle że skoro wiedzieli o mnie, wiedzieli o nas – to czemu nam nie pomagali? Jaki sens ma bierne przyglądanie się z góry? Siedząc tam, widziałem spodek dokładnie. Nie przypominał pojazdów kosmicznych z filmów science fiction. Zresztą może się z jakiegoś powodu zmieniał. Teraz wyglądał raczej jak biała róża z czymś w rodzaju rozpostartych białych płatków. Wykonany był z jakiegoś intensywnie białego tworzywa, nawet, jak mi się zdawało z tej odległości, nie z metalu, lecz jakby z porcelany.

Potem zaczął się oddalać na zachód, a ja schowałem resztki swojego skromnego obiadu do plecaka i też ruszyłem w tamtą stronę. Wspiąłem się na kolejny grzbiet. Po drugiej stronie rozciągała się dolina, której dnem wiała się bardzo szeroka rzeka. To, owszem, trochę popsuło mi humor. Skąd tam, u diabła, ta rzeka? Oczywiście, nie chodziło o naszą, płynącą bardziej na zachód, ku dolinie prowadzącej w góry, tej, gdzie widzieliśmy błękitnego

olbrzyma. Więc skąd ta tutaj? Pomyślałem, że może się mylimy i że ta rzeka, którą napotkaliśmy w głębi wyspy, wcale nie łączy się z naszą, bo z naszą łączy się właśnie ta w dole. Chyba że wszystkie są jakoś połączone. Tyle że ta tutaj wydawała się na to zbyt szeroka – jeśli połączyłaby się z naszą, nasza u ujścia musiałaby być znacznie szersza, niż jest. Masy wody sumują się, a nie odwrotnie.

Pośrodku rzeki znajdowała się podłużna wysepka porośnięta drzewami, wśród których dostrzegłem coś prostokątnego, zupełnie jakby wznosił się tam mur albo jakiś zrujnowany budynek czy coś w tym stylu. Nie widziałem go dokładnie, lecz od razu skojarzył mi się z pewnym oglądanym jeszcze w szkole dziewiętnastowiecznym obrazem, który przedstawiał New Harmony – położone nad rzeką Wabash idealne miasteczko filantropa i utopisty Roberta Owena. Boże mój, od iluż to lat nie przypominałem sobie o tym malowniczym epizodzie w historii dumnego stanu Indiana? W dzieciństwie często śniłem, że docieram nad rzekę Wabash, wchodzę za mur otoczonego lasami miasteczka i trafiam do idealnego świata, gdzie wszyscy chodzą boso i się uśmiechają. Ruszyłem w dół zbocza i wkrótce zdałem sobie sprawę, że zmienia się roślinność wokół, jak również temperatura. Z jakichś przyczyn w dolinie panowało zimno. Wiał chłodny wiatr, taki jak w Indianie jesienią lub pod koniec zimy, na przedwiośniu. Ten chłód wydał mi się najniezwyklejszy ze wszystkiego. Pomyślałem, że nazwę to miejsce Zimną Doliną i że skoro klimat jest w niej znacznie bardziej umiarkowany niż gdziekolwiek indziej na wyspie, moglibyśmy się zastanowić, czy nie przenieść się tam z naszą osadą.

Prędko dotarłem na brzeg rzeki. Latający spodek wisiał teraz bardzo wysoko. Chmury sunęły na południowy wschód, pograżając rozległe połacie doliny w cieniu. Spodek znajdował się ponad chmurami i słał spomiędzy nich jaskrawe błyski. Wyglądał właściwie jak lśniący metaliczny punkcik, niemal jak małe słońce. Poszedłem wzdłuż brzegu. Roślinność była tu mniej bujna niż na górze: na wielkich łąkach rosły drzewa, jakich nigdy na wyspie nie widziałem: dęby, sykomory, kasztany, derenie i jałowce, typowe raczej dla chłodniejszych stref klimatycznych. Rzeczywiście mocno się ochłodziło, spadła też wilgotność powietrza, a ja z nostalgią przypomniałem sobie jasność umysłu i lekkość, jakie osiąga się w takich warunkach.

Wysepka na rzece znajdowała się dokładnie naprzeciwko mnie, rosnące na niej drzewa powoli kołysały się na wietrze. Ciekawił mnie ten prostokątny kształt, który dostrzegłem wcześniej. Jeśli były to budynki albo ich resztki,

mogłyby posłużyć nam za schronienie. Aż dygotałem z ekscytacji. Myślałem sobie, że wyspa wreszcie się przed nami otwiera, że wymęczyła nas już w stopniu wystarczającym – albo koniecznym – i teraz oferuje nam Zimną Dolinę, gdzie przyroda zdaje się bardziej zgodna z ludzkimi potrzebami.

Wskoczyłem do wody. Zaskoczyło mnie, że jest taka lodowata, znacznie zimniejsza niż w innych rzekach na wyspie. Nurt okazał się mocny, ciągnął mnie na północ i dotarcie do celu kosztowało mnie niemało trudu. Powiniennem był wejść do wody kawałek dalej na południe i wykorzystać moc wody dla własnych potrzeb, niemniej i tak zdołałem w końcu dopłynąć na piaszczystą plażę. Znajdowałem się oto na wysepce w obrębie wyspy, co sprawiało mi dziwną przyjemność. To uczucie! Zawsze jest coś wyjątkowego, coś, co się zmienia, gdy docieramy na wyspę. Zagłębiłem się między drzewa i wkrótce zobaczyłem budowlę, którą widziałem wcześniej z góry. Był to kamienny, mniej więcej trzymetrowy mur z rozmieszczonymi co osiem czy dziesięć metrów półokrągłymi niszami – dokładnie takimi, jakie opisał nam Santiago. Wokół panowała cudowna cisza. Chodzi mi o to, że nie było słyhać tych głosów, które rozbrzmiewają zawsze, gdy człowiek zostanie sam w lesie. Kiedy wybieram się na polowanie, zwykle obwiązuję głowę chustką, żeby zakryć uszy i tych przeklętych głosów nie słyszeć. Za dużo o mnie wiedzą. Mówią mi to, co najgorsze; to, czego nie chcę dopuścić do świadomości. Choć bywa, że i to, czego pragnę. Przypuszczam, że wszyscy rozumiemy, o czym mówię. Jednakże tam, na tej wysepce w obrębie wyspy, cisza była doskonała. Do moich uszu dobiegały tylko brzęczenie owadów i śpiew ptaków. Kilka razy nawet się specjalnie zatrzymałem, żeby sprawdzić, czy tamte szepty jednak się nie pojawią – ale nie. Żadnych szeptów, żadnych głosów. Szedłem wzdłuż muru, szukając jakiejś bramy. Ciągnął się i ciągnął, jego dłuższy bok mógł mieć ze dwieście metrów. Dotarłem do załomu, skręciłem w prawo, przewędrowałem kolejne sto metrów, znowu skręciłem i idąc dalej, pomyślałem, że to bardzo dziwne: ogrodzić tak duży teren, nie zostawiając wejścia. W końcu je wszakże znalazłem. Z pewnością kiedyś zagradzała je żelazna, dwuskrzydłowa brama, teraz jednak stało otworem. Znajdowało się zresztą pośrodku ściany północnej, czyli całkiem blisko miejsca, z którego wyruszyłem na swój obchód. Pech.

Mur otaczał bardzo rozległą przestrzeń pokrytą trawą – tym razem nieskoszoną. Najdziwniejsze było właśnie to, że rosła tam, choć wysoka, jedynie ta trawa. W każdym innym miejscu na wyspie najróżniejsze gatunki

roślin panoszyły się jak oszalałe, natomiast teren w obrębie muru pozostawał stosunkowo niezarośnięty. Kamienny występ dzielił go na dwie położone na dwóch poziomach części. Ja znalazłem się w tej niższej. Poza tym wiecie już, jak to wyglądało. Niewielkie schodki prowadziły na wyższy – o jakiś metr – poziom, gdzie stał kamienny dom, po obu jego stronach rośło drzewo. Nie pamiętam dokładnie ich gatunków, ale wiem, że jedno było ciemne, a drugie jasne. Tak, identycznie jak w opowieściach Johna i Santiaga. Dom był zrujnowany: dach się zapadł, okna zabito deskami, niemniej ściany się jeszcze trzymały. Wysokie na dwa piętra. Tego jestem pewien. Chodziło o budynek dwupiętrowy. Pamiętam, że ten opisany przez Johna był dużo mniejszy, miał tylko po jednym oknie po obu stronach drzwi wejściowych, i że Santiago z kolei mówił o jednym pięttrze. Wygląda więc na to, że na wyspie są co najmniej trzy Łąki, dokładnie takie same z wyjątkiem proporcji: ta, którą widział John, ta, którą widział Santiago, i ta, którą ja widziałem.

Zerknąłem w górę. Latający spodek wciąż tam wisiał, lśniąc wysoko jak małe słońce. Przeszedłem mniej więcej na środek dolnej części ogrodu. To było niezwykle przyjemne miejsce. Nie pamiętałem już, kiedy ostatnio tak dobrze się czułem. Odnosiłem wrażenie, że znajduję się w ludzkiej, cywilizowanej przestrzeni, nawet jeśli nikogo nie zauważyłem i nikt tam od dawna nie zaglądał. Ta trawa, ten chroniący przed światem zewnętrznym mur, to poczucie, że jest się raczej w parku niż w lesie – wszystko to było rozkoszne. No i ten chłód. Ten wspaniały chłód w powietrzu. Boże mój, z tego wszystkiego aż mi się chciało płakać. Trawy lekko falowały na wietrze.

Łąka. Wiem, że John nazywa to miejsce Łąką. Tak, ja też tam trafiłem. Trwałem bez ruchu, świadom, że przeżywam chwilę prawdziwie świętą. Wiedziałem, że ta Łąka *nie istnieje* – w tym sensie, w jakim istnieją inne miejsca na wyspie czy na całym świecie. Wiedziałem, że dostać się tam nie jest łatwo i że dostałem podarunek od losu. Że to rodzaj cudu. Wiedziałem, że oto wyspa się przede mną otwiera, tak samo jak wcześniej otworzyła się przed Johnem i Santiagiem, i pragnąłem okazać swoją wdzięczność. Powiedziałem głośno: „Dziękuję”. I dodałem: „Jestem Wade Erickson z Hammerstown w Indianie”.

– Z kim ty tak gadałeś, stary? – rzucił Santiago, wyraźnie strapiony. – Ja się w ogóle nie odezwałem. Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą.

– Wade rozmawiał z wyspą – mruknął Joseph z lodowatym sarkazmem.

– Nie wiem, z kim rozmawiałem – rzekł Wade. – Ale pierwsza zasada

dobrego wychowania głosi, że jeśli znajdziesz się u kogoś, powinieneś przede wszystkim przywitać się i przedstawić. Choćbyś nie miał pewności, gdzie i u kogo jesteś.

– Opowiadaj dalej – wtrąciła Rosana. – Wszystkim wam zdarzają się tutaj takie rzeczy? Bo mnie się nigdy nie zdarzają. Chyba znalazłam się tu na doczepkę. Wyspa najwyraźniej się mną nie interesuje.

– Nie sądzę, żeby ktoś znalazł się tu „na doczepkę” – zaprotestował Wade. – Sądzę, że nie nadeszła jeszcze twoja kolej. I tyle.

Nie miałem pojęcia, co robić, podjął. Uważnie rozejrzałem się dokoła. Stałem zupełnie odsłonięty, na środku dużej, otwartej przestrzeni, w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu w głębi wyspy, a jednak nie czułem strachu. Odnosiłem wrażenie, że nic mi nie grozi i że ani *insiders*, ani partyzanci, ani dzicy, ani tym bardziej Raymond ze swoją dubeltówką i oczami szaleńca nie umieliby się tam dostać, choćby próbowali. Wciąż się rozglądałem. Mur, występ dzielący Łakę na dwoje i schodki zrobione były ze starych kamieni pozieleniałych od mchu i wilgoci. W Ameryce rzadko widuje się tak stare, nadgryzione zębem czasu kamienie. Chyba że w takim na przykład Bostonie, choć i tam tylko gdzieniegdzie. Pamiętam cmentarz w Baltimore albo cmentarzyk przy Trinity Church w Nowym Jorku. Jedynie w tego rodzaju miejscach trafiają się takie rzeczy. Poza tym wzdłuż biegnącego przez środek Łąki występu ciągnęła się kamienna balustrada, jak w angielskich zamkach. Zdaje się, że Santiago zapomniał o tym wspomnieć. Albo może na jego Łące nie było żadnych balustrad.

– Co to znaczy „balustrad”, stary? – spytał Santiago, wymawiając to jak dwa słowa: *ballus trade*.

Zauważyłem coś jeszcze, ciągnął Wade. Ustawioną na kamiennej kolumnie rzeźbę przedstawiającą ptaka. Znajdowała się po lewej, jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Dziwne, że nie dostrzegłem jej wcześniej, bo była dosyć duża. Umieszczona na grubej, mniej więcej trzymetrowej kolumnie czy raczej na kwadratowym kapitelu, służącym jej za podstawę, miała chyba z metr wysokości. Zdawała się wyobrażać sokoła usadowionego (*roosting*, jak wyraził się Wade) na gałęzi i obserwującego stamtąd świat. Oczy ptaka były ślepe, jak to zwykle oczy rzeźb, całość zaś niepokoiła, wręcz przerażała, jakby emanowała z niej nieskończona zdolność czynienia zła. Nie miałem nawet ochoty zbliżyć się do niej i lepiej się jej przypatrzeć.

Nie znajdowałem żadnej wskazówki, co dalej, opowiadał Wade.

Pomyślałem, że okropnemu sokołowi obserwującemu świat ze swojej kamiennej gałęzi powinna odpowiadać inna rzeźba, symbolizująca pokój i zgodę, jednakże nigdzie takiej nie widziałem. W każdym razie moja Łąka, to znaczy Łąka, na którą trafiłem, i pod tym względem różniła się od tych opisanych przez Johna i Santiaga.

Co miałem poczuć? Jak należało postąpić? Postanowiłem wejść na górę, do domu. Uznałem, że może tam napotkam jakiś trop, który pozwoli mi rozwiązać zagadkę tego miejsca. Powoli ruszyłem przed siebie. Trawy nadal kołysały się na wietrze. I wtedy coś poczułem – coś jak dotknięcie, muśnięcie. Ale niefizyczne. Nazwijcie to głosem podświadomości. Albo nieskończoności. Może to odezwała się we mnie moja indiańska krew. Nagle poczułem, że coś jest nie tak. Żołądek skurczył mi się ze strachu. Odwróciłem się. Nie było nikogo. Nigdzie. Popatrzyłem na ziemię. Węże. Otaczająca mnie armia małych, uzbrojonych po zęby stworzeń, całe ich tysiące. Nie, nic z tych rzeczy. Tylko ten wiatr i falujące trawy, i rosnące pośród niej drobne kwiatki. Tylko chmury z wolna sunące po niebie. Tylko śpiew ptaków. Pod wpływem strachu instynktownie się nachyliłem, lekko uginając nogi. Teraz znowu stanąłem prosto. Ruszyłem dalej ku środkowi Łąki. Zmierzałem trochę w lewo, żeby wejść na kamienny występ po schodkach, lecz wówczas dostrzegłem, że dokładnie w centrum Łąki, u stóp tego występu, znajduje się w ziemi kłapa. Skierowałem się w jej stronę. Była kwadratowa, wykonana z metalu i mocno zardzewiała, z uchwytem z boku. Złapałem za niego i pociągnąłem. Myślałem, że się naszarpię, ale otworzyła się od razu, odsłaniając kwadratowy szyb z szeregiem wbitych w jedną ze ścian, żelaznych, prowadzących w dół klamer.

Przywiązałem łuk do plecaka, żeby mi nie przeszkadzał i o nic się nie zaczepiał, sprawdziłem, czy górne klamry pewnie tkwią w ścianie i, nie wahając się dłużej, zacząłem schodzić.

Szyb był bardzo głęboki. Nigdy bym nie przypuszczał, że aż tak. Schodziłem i schodziłem, a moje stopy wciąż natrafiały na kolejne klamry, nie na ziemię. Błękitny kwadracik nieba nad moją głową coraz bardziej się zmniejszał i nagle całkiem znikł. Po prostu się zatarł. Zupełnie jakby ktoś u góry zamknął kłapę.

Ogarnęło mnie przerażenie. Bo jak to inaczej wytłumaczyć? Kłapa była metalowa, zbyt ciężka, by mógł ją zatrzaskać wiatr. Z pewnością się też tak niespodziewanie nie ściemniło. Ani żadne zwierzę nie zasłoniłoby równie

dużego otworu. Dlatego ktoś musiał mnie zamknąć. Choć nie dało się również wykluczyć, jak pomyślałem po chwili, że błękitne dotąd niebo zasłoniły ciemne chmury – i tyle.

Ramiona i palce zdążyły mi już całkiem zdrętwieć, zanim wreszcie dotarłem na dno. Zapaliłem zapalniczkę, z którą się nigdy nie rozstaję. Znajdowałem się w tunelu szerokim na mniej więcej metr, a wysokim na dwa i pół. Tunel ten miał jedynie osiem czy dziesięć metrów długości i z obu stron przechodził dalej w większy, starannie zaprojektowany, z lekko opadającą ku środkowi podłogą i kanalikami odprowadzającymi wodę. Szeroki na cztery metry, wysoki na trzy, wzdłuż ścian pokryty był metalowymi rurami, których wnętrzem biegły przewody elektryczne. Na sklepieniu, w odległości dwudziestu metrów jedna od drugiej, wisiały lampy. Wyglądało to na jakiś obiekt wojskowy, solidny i odporny na upływ czasu. Na ścianie obok zauważyłem staromodny włącznik – z tych, co to mają drewnianą dźwignię, którą unosi się lub opuszcza. Chyba nie robi się takich od lat pięćdziesiątych. Skojarzył mi się z laboratorium doktora Frankensteina w jakimś starym filmie wytwórni Hammer. Bez namysłu uniosłem dźwignię, bardziej z ciekawości, jakie to uczucie, niż z jakiegokolwiek innego powodu, albowiem nie spodziewałem się, że zadziała. Dlatego potwornie się wystraszyłem, kiedy rozległ się głośny trzask i zniecka w tunelu zapaliły się wszystkie światła.

– A niech to, Wade – rzucił Joseph. – To tu są podziemne tunele? I źródła prądu? O czym ty w ogóle mówisz?

Zgasiłem zapalniczkę, ciągnął Wade, i się rozejrzałem. Nie żeby zrobiło się całkiem jasno. Lampy wisiały daleko od siebie i nie były zbyt mocne. Tyle że oświetlały drogę. Niemniej ogromne wrażenie wywarł na mnie sam fakt, że oto przebywam w przestrzeni rozjaśnianej elektrycznością. Zakładałem, że ten cud nie potrwa długo. Sądziłem, że jakieś stare akumulatory zachowały w sobie resztki prądu, który za moment się wyczerpie. Mimo to postanowiłem pójść w głąb tunelu. Gdyby światło zgasło, zawsze mogłem wrócić, obmacując ścianę, i odnaleźć w ten sposób szyb, przez który się tu dostałem. Szedłem więc i szedłem, i szedłem. Obliczyłem, że musiałem już przejść pod rzeką, i dalej zmierzałem ku wschodowi. Wybrałem ten kierunek przypadkowo i teraz było już trochę za późno, by się wycofywać. Rozsądniej byłoby iść na zachód, w stronę naszej osady, no, ale czasem człowiek nie myśli tak szybko, jak powinien. Poza tym ostatnie zdarzenia sprawiły, że czułem się jak pijany. Szedłem i szedłem, i co dwadzieścia metrów kolejna lampa oświetlała mi

drogę. Niektóre żarówki były wprawdzie przepalone lub mrugały, zdecydowana większość działała jednak bez zarzutu. Najchętniej bym sobie którąś obejrzał z bliska, żeby dowiedzieć się czegoś o tym miejscu i jego twórcach, jednakże sklepienie znajdowało się zbyt wysoko, a ja nie miałem się na co wspierać. Szkoda, bo jedna żarówka może zapewnić człowiekowi masę informacji: gdzie i kiedy ją wyprodukowano, z jakich materiałów i przy użyciu jakiego wolframu, nie wspominając już o innych danych technicznych: watach, amperach i tak dalej.

Szedłem tak zatem, aż zobaczyłem po prawej jakieś drzwi. Drewniane, z mosiężną gałką i znakiem, który widzieliśmy już wcześniej, przedstawiającym skrót SIAR oraz lwa grającego w szachy z kozą. Przyłożyłem ucho do drewnianej powierzchni, lecz niczego nie usłyszałem. Złapałem więc za gałkę i przekręciłem ją, jak najwolniej się dało. Drzwi uchyliły się dosyć cicho. Prowadziły do niewielkiego pokoju, który przypominał centrum dowodzenia. Miał jakieś cztery metry na sześć, a oświetlony był dwoma umieszczonymi na suficie lampami dającymi blady, żółtawy poblask. Ścianę w głębi zasłaniały maszyny z mnóstwem przycisków, metalowe regały ze spiętrzonymi teczkami oraz ekrany telewizorów, niektóre zresztą włączone. Znajdował się tam również metalowy stół na kółkach, na którym zobaczyłem kolejne monitory i sterty papierów, a także dwie lampki ze szklanymi, zielonymi kloszami, jakie często widuje się w bibliotekach. Przy stole, tyłem do mnie, stał fotel – typowy biurowy fotel na kółkach, z wysokim oparciem i skórzanymi podłokietnikami. I ktoś na nim siedział. W polu widzenia miałem jedynie wystające poza oparcie ramiona oraz nogi w spodniach koloru khaki, skrzyżowane pod stołem w kostkach. Ktokolwiek to był, chyba mocno się garbił, ponieważ nie widziałem jego głowy. Zastygłem w bezruchu. Cała ta scena wydawała się uderzająco nierzeczywista. Osoba siedząca przy stole musiała przecież słyszeć odgłos otwierających się drzwi. Dlaczego się zatem nie odwróciła, by sprawdzić, kto wchodzi do środka? Czekałem, rozważając przy tym, czy się po cichu nie wycofać. A z drugiej strony – czy nie byłoby to absurdalne? Czemu nie miałbym porozmawiać z tym człowiekiem, wyjaśnić mu, że jesteśmy rozbitkami, przeżyliśmy katastrofę lotniczą i potrzebujemy pilnie nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym? Tak, to wydawało się najbardziej logiczne, tyle że wszyscy dobrze wiemy, iż logika na tej wyspie nader często zawodzi.

Nie wiedziałem, co robić. Mężczyzna przy stole sprawiał wrażenie

zajętego czymś, co znajdowało się przed nim. Może coś pisał albo obsługiwał jakieś urządzenie. Słysząc było ciche, nieregularne, trudne do zidentyfikowania trzaski. Ramiona mężczyzny poruszały się lekko, jakby majstrował przy czymś dłońmi. Postanowiłem się do niego odezwać, z nadzieją, że tym razem zamiast kuli czy pogrózek czekają mnie zrozumienie i pomoc. Jednakże wtedy mój wzrok przykuły monitory na ścianie w głębi. Jeden z nich ukazywał grupkę kobiet robiących pranie w rzece. Rozpoznałem kilka Hindusek z naszej osady, a także Nicollette Sheridan, Matilde, Idoyę i Rosanę. Na innym widać było Jimmy'ego Bruëlla ze strzelbą wspartą o ramię, rozmawiającego z Lougarou i jego dziewczyną. Ona trzymała w dłoniach dwa kokosy, Jimmy zaś kręcił głową. Lougarou wydawał się wściekły, zaciskał pięści. Na kolejnym z ekranów zobaczyłem kilka chat, przy których akurat nikt się nie kręcił. Dalej – Chilijczyków siedzących na piasku i zajętych tą swoją dziwną grą na temat drugiej wojny światowej. Dalej – kąpielisko dla kobiet. Parę z nich stało w wodzie, jedna naga od pasa w górę. Jeszcze dalej – wewnątrz którejś z chat, a w nim dwa ciała wyciągnięte na posłaniu z liści palmowych. Wydawało mi się, że to dwaj mężczyźni, ale nie widziałem zbyt dobrze. Był też monitor z kawałkiem plaży i palmami kołysanymi morską bryzą.

Wszystkie te ekrany przedstawiały *nas*.

Czyli nie tylko o nas wiedziano, lecz ponadto nas szpiegowano. Bez przerwy. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie wiem, czy rejestrowano też nasze rozmowy, ale skoro otaczało nas tyle kamer, bez wątpienia były i mikrofony. Albo może jakiś ekspert czytał nam z ruchu warg, kto wie.

Wszystko to wydało mi się absurdalne, całkowicie niewiarygodne. Pomyślałem, że chyba wariuję. Poczuję, że mi słabo. Tego było już zdecydowanie zbyt wiele. No, ale w każdym razie wiedziałem już, że jestem w niebezpieczeństwie, toteż instynktownie sięgnąłem po łuk, zwisający z tyłu obok plecaka, założyłem strzałę i napiąłem cięciwę.

Wtedy mężczyzna siedzący przy stole przemówił, głosem ciężkim jak skała, zamglonym, odległym.

– Abe? To ty?

Stałem nieruchomy i naprężony.

– Abe? – powtórzył tamten. – Lewellyn?

Wobec mojego milczenia jał powoli obracać fotel. Najpierw zobaczyłem jego prawą dłoń, bardzo bladą i pokrytą drobnymi brązowymi włoskami.

Później twarz. Orli profil. Zakrzywiony i błyszczący nos. To właściwie nie było ludzkie oblicze. Raczej zlepek niedopasowanych elementów. Jednemu oku – prawemu – brakowało powieki i dało się widzieć gałkę oczną poruszającą się w czaszce, razem z czerwonymi mięśniami. Widoczna była i szczęka, również po prawej stronie, zupełnie jakby wyrwano stamtąd część twarzy. Jej reszta wydawała się pokryta źle zszytymi płacami zniszczonej skóry. Czoło składało się z czterech takich płatów. Na czubku czaszki rosły jasne, niemal całkiem siwe, rzadkie włosy. Ogólnie rzecz biorąc, mężczyzna sprawiał wrażenie starego. Tyle że nie był mężczyzną, lecz maszyną. Nie był istotą ludzką, lecz automatem.

– Nie, ty nie jesteś Lewellynem – stwierdził na mój widok.

– Nie odzywaj się, bo cię zabiję – rzuciłem, celując do niego z łuku.

– Nie możesz zabić tego, kto nie żyje – odparł.

Mówił powoli, chyba z trudem. Powietrze uciekało mu między odsłoniętymi kośćmi, litery „z” i „s” wymawiał z nieprzyjemnym świstem, „ż” nie bardzo mu wychodziło.

– Mogę cię oślepić – powiedziałem. – Mogę zrobić wiele rzeczy, które ci się nie spodobają, uwierz mi na słowo. Chcę widzieć twoje ręce. Odwróć się, pokaż je.

Dokończył obrót, odpychając się od ziemi nogami. Dłonie, wydłużone i wiotkie, wspierał o podłokietniki. Był niezwykle szczupły i zdawał się zapadnięty w swój fotel, jakby siedział na nim tak długo, że zaczął się z nim zrastać. Miał na sobie białą koszulę bez guzików przy rękawach oraz spodnie w kolorze khaki, okropnie pogniecione i wytarte na kolanach. Zmarszczki na szyi, wydatne żyły na rękach i włoski na torsie nadawały mu pozór człowieczeństwa.

– Czego chcesz? – spytał.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – odparłem. – Chcę wiedzieć, co się dzieje na tej wyspie, kim wy jesteście i czemu nas śledzicie. Chcę wiedzieć, co to wszystko, u licha, znaczy.

– Chcesz *wiedzieć*... – powtórzył sztuczny człowiek. – Nie ma niczego do dowiadywania się.

– Kim jesteście? – pytałem dalej. – Co tu robicie?

Nie odpowiedział, zupełnie jakby moje pytania nie miały żadnego sensu, jakby rzeczywiście nie było nic do powiedzenia.

– Jesteś tutaj na dole sam? – rzuciłem.

- Tak.
- Od kiedy?
- Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku.
- Siedzisz tu od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku?
- Tak.
- Na czym polega twoja praca?
- Na pilnowaniu – odrzekł.
- Pilnowaniu nas?

Nie raczył odpowiedzieć. Zdawał się nieskończenie zmęczony, ja zresztą też zaczynałem się czuć nieskończenie zmęczony. Nie odrywał ode mnie oczu, swoich strasznych oczu częściowo pozbawionych powiek, ale nie wyglądał na przestraszonego ani nawet zaciekawionego. Wyglądał jedynie na zmęczonego.

– Ale po co? – spytałem znowu. – Po co nas pilnujecie?

– Żeby zapobiegać. Pilnować to zapobiegać.

– Jesteśmy rozbitkami – oświadczyłem. – Nie ma po co nas pilnować. Zdarzył nam się wypadek. Nikt z nas nie trafił tu z własnej woli.

– Tak naprawdę wypadki nie istnieją – oznajmił.

Nagle dotarło do mnie, że faktycznie rozmawiam z maszyną: w jego odpowiedziach nie było śladu inteligencji, ograniczał się do wygłaszania gotowych formułek.

Uświadomiłem też sobie, że ten niebywały automat nie potrafi kłamać i szczerze mi wszystko powie.

– Nie jesz? – spytałem. – Siedzisz tu od trzydziestu lat bez jedzenia?

– Owszem, jem – odparł. – Raz w tygodniu wychodzę i jem.

– Czym się żywisz?

– Mięsem.

– Mięsem zwierząt?

– Nie.

– Jakim mięsem?

– Mięsem – powtórzył. – Takim jak ty.

– To dlatego nas obserwujecie? Do tego jesteśmy wam potrzebni? Do jedzenia? *Jesteśmy waszym pożywieniem?*

Wtedy stało się coś rzeczywiście potwornego. Bez wątplenia najpotworniejszego w moim życiu.

Sztuczny człowiek się do mnie uśmiechnął.

I to tyle, powiedział Wade. Potem moje wspomnienia się zacierają. Nie

wiem, co wydarzyło się dalej. Niczego nie poczułem. Moja pamięć po prostu się wówczas rozpadła – wobec tego potwornego uśmiechu sztucznego człowieka z oczami bez powiek i ustami bez warg.

Ocknąłem się w głównym budynku koło anteny, obliczam, że jakieś cztery czy pięć godzin później. Mdliło mnie, miałem wstrętny posmak w ustach i nie mogłem mówić. Przypuszczam, że wstrzyknęli mi jakiś narkotyk. Tak bardzo kręciło mi się w głowie, że dopiero po kolejnej godzinie zdołałem wstać, utrzymać się na nogach i ruszyć w drogę. Zapadał już zmierzch. Do osady wróciłem długo po zmroku.

I tu kończy się opowieść Wade'a.

Przez kilka następnych dni zawzięcie szukaliśmy ukrytych kamer, zwłaszcza w miejscach, które Wade widział na tamtych monitorach. Nie znaleźliśmy niczego. Zorganizowaliśmy też kilka wypraw w opisane przez Wade'a okolice, próbując trafić do Zimnej Doliny, gdzie rosły derenie, kasztany i dęby i gdzie płynęła rzeka tak szeroka, że mieściła się na niej wysepka. Zgodnie z przypuszczeniami i to nam się nie udało.

Kunze narzuca swoje prawo

Teraz jednak muszę opowiedzieć o jednym z najbardziej nieprzyjemnych i absurdalnych epizodów tej historii. Chodzi o zamach stanu milionera Stephana Kunzego. Doszło do tego pod naszą nieobecność w osadzie. Kunze miał dowodzić obroną i zadbać o bezpieczeństwo, co dało mu kontrolę nad bronią. Gdy się zorientował, jaką mu to zapewniło przewagę, postanowił rozciągnąć swoje uprawnienia nieco dalej, niż ktokolwiek z nas by się spodziewał.

Po pierwsze utworzył „Radę” złożoną z niego samego, jego żony i biskupa Tudellego. Ten trójdzielny organ miał jasno rozgraniczone funkcje. Kunze był szefem i zajmował się bezpieczeństwem oraz porządkiem publicznym; Brigitta, jego żona, objęła kontrolę nad logistyką i zaopatrzeniem, Tudelli zaś skupił się na organizacji życia wspólnoty, jej zdrowiu duchowym i „dialogu z innymi wyznaniem”.

Rada natychmiast powołała do istnienia policję. Jej zwierzchnikiem został Jung Fei Ye, znany także jako Michael, były funkcjonariusz singapurskiego więziennictwa, ekspert od sztuk walki. Podlegali mu oficerowie w osobach Jimmy’ego Bruëlla, który był też osobistym ochroniarzem Stephana Kunzego, i pana Kima. Ci trzej wszędzie chodzili uzbrojeni – Jimmy w strzelbę myśliwską, Jung Fei Ye w pistolet, a pan Lee w rewolwer. Swojej lazzeroni, którą trzymał u siebie w chacie, Kunze nie pozwalał dotykać nikomu. Regularnie urządzał polowania, podczas których używano broni palnej, ale dostęp do niej mieli wyłącznie jego ludzie, choć i wśród innych byli doskonali myśliwi, choćby Wade czy Joseph. Kunze oświadczył, że prawdziwy żołnierz nigdy nie pozwoli sobie na utratę broni, a Wade i Joseph oddali cztery jej sztuki wrogom, w związku z czym utracili prawo do jej noszenia.

Po trzecie do naszego życia znów wprowadzony został pieniądz. Kunze spisał wiele umów, zgodnie z którymi zobowiązywał się wypłacić różnym

osobom określone sumy zaraz po uwolnieniu z wyspy. Umowy te wydawały się ze wszech miar legalne, operowały kwotami w dolarach amerykańskich, a za podstawę miały prawo singapurskie – co w świecie wielkich finansów podobno nikogo nie dziwi. Były ich dwa rodzaje: część współpracowników Kunzego dostała coś w rodzaju „etatu” ze stałą tygodniową pensją, część zaś pracowała na godziny. Wielu „etatowych” zrobiłoby wszystko, byle utrzymać swój status. Kunze płacił im od tysiąca do dwóch tysięcy dolarów amerykańskich na tydzień – i to bez podatku. Nie były to sumy do pogardzenia.

Czwarta inicjatywa naszego „przywódcy” wiązała się z wprowadzeniem nowego prawa, które od razu nazwano „prawem Kunzego”, choć teoretycznie w jego pisaniu uczestniczyli wszyscy członkowie Rady oraz zwierzchnik policji, przy wsparciu prawnym ze strony Billa Higginsa, adwokata z Los Angeles, tego, co to stracił rękę po ataku wilka. Fakt faktem, że Jung Fei Ye wyraźnie odcisnął swoje piętno na poszczególnych paragrafach. Podobnie jak Tudelli, który przesycił je bigoterią. Bill Higgins, jako jedyny w tym gronie prawnik, został mianowany sędzią. Pośród rozbitków był prawdziwy sędzia, doktor Masud, nobliwy starszy pan, który, zanim przeszedł na emeryturę, wykonywał swój zawód w Delhi i w Lakhnau, skąd pochodził. Początkowo Kunze zaoferował Higginsowi stanowisko prokuratora, w roli sędziego widząc właśnie doktora Masuda, ten jednak, zapoznawszy się z prawem Kunzego, oświadczył, że to stek bzdur, z którymi nie chce mieć do czynienia. Powiedział, że nasza mała społeczność potrzebuje raczej sędziego pokoju, który cieszyłby się poparciem większości rozbitków i rozsądzałby ewentualne spory, i że jest gotów zgłosić swą kandydaturę, a w razie, gdyby go wybrano, podjąć się tego obowiązku. Jednakże Kunze nie chciał żadnego sędziego pokoju i doktor Masud nie miał odtąd nic wspólnego ani z nim, ani z Radą.

Milioner kazał wyryć nowe prawo na kilku drewnianych tablicach, które następnie z wielką pompą ustawiono pośrodku osady, na widoku. Szło to tak:

„My, suwerenni mieszkańcy Wyspy Głosów, stanowimy te tutaj prawa, by rządzić się nimi w braku innych, i błagamy Pana Boga naszego, by raczył oświecać nas, stojących na straży Jego sprawiedliwości.

Karane będą następujące występki:

Zabójstwo. Kara śmierci.

Gwałt albo napastowanie seksualne. Kara śmierci lub dwadzieścia cztery uderzenia batem oraz stałe wygnanie.

Kanibalizm. Od dwunastu do dwudziestu czterech uderzeń batem oraz stałe

wygnanie.

Porwanie albo wykorzystanie seksualne osoby nieletniej. Kara śmierci lub dwadzieścia cztery uderzenia batem oraz stałe wygnanie.

Handel narkotykami. Dwadzieścia cztery uderzenia batem i trzymiesięczne wygnanie.

Przyjmowanie narkotyków. Od dziesięciu do szesnastu uderzeń batem i miesięczne wygnanie.

Kradzież pożywienia. Od trzech do dwunastu uderzeń batem, tygodniowe lub dwutygodniowe uwięzienie bez jedzenia (tylko woda).

Ukrywanie pożywienia. Od trzech do dwunastu uderzeń batem, tygodniowe lub dwutygodniowe uwięzienie bez jedzenia.

Udzielanie pomocy wygnanym poprzez dostarczanie im pożywienia. Dziesięć uderzeń batem.

Utrzymywanie kontaktów z wygnanym. Sześć uderzeń batem.

Sianie zgorszenia. Od trzech do dziesięciu uderzeń batem, tygodniowe uwięzienie i kurs reedukacji moralnej u Jego Ekscelencji Tudellego.

Zdrada małżeńska. Dziesięć uderzeń batem, tygodniowe uwięzienie i kurs reedukacji moralnej.

Aborcja. Od dwunastu do osiemnastu uderzeń batem, stałe wygnanie.

Pomoc w dokonaniu aborcji. Od dwunastu do osiemnastu uderzeń batem, stałe wygnanie.

Rozwód. Kurs reedukacji moralnej.

Eutanazja. Kara śmierci albo od szesnastu do dwudziestu czterech uderzeń batem i stałe wygnanie.

Pornografia. Od trzech do szesnastu uderzeń batem, uwięzienie na okres od trzech dni do dwóch tygodni i kurs reedukacji moralnej.

Prostytucja. Od sześciu do dwunastu uderzeń batem, dwutygodniowe uwięzienie.

Zachowania uwłaczające ludzkiej godności. Od trzech do szesnastu uderzeń batem, tygodniowe lub dwutygodniowe uwięzienie i kurs reedukacji moralnej. (Te „zachowania uwłaczające ludzkiej godności” odnosiły się przede wszystkim do „aktywności seksualnej pozamałżeńskiej albo nienastawionej na prokreację”, czyli do masturbacji, sodomii i seksu oralnego, jak również do transwestytyzmu, „obsceniczności” w ubiorze, prowadzeniu się lub „postawie” i tak dalej).

Publiczne obnażanie się poza wyznaczonymi strefami kąpieli ze ścisłym

rozdziółem płci. Trzy uderzenia batem, czyszczenie latryn.

Wykonywanie obsceniczych gestów albo bluźnierstwo. Uwięzienie na okres od jednego do trzech dni.

Bruknię czyjegół dobrego imienia. Uwięzienie na okres od trzech do siedmiu dni bez jedzenia.

Wandalizm, niszczenie mienia publicznego lub prywatnego. Uwięzienie na okres od jednego do trzech dni, praca na rzecz wspólnoty.

Nieprzestrzeganie zasad dotyczących ubioru (przewidujących zakrywanie się od połowy uda do ramion, z wyjątkiem stref wyznaczonych do morskich kąpieli). Uwięzienie na okres od jednego do trzech dni, czyszczenie latryn.

Hałasowanie po dziesiątej wieczorem. Czyszczenie latryn, praca na rzecz wspólnoty.

Śmiecenie. Czyszczenie latryn, praca na rzecz wspólnoty.

Stawianie oporu władzy, bunt, powstanie. Od dziesięciu do dwudziestu uderzeń biczem dla każdego z uczestników rebelii, dla przywódcy dwadzieścia cztery uderzenia biczem i wygnanie”.

Prawo Kunzego, jak widzimy, karało nie tylko za kradzież, gwałt czy morderstwo. Szczegółnie piętnowało „sianie zgorzenia” i obrazę „moralności” czy „skromności”. Bezwzględnie wymagany był „odpowiedni ubiór”, co wykluczało jakakółwiek nagość „poza wyznaczonymi strefami”, chociażby morskie kąpiele topless. Niektóre z paragrafów brzmiały całkiem absurdalnie, jak na przykład zakaz oglądania pornografii: skąd, u licha, mieliśmy wziąć na wyspie pornografię? Inne, zwłaszcza zakaz śmiecenia, zdawały się odzwierciedlać jakąś tęsknotę za bardziej cywilizowanym życiem. Wyjątkowo komiczne było natomiast domaganie się od nieszczęsnych rozbitków zagubionych w tropikach, by kąpali się jedynie w „wyznaczonych strefach” i nie hałasowali po dziesiątej wieczorem.

Karom podlegali tak mężczyźni, jak i kobiety, a liczba uderzeń biczem pozostawała równa dla obu płci, przy czym za „sianie zgorzenia”, „zachowania uwłaczające ludzkiej godności” (który to termin, jako wyjątkowo nieprecyzyjny, mógł obejmować właściwie wszystko, co nie podobało się władzom) i zdradę małżeńską znacznie surowiej karano płęć piękną. W gruncie rzeczy prawo Kunzego za zdolne do zdrady małżeńskiej uznawało wyłącznie kobiety. Mężczyźni mogli się co najwyżej dopuścić „niewierności”, której nie traktowano poważnie i nie karano biciem.

Kary fizyczne wymierzano publicznie, a obecność przy chłostach była

obowiązkowa dla wszystkich, którzy ukończyli czternasty rok życia. W centrum osady, nieopodal tablic z prawem Kunzego, wbito w ziemię dwa skrzyżowane i związane w środku pnie młodych palm. Sam widok tego złowróżbnego „X” miał nas odwozić od potencjalnie występnych czy antyspołecznych zachowań, we mnie wszakże wywoływał tylko zgrozę i gniew. Najchętniej rozwaliłbym tę obmierzłą konstrukcję przy pierwszej nadarzającej się okazji, tyle że przyjaciele odradzali mi pakowanie się w kłopoty.

Kunze kazał też przysposobić dwie znajdujące się w pobliżu skalne groty na cele. Obie były bardzo wąskie, niskie i w czasie przyływu częściowo zalewane przez wodę. Jedna miała dziesięć metrów głębokości i z tyłu dało się nawet stanąć; druga, mniejsza, około pięciometrowa, wymagała od uwięzionego pozostawania w pozycji skulonej. Zamykano w niej za najgorsze przewiny. W czasie przyływu ocean zalewał całej jej dno, więc człowiek kuczał w wodzie po kostki, nie mogąc usiąść ani się położyć. Wejścia do obu cel zastawiano drewnianymi „drzwiami” blokowanymi za pomocą kamieni. Przebywanie w środku stanowiło prawdziwą torturę i ktokolwiek spędził tam więcej niż trzy dni, wychodził na wolność wycieńczony, ślaniając się na nogach. Ponieważ więźniowie, żywieni zresztą nędznymi resztkami ryb lub owoców, musieli załatwiać swoje potrzeby na miejscu, groty cuchnęły ponadto jak latryny.

Tudelli odprawiał teraz mszę codziennie i w swoich kazaniach wciąż wracał do „godności ludzkiej” oraz „uniwersalnych wartości”. Wade i Joseph odbyli z nim rozmowę, prosząc, by wycofał swoje poparcie dla Stephana Kunzego i pomógł im skończyć z jego nadużyciami. Jednakże biskup nie zgadzał się z ich oceną sytuacji i nie widział w działaniach Rady nic złego.

– Kary są nieco surowe, owszem – przyznał, jak zwykle śliski, swoim modulowanym głosem. – Niemniej pan Kunze ma słuszość, tłumacząc to wyjątkowymi okolicznościami. W takich wypadkach rola Kościoła jest jasna: polega, jak zawsze, na obronie godności ludzkiej i uniwersalnych wartości. Wartości takich jak własność, życie, godność, nienaruszalność rodziny... Nikt nie powinien się temu sprzeciwiać. A jeśli to robi, najwyraźniej nie chce być członkiem naszej wspólnoty, nie jest dobrym człowiekiem i zawsze może opuścić osadę, i zamieszkać w dżungli jak dzikus. Droga wolna. Nikogo nie będziemy siłą zatrzymywać! – dodał z uśmiechem odsłaniającym dwa złote zęby.

– Ale te kary, ekscelencjo! – argumentował Joseph. – Publiczna chłosta! To przecież barbarzyństwo. Powrót do średniowiecza. Może jeszcze mam potem leczyć wynikłe z tego rany?

– Musimy być tolerancyjni – oświadczył Tudelli. – Nasi wschodni przyjaciele przykładają wielką wagę do kar fizycznych, stanowiących istotny element kultury i prawa Singapuru, Malezji czy Indonezji, suwerennych krajów, które są pełnoprawnymi członkami ONZ.

– Nie są za to chrześcijańskie – mruknął Wade.

– Naszym obowiązkiem jest obrona niewinnych, słabych, tych, którzy sami się nie obronią – ciągnął Tudelli. – Kary wymierza się tym, którym udowodniono winę podczas sprawiedliwej rozprawy. Zadanie Kościoła sprowadza się w takich razach do prób łagodzenia wyroku sędziów. Jednakże Kościół nie może wspierać zbrodni, takich jak choćby eutanazja, aborcja czy zdrada małżeńska. Panowie chyba również są przeciwko?

– Zdradę uważa pan za zbrodnię? – rzucił Wade. – Nie sądzi pan, że to sprawa osobista?

– Panie Erickson – powiedział Tudelli – żyjemy w świecie, który się rozpada. Nie, nie chodzi mi teraz o tę wyspę. Chodzi mi o nasz świat na zewnątrz. Z rozpaczą patrzymy, jak nasze społeczeństwa ulegają dyktaturze laicyzacji. Laicyzacji, która niszczy rodzinę i zatruwa humanistyczną tradycję intelektualną jadem postmodernistycznego relatywizmu. Tutaj wszakże, na tej wyspie, odzyskaliśmy wolność. Tutaj, w naszej małej społeczności, mamy okazję wrócić do źródeł, żyć jak na wolnych i godnych ludzi przystało. Wolność! Oto czego my, chrześcijanie, pragniemy. Pragniemy godnego, wartościowego życia! Życia w czystości, uczciwości i zdrowiu. Czy nie tego właśnie powinno się pragnąć?

– Odzyskaliśmy wolność? – powtórzył Joseph. – Nazywa pan to wolnością?

– Wyzwoliliśmy się spod bezlitosnej dyktatury – przytaknął Tudelli.

– A ta dyktatura to...?

– Chodzi mi o dyktaturę laicyzacji, doktorze Langdon – odparł Tudelli. – O dyktaturę relatywizmu. To jej nowa forma, perwersyjna i wyrafinowana.

Okazja do bliższego zapoznania się z prawem Kunzego nadarzyła mi się zaraz po opuszczeniu szpitala, podczas pierwszego spaceru. Wtedy jeszcze z trudem poruszałem się o kulach, ledwie trzymając się w pionie, jednakże ćwiczenia dobrze mi robiły. Towarzyszili mi moi hiszpańscy znajomi: Ignacio,

Idoya, Julián i Matilde, którzy najwyraźniej postanowili się mną zaopiekować i traktowali mnie jak biedne ptaszę ze złamanym skrzydłem. Zeszliśmy razem na plażę i zbliżyliśmy się do jednej z grot służących za cele. Siedział w niej mężczyzna przyłapany na kradzieży pożywienia. Zdaje się, że przy okazji wyszło na jaw, iż człowiek ten miał ukrytą w dżungli spiżarenkę, gdzie przechowywał to, co ukradł. Ukarano go tygodniowym zamknięciem, podając mu jedynie wodę i ości ryb. Ości stanowiły źródło białka i wapnia. Problem polegał na tym, jak je zjeść: należało naprawdę starannie je przeżuć, tak by nie wbiły się potem w gardło albo przełyk. Więzień siedział tam w środku jak zwierzę w klatce. Spytałem go, jak się czuje, lecz przyjaciele uświadomili mi zaraz, że nie wolno rozmawiać ze „skazańcami”. Powiedziałem, że takie więzienie bez prawdziwego zamknięcia jest zupełnie bez sensu, bo przecież te podparte kamieniami „drzwi” nie wytrzymałyby paru solidnych kopnięć. Tyle że wszyscy się bali.

Odwiedziliśmy żonę tamtego nieszczęśnika. Była zdeglustowana i wściekła – ale nie na Stephana Kunzego. Oświadczyła, że jej mąż to świnia i że dostał to, na co sobie zasłużył. Wyglądało na to, że nie dzielił się z nią swoim łupem. Jak to bywa między małżonkami, zwłaszcza długoletnimi, pałała żądzą zemsty.

Wszystko to wydawało mi się tak idiotyczne, że od razu poszedłem do Stephana Kunzego.

Przyjął mnie bardzo uprzejmie i zaprosił do swojej chaty, którą stopniowo rozbudowywał, doklejając do pierwotnej konstrukcji pomieszczenia i werandy, tak że na tle naszych chatek przypominała teraz prawdziwą rezydencję czy wręcz pałac. Brigitta Kunze poczęstowała mnie kieliszkiem różowego wina. Potem wyszła i zostaliśmy sami. Wypaliłem natychmiast, że nie podoba mi się to nowe prawo, że on, Kunze, nie ma podstaw, by je komukolwiek narzucać i że trzeba bezzwłocznie uwolnić biedaka, który siedzi w grocie na plaży. Przecież od tej wilgoci dostanie reumatyzmu albo zapalenia płuc! I w ogóle jak można tak człowieka upokarzać, zmuszając go do żucia rybich ości?

– Drogi Johnie – powiedział Kunze. – Jest pan dobrym człowiekiem. Jest pan idealistą. Nie zna pan natury ludzkiej tak dobrze jak ja.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o ludzkiej naturze – odrzekłem. – Przyszedłem rozmawiać o rzeczach bardziej przyziemnych. Powtarzam: nie ma pan podstaw, by robić to, co pan robi. Nie ma pan prawa niczego nikomu narzucać. Jest pan nikim. Nie góruje pan nad innymi pod żadnym względem.

– O, to pomyłka, John – odpowiedział Kunze. – Twierdzi pan, że nie mam żadnych „podstaw”. Owszem, mam trzy. Mam całą broń. Mam pieniądze. I, co najważniejsze, mam Boga. Mam też czyste sumienie, gdyż wiem, że to, co robię, jest dobre. Bierze mnie pan za cynika. Ale nie na tym polega problem. Problem polega na tym, że jest pan hipokrytą, jak zresztą wszyscy liberałowie: jak wszyscy liberałowie lubi pan wierzyć w kłamstwa wyłącznie dlatego, że są ładne albo takie się panu wydają. Tamten człowiek siedzi w więzieniu za karę. To on dopuścił się występku, nie ja. Ja go nawet nie zamknąłem. Sam się zamknąłem. Został osądzony i skazany. Kradł jedzenie, odejmując je od ust dzieciom, chorym, starcom. Uważa pan, że to nic takiego? Uważa pan, że to nie zasługuje na karę? Własna żona odsądza go od czci i wiary. Wie pan, że go publicznie opluła? Jego własna żona! Niech pan zaczeka – wyciągnął rękę, uciszając mnie, gdy chciałem się odezwać. – Z góry znam pańskie argumenty. Słyszałem je tysiąc razy. Znaleźliśmy się w sytuacji ekstremalnej. Niech pan pomyśli, John, niech pan przez chwilę pomyśli. Niech pan pomyśli o tym, że jest nas tutaj cała zgraja. Na wyspie, gdzie brakuje jedzenia. Niech pan pomyśli o tym, że otaczają nas przestępcy, wyraźnie gotowi na wszystko, łącznie z torturami i okaleczeniami, byle tylko nie wpuścić nas na swoje terytorium. Nie możemy z nimi walczyć, bo nie umiemy się zorganizować, nie znamy terenu i nie mamy dość broni. A sytuacja wciąż się pogarsza. Musimy przewidywać problemy, zanim się pojawią. Co będzie, jak wyczerpią się zapasy z samolotu, skończą się te wszystkie konserwy, którym się dotąd żywimy? Mocno przetrzebiliśmy też nadającą się do jedzenia roślinność, a i połowy są coraz skromniejsze. Czymś musimy codziennie zaspokajać głód mnóstwa osób. Moje prawo może wydawać się panu twarde. Pewnie takie jest. Ale nie pozwolę, żebyśmy w imię pańskich mrzonek pograżyli się w chaosie. Musimy bronić cywilizacji, bronić najsłabszych. Cywilizację da się zbudować wyłącznie w oparciu o prawo. Prawo zaś da się narzucić tylko jednym sposobem. Wie pan, jakim?

– Zakładam, że odwołując się do ludzkiego rozumu.

– Nie, John, rozum nie ma tu nic do rzeczy. Prawo da się narzucić tylko poprzez strach. Jeśli zaczniemy łązić nago, malować sobie twarze i urządzać orgie, wkrótce skończymy jako kanibale. Nie wie pan, że już niektóre kobiety sypiają z mężczyznami w zamian za jedzenie? To się już dzieje. Te kobiety, w tym jedna mężatka, sprzedają swoje ciała za kawałek wędzonej ryby albo porcję skondensowanego mleka.

– Skąd pan to wie?

– Po prostu wiem – rzekł Kunze. – Niech pan sobie wyobrazi, co się stanie, jeśli mąż tamtej kobiety się zorientuje. Rozmawiałem z nią, ale wszystkiego się wypiera. Choć przy okazji próbowała skusić i mnie. Jest niezwykle piękna, owszem. Wszyscy mamy nerwy napięte do ostateczności. Jeśli jej mąż się zorientuje, może ją wręcz zabić. Nie winiłbym go za to. Ale, rzecz jasna, zostałby osądzony jako morderca, bez względu na okoliczności łagodzące. A co zrobilibyśmy z ciałem jego żony? Zapewne wykopalibyśmy kolejny grób, trochę ich już mamy. Wciąż nie jesteśmy wystarczająco wygłodniali. Czy za miesiąc też nie będziemy? Czy niektórzy z nas nie uznają, że taką kobietę, skoro i tak już nie żyje, lepiej zjeść? Czy nie tak właśnie postępowali tamci rozbitkowie z Andów? Czy nie zjadali swoich zmarłych?

Kieliszek różowego wina sprawił, że kręciło mi się w głowie. Byłem jeszcze bardzo słaby i kilka łyków alkoholu na pusty żołądek zrobiło swoje. Mój zmacony umysł nie pamiętał już nawet, co zamierzałem dzięki tej rozmowie osiągnąć.

– A kary fizyczne? – spytałem. – To też przejaw cywilizacji?

– Musimy szanować inne kultury. – Kunze uśmiechnął się ironicznie. – Nie możemy narzucać zachodniego systemu wartości ludziom ze Wschodu. Nasze prawo opiera się na prawie naturalnym, na uniwersalnych podstawach, niemniej sposoby jego egzekwowania zależą od egzekwującego.

Język pod wpływem wina odmawiał mi posłuszeństwa, nie umiałem już nawet sformułować odpowiedzi.

– Nasi wschodni przyjaciele nie są tak wydelikaceni jak my – stwierdził Kunze. – Stosują kary surowe a proste: przywiązują delikwenta i chłoszczą go rattanową różgą. – Zaśmiał się i aż z tej uciechy poczerwieniał. – Chłosta, John, jest tania i skuteczna. Rattanowe różgi natychmiast zawracają człowieka ze złej drogi.

Rattan. Miałem w swoim domu w Oakland meble z rattanu, ale nigdy się nie zastanawiałem, co to właściwie jest. Rodzaj trzciny? Bambusa?

W rzeczywistości nazwą rattan obejmuje się wiele gatunków palm pnących, które, podobnie jak liany, bytują, oplatając drzewa. Ich łodygi, z których wyrabia się słynne *malacca canes*, eleganckie laseczki, podzielone są na segmenty, co powierzchownie upodabnia je do bambusa. Niemniej rattan nie ma nic wspólnego ani z bambusem, ani z trzcina. Bambus jest pusty w środku i bardzo łamliwy, podczas gdy rattan wyróżnia się twardością. Najwięcej

rośnie go w Indonezji, jednakże Jung Fei Ye i na naszej wyspie znalazł kilka palm z gatunku *Calamus adspersus* oraz, przede wszystkim, *Daemonorops draco*. Te ostatnie to szczególnie dorodny gatunek rattanu, a ich pnącza, odpowiednio okorowane, doskonale nadają się na profesjonalne narzędzia kary.

Pokazał nam je pewnego popołudnia, bardzo z siebie dumny. Przygotował trzy różgi różnej grubości. Wszystkie były długie na mniej więcej półtora metra i miały wygodny uchwyt upleciony z konopi.

Chłostę wykonywano u nas prawie dokładnie tak samo, jak robi się to w Singapurze, gdzie skazańca rozbiera się do naga i przywiązuje w ten sposób, by nogi miał złączone dla osłonięcia narządów płciowych, ręce wyciągnięte ku górze, a cały korpus nieco zgięty do przodu, z pośladkami wystawionymi na razy. Skrzyżowane w wielkie „X” palmy, przy których odbywała się kazań na wyspie, nie pozwalały na to zgięcie ciała do przodu, poza tym jednak dobrze spełniały swoją rolę, umożliwiając przywiązanie rozpostartych rąk chłostanego w górze, jak również unieruchomienie go w pasie. Nogi krępowano mu w kostkach.

Zgodnie z prawem Kunzego, karze chłosty podlegali wszyscy winowajcy od czternastego do sześćdziesiątego piątego roku życia, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Przywiązanej już ofierze odsłaniano pośladki, bo tylko one miały przyjmować uderzenia, choć czasem rattan zahaczał przypadkowo o górną część ud lub dolną pleców. Razy wymierzał Jung Fei Ye, ekspert od sztuk walki, wedle zawsze identycznego rytuału. Kiedyś zademonstrował nam swoje umiejętności „na sucho”, jako że niezwykle był z nich dumny. Trzymało się, jak nam tłumaczył, różgę w wyciągniętej ręce, brało zamach z lewa na prawo i, postępując krok w przód, z całej siły cięło rattanową witką skórę, aż zostawał na niej ślad jak od noża. Przed każdym uderzeniem kat pytał ofiarę, czy jest gotowa, na co należało odpowiedzieć twierdząco. Po uderzeniu trzeba było za nie podziękować. Później lekarz oglądał chłostanego, osłuchiwał go i mierzył mu temperaturę, by ustalić, czy można kontynuować. Jeśli stwierdzał, że nie, ofiarę odwiązywano i przekładano wszystko na dzień następny – i tak aż do wymierzenia odpowiedniej liczby rązów. Towarzyszący temu ból był nie do opisanego, blizny zaś zostawały na resztę życia. Trzy uderzenia oznaczały trzy poziome znaki na pośladkach, trwały pamiątkę po doznanym upokorzeniu, przy czym właśnie to upokorzenie, wyjaśniał Jung Fei Ye, wstyd, że jest się naznaczonym w takim miejscu, stanowiły o skuteczności tej kary. Z trudem

wyobrażałem sobie skutki dwunastu ciosów zadanych podczas jednej sesji w to samo miejsce, nie wspominając już o szesnastu czy dwudziestu czterech, które musiały rozrywać ciało aż do kości i oznaczać po prostu krwawą jatkę. Jung Fei Ye opowiadał, że wychłostani spędzali potem całe dni i tygodnie pod opieką lekarza, leżąc na brzuchu i czekając, aż rany zaczną się goić. Odkazano je, lecz nie podawano chorym środków przeciwbólowych, aby kara się dopełniła. Natomiast między bajki należało podobno włożyć pogłoskę, że dla spotęgowania cierpienia rattanowe witki moczo w roztworze soli.

– Ktokolwiek posmakuje rattanowej różgi, wraca na drogę cnoty – mówił Jung Fei Ye. – Staje się uległy i posłuszny. Nabiera rozumu i szacunku. Oglądałem to tysiące razy. Ten system działa. Jest okrutny, owszem, ale działa.

Sophie uwięziona

Sebastian, jeden z synów Sophie, chorował na astmę i nękające go ataki duszności stawały się coraz poważniejsze. Inhalatory już nie działały i chłopiec nie sypiał całymi nocami. W dzień miał trochę spokoju, lecz gdy tylko się kładł, wracały duszności i świstanie w piersi. Oskrzela zaciskały się i nie przepuszczały powietrza. Sophie czuwała przy synu, a mały był tak wyczerpany, że czasem zasypiał za dnia na siedząco.

Klimat wyspy, panująca na niej lepka wilgoć mu nie służyły.

Syra nie odstępowała go teraz na krok. Siedziała przy nim i w milczeniu trzymała go za rękę. Czasami widywałem ich razem na plaży. Kiedyś zobaczyłem, że wspólnie kontemplują zachód słońca, i pomyślałem, że może to początek pięknej miłości.

Sophie nie przepadała za Syrą, ale traktowała ją uprzejmie, świadoma, że Sebastian lubi towarzystwo dziewczynki. Mało ze sobą rozmawiali, właściwie nigdy nie widziałem, by to robili. Zresztą chłopiec nie zawsze czuł się źle. W ciągu dnia zwykle funkcjonował normalnie, najgorsze przychodziło nocą. Joseph zalecił mu, by sypiał w pozycji półsiedzącej, jednakże koszmar i tak się powtarzał.

Dharma, Brazylijczyk-jogin, odbył z Leverkusenami rozmowę i powiedział im, że stan małego poprawiłaby ściśle wegetariańska dieta. Zaproponował także ćwiczenia oddechowe, których Leverkusnowie, zapatrzeni w naukę niedowiarkowie, nie potraktowali poważnie i nawet nie próbowali zastosować.

Sophie udała się za to do Jimmy'ego Bruëlla i spytała go, czy byłby w stanie zdobyć dla Sebastiana jakieś lekarstwa. Jimmy odparł, że może i dałoby się coś zrobić, tyle że kosztowałyby to ją nieco więcej niż kiść bananów czy tuzin świeżych ostryg.

– Ale skąd ty, do diabła, bierzesz to wszystko, co potem sprzedajesz? –

wściekła się Sophie. – Nie wolno ci chować leków. A ja nie muszę ci za nie płacić. Jeśli je masz, musisz przekazać je Josephowi i Robercie.

– Ja nie jestem socjalistą, droga pani – rzucił Jimmy z szerokim uśmiechem. – Wierzę w to, co wychwalali ojcowie założyciele: w pogoń za szczęściem, noszenie broni i prywatną własność.

– Możemy cię zmusić, żebyś wydał nam te lekarstwa – warknęła Sophie.

– Nie, nie możecie – odparował Jimmy. – Bo ja ich nie mam. Ja nie mam niczego, pani architektowo. Jestem tylko pośrednikiem. Takim *entrepreneur*. Zwykłym hustlerem. To moja działka. Jestem przyjacielem, który potrafi różne rzeczy załatwić, a nie właścicielem sklepu czy pełnego dobroci magazynu. Jestem domokrądcą, z tych, co to kiedyś kręcili się wszędzie, droga pani. Jestem kłusownikiem. Czy wyrażam się jasno?

– Daj spokój, Jimmy – prychnęła Sophie. – Nie wyjeżdżaj mi tu z takimi gadkami. Nie peroruj jak postać z serialu. Wystarczy już, że Wade tak robi.

– Mogę spróbować zdobyć to lekarstwo – oświadczył Jimmy.

– Dobrze – powiedziała Sophie. – Mój syn się dusi, nie może oddychać. Mam nadzieję, że się pospieszysz, Jimmy.

– Ale cena będzie spora – rzekł Jimmy, puszczając do niej oko.

– Przestań, Jimmy, tutaj chodzi o dziecko.

– Kochana, serce mi się kraje, ale czy kiedykolwiek użyłaś tego argumentu, dostając rachunek od lekarza? Albo płacąc w aptece? Wykupując ubezpieczenie? Ja tu prowadzę biznes. A biznes to biznes i tyle.

– Nie mam pieniędzy. Zapłacę ci, jak się stąd wydostaniemy. Podpiszę ci to przy świadkach. Dam ci za to lekarstwo tysiąc dolarów, starczy?

– Pieniądze nie mają tutaj żadnej wartości – powiedział Jimmy. – No, pani architektowo! Nawet pani musi wiedzieć, że są rzeczy lepsze od kasy.

– Nie rozumiem, co sugerujesz. Chcesz, żebym się z tobą przespała? O to ci chodzi? Chcesz mnie w zamian za to lekarstwo przelecieć?

– Nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy. – Jimmy się uśmiechnął.

Po tej rozmowie Sophie zwróciła się do Josepha i Wade'a. Joseph wyznał, że nie ma pojęcia, skąd Jimmy bierze swoje towary. Musiał je chyba wydobywać z wraku samolotu. Tylko jak? Tratwa ratunkowa dawno sflaczała i nie nadawała się już do użytku, poza tym wydawało się nieprawdopodobne, by w samolocie zostało tak dużo przydatnych rzeczy. Najpewniej jeszcze w tych pierwszych dniach, kiedy przeszukiwali luk bagażowy, Jimmy przywłaszczył sobie najróżniejsze dobra i gdzieś je ukrył. Za namową Sophie

zawiązała się więc niewielka grupka, która wyprawiła się, by przeszukać chatkę Jimmy'ego pod kątem leków. Jimmy protestował i prychał, i opowiadał o swoich „konstytucyjnych prawach”. Nie potrzebował zresztą żadnej konstytucji, skoro miał broń, a do tego poparcie Stephana Kunzego, ostatecznie jednak z ironicznym uśmiechem pozwolił, by Joseph i Wade weszli do jego chaty i przetrząsnęli ją w poszukiwaniu skrytki ze wszystkim tym, czego tak bardzo pożąдалиśmy: tytoniem, alkoholem, lekarstwami i prezerwatywami. Niczego nie udało się znaleźć. Skrytka musiała znajdować się gdzieś w dżungli, w bezpiecznym miejscu znanym tylko Jimmy'emu.

Dlatego po zmroku Sophie poszła do niego, położyła się do jego łóżka i pozwoliła mu robić, co chciał. Nie wiem, pewnie zakładała, że sprawy nie zajdą tak daleko i że Jimmy w ostatniej chwili się wycofa, dając jej lekarstwo bez „opłaty”. Zapewne myślała, że nawet on nie upadł tak nisko, by wykorzystywać chorobę dziecka do przespania się z jego matką. Jednakże moralność Jimmy'ego okazała się zaskakująco elastyczna: widząc Sophie w swoim łóżku, po prostu rozebrał ją i zrobił swoje. Wedle szpiegów, którzy podsłuchiwali pod chatą, Sophie zażądała, żeby założył gumkę. Nie chciał, więc negocjowali przez dłuższą chwilę i w końcu się zgodził. Później wręczył Sophie kilka inhalatorów z terbutaliną i salbutamolem, jak również trochę opakowań budezonidu. I Sebastian, po raz pierwszy od długiego czasu, spokojnie zasnął i spał nazajutrz do późna.

Tamtego ranka Joseph złożył Jimmy'emu wizytę. Akurat przechodziłem w pobliżu, z ręcznikiem na ramieniu kuśtykając w stronę kąpieliska, i przystanąłem, dostrzegłszy, że doktor stoi przed chatą Jimmy'ego i wielkim głosem wzywa go, by wyszedł na zewnątrz. Jimmy wyłonił się zza wiszącej w drzwiach wejściowych zasłony, pogryzając kawałek mango, w drugiej zaś dłoni trzymając, założoną palcem, *Małą Dorrit*. Joseph rzucił się na niego i jednym ciosem powalił go na ziemię. Boże mój, ależ miał cios ten nasz doktor! Jimmy usiadł powoli, refleksyjnie obmacując sobie szczękę w miejscu, gdzie spadły na nią kłykie Josepha, i wypluwając żółte kawałki nieprzeżutego mango. Palec drugiej ręki wciąż trzymał między stronicami *Małej Dorrit*. W końcu odłożył książkę, rozłożoną w odpowiednim miejscu, grzbietem do góry, wytarł usta wierzchem dłoni i wstał.

– Uspokoileś się, doktoru? – spytał. – Mogę czytać dalej?

Joseph znów się na niego rzucił i we dwóch potoczyli się na piasek. Chyba nigdy nie byłem świadkiem podobnej walki. Jedynie w filmach widywałem,

by dwóch mężczyzn okładało się w ten sposób pięściami. Joseph bił się doskonale, musiał kiedyś trenować boks albo kick boxing, jednakże to Jimmy miał długie, muskularne ręce i to on zapewne uczył się boksować w więzieniu, gdzie poznał wszystkie brudne chwyt i wszystkie niedozwolone triki, które pozostawiają przeciwnika bez oddechu, w związku z czym szybko rozłożył doktora, krwawiącego już z nosa i ust, na łopatki. Poza tym Joseph był wściekły, a Jimmy – nie. Doktor wstał, ale nie ulegało wątpliwości, że przegrywa. Jimmy górował nad nim siłą, chłodem i okrucieństwem. Za każdym razem, gdy Joseph upadał, Jimmy unosił ręce i powtarzał mu, by go zostawił w spokoju, bo to, co się stało, nie ma z nim nic wspólnego i w ogóle po co tak przesadzać. W końcu ich rozdzielono. Wade podszedł do Josepha i powiedział, że już wystarczy. Powiedział, że walka się odbyła, on, doktor, przegrał i bez sensu byłoby pozwolić, by Jimmy pobił go do nieprzytomności i zrobił mu prawdziwą krzywdę. Że on, doktor, przegrał, niemniej odważnie stanął do walki i w ten sposób ocalił honor damy. Więc wystarczy. Nie mogłem uwierzyć, że Wade mówi takie rzeczy. Czułem się jak świadek średniowiecznego pojedynku, zagubiony pośród heraldycznego lasu praw krwi i honoru. Honor damy? Wtedy pojawił się Leverkusen. Na jego twarzy malował się głęboki niesmak. Gdy go zobaczyliśmy, zapadło milczenie. Leverkusen rzadko się pokazywał i nigdy nie wypowiadał się publicznie.

– Żądam zwołania dziś wieczorem ogólnego zgromadzenia rozbitków – oświadczył i niezgrabnym gestem wskazał Jimmy’ego, nie patrząc mu w twarz.
– To indywidualium musi zostać wykluczone z naszej społeczności.

– Potrzebujesz aż takiego wsparcia, żeby się ze mną zmierzyć? – rzucił Jimmy, spokojnie podnosząc z ziemi swoją książkę. – Nie wolałbyś załatwić tej sprawy po męsku?

– Sprawię, że zostaniesz wykluczony – odparł Leverkusen. – Będziesz się musiał wynieść do dżungli, skurwysynu. Gdzie zdechniesz, próbując łapać małpy.

Zgromadzenie, którego się domagał, odbyło się tego samego wieczoru, lecz potoczyło inaczej, niż się spodziewał. Tak, dobrze je pamiętam i przypuszczam, że równie dobrze pamiętają je małpy kapucynki, gigantyczne wilki oraz białe kakadu, albowiem nieczęsto się chyba w tamtych stronach zdarza, by wygłaszano takie diatryby, jakie wybrzmiały wówczas nad rzeką, przy rozpalonym na tę okazję ognisku. Pamiętam płomienie oświetlające poczerwieniałe, wykrzywione twarze, pamiętam trzaskające ku

rozwieżdzonemu niebu iskry i żółtopomarańczowe odblaski na wodzie i liściach drzew. Pamiętam intensywną, obcą naszym wrzaskom obecność rzeki, ognia, nieba i roślinności i pamiętam osłupienie dzikich zwierząt, odkrywających oto, że spośród wszystkich żywych stworzeń najdzikszy jest właśnie człowiek.

Leverkuhn złożył formalny wniosek o wykluczenie Jimmy'ego Bruëlla z naszej społeczności, po uprzednim ustaleniu, gdzie ukrywa wszystko to, czym handluje, a czego my tak bardzo potrzebujemy do życia. Oświadczył, że to wstyd, iż musimy „płacić” za najkonieczniejsze artykuły i że Bruëll, przestępca o bogatej kartotece, który, o ile było mu, Leverkuhnowi, wiadome, kilkakrotnie siedział w więzieniu, nie zasługuje na korzyści płynące z przynależności do wspólnoty. Dodał też, że ten typ to pijawka, wyzyskiwacz, bezwstydnik, szantażysta, łajdak, niemal gwałciciel i że trzeba mu zakazać nawet zbliżania się do naszej osady.

Kunze odrzekł, że rozumie jego, Leverkuhna, rozdrażnienie, jednakże podnoszony przez niego problem jest raczej natury prywatnej. Był łagodny, jak zawsze, ale zarazem niesłuchanie bezwzględny. Powiedział, że poza wszystkim innym propozycja Leverkuhna zakrawa na jakąś bolszewicką rewolucję – ze zniesieniem własności prywatnej, zakazem handlu i stworzeniem kolektywu dysponującego wszystkimi dostępnymi dobrami. Z wystudowaną uprzejmością spytał Leverkuhna, czy jest komunistą, na co mąż Sophie, tracąc powoli panowanie nad sobą, odparł: „Jasne, że nie jestem komunistą, stary durniu”, co, oczywiście, sytuacji nie poprawiło. Kunze oświadczył, że wierzy w wolność, własność prywatną oraz indywidualną inicjatywę i że uważa, iż trzeba płacić za to, co chce się posiadać, ten zaś, kto pracuje za darmo, nie jest idealistą, lecz niewolnikiem. Wtedy o głos poprosił Joseph (choć niełatwo było mu się przebić przez panujący już wokół rozgardiasz). Zauważył, że Kunze wypowiada się tak, jakbyśmy znajdowali się w jakimś biznesklubie na Upper West Side w Nowym Jorku; jakby nie zdawał sobie sprawy, że jesteśmy rozbitkami na obcej wyspie, żyjemy w wyjątkowo trudnych warunkach i że nasza jedyna szansa na przetrwanie to wzajemna pomoc i bezinteresowna praca na rzecz całej grupy. Dorzucił, że zgadza się z Leverkuhnem co do tego, że Jimmy Bruëll powinien wszystkie posiadane przez siebie lekarstwa (przynajmniej lekarstwa) przekazać do dyspozycji wspólnoty. Wszystko to brzmiało tak rozsądnie, że sądziłem, iż nie ma nawet o czym dyskutować. Wniosek Leverkuhna o wykluczenie Jimmy'ego wydawał

mi się nieco przesadny, byłem jednak pewien, że odbędzie się w tej sprawie głosowanie, Leverkusen przegra i temat zostanie zamknięty. Tyle że Kunze nie zamierzał organizować żadnych głosowań. Istniało przecież prawo, istniały władze sądownicza i wykonawcza. Nic więcej nie było potrzebne.

Kunze oznajmił, że jeśli mielibyśmy kogoś wykluczać z naszej społeczności, to już raczej panią Leverkusen. „Tak zwana pani Leverkusen”, powiedział, podkreślając ironicznie słowo „pani”, dopuściła się zdrady małżeńskiej, co zgodnie z obowiązującym na wyspie systemem prawnym podlega karze chłosty. Sophie Leverkusen, ciągnął Kunze, posłużyła się własnym ciałem jako środkiem nabywczym w transakcji handlowej, a to oznacza nie tylko zdradę małżeńską, lecz również prostytutkę. Czyli popełniła dwa przestępstwa. Dodał, że Jimmy Bruëll z pewnością nie jest wzorem do naśladowania, lecz winę za to, co zaszło, ponosi nie on, mający wszelkie prawo rozporządzać swoją własnością wedle własnego uznania, tylko kobieta, która go uwiodła. Słowa te wywołały protesty, okrzyki oburzenia i nawet śmiechy, wówczas jednak Kunze dwukrotnie strzelił w powietrze i stwierdził, że nie zamierza tolerować nieporządków i że mówi bardzo serio.

Następnie kazał zwierzchnikowi policji aresztować Sophie Leverkusen i zamknąć ją w jednej z cel na plaży. Po krótkich konsultacjach z Tudellim i Billym Higginsem, który ochoczo wszystkiemu przytakiwał, przemówił znowu i zapowiedział, że w związku z pewnymi okolicznościami łagodzącymi Rada postanowiła w tym wypadku zmniejszyć karę do sześciu uderzeń biczem, a jej wykonanie planuje się na dzień następny, w południe. Później spytano Sophie, czy ma coś do powiedzenia, na co odparła, że nie. Wtedy Jung Fei Ye i pan Lee podeszli do niej, zwiążali jej ręce na plecach i poprowadzili ją ku plaży. Joseph rzucił się na nich, usiłując ich zatrzymać, ale przyłożono mu pistolet do piersi, Jimmy zaś odbezpieczył strzelbę i wycelował mu w głowę. Doktor uniósł ramiona i znieruchomiał.

Noc pożerała wszystko wokół. Była jak wielki pajak – olbrzymi i bezlitosny.

Padamy ofiarami ataku

Następnego ranka obudziły mnie krzyki. Wciągnąłem spodnie, chwyciłem kule i najszybciej, jak mogłem, wyszedłem na zewnątrz, żeby zobaczyć to, co wszyscy, unosząc głowy, wskazywali na niebie. Nad wyspą latał samolot. Mały samolot bezzałogowy, jak stwierdziliśmy, gdy przemknął nad plażą, odbijając się w wielkim lustrze wilgotnego piasku, niby zdalnie sterowana zabawka. Wszyscy wybiegli z chat. Noboru i Ariko trzymali się za ręce. Wade wychynął spośród drzew z parą zwisających bezwładnie gołębi grzywaczy, na które polował za pomocą sprytnych pułapek. Roberto B. i Sheila zeszli razem z palmy. Swayla wynurzyła się z fal, bo właśnie zażywała porannej kąpieli. Jimmy Bruëll pojawił się ze swoją strzelbą wspartą na ramieniu.

Ujrzeliśmy, że samolot zatacza szeroki łuk na porośniętym dżunglą wzgórzem, które górowało nad osadą, i zawraca w kierunku plaży. Znacznie zniżył lot i widzieliśmy go teraz jeszcze dokładniej. Miał dwa silniki turbośmigłowe, po jednym z każdej strony, a na jego kadłubie widniał napis: *Keep cool forever!* wraz z rysunkiem, który, jak mi się wydało, przedstawiał czerwoną świnkę w czarnej masce i pirackim kapeluszu na głowie. Maszyna była chyba bardzo stara, tu i ówdzie prowizorycznie pospawana, z podpryskiwanym lakierem. Leciała wzdłuż rzeki i kiedy dotarła na wysokość osady, zaczęła wypuszczać z siebie chmurę żółtawego pyłu. Wyglądało to tak, jakby miliony drobniutkich szklanych nagietków zawisły nad czarną powierzchnią wody. Trudno było powiedzieć, czy chodzi o gaz, czy o proszek. Chmura szybko spowila osadę. Samolot skierował się ku lagunie, gdzie rozbitkowie skakali z radości, tańczyli, krzyczeli i machali rękami, chociaż najprawdopodobniej wiedzieli, że na pokładzie nikogo nie ma, a żółtawa chmura wydobywająca się z brzucha maszyny ogarnęła również i ich, wplątując się między pnie palm i ogromne liście pielgrzanów, które lekko poruszały się na wietrze, jak gdyby witały zniszczenie i koniec świata,

albowiem ta żółta chmura miała kolor zniszczenia i końca świata, samolot zaś leciał dalej, ponad plażą, spuszczać żółte zniszczenie na grupki ciekawskich, ścigających jego cień na piasku, zniżając się na dziesięć czy dwanaście metrów i znów się wznosząc, i zakręcając nad oceanem, by ponownie zawrócić w stronę plaży, laguny i osady. I wszyscy, jeden po drugim, padali bez przytomności. Wszyscy, bez względu na płeć czy wiek. Najpierw dzieci i kobiety, potem starcy, w końcu nawet najpotężniej zbudowani mężczyźni. Wszyscy wdychali żółtą chmurę i tracili przytomność. Niektórzy mieli mniej szczęścia niż inni. Sandy Pollock, dwudziestosiedmiolatka, z zawodu inżynier chemik, przewróciła się na brzegu laguny, wprost w płytką wodę, w której się utopiła. Jej siostra, Sibyll Pollock, lat dwadzieścia cztery, dawniej uzależniona od narkotyków i zarabiająca pozowaniem studentom malarstwa i rzeźby, siedziała akurat w koronie palmy, skąd przypatrywała się ewolucjom samolotu. Ponieważ żółta chmura miała tendencję do szybkiego opadania tuż nad ziemię, Sibyll przy odrobinie szczęścia mogła ją przeczekać i uniknąć jej zgubnych skutków. Nie zdążyła jednak przytrzymać się gałęzi, lekko już oszołomiona spadła z wysokości dwunastu metrów i skręciła sobie kark. Inni próbowali uciekać do dżungli, by ukryć się pośród gęstwiny, lecz bez powodzenia. Tylko dwie istoty nie uległy żółtym oparom i obu starczyło przytomności umysłu, by to ukryć, przewracając się na ziemię. Tymi dwiema istotami, które z różnych powodów okazały się odporne na środek oszałamiający, byli Ariko i wasza wierny sługa, Juan Barbarín. Co do Ariko – jej odporność na truciznę była łatwa do wytłumaczenia: roboty nie mają układu nerwowego. Jednakże wasz wierny sługa to nie automat, lecz człowiek z krwi i kości. Jak więc możliwe, że nic mu się w przeciwieństwie do innych nie stało?

Patrzyłem w osłupieniu, jak wszyscy wokół kładą się pokotem. Oczy im się zamykały, głowa ciężła, kolana miękkie i całe ciało wiotczało niby papier. Podobnie jak reszta zmierzałem w kierunku plaży, lecz dotarłem jedynie na skraj osady, do miejsca, gdzie zaczynała się laguna. Zobaczyłem, że Omotola, odziana w jedną ze swoich afrykańskich czerwono-żółtych tunik, osuwa się na ziemię, upuszczając niesione w zawiniątku orzechy kukui, które potoczyły się po łagodnej pochyłości terenu. Zobaczyłem, że Gloria Griffin, ubrana w biały kostium kąpielowy i stojąca po pas w turkusowej wodzie, spogląda na mnie ze strachem, po czym powieki jej opadają jak przechylonej do tyłu lalce, a głowa skłania się na jedną stronę. Utonęłaby, gdybym nie skoczył ku niej, nie złapał

jej za włosy i później pod pachy, i nie wyciągnął do połowy na brzeg. Samolot, wracając znad oceanu, ponownie rozpylił wokół żółty opar, połyskujący nad laguną niczym tysiące złotych kryształków. Wdychałem go ze wstrętem. Pachniał gorzko, zapachem kojarzącym się ze środkami owadobójczymi, lecz nie podrażniał oczu ani nie wywoływał kłopotów z oddychaniem. Pośród jego żółtawych strzępów dostrzegłem Jimmy'ego Bruëlla, ciągle ściskającego swoją strzelbę. Spojrzał na mnie i otworzył usta, jakby usiłował coś powiedzieć, zaraz wszakże padł na kolana, a potem na twarz, niby popchnięta kostka domina, i znieruchomiał. Wydało mi się jednak, że nim stracił przytomność, coś zauważył. Odwróciłem się i zobaczyłem w oddali ciemne, zbliżające się figurki. Momentami ginęły pośród żółtej mgły. Trzy, później cztery, później pięć... Siedem, osiem... Początkowo nie miałem nawet pewności, czy to ludzie. Równie dobrze mogły to być jakieś monstra, mały czy roboty. Wiatr od morza szybko rozganiał żółtą chmurę, ujawniając obecność kolejnych postaci – męskich i uzbrojonych. Nie wiedziałem, co robić. Wszyscy wokół leżeli bez ruchu. Osunąłem się więc na piasek, udając nieprzytomnego jak inni.

Tamci szli między drzewami nad rzeką, migali między ciemnymi liśćmi. Musieli wyłonić się z dżungli. Pamiętam, że się zdziwiłem, iż dotarli do nas tak szybko, co było o tyle bez sensu, że przecież nie wiedziałem, ile im to tak naprawdę zajęło. Grupa, którą obserwowałem (nie wiem, czy były inne), składała się z piętnastu do dwudziestu mężczyzn, uzbrojonych po zęby i ubranych w czarne wojskowe maski gazowe, wykonane z silikonu i lateksu, z filtrem umieszczonym z boku, tak by nie przeszkadzał w celowaniu z broni, i z dwoma okularami z poliwęglanu, nadającymi im wygląd olbrzymich owadów. Jeden z nich trzymał w rękach jakiś metalowy aparat z długą anteną. To był nadajnik do zdalnego sterowania samolotem. Musiał mieć ekran pozwalający operatorowi kontrolować maszynę, kiedy znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku. Zobaczyłem, że te ludzkie insekty, wyposażone w strzelby, a nawet karabiny automatyczne, zaczynają przeszukiwać chaty w osadzie. Zapewne po raz pierwszy oglądali je z tak bliska i czuli zaciekawienie. Wchodzili do środka i demolowali, co się dało, śmiejąc się i pokrzykując, chociaż przez maski trudno było zrozumieć co. Słyszałem, jak kolbami karabinów i kopniakami rozwalają bambusowe meble wykonane niemal bez użycia narzędzi, za to z nieskończoną cierpliwością, jak drą brezentowe daszki i plecione z liści palmowych dachy, jak tłuką gliniane

naczynia. Nie rozróżniałem ich słów, ale sam dźwięk ich głosów napełniał mnie potwornym przerażeniem, które jeszcze się spotęgowało, gdy w końcu wyszli z chat i, wciąż podobni do straszliwych owadów, skierowali się ku lagunie, przechodząc blisko miejsca, gdzie leżałem (jedno z nich, chyba kobieta, przestąpiło nawet przez moje nogi). Ich zachowanie wydawało się całkowicie niezrozumiałe. Wędrowali wśród ciał, często deptając swoimi wojskowymi buciorami twarze i brzuchy uspionych nieszczęśników albo kopiąc ich w żebra lub krocze dla sadystycznej przyjemności robienia krzywdy bez powodu. Ujrzałem, że podnoszą Roberta Frosta, niemądrego mormona (nazywałem go tak dla odróżnienia od tego drugiego, „mądrego mormona”, Roberta Kelly’ego), opuszczają mu spodnie, obnażając ze śmiechem jego różowe, gładkie pośladki, i kładą go na dziewczynie, która upadła na plecy, z rozłożonymi nogami. Udawałem nieprzytomnego, lecz oczy miałem tylko półprzymknięte. Jedna z kobiet-owadów zbeształa swoich towarzyszy za to, co zrobili z Robertem Frostem, i powiedziała im, by nie tracili czasu, ale to właśnie o czas jej chodziło, bo poza tym nie wydawała się szczególnie przejęta losem rozbitków, traktując ich bez litości. Do tego momentu nie byłem pewny, czy napastnicy to *insiders* czy może partyzanci, jednakże po ich odzieniu i broni zorientowałem się w końcu, że na pewno nie ci drudzy.

Jeden z nich, chyba przywódca, zawołał coś i wszyscy zdjęli maski gazowe. Tak jak przypuszczałem, kobietą, która chwilę wcześniej przeszła obok mnie, była Gwen. Potrząsnęła głową i gęste, kręcone włosy rozsypały się jej na ramionach. Miała na sobie ubranie wojskowe: bojowe buty marki Cordura, zielone kamuflujące spodnie, koszulkę khaki, pod którą zaznaczał się kształt sportowego stanika, pełną amunicji ładownicę, poduszki ochronne na kolanach i łokciach oraz ciężki plecak o grubych, wpijających się w ciało i podkreślających przez to rozmiar piersi ramiączkach. Uzbrojona była w kałasznikowa i wyglądała tak dziko, tak okropnie, że zadrżałem na wspomnienie o tym, iż kiedyś żywiłem do niej romantyczne uczucia, całowałem ją, ba, że się razem nago kąpaliśmy i uprawialiśmy miłość. Nie znałem innych członków jej grupy, pośród których nie dostrzegłem George’a, przy czym moje pole widzenia ograniczało się do tego, co miałem przed sobą, więc niewykluczone, że i on gdzieś się kręcił. Wszyscy prezentowali się nieprzyjemnie: źle ogoleni, z masą tatuaży na muskularnych, czerwonych od słońca przedramionach. Przywodzili na myśli piratów, wytrawnych przestępców, najemników sprzedających swój udział w kolejnych wojnach.

Ten wszakże, który wydał rozkaz zdjęcia masek, mocno się od pozostałych różnił. Był niski i raczej drobny, miał krótkie włosy i okrągłą, bladą twarz o wielkich, zimnych i inteligentnych niebieskich oczach oraz małych czerwonych ustach wykrzywianych przez tiki i dziwne miny. Bez wątpienia to on dowodził. Usłyszałem, że znowu coś woła i z mroku dżungli wypadła chmara dzikich uzbrojonych w lance, łuki i strzały. Byli to mężczyźni o ciemnej skórze, może Polinezyjczycy, przybrani ptasimi piórami i kościanymi ozdobami w nosie. Kiedy mówię: „chmara” odnoszę się nie tylko do ich wielkiej liczby, lecz również do lekkości, do chyżości, z jaką się nagle pojawili i wypełnili całą przestrzeń. Nie nosili obuwia, za cały strój starczyły im naszyjniki, plecionki z trawy i tatuaże. Chyba nigdy nie widziałem ludzi o tak dzikim wyglądzie. Zdawali się zgodnie współpracować z białymi, którzy, choć dużo mniej liczni, kontrolowali całą broń i wyraźnie kierowali akcją. Człowieczek o wyłupiastych niebieskich oczach przechadzał się w tę i z powrotem, przyglądając się leżącym. Usłyszałem, że ktoś nazwał go Abe'em, a potem Abrahamem. To był Abraham Lewellyn, przywódca *insiders*. Tubylcy chodzili za nim, cierpliwie czekając na rozkazy. Zwracał się do nich w ich języku, czasem wtrącając angielskie słowa, często zniekształcone tak, jak zapewne zniekształcali je oni. Mówił do nich i mówił, i śmiał się głośno, i reszta białych też się śmiała. Tubylcy nie odzywali się i zachowywali powagę. Po prostu czekali. W końcu dwóch z nich podniosło z ziemi Syrę i gdzieś ją zabrało. Później dowiedzieliśmy się, że nasi dziwacznicy prześladowcy uprowadzili nie tylko ją, ale także Carla i Sebastiana. Czyli troje pozostałych jeszcze w osadzie dzieci. Oraz wiele młodych kobiet.

Usiłowałem wszystkiemu się przyglądać, nie wykonując najmniejszego ruchu, dyskretnie wodząc za tamtymi oczami i jedynie od czasu do czasu ostrożnie zmieniając ułożenie głowy. W tamtym momencie najbardziej interesowało mnie to, czy ci dzicy są prawdziwi czy nie. Nie ulegało jednak wątpiwości, że nie chodzi o żadnych przebierańców. Świadczyły o tym nie tylko ich sposób poruszania się i niezwykle skupienie, lecz również wyrafinowanie ich ozdób, wszystkich tych piór, muszelek, tatuaży, wypalonych na skórze znaków, kolczyków i innych dodatków, za pomocą których – jak się zdawało – próbowali przemienić swoje ciała w dzieła sztuki. Wszyscy, których widziałem, mieli nos przebity kostką ptaka lub zębem rekina, grube naszyjniki ze zwierzęcych kłów na szyi, metalowe obręcze na ramionach i skomplikowane fryzury. Poza tym byli właściwie nadzy, jeśli nie liczyć

plecionek z trawy lub skórzanych przepasek podtrzymujących drewnianą osłonę na penis. Golili sobie przednią część czaszki, włosy z tyłu splatając w warkoczyki sięgające łopatek lub łokci, niekiedy zwyczajnie związane na końcu, częściej jednak starannie ozdobione kolorowymi paciorkami i muszelkami, ułożone w misterne wzory i zwieńczone fantastycznymi koronami z ptasich piór. Jeden z tych, którym mogłem się przyjrzeć, straszny mężczyzna o szerokich ramionach i wydatnym brzuchu, może szaman, nosił na twarzy maskę podobną do takich, jakie spotyka się w muzeach antropologicznych w sekcji poświęconej Oceanii, oraz coś w rodzaju peruki ze słomy i piór. Podszedł do mnie tak blisko, że przez chwilę się bałem, iż mnie przyłapał. Ale może nie widział zbyt dobrze przez szparki w tej swojej masce. Zwrócił ją ku mnie, a ja zmartwiałem, czując, jak serce wali mi w piersi. Potem coś odciągnęło uwagę tej przerażającej postaci i znów zostałem sam.

Patrzyłem więc, jak dzicy krążą pośród ciał, zabierając wybrane osoby. Zobaczyłem, jak podnoszą z ziemi Swaylę, jeden przerzuca ją sobie przez ramię, a drugi wiąże jej ręce. To samo spotkało wiele młodych kobiet: Alphée, Xóchitl, Di Di, czyli pokojówkę-sekretarkę Brigitty Kunze, Pam Brunner, Hélène Dupont-Ardanzin oraz dwie spośród Hindusek – Lilawati i Wradżawalę, żonę doktora Suttiśa.

Insiders tymczasem niszczyli nasz dobytek, przywłaszczając sobie część naszej broni. Przy czym, co ciekawe, nie niszczyli jednak ani nie zabierali wszystkiego, zupełnie jakby chcieli nie tyle nas wykończyć, ile jeszcze bardziej utrudnić nam życie. Ukradli nam większość jedzenia: wędzoną rybę, suszone mięso węży i jaszczurek, konserwy oraz marmoladę i owoce w syropie – zapasy, które zapobiegliwie chowaliśmy na czasy, gdy zabraknie nam pożywienia pozyskiwanego bezpośrednio z natury. Gwen, ponieważ z nami mieszkała, знаła wszystkie skrytki. Prowadziła ich od jednej do drugiej, maszerując ramię w ramię z tym człowieczkiem o wyłupiastych oczach i bardzo czerwonych ustach, Abrahamem Lewellynem. Wspólnie odwiedzili też nasz szpital, ale zamiast zrabować resztki alkoholu i środków znieczulających, zostawili tam walizczkę z ampułkami torazyny i strzykawkami, jako że z jakiegoś powodu chcieli chyba, byśmy się nią naszprycowali. Poza tym, jak już wspomniałem, działali dość chaotycznie i wybiórczo. Zniszczyli wszystkie łuki i strzały, dmuchawki, proce i lance, jakie im się nawinęły, wrzucili do rzeki dwie brzytwy i jedną siekierę (którą

później wyłowiliśmy z powrotem). Na szczęście nie znaleźli narzędzi stolarskich ani noży. Może Gwen o nich zapomniała, a może po prostu *się zabawiali*, wiedząc, co więcej, że jeśli pozbawią nas wszystkiego, skazą nas na śmierć albo skłonią do jakiegoś desperackiego kroku, przez co i tak będą musieli nas zabić. Tak, sądzę, że nie chcieli nas eksterminować, ale, jako ludzie okrutni, pragnęli, żebyśmy po odzyskaniu przytomności cierpieli.

Bo przytomność wkrótce wszystkim wróciła. Co do Sophie – Joseph natychmiast uwolnił ją z groty, w której spędziła noc, po czym wraz z Wade’em, Santiagiem i wieloma innymi udał się do osady. Wspólnymi siłami obalono zaimprovizowany tam pręgierz oraz drewniane tablice z prawem Kunzego. Ja też brałem w tym udział, podobnie jak moi hiszpańscy przyjaciele, Dharma z żoną i liczni Hindusi, w tym doktor Suttiś i doktor Masud.

Kunze i jego ludzie usiłowali oponować. Celowali w nas z ostatnich pozostałych sztuk broni i krzyczeli, że dopuszczamy się przestępstwa buntu. Kunze zażądał, żebyśmy z powrotem postawili pręgierz. Dharma spytał wtedy, czy zamierzają nas wszystkich wystrzelać. Zdaje się, że po raz pierwszy odezwał się publicznie. Większość rozbitków była po naszej stronie, Kunze miał po swojej tylko Junga Fei Ye, Pei Pei Ye, Billy’ego Higginsa, Robertę, Bentleya, Tudellego, Hanę, Jimmy’ego Bruëlla i przeważającą część tych, którym obiecał zapłacić. Wówczas Dharma zrobił coś zaskakującego. Usiadł na ziemi i złączył ręce na podołku. Stojąca obok Eva uczyniła to samo, a my wszyscy stopniowo poszliśmy w ich ślady. Po prostu usiedliśmy. To wystarczyło. Przypomniałem sobie, jak Gandhi i jego zwolennicy położyli się na ziemi, świadomi, że angielskie konie nic im nie zrobią. Taki był koniec prawa Kunzego.

Kobiety z Oakland

Oto lista kobiet, z którymi przespałem się przez pierwszy rok pobytu w Oakland.

1. Rose Vindeland. Była kelnerką w oaklandzkim barze Blue Ohio. Miała na ramionach wspaniałe tatuaże, przedstawiające coś w rodzaju wijących się niebieskich płomieni. Pewnego wieczoru, wypiwszy jedną whisky za dużo, spytałem, dokąd sięgają te płomienie, i Rose zaprosiła mnie do siebie, żeby mi to pokazać. Sięgały ku piersiom, a niżej, na brzuchu, wpełzały w groźną paszczę niebieskiego słońca rzygającego kolejnymi błękitnymi błyskawicami na wzgórek łonowy, biodra i uda. Na samym wzgórku łonowym wytatuowany był dodatkowo mały czerwony dwupłatowiec, taki, jakich używano podczas pierwszej wojny światowej.

2. Gala Moorehead, żona rektora Mooreheada. Była niezwykle atrakcyjną czterdziestodwulatką. Poznałem ją na przyjęciu w dziekanacie, gdzie od razu, popijając białe wino i skubiąc tartinki z pastą z anchois, wyznała mi, iż jest nimfomanką i pozwala na wszystko każdemu. Uznałem, że coś źle rozumiem albo może chodzi o dziwaczny żart, jednakże dziesięć minut później w łazience sali gimnastycznej przekonałem się, że mówiła całkiem serio.

3. Vinezia Hilton, pierwsza studentka, z którą się przespałem, bardzo wysoka, prawie pozbawiona piersi dziewczyna o wielkich melancholijnych oczach i dziwnym zapachu (jej ciało pachniało olejem orzechowym i terpentyną). Spędziliśmy razem niezapomniane popołudnie. Umówiłem się z nią u siebie, aby przekazać jej teczkę z ćwiczeniami, ona zaś założyła, że zaprosiłem ją na seks. Chyba właśnie dzięki niej zrozumiałem, że wszystkie kobiety z Rosley College są z jakiegoś powodu gotowe pójść ze mną do łóżka, jeżeli je o to poproszę, a czasem i bez tego. Vinezia była córką sędziego z Bostonu, jej matka tańczyła kiedyś jako primabalerina w Joffrey Ballet.

4. Aida Everett, zwana Puffy. Właścicielka oaklandzkiej piekarni, gdzie

niekiedy jadałem śniadania. Miała sześciolletnią córkę, która spokojnie spała u siebie w pokoju, podczas gdy my uprawialiśmy seks. Cipka Aidy smakowała wanilią i pachniała świeżym chlebem. Powiedziałem o tym Aidzie, a ona odparła, że jestem *cute*.

5. Amanda Shaftesbury, pochodząca z Wielkiej Brytanii studentka, która zdradziła mi, że od przyjazdu do Ameryki marzyła o tym, by „zrobić to” z Murzynem, Latynosem i Indianinem. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że przypadła mi rola Latynosa. Amanda oświadczyła też, że nigdy nie miała w ustach penisa, który smakowałby tak dobrze jak mój, i spytała, czy stosuję jakiś specjalny płyn albo krem. Idiotka. Chciała ponadto wiedzieć, czy jej krocze ładnie pachnie, powiedziałem jej więc, że pachnie bardzo dojrzałym serem cheddar oraz piwem lager, a to dwa nader przyjemne zapachy. Zamiast się jednak zaśmiać, strasznie się obraziła.

6. Cheyenne Joan. Wygłodniała wilczyca, wspaniała kobieta, partnerka znanego miejscowego bikersa, niejakiego Billy’ego Bighorna Hunsena, który akurat leżał w szpitalu Trinity Memorial w Oakland, dochodząc do siebie po jakiejś bójkę. Cheyenne piła bourbona jak wodę i bez przerwy paliła marihuanę, mimo to było w niej coś patrycjuszowskiego, powolnego i majestatycznego, co sprawiało, że ją podziwiałem. Przez wiele lat uważałem ją za najlepszą kochankę w moim życiu.

7. Linda Slonim, żona profesora harmonii, Ezequiah Slonima. Miała sztuczne piersi, co nie było zbyt atrakcyjne. Jej cipka pachniała skórka mandarynki, a uda pokrywała skórka pomarańczowa.

8. Sandy Brucelay, studentka kompozycji. Spytałem, na jakim gra instrumencie, na co odrzekła, spoglądając na mnie swoimi przejrzystymi niebieskimi oczami i oblizując wargi, że jej główny instrument to fortepian, ale że zdecydowanie woli klarnet. Odparłem, bezgranicznie zafascynowany wszetecznością swoich studentek, zwłaszcza tych najbardziej eleganckich i snobistycznych, że mogłaby kiedyś zagrać coś dla mnie, więc zaproponowała, że pod wieczór do mnie zajrzy. Niejednokrotnie się zastanawiałem, czy to wiązy w Oakland tak działają, wydzielając jakąś afrodyzjakalną woń, czy może jest coś w tamtejszej wodzie...

9. Liebe Rossbaud, studentka harmonii. Urodziła się w Newport, w zamożnej, wywodzącej się z Niemiec rodzinie, a w Oakland wynajmowała mieszkanie wraz z dwoma braćmi, Lebenem i Friedenem. Leben był jednym z naszych geniuszy muzycznych i przepięknie improwizował na organach.

Frieden studiował zarządzanie i grał amatorsko na tubie. Liebe, najmłodsza z rodzeństwa, wybrała perkusję. Choć uczyła się na moim wydziale, poznałem ją pewnego popołudnia w parku Andeoni, gdzie zasnęła pod wierzbą, z książką na piersi i okularami, które zsunęły się w trawę. Prześliczny widok. Liebe była bardzo wysoka, miała jasne włosy do ramion, a tego dnia włożyła na siebie dziergany liliowy sweter, wojskowe spodnie i także buty. Nawet te ogromne żółte buciska dodawały całej scenie uroku. Wokół zgromadziła się zaciekawiona rodzina gęsi. Jeden z ptaków chwycił okulary w dziób i już się oddalał, kiedy zainterweniowałem, wydając okrzyki, które obudziły dziewczynę. Nic jednak nie wskórałem: gęś połknęła okulary. Dlatego w dniu, w którym się poznaliśmy, Liebe widziała mnie odrobinę nieostro, jak postać ze snu. Zaczęliśmy rozmawiać o gęsiach, o zwierzętach w ogóle, o atakach ze strony zwierząt, o faunie Nowej Anglii i o tym, czy są w New Hampshire wilki, i jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, te absurdalne tematy bawiły nas przez dłuższą chwilę. Skończyło się na smażonych ostrygach i zupie rybnej w Pier 51, knajpie starych wilków morskich, lokalu o drewnianych, okopconych ścianach ozdobionych fotografiami z polowań na wieloryby, dokąd Liebe, jak mi powiedziała, zwykła zabierać wszystkich swoich potencjalnych kochanków. Więc, jak mówi Shakespeare, *upon this hint, I spake*, „to mnie ośmieliło”¹. Od tej pory co jakiś czas się widywaliśmy. Liebe była świetną dziewczyną i doskonale dogadywaliśmy się w łóżku. Tyle że ona miała w Newport chłopaka, pięćdziesięcioletniego poetę, skłonного do hysterii desperata, który nazywał się Daniel Webster, jak twórca słynnego słownika. Łączył ją z nim długi, skomplikowany związek i w końcu poeta, czy raczej jego cień, ostatecznie stanął pomiędzy nami. W tamtym czasie byłem jeszcze młody, niewiele starszy od swoich studentek. Dopiero potem wraz z upływem lat studentki zaczęły mi się wydawać coraz młodsze.

10. Ann Pratchett, wykładowczyni historii kontrapunktu. Miała pięćdziesiąt dwa lata, świeży rozwód za sobą i wielką ochotę na seks.

11. Sigourney Britt, czarnoskóra, wyjątkowo pociągająca studentka harmonii. Była jedną z tych kobiet, które nie tylko czerpią z seksu przyjemność, lecz potrafią również wnieść do niego radość i sprawić, że ich partner w tej zabawie czuje się wspaniałym kochankiem. Pierwszego orgazmu dostała dopiero za trzecim naszym spotkaniem, co przypisałem jej młodemu wiekowi. Później nauczyłem się, że większość kobiet ma problem

z osiągnięciem orgazmu przy pierwszym stosunku z danym mężczyzną, i byłem Sigourney wdzięczny, że nie udawała jak wiele innych.

12. Lesley Malina, studentka kompozycji, też czarnoskóra, mocno zbudowana i muskularna jak masajska wojowniczką. Nigdy wcześniej nie spotkałem tak idealnie czarnej kobiety. Miała skórę tak ciemną, że aż niebieskawą, lecz całe jej wnętrze – poczynając od wnętrza jej ust, a kończąc na zagłębieniu między palcami u nóg – było w przepięknym różowym kolorze przywodzącym na myśl płatki cyklamenów. Uparła się, że posmaruje mi członek bitą śmietaną, po czym go wyliże, i uparła się też, że pójdzie po tę bitą śmietaną do kuchni, w związku z czym zobaczyli ją tam, nagą, moi sąsiedzi, państwo Warrenowie, którzy od tamtej pory dziwnie na mnie patrzyli. Oczywiście, Lesley nie znalazła w mojej lodówce bitej śmietany, wróciła więc ze słoikiem marmolady czereśniowej i drugim, wypełnionym galaretką ze śliwek, jak również z plastikowym opakowaniem miodu, w kształcie niedźwiadka, butelką syropu klonowego i jogurtem waniliowo-bananowym.

13. Alicia Harundey, nauczycielka tańca, pochodząca z Maracaibo Wenezuelka, żona Aleksa Broomfielda, zwierzchnika Kościoła prezbiteriańskiego w Oakland. Byliśmy kochankami przez cały miesiąc, póki nie rzuciła mnie dla wioślarza imieniem Austin, który brał udział w regatach na rzece Sommier i okazał się siostrzeńcem jej męża.

14. Frances Paul, dziekan Wydziału Muzyki. Jako sześćdziesięciolatka była najstarszą kochanką, jaką miałem do tamtego momentu. Doskonałą kochanką, doskonałą kucharką i, co więcej, doskonałą rozmówczynią. Miała sympatyczną twarz sześćdziesięciolatki, ciało natomiast cudowne, pełne, prawie bez zmarszczek, jedynie z kilkoma niebieskimi żyłkami na piersiach. Włosy łonowe strzygła sobie i goliła w malutki brązowy trójkąt, co bardzo jej pasowało i nadawało jeszcze młodszego wyglądu. Powtarzałem, że jej ciało to najlepiej strzeżony sekret Nowej Anglii. Śmiała się, przekonana, że staram się być miły. Powtarzałem, że jej ciało pachnie jabłkami i różą, i też się śmiała. Nie wierzyła mi, ale chyba musiała wiedzieć, jak bardzo mi się podoba. Poza tym naprawdę pachniała jabłkami. Nie jest wykluczone, by kobieta pachniała w ten sposób, możliwe nawet, że kobieca skóra i skórka jabłka mają jakiś wspólny składnik chemiczny. Zaproponowałem, byśmy pozostali kochankami już zawsze, a przynajmniej do chwili, gdy ona się mną znudzi. Lubiłem w niej być, znacznie bardziej niż w innych kobietach, z którymi sypiałem w życiu. Seks z nią wywoływał we mnie dziwne rozczulenie, poczucie, że wreszcie

dotarłem tam, dokąd dotrzeć pragnąłem. Nie, jak w innych wypadkach, lęk i wrażenie osamotnienia, które przychodziło po stosunku, lecz prawdziwy spokój. Przekonanie, że robię coś dobrego, coś, co mnie usensownia i dopełnia. Jednakże to nie mogło trwać długo. Frances była mężatką i miała pięcioro wnuków. Była też panią dziekan wydziału, na którym pracowałem. Zazwyczaj spotykaliśmy się w pewnym hotelu na Warwick Island, wyspie od strony Oakland połączonej z kontynentem zwodzonym mostem, a od strony Ocean View, gdzie mieszkała Frances, promami. W ubraniu Frances wyglądała jak moja matka, natomiast rozebrana na miękkich kwadratach pikowanej błękitnej kołdry przypominała boginię miłości. Nie, nie mogę powiedzieć, że bym był w niej *zakochany*, niemniej pociąg, który względem niej odczuwałem, jak również przyjemność, jakiej doznawałem przy niej i, zwłaszcza, w niej, stawiały ją ponad wszystkimi pozostałymi, przypadkowymi i bezosobowymi kochankami przewijającymi się przez moje łóżko. Kiedy byłem z Frances, czułem, że nie potrzebuję innych kobiet; że ona mi wystarczy. Żartowała czasem: jeśli chcesz, zostawię męża i ucieknę z tobą. A wtedy ja, planując kolację w którejś z oaklandzkich restauracji, uświadamiałem sobie, że nie chcę, by widziano nas razem. Młodego mężczyznę w towarzystwie starszej pani. Była najlepiej strzeżonym sekretem Nowej Anglii i pragnąłem, by tak pozostało. Kiedyś kochaliśmy się w jej domu, w Ocean View, pod uśmiechniętymi spojrzeniami jej wnuków, których zdjęcia wisiały wszędzie. Poczułem się onieśmielony, a poza tym zauważyłem, że w jej własnej pościeli zapach jabłek znika.

15. Paula Robinson Jeffers, niespokrewniona ze znanym poetą. Sprzątaczką z Rosley College. Kiedyś przyłapałem ją w porze lunchu na paleniu gigantycznego jointa. Poczęstowała mnie i skończyliśmy w szafie ze środkami czystości.

16. Lee Hyapathia Adler, studentka ekonomii, córka Koreanki i Greko-Niemca, fascynująca mieszanka ras, kochająca się jak piesek. I nie chodzi mi wyłącznie o znaną pozycję, lecz również o zwyczaj ujadania podczas seksu oraz o merdanie zgrabnym tyłeczkiem. Boże mój. Jeden z tych przypadków, w których człowiek najchętniej by uciekł lub poprosił cichutko, w chwili prawdy, by dana osoba znikła jak najszybciej, błagam.

17. Luba Sorensen, studentka sztuki, pół Norweżka, pół Meksykanka. Malowała podróbki renesansowych retabulów, z obscenicznymi scenami z udziałem świętych i aniołów. Ciągłe piła tequilę. Bardzo nie lubiłem jej

pijackiego zapachu. Nawet jej cipka cuchnęła alkoholem.

18. Inmaculada Solís Izaguirre, młoda hiszpańska turystka z Saragossy, która podeszła do mnie na ulicy z rozpostartą mapą. Powiedziała mi, że fantazjuje o seksie z całą drużyną amerykańskich futbolistów, i ze wszystkimi szczegółami opisała mi apartament hotelowy, w którym miałoby do tego dojść, przy czym zawodnicy czekaliby w salonie na swoją kolej i jeden po drugim, bez pukania, wchodziliby do sypialni. Później wyznała, że jestem jej pierwszym kochankiem po rozstaniu z chłopakiem, Javierem z Calatayud, studiującym agronomię. Przez dwa następne lata przysyłała mi pocztówki, ba, przysłała nawet zdjęcie ze swego ślubu, fotografię swojego pieska, który wabił się Barbie, oraz trzecie zdjęcie, przedstawiające ją w bikini razem z mężem i teściową na jakiejś nadmorskiej plaży.

19. Mary Louise Hillier, nauczycielka gry na klarnecie (*no pun intended*, bez żadnych dwuznaczności). Zwierzyła mi się, że ze mną po raz pierwszy zdradziła męża.

20. Cicely B. Sillarka, żona Adolfa Sillarki, wykładowcy analizy dzieła muzycznego. Wspaniały okaz gatunku „żona” – ciepła jak jedwabista, puchata poduszka, krygująca się w swoich szlafroczkach i majteczkach w kwiatki, spragniona seksu. Spotkaliśmy się tylko raz.

21. Allary Simancas, kelnerka z Blue Ohio. Wspomniawszy technikę podrywu stosowaną przez legendarnego dyrygenta Leopolda Stokowskiego, narysowałem na rachunku wielki znak zapytania. Wrócił do mnie z odpowiedzią: „Okej”.

22. i 23. Glenda O’Gilvy i Bradley Preston, dwie dziewczyny, które uprawiały jogging i zadzwoniły do moich drzwi. Zdaje się, że Glenda skręciła sobie nogę w kostce i chciała skorzystać z telefonu. Och, te boskie czasy, gdy komórki nie były jeszcze powszechnie dostępne!

24. Helen McCurdy, żona profesora McCurdy’ego. Wyjaśniła mi, że Cicely Sillarka opowiada o mnie cuda, i dodała, że nie powinienem się dziwić, jeśli dostanę zaproszenia „na herbatkę” od innych profesorskich małżonek.

25. Grace Mosby, pani domu (chyba), bardzo miła kobieta, którą poznałem na plaży na Warwick Island. Zrobiliśmy to od razu na miejscu, kryjąc się w opustoszałych łazienkach. Opowiedziała, że rodzice jej męża przyjechali na kilka dni do Oakland, co doprowadziło ją do takiej desperacji, że uciekła z domu, utrzymując, że idzie na zakupy. Po wszystkim odprowadziłem ją do galerii handlowej, gdzie nabyła trzy staniki, czerwoną spódnicę i szlafrok.

Wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie miałem szlafroka, i też jeden kupiłem.

26. Leisa Santayana, studentka prawa. Łatwa, głupia dziewczyna z tatuażem na tyłku. Przespała się ze mną tylko po to, żeby dodać mnie do swojej listy, choć chyba jej się nawet nie podobałem. Poczuliśmy się wykorzystani. Biedny John Barbarin.

27. Sonia, czarna prostytutka, którą znalazłem przez ogłoszenie w gazecie. Brała dwieście dolarów i była ich warta co do centa. Jej cipka pachniała lawendą i trawą piżmową. Zanurzyć w niej twarz – to było jak oprzeć policzek o zbocze porośniętej ziołami góry i wdychać chłodne, suche powietrze jakiegoś miejsca położonego w klimacie kontynentalnym, jak Segowia albo Sedona. Najintymniejszą częścią jej ciała okazał się kark, który pachniał jedynie potem. Była miła i zmysłowa i miała ładne oczy. Nie spodobało mi się jednak to, jak się później poczułem: jak dorosły człowiek, który widzi wszystko z całą jasnością i nie robi sobie złudzeń. Nigdy więcej nie skorzystałem z usług prostytutki.

28. Camila Mendes, brazylijska żona jednego z moich studentów, Conrada Lettermana. Właściwie wepchnęła mi się do łóżka, chociaż ja bardzo ceniłem Conrada i nie miałem zamiaru go upokarzać. Jej cipka pachniała owocami morza. Słodkawa woń smażonych krewetek red cherry przesyciała później moją sypialnię przez wiele dni.

29. Dylan Folla, żona profesora Daniela L. Folli. Co za straszne nazwisko – wysilałem się, chcąc niby od niechcienia wymawiać je z włoska. Profesor Folla miał pięćdziesiąt cztery lata, Dylan zaś liczyła ich sobie trzydzieści dwa. Była republikanką, broniła prawa do noszenia broni oraz kary śmierci i twierdziła, że Bush junior to najlepsze, co zdarzyło się Ameryce od wielu lat. Ale i tak się z nią przespałem. Poza wszystkim innym była prześlicznym rudzielcem o ustach w kolorze czereśni.

30. Rialto Patterson, studentka. Popełniła ten błąd, że się we mnie zakochała. Spędziliśmy razem jedną noc, a ona już chciała u mnie zamieszkać, poukładać moje płyty, wyrzucić moje tureckie pufy i usunąć z okien moje piękne ibizańskie firanki, które (jak wielu Amerykanów) uważała za rzecz w złym guście. Potem przysyłała mi pogróżki, zapowiadając, że zniszczy mi karierę, ujawni „mój proceder”. Zgłosiła się z tym do pani dziekan, mojej kochanej Frances Paul, która zdołała ją nieco ugłaskać i skłonić do zaniechania mściwych zamiarów. Frances wezwała mnie później

i oświadczyła, że sypianie ze studentkami jest niebezpieczne i powinienem dać sobie z tym spokój. Ty też jesteś niebezpieczna, odrzekłem. Oświadczyła, że mówi jak najbardziej serio.

1. Fragment *Otella* (akt 1, sc. 3) w przekładzie Leona Ulricha. [↩](#)

Noc przed wyprawą

Tylko jeden dzień zbieraliśmy się po tamtym gazowym ataku do kolejnej wyprawy. To starczyło, by się przygotować, zgromadzić skąpe zapasy żywności i z drewna akacji koa wyciąć kilka grubych, solidnych pałek do użycia w walce wręcz, albowiem niemal cała nasza broń, nawet ta najbardziej prymitywna, przepadła. Dlatego zdecydowaliśmy się na pałki – oręż biedaków, moderunek nędzarzy. Albowiem tym wtedy byliśmy: grupką pariasów, wyklętym ludem ziemi. Zapewne, w zgodzie ze znaną teorią, byliśmy również tej ziemi solą. Ale nie czuliśmy się jak jej sól.

Oto ci, którzy – jeśli mnie pamięć nie zawodzi – wyprawili się wtedy w głąb wyspy: Wade Erickson, Joseph Langdon, Bruce Griffin, Christian, Henry i Diffy (Daffodil) McCulloughowie, Lizzie, Rosana, Roberto B., Óscar Panero, Jimmy Bruëll, Lougarou, Widżaj Balakrysznan, Jung Fei Ye, pan Lee, Udo, Arno i Sophie Leverkusnowie, doktor Suttiś, Mike Garson, Lily Whittfield, Joaquín, Ignacio, Siddhi, pewien młody Szwed z grupy medytacyjnej oraz ten, kto się tutaj do was zwraca, Juan Barbarín, na swoje ryzyko i z zastrzeżeniem, że zawróci, jeśli nie będzie w stanie dotrzymać kroku pozostałym.

W tej niewielkiej, przerażonej, obdartej i źle uzbrojonej armii znaleźli się niemal wszyscy bezpośrednio dotknięci atakami *insiders*. Widżaj Balakrysznan był kuzynem Lilawati. Doktor Suttiś – mężem Wradżawali. Lougarou – chłopakiem Alphée. Lizzie już poprzednio straciła syna, Seymoura. Bruce'owi Griffinowi odebrano żonę Glorię oraz syna Branforda. Rosanie – Syrę. Henry'emu i Diffy McCulloughom – córki Adele i Estelle. Óscar Panero i Roberto B. przyjaźnili się z Xóchitl, porwaną przez dzikich Meksykanką. Udo związany był z Di Di, asystentką Brigitty Kunze. Arno i Sophie Leverkusnowie szukali swoich synów, Sebastiana i Carla. Jaką siłę mogło mieć takie pospolite ruszenie złożone z ojców, matek i mężów? Poza tym, jeśli

nie liczyć wiecznych ochotników: Wade'a, Josepha i piszącego te słowa, do naszego dziwnego wojska dołączył Jimmy Bruëll – ku powszechnemu zaskoczeniu, gdyż nie był raczej znany z bezinteresowności.

Postanowiliśmy podążać śladem naszych prześladowców i nie rozdzielać się na mniejsze grupki. Nie mieliśmy szans na wypracowanie żadnej strategii, nie mogliśmy też liczyć na efekt zaskoczenia. McCullough, ojciec Adele i Estelle, australijski dyplomata, który pełnił funkcję ambasadora w wielu krajach (w Boliwii, potem w Libanie i w Sri Lance), zasugerował, że może powinniśmy odwołać się do rozsądku naszych prześladowców. Powiedział, że cała ta sytuacja jest bez sensu, że ci tak zwani *insiders* nie mają powodu, żeby się nas obawiać ani nas atakować, i że gdybyśmy się dowiedzieli, o co im chodzi, może zdołalibyśmy dojść z nimi do jakiegoś porozumienia.

– Pan ambasador wciąż wierzy w ludzką dobroć – rzucił Jimmy Bruëll. – Czy przeszkadzałoby panu, gdybym nazywał pana Panurgiem?

– Wszystko mi jedno, jak mnie pan będzie nazywał, byle pomógł mi pan odnaleźć moje dzieci – odparł McCullough.

Ten Jimmy Bruëll to był jednak ciekawy typ. Zastanawiałem się, co go skłoniło, by się do nas przyłączyć. Czy ostatnie wydarzenia aż tak nim wstrząsnęły? Czy i on – na swój sposób i w swojej skali – dotknął dna? Unikali się nawzajem z Josephem, ale sądzę, że po ataku gazowym i między nimi pojawiła się jakaś atawistyczna więź, której nie rozumiałem, lecz którą przeczuwałem niezależnie od swoich racjonalnych rozumowań.

W noc przed wyprawą zastałem Wade'a siedzącego na plaży, przy świetle gwiazd, z dala od porzpalanych tu i ówdzie ognisk, kontemplującego ocean i, jak to się mówi w powieściach, „zatopionego w rozmyślaniach”. Zobaczywszy mnie (a raczej usłyszawszy, jako że nowa drewniana noga strasznie skrzypiała na piasku, zdradzając moją obecność z odległości wielu metrów), poprosił, żebym się przysiadł i pogawędził z nim. Znów miał w oczach ten blask. Ten blask. Ten uśmiech. Spytałem, o czym tak rozmyśla.

– Myślę o tym, że być może popełniamy błąd, John. Że może nie reagujemy odpowiednio.

Siedząc na ziemi, czubkami palców kreślił na piasku jakieś znaki i spirale.

– Jak to?

– Byłeś tam – powiedział. – I wiesz. Wiesz, że tak naprawdę to tam powinniśmy się udać.

– Dokąd? O co ci chodzi?

– Do tego miejsca, które nazywasz Łąką – odparł Wade. – Jutrzejsza wyprawa jest bez sensu. Bez sensu jest zagłębiać się w tę wyspę i uganiać po lesie za duchami. Przecież oni kontrolują wszystkie nasze ruchy. Obserwują nas przez swoje kamery. Znają teren, mają broń, mają sprzymierzeńców. A my nie mamy niczego, co moglibyśmy im przeciwstawić. Nigdy nie odnajdziemy porwanych, jeśli tamci nie zechcą, byśmy ich odnaleźli. Jest taka rzeka, John. Po drugiej stronie tamtych wzgórz – dodał, wskazując ciemny masyw wyspy wznoszący się za naszymi plecami. – Wielka rzeka. Panuje tam miły chłód. Nie ma dżungli. Są nadrzeczne łąki. Moglibyśmy się tam wszyscy przenieść. Moglibyśmy stworzyć coś w rodzaju New Harmony. Wiesz, co to New Harmony?

– Tak, wiem. Mówiłeś nam. Opowiadałeś nam o Indianie i o rzece Wabash. O wyspie porośniętej dębami i wiązami. I o kamiennym murze. I o Łące, która się za nim rozciąga ...

– Właśnie, John, właśnie. Ja jutro nie pójdę z wami. Muszę tam wrócić. Teraz już rozumiem, na czym polegał mój błąd, John. Popełniłem błąd. Może dlatego zostałem ukarany.

Zatrzymał w dłoni trochę białego piasku, jak gdyby ów piasek stanowił dowód jego winy. Pył ze zmielonych prehistorycznych skorupiaków, błyszczący w świetle Oriona i Plejad.

– Nie zostałeś ukarany, Wade – powiedziałem, widząc, że moja największa nadzieja rozsypuje się na moich oczach niby biały piasek przeciskający się między palcami. Widząc, jak szaleństwo tej wyspy, głęboka niesprawiedliwość i absurdalne barbarzyństwo, w jakim się pogrążyliśmy, zaczynają nadweręzać charakter tego marzyciela i herosa.

– Nie zostałem ukarany? – spytał Wade, patrząc na mnie ze swoim szerokim uśmiechem. – Powiedziałbym raczej, że wszystkich nas właśnie spotyka kara, John.

– Żeby była kara, najpierw musi być wina – oświadczyłem. – I musi istnieć system sprawiedliwości, choćby i pokrętnej. Choćby i okrutnej. A tutaj nie ma mowy ani o winie, ani o sprawiedliwości. Dlatego nie może być mowy o karze.

– Nie zgadzam się z tobą, John. Myślę, że popełniłem błąd. Byłem już przecież na Łące. A tam są dwa poziomy, wyższy i niższy. I na wyższym stoi dom, po obu jego stronach rośnie wielkie drzewo. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Znasz to miejsce od dziecka. Wchodziłeś tam jako dziecko i nawet nie

przywiązywałeś do tego wagi. Tamten dom jest na wpół zrujnowany. Ma zapadnięty dach. Zabite deskami okna. Tak to widziałeś? Tak to wyglądało, kiedy tam byłeś?

– Tak.

– Powinienem być wejść na ten wyższy poziom i do tego domu – podjął Wade, spoglądając na mnie swoimi błyszczącymi błękitnymi oczami. – To właśnie powinienem być zrobić. To właśnie należy zrobić, jak się człowiek znajdzie na Łące. To właśnie powinien być zrobić Santiago, jak się tam znalazł. Powinien był wejść na ten wyższy poziom i do tego domu. Tyle że różne rzeczy człowieka rozpraszają. Pułapki. Pełno tam pułapek. Wydaje się, że nic tam nie ma, że Łąka jest pusta. To nas w niej zachwyca: że jest pusta. *Ale nie jest pusta, John.* Teraz to rozumiem.

– Nie jest pusta?

– Jest pełna. *Pełna siebie samej.* Mówimy „puste” o miejscu, gdzie nie ma ludzi. Na Łące nie ma ludzi, ale jest Łąka. Łąka jako taka. To inteligentne miejsce, John. Pełne pułapek. To *inteligentny byt*, który uwielbia nas zwodzić. Wystawia nas na próby, jedną po drugiej, a my za każdym razem ponosimy porażkę, nigdy tych prób nie przechodzimy. Na przykład ta kłapa na środku, u stóp kamiennego występu. Pamiętasz ją?

– Oczywiście.

– Ty też ją widziałeś? Tę kłapę?

– Tak, chyba tak. Zdaje się, że Santiago też ją widział. Ale nie zwróciła jakoś specjalnie mojej uwagi.

– Powinienem być ją zignorować. Powinienem być pójść dalej, na górę i do tamtego domu. Jednakże tego nie zrobiłem. Zatrzymałem się. Łąka mnie oszukała, a ja dałem się oszukać. Zajrzałem do tamtego szybu, zszedłem tamtymi schodkami w głąb Ziemi. Miałem w zasięgu ręki raj, John, i wlałem do piekła. Dlaczego?

– Kiedy ja tam trafiłem – zacząłem, starannie dobierając słowa, by przywołać go do rozsądku – to znaczy: kiedy trafiłem tam już po katastrofie, po tym, jak zapuściłem się w głąb tunelu, którym biegła autostrada, wszedłem na górę i do tamtego domu. Nie zaglądałem do szybu. Na mojej Łące też była metalowa kłapa, w tym samym miejscu. Ale ja jej nie podniosłem. Wszedłem na górę i do domu i nic się nie stało. Nic. Obszedłem wnętrze, zwiedziłem pokój po pokoju. Tamten dom nie jest rajem, Wade. To zwykły dom. Zrujnowany dom z zapadniętym dachem, jak sam powiedziałeś.

– Nie, nie, nie, John – zaprotestował Wade, mocno chwytając mnie za ramię i zaciskając szczęki z frustracją i gniewem. – Dałeś się oszukać. Wszyscy dajemy się oszukiwać. Cała ta wyspa to wielkie oszustwo. Niewykluczone, że i cała planeta. Wszystko to iluzje wytwarzane przez Łąkę, labirynt iluzji, mających nas niepostrzeżenie do niej prowadzić i zarazem jej przed nami strzec. Wszedłeś do tamtego domu... – dorzucił po chwili, wpatrując się swoimi wielkimi błękitnymi oczami w pustkę. – Ciekawe. Zdołałeś wejść, owszem... Ale niczego nie zobaczyłeś, niczego nie znalazłeś. Obszedłeś całe wnętrze i nic.

– Tam *niczego nie było*, Wade.

– Owszem, coś musiało być. Coś, co przeoczyłeś. Bo na pewno coś widziałeś. Słuchaj, tylko trzy osoby na tej wyspie trafiły na Łąkę, a z tych trzech osób tylko ty wszedłeś do tamtego domu. Tylko tobie się to udało, John.

– Tam niczego nie było, Wade. Już mówiłem. Znalazłem trochę starych mebli. I błękitnego człowieka wymalowanego na ścianie.

– Błękitnego człowieka, tak.

– I co to niby znaczy, twoim zdaniem?

– No i był ten latający spodek. Bo był tam, prawda?

– Tak, był.

– Latający spodek ponad Łąką.

– Raczej chmura, mała biała chmura.

– Nazywaj to chmurą, jeśli sobie życzysz – zgodził się Wade. – To niczego nie zmienia.

– Wade, wiesz, że nie da się wrócić w tamto miejsce, bo ono nie istnieje. Nie istnieją ani tamta rzeka, ani tamta porośnięta wiązami, chłodna dolina, ani wysepka pośród nurtu, ani kamienny mur...

– Ale ty też tam byłeś. Dostałeś się tam przez tunel.

– Tak. Ale gdybym znowu zagłębił się w ten tunel, nie dostałbym się w to samo miejsce. A jeśli ty zechcesz odszukać tamtą dolinę, przez którą płynęła rzeka z wysepką pośrodku, też jej nie znajdziesz. One nie istnieją, Wade. To sny, projekcje, sam nie wiem co. Możliwe, że ta wyspa potrafi nas przejrzeć i ukazać nam to, co dostrzeże w naszym wnętrzu. Nie wiem.

Wracając do osady, przy jednym z ognisk zauważyłem Rosanę. Była, jak mawiają poeci, „sama w tłumie”. Siedziała na ziemi zapatrzona w pustkę. Może wtedy wszyscy zachowywaliśmy się w ten sposób. Usiadłem obok i spytałem, jak się miewa.

– Umieram ze strachu – odrzekła, patrząc na mnie z przeraźliwym smutkiem zaczerwienionymi od płaczu oczami. – Nie mogę przestać myśleć, Juanie Barbarín. Nie mogę przestać myśleć o tym, co się może z nią teraz dziać. Nie wiem, jak przetrwam tę noc. Nigdy nie czułam się tak okropnie. Nigdy tak się nie bałam.

– Znajdziemy ją – zapewniłem. – Znajdziemy i uwolnimy.

– Nie zamierzam wracać tu bez niej – rzuciła z determinacją Rosana. – Będą musieli mnie zabić, inaczej nie zamierzam wracać tu bez niej. Juanie Barbarín, nigdy w życiu nie byłam tak przerażona. Chyba zaraz zwariuję.

– Porozmawiaj ze mną – powiedziałem. – Opowiedz mi coś. Mów do mnie. Nie ma sensu się zadręczać.

– O czym mam mówić?

– O czymkolwiek. O czymkolwiek bez związku z tą wyspą. O twoim madryckim życiu. O twoich kochankach. O czym chcesz.

– Moich kochankach! – wykrzyknęła. – Ja nie mam kochanków. Przez te wszystkie lata, od rozwodu, miałam ich bardzo niewiele. Aż się niemal wstydzę, że tak niewiele.

– To dziwne – stwierdziłem. – Może jesteś zbyt wybredna. Albo może nie chciałaś mieć kochanków, tylko szukałaś wielkiej miłości.

– Na początku tak – przyznała. – Później, wraz z upływem lat, wszystko się zmieniło. Teraz sądzę, że jestem już za stara na wielką miłość.

– Co za głupstwa. Miłość można znaleźć w każdym wieku.

– Mówisz z doświadczenia?

– Nie.

– Dzisiaj od rana myślę sobie, że jeśli odzyskam Syrę, już nigdy nie podniosę na nią głosu – odezwała się znowu Rosana, po dłuższej przerwie. – Bez względu na to, co zbroi. Choćby rozrabiała i źle się uczyła. Choćby kłamała albo ukrywała przede mną różne rzeczy, nie będę na nią krzyczeć. Od rana myślę o tym, co zrobiłam źle i co mogę naprawić.

– Pomyśl też o tym, co zrobiłaś dobrze. Adoptowałaś ją. Nie miała domu ani rodziców, a ty jej to dałaś. Co by się z nią inaczej stało?

– Najprawdopodobniej by umarła. Jest bardzo wątpa. Łapie wszystkie choroby. Każdy wirus, każdego polipa. Jej układ odpornościowy to katastrofa.

– Opowiedz mi, jak żyłaś w Madrycie. I o swoim byłym mężu.

– Nie, nie, wolałabym o czymś innym.

– Powinniśmy się przespać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

– Ja nie mogę spać. Ty dasz radę się już teraz położyć?

– Nie.

– Patrz – rzuciła, wskazując płonące na plaży ogniska. – Nikt nie śpi tej nocy.

– Tak, to trudne – przytaknąłem.

– Bardzo, bardzo, bardzo się boję, Juanie Barbarín.

– Chodź – powiedziałem. – Pogadajmy z resztą. Z Latynosami.

– Tak, to dobry pomysł. Tak, chodźmy do Latynosów.

– Oni zawsze mają coś do opowiedzenia. Są zabawni.

– Tak, są zabawni.

Zbliżyliśmy się do ogniska, gdzie siedzieli Christian, Roberto B., Brenda Esquivias i Óscar Panero, jak również moi starzy przyjaciele: Ignacio i Idoya, Julián i Matilde, a poza tym Joaquín i kilku Amerykanów. Rozmawiali o porwanej Meksykance, Xóchitl, o której prawie nikt nic nie wiedział.

Joaquín i ona bardzo się zaprzyjaźnili i ostatnio stali się nierozłączni. Ale nawet on nie potrafił powiedzieć o niej zbyt wiele, nie znał jej historii. Zresztą, nie wszyscy mają „historię”. Jednakże Xóchitl ją miała. I to nie byle jaką, jak się okazało.

Opowiedział nam ją Óscar Panero, który przyjaźnił się z Xóchitl od lat.

Historia Xóchitl

To, co przede wszystkim powinniśmy wiedzieć o Xóchitl, jak wyjaśnił nam Óscar (a przynajmniej o oryginalnej, pierwszej Xóchitl, by się tak wyrazić), to że była truskawkową dziewczyną, tak samo jak on był truskawkowym chłopcem. My, Hiszpanie, spytaliśmy, co to, u diabła, znaczy. Óscar mówił: *strawberry kid*, po angielsku, świadom, że w tym języku takiego wyrażenia nie ma. Ojciec Xóchitl, jak nam opowiedział, zajmował stanowisko komisarza do spraw zaopatrzenia miasta Meksyk i miał masę floty. W sensie kasy. Pieniądzy. Xóchitl i Óscar, jak się dowiedzieliśmy, byli *chilango* – znowu nie rozumieliśmy, co to znaczy – i znali się od dziecka. Oboje pochodzili z dzielnicy Polanco i razem chodzili do szkoły, a potem na studia. Wtrąciłem się, by spytać, co to takiego *chilango*. To określenie mieszkańców miasta Meksyk, wytłumaczył nam Óscar. Jesteśmy z niego bardzo dumni. To określenie ludzi dynamicznych, nowoczesnych, witalnych. Każdy *chilango* bardzo się szcyczy, że jest *chilango*, i uważa, że bycie *chilango* jest zajebiste i że ci, co nie są *chilango*, są trochę do tyłu, no, mają przesrane, że nie są z miasta Meksyk, bo miasto Meksyk to centrum świata i nie ma gadania... Jak to szło? „Nie trzeba być pierwszym, trzeba umieć być”...

Czyli *chilango* to ktoś urodzony w mieście Meksyk, spytaliśmy Rosana i ja, szczerze ubawieni.

Urodzony albo zamieszkały, odpowiedział Óscar. My zawsze dodajemy, w jakiej dzielnicy, bo to naprawdę ogromne miasto. Ja i Xóchitl byliśmy z Polanco – dzielnicy zamożnej, pełnej centrów handlowych oraz willi w kalifornijskim stylu, jak to się u nas mówi, czyli z początku XX wieku, z ogrodami... Dużo tam też ambasad, galerii sztuki, drogich restauracji... Zaraz za Polanco leży Bosque de Chapultepec, dzielnica bogaczy, prawdziwych bogaczy, i Lomas de Chapultepec, gdzie trafiają się prawdziwe futurystyczne twierdze zwisające ze zbocza góry, istne pałace ochraniające przez

zastępy uzbrojonych ochroniarzy. U nas, w Polanco, było normalniej. To taka oaza klasy średniej, powiedzmy. Zawsze żartowaliśmy sobie z truskawkowych dzieci, ale, prawdę mówiąc, sami się do nich zaliczaliśmy.

Oprócz truskawkowych dzieci są jeszcze *naco*, prostaki. Napięcia na tej linii nigdy się nie kończą. Truskawkowe dzieci noszą ubrania od Louisa Vuittona, American Eagle i Chemise Lacoste, a *naco* – podkoszulki w kolorze limonki i odblaskowe adidasy. Truskawkowe dzieci mówią: „bombowo” i „znaczy wiesz”. Powtarzają to „znaczy wiesz” bez przerwy. „Rozumiesz, nie?”, „Znaczy wiesz, zrozum”.

Czyli to takie buce, wtrąciła Rosana.

O, to tak ich w Hiszpanii nazywacie, rzucił Roberto B. U nas w Chile „buc” znaczy coś innego. Nie powiem co, gdyż są wśród nas damy.

To, o czym mówisz, to w Hiszpanii po prostu chuj, stwierdziłem. Chuj, pyta, faja, kuśka, koliberek.

Koliberek? – zdziwił się Óscar. Naprawdę?

Naprawdę, stary, przytaknałem.

Zajefajnie: koliberek. Prawie jak łabądek. Albo gołąbek. Tacyście zawsze poetyczni w tej Hiszpanii. Wyjmij łabądka, kochanie. Zaraz mi tu odleczisz.

Nazywamy go też ptaszkiem, a jakże, dodałem. Rosana trzymała się mnie kurczowo, pokładając się ze śmiechu.

No, z ptaszkami różnie bywa, oświadczył Óscar. Miał być łabądek, a jest koliberek. Ale dobrze, skończmy już z tym ptactwem, bo brzmimy jak jakieś pedały.

Tacy z was zawsze macho w tym Meksyku, mruknął Roberto B.

No patrz, odparł Óscar.

No ba, odrzekł Roberto B.

Truskawkowe dzieci, podjął Óscar, robiąc znak krzyża, mówią: „W imię papy i juniora, i duszy towarzystwa, amen”. Mówią: *whatever* i wtrącają dużo innych słów po angielsku, bo władają (tak się przynajmniej zakłada) doskonałą angielszczyzną. Mówią: *I'd rather not*, jak im się czegoś nie chce. Jeżdżą do spa, w lodziarni zamawiają wyłącznie *ice cream*, a jeśli trafią do lokalu, który wydaje im się poniżej ich poziomu, kwitują: „Po prostu szok”. Tyle że truskawkowe dzieci nie postrzegają się w tych kategoriach. Zresztą *naco* są czasami dumni z bycia *naco* i poczytują to sobie za wielki honor. Kiedy indziej z kolei, jako skończeni *naco*, twierdzą, że wcale nie są *naco*, wyśmiewają się z innych *naco* i czasem mówią nawet: „Jestem bananowym

chłopcem, obierz mnie, co?” albo: „Od zarazy i brzydkich *naco* chroń nas, Panie”.

W ogóle z czasem te kategorie się rozmywają. Kiedyś termin *naco* był wyłącznie obraźliwy, a teraz bywa zajefajny, znaczy wiesz: *cool*.

Klawy, powiedziałem, superowy, *guay*.

Guay, powtórzył Óscar. Tak w Hiszpanii mówicie? Dziwnacznie, stary, jak jakieś pedały, caramba. Tak bardzo przesadzał teraz z meksykańskim akcentem, że płakaliśmy z Rosaną ze śmiechu. Roberto B. też się śmiał.

Czyli *naco*, rozumiecie, to osoba bez kultury. Dziwnie ubrana. Dziwnie ostrzyżona. Taka, która dziwnie mówi. Mówi jak *naco*. To słowo oryginalnie oznaczało Indianina. Wywodzi się od *totonaco*, co od dawna uchodziło za obelgę. W ten sposób między innymi objawia się meksykański kompleks rasowy: Meksykanin wie, że nie jest biały, i nienawidzi białasów, i nazywa ich białasami, ale jeszcze bardziej nienawidzi Indian, Indiańców, to już najgorsze ze wszystkiego. A wszystko przez to, że nie przeglądamy się w lustrze, bo ostatecznie w żyłach każdego z nas płynie indiańska krew.

To kim jesteście, spytałem? Skoro nie jesteście ani białasami, ani Indianami?

No Meksykanami. Jesteśmy Meksykanami. Meksykanie to dumny naród.

Ale macie w sobie wiele z Indian. To znaczy: dla Europejczyka, dla kogoś z zewnątrz, większość Meksykanów to właściwie Indianie. Może nawet w większym stopniu niż mieszkańcy reszty Ameryki Łacińskiej, prawda?

Powiedz coś takiego Meksykaninowi, a zareaguje gorzej, niż gdybyś obraził mu matkę. Zabije cię, powiedział Óscar. Serio. My się tej indiańskiej krwi wstydzimy. Indian, czystych Indian, traktuje się w Meksyku bardzo źle. Panuje straszliwy rasizm. Indianie uchodzą za ludzi drugiej kategorii, są biedni i brudni, chodzą boso i czasem nawet nie znają hiszpańskiego. W Chiapas wielu nie mówi po hiszpańsku albo mówi kiepsko, z dziwnym akcentem. Policja do nich strzela, gwałci ich kobiety...

Szlag, rzuciła Rosana.

Dobra, opowiadaj dalej.

Byliśmy przy *naco* i truskawkowych dzieciach. *Naco* okleja sobie samochód nalepkami. Wozi za szybą pluszaki. Zasypuje mijane dziewczyny sprośnościami. Naprawdę dziwnie się ubiera, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. W drzwiach swojego sklepu wywiesza tabliczkę: „Zamkniente. Zara wracam”.

Kiedyś, wtrącił Roberto B., w jakimś barze w Tlalpán zauważyłem taką wywieszkę: „Osobom poniżej osiemnastego roku życia tytoniu nie sprzedajemy. Jak kogo złapiemy, nogi połamiemy”.

Zaśmiewali się we dwóch do rozpuku.

Ja w Tepoztlán na murze widziałem coś takiego: „STOP. Zakaz zderzania się”, oznajmił Óscar. A gdzieś w Taxco było napisane: „Zakaz wchodzenia i wychodzenia z poradni”.

A gdzieś w stolicy: „Doktor Reynaldo Oropeza. Ginekolog. Specjalista od kobiet”.

Dobre, zgodził się Óscar. A na jakimś ogrodzeniu w San Ángel, całkiem nieortograficznie: „Zbrzedasz tanich telewizoruf na zamufienie”.

A gdzieś na przystanku autobusowym: „Jak w TV. Tarot, runy, wróżby. Zapaśnik i zawodowy astrolog”.

Tylko w Meksyku, stary, powiedział Óscar, można być jednocześnie zapaśnikiem i zawodowym astrologiem. Na uniwersytecie z kolei, na betonowym chodniku, stała tabliczka z napisem: „Nie deptać trawnika”. To było zajebiste. Za każdym razem, jak ją mijaliśmy, wyliśmy ze śmiechu.

No i ten klasyk, dorzucił Roberto B.: „Jeśli picie szkodzi twojej pracy, rzuć pracę”.

I jeszcze te obwieszczenia tautologiczne, westchnął Óscar. To całkiem osobna kategoria. Na przykład w witrynie sklepu w Ciudad Juárez: „Dwadzieścia procent zniżki na wszystkie zabawki z importu (z wyjątkiem krajowych)”.

Albo, przypomniał sobie Roberto B., na jakiejś stacji benzynowej: „Zimny lód w torebkach”.

A, takie to widziałem w wielu miejscach, stwierdził Óscar. No i raz przy wejściu na basen wisiała metalowa tabliczka z czymś takim, aż trudno uwierzyć: „Prosimy nie wchodzić. Jeśli nie umieją Państwo czytać, prosimy o zgłoszenie się po informację do kasy. Dziękujemy”.

I kolejne, powiedział Roberto B., z serii obwieszczeń tautologicznych: „Pchać. Można. Ale te drzwi są uparte i za nic się nie otworzą”. Albo w Tenancingo: „Malujemy domy na miejscu”. No weź, stary, gdzie jeszcze można pomalować pieprzony dom, jak nie na miejscu?

Byłeś w Tenancingo? Spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która stamtąd pochodziła. Świetna laska. Miała tatę inżyniera. Podobało mi się, że zawsze nosiła spódnice.

Laski powinny zawsze nosić długie włosy i spódnice, zawyrokował Roberto B.

Niektóre kobiety źle wyglądają w spódnicy, zauważyła Rosana.

Aj, siostró, tu się mylisz! Wszystkie kobiety dobrze wyglądają w spódnicy, zaprzeczył Óscar. Nawet te, które mówią, że nie mają ładnych nóg. Same nie wiedzą, jakie ładne je mają.

Roberto B.: A na szybie pewnej niedrogiej restauracji pod Michoacán wisiała karteczka z informacją, że „w czwartki, piątki i soboty serwujemy pieprzone taco z nadzieniem różnym, enchilady palce lizać, żadnej fuszerki. Do tego zimniuteńka *michelada*. Napchaj się prawie za darmo, dawaj, stary!”.

To już zmyśliłeś, zaprotestował Óscar. Powiedz jeszcze raz.

Roberto B. powtórzył wszystko słowo w słowo, łącznie z tym magicznym „dawaj, stary” na końcu. Obaj z Oscarem zarykiwali się ze śmiechu.

Óscar: A w jakimś zaułku, na czerwonym murze obok ołtarzyka Matki Bożej z Guadalupe z tymi jej kwiatkami i świecami, ktoś wymalował energicznymi maźnięciami białą farbą, że „jak kto tu śmieci, własną matkę przeleci”.

Roberto B.: A jeszcze w Tlalpán widziałem info, że „uwaga, tu się nie pali, a jak zobaczymy dym, pomyślimy, że ktoś stanął w ogniu, i wylejemy delikwentowi kubek zimnej wody na głowę”.

Óscar: A jedna pani, matka dzieciom, przyszła na wiec poparcia dla Madraza z hasłem, że „Madraza schrupię na golasa”.

Roberto B.: A na kracie jakiegoś sklepiku właściciel zostawił apel, żeby „nie sikać tu ani nie srać, z poważaniem, Vicente. I niżej, mniejszymi literami dodał, że „jak ktoś to zrobi, kark przetrączę”.

Óscar: To też zmyśliłeś.

Roberto B.: Nie, przysięgam, że nie.

Óscar: Nigdy nie widziałem równie eleganckiego zakazu srania.

Roberto B.: Najwyraźniej to był jakiś elegancki *naco*.

Óscar: A gdzieś w centrum przeczytałem, że „zakazuje się kradzieży – rząd nie będzie tolerował konkurencji”. To zresztą popularne.

Roberto B.: A w jakimś miasteczku w Morelii ostrzegali, że „panie złodzieju, w tym sklepie pan lepiej nie kradnie, bo jest zgoda, żeby pana rozebrać do naga i powiesić”.

Óscar: A, to w Morelii ktoś napisał, że „ten kto przelezie przez to ogrodzenie i go przyłapię pożałuje że się órodił skórwysyn jak przelezie

i pedał”.

Roberto B.: A w Michoacán przy jednym kościele stało jak byk, że „to parking parafialny, parkowanie zabronione pod groźbą wiecznego potępienia”.

Óscar: Robertuniu, żaden ksiądz nie wywiesi czegoś takiego przy kościele.

Roberto B.: Przysięgam ci, że to prawda.

Pozostali, ci, którzy nie rozumieli po hiszpańsku, patrzyli na nas z niejakim podziwem, jak się zaśmiewamy.

Dookoła latały ogromne nietoperze. Nie wiadomo, dlaczego pojawiły się akurat wtedy – akurat tamtej nocy. Widzieliśmy, jak ich ciemne sylwety przecinają rozjaśnione przez księżyc niebo. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie są groźne, ale i tak przerażały nas ich wielkie skrzydła i ohydne, owłosione ciała.

Więc to jest Meksyk, powiedział Óscar.

To jest Meksyk, powtórzył Roberto B.

Byliśmy przy *naco* i truskawkowych dzieciach, przypominałem.

Tak, prawda, zgodził się Óscar. Koniec końców wszystko się trochę miesza, rzucił i mówił dalej, przedrzeźniając afektację truskawkowego towarzystwa: koniec końców ci *naco* też chodzą w ciuchach American Eagle, Louisa Vuittona czy Chemise Lacoste. Znaczy wiesz, jadą do jakiegoś outletu i już. I potem spotykasz takiego w koszulce Lacoste, tyle że zamiast małego aligatora facet ma ogromnego, znaczy wiesz, prawie na całą pierś. Więc o co chodzi? O co chodzi z tym światem i z tą całą modą? Serio, znaczy wiesz, ci, co takie rzeczy noszą, to jakby mieli na czole wypisane „L” od *looser*. Znaczy wiesz, *hello*, przecieram oczy, co za parodia! Serio, *please*, nie bądźcie aż takimi *naco*! Znaczy wiesz, po prostu szok, jak ci taki wyjeżdża z *whatever*, serio, powinno się ich gdzieś na stałe zamykać...

No patrz, powiedziałem.

No ba, odrzekł Óscar.

Opowiadam wam to wszystko, żebyście zrozumieli, skąd się wzięła Xóchitl i jaka była, zaczynając studia. Śliczna truskawkowa dziewczyna w dzierganej czapeczce, szortach koloru czereśni i białej koszulce Lacoste. Potem bardzo się zmieniła. Jak już wspominałem, znaliśmy się właściwie od dziecka i razem poszliśmy na socjologię.

Nigdy nic między nami nie było. To nieprawda, że mężczyzna i kobieta nie mogą się po prostu przyjaźnić. My gadaliśmy godzinami, zwierzałyśmy się sobie ze spraw sercowych, rozmawialiśmy o książkach, o polityce,

o wszystkim. Ja szybko odkryłem, że socjologia mi nie podchodzi, szczególnie przez te wszystkie statystyki, tę obsesję, żeby świat zamykać w wykresach, i jakoś w połowie studiów chciałem się nawet przenieść na antropologię, ale tego nie zrobiłem, bo w gruncie rzeczy jedyne, co mnie interesowało, to było pisanie, więc pisałem całymi dniami – wiersze w stylu Macedonia Fernandeza i José Gorostizy, opowiadania w duchu Cortazara, José Arreoli, Borgesa i Bioya Casaresa, i szwendałem się po księgarniach przy Bucareli, i przesiadywałem w lokalu Fondo de Cultura Económica w Coyoacán, gdzie zresztą poznałem tego tu wrednego Chilijczyka, który chodził wtedy z zatrudnioną tam dziewczyną, najpiękniejszą dziewczyną, jaką którykolwiek z nas w życiu widział, blondynką o zabójczych oczach, niejaką Patricią. Facet zakochał się w niej i zaczął z nią chodzić, a ja byłem pełen podziwu... Bo żeby taki chilijski wypierdek...

To ta z wiersza, który mi recytowałeś, wtrąciłem.

Tak, bracie, to ta z wiersza, przyznał Roberto B.

No więc zaglądałem na uniwersytet tylko z rzadka, ciągnął Óscar. Mój prawdziwy uniwersytet mieścił się przy ulicy Bucareli, moje prawdziwe zajęcia to były rozmowy z Ablem Fiaco i z Fadriquem Barriosem Pasadą, i z Lucią Elorrieta Camargo, i z Robertuniem – członkami grupy wydającej czasopismo „Twarda linia”, drukowany na powielaczu periodyk z poezją eksperymentalną.

Xóchitl natomiast należała do osób, które uniwersytet całkiem zmienia. Wychowała się w rodzinie nowoczesnej, liberalnej, o wyraźnie lewicowych ciągotkach. Sami widzicie, że nawet imię jej dali indiańskie. Jej mama tłumaczyła na hiszpański Simone de Beauvoir i Vitę Sackville-West i była zapaloną feministką, i Xóchitl dorastała, słuchając bez przerwy o tym, że żyjemy w ustroju jedynie z pozoru demokratycznym, bo prawdziwa demokracja jest niemożliwa, póki nie skończymy z przemocą, korupcją i nierównościami społecznymi, tyle że słuchała tego wszystkiego w wygodnym mieszczańskim domu w stolicy, w nadmorskiej willi w Acapulco, podczas wycieczek do Los Angeles, Paryża czy Madrytu, weekendów w luksusowych spa i wypadów na narty. Dlatego na uniwersytecie, zetknąwszy się ze środowiskiem zdecydowanie radykalnym, zaczęła się wstydzić swojego dotychczasowego życia. Oto *niewidzialne stało się dla niej widzialne*. Wiadomo, że właśnie z truskawkowych dzieci wyrastają najzagorzalsi rewolucjoniści, weźmy chociażby słynnego podkomendanta Marcosa

z Zapatystowskiej Armii Wyzwolenia Narodowego z Chiapas, zidentyfikowanego w końcu jako były wykładowca filozofii na UNAM-ie. Xóchitl zainteresowała się nagle losem najbiedniejszych, zwłaszcza Indian, zwłaszcza indiańskich kobiet i zaczęła dowiadywać się rzeczy, o których nie wiedziała, że wciąż się zdarzają w naszej ukochanej ojczyźnie. Bo czym innym jest mieć ogólną, niejasną świadomość, że coś tam się dzieje, a czym innym – naprawdę się zastanowić, co się właściwie w tym kraju wyprawia i dlaczego w Los Angeles czy Madrycie wszystko wygląda zupełnie inaczej, dlaczego w Madrycie ludzie wychodzą wieczorami na miasto bez lęku, że ktoś ich porwie albo zabije, i dlaczego, wsiadając do taksówki, nie zadają sobie pytania, czy taksówkarz nie wywiezie ich aby na pustkowie i nie okradnie, i dlaczego nie srają ze strachu na widok policyjnego auta na chodniku.

Dziwił mnie ten zwrot w życiu Xóchitl. Dostała prawie obsesji na punkcie nierówności społecznych i niesprawiedliwości i właściwie nie mówiła o niczym innym. Nie widziałem, żeby się z kimś spotykała, a niejeden by zabił, byle się z nią umówić, w końcu była niezłą laską, nadal zresztą jest, aż mi wyznała, że widuje się z jednym ze swoich profesorów, żonatym i dzieciatym czterdziestoczterolatkiem, z którym co tydzień spędza kilka godzin w dyskretnym hoteliku w Pedregal, niedaleko miasteczka uniwersyteckiego. Hotelik był tak dyskretny, że nie miał nawet szyldu, i właśnie tam ci dwoje uwili sobie miłosne gniazdko. Zdaje się, że ten facet bardzo na nią wpłynął, opowiadając jej o społecznych i rasowych problemach Meksyku, o sytuacji meksykańskich kobiet, o Meksyku, którego nie widać – on, mąż i ojciec, co czwartek bzykający na boku swoją dwudziestodwuletnią studentkę i w ogóle swoje studentki, jak każdy inny Pedro Páramo tego świata, on, właśnie on był z nich wszystkich najbardziej radykalnym rewolucjonistą. I mówił jej, że jest jego księżniczką, na co ona pytała: ale przecież, Manuelu, ty chyba nie wierzysz w takie feudalne tytuły, na co on: och, no dobrze, to jesteś moją prezydentką. I obdarowywał ją perfumami Dolce&Gabbana, których używała jego ślubna, żeby nie wzbudzać w niej żadnych podejrzeń obcym zapachem.

Xóchitl, zafascynowana studiami postkolonialnymi, zaczęła się bardzo zawile wyrażać. Szafowała słowami takimi jak „segregacja socjoprzestrzenna”, przejmowanymi od profesor Cristiny Oehmichén, kolejnej swojej idolki z UNAM-u, i „aporofobia”, „endorasizm”, „nowe paradygmaty socjologii” oraz inne podobne terminy sypały się z jej ust tak łatwo, jakby mówiła „lody waniliowe”. Cytowała Maurice’a Barresa: „Czym jest

ojczyzna? Ojczyzna to ziemia i zmarli”. Cytowała Zygmunta Baumana: „Ojczyzna to nie jest kwestia wyboru. Nie można jej «po prostu wybrać»”. Cytowała Michela Fouchera: „Akt wyznaczania granic w jakiś straszny sposób odsyła do tego, co święte”. Cytowała Wallersteina, argumentując, że trzeba „odmyśleć nauki społeczne”. Czytała *Zmianę społeczną w Ameryce Łacińskiej* François Loutarda, reprezentanta teologii wyzwolenia, innego ze swoich mistrzów. Czytała *Państwo, prawo i walki społeczne* Boaventury de Sousa Santosa, klasyczne *Grupy i granice etniczne* Fredrika Bartha, *Tożsamość i etniczność w Ameryce Łacińskiej* Roberta Cardosa Oliveiry, *Opressed but not Defeated* Silvii Rivery Cusicanqui... Z zapalem rozprawiała o pojęciu „etni”, skonstrastowanym z dziewiętnastowiecznym pojęciem „rasy” i opierającym się nie na czystości krwi, lecz na dobrowolnym porozumieniu; o problemach metysażu i o micie Metysa, tak koniecznym w naszych krajach do wytworzenia tożsamości narodowej; o keczuańskim koncepcie *sumak kawsay*, czyli „dobrego życia”, bazującym na włączeniu Natury w bieg Historii i odrzucającym zarówno neoliberalną instrumentalizację istoty ludzkiej, jak i tradycyjnie pogardliwy stosunek marksizmu wobec mądrości przodków...

Żeby napisać pracę dyplomową, musiała wyprawić się w teren, porozmawiać z ludźmi. Wyprawcie się w teren, powtarzano nam ciągle, pogadajcie z ludźmi. Społeczeństwa nie znajdziecie w uniwersyteckich aulach ani w książkach, znajdziecie je na ulicach, w biurach, w sklepach, w domach, w barach, na giełdach. Xóchitl miała o kilka lat starszą znajomą, która zatrudniła się w pomocy społecznej w Pahuatlán, w stanie Puebla, gdzie działała w porozumieniu ze stanowym Ministerstwem Spraw Indiańskich. Xóchitl zadzwoniła i spytała, czy nie znalazłoby się tam coś dla niej. Ana María odrzekła, że akurat pracuje z Indiankami Nahua i z przyjemnością udzieli jej gościny. A materiału do pracy dyplomowej o biedzie, oderwaniu od korzeni i strasznej sytuacji indiańskich kobiet w meksykańskim społeczeństwie z pewnością nikomu w Pahuatlán nie zabraknie. Xóchitl zdziwiła się nieco, że Ana María proponuje jej bezterminową gościnę, pomyślała: co za otwartość, a przecież nie jesteśmy nawet blisko, albowiem wyobrażała sobie, że koleżanka gnieździ się w jakimś mieszkanku albo może malutkim domku, i spodziewała się, że będą musiały spać właściwie razem, wręcz już widziała, jak popijają z glinianych czarek kawę w mikroskopijnej kuchence, gadając godzinami, jak studentki. Spakowała więc plecak, wkładając do niego kilka

chemises Lacoste z aligatorami właściwych rozmiarów, *Smutek tropików* Claude'a Lévi-Straussa, tomik poezji José Gorostizy albo Pabla Nerudy, zapinaną na suwak kurtkę oraz czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, po czym wyruszyła w góry.

Pahuatlán ją zachwyił: białe miasteczko o brukowanych ulicach wciśnięte między spowite mgłami wierzchołki. Kamienne, potem żwirowane, a jeszcze później gruntowe, czerwonawe drogi wijące się pośród dzikich łąk. Wyniosłe, ciemne, żywiczne sosny zdające się czubkami sięgać deszczowych chmur. Palmy kołysane przez wiatr ponad kolcami białych ogrodzeń.

Autobus zatrzymał się na wielkim brukowanym placu, naprzeciwko ratusza. Obok znajdowały się dwa boiska: do koszykówki i piłki nożnej; na obu, pokrzykując, grali jacyś chłopcy. Po placu i wokół boisk włączyło się mnóstwo psów: szarych, żółtych, białych, wygłodniałych. Było zimno i wilgotno. Miasteczko pachniało deszczem i tamalami, które kobiety pod wieczór sprzedawały przed swoimi domami, i Xóchitl pomyślała, że to zapach młodości. Zapach młodego, prostego jedzenia, kukurydzy, złota tej ziemi. Czowała się szczęśliwa, zupełnie jakby obudziło się w niej coś dużego i białego. Tak działały na nią chłód i czystość górskiego powietrza, tajemnica tej obiecującej przygodę krainy, pełnej kwiatów i ciepłych źródeł. Any Marii nigdzie nie było, a zmoknięte, głodne psy robiły trochę niepokojące wrażenie, toteż Xóchitl wspięła się po schodkach na taras knajpki w podcieniach, usiadła przy stoliku i zamówiła gorącą czekoladę oraz kanapkę z serem. Kelnerka okazała się Indianką Otomi: miała długie czarne warkocze i poruszała się bardzo powoli. Ujrzawszy Xóchitl, wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym niezwykle cienkim, ptasim, przyprawiającym o dreszcze głosem powiedziała:

– Przyjechałaś autobusem? Aj, duchy cię tu zjedzą.

Ana María zjawiała się dopiero po godzinie. Przepraszała za spóźnienie, tłumacząc, że miała nagłe wezwanie do jednej z wiosek, a most na głównej drodze był wyłączony z ruchu i trzeba było nadrobić kilka kilometrów bocznymi traktami, żeby przeprowić się przez rzekę. Xóchitl opowiedziała, co usłyszała od indiańskiej kelnerki, na co Ana María parsknęła śmiechem i rzuciła, że do Pahuatlán i jego mieszkańców trzeba się przyzwyczaić. Wyjaśniła, że w miasteczku mieszka szesnaście tysięcy osób i dwa razy tyle duchów. Xóchitl uznała, że jej koleżanka bardzo się zmieniła. Wydawała się teraz silniejsza, bardziej pewna siebie. Obcięła włosy i nosiła grube kalosze.

Swobodnie prowadziła jasnoblękitnego chevroleta pikapa, wysokie, wielkie auto. Bardziej niż na pracownicę społeczną wyglądała na geometrę.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Xóchitl Ana María, razem ze współlokatorem zwanym Miguelito, zajmowała obszerny i raczej brzydki dom na obrzeżach Pahuatlán. Dom był piętrowy, z surowego betonu, zwieńczony dwuspadowym dachem z aluminiowych płytek. Na parterze, gdzie mieściły się kuchnia i sypialnia Miguelita, w ogóle nie wybito okien i zamiast tego w stropie dzielącym oba piętra umieszczono kilka świetlików. Ktoś zresztą spaprał robotę, montując wzmacniane szybki poniżej poziomu podłogi, w związku z czym nocą trzeba było uważać, by nie skrócić sobie kostki. Miguelito mieszkał na dole z innym chłopakiem, Szwajcarem Hermannem, który miał wkrótce wracać do stolicy, Ana María zaś wraz z Xóchitl rezydowały na górze, niemniej jedyna łazienka znajdowała się na piętrze, więc Miguelito i Hermann też musieli z niej korzystać. Oprócz niej i dwóch sypialni było tam też coś w rodzaju salonu z dwiema sofami i niewielkim regałem pełnym książek, pomalowanych na różne kolory glinianych figurek i minerałów (kwarcowych tygrysich oczu, ametystów, malachitów, pirytów, karneoli i obsydianów). Na ścianach wisiały obrazki namalowane na papierze amate, wizerunek Matki Boskiej z Guadalupe, którego raczej nie może zabraknąć w żadnym meksykańskim domu, oraz duża kolorowa mapa stanu Puebla. Telewizora nie było, całą przestrzeń oświetlały tylko nieliczne lampy. Żadne z pomieszczeń nie miało drzwi, w progu wisiały płachty pomarańczowego materiału przypiętego do futryny pinezkami. Dlatego Xóchitl, korzystając z ubikacji, zawsze się niepokoiła, że ktoś zaraz wejdzie, nie mogła się też zamknąć na czas brania prysznica czy na noc. Chyba nigdy wcześniej nie czuła się tak skrępowana. Kuchnia mieściła się na dole, w czymś w rodzaju przybudówki. To zresztą typowe dla tradycyjnej architektury indiańskiej: niejako osobna kuchnia. Ana María i Miguelito płacili za prąd najniższą stawkę, toteż nie mogli sobie pozwolić na posiadanie lodówki. Drzwi z kuchni na dwór się nie domykały, więc nocami szczury dostawały się do środka i wyjadały wszelkie resztki. Nie wiem, czy Xóchitl, jadąc do Pahuatlán, zamiast tych niewygód nie spodziewała się aby czegoś innego: dziewiczej przyrody i wiejskiej sielanki. Poza tym po aluminiowym dachu biegały wielkie dydelfy, każdego ranka wszczynając potworny harmider. Dydelfy to rodzaj wielkich jak koty, podobnych do szczura ssaków, żyjących dziko w górach środkowego Meksyku. Przypuszczam, że włąziły na dach, żeby grzać się na

aluminiowych płytkach, albo może zeskakiwały tam z sąsiadujących z domem drzew – w każdym razie Xóchitl słyszała, jak te wstrętne zwierzęta kręcą się ponad jej głową, i wyobrażała sobie, że pewnego dnia dach nie wytrzyma i wielki, szary, włochaty dydelf wyląduje wprost w jej łóżku. Wy nazywacie je chyba oposami, prawda? Mają długi, chwytny ogon, potrafią na nim zwisnąć z gałęzi. I w tej pozycji kopulują, pan dydelf z panną dydelfką: do góry nogami. W okresie rui wydają bardzo nieprzyjemne, piskliwe odgłosy. Tak zatem wyglądały teraz poranki Xóchitl: budziła się, słuchając popiskiwań roznamiętnionych dydelfów, które staczały ze sobą brutalne walki o możliwość przelecenia którejś z panien dydelfek, przyglądających się im uważnie, najwyraźniej przekonanych, że to wszystko jest zajefajne, i związku z tym również piszczących, ile wlezie.

Miguelito, współlokator Any Maríi (a w rzeczywistości właściciel i budowniczy domu) był wyjątkowo ciekawym osobnikiem. Niziutki, o wyglądzie typowego meksykańskiego chłopca, zachowywał się zawsze bardzo uprzejmie, spokojnie, z dystansem. Nie sypiał z Aną Marią, jedynie się przyjaźnili. Raczej trzymał się z boku. Ponieważ jednak Ana María spędzała całe dni poza domem, jeżdżąc swoim pikapem od wioski do wioski, Xóchitl zdarzało się z Miguelitem rozmawiać. Pochodził z Pahuatlán, lecz mieszkał dotąd w różnych miejscach w Meksyku i w Europie. Interesował się wiedzą, jak oświadczył. Ale, spytała Xóchitl, jaką wiedzą? Wiedzą przodków, odparł, wiedzą, którą mieliśmy przed przybyciem Hiszpanów. Opowiadał, że spędził cztery lata na wyżynach stanu Chiapas, w San Andrés Larráinzar i w San Juan Chamula, ucząc się u lokalnej starszyny i przyswajając sobie język tzotzil, żeby móc się z nią komunikować. Ale, spytała Xóchitl, ucząc się czego? Tam, w górach Chiapas, ludzie kultywują wiedzę serca, odrzekł Miguelito. Zachowali stary język Majów, a także ich rytuały. Wysypują kościoły sosnowymi igłami i rozwieszają na obrazach świętych lustra, i patrzą na swoje odbicie, aż przestają się widzieć. Czasem również dlatego, że są pijani w trupa. Upijają się pulque i tequilą, mówił ze śmiechem. Tyle że nie chodzi o to, by upić się w trupa, lecz o to, by zatrzeć swoje ego w takim stopniu, że przestaje się widzieć w lustrze swoje odbicie. Opowiadał, że na wyżynach Chiapas wiedzę kultywuje się pod postacią rzemiosłnictwa, malarstwa, muzyki – zwłaszcza muzyki. Starszyna przekazuje to, co wie, ucząc młodych gry na harfie. Mają tam wiele zespołów harfianych, grających bardzo delikatną, tajemniczą muzykę, jakiej nie usłyszysz nigdzie indziej na

świecie. Grają też na marimbach, ale tylko dla białych turystów w San Cristóbal de las Casas. Na wyżynach, w górskich wioskach, to harfy zapewniają oprawę muzyczną chrzcinom, komuniom, urodzinom i ślubom. I on, Miguelito, uczył się tego wszystkiego całymi latami, jednakże nigdy nie został dopuszczony do sedna tej wiedzy. Nie został dopuszczony, bo nie jest Indianinem. Gra na harfie też nie bardzo mu wychodziła. Lepiej szło mu z obrazami, kolorami, słowami, historiami. Na harfie grać nie umiał, niezgrabne palce go nie słuchały, nic nie mógł poradzić.

Twardzi byli ci Majowie z wyżyn Chiapas, mówił z podziwem w oczach Miguelito. Woleli biedę od utraty wolności. Idealizował ich bardziej niż ktokolwiek, kogo Xóchitl dotąd poznała. No bo jaka wolność możliwa jest w biedzie, pytała, zafascynowana snutymi przez Miguelita opowieściami, lecz w swoim zagorzałym marksizmie także wobec nich nieufna. Miguelito uśmiechał się na to bez słowa. Był uprzejmy tą cudowną uprzejmością ludzi skromnych. Bardzo dyskretny. Bardzo delikatny, zawsze trochę odległy, niczym duch. Gdy się zorientował, że nigdy nie zostanie dopuszczony przez Majów do ich tajemnic, wyjechał na drugi kraniec kraju, do stanu Nayarit, krainy Huiczoli. Tam spędził kolejne cztery lata. Ci zaimponowali mu swoją siłą. Byli mocni jak korzenie, jak skały. Ich przodkowie, mieszkańcy środkowego Meksyku i dziedzice lokalnej kultury, uciekli na północ przed siejącymi śmierć Hiszpanami i dlatego Huiczole cieszą się w Meksyku szczególnym poważaniem, jakby kontynuowali bezpośrednio tradycje Cuauhtemoca. W swoich górach kultywują język nahuatl i czczą dawnych bogów przebranych za Matkę Boską i różnych świętych. Ich *maarakame*, czyli księża albo raczej szamani, udzielają komunii nie pod postacią hostii, lecz pejotlu, który unoszą ku słońcu, mówiąc: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, dokładnie tak samo jak katoliccy kapłani podczas mszy. Miguelito wyprawił się w ich strony, rozmawiał z ich starszyzną i zaproponował, że pomoże im sprzedawać ich rękodzieło w stolicy i w innych wielkich miastach, gdzie istnieją butikie ze sztuką ludową, przekonany, że w ten sposób zdobędzie ich zaufanie oraz wdzięczność i pozycję kogoś w rodzaju pośrednika. Jednakże Huiczole nie chcieli żadnych pośredników. Sprytni są, skurczybyki, opowiadał Miguelito. Prowadzą cię do jakiejś jaskini poza wioską i pokazują ci znaną tam kość dinozaura. Mówią: patrz, oto kość dinozaura, którą znaleźliśmy w tej jaskini. Strasznie jest stara, ma z milion lat. Potem zabierają cię z powrotem do wioski. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi wraca nazajutrz do tej jaskini

po tę kość dinozaura, żeby ją zabrać i sprzedać jakiemuś muzeum, i w ten sposób zyskać fortunę i sławę. Tyle że zamiast kości dinozaura czeka tam na nich ubawiony po pachy Huiczol. Zresztą kość nie była, rzecz jasna, autentyczna. No a ty nie zdałeś egzaminu i już nigdy żaden Huiczol się do ciebie nie odezwie.

Dumni są ci pieprzeni Huiczole. Twardzi, nieugięci. Ale to lud serca. Lud kwiatu kakaowca. Miguelito opowiedział Xóchitl o rzeczach, których się od nich nauczył. Nauczył się czcić Matkę Ziemię. Nie jeść ryb, uważanych przez Huiczoli za odrażające, albowiem ryba żyje w wodzie i żywi się wodą, a do wody trafiają przecież wszelkie nieczystości. Nauczył się też innych, ważniejszych rzeczy. Rozpoznawać energię. Leczyć energią. Widzieć energię otwartymi oczami. Oczyszczać przy jej użyciu ciało i duszę, odczyniać uroki, wykrywać złe duchy *chaneque* oraz inne świństwa nękające daną osobę i je przepędzać. No i przygotowywać *temazcal*. Poza tym śnić siłą woli, przemieniać się w duchy zwierząt, szybować jak kruk albo pomykać jak jelen czy puma. Urządzać rytualne polowania na jelenia – jelenia, który jest słońcem i tobą samym. Tak, przez te lata Miguelito nauczył się od Huiczoli niejednego, niemniej Huiczole mu nie ufali, albowiem nie był Huiczolem. Znowu działa się to samo co poprzednio w Chiapas. A przecież próbował stać się jednym z nich. Mieszkał z nimi, jadł z nimi i pracował. Jeśli trzeba było ściąć drzewo, łapał za piłę i ścinał. Jeśli trzeba było naprawić gdzieś ogrodzenie, szedł tam z drutem kolczastym i naprawiał. Jeśli trzeba było zreperować dach, wlaził na drabinę i reperował. Jeśli trzeba było zabić indyka, chwycił siekierę i zabijał. Jeśli zaginęła w górach krowa, wyruszał na jej poszukiwanie. I mimo wszystko mu nie ufali. Choć nadali mu nawet huiczolskie imię. Podobała mu się jedna huiczolska dziewczyna i chciał prosić ją o rękę, jednakże jej ojciec powiedział, że nie, to niemożliwe, bo oni nie zawierają małżeństw z Hiszpanami. Ale ja nie jestem Hiszpanem, tłumaczył Miguelito, nie jestem nawet biały. Jestem Meksykaninem. Dla nich wszakże, poza Huiczolami, istnieli tylko Hiszpanie albo Amerykanie. Czasem cudzoziemcy zapuszczali się do wioski, żeby ją obejrzeć i kupić jakieś rękodzieło. Jeśli byli naprawdę z północy, z Ameryki, mogli się spodziewać wszystkiego, co najgorsze. Oszukiwano ich, wyśmiewano. Podawano im astronomiczne ceny albo w ogóle nie chciano nic sprzedać – żadnych układów z cholernymi białasami, co za radość! Zresztą białasami byli wszyscy: Włosi, Austriacy, Szwedzi. Świat dzielił się na Huiczoli i białasów. A z białasami nie ma o czym gadać.

Starzec stojący na czele społeczności adoptował Miguelita, ale nawet to nie pomogło mu stać się Huiczolem. Więc czekał, czekał cierpliwie i z miłością, aż zostanie uznany za jednego z nich. Czekał, póki sobie nie uświadomił, że to nigdy nie nastąpi. Plan sprzedaży ich rękodzieła w stolicy też nie wypalił, gdyż Huiczole nie życzyli sobie, by ich wyroby trafiały do obcych. Chociaż, prawdę mówiąc, huiczolskie rękodzieło, najładniejsze ze wszystkich, można spotkać w całym Meksyku: te ich obrazki z wizjami osiąganymi dzięki meskalinie, z kolorowymi jeleniami i innymi zwierzętami, kwiatami i pejzażami, te naszyjniki, bransolety, grzechotki... Miguelito powtarzał, że wielu ludzi się na tym bogaci, on zaś pragnie jedynie, żeby część tego bogactwa dostawała się również Huiczolom. Wszystko na darmo. Nie ufali mu. Nikomu nie ufali. Mieszkali sobie w swoich wioskach ze swoim bydłem, swoimi indykami i prosiakami, ze swoimi starcami, kobietami i dziećmi. Z całą swoją wiedzą, z całą swoją tradycją i opowieściami o wielkiej mocy. Raz do roku pielgrzymowali na pustynię Wirikuta, w stanie San Luis Potosí, gdzie brali meskalinę i tańczyli na świętym wzgórzu El Quemado, po czym wracali do Nayarit, do swoich wiosek, kobiet i dzieci. I żyli w nędzy. Niektórzy byli całkiem zamożni, ale i tak żyli w nędzy. Nie zabierali dzieci do lekarza i wiele maluchów umierało. Nie ufali białej medycynie. Nie nadawali dzieciom imion, póki nie ukończyły dwóch albo trzech lat, na wypadek, gdyby miały zaraz umrzeć. Xóchitl pytała, po co im w takim razie cała ta wiedza? Co z tego, że byli ludem serca, ludem kwiatu kakaowca, skoro nie potrafili nawet zadbać o własne potomstwo? Miguelito odpowiadał, że ona wciąż nic nie rozumie. Że świat Huiczoli nie ma nic wspólnego z naszym, ponieważ oni żyją *jak we śnie*. Że nie stosują się do norm białego człowieka. Nie akceptują ich. Nie chcą dać się w nie wtłoczyć. Powiedział, że niektórzy *maarakame* mają dziesięć albo dwanaście żon i że wynalezione przez białych mieszczańskie ograniczenie do jednej zupełnie ich nie interesuje. Wspomniał o pewnym *maarakame*, niejakiem don Andresie, który w wieku siedemdziesięciu pięciu lat ożenił się z piętnastolatką i zaraz ją zapłodnił. Oto siła miłości, wspaniała energia kwiatu kakaowca, kwiatu serca. Ten don Andrés był całkiem ślepy, miał w obu oczach bielmo. Miguelito pytał go, czemu nie zdecyduje się na operację. Pójdzie pan do szpitala i odzyska wzrok, zapewniał. Jednakże don Andrés nie chciał. Nie chciał i koniec. Przy czym białemu człowiekowi naprawdę nie należy ufać, bo biały człowiek wszystko niszczy. Jest najbardziej niszczycielską siłą na naszej planecie. Ale to przecież, protestowała Xóchitl,

bestialstwo: siedemdziesięciopięciolatek z piętnastolatką! To gwałt. Takie dziecko nie może chcieć zadawać się z takim staruchem! To wszystko twoje przesady, oponował Miguelito. Patrzysz oczami białych. Nie potrafisz pojąć, że są inne sposoby życia niż na Zachodzie. Xóchitl czuła się po tych rozmowach sfrustrowana i zbita z tropu. Nie wiedziała, co myśleć. Zupełnie jakby zepsuła jej się skala: nie miała już pewności, co jest dobre, a co złe; co słodkie, a co słone.

W końcu Miguelito poznał innych ludzi, którzy interesowali się wiedzą przodków, w tym nawet kilku Amerykanów szukających oświecenia w Meksyku oraz kilku Hiszpanów, którzy przyjeżdżali zażywać pejotl wzorem Carlosa Castanedy albo zażywać oaxacańskie grzybki wzorem Marii Sabiny. I, prawdę mówiąc, spodobali mu się ci biali. Sprawili, że zaczął się pozbywać przesądów, które sam wobec nich żywił. Byli inni. Wnosili do jego życia świeży powiew, nowy styl. Byli wielcy, niezdarni, hałaśliwi, mało rozumieni, ale pragnęli się uczyć. Przybywali ze swego świata umarłych do naszego świata żywych, mówił Miguelito. Ze swego świata bez serca do naszej krainy serca. Ich równowaga energetyczna była całkowicie zakłócona, sami już nie wiedzieli, co jest ważne, stracili wyczucie naturalnego porządku rzeczy, słońca i księżyca, kobiety i mężczyzny, miłości i życia, lecz właśnie dlatego przybywali do Meksyku: żeby to odnaleźć, choć nierzadko nie mieli pojęcia, czego szukają, i w swoim pomieszaniu albo przeżywali potężne katharsis, albo kończyli bardzo, bardzo źle. Mówię teraz o prawdziwych poszukiwaczach wiedzy, mówił Miguelito, a nie o wążaczach, zwykłych *pacheco*, co to zjeżdżają do Meksyku po „doznania”. Wążaczami, *pacheco*, nazywamy w Meksyku tych, którzy palą masę marihuany i bez przerwy chodzą upaleni, wiecie, z czerwonymi oczami i tym głupim uśmiechem – uśmiechem *pacheco*. Nie, ci biali, o których chodzi, docierający na górę, rzeczywiście chcieli zrozumieć; chcieli wypełnić pustkę zżerającą im dusze. A ich kobiety były naprawdę atrakcyjne, takie wysokie, z mocnymi, nagimi udami i włosami złotymi jak wąsy kukurydzy. Takie silne i takie słabe zarazem. Takie piękne, takie kobiece i zarazem tak mało kobiece. W porównaniu z Meksykankami. Takie pociągające i jednocześnie tak mało uwodzicielskie, nieobeznane ze sztuką kuszenia mężczyzny, dla Meksykanek oczywistą. Te kobiety wyrażały się jak mężczyźni, ale nie dlatego, by były w jakiś sposób męskie, tylko dlatego, że zatraciły istotę swojej kobiecości, opowiadał Miguelito swoim delikatnym, ledwie wyrastającym ponad ciszę głosem. I pragnęły

prawdziwych mężczyzn, jako że w Europie już takich nie ma, ciągnął. A wszystko dlatego, że biały człowiek zszedł z drogi serca, w związku z czym w Europie ani mężczyźni nie są mężczyznami, ani kobiety – kobietami, mężczyźni nie są męscy, kobiety – kobiece, panuje ogólny zamęt i ludzie nic, tylko pracują i zarabiają pieniądze. I on, Miguelito, odkrył, że dla tych ludzi, zwłaszcza zaś dla białych kobiet, Europejek, Hiszpanek, on, Miguelito, jest jednostką fascynującą, wręcz magiczną. Odkrył, że gdy zaczyna opowiadać o Huiczolach, snuć o zmroku, przy ogniu, ich historii o jeleniu, który jest słońcem i umiera co wieczór, by co rano się odradzać, o jeleniu, który jest też tobą, i o tym, że w każdej kobiecie drzemie bogini, gdyż mężczyźni myślą mózgiem, a kobiety – i mózgiem, i macicą, tak jakby miały dwa mózgi, dzięki czemu rozumieją więcej niż mężczyźni, tak, odkrył, że wtedy wszyscy, szczególnie kobiety, spijają mu słowa z ust, wpatrując się w niego swoimi zielonymi, swoimi niebieskimi oczami, jakby dotknął czegoś głęboko w ich wnętrzu. I to był problem Miguelita, mówił Miguelito do Xóchitl. Jego „ja” go zdradzało. Zdradzało go pragnienie podobania się, pragnienie poklasku.

Poznał też wtedy pewną panią ze stolicy, nazywała się María Teresa Eloísa, która wozila liczne grupy Europejczyków, Amerykanów i Meksykanów do miejsc mocy w Teotihuacán, Tuli, Monte Albán i Malinalco. Przypadli sobie z Miguelitem do gustu i on zaczął jej towarzyszyć w podróżach, a czasem też przygotowywał dla jej klientów *temazcal*. To dzięki niej, jak opowiadał Xóchitl, zakończył swoją przygodę z Huiczolami i wrócił do codzienności, albowiem pani María Teresa uświadomiła mu, że tym, czego nauczył się pośród Indian, może dzielić się z innymi, poszukującymi tego samego co on. Dlatego zaczął z nią jeździć i nagrzewać dla jej klientów kamienie na *temazcal* – mocno, tak jak się nauczył u Huiczoli, aż niektórzy Europejczycy nie wytrzymywali: bali się albo było im słabo, czy ja wiem. Nie wiecie, co to *temazcal*? To odpowiednik *sweat lodge*, znanego u Indian Ameryki Północnej. Taka rytualna sauna, służąca cielesnemu i duchowemu oczyszczeniu, zazwyczaj przed zażywaniem pejotlu i wejściem w świat snów i wizji. Kamienie grzeje się w ogniu przez całe popołudnie, póki nie zrobią się czerwone, po czym umieszcza się je w wykopanym w ziemi dole, nad którym ustawia się szczelny namiot, żeby para nie uciekała na zewnątrz, i wszyscy wchodzi do środka, nadzy, jeśli kobiety i mężczyźni są rozdzieleni, albo w kostiumach kąpielowych, jeśli są razem, i ten, kto prowadzi ceremonię, polewa gorące kamienie wodą aromatyzowaną ziołami i ukierunkowuje każdemu jego

wewnętrzną podróż. Są do przejścia trzy „bramy”. Po przejściu pierwszej wychodzi się z namiotu – albo z jaskini czy ziemnej jamy, zależy, gdzie rzecz się odbywa – i bierze się krótką kąpiel w zimnej wodzie. Potem wraca się szybko do wnętrza.

Pozwólcie jednak, że troszeczkę wam opowiem o tej pani, Marii Teresie.

Pani María Teresa szukała wiedzy na różne sposoby: u alchemików, podążając Czwartą Drogą, u Aurobinda, u Richarda Moody’ego z jego „życiem po życiu”, w nagualizmie Carlosa Castanedy... Od dziecka była jasnowidzką i przez wiele lat pomagała policji przy zaginięciach i zabójstwach. Dawali jej jakąś część garderoby zaginionej dziewczyny, a María Teresa koncentrowała się i mówiła: biedaczka leży na czterdziestym siódmym kilometrze tej czy tamtej autostrady. Potem poznała pewnego Hiszpana i wyszła za niego, i urodziła troje dzieci, i przeżyła najgorszy okres swego życia, pełniąc rolę pani domu i kochającej żony tego hiszpańskiego hazardzisty i pijaka, który stopniowo rujnował rodzinę, aż w końcu zażądała rozwodu, poszła do pracy i wróciła do swego życia i swoich poszukiwań. Przez jakiś czas mieszkała w Acapulco, gdzie założyła trzy *nevería*. Nie wiecie, co to *nevería*? To lokal, gdzie sprzedaje się owocowe *nieve* i sorbety. Bo wiecie chyba, co to *nieve*? W Meksyku mówimy tak na lody. Mamy tamaryndowe, ketmiowe, kokosowe, graviolowe... María Teresa przez cały dzień jeździła na motorze między jedną lodziarnią a drugą, przy okazji trwale niszcząc sobie od słońca skórę, po czym wróciła do stolicy, do rodzinnego domu, gdzie organizowała różnego rodzaju spotkania. Dom mieścił się w dzielnicy Polanco i zawsze stał dla wszystkich otworem. Zbierały się tam grupy medytacyjne, grupy kobiece, grupy podążające Czwartą Drogą. W swoich poszukiwaniach María Teresa coraz bardziej zbliżała się do dziedzictwa Tolteków, do pradawnej meksykańskiej wiedzy, aż wreszcie poznała naguala Carlosa Castanedę, a było to w tym czasie, gdy Castaneda żył na uboczu i wiedziano o nim tylko tyle, że pisze te swoje fascynujące książki, które większość ludzi czytała jako powieści.

Pani María Teresa spędziła w otoczeniu naguala wiele lat. W tamtym okresie nagual (jego podopieczni nigdy nie nazywali go Carlosem ani Castanedą, albowiem interesowała ich jego magiczna natura, a nie jego społeczne „ja”, zresztą pani María Teresa twierdziła nawet, że Castaneda nie zawsze był naguałem – czasem nim był, czasem zaś nie), no więc w tamtym okresie nagual prowadził dwie grupy: jedną w Meksyku i drugą w Madrycie.

Nie wiadomo, dlaczego zdecydował się na tę drugą. Wyprawiał się do Hiszpanii parę razy na rok i prowadził tam pogadanki i warsztaty; w końcu obie grupy się poznały, bo ci z Madrytu w pewnym momencie odwiedzili Meksyk.

W grupie meksykańskiej były, obok Marii Teresy, także inne „czarownice”: Florinda Donner, Taisha Abelar oraz Carol Tiggs, „kobieta-nagual”. Pani Maria Teresa wiele się przy nich nauczyła i wiele przeżyła. Jej egzystencja uległa całkowitej przemianie, nagual stał się jej duchowym przewodnikiem, by się tak wyrazić – bo nie mistrzem: pośród czarowników nie ma nauczycieli ani uczniów. No, ale to już inna historia. Tak czy owak, kiedy nagual znikł, pani Maria Teresa skupiła się na swoich kursach: kursach milczenia, medytacji, kobiecej energii, kobiecego samouświadczenia, rekapitulacji, operowania energią, wewnętrznego przebudzenia, samorozwoju i tak dalej, i pomyślała ponadto, że trzeba by coś zrobić z okropną sytuacją indiańskich i w ogóle biednych kobiet w Meksyku, więc, inspirując się średniowiecznym ruchem religijnym oraz dziełem przeoryszy Hildegardy z Bingen, założyła stowarzyszenie non profit pod nazwą beginki, organizację, której celem było niesienie pomocy ubogim Meksykankom, zwłaszcza samotnym matkom, jakich na wsiach pełno, oraz dzieciom, szczególnie dziewczynkom, z prowincji i z biednych dzielnic wielkich miast, maluchom żyjącym pośród nędzy i przemocy, bez dostępu do edukacji...

Dużo podróżując, pani Maria Teresa wszędzie promowała swoje beginki: w Nowym Jorku, Madrycie, Valladolid, Kadyksie, Bilbao, Wiedniu, Konstancji, Berlinie, Hamburgu, Budapeszcie... Ruch rozwijał się w Hiszpanii, Niemczech, na Węgrzech, w Austrii i w Stanach Zjednoczonych. Jednakże nie to stanowiło oś jej działalności. Oś jej działalności stanowiła praca nad ewolucją istoty ludzkiej, praca nad świadomością. W każdym razie godne podziwu jest to, jak łączyła obie te rzeczy: pracę wewnętrzną z pracą zewnętrzną, prawda? Ponieważ beginki często udzielały się w społecznościach indiańskich, jeden z projektów pani Marii Teresy przewidywał sprzedaż w Europie tradycyjnych meksykańskich chust, koszul i toreb. Za uzyskane z tego źródła pieniądze planowała stworzyć domy opieki dla samotnych matek oraz centra edukacyjne dla dzieci, by dać im szansę na rozwój i wyrwać je z przesiąkniętego przemocą środowiska, gdzie pleniły się uzależnienia i choroby, a wiecznie pijani mężczyźni zajmowali się głównie biciem swoich żon. Wyglądało to wszystko na mrzonkę, niemniej w jakiś

tajemniczy, wręcz cudowny sposób przekładało się na bardzo konkretne osiągnięcia. W Madrycie na przykład pani María Teresa nawiązała znajomość z pewnym meksykańskim księdzem, który posiadał kawałek ziemi w rejonie Teotihuacán. Nieopodal piramid, jak powiedział, a właściwie w *obrębie* obszaru z piramidami, albowiem spora część Teotihuacán pozostaje wciąż nieodkryta. Pani María Teresa poprosiła tego człowieka, by pozwolił jej zbudować tam ośrodek kształcenia indiańskich dziewczynek. Duchowny wypytał ją, kim właściwie jest, czy należy do Kościoła katolickiego, co myśli o Bogu i religii, a upewniwszy się, że we wzniesionym przez nią ośrodku nigdy nie postanie noga żadnego księdza ani zakonnicy, gdyż pani María Teresa nie ma nic wspólnego z Kościołem, podarował jej beginkom swoją ziemię. Tak po prostu ją im podarował.

Miguelito zaczął jeździć z panią Marią Teresą również do Europy. Prowadziła tam kursy na temat drogi wojownika, drogi serca, przekazując nauki naguala Carlosa Castanedy. Organizowała warsztaty dotyczące kobiecego samouświadczenia, rekapitulacji (techniki, którą przekazał nagualowi don Juan, pozwalającej na energetyczne uwolnienie się od przeszłości), milczenia, oczyszczania toksycznych związków czy percepcji pozazmysłowej, a Miguelito zajmował się pracą w terenie, snuł opowieści przy ognisku i organizował rytualne sauny, wycieczki na łono natury oraz „marsze mocy”, mające zatrzymać wewnętrzny dialog, jaki prowadzi ludzki umysł sam ze sobą. Przy okazji spędził dwa lata w Wiedniu, gdzie miał dziewczynę imieniem Uta, zupełną wariatkę, która kiedyś zagroziła mu nożem w ataku nieuzasadnionej zazdrości, a była od niego dwa razy większa, jak opowiadał ze śmiechem, przy czym nie mogli się za dobrze porozumieć, ponieważ ona знаła hiszpański tylko trochę, on zaś, oczywiście, nie mówił po niemiecku w ogóle. Potem przeprowadził się do Guadalajary, do hiszpańskiej wioski nieopodal Hity, gdzie mieszkał z całkowicie zagubioną Amerykanką, Anne Cadenasso, z którą zresztą nie sypiał, jedynie się przyjaźnili, aż w końcu stwierdził, że jego ojczyzną jest Meksyk, więc nie ma sensu mieszkać gdziekolwiek indziej, i wrócił do Pahuatlán, z zamiarem podjęcia współpracy z beginkami oraz z Aną Marią, którą poznał kiedyś przez panią Marię Teresę, a która teraz przez przypadek działała akurat w Pahuatlán.

On sam posiadał w Pahuatlán domek, indiańską chatynkę z polepą zamiast podłogi i wypuszczającą na zewnątrz dym dziurą w dachu, bez bieżącej wody, jednakże pani María Teresa powiedziała, że powinien coś z tym zrobić, że

potrzebuje normalnego domu, toteż zbudował ten, w którym obecnie mieszkali, z łazienką i wspólną przestrzenią do pracy w grupie, zdolny w razie potrzeby pomieścić sporo ludzi, tyle że miastowi mieli jednak inne wyobrażenie o wygodach, więc ostatecznie i tak zatrzymywali się gdzie indziej, chociaż zawsze trafił się ktoś, kto nocował u Miguelita, jak choćby ten Szwajcar, Hermann, co to przyjechał na dwa dni, a siedział już dwa tygodnie.

Miguelito w końcu się ożenił – z Hiszpanką imieniem Paloma poznaną podczas jednego z kursów. Z jego dyskretnych napomknien Xóchitl wywnioskowała, że owa Paloma była kobietą zmysłową i namiętną, urodziwą i w dodatku nieco od niego wyższą. Pochodziła z Carabanchel, wioski pod Madrytem. Dlaczego się śmiejecie? Nie tam leży Carabanchel? Paloma, gdy ją pytano, skąd jest, mówiła, że z Hiszpanii, a gdy dopytywano, czy z Madrytu, czy z Barcelony, dodawała: „Z Carabanchel”. Miguelito z prostotą, bez przechwalania się, objaśnił Xóchitl, że podobnie jak większość Europejek jego żona Paloma nigdy wcześniej nie doświadczyła prawdziwego seksu. Że miała kilku miernych, mało męskich kochanków, którzy nie zdołali obudzić w niej kobiecości ani nawet doprowadzić jej do orgazmu. Ale serio się z nią ożeniłeś? Xóchitl jakoś nie umiała sobie wyobrazić Miguelita w garniturze ani w kościele. Miguelito zapewnił ją, że, owszem, wziął oficjalny ślub w obrządku huiczolskim. Że ślub huiczolski w niczym nie jest gorszy od innego, ba, jego zdaniem jest nawet lepszy, świętszy. Dlatego wciąż byli z Palomą małżeństwem, nawet jeśli żyli osobno i raczej już nigdy nie mieli się zobaczyć.

Paloma wzięła udział w kilku kursach w Hiszpanii i potem w Meksyku, w którym była zakochana. Czczyła mądrość Tolteków, a książki Castanedy znała na pamięć. Jednakże nie wytrzymała życia w naszym kraju. Nosila w sobie niepokój, tego wściekłego węża, który zżera białych od środka, mówił Miguelito. Za bardzo przejmowała się sobą, tłumaczył, cierpiała na tę chorobę, której objawem jest nieustanne powtarzanie: „Ja, ja, ja, ja”. Kiedy jechali w góry, uprzedził ją, że musi zachowywać się jak reszta huiczolskich kobiet. Początkowo była zachwycona, wręcz zafascynowana możliwością wejścia do ich społeczności, upodobnienia się do nich. Ale Miguelito zaraz jej wyjaśnił, że nie będzie już mogła chodzić obok niego; że musi zawsze podążać kilka metrów z tyłu. Oczywiście, w moich oczach jesteście równi, powiedział. Wiem, że te stare zwyczaje nie mają większego sensu. Niemniej tu, pośród Huiczoli, wciąż obowiązują i trzeba się do nich dostosować. Tak więc Paloma

miała chodzić za nim jak pies. Usługiwać mu przy stole. Pracć razem z innymi kobietami. Nie wytrzymała. Wyjechała do Hiszpanii trzy miesiące po ślubie. Kolejna ofiara feminizmu, podsumował Miguelito. Hiszpanki są szalone, dorzucił. Przez ten cały feminizm wykastrowały swoich mężczyzn i teraz rozpaczają, że ich mężczyźni są jak dzieci, nie są prawdziwymi mężczyznami. A przecież wykastrowały ich same!

To niewiarygodne, co mi opowiadasz, orzekła Xóchitl. Naprawdę sądziłaś, że dziewczyna z Europy się na coś takiego zgodzi? Przecież nawet wykształcona Meksykanka by się nie zgodziła. Ja bym się nie zgodziła. Dlaczego miałabym chodzić za tobą, a nie obok ciebie?

To zwyczaje Huiczoli, powtarzał Miguelito łagodnym głosem, lekko się uśmiechając. Ja w to nie wierzę, wierzę w równość mężczyzn i kobiet tak samo jak ty, ale to zwyczaje Huiczoli i musimy je szanować.

Xóchitl powiedziała sobie, że przyjechała do Pahuatlán się uczyć, więc powinna powstrzymać się od wydawania pochopnych sądów. Postanowiła, że weźmie opowieści Miguelita niejako w nawias i będzie po prostu chłonać miejscową aurę. A pora na wydawanie sądów i wyznaczanie granic przyjdzie później. Jeżeli w ogóle przyjdzie.

Spytała Miguelita, czym on się właściwie zajmuje, jak zarabia na życie, on zaś odparł, że zajmuje się po trosze wszystkim. Leczy, oczyszcza mieszkania i domy ze złej energii, odczynia uroki, przygotowuje rytualną saunę, *temazcal*, choć to jedynie dla przyjezdnych Amerykanów i Europejczyków, nigdy dla miejscowych, a poza tym wykonuje drobne naprawy i prace domowe oraz maluje obrazki na papierze amate, żeby je potem sprzedawać. Papier amate to jeden z podstawowych produktów wytwarzanych w Pahuatlán i on, Miguelito, zna się na tym rzemiośle od dziecka. Pokazał Xóchitl różne rodzaje amate oraz swoje malunki wiszące na ścianach, dokładnie takie same jak inne tradycyjne malunki na papierze amate, ani od nich ładniejsze, ani brzydsze, ani lepsze, ani gorsze, przedstawiające, jak zawsze, kwiaty, ptaki i jelenie, roztańczone wioski, kaktusy, słońca, anioły, księżycy, sosny Montezumy i piramidy. Później Xóchitl miała się dowiedzieć, że tych kilka obrazków przyczepionych pinezkami do ścian, to był *cały* dorobek Miguelita w tej dziedzinie, i że jego plan, by je sprzedawać, nigdy nie doszedł do skutku. Miguelito żył więc, właściwie nic nie robiąc. Bez pracy. Jak duchy. Jak kwiaty.

Nie palił, nie pił alkoholu, mówił cichym głosem i trzymał się na dystans, zupełnie jakby był raczej duchem niż człowiekiem. Duchem powściągliwym

i uśmiechniętym. Miał w sobie coś anielskiego, a zarazem coś tajemniczego i mrocznego. Zdawał się istotą znikąd, niemożliwą do sklasyfikowania. Wszyscy jesteście kimś: truskawkowymi dziećmi, prostytutkami albo bukami, jak to ujęliście, białasami albo Indiancami, mamy jakieś zawody. Ale nie Miguelito. Miguelito był jedynie sobą. Nie dało się stwierdzić, czy kiedykolwiek przeczytał książkę albo obejrzał film. Takie rzeczy go nie interesowały, chociaż, owszem, interesowały go historie, opowieści, które całymi dniami spisywał niebieskim piórem w grubym zeszycie: magiczne historie o przemianach w zwierzęta, o miłości i uświęconym seksie, o kochankach i czarownikach. Xóchitl słyszała, jak Hermann opowiada, że kiedy Miguelito zaczyna czytać te swoje opowieści na głos, wszyscy *wchodzą w stan śnienia*. Śnienie to stan dostępny głównie czarownikom, coś jakby życie przez sen albo przeżywanie snów na jawie. Coś jak *dreamtime*, Czas Snu u australijskich Aborygenów. Hermann mówił, że bardzo trudno słuchać historii Miguelita i pozostawać w obrębie zwykłej rzeczywistości, bo człowiek od razu, nieświadomie, przerzuca się na „drugą uwagę”. Xóchitl nie czytała książek Carlosa Castanedy, toteż nie wiedziała, czym jest „druga uwaga”. Ale mogła to sobie wyobrazić.

Druga uwaga. Stan, w którym potrafimy dostrzec inny świat, kryjący się za naszym. Tak to sobie wyobrażała. Mgliście – albowiem nie miała ciągotek mistycznych i w ogóle nie interesowała się ezoteryką. Jedną z obsesji Miguelita było to, co nazywał „fiksacją punktu zaczepienia”, przez którą wszyscy postrzegamy naszą rzeczywistość jako stałą i niezmienną, i jedyną. O „fiksacji punktu zaczepienia” też dowiedział się od pani Marii Teresy.

Dreamtime, powtarzała Xóchitl. Czyli chodzi o życie we śnie, mówiła. Nie, protestował Miguelito, wręcz przeciwnie: chodzi właśnie o przebudzenie.

Stromym, błotnistym, usianym kamieniami zboczem schodziło się do indiańskiej osady, gdzie mieszkały kobiety-hafciarki. Osadę nazywano San Barros, choć jej oficjalna nazwa brzmiała San Pablito. Stał tam dom służący za szwalnię, gdzie kobiety gromadziły się, żeby razem szyć, prząść i haftować, jako że to właśnie jest główne zajęcie Indianek. Przez całe życie przędą i haftują, a potem sprzedają swoje wyroby: bluzki, bluzy, koszule, spódnice, obrusy, serwetki, ozdoby. Wyszywają je w geometryczne wzory, a także w kwiaty i zwierzęta – zawsze bardzo kolorowe, bardzo wesołe i piękne.

Xóchitl początkowo wyprawiała się do osady z Aną Marią, która знаła tam

wszystkie rodziny. Kobiety ceniły ją i szanowały, więc bez problemu zaakceptowały również Xóchitl. Śmieszyło je, że nosi imię zaczerpnięte z języka nahuatl, którego nie zna. Okazały się niezwykle sympatyczne, inteligentne, energiczne. Xóchitl zaczęła odwiedzać je w domach. Niektóre mieszkały w chatkach z cegły adobe, krytych strzechą, inne w budynkach z betonu, przy czym nawet te ostatnie zamiast podłogi miały polepę. Nigdzie nie było bieżącej wody ani łazienki, często także elektryczności, chociaż niekiedy na środku głównej izby wisiała samotna żarówka – na kablu doprowadzonym nie wiadomo skąd, może z pobliskiego słupa elektrycznego, od którego rozbiegały się we wszystkie strony dziesiątki różnych przewodów. Potrzeby fizjologiczne załatwiano na polu albo na podwórzu, jeśli ktoś miał podwórze, gdzie odchody ludzkie mieszały się z kurzymi i gdzie dzieci wiecznie się bały, że zostaną udziobane w goły wypięty tyłek. Kuchnie, przybudówki o metalowych drzwiach otwierających się wprost na ulicę, opalano węglem lub drewnem. Podczas deszczu wszystko to tonęło w błocie. A że w Pahuatlán padało raz po raz, chodziło się w wiecznie ubłoconych butach. Indianie układali sobie ścieżki z płaskich kamieni, ale nie bardzo to pomagało. Spytałem, czy to stąd wzięła się nieoficjalna nazwa osady, San Barros¹, jednakże Xóchitl odparła, że nigdy na to nie wpadła; nigdy nie połączyła tego określenia – które mogło zresztą obejmować jedynie część San Pablito – z panującymi w osadzie warunkami.

Deszcz w Pahuatlán...

Powietrze było tam zawsze wilgotne, a niebo – zaciągnięte chmurami. Wielkie płachty mgły wisiały ponad drzewami niby białe dłonie ogromnych aniołów. Aniołów okazujących swe zmiłowanie wyłącznie poprzez tę mgłę i ten deszcz. Spadającą z nieba wodę w różnych stanach skupienia. Zresztą, nigdy nie było wiadomo, czy to znak zmiłowania czy raczej kara. Latem, podczas wizyty Xóchitl, lało dosłownie jak z cebra. Nie bez przerwy, bo w Meksyku nigdy nie leje bez przerwy. Najczęściej pada pod wieczór, tyle że wtedy niebo zdaje się otwierać na oścież i wszystko już po kilku minutach tonie w wodzie. Rwące strumienie płyną w dół ulic i zboczy. W takich momentach komunikacja z osadą była mocno utrudniona, albowiem prowadząca do niej stroma ścieżka zamieniała się w błotnisty, niosący kamienie potok. Xóchitl kupiła kalosze, takie, jakie pierwszego dnia miała na sobie Ana María, i bywało, że schodziła do osady kilka razy na dzień. Droga

od czasu do czasu przejeżdżały auta, których kierowcy uprzejmie proponowali Xóchitl podwózkę, jednakże Ana María i Miguelito ostrzegali ją, by bardzo uważała i pod żadnym pozorem nie zabierała się z nieznajomymi.

Wciąż nie umiała pojąć tego nędznego, dogorywającego świata. Nie umiała pojąć, jak te liczne rodziny radzą sobie w swoich domach bez podłogi. Jak mogą spać wszyscy w jednej izbie, z konieczności uprawiając seks niemal na oczach dzieci. Jak do ogrzania się starcza im nędzne palenisko w kącie, z dziurą w dachu, przez którą dym uciekał niezbyt chętnie, toteż wewnątrz domu najczęściej było go pełne, co nie służyło niemowlętom, dzieciom ani w ogóle nikomu. W szczególnie zimne noce palili ogień do rana i Xóchitl myślała, że ktoś się w końcu udusi. Nie rozumiała też, dlaczego nie mogli wycierać butów i ubrań z błota, które наносили dosłownie wszędzie: do kuchni, do domu... Oburzała się na to wszystko w rozmowach z Aną Marią, ta zaś niezmiennie odpowiadała, że trzeba szanować ich tradycyjny sposób życia i że nie wolno tak po prostu od razu wszystkiego zmieniać. Xóchitl argumentowała, że istnieją pewne podstawy, związane zwłaszcza z higieną. Że indiańskie dzieci nie są zadbane. Że żyją pośród syfu. Że wiele rodzin trzyma zwierzęta w domu i śpi razem z indykami, w ich odchodach. Ana María mówiła na to, że jeśli ktoś zostawi indyka na dworze, zaraz mu go zeżre jakaś lisica albo zwyczajnie ktoś go ukradnie. A Xóchitl upierała się przy czystości, przy higienie. Powtarzała, że te dzieci mają wszy, bo nigdy się nie myją, i że należy wpoić ich matkom, iż codzienna kąpiel to konieczność, na co Ana María wołała: oto wielka biała kobieta przemówiła! Oto przybyła, by rozwiązać wszelkie problemy! I dodawała, że wedle Indian codzienna kąpiel to idiotyzm i że trzeba zostawić im wolną rękę. Xóchitl spędzała całe noce, płacząc z gniewu i bezsilności. Zwracała się do Miguelita, on zaś mówił to samo co Ana María, tylko ciszej i łagodniej. Że należy szanować miejscowe tradycje. Że ona, Xóchitl, nie ma prawa się wtrącać. A ona tłumaczyła Anie Marii, że oboje z Miguelitem są hipokrytami: mają w domu łazienkę i bieżącą wodę, zdejmują w progu buty, utrzymują stopy i resztę ciała w czystości, używają szamponu i mimo to uważają, że te biedne Indianki dobrze robią, gnieźdząc się w brudzie i gotując w kuchni pełnej mysich i dydelfich kup. Przy czym kuchnia w domu Miguelita też była pełna mysich i dydelfich kup, ponieważ jej drzwi się nie zamykały, wpuszczając do środka wszystko, nawet psy i koty, ba, nawet świnie i krowy, gdyby tylko zechciały. A Miguelito i Ana María, mieszkający w tym miejscu od lat, patrzyli na Xóchitl ze znużeniem, osłupiali wobec jej

reformatorskiego zapału. Ona zaś czuła się niezrozumiana i uważała ich za bezdusznych hipokrytów, przekonana już teraz, że Ana María to zwykła stanowa urzędniczka, której zależy tylko na tym, by jakoś zarobić na życie, i która, podobnie jak Miguelito ma gdzieś los biednych Indian. Ale to akurat nie była prawda. Ci dwoje nie mieli Indian gdzieś. Na odwrót – ogromnie, wręcz nadmiernie ich podziwiali: ich sposób życia, ich tradycje, ich rdzenną kulturę... Podziwiali ich tak bardzo, że za swoje zadanie uznali przekonanie reszty świata, by też ich bezwarunkowo podziwiał: analfabetów w zabłoconych butach, z wiązką chrustu na plecach, dziedziców tysiącletniej tradycji, użytkowników ocalonego cudem języka, potomków Cuauhtemoca i Nezahualcoyotla.

Xóchitl zaprzyjaźniła się z jedną z hafciarek, dwudziestoosmioletnią matką trzech córek: dziesięcio-, ośmio- i sześcioletniej. Kobieta nazywała się Malinalli i okazała się bardzo sympatyczna. Była jedną z najmłodszych hafciarek i Xóchitl, oddalwszy się od Any Maríi, znalazła w niej, mimo wszelkich różnic w doświadczeniach życiowych, pokrewną duszę. Myślę, że pewną dumą napawał ją fakt, że zdołała szczerze polubić biedną niepiśmienną Indiankę. Malinalli opowiadała, że wszystkie jej córki mają tego samego ojca, niejakiego Simeona, drania, który narobił jej bachorów, a potem ją rzucił. Zresztą znany był ze swojego upodobania do babek. Babkami nazywamy w Meksyku kobiety w ogóle, nie róbcie takich zdziwionych min, nie chodzi o to, że Simeonowi podobały się przedstawicielki trzeciego wieku. Przeciwnie, gustował w nastolatkach. Malinalli od dawna go nie widywała. I cieszyła się z tego, i pragnęła, by już nigdy nie wrócił, bo takiego drania to naprawdę świat jeszcze nie widział. Niemniej, mówiąc o nim, przejawiała, jak się Xóchitl wydało, pewną dumę. Ostatecznie zrobił jej trzy córki! Nazywała go draniem i zarazem za nim tęskniła. Cóż, pomyślała sobie Xóchitl, takie już jesteśmy. Istne idiotki.

Nawiązała również inne znajomości. Poznała na przykład pewnego chłopaka pochodzącego, tak jak ona, ze stolicy, farmaceutę, który pasjonował się zoologią, a szczególnie węzami, i ciągle o nich opowiadał: o rodzajach wytwarzanego przez nie jadu, o jego skutkach, o antidotach i o tym, jak rozróżnić węże groźne od niegroźnych. Czasami zaglądała do niego do apteki i wtedy chwilę gawędzili, zresztą Xóchitl lubiła tę aptekę – duże, chłodne i nieco ciemne pomieszczenie. Nawet ten mrok jej się podobał, podobnie jak panujący tam spokój, atmosfera cywilizowanego skupienia, apteczne zapachy,

woń szałwii i olejku kamforowego, lukrecji i mentolu... Czasem przychodziło jej do głowy, że gdyby Miguel Andrés zniecka ją objął i pocałował, nie stawiałaby najmniejszego oporu, jednakże chyba brakowało mu na to odwagi, chociaż przyłapywała go niekiedy na gapieniu się na jej piersi i nogi. Był wysoki, blady, miał okulary w grubych oprawkach i bardzo dystyngowany, bardzo męski wygląd – mimo swojej nieśmiałości. Xóchitl liczyła na to, że pewnego dnia zaprosi ją choćby na spacer, ale wciąż doznawała w tym względzie rozczarowań. Zaczęła się nawet zakochiwać i nocą śniła, że Miguel niesie ją na rękach między drzewami, poprzez mgłę, i całuje ją, a później kładzie na wilgotnych sosnowych igłach i całuje coraz namiętniej, i obnaża jej piersi... Śniła, że są razem w hotelu w dzielnicy Pedregal, tym samym, gdzie spotykała się ze swoim wykładowcą, i że ona leży naga na łóżku, on zaś, zamiast ją objąć, rozprawia o jadowitych wężach w Meksyku i o działaniu ich trucizny, i o antidotach, a ona nie śmie mu przerwać i powiedzieć, żeby dał sobie z tym spokój i się z nią kochał i wtedy nagle czuje straszny wstyd, że leży przed nim taka goła, podczas gdy on mówi o nauce i zoologii, więc chce się czymś okryć, by nie wyjść na bezwstydnicę, tyle że nie ma pod ręką nawet prześcieradła, niczego, co by się nadało. Niekiedy nachodziła ją ochota, by się samej podotykać: nie robiła tego od dawna, a teraz zdarzało jej się to przed zaśnięciem coraz częściej. Tak, zakochiwała się i myślała o Miguelu w najmniej odpowiednich momentach. Wiedziała jednak, że nie ma sensu zakochiwać się w mężczyźnie, którego najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczy i który w dodatku wydaje się bierny, nieśmiały, odległy i w ogóle nie bardzo zainteresowany jej osobą, więc ostatecznie się nie zakochała.

Tak nadszedł koniec jej pobytu w Pahuatlán. Wróciła do stolicy, napisała pracę, obroniła licencjat z socjologii na UNAM-ie i przestała być truskawkową dziewczyną imieniem Xóchitl: teraz była absolwentką uniwersytetu, dorosłą Xóchitl Vargas Guzmán. I jako dorosła Xóchitl Vargas Guzmán zerwała ze swoim wykładowcą, gotowym spotykać się z nią w tym hoteliku w Pedregal raz w tygodniu do końca świata, i postanowiła na jakiś czas przenieść się do Pahuatlán. Tak, wspomnienie tego miejsca jej nie opuszczało. Wspomnienie San Barros, Malinalli, jej córek, w tym najstarszej, imieniem Flor, Miguela Andresa, zapachu lukrecji w jego aptece, opowieści Miguelita, kolacji spożywanych we troje, pod wieczór, gdy Ana María wracała z pracy z kurczakiem, Miguelito przynosił skądś awokado i dwa pomidory, ona zaś, Xóchitl, dorzucała do tego butelkę gazowanego napoju albo

parę tamali kupionych na głównym placu... Wspomnienie deszczu, mgły, żółtych bezpańskich psów. Wspomnienie kwiatów, zapachu sosen Montezumy. Wspomnienie dydelfów.

Minął, nie wiem, może rok od jej pierwszej wizyty. A może dwa. Tak, postanowiła przenieść się na jakiś czas do Pahuatlán, jednakże czasem sprawy toczą się powoli. Nie pamiętam dokładnie dlaczego, ale przed wyprawą do Puebli uznała za stosowne skontaktować się z panią Marią Teresą Eloísa, znajomą Any Marii i Miguelita, który tyle o niej opowiadał, więc zadzwoniła do niej, a pani María Teresa od razu zaprosiła ją do siebie na herbatę, jak gdyby od dawna spodziewała się jej telefonu. Sądzę, że Xóchitl sama nie wiedziała, dlaczego zatelefonowała; sądzę, że to jakaś dobra siła ją ku temu popchnęła, jakaś przyjazna energia poprowadziła ją do tego domu, położonego nieopodal jej własnego, do domu, gdzie pani María Teresa przyjęła ją z miłością, jakby znała ją od zawsze, ostatecznie zamiast herbaty podała jej w glinianym kubeczku kawę, z uszkami od augustianów, i rozmawiała z nią jak ze starą przyjaciółką. Nie wiecie, co to uszka? To takie ciastka. Bardzo smaczne.

Nie wiem, co ta kobieta zobaczyła w Xóchitl. Musiała naprawdę zaglądać człowiekowi w głąb duszy. Powiedziała: musisz ogromnie uważać, gdzie stąpasz. Musisz wiedzieć, gdzie jest twój środek, tylko wtedy będziesz umiała się poruszać. Ale ty jeszcze nie znalazłaś swojego środka, kochanie, widzę, że jesteś niemal bezbronna, zbyt wystawiona na zewnątrz, zbyt otwarta. Nie rzucaj się, ot tak, w nieznane, bo to się może dla ciebie bardzo źle skończyć. Miguelito urodził się w Pahuatlán, Ana María pracuje tam od lat. Nie mówię, kochanie, że to mało szlachetne – ta twoja chęć pomagania indiańskim kobietom. My, kobiety, w ogóle jesteśmy w Meksyku obywatelami czwartej kategorii. Niemniej widzę, że zbyt wiele trzyma cię jeszcze w tym świecie, żebyś mogła przeskoczyć do tamtego. Może więcej zrobisz dla kobiet z Pahuatlán tutaj, w stolicy, niż tam, na miejscu. Nie mówię, żebyś nie jechała, kochanie, Miguelito i Ana María to wspaniali ludzie, naprawdę, ale bardzo uważaj, ucz się stopniowo, powoli, bo jeśli dasz się pożreć temu miejscu, nie pomożesz więcej nikomu, zwłaszcza samej sobie. Wojownik musi dobrze rozpoznać pole walki, kochanie, tak powiedziała Xóchitl pani María Teresa. Wojownik musi wiedzieć, kiedy ruszyć do boju, a kiedy się wycofać. Nie wolno ci też idealizować ludzi z Pahuatlán ani z San Barros. Świat Indian to żadna sielanka. Te kobiety – wszystkie – były gwałcone. Wiele z tych dzieci to

owoce gwałtu.

Xóchitl wysłuchiwała pani Maríi Teresy uważnie, lecz uwierzyła jej tylko w połowie. María Teresa nie była „wielką panią”, bo nie chciała nią być, w odróżnieniu od swoich trzech sióstr, które bogato powychodziły za mąż, wysyłały dzieci do szkół do Szwajcarii, i jeździły do Paryża po bieliznę i Bóg wie po co jeszcze. Najstarsza z sióstr miała odziedziczyć tytuł po ojcu, zostać ni mniej, ni więcej tylko hrabiną Vézelay, i szczyła się pokrewieństwem z księciem Rainierem z Monako. Nie, María Teresa nie była wielką panią i, jak opowiadała mi Xóchitl, ubierała się na sportowo, podczas swoich kursów nie bała się najgorszych warunków, spała na materacu na ziemi, nie wywyższała się i potrafiła odróżniać rzeczy ważne od głupot, a jednak, widząc jej dom w Polanco, z żelaznym ogrodzeniem dla ochrony przed brudnymi złodziejami, z ogródkiem, gdzie rosły juki i awokado, i kwitnąca pięknie bugenwilla, Xóchitl pomyślała, że ta kobieta to mimo wszystko białaska, Hiszpanka, w której żyłach tak naprawdę nie płynie meksykańska krew i która, podobnie jak Ana María, w głębi duszy głęboko pogardza Indianami. I pomyślała też, że to całe gadanie o ostrożności i rozpoznawaniu pola walki wynika z wieku i mieszczańskiego pochodzenia Maríi Teresy. Nie uwierzyła jej do końca może również dlatego, że są rzeczy, w które trudno uwierzyć, które wydają się czystym wymysłem, póki człowiek nie natknie się na nie na swojej drodze i nie odczuje ich na własnej skórze. Poza tym były jeszcze te podejrzane ezoteryczne ciągotki Maríi Teresy, wszystkie te historie z szamanami, czarownikami i nagualami, do których Xóchitl, jako rygorystyczna marksistka, odnosiła się z głęboką nieufnością, mimo że w sumie dała się Maríi Teresie oczarować i pisała o niej w listach do mnie jeszcze wiele razy, przyznając, że jest w tej kobiecie coś, co ją intryguje i co sprawia, że chciałaby ją lepiej poznać.

Tak czy owak pojechała do Pahuatlán i zamieszkała z Miguelitem i Aną Marią. Mówiła, że to tylko przejściowe, bo postara się jak najszybciej znaleźć sobie własne lokum. Ale jak, spytała Ana María, skoro nie masz roboty? Dodała, że nie ma problemu: Xóchitl może zostać z nimi w domu Miguelita, jak długo zechce. Musiałabym to usłyszeć od samego Miguelita, odrzekła Xóchitl. Miguelito lubi towarzystwo kobiet, powiedziała Ana María. W ogóle się nim nie przejmuj. On jest jak Indianin – nie potrzebuje do życia prawie niczego. Starczy mu kawałek podłogi na posłanie, parę tamali do jedzenia i trochę drewna na opał. Łazienkę zainstalował ze względu na mnie, dorzuciła.

Sam po raz pierwszy w życiu mieszka w domu z prysznicem. Chociaż, jak widzisz, nie zdecydował się na drzwi. Zresztą, my dwoje ich nie potrzebujemy. Przecież nie jesteście parą, zauważyła zaskoczona Xóchitl. Jesteśmy parą, tylko że dziwną, sprostowała Ana María, czerwieniejąc. Nie śpimy ze sobą, to prawda. Ale czasem ze sobą śpimy. O, nie wiedziałam, powiedziała Xóchitl. Miguelito złożył śluby czystości, oznajmiła Ana María. Dlatego raczej nie uprawiamy seksu. Czemu, dziwi się Xóchitl, czemu złożył śluby czystości? Taki już jest, odpowiada Ana María. Chodzi o Huiczoli. Pobyt u nich, w Nayarit, mocno na niego wpłynął. Po rozpadzie małżeństwa z Palomą kazali mu wyrzec się rozkoszy cielesnych. A może sam sobie kazał, nie wiem. Często odnoszę wrażenie, że on w gruncie rzeczy wciąż myśli i zachowuje się jak Huiczole. I że tragedią jego życia było to, że nie pozwolili mu się wtedy ożenić z tamtą huiczolską dziewczyną i stać się pełnoprawnym członkiem ich wspólnoty. Ale przecież Huiczole nie zachowują celibatu, stwierdziła Xóchitl, Miguelito sam mi opowiadał o pewnym *maarakame*, który miał dwanaście żon. To jego wewnętrzne sprawy, niezwykle skomplikowane, oświadczyła Ana María. Niełatwo to wytłumaczyć, on nawet nie próbuje, a ja nie drażę tematu. Odpowiada mi ten układ. Aż tak nie potrzebuję seksu. Oj, każdy potrzebuje seksu, zaprotestowała Xóchitl. To prawda, przyznała Ana María, ponownie się rumieniąc. Dlatego, kiedy nas przyciśnie, przez tydzień sobie folgujemy. Póki nam nie przejdzie.

I tak Xóchitl zamieszkała w Pahuatlán. Z dyplomem socjolożki bez trudu znalazła zatrudnienie w lokalnym oddziale Ministerstwa Spraw Indiańskich, przy czym, w odróżnieniu od Any Marii, która zawsze starała się oddzielać pracę od życia, ona, Xóchitl, usiłowała jak najgłębiej zanurzyć się w indiańskie tradycje. Odwiedzała kolejne wioski, kolejne społeczności, kolejne szwalnie. Wbiła sobie do głowy, że musi zorganizować zyskowną sprzedaż haftowanej przez Indianki odzieży, która z pewnością zrobiłaby furorę w butikach stołecznej Różowej Strefy, gdyby tylko odrobinę zmienić krój koszul, poszerzając tradycyjnie wąskie rękawy, albo, na przykład, rozmiar obrusów, dopasowując je do potrzeb potencjalnych eleganckich nabywczyń. Kupiła sobie pikapa, najpopularniejszy w okolicy samochód, chevroleta z drugiej albo trzeciej ręki, i jeździła nim wszędzie. Nie musiała już niszczyć butów ani tracić czasu na męczące wędrówki z Pahuatlán do San Barros, mogła wyprawiać się nawet do odległych górskich osad, a także do miasta Meksyk, jeśli zatęskniła za przyjaciółmi lub rodziną.

Jeszcze bardziej zżyła się z Malinalli i jej najstarszą córką, Flor, dwunastoletnią teraz kobietką o wielkich ciemnych oczach i ślicznym, smutnym uśmiechu. Flor tkala i haftowała z równą biegłością co jej matka, swoimi siostrami zaś zajmowała się z iście macierzyńskim oddaniem. Przejęła też obowiązki związane z wyrobem i sprzedażą donatów, dostarczających rodzinie dodatkowego dochodu. Wiecie, co to donaty, prawda? Amerykańskie *donut*. W Meksyku niektóre kobiety wyrabiają je w domu i potem sprzedają. Xóchitl obserwowała małą Flor, zamkniętą w tym nędznym świątku, który Ana María i Miguelito stroili w piórka najwznioślejszej tradycji, i czuła ogromny smutek. Te tradycje: tradycyjne zajęcia, tradycyjne chaty, tradycyjne przepisy... Flor była cicha i skryta, jak większość indiańskich dzieci, ale nie wydawała się nieszczęśliwa. Nie знаła innego życia. Jak większość indiańskich dzieci nie chodziła do szkoły. To Xóchitl nauczyła ją i jej dwie młodsze siostry, Minervę i Lucię, czytać i pisać, i liczyć. One z kolei uczyły ją piosenek w języku nahuatl i śmiały się, kiedy nie potrafiła poprawnie wymówić jakiegoś słowa. Dziwiły się, że nosi imię zaczerpnięte z języka, którego nie rozumie.

Nadeszła pora deszczowa. W Pahuatlán pada przez cały rok, lecz w lecie najbardziej. Pewnego dnia pikap Xóchitl utknął na drodze. Potok deszczówki wymył ziemię, odsłaniając kamienie okrągłe niczym prehistoryczne jaja z rzeki płynącej przez Macondo, i koło chevroleta na dobre zakleszczyło się między dwoma z nich. Xóchitl próbowała ruszyć do przodu albo się wycofać, próbowała, omal nie paląc przy tym silnika, jednakże bez skutku. Wysiadła. Usiłowała podłożyć coś pod koło, żeby łatwiej wyskoczyło z pułapki, ale daremnie. Nie pozostało jej nic innego, niż wspinać się dalej na piechotę. Wtedy zobaczyła obce auto: jadącego w dół pikapa zielonego jak sama wiosna. Auto przystanęło. W środku – sympatyczny chłopak, który przez okno pyta, co się stało, słucha całej historii, obrzuca unieruchomiony samochód Xóchitl rozumiejącym spojrzeniem i proponuje, że podwiezie ją do Pahuatlán, skąd będzie mogła wezwać pomoc drogową. Ale jechał pan przecież w drugą stronę, zauważa Xóchitl. To jedynie pięć minut, odpowiada chłopak. Zawsze to miło komuś pomóc. Dlatego Xóchitl wsiada do jego auta. Pyta chłopaka, czy jest z tych stron, a on mówi, że tak: pochodzi z Pahuatlán, tyle że przez pewien czas pracował w Morelii i takie tam. Zjeżdżają, szukając miejsca, gdzie można by zawrócić. Spotykają dwóch innych chłopaków, też młodych. Kierowca zielonego pikapa się z nimi wita. Nie, nie, protestuje Xóchitl, widząc, że tamci

pakują się do samochodu. Ja tutaj wysiądę. Robi się tłoczno. Dupa, nie wysiądziesz, rzuca kierowca. Chyba że wcześniej obciągniesz całej naszej trójce. Tamci dwaj są już w aucie. Xóchitl próbuje otworzyć drzwi i wyskoczyć, lecz przytrzymują ją za ręce. Obmacują jej piersi, rechoczą. Zadzierają jej spódnice. Wszystko potoczyło się tak szybko, że aż trudno w to uwierzyć. Xóchitl nie rozumie, skąd wziął się ten zielony pikap, czemu, do diabła, tak po prostu do niego wsiadła, i jak to się stało, że kilkaset metrów niżej czekali na zakręcie ci dwaj. Nie mogli czekać na nią, nie mogło chodzić o zasadzkę, bo przecież nikt nie wiedział, że będzie wracała do Pahuatlán akurat o tej porze ani że jej samochód gdzieś utknie. Chociaż może... Może zauważyli ją z góry? Ale w takim razie czemu ci dwaj czekali niżej? Wszystko jest takie dziwne, szybkie i absurdalne, że aż trudno zareagować. Istnieje szansa, że to żart, niezbyt udany, ale żart. Tyle że ci dwaj wciąż brutalnie przytrzymują jej ręce, żeby nie mogła otworzyć drzwi ani zaatakować kierowcy. Mogłaby krzyżeć, ale kto ją usłyszy? Na pustej górskiej drodze? Mimo to krzyczy: puszczajcie mnie, dupki! Nie przejmują się tym. Wiedzą, że nikt nie słyszy.

Kierowca znów uruchamia samochód, skręca w boczną drogę i zatrzymuje się ponownie kilkaset metrów dalej, pośród sosen. Cóż, pani socjolożko, mówi, czyli ją zna, wie, kim ona jest. Bądź grzeczną dziewczynką, obciągnij nam ładnie, to cię puścimy. Zerwali z niej spódnice i bluzkę, rzucili ją na tylne siedzenie, zostawili w majtkach i staniku. Mówili: sexy bieliznę dla nas założyłaś. Cipę sobie wyperfumowałaś. Widać się spodziewałaś, że w końcu spotkasz prawdziwego faceta, kurwo. Nazywali ją kochaniem, laleczką, gołąbkim. Nazywali ją pieprzoną kurwą. W końcu kierowca wyciąga fiuta i mówi: uspokój się, przecież cię nie zgwałcimy. Po prostu ssij. I pokazuje jej małą maczetę o mniej więcej trzydziestocentymetrowym ostrzu, i pistolet, dla postrachu. Chociaż dla nich to chyba nie był gwałt, raczej zwykła rozrywka. Więc Xóchitl obciągnęła wszystkim trzem, a później, po tym, jak dwukrotnie zwymiotowała, a oni pobili ją za ubrudzenie samochodu, kiedy myślała już, że to koniec i wreszcie zostawią ją w spokoju, kierowca powiedział: dobrze ssiesz, kurwo, zaraz widać, że jesteś ze stolicy i znasz się na tych różnych francuskich świństwach. I że cię strasznie podniecają meksykańskie ogiery. To cię jednak zgwałcimy. Xóchitl zaczęła krzyżeć, więc jej powiedzieli, że jak nie przestaniesz, kurwo, to dostaniesz wpierdol. Kierowca znów uruchomił samochód, pojechali w górę krętą, błotnistą, czerwoną drogą, wyciągnęli naga

Xóchitl z auta i zagłębili się razem z nią między drzewa. Bojąc się ciąży, poprosiła, żeby przynajmniej założyli gumki, na co zaśmiali się i oświadczyli, że prawdziwy meksykański mężczyzna nigdy nie zakłada żadnych gumek, bo to dla pedałów. Potem powiedzieli: kładź się tu, kurwo, a ona położyła się na ziemi. Nie byli szczególnie brutalni. Traktowali ją jak przedmiot, z taką samą obojętnością, z jaką traktuje się krzesła czy inne sprzęty. Słuchała się ich we wszystkim, ze strachu. Ze strachu przed ich pięściami, którymi okładali ją wcześniej w samochodzie, ze strachu przed maczetą i pistoletem, ze strachu, że ją potną albo zabiją. No i zgwałcili ją, kolejno. Jeden robił swoje, a pozostali dwaj stali obok, patrzyli i spokojnie palili, komentując i rechocząc. I zostawili ją tam, na ziemi. Nawet nie oddali jej ubrań. Musiała wrócić do Pahuatlán nago.

Coś się w niej po tym zmieniło. Gdy tylko dotarła do pierwszych domów, miejscowe kobiety dostrzegły ją i dały jej koc do okrycia. Nawet nie spytały, co się stało. Ktoś poszedł po Anę Marię, która zawiozła ją na policję, żeby zgłosić gwałt. Xóchitl opisała funkcjonariuszom trzech napastników, samochód i to, co się zdarzyło. Odczytali na głos jej zeznanie. Po drodze jej rwące się od płaczu słowa zamieniły się w biurokratyczny bełkot pełen przestarzałych, napuszonych terminów. Słuchała nieuważnie, po czym złożyła swój podpis, chociaż nie była pewna, czy wszystko dobrze zrozumiała. Po rozmowie z psycholożką znalazła się u lekarza, który zbadał ją, potwierdzając gwałt i pobicie. Ana María nie odstępowała jej na krok. Lekarz dał jej kilka kapsułek valium, żeby mogła nocą zasnąć, a potem znowu pojawiła się psycholożka. Powiedziała, że w nadchodzących dniach Xóchitl będzie dużo o tym wszystkim myśleć i że pewnie poczuje się winna, bo prawie wszystkie kobiety, które padły ofiarą napaści seksualnej, czują się winne tego, co się stało, i mają wrażenie, że albo to sprowokowały, albo w jakiś sposób na to zasłużyły. Że musi pamiętać, że to nieprawda i że ona nie ma się czego wstydić. Że postąpiła bardzo odważnie, zgłaszając się od razu na policję, choć wiele innych kobiet nie śmie tego zrobić, w przekonaniu, że nie mają prawa się skarżyć albo że zostaną wyśmiane i tylko pogorszą swoją sytuację. Że samo to zgłoszenie stanowi dobry początek. Później Xóchitl wróciła z Aną Marią do domu, wzięła długi prysznic i poszła spać. Następnego dnia udała się prosto do lekarza i poprosiła o receptę na pigułkę dzień po, żeby wykluczyć ciążę. Sama myśl, że mogłaby zajść w ciążę z którymś z tych strasznych małpoludów, przyprawiała ją o mdłości.

Wszyscy sądzili, że to koniec jej przygody z Pahuatlán, ale nie mieli racji. Sądzili, że wróci natychmiast do stolicy, ale tak się nie stało. Nie wyjechała, lecz dostała obsesji na punkcie zdobycia broni, ponieważ ciągle się bała, a poza tym usłyszała, że kobieta, której nigdy nie zgwałcono, jest bezpieczniejsza niż taka, której już się to przytrafiło. Że zgwałcone kobiety są w dziwny sposób naznaczone, jakby złamane zostało jakieś zabezpieczenie. Wszystko to powiedziała jej Ana María, która wcześniej wielokrotnie pracowała z ofiarami gwałtów. Wyjaśniła, że strach, który Xóchitl czuje, najwyraźniej jest dla potencjalnego gwałciciela czytelnym sygnałem, zwłaszcza że gwałcicielowi chodzi nie tyle o przyjemność seksualną, ile o przyjemność upokorzenia, złamania kobiety. Więc co ona, Xóchitl, miała zrobić? Przestać się bać? Pod wpływem słów Any Marii bała się jeszcze bardziej. Wszyscy jej powtarzali, że powinna wrócić do stolicy. Ale ona nie chciała wracać do stolicy. Chciała mieć broń.

Zdobycie legalnej broni nie jest w Meksyku łatwe. Meksyk to nie Stany Zjednoczone. Na policji powiedzieli: szanowna pani, nosząc broń, osiągnie pani tyle, że panią zabiją. Niech pani o tym pomyśle zapomni.

Potem stało się coś jeszcze. Malinalli pojawiła się któregoś dnia ze spuchniętą wargą i podbitymi oczami. Oświadczyła, że spadła ze schodów. Xóchitl, rzecz jasna, jej nie uwierzyła. Odbyła z nią rozmowę i powiedziała: Malinalli, ja też przez to przeszłam, rozumiem, jak to jest, możesz mi się zwierzyć. Nie mam z czego ci się zwierzać, ucięła Malinalli stanowczym tonem, który Xóchitl zaskoczył. Przecież to robota jakiegoś pieprzonego drania. Ktoś próbował cię zgwałcić. Może nawet zgwałcił. Możesz mi o tym opowiedzieć. Ale Malinalli upierała się, że nikt jej nie zgwałcił, tylko spadła ze schodów, i dorzuciła, że cokolwiek przydarzyło się Xóchitl, przydarzyło się jej dlatego, że zaplątała się w cudzy świat, a poza tym nosiła przezroczyście bluzki i podniecała w ten sposób mężczyzn, jakby nie wiedziała, że mężczyźni podniecają się sami z siebie i nie trzeba im w tym pomagać. Ta reakcja bardzo Xóchitl zdziwiła.

Nagle wszystko wydawało się jej dziwne. Nagle wszystko było nowe. Niewidzialne stawało się widzialne. Następowало przebudzenie. Zupełnie jakby te szare i żółte psy, które włóczyły się po ulicach, obgryzając gołe kolby kukurydzy i węsząc pośród śmieci, w rzeczywistości przemykały ulicami jej zmaltretowanej duszy. Zupełnie jakby czarne ptaki przysiadające na ogrodzeniach, ptaki tak czarne, że aż błękitnawe, przysiadają wprost na niej.

Zupełnie jakby chmury nad Pahuatlán i cały świat były nią, jakby były nią zrezygnowane spojrzenia Indianek. Wszystko było nią. Bruk uliczny, błoto dróg, dzikie kwiaty. Dostrzegała teraz rzeczy, których nie dostrzegała nigdy wcześniej. Przeczuwała coś wielkiego, ogromnego, jak gdyby obecność olbrzymiego bożka z gliny i lodu pochowanego w górach wokół Pahuatlán – Pahuatlán, który stanowił jedynie drobną część tego olbrzyma, jego uśmiechające się usta, jego nasłuchujące ucho. Przeczuwała coś ogromnego w samej sobie, we własnym ciele, w błocie pod swoimi stopami. Coś, co przyjmowało kształt dzięki tysiącom niezauważalnych poprzednio szczegółów. Chodziło o zapach jedzenia. Różowość chmur o zmierzchu. Woń sosen Montezумы. Skrzywienie dydelfich pazurów na aluminiowym dachu. Spojrzenia mężczyzn wystających na rogach ulic z założonymi rękami. Na co oni tak czekają? Co tak obserwują? Była też rozbita warga Malinalli, jej twarz, ze skórą jak gdyby przypłaszczoną siłą ciosów do kości, opinającą czaszkę. Duże oczy pełne abstrakcyjnych łez. Kwiaty Pahuatlán wydawały się już nie tyle wysyłanymi przez ziemię wesołymi sygnałami, ile ułudami, tak samo jak wdzięki kobiet czy męskie uśmiechy. Wszystko to było jedną wielką ułudą złożoną z błota i chmur, z ludzkich rąk i ruchliwych oczu szpiegujących pośród ceglanych domów. I wszystko to było nią, Xóchitl, wszystko się do niej odnosiło. Ta spocona kobieta zbierająca kukurydzę, w szerokim kapeluszu dla ochrony przed słońcem, z dzieckiem na plecach. Wieprz na czyimś podwórzu. Pyszczaty chłopak zerkający na nią spod oka, opętany przez pożądanie i kompleksy. *Chaquetero*, fałszywiec, pomyślała od razu i przypomniała sobie pewną piosenkę zespołu Molotov. Świetliki połyskujące w ciemności nad polami jak ledowe światełka. Mżawka, która pada, nie mocząc. Młodzież gromadząca się w piątkowe popołudnia na placykach, chłopcy z piwkami, wygadujący głupoty i obrzucający dziewczyny wulgaryzmami: „Nieźle cycki sobie zahodowałaś”. A one przestraszone, obrażone, zadowolone. Huczące fajerwerki z okazji czyichś urodzin. Zawodząca żałośnie uliczna harmonijka. Dym z jointów. Piosenki dla zakochanych. Śpiew mariachich. Płacz dzieci, ciała dziewczyn, podziw chłopaków, zielonookie cioty, dydelfy na dachach, wydry w rzece, orły pośród chmur, jaguary w gęstwinie, płacz Tlaloca ponad górami – Tlaloca, który żywi się ludzkim cierpieniem w swoim niebieskim domostwie na wysokościach; Tlaloca, który cały jest z kropli deszczu. Ale ten deszcz nie spada na góry, nie spada na Pahuatlán. Leje się krwią tego świata, moją i twoją krwią.

Powoli otwierały się w niej nowe zmysły, inne wymiary pragnienia i głodu. Flor, najstarsza córka Malinalli, zrobiła się jakaś dziwna. Bardzo utyla i ciągle jadła słodycze. Ledwie zaczęła menstruować, a już wszystkie hormony zdawała się mieć rozstrojone. Pewnego popołudnia Xóchitl zajrzała do Malinalli, która ostatnio, nie wiadomo dlaczego, nie przyjmowała jej wizyt tak chętnie jak dawniej. Przed wejściem stał jaskrawozielony pikap. Xóchitl poczuła, że wszystko się w niej skręca i że zaraz się chyba zsika. Bo oto drzwi się otwierają, i pojawia się w nich Flor, a za nią jej siostrzyczki. I Malinalli. I mężczyzna, który kilka miesięcy temu zgwałcił Xóchitl. A Malinalli mówi: to jest Simeón. A on się uśmiecha i rzuca: my się już z panią znamy, prawda, proszę pani? I wtedy Xóchitl wreszcie uświadamia sobie, co się dzieje. Uświadamia sobie, że Simeón wrócił. Uświadamia sobie, że to on ją zgwałcił – ojciec córek Malinalli. Uświadamia sobie, że mała Flor jest w ciąży. Uświadamia sobie, że Simeón zgwałcił i zapłodnił własną córkę. Przypatruje się im ze zgrozą, niezdolna się poruszyć ani przemówić. Simeón podchodzi do niej, bierze ją pod rękę i mówi: niech pani da spokój. Niech pani to zostawi. Nie ma już co drążyć. A ona czuje taki strach, że nie potrafi się odezwać. Łapa tego faceta na jej skórze – na nagiej skórze jej przedramienia! Malinalli tylko patrzy, z niedowierzaniem, bez słowa. Xóchitl wsiada do swojego pikapa, półprzymknięta, z nogami jak z waty i mroczkami przed oczami.

Jedzie na komisariat i mówi, że rozpoznała swojego gwałciciela. Że to niejaki Simeón, przebywający obecnie w San Barros, w domu kobiety imieniem Malinalli. I że są powody, by przypuszczać, że człowiek ten zgwałcił również własną córkę, która zaszła z nim w ciążę. Na dźwięk imienia Simeona policjanci patrzą po sobie i wzdychają. I pytają, czy jest pewna, że to był on – przecież w zdenerwowaniu mogła się pomylić, do tego w ciemności... W jakiej ciemności, panie oficerze, pyta Xóchitl, zagryzając wargi, by go nie zwyzywać, w jakiej ciemności, skoro to się stało za dnia? Rzuca pani bardzo poważne oskarżenie, stwierdza jeden z funkcjonariuszy. Chce pani zgłosić popełnienie przestępstwa? Już zgłosiłam, zauważa Xóchitl. Teraz mówię panom, że widziałam drania, tutaj, niedaleko, więc niech panowie jadą i go aresztują. To nie takie proste, proszę pani. Jakie ma pani dowody? Jest słowo przeciwko słowu. Doktor pobrał próbki nasienia, przypomina Xóchitl. Wystarczy ustalić DNA sprawcy, nalega. Procedura zostaje uruchomiona, czemu towarzyszą nieustanne pogroźki: nocami jakieś auta krążą wokół domu Any Marii, Simeón jeździ za Xóchitl swoim zielonym pikapem, pokazując jej

maczetę i bezgłośnie powtarzając: zarąbię cię nią, zobaczysz. Okazuje się jednak, że próbki nasienia zaginęły w laboratorium, a może są nie do użycia, wyniki okazały się niejednoznaczne... Z tym DNA to skomplikowana sprawa, próbki często ulegają uszkodzeniom. No i w ogóle zaginęły, więc laboratorium prosi o nowe, a nowych, rzecz jasna, brak. Więc jakie ma pani dowody?

Pewnego dnia na odludnej górskiej drodze zatrzymuje Xóchitl policja kryminalna. I biedna Xóchitl sika ze strachu w majtki. Dosłownie, tak jak słyszycie. Ze strachu puszczają jej zwieracze. Sika w majtki, a tamci mówią: dokumenty. I, oglądając je, dodają: niech pani da już spokój. Ten Simeón to bardzo niebezpieczny typ. Ale panowie są chyba po jego stronie, denerwuje się Xóchitl. Panowie go chronią. Niech nas pani nie obraża, ostrzega jeden z policjantów, o typowym dla funkcjonariuszy policji kryminalnej wyglądzie zabójcy albo rzeźnika. Ja zwracam się do pani jak przyjaciel. Z dobrą radą. Ten cały Simeón zadał się z płatnymi mordercami. Cokolwiek pani zrobił – to nic w porównaniu z tym, co jeszcze może zrobić. Ostatecznie nie była pani dziewczicą, jak to się stało. Nie, szepcze Xóchitl, coraz bardziej przekonana, że zaraz zostanie zgwałcona po raz kolejny. Nawet pani nie pobili, dodał policjant, taksując spojrzeniem jej usta, jej piersi, jej biodra i wyobrażając ją sobie nagą, wyobrażając sobie, jak ona ssie jego służbowego fiuta. Owszem, pobili mnie, odparła. Za to, że się pani porzygała w nowym aucie, odparował. Zniszczyła pani nowiusienką tapicerkę z baraniej skóry, droga pani. Mówił tak, a pozostali funkcjonariusze śmiali się pod wąsem. Przydarzyła się pani nieprzyjemność – i tyle. Więc proszę wracać do domu i do swoich spraw. I nie rozdrapywać tego więcej.

Prawdą było, że Simeón zwąchał się z płatnymi mordercami. Wszedł do Rodziny – kartelu narkotykowego z Michoacán, znanego jako szczególnie krwawy.

A teraz pozwólcie, że zrobię małą dygresję na temat prawa i zbrodni.

Myślę, że każdy najgorszy koszmar to w dużej mierze kwestia organizacji, biurokracji i dyscypliny. Instynktowna, dzika przemoc szybko się wyczerpuje. Skłonny do przemocy człowiek albo grupa skłonnych do przemocy ludzi może się zwyczajnie zmęczyć czy znudzić. Istoty ludzkie wymagają regularnego wypoczynku. Jedynie zhierarchizowana, podlegająca prawom i dysponująca ideologią organizacja gwarantuje koszmar na dużą skalę, okrucieństwo bez granic. Pozbawiona instytucjonalnego wsparcia i jakichś ideałów jednostka nie zajdzie daleko – ani w złym, ani w dobrym. Oczywiście to dyskusyjne.

Możecie się ze mną mnie zgadzać.

Wiodąc życie drobnego przestępcy, taki, dajmy na to, Simeón, chłopak nieco grubawy, ale atrakcyjny, w typie wyraźnie meksykańskim, śniady, ciemnowłosy, z małym, lekko orlim, niemal pozbawionym chrząstki nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi, drobnymi, zmysłowymi wargami i starannie przyciętym wąsikiem sygnalizującym męskość tak oczywistą, że aż niewymagającą dodatkowego podkreślenia, taki zatem Simeón powoli obojętnie wobec własnych ofiar, ponieważ wmawia sobie, że po prostu wykonuje swoją pracę, taką samą jak każda inna. Cokolwiek robi, robi to dla pieniędzy, a pieniądze są konieczne do życia – co do tego nie ma wątpliwości. Niemniej ludzka chciwość zawsze szuka pewnej kompensacji w postaci rzekomej pogoni za jakąś tam sprawiedliwością, gdyż człowiek nie umie żyć całkiem bez ideałów, bez wiary w coś. W przypadku Simeona te ideały to męskość, honor, odwaga. Z naciskiem na tę ostatnią, jak się zdaje. Chodzi o to, żeby być mężczyzną. A być mężczyzną znaczyć być odważnym. Mieć jaja.

To, co ofiara przeżywa jako koszmar, agresor przeżywa jako akt odwagi. Albowiem przemoc wyzwala strach nie tylko u ofiary – także u agresora. Zabójca i złodziej też się boją, podobnie jak nieszczęśnicy, którzy cierpią wskutek ich działań. Gwałciciel czy bandyta muszą być „odważni” i chociaż ich odwaga służy dokonaniu czynów godnych potępienia albo wręcz ohydnych, zdobycie się na nią sprawia, że zyskują one pewną aurę „wyczynu”. Odwagi potrzeba, by zostać bohaterem, lecz potrzeba jej również, by zostać przestępcą. Strach przed wpadką, przed więzieniem, przed porażką, przed swoim potencjalnym tchórzostwem, przed pogardą ze strony kolegów, przed krwią i własnymi odruchami w rodzaju współczucia muszą zostać zwalczone w wewnętrznym starciu, które odbywa się w psychice każdego, nawet najmniej samoświadomego i najbrutalniejszego bandyty. Również żołnierz musi nauczyć się pokonywać litość i lęk. Musi przekonać siebie samego, że jego walka jest *śluszną*, tak jak przestępca musi sobie wmówić, że jest *konieczna* – co na pierwszy rzut oka robi poważną różnicę, na drugi jednak już nie, ponieważ działanie żołnierza też nie wynika ze słuszności jego racji, lecz z konieczności słuchania rozkazów. Dlatego przestępcy organizują się na wzór wojskowy, z różnymi stopniami i komendami.

Wchodząc do Rodziny, Simeón nie ma jeszcze na sumieniu niczyjej śmierci. Jest silny, potrafi walczyć, niejednemu spuścił już porządne lanie, umie posługiwać się nożem i bronią palną, ale nikogo nie zabił. Wie, że w Rodzinie

będzie musiał splamić sobie ręce krwią, że to bezwzględny wymóg, jest jednak zdecydowany sprostać tej próbie. Zdaje sobie sprawę, że wielu nie sprostało – zabijanie nie jest łatwe. Wierzy jednak, że jemu się uda. To też kwestia wiary. Wiary w jakiś opis rzeczywistości. W tym wypadku wiary w to, że życie jest ciężkie, że to jedna wielka walka, bezwzględna i wściekła. Że jedynie silni przetrwają. Simeón nie uważa się za bezdusznego. Albo inaczej: wie, że jest bezduszny, ale uważa się za człowieka zasad. Bardzo lubi kobiety. Jest niezwykle męski. Tak męski, że wydupczył też paru koleś i pozwolił, żeby mu obciągnęło kilka ciot. Zdaje sobie sprawę, że to jego niepodważalna męskość czyni go tak atrakcyjnym dla pedałów, i od czasu do czasu daje im skorzystać ze swojego penisa, podobnie jak łaskawy Bóg udziela ludziom błogosławieństwa kukurydzy i deszczu. Pokrywa kobiety jak byk krowy: nie tylko, żeby je przelecieć, ale również żeby zapłodnić. Chce rozsiewać swoje nasienie. Czuje, że ma prawo do każdej dwunożnej samicy. Choćby pieprzył dzień w dzień, i tak mu mało. Zawsze jest napalony. Zawsze mu stoi. Jednakże przy takiej strukturze socjoegzystencjalnej jak ta, jaką obserwujemy w jego przypadku, to wieczne napalenie stanowi być może najbardziej ludzki spośród wszystkich czynników. Simeón postrzega kobiety jako waginy do penetracji i brzuchy do napompowania, bo pragnie, by jego nasienie zaludniło świat małymi Simeonami obu płci, przy czym nawet ten prymitywny instynkt w jego przypadku może być oznaką osobowości bardziej złożonej, pełniej ukształtowanej niż osobowość zwykłego *natural born killer*. Płatni mordercy to zwykle samotnicy kopulujący wyłącznie z prostytutkami. Prawdziwi sadyści nigdy nie czerpią przyjemności ze stosunku seksualnego. On natomiast potrafi być wręcz romantyczny, uwodzicielski. Wzbudza podziw wielu napotykanym kobiet. Wie, że kobiety wolą u mężczyzn agresję od łagodności; że złych chłopców przedkładają nad dobrych. Wie, że odwaga fascynuje kobietę bardziej niż cokolwiek innego; że fascynuje ją męczyzna, który się jej nie obawia, nawet jeśli prawa uwodzenia wymagają niekiedy róż czy piosenek. Wie, że kobieta może się wydawać delikatna i słaba, lecz jest stworzona do tego, by odpowiednio się otworzyć i przyjąć to, na co zasługuje i czego pragnie. Poza tym jego zdaniem ludzka samica należy się ludzkiemu samcowi od chwili, gdy jej woń wzburzy jego krew. Mężczyźni wyglądają na mocnych, lecz czują pociąg do łagodnych dziewcząt o sarnich oczach, podczas gdy te dziewczęta, na pierwszy rzut oka tak kruche, są gotowe rozłożyć nogi i wziąć w siebie twardy penis. Więc kto jest silniejszy? Kobieta radzi sobie

z penetracją i porodem. Mężczyzna, przeciwnie, ulega w ramionach kobiety unicestwieniu. Po stosunku staje się łagodny jak jeleń, podczas gdy ona wypełnia się nasieniem niby bogini kukurydzy.

Kiedy myślę o życiu Simeona, wyobrażam sobie strumień gwałtownych nerwowych impulsów, błyskawicznych, niepowiązanych ze sobą doznań. Spuścić się, zjeść, zapalić, włożyć czystą koszulę, wysrać się, powdychać zapach porannej rosy.

Szacunek szefa placu zdobył sobie bardzo szybko. Pracował głównie w Morelii i górskich wioskach Michoacán. Teren podzielony był na tak zwane place, każdy z osobnym szefem. W Rodzinie struktura władzy jest przejrzysta, ale co ważniejsi szefowie często pozostają nieznanymi szeregowym członkom. Ci z góry znają tych z dołu, lecz nie odwrotnie. Dyskrecja to podstawa. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Spotkania wysokich rangą zwierzchników odbywają się w pośpiechu i bez rozgłosu. Niedobrze jest pokazywać się razem. Simeón zaczął pracować dla niejakiego don Facunda Avalosa Monegala, ale poza tym nic nie wiedział o strukturze organizacyjnej Rodziny i przez kolejne lata niewiele się dowiedział. Swego szefa nigdy nie widział na oczy i słyszał tylko, że don Facundo mieszka w pałacu otoczonym szarym betonowym murem pod napięciem, strzeżonym przez armię uzbrojonych mężczyzn.

Jego pierwsze zadanie polegało po prostu na obserwacji, kto wjeżdża do pewnej wioski w górach Michoacán i kto z niej wyjeżdża. Łatwa robota, bez ryzyka, bez komplikacji. Simeón był spokojny, choć ciut rozczarowany. Spodziewał się przygody, a czuł jak funkcjonariusz drogówki. Drogówka zresztą dogadywała się z Rodziną, żeby unikać w takich sytuacjach wzajemnego wchodzenia sobie w paradę. Simeón zatrzymywał więc kolejne auta i prosił kierowców o dokumenty. Jeśli chodziło o kogoś znajomego, to go przepuszczał; jeśli nie – przez telefon komórkowy przekazywał dalej jego dane. Ludzie przywykli już do takich rzeczy, toteż zazwyczaj nie było problemów. Niektórzy srali ze strachu pod siebie, innym puszczały nerwy i wtedy należało stanowczo zadziałać, lecz większość, doskonale wytresowana, zachowywała spokój. Czasem jakiś ojciec rodziny albo turysta zaczynał się ciskać i dopytywał, czy są z policji czy nie, kiedy indziej ten czy tamten, przerażony, usiłował minąć ich bez zatrzymania i wtedy należało stanowczo zadziałać, zatrzymać takie auto i spuścić delikwentowi lanie, ale nie za mocne, tylko w ramach nauczki, przy czym nie zdarzało się to często,

gdyż w przygotowywanych przez rząd materiałach informacyjnych wyraźnie tłumaczono, co trzeba zrobić w razie kontroli drogowej – czy to policyjnej, czy wojskowej, czy zorganizowanej przez którąś z grup zbrojnych. Raz pewna dziewczyna, jakaś dziennikarka telewizyjna z Morelii próbowała robić im zdjęcia swoim malutkim aparatem i któryś z chłopaków kazał jej wysiąść z samochodu, zaprowadził ją za pobliskie ogrodzenie, zdjął pasek i sprzął ją sprzączką, za co dostał naganę od szefostwa, ponieważ takie zachowanie było zakazane: szkodziło na morale innym chłopakom i psuło publiczny wizerunek organizacji. W podobnej sytuacji należało skonfiskować aparat albo tylko *memory card*, co najwyżej przeszukać pasażerów auta i odesłać wszystkich tam, skąd się wzięli. Bezsensowna przemoc i jakiegokolwiek wybryki były surowo zabronione. Kiedyś jednemu z chłopaków oberwało się za to, że zrobił „świńskie kopytko” facetowi, który się stawiał i nie chciał się wylegitymować. Facet musiał uważać się za prawdziwego waśniaka, bo inaczej trudno zrozumieć, czemu zadzierał z płatnymi zabójcami. A „świńskie kopytko” to wiecie: wykręcasz komuś rękę do tyłu, żeby go unieruchomić. Simeón obserwował to wszystko, uczył się, kalkulował. Próbował nie przeginać w żadną stronę: nie chować ogona pod siebie, ale i nie chojrakować. Trzymać się środka stawki – pewnie wiecie, o co mi chodzi. Nie wychylać się, stać zawsze krok z tyłu, zawsze w pogotowiu, ale nie w podskokach. Zakładam, że już wtedy rozumiał, że w tym zawodzie liczą się przede wszystkim spokój i rozsądek.

Ci, którzy wchodzili do Rodziny, odbywali coś w rodzaju szkolenia, co mocno zaskoczyło Simeona, nawykłego do wolnoamerykanki. W trakcie specjalnych pogadań tłumaczono im, że powinni traktować ludzi najlepiej, jak się da, i że nie wolno im nadużywać siły. Pogadań tych były dwa rodzaje: z zakresu rozwoju osobistego oraz ogólnego uświadomienia. Te pierwsze prowadzono niemalże w duchu New Age, zachęcając członków organizacji do samorozwoju oraz do tego, by cenili samych siebie, a także swoją nową Rodzinę, której winni są absolutną lojalność. Te drugie dotyczyły konieczności zachowania umiaru: zapał był mile widziany, jednakże należało wystrzegać się arogancji, przypadkowych strzelanin, zabijania ludzi na prawo i lewo czy wręcz jazdy autem z nadmierną prędkością albo po pijaku. Należało w miarę możliwości przestrzegać prawa, nie zwracać na siebie uwagi, zachowywać dyscyplinę. Nie wolno też było bez pozwolenia handlować narkotykami. Oczywiście, niektórzy towarzysze Simeona mieli

pozwolenie i trzaskali na boku niezłą kasę. Choć pensję dostawali nie do pogardzenia: dwa i pół tysiąca peso tygodniowo. Plus trzy tysiące peso od trupa. Jeżeli, rzecz jasna, zachodziła konieczność sprzątnięcia kogoś. Wtedy wskazywano im obiekt, a oni odnajdywali go i uśmiercali. Zazwyczaj dwoma strzałami: jednym w korpus i drugim, dla pewności, w głowę. Szefostwo miało świadomość, że Simeón nikogo jeszcze nie zabił, i wciąż nie zlecało mu takich zadań, co najwyżej wyznaczając go na szofera. Czasem, jeśli nie dało się zlokalizować wskazanego obiektu, wybierało się jakiegoś turystę albo murarza, masakrowało i zgarniało premię za niego.

Jednakże Simeón nadal nie był płatnym zabójcą, ciągle nie przeszedł chrztu bojowego, rytualnej próby, która pokazywała szefostwu, że delikwent się sprawdził, jemu zaś zapewniała dożywotnie członkostwo w potężnej organizacji, Rodzinie ważniejszej niż rodzina. Takie próby, zwane też treningami, odbywały się zwykle w głębi michoacańskich gór, w opuszczonym gospodarstwie nieopodal wzniesienia o nazwie Jesús del Monte – tam płatni zabójcy stawali się płatnymi zabójcami. Jechali w to miejsce jako chłopcy, a wracali jako mężczyźni. Jechali jako słabiaki, a wracali jako poważni goście. Niektórzy nie potrafili sobie poradzić i kończyli w piachu albo w korycie z jedzeniem dla świń. Trudno było się wywinąć, jeśli zaszło się aż tak daleko. Należało wykazać się wolą i odwagą. Nieliczni w ostatniej chwili pękali. Wiedzieli, co ich czeka. A jednak nie mogli.

Treningiem Simeona zajął się niejaki Alisio Montero, alias Chipotle, jeden z szefów z Morelii. Podobno przez lata służył tam w policji, powoli wchodząc w coraz mocniejsze związki z Rodziną. Dobre układy z policją, podobnie jak z władzą wykonawczą i sądowniczą, stanowiły podstawę działania organizacji, więc Alisio Montero, dzięki swoim kontaktom i przyjaźniom z moreliańską elitą, prędko w Rodzinie awansował. Był niski i silny, miał zimny wzrok i mało mówił. Na pierwszy rzut oka nie robił większego wrażenia, nie wydawał się zdolny nawet do połowy z tego, co mu przypisywano. Wyglądał na szeregowego płatnego mordercę. Patrząc na niego, nikt by nie powiedział, że był kiedyś policjantem, nosił mundur i chadzał na kolacje z burmistrzami i radnymi ani że potrafił wydłubać człowiekowi oko bez uszkodzenia nerwu wzrokowego, tak że nieszczęśnik mógł się samemu widzieć – bo i taka krążyła o nim legenda. Ten właśnie Alisio Montero najpierw wygłosił im krótką, najwyżej piętnastominutową pogadankę. Powiedział, że muszą się przyzwyczaić do krwi i wyzbyć strachu. Że na

początku może ich to trochę kosztować, ale zaraz nauczą się bez zastanowienia robić co trzeba. Że nie wolno ulegać nerwom, bo nerwy to najgorszy kanał: sprawiają, że mężczyzna zamienia się w płacznego smarkacza i szybko trafia do piachu. Panujcie nad nerwami, powiedział Alisio Montero. Módlcie się do Świętej Śmierci. Albo do Najświętszej Panienki z Guadalupe. Albo do mamy. Wszystko jedno. Może się zdarzyć, że za pierwszym razem skrewicie. Nie przejmujcie się tym. Każdemu się zdarza. Jesteśmy tutaj, żeby was wspierać. Oddychajcie głęboko. Bardzo głęboko. To pomaga. Z nerwów nigdy nic dobrego nie wynika. Zachowajcie zimną krew.

Potem wyszli wszyscy na podwórze ocienione przez kilka wielkich wiązków. Pod wiązkami klęczało jakichś dwudziestu mężczyzn, nagich albo ubranych tylko w gacie, związanych i zakneblowanych. Korony drzew zasłaniały całą scenę przed satelitami, chociaż, prawdę mówiąc, satelity zwisały Rodzinie i powiewały: góry gwarantowały bezkarność, bo nikt, nawet wojsko, nie odważyłby się zapuszczać w te strony. Chipotle oznajmił, że ci mężczyźni pod wiązkami muszą zostać straceni. Za donosicielstwo albo za to, że nie wywiązali się ze swoich obowiązków lub nie pospłacali długów. Tak czy owak należało z nimi skończyć. Byli dziwnie spokojni, jak zazwyczaj zwierzęta prowadzone na rzeź. Wiedzieli, że umrą, ale nie szarpali się ani nie płakali, choć Simeón zwrócił uwagę, że paru się posikało i że dookoła cuchnie gównem.

Zabijanie jest proste, oświadczył Chipotle. Ilu z was, spytał, już zabijało? Podniosło się kilka rąk. Ktoś powiedział, że zabił dotychczas trzy osoby: dwóch mężczyzn i kobietę. Chipotle chciał wiedzieć – jak. Nożem, odparł zapytany. Poderżnąłem im gardła. Poćwiczymy i z nożami, i z bronią palną, rzucił Chipotle. Strzelamy w głowę albo w pierś. Łatwiej w głowę, bo żeby w pierś, to trzeba wiedzieć, gdzie jest serce, i jak się pomylisz, to delikwent przeżyje. Podszedł do jednego ze związanych i złapał go za włosy. Mężczyzna zaczął płakać i zacisnął powieki. Chyba się modlił, mimo że z ustami zaklejonymi szarą taśmą nie mógł mówić. Chipotle wyjął zza paska pistolet, odbezpieczył go i przycisnął lufę do piersi tamtego. To za donosicielstwo, powiedział, i za skurwysyństwo. Strzelił, mężczyzna mocno drgnął i znieruchomiał, wciąż przytrzymywany przez zabójcę za włosy. Chipotle puścił go i ciało osunęło się na ziemię. Mówimy im zawsze, za co giną, i dopiero później ich zabijamy, wyjaśnił Chipotle. Następnie poprosił, żeby zgłaszać się na ochotnika do kolejnych egzekucji. Kiedy przyszła jego kolej,

Simeón stwierdził, że jest bardzo spokojny i że ręka mu nie drży. Chipotle spytał: jak się nazywasz? Simeón Sánchez Sepúlveda, proszę pana. No to już, ponaglił go Chipotle, wręczając mu broń. Simeón skierował się ku jednemu z tamtych, bardzo grubemu. Stał nad nim i oznajmił: teraz cię zabiję. Nie mazgaj się i umrzyj jak mężczyzna. Nawet go nie dotknął. Przytknął mu pistolet do czoła i nacisnął spust. Później, gdy odsunął się na bok, zauważył, że kolana lekko mu dygocą, a w głowie trochę się kręci. Odetchnął głęboko, zgodnie z zaleceniem, i pomodlił się do Świętej Śmierci, żeby nie zwymiotować. Paru chłopakom się to przydarzyło – musieli sobie ulżyć. Przecież ledwie zaczęliśmy, mruknął Chipotle, a pozostali szefowie się śmiali, wiedząc, co będzie dalej. Kilku chłopaków było bladych jak ściana.

Zabili wszystkich, jednego po drugim, część z pistoletu, część nożem. Simeón sądził, że to koniec próby i że wszyscy ją przeszli, lecz prawdziwa próba dopiero się zaczynała. Teraz będzie trudniej, zapowiedział Chipotle. Ale nie pękajcie, za pierwszym razem ci niedobrze, potem się przyzwyczajasz. To tylko krew. Musicie się z nią oswoić, i tyle. Trzeba rozczłonkować te, powiedzmy, tusze, żeby kucharz mógł je potem ugotować i w ten sposób pozbyć się ich bez śladu. To ważne, bo jeśli nie ma ciała, nie ma zbrodni, A jeśli nie ma zbrodni, nikt nie idzie do pierdła. Pokażę wam, jak to się robi. Później spróbujecie sami.

Demonstracji dokonał na jednym z trupów. Przy pomocy jednego z chłopaków ułożył zwłoki na czymś w rodzaju stołu stolarskiego. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, posługiwał się nie maczetą czy siekierą, lecz zwykłym rzeźnickim nożem o mniej więcej trzydziestocentymetrowym ostrzu. Pokażę wam, że przy odrobinie wprawy to naprawdę łatwe i szybkie, powiedział. Nie chcąc pobrudzić sobie markowej koszulki i włoskich butów, przewiązał się plastikowym fartuchem, który zakrywał go od podbródka po czubki palców, i przystąpił do krojenia. Odciął głowę, ręce i nogi, które następnie przepołowił w łokciach i kolanach, później otworzył jamę brzuszną, wyjął wnętrzności, pokroił na kawałki klatkę piersiową. Ciało zamieniło się w stertę krwawych ochłapów, podobnych do tego, co widuje się w rzeźni lub sklepie mięsnym. W sumie trwało to jakies trzy minuty. Trzy intensywne minuty ciężkiej pracy, gdyż kości i stawy ustępowały niechętnie. Dookoła cuchnęło krwią i gównem, owady już zaczynały się zlatywać.

Niektórzy z chłopaków byli śmiertelnie bladzi, część rzygała. Simeón

poczuł, że i jemu wymioty podchodzą do gardła. Powiedział więc sobie: spokój, Simeonie, spokój, oddychaj głęboko, stary, musisz przejść tę próbę. Później kroili sami. Chipotle podpowiadał im, co robić, powtarzał, żeby się nie denerwowali, bo to przecież tylko mięso, tylko krew. W ten sposób Simeón nauczył się rozczłonkować zwłoki. Nauczył się też, że to zaskakująco proste. Chipotle uwiął się z tym w trzy minuty. On – w dziesięć. Kawały mięsa przenosiło się potem do kuchni, gdzie stały ogromne kotły, w których tak zwany kucharz gotował je, by następnie dać do zjedzenia świniom albo po prostu gdzieś zakopać. Takie resztki były nie do zidentyfikowania. Zostawały jedynie kości, ale czasami i te mielono na proszek. I nie zostawało już nic.

W ten sposób Simeón został płatnym mordercą. Zobojętniał na krew, podobnie jak obojętnieją na nią chirurdzy, rzeźnicy i lekarze sądowi. Teraz sam potrafił rozczłonkować ciało potężnego mężczyzny w kilka minut. Przekonał samego siebie, że to jedynie mięso, materia nieożywiona, ciało i kości. Najgorsze były zapachy, zwłaszcza przy rozkrawaniu brzucha, i – u grubasów – widok wyłazącego spod skóry ohydneho, żółtawego, błyszczącego sadła, niemniej stopniowo uczył się nad sobą panować.

Dobrze mu było w Rodzinie. Życie płatnego mordercy nie polega na nieustannym zabijaniu. Wręcz przeciwnie. Przez większość czasu nie robi się nic. Tylko się czeka. Albo obserwuje czyjś dom. Kogoś śledzi. Wozi się coś w góry. I przywozi coś z powrotem. Czasem trzeba doręczyć w środku nocy przesyłkę. Przerzucić pełną kasy walizkę z jednego końca stanu na drugi. Jedynie z rzadka działo się coś poważnego, co wymagało użycia broni. Jakaś strzelanina. Urowadzenie. Egzekucja. Przesłuchanie. Wtedy pojawiała się przemoc – zwykle krótka, precyzyjnie wymierzona, wydajna. Zdarzały się wszakże chwile szaleństwa, pozwalające uruchomić wyobraźnię. Zwłaszcza przy torturach. Przy czym Simeón nie należał do tych, którzy się tym rozkoszowali. Jeśli trzeba było coś takiego zrobić, wykonywał polecenia. Wszystkie, bez wyjątku. Jeśli trzeba było obciąć komuś opuszki palców, to mu je obcinał, lecz nie dla rozrywki i nie z własnej inicjatywy. Nie miał oporów, nie miał ograniczeń. A jeśli nawet je miał, to nigdy ich nie poznał. Gdyby kazali mu zgwałcić własną matkę, z pewnością by ją zgwałcił. Był żołnierzem. Był płatnym mordercą.

Nie pytajcie, w jaki sposób Xóchitl dowiedziała się wszystkich tych rzeczy o tym typie. Dostała na jego punkcie obsesji. Przypuszczam, że podpytywała to

tu, to tam – mało co się między ludźmi ukryje. Choć przy okazji można oczywiście usłyszeć mnóstwo wymysłów. Zmyślać wielka podnieta, jak powiada poeta.

Simeón tymczasem żył po swojemu. Po tym, jak zgwałcił Flor, swoją najstarszą córkę, zgwałcił zaledwie dziesięcioletnią Minervę. Xóchitl nie odwiedzała już Malinalli, która zresztą nie życzyłaby sobie jej wizyt, ale dowiedziała się o wszystkim od innych kobiet. Że Simeón zrobił małej krzywdę. Że aż krwawiła.

Właśnie wtedy Xóchitl postanawia, że skończy z tym draniem. Skoro policja i wymiar sprawiedliwości się nim nie zajmą, zajmie się nim ona. Wyprawia się do stolicy i zdobywa pozwolenie na broń. Kupuje rewolwer, gdyż powiedziano jej, że rewolwery są najpewniejsze, i uczy się strzelać. Uczy się ładowania, odbezpieczania, właściwego uchwytu i kontroli odrzutu, godzinami nie opuszcza strzelnicy. Uświadamia sobie, że celowanie z rewolweru nie jest łatwe i że z odległości większej niż sześć czy siedem metrów trafienie do celu będzie kwestią przypadku. Uświadamia sobie, że dostanie tylko jedną szansę i że jeśli chce Simeona zabić, nie może się zawahać ani na moment i musi znaleźć się bardzo blisko. Wyobraża sobie, jak przed nim stoi, unosi broń i strzela – raz, dwa, trzy, cztery razy, aż w końcu, gdy facet leży już na ziemi, dobija go strzałem w głowę. Wyobraża to sobie tysiąc razy. Na strzelnicy widzi Simeona zamiast tarczy. Nie zakłada nauszników ochronnych, żeby przyzwyczać się do huków i nie przeżyć szoku, kiedy zacznie strzelać naprawdę. Stopniowo dochodzi jednak do wniosku, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Bo nawet w wyobraźni ma opory: unosi broń, a Simeón patrzy na nią tymi swoimi ciemnymi, błyszczącymi oczkami dydelfa, taki z pozoru niewinny z tą swoją ładną twarzą i zmysłowymi wargami... Stoi przed nią nieruchomo, ona zaś próbuje pociągnąć za spust, lecz jakiś głos w jej głowie powtarza: nie możesz tego zrobić, nie możesz zastrzelić człowieka. Próbuje pociągnąć za spust, usunąć tę ohydną gębę ze świata żywych, choćby wyłącznie w wyobraźni, ale przychodzi jej to z trudem. A Simeón się do niej uśmiecha, najpierw lekko, potem od ucha do ucha. A ona myśli: teraz, skurwysynu, zobaczysz. I wciąż się waha.

Wraca do Pahuatlán, gdzie od dłuższego czasu mija się na ulicach ze swoim gwałcicielem. Hartuje się wewnętrznie albo tylko powtarza sobie, że musi się wewnętrznie zahartować. Planuje go otruć. Planuje go upić i spalić w jego własnym domu. A on pewnego dnia znika. Ma robotę w Morelii. Nie wraca

przez trzy miesiące. Xóchitl myśli już nawet, że może z czasem pogodzi się z tym, co zaszło. Usiłuje przekonać Malinalli, że powinny zawieźć Flor do stolicy, na aborcję. Malinalli, jako zagorzała katoliczka, mówi, że to grzech, że tak nie wolno. Xóchitl argumentuje, że dzieci poczęte z kazirodztwa często rodzą się zdeformowane, upośledzone, i Malinalli obraża się na nią tak, jakby ją wyzwała. W końcu jednak zabiera córkę do znachorki gdzieś w górach. I dziewczynka umiera.

Wyobraźcie sobie jej pogrzeb. Moknącą w deszczu białą trumnę, kwiaty, dziurę w ziemi, księdza mruczącego jakieś słowa. Płaczącą Malinalli z młodszymi córkami w ramionach – wszystkie odświętnie ubrane. Małą trumnę spuszczaną do grobu. Deszcz obmywający wszystko, jakby w skazanej na porażkę próbie oczyszczenia świata z grzechów i bólu.

To jest dla Xóchitl koniec.

Mijają trzy miesiące, a może sześć, i Simeón wciąż się nie pokazuje. Ale pewnego dnia wraca. Żeby zobaczyć się ze swoją żoneczką, jak mówi, choć diabeł wie, ile takich żoneczek ma rozsianych po świecie. I Malinalli znowu chodzi maltretowana: z rozciętą wargą, z rozbitą brwią. To właśnie lubi Simeón najbardziej: zabijać, ćwiartować ciała, gwałcić dziewczynki i bić kobiety. Wrócił lepszym samochodem, trochę przytył. Zdaje się, że awansował. Dobrze mu się powodzi, ma kasę. Nosi markowe ubrania, wciąż nowe buty. Dokładnie się goli. Starannie przycina wąsik. Przechwala się przed kolegami, że zarabia teraz trzy tysiące peso na tydzień. Oczywiście kolegów połyskują zawiścią, chociaż opowieści o tym, co Simeón musi za te trzy tysiące robić, przyprawiają wszystkich o zgrozę. Kupuje do domu telewizor i wiesza w drzwiach kłódki, ponieważ twierdzi, że w okolicy nie jest bezpiecznie. Któregoś dnia Malinalli z córkami wyprawiają się do sąsiedniej wioski na chrzciny – wystrojone w odświętne sukienki, ze wstążkami we włosach, w najlepszych butach, które rzadko wkładają, żeby ich nie zniszczyć. Simeón zostaje sam w domu, pije piwo i ogląda sport w telewizji. Wtedy Xóchitl puka do jego drzwi. Słyszy głos, który pyta – kto to? Xóchitl odpowiada: Xóchitl Vargas Guzmán, socjolożka. Simeón otwiera. Jest bez spodni, w zielonej koszulce, szarych bokserkach i czarnych skarpetach. Trzyma w dłoni piwo Bohemia. Czym mogę pani służyć? Bo widzi pani, mam, jak to się mówi, pracy potąd. Xóchitl rzuca: przyniosłam butelkę tequili. Że niby, dziwi się on, mamy się razem napić? Chce pani zawrzeć pokój? Może i tak, odpowiada ona. Da mi pan szansę? To zapraszam, on odsuwa się na bok. Żeby

nie było, że Simeón nie jest człowiekiem pokoju. Xóchitl wchodzi do środka. W telewizji transmitują wyścigi motocyklowe z Michoacán. Prowadzi Libio Arrostari, młodziak z Querétaro. Simeón otwiera butelkę i nalewa tequili do dwóch szklanek. Siada na stojącym przed telewizorem equipalu – rustykalnym drewnianym fotelu obitym świńską skórą. Xóchitl siada na krześle. Simeón mówi: no to zdrowie. I wychyla szklankę jednym haustem. Xóchitl robi to samo. Simeón polewa znowu. I jeszcze. A później rzuca: teraz ściągnij to wdzianko, wściekła kurwo, bo za chwilę dam ci to, po co tu przyszłaś. Xóchitl dygoce, dygoce na całym ciele. Nie umie się ruszyć. Nie umie podnieść się z krzesła, za bardzo się trzęsie. Simeón wstaje. I natychmiast upada. Co się dzieje, pyta, co mi zrobiłaś, pieprzona dziwko? Usiłuje się dźwignąć, jednakże ledwie może wyciągnąć ręce w stronę Xóchitl. Opiłeś się jadu koralówki, oznajmia Xóchitl. Wkrótce umrzesz, Simeonie. On już nie jest w stanie się odezwać. Mięśnie też go nie słuchają. Chcę, żebyś pomyślał o tym, dlaczego umrzesz. Umrzesz za karę. Za te wszystkie rzeczy, które zrobiłeś. Za te, o których wiem, i za te, o których wiesz jedynie ty. Umrzesz za to, co zrobiłeś mnie, za to, co zrobiłeś Malinalli, za to, co zrobiłeś Minervie i, przede wszystkim, za to, co zrobiłeś małej Flor. Simeón dyszy na podłodze, niezdolny się ruszyć, niezdolny mówić. A Xóchitl wychodzi wtedy na dwór, powłócząc nogami, mimo antidotum, które wstrzyknęła sobie przed godziną. Wyjmuje z samochodu kanister z benzyną, rozlewa ją wewnątrz domu – na łóżko, na ubrania i ciało leżącego na ziemi mężczyzny. Zamyka drzwi na obie kłódki zainstalowane przez samego Simeona – wcześniej dorobiła sobie klucze. Spryskuje benzyną ściany, chlusta znowu do wnętrza przez zakratowane okienko. Nikt jej nie widzi, zasłoniętej gęsto plecionym płótem wysokości rosłego mężczyzny. Kiedy jednak wraca do auta po kolejny kanister, dostrzega w drzwiach sąsiednich domów kilka kobiet. W oknach twarzyczki dzieci. Patrzą, jak ona, Xóchitl, taszczy czterolitrowy kanister z benzyną, i nic nie mówią, nie próbują jej zatrzymać. Zapala zapałkę i wrzuca ją przez okienko do środka. Czeka kilka sekund. Nic się nie dzieje, Wrzuca następną zapałkę. Czeka chwilę i słyszy, jak ogień ściera się z powietrzem, i czuje zapach palonej benzyny. W końcu widzi blask.

Parę minut później domek stoi w płomieniach.

W lokalnej prasie piszą o tym tak: „Jedna osoba zginęła w pożarze domu w osadzie San Pablito, indiańskiej enklawie nieopodal Pahuatlán w stanie Puebla. Pożar wybuchł wczesnym popołudniem ostatniej niedzieli.

Najprawdopodobniej chodzi o mafijne porachunki, ponieważ zmarły, Simeón Sánchez Sepúlveda, był płatnym mordercą w służbie michoacańskiej Rodziny. Wedle innej wersji do fatalnego w skutkach wypadku mogło dojść przy smażeniu donatów na rozgrzonym oleju, czym trudniła się rodzina ofiary. Wedle raportu sporządzonego przez Wydział Bezpieczeństwa Publicznego w Pahuatlán dom zajął się ogniem około godziny piętnastej osiemnaście. Stosowne zeznania złożyła Malinalli Serrano Bello, dwudziestodwuletnia partnerka zmarłego, w czasie pożaru przebywająca wraz z córkami na chrzcinach w Tlualco. Zwęglone zwłoki przewieziono do kostnicy o godzinie osiemnastej. Spalony dom składał się z dwóch niewielkich pomieszczeń i położony był na uboczu osady San Pablito, w tej jej części, którą określa się mianem San Barros. Mieszkańcy tej niezbyt bezpiecznej okolicy zamykają swoje domy na kłódki, co zapewne uniemożliwiło Simeonowi Sanchezowi Sepulvedzie sprawne wydostanie się na zewnątrz. Po godzinie na miejscu tragicznego zdarzenia zjawily się jednostki Bohaterskiej Straży Pożarnej: wóz numer 2002 wraz motopompą 337. Przybyły też siły porządkowe z Pahuatlán, jednak nic dało się już zrobić”.

Począwszy od tego momentu życie Xóchitl zamienia się w koszmar. Rodzina z Michoacán nie godzi się tak łatwo na to, by bezkarnie likwidowano jej członków. Przyjeżdżają do San Barros, żeby sprawdzić, co zaszło. Rozmawiają z policją, z którą zawsze mają doskonałe stosunki, i dowiadują się, że nie przeprowadzono żadnego dochodzenia, albowiem od początku zakładano, że to wewnętrzne sprawy Rodziny, więc nie należy się w nie mieszać. Przyjaźń i współpraca: ja się nie wtrącam, ty się nie wtrącasz i wszyscy żyjemy szczęśliwie. Tyle że Rodzina nie ma z tym, co się stało, nic wspólnego. Simeón był w organizacji ceniony, dlatego trzeba ustalić, co się wydarzyło i kto za tym stoi. Wysłannicy Rodziny pytają policjantów, czy ich towarzysz miał w osadzie jakichś wrogów, a funkcjonariuszom w ogóle nie przychodzi do głowy, żeby wspomnieć o Xóchitl. Nie, o ile wiemy, to nie. Wszystko to jest bardzo dziwne. Płatni mordercy jadą do San Barros i rozpytują ludzi. Sąsiadów. Ale nikt nic nie widział. Jak to możliwe, mówią płatni mordercy, spalił się dom z człowiekiem w środku i nikt nic nie widział? Jak tylko dostrzeżliśmy ogień, wezwaliśmy straż pożarną, zapewniają najbliżsi sąsiedzi. Zobaczyliśmy płomienie, drzwi były zamknięte na kłódkę, nie dało się ich otworzyć. Strażacy też nic nie poradzili. Wszystko stało się bardzo szybko. Jednakże płatni mordercy nie muszą już o nic więcej pytać ani niczego

więcej sprawdzać, gdyż Malinalli opowiada im, co zaszło. Mówi: to taka dziwka ze stolicy, z Ministerstwa Spraw Indian, to ona mi go zabiła. Podaje im jej imię, adres, wszystko. Początkowo jej nie wierzą. Myślą, że Malinalli chce przy okazji zemścić się za coś innego. Nie mieści im się w głowie, że dziewczyna ze stolicy, świeża absolwentka uniwersytetu, mogłaby tak po prostu zabić wytrenowanego, uzbrojonego mężczyznę. Jak niby tego dokonała? Przecież nie da się, ot tak, oblać czyjś domu benzyną i rzucić zapalniczkę. Sekcja zwłok wykazuje, że nieboszczyk pił przed śmiercią alkohol, lecz, jakimś cudem, nie wykazuje w jego organizmie trucizny. Przy czym taka dawka alkoholu nie pozbawiłaby dorosłego mężczyzny przytomności. Niemniej Malinalli zaklina się, że to Xóchitl: że czegoś Simeonowi zadała, aby go oszołomić, po czym go spaliła, spaliła go razem z domem, pozbawiając je, Malinalli i jej córki, mężczyzny i dachu nad głową, więc ona, Malinalli, straciła ostatnio i córkę, i mężczyznę, i dom, więc niech oni, płatni mordercy, załatwią Xóchitl, najlepiej niech ją zamęczą na śmierć. Ale w jaki sposób ta cała Xóchitl dostała się do tego domu, skąd wzięła odwagę, żeby zmierzyć się z mężczyzną, który zgwałcił ją i pobił, nie tak zresztą dawno, jak zdołała pozbawić go przytomności i jeszcze zdobyć się na podłożenie ognia? Rozważają możliwość, że kogoś do tego wynajęła, lecz to też się kupy nie trzyma: pracujący z Indianami społecznicy nie uciekają się zwykle do pomocy mafii, żeby krwawo rozprawiać się z wrogami. To wszystko bez sensu. Poza tym Malinalli nie było wtedy w domu, nie widziała, co się właściwie stało. Chyba że sąsiedzi coś jednak zauważyli i jej o tym donieśli. Czy zauważyli, żeby tamta kobieta kręciła się koło domu Malinalli? Tak, zauważyli. Zmowa milczenia zostaje w końcu przerwana. Sąsiadki w końcu zaczynają mówić. Tamtego popołudnia socjolożka zaparkowała obok, a później wyjęła z auta kanister z benzyną, znów weszła do domu, potem wyszła i odjechała, i wkrótce wybuchł ogień. Jednakże płatni mordercy nadal nie dowierzają. Może nie chcą przyjąć do wiadomości, że jakaś tam dziewczuszka umiała zabić jednego z nich, jakby rozdeptywała robaka. Podejrzewają kobiety z San Barros o kłamstwo albo o zwykłe rozpowszechnianie plotek. Mimo to zaczynają Xóchitl obserwować. Potwierdzają się informacje o gwałcie, o złożonym na policji doniesieniu, o prośbie o broń. Teraz cała ta historia zaczyna nabierać sensu.

I to naprawdę jest koniec. Czarne samochody płatnych morderców pojawiają się w okolicznych górach, przystają za ogrodzeniami, czają się

w cieniu sosen Montezumy, pilnują domu Miguelita i Any Maríi, jeżdżą za Xóchitl wszędzie. Nie pakując się nawet, Xóchitl bierze broń, wsiada do pikapa, pędem wraca do stolicy i zamyka się w rodzinnym domu. Początkowo nikomu nic nie mówi i rodzice nie rozumieją, co się z nią dzieje. Myślą, że ma depresję. Matka próbuje z nią rozmawiać i pyta, czy w Pahuatlán przydarzyło się jej coś złego, na co Xóchitl odpowiada, że tak, że przydarzyło się jej coś bardzo złego. Matka pyta, czy została zgwałcona, a ona mówi, że tak, że jakiś czas temu zgwałciło ją trzech mężczyzn. Ale że to nie wszystko. Teraz i jej rodzice budzą się ze snu. I dla nich niewidzialne staje się widzialne. Xóchitl dzwoni do pani Maríi Teresy i pyta, czy mogłaby ją zaprosić do siebie, bo musi z nią porozmawiać o czymś bardzo poważnym. María Teresa się zjawia i Xóchitl opowiada jej o tym, co zaszło. Ze wszelkimi szczegółami, jak nikomu innemu. María Teresa jest przerażona, chyba jeszcze bardziej przerażona niż sama Xóchitl. Mówi: słuchaj, kochanie, teraz musimy się zastanowić, jak cię stąd wydostać, wywieźć gdzieś daleko i utrzymać przy życiu. Najpierw powinnaś opowiedzieć resztę tej historii rodzicom. Mają prawo wiedzieć, co się dzieje, jako że im też grozi niebezpieczeństwo. Poza tym nie wolno ci opuszczać tego domu. Bo tamci cię porwą z ulicy i zabiją. Xóchitl oznajmia, że dom jest pod obserwacją. Czarne samochody parkują nieopodal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Musimy się zastanowić, jak cię stąd wydostać, powtarza María Teresa, i wywieźć w jakieś bezpieczne miejsce. Bezpieczne miejsce? Mam rodzinę w Meridzie, mówi Xóchitl, mogę się u nich zatrzymać. Nie, nie, skarbie, protestuje María Teresa, w Meridzie też nie będziesz bezpieczna. Musisz wyjechać z Meksyku. Do Stanów Zjednoczonych albo do Europy. I María Teresa pyta, czy Xóchitl ma przyjaciół za granicą. Tak, ma kuzynkę studiującą na Harvardzie *business administration*, wuja w Holandii oraz jakichś krewnych w Madrycie. Tyle że właśnie u rodziny będą jej przecież szukać. Dlatego postanawia lecieć do Los Angeles, gdzie nikt jej nie zna i ona nie zna nikogo.

Sposób, w jaki wydostaje się z domu rodziców, jest jak z powieści Roberta Bolaña, opowiada nam Óscar. Xóchitl wyprawia wielką imprezę, balangę, którą sąsiedzi będą wspominać przez lata: zaprasza na weekend wszystkich kolegów ze studiów, w sumie jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób razem z narzeczonymi i kuzynami oraz kuzynkami, a także narzeczonymi kuzynów oraz kuzynek. To zupełne szaleństwo. Jedzą w ogrodzie, kąpią się w basenie. Chodzą w kostiumach kąpielowych, tańczą, palą kolorowe

lampiony. Grillują, mają namiot taki jak na weselach, ba, organizują piñatę. I tak aż do poniedziałkowego popołudnia, kiedy ostatni goście się rozjeżdżają. Ci, co pilnują domu, mają masę roboty. Tylu ludzi naraz, są nawet mariachi z placu Garibaldiego. Ludzie wchodzą i wychodzą: mariachi, goście, obsługa. Nie wychodzi jedynie Xóchitl. A jednak, gdy impreza się kończy, Xóchitl nie ma już w domu. W pewnym momencie się wymknęła i jest teraz w Los Angeles, w Kalifornii.

Ale, pyta Rosana, jak się wymknęła?

Przebrała się, dorzucam, za mariachiego? Weszło ich czterech, a wyszło pięciu – jeden z doklejonymi wąsami?

To by było niezłe, uznał Óscar. Tak, naprawdę niezłe. Ale nie, nie tak to wyglądało.

No więc jak, dopytywała Rosana, tłumiąc ziewanie.

Xóchitl wydostała się z ogrodu przez specjalnie wykopany tunel, powiedział Óscar. Kopanie trwało tydzień. Zabrała ze sobą tylko niewielki plecak ze zmianą odzieży, paszportem i kopertą pełną dolarów. Wyszła na powierzchnię na sąsiedniej przecznicy, gdzie czekał na nią samochód.

Zdumiałem się: tunel? Specjalnie wykopany? Jak to w ogóle możliwe?

Możliwe, zapewnił Óscar. Trudne, wyczerpujące, ale możliwe. Nie mogła po prostu przeskoczyć ogrodzenia na tyłach ogrodu, bo by ją zobaczyli. Nie wiedzieliśmy, ilu ich się tam kręci.

Ale dałoby się coś takiego przygotować w tydzień?

Nie wiem, bracie, faktem jest, że im się udało. Zresztą to był bardzo wąski tunel i Xóchitl musiała się czołgać. Kiedy wydostała się na zewnątrz, była cała czarna od ziemi. Miała nawet dżdżownice we włosach.

A kto czekał na nią w samochodzie, chciała wiedzieć Rosana, która, mimo że ziewała, wciąż przysłuchiwała się z uwagą.

Dobry przyjaciel, rzucił Óscar i puścił do nas oko.

To Óscar prowadził tamto auto, odezwała się wtedy Brenda. To on wywiózł Xóchitl na lotnisko. Roberto B. też tam był. Obaj umierali ze strachu w tym samochodzie, z zapalonym silnikiem, paląc lucky striki i popijając johnniego walkera. Dwaj poeci w akcji – stały motyw meksykańskiej literatury!

Owszem, to było niezłe, przyznał Roberto B, spuszczać oczy, jakby nagle zawstydzony na wspomnienie tak heroicznych czynów.

Ten tutaj zrobił się całkiem zielony, zupełnie jak limonka, powiedział

Óscar, wskazując przyjaciela. Powtarzał tylko: Óscar, Oscarku, tym razem to chyba przegięliśmy. I tak w kółko. Raz za razem. Chilijski cykor.

A ten tutaj zaczął recytować Thomasa Stearna Eliota, żeby jakoś rozładować nerwy, zaśmiał się Roberto B. Czekaliśmy na Xóchitl, a on recytował: *April is the cruellest month, breeding lilacs out of the wet land, mixing memory and desire...* ²

Nie żeby rozładować nerwy, tylko żeby nie słuchać tego twojego „tym razem to chyba przegięliśmy”, „tym razem to chyba przegięliśmy”...

A potem pojawiła się Xóchitl. Wyglądała jak kobieta jaskiniowców, cała umorusana. Wsiadła, a ja powiedziałem Oscarowi, żeby nie spidował, żeby prowadził normalnie, bez pośpiechu.

To prawda, stary. A Xóchitl pytała: czemu on gada po angielsku? A Robercik jej na to: recytuje T.S. Eliota.

Czyli raz ją już uratowaliście, stwierdziłem. I dlatego teraz zamierzacie ją uratować znowu.

Od tego są przyjaciele, zauważył Óscar. Czyż nie?

No patrz, powiedział Roberto B.

No ba, dodałem ja.

1. *Barro* (hiszp.) – błoto. [↵](#)

2. „Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Płodzi/Bzy z martwej ziemi, miesza/Pamięć i żądę...”
Fragment *Ziemi jałowej* T.S. Eliota w przekładzie Adama Pomorskiego. [↵](#)

Druga wyprawa. Odkrywamy Spichlerz

Następnego ranka, w dzień wyprawy, Wade przyszedł do mnie i powiedział, że dobrze się zastanowił i że mogę mieć rację. I że dlatego postanowił odłożyć poszukiwania Łąki na później, teraz zaś poprowadzić naszą wyprawę – jako najlepszy z nas wszystkich tropiciel. Powiedział też, że najprawdopodobniej faktycznie nie odnajdzie Łąki ten, kto stawia przed sobą taki cel, i że jeśli jemu, Wade’owi, sądzone jest jeszcze tam trafić, to bez wątpienia trafi tam, bez względu na to, jaką drogę wybierze.

Tym razem nie będę się rozwodził nad szczegółami naszej wędrówki. Myślę, że dość już mieliśmy drzew i roślin, owadów i ptaków, mokradeł i pajaków, zbroczy i wąwozów. Zresztą, co za różnica, czy opowie się o tym, że szło nam się trudno albo że napotkaliśmy takie lub inne egzotyczne cudo, czy się o tym nie opowie? Zaraz na początku, dla przykładu, zobaczyliśmy pod sklepieniem z liści małą kapucynkę z ledwie tygodniowym, mniej więcej, małąpiątkiem wczepionym w bujną sierść na jej brzuchu. Zwierzęta znajdowały się jakieś dziesięć metrów nad nami i ktoś podniósł łuk, żeby spróbować je upolować. Wtedy jednak doktor Suttiś zawołał „Stop!”, bardzo głośno i wyraźnie.

– Nie strzela się do matek z dziećmi – oświadczył.

Małpka z małąpiątkiem powędrowała dalej i w ten sposób oboje uratowali życie.

Doktor Suttiś musiał dopiero co przekroczyć trzydziestkę, wykładał literaturę angielską na Uniwersytecie Kalkuty i uchodził za wybitnego znawcę twórczości Samuela W. Coleridge’a oraz, jakże odeń różnego, Williama Wordswortha. Poza tym uwielbiał grać w krykieta i śpiewać swoim przyjemnym tenorem tradycyjne pieśni indyjskie oraz irlandzkie ballady. Był bardzo śniady, niezbyt wysoki, miał okrągłą twarz przyozdobioną delikatnym, starannie przystrzyżonym wąsikiem. Należał do tego rodzaju wykształconych

i wyrafinowanych ludzi, którzy są zarazem niezwykle ciepli i mili. Pobrali się z Wradźawalą zaledwie przed czterema laty i, jak wyznał mi podczas jednego z postojów, bardzo kochał swoją żonę, dla której gotowy był umrzeć, a nawet zabić. Zawsze stronił od przemocy, wielbił dawnych poetów, a zapach książek, jak mi powiedział, zapach gumy arabskiej i chińskiego tuszu lubił jeszcze bardziej niż woń róż. Teraz jednak czuł się tak zdesperowany, że aż gotów na wszystko. Mówił mi to, nie przestając się uprzejmie uśmiechać i lekko kiwając głową – tym często spotykanym u Hindusów ruchem, dla ludzi Zachodu o tyle zaskakującym, że jakby zniewieściałym. W drobniutkim i subtelnym doktorze Suttiśu, wielbicieleu poetów jezior, nie było wszakże nic zniewieściałego.

Są takie chwile, takie pojedyncze gesty, które zdają się ukazywać nam kogoś w pełnym świetle. Okrzyk: „Stop!”, ratujący kapucynkę i jej młode, oraz stanowcze oświadczenie, że „nie strzela się do matek z dziećmi”, odegrały właśnie taką rolę.

Wystarczy, iż powiem, że ślady pozostawione przez naszych prześladowców zawiodły nas na znany nam już płaskowyż – rozległą, skąpo zadrzewioną mesetę prowadzącą ku skalnej ścianie, która opadała pionowo w dolinę, gdzie widzieliśmy błękitnego człowieka, i że kilka kilometrów przed tą ścianą trop, dotąd bez trudu odnajdywany przez Wade’a, rozdzielił się na trzy: jeden podążał dalej na południe, drugi skręcał na południowy zachód, a trzeci na południowy wschód. Wyglądało na to, że i my musimy się rozdzielić, więc z naszej małej armii wyodrębniły się trzy grupy.

Zostało postanowione, że każda z nich musi mieć przywódcę w osobie kogoś, kto znałby się na tropieniu albo przynajmniej dobrze orientowałby się na wyspie. Jedyne myśliwymi wśród nas byli Wade i Jimmy Bruëll, toteż zdecydowano, że Wade poprowadzi pierwszą z grup na południowy zachód, Jimmy zaś drugą – na południowy wschód. Joseph miał pójść z trzecią na południe, zapewne do Doliny Błękitnego Człowieka, którą znał tak dobrze, jak tylko dało się na wyspie cokolwiek poznać. Ja, pragnąc towarzyszyć Rosanie w poszukiwaniach Syry, dołączyłem do grupy wybranej przez nią, czyli do grupy Wade’a, na którą składali się też Roberto B., Óscar Panero, Joaquín, doktor Suttiś, Lizzy i Lily Whittfield.

Wystarczy, iż powiem, że trzeciego dnia marszu, a drugiego po tym, jak się rozdzieliliśmy, dotarliśmy do rajsko zielonej doliny, gdzie wody jakiejś rzeki opływały mnogość wysepek, połyskując między nimi ze szczególną

intensywnością. W tej podmokłej dolinie Wade ostatecznie zgubił ślad, którym się kierowaliśmy. Podniosły się głosy, że powinniśmy zawrócić, lecz Wade przekonywał, że trzeba iść dalej, bo może gdy grunt się podniesie, znów natrafimy na tamten trop.

W ten sposób znaleźliśmy się w okolicy, gdzie z gołej ziemi sterczały czerwone kamienie.

Teren podnosił się i opadał. Góry wnętrza wyspy zostawały po naszej lewej stronie. Stożek wulkanu, jak zwykle, tonął w chmurach. Dlaczego górskie szczyty tak bardzo przyciągają chmury? Z pewnością istnieje jakieś naukowe wyjaśnienie tego zjawiska. Nawet niewysokie wierzchołki często zwieńczone bywają skłębioną ćmą – i to także w porach czy klimatach całkiem suchych. Zupełnie jakby góra wypączkowała z siebie tę obłoczną masę albo jakby ta ostatnia trwale zaczepiła się o skalisty czubek. Obserwowałem to w wielu różnych miejscach na świecie i nieodmiennie fascynuje mnie widok morza chmur wiszących nad granią, czasem zaś zsuwających się w dół zbocza tak powolną, że wręcz nieruchomą falą, lub też widok odosobnionego wzniesienia, nad którym nawet w wietrzne dni unosi się przejrzysty, niemal niewidoczny opar, niby przyklejona do czyjejś głowy falista czupryna, nigdy nieznikający, a jeśli nawet – to natychmiast zastępowany przez inny, także zrodzony na pozór z niczego. To samo działo się więc ze stożkiem wulkanu, którego nigdy nie widziałem w całości odsłoniętego, pozostając w związku z tym nieświadom jego pełnego kształtu.

Co chwila zerkałem w niebo, jednakże nigdzie nie dostrzegałem latającego spodka czy też chmury, którą zwykliśmy tak nazywać.

Końcówka czwartego dnia przyniosła nową niespodziankę. Wędrowaliśmy doliną pełną wulkanicznych czerwonych skał, bez wątplenia stanowiących pozostałość po rzece lawy wypłutej przez wulkan i spływającej w dół ku morzu, kiedy zauważyliśmy przed sobą wyraźnie widoczną pośród kamieni metalową klapę, jakiej spodziewałby się człowiek, dajmy na to, na okręcie podwodnym. Była chyba w dobrym stanie, a otwierało się ją za pomocą grubej korby. Na jednej ze ścian betonowego bloku, w którym ją umieszczono, widniał wypukły symbol SIAR-u. Po dłuższej chwili udało nam się przekręcić korbę i unieść ciężkie okrągłe drzwiczki. Brud, pył i błoto pokrywały wszystko grubą warstwą – najwyraźniej od bardzo dawna nikt nie otwierał tych „wrót do wnętrza Ziemi”. Wpadliśmy na pomysł, że to może schron z czasów drugiej wojny światowej. Ale tutaj? Na środku tej wyspy?

Kiedy wreszcie zdołaliśmy się uporać z klapą, zajrzeliśmy w głąb otwierającego się pod nią szybu, nie śmiejąc zejść na dół po zamocowanych w jednej ze ścian metalowych obręczach.

Wade krzyknął: jest tam kto? Ktoś mnie słyszy? Nikt, rzecz jasna, nie odpowiedział. Wade oświadczył, że lepiej nie ryzykować i nie schodzić, ponieważ widać, że od dawna nikt tej klapy nie otwierał, a zatem tych, których szukamy, na dole nie ma. Tyle że wszyscy pragnęliśmy sprawdzić, kto tam jest. Jak mogliśmy zignorować podobne znalezisko? Jak oprzeć się pokusie? Nie dało się wykluczyć, że natrafimy na spichlerz pełen jedzenia albo na świetnie wyposażony arsenał.

– To pułapka – rzucił Wade z trudną do określenia miną wyrażającą obrzydzenie albo strach. – Ta wyspa obfituje w pułapki. Nie chce, żebyśmy szli dalej. Chce nas zatrzymać, czymś zająć. Nie powinniśmy tam schodzić. Naszych dzieci tam nie ma. Ani porwanych kobiet.

Mimo to postanowiliśmy zejść. Po prostu sprawdzić, o co chodzi, i ruszyć w dalszą drogę.

Na dole znaleźliśmy to, co później przywykliśmy nazywać Spichlerzem: rodzaj podziemnej stacji, położonej na głębokości jakichś pięćdziesięciu metrów. Stacja ta składała się z kilku wykutych w skale pomieszczeń, w których dwudziestoosobowa grupa spokojnie przeżyłaby cały rok bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. Zastanawialiśmy się, czemu konstruktorzy Spichlerza umieścili go tak głęboko pod ziemią. Wątpię, by gdziekolwiek na świecie urządzano takie schrony.

Spichlerz składał się z czterech części, połączonych długimi kamiennymi korytarzami: z kuchni, sypialni, biblioteki i centrum dowodzenia. Ku naszemu zaskoczeniu wszędzie działało światło.

W kuchni odkryliśmy masę jedzenia. Wszystkie puszki i inne opakowania były przeterminowane, ale zaraz się okazało, że bynajmniej się nie zepsuły. Oto nagle mieliśmy zapasy ryżu, oliwy, chleba tostowego, makaronu, sosu pomidorowego, herbatników, zup, soczewicy, ciecierzycy, dżemu z gujawy, mleka skondensowanego i w proszku, szynki, przepiórek, potrawki z kury, tuńczyka, sardynek w oleju, marynowanych małży, różnego rodzaju fasoli, sosu ostrygowego, keczupu, sosu tamaryndowego, kuskusu, brzoskwini w syropie, ananasów w syropie, musztardy Dijon, solonych śledzi, soku truskawkowego, pomarańczowego, grejpfrutowego, brzoskwiniowego i marakujowego, rodzynek, ciastek z morelą, wieprzowiny, sosu bolońskiego, pulpetów w sosie,

ravioli z mięsem, ricotty, grzybów i dyni w sosie marinara, pesto, sosu cztery sery, sosu pieczarkowego, mięsa w galarecie, korniszonów, cebulek, papryki, groszku, owoców morza, pasztetu z wątróbki wieprzowej, masy kakaowej z orzechami, kakao w proszku, kawy, herbaty, rumianku, nie wspominając już o whisky, wódce, brandy, rumie, armaniaku, tokaju, jerezie, czerwonym porto, coca-coli i innych napojach gazowanych, cukrze, soli, pieprzu, mące pszennej i kukurydzianej na gofry i różne wypieki ani o wielu innych rzeczach. Muszę wyznać, że pierwsze, co zrobiliśmy tamtego wieczoru, to przygotowaliśmy sobie obfitą kolację przy kuchennym stole – tak wielkim, że swobodnie mogłoby przy nim zasiadać dwadzieścia pięć osób. Sądzę, że nigdy nie jadłem nic lepszego niż to, co przyrządziliśmy sobie wtedy z zawartości przeterminowanych puszek znalezionych w Spichlerzu. Wszyscy strasznie się opchaliśmy i mnie było później niedobrze, inni zaś cierpieli na niestrawność albo wręcz wymiotowali. Nie wydaje mi się, żeby zaszkodziło nam samo jedzenie, chodziło raczej o jego nadmiar i o to, że nasze żołądki odwykły od tak ciężkich pokarmów.

Pozostałe części Spichlerza początkowo nie wzbudziły w nas aż takiego zainteresowania, niemniej najadłszy się, zaczęliśmy je zwiedzać coraz bardziej zaciekawieni. Na przykład w części sypialnianej czekała nas przyjemność niemal porównywalna do niedawnych rozkoszy kulinarnych: ku naszemu zachwytowi prysznic z ciepłą wodą działały równie dobrze jak elektryczność. Znaleźliśmy też papier toaletowy, szampony, mydło w płynie, krem do golenia i żyletki, dezodoranty i inne zdobycze cywilizacji, i wkrótce wszyscy staliśmy nago pod prysznicami, pokrzykując z radości, gdy strugi gorącej wody spływały nam po ciele, i rozkoszując się pachnącą pianą. Łazienki były dwie: męska i damska, lecz ja czułem się tak szczęśliwy, że wzięwszy niekończący się prysznic w tej pierwszej, odwiedziłem tę drugą, gdzie zastałem Lily, Lizzy i Rosanę, każdą w swojej kabinie, w kłębach gęstej pary. Wszystkie trzy zawołały, żebym sobie poszedł, ale zaraz zapomniały o wstydzie, który nigdy nie odgrywał wśród dzikich zbyt dużej roli.

Po kolacji i kąpieli poczuliśmy się niemal jak nowo narodzeni. Ruszyliśmy więc na obchód reszty Spichlerza. Biblioteka liczyła chyba ze dwadzieścia pięć tysięcy tomów, poustawianych na dębowych regałach nieco ponaddwumetrowej wysokości, zajmujących szeregami wielką okrągłą salę z łukowatym sklepieniem, na którym wymalowano mapę nieba z gwiazdozbiorami symbolizowanymi przez zwierzęta i mitologiczne postaci

dające im nazwy. Na środku tej sali stał prostokątny stół na sześciu nogach, z zielonymi lampkami, takimi jak te w amerykańskich bibliotekach. Było tam też, w kątach, kilka wygodnych sof i foteli. Zacząłem przechadzać się między regałami, pośród książek, z których większość oprawiono w skórę, tak jak to kiedyś praktykowano w bibliotekach i publicznych, i prywatnych. Wziąłem jeden z tomów na chybił trafił i okazało się, że to biografia Antona Brucknera. Nazwalibyście to przypadkiem? Nie znałem tej biografii – napisanej przez niejakiego Andrew Mungera, zbliżającej się do pięciuset stron i, jak się zdawało, starannie udokumentowanej. Poza tym natrafiłem na tomiki poezji, podręcznik pszczelarstwa, opracowania z zakresu rzeźby greckiej, prawa i inżynierii, greckich i łacińskich klasyków oraz inne biografie. Znalazłem całą półkę poświęconą Stalinowi. Gdzie indziej stały atlasy historyczne, kilka egzemplarzy *Państwa Bożego* świętego Augustyna, albumy, dzieła zebrane Josepha Conrada, *Podróżnik* La Porte'a, książki o zoologii, anatomii i numizmatyce. Roberto B. i Óscar szybko przepadli w tym labiryncie, a ich podniecone, pełne zaskoczenia głosy rozbrzmiewały coraz dalej i dalej.

Co do centrum dowodzenia – na jego umeblowanie składały się głównie stoły zastawione aparaturą, której przeznaczenie i sposób działania nam umykały. Przypuszczaliśmy, że są to między innymi nadajniki i odbiorniki radiowe oraz wzmacniacze sygnału i konsolety mikserskie. Tak, wydawało nam się wtedy, że wszystkie te ustrojstwa służą do komunikowania się ze światem zewnętrznym, co na wyspie nie było przecież łatwe. Część z nich miała sferyczne szklane ekrany, podobne do tych, jakie widuje się na filmach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Niektóre natomiast nie przypominały w ogóle niczego. Na ścianie w głębi tego prostokątnego, położonego nieco wyżej niż inne pomieszczenia, znajdowało się jakichś czterdzieści ekranów telewizyjnych. Znak SIAR-u widniał wszędzie: na grubych instrukcjach obsługi, na metalowych podpórkach ekranów, na oparciach plastikowych krzeseł...

Po kilku nieudanych próbach, odkrywszy wreszcie panel z masą powyłączanych guzików, zdołaliśmy uruchomić część urządzeń na stołach oraz kilka ekranów, które pokazywały czarno-białe obrazy kiepskiej jakości, pochodzące zapewne z kamer wideo zainstalowanych w jakichś źle oświetlonych miejscach.

Robert B., Óscar i doktor Suttiś zostali w bibliotece, olśnieni przechowywanymi tam białymi krukami, Lily Whittfield i Lizzy zabrały się do

inwentaryzacji zapasów z kuchni, toteż w centrum dowodzenia przebywaliśmy jedynie Rosana, Joaquín, Wade i ja.

Na jednym z monitorów widać było plac zabaw nad jakąś wodą: zjeżdżalnię, karuzelę i huśtawkę. Kilkoro dzieci w wieku od czterech do dziesięciu lat bawiło się po okiem matek i opiekunek. Lily powiedziała, że ten plac zabaw znajduje się w San Francisco i że ten cień na wodzie z prawej strony to Golden Gate.

Na innym monitorze widać było południowoazjatyckie pole ryżowe, może położone na jakiejś wyspie w Indonezji. Kobiety i mężczyźni, półnaczy, w szerokich słomkowych kapeluszach, pracowali po kostki w wodzie. Obok na grzbiecie bawoła wodnego siedział mniej więcej dziesięcioletni chłopczyk.

Na jeszcze innym widać było naszą osadę. Dym z ogniska i kilka chat, część z nich w ruinie. Nigdzie żywej duszy.

Na jeszcze innym – pomieszczenie podobne do tego, w którym się znajdowaliśmy, z pięciorgiem czy sześciorgiem ludzi w białych fartuchach. Wszyscy oni patrzyli w tym samym kierunku, jedni na stojąco, drudzy na siedząco – być może oglądali telewizję.

Na jeszcze innym wyświetlał się Gabinet Ovalny w Białym Domu lub przynajmniej jego dokładna replika. W tym akurat momencie przy prezydenckim stole nikt nie siedział i tylko sprzątaczką odkurzała dywan.

Na jeszcze innym – coś jakby dziecięcy obóz letni. Wszystkie dzieci były w kostiumach kąpielowych i stojąc na brzegu rzeki, słuchały instruktora w wojskowym ubraniu.

Na jeszcze innym jakaś kobieta rozbierała się w swoim pokoju. Zdjęła sukienkę i w samej bieliźnie zaczęła krążyć po pomieszczeniu, to pojawiając się w kadrze, to znikając; cały czas paliła papierosa.

Na jeszcze innym leciał czarno-biały film z Myszka Miki. Potem zastąpiły go skecze Bustera Keatona.

Na jeszcze innym było otoczone drutem kolczastym pole. Pilnowało go kilku uzbrojonych mężczyzn. Mieli na sobie mundury maskujące. Ktoś palił. Krajobraz kojarzył się z naszą wyspą. W głębi rosły palmy.

Na jeszcze innym ciągnął się podziemny tunel słabo oświetlony lampami u kamiennego stropu.

Na jeszcze innym w czyjejś sypialni stało ogromne małżeńskie łóżko z dwiema nocnymi lampkami po obu stronach. Rosana, widząc to, wydała krótki okrzyk i zaraz wyjaśniła, że to przecież jej sypialnia w Madrycie. Bez

dwóch zdań. Zagłówek łóżka, które kupiła w brukselskim sklepie z antykami, sama kazała obić indyjską tkaniną ze wzorem przedstawiającym Krysznę pośród gopi.

Na jeszcze innym nad basenem w ogrodzie opalała się na leżaku mniej więcej czterdziestoletnia kobieta, nieopodal zaś kilkoro dzieci bawiło się szlauchem z wodą.

Na jeszcze innym widać było celę albo podobny do celi pokój. Po jednej stronie znajdował się metalowy stół, po drugiej stała prycza. W głębi straszył sedes bez klapy. Na pryczy leżała kobieta w czymś w rodzaju pizamy, z długimi blond włosami zebranymi na karku. Inna kobieta, ubrana podobnie, siedziała przy stole i jadła jogurt łyżeczką wprost z opakowania. Usiłowaliśmy stwierdzić, czy któraś z tych kobiet jest nam znana, ale nie rozpoznaliśmy ani jednej, ani drugiej.

Na jeszcze innym pysznił się duży, jasny salon z wykładziną na podłodze, pomalowanymi na biało drewnianymi meblami w stylu królowej Anny i kwiecistymi zasłonami. Do kogo mógł należeć? Gdzie się znajdował? Na którym kontynencie?

Gdzie indziej, na drewnianym ganku starego domu w wyplatanych fotelach siedziały dwie kobiety ubrane w sari. Doktor Suttiś powiedział, że to dom jego rodziców w Kalkucie. Jedna z kobiet była jego matką, a druga – jej siostrą, która mieszkała u niej od śmierci swego męża. Dostrzegłem, że w żółtawych oczach małego doktora zalśniły łzy. Wszystko to wydawało mi się niemożliwe, niepojęte. Niemniej doktor Suttiś zapewniał, że, owszem, to jego rodzinny dom, a ta pani po lewej stronie to jego matka. Czy człowiek może nie rozpoznać własnej matki?

Gdzie indziej widać było kolejną sypialnię, urządzoną z akcentami żeglarskimi: wyłożoną ciemnym drewnem, z wiszącym na jednej ze ścian obrazem wyobrażającym okręt rozkołysany na falach i z zabytkowym mosiężnym kompasem. Na półce nad łóżkiem stały rzędem książki oraz kilka szklanych flakoników wypełnionych białymi muszelkami zebranymi na plaży. To była sypialnia w moim domu w Oakland. Moja sypialnia. I ktoś spał w moim łóżku. Dwie postacie leżały spokojnie w mojej pościeli.

– To moja sypialnia! – zawołałem. – Moje łóżko, moja sypialnia, mój dom w Oakland!

– W twoim łóżku ktoś leży – zauważyła Rosana. – Ktoś ma klucze do twojego domu?

– Martha, pani od sprzątanania – odparłem, z fascynacją wpatrując się w ekran. – Tylko ona.

Ci, którzy wcześniej zostali w bibliotece, zjawili się, zwabieni naszymi okrzykami, i sami zaczęli oglądać sceny na ekranach.

Niektóre szybko się zmieniały, a wtedy w prawym górnym rogu monitora pojawiał się numer odpowiedniej kamery. Moja sypialnia prędko ustąpiła miejsca innej, a potem jeszcze innej, później jakimś salonowi i znowu czyjejś sypialni, aż w końcu na ekranie znów wyświetlił się mój pokój z tamtymi dwiema osobami wciąż w tych samych pozycjach.

– Wszystko to pułapka – mruczał Wade, rozglądając się podejrzliwie dookoła. – Powinniśmy się stąd jak najszybciej zabierać. Upakować do plecaków, co tylko się zmieści, i w drogę.

– Dlaczego twierdzisz, że to pułapka? – spytała Rosana. – Na czym miałyby polegać?

– Na tym, żeby nie pozwolić nam iść dalej. Odwieść nas od pierwotnego zamiaru.

Byliśmy wszyscy jak zahipnotyzowani. Rosana przyglądała się swojej sypialni, ja obserwowałem swoją. Doktor Suttiś uznał, że jedna z kobiet z celi to jego żona. Tyle że obraz ciągle się zmieniał i ekran pokazywał teraz nie Wradżawalę, lecz Lilawati. Z Glorią Griffin. W innej celi przebywały Alphée oraz Di Di. Na innym monitorze zamajaczyły zagubione pośród dżungli hinduskie świątynie, gdzie więzili nas partyzanci. Nie mogłem na nie patrzeć bez drżenia. Wyraźnie widać było schody prowadzące do wejścia do głównego budynku, tego, gdzie nas przetrzymywano.

– Nie, John – powiedział Wade. – To nie jest ten kompleks, w którym byłeś.

– A mnie się wydaje, że owszem – odparłem.

– Mylisz się – upierał się Wade. – To nie jest ta bezimienna wyspa. To Farber w stanie Connecticut. I świątynie, które zbudowałem. Ale nie chcę na nie patrzeć. Nie chcę patrzeć na te smutne, czarno-białe, niewyraźne obrazy z mojej smutnej, niewyraźnej przeszłości.

– Jesteś pewien? – spytałem. – Że to Connecticut?

– W stu procentach – odrzekł.

Wtedy okrzyki wznosić zaczął Óscar Panero. Na jednym z ekranów zobaczył pokój z łóżkiem i masą półek z książkami. Na łóżkiem, w miejscu, gdzie normalnie wisiałby plakat Madonny albo zdjęcie Prince'a czy Silvia Rodrigueza, przyczepiona była wielka czarno-biała fotografia Jamesa Joyce'a.

– To mój pokój u rodziców! – wołał Óscar. – Tylko gdzie, u diabła, zamontowana jest ta kamera? I kto ją tam zamontował?

– Dawaj, stary – rzucił Roberto B. – Wyteż wyobraźnię.

– Niech no tylko Brendita się dowie! – jęknął Óscar, chwytając się za głowę. – Co też się w tym łóżku działo!

W tym momencie do widocznego na ekranie pokoju weszła kobieta: przecięła go na ukos, zamknęła okno i zaciągnęła zasłony.

– To moja mama – oznajmił Óscar. – Codziennie tak wietrzy.

– Czyli obserwują nas od lat – powiedziałem. – Śledzą, co robimy, z kim sypiamy, jakie czytamy książki, co jemy... Kim oni są?

– Nie wiemy, od jak dawna nas obserwują – zaprotestował Óscar. – Dlaczego mówisz, że od lat? Przecież tego nie wiemy.

– A spróbuj sobie wyobrazić, że to trwa od naszych narodzin – zaproponowałem. – Że życie każdego z nas zostało dokładnie przestudiowane, od początku znajdując się pod lupą.

Joaquín, który od dłuższej chwili przeszukiwał regały w głębi pomieszczenia, zbliżył się do nas z błyszczącymi oczami. Znalazł kilka kaset wideo, którymi teraz z tajemniczą miną wymachiwał nam przed nosem.

– To filmy instruktażowe SIAR-u – oświadczył. – Patrzcie, są opisane jako „Film instruktażowy 1”, „Film instruktażowy 2” i tak dalej...

– Powinniśmy je obejrzeć – zawyrokował Wade, sięgając po jedną z nich i przyglądając się widniejącemu na okładce, znanemu nam już logo z lwem i kozą grającymi w szachy. – Może zawierają jakieś przydatne informacje.

Teraz i on dał się złapać, pomyślałem. Oparł się pokusie choćby złudnego powrotu do domu i do świątyń, które wznosił w Connecticut własnymi rękami, ale próby z kasetami już nie przeszedł.

– Jest tu kilka odtwarzaczy wideo – poinformował Joaquín. – Zdaje się, że nawet działają.

Ruszyliśmy wszyscy w głąb sali, gdzie stało kilka urządzeń służących do odtwarzania i chyba także do kopiowania kaset wideo. Joaquín włączył jedno z nich i wsunął w szczelinę kasetę opisaną jako „Film instruktażowy 1”. Po kilku sekundach wypełnionych mechanicznym rżeniem starego odtwarzacza na ekranie pojawiło się logo SIAR-u. Obraz zadrgał, po czym się ustabilizował.

Memuary o wypadkach na Wyspie Czyścicowej hrabiego Cammarano. Stoły Wschodni i Zachodni. Utworzenie Skinner Institute

Film instruktażowy 1

„Dzień dobry, tu doktor Rudiard Kipling McCoy. Jestem doktorem fizyki, obroniłem się na uniwersytecie Harvarda i obecnie zajmuję stanowisko dyrektora do spraw komunikacji w Skinner Institute for Anthropological Research. Będę twoim przewodnikiem w tej serii filmów, które nagraliśmy, by pomóc ci nieco lepiej zrozumieć miejsce, gdzie się teraz znajdujemy.

Historia tej wyspy sięga wieku szesnastego, kiedy to Prospero di Tesla, hrabia Cammarano, arystokrata z Republiki Weneckiej, utknął tutaj wraz z córką Angelą wskutek katastrofy morskiej. W czasie sztormu statek Cammarana roztrzaskał się o skały na północnym wybrzeżu. Zginęli wszyscy poza hrabią i jego córką, którzy zdołali dostać się na ląd, przywiązawszy się do pustych beczek. Było to zimą roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego”.

Na filmie widać mężczyznę mówiącego do kamery. Mężczyzna, czterdziestolatek o orientalnych rysach twarzy, ubrany jest w typową środkowoamerykańską guayabere. Mówi poprawną angielszczyzną bez żadnego wychwytywalnego akcentu. Skórę ma ciemną, może pochodzić z Malezji albo Filipin. Ujęcia jego osoby przeplatają się z ilustrującymi jego wywód kadrami, które ukazują stare dokumenty (pierwsze wydanie *Wspomnień*), stosownie dobrane artefakty (wazę grecką z wizerunkiem Orfeusza, rycinę alchemiczną), portrety z epoki (widnieją na nich sam hrabia Cammarano, Pietro Pomponazzi, Angela di Tesla, Richard Kelly) oraz współczesne migawki z wymienianych miejsc (takich jak Wenecja czy Istria). Na początku filmu przemawiający na nim mężczyzna przedstawił się jako Rudiard Kipling McCoy, dyrektor do spraw komunikacji w Skinner Institute

for Anthropological Research. Lewą kieszonkę jego guayabery zdoła – znowu – logo SIAR-u: lew i koza grające w szachy albo może w warcaby.

„Hrabia Cammarano był czarownikiem. Nic w tym dziwnego, albowiem w tamtych czasach prawie wszyscy ludzie nauki, mędracy, filozofowie, lekarze, artyści i nawet duchowni byli czarownikami i uprawiali magię. Wyraz «magia» nie miał wtedy takich negatywnych czy infantylnych konotacji jak dzisiaj. Magia wiązała się z wiarą w siły natury i w stwórczą moc słowa, a także z uprawianiem retoryki i śpiewu. Utrzymywano, że Orfeusz, twórca muzyki i mistrz Platona, był pierwszym spośród wszystkich magów. Uznawano go nie za boga ani za postać mityczną, lecz za filozofa, *autora* takiego jak Homer czy Arystoteles, albowiem stosunkowo późne hymny orfickie uważano za znacznie starsze niż w rzeczywistości. Magia oznaczała studia nad liczbami i nad gwiazdami, nad narządami ciała i ich funkcjami, nad leczniczymi właściwościami ziół i nad wynalazkami w stylu zegara czy astrolabium. Magia wymagała mierzenia wszystkiego i badania relacji między jedną rzeczą a drugą, obserwowania wychyleń wahadła i wpływu Księżyca tudzież innych ciał niebieskich na mózg i ciało człowieka. Magia interesowała się zjawiskiem magnetyzmu, a także ciągami liczbowymi i w ogóle problemami matematycznymi: liczbą π , liczbą Φ (tak zwaną «złotą liczbą») czy kwadraturą koła. Podsumowując, renesansowa magia zakładała istnienie uporządkowanego kosmosu, którego poszczególne elementy i aspekty są ściśle ze sobą nawzajem powiązane. Stąd ciekawy, również dzisiaj często powtarzany pomysł, że muzyka i matematyka to w gruncie rzeczy jedno. Tyle przetrwało z tego wszystkiego do naszych czasów. Dla renesansowych czarowników jednym są nie tylko muzyka i matematyka, ale także medycyna, astrologia, studia nad charakterami, architektura, sztuka wojny czy chiromancja. To wszystko «jedno i to samo», albowiem każda rzecz łączy się z inną: nasze myśli, dotykające nas zdarzenia, nasze działania, to, gdzie mieszkamy, to, na co chorujemy, nasza przeszłość, szalejące w nas zwierzę i boski wielogłos rozbrzmiewający w naszej psychice, kiedyś objawiający się na zewnątrz w postaci «politeizmu», a dzisiaj w postaci «psychologii».

Znalazszy się na tej wyspie bez swoich książek i przyrządów magicznych, bez swojej biblioteki i laboratorium, hrabia Cammarano postanowił poświęcić się edukacji swojej córki, wówczas ledwie dwunastoletniej Angeli. Uczył ją wszystkiego, co sam umiał, począwszy od muzyki, a na numizmatyce skończywszy, przez filozofię, krasomówstwo, numerologię, geometrię, łacinę,

układanie epigramatów, mechanikę i gramatykę. Wykorzystywał do tego celu sztukę pamięci, ponieważ brakowało innych pomocy dydaktycznych, choćby papieru, nawet jeśli pokazał Angeli, jak kreślić litery na mokrym piasku. Dlatego dziewczyna nabrała przekonania, że pismo jest rzeczą ulotną i że to, co zapisane, trwa najwyżej do następnego przypływu.

W roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym drugim, kiedy ojciec i córka przebywali na wyspie już od dwunastu lat, u jej wybrzeży rozbił się inny okręt. Katastrofę przeżyło dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety – wśród nich hrabia Pomponazzi, jego ciotka, księżna Izabela III, królowa Istrii, oraz angielski czarownik Richard Kelly.

Hrabia Pomponazzi, jeden z rozbitków, okazał się człowiekiem młodym i gorącokrwistym. Angela była prześliczną dziewczyną, która ponadto chodziła ciągle półnaga albo nawet całkiem naga, jako że znalazła się na wyspie jako dziecko i nie miała żadnych ubrań ani sposobu, by je sobie utkać lub uszyć. I tak oto na tej odległej wyspie, z dala od osiągnięć cywilizacji, ale i od jej ograniczeń, szybko zakwitła miłość. W stosunku do ówczesnych kanonów piękna, promującego omdlałość ruchów i chorobliwą bladość skóry, Angela wydawała się nadmiernie atletyczna i opalona. Niemniej wyrosła na cudną kobietę, która, niezależnie od swego wspaniałego wykształcenia, zdolna była do wyczynów godnych mitologicznych bogiń: potrafiła śmigać między drzewami uczepiona liany, uzbrojona w łuk i strzały skutecznie polować na dzika, pływać w dobrej komitywie z delfinami... Hrabia Pomponazzi wspomniał ten fragment z *Pieśni nad pieśniami*, gdzie Sulamitka mówi do króla Salomona: «Śniada jestem, lecz piękna», i uświadomił sobie, że Angela, to egzotyczne ucieleśnienie Diany, Afrodyty i Minerwy zarazem, stanowi prawdziwy klejnot wśród kobiet i jednocześnie warunek jego, hrabiego, szczęścia. On też parał się czarami i wierzył w moc kamieni, muzyki i śpiewu. Jego stryjecznym dziadkiem był Pietro Pomponazzi, słynny arystotelik, który udoskonalił tomistyczną doktrynę o nieśmiertelności duszy i napisał traktat o wpływie ciał niebieskich na ludzkie życie. Sam hrabia też odebrał staranne wykształcenie i choć nie należał do stanu duchownego, płynnie posługiwał się łaciną. Pierwsze miłosne rozmowy z Angelą odbył właśnie w tym języku, jako że i ona władała nim doskonale, oboje zaś odkryli, że ta dziwna cudzoziemska mowa pomaga im na nieśmiałość.

Po jakichś dwóch miesiącach pobytu na wyspie i po kilku nieudanych próbach nowi rozbitkowie zdołali nareperować swój statek, dzięki czemu

hrabia Cammarano i młoda Angela di Tesla powrócili do cywilizacji. Hrabia Pomponazzi ożenił się z Angelą i razem z nią zamieszkał w istryjskiej Puli, gdzie królowa Izabela miała pałac nad brzegiem morza. Angela di Tesla, hrabina Cammarano i Pomponazzi, księżna Istrii, zmarła w wieku trzydziestu czterech lat, wydając na świat swoje piąte dziecko, ochrzczone potem jako Salvatore Sebastiano.

Co do hrabiego Cammarano – odzyskawszy włości, które pod jego nieobecność usiłował mu odebrać bękart spłodzony przez jego ojca, ponownie się ożenił, tym razem z kuzynką, Adelina Teresą Mompiani, księżną Bertoldi, osiemnastoletnią podówczas i, wedle wszelkich wskazówek, cierpiącą na epilepsję, po czym napisał książkę zatytułowaną *Memuary o wypadkach na Wyspie Czyścicowej w dniach między dniem świętego Sylwestra a dniem świętego Burcharda, spisane przez Prospera Vincenza Carla Cosima Enrica Edgarda Ludovica di Tesłę, hrabiego Cammarano*. Dzieło to ukazało się w Wenecji w roku tysiąc sześćsetnym, dwa lata po śmierci hrabiego, i nic nie wiadomo o kolejnych wydaniach. *Memuary* są dziś bibliofilskim rarytatem, a żaden ich egzemplarz nie zachował się kompletny. Z trzech dziś istniejących – temu z Biblioteki Watykańskiej brakuje kart od sto dwudziestej do sto siedemdziesiątej, temu z Biblioteki Uniwersyteckiej w Uppsali kart od sto dwudziestej do sto trzydziestej piątej, a temu z British Museum kart od sto dwudziestej do sto czterdziestej trzeciej. Oznacza to, że karty od sto dwudziestej do sto trzydziestej piątej, czyli trzydzieści stron tekstu (bo karty numerowane są jedynie na awersie), przepadły najprawdopodobniej na zawsze. Nie przestaje jednak zadziwiać, że brakujący ustęp zaczyna się w każdym z trzech przypadków od karty numer sto dwadzieścia.

Dzień świętego Sylwestra obchodzony jest trzydziestego pierwszego grudnia, natomiast dzień świętego Burcharda przypada na drugi lutego. Tak więc «wypadki» opowiedziane przez hrabiego Cammarano musiały się rozegrać w ciągu mniej więcej miesiąca. Co do nazwy «Wyspa Czyścicowa» – nie pojawia się ona w żadnych innych źródłach, łącznie z tekstem samych *Memuarów*.

Przy czym najdziwniejsze w książce hrabiego Cammarano jest jeszcze coś innego. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, *Memuary* nie opisują życia rozbitków na wyspie, nie są ani czymś w rodzaju *Burzy* Shakespeare'a, ani wczesną wersją *Robinsona Crusoe*. W ogóle nie opisują żadnych «wypadków» ani nawet wyspy, rzeczywistej czy wyobrażonej, jak to czyni

Gracián w *Criticónie* czy Bacon w *Nowej Atlantydzie*. *Memuary o wypadkach na Wyspie Czyśćcowej* to w gruncie rzeczy podzielony na liczne kategorie spis gier o nader szczegółowo wyjaśnionych regułach.

Wymienia się tam tych gier jakieś trzy tysiące. Klasyfikacja stworzona przez hrabiego Cammarano, stanowiąca ciągłe wyzwanie dla zdrowego rozsądku, zdaje się owocem myśli nie tyle filozofa, ile kolekcjonera osobliwości. Autor miesza wypracowane przez siebie kategorie, gromadzi bardzo różne gry pod jednym szyldem, by jakąś jedną uhonorować obok pojedynczo. Oto najogólniejszy ich spis wedle hrabiego Cammarano:

1. Gry z użyciem żetonów i plansz.
2. Gry z użyciem kulek.
3. Gry wymagające przebywania na polu, w lesie lub przy wodospadzie.
4. Gry pamięciowe i logiczne.
5. Gry z użyciem kości.
6. Gry wymagające wykorzystania jednej lub więcej szaf. Gry wymagające wykorzystania jednego lub więcej luster.
7. Gry związane z pojawianiem się, znikaniem i transformacją przedmiotów, zwierząt lub osób. Gry związane z lewitacją, chodzeniem po wodzie i przenikaniem przez ściany oraz inne powierzchnie stałe.
8. Młynek albo dziewięciu mężczyzn Morrisa.
9. Czaturanga, szachy chińskie i szachy.
10. Gry rozgrywane w parkach i miastach, w portach i na bazarach, w przedpokojach i na salonach, w korytarzach i na strychach, na schodach i w spiżarniach, w opactwach i na pontonach, w aulach i bibliotekach.
11. Gry, w których używa się szklanej kuli dla przywołania duchów.
12. Gry muzyczne, czyli takie, które bazują na muzyce lub rytmie. Gry tańczone. Tańce odgrywane.
13. Gry siłowe i sprawdzające równowagę. Gry polegające na rzucaniu i oddalaniu się. Gry polegające na skakaniu, wchodzeniu i schodzeniu.
14. Gry pamięciowe. Gry do rozgrywania na pustyni, w więzieniu, podczas katastrofy morskiej.
- 14b. Gry dla samotników. Gry dla melancholików. Gry dla samotnych spacerowiczów.
- 14c. Gry dla porzuconych kurtyzan, dla zakonnicy, dla przeorysz, dla kobiet inteligentnych, dla kobiet uczonych w filozofii. Gra w papieżycę. Gra podwójna. Gra potrójna. Gra poczwórna. Gra popiątna.

15. Gry uwzględniające pozycję Słońca albo gwiazd. Gry wróżebne z wykorzystaniem salamander, zajęczych serc, astrokart, bezoarów, wahadeł, złotych języków, panoplii, arboretów, weneckich obić, orlich piór, cybrast, wystaw okropności, map nawigacyjnych, fibul, goleni, linii życia, serca i rozumu, eldorad, meluzyn, trofeów, gambar, wieczornych objaśnień, teodycei, cieni, hypnerotomachii, szkarłupni, meduz, lumin, ziaren gorczycy, czaplich jaj, piór kaczki, owoców anyżu, świętych ksiąg, lotu ptaków, pestek czereśni i sztucznych oczu.

16. Gry, w których mężowie zamieniają się żonami.

17. Gry z imionami i słowami.

18. Gry z użyciem kijów, pasów, lin, łopat, rakiet, nici, łańcuchów, lanc, łuków i strzał, skrzyń, koszów i sieci.

19. Gry w mówienie prawdy. Gry z upokarzającymi karami, fantami, punktami karnymi i misjami w dalekich stronach. Gry z pościgiem i karą. Gry w kompromitację i mądrość. Gry w tortury. Gry z biczami i maskami. Gry w strach, nieśmiałość i wstyd.

20. Gry w odwagę i tchórzostwo.

21. Gry w niewolnictwo. Gry w kupno i sprzedaż osób realnych lub wyobrażonych.

22. Gry w iluzje i panoramy, przeciągające się oszustwa i fikcyjne rzeczywistości. Gra w trzynastego gościa. Gra w grom, który nie jest Bogiem. Gra w zakochanego osła. Gra w dzień bez wieczoru. Gra w fałszywego anioła. Gra w świętego Ignacego i królową Saby. Gra w eldorado. Gra w Martina Vazqueza Calapeñasa. Gra w Rimburtina i Rimburtinę. Gra w złotą oliwkę. Gra w niebieski ząb. Gra w szklanego psa. Gra w sędziego z Rawenny. Gra w Mityrydatesa, króla Pontu. Gra w Eudoksję. Gra w ślepego cesarza Bizancjum. Gra w ogolone brody. Gra w latającego konia. Gra w czarodzieja Merlina. Gry w egzekucje, męki, pręgierze, dekapitacje, pokuty, pułapki, dzierzawy, kazamaty, prawa, klęski, egzekucje, wygnania, zwycięstwa i apoteozy.

23. Gra w Egipcjanki. *Ludus latrunculorum*.

24. Gry z paciorkami i koralikami. Gry z naszyjnikami i różańcami. Gry z talerzami i kielichami. Gry z psami i kotami, z końmi i hipopotamami.

25. Gry w żyjące powieści. Gry w bitwy, kampanie i podboje. Gra w Boga. Gra w diabła. Gra w Chrystusa. Gra w księcia Indii. Gra w dwanaście idealnych kobiet. Gra w białą różę. Sto osiem sekretnych gier Stowarzyszenia

Białej Róży.

26. Gry z głupcami i szaleńcami. Gry z duszkami i wróżkami. Gry z istotami niebieskimi. Gry z aniołami i bezcielesnymi przyjaciółmi. Gry z łagodnymi paniami. Gry z pływającymi oknami. Gry z wymyślonymi dniami. Gry z bóstwami uwiecznionymi w retortach, kolbach, fiolkach i klepsydrach.

27. Gry w teatr świata.

28. Gry hrabiny Amalfi. Gry księżnej Nawarry.

29. Trzydzieści dziewięć gier Giovanniego Paola Paolina.

30. Gra w gęś.

31. Dylemat więźnia. Gra w dyktatora. Gra w ultimatum. Gra w polowanie na jelenia i królika.

32. Gry uniwersalne. Loterie. Automaty. Gry z wagami. Wahadłami. Sprężynami. Ozdobami. Wizerunkami. Monetami. Amforami. Kośćmi.

Książka hrabiego Cammarano cieszyła się dużą popularnością w intelektualnych kręgach Wenecji, Florencji i Rzymu. Uważano ją za traktat filozoficzny albo za powieść fantastyczną z kluczem w rodzaju *Polifila walki o miłość we śnie* (po łacinie: *Hypnerotomachia Poliphili*), albo za dzieło ezoteryczne w stylu *Hieroglyphiców* Horapollona, jako że większości opisanych w niej gier nie rozgrywano nigdzie na świecie, niejedna zaś wiązała się z problemami natury logicznej bądź etycznej.

Później *Memuary* popadają w zapomnienie, aż w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym pierwszym Caspar Tamerarius, alchemik z Bazylei, natyka się na nie w pewnej księgarni w żydowskiej dzielnicy Pragi, zagubione pośród hebrajskich tomów dotyczących numerologii, i narzuca je jako lekturę obowiązkową swoim uczniom i uczennicom. Właśnie wtedy *Memuary o wypadkach na Wyspie Czyścicowej* wracają do obiegu i wtedy też zaczynają naprawdę oddziaływać na myśl Zachodu.

Tamerarius pojmował alchemię jako dziedzinę ogarniającą całość istoty ludzkiej i kazał swoim uczniom studiować muzykę, uprawiać strzelectwo i jeździectwo, a także czytać – poetów dawnych, jak Dante, Wergiliusz czy Owidiusz, i tych bardziej współczesnych, jak Ariosto albo Torquato Tasso. Jednakże lektura książki hrabiego Cammarano coraz bardziej wciągała początkujących alchemików, z których wielu zarzuciło w końcu poszukiwania *lapis philosophorum*, czyli kamienia filozoficznego, i zajęło się sprawdzaniem w praktyce gier opisanych w *Memuarach*.

Trzeba nadmienić, że pomysł, by te gry «sprawdzać w praktyce», nigdy nie

postał Tamerariusowi w głowie. Przecież jeśli zalecał swoim uczniom lekturę, dla przykładu, Homera, to nie po to, żeby zaraz wyprawiali się do Turcji albo żeglowali po Morzu Śródziemnym. W jednym z listów do biskupa Vézelay, François Tusselaina, napisał, że «grupka uczniów moich, zapaliwszy się do stu i jednej gier hrabiego Cammarano, postanowiła wyruszyć do miasta Bordeaux, aby założyć tam towarzystwo oddane wyłącznie studiom nad tą osobliwą księgą. Wielce mnie zasmuca, że dzieci moje porzucają nasze Dzieło, najwznioślejsze, jakiego podjąć się może filozof».

Tak powstaje w Bordeaux *Tabula*, co po łacinie oznacza, między innymi, «stół», czyli półreligijne stowarzyszenie, którego członkowie nie tylko studiują dzieło hrabiego Cammarano, jak przykazywał Tamerarius, lecz również dochodzą do wniosku, że poprzez rozgrywanie opisanych w książce gier osiągną coś w rodzaju oświecenia. To znaczy: poprzez systematyczne rozgrywanie *wszystkich opisanych w książce gier. Tabula*, czyli Stół, podzielił się potem na różne Stoły. Po tym, jak powstanie Stół Wschodni w Genewie, Stół z Bordeaux zyska nazwę Stołu Zachodniego. Później pojawi się jeszcze Stół Północny w Sztokholmie oraz Stół Południowy w Trieście. Różnice między nimi wszystkimi będą stopniowo narastać. Stół z Bordeaux będzie mistyczny i niemal fanatyczny. Stół z Genewy postawi na intelekt i erudycję. Stół ze Sztokholmu posunie się w swoim rozpasanym libertynizmie do niewyobrażalnych wręcz granic. Stół z Triestu z kolei zaangażuje się w politykę, w prawodawstwo, w interesy, w życie uniwersyteckie, w sprawy kościelne, w akademie literackie, w handel i rzemiosło, w patriotyczne obchody i arystokratyczne stosunki, *nie tracąc przez to swojego sekretnego statusu*. Te cztery Stoły to symboliczny początek tego, co nazywamy społeczeństwem nowoczesnym.

Rozegranie WSZYSTKICH gier z książki hrabiego Cammarano wymaga masy czasu, wielkich nakładów finansowych i, w niejednym przypadku, warunków nadprzyrodzonych. Wymaga na przykład wypraw do Antiochii, zanurzania się w morzu na wiele godzin (w tamtych czasach używano do tego celu zawieszonych na łańcuchach dzwonów, niemniej zdarzały się liczne utonięcia), komunikacji z istotami niematerialnymi, przywoływania diabłów i diabolic, dokonywania cudów mnemotechniki, dostępnych tylko nielicznym, rozległej wiedzy z zakresu muzyki i matematyki, bogatego słownictwa, zwinności i wytrzymałości fizycznej, jakie osiąga się jedynie poprzez długotrwałe ćwiczenia, ogromnej zręczności rąk, odwagi, zdolności

przewycięzania zawrotów głowy, wstrętu, strachu, mdłości i wstydu oraz nieograniczonej wyobraźni. Niektóre z gier przewidują działania na pozór niemożliwe, jak choćby gry hrabiny Amalfi, polegające na modyfikacji dźwięku harfy czy fletu, barwy płomienia świec, ułożenia róż albo kierunku przemieszczania się kolumny owadów za pomocą samej siły woli. Inne można rozegrać tylko symbolicznie, na przykład grę w Mauzoleum w Halikarnasie, która to budowla od dawna nie istnieje. Jeszcze inne są tak niezrozumiałe, że aż nie do rozegrania. Chcąc przystąpić do niektórych, musisz być w związku małżeńskim, a jedna przewiduje nawet, że gracz już nie żyje.

Różne Stoły różnie interpretowały reguły ich rozgrywania. Określenie «stół» od pewnego momentu stosowano wręcz wymiennie z określeniem «reguła». Była więc Reguła Północna, Reguła Wschodnia i tak dalej. Stół z Bordeaux, dajmy na to, skłaniał się ku ezoterycznej interpretacji gry z zamianą żon, rozumiejąc ją jako przyjacielskie obdarowywanie się nawzajem podarkami albo nawet informacjami. Należy pamiętać, że wielu z jego członków było duchownymi, formalnie bezzennymi i często mało skłonny do dzielenia się swoimi konkubinami. Stół ze Sztokholmu natomiast postanowił wyciągnąć z tej gry – bez wątpienia jednej z najbardziej zaskakujących w całej księdze – jak najdalej idące konsekwencje. Obserwowany u ludów nordyckich luźny stosunek do życia w parze, łatwość, z jaką ludy te zaakceptowały zniesienie celibatu oraz rozwód, mogą świadczyć o mocnych w tej części świata wpływach *Memuarów* hrabiego Cammarano.

Stoły mnożyły się i, paradoksalnie, im bardziej się rozrastały, tym stawały się bardziej sekretne. Powstawały w Mannheimie, Ostii, Londynie, La Rochelle, Hadze, Walencji, Syrakuzach, Valletcie, Lizbonie. Sprawiało to wszakże, iż powoli oryginalne zasady ich działania się rozluźniały. Ponieważ rozegranie trzech tysięcy gier przewidzianych przez hrabiego Cammarano było zadaniem właściwie nie do wykonania, zaczęły się pojawiać nowe reguły.

Te nowe reguły albo Nowe Reguły, bo przyjęło się takie określenie, powoli rezygnowały z koncepcji «stołu», wokół którego gromadzą się gracze ze swoimi kartami, żetonami czy kośćmi. W nazwach nowych grup dominowały słowa zaczerpnięte z opisów zawartych w *Memuarach*, takie jak «krzyż», «róża», «ścieżka», «góra», «chmura», «młot», «słońce», «jarzmo», «lanca» i tak dalej. Poza tym w tych Nowych Regułach nie było zasadniczo nic nowego. Jedyna nowość w stosunku do Stołów polegała na tym, że wcześniej próbowano rozgrywać wszystkie gry hrabiego Cammarano, teraz zaś skupiano

się na kilku wybranych – czasem należących do tej samej kategorii, a czasem powyrywanych na chybił trafił z różnych.

Tymczasem oryginalne *Memuary*, wspaniała, kipiąca od szczegółów księga, która od lat krążyła w odręcznych kopiach, we fragmentach i w wersjach ustnych, została ostatecznie zapomniana i zastąpiona mnóstwem podróbek, streszczeń i wypisów, nieuwzględniających już ani pierwotnego tytułu, ani nazwiska autora. Jednakże nie przeszkodziło to w rozprzestrzenianiu się wpływów myśli hrabiego Cammarano. Część gier z *Memuarów o wypadkach na Wyspie Czyścicowej* z czasem przeniknęła do wszelkich dziedzin życia publicznego i prywatnego.

Ich zasady rozpowszechniły się i skomplikowały do tego stopnia, że obecnie każdy aspekt naszej egzystencji rządzi się jakimś wariantem reguł obowiązujących w którejś z gier hrabiego Cammarano.

W imieniu Skinner Institute for Anthropological Research dziękuję teraz za uwagę. Ciąg dalszy na kasecie zatytułowanej «Film instruktażowy 2»”.

Film instruktażowy 2

„Dzień dobry, tu doktor Rudiard Kipling McCoy. Jestem doktorem fizyki, obroniłem się na Uniwersytecie Harvarda i obecnie zajmuję stanowisko dyrektora do spraw komunikacji w Skinner Institute for Anthropological Research.

Informacje zawarte na tej kasecie są w najwyższym stopniu poufne i przeznaczone jedynie dla tych, którzy – jak wy w bunkrze 122 – osiągnęli poziom dostępu A2 lub A3. Każdy, kto nie należy do SIAR-u albo nie osiągnął poziomu dostępu A2 lub A3, powinien przerwać oglądanie w tej chwili. Jeśli tego nie uczyni, dopuści się wykroczenia zagrożonego karą więzienia do lat trzech.

Skinner Institute for Anthropological Research powstał pod koniec lat pięćdziesiątych na Uniwersytecie Harvarda w ramach projektu badawczego prowadzonego przez trzech studentów przygotowujących się do napisania prac dyplomowych. Ci studenci nazywali się Paavo Pohjola, Emmerich Rickenbecker i Jukka Likkendala. Tytuł ich projektu stanowił hołd wobec Barrhusa Frederica Skinnera, profesora psychologii w katedrze Edgara Pierce’a na Uniwersytecie Harvarda, współtwórcy teorii warunkowania instrumentalnego, utopisty społecznego, autora słynnej powieści *Walden Two*, jednego z najbardziej błyskotliwych i przenikliwych umysłów dwudziestego

wieku.

Wedle teorii B.F. Skinnera psychologia ma być nauką taką samą jak chemia, fizyka czy astronomia. W opozycji do romantycznych wyobrażeń na temat ludzkiej «duszy», «umysłowości» czy «świadomości», warunkowanie instrumentalne przewiduje, że ludzkie zachowania są w całości zdeterminowane przez otoczenie, okoliczności i czynniki wzmacniające lub karzące. Nie istnieje zatem postulowany przez klasycznych filozofów «duch w maszynie». Nie istnieje «człowiek wewnętrzny» świętego Pawła ani «osobowość», ani «ja». Istnieje wyłącznie postępowanie danej jednostki, całkowicie uwarunkowane przez czynniki zewnętrzne. Modyfikując te czynniki, właściwie stosując «nagrody» i «kary», można zmodyfikować postępowanie jednostki. Określa się to mianem inżynierii behawioralnej, stanowiącej podstawę realizowanej przez Skinner Institute utopijnej wizji, w ramach której wszelkie szkodliwe społeczne zachowania zostałyby ostatecznie wyeliminowane, z oczywistą korzyścią dla wspólnoty. Jesteśmy utopistami społecznymi i się tego nie wstydzimy. Świat potrzebuje utopii.

Wyspa, na której się obecnie znajdujecie, to największy przeprowadzony jak dotąd eksperyment z zakresu inżynierii behawioralnej. Celem tego eksperymentu jest zbadanie zachowań ludzkich:

- a. w warunkach ekstremalnych;
- b. w warunkach idealnych, czyli stworzonych sztucznie, powiedzmy – laboratoryjnych.

Pierwotny projekt SIAR-u, ściśle związany z pracami dyplomowymi trzech jego założycieli, Pohjoli, Rickenbeckera i Likkendali, sprowadzał się do zainscenizowania więzienia w podziemiach tak zwanego Budynku B na Harvardzie. Urządzono tam cele z pancernymi drzwiami i kratami, zamówiono mundury dla strażników oraz stroje dla osadzonych i tak dalej. Następnie zwerbowano studentów-ochotników, spośród których mieli się wziąć zarówno strażnicy, jak więźniowie. Co istotne, wszyscy kandydaci zostali poddani testom psychologicznym, w wyniku których wykluczono osoby uzależnione od narkotyków lub alkoholu, a także mające problemy z kontrolowaniem agresji, jednakże późniejszego podziału na «strażników» i «więźniów» dokonano na chybił trafił, przypisując każdemu ochotnikowi numerki i organizując losowanie. Innymi słowy, nikt specjalnie nie dobierał składu żadnej z tych grup, kandydaci zaś też nie mieli wpływu na to, do której trafią.

Eksperyment przewidziano na dwa tygodnie. «Więźniowie» zobowiązywali

się pozostawać przez ten czas «w zamknięciu», a poza tym mogli zachowywać się, jak chcieli, przy czym niestosowanie się do zasad obowiązujących w «więzieniu» miało pociągać za sobą kary (właściwie jedną: karcer). Wolno im było w każdej chwili zrezygnować z udziału w eksperymencie, tyle że taka rezygnacja wiązała się z obniżeniem ocen na koniec semestru. «Strażnikom» groziła podobna kara, ale nie za rezygnację (do której mieli prawo w dowolnym momencie), lecz za lekceważenie regulaminu «więzienia», czyli na przykład bratanie się z «osadzonymi», przymykanie oka na obecność zakazanych przedmiotów w celach, tolerowanie zakłóceń ciszy nocnej i tak dalej.

Wszystko to było zaskakująco proste: «więźniowie» mogli robić, co chcieli, z wyjątkiem opuszczenia «więzienia», a «strażnicy» mogli opuścić je w każdej chwili, musieli wszakże stosować się do ścisłych norm. Jak łatwo zauważyć, chodziło o przetestowanie różnych typów czynników wzmacniających lub karzących.

Inny cel tego pierwszego eksperymentu stanowiło zbadanie klasycznej opozycji między «panem» a «niewolnikiem», przy dialektycznym założeniu, że mamy tu do czynienia z niezwykle złożoną dynamiką, albowiem niewolnik nie dysponuje wolnością, lecz nie ciąży też na nim żadna odpowiedzialność, podczas gdy pan, owszem, jest wolny, lecz zarazem obciążony odpowiedzialnością.

Eksperyment, znany pod nazwą Więzienie B, nie potoczył się zgodnie z planem. Mimo że kandydaci rekrutowali się spośród studentów psychologii na Harvardzie i mimo że wszyscy bez wyjątku wiedzieli, iż uczestniczą w eksperymencie naukowym uznawanym przez społeczność akademicką i umożliwiającym zaliczenie tego czy innego przedmiotu, brutalne nadużycia władzy zaczęły się już w pierwszych dniach. Ba, uniemożliwiły dokończenie eksperymentu. Po tygodniu normą w Więzieniu B stały się tortury i gwałty, w związku z czym trzej założyciele SIAR-u poczuli się zmuszeni przerwać projekt. Dwie kobiety zostały zgwałcone, jedną z nich przy okazji bito i torturowano prądem, jednego z mężczyzn zgwałciło trzech strażników, dwóch więźniów potraktowano elektrycznością, a kolejnych dwóch skatowano. Nie wspominając już o całej masie upokorzeń, wyzwisk i psychofizycznych szykan, jak choćby zmuszanie więźniów czy więźniarek do masturbowania się albo wypróżniania na oczach strażników lub innych osadzonych.

Co do wyników – opinie są różne. Dlaczego ludzie na pozór zdrowi,

zamożni i wykształceni, niepoddawani żadnemu stresowi i nieznajdujący się w sytuacji zagrożenia, zaczynają nagle zachowywać się jak dzikie bestie? Dlaczego student elitarnego uniwersytetu przy pierwszej lepszej okazji zamienia się w oprawcę?

Każdy z członków SIAR-u zinterpretował to na własny sposób.

Zdaniem Emmericha Rickenbeckera, rzecz tłumaczyła się tym, że uczestnicy eksperymentu *wiedzieli*, iż to rodzaj gry. Problem polegał na tym, że zbyt szybko się zaangażowali. Torturowanie człowieka nie wydaje się czymś aż tak strasznym, jeśli się wie, że ów człowiek w dowolnym momencie może zrezygnować z udziału w tej grze i że oprawca tak naprawdę nie jest oprawcą, a ofiara – ofiarą.

Ocena Rickenbeckera była spośród wszystkich trzech najbardziej negatywna. Jego interpretacja podważała sensowność wyników eksperymentu ze względu na niemożność wykreowania pożądanego warunków. Szła za tym sugestia, że najlepiej byłoby badać zachowanie osób nieświadomych, że są przedmiotami badania. Pomysł ten, jak zobaczymy, przyniósł później poważne następstwa.

Wedle Likkendali «strażnicy» przejawiali sadyzm nie dlatego, że się «bawili» i ich poniosło, lecz dlatego, że *mieli ku temu sposobność*. Tak zwana «determinanta Likkendali» przewiduje, że każdy człowiek jest w stanie zrobić dowolną rzecz, jeśli tylko ma do tego okazję, to znaczy gdy istnieją: 1. sprzyjające warunki; 2. przyzwolenie z góry; 3. gwarancja bezkarności. Oznacza to, że spokojna, cywilizowana osoba przekształca się w zabójcę, jak tylko dostaje broń, rangę wojskową i «wroga». To, co zdarzyło się w Więzieniu B, dowodzi, zdaniem Likkendali, że uczestnicy eksperymentu *pragnęli* okazji do agresji, tortur i gwałtów. Gdyby takiej okazji nie otrzymali, najprawdopodobniej nigdy w życiu by nikogo nie skrzywdzili, ba, nawet by im to do głowy nie przyszło. Jednakże, zgodnie z determinantą Likkendali, prawdziwa ludzka natura wyszła na jaw i uśpione instynkty natychmiast się obudziły.

«Nie istnieją dobrzy ludzie», pisał Likkendala w opublikowanym później artykule. «Istnieją tylko ludzie, którzy nie mają okazji do przemocy albo boją się kary. I tyle».

W opinii Likkendali, a wbrew temu, co twierdził Rickenbecker, eksperyment okazał się sukcesem właśnie dlatego, że uczestnicy *wiedzieli*, że chodzi o swego rodzaju grę. Fakt, iż sadyzm «strażników» (podobnie jak

niewytłumaczalna bierność «więźniów») objawił się tak szybko w tak nienaturalnych warunkach, wiele mówił o ludzkiej naturze.

Jeśli chodzi o Pohjolę, to jego ocena eksperymentu nie była ani tak negatywna jak u Rickenbeckera, ani tak pozytywna jak u Likkendali. Zdaniem Pohjoli, zajścia w Więzieniu B dało się wytłumaczyć jedynie uniformami. Jego teza – w dużym uproszczeniu – brzmiała tak: gdyby «strażnicy» nie nosili mundurów, a «więźniowie» pomarańczowych, typowo amerykańskich więziennych kombinezonów, nic poważnego ani znaczącego by nie zaszło. Oczywiście, nie chodziło tylko o uniformy, chodziło także o resztę dopracowanej scenografii: cele, metalowe prycze, dzwonek sygnalizujący gaszenie światła, wspólne prysznice, plastikowe pojemniki na jedzenie, takie same jak te używane w prawdziwych więzieniach, i tak dalej. Według Pohjoli to, co się wydarzyło, nie wynikało z faktu, że uczestnicy eksperymentu wiedzieli, iż biorą udział w czymś w rodzaju gry (jak twierdził Rickenbecker), ani z tego, że po prostu skorzystali z okazji do ujawnienia swego wrodzonego okrucieństwa (jak chciał Likkendala), lecz z tego, że poczuli się zobowiązani do takich zachowań przez otoczenie, które uczyniło z nich osoby zupełnie inne niż te, jakimi byli w rzeczywistości. Dla poparcia swojej tezy Pohjola przypominał, że kandydatów podzielono na więźniów i strażników całkowicie przypadkowo, a mimo to i jedni, i drudzy natychmiast weszli w swoje role. Rzecz w tym, argumentował, że kiedy człowiek wkłada strój więźnia, od razu zaczyna myśleć jak więzień, czuć się jak więzień i działać jak więzień.

Mimo związanego z eksperymentem skandalu i wbrew surowym słowom samego B.F. Skinnera, który w «Wall Street Journal» potępił całe przedsięwzięcie jako samowolne, ryzykowne i nienaukowe, trzej założyciele SIAR-u: Pohjola, Rickenbecker i Likkendala, zdobyli fundusze na swój kolejny projekt. Tyle że fundusze te nie pochodziły ze środków Harvardu, lecz od anonimowego sponsora, którego zwykliśmy w naszej organizacji nazywać Filantropem albo Panem X.

Nowy projekt SIAR-u zdecydowanie różnił się od poprzedniego. W Więzieniu B wszyscy *wiedzieli*, że uczestniczą w eksperymencie, i nawet podpisywali stosowne dokumenty. Tym razem chodziło o zbadanie zachowań ludzi *nieświadomych*, że są obserwowani.

W ten sposób na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Harvarda powstała widmowa Katedra Psychologii Muzyki, mająca przyciągnąć niezbyt liczną grupę bardzo wrażliwych osób. I rzeczywiście – szybko zgłosili się chętni

z najróżniejszych zakątków kraju, choć oferowane przez Katedrę Psychologii Muzyki kursy zostały wymyślone *ad hoc* i bez żadnej podbudowy naukowej.

Wielu z obecnych członków SIAR-u to absolwenci tego właśnie kierunku, a także innych, podobnie widmowych jednostek utworzonych i kontrolowanych przez SIAR, na przykład Żeglugi Eksperymentalnej w Massachusetts Institute of Technology, Dietetyki Stosowanej na Uniwersytecie Browna, Teorii Złożoności na Uniwersytecie w San Diego czy Fizyki Fraktalnej w Sarah Lawrence College.

Z upływem czasu wszakże SIAR zaczął zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Trzeba było znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy w spokoju kontynuować nasze eksperymenty antropologiczne z zakresu inżynierii behawioralnej, dlatego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku Filantrop postanowił kupić wyspę, na której się teraz znajdujemy.

Zastanawiacie się pewnie, kto to taki – ten Pan X.

W rzeczywistości to trzy osoby, trzech milionerzy: pan Mikala Alto, pan Craig Lewellyn i pan Aarvo Pohjola, ojciec Paava Pohjoli. To oni są «duchem w naszej maszynie».

Spośród nich trzech jedynie pan Craig Lewellyn, australijski magnat branży informacyjnej, znany jest szerszej publiczności. Pan Lewellyn mieszka obecnie w Londynie i ze swej siedziby w Canary Wharf kieruje rozległą siecią prasową i radiowo-telewizyjną. Mikala Alto, drugi z naszych sponsorów, właściciel kilku przedsiębiorstw lotniczych i żeglugowych, rzadko opuszcza swój apartament w hotelu Garter w teksańskim Dallas, zajmujący (podobno, bo może to tylko legenda) całe najwyższe piętro budynku.

Co do Aarva Pohjoli – jedyny dostępny dokument graficzny ukazujący jego twarz to trwające jakieś dwadzieścia sekund, niewyraźne nagranie z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Widać na nim, jak pan Pohjola, ubrany w mundur Fińskich Sił Powietrznych, wsiada do samolotu bojowego. Pan Pohjola brał udział w drugiej wojnie światowej i został dwukrotnie odznaczony: najpierw Orderem Lwa Finlandii, później zaś Orderem Białej Róży Finlandii. To człowiek niezwykle skryty i tajemniczy, właściciel wielu kopalń uranu, złota, diamentów, boksytu i wolframu, dzięki którym osiągnął przodującą pozycję na światowym rynku energetycznym.

Odkrycie tej wyspy dokonało się przez zupełny przypadek. Aarvo Pohjola, wielki miłośnik lotnictwa i pilot, rozbił się tutaj podczas przelotu sportowego nad Pacyfikiem.

Samolot pana Pohjoli roztrzaskał się we wnętrzu wyspy, ale pan Pohjola i jego współpilot, Enno Kuiliammi, jedyni członkowie załogi, zdołali skorzystać ze spadochronów. Wylądowali w strefie znanej jako obszar numer szesnaście, niedaleko Czarnej Kolumny. Występujący tam intensywny magnetyzm nie tylko sprawia, że wariują wszystkie urządzenia elektroniczne, lecz również wywiera negatywny, potencjalnie śmiertelny wpływ na ludzki organizm. Na szczęście pan Pohjola i jego towarzysz prędko się stamtąd oddalili, kierując się na wybrzeże z nadzieją znalezienia pomocy. Której, rzecz jasna, nie znaleźli, albowiem wyspa była wtedy, podobnie jak teraz, niezamieszкана.

Pan Pohjola zdołał się stąd wydostać dopiero po trzech miesiącach. Nie odszukały go żadne służby ratownicze. Gdyby sam sobie nie poradził, umarłby tu i SIAR nigdy by nie urządził w tym miejscu swojej siedziby. Ta wyspa to rodzaj pułapki: właściwie nie sposób jej opuścić ani też nikogo z niej zabrać, gdyż nie da się jej zlokalizować. A jeśli już komuś uda się stąd wyrwać (co, podkreślmy, jest prawie niemożliwe), taki ktoś nie znajdzie potem drogi powrotnej. Niemniej pan Pohjola odkrył, jak się stąd *wydostać* i jak potem tu *wrócić*.

Jak później opowiadał, przez cały pobyt tutaj w ogóle nie spał. Nie była to, oczywiście, jego decyzja. Po prostu sen nie przychodził, on zaś mimo to nie odczuwał zmęczenia. Początkowo przypisywał to zdenerwowaniu całą sytuacją. Jednakże po czterech dniach zaczął podejrzewać, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Nie można nie spać tak długo bez poważnych konsekwencji dla zdrowia, on tymczasem nie tylko nie był zmęczony, ale w dodatku czuł się doskonale. Szybko nawiązał kontakt z plemieniem Wamani, odwiedzającym to miejsce od niepamiętnych czasów. To właśnie Wamani zaoferowali mu pomoc i wyjaśnili, jak się tu dostają. Do tej pory poza nimi i panem Pohjolą nikt tego nie wie. Dla innych ludzi ta wyspa jest snem lub więzieniem. Wytęsknionym, niedosiężnym rajem albo zagubioną na oceanie skałą, gdzie choćbyś nie wiadomo jak głośno wzywał ratunku, i tak nikt cię nie usłyszy.

Nietrudno odgadnąć, dlaczego Wamani, tubylcy tak prymitywni, że wciąż kultywujący rytuały związane ze spożywaniem zakazanych rodzajów mięsa, bez oporów udzielili panu Pohjoli pomocy. Nie ulega wątpliwości, że pan Pohjola to urodzony lider, człowiek niezwykle charyzmatyczny i zdolny do wyczynów przerastających każdego zwykłego śmiertelnika. Możliwe też, że zrobił na dzikich wrażenie jako Człowiek-Który-Nie-Potrzebuj-Snu. Na

pewno zadziwił ich tym, że przeżył pobyt na obszarze numer szesnaście, nieopodal Czarnej Wieży. To czyniło go w ich oczach – jeśli nie bogiem, to w każdym razie przyjacielem bogów.

Wamani odwiedzają tę wyspę od wieków. Nazywają ją Talu Na Monani, czyli Wyspą Dźwięku, albo Mana Na Monani, czyli Wyspą Głosów, albowiem w tutejszej dżungli słuchać coś w rodzaju szeptów, za które to zjawisko odpowiedzialne są niektóre owady o pewnym typie pancerza. Wedle wierzeń ludu Wamani, ta wyspa to miejsce święte, gdzie bytują Mani, Arani i Erere, ich bogowie. Sami przybywają tu jedynie na Święte Polowania i ceremonię ponownej koronacji Króla i Królowej. Uważają, że gdyby zaniechali tych rytuałów, słońce przestałoby wschodzić, księżyc spadłby do morza, wywołując potężną falę, ta zaś zatopiłaby świat, ich «świat», to jest tę garstkę wysepek, które zamieszkują i nazywają «stałym lądem», przeświadczeni, że innych lądów w ogóle nie ma.

Sądzą, że gdyby nie organizowali polowań i koronacji, świat by się skończył. «Stały ląd» zostałby pochłonięty przez morze, ludzie by się potopili i wody objęłyby panowanie nad wszystkim, co istnieje. Dzikość tych rytuałów przekonała pana Pohjolę, że ma do czynienia z plemieniem pozbawionym wszelkiego kontaktu z nowoczesnym światem i że trafił do ostatniego na naszej planecie raj, na ostatnią *terra incognita*.

Jednakże ani on, ani jego towarzysz nie byli pierwszymi białymi, jacy zawitali między Wamanich. Najstarsi z nich nadal pamiętali inną wizytę, sprzed wielu lat, złożoną im przez ludzi, których nazywali *doiczu*, co od razu kojarzyło się ze słowem *Deutsch*. Czyżby chodziło o Niemców, może wysłanników Trzeciej Rzeszy? Wamani twierdzili, że *doiczu* wzięli się z nieba. Ostatecznie, skoro poza okolicznymi wyspami nie było innych lądów, to skąd mieli się wziąć?

Wyspy zamieszkałe przez Wamanich leżą jakieś siedemdziesiąt mil morskich na południowy zachód od Mana Na Monani. Może się zdawać, że to daleko, lecz ludy Pacyfiku od dawna pokonywały swoimi podwójnymi łodziami znacznie większe odległości. Uważa się na przykład, że niektóre gatunki roślin uprawianych w Polinezji znalazły się w tych stronach za sprawą żeglarzy inkaskich, a wiele plemion polinezyjskich ma, wedle badań genetycznych, pochodzenie malajskie. Zdumiewające zatem było nie to, że Wamani potrafili przepłynąć na naszą wyspę, lecz to, że nikt poza nimi tego nie potrafił.

Dzięki nim pan Pohjola mógł w końcu wrócić do świata. To oni zdradzili mu, jak to zrobić. I, co ważniejsze, jak dostać się na wyspę znowu. Pragnęli bowiem, by ten «przyjaciel bogów» odwiedził ich ponownie.

W ten sposób pan Pohjola stał się najpotężniejszym człowiekiem na ziemi.

Do tamtej pory był po prostu bogaczem. Na wyspie stał się kimś więcej.

W czasie swego pobytu miał okazję zaobserwować wiele zjawisk, które tu zachodzą. Z pewnością słyszeliście dotyczące ich plotki: historie o duchach, stworzeniach magicznych, zmartwychwstaniach i ufoludkach. By zaoszczędzić wam zmartwień i uprzedzić wasze pytania, powiem, że na wyspie NIE ma żadnej bazy kosmicznej i że wy NIE umarliście i NIE znaleźliście się w rajcu... Albo w piekle, jak wolicie. Niewykluczone jednak, że spotkacie się tu z różnymi osobliwościami. W większości to zwykłe zwidy, podobne do fatamorgan na pustyni, wynikłe ze stresu i odwodnienia.

Niektóre z tych dziwów, z którymi możecie się sami zetknąć, to:

- błękitna chmura;
- złota chmura;
- biała chmura;
- silny, zakłócający pracę urządzeń elektronicznych magnetyzm;
- zaburzenia grawitacji;
- dźwięki zbliżone do szeptów, a wydawane przez owada zwanego *cucuro*, podobnego do pasikonika i żyjącego na liściach wielu tutejszych drzew.

Wszystkie te zjawiska, choć dziwne, dadzą się naukowo wyjaśnić. Nie ma w nich niczego nadprzyrodzonego.

Z pewnością słyszeliście też o pewnych strefach czy miejscach takich jak:

- czarny monolit;
- morze stałej wody;
- zatoka meduz.

Wszystko to strefy zakazane ze względu na wasze zdrowie i bezpieczeństwo.

Strefą bezwzględnie zakazaną jest również wnętrze wyspy, zwłaszcza góry w jej środku. Pan Pohjola znalazł się tam po katastrofie samolotu i przeżył wyłącznie dzięki swojej nadzwyczaj mocnej konstytucji. Późniejszy brak snu stanowił właśnie skutek bytności w tym niebezpiecznym miejscu. Towarzysz pana Pohjoli, Enno Kuiliammi, miał mniej szczęścia: umarł przed opuszczeniem wyspy. Oszalał i rzucił się do morza z klifu.

Powtarzam: wnętrza wyspy należy za wszelką cenę unikać. Zasadniczo im

wyżej się tu człowiek znajduje, tym większe grozi mu niebezpieczeństwo. Z tego powodu SIAR postanowił stworzyć system podziemnych bunkrów. W jednym z nich się teraz znajdujecie.

Podziemia są całkowicie bezpieczne. Ilekroć jednak wychodzicie na zewnątrz, powinniście zabezpieczyć się dawką xitofelu. W Centrali, w bunkrach i na wybrzeżu go nie potrzebujecie, natomiast w każdym miejscu położonym co najmniej dziesięć metrów nad poziomem morza już tak.

Dziękuję wam za uwagę i za entuzjazm. W kolejnym filmie wytłumaczmy wam, jaką misję macie do spełnienia w bunkrze sto dwadzieścia dwa.

W imieniu panów Pohjoli, Alta i Lewellyna oraz całego Skinner Institute for Anthropological Research jeszcze raz dziękuję. I powodzenia”.

Byłem potwornie zmęczony i oczy same mi się zamykały. Czuję się przytłoczony nadmiarem informacji i chciałem tylko odpocząć. Z nikim się nie żegnając, ruszyłem do sypialni, gdzie stały prycze z prawdziwymi materacami i prawdziwymi poduszkami, położyłem się i natychmiast zasnąłem.

Docieramy do Centrali

Nazajutrz opuściliśmy Spichlerz z plecakami wyladowanymi prowiantem i podjęliśmy wędrowkę. Nie potrafię opisać, jak się w tych chwilach czuliśmy. Pamiętam, że bez przerwy rozmawialiśmy o tym wszystkim, co znaleźliśmy w Spichlerzu. Bez wątplenia najbardziej zdumiewało nas odkrycie, że mieszkający na tej wyspie ludzie szpiegują nas od lat.

Przychodziło nam już wcześniej do głowy, że nie bez powodu lecieliśmy wszyscy tamtym samolotem Global Orbit i że zostaliśmy sprowadzeni na wyspę w jakimś celu. Ale w jakim? Ktoś nas tyle czasu obserwował, żeby potem porzucić nas albo ewentualnie prześladować? Bez sensu.

Wędrowaliśmy równolegle do ciągnących się przez środek wyspy pasm górskich, które pozostawały po naszej lewej stronie, i zagłębialiśmy się coraz bardziej w kamieniste, niemal pustynne doliny, gdzie rosły jedynie gatunki typowe dla klimatu suchego: skórzaste rośliny, powykręcane drzewka podobne do jądłoszynów i wielkie, najeżone kaktusy. Czasem ich długie, fioletowawe kolce wystające spośród złotawej szczeciny wbijały się nam w skórę. Wyciąganie ich było bardzo bolesne, bo zagłębiały się w ciało na co najmniej dwa centymetry. Z utęsknieniem wypatrując jakiejś rzeki, z trudem schodziliśmy ku południowej części wyspy, gdzie spodziewaliśmy się zielonych nizin.

Wade, który podążał na czele, krzyknął nagle, wskazując na kobietę leżącą wśród skał jakieś sto metrów niżej. Miała na sobie krótkie spodenki i podkoszulek koloru fuksji, mocno kontrastujący z brązami i szarościami otoczenia. Kilka czarnych ptaków o rozłożystych skrzydłach kołowało w górze, wypatrując posiłku. Zbliżyliśmy się do leżącej, sądząc, że nie żyje. Ale żyła. I nie do końca była kobietą. Bo chodziło o Swayłę, szczupłą Swayłę, wycieńczoną i odwodnioną.

Kiedy doszła do siebie, opowiedziała nam swoją odyseję. Wraz z innymi

kobietami, tak jak one przywiązana do długich żerdzi, została poniesiona w głąb dżungli. Później, gdy się ocknęły, kazano im iść w karnym, niewolniczym szeregu. Wędrowały częściowo skrępowane oraz zakneblowane, nawet kiedy oddalili się o kilka dni drogi od wioski. Dzicy oraz *insiders* nie odzywali się do nich i prawie też nie rozmawiali między sobą. Zwłaszcza dzicy zachowywali uparte milczenie. Jedli, pokonywali kolejne odcinki trasy, wspinali się na drzewa, by coś sprawdzić, rozpalali ogniska – a wszystko to bez słowa. *Insiders* porozumiewali się z nimi za pomocą gestów albo nielicznych komentarzy po angielsku lub w tubylczym języku, którym szef całej grupy, Abraham Lewellyn, zdawał się władać całkiem nieźle. Kneble zdejmowano brankom wyłącznie na czas posiłków, z ostrzeżeniem, że jeśli któraś się odzwie czy zacznie krzyczeć, przez resztę drogi żadna nie dostanie już nic do jedzenia. Dlatego posilały się w ciszy i potulnie pozwalały z powrotem kneblować. Obsesja, jaką *insiders* przejawiali na punkcie milczenia, szczególnie we wnętrzu wyspy, była nam już znana, ba, część z nas przekonała się na własnej skórze, do czego są pod jej wpływem zdolni.

Swayła nie wiedziała, dokąd zabrano resztę kobiet. Porywacze dopiero po trzech dniach zorientowali się, że ona jest w gruncie rzeczy mężczyzną, mimo że sikała, kucając. Nie miała swoich hormonów, więc zaczęła jej odrastać broda i nie dało się tego ukryć. Dzicy bardzo się śmiali z jej genitaliów, *insiders* zaś powiedzieli, że jej w takim razie nie potrzebują, więc puszcza ją wolno i może wracać do osady, byle pod żadnym pozorem nie zagłębiała się w górzysty interior.

– Co tam jest takiego strasznego? – odważyła się spytać.

– Pomyśl o tym tak: na tej wyspie my i nasi sojusznicy, Wamani, spełniamy rolę dobrych policjantów – odparł człowiek zwany Abrahamem Lewellynem.

– Ci z gór to prawdziwe bestie.

Ten człowiek ją przerażał. Był wprawdzie niziutki, prawie jak karzeł, ale z jego wyłupiastych oczu biła taka moc, że aż dostawało się dreszczy.

Pozostali mówili na niego Abe lub Abraham, lecz traktowali go z ogromnym szacunkiem. Podobnie jak Wamani. Wszyscy bez szemrania stosowali się do jego postanowień i rozkazów. Poza tym nie było w nim nic szczególnego. Miał lekko piskliwy głos, a przemawiał zawsze łagodnie i odrobinę ironicznie. Widać było, że ma poczucie humoru i jest ponadprzeciętnie inteligentny. Spytałismy Swayłę, skąd to wrażenie, ale nie

umiała nam tego wyjaśnić. Tak mi się po prostu wydawało, oświadczyła. Wydawało jej się, że ten cały Abraham nie jest człowiekiem takim jak inni. Że dysponuje niemal nieograniczonymi możliwościami i widzi z wyprzedzeniem to, czego reszta nie dostrzega nawet wtedy, gdy ma to przed nosem.

Spytaliśmy również o dzieci. Swayla odrzekła, że w jej grupie były wyłącznie kobiety i że o losie dzieci nic nie słyszała.

Doktor Suttiś dopytywał się o Wradżawalę, a Roberto B. i Óscar niepokoiли się o Xóchitl. Swayla powiedziała, że do momentu, kiedy zawróciła, wszystkie porwane kobiety czuły się dobrze i w ogóle wydawały się bardzo silne i wytrzymałe.

Chcieliśmy oddać jej część zapasów, żeby mogła wrócić do osady, jednakże perspektywa samotnej wędrowni przez wyspę tak ją przerażała, że postanowiła raczej dołączyć do nas.

O zmierzchu tamtego dnia dotarliśmy w okolicę, gdzie nie rosło ani jedno drzewo, a pofałdowany teren pokrywały niskie paprocie oraz trawa. Pośród tego krajobrazu ujrzeliśmy dziwną metalową kolumnę o miedzianym połysku, zwieńczoną jakby cynową kulą o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Kolumna, w przekroju kwadratowa, miała ścięte krawędzie i wyryte wzdłuż całej – około dziesięciometrowej – wysokości rysunki podobne do run. Lśniła w słońcu, choć nie tak intensywnie jak wieńcząca ją kula, która zdawała się odbijać wszystko niby lustro. W przeciwieństwie do innych budowli, na jakie natknęliśmy się wcześniej na wyspie, konstrukcja ta sprawiała wrażenie nowej i dobrze utrzymanej. Obok, po lewej i po prawej stronie, stały dwie kolejne, identyczne kolumny, dalej zaś ciągnął się ich długi szereg, błyszcząc cynowymi kulami na tle falistego pejzażu.

W oddali, na lewo, zobaczyliśmy morze. Tak zatem wyglądało południowe wybrzeże wyspy. Czyli zdołaliśmy ją przemierzyć z jednego krańca na drugi.

Ostrożnie zbliżyliśmy się do pierwszej z kolumn. Joaquín oznajmił, że cały ten kompleks musi spełniać funkcję jakiejś zapory, którą może niebezpiecznie byłoby przekraczać. Przeprowadziliśmy kilka prób, przerzucając przez domniemaną barierę energetyczną, która miałaby się rozciągać między kolumnami, różne przedmioty, a nawet kilka schwytanych naprędce żywych stworzeń: jaszczurkę, dwie żaby oraz traszkę znaną z pobliskim strumieniu, jednakże nie wyrządziło im to chyba większej szkody. Później dowiedzieliśmy się, że ów szereg kolumn rzeczywiście stanowił zapórę energetyczną służącą utrzymaniu błękitnego olbrzyma poza ogrodzonym

terenem – rozległym półwyspem, gdzie *insiders* założyli swoją kwaterę główną.

Dlaczego akurat wtedy zaporą ta nie działała? Czyżby specjalnie ją zdezaktywowano, żebyśmy mogli przejść?

Parę kilometrów dalej znowu pojawiły się ukwiecone krzewy i drzewa. Później dowiedzieliśmy się, że energia wytwarzana przez kolumny hamowała wzrost większych roślin w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Pokonaliśmy rozległe i znaczne obniżenie terenu, i wspięliśmy się z powrotem. Masyw górski we wnętrzu wyspy wznosił się teraz za naszymi plecami. Wulkan, który, jak nam się wcześniej zdawało, wyznaczał geograficzny środek wyspy, musiał jednak leżeć nieco na południe, jako że z południowego wybrzeża wyglądał dużo okazalej. Jego szczyt, jak zawsze, zasłaniały chmury. Przypomniałem sobie słynną chmurę, która w poezji zasłania wstępującego do niebios Chrystusa. W związku z czym Chrystus sam poniekąd przyjmuje postać chmury. Cienia.

Cieniu chmury, zakryj mnie.

Cieniu chmury, daj mi osłonę.

Teraz, gdy półwysep się rozszerzył, połśniewające gdzieś z lewej morze znikło nam z widoku. Po jakichś dwóch godzinach marszu i dodatkowej godzinie odpoczynku znaleźliśmy się przed mniej więcej trzymetrowym murem, całkowicie pokrytym gęstymi pnączami. Ruszyliśmy wzdłuż niego na południowy wschód, licząc na to, że natrafimy na szczelinę czy wręcz bramę, przez którą dostalibyśmy się na drugą stronę. Wędrowaliśmy wszyscy – jak doskonale pamiętam – w absolutnym milczeniu. Po dwudziestu minutach usłyszeliśmy za murem głosy: stłumione okrzyki, którym towarzyszyły rytmiczne uderzenia – jakby ktoś czymś drewnianym, na przykład grubą bambusową łodygą, uderzał w coś pustego albo w napiętą linę. Zatrzymaliśmy się, żeby posłuchać. Głosy dobiegające zza muru należały chyba do kobiet, może autochtonek. Trochę dalej dostrzegliśmy wielki figowiec bengalski, który rósł przyklejony do muru, obejmując go swoimi splątanymi pędami, opadającymi aż do ziemi i tworzącymi coś w rodzaju drabiny. Nawet ja, z pomocą swoich towarzyszy, zdołałem się na nią wspiąć. I tak, jedno po drugim, wyrzeliśmy na drugą stronę.

Korona figowca stanowiła doskonały punkt obserwacyjny – pozwalała nam rozejrzeć się na jakieś trzysta metrów dookoła i jednocześnie kryła nas, usadowionych wygodnie na gałęziach, przed wzrokiem postronnych.

Za murem rozciągał się wielki, starannie przycięty trawnik opadający łagodnym, lekko pofałdowanym zboczem. Niecałe sto metrów od nas znajdował się kort tenisowy, na którym grały w debla cztery młode kobiety, ubrane całe na biało – w koszulki, krótkie plisowane spódniczki, czapki z daszkiem, opaski na nadgarstkach, skarpetki i adidas. Grały bardzo dobrze, jak zawodowe tenisistki. Kort otoczony był bardzo wysoką, zatrzymującą piłki siatką. Dalej zauważyliśmy kolejne dwa korty oraz rząd zacieniających je drzew, zza których prześwitywały jakieś zabudowania. Siedzieliśmy tak z pół godziny, skupieni na grze, niezdolni się ruszyć, aż cztery kobiety skończyły mecz i zaczęły się zbierać, ocierając pot z twarzy, pijąc wodę z butelek, które wyjęły ze sportowych toreb, i chowając rakiety do pokrowców, a lśniące limonkowe piłki – do plastikowych tub.

Głosy docierały do nas teraz całkiem wyraźnie. Kobiety mówiły po angielsku, jedna z australijskim akcentem.

– Która godzina?

– Piąta trzydzieści.

– To mamy czas na kąpiel.

Kiedy znikły, wesoło komentując mecz, jak również jakiegoś mężczyznę imieniem Jeffrey, my zeszliliśmy na ziemię po korzeniach figowca, zwisających także po drugiej stronie muru.

Mieliśmy przed sobą coś w rodzaju luksusowego ośrodka wczasowego. Za gęstą ścianą drzew ocieniających korty widać było jakiś niski ceglany budynek. Falujący trawnik okazał się polem golfowym z bielejącymi gdzieniegdzie chorągiewkami sygnalizującymi położenie dołków. W oddali po łagodnym zboczu sunęła kosiarka, jeszcze dalej – kolejna. W klarownym popołudniowym powietrzu niósł się cichy pomruk ich silników.

Za kortami znajdował się wielki basen otoczony cementowym tarasem, na którym stały leżaki. Około dwudziestu osób obojga płci zażywało kąpeli lub odpoczywało w cieniu parasoli, popijając coś z wysokich szklanek i koktajlowych kieliszków. Tu i ówdzie rozstawiono okrągłe metalowe stoliki, a z ceglaneanego budynku raz po raz wyłaniały się kelnerki z tacami. Zbliżyliśmy się dyskretnie, ale nie próbując się ukrywać – po pierwsze dlatego, że nie było jak, po drugie zaś wskutek przekonania, że ci sympatyczni wczasowicze nie zrobiliby nam przecież krzywdy.

Basen i obiekty sportowe urządzono na szczycie łagodnego trawiastego zbocza, toteż, patrząc na południe, widziało się stąd zarys półwyspu, na

którym się znajdowaliśmy. Tak, w odległości jakichś siedmiu czy ośmiu kilometrów zaczynało się morze, w które wrzynał się półwysep. Bliżej nas leżało miasteczko: kilka tuzinów domów z prefabrykatów, rozrzuconych nieregularnie pośród zielonych ogrodów poprzecinanych białymi drogami. Wszystko to zaprojektowano na amerykańską modłę, tak że domy nie tworzyły zwartej zabudowy. W większości parterowe, pomalowane zostały na różne kolory, z przewagą dyniowego pomarańcza i koralowej czerwieni. Poza tym widać było słupy elektryczne połączone grubymi czarnymi kablami. Coś w rodzaju parkingu, na którym stało w rzędzie kilka jeepów. Drewniane wsporniki z megafonami. Budynek większy od innych, długi, z biegnącą wzdłuż jednego boku werandą, mieszczący chyba biura. I kolejny: biały, z wymalowanym pośrodku czerwonym krzyżem – z pewnością szpital. I jeszcze jeden: okrągły, kojarzący się ze spichrzem. W głębi – zielone baraki, pięć czy sześć identycznych szeregów. Kilka palm. Kołyszące swoimi wachlarzami pielgrzany. Krzewy hibiskusa. Obrosnięte sitowiem sadzawki, u brzegów których w zamyśleniu przechadzały się pojedyncze czaple lub flamingi. Warzywniki. Warzywniki leżące odłogiem. Wielkie krowy za jakimś ogrodzeniem. Ogromne, dające głęboki cień drzewa.

Byliśmy wstrząśnięci. Sądzę, że wszyscy zakładaliśmy, iż *insiders* mieszkają w dżungli, choć zapewne w lepszych warunkach niż partyzanci. Domyślaliśmy się, że nie brakuje im broni ani żywności, natomiast chyba nikt z nas nie przypuszczał, że całkiem niedaleko miejsca, gdzie my cierpieliśmy głód i inne niedostatki, ktoś korzysta z wszelkich zdobyczy cywilizacji.

To, co widzieliśmy, to była Centrala. Tak ją nazywali. Choć oficjalna nazwa miasteczka brzmiała: Likkendala City. Znajdowało się tam jakieś sześćdziesiąt domów, trochę biur, szpital, szkoła, warsztat samochodowy, podziemny skład żywności i broni... Okrągły budynek, który początkowo wzięliśmy za spichrz, nazywano „świątynią” i wykorzystywano jako miejsce spotkań (prawdziwych świątyń ani kościołów w Likkendala City nie było). W zielonych barakach w głębi szkolono personel i kwaterowano pracowników niewykwalifikowanych, których musiało tam mieszkać około setki. W sumie liczba ludności sięgała czterech setek, a średnia wieku wynosiła trzydzieści pięć lat. Morze, jak wspomniałem, leżało w odległości zaledwie kilku kilometrów. Nie rozumiem, dlaczego miasteczko nie wzniesiono na samym brzegu, gdzie zwykle jest chłodniej niż w głębi lądu. Przy czym panujące na wyspie upały i tak nie stanowiły dla mieszkańców Likkendala City problemu,

albowiem większość z nich dysponowała klimatyzacją. Nad wodę, do ulokowanego w jednej z osłoniętych zatok portu, prowadziła asfaltowa szosa. Nieopodal znajdowało się też lotnisko – opuszczone od lat i zarośnięte, jako że dostanie się na wyspę drogą powietrzną było właściwie niemożliwe. Jedyne prawdziwe połączenie ze światem zewnętrznym zapewniał miejscowym okręt podwodny. Wszystkie te szczegóły poznaliśmy, rzecz jasna, później i stopniowo. Tymczasem rozglądaliśmy się bezradnie dokoła, niezdolni uwierzyć własnym oczom.

Podszedł do nas kelner, by uprzejmie zapytać, czy należymy do klubu. Gapiiliśmy się na faceta, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie trwało to jednak długo. Zaraz podjechało ku nam kilka jeepów, z których wyskoczyli uzbrojeni mężczyźni. Zmusili nas, żebyśmy wsiedli do samochodów, i powieźli w dół, do miasteczka, a konkretnie do jednego z zielonych baraków w głębi. Mijając centrum, ze zdumieniem obserwowaliśmy sceny z cywilizowanego życia: huśtawkę zawieszoną na gałęzi; człowieka w słomianym kapeluszu, przycinającego żywopłot; grupę mężczyzn w niebieskich roboczych kombinezonach, odpoczywających przy ladzie otwartego na ulicę baru; grupę kobiet w legginsach, uprawiających na łące jogę. Gdy dotarliśmy na miejsce, uzbrojeni mężczyźni kazali nam wysiąść z aut i, niczego nam nie wyjaśniając, zamknęli nas po dwóch w pokoju. W ten sposób *insiders* wzięli nas w niewolę.

Ja znalazłem się w jednym pokoju (czy raczej w jednej celi) z Wade'em. Było to skromne pomieszczenie o białym suficie, ścianach pomalowanych do wysokości metra dwudziestu centymetrów na żywą zieleń i jednym zakratowanym oknie z żaluzją. Wyposażenie składało się z dwóch łóżek stojących pod przeciwległymi ścianami, przykrytych bawełnianą kołdrą, zajmującego środek pokoju białego laminowanego stołu z dwoma metalowymi krzesłami oraz wentylatora sufitowego. Była też mała łazienka z lustrem, umywalką i sedesem. W sumie – warunki raczej spartańskie, ale dla nas iście luksusowe. Odkręcałeś kran i leciała woda. Naciskałeś włącznik i zapalała się lampa. To samo z wentylatorem. Łóżko było prawdziwym łóżkiem, pościel pachniała czystością, no i miałeś dach nad głową – co z tego, że dach więzienia. Pamiętam, że poczułem się w tym zamknięciu szczęśliwy, i pamiętam, że Wade spojrzał na mnie w wyraźną niechęcią.

– Tak się cieszysz, że trafiłeś do niewoli, John?

– Dlaczego widzisz wszystko w czarnych barwach? – odparowałem. – Ci

ludzie nie mogą być tacy źli. Patrz, jak żyją. Mają baseny, korty tenisowe, elektryczność... Mieszkają tu całymi rodzinami. Nie zauważyłeś huśtawek i tak dalej? Niewykluczone, że nasze problemy właśnie się skończyły.

Kiedy zapadł zmrok, podano nam kolację: sałatkę, pastę z tapioki, ryż, czarną fasolę w sosie i gotowaną rybę, a na deser – zieloną galaretkę. Wszystko ogromnie mi smakowało.

Pół godziny po tym, jak zabrano z pokoju tace, pogasły światła.

Poznajemy Abrahama Lewellyna

Żywiliśmy wątpliwości, czy mieszkańcy tego miasteczka to naprawdę ci sami ludzie, którzy prześladowali nas od miesięcy; ci sami, którzy potraktowali nas jakimś gazem i porywali nasze dzieci oraz kobiety. Nasze wątpliwości rozproszyły się już następnego ranka.

Obudzono nas o szóstej trzydzieści i poprowadzono do łazienki ulokowanej na końcu baraku. Tam wręczono nam po mydle i ręczniku i pozwolono się umyć. Później dostaliśmy czyste ubrania, których bardzo potrzebowaliśmy, jako że stare do niczego się już nie nadawały. Braлиśmy prysznic w otwartej przestrzeni, wszyscy razem, kobiety i mężczyźni. Staraliśmy się dyskretnie odwracać do siebie plecami. Następnie dwóch uzbrojonych mężczyzn kazało Wade'owi i mnie, byśmy z nimi poszli. Skuli nam ręce z tyłu i poprowadzili nas do miasteczka. Przemieszczaliśmy się niezbyt szybko, więc miałem okazję znowu przyjrzeć się otoczeniu.

Nadal mi się podobało. Domy z prefabrykatów były w dobrym stanie, wiele stało w zadbanych ogrodach. W cieniu drzew – najczęściej figowców i rozłożystych akacji – stały, krzesła i, niekiedy, ławki zapraszały do odpoczynku lub pogawędki ze znajomym. Na werandach wisały hamaki, a także ozdoby ze szkła, kości słoniowej i bambusa, pobrzękujące na wietrze. Z megafonów zamocowanych na drewnianych słupach płynęła akurat *VI Symfonia* Beethovena. Megafony te włączano tylko czasem (zdaje się, że jedynie z rana i o zmierzchu), ale zawsze puszczano przez nie muzykę poważną. Nigdy nie słyszałem, by nadawały coś innego, więc możliwe, że służyły wyłącznie do tego celu. Obok przejeżdżały furgonetki z robotnikami w niebieskich albo szarych kombinezonach i jeepy, w których siedzieli ludzie w kaskach i białych fartuchach. Wielu mężczyzn nosiło strzelby. Dostrzegliśmy grupkę dzieci wchodzących parami do szkoły. Część z nich miała na sobie kapelusiki z piórkami i zielone lub czerwone peleryny. Nie dojrzeliliśmy wśród

nich żadnego z naszych. Widzieliśmy też rodzaj hangaru, gdzie stały dwie ciężarówki w stylu tych, którymi jeździło się tuż po drugiej wojnie światowej. Mijający nas ludzie popatrywali na nas z ciekawością, lecz nie wydawali się specjalnie zdziwieni tym, że jesteśmy skuci kajdankami i eskortowani przez dwóch uzbrojonych mężczyzn.

Zostaliśmy zaprowadzeni do budynku biurowego, który zauważyliśmy już dzień wcześniej. Był piętrowy i pomalowany na dyniowy pomarańcz. Pokonaliśmy długi korytarz z drzwiami po obu stronach, weszliśmy na górę i w końcu znaleźliśmy się w dużym, komfortowym gabinecie z dwiema skórzanymi sofami i ławą w jednej części oraz z wielkim biurkiem w drugiej. Ściany pokryte były ciemnym drewnem niezbyt dobrej jakości – zapewne sklejką, przy czym ogólny efekt budził przyjemne skojarzenia. Na podłodze i parapetach stały liczne doniczki z tropikalnymi roślinami, żaluzje w oknach łagodnie filtrowały ostre poranne światło. Na ścianie w głębi, za biurkiem, wisiał bardzo duży olejny obraz przedstawiający wysokiego mężczyznę o bladej, chudej twarzy, ubranego w granatowy garnitur. Miedziana tabliczka pod spodem zdradzała jego tożsamość: to był Aarvo Pohjola. Mężczyźni, którzy nas w to miejsce przyprowadzili, ustawili przed biurkiem dwa krzesła, po czym kazali nam na nich usiąść i czekać.

Usłuchaliśmy i po chwili byliśmy już w gabinecie sami. Wade zerknął na mnie i kilkakrotnie przeniósł wzrok w górę, z prawa na lewo i odwrotnie. Stwierdziłem, że wskazuje mi dwie kamery umocowane w rogach pokoju pod sufitem. Podglądali nas. Podśluchiwali. Siedzieliśmy w ciszy. Ja z ciekawością studiowałem rysy mężczyzny z portretu. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Był naprawdę wysoki, mocno zbudowany i elegancki. Miał szpakowate włosy i intensywne, ciemne oczy. Usiłowałem wydedukować z jego wizerunku coś więcej, ale bez większego rezultatu.

Po kilku chwilach otworzyły się boczne drzwi i ukazał się w nich człowiek, którego widziałem wcześniej, jak kierował akcją po spuszczeniu gazu na naszą osadę. Przedstawił się jako Abraham Lewellyn – które to imię i nazwisko w taki czy inny sposób zdążyły nam już utkwic w pamięci – i przez moment wydawało się nawet, że podejdzie, by uścisnąć nam dłonie, co byłoby zresztą niemożliwe, albowiem ręce wciąż mieliśmy skute za plecami. Dlatego zasiadł za biurkiem, westchnął głęboko i popatrzył na nas z dziwnym uśmiechem. Był z wyglądu niepozorny i zarazem, kto wie dlaczego, niezwykle charyzmatyczny.

– W końcu się spotykamy, prawda? – rzucił nerwowo, jakby nie wiedział,

w jaki sposób zacząć.

– Gdzie są kobiety? – spytał Wade tonem nieprawdopodobnie wręcz spokojnym. – Gdzie są dzieci?

– Nie jest pan tutaj po to, żeby zadawać pytania – odrzekł człowieczek za biurkiem, otwierając jedną z leżących przed nim teczek.

– Czemu traktujecie nas jak wrogów? – wtrąciłem. – Jesteśmy rozbitkami. Czemu nas tak traktujecie?

Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Na jego biurku piętrzyły się papiery, a on kolejno otwierał pomarańczowe teczki i przeglądał dokumenty, pewnie po to, by zyskać na czasie albo po prostu nas zdenerwować. Początkowo tak właśnie myślałem: że to wszystko poza. Później stopniowo zdałem sobie sprawę, że te pomarańczowe teczki rzeczywiście zawierają szczegółowe raporty dotyczące każdego z nas.

– John Barbarin – odezwał się, obrzucając mnie spojrzeniem. – Urodzony w Madrycie, w Hiszpanii. *Tenure* w Katedrze Kompozycji w Rosley College w Oakland w stanie Rhode Island. Kompozytor znany z upodobania do harmonii i ze skłonności neoromantycznych. Autor jednej opery, jednej opery kameralnej, trzech kwartetów smyczkowych, pięciu symfonii. Żaden z tych utworów nie doczekał się prawykonania. Zgadza się?

– Jeden z kwartetów się, owszem, doczekał – nadmieniłem. – Zagrali go ni mniej, ni więcej tylko muzycy z Emerson String Quartet.

– Wade Erickson – podjął Lewellyn. – Mechanik samochodowy. Właściciel warsztatu w Farber w stanie Connecticut, niezdolny do pracy od czasu napadu, w wyniku którego odniósł poważne obrażenia. Napastnikiem był jego przyrodni brat, Raymond Erickson, obecnie przebywający w więzieniu. Wskutek postrzału w kręgosłup ranny został przykuty do wózka.

Wade patrzył na niego bez słowa.

– Dobrze panu na tej wyspie, prawda, Wade?

Wade nie odpowiedział. Podziwiałem jego opanowanie.

– Nie ma pan nic do powiedzenia? Mówię, że dobrze panu na tej wyspie. Potraktowała pana wyjątkowo przyjaźnie. Przyjaźniej niż kogokolwiek, kogo znam. Z jednym wyjątkiem, naturalnie.

– Nie mogę się skarżyć – przyznał Wade.

– Dobrze – powiedział wtedy Lewellyn. – Pomówmy teraz o tym, co istotne.

Umilkł na moment. Rozejrzał się dokoła. Wstał, podszedł do okna i trochę

uniósł żaluzje. Potem znowu usiadł. Ja w całym pokoju szukałem jakichś tropów, jakichś wskazówek. Na jednej ze ścian wisiał plakat z instrukcjami na wypadek wstrząsu anafilaktycznego po zjedzeniu produktów spotykanych w większości amerykańskich restauracji. Były też opatrzone autografami zdjęcia Aldrina, tego astronauty, Ronalda Reagana, Arta Peppera, Bobby'ego Kennedy'ego, Nancy Sinatry i innych osobistości, których nie znałem.

– Więc może powie nam pan, co tu robimy – zaproponował Wade.

– Może raczej panowie mi to powiedzą – odparł Lewellyn. – To panowie pojawili się tu z nienacka bez zaproszenia. Nikt panów nie wzywał. Czego panowie tu, u licha, szukają?

– Tłumaczyliśmy to już milion razy – mruknąłem. – To był wypadek.

Lewellyn znów głęboko westchnął i opadł na oparcie swego skózanego fotela. Nagle wydał mi się śmieszny. Ten fotel był dla niego zbyt duży, zbyt uroczysty.

– Carmen i George mi mówili – oświadczył w końcu. – Mówili mi, że wy nic nie wiecie, a ja im nie wierzyłem. Nie rozumiem tylko, jak wam się udało w takim razie przeżyć. Ta wyspa jest zwykle bezlitosna. Wasz przypadek wydaje się w związku z tym całkiem niezrozumiały. Pan Pohjola najwyraźniej darzy was wielkim szacunkiem. Szczerze mówiąc, nie pojmuję dlaczego. Mechanik samochodowy z Connecticut i kompozytor trzeciego sortu, zajmujący się uwodzeniem swoich studentek... Tak, to dziwne, ale wiemy już, że każdy z panów, na swój sposób, osiągnął pewne... pewne porozumienie z tą wyspą...

Wade i ja milczeliśmy.

– Na tej wyspie... – Lewellyn zapatrzył się w światło przenikające przez plastikową żaluzję. – Jak to panom wytłumaczyć? Powiedzmy, że na tej wyspie jest gdzieś skrzynia... Nie, powiedzmy, że jest pomieszczenie... Pomieszczenie, tak? A w tym pomieszczeniu jest WSZYSTKO. Powiedzmy również, że trzej z was, kto wie w jaki sposób, zdołali to pomieszczenie odszukać. Powiedzmy, że trzej z was, kto wie z jakich powodów, zdołali osiągnąć pewne porozumienie z tą wyspą, przez co wyspa pozwoliła wam to pomieszczenie odnaleźć. Te trzy osoby to panowie dwaj: Wade Erickson i John Barbarin, a także Santiago Reina.

– Och – westchnął Wade.

– Mam nadzieję, że to wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie, panie Erickson – ciągnął Lewellyn. – Oto powód, dla którego zostali panowie tu

ściągnięci.

– Ściągnięci? – spytałem. – Nie zostaliśmy „tu ściągnięci”. Przybyliśmy tu z własnej woli. Poza tym, skoro chcieliście nas tu ściągnąć, czemu nie porwaliście nas w czasie ataku na osadę? Porwaliście przecież wiele innych osób.

Abraham Lewellyn spojrział na mnie swoimi szklistymi, błyszczącymi oczami.

– Musieli panowie zjawić się tu z własnej woli – odrzekł. – Na wyspie rzeczy muszą się odbywać zawsze w określony sposób. W przeciwnym razie skutki są nie do przewidzenia. Pan Pohjola poinformował nas, że muszą panowie wykazać inicjatywę. Pan Pohjola wie, co należy robić. On jedyny naprawdę zna i rozumie tę wyspę.

– Nie przestaje pan mówić o panu Pohjoli – zauważył Wade. – Chodzi o Aarva Pohjolę, prawda?

– Oczywiście.

– Wyraża się pan tak – ciągnął Wade – jakby to nie pan wydawał tu rozkazy, lecz właśnie pan Pohjola.

– Owszem, tak jest.

– Dajmy sobie spokój, Lewellyn – rzucił Wade. – Niech pan nie próbuje okłamywać kłamcy. To pan rządzi całym tym cyrkiem.

– Ja? – zapiszczał prześmiewczo Lewellyn, jakby sam pomysł wydał mu się absurdalny. – Nie, nie, jest pan w błędzie. Ja tylko wykonuję polecenia.

– Naprawdę usiłuje mi pan wmówić, że nie pan je wydaje?

– Więc tak to widzicie? – spytał Lewellyn, jakby mocno ubawiony. – Myślicie, że jestem przywódcą tych wszystkich ludzi? Kimś w rodzaju króla tej wyspy?

– Wszyscy odnoszą się do pana jak do przywódcy.

– Jestem jedynie pośrednikiem – oświadczył Lewellyn. – Nie wydaję żadnych rozkazów. Wydaje je pan Pohjola.

– Czyli ten słynny pan Pohjola też przebywa na wyspie? – zagadnąłem.

– Tak – odparł sucho Lewellyn. – Pan Pohjola przebywa na wyspie.

– Serio, dajmy sobie spokój, Lewellyn – mruknął Wade. – Co pan, do cholery, opowiada? Aarvo Pohjola musiał być stary już w latach sześćdziesiątych. Nie może go tu być. Musiał umrzeć przed dwudziestoma lub trzydziestoma laty.

– A zatem Pohjola tu jest – powiedziałem zafascynowany. – I pan z nim

rozmawia?

– No jasne, że z nim rozmawiam – przytaknął Lewellyn. – To nasz przywódca. Nasz przewodnik. To on nam mówi, co mamy robić.

– Czyli te wszystkie wariactwa, które wyprawiacie, te chore zagrywki: ataki na naszą osadę, porwania dzieci, nieustanne przebieranki to... pomysły pana Pohjoli?

Lewellyn jeszcze raz głęboko westchnął i wygodniej rozparł się w fotelu. Wydawał się znudzony i zmęczony, jak gdyby zadawane przez nas pytania padały w tym pokoju już wiele razy.

Wade i ja zerknęliśmy na siebie spod oka.

Mnie przyszedł do głowy czarnoksiężnik z krainy Oz.

– Zaraz – podjąłem – niech dobrze zrozumiem. Wychodzi na to, że na tej wyspie znajduje się jakieś pomieszczenie, którego szukacie. I trzech z nas, kto wie w jaki sposób, zdołało się do tego pomieszczenia dostać.

– Właśnie tak – potwierdził Lewellyn.

– I teraz chcecie, żebyśmy wam powiedzieli, jak tego dokonać, prawda? No to sprawa jest prosta. Ja wam powiem. Od razu. Nie mam zamiaru niczego ukrywać. Musicie się po prostu zagłębić w jeden z tuneli porzuconej autostrady. Domyślicie się, o który chodzi, bo drugi jest całkowicie zasypany. Ten pierwszy też się zawalił, ale da się tam przejść na drugą stronę.

Abraham Lewellyn spoglądał na mnie z uśmiechem, jakby moje słowa niosły ze sobą znaczenia dostępne wyłącznie dla niego.

– Co właściwie nazywa pan „porzuconą autostradą”? – spytał.

– Cóż – odrzekłem – trudno to inaczej opisać, bo chodzi ni mniej, ni więcej tylko o porzuconą autostradę. Podwójny wiadukt w jednej z dolin, podtrzymywany przez betonowe słupy. Nie sądzę, by na tej wyspie było więcej podobnych konstrukcji.

– Na tej wyspie w ogóle nie ma czegoś takiego – rzucił Lewellyn z pewnym zdziwieniem. – O czym pan, u licha, mówi?

– Wszyscy to widzieli – odparowałem. – Wszyscy, którzy brali udział w tamtej ekspedycji. Spędziliśmy tam noc.

– W takim razie to dzieło pana Pohjoli – rzekł Lewellyn, patrząc na mnie, jak mi się zdało, z pewną zazdrością. – Tak, musiało chodzić o stworzoną przez niego scenografię: doskonałą w każdym szczególe, całkowicie wiarygodną... Ta rdza, plamy porostów, wszystko solidne i stare, jakby znajdowało się w tym miejscu od pięćdziesięciu, stu albo tysiąca lat.

Dotykaliście tego własnymi rękami, wspięliście się na górę, zajrzeliście do opuszczonych tuneli...

– Istotnie.

– A jednak *nic z tego nie istniało*. Pan Pohjola tworzy takie widowiska. Bo to jedynie widowiska. Pan Pohjola tworzy je z materiałów, które ma do dyspozycji, a które są praktycznie niewyczerpane. Wykorzystuje nasze albo własne wspomnienia, czasem też kreuje wspomnienia rzeczy, które nigdy nie istniały. Dla niego cała materia świata to substancja jego snu.

– Twierdzi pan, że pan Pohjola „tworzy widowiska”? – spytałem coraz bardziej zafascynowany. – Jak ktoś miałby stworzyć z niczego autostradę?

Abraham Lewellyn swoim zwyczajem westchnął, jak gdyby zastanawiał się nad odpowiednim wyjaśnieniem.

– Za SIAR-em stało trzech wpływowych ludzi – zaczął w końcu. – Jeden z nich odkrył tę wyspę. Później doszło między nimi do konfliktu, ale pan Aarvo Pohjola, odkrywca wyspy, pokonał pozostałych i zyskał nad wszystkim pełną kontrolę. Ale to pieśń przeszłości. SIAR od dawna nie istnieje. Jego zabawy były dla wyspy niczym. Wyspa zniszczyła SIAR, rozczłonkowała go, obróciła wniwecz. Jednakże pan Pohjola spędził trochę czasu w pobliżu Czarnej Kolumny. Kiedy po raz pierwszy trafił na wyspę. I mimo to nie umarł ani nie oszalał, co stałoby się z każdym zwykłym człowiekiem. Czarną Kolumną krajowcy nazywają jedną z gór we wnętrzu wyspy, a właściwie bazaltowy monolit w kształcie wyrastającego z ziemi słupa. Magnetyzm jest tam tak silny, że nie działają żadne urządzenia elektroniczne i nawet prawa grawitacji zostają zakłócone: skały wiszą w powietrzu...

Wade i ja znów popatrzyliśmy po sobie.

– W rzeczywistości Czarna Kolumna, zbudowana z nieznanego minerału, to potężne źródło nieznannej energii. W każdym razie pan Pohjola bardzo się przez nią zmienił. Niektórzy mówią, że przestał być człowiekiem. Inni, że jednak zwariował. Jego moc przerasta nas wszystkich. Jego możliwości są wręcz niewyobrażalne.

– Zmienił się w błękitnego olbrzyma – stwierdził wtedy Wade.

Abraham przez kilka sekund wpatrywał się w niego z głębokim namysłem. Potem spuścił wzrok i westchnął.

– Wy nic nie wiecie... – powtórzył, jakby konstatuując coś tak niepojętego, że aż umysł odmawia pogodzenia się z tym. – Więc jak przetrwaliście tu tyle czasu? Ta wyspa jest bezlitosna... Dlaczego was wszystkich nie zabiła?

– Czy on jest w tym budynku? – spytał Wade. – Czy nas teraz słucha?

Abraham Lewellyn niespokojnie rozejrzał się dokoła, jakby słowa Wade’a wzbudziły w nim lęk.

– Pana Pohjoli *tutaj* nie ma – oznajmił, świdrując Wade’a wściekłym spojrzeniem. – I nikt nie może się z nim kontaktować.

– Pan może.

– Ja tak.

– Komunikuje się pan z nim telepatycznie? – spytał Wade.

– Jeśli muszę coś z nim skonsultować, idę na spotkanie.

– Sam?

– Tak, oczywiście – odparł Lewellyn.

– Gdzie on mieszka?

– To nie pańska sprawa.

– I pozostali na to pozwalają?

– Na co?

– Dlaczego sami nie porozmawiają z panem Pohjolą, jeśli on rzeczywiście istnieje? Dlaczego pozwalają panu spotykać się z nim w pojedynkę? Dlaczego tylko pan korzysta z tego przywileju?

– Rozmowa z panem Pohjolą to faktycznie przywilej – przyznał Lewellyn. – Tyle że taki, którego nikt nie chciałby za nic w świecie. Gdybym ja nie chodził na te spotkania, nikt by nie chodził.

– Czemu nie?

– Bo inni za bardzo by się bali – odparł Lewellyn.

– Pohjola! – zawołał Wade. – Gdzie się pan ukrywa? Chcę z panem porozmawiać! Słyszysz nas pan?

– Cicho! – syknął Lewellyn. – Niech pan się zamknie! Niech pan się natychmiast zamknie!

W tym momencie drzwi się otworzyły, wpuszczając do środka tych samych uzbrojonych mężczyzn, którzy nas przyprowadzili. Tym razem się z nami nie cackali. Brutalnie nas zakneblowali, wkładając nam do ust kawałki drewna, jak to się kiedyś robiło z przestępcami i niewolnikami, po czym wypchnęli nas na zewnątrz, klując w żebra lufami karabinów. Potem odstawili nas z powrotem do naszej celi.

Bruckner na Łące

Tego wieczoru, gdy pogasty światła, usiłowałem pogrążyć się w medytacji, tak jak uczył nas Dharma. Usiadłem na krześle, położyłem dłonie na kolanach i zamknąłem oczy. Później, zgodnie z zapamiętanymi wskazówkami, zacząłem koncentrować się na własnym oddechu i rozluźniać ciało, by następnie, obserwując poruszenia swojego umysłu, skupić się na jednym wybranym punkcie.

Przyływały do mnie obrazy, myśli, wspomnienia. Troski, głosy.

Cierpliwie koncentrowałem się na oddechu, starając się oddalić od siebie wszystkie te uprzykrzone zakłócenia. Wtedy oczami wyobraźni zobaczyłem ciemny pokój. Na jego środku stał Dharma, ubrany tak, jak wiele razy widywałem go w osadzie: w przewiewne spodnie i czarną koszulkę. Był boso, a na szyi zawieszoną miał małą – sznur modlitewny z nasion rudrakszy zakończony grubym kłębkim czerwonej nici.

„Dharmo”, spytałem, „co mogę zrobić, żeby się stąd wydostać?”

„Medytuj dalej”, odparł. „Medytuj dalej”. Usiadł na ziemi naprzeciwko mnie, skrzyżował nogi i wsparł ręce na kolanach, układając palce w mudrę medytacji (dłonie ułożone jedna na drugiej, wnętrzem do góry, ze stykającymi się kciukami). Powiedział: „Naśladuj mnie. Zachowuj się tak, jakbyś był mną. *Pretend you are me*”.

Postąpiłem, jak kazał.

Niemal natychmiast poczułem, że coś się we mnie zmienia. Inaczej odczuwałem samego siebie we własnym ciele. Wszedłem w stan Dharmy. Zdawało mi się, że ogarnia mnie mocny podmuch, jakby jakaś wielka siła unosiła mnie nade mną. Odnosiłem wrażenie, że moje fizyczne ciało przekształca się w tysiące, a potem miliony cząsteczek światła albo gazu, ruchliwych i przez to rozmazujących wszelkie kształty (przez chwilę widziałem siebie samego jak na jednym z tych obrazów Eschera, gdzie zamek

przemienia się w setki jaskółek, te zaś rozplývają się w powietrzu). Mój umysł tymczasem zyskiwał ogromną jasność. Traciłem świadomość fizyczności, zacierającej się wszędzie dookoła, i nabierałem świadomości jakiegoś subtelniejszego ciała, złożonego ze światła albo energii i nie do końca zdefiniowanego w swych zarysach.

Nagle pokój zniknął, ja zaś znalazłem się na jakimś trawiastym zboczu. Szedłem w stronę Rosany, która też tam była – nieco wyżej na stoku. Wyciągała do mnie rękę.

„Juanie Barbarín”, powiedziała, „cieszę się, że cię tu widzę. Pan Pohjola pragnie z tobą porozmawiać”.

„Znasz pana Pohjolę?” – spytałem.

Ruszyłem za nią pod górę. Po pewnym czasie zagłębiliśmy się między drzewa, ciemne i gęste, między zarośla o wielkich ciemnych liściach, a kiedy się spośród nich wydostaliśmy, znajdowaliśmy się w Pozuelo.

„Jesteśmy w Pozuelo”, stwierdziłem. „To ulice Pozuelo”.

„Na to wygląda”, potwierdziła Rosana.

Wędrowaliśmy ulicą Olmos z czasów mojego dzieciństwa. Rosana otworzyła furtkę do ogrodu Cristiny, weszliśmy do środka i przecięliśmy trawnik. Rosana kroczyła przodem. Szybko dotarła do żywopłotu dzielącego ogród Villarów od sąsiedniego i tam przystanęła.

„Musisz tam iść”, powiedziała. „Pan Pohjola czeka”.

Postąpiłem ku żywopłotowi. Nie był zbyt gęsty i łatwo przedostałem się na drugą stronę.

W ten sposób po raz drugi, od kiedy przebywałem na wyspie, trafiłem na Łąkę. Pokonałem żywopłot i oto miałem przed sobą stary ogród, gdzie bawiliśmy się w dzieciństwie. Na jego wyższym poziomie rosły dwa wielkie drzewa, jedno ciemne, a drugie jasne, zapewne drzewo świętojańskie i wierzba, między nimi zaś stał kamienny domek o zapadniętym dachu.

Wspiąłem się na dzielący Łąkę kamienny występ i ujrzałem, że przed domkiem, którego okna pozbawione były szyb i częściowo zabite deskami, ustawiono na trawie drewniany stół i dwie drewniane ławki. Takie stoły i ławki spotyka się w niemieckich i austriackich piwiarniach. I rzeczywiście – na blacie stały dwa kufle pełne złocistego, połyskującego w słońcu piwa, które wywołało we mnie nagłące pragnienie. Przy stole stał dość wysoki, łysy mężczyzna ubrany na ludowo, jak dziewiętnastowieczny chłop: w obszerną i długą błękitną koszulę, luźne spodnie w nieokreślonym brązowym kolorze

i grube buty do chodzenia po polach. Mężczyzna uśmiechnął się do mnie nieśmiało i uprzejmie podał mi rękę. Zdążyłem go już rozpoznać. Nie był wcale łysy – po prostu włosy miał tak jasne i rzadkie, że prawie niewidoczne, zarówno na bardzo krótko ostrzyżonej głowie, jak i nad górną wargą, gdzie układały się w starannie przycięty wąsik. Jego potężne, lecz bynajmniej nie grube ciało wieńczyła koścista główka, twarz zaś zdobił duży nos kojarzący się z dziobem papugi. Oczka były małe i błyszczące, pełne ekspresji. Uścisnąłem mu dłoń.

„Proszę usiąść”, odezwał się wysokim, podobnym do ptasiego świergotu głosem. „Proszę napić się ze mną bocka”.

Zająłem miejsce na jednej z ławek, a on uczynił to samo. Sięgnął po swój kufel i uniósł go, jakby do toastu. Bałem się jeść i pić w snach, toteż wzięłem drugi kufel z zamiarem udawania, że ów toast spełniam, jednakże chłód na wargach okazał się nieodpartą pokusą i mimo wszystko pociągnąłem łyk piwa. Długi, długi łyk złocistego piwa – gorzkawego, pysznego, zimnego jak lód.

„Kim pan jest?” – spytałem. „Panem Pohjola?”

„Kim, przepraszam?” – zdziwił się mężczyzna.

Powtórzyłem pytanie.

„Nazywam się Bruckner”, odrzekł. „Do usług”.

Ledwie go rozumiałem – przez jego cudzoziemski akcent i staroświecki sposób wyrażania się.

„Kiedy skończy pan swoją dziewiątą symfonię, panie Bruckner?” – spytałem.

„Och, pracujemy nad tym, pracujemy”, odparł. „Teraz akurat zająłem się kantatą na chór i wielką orkiestrę, o wyspie Helgoland...”

Nie przekonywało mnie to. Takie informacje mógł mieć każdy.

„Panie Bruckner, ten ogród, w którym się znajdujemy... Ta Łąka, ten dom, te drzewa... Co to właściwie jest?”

„Słucham?”, stropił się mój rozmówca. „Proszę szanownego pana o wybaczenie. Obawiam się, że nie zrozumiałem pańskiego pytania”.

„To miejsce, gdzie się znajdujemy”, tłumaczyłem, „nie istnieje naprawdę, tak?”

„Znajdujemy się w Toblach”, powiedział Bruckner, „nieopodal domu herr Mahlera”.

„To herr Mahler też tu gdzieś jest?” – spytałem. „Herr Gustav Mahler?”

„To wybitnie uzdolniony młody człowiek”, oświadczył Bruckner. „Chciał

u mnie pobierać lekcje, lecz posłuchawszy go przez pięć minut, natychmiast zrozumiałem, że nie mam go czego uczyć. Często odwiedzał mnie w Wiedniu, a kiedy się żegnaliśmy, zawsze odprowadzałem go aż do bramy na ulicę. Wyjątkowy młody człowiek. Mógłby większą wagę przywiązywać do kontrapunktu, to prawda. Ale kontrapunkt interesuje już chyba tylko starców...”

„Toblach”, rzuciłem. „Czyli jesteście w Tyrolu?”

„Istotnie, mój miły przyjacielu”, zaśmiał się Bruckner. „Gdzież by indziej?”

„Nie możemy być w Toblach”, zaprotestowałem. „Nie możemy być w Tyrolu. Nie możemy być nieopodal domu herr Mahlera. Nie możemy w ogóle rozmawiać, ponieważ ja żyję w dwudziestym pierwszym wieku, a pan, podobnie jak Mahler, umarł jakieś sto lat temu”.

Bruckner łagodnie pokiwał głową, pociągnął długi łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni, dyskretnie tłumiąc beknięcie.

„To jest Ogród Zmartwychwstania”, oznajmił. „Miejsce znajdujące się wszędzie i nigdzie zarazem. Dla mnie leży w Toblach. Dla pana – być może gdzieś indziej. To bez znaczenia. Czas też się tu zbyt nie liczy. My dwaj, owszem, rozmawiamy. Ja ponadto często rozmawiam z Mahlerem. Tak, nierzadko widuję go z jego szanowną małżonką i córkami. Wołają na mnie «wujek Bruckner», pani Alma zwraca się do mnie po imieniu: mówi mi Anton, a niekiedy Antonio, z włoska, albo w żartach – Tonio, albowiem traktuje mnie doprawdy jak członka rodziny. Pani Alma to naprawdę piękna kobieta. Wydaje mi się, że jest zbyt piękna jak na żonę i że herr Mahler cierpi z tego powodu katusze zazdrości. Pierwsze dziecko poczęła jeszcze przed ślubem i chociaż herr Mahler pospiesznie zalegalizował ich związek, podobne zachowanie nie wydaje mi się godne pochwały. Proszę mnie źle nie zrozumieć, kocham panią Almę jak córkę, niemniej obawiam się, że dwa tak zbliżone temperamenty nie są w stanie stworzyć stabilnego związku i raczej się nawzajem nie uszczęśliwią. Bo pani Alma też jest artystką, wie pan? Dobrze gra na fortepianie i pisze ładne *lieder*. Trochę jak Klara Schumann... *Lieder*, których nigdy nie pokazuje mężowi, a które gramy razem i śpiewamy w sekrecie. Tak, zdaje się, że obiecała herr Mahlerowi, iż po ślubie zarzuci twórczość artystyczną, i gdyby on się dowiedział o tych pieśniach, wpadłby we wściekłość. Pan Gustav to gorączka. Jest Żydem, wie pan? Pochodzi z Czech. Nie żebym miał coś przeciwko Żydom. Myślę jednak, że my, Austriacy, jesteśmy inni, spokojniejsi, bardziej wyważeni. Gdyby między Niemcami

a Żydami wybuchła wojna, Niemcy zostaliby unicestwieni w ciągu paru tygodni, nie uważa pan? Herr Mahler zdaje się mieć w środku wulkan. Ale pani Alma też. Powtarza mężowi: «Podziwiam mężczyzn za ich osiągnięcia: im one większe, tym bardziej ich podziwiam». A Herr Mahler na to: «Więc co by się stało, gdybyś poznała kogoś, kto miałby większe osiągnięcia ode mnie?». Na co ona: «Zakochałabym się w tym kimś, a ciebie porzuciła, to chyba jasne». Mówi takie rzeczy pół żartem, pół serio, lecz to wystarcza, by wzbudzić w moim przyjacielu straszliwą zazdrość. Herr Mahler odpowiada wprawdzie: «W takim razie jestem spokojny, bo nie sądzę, by ktokolwiek w naszych czasach osiągnął więcej niż ja», ale nie jest wcale tak spokojny, jak utrzymuje. Gdy tylko widzi, że Alma rozmawia z innym mężczyzną lub czyta książkę jakiegoś poety, lub słucha muzyki innego kompozytora, wprost choruje z zazdrości. Myślę, że gdyby mógł zamknąć żonę w klatce – w ładnej klatce wybitej aksamitem i ozdobionej klejnotami oraz piórami, toby to zrobił. Wtedy miałby ją wyłącznie dla siebie, pod kluczem. Czasem zresztą są zazdrośni o siebie nawzajem. Wyznam, że też bym tak chciał. Bo to znaczy, że się kochają. Ja nigdy nie zaznałem podobnych uczuć. Nie potrafię sobie wyobrazić, że jakaś kobieta mogłaby być o mnie zazdrosna. Pani Mahlerowa to osoba niezwykle inteligentna, dużo bardziej inteligentna niż jej mąż i niż ja, to z pewnością. Kiedy się pobrali, wie pan, co – między innymi – wniosła w posagu? Nigdy by pan nie zgadł! Książki! Swoje książki. Wśród nich *Dzieła zebrane* pewnego bezbożnika, którego Mahler nie tolerował”.

„Bezbożnika?” – zaciekałem się nagle. „O kogo chodziło?”

„O Friedricha Nietzschego. Nie wiem, czy pani Alma poznała go osobiście. Sławni mężczyźni zawsze ją pociągali. Nietzsche... Zakładam, że pan o nim słyszał, wszyscy o nim słyszeli. Skończył zamknięty w zakładzie dla umysłowo chorych. Biedak. Chciał zabić Boga. A zdołał jedynie oszaleć. Pani Alma miała jego *Dzieła zebrane* i zamierzała je ustawić na półce w swoim nowym domu, lecz pan Gustav stanowczo się sprzeciwił. Oświadczył, że zakazuje jej posiadania podobnych książek, i zażądał, by je spaliła. Wtedy pani Alma pokazała rogi: powiedziała, że palenie książek to barbarzyństwo i że ona ani myśli się do niego posuwać. Ostatecznie Herr Mahler musiał nieco ustąpić. Pozwolił, by *Dzieła zebrane* Nietzschego znalazły się w jego domu, jednakże kazał żonie obiecać, że nigdy już do nich nie zajrzy. I pani Alma się zgodziła. Sądzę, że ta drobna anegdota pokazuje panu, jaką oni są parą. Czy możliwe jest małżeństwo między dwiema tego rodzaju osobami? Między mężczyzną,

który nie umie zapanować nad własną żoną, a kobietą, która nie chce podporządkować się mężowi? Proszę sobie wyobrazić orkiestrę, w której wszystkie instrumenty grałyby jednocześnie, walcząc o prowadzenie głównej linii melodycznej. Nie, to tak nie działa. Kiedy jeden przemawia, inny cichnie. Kiedy jeden snuje melodię, inny z radością uzupełnia ją jakimś drobnym akordem lub wręcz milczeniem. Muzyka jest jak życie i życie powinno być jak muzyka. Piękno muzyki bierze się z harmonii między poszczególnymi elementami. A żeby zaistniała harmonia, każdy musi znać swoją rolę i swoje miejsce. Proszę wybaczyć, że tak mówię. Mam nadzieję, że nie naprzykrzam się panu ze swoimi opiniami. Proszę wybaczyć moją bezczelność. Jestem stary, to prawda, i z pewnością wydaję się panu staroświecki. Zresztą nie posiadam żadnego doświadczenia w kwestiach małżeńskich. Żadnego”.

Umilkł.

„Panie Bruckner...”, odezwałem się, szukając odpowiednich słów. „Z pewnością nie ściągnął mnie pan tutaj, żeby opowiadać mi o kłopotach małżeńskich Mahlera, prawda?”

„Jak, proszę? Co pan mówił, szanowny przyjacielu...?”

„Niech mi pan opowie o tym miejscu”, poprosiłem. „Niech mi pan opowie o Ogrodzie Zmartwychwstania”.

„Opowieści, opowieści...”, westchnął ciężko Bruckner. „Ja nigdy nie przepadałem za mówieniem. Od tego jest muzyka, czyż nie? Żeby mówić. To znaczy – żeby ona mówiła za nas”.

„Czy ten ogród, w którym się teraz znajdujemy, to adagio z pańskiej *VIII Symfonii*?” – spytałem.

Bruckner zaczął się rozglądać, ale odniosłem wrażenie, że nie jest moim pomysłem zbyt zaskoczony. Wciąż trzymał kufel z piwem za szklane ucho, nieświadomie gładząc je kciukiem.

Potem wsunął dłoń do jednej z kieszeni i wyjął torebkę z czereśniami. Zjadał je w zamyśleniu, odkładając pestki na stół, obok kufła.

„Tak, to możliwe”, rzucił w końcu. „Możliwe, że to adagio. Albo finale, nie wiem. Nie, nie, raczej adagio. W każdym razie niewątpliwie *VIII Symfonia*”.

Pogrążyliśmy się w milczeniu.

Zawsze czułem, że adagio z *VIII Symfonii* opisuje ogród. Ten ogród to dobrze mi znana Łąka, na którą natykałem się w życiu w różnych miejscach. Jej wymiary i poszczególne części mogą się trochę zmieniać. Może być ogrodzona murem lub zwykłym żywopłotem, podzielona na dwa poziomy

prostym kamiennym występem albo murkiem, na który trzeba wspinać się po schodkach. Drzewa bywają raz większe, raz mniejsze, a stojący między nimi dom też rośnie bądź maleje, podobnie jak kłapa na niższym poziomie. Jednakże Łąka zawsze pozostaje Łąką i teraz też nią była.

„Panie Bruckner...”, odezwałem się znowu. „Dlaczego tu jesteśmy? Co to miejsce oznacza? Symbolizuje tajemnicę muzyki? Stanowi mapę Rzeczywistości? Zwierciadło duszy?”

Mój rozmówca ciągle się rozglądał. Zdawało mi się, że patrzy na otaczającą nas roślinność tak, jak patrzają rolnicy: rzeczowo, bez idealizowania. Zdziwiło mnie to, gdyż zawsze sądziłem, że Bruckner w odniesieniu do przyrody był, obok Beethovena i Mahlera, jednym z największych idealistów. Odłożył na stół pestkę ostatniej zjedzonej czereśni, zwinął papierową torebkę i schował ją z powrotem do kieszeni. Później wstał, wspierając dłonie na kolanach, jak to często robią starcy, i ruszył w stronę domu. Postąpił kilka kroków i przystanął.

„Kiedy zaczynałem pisać adagio z *VIII Symfonii*”, powiedział, „myślałem o miłosnym duecie z drugiego aktu *Tristana i Izoldy* Wagnera... Mężczyzna, kobieta, kobieta, mężczyzna... Te początkowe synkopy... To właśnie jest muzyka Łąki, herr Barbarin, tego, co pan nazywa Łąką: muzyka dwojga kochanków... Walka między dwiema siłami... Wstępowanie i zstępowanie... Falisty, chromatyczny motyw węża... Muzyka z adagia to być może obraz raj. Wiatr kołysze trawami Łąki, na której leży dwoje splecionych kochanków... Nigdy nie przyszło panu do głowy, że te dwa drzewa: ciemne i jasne, silne i delikatne – to symbol kobiety i mężczyzny?”

„Kobiety i mężczyzny?” – powtórzyłem. „Nie, prawdę mówiąc, nie. Zawsze myślałem o czymś bardziej mistycznym...”

„Ale przecież nie ma nic bardziej mistycznego!” – wykrzyknął Bruckner. „Od dawna uważam, że *Tristan i Izolda* to najbardziej mistyczny utwór, jaki kiedykolwiek skomponowano... Gdy tak mówiłem, wszyscy się ze mnie śmiali... O tak, wciąż chyba słychać te chichoty... Wagnerowi chodziło o miłość zmysłową, przekonywali. O namiętność! Żadnej mistyki! Stary Bruckner niczego nie rozumie! Biedny, choć ujmujący głupek! Niewinny jak dziecko! A ja twierdzę, że to oni nie pojęli *Tristana*... Drzewo-mężczyzna i drzewo-kobieta. Rozdzieleni, ale z korzeniami splecionymi pod ziemią. Z gałęziami i liśćmi splecionymi, być może, wysoko w powietrzu. A najbardziej połączeni poprzez cienie, które rosną o zmierzchu. Rosną i łączą

się na Łące. Zauważył pan, herr Barbarin? Ja zawsze kochałem cienie drzew. Cienie drzew na chodnikach Linzu. Cienie lip w alejach cesarskiego Wiednia. Cienie wierzb na ukochanej ścieżce przez pola. W cieniu drzew można schronić się przed słońcem i deszczem. I z tego cienia, widzi pan, wyłania się dom... Można by powiedzieć, że ten dom symbolizuje dziecko. Chrystusa, który jest Synem, a także cieniem – cieniem chmury na ziemi. Widział pan kilka razy tę chmurę. Ale nie szukał pan jej cienia. Kimże jesteśmy, biedne, prowadzone na rzeź owieczki, jeśli nie częścią cienia tej chmury? Tego, co ta chmura zostawia za sobą na ziemi. Jej śladu. Cienia. A z cienia drzew wyłania się dom... Muzyka jest Chrystusem, albowiem Chrystus jest «wcielonym dźwiękiem». Rozumie pan?”

Również wstałem z krzesła, lecz tamten powstrzymał mnie gestem.

„Pan tak naprawdę nie jest Antonem Brucknerem”, stwierdziłem wtedy. „Jest pan jakimś filozofem, może mistykiem. Jest pan Aarvem Pohjolą?”

„Proszę spojrzeć na swoje stopy”, polecił mi wówczas stanowczo.

Najpierw nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Wskazał dłonią moje stopy, a ja, otumaniony, spuściłem na nie wzrok, nadal nie pojmując, co powinienem zobaczyć. Patrzyłem na swoje stopy, w których nie było nic nadzwyczajnego. Nic nadzwyczajnego.

„Boże mój!”, zawołałem nagle. „Mam obie!”

„Nie da się przebywać w tym miejscu i nie być kompletnym”, oświadczył Bruckner. „Mówi pan, że nie rozumie, nie wie, co tutaj robi. Odpowiedź jest prosta. Przybył pan tu, by tworzyć. Do tego służy muzyka: do tworzenia. Musi pan stworzyć dom i wejść do niego, w nim zamieszkać. Musi pan stworzyć cień i zamieszkać w tym cieniu, i pozwolić, by zamieszkali w nim także inni. Do czego służy muzyka? Do tego, by w naszym mózgu rozwinął się kwiat. A z tego kwiatu powstanie drzewo. A z tego drzewa narodzi się dziecko. I to dziecko zacznie chodzić. Jest pan piórem wielkiego boskiego ptaka. Kiedy wszystkie pióra ożyją, wielki ptak otworzy oczy i zerwie się do lotu. Do tego momentu pozostaje wyłącznie snem, kolekcją, listą, biblioteką, muzeum, stosem kości... Czy rozumie pan, że mówię panu o przemianie? Przemianie duchowej? Czy rozumie pan, że jeśli dotarł pan aż tutaj, to dlatego, że pragnie pan tej przemiany?”

„Przemiany...”, powtórzyłem. „W co miałbym się przemienić?”

„W gwiazdę”, odparł Bruckner. „A w co innego?”

Wskazał w górę, na błękitne niebo, na którym nie było widać żadnych

gwiazd. Spojrzałem tam, w ten czysty błękit, wyobrażając je sobie i wyobrażając sobie pośród nich tę jedną, która od zawsze na mnie czekała, od zawsze *o mnie wiedziała*.

„Ale po co? – spytałem. „Po co?”

„Po co...”, szepnął Bruckner czy ktokolwiek to był. „Oto wielkie pytanie. Wielu szukało tej «gwiazdy w człowieku», nie wiedząc po co. Pragnęli ewolucji, awansu w skali bytów, lecz wciąż nie wiedzieli po co”.

„Może żeby pomagać innym”, rzuciłem. „Pomagać cierpiącym”.

„To właściwa odpowiedź”, potwierdził Bruckner. „Chodzi o wielkie dzieło miłości. Pomoc innym. Cierpiącym”.

Próbowałem znowu wstać, ale nie zdołałem. Zobaczyłem, jak człowiek, który nie był Brucknerem, a był może panem Pohjolą, powoli kieruje się ku domowi, ten zaś, początkowo na pozór mały, rośnie i rośnie. Zdało mi się wtedy, że ów dom wraca do życia, że pnącza zakwitają, w oknach pojawiają się szyby i zasłony, a człowiek, który nie był Brucknerem, dociera w końcu do drzwi, chwyta za klamkę i je otwiera. I znika w środku, zamykając za sobą drzwi.

Wradźawala i Xóchitl uciekają

Po czterech dniach marszu przez wyspę Xóchitl i Wradźawala uciekły swoim pogrążonym akurat we śnie porywaczom. Więźniarkom porobiły się od łańcuchów rany na nadgarstkach, więc Abraham Lewellyn nakazał je na noc rozkuć. Ostatecznie ktoś i tak zawsze ich pilnował. Strażnicy dla pewności zmieniali się co trzy godziny, jednakże Peter, jasnooki olbrzym o twarzy dziecka, drugi w kolejności, uległ zmęczeniu. Xóchitl zauważyła to i zdołała obudzić śpiącą obok Wradźawalę. Nie odważyły się zaalarmować pozostałych. Musiałyby obejść całe obozowisko, a każdy szelest mógł je zdradzić, toteż postanowiły po prostu uciec.

Oddaliwszy się o kilkaset metrów, w pełni zdały sobie sprawę z trudności swego położenia. Były wyczerpane, nie miały wody ani zapasów żywności i nie znały drogi przez ciemną dżunglę. Nie wiedziały, dokąd iść, a ich kości i mięśnie gwałtownie domagały się odpoczynku. Każda zwłoka mogła się wszakże skończyć ponownym pojmaniem. Dlatego wędrowały do rana. Próbowwały wracać po własnych śladach, lecz mrok właściwie to uniemożliwiał. O świcie ukazała się ich oczom głęboka, wypełniona mgłą dolina. Z białego oparu, oprócz ich sylwetek, wyłaniały się pokryte kropelkami rosy paprocie. I wielkie pomarańczowe lub różowe kwiaty. I małe białe motyle. Pachniało roślinami i wilgotną ziemią. Ptaki śpiewały, a owady odpowiadały im brzęczeniem.

Dotarły do wijącego się pośród omszałych głazów strumienia, tam napiły się i umyły. Przez chwilę dyskutowały, czy widzą ten strumień po raz pierwszy, czy już go przekraczały. Znalazły gniazdo z jajami i dyskutowały przez chwilę, czy to jaja ptaka czy gada. Głód kazał im wyzbyć się przesądów: na śniadanie wypity po dwa surowe jaja, prosto ze skorupki, przez zrobioną w niej dziurkę.

Znajdowały się dość wysoko, w górach.

Odpoczywając, wdały się w dłuższą rozmowę i zaczęły opowiadać sobie

nawzajem swoje historie. Rozmawiały też później, idąc najpierw jedną doliną, potem kolejną, ciągle na północ, w głąb centralnego masywu, choć właściwie powinny się kierować na północny wschód. Kiedy słońce wspięło się wyżej, dostrzegły swój błąd, lecz zawędrowały już zbyt daleko. Zmęczone przestały rozmawiać. Szły tylko, mozolnie stawiając krok za krokiem i jeszcze jeden, i jeszcze. W pewnym jednak momencie zmęczenie zwyciężyło i posnęły. Władzawale obudziło jakieś zwierzę, mały ssak, który zaraz uciekł, tak że nie zdołała go dobrze zobaczyć. Położenie słońca wskazywało, że spały ledwie parę godzin, niemniej obawa przed pogonią już pchała je dalej. Ruszyły więc przed siebie.

Rosnący wokół las deszczowy był bardzo wilgotny, choć upał nie przytłaczał tu tak jak na nizinach. Okolica, nie wiadomo dlaczego, napawała lękiem. Między drzewami czaił się ponury mrok, wyzwalający złe przecucia. Później dżungla przerzedziła się nieco i słońce, przenikając przez gałęzie, zaczęło dokładniej oświetlać wszystko wokół. Xóchitl i Władzawala wędrowały dolinami, gdyż nie mogły przedzierać się w linii prostej przez skalne szczyty i granie. Krajobraz wyznaczał kierunek ich marszu.

Koło południa stanęły nad głęboką zapadliną, na której dnie lśniło intensywnym błękitem krasowe jezioro. Obok wznosił się piętrowy betonowy domek. Zeszły do niego, a w miarę, jak się zbliżały, jezioro, z góry przypominające ledwie kałużę, zdawało się rosnąć, podobnie zresztą jak domek. Ten niczym specjalnym się nie wyróżniał, miał dwuspadowy dach z blachy ocynkowanej i okna wyłącznie na piętrze. Wyglądał na opuszczony, choć w całkiem dobrym stanie. Władzawala dostrzegła w oczach Xóchitl lęk i spytała, o co chodzi. Jednakże Xóchitl z pewnością nie wyjaśniła jej tego od razu. Nie wyjaśniła, że budynek ten do złudzenia przypomina domek Miguelita i Any Maríi w Pahuatlán, w meksykańskim stanie Puebla. Z pewnością zadawała sobie w duchu pytanie, jak to, u licha możliwe, że ma przed sobą dom identyczny jak ten, w którym spędziła najgorsze chwile swego życia. A może nie zadawała sobie takiego pytania. Na wyspie umysł, wspomnienia, odruchy i instynkty działały inaczej niż gdzie indziej. To, co w innych miejscach mogło się wydawać normalne, tu sprawiało wrażenie nadzwyczajnego i odwrotnie: to, co w innych miejscach byłoby nie do uwierzenia, tutaj nie wzbudzało specjalnego zdziwienia.

Dziwnie jednak było patrzeć na ten dom w takim otoczeniu: pośród gór, na szarym nasypie opadającym ku błękitnemu jezioru, skoro wcześniej widywało

się go zawsze w Pahuatlán, na zboczu między innymi domami, palmami i topolami.

Weszły do środka. Z trudem otworzyły blaszane drzwi do kuchni, w której nie znalazły żadnych zapasów. Drzwi do głównego budynku stały z kolei otworem. A raczej wisiały – na futrynie. Xóchitl i Wradźawala wspięły się na piętro po cementowo-ceglanych schodach, których Miguelito nigdy nie wykończył. Na górze było jaśniej i przytulniej. Pokoje świeciły pustkami, niemiej w „salonie” stały dwie sofy, na ścianach zaś wisiały obrazki malowane na papierze amate oraz wizerunek Matki Bożej z Guadalupe. Xóchitl wytłumaczyła Wradźawali, kto to taki i ile znaczy dla Meksykanów.

– Czyli ten dom to twój dom w Meksyku? – spytała Wradźawala, rozglądając się wokół ciekawie.

O to właśnie mi chodzi, gdy mówię, że na wyspie człowiek z łatwością przyjmował rzeczy dziwne, a nawet potworne. Xóchitl powiedziała, że nie, to nie jest jej dom, ale że w takim właśnie mieszkała przez jakiś czas przed kilkoma laty. U przyjaciół, w górach w środkowym Meksyku. Usiadły na sofach, by odpocząć. Xóchitl wyjaśniła, czym jest papier amate i pokrótce opowiedziała o Miguelicie oraz Anie Maríi, jak również o swojej pracy dyplomowej z socjologii. Wtedy obie z Wradźawalą usłyszały dobiegający z łazienki szum. Szum wody, jakby z fontanny. Jakby ktoś zostawił odkręcony kran. Z pewnością szumiało tak przez cały czas, tylko one nie zdawały sobie z tego sprawy. Monotonne dźwięki mają to do siebie, że czają się gdzieś w kącie naszej świadomości, póki coś, na przykład nagłe milczenie, nie zwróci na nie naszej uwagi.

Xóchitl i Wradźawala popatrzyły po sobie ze strachem. Odkręcony kran? Ruszyły w stronę łazienki. Nie było tu drzwi ani nawet kotarki jak w prawdziwym domu Miguelita. Przez otwór w ścianie zobaczyły umywalkę: oba jej krany były zakręcone. Wradźawala zajrzała do środka i gestem pokazała Xóchitl, że muszą się wycofać. Zeszły na dół po schodach i opuściły dom. Już na zewnątrz Wradźawala powiedziała, że za zasłoną prysznicza chyba ktoś stał. Że chyba ktoś się tam właśnie kąpał.

– Chodźmy stąd – zaproponowała Xóchitl. – Uciekajmy stąd jak najdalej.

– Zaczekaj – oponowała Wradźawala. – Musimy sprawdzić, kto tam jest.

Odczekały na dworze jakieś pół godziny, nasłuchując dźwięków dobiegających z wewnątrz – bez skutku. W końcu ostrożnie wspięły się z powrotem na piętro. W pokoju wspólnym nadal nie było nikogo, a szum

wody nie ustawał.

– Niemożliwe, żeby ktoś brał prysznic tak długo – stwierdziła Xóchitl.

Głośno zapytały, czy ktoś tam jest. I wtedy, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, szum umilkł, jakby wreszcie zakręcono kran. Usłyszały, że za zasłoną coś się rusza. Usłyszały, że zasłona się rozsuwa. Ktoś wychodził spod prysznica, ciężki i niezbyt zwinny. Zaraz potem zobaczyły go w służącym za drzwi otworze w ścianie. Był dość korpulentny, nie bardzo wysoki, całkiem nagi i błyszczący od wilgoci, z grubym zwisającym penisem. Cały ociekał wodą. Miał krótkie czarne włosy i cienki wąsik nad wydatną górną wargą.

– Simeón – powiedziała Xóchitl.

Zasalutował jej i uśmiechnął się.

– Pani socjolożka. Co za niespodzianka!

Nie wydawał się jednak szczególnie zaskoczony.

– Wiem, że to nie ty – oświadczyła Xóchitl, dygocąc ze strachu. – Wiem, że to wszystko to wytwór mojego umysłu.

– Pani umysłu? – rzucił mężczyzna. – Nie sędzę. Pani umysł niewiele jest wart. Nie wytworzyłby nawet sflaczałego fiuta. A proszę spojrzeć, jakie twarde są te ściany. Ta podłoga. Proszę spojrzeć, jakie realne się wydają.

– Kto to jest? – pytała Wradźawala. – Znasz tego człowieka?

– Tak, znam go doskonale – odrzekła Xóchitl, zakładając, że Simeón nie zrozumie po angielsku. – Ten człowiek zgwałcił mnie razem z paroma swoimi kolegami. To zawodowy morderca, który zabawia się gwałceniem i biciem kobiet. Jak się upije, tłucze tę, którą ma pod ręką, aż się zmęczy. Zgwałcił własną córkę, ledwie trzynastoletnią, zapłodnił ją i dziewczynka umarła, gdy matka zabrała ją do znachorki na aborcję. Potem zgwałcił drugą swoją córkę, dziesięciolatkę. A potem go zabiłam.

– Ty? – przeraziła się Wradźawala.

– Tak. Jadem węża. Chociaż właściwie nie umarł od jadu. Jad go jedynie obezwładnił. Resztę załatwił ogień. I nie żałuję tego, co zrobiłam. Postąpiłabym tak znowu.

– Nie żałujesz? – spytał po hiszpańsku mężczyzna. – Postąpiłabys tak znowu, dziwko w dupę jebana? Gorszej wywłoki w życiu nie widziałem. Powinienem był cię zabić za pierwszym razem. Zużyta już byłaś, suko, taka otwarta, że cię nawet nie bolało. Po co było się w ogóle trudzić?

– Wiem, że nie żyjesz – wydusiła z siebie Xóchitl, dygocąc tak mocno, że prawie mogła mówić. – Nie boję się ciebie.

– Żyję, żyję – odparł mężczyzna. – Gdybym nie żył, czego bym tu szukał? Patrz – dodał, chwytając swój gruby członek i machając nim obscenicznie. – To ma być kutas trupa? Jak chcesz, to znowu dam ci go popróbować.

Nagle przestał i westchnął głęboko. Wydawał się zmęczony albo może znudzony – śmiertelnie znudzony. Zawrócił do łazienki i po chwili pojawił się znowu, wycierając sobie włosy i szyję ręcznikiem.

– Może zrobicie mi jaja po ranczersku i spokojnie zjemy? W spiżarni są jaja i szynka, i butelka tequili.

– Gdzie jest spiżarnia? – spytała Xóchitl.

– Na dole, złotko – odrzekł mężczyzna o wyglądzie Simeona. – To te drzwi obok wejścia. Ja tymczasem włożę jakieś spodnie.

Tak więc Xóchitl i Wrządzawa zeszły na dół i odszukały spiżarnię, którą zastały, ku swemu zachwytowi, obficie zaopatrzoną. Mogły uciec, ale tego nie zrobiły. Xóchitl wciąż dygotała – trzęsły jej się ręce i nogi, i usta – i czuła, że chyba zaraz zsika się ze strachu, tak jak kiedyś w obecności policji kryminalnej, która zatrzymała ją na pustej górskiej drodze. Przytuliła się do Wrządzawali i popłakała trochę, Wrządzawa zaś powtarzała: spokojnie, *darling*, jestem z tobą. Mogły uciec, ale zamiast tego zaniósły jedzenie do kuchni i przyrządziły jaja po ranczersku – z plastrami szynki, smażonym serem, papryczkami, białym ryżem i pieczonymi zielonymi pomidorami. Otworzyły też puszkę ananasa w syropie i gazowane napoje truskawkowe. Niespodziewanie głód i radość z posiadania wszystkich tych smakołyków przeważały wszystko inne. Xóchitl powtarzała sobie: on nie żyje, nie może mnie skrzywdzić, Jednakże nie miała pewności. Simeón bynajmniej nie wyglądał na nieboszczyka. Zjedli we trójkę, w milczeniu, przy prostym stole na parterze, rozkoszując się smakami i wpadającym przez otwarte drzwi światłem zmierzchu. Wrządzawa nie tknęła szynki, za to papryczki jalapeño pochłaniała tak, jakby nie czuła ich ostrości. Xóchitl spytała Simeona, skąd się w tym miejscu wziął, on zaś odrzekł, że został zwerbowany. Musiał się wyprawić na północ, jak powiedział, do Stanów, z misją zleconą mu przez szefów michoacańskiej organizacji, i już na miejscu dowiedział się, że chwilowo nie może wrócić do Meksyku, bo w Morelii nastąpiła nowa komendantka policji, która czepia się Rodziny i otwiera kolejne śledztwa. Później komendantka ta stała się celem zamachu, z którego wyszła cało, choć zginęło trzech policjantów i dwóch przechodniów, a tuzin osób odniosło rany. Komendantka oświadczyła w telewizji, że nie zamierza porzucać swego

stanowiska i że nie pozwoli się zastraszyć kulami płatnych morderców. Niemniej po trzech miesiącach porzuciła stanowisko, tłumacząc to względami rodzinnymi. Simeón tymczasem zawarł w Stanach nowe znajomości. Mieszkał w Cedar Rapids, gdzie jeden z kumpli przedstawił go człowiekowi ze Wschodu, który poszukiwał ochotników z przeszkoleniem wojskowym, jak to ujął, do pracy przy pilnowaniu pewnej kopalni na południu Azji. Płaca była bardzo wysoka i Simeón obliczył sobie, że po paru latach wróciłby do Meksyku jako bogacz. Poprosił szefów Rodziny o pozwolenie, przekonany, że go nie dostanie, bo przysięgał przecież dożywotnią lojalność. Zdumiał się więc, gdy jego bezpośredni przełożony, niejaki Simpson, przekazał mu, że zgodę wyraził sam don Facundo Ávalos Monegal. Simpson powiedział też, że Rodzina interesuje się tą azjatycką kopalnią i że dobrze będzie, jeśli zaufany człowiek rozpozna tam grunt i nawiąże kontakty, albowiem kontakty i przyjaźnie to podstawa. Nikt mu nie zdradził, co, u diabła, wydobywa się w tej kopalni, a i on nie pytał. Miał świadomość, że im mniej będzie wiedział o czymkolwiek, tym lepiej dla niego. W ten sposób trafił do Los Angeles, a stamtąd na jakąś karaibską wysepkę, gdzie odbył dwutygodniowe szkolenie, po którym przewieziono go na właściwą wyspę okrętem podwodnym. Podróż była długa; długa i nudna. Po cholere zresztą pływać okrętem podwodnym, rzucił do dwóch słuchających go kobiet, skoro różne radary i satelity potrafią zlokalizować wszystko, co porusza się pod wodą, z taką samą łatwością jak to, co porusza się na jej powierzchni? Nigdy nie podpisywał żadnej umowy, co w jego fachu, jak oznajmił, stanowi raczej normę, ponieważ ludzie jego profesji działają w oparciu o honor, a nie o świstek papieru, za każdą zaś nielojalność płacą kawałkami własnego ciała. Przy okazji pokazał Xóchitl i Wradźawali swoje ręce, mówiąc: same widzicie, że mam wszystkie palce, co znaczy, że jestem lojalny.

Potem się nad czymś zadumał.

– Za jakąś godzinę pojawią się moi towarzysze – oświadczył po hiszpańsku. – Jak was tu zastaną, bardzo się ucieszą z dwóch tak młodych i czystych suczek. Bo myślą tylko o dwóch rzeczach: o babach i o babach. A bab w tych stronach brakuje. Przywiążą was do dwóch łóżek i będą gwałcić, kiedy im się zachce. Na waszym miejscu bym stąd niedługo spływał.

Xóchitl i Wradźawala siedzieli w milczeniu. Simeón pił tequilę szklankami i był już tak pijany, że ledwie mówił. Przeskakiwał z hiszpańskiego na angielski i z powrotem.

– W moim fachu zemsta to podstawa – powiedział, patrząc na Xóchitl z przewrotnym uśmiechem, jak gdyby cała ta sytuacja wielce go bawiła. – Próbowalaś mnie zabić, więc wiadomo, jak powinienem na to odpowiedzieć. Powinienem cię zgwałcić, zrobić ci krzywdę, a następnie poderżnąć gardło. Albo gorzej: porwać twoją młodszą siostrę i gwałcić ją, i torturować na twoich oczach. A potem ją zabić, a tobie odciąć nos i wargi, i zostawić cię żywą. Potwornie oszpeconą, bez nosa i bez ust. To byłoby dużo straszniejsze niż śmierć. Ale ci tego nie zrobię. W ogóle nic ci nie zrobię.

Xóchitl spoglądała na niego z przerażeniem, skamieniała.

– Nic ci nie zrobię – powtórzył Simeón.

Xóchitl dygotała. Poczula, że Wradżawala ujmuje pod stołem jej dłoń. W drugiej ręce Hinduska trzymała gruby, wzięty z kuchni nóż. Było mało prawdopodobne, by Simeón nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Zostanę tutaj z tequilą – podjął. – Wy posprzątajcie i zaparzycie mi kawkę, dobrze? A później sobie pójdziecie. Tylko dokładnie pomyjcie, wytrzyjcie i ułóżcie naczynia. Bo jak moi kumple zobaczą trzy mokre talerze, zaczną zadawać pytania.

– Dlaczego nam pomagasz? – spytała Wradżawala. – Dlaczego się nami przejmujesz?

Simeón zerknął na nią swoimi ciemnymi, błyszczącymi oczkami. Nadal pił. Wytrąbił już ponad pół butelki i nie przestawał.

– Skąd ty właściwie jesteś, kobietko?

Wradżawala patrzyła mu prosto w oczy. Jej twarz pozbawiona była wyrazu.

– Z Kalkuty. Z Indii.

– No proszę, z Indii – rzucił Simeón. – Masz męża?

– Tak.

– I mąż pozwala ci wychodzić z domu samej? Nie boi się, że mu zgwałcą taką ślicznotkę?

– Odpowiedz na moje pytanie – zażądała Wradżawala.

Simeón głęboko westchnął. Było w nim coś uroczystego i majestatycznego, niemal podniosłego. Nie wiadomo, skąd to się brało. Xóchitl wyczuwała to wyraźnie. Pewność, że oto siedzi naprzeciwko wyjątkowego zjawiska pulsowała w niej wraz z krwią, wypełniając jej uszy szelestem suchych liści i szamoczących się pośród nich ptaków. Dystans. Zdumienie i zgroza. Wiedziała, że sam Simeón jest nikim, ale domyślała się w nim czegoś wspaniałego, co wymagało szacunku i kazało milczeć pośledniejszym istotom.

Może chodziło po prostu o to, że był mordercą, że potrafił zabijać własnymi rękami, że nie bał się krwi. O zdolność do odbierania życia. Brak strachu. Przymioty niemal boskie. Przymioty dla niej niedostępne.

– Kiedy byłem dzieckiem, naszą rozrywką było zabijanie ptaków, żab i dydelfów, jaszczurek i węży – zaczął po angielsku, ale od czasu do czasu posiłkował się hiszpańszczyzną. – Zabijaliśmy je z procy, ze śrutówki albo po prostu kamieniami. Niekiedy przejawialiśmy wyjątkowe okrucieństwo. Wyrywaliśmy żabom łapki albo oślepialiśmy ptaki, wbijając im szpilki do oczu. I obserwowaliśmy, co będzie dalej. Robiliśmy prawdziwe okropności. Lubiliśmy to. Raz ukradliśmy komuś z naszej wioski w stanie Puebla królika i przybiliśmy go gwoździami do deski, jakby był wypchany. Cudzy ból sprawia człowiekowi przyjemność. Może nie? Nie jest miło, jak uderzymy się młotkiem w palec, co innego, jak uderzy się ktoś inny, prawda? Bo jeśli boli ciebie, to nie boli mnie. Potem człowiek dorasta i zaczyna to samo robić ludziom. Zupełnie jakby ludzie byli dydelfami albo ptakami, albo jaszczurkami. Najpierw rozczłonkowujesz zwierzęta, a w końcu również osoby. No, ale jak trzeba, to trzeba, nie? Czasem bywa ciężko. Czasem życie jest ciężkie i potrzeba odwagi, żeby się na pewne rzeczy zdobyć. Żeby przestać się ich bać. Potrzeba chęci, zaangażowania... Bo żyć w strachu się nie da. Męstwo to podstawa... Męskość to podstawa... Przez jakiś czas zajmowałem się ekspresowymi porwaniami. To była fajna robota, łatwa, dochodowa. Mieliśmy w Morelii taki dom z wieloma pokojami. Porywaliśmy kogoś, wieźliśmy do tego domu i rozmawialiśmy z porwanym, żeby ustalić, jakiego możemy żądać okupu. Później dzwoniliśmy do rodziny. Po dwóch albo trzech dniach, góra po tygodniu sprawa była załatwiona. My mieliśmy kasę, a rodzina takiego, dajmy na to, synka z powrotem w domu. Nasi szefowie powtarzali, że nie wolno nam dotykać pieczywa. Tak ich nazywali, tych porwanych, szyfrem: że to niby świeże pieczywo. Trzymasz je w piecu, jak długo trzeba, ale nie za długo, bo kolejne bochenki już czekają. No więc nie mogliśmy tym porwanym robić krzywdy, chyba żeby zaszła taka konieczność. Tyle że nie zachodziła, bo wszyscy od razu pękali. Wszyscy: mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Wszyscy. No bo osoba porwana przestaje być osobą. Boi się jak cholera. Często porywaliśmy kobiety, to najłatwiejsze, i zdarzały się wśród młode, piękne... Nie tykaliśmy ich. To był tylko biznes, zwykły biznes. Taką mieliśmy robotę. A wiecie, jak to się mówi: nie sraj tam, gdzie jesz. Bywało, że dom pękał w szwach od młodych kobiet. Nawet na nie nie

patrzyliśmy. Nie sraj tam, gdzie jesz. Ale od czasu do czasu pojawiała się dziewczyna, całkiem zwykła, ani ładniejsza, ani brzydsza od innych, ani młodsza, ani starsza, ani bardziej wyzywająca, ani mniej, i ją gwałciliśmy wszyscy, jeden po drugim. Jak to się mówi: mały, duży i kot sąsiada. Spędzała u nas trzy dni i przez trzy dni ją gwałciliśmy. A na tę z pokoju obok, dużo bardziej atrakcyjną, nawet nie zerknęliśmy. Nie wiem, czemu tak się działo. Ale często się nad tym zastanawiam. Co sprawia, że jeden ginie, a drugi uchodzi z życiem? Wiecie, jak to się mówi: oto prawo Kajfasza – dostał w dupę, dobra nasza. I prawo Heroda – masz przesrane, olaboga. Tak bywa z piorunami. Raz, przysięgam, jeden trafił w nasz dom i zabił dwa dydelfy, a gołębiowi, który siedział między nimi, nic nie zrobił. No patrz. Piorun wybiera sobie ofiarę i nie ma sposobu się przed nim ukryć. Ale jeśli jesteś z nim zaprzyjaźniony, nic ci nie będzie. Nawet jak cię trafi, i tak nie zabije. Tam, w moich stronach, są faceci, co to ich strzeliło nie raz i nie dwa, a żyją. Pioruny biorą się z jaskini, z wnętrza ziemi. Nie spadają z nieba, jak się powszechnie sądzi. Raz porwaliśmy dwie dziewczyny w szkolnych mundurkach. Siostry, córki ważnego przemysłowca, uczennice liceum. Powiedzieliśmy ich papie, że jeśli chce jeszcze je zobaczyć, musi nam słono zapłacić. Tak jak wspomniałem, były siostrami, może nawet bliźniaczkami. Obie wyrosnięte, piersiaste, dupiaste, miały z piętnaście albo szesnaście lat. Na widok jednej z nich od razu pomyślałem: biedna laleczka, ciekawe, jak jej posmakuje. I tego samego wieczoru kumpel mówi: idę do niej, trzeba ją rozpakować. Poszedł pierwszy, potem zgwałciliśmy ją wszyscy. Nie myślcie, że tak było ciągle. Nie sraj tam, gdzie jesz. Chodziło o biznes, czysty biznes. I nikt niczego nie planował. Po prostu jak się popatrzyło tej dziewczynie w oczy, natychmiast chciało się ją zgwałcić. A tej drugiej jakoś nie. Chociaż była właściwie identyczna. Nie wiem, zupełnie jakby ta pierwsza się o to prosiła. Albo może jakby się bała do tego stopnia, że tylko przez to człowiek nabierał ochoty. Jej siostrzyczki nie tknęliśmy. Czasem musieliśmy też utylizować pieczywo, jeśli rodzina nie zapłaciła. Załatwialiśmy to dyskretnie. Zabieraliśmy delikwenta poza miasto i podrzynaliśmy mu gardło. To dawało innym do myślenia. Jak nie zapłacicie, wiecie już, co będzie. Jak spóźniecie się z zapłatą, to samo... Ja wtedy nie miałem jeszcze nikogo na koncie. Jak to się mówi: nie ubrudziłem sobie jeszcze rąk. Ale wiedziałem, że prędzej czy później przyjdzie moja kolej. Ostatecznie od tego tam byliśmy, nie? Chodziło o zwykły biznes. Po prostu o robotę...

Xóchitl i Wradźawala słuchały w milczeniu, wyczekując końca tej historii. Jakiegoś podsumowania, morału. Czegoś, co nadałoby jej sens. Co nadałoby sens wszystkim tym zabitym zwierzętom, ptakom ze szpilkami w oczach, tej potrzebie odwagi, królikowi przybitemu do deski, faktowi, że niektórzy są ofiarami, a inni nie... Wyczekując, aż zrozumieją, w czym rzecz, jako że opowieść wyjaśnia się zwykle w finale, a przynajmniej tak zawsze zakładamy: że zakończenie historii otworzy przed nami jej znaczenia. Tyle że zakończenie nie nastąpiło, ponieważ Simeón był już tak pijany, że nie mógł nawet podnieść szklanki do ust. Głowa mu opadała. Wreszcie zasnął na swoim krześle, z rozchylonymi wargami, wystającym z nich, grubym, błyszczącym językiem i podbródkiem wbitym w pierś.

Wradźawala i Xóchitl wyszły na dwór, żeby się naradzić. Ostatecznie postanowiły wziąć tyle jedzenia, ile zdołają, i opuścić to miejsce. Zważywszy na to, że wędrowały przez całą noc i spały od dwóch dni ledwie parę godzin, były całkowicie wyczerpane, nie mogły jednak zostać w tym domu. Nie miały pewności, czy „towarzysze” Simeona rzeczywiście istnieją, lecz wolały nie ryzykować.

Dlatego wróciły do środka i sprzątnęły ze stołu, usiłując zatrzeć wszelkie ślady swojej bytności. Później przeszukały cały parter. Znalazły kilka prycz i szafę wypełnioną brudnymi męskimi ubraniami. Na jednej z półek natknęły się na lornetkę i kilkakrotnie złożoną mapę. Pod którymś z łóżek – na strzelbę, nóż myśliwski w pochwie i kilka pudełek amunicji. Ani Xóchitl, ani Wradźawala nigdy nie strzelały ze strzelby, chociaż Xóchitl, owszem, potrafiła posługiwać się pistoletem. Po kolejnej naradzie zdecydowały się zabrać jedynie lornetkę, gdyż utrata broni z pewnością skłoniłaby jej właścicieli do pościgu. Z kilku wziętych z szafy koszul związały spory tobiół, który wypełniły żywnością. Jeśli mieszkańcy tego domu prowadzili ewidencję swoich zasobów, mogli zauważyć brak pewnej liczby puszek, jednakże jedzenie warte było każdego ryzyka. Poza tym nie zauważyliby chyba tego zaraz po powrocie. Tak przygotowane Xóchitl i Wradźawala wspięły się znowu na nasyp i zagłębiły między drzewa. Tam wyszukały sobie miejsce, skąd mogły na zmianę obserwować dom nad jeziorem, i postanowiły się trochę przespać. Najrozsądniej byłoby prędko się stamtąd oddalić, ale zmęczenie okazało się przemożne. Pierwsza warta przypadła Xóchitl, która jednak kilkakrotnie przysnęła. Raz ocknęła się już nocą i ujrzała, że brzegiem jeziora podąża w stronę domu grupa siedmiu czy ośmiu mężczyzn. Obudziła Wradźawalę i we

dwie próbowały przez lornetkę rozpoznać któregoś z nich – bez powodzenia. Przed domem paliło się światło, więc miały dobry widok. Mężczyźni byli uzbrojeni, niektórzy wyglądali na Malajów albo Filipińczyków, inni, jasnowłosi, należeli do rasy białej. Xóchitl i Wradźawala, świadome niebezpieczeństwa, ruszyły w drogę. Szły całą noc, zatrzymując się jedynie w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych i posilenia się. O świcie słaniały się już na nogach, które zdawały się ze zmęczenia wręcz czernieć. Wradźawala powiedziała, że podobno od nadmiernego wysiłku może wywiązać się gangrena. Dlatego znalazły sobie niewielką grotę czy raczej zwykłe zagłębienie wśród skał, gdzie ledwo się we dwie zmieściły. Upewniwszy się, że nie ma tam węży ani skorpionów, zamaskowały wejście paprociami, wsunęły się do wąskiej, wilgotnej dziury i zasnęły. Kiedy się obudziły, był dzień, a słońce stało nisko na wschodzie. Dopiero po pewnym czasie zrozumiały, że spały bez przerwy całą dobę.

Fizycznie czuły się dobrze. Ba, ogarnęło je coś w rodzaju euforii. Zdołały uciec swoim prześladowcom, wymknęły się Simeonowi i jego płatnym mordercom. Miały jedzenie. Znajdowały się głęboko w górach, w regionie wielkich, ukwieconych dolin porośniętych jodłami, świerkami i cedrami. Roślinność się zmieniła, nabrała charakteru alpejskiego. Tu i ówdzie widać było wiszące w powietrzu kamienie – Xóchitl i Wradźawala jeszcze się z tym zjawiskiem nie spotkały, ale czuły, że również ich ciała zdają się mniej ciężać ku ziemi, jak gdyby grawitacja działała w tej okolicy inaczej niż w innych. Nadzwyczajna wielkość jodeł i innych rosnących dookoła roślin też mogła się z tym wiązać. Obie, i Xóchitl, i Wradźawala, rozpoznały konopie pleniące się wszędzie i często wyższe od człowieka. Xóchitl, która nazywała je „panią Jasią”, zaczęła zbierać liście i skręcać z nich jointy. Miały zapalki, więc zapaliły i choć natychmiast się rozkaszały, odnosząc wrażenie, że żrący smak świeżych liści przepala im gardła i języki, wkrótce odczuły również inne efekty. Po chwili, z zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami, zaśmiewały się do rozpuku. Wradźawala paliła zioło po raz pierwszy w życiu. Powiedziała, że w Indiach też się je uprawia, zwłaszcza w górach, na północy, ale że sama nigdy go nie próbowała. Dlaczego, pytała, ja się śmieję? Dlaczego obie się śmiejemy? Pytania te rozśmieszały Xóchitl jeszcze bardziej. Mówiła po hiszpańsku: dobra ta pani Jasia, dobra! Z ciebie zresztą też niezłe ziółko, zwracała się do Wradźawali, która płakała ze śmiechu, nie rozumiejąc ani słowa.

Zdecydowały się odpocząć w tej dolinie przez następne kilka dni. Grota, którą znalazły, była bardzo mała, lecz potrzebowały jej wyłącznie do spania, bo na deszcz się nie zanosilo. Miały obfitość jedzenia i czuły się bezpiecznie, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziały, że ludzie z grupy Simeona nigdy w życiu nie zapuściliby się w te rejony, gdzie kamienie wisiały w powietrzu, albowiem niedaleko stąd już było do osławionej Czarnej Kolumny, magnetycznej góry, która zabijała bądź przyprawiała o szaleństwo prawie każdego, kto ośmielił się do niej zbliżyć. Pierwszy dzień spędziły na paleniu marihuany i na szczerej, pełnej entuzjazmu rozmowie, jaka możliwa jest tylko między nieznanymi, choć na tym etapie nie czuły się już sobie obce, wręcz przeciwnie, czuły się jak stare przyjaciółki, niemal siostry. Wradźawala opowiadała ze śmiechem, tym histerycznym śmiechem podobnym do płaczu lub bolesnego krzyku, że przez całe życie pragnęła mocnych doznań i szalonych przygód i że jej małżeństwo z doktorem Suttišem, Randżim, jak go nazywała, zostało zaaranżowane przez ich rodziny. Że zawsze żyło jej się łatwo i wygodnie, od rodziców przeprowadziła się do męża i chociaż ani ojciec, ani mąż nigdy jej specjalnie nie ograniczali, faktem było, że nigdy nie miała okazji żyć na własną rękę ani podejmować własnych decyzji.

– Marzyły mi się emocjonujące przygody – mówiła, trąc zaczerwienione oczy – i proszę! Uciekam przez dżunglę przed zabójcami!

Xóchitl spytała z ciekawością, czy Wradźawala nie kocha swego męża. Hinduska nie zrozumiała pytania. No bo przecież, wyjaśniła Xóchitl, wasze małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców.

– Pewnie, że go kocham. Bardzo się kochamy – odrzekła Wradźawala. – Wy, Europejczycy, zwykliście sądzić, że tylko wy na calutkim świecie znacie to uczucie. To, że małżeństwo zostało zaaranżowane, nie znaczy, że nie ma w nim miłości.

– Moja droga, ja wcale nie jestem Europejką – przypomniała Xóchitl.

– Przepraszam. Nigdy nie spotkałam nikogo z Ameryki Południowej.

– Nie jestem też z Ameryki Południowej – parsknęła śmiechem Xóchitl. – Meksyk to Ameryka Północna.

– Nic o sobie nawzajem nie wiemy! – Wradźawala też się śmiała. – Aż dziw, że żyjemy na tej samej planecie.

– Obie jesteśmy kobietami – zauważył Xóchitl. – To nasza planeta. Planeta kobiet.

Wradźawala oświadczyła, że się nie zgadza, bo jej zdaniem kobiety

z różnych kultur bardzo się różnią, i Xóchitl pomyślała, że chyba też jej się tak wydaje, mimo że w wielu przeczytanych przez nią książkach dowodzą, jakoby kobiety wszędzie na świecie posiadały wspólny, sobie tylko właściwy sposób wchodzenia w relacje z życiem, z płciowością, z mężczyznami, z rodziną i dziećmi.

Rodziny Wradźawali i doktora Suttiśa rozważały możliwość ich związku od czasu, gdy oboje byli nastolatkami. Niemniej do ich pierwszego spotkania doszło dopiero po sformalizowaniu tych zamiarów. Oczywiście, tłumaczyła Wradźawala, decyzje rodzicielskie w tej dziedzinie nie mają mocy bezwzględnej – przynajmniej nie w ich sferze. Rodzice niczego nie narzucają, tylko proponują coś jako osoby, które znają cię najlepiej i kochają najbardziej na świecie. Ponadto swoje już przeżyli, sporo wiedzą o miłości, rodzinie i rodzicielstwie, i o problemach, jakich może doświadczyć para, podczas gdy dwoje młodych, którzy spotykają się w barze czy na basenie, nie wie o tych sprawach nic i, co więcej, pozwala się zaślepić pożądaniu. Tak mówiła Wradźawala, Xóchitl zaś myślała sobie, że to prawda. A przynajmniej część prawdy, bo przecież nikt nie ma racji ani nie myli się w stu procentach. Obie rodziny mieszkały w Kalkucie, obie należały do wyższej klasy średniej. Obie matki studiowały na uniwersytecie, obaj ojcowie zajmowali wysokie stanowiska w administracji publicznej (ojciec Wradźawali) i w polityce (ojciec Randźiego). Sam Randźi skończył już studia i wybierał się na dwa lata do Oxfordu, by je kontynuować. Nie wyjechał wszakże do Anglii, gdyż zaproponowano mu posadę wykładowcy na Wydziale Literatury Angielskiej Uniwersytetu Kalkuty, na kampusie przy College Street. Uznano zatem, że nie ma powodu odwlekać ślubu i pora, by młodzi w końcu się poznali. Pierwsze spotkanie odbyło się u rodziców ewentualnej narzeczonej. Randźi zjawił się ze swoimi, wszyscy elegancko ubrani. Przyniósł w prezencie dla Wradźawali zegarek od Cartiera. W białym turbanie z pawim piórem wyglądał jak księżę, choć wydawał się nieco przytłoczony swoim strojem. Wradźawala zawczasu poszła do fryzjera, a włożyła swoje najlepsze sari i dużo biżuterii, po części pożyczonej od matki. Atmosfera była odrobinę napięta, bardzo oficjalna. Później Randźi i Wradźawala umówili się parę razy we dwoje. Raz wybrali się na lody, a raz na tenisa. Wradźawala wygrała z przyszłym mężem w trzech setach. Randźi nie był typem atlety ani w ogóle sportowca. Ale i tak jej się podobał. Wydawał się miły, łagodny i dobry. Oznajmiła więc rodzicom, że za niego wyjdzie.

Po dwóch randkach? Xóchitl była wstrząśnięta. Przed ślubem poszliście tylko na dwie randki? Przed oficjalnymi zaręczynami – tak, odrzekła Wradźawala. Później, zanim się pobraliśmy, widzieliśmy się jeszcze kilka razy. To wtedy się w sobie zakochaliśmy. Czy raczej ja zakochałam się w nim, bo on zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia. Nic dziwnego, rzuciła Xóchitl, jesteś jedną z najładniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałam. Och, ale Randzi z pewnością nie zakochał się we mnie wyłącznie dlatego, zaśmiała się Wradźawala.

Znalazły głęboką, spokojną sadzawkę i postanowiły się wykąpać. Xóchitl skręciła coś w rodzaju cygara z liści marihuany i wypaliły je razem, wdychając gęsty, ciemny dym z młodych, soczystych liści i gwałtownie kaszląc. Potem rozebrały się, obie z oczami czerwonymi jak u białych szczurów, i weszły do sadzawki, śmiejąc się i pokrzykując radośnie. Woda okazała się lodowata, toteż nie wytrzymały w niej długo. Cudownie było za to wyciągnąć się później na trawie i pozwolić, by filtrowane przez gałęzie jodły ciepłe promienie słońca osuszyły skórę. Wokół na rozmaitych wysokościach unosiły się w powietrzu kamienie i drobne rośliny zakorzenione w grudkach ziemi. Xóchitl i Wradźawala z ciekawością obserwowały, jak ptaki przysiadają na tych wiszących skałach, a osy odwiedzają kołyszące się ponad ziemią kwiaty. Ten widok bardzo je obie śmieszył. Marihuana robiła swoje, sprawiając, że nie miały też specjalnej ochoty z powrotem ubierać się w swoje sztywne od brudu łachy. Zamiast tego wyprały je, tłukąc o kamienie nad sadzawką. Następnie znów wyciągnęły się na słońcu i, nagie, dalej paliły. Xóchitl oświadczyła, że nie zamierza już nigdy nosić ubrań. I że nigdy nie czuła się tak dobrze jak w tym momencie, całkiem goła na łonie natury. Z przyjemnością patrzyła, jak Wradźawala rozwiesza swoje białe majtki i stanik na gałęziach świerku, i jak koronki połśniewają w słonecznych promieniach. Podobało jej się ciało przyjaciółki – brązowe i krągłe. Wradźawala miała jedwabście gładką skórę, mocne, wydłużone pośladki, czarne włosy do połowy pleców, duże, niemal czarne sutki w kolorze kawy i wzgórek łonowy pokryty bardzo ciemnymi, gęstymi włosami, jak to zwykle bywa u brunetek. Xóchitl podała jej jointa i Wradźawala podeszła, przyklękła i głęboko się zaciągnęła. Teraz obie siedziały na trawie ze skrzyżowanymi nogami, jedna naprzeciw drugiej. Wradźawala ciągle kasłała, nieprzyzwyczajona do palenia. Mimo to znowu się zaciągnęła, po czym zwróciła jointa Xóchitl, która podniosła go do warg i poczuła, jak dym palący

dym wypełnia jej płuca. Przytrzymała go tam tak długo, jak zdołała, i w końcu zaczęła powoli wypuszczać nosem i ustami. Wtedy Wradźawala zrobiła coś, co Xóchitl zaskoczyło: zmieniła pozycję i – wsparta na rękach i kolanach – zbliżyła twarz do twarzy przyjaciółki. Xóchitl ze zdziwieniem odnotowała, że ich nosy się stykają, a ciepłe, szorstkie wargi Wradźawali dotykają jej ust. Hinduska miała zamknięte oczy i Xóchitl pojęła nagle, że to pocałunek.

Nie spodziewała się tego. Wradźawala była kobietą nadzwyczaj atrakcyjną. Miała pociągłą twarz, wydatny, wąski i łukowato sklepiony nos, zmysłowe usta i prześliczne ciemne, migdałowe, oleiste oczy o długich czarnych rzęsach. Oderwała wargi od warg Xóchitl, a potem znów ją pocałowała, przeciąglej, kilkakrotnie muskając jej usta swoimi. Dla wygody przechylała głowę na jedną stronę i przymykała powieki. Przy trzecim pocałunku Xóchitl poczuła delikatny dotyk jej języka, uchyliła wargi i lekko wysunęła też swój. Pozwoliła, by język Wradźawali wsunął się do jej ust, igrając z jej własnym. Sutki jej stwardniały, po plecach i udach przemykały dreszcze przyjemności. Może to przez zioło, które wypaliły – w każdym razie odnosiła wrażenie, że nigdy jej w ten sposób nie całowano i że sama nigdy nie całowała nikogo z taką rozkoszą. Wiedziała, że marihuana wyostrza zmysły i z tym właśnie wiązała swój stan. Całowały się tak z Wradźawalą jeszcze przez chwilę, aż pomyślała, że jest gotowa na wszystko. Długie ciemne palce Hinduski muskały jej policzek. Poczła nagle, że ją kocha i że uczyniłaby dla niej wszystko. Potem Wradźawala wstała i oświadczyła, że pora coś zjeść. Obie mocno zgłodniały. Marihuana potęgowała też głód.

Rozwiązały swój cenny tobołek z żywnością i posiliły się, usiłując zachować umiar i zostawić jak najwięcej na później. Wróciły do rozmowy. Wradźawala opowiadała o swoich siostrach, o życiu w Kalkucie, o bezskutecznych próbach zajścia w ciążę i o wstydzie, że, choć od lat jest zamężna, ciągle nie ma dzieci. Dlatego, jak powiedziała, wyprawili się z Randźim do Los Angeles – na trwające miesiąc leczenie niepłodności. Ale i tak się nie udało. Xóchitl spytała, czy próbowali dalej na wyspie. Wradźawala odparła, że tak – nigdy nie przestali. Tylko czy to nie było szaleństwo: rodzić dziecko tutaj? Tak, to byłoby szaleństwo, przyznała Wradźawala ze śmiechem. Prawdziwe szaleństwo. A więc? Sama nie wiem, mruknęła Wradźawala, ostatecznie dzieci od wieków rodzą się w najróżniejszych okolicznościach, prawda? Na wyspach też. To najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Czyli się nie boisz, rzuciła pytająco Xóchitl. Ja

się boję. Zawsze się bałam, nawet przed gwałtem, dużo wcześniej, od dziecka. Czego? Wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Miłości, społeczeństwa, egzaminów, braku zainteresowania ze strony mężczyzn, choroby spowodowanej piciem wody z kranu... Jest tyle rzeczy, których można się bać! Zaczęła opowiadać o swoich rodzicach, o życiu w Meksyku, o Miguelicie i Huiczolach, o sposobie, w jaki Miguelito i Ana María idealizowali indiańskie zwyczaje, o swoich doświadczeniach w San Barros. Wradźawala stwierdziła, że najwyraźniej Meksyk i Indie są pod wieloma względami podobne. Że ubodzy ludzie w Indiach też żyją w okropnych warunkach i że przemoc dotyka masy kobiet. Że tysiącom z nich ktoś wypala twarz kwasem. Że w Kalkucie jest szpital, gdzie leczy się wyłącznie tego typu obrażenia – u biedaczek, które straciły prawo do bezpieczeństwa, odrzucone przez męża czy jego rodzinę, dopuściły się zdrady lub zostały tylko o nią pomówione albo po prostu naraziły się komuś, wpadając w oko młodzieńcowi uważanemu za dobrą partię.

Ubrania już wyschły, lecz ani Xóchitl, ani Wradźawala nie miały ochoty się ubierać. Nie było im ani za gorąco, ani za chłodno. Miały pełne żołądki. Nie widziały żadnych bezpośrednich zagrożeń. Nie spieszyły się. Rozmawiały więc dalej – o religii i wierzeniach. Wradźawala zdziwiła się, słysząc, że Xóchitl nie jest chrześcijanką.

– Myślałam, że Meksykanie to katolicy – powiedziała.

– Nie wszyscy – odparła Xóchitl.

– Ale przecież ty czcisz Matkę Bożą z Guadalupe – zauważyła Wradźawala.

– Ja zresztą też. Tylko że w Indiach nazywamy ją Durgą.

– Ja nie czczę Panią z Guadalupe – zaprotestowała Xóchitl. – Stosunek Meksykanów do niej trochę trudno jest wytłumaczyć. To rodzaj symbolu, rozumiesz? Wielu ludzi, którzy nie są religijni i nie chodzą do kościoła, mimo wszystko ma w domu czy w samochodzie jej wizerunek.

– Zakładam, że skoro masz jej wizerunek w domu, nie potrzebujesz już chodzić do kościoła – rzuciła Wradźawala. – Bo twój dom staje się czymś w stylu kościoła.

– Nie, nie, to nie tak – śmiała się Xóchitl. – Dla nas kościół to kościół, a dom to dom.

– A, rozumiem. U nas każdy dom może być świątynią. Istnieją świątynie rozmiarów pieca chlebowego. I świątynie wielkie jak miasta. Indie są pełne świątyń.

– Dla nas Matka Boża z Guadalupe to symbol narodowy. Nie, może nie narodowy, bo to nie ma nic wspólnego z polityką. Raczej symbol szczęścia, powodzenia... – wyjaśniała Xóchitl niepewnie.

– Jasne – zgodziła się Wradżawala. – Wszyscy bogowie to symbole.

– Matka Boża z Guadalupe nie jest „boginią”.

– Nie? Czemu nie?

– Jest matką Chrystusa...

– Ale Chrystus to bóg, prawda? – zaśmiała się znowu Wradżawala. – Czyli jego matka też musi być boginią.

– Chrześcijanie nie wierzą w „bogów” i „boginie”, jak sama doskonale wiesz. Wierzą tylko w jednego Boga, który jest starym mężczyzną.

– Tak, wiem. Ale zdaje mi się, że oni nie do końca rozumieją te sprawy.

– Są monoteistami – stwierdziła Xóchitl. – I tyle.

– Wszyscy wierzymy, że jest tylko jeden Bóg. Jeden. Jedno. Tyle że ten jeden Bóg ma rozmaite aspekty i różne wcielenia. W Indiach Śiwa i Kryszna, Śakti i Hanuman to nie są osobne bóstwa. To różne przejawy atmana. Nie ma nic osobnego. Jest tylko jedno. Nawet ty i ja nie jesteśmy osobnymi osobami. Jesteśmy jedną.

– Nigdy tak na to nie patrzyłam.

– W hinduizmie wszystko jest przejawem boskości – ciągnęła Wradżawala.

– Dla nas Paniątka z Guadalupe to bogini i ty dla mnie również jesteś boginią. Wszystko, co podziwiamy i kochamy, co nas przerasta, jest bogiem albo jego przejawem.

– Ja jestem boginią? – zarumieniła się Xóchitl. – Jak wszystko, co kochamy i podziwiamy? Czy mogę w takim razie powiedzieć, że Claude Lévi-Strauss jest bogiem?

– Jeśli to ktoś, kogo podziwiasz i kto wzbudza w tobie podniosłe myśli, to bez wątpienia chodzi o przejaw boga. Mogłabyś go czcić, tak samo jak czci się Krysznę, Jezusa albo świętych. Mogłabyś postawić jego zdjęcie na ołtarzyku, pośród świeżych kwiatów i pachnących świec, tak jak to się robi z Chrystusem, Mahatmą Gandhim albo innym guru.

– Tyle że Lévi-Strauss i Gandhi to ludzie.

– Ludzie są bogiem – powiedziała Wradżawala. – W hinduizmie wszystko, co istnieje, to jakaś forma boskości. Nawet lingam i joni.

– A co to? – spytała Xóchitl.

– Nie wiesz, co to jest joni?

– Nie.

– Nigdy nie słyszałaś tego słowa?

– Chyba nie.

Siedziały na ziemi, jakiś metr od siebie. Wradźawala przysunęła się i delikatnie położyła rękę między udami Xóchitl.

– To jest joni.

Nie zrobiła nic więcej, ale Xóchitl tak się przestraszyła tego niespodziewanego ruchu, że prawie podskoczyła. Wradźawala zdusiła nerwowy śmiech i zakryła twarz dłonią.

– Przepraszam.

Milczały. Przez cały dzień chodziły nago, kąpiąc się, jedząc, rozmawiając, odpoczywając w cieniu jodeł, kontemplując zawieszony w powietrzu kamień i kwiaty, paląc marihuanę i śmiejąc się do rozpuku i Xóchitl czuła się znużona – tym rodzajem znużenia, któremu zaradzić może jedynie aktywność fizyczna. Wstała więc i podeszła do sadzawki, by zanurzyć stopy w przezroczystej wodzie. Chłód ciemnego mułu na podeszwach stóp dobrze jej robił.

Czuła, że jeżą jej się włoski na całym ciele. Także włosy łonowe i te na głowie. Czuła też, że jej piersi prawie nic nie ważą. Nie żeby były bardzo duże, teraz jednak odnosiła wrażenie, że unoszą się swobodnie powietrzu, tak jak unosiłyby się w wodzie.

– Tutaj wszystko wydaje się nieważkie – stwierdziła. – Nawet włosy jakby pływały dookoła. To jakieś oddziaływania elektrostatyczne?

– Nie mam pojęcia – odrzekła Wradźawala.

– Zauważyłaś, że w tej części wyspy nie słychać żadnych głosów?

Xóchitl powiedziała to, po czym umilkła. Przymknęła powieki i mocno je zwarła.

Och, Boże, pomyślała. Pomyślała to tak wyraźnie, jakby wymówiła te słowa na głos. Jakby to był okrzyk. Lub błaganie.

Była podniecona, seksualnie podniecona. Przez cały dzień. Nie rozmawiały o tym z Wradźawalą, lecz ona wciąż wspominała ich pocałunek. Czuła, że lepka kropla spływa jej powoli po udzie. Och, Boże, pomyślała. Boże, Boże, który jesteś wszędzie, w oczach tych, których kochamy, w książkach, które podziwiamy, w lingamie i w joni. Zacisnęła uda i cała się spięła. Wciąż wyływała z niej lepka wilgoć. Przypomniała sobie noc, kiedy odkryła przyjemność ocierania jednego uda o drugie – pewną letnią noc jeszcze w dzieciństwie. Wiele lat przed tym, jak cokolwiek zrozumiała, jak w ogóle

poznała słowo „masturbacja” i zainteresowała się chłopcami. Wróciła do Wradźawali. Idąc, pomyślała, że ma mokre uda i że powinna się wytrzeć, ale jakoś się nie wstydziła. Wradźawala nadal siedziała na trawie, ze skrzyżowanymi nogami, przygarbiona.

– Przepraszam – powtórzyła, nie podnosząc wzroku.

– Nic się nie stało.

– Przykro mi.

– Całowałaś się wcześniej z kobietami? – spytała Xóchitl.

– Nie, nigdy – odrzekła Wradźawala. – A ty?

– Nie.

Usiadła obok. Jakiś ptak ostro zakrzyczał w górze, potem drugi, jak gdyby walczyły ze sobą na wysokościach.

– Ty dla mnie też jesteś boginią – powiedziała Xóchitl.

Ujęła rękę Wradźawali, smukłą, ciemną i ciepłą, i ją pocałowała. Całowała opuszki jej palców, później wnętrze dłoni. Wradźawala przyglądała się temu z lęklwym uśmiechem.

– Nie gniewasz się?

– A wyglądam, jakbym się gniewała?

– Bałam się, że zrobiłam coś niewłaściwego.

– To niemożliwe. Boginie zawsze postępują właściwie.

– Wiem, że dziwnie to zabrzmiało – rzuciła Wradźawala. – Ale czuję, że cię kocham. Czuję, że cię kocham.

– To nie brzmi dziwnie.

– Dziwnie jest czuć coś takiego do kobiety.

– Pocałuj mnie – poprosiła Xóchitl, kierując dłoń Wradźawali między swoje nogi. – Popieść.

Wyciągnęła się na trawie, nie puszczając ręki Wradźawali, której długie czarne włosy rozlały się po jej ciele, po jej twarzy, szyi i piersiach. Kiedy poczuła język przyjaciółki w ustach, a jej ciepłe palce w swoim wnętrzu, pomyślała: ja też cię kocham. Kocham cię, kocham, kocham. Jestem twoja. Zrób ze mną, co zechcesz. Nie wiedziała, do kogo kieruje te słowa, powtarzane w głowie raz za razem, jak modlitewny zaśpiew. Do Wradźawali, Hinduski, z którą uciekła prześladowcom? Do tej cudownej, ciemnej istoty, której pocałunki przyjmowała tak, jakby sływały na nią wprost z nieba? Do wiatru? Do drzew? Do siebie samej? Do samego życia?

Wiadomość od pana Pohjoli

Teraz moi towarzysze codziennie zawożeni byli do położonego jakieś dwanaście kilometrów od Centrali kamieniołomu, gdzie pracowali jako niewolnicy. Wade też jechał tam z samego rana i wracał wieczorem, całkowicie wyczerpany, z ustami spieczonymi od pragnienia i twarzą oraz rękami spalonymi przez słońce. Opowiadał mi, że ów kamieniołom stał bez wątpienia opuszczony przez długie lata i że harówka, do której ich zmuszają, wyraźnie nie ma żadnego praktycznego celu. Pięć dni po naszym przybyciu do Centrali schwytni zostali członkowie grupy Jimmy'ego Bruëlla. Ich również zamknięto w zielonych barakach i przeznaczono do całodziennej pracy w kamieniołomie. Nie spotkałem nikogo z nich, gdyż sam ze względu na brak stopy nie jeździłem tam ze wszystkimi, jednakże Wade dzień w dzień przywoził mi opowieści o okropnościach tego miejsca. Mówił, że każdy wykonuje tę samą pracę, wyczerpującą nawet dla młodych, silnych mężczyzn: trzeba było tłuc kamienie wielkimi młotami, których trzonki wkrótce obcierały ręce do krwi, potem zaś ładować taczki i pchać je po stromych, nierównych ścieżkach aż do punktu, gdzie czekały ciężarówki. Niektórzy staczali się wraz ze swoją taczką w dół zbocza kamieniołomu, po czym musieli wdrapywać się z powrotem, nawet jeśli mocno się przy tym poturbowali. Ci, którzy odmawiali pracy, podlegali chłóście. Strażnicy zamocowali na dwóch słupach poziomą belkę, do której przyczepione są kajdanki: zakuwają nieszczęśnika z uniesionymi rękami, obnażają mu plecy i biją go skórzanym pejczem. Spytałem, czy robią to również kobietom, a Wade odrzekł, że jak dotąd wychłostali jedynie Jimmy'ego i Junga Fei Ye – w obu wypadkach właśnie z powodu kobiety. Podobno za pierwszym razem poszło o Rosanę, która w pewnym momencie oświadczyła, że ma dosyć, rzuciła swój młot na ziemię i usiadła na skale. Wykazała się prawdziwą odwagą, bez wątpienia. Wade nie wiedział, skąd jej się to wzięło. Może sądziła, że jeśli wszyscy tak postąpią,

strażnicy nie będą w stanie nic poradzić. Trzech czy czterech podeszło do niej i powiedziało, że jeśli natychmiast nie wróci do pracy, to ją wychłosczą. Rosana spokojnie odparła, że jest obywatelką Unii Europejskiej i że ich poczynania są całkowicie nielegalne. Że wszyscy jesteśmy rozbitkami, przeżyliśmy katastrofę lotniczą i w związku z tym do ich obowiązków należy udzielenie nam pomocy i skontaktowanie nas z najbliższą placówką dyplomatyczną naszych krajów, tak abyśmy mogli jak najszybciej wrócić do domu. Boże mój, chyba dobrze to sobie przemyślała. Sądzę, że strażnicy byli nieco zbici z tropu. Aż musiał interweniować ich szef, brutal imieniem Brady. Powiem ci jedno: nie chciałbyś go spotkać w ciemnym zaułku. Jest wysoki, silny i brzuchaty jak wytrawny piwosz. Ma brodę australijskiego górnika i oddech śmierdzący palonymi jedno za drugim cygarami. Pokazał Rosanie pejcz, który nosi u pasa, i rzucił: jak paniusia zaraz nie wstanie, wtrąci się mój przyjaciel, Jiminy Cricket. Bo tak nazywa ten swój bicz: Gadającym Świerszczem. I wtedy zjawia się Jimmy i zaczyna go obrażać, tak po swojemu, łagodnie i z uśmiechem. Zawsze trzeba doceniać sztukę mistrza, a Jimmy to bez dwóch zdań mistrz obelgi. Nigdy nie przejawia agresji, wciąż się uśmiecha. Jest spokojny, inteligentny, pomysłowy, wyrafinowany. Atakuje od najmniej spodziewanej strony i nieodmiennie trafia w czuły punkt. No więc strażnicy zapomnieli o Rosanie i wyżyli się na nim. Strasznie go stłukli. Najpierw walili go kolbami karabinów i kopali. Zbiegliśmy się wszyscy, krzycząc, ale nie dopuszczali nas do niego i celowali do nas z broni. Myślę, że kiedy przykuwali go do tamtej belki, był półprzytomny. Wymierzili mu dziesięć uderzeń pejczem, głęboko rozcinając skórę pleców. Teraz leży w szpitalu. Co do Junga Fei Ye – zaoferował się, że przyjmie karę zamiast Lizzie, którą tak bolały ręce, że też odmówiła pracy. Ten szlachetny gest ze strony byłego singapurskiego klawisza, którego uważałem za oprawcę bez skrupułów, mocno mnie zaskoczył. Jung Fei Ye uklonił się z szacunkiem i poprosił o zaszczyt przyjęcia kary w zastępstwie Lizzie. Brady odparł, że woli patrzeć na nagą Lizzie niż na nagiego Junga Fei Ye, na co ten ostatni zauważył, że jeśli Brady chce obejrzeć sobie jej biust, nie musi jej bić, wystarczy, że każe jej się rozebrać. Brady uznał, że to kpiny, i kazał wymierzyć Jungowi Fei Ye dziesięć uderzeń pejczem. Dziesięć uderzeń pejczem to dużo, John, mówił Wade. Tylko pomyśl. Przy pierwszym człowiek cały się skręca, wszystkie jego mięśnie automatycznie się napinają, na skórze pojawia się czerwona pręga. Kat bierze zamach i znowu uderza. Człowiek znowu się

skręca. I tak dziesięć razy. Jung Fei Ye nawet nie jęknął, a pod koniec całe plecy miał we krwi. Nawet nie jęknął, opowiadał Wade. Facet jest twardy jak dębowa deska. Potem chcieli i jego zabrać do szpitala, ale zaprotestował. Oświadczył, że wraca do pracy. Co ty na to? Wrócił, ale nie wytrzymał. Koszula przesiąkła mu krwią. Zemdlał i jednak trafił do szpitala.

Wszystko to, o czym opowiadał Wade, wydawało mi się niepojęte. Dlaczego dwóch najgorszych drani z naszej grupy, kryminalista i kat, zniecka zmieniło się w obrońców najsłabszych? Dlaczego Jimmy Bruëll, którego brałem za największego wśród nas egoistę, dobrowolnie przyjął na siebie karę za kogoś innego, zwłaszcza za kobietę, skoro przecież przez całe życie na kobietach żerował, na wszelkie sposoby je wykorzystując? Czy to przez wyrzuty sumienia? Czy czuł się winny po tym, co zaszło z Sophie Leverkusen? A Jung Fei Ye, który przez całe życie sam chłostał innych ludzi? Co go skłoniło, by wstawić się za Lizzie? Poczucie sprawiedliwości? Czy kierowały nim te same niezłomne przekonania, które w innych sytuacjach zamiast do wspaniałomyślności popychały go do okrucieństwa? Czy nasze przekonania zawsze działają w dwie strony? Choć Jimmym Bruëllem z pewnością nie powodowały żadne. Jimmy w nic nie wierzył. Czy zatem współczucie działa na innym, wyższym poziomie i ci, którzy w nic nie wierzą, mogą się zachowywać jak dzikie zwierzęta, a potem, w najmniej spodziewanej chwili, odkryć dla siebie prawo współczucia? Tylko jak się takie prawo odkrywa? Poprzez ból? Przez przypadek? Czy to coś w rodzaju biorącego się nie wiadomo skąd olśnienia? Wewnętrznego wylewu czegoś, co od dawna w nas było? Skutek duchowego rozwoju? Zawsze myślałem, że ból prowadzi do zezwierżenia, toteż buntowałem się przeciwko pomysłowi, jakoby każde cierpienie stanowiło „próbę”, z której wychodzimy mądrzejsi. Zawsze myślałem, że lepiej się uczyć za pośrednictwem przyjemności i piękna niż za pośrednictwem bólu i rozpacz. Teraz wszakże sam już nie wiedziałem, co myślę. Sam już nie wiedziałem, co wiem. Nic już nie wiedziałem ani niczego nie rozumiałem.

Wiem jednak, że człowiekowi trudno żyć bez prawa. Zło zawsze skądś się bierze i wszyscy postępujemy w zgodzie z jakimś wewnętrznym kompasem. Wszyscy oczekujemy, że świat w taki czy inny sposób odpowie na nasze potrzeby. Nie ma istoty ludzkiej, która nie wierzyłaby, że zasługuje na jakąś ponurą sprawiedliwość czy zwykłą rekompensatę w związku z tym potwornym upokorzeniem, jakim jest życie. Każdy wierzy w takiego czy innego boga.

Niscy wierzą w niskiego, a szerocy – w szerokiego. Zieloni – w zielonego, a zimni – w zimnego. Tylko ci, którzy zastanawiają się nad istotą rzeczy i pragną poznać siebie samych, ryzykują życie bez tej wiary. Życie bez niej oznacza wyjście poza prawo i zgłębianie rzeczywistości na własną rękę. Oznacza kwestionowanie wyuczonych praw. Oznacza zaufanie miłości świata, odczucie w sercu ciepła dalekiej gwiazdy. Bo inaczej nie da się wykonać podobnego kroku.

Nie wiem, ile dni spędziłem w swojej celi, nim pewnego ranka w drzwiach stało dwóch nieuzbrojonych mężczyzn, którzy oświadczyli, że Abraham chce mnie zobaczyć. Niespiesznie poprowadzili mnie przez Likkendala City, dzięki czemu znów mogłem mu się poprzyglądać. Zdumiewał mnie fakt, że Centralę zamieszkiwali najwyraźniej zwykli ludzie. Na gankach rodziny zasiadały do śniadania albo może do wczesnego lunchu. W ogrodach bawiły się dzieci. Dostrzegłem gdzieś obrośnięty sitowiem staw z kaczkami. Nad stawem przebiegał mostek, pomalowany tylko w połowie. Wszędzie fruwały niebieskie ważki, może dlatego, że teren w ogóle był podmokły. Po drodze minęliśmy indyjskiego słonia, prowadzonego przez dwóch mężczyzn, jakby chodziło o krowę. Spytałem towarzyszących mi ludzi, co, u licha, robi w tym miejscu indyjski słoń, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Większość napotykanym robotników i personelu niewykwalifikowanego nosiła szare kombinezony z długimi rękawami. Nie wiem, jak to wytrzymywali w tym upale. Tropikalne słońce zdawało się wbijać wszystko w ziemię. Atmosfera panowała wokół taka jak w jakimś miasteczku przygranicznym, może na Dzikim Zachodzie. Mimo widocznych wszędzie wysiłków Likkendala City wciąż bardziej przypominało obóz niż miasto.

Lewellyn czekał na mnie w swojej rezydencji – przyjemnym bungalowie położonym w zadbanym, ukwieconym ogrodzie. To było pierwsze z naszych spotkań, które, zamiast pomóc mi zrozumieć tego człowieka i miejsce, gdzie się znajdowaliśmy, tylko dodatkowo zbiły mnie z pantałyku. Lewellyn popijał na ganku mrożoną herbatę, której nalewał sobie z wysokiego szklanego dzbanka przykrytego ściereczką dla ochrony przed owadami, i czytał przy tym jakąś powieść Nancy Mitford. Zaprosił mnie, bym usiadł i napił się z nim herbaty. Niespodziewanie wcielił się w uprzejmego gospodarza, kulturalnego człowieka przyjmującego u siebie kulturalnych gości.

Usiadłem na wskazanym krześle i spytałem Lewellyna, czemu traktuje mnie tak dobrze, podczas gdy moi towarzyszy zmusza do niewolniczej pracy.

– Niewolniczej – powtórzył, szeroko otwierając oczy. – Niewolniczej, mówi pan. To zupełnie jakby twierdzić, że ja jestem niewolnikiem swojego żołądka, ponieważ muszę na niego pracować. Albo że mój żołądek jest moim niewolnikiem, ponieważ musi przyjmować wszystko, co do niego wrzucę. Jesteśmy niewolnikami czasu. Bo nie możemy go zatrzymać ani zawrócić. Jesteśmy niewolnikami oddychania. Bo nie możemy z niego zrezygnować. Moje oczy są niewolnikami światła. Moje paznokcie to też moi niewolnicy. Co to właściwie znaczy: być niewolnikiem? Ten świat jest światem niewolników. Albowiem istnieją prawa, prawa, których nie sposób obejść. Wszyscy czemuś służymy. Wszyscy jesteśmy niewolnikami czegoś lub kogoś, czyż nie?

– Pan jest niewolnikiem pana Pohjoli.

– To już nie niewolnictwo, gdy z własnej woli służymy czemuś, co nas znacznie przerasta.

Gestem dał mi znać, że się zbieramy. Czasami kojarzył mi się z ptakiem – przez te wyłupiaste oczka, wielką głowę, nos podobny do wielkiego dzioba i prędkie ruchy.

Przy tamtej okazji zaprowadził mnie do okrągłego budynku nazywanego „świątynią” – mnie przypominającego spichrz – na próbę orkiestry. Tak, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu w Likkendala City działała prawdziwa orkiestra symfoniczna, co wedle naszych szacunkowych rachunków znaczyło, że jeden na czterech mieszkańców miasteczka musiał być zawodowym muzykiem. Jak wytłumaczył mi Lewellyn, ćwiczono akurat repertuar, który miał kilka tygodni później uświetnić urodziny pana Pohjoli, najwyraźniej obchodzone na wyspie z wielką pompą.

Na widowni znajdowało się najwyżej dziesięć osób. Lewellyn przedstawił mnie jednej z nich – wysokiej, bardzo atrakcyjnej, mniej więcej czterdziestoletniej blondynce, która nazywała się Jill Dunhill i była lekarzem. Podaliśmy sobie ręce i Jill powiedziała, że bardzo jej miło mnie poznać – zdanie, które w cywilizowanym świecie powtarzamy często, nie przywiązując do niego żadnego znaczenia, a które tym razem wydało mi się świadectwem doskonałego wychowania i niemal wruszającego ciepła. Później przyłapałem ją na zerkaniu w moją stronę i odwracaniu wzroku, gdy nasze spojrzenia się zetknęły, co mnie niezwykle dziwiło i konfundowało. Jeszcze bardziej dziwił mnie fakt, że dyrygentem orkiestry okazał się nie kto inny jak George, złodziej dzieci i bandycki watażka, pierwsze zaś skrzypce grała Gwen Heller, znana również jako Carmen Aoristadis, awanturnica i podrabiana biolożka,

odpowiedzialna za moje kalectwo. Myślę, że Lewellyn świetnie się bawił, obserwując mój wstrząs, gdy ta dwójka pojawiła się na scenie. Wyjaśnił mi, że George i Carmen są małżeństwem, poznali się w Londynie, na kursach mistrzowskich prowadzonych przez sir Georga Soltiego, kiedy oboje byli młodymi nadziejami światowej muzyki, i dodał – odrobinę tajemniczo – że wielu z mieszkańców wyspy było w swoim czasie młodymi nadziejami tego czy tamtego.

Jednakże najbardziej zdumiała mnie grana przez nich muzyka. Sądzę, że słysząc początek, melodię na altówkę i dulcimer, aż podskoczyłem na fotelu. To była moja *III Symfonia*, poświęcone pamięci Antona Brucknera ambitne dzieło, które nie doczekało się druku ani prapremiery i leżało sobie spokojnie w jednej z szuflad mojego biurka. Jakim cudem zdobyli tę partyturę? Tysiąc razy pytałem o to Lewellyna, który wszakże tylko się uśmiechał i poruszał swoimi krzaczastymi, skrzacimi brwiami, kładąc palec na ustach.

Kiedy indziej zabrał mnie do portu, wyposażonej w długi drewniany pomost naturalnej zatoczki, którą – jak mi wyjaśnił z zaskakującymi szczegółami – musieli wciąż oczyszczać z wodnych roślin. Nie było tam żadnych zabezpieczeń, jako że *insiders* nie musieli się chyba obawiać zagrożenia od strony morza, podczas gdy od lądu odgradzili się wytwarzającymi pole energetyczne wieżami. Statków zobaczyłem niewiele: dwa małe kutry, mniej więcej piętnastoosobowy jacht i duży trójmasztowy żaglowiec, który, jak oznajmił Lewellyn, przed trzema laty, bez załogi, zdryfował ku wybrzeżom wyspy. Zauważyłem też okręt podwodny, zacumowany na końcu pomostu i stanowiący najwyraźniej główny środek komunikacji ze światem zewnętrznym. Nie wydał mi się zbyt duży, ale wiadomo, że rozmiary okrętów są złudne, ponieważ każdy sprawia z zewnątrz wrażenie mniejszego niż od środka. Zastanawiałem się, po co Lewellyn mi to wszystko pokazuje i czy nie rozumie, że oto zapoznaje mnie z podstawowym sposobem ucieczki z Likkendala City.

Jill Dunhill spotkałem ponownie kilka dni później, podczas jednego ze spacerów z Lewellynem. Tym razem przechadzaliśmy się wzdłuż kolumn odgradzających półwysep z Centralą od reszty lądu. Wtedy potwierdziło się przypuszczenie dotyczące wytwarzanej przez nie energetycznej zapory. Spytałem, o jaki rodzaj energii tu chodzi, a Lewellyn odpowiedział, że o zupełnie nowy jej rodzaj, odkryty kilka lat temu w górach we wnętrzu wyspy. Nie podał mi więcej szczegółów, zresztą ich nie potrzebowałem,

wywnioskowałem jednak, że idzie o tę siłę antygravitacyjną, która podobno potężniała w miarę, jak człowiek zbliżał się do tak zwanej Czarnej Kolumny. Lewellyn dorzucił, że ta nowa moc z czasem zrewolucjonizuje świat i że energia atomowa to przy niej fraszka.

– Czemu mi pan to wszystko pokazuje? – spytałem. – Czemu mi pan to wszystko opowiada? Chce nas pan przekonać, że nigdy się stąd nie wyrwiemy? Demonstruje mi pan, jak grube są kraty naszego więzienia?

– Strasznie pan podejrzliwy – odpowiedział Lewellyn. – Wszędzie węszy pan podstęp.

W tym momencie zauważyliśmy furgonetkę nadjeżdżającą tą samą drogą, którą i my dostaliśmy się w to miejsce naszym jeepem. Furgonetka była jasnoniebieska, w rodzaju tych, które często widywało się w Centrali. Przystanęła obok nas. W środku, obok młodego kierowcy, siedziała Jill Dunhill.

– Ogłoszono alarm – oznajmiła. – Wygląda na to, że grupka mężczyzn natknęła się na Omé. Trzech jest poparzonych, dwóch zginęło.

– Boże święty – szepnął Lewellyn. – To uważajcie. Zawiadomiliście Burta, że musi uprzętnąć zwłoki?

– Tak – potwierdził kierowca furgonetki. – Jedzie za nami, z dwoma ludźmi.

Porozmawiał przez krótkofalówkę i poinformował doktor Dunhill, że mogą ruszać, co też uczynili. Ostrożnie przekroczyli niewidzialną granicę wyznaczaną przez kolumny, przyspieszyli i po chwili zniknęli za wyniosłością terenu.

– W Centrali powiedzieli im, że dezaktywują ten sektor – odezwał się Lewellyn, komentując tę wyraźną ostrożność – lecz mimo wszystko lepiej uważać. Zaraz nastąpi ponowna aktywacja.

– Kim jest Omé? – spytałem.

– Wy nazywacie go „błękitnym olbrzymem” – odparł Lewellyn. – Omé to imię, jakie nadali mu Wamani.

– Czyli ta zaporę ma was bronić właśnie przed nim – rzuciłem.

– Głównie przed nim, ale też przed innymi rzeczami.

– Niech mi pan powie, Lewellyn, co, do diabła, dzieje się na tej wyspie? – powtarzałem mu przy każdej naszej rozmowie. – Nie wygląda pan na przestępcę, jest pan człowiekiem wykształconym. Kieruje pan tym miejscem, którego przeznaczenia nie rozumiem, a które zamieszkują normalni na pierwszy

rzut oka ludzie. Macie tu nawet orkiestrę symfoniczną! A mimo to traktujecie nas okropnie: prześladujecie nas, chłoszczecie, strzelacie do nas. Nie tylko nam nie pomagacie, ale jeszcze nam szkodzicie.

– A czemu mielibyśmy wam pomagać? – odpowiadał.

– Gdyby potknął się pan i przewrócił, pomógłbym panu wstać – argumentowałem. – Odruchowo. Niesienie pomocy bliźniemu leży w ludzkiej naturze.

– Może to i odruch – śmiał się szyderczo Lewellyn. – Ale z ludzką naturą nie ma nic wspólnego.

Wieczorami opowiadałem Wade'owi o tym, czego się z tych rozmów dowiadywałem. Wade dopytywał, czy mam jakieś wyobrażenie, dlaczego Lewellyn tak mnie wyróżnia. Jednakże moja zdolność do wyobrażania sobie czegokolwiek od dawna szwankowała, przytłoczona przez niewyobrażalny rozwój wypadków.

Opracowaliśmy już dość szczegółowy plan ucieczki, bazujący na kradzieży jednej z jednostek cumujących w porcie, kiedy pewnego ranka dwóch ludzi zabrało nas obu do biura Lewellyna. Eskortujący nas mężczyźni nie mieli broni i nawet nas tym razem nie skuli.

Lewellyn wydawał się czymś bardzo podekscytowany. Umiał kontrolować swoje emocje, lecz ja zdążyłem go już trochę poznać (a przynajmniej tak mi się wydawało), więc wyczuwałem w nim jakieś podniecenie. Wade patrzył na niego wzrokiem bazyliuszka. Wiedziałem, że z trudem się powstrzymuje, by się na niego nie rzucić. Lewellyn zaproponował nam wodę, której nalał do wysokich szklanek z żółtego plastikowego dzbanka, w którym pływały kostki lodu. Poczęstowaliśmy się obaj: w pokoju szumiało kilka wentylatorów, mimo to upał był nie do zniesienia. Przypuszczam, że klimatyzacja akurat się zepsuła.

– Od jutra nie będziecie już pracować w kamieniołomie – oznajmił Lewellyn, omdlałymi ruchami przesuając przed twarzą pleciony wachlarz. – Zakładam, że ta wiadomość was ucieszy.

Wade i ja siedzieliśmy bez ruchu, nie reagując. Lewellyn przypatrywał się nam z uwagą, jakby obserwował egzotyczne owady.

– Co się dzieje? – spytał. – Nie cieszyście się?

– Jakie nowe tortury pan dla nas przygotował? – rzucił Wade. – Gdzie są kobiety, które porwaliście? Gdzie trzymacie dzieci?

– Ciągle to samo, no, w kółko – zniecierpliwił się Lewellyn. – Dzieci... Jakie znaczenie mają te dzieci? Nie są nawet wasze. Skąd w panu to

przekonanie, że one naprawdę się liczą? Czemu się pan tak przy tym upiera? Czemu pan tego nie zostawi?

– Cóż, wie pan, jak to działa. – Wade odetchnął głęboko, zmuszając się do spokoju, a nawet uśmiechu. – Ludzie nawiązują relacje i zaczynają się o siebie nawzajem troszczyć.

– Doprawdy? – mruknął Lewellyn. – Tak to działa?

– Tak, tak mi się zdaje.

– Żałuję, że nie jestem w stanie sprostać pańskim standardom moralnym.

– Ja też żałuję.

– Przykro mi, że nie jestem jakimś świętym.

– To, co pan uważa za świętość, ja uważam za normalność – oświadczył Wade. – Wystarczyłoby, żeby był pan normalną, przyzwoitą osobą, jakich są miliony.

– Może po prostu pan *jest* świętym – zasugerował Lewellyn.

– Nie, przyjacielu, dobrze wiem, że nie jestem – zaprotestował Wade. – Jestem zwyczajnym facetem. Ale jak widzę zabłąkane dziecko, to biorę je za rękę i odprowadzam do domu. Wy natomiast opróżniacie mu kieszenie i zabieracie buty.

– Musi mnie pan postrzegać jako wysoce wybrakowany egzemplarz istoty ludzkiej.

– Jest pan raczej brzydki, przyjacielu – rzekł Wade, przypatrując się Lewellynowi z uwagą. – Jeśli o to panu chodzi, to tak, rzeczywiście tak pana postrzegam. Daleko panu do doskonałości.

– Daleko mi do doskonałości – powoli powtórzył Lewellyn. – *Daleko mi do doskonałości*. Tak zatytułuję swoją autobiografię, kiedy już ją napiszę.

Wade spojrzał na mnie, a ja wzruszyłem ramionami.

– Wy ciągle nie rozumiecie – powiedział Lewellyn. – Nie rozumiecie, że znaleźliście się na terenie prywatnym. W miejscu, które ma właściciela. I to od dawna. Od zawsze, od samego początku. To nie jest park publiczny, gdzie każdy może sobie ot tak wejść i pobiegać.

– To akurat rozumiemy – zaprzeczył Wade. – Rozumiemy, że ta wyspa to być może teren prywatny.

– Nie chodzi mi o tę wyspę – odparł Lewellyn. – Chodzi mi o ten świat.

Zerknąłem na Wade'a spod oka, lecz on nie odrywał wzroku od człowieka za biurkiem.

– Chodzi mi o ten świat – powtórzył spokojnie Lewellyn. – Wy,

liberałowie, lewicowcy, rewolucjoniści, hipisi, zniewieściali ekolodzy, rozpuszczone bachory, obrońcy nieudaczników, leni i tchórzy... Kto wam powiedział, że świat to plac zabaw, że tak musi być i że inaczej być nie może, bo byłoby to oburzające? Ten świat ma swoich właścicieli, panów, a kto nie jest panem, musi panu służyć. Jak mogłoby być inaczej?

– W wielu miejscach jest inaczej – zauważyłem.

– To przejściowe. Panowie świata czasami przegrywają jakąś bitwę, tracą na kilka dekad jakiś kraj czy region. To nieważne, ponieważ ich władza jest absolutna. Mają w ręku wszystkie karty: technologię, środki komunikacji, produkcję leków, kontrolę nad rynkiem żywności i nad źródłami energii. Ba, zaczynają kontrolować nawet klimat. I pracują nad tym, by kontrolować umysły, sterować uwagą całych społeczności, tworzyć populacje uległe i posłuszne. Stąd ich zainteresowanie tą wyspą. Stąd jej kluczowa rola w ich planach. Ale odbiegamy od tematu. Nie wezwałem tu panów, żeby konferować na temat etyki czy filozofii politycznej. Mam wieści od pana Pohjoli. Pan Pohjola – Lewellyn westchnął ze znużeniem – zdaje się mieć do panów ogromną słabość. Proszę mnie nie pytać dlaczego.

– Starczy już tego, Lewellyn – warknął Wade. – *Cut the crap!* Jeśli chce nam pan coś powiedzieć, niech pan mówi. Ale niech pan przestanie kryć się za tym swoim wymysłem!

– Pan Pohjola nie jest niczym wymysłem – odparł Lewellyn.

– Więc gdzie on się podziewa? Gdzieś tutaj? – spytał Wade, obejmując pokój szerokim gestem.

– Nie, *tutaj* go nie ma – odrzekł Lewellyn, wspinając się na wyżyny cierpliwości i wyrozumiałości.

– Jest gdzieś w Likkendala City?

– Nie, już mówiłem, że nie.

– No dobrze, pan Pohjola nie jest pańskim wymysłem – zgodził się Wade. – Pan Pohjola jest *panem*. Panem i władcą tej bandy świrów. Stworzył pan na tej wyspie rodzaj kultu. Stworzył pan mały świat, gdzie odgrywa pan rolę wszechmocnego boga, chowając się za tajemniczym a nieistniejącym „panem Pohjola”, którego wyłącznie pan widuje i słyszy.

– Pan Pohjola to nie czarnoksiężnik z krainy Oz – uciał Lewellyn. – Niech pan będzie cicho i posłucha. Pan Pohjola jest całkiem rzeczywisty, zapewniam, całkiem rzeczywisty. Chce z panami porozmawiać. Dlatego tu dziś panów ściągnąłem. Żeby to panom powiedzieć.

– Chce z nami porozmawiać? – spytałem.

– Tak, z panami dwoma.

– *Holy cow* – rzucił Wade.

– Pan Pohjola pragnie pomówić z panami twarzą w twarz – uściślił Lewellyn. – Mam panów zabrać do jego domu.

– Czyli ma dom – mruknąłem zdumiony.

– Każdy ma jakiś dom, panie Barbarin – stwierdził Lewellyn.

Spojrzałem na Wade'a, który śmiał się, gładząc podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Patrzył na Lewellyna z pewnym podziwem – takim, jakim jeden szuler obdarzyć może drugiego, jeszcze sprytniejszego.

– A zatem wybieramy się do niego z wizytą? – spytał mój przyjaciel. – Poznamy tego wielkiego człowieka osobiście?

– Właśnie tak.

Wade wciąż się śmiał.

– To daleko stąd – dodał Lewellyn. – W głębi wyspy. Spotyka panów wielki szacunek. Mam nadzieję, że są panowie tego świadomi. Mam nadzieję, że panowie to docenią... George na przykład byłby gotów zabić, żeby tylko móc mi towarzyszyć podczas takiej wizyty. Mieszka tu od lat i nigdy nie miał po temu okazji.

– Czyli wyprawimy się sami? – spytał Wade. – Żadnej zbrojnej eskorty?

– Nie weźmiemy broni.

– Chce pan powiedzieć, że wyprawimy się *we trzech*? – wtrąciłem wtedy. – Wade, pan i ja?

– Tak – powiedział Abraham, spoglądając na mnie z uwagą. – We trzech. Podróż zajmie nam ze dwa dni. To wysoko w górach. Dwa dni w tamtą stronę i dwa z powrotem. Albo może i trzy, zważywszy na panów ograniczenia. Jednakże – dorzucił, obserwując nas bezustannie swoimi wylupiastymi, zaczerwienionymi oczami – proszę nie myśleć, że to doskonała okazja do „ucieczki”. Liczę też, że rozumieją panowie bezsensowność jakiegokolwiek na mnie ataku. Mamy masę zakładników. Jeśli coś mi się stanie, panów towarzysze poniosą tego konsekwencje. Nie, proszę tak na mnie nie patrzeć. Po prostu muszę się zabezpieczyć, może nawet chronić swoje życie. Wycieczka w panów towarzystwie nie sprawi mi większej przyjemności. Ale rozkaz to rozkaz, a rozkazy pana Pohjoli wykonuje się bez szemrania. Nie ma innej możliwości. Wyprawimy się *we trzech*, a panowie będą się zachowywać jak ludzie cywilizowani.

Pomysł, by wyrwać się z Likkendala City bez eskorty, wydawał mi się doskonałą okazją nie tylko do ucieczki, ale również do pojmania Lewellyna i wykorzystania go później do wymiany na naszych towarzyszy. Uznałem jednak, że wcześniej trzeba wycisnąć z tej sytuacji, co się da.

– Doskonale – oświadczyłem. – Ale chcę, żeby zabrał się z nami ktoś jeszcze.

– Tak, wiem – odparł Lewellyn.

– Wie pan?

– Wiedzieć to moja praca – odrzekł. – I praca pana Pohjoli, rzecz jasna.

– Nic pan nie wie – rzuciłem.

– Pan Pohjola mnie uprzedził. Powiedział, że poprosi pan, by towarzyszył nam ktoś jeszcze. W porządku, nie ma problemu. To było przewidziane.

– O kim pan mówi? – spytałem zmieszany.

– O tej samej osobie, o której pan myśli.

– Niemożliwe, by pan wiedział, o kim myślę.

Abraham Lewellyn patrzył na mnie swoimi wyłupiastymi oczami, w których błyszczał teraz ironiczny uśmiezek. Później odłożył wachlarz na biurko, otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej złożoną kartkę. Podał mi ją i kazał przeczytać to, co było na niej napisane. Oto, co tam stało, wykaligrafowane niebieskim długopisem, typowym amerykańskim pismem wiernie naśladowującym druk.

Chcę, żeby zabrał się z nami ktoś jeszcze.

Tak, wiem.

Wie pan?

Wiedzieć to moja praca.

Nic pan nie wie.

W porządku, nie ma problemu. To było przewidziane.

O kim pan mówi?

O tej samej osobie, o której pan myśli.

Niemożliwe, by pan wiedział, o kim myślę.

Myśli pan o Rosanie. Chce pan, żeby towarzyszyła nam jeszcze Rosana.

– Myśli pan o Rosanie – powiedział Lewellyn. – Chce pan, żeby towarzyszyła nam jeszcze Rosana.

Wyciągnął rękę po kartkę, a ja, zerknąwszy na nią jeszcze raz z niedowierzaniem, mechanicznie mu ją oddałem. Teraz myślę, że nie powinienem był tego robić; powinienem był ją zatrzymać jako dowód. Ale

właściwie dowód na co? Na istnienie pana Pohjoli? Fakt faktem, że Lewellyn miał w szufladzie papier, na którym słowo w słowo spisana została część odbywanej przez nas akurat rozmowy. Czyżbym okazywał się aż tak przewidywalny? Czy on naprawdę mógł wiedzieć, jakimi zdaniami odpowiem na jego zdania? Czy może chodziło o to, że *każdy* – a przynajmniej wysoki odsetek ludzi – odpowiedziałby dokładnie tak samo na pewne bodźce werbalne, podobnie jak dziewięćdziesiąt procent osób mówi „stolarz”, kiedy, odwróciwszy odpowiednio ich uwagę, zapyta się ich o zawód. Na czym polegał trik tutaj? Czy słowa Lewellyna zostały specjalnie dobrane, aby wywołać we mnie określone automatyczne reakcje i stworzyć wrażenie, że ktoś przewidział, co powiem? Czy wszyscy jesteśmy jedynie przewidywalnymi maszynami? Czy może wielka sztuka naszego życia została uprzednio spisana, a my tylko odgrywamy swoje role, nie pamiętając nawet, że to teatr? Czy to dlatego *insiders* wydawali się zawsze dwa albo trzy kroki przed nami? Oczywiście istniała jeszcze inna możliwość: taka mianowicie, że ktokolwiek spisał czy podyktował tamte słowa, potrafił przewidywać przyszłość.

Sny hrabiego Balázsa. Salome, Mistrzynie Gry

Stowarzyszenie Białej Róży, znane również jako Bractwo Kontemplatorów Nieba, powstało w Wiedniu pod koniec XVIII wieku, jako pokłosie rozprzestrzenienia się w Europie Stołów, *Tabulae*, czyli mniej lub bardziej sekretnych towarzystw zajmujących się rozgrywaniem gier z księgi hrabiego Cammarano i często powiązanych z masonerią lub różokrzyżowcami.

Członkowie Stowarzyszenia Białej Róży oddawali się wyłącznie i obsesyjnie rozgrywaniu trzech z tych gier: gry w wyspę (numerycznej gry z zakresu wyższej matematyki), gry w białą różę i siedemnastej gry spośród gier w ciszę, zaliczających się do stu ośmiu gier sekretnych. Pod tym względem Stowarzyszenie szło z duchem czasu, albowiem *Tabulae* już wcześniej zrezygnowały z pierwotnego zamiaru rozgrywania wszystkich gier hrabiego Cammarano.

Niektórzy adepci skupiali się w gruncie rzeczy na siedemnastej spośród gier w ciszę, nazywanej po prostu (choć jej rozgrywanie, bez względu na prostotę instrukcji, nie ma w sobie nic prostego) grą w kontemplację nieba, skąd zresztą wzięta się druga nazwa Stowarzyszenia. Pod koniec XIX wieku Stowarzyszeniu Białej Róży albo Bractwu Kontemplatorów Nieba przewodził hrabia Balázs, bajecznie bogaty węgierski arystokrata, zoolog, botanik, miłośnik muzyki, mistyk, alchemik, matematyk, mason i kolekcjoner egipskich starożytności, który po latach studiów i rozmyślań doszedł do wniosku, że gra w białą różę, gra w wyspę i siedemnasta spośród gier w ciszę to w istocie ta sama gra, nawiązująca do miejsca faktycznie istniejącego gdzieś na świecie.

W ten sposób wyspa, po wiekach zapomnienia, pojawiła się na horyzoncie nowoczesnej wyobraźni.

Nazwa Stowarzyszenia Białej Róży zaczerpnięta została bezpośrednio z księgi hrabiego Cammarano, gdzie wspomina się o grze w białą różę, jak również o jakimś Stowarzyszeniu Białej Róży, którego członkowie rozgrywać

by mieli sto osiem gier zaliczających się do najdziwniejszych i najbardziej ezoterycznych ze wszystkich. Jednakże hrabia Balázs zaczął myśleć, że i biała róża, i wyspa, które pojawiają się w księdze, rzeczywiście gdzieś istnieją. I resztę życia poświęcił na ich poszukiwanie.

„Biała róża, jeśli w ogóle istnieje”, pisze hrabia Balázs w jednym ze swoich dzienników, „musi znajdować się na Wyspie Czyścicowej, którą nazywa się również Wyspą Cammarano albo Wyspą Głosów. Doszedłem do przekonania, iż wyspa ta, dla wielu równie symboliczna jak Święty Graal, Nibelheim czy Avalon, rzeczywiście leży gdzieś na Oceanie Indyjskim lub też Pacyficznym”.

To właśnie dzienniki hrabiego pozwalają nam odtworzyć jego uparte poszukiwanie Wyspy Czyścicowej, Cammarano albo Głosów oraz niezwykle okoliczności „spotkania” z nią.

Spotkanie to odbyło się nocą, podczas wielu nocy.

Jesienią 1877 roku hrabia Balázs miał serię snów, w których grupa mnichów zamieszkujących odległe góry udzielała mu rozmaitych ezoterycznych nauk. Mnisi tłumaczyli mu prawdziwe znaczenie gier w wyspę, różę i kontemplację nieba i zapewniali, że opisany w Biblii, a przywoływany w wielu dawnych kulturach Eden to żaden mit ani symbol „stanu wewnętrznego”, lecz realne miejsce. Eden albo Rajski Ogród, zwany także Ogrodem Zmartwychwstania, mówili, *naprawdę istnieje* na ziemi.

W pierwszym śnie hrabia Balázs ujrzał siebie samego w jakimś skalistym zakątku pośród gór. Szedł zarośniętą ścieżką pnącą się między potężnymi drzewami i wkrótce stanął u wrót klasztoru. Tam czekali na niego mnisi, którzy zwracali się doń po imieniu i nader uprzejmie zapraszali go do środka. Jego głos został usłyszany, powiedzieli. Najwyższe władze Uniwersytetu zdecydowały się przyjąć go jako wolnego słuchacza *in somni*, czyli w snach.

Władze Uniwersytetu? Hrabia Balázs był zdziwiony. Nie klasztoru? Nie zakonu? Później przypomniał sobie, że w średniowieczu figury uczonego i duchownego się zlewały, i uznał, iż mnisi nazywali miejsce, gdzie żyli, Uniwersytetem z tego prostego powodu, że poświęcili swoje życie nauce.

W trakcie tych pierwszych snów hrabia Balázs rozmawiał z młodymi i starymi zakonnikami, którzy zadawali mu pytania i udzielali wskazówek. Zwracali się do siebie nawzajem per „bracie”, jak to w klasztorze, i hrabia nie potrafił rozszyfrować panującej wśród nich hierarchii. Nie miał też okazji spotkać się z kierującym tą instytucją przeorem.

Kiedy indziej rozmawiał z kobietami, które, jak rozumiał, nie były mniszkami, lecz diakonisami i miały w zakonie te same prawa i obowiązki co mężczyźni. Chodziły ubrane w długie brązowe habity, pod którymi nie nosiły nic innego, a gdy je zrzucały (co robiły często), zakładały wielkie maski pokryte sierścią jakby bizona czy lwa, ozdobione piórami bażanta i rogami bawoła, tak że kiedy były nagie, twarze zakryte miały tymi okazałymi włochatymi maskami, a kiedy zdejmowały maski, zasłaniały habitami ciała.

Nie ulegało wątpliwości, że ten męsko-żeński zakon niewiele ma wspólnego z Kościołem. Jego rytuały i zwyczaje wprawiały niekiedy hrabiego w głębokie pomieszenie. Na przykład rytuały kąpieli, odbywane w wielkich basenach termalnych, do których kobiety i mężczyźni wchodzili razem. Diakonisy zdejmowały na takie okazje nawet swoje monstrialne maski, a wszystko nierzadko kończyło się zbiorową kopulacją pośród kwiatów.

Hrabia Balázs przyglądał się temu w zgrozie, zastanawiając się, czy aby nie pada ofiarą jakiegoś wyrafinowanego żartu. Ale czy kto słyszał, żeby robić komuś żarty *we śnie*?

Pewien mnich imieniem Filemon, bardzo uczony starzec o miłej twarzy i lekko ironicznym spojrzeniu, wyjaśniał hrabiemu Balázsowi nieznane mu z ksiąg a zdumiewające zagadki liczb. Mówił: „Bóg przemawia do ludzi trzema językami – poprzez matematykę, poprzez muzykę i jeszcze w trzecim języku”. Jaki to język, pytał niezmordowanie hrabia Balázs. Jednakże Filemon nie odpowiadał. Po przebudzeniu hrabia usiłował zapisywać wysnzione przez siebie rozwiązania wielkich matematycznych problemów, lecz nic z tego nie wychodziło. Nie żeby nie pamiętał szeregów cyfr – po prostu na jawie nie miały one żadnego sensu.

W jednym z owych snów wielkooka kobieta o długich, kręconych, brązowych włosach tłumaczyła hrabiemu, że te trzy gry: gra w wyspę, gra w różę i gra w kontemplację nieba – podobnie jak wszystkie inne gry zawarte w księdze hrabiego Cammarano – to w istocie sposoby na odszukanie pewnego miejsca. Tłumaczyła, że hrabia Cammarano napisał swoje dzieło tak, by ten, kto poprawnie je przeczyta, mógł odnaleźć to miejsce, w którym się obecnie znajdowali i do którego on, hrabia Balázs, został dopuszczony jako student *in somni*. Miejsce to leżało na odległej wyspie.

Wyspa miała wiele nazw. Hrabia Cammarano ochrzcił ją Wyspą Czyścową. Inni mówili: Wyspa Głosów.

Wielkooka kobieta tłumaczyła również, że samo zgłębianie zagadek liczb

nie wystarczy, by dostać się do Rajskiego Ogrodu. Miała na imię Salome, była szczupła, piękna, delikatna, imponująca, niezwykle kobieca i zarazem hieratyczna oraz matczyna. Bujne kręcone włosy okalały jej twarz jak aureola o intensywnej, ciepłej barwie hebanu; urzekające, migdałowe oczy lśniły orzechowo. Mniej więcej czterdziestoletnia, ubierała się w cieką brązową tunikę, która opinała jej piersi niby greckie peplum, niżej zaś opadała długimi fałdami aż do ziemi. Ukazywała się zawsze, uroczyście zasiadając przy stole, na którym znajdowały się różne symboliczne przedmioty: czerwona róża, biała lilia, klepsydra, szpada, czaszka, kogut z brązu, rozłupany granat, kupka soli, książka...

Hrabia Balázs brał ten stół za jedną z dawnych *Tabulae*, a Salome w związku z tym – za Mistrzynie Gry. Trudno było określić pozycję tej kobiety w zakonie, niemniej hrabia zaczął wkrótce podejrzewać, że spokojnie może ona być matką przełożoną, rządzącą nie tylko diakoniami, ale w ogóle całą męsko-żeńską społecznością Uniwersytetu. Co do symboli widocznych na stole (zmieniających się ze snu na sen albo też zawsze takich samych, lecz w jego oczach zawsze różnych) – wyjaśnienie ich sensu, czemu poświęcono niezliczone posiedzenia Bractwa Kontemplatorów Nieba, okazało się niemożliwe. Czerwona róża i biała lilia mogły oznaczać miłość i wiedzę (to jest – *filozofię*), jak wszakże należało interpretować kupkę soli? W jaki sposób ta sól łączyła się z książką? A kogut? Czy chodziło o dawny symbol gnostyczny?

Hrabia Balázs dostał obsesji na punkcie odszukania Rajskiego Ogrodu albo Ogrodu Zmartwychwstania, jak również zaczęto go nazywać, jednakże nie czynił większych postępów. Członkowie Stowarzyszenia Białej Róży do perfekcji opanowali grę w wyspę, grę w białą różę i grę w kontemplację nieba, lecz mimo to nie otwierały się przed nimi żadne drzwi, nie ukazywała się im żadna ścieżka. Niemniej Filemon i Salome nieustannie zapewniali hrabiemu, że miejsce, o którym mówią, istnieje i że da się do niego dotrzeć.

Teraz hrabia śnił o Salome każdej nocy, przy czym ona, nieustannie usadowiona za swoim stołem, patrząc na hrabię swoimi pięknymi oczami, już więcej do niego nie mówiła. Ale choć nie mówiła, to, owszem, śpiewała. Zwracała się doń wyłącznie poprzez ten śpiew. Melodie były intrygujące, mgliście orientalne, egzotyczne. Hrabia czasem rozumiał słowa, a czasem słyszał je, lecz nie potrafił pojąć ich znaczenia. Czasem zaś tak jakby ich w ogóle nie wychwytywał.

Śnił o Salome siedzącej za stołem, z szeregiem diakonis w brązowych tunikach po jednej stronie i szeregiem mnichów w tunikach koloru kości słoniowej po drugiej. Te dwa chóry też śpiewały. Najpierw diakonisy. Później mnisi. Potem śpiewy jednych i drugich splatały się w coś, co w najmniejszym nawet stopniu nie przypominało tak dobrze znanej hrabiemu polifonii. Wreszcie zaczynała swój śpiew Salome. Jej głos był niezapomniany, chociaż po przebudzeniu hrabia nie potrafił powiedzieć, czy chodziło o kontralt, mezzosopran, sopran dramatyczny, liryczny czy koloraturowy. Salome śpiewała, on zaś usiłował zrozumieć słowa. Niekiedy śpiewała po łacinie, czyli w języku, który znał dobrze. Kiedy indziej po grecku – i wtedy wyłapywał pojedyncze wyrazy. Przy jeszcze innych okazjach – w starożytnej mowie Egipcjan: hrabia we śnie wiedział, że to ich mowa, choć nikt mu tego nie wyjaśniał. Przy jeszcze innych – po hebrajsku. Albo w sanskrycie, który od końca XVIII wieku stał się modny w Niemczech, w związku z czym hrabia kojarzył jakieś sto terminów. Jednakże w większości wypadków treść pieśni Salome mu umykała. Co nie miało znaczenia o tyle, że wskazówki, jak dotrzeć na wyspę, płynęły ku niemu bezpośrednio, bynajmniej nie poprzez słowa. Trzeba było jedynie wsłuchiwać się w sam dźwięk, w muzykę i, zwłaszcza, w głos Salome. Kiedy ona śpiewała, symboliczne przedmioty na stole zaczynały unosić się w powietrzu i tańczyć. A jeszcze później ulegały różnym przemianom.

Następnie mnisi i diakonisy się rozbierali. Robili to zręcznymi, lekkimi ruchami, pozwalając opadać na posadzkę tunikom w dwóch kolorach. Niemal wszyscy byli młodzi i smukli, choć trafiały się też ciała dojrzałe i otłę. Kobiety zakładały swoje dzikie, zwierzęce maski, powleczone lwią skórą i ozdobione rogami bawołów, mężczyźni zaś wsuwali na głowy kwietne wianki. I wtedy zaczynały się tańce. Jedna z kobiet i jeden z mężczyzn podchodzili do Salome i zdejmowali z niej tunikę, zsuwając ją z jej ramion i dalej, na ziemię, aż i ona pozostawała całkiem naga. Wszyscy ciągle śpiewali, wirując w dwupłciowych parach wokół sali, i Salome także śpiewała. Była jedyną, która ukazywała się nago, nie zasłaniając twarzy maską.

Hrabia rozumiał, że głos Salome skrywa najgłębszą i najbardziej tajemniczą wiadomość, jaką kiedykolwiek zdarzy mu się odebrać. Tyle że nie potrafił jej odczytać. Starał się, wysiłał aż do granicy łez i wtedy odkrywał, że nie było tam nic do odczytania. Wiadomością był sam głos. Nie słowa. Nie

nuty. Nie liczby. *Wiadomością był sam głos.* Hrabia, gdy w końcu pewnej nocy to pojął, obudził się w środku snu i zapłakał ze szczęścia, że oto udało mu się rozwiązać zagadkę.

Tak bardzo szanował tę wspaniałą kobietę, że kiedy dwoje pomocników zdejmowało z niej tunikę, on spuszczał wzrok. Teraz rytuał ten powtarzał się co noc i za każdym razem hrabia wbijał oczy w ziemię, pełen szacunku i śmiertelnego zmieszania. Przy którejś okazji, nim to uczynił, dostrzegł w przelocie piersi Salome: macierzyńskie i doskonałe, i wizja ta prześladowała go później też na jawie, jak gdyby dotknął zakazanej tajemnicy. Następnego nocy Salome powiedziała, bez słów, sięgając wprost do jego serca, żeby nie spuszczał wzroku i nie wstydził się na nią patrzeć. Kiedy pomocnicy ją rozebrali, hrabia z wielkim trudem przełamał swój opór. I po raz pierwszy ujrzał jej nagie ciało.

Wtedy pomyślał: wiadomość nie tkwi w słowach. Ani w dźwiękach. Ani w liczbach. Ani nawet w głosie, ich nośniku. *Wiadomością jest ciało.*

Symboliczne przedmioty unoszące się w powietrzu i ulegające różnym przemianom opadły wówczas łagodnie na stół. Salome przestała śpiewać. Tańczący również umilkli, zatrzymali się, pocałowali w usta i wrócili na swoje miejsca, by się ubrać. Mnich i diakonisa unieśli tunikę Salome od jej stóp ku ramionom, na powrót ją okrywając.

A Salome ponownie do niego przemówiła. Oświadczyła, że śni o niej po raz przedostatni. Podziękowała mu za podjęte przezeń wysiłki i nazwała go „duchowym bratem”, co niezmiernie go wzruszyło.

Później powiedziała, że zaraz poprosi go, by uczynił coś w świecie jawy. Nazajutrz, osiemnastego grudnia, miał się wybrać na premierę ostatniej symfonii Antona Brucknera, granej przez Filharmoników Wiedeńskich pod batutą Hansa Richtera. Hrabia dopytywał się kilkakrotnie, czy wszystko dobrze zrozumiał. Jednakże wskazówki Salome były jasne i nie pozostawiały miejsca na wątpliwości.

To był pierwszy raz, gdy Salome odnosiła się do codziennego świata. Zaintrygowany hrabia Balázs mimo trudności zdobył bilety na koncert (w dużej mierze przeznaczono je dla stałych bywalców) i o wskazanej godzinie udał się do Musikverein. Premierę *VIII Symfonii* Antona Brucknera z różnych powodów od lat odkładano: a to dlatego, że dyrygenci uznawali ją za dzieło absurdalne i pozbawione sensu, a to dlatego, że muzycy nie mogli poradzić sobie z jej skomplikowaniem technicznym. Bruckner poprawiał ją

kilkakrotnie, usiłując skorygować swe domniemane błędy. Oczywiście, hrabia Balázs nie znał tych szczegółów. Kochał muzykę, ale nie śledził współczesnych jej przejawów. Nigdy też nie słuchał utworów Brucknera.

Teraz, słuchając jego muzyki: nieogarnionej, namiętnej, precudownie prostej i jednocześnie niebywale psychologicznie złożonej; wzniosłej niby kamienna bazylika i delikatnej jak kwiaty nad strumieniem; majestatycznej aż do przesady i zarazem przesyconej tajemniczą melancholią, doszedł do wniosku, że oto w końcu znalazł drogę. Wracając do domu, z symfonią Brucknera w świeżej pamięci, czuł się porwany, jak gdyby wznosił się w wewnętrznym locie i zataczał w swoim wnętrzu szerokie kręgi. Po koncercie nie chciał z nikim rozmawiać ani uczestniczyć w żadnym przyjęciu, które mogłoby zatrzeć wrażenie, jakie pozostawiła w nim tamta muzyka. Dlatego wrócił prosto do siebie i zamknął się w swych komnatach, uprzedzając, że nie życzy sobie, by ktokolwiek mu przeszkadzał. Rozegrał wszystkie trzy gry: w wyspę, w białą różę i w kontemplację nieba, po czym położył się spać.

Tamtej nocy po raz ostatni śnił o klasztorze w górach, o mnichach, diakonisach i Salome. To był najdziwniejszy sen ze wszystkich.

Mnisi powitali go u stóp świętej góry, poprowadzili do monasteru, jak gdyby w uroczystej procesji, przez udekorowane kwietnymi girlandami i zapalonymi świecami pomieszczenia świątynne, aż do miejsca, gdzie znajdowała się *Tabula Salome*, która spytała go, czy wysłuchał tego, o czego wysłuchanie go prosiła. Odparł, że tak, i spytał z kolei, czy odpowiedzi na jego pytania zawierają się w tej muzyce i czy powinien próbować ją zrozumieć za pośrednictwem liczb, albowiem, mimo wszystko, ciągle nie pozbył się przekonania, że liczby są w jakiś sposób kluczem do zagadki.

Salome powiedziała: „Klucz do zagadki jest taki: nie ma żadnej zagadki. Wszystko jest dokładnie tym, czym się wydaje”.

„Pani”, odezwał się hrabia, z szacunkiem spuszczać oczy, „onegdaj widziałem cię nagą i usłyszałem w sercu głos, który mówił: *wiadomością jest ciało*. Jednakowoż nie umiem pojąć, jak ciało miałoby górować nad muzyką albo nad liczbami”.

„Ciało to nośnik”, powiedziała Salome. „To ono czyni nas ludźmi. To ono pozwala nam ewoluować i rozumieć. To ono stanowi ośrodek naszej duchowej pracy. Nienawiść lub lęk wobec ciała wiodą nas prosto do piekła. Piękno i godność ciała są odzwierciedleniem piękna i godności tego, czego w nas nie

widać. Czcic własne ciało znaczy czcic własną duszę. Pracować nad ciałem to pracować nad tym, co niewidzialne. A pracować winniśmy nad trzema elementami: ciałem, emocjami i uwagą. Ale wszystko zaczyna się od ciała”.

Hrabia Balázs skłonił głowę, usiłując przyswoić sobie te słowa.

„Doskonale”, rzekła Salome. „Teraz obejrzyj przedstawienie teatralne, które dla ciebie zainscenizowaliśmy”.

Na jej znak wszyscy odsunęli się pod ściany sali, zostawiając na jej środku puste miejsce.

Przedstawienie okazało się nieopisanie realistyczne i okrutne. Składało się z trzech obrazów. Pierwszy nosił tytuł *Młodość Izoldy*. Drugi – *Narodziny Afrodyty*. Trzeci – *Zwiastowanie Maryi*. Wszystkie trzy bohaterki grała bardzo wysoka blondynka o typowym dla niektórych Niemek, potężnym, jakby z grubsza tylko ociosanym ciele. Dziewczyna ta, jedna z najmłodszych diakonis, głęboko hrabiego wzruszała. Było w niej, z tą jej różową delikatną skórą i okrągłością kobiecych kształtów, coś świeżego i uroczonego. Miał niemal pewność, jej ramiona i szyja pachną mlekiem, jak u nowo narodzonego jelonka.

Chór męski i chór żeński na zmianę tłumaczyły i komentowały akcję. Śpiewały po łacinie.

W *Młodości Izoldy* irlandzka księżniczka pojawiała się jako mądra znachorka. Grająca ją dziewczyna występowała w siwej peruce całkiem zakrywającej jej długie jasne włosy i w druidzkim płaszczu ozdobionym suchymi gałązkami różnych drzew, suszonymi kwiatami, ptasimi piórami i morskimi muszelkami. Chociaż Izolda miała być młoda, biel peruki upodabniała ją do staruszki. Dwa wielkie, wytresowane psy, a może raczej wilki – jeden ciemny, drugi samica albinos – zbliżały się do niej i stawały po obu jej bokach. Ten ciemny zaczynał śpiewać głosem młodego mężczyzny, ta jasna dołączała do niego ze śpiewem kobiecym, Izolda zaś po chwili dobywała z siebie nieludzkie wycie. Wilk śpiewał po łacinie, wilczyca po staroniemiecku, a Izolda – w mowie zwierząt. Wtedy odzywał się głos, który mówił: „Izolda nigdy nie zapomniała swojej dzikiej połowy”. Hrabia Balázs nie wiedział, skąd właściwie dobiegał ten głos. Czy tylko on go słyszał? Czy to Salome wypowiadała te słowa?

Następnie przychodziła pora na *Narodziny Afrodyty*. Chóry nuciły piękne melodie, sławiąc jej objawienie się z cypryjskiej piany, a młoda aktorka zdejmowała perukę oraz płaszcz i podjeżdżała na środek sali w wielkiej

muszli ciągniętej przez dwóch małych chłopców, którzy zdawali się przemieszczać wraz z muszlą i jej zawartością bez najmniejszego trudu. Dziewczyna skromnie zakrywała dłońmi piersi i wzgórek łonowy, nie mogąc jednak zasłonić w pełni różowej obfitości biustu ani brązowych włosów między nogami. Gdy docierała na środek sali, rozkładała ręce, a chóry żeński i męski śpiewały kolejno: „Chwała tobie, Afrodyto, bogini miłości”. Wtedy pojawiało się kilka postaci w przebraniu sylenów, z długimi biczami z byczego penisa, i zaczynało bezlitośnie ją okładać. Dziewczyna wkrótce zalewała się krwią, lecz oprawcy nie ustawali. Bicze cięły jej miękką skórę i ciało, ona zaś mimo wszystko trwała w tej samej pozycji, nie próbując zasłaniać pleców, brzucha ani ud przed razami. Widok tak młodego i pięknego ciała maltretowanego w podobny sposób był prawie nie do wytrzymania, jednakże hrabia Balázs mimo zgrozy i współczucia zmuszał się do patrzenia. I wtedy głos, ten sam co poprzednio, mówił: „Patrzcie, coście uczynili z Afrodytą!”.

Dziewczyna, bliska zemdlenia z bólu i upływu krwi, przystępowała wówczas do odgrywania ostatniej sceny, *Zwiastowania Maryi*. Podchodziły do niej dwie kobiety, pomagały jej usiąść na drewnianym stołku, który ustawiły uprzednio na środku pomieszczenia, i zakrywały jej włosy welonem, który opadał jej na ramiona, ale nie osłaniał nagiego, skrwawionego ciała. Cierpienie dziewczyny było oczywiste, rany i krew – zupełnie realne, i hrabia Balázs prawie płakał. Zjawiał się anioł i chór wyśpiewywał znane słowa: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, oto poczniesz i porodysz syna”. I wtedy działo się coś strasznie dziwnego. Dziewczyna, która teraz odgrywała rolę Najświętszej Marii Panny, wstawała ze stołka, a jej brzuch zaczynał rosnąć i puchnąć. Zaraz później odchodziły jej wody i następowały skurcze porodowe, dziewczyna z powrotem siadała na stołku, szeroko rozstawiała nogi i wszyscy obecni mogli widzieć, jak jej ciasna, dziewczęca pochwa rozwiera się pod naporem czegoś w rodzaju kuli, która rozpychała ją od wnętrza z pozorną łatwością, chociaż dziewczyna zaczynała krzyczeć z bólu. Otwór powiększał się dwukrotnie, trzykrotnie, czterokrotnie i ciągle rósł, i wkrótce ukazywała się główka niemowlęcia: czoło, oczy, nos, usta, a później ramiona i reszta ciała. Dziewczyna krzyczała i jęczała niby zwierzę, i jednocześnie sięgała po dziecko, błyszczące od krwi i płynu owodniowego, podnosiła je i przyciskała do piersi, z wciąż nieprzeciętą, poskręcaną, białofioletową pępowiną. Wtedy chłopcy z poprzedniej sceny wracali na środek

sali z wielką muszlą, z galerii zaś sypały się na matkę i dziecko płatki pelargonii i cyklamenu zmieszane ze złotym pyłem, przyklejając się do ich zakrwawionej skóry. Ktoś odsuwał stołek, ktoś zdejmował dziewczynie welon, a ona, z dzieckiem ciągle połączonym z nią grubą, lśniąca, zwisającą z pochwy pępownią, chwiejnym krokiem wstępowała do muszli Afrodyty. Ze sklepienia spadał nagle drobniutki deszcz, splukując całą krew pozostałą po biczowaniu i porodzie, i myjąc matkę wraz z dzieckiem niemal do czysta. A dobiegający nie wiadomo skąd głos mówił: „Nie pojęliście, że Maryja i Afrodyta to jedno”.

W tym momencie hrabia Balázs obudził się w swoim łóżku, spocony jak od wysokiej gorączki. Ostatnie słowa wciąż dźwięczały mu w uszach. „Nie pojęliście, że Maryja i Afrodyta to jedno”. Hrabia był w sypialni sam. Za oknem światło księżyca połyskiwało na wiedeńskich dachach. Hrabia chciał znowu pogrążyć się we śnie, by obejrzeć końcówkę przedstawienia, jeżeli została do obejrzenia jakaś końcówka. Nie mógł już wszakże więcej zasnąć.

Co ja właściwie widziałem, zastanawiał się biedak, całkowicie zdezorientowany. Co to znaczy? „Nie pojęliście, że Maryja i Afrodyta to jedno”. Wszystko, co oglądałem, sprzeniewierza się prawdziwej religii. Gdybym zwierzył się publicznie z tych skandalicznych majaków, zostałemby ekskomunikowany. Jak to możliwe, że gra z zakresu wyższej matematyki zawiodła mnie do tej krainy snów?

Zastanawiał się też, czy jest zakochany w tamtej kobiecie. Nie rozumiał, co do niej czuje ani czy ma do czynienia ze świętą czy ze zwykłą wszeteczną pozbawioną do reszty niewieściego wstydu. Kim była Salome? Hieratyczną przeoryszą klasztoru czy wielką nierządnicą Babilonu? Niewinną gołębicą czy wiedźmą? Czemu poświęcała swoje życie? Miłości Boga czy rozpuście?

Był człowiekiem nauki, bezwzględnie oddanym swoim studiom. Był ponadto mężem księżnej Wilardy Philardy, pobożnej, owłosionej na twarzy matrony, która pochodziła ze starej pruskiej rodziny i dała mu uwielbianą córkę, jednakże nigdy wcześniej nie przypuszczał, że kobieta może wywrzeć na nim takie wrażenie jak Salome.

Tutaj kończą się zapiski hrabiego Balázsa. Wiemy, że niedługo później jego córka przeszła kryzys nerwowy i trafiła do sanatorium psychiatrycznego w Bad Kreuzen, tego samego, w którym herr Bruckner leczył się z depresji, w jaką popadł po premierze swojej *VIII Symfonii*. Wiemy, że hrabia Balázs spotkał się tam z kompozytorem i że kilkakrotnie z nim rozmawiał. Poza tym

wiemy niewiele.

Lewellyn zabiera nas do domu Pohjoli

Wyruszyliśmy nazajutrz o świcie, małą furgonetką prowadzoną przez rudzielca imieniem Burt. Dotarwszy do zapory, wysiedliśmy z auta. Wszyscy, łącznie z Burtem, który został przy samochodzie, z rękami na biodrach, wielce komiczny w swoim pistacjowym kombinezonie i czerwonej czapce (zdaje się, że ludzie pracujący w pobliżu zapory nosili jaskrawe kolory, żeby dobrze ich było widać w kamerach). Lewellyn podszedł do jednej z kolumn, otworzył wyjętym z kieszeni kluczem drzwi w metalowej ścianie i zdezaktywował ten odcinek niewidzialnej granicy. Powiedział, że mamy dokładnie minutę na jej przekroczenie.

Uczyniliśmy to pośpiesznie i odwróciliśmy się, by popatrzeć, jak Burt wraca do furgonetki, zapala silnik i odjeżdża w kierunku Centrali.

Wade, Rosana i ja spojrzeliśmy po sobie. Byliśmy wolni, poza zasięgiem *insiders*. Znowu niemal sam na sam z wyspą.

Pamiętam tamto uczucie szczęścia i ulgi: oto znalazłem się ponownie na wolnym, dzikim terenie. Cieszyłem się, że jestem na wyspie! Gdy ruszyliśmy w drogę, Wade zaczął recytować wiersz:

*Out of the night that covers me,
Black as the pit from pole to pole,
I thank whatever gods may be
For my unconquerable soul... ¹*

Chodziło o *Invictus* Williama Ernesta Henleya.

Szliśmy przez dwa dni, zagłębiając się między coraz wyższe góry i coraz chłodniejsze doliny, gdzie roślinność przybierała charakter alpejski. Palmy ustępowały szumiącym, ciemnym dębom. Pojawiły się drzewa iglaste ze swoimi niebieskozielonymi szpilkami. Kwiaty stawały się coraz drobniejsze,

coraz bardziej delikatne. W zaroślach słycać było pulsujące brzęczenie pszczoł. Po nużącej niewoli i potwornościach niewolniczej pracy znów otwierała się przed nami tajemnica świata. Wcześniej zastanawiałem się, jak moi towarzysze, Rosana i Wade, zareagują, gdy zostaniemy we troje sami z Abrahamem Lewellynem. Czy, żądni zemsty, zrobią się wobec niego agresywni? Jednakże tajemnica świata, otwartość gór z ich niekończącymi się ścieżkami oładnęły nami wszystkimi. Teraz liczyła się jedynie logika wędrówki przez Wyspę Czyścicową, logika przepaści, wspaniałych widoków i natrętnych owadów. Prawie nie rozmawialiśmy. Prawie nie patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy. Przekraczając chłodne strumienie, piliśmy z nich i obmywaliśmy sobie w nich twarze, a ja czułem, że ta czysta, spływająca z wysokości woda błogosławi nam i obmywa nas z przeszłych win. W dolinach wiał wiatr, wyrywając westchnienia i jęki z liści i gałęzi, ze skał i zarośli. Tu, wysoko, nie było innych głosów – nawet gdy zostawało się samemu, nie słycało się szeptów wszechobecnych w dżungli na dole. Wspomniałem o tym Lewellynowi, który ograniczył się do potwierdzenia, że, owszem, w górach się ich nie słyca.

Korzystając z okazji, na postojach próbowałem podpytywać go o różne rzeczy. Najczęściej okazywał się nadzwyczaj chętny do rozmowy i zdradził mi wiele szczegółów z historii wyspy. Opowiadał na przykład o hrabim Cammarano i o Niemcach z ich eksperymentami podczas drugiej wojny światowej. Wyglądało na to, że naziści natrafili na wyspę w ramach swoich poszukiwań źródeł kauczuku, którego potrzebowali do masowej produkcji opon, póki ich inżynierowie nie rozwiązali problemu, wynajdując kauczuk syntetyczny, co uwolniło ich od konieczności sprowadzania tego materiału z Malezji i innych krajów pacyficznych. Opowiadał mi nawet o SIAR-ze i prowadzonych w jego ramach eksperymentach behawiorystycznych. Przejawiał niezmierną pogardę względem wszelkich utopii. O czym, spytałem, pan mówi? Przecież wy wszyscy tutaj jesteście dziećmi pewnej utopii. O, nie, nie, nie, zaprotestował niemal rozgniewany. Myli się pan. Nasza praca na tej wyspie nie ma nic wspólnego z żadną utopijną wizją społeczną ani też z eksperymentami natury psychologicznej. My po prostu wykorzystujemy energetyczne zasoby tego miejsca. Centrala to zwykła baza dla naszej działalności wydobywczej prowadzonej w głębi wyspy. Większość mieszkańców Likkendala City to inżynierowie, fizycy, chemicy albo personel mniej wykwalifikowany: robotnicy, sprzętacze, górnicy, stróże, obsługa

biurowa, kucharze... Nie zajmujemy tu się tym, co nienamacalne. Jesteśmy praktyczni. Pracujemy z energią, z siłami przyrody, metalami.

– Myślałem, że szukacie pewnego „pomieszczenia” – mruknąłem. – Pomieszczenia, w którego wnętrzu mieści się WSZYSTKO.

– To tylko przenośnia – odparł Lewellyn.

– Przenośnia? Nie sądzę.

– Może pan sądzić, co się panu podoba.

– Zadaję sobie ponadto pytanie, po kiego licha potrzebujecie fizyków w kopalni – dorzuciłem. – Ale zostawmy fizyków. Pomówmy o muzykach. Co pan o nich powie? Macie tu wielką orkiestrę. Tutaj, na środku Oceanu Spokojnego! I to całkiem niezłą. Po co taka orkiestra w ramach działalności wydobywczej, jak pan to określa?

Pozostali przysłuchiwali się nam z pewnym zdziwieniem. Lewellyn nie raczył odpowiedzieć i umilkł.

– Działalność wydobywcza – parsknął Wade. – Działalność wydobywcza, też coś. A nasze dzieci jaką w tym odgrywają rolę? Kanarków? Używacie ich do sprawdzania, czy skądś nie wydobywa się trujący gaz? Czy każecie im kopać w najwęższych tunelach?

Lewellyn posłał mu straszne spojrzenie swoich wyłupiastych, zaczerwienionych oczu. Od dawna się obawiałem, że ten moment nadejdzie. Nienawiść i poczucie krzywdy narastające od miesięcy musiały w końcu znaleźć ujście. Do tej pory nasza czwórka respektowała zasady cywilizowanego współżycia. Wiedziałem jednak, że to długo nie potrwa, i Lewellyn bez wątplenia też to wiedział. I oto nagle ja, Juan Barbarín, i on, Abraham Lewellyn, przywódca naszych prześladowców, gawędziliśmy sobie spokojnie przycupnięci na skale ponad wspaniałą, alpejską w charakterze doliną. Wade wstał i postąpił dwa kroki w jego stronę. Dłonie trzymał tak rozwarte, jakby zamierzał się na niego rzucić i udusić go gołymi rękami.

– Erickson – rzucił Lewellyn, który ani drgnął – niech pan pamięta, że pańscy towarzysze pozostają w Centrali. Bo o tym, że w górach trzymamy też grupę młodych kobiet i kilkoro dzieci, wyraźnie pan nie zapomina. Możliwe, że trudno to zrozumieć, niemniej gdybym zniemacka zniknął, w Centrali najprawdopodobniej rozpętałby się chaos. Chcę przez to powiedzieć, że jestem po waszej stronie i zrobiłem dla was więcej, niż potrafilibyście sobie wyobrazić. Wiem, że mi pan nie wierzy, ale taka jest prawda. A gdybyście wyrządzili mi teraz jakąś krzywdę, przede wszystkim ucierpieliby wasi

towarzysze na dole. Nie wątpię, że rozumie pan, o czym mówię. I zdaję sobie sprawę, że to moja jedyna gwarancja przeżycia najbliższych dni w waszym towarzystwie.

Wade zastygł bez ruchu, założył ręce i pogładził się po podbródku. Uśmiechał się, próbując się uspokoić, by działać sprytnie, a nie pod wpływem gniewu.

– Przychodzi mi do głowy inne rozwiązanie – oznajmił. – Skoro jesteśmy tu we czworo, możemy pana we trójkę związać i uwięzić. Ktoś z nas zejdzie z powrotem do Centrali i wynegocjuje pańską wolność w zamian za uwolnienie naszych. Jeśli jest pan rzeczywiście tak ważny i niezastąpiony, jak pan twierdzi, pańscy podwładni pewnie na taki układ pójdą.

– Niech pan nie będzie głupcem, Erickson – prychnął Lewellyn. – Nie jesteście zdolni do przeprowadzenia takiej akcji. Nie macie potrzebnej dyscypliny ani hartu ducha. Nie umielibyście zrobić tego, co konieczne, żeby się wam udało.

– Tego, co konieczne? – powtórzył Wade. I zauważyłem, że coś w nim mrocznieje, jak gdyby gasło na świecie wielkie błękitne światło, pogrążając wszystko w ciemnościach. – Tego, co konieczne? Chodzi panu o to, że gdyby ci z dołu nie chcieli negocjować, nie odważylibyśmy się obciąć panu palca czy ucha, żeby im je zanieść i oświadczyć: będziemy wam znosić kawałki tego drania, póki nie zaczniecie z nami rozmawiać?

– A kto miałby mi niby uciąć ten palec? – spytał Lewellyn z pogardliwym śmiechem. – Pan, Wade? Zranił pan kiedyś kogoś nożem? Nie wątpię, że potrafi pan używać pięści, wiem też, że jest pan myśliwym zdolnym bez problemu rozczłonkować dzika albo oskórować lisa. Tyle że człowiek to nie lis, Wade. Nie dałby pan rady. Nigdy w życiu. Moglibyście mnie uwięzić, owszem. Ale wtedy po prostu zjawiałaby się zbrojna grupa, żeby mnie uwolnić. A wy troje zostalibyście tylko wychłostani.

– Niewykluczone, że ma pan słuszość – przyznał Wade. – Takie negocjacje byłyby bardzo trudne: zważywszy, że jesteście jak dzikie zwierzęta, gdybym zaniósł na dół pańskie ucho, tamci zaczęliby ucinać uszy naszym. Już to przecież robiliście. Już wiemy, co z was za potwory, więc niewykluczone, że ma pan słuszość. My tacy nie jesteśmy.

– Już to robiliśmy? – zdziwił się Lewellyn. – Nie rozumiem, Erickson, o czym pan mówi.

– O Eileen – odparł Wade. – Ona była pierwsza. Okaleczona, torturowana,

z zaszytymi wargami. Biedaczka nigdy nie odzyskała w pełni mowy.

– Eileen zgubiła się we wnętrzu wyspy – powiedział Lewellyn z mocą, jak gdyby zaczynał się bać, że nie docenił siły naszej nienawiści. – Zgubiła się i z pewnością by umarła, gdybyśmy jej nie uratowali. Zabraliśmy ją do Centrali. Była w fatalnej formie: od kilku dni nic nie jadła i prawie nie piła, pokaleczyła się po drodze, w część ran wdało się zakażenie, pogryzły ją owady, pijawki... Tak, wyspa się na nią uwzięła. W szpitalu zrobili jej różne badania i wtedy wyszło na jaw, że ma w lewej piersi guza. Trzeba było ją operować. Więc ją zoperowaliśmy. Jak pan sądzi, co by się stało, gdybyśmy tego nie zrobili? Guz był złośliwy, dałby przerzuty w całym ciele. Potem dostała obsesji na punkcie ucieczki. Zadawała nam pytania, masę pytań, bez przerwy. Nie zaczekała nawet, aż w pełni odzyska siły. Chciała jedynie uciekać. No i uciekła. Zdołała przedostać się przez zaporę w czasie, kiedy natężenie energii było obniżone ze względu na prace konserwacyjne. Można to wtedy zrobić, ale za cenę licznych obrażeń zewnętrznych i wewnętrznych. Przypuszczam, że pokonała ją biegiem, co osłabiło skutki. Natomiast nigdy nie była „torturowana”. Po co mielibyśmy ją torturować? Przecież niczego od niej nie chcieliśmy. Jedynie jej pomogliśmy. Uprzedzaliśmy ją, żeby nie opuszczała Centrali, bo to niebezpieczne, ale nie usłuchała. Kiedy próbowała wrócić do was na plażę, schwytali ją Wamani. To lud bardzo zacofany. Owszem, mamy z nimi swego rodzaju porozumienie: oni szanują nas ze względu na nasze technologie i broń, a my nie wtrącamy się w ich rytuały i tradycje. Rozumie pan, Wade? Nie wtrącamy się, ponieważ nie przybyliśmy tutaj z humanitarną misją. Poza tym, jako człowiek wykształcony, zapewne czytał pan Montaigne’a. Esej o kanibalach. To tekst, który daje do myślenia! Skąd wiemy, że to my jesteśmy cywilizowani, a oni, kanibale, to barbarzyńcy? Może oni myślą analogicznie: że straszni z nas barbarzyńcy, oni zaś reprezentują najwyższą cywilizację? Wszystko jest względne, przyjacielu! Prawdy absolutne nie istnieją. Wasza Eileen dostała się w ręce Wamanich, którzy, jak zakładam, trochę się z nią zabawili. Nie, nie chodzi mi o nadużycia seksualne. To nie w ich stylu. W stylu Wamanich jest raczej wyrwanie komuś kawałka ciała, choćby uda, i ugotowanie go. Albo zabicie ofiary i obdarcie jej ze skóry. Tak, Wamani wytwarzają stroje z ludzkiej skóry. Prawdziwe dzikusy. Nie wiem dokładnie, co zrobili Eileen. Pewnie ją naznaczyli. Mówię teraz o tych nedorzecznym wzorach, które sami sobie wypalają albo wykluwają na skórze. Tak dokładnie to nie wiem. Może zresztą chcieli jej w ten sposób

okazać podziw i szacunek. Skoro sami przez to przechodzą... Z własnej woli zadają sobie ból, żeby odsunąć od siebie cierpienia zsyłane na człowieka wbrew jego woli. To rytuał magiczny. Dziwny mechanizm kompensacyjny. Jeśli sam siebie dobrowolnie okaleczę, zapobiegnę przypadkowemu okaleczeniu w wypadku czy przez chorobę. Kontrolując śmierć, kontroluję życie. Zabijam, żeby móc żyć. Nie czytał pan Josepha Campbella? I zszyli jej wargi... Tak, to też czasem robią. Swoim ofiarom robią rzeczy straszne. Ale nie wszystkim zszywają wargi. Z pewnością chodziło im o to, by Eileen zachowała milczenie. Bo ona bez wątplenia zachowywać milczenia nie chciała. Wyobrażam sobie, że mówiła, krzyczała, płakała, jęczała, błagała, rzucała wyzwiskami... A miała milczeć. Musieli ją uciszyć. Najdrastyczniejszą i najbardziej efektywną metodą zmuszenia kogoś, by milczał, jest zszyć mu warg. Więc je zszyli.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Westchnąłem głęboko i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z napięcia, jakie nagromadziło się we mnie podczas opowieści Lewellyna.

– Czyli wy nie jesteście niczemu winni – rzucił Wade. – Znaleźliście Eileen w dżungli, ranną, odwodnioną i chorą. Zaopiekowaliście się nią. Ratując jej życie, zoperowaliście ją w nowoczesnym szpitalu, w sterylnych warunkach i, rzecz jasna, w pełnej narkozie.

– Właśnie tak.

– A potem ona uciekła. Zrobiła sobie krzywdę, przedzierając się przez waszą zaporę, została złapana przez Wamanich, ci zaś pozaczyli jej skórę i, nie chcąc słuchać jej krzyków, zszyli jej wargi.

– Mniej więcej.

– Czyli wy wcale nie jesteście czarnymi charakterami tej historii, wręcz przeciwnie – podsumował Wade.

Lewellyn patrzył na niego z wyraźną niechęcią. Wydawał się naprawdę rozdrażniony jego uporem, ba, uporem nas wszystkich.

– Proszę powiedzieć nam jedno – odezwałem się wtedy. – Skąd ta wasza obsesja na punkcie ciszy? Na punkcie milczenia? Mnie z jej powodu postrzelono. Bo nie chciałem się zamknąć. George powtarzał to wielokrotnie: nie życzę sobie słyszeć waszych głosów. Nie życzę sobie słyszeć waszych głosów. Dlaczego?

– Wciąż pan tego nie wie? – odparł Lewellyn, spoglądając na mnie z tym swoim pogardliwym, sarkastycznym uśmieszkiem, którego tak nienawidziłem.

– Naprawdę wciąż musi pan o to pytać?

Wade powoli ruszył w jego stronę. Lewellyn wstał odruchowo i lekko się cofnął.

– Uprośćmy to sobie – zaproponował Wade. – Myślę, że ten nędzny robak ma słuszość. Nawet jeśli go uwięzimy, jego ludzie i tak nie będą z nami negocjować. Ale dość mam już patrzenia w tę jego gębę z wyłupiastymi oczkami. Dość mam słuchania jego głosiku, jak u nadętego profesorka szkoły średniej. Dość mam tego wymądrzania się i podśmiewania. Mędrzec się znalazł! Dość mam tego nieodpowiadania na najprostsze choćby pytanie. John zadał ci proste pytanie, bydlaku, a ty na nie odpowiesz.

– Mówię tylko, że sam powinien już znać na nie odpowiedź – mruknął Lewellyn, przymykając powieki, jak gdyby ta rozmowa potwornie go nudziła.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała milcząca dotąd Rosana, widząc nienawiść w oczach Wade’a.

– Spuszczę temu bydlakowi porządne manto – odrzekł. – Za nasze dzieciaki, za Eileen, za Johna, za ciebie, za nas wszystkich. Za to, że zamiast nam pomóc, traktowali nas jak psy. Za to mu się teraz w końcu oberwie.

– To bardzo męskie – zakpiła Rosana. – Załatwić wszystko za pomocą pięści. Rozlać trochę krwi, wybić parę zębów. Tak, to by było rzeczywiście rozsądne. Wiele by nam dało!

Była bardzo zdenerwowana, lecz nie podnosiła głosu i nie wykonywała zbędnych ruchów. Zdumiała mnie jej samokontrola, jak również skuteczność, jaką zyskują słowa wypowiedziane po cichu i spokojnie pośród awantury.

– Nie sądzisz, że facet na to zasłużył? – spytał Wade.

– Tak, zasłużył – zgodziła się Rosana. – Po tyśiąckroć. Ale myślę, że moglibyśmy go wykorzystać bardziej konstruktywnie. Porozmawiajmy poważnie. Skupmy się na sprawach istotnych. Oddaliliśmy się już trochę od Centrali i możemy serio rozważyć, co dalej – dodała, wstając ze skały, na której przysiadła, i podchodząc do Lewellyna. – On powie nam, gdzie są dzieci. Albo nie: po prostu nas do nich zaprowadzi. Potem pozwolimy mu spokojnie wrócić do Centrali. Tak właśnie będzie.

– Proszę pani – spokojnie wtrącił Lewellyn – my idziemy do domu pana Pohjoli. Tam i nigdzie indziej. Poza tym – dorzucił z cynicznym uśmiechem – nie możecie mnie zmusić, bym zaprowadził was w miejsce, którego położenia nie znacie. Nie pomyślała pani o tym?

Rosana przypatrywała mu się z wielką uwagą. Wiedziałem, że jest na

graniczy wybuchu, i tym bardziej ją podziwiałem.

– Prawdę mówiąc – podjął Lewellyn – trochę mnie rozczarowaliście. Zupełnie inaczej was sobie wyobrażałem. Nie jesteście inteligentni ani sprytni, brak wam refleksu, nie macie w sobie choćby podstawowej przewrotności. Człowiek ma przy was wrażenie, że wybrał się na wycieczkę z grupą uczniaków, trochę wyrosniętych, poczciwych i bardzo zdyscyplinowanych. Naprawdę nie rozumiem, jak wam się udało tak długo przetrwać na tej wyspie.

Rosana zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. I nagle, ku zaskoczeniu nas wszystkich, wymierzyła mu policzek. Potężny policzek, który rozległ się głośnym plaśnięciem, strasząc kilka kruków na pobliskich drzewach. Lewellyn całkiem się tego nie spodziewał, więc zastygł z otwartymi ustami i ręką przyciśniętą do twarzy, niezdolny się odezwać. Wade parsknął śmiechem. Ukucnął, wyjął z plecaka jabłko i zaczął je jeść, jako że należał do ludzi, którzy muszą bezustannie zajmować czymś swoje szczęki. Przeżuwał i się śmiał.

– Dziwka – mruknął Lewellyn z niedowierzaniem.

Wade oświadczył, że plan Rosany mu się podoba, ale że lepiej udać się najpierw do tajemniczego pana Pohjoli i zobaczyć, czego się odeń dowiemy. Jeśli rzeczywiście istnieje i panuje nad naszą wyspą, należy się z nim zapoznać, a dopiero po wizycie u niego zmusić Lewellyna, żeby zaprowadził nas w miejsce, gdzie przetrzymywano dzieci, tak jak zaproponowała Rosana. Odzyskawszy je, wrócimy do osady.

Brzmiało to rozsądnie. Rosanie wszakże nie przypadło do gustu. Rosana nie miała najmniejszej ochoty odwiedzać tajemniczego pana Pohjoli, w ogóle nie była go ciekawa. Oznajmiła, że to niepotrzebne ryzyko, że jeszcze znowu wpadniemy w zasadzkę i że to głupie pchać się z powrotem w paszczę lwa, skoro już raz znaleźliśmy się na wolności.

W końcu jednak postanowiliśmy iść z Lewellynem do Pohjoli, porozmawiać z tym rzekomym królem wyspy i stosownie do wyniku tej rozmowy podjąć dalsze decyzje. Oczywiście, nikt z nas nie zamierzał wracać z Lewellynem do Centrali. Po co mielibyśmy dobrowolnie zakuwać się znów w łańcuchy? Zakładam, że o tym i Lewellyn wiedział od początku. Jak więc planował nas zmusić? Albo przekonać? Raz jeszcze posługując się argumentem, że zaszkodzimy swoim wciąż uwięzionym towarzyszom? Choć oczywiście istniała również inna możliwość: że o wszystko miał zadbać pan

Pohjola.

Tylko czy on faktycznie istniał? Albo inaczej: czy na tamtym etapie wierzyliśmy, czy nie wierzyliśmy w jego istnienie? Myślę, że Rosanie było to obojętne, ja miałem masę wątpliwości, Wade zaś, zafascynowany tą tajemniczą postacią, desperacko pragnął się z nią spotkać.

Po dwóch dniach wędrówki przez góry istnienie Pohjoli, przecucie jego obecności, pewność, że on nas oczekuje, zaczęły rosnąć w nas jak coś nieomal fizycznego, jak odległy a przybierający na sile dźwięk czy podziemne drganie. Teraz spoglądaliśmy w górę, ku szczytom i graniom, wypatrując jakichś znaków: kamiennego muru, domu lub stojącej pośród drzew wieży.

1. „Z piekielnej czerni, która trwa wokoło,/Dziękuję bogom, obcym mi z imienia,/Za duszę moją hardą/Wyciosaną z niepodatnego toporom kamienia”. Fragment w przekładzie Czesława Sowy Pawłowskiego. ↵

Chatka w lesie

Następnego dnia znów szliśmy przed siebie. Lewellyn powiedział, że w okolicach domu Pohjoli znajdziemy się wczesnym popołudniem i że później musimy ściśle stosować się do jego wskazówek, nie kwestionując ich ani nie zadając pytań. I że nie wolno nam ot tak zbliżać się do tego domu, ponieważ to zakazane i mogłoby spowodować śmierć nas trojga. Wszystko to mocno mnie intrygowało. Zasypywaliśmy Lewellyna pytaniami o samą tę konstrukcję – czy jest duża czy mała, kamienna czy drewniana. Pytaliśmy też, jak Pohjola radzi sobie tak daleko od Centrali i dlaczego właściwie zdecydował się żyć tak bardzo na uboczu. Lewellyn nie odpowiadał.

Dotarliśmy w rejon, gdzie skały i skrawki ziemi z zakorzenionymi w nich kwiatami i trawą unosiły się w powietrzu. Nasz przewodnik wydawał się bardzo zaniepokojony tymi wybrykami grawitacyjnymi, które nas akurat przepelniały dziecinną radością. Wyjął z plecaka fiolkę z niebieskimi pastylkami, z których kilka zażył. Spytaliśmy, co to takiego, on zaś odrzekł, że zwykła melatonina na zawroty głowy. Wędrowaliśmy przez kolejne skaliste doliny, okrążając przepaście wijącymi się wzdłuż zboczy ścieżkami. Sądziłem, że chodzi po prostu o to, byśmy stracili orientację w terenie, albowiem wydawało mi się niemożliwe, by nie istniała prostsza droga do czyjegoś domu. Bo w jaki sposób zwieziono tam materiał na jego budowę? Choć oczywiście nie dało się wykluczyć, że dom jest drewniany, wzniesiony z pni pozyskanych z rosnących w pobliżu drzew. Koło południa stanęliśmy w tajemniczym, błogosławionym miejscu ze źródłem. Była to stercząca ze skały zwyczajna metalowa rura, z której tryskał gruby strumień wody wpadającej do prostokątnej kamiennej misy. Obok rosły dwa cyprysy – jedyne cyprysy, jakie widziałem dotąd na wyspie, z czego wywnioskowałem, że zostały w tym miejscu specjalnie zasadzone. Wszyscy troje ruszyliśmy w tę stronę, żeby napić się czystej, chłodnej wody i napełnić nią bidony i butelki,

jednakże Lewellyn krzyknął, byśmy trzymali się z daleka i pod żadnym pozorem nie brali tej wody do ust. Myślę, że dopiero wtedy dotarło do mnie, jakie to dziwne: natknąć się w środku wyspy na coś podobnego – górskie źródło ujęte w metalową rurę zawieszoną nad misą, przez której krawędzie woda przelewa się na trawę i spływa wzdłuż zbocza szlaczkiem znaczonego przez żywiące się nią drobne, białe i żółte kwiatki. Misa była aż zielona od szlamu i glonów, zupełnie jak stare fontanny w Europie, które widywałem od czasów dzieciństwa i tak samo pociągające w swojej łagodnej, melancholijnej tajemniczości. Kto jednak potrzebowałby czegoś w tym stylu pośród gór na końcu świata?

– Co jest z tą wodą nie tak? – spytała Rosana.

– To źródło nie jest prawdziwe – oświadczył Lewellyn. – Nie pijcie z niego. Jeśli się napijecie, nie będziecie mogli wrócić.

– Co to znaczy, że „nie jest prawdziwe”? – chciał wiedzieć Wade.

– To część snu. Snu pana Pohjoli – odparł Lewellyn.

Poszliśmy dalej, zagłębiając się w Sen Pana Pohjoli. Pomyślałem, że gdyby to była powieść Josepha Conrada, „Sen Pana Pohjoli” okazałby się po prostu nazwą czyjejś posiadłości. Terenów należących do jakiegoś starego, bardzo bogatego, enigmatycznego człowieka, którego wyobrażałem sobie w roboczych spodniach, niebieskiej bluzie i słomkowym kapeluszu, ze strzelbą w dłoni, wędrującego wśród skał w poszukiwaniu jeleni czy kozic.

Wchodziliśmy w głąb Snu Pana Pohjoli. Właściwie od jak dawna znajdowaliśmy się w jego obrębie, służąc mu za pożywkę, a może się nim pożywiając?

Pohjola. Od kiedy po raz pierwszy usłyszałem to nazwisko, nie mogłem przestać myśleć o *Kalevali*, fińskim eposie skompilowanym w XIX wieku przez Eliasa Lönnrota, ani o *Córce Pohjoli*, poemacie symfonicznym Jeana Sibeliusa, jednym z jego arcydzieł, poważnym, wielkim i mrocznym jak ziemia, na której powstało. Może dlatego pan Pohjola wybrał na swą siedzibę wysokie góry: bo nie znosił tropikalnych upałów wybrzeża i pragnął żyć w klimacie zbliżonym do warunków panujących w jego mroźnej ojczyźnie.

Nadbrzeżne palmy były już jedynie odległym wspomnieniem. Teraz wszędzie wokół rosły delikatne brzozy, wawrzyny, tarniny i dzikie róże. Ujrzeliśmy przed sobą niebieski wodospad. Rzadko widzi się wodospady tak idealnie niebieskie, gdyż, spadając, woda pieni się i bieleje, niemniej ten tutaj był idealnie, prześlicznie turkusowy. Lewellyn do niego również nie pozwolił

nam się zbliżyć. Znaleźliśmy też stojącą w trawie drewnianą ławkę, taką, jakie spotyka się na europejskich bulwarach, pod lipami, jednakże nie mogliśmy na niej odpocząć. Znaleźliśmy zardzewiały semafor do połowy obrośnięty bujnym pnączem. Znaleźliśmy kamienną rzeźbę przedstawiającą nagą nimfę, która zakrywała wzgórek łonowy i biust rękami. Później przez długi czas nie znajdowaliśmy niczego. Wspinaliśmy się i schodziliśmy po kolejnych zboczach, pokonywaliśmy skaliste ścieżki ciągnące się wzdłuż przepaści i znów docieraliśmy do łąk usianych szyszkami, z których część wisiała w powietrzu. Raz dostrzegliśmy nawet wiewiórkę, która też wisiała w powietrzu, pogryzając jedną z tych szyszek. Obraz ten – obraz zawieszonoego w górze żywego stworzenia – wywołał we mnie, kto wie dlaczego, dziwne przerażenie i odrazę. Z gór zaczęła schodzić mgła. Widziałem, że się w nią stopniowo zanurzamy. Najpierw sięgała nam kolan, potem pasa. Niosła ze sobą wilgoć i ciemność. Lewellyn jął z cicha kląć.

Przez parę godzin krążyliśmy po dolinie położonej już bardzo wysoko, między dwiema pionowymi ścianami szarej skały, po obszarze o promieniu mniej więcej pięciu kilometrów, aż zapadł zmrok i musieliśmy zapalić latarki, które zresztą we mgle nie na wiele się zdały. Wreszcie Lewellyn opadł na ziemię, wycieńczony, i wyznał, że nie potrafi znaleźć domu Pohjoli.

– Czyli się pan zgubił – stwierdził Wade. – Zgubił się pan w tej mgle.

– Nie, nie zgubiłem się – zaprotestował Lewellyn. – Dom powinien tu być, a go nie ma.

– Potrzebujemy bardziej szczegółowych wyjaśnień – rzucił Wade. – Jak to *go nie ma*?

– Nie umiem tego lepiej wyjaśnić – odparł Lewellyn. – Powinien stać, o, tu, dokładnie w tym miejscu – dodał, wskazując miejsce, w którym się znajdowaliśmy. – Tam, za tymi skałami, płynie strumień. Dom powinien być tu, gdzie teraz stoimy.

Usiedliśmy wszyscy na ziemi. Byliśmy wyczerpani, a trawa okazała się mokra. Lewellyn z ciężkim westchnieniem otworzył swój plecak i po dłuższej chwili znalazł w nim małą glinianą okarynę. Zaczął grać. Instrument wydawał tylko pięć dźwięków, które układały się w nawracającą raz za razem, smutną melodię. Lewellyn grał tak przez jakieś dziesięć minut, a my po prostu słuchaliśmy. Później mgła jęła się podnosić. Lewellyn nie przestawał, póki nad naszymi głowami nie ukazało się rozgwieżdżone niebo. Po piętnastu minutach było już całkiem czyste. Ponad nami wznosiły się czarne sylwety

jodeł i rozciągało się lśniące morze gwiazd. W dali zahukała sowa, skądś odpowiedziała jej druga. Zastanawiałem się wtedy (i do dziś się zastanawiam), czy Lewellyn rzeczywiście zdołał rozegnać tamtą mgłę grą na okarynie, czy te dwa zjawiska zwyczajnie współzaistniały w jednej czasoprzestrzeni, na zasadzie „zależności magicznej”, która doprowadzała do wariacji gołębie w jednym z najśłynniejszych eksperymentów behawiorystycznych Skinnera. Bez wątpienia chodziło o przypadek. A może Lewellyn wiedział, że wraz z nastaniem nocy mgła się rozproszy? Jednakże poczucie, że to jego dzieło – że to on opanował zjawisko pogodowe za pomocą muzyki – było tak przemożne, że trudne do zignorowania. Zadawałem sobie pytanie, czemu także George, swego czasu, grał na okarynie i czemu akurat na okarynie, instrumencie nader prymitywnym i ograniczonym w swoich możliwościach. Zaczynałem przypuszczać, że to Wamani posługiwali się nim od niepamiętnych czasów, gdyż pierwsi odkryli, kto wie jak dawno, że tylko w ten sposób są w stanie obronić się przed zsyłanymi przez wyspę niebezpieczeństwami i zjawami.

Lewellyn powiedział, że musimy spróbować innej metody poszukiwań: ustawić się gęsiego i od tej pory tak właśnie się przemieszczać. Najpierw miałem iść ja, za mną Rosana, dalej Wade i na końcu Lewellyn. Oświadczyłem, że nie rozumiem, dlaczego mam iść z przodu, skoro nie wiem dokąd, na co Lewellyn odparł, żebym się nad niczym nie zastanawiał, tylko szedł, „gdzie mnie nogi poniosą”. Zwariowane to było, owszem, niemniej usłuchaliśmy. Wędrowaliśmy tak przez jakieś pół godziny. Próbowałem iść, „gdzie mnie nogi poniosą”, a nogi poniosły mnie w górę zbocza, między drzewa, i z powrotem. Wtedy Lewellyn kazał nam przystanąć i wysforować się do przodu Wade’owi. O ile ja kręciłem się w kółko, o tyle Wade ruszył prosto przed siebie, zagłębiając się coraz bardziej między jodły. W ten sposób upłynęło kolejne pół godziny. Wade przyświecał sobie jedną z latarek. Na polecenie Lewellyna ja niosłem drugą, nieco słabszą. Nagle Wade się zatrzymał – tak gwałtownie, że niemal na siebie powpadaliśmy. Oznajmił, że przed nami coś jest. Drewniana ściana. Dom.

Wyjrzelśmy wszyscy z szeregu. Wydłużona smuga światła z latarki rzeczywiście sięgała czegoś, czego nie widziałem zbyt dokładnie. Las dookoła miał gęste poszycie, wszędzie rosły wielkie paprocie, jeżyny, tarniny i inne krzaki. Lewellyn wydawał się bardzo zdenerwowany. Poleciał Wade’owi iść jak najwolniej i na pierwszy znak przystanąć. Na pierwszy znak czego,

chciałem zapytać, lecz nie zapytałem, świadom, że nie otrzymam odpowiedzi. Zaraz potem wyraźnie zobaczyliśmy ścianę drewnianej chatki, po której tańczyło światło latarki Wade'a.

– Pohjola! – zawołał wówczas Wade, strasząc nas wszystkich śmiertelnie.
– Przyszliśmy! Ej, Pohjola! Aarvo Pohjola!

– Zamknij się, idioto! – warknął Lewellyn. – Zginiemy tu zaraz przez ciebie!

– To tylko stara chatka – stwierdził Wade. – Tak ma wyglądać dom wielkiego Aarva Pohjoli? On naprawdę tutaj mieszka?

Istotnie, chodziło o małą, drewnianą, z pozoru opuszczoną chatę. Stała między drzewami, wsparta o wysoką granitową skałę. Ot, stara chatka w lesie, gdzie dwadzieścia albo trzydzieści lat wcześniej jakiś lekko szurnięty eremita upijał się jagodowym winem i żywił pieczonymi wiewiórkami. Była nieco wykrzywiona, może przez to, iż wraz z upływem czasu belki stopniowo murszały i stąd brało się wrażenie, że jest oparta o wznoszącą się z tyłu skałę. Zanedbana, częściowo porośnięta pnączami i wyrastającymi jedne z drugich, popielatymi grzybami, zdawała się powoli ulegać naturze, rozkładać się na części pierwsze. Dach miała zrobiony z wysuszonych liści palmowych przyciśniętych kamieniami, w ścianie wycięto kwadratowe okno i drzwi. Szyba w oknie pozostawała nietknięta, co mogło dziwić w takim porzuconym domu, ale przez powlekający ją brud i tak nie dało się niczego dojrzeć. Może szyby nie pękają same z siebie i jeśli nie ma w pobliżu dzieciaków z kamieniami, potrafią przetrwać długie lata. Spytaliśmy Lewellyna, z rozpaczliwą ironią, czy to rzeczywiście „dom” pana Pohjoli, ale znowu nie uzyskaliśmy odpowiedzi. Wydawało mi się, że nasz przewodnik również widzi tę chatkę po raz pierwszy.

– Niech nikt się do niej nie zbliża – rozkazał, rozłożywszy szeroko ręce, i wysforował się przed Wade'a. – Niech nikt nie dotyka tych drzwi.

Wziął od Wade'a latarkę i bardzo powoli ruszył w ich kierunku. Krok za krokiem, jakby w zwolnionym tempie. Próg obrastały wysokie trawy. Czego bał się Lewellyn? Odnosiłem wrażenie, że w miarę jak podchodzi do chaty, instynktownie drży niczym przestraszone zwierzę. W końcu tak się skulił, że wyglądał, jakby klęczał, podobnie jak się klęczy przed bożkiem albo przed imponującym a łaskawym ojcem.

Zwierzęta w ciszy z rozplecionej jasno

kniei się wylaniały, z gniazd, z ostoi ¹...

Wade zaczął recytować cicho, lecz wyraźnie. Myślałem, że Lewellyn odwróci się i machnie na niego, by przestał, lecz tego nie uczynił i Wade deklamował dalej.

*...i, zdało się, nie podstępności swojej
i nie lękowi winny były własną
cichość...*

Lewellyn usiadł przed drzwiami chatki, lekko przechylony na lewo, z podkulonymi nogami, w pozycji niemal płodowej. Zgasił latarkę i zastygł w całkowitym bezruchu, my zaś obserwowaliśmy tę scenę, przyświecając sobie drugą latarką. Zamknął oczy. Wargi miał uchylone, a choć nimi nie poruszał, wyobrażałem sobie, że w duchu powtarza słowa, słowa, słowa... Może modlitwę, błaganie, inwokację. Może przeprosiny. Nie wiem. Teraz już prawie leżał na trawie, głową dotykając progu chatki. Przypominał dziecko albo umierającego starca, albo ich oboje: umierającego starca, który przemienia się w czyste, niewinne dziecko. Wydawało mi się, że był w tamtym momencie szczęśliwy. Nie uśmiechał się, to prawda, ale istnieją takie wymiary szczęścia, gdzie nie ma już miejsca na zadowolenie ani uśmiech, ani nawet łzy. Leżał przed drzwiami chatki niby wdzięczny pies skulony przed domem swego pana, nawet jeśli pan umarł, gdyż pies nie rozumie śmierci i dlatego nigdy nie traci nadziei.

*Zwierzęta w ciszy z rozplecionej jasno
kniei się wylaniały, z gniazd, z ostoi,
i, zdało się, nie podstępności swojej
i nie lękowi winny były własną
cichość, lecz zastłuchaniu. Ryk, wrzask, wycie
nikły w ich sercu. I tam, gdzie jedynie
licha budowla mogła dać ukrycie,
gdzie w najciemniejszy się zaszyły narów
jednego wejścia, dwu chwiejnych węgarów...*

Wade zamilkł. Lewellyn otworzył wówczas oczy, dźwignął się nieco i dotknął drzwi kłykciami. Minęło kilka sekund. Milczeliśmy wszyscy wyczekująco. „I tam, gdzie jedynie licha budowla mogła dać ukrycie, gdzie w najciemniejszy się zaszyły narów jednego wejścia, dwu chwiejnych węgarów...” To był pierwszy z *Sonetów do Orfeusza* Rilkego, wierszy, które jako nastolatek czytałem wręcz obsesyjnie, aż niektórych nauczyłem się w oryginale na pamięć, chociaż poza tym nie znałem wtedy jeszcze ani słowa po niemiecku. „Jednego wejścia, dwu chwiejnych węgarów”. Zawsze zadawałem sobie pytanie, czemu te węgary się chwieją. Zawsze czułem, że to wejście jest żywe; że cały dom się chwieje, gwałtownie i monstrialnie pulsując życiem. I że w środku znajduje się coś wspaniałego i okropnego zarazem, najwyższa nagroda, jakiej dostąpić może człowiek, i jednocześnie jego najgorsza kara.

Och, górowanie drzewa w słuchu!

Wtedy stało się coś naprawdę niezwykłego. W chatce zapaliło się światło. Rosana, która stała obok mnie, stłumiła okrzyk i mocno złapała mnie za ramię. Lewellyn uniósł już rękę, by ponownie zapukać do drzwi, lecz teraz znieruchomiał. On też zauważył światło, które położyło się na trawie miękkim, złotawym kwadratem, przeciętym na krzyż okiennymi framugami. Tyle że akurat jego, Lewellyna, to światło zdawało się przerażać. Z wielką ostrożnością odsunął się od drzwi i, wciąż skulony niby czujny kot, wrócił do nas.

Spytałem go, co się dzieje, on zaś drżącym głosem odparł, że dzieje się coś strasznie dziwnego. Och, Boże mój, zlituj się nad nami, mamrotał, dygocąc. Och, Panie, zlituj się nade mną. Potem powiedział – cicho, jakby się bał, że ten, kto jest w chatce, go usłyszy – że jesteśmy w niebezpieczeństwie i musimy się szybko wycofać. Wade i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Lewellyn – rzuciłem, mimo woli też zniżając głos do szeptu – szliśmy tutaj trzy dni i teraz mamy się po prostu wycofać?

– To się nigdy wcześniej nie zdarzyło – odparł. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Wspaniały z niego aktor – mruknął Wade. – Niezła sztuczka z tą chatą. Opuszczony, zaniedbany dom, w którym znenacka zapala się światło. Imponujące.

– Idioci – prychnął Lewellyn. – Co wy sobie myślicie? Że to sztuczka? Serio?

– Nie ma żadnego pana Pohjoli – oświadczyłem. – Oto moje zdanie. Tam w środku nie ma nikogo. Jest tylko żarówka, którą sam pan jakoś włączył, leżąc koło drzwi.

– Idioci – powtórzył Lewellyn. – Banda idiotów, kretynów... Tylko takich mi się przysyła: naiwnych idiotów, którzy zamieniają się w idiotów-niedowiarków. Pewnie nie sposób znaleźć nic lepszego... Pewnie nie ma dla ludzkiej rasy ratunku... Idioci-niewolnicy zamieniają się w idiotów-tyranów. Idioci, którzy niczego nie rozumieją... Idioci, którzy niszczą... Tylko takich mi się przysyła... To wy, pan i Wade, przyprowadziliście mnie w to miejsce – ciągnął. – Ja nigdy wcześniej tu nie byłem. Jak miałbym zaplanować „sztuczkę”, skoro nawet nie wiedziałem, dokąd idziemy?

Wade popatrzył na mnie z tym półśmiechem, który prawie nigdy nie schodził z jego pięknej twarzy, wyrażającym teraz zatroskanie, wątpliwości i niepewność, i byłem pewny, że myśli sobie coś w tym stylu: *guy has a point*, ma chłopak trochę racji. I wiedziałem, że bardzo pragnie wierzyć, mieć dalej nadzieję, otworzyć się na potencjał chwili, świeżej jak owoc albo poranna rosa, albo pulsujące wnętrzości ledwo co złowionego pstrąga, otworzyć się, jak to robią ludzie młodzi, odważni, nieświadomi, zropaczeni lub szczęśliwi.

Ujrzałem, w jaki sposób patrzy na chatkę, i natychmiast pojąłem, co zaraz zrobi. I że nie powinien. I że należałoby mu przeszkodzić. I że nie zdołam, nawet gdybym próbował. Chwyciłem go za ramię i szepnąłem: nie, Wade, nie, nie. On jednak łagodnie mnie odsunął i ruszył ku chatce. Lewellyn mówił: niech mu pan powie, żeby wracał, mnie nie posłucha, ale pana – owszem, bo się przyjaźnicie. Niech mu pan powie, żeby wracał, bo jeśli nie zawróci, to umrze. Widzieliśmy, jak idzie, powoli, niby olbrzym stopniowo zamieniający się w dziecko. Widzieliśmy jego idealnie łysą głowę, jego szerokie ramiona, jego ciemne plecy. Podszedł do wejścia i, nie pukając, chwycił za klamkę, po czym powoli ją nacisnął. Pchnął drzwi. Obrócił się, by na nas spojrzeć, wciąż z ręką na klamce. Myślę, że wtedy widziałem go po raz ostatni. Że wtedy po raz ostatni poczułem na sobie jego błękitne spojrzenie. Światło z chaty oświetlało mu rękę i twarz, i sprawiało, że jego oczy błyszczały jeszcze mocniej niż zwykle. Lewellyn powtarzał swoje ostrzeżenia, ale z jakiegoś powodu trzymał się tuż koło nas, a mówił tak cicho, że Wade mógł go nawet nie słyszeć. Zerknął na mnie i coś mi wtedy przekazał. Tak, coś przeszło wtedy z niego na mnie. Nie umiałbym wyjaśnić co dokładnie. Powiedziałbym, że chodziło o ten błękit, obecny nie tyle w jego tęczęwkach, ile w jego wnętrzu.

Oddawał mi go teraz pod opiekę, tak jak oddaje się przyjacielowi pod opiekę cenny dokument, klejnot lub dziecko. Oddawał mi swój błękit, żebym przechował go w sobie, i od tamtej pory kolor ten mnie nie opuszcza. Podobnie jak nie opuszcza mnie wspomnienie o moim górskim przyjacielu, bogu rosy, olbrzymie, który znał tajemnice lasu i uśmiechał się do chmur. I wiem, że jakaś jego część żyje we mnie na zawsze.

Wszedł do chaty i zamknął za sobą drzwi. A wtedy światło, które widzieliśmy w oknie, niespodziewanie zgasło. Upłynęło kilka minut. Lewellyn wyraźnie dygotał i powtarzał swoje: Boże mój, zlituj się nade mną, Panie, miej litość. Był biały jak zjawa. Spytałem go, co się dzieje i skąd to przerażenie. Mijały kolejne minuty, a z wnętrza chatki nie dobiegały żadne odgłosy i Wade się nie pokazywał. W końcu oświadczyłem, że też idę. Lewellyn złapał mnie mocno za ramię, ale zaraz puścił.

Zbliżyłem się do chaty, przyłożyłem ucho do drzwi i nasłuchiwałem. Potem głośno zawołałem Wade'a. Wade, Wade, wołałem. Wreszcie nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. W środku znajdował się stół z cynowym talerzem i cynowym kubkiem. Przy stole stało krzesło, po prawej zobaczyłem drugie, a na podłodze, wywrócone i pokryte pajęczynami, trzecie. W głębi był barłóg, w kącie – kredens z jakimiś naczyniami na półkach. Na prawo, tuż pod oknem, kurzyła się węglowa kuchenka. Na stole dostrzegłem jeszcze świecę – przyklejoną woskiem do podstawki i zgaszoną. Chatka świeciła pustkami. Nikogo w niej nie było. Jeszcze kilkakrotnie zawołałem Wade'a. Potem odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

1. Fragmety *Sonetów do Orfeusza* Rainera Marii Rilkego w przekładzie Adama Pomorskiego. [↵](#)

Żegnaj, bracie wietrze

Nie bardzo wiem, jak się ta noc skończyła. Oddaliliśmy się od chatki aż na skraj lasu, skryliśmy się przed deszczem wśród skał i poszliśmy spać. Byłem tak wyczerpany, że straciłem przytomność, jak tylko wyciągnąłem się na ziemi, nie zdążywszy ściągnąć prawego buta.

Kiedy się następnego ranka obudziłem, stwierdziłem, że jest pochmurno. Chociaż niebo zakrywały nie tyle chmury, ile mgła. Mgła tak gęsta, że widoczność ograniczała się do jakichś dziesięciu metrów. Rosana spała obok, zwinięta w kłębek. Nie zdjęła okularów, głowę wspierała na plecaku, a wargi miała ułożone jak do pocałunku.

Lewellyna nie było. Znikł również jego plecak. Od razu zrozumiałem, że więcej się nie zobaczymy. Przypuszczałem, że wraca do Centrali, w popłochu uciekając z niebezpiecznej krainy fruujących kamieni. A zatem byliśmy z Rosaną wolni. Opuśczeni wśród gór, ale wolni.

Postanowiłem odejść kawałek za potrzebą, więc ruszyłem w dół stoku. Wciąż widziałem Rosanę uszpioną pod skałą, gdzie zatrzymaliśmy się na noc. Ukucnąłem między pachnącymi rododendronami, wypróżniłem się, po czym przez dłuższą chwilę rozkoszowałem się ciszą poranka. Gdzieś daleko, bardzo daleko, krzyczały ptaki. Poza tym żadnych dźwięków. Żadnych więcej szeptów na Wyspie Głosów.

Wstałem, by wrócić do obozowiska, lecz wtedy dostrzegłem w dole coś, co mnie zaskoczyło. Coś jakby kamienny mur sterczący spośród strzępków mgły. Musiało chodzić o złudzenie, ale mimo to skierowałem się w tamtą stronę. Nie, ku mojemu wielkiemu zdumieniu to naprawdę był mur. Stary kamienny mur, pociemniały od wilgoci i pokryty porostami. Starannie zbudowany mur ciosowy mniej więcej trzymetrowej wysokości. Czy krył się za nim prawdziwy dom Pohjoli, ten, którego od paru dni poszukiwaliśmy bez skutku? Podążyłem wzdłuż kamiennej ściany. Wokół rosły wysokie i gęste,

utrudniające marsz paprocie. Później trafiłem na jeżyny z przepysznyimi, soczystymi owocami. Przedzierałem się między czerwonawymi, jakby zardzewiałymi liśćmi tych pierwszych, starając się omijać kolczaste gałązki tych drugich. Mur był bardzo długi, a ja szedłem i szedłem, z nadzieją, że w końcu znajdę jakąś bramę. Dotarłem do zakrętu i dalej brnąłem poprzez mgłę, stąpając po niewidocznej w dole wilgotnej ziemi, brodząc w gęstym morzu sięgających mi ramion zarośli i od czasu do czasu się potykając. Teren stawał się coraz bardziej podmokły, w pewnej chwili poczułem, jak do buta wlewa mi się zimna woda. I wtedy mur znikł. Oto znajdowałem się na rozległej, pokrytej miedzianymi paprociami przestrzeni, przemoczony od stóp do głów, zagubiony i bezbronny. Czekałem, aż mgła nieco się rozproszy, rozglądając się wokół za murem, którego wszakże nigdzie nie było. Czekałem i czekałem, wiedziałem bowiem, gdzie powinna stać ta kamienna ściana, i nie rozumiałem, dlaczego nagle przepadła. Minęło kilka minut i zacząłem przypuszczać, że jednak straciłem orientację. Otoczony przez mgłę i gęstą roślinność nie miałem żadnych punktów odniesienia. Mur, jak sądziłem, ciągnął się gdzieś z prawej strony, nie dało się jednak wykluczyć, że, próbując wymijać jeżyny, zboczyłem z trasy i zostawiłem go z tyłu. Ale jak to się stało, że znikł tak szybko? Wędrowałem wzdłuż niego i niespodziewanie straciłem go z oczu. Trząśłem się z zimna. Postanowiłem nie ruszać się z miejsca, z obawy, że zgubię się jeszcze bardziej. Trwałem w zawieszeniu. A potem, zastanowiwszy się przez moment, zacząłem śpiewać.

Śpiewałem adagio z *VIII Symfonii* Brucknera.

Poranna mgła jęła się podnosić. Słoneczny blask spadał teraz na ziemię jak strugi deszczu, rozmytymi kaskadami żółtawego światła. Mgła zabarwiała się na złoto i różowo. Gdzieś w lesie odezwała się kukułka, potem nad łąką zaśpiewał słowik. Pomyślałem, że brak jeszcze głosu przepiórki i w następnej chwili go usłyszałem. Oczywiście, wiązałem te dźwięki nie z symfonią Brucknera, lecz z inną, wcześniejszą, też niezwykle piękną, napisaną przez pochodzącego z Brabancji kompozytora, którego nazwisko również zaczynało się na „B” i który w swojej partyturze starannie oznaczył głosy tych ptaków: słowik – flet; kukułka – klarnet; przepiórka – obój.

Ciągle śpiewałem i mgła powoli się rozpraszała. Mój wzrok ogarniał coraz szersze połacie paprociowych zarośli. W końcu ponownie ujrzałem mur. Stał na swoim miejscu, tuż obok mnie, tam, gdzie zawsze powinien był stać, a otwierała się w nim brama ozdobiona po obu stronach kamiennymi kulami.

Postąpiłem w jej kierunku. Brama była stara, drewniana, mocno uszkodzona. Jej skrzydła, kiedyś pomalowane chyba na jaskrawy błękit, nie stykały się już i łatwo mi przyszło się między nimi przedostać. Uczyniłem to, wciąż śpiewając.

Jednakże już w środku pragnienie czy też potrzeba śpiewu – ustąpiły. Nad moją głową ukazało się błękitne niebo. Mgła się wycofała, a ja po raz kolejny znalazłem się na Łące. Była olbrzymia, większa niż ta w dzieciństwie, większa niż ta, na którą trafiłem przez tunel na autostradzie, większa niż ta ze snu. Ogromną płaszczyznę trawnika dzielił na dwa poziomy już nie kamienny występ, lecz mniej więcej dwumetrowy ciosowy mur, podobny do tego, który otaczał to miejsce, i zwieńczony kamienną balustradą, z tych, jakie widuje się w barokowych angielskich pałacach. Na górny poziom prowadziło dwoje schodów, rozmieszczonych na obu krańcach, z kamiennymi balustradami służącymi za poręcze. Na górze wznosił się dom w stylu Tudorów. Po jednej jego stronie rósł potężny cedr. Po drugiej – kilkusetletni dąb o pniu tak grubym, że można by z niego wyciąć bramę, przez którą swobodnie przejechałby wóz zaprzężony w dwa woły. Trawnik był starannie przycięty, jakby dbało o niego kilku ogrodników. Na porannym niebie pojawiła się chmura w kształcie latającego spodka. Lśniąc biała, zdawała się po prostu wisieć w powietrzu, choć przysiągłbym, że chwilę wcześniej jej tam nie było. No, ale wszyscy wiemy, jak niepostrzeżenie przemieszczają się chmury. Stałem pośrodku Łąki, na dolnym jej poziomie, nieświadomy, co robić, oszołomiony swoim szczęściem. Słońce zaczynało mnie rozgrzewać, susząc moje włosy i wilgotne ubrania. Przestałem się trząść. Wypełniało mnie rozkoszne ciepło. Zstępowała na mnie jasność. Odetchnąłem głęboko i ta porcja czystego powietrza w płucach jak gdyby oczyściła mi również uszy i oczy. Wszystko wokół błyszczało wyrazistością. Krawędzie przedmiotów, zarysy tysięcy dębowych liści, mimo odległości zdumiewająco czytelnych w całym swoim unerwieniu. Kontury domu, plamy porostów na starych kamieniach, równoległe linie gzymsów, najeżony profil dachu z kominami, parapety okien wsparte na żłobkowanych kroksztynach. Boże mój, co za wspaniała wyrazistość! Jaka magiczna precyzja.

Zbliżyłem się do schodów po lewej stronie i wspiąłem na górę. Zobaczyłem kładący się na trawie cień chmury. Leżał tuż przed domem. Postąpiłem kilka kroków i wszedłem w jego obręb.

Spojrzałem ku domowi. Pomyślałem, że muszę do niego wejść; że

wszystko, co w życiu robiłem, kierowało mnie w jego stronę, i oto wreszcie zdołałem do niego trafić. Jego właśnie szukał Wade, jego szukał Lewellyn, może wszyscy w taki czy inny sposób go szukaliśmy, teraz zatem pozostawało do zrobienia tylko jedno. A jednak nie pociągała mnie ta wizja, gdyż nie wiedziałem, co na mnie w środku czeka, rozświetlony zaś ogród dawał mi cudowne poczucie ciepła, którego nie chciałem pod żadnym pozorem utracić. Mimo to podszedłem do drzwi. Wyłoniłem się z cienia rzucanego przez chmurę, lecz rozumiałem, że jego wcześniejszy dotyk w jakiś sposób chroni mnie przed tym, co mogłoby mi się przydarzyć. Wtedy dostrzegłem, że drzwi się otwierają, więc zatrzymałem się i czekałem. A potem zobaczyłem Wade'a. Stał na progu, uśmiechając się do mnie. Wydał mi się bardzo wysoki, wyższy niż poprzednio.

– John.

– Wade.

– Co się z tobą stało? Co się stało w tamtej chatce? – spytałem.

– Jeszcze na ciebie nie pora, John – rzucił Wade. – Wcześniej musisz wspiąć się na górę. Jeszcze nie możesz tu wejść.

– Na jaką górę?

– Jak stąd wyjdiesz, to ją zobaczysz – odrzekł. – Wespnij się na nią. Musisz to zrobić sam. Wespnij się na tę górę.

Nie pojmowałem, skąd Wade wziął się w tym miejscu. Wyglądał na zadowolonego, jakby w pewnym sensie był u siebie. Wsparł się o framugę i zapatrzył w słoneczny blask, z lekkim uśmiechem, od którego robiły mu się zmarszczki w kącikach oczu. Miał u pasa pochwę ze swoim nożem myśliwskim i przypominał tego Wade'a, którym był na początku, kiedy jeszcze nie straciliśmy nadziei. Nosił zielone spodnie i wojskowe buty, które znalazł we wraku samolotu i które idealnie mu pasowały, jakby należały do niego, chociaż w rzeczywistości do niego nie należały.

– Wade – powiedziałem. – To ty? To ty, Wade Erickson, mój przyjaciel?

– Wszyscy jesteśmy tylko cieniami pana Pohjoli – odparł. – Różnymi postaciami i osobowościami, które stanowią jedynie zewnętrzną powłokę, maskę lub wcielenie pana Pohjoli. Rozumiesz?

– Chcesz powiedzieć, że pan Pohjola używa twojego ciała, by ze mną porozmawiać – stwierdziłem. – Że przyjmuje twój kształt, żeby wejść ze mną w kontakt.

– Nie tylko „używa mojego ciała” – poprawił mnie Wade. Założył ręce

i patrzył na mnie po swojemu: z lekko uniesionym podbródkiem, jak to mają w zwyczaju początkujący krótkowidze, choć przecież on akurat widział doskonale, niby drapieżny ptak. – Nie tylko „przyjmuje mój kształt”, żeby z tobą porozmawiać. Wszyscy jesteśmy jego formami. Ja jestem Wade’em, twoim przyjacielem, i zarazem panem Pohjola. Rozumiesz? Mógłbyś zobaczyć tu kogoś innego: na przykład ojca albo dawnego znajomego, albo matkę, albo dowolną osobę z przeszłości, kobietę lub mężczyznę, nieważne, i to wciąż byłby pan Pohjola, rozumiesz?

– Sądzę, że tak – odpowiedziałem. – Sądzę, że rozumiem, co masz na myśli.

– Nie, nie, nie rozumiesz – zaprzeczył Wade, jeśli to on do mnie wtedy przemawiał. – Ja jestem panem Pohjola, ale ty również nim jesteś. Jesteśmy kształtami jego snu. Jego cechami. Postaciami jego wyobraźni. Po prostu formami. Rozumiesz?

– Ty i ja? My obaj?

– Owszem.

– Ja też jestem przejawem pana Pohjoli?

– Obawiam się, że tak.

– Czyli kiedy rozmawiamy, pan Pohjola rozmawia sam ze sobą.

– Znowu: owszem. – Wade się uśmiechnął.

– A ta Łąka? I ta wyspa?

Wade umilkł. Dziesiątki równoległych zmarszczek na jego czole zdawały się falować, gdy podnosił wzrok na niebo i rozglądał się wokół, jakby pragnął wchłonąć w siebie wszystko: światło, przyjemny chłód trawy, kamienną balustradę z żółtawymi plamami starych porostów, cień dwóch wielkich drzew przy domu, odległą skargę jakiegoś ptaka...

– Czy ta Łąka i ta wyspa też są panem Pohjola? – dopytywałem. – Pan Pohjola nie jest człowiekiem, prawda? Jest tą wyspą, tak?

– Tak, to prawda – przyznał Wade. – Ale wyspa może być tylko jednym. Jest kimś, tak samo jak ktoś jest nią. Ta jest twoja, bracie – puścił do mnie oko. – Ta wyspa to ty.

– Jak to?

– Słyszałeś, co powiedziałem. Oddaję ci ją, przyjacielu. Jest twoja. Jest dla ciebie.

– Zawsze myślałem, że ona jest twoja, bracie – rzuciłem. – Że to twoja wyspa, bracie Wade. Twoja, bracie wietrze. Wyspa brata wiatru.

– Tak – uśmiechnął się, przeciągając się z wyraźną przyjemnością. – Masz

rację. Jestem bratem wiatrem. Masz rację, Johnny boy.

– Jasne, że jesteś. Zawsze byłeś.

– Zawsze w drodze. W pogodni za rudzikiem. W trosce, by znaleźć się po właściwej stronie ogrodzenia. By pozostać ciekawskim, który zagląda z zewnątrz, a nie stać się zamkniętym w środku kurczakiem. Tak, bracie deszczu, masz słuszość. Jak mogłem o tym zapomnieć?

– Bracie deszczu? – parsknałem. – Źe to niby ja?

– Tak, bracie – potwierdził Wade. – Ja nigdy nie miałem rodzeństwa, Johnie Barbarin. Ale ty jesteś dla mnie jak brat.

– Ja też nie miałem – stwierdziłem. – To ty, Wade Erickson, jesteś moim bratem.

– Brat deszcz – powtórzył Wade, jak gdyby w końcu znalazł stosowne dla mnie imię. – Spadasz z nieba i znikasz w ziemi, bracie deszczu. Przybywasz z wysoka i obracasz się w błoto. Spadniesz na mój grób, a ja zaświszczę ponad twoim. Oczyszczisz stare kości, a ja rozrzucę je, wymieszam z leśnymi liśćmi.

– Mamy jeszcze czas – powiedziałem. – Przed nami wiele polowań, bracie wietrze, wiele wypraw do lasu, wiele spacerów brzegami strumieni. Wiele dni spędzanych na łowieniu ryb i wiele nocy pod gołym niebem.

– Tak – odrzekł Wade, osłaniając oczy dłonią i patrząc w niebo. – Tego popołudnia będzie padać, ale jakie to ma znaczenie? Możemy iść tak czy owak. Najważniejsze to nie wznosić świątyń, rozumiesz, bracie deszczu? Najważniejsze to nie wznosić świątyń.

– Świątyń, powiadasz.

– Trzeba się tego bardzo wystrzegać. – Wade znów puścił do mnie oko.

– Tak, bardzo.

– Nigdy dosyć ostrożności.

– No pewnie.

– No ba.

– A więc nie wznosić świątyń – powtórzyłem.

– Otóż to.

– Ty wznosiłeś – zauważyłem. – I ja też.

– Wszyscy to robimy. Robimy to, bo pragniemy umrzeć. Dlatego wznosimy świątynie: bo zmęczeni życiem pragniemy zostać niewolnikami i szukamy pana, zamiast szukać ścieżek i zapachów, i nowych pieśni do śpiewania.

– Zapachów... – mruknąłem. – Ja nie szukałem zapachów ani ścieżek.

Szukałem kobiet.

– Kobiet – westchnął Wade. – Tak, masz rację. Kobiety. Matki, siostry, kochanki. Ja przez lata szukałem swojej matki.

– Pamiętam. A kiedy ją znalazłeś, okazało się, że mieszka na Florydzie i nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

– Dała mi dwieście dolarów – uśmiechnął się Wade. – Wyjęła dwieście dolarów z puszki po herbatnikach. Przez chwilę myślałem, że da mi ciastko. Ale te banknoty to była najśłodsza rzecz, jaką zamierzała mnie obdarować. John, nic smutniejszego nigdy mi się nie zdarzyło. To złamało mi serce.

– Wciąż o niej myślisz?

– Tak. Zakładam, że dlatego nigdy nie chciałem założyć rodziny. Żeby nikomu nie złamać serca.

– Ale nie wszyscy... – zacząłem. – To znaczy nie zawsze... Nie wszyscy rodzice...

– Wszyscy w końcu łamiemy sobie serca – oświadczył Wade. – Tego się nauczyłem. To nieuniknione. Rodzice dzieciom, dzieci rodzicom, rodzice sobie nawzajem... Kochankowie, rodzeństwo, przyjaciele... To nieuniknione...

– Ale serce może się zrosnąć. Nie sądzisz, że może?

– Sądzę, że nie – odrzekł Wade. – Sądzę, że raz złamane nie zrasta się nigdy.

– Nie sądzisz, że wiatr mógłby uleczyć twoje? – spytałem.

– Wiatr... – Wade się zadumał. – Wiatr nie zna się na takich rzeczach. Leczy, owszem, ale na swój sposób. Pisze historie. To jego sposób. Jego zadanie. Jest wielkim gawędziarzem. To on popycha ludzi poprzez krajobrazy.

– Popycha nas wszystkich.

– Jednych bardziej, drugich mniej – stwierdził Wade. – Nie każdemu jest przyjacielem. Nie wszyscy odpowiadają na jego pierzaste wezwanie. Ale wszyscy potrzebują jego historii.

– Myślisz, że historie właśnie temu służą? Leczeniu złamanych serc?

– Czy ja wiem... – rzucił wesoło. – Nie wiem. Nie jestem uczonym. Nic nie wiem. Tak sobie gawędzę.

– Jak wiatr.

– Właśnie. Jak wiatr.

– Snując historie.

– Tak – zgodził się Wade. – Przypuszczam, że to właśnie robi wiatr. Snuje historie. Recytuje wiersze. To w zasadzie to samo. Wiersze to też historie, nie

uważasz?

Zamilkliśmy obaj. Wade wyjął z kieszeni orzech. Nie wiem, gdzie go znalazł, niemniej wielokrotnie już zdumiewała mnie jego zdolność do wyszukiwania w dowolnym miejscu czegoś do pogryzania. Usiadł na schodkach przy wejściu, wyciągnął z pochwy nóż myśliwski, rozłupał skorupkę, wsuwając w szczelinę jego czubek, wydłubał miąższ i wsunął go sobie do ust. Łupinkę wyrzucił w trawę. Przyszło mi do głowy, że nieraz widywałem go w tej pozycji: siedzącego z łokciami na kolanach, obierającego i przeżuwającego jakiś owoc, przepatrującego wzrokiem okolicę, albo przykucniętego, albo z jednym kolanem na ziemi, jedzącego owoce koli albo owoce noni, albo kawałek kokosa.

– Już nie jesz czereśni? – spytałem.

– Czereśni?

– Raz widziałem, jak jadłeś.

– Czereśnie?

– Tak.

– Nie, to nie byłem ja. – Wade pokręcił głową.

Wyciągnął kolejny orzech i zaproponował mi go, przytrzymując w dwóch palcach. Pokręciłem głową.

– Myślisz, że mógłbym pójść z tobą? – spytałem. – Myślisz, że też mógłbym tam wejść?

Obrócił się i zajrzał do wnętrza domu. Ja widziałem jedynie białą ścianę i podłogę z czerwonego, pociemniałego drewna, nic więcej.

– Neeee... – Znowu pokręcił głową. – Już ci mówiłem, że jeszcze nie, Johnny boy. Jeszcze nie jesteś gotowy. Musisz wejść na górę. Niezła cię czeka wspinaczka!

– Dlaczego?

– „Dlaczego?” – powtórzył, jakby mocno ubawiony moją reakcją.

– Tak, dlaczego?

– Gdyby było jakieś „dlaczego”, byłby i jakiś sens – oznajmił.

– Jeśli nie ma sensu, to nie ma też powodu, żeby się gdzieś wspinać – zauważyłem.

– To prawda – odparł.

Rozłupał drugi orzech podobnie jak pierwszy, zjadł go i znowu wyrzucił łupinki w trawę.

– Po prostu to zrób, okej? – poprosił.

– Okej.

Patrzyłem, jak rozłupuje i zjada trzeci orzech.

– Rodzeństwo robi różne rzeczy – powiedział wtedy, wymachując swoim nożem, jakby dla wzmocnienia argumentacji, i żując miąższ orzecha. – Brat wiatr wędruje śladem ptaków. Brat deszcz łączy niebo z ziemią. Brat ogień spala. A siostra skała podtrzymuje świat. I wszyscy czworo mówią własnym głosem. Brat deszcz sprawia, że rzeczy dźwięczą. Brat wiatr przemawia słowami. Siostra skała śpiewa. Brat ogień słucha. To są ich cztery głosy. A każde z nich musi kiedyś nauczyć się tego, czego nie umie. Rozumiesz? Może pewnego dnia ja nauczę się śpiewać. Może pewnego dnia ziemia się poruszy, a woda zacznie słuchać. Może pewnego dnia wiatr się zatrzyma.

– Już cię więcej nie zobaczę, Wade? – spytałem.

– O, przeciwnie, z pewnością jeszcze się zobaczymy.

– Kiedy?

– Wiosną – odrzekł, zajęty następnym orzechem, który nie chciał się otworzyć, ponieważ był chyba zbyt zwarty i nie miał, jak inne, szczeliny. – Kiedy wiosna wróci na brzegi rzeki Wabash. Jedź wtedy do Hammerstown, a potem jakieś pięć kilometrów w górę rzeki. Znajdź wśród wiązów gniazdo rudzika. Tam będę.

Poczułem, że oczy wypełniają mi się łzami.

– Nie smuć się, Johnny boy. – To i tak prawdziwy padół łez. Nie smuć się – powiedział Wade.

– Swoich dawnych przyjaciół utraciłem na zawsze – jęknąłem. – Spotkałem ich znowu w samolocie. Swoich przyjaciół z młodości! Jak to możliwe? Skąd oni się tam wzięli? Byli tam, wszyscy, ale nawet nie mogłem z nimi rozmawiać. Stałem się dla nich obcy, a oni stali się obcy dla mnie. Zerwałem wszelkie więzy z przeszłością i nawet nie wiem dlaczego. Moi rodzice umarli, oboje, ale zanim to się stało, całymi latami nie odzywałem się do ojca, a później na długie lata obraziłem się na matkę, sam nie wiem za co. Nie mam rodzeństwa. Kochałem w życiu tylko jedną kobietę, którą porzuciłem. Porzuciłem ją, Wade. Bez słowa. Uciekłem jak złodziej. Ona chyba przez jakiś czas na mnie czekała, aż zrozumiała, że nie wrócę, i żyła dalej, i o mnie zapomniała. Każdy o mnie zapomina, wszystko mnie omija. Wszystko straciłem, wszystko porzuciłem i nic z tego nie mam. Sprzedałem się za nic. Powiedz, jaki sens ma moje życie.

– Sens twojego życia to ta chwila, w której pękło ci serce – odrzekł Wade.

Po czym dodał, wskazując leżące w trawie skorupki: – Ale spójrz: mógłbyś znowu zrobić z nich orzech?

– Nie wiem, przyjacielu, mógłbym?

Wade zapatrzył się na cały orzech, który trzymał w ręku. Później wstał i otrzepał spodnie oraz koszulę.

– Masz – powiedział. – Zachowaj go i bądź znów cały.

Podszedłem, wyciągnąłem rękę i wziąłem orzech. Był ciepły.

– Dziękuję – rzuciłem.

– Żegnaj, bracie deszczu – powiedział Wade.

– Żegnaj, bracie wietrze – odparłem. – Nigdy cię nie zapomnę.

– Jeśli kiedyś się stąd wydostaniesz... – zaczął. – Jeśli kiedyś będziesz w południowej Indianie...

– To co wtedy?

– Nieee... Nieważne. Nieważne. Pamiętaj tylko o tym, co ci mówiłem, zgoda?

– Mówiłeś mi wiele rzeczy.

– To prawda – zaśmiał się, lecz odniosłem wrażenie, że i jemu oczy zaszczyły łzami.

Wydawało się, że już się odwraca, by wejść do domu i zniknąć na zawsze, lecz wtedy zerwał się wiatr. Wade zatrzymał się i wystawił twarz na jego pieczętę.

Zerwał się wiatr i to jest coś, czego nigdy nie zapomnę: sposobu, w jaki ów powiew przeczesywał trawę Łąki, jak gdyby tysiące rąk wyrывało ze snu struny zielonej harfy; rozpacziwego smutku tego wszystkiego, zupełnie jakby wiało tak gdzieś w meksykańskich górach, w Pahuatlán, na polu pełnym kości pomordowanych młodych kobiet albo na brzegu jeziora u stóp góry Fudzi, gdzie zabójcy wysypują prochy starego mężczyzny, albo na zarośniętej dębami Wyspie Ściętych Głów na rzece Wabash, w Indianie, gdzie zaparkowany na przeciwległym brzegu czerwony buick przygląda się narodzinom miłości, albo w jakimś zrujnowanym mieście, na polu walki albo w Ryszikeśu nad Gangesem, pośród pagód i niebieskich posągów boga-małpy, albo między wiązami w Oakland, w Rhode Island, ponad wieżą zegarową tamtejszego Wydziału Nauk i brukowaną żółtawymi kamieniami drogą, którą przemierzałem co rano, kontemplując nogi młodych dziewcząt... Wiejący nad Łąką wiatr niósł ze sobą wspomnienie wszystkich smutków świata i zarazem wspomnienie wszystkich zmarłych, albowiem Łąka była jak cmentarz,

ogromna nekropolia na skraju świata, i w końcu rozumiałem, dlaczego jest łąką i dlaczego jest taka pusta, i otoczona wielkim murem, i skąd na niej tyle trawy: miliony, miliony i miliony falujących źdźbeł – jedno na każdego mężczyznę i każdą kobietę, jacy kiedykolwiek żyli. Zawahałem się, czy spytać Wade’a o to wszystko, przestraszony, że odpowie: tak, masz słusność, w końcu odgadłeś prawdę, ten cudowny zielony ogród, którego szukałeś przez całe życie, to w istocie cmentarz, Łąka to w gruncie rzeczy miejsce wiecznego spoczynku. I jeszcze – że na tym to polega: pielgrzymujemy, by skończyć pośród cyprysów, o zmierzchu, przed bramą, nad którą widnieje napis: „Wielu wchodzi, nikt nie wychodzi”. Odwróciłem się, by spojrzeć na bezmiar trawy, i pomyślałem, że pod tym tak doskonale utrzymanym trawnikiem od wieków gromadzą się zmarli i że skoro już to wiem, wreszcie zobaczę płyty nagrobne i krzyże. Ale niczego tam nie było poza trawą. I wiatrem.

I tamten wiatr wszystko zmienił, kierując moje myśli we właściwą stronę. Bo w rzeczywistości stanowił samoświadomość Łąki. Łąka odżywała w nim, będąc nie tyle cmentarzem, ile ogrodem strzegącym słodkiego snu zmarłych, miejscem cudów, Ogrodem Zmartwychwstania, którego szukali członkowie Stowarzyszenia Białej Róży. Wisząca zaś w górze chmura nie była chmurą ani tym bardziej latającym spodkiem, lecz właśnie Białą Różą, która unosi się nad nami i otwiera nas na kosmos. I wszystko to stało się dla mnie jasne, kiedy wiał tamten wiatr stanowiący świadomość Łąki, jej rozum i jej pamięć. I ten wiatr ciągle wieje, teraz, w tej chwili, gdzieś na świecie, sprawiając, że nadzieja nadal żyje.

– Ten wiatr... – odezwał się Wade, wyciągając rękę, by poczuć go na dłoni.
– Patrz, John, on przyszedł się ze mną pożegnać.

– Naprawdę? – szepnąłem. – A nie czujesz raczej, że on... wieje skądś?

– Skądś? – zdziwił się Wade. – Co masz na myśli?

– Czuję, że on wieje z innych Łąk. Z innego świata.

– Czy ja wiem – mruknął Wade. – Śmierć nie czyni człowieka mądrzejszym.
Miło było cię poznać.

Zdałem sobie sprawę, że teraz już naprawdę odejdzie, bo nie może ze mną dłużej zostać, i że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Żegnaj, bracie wietrze – powiedziałem, unosząc prawą rękę.

– Żegnaj, bracie – odpowiedział. – Ja ciebie też nie zapomnę.

I odwrócił się powoli, i wszedł do domu, i zamknął za sobą drzwi.

Spotkanie z wilkami

Byliśmy z Rosaną sami głęboko w górach. Abraham Lewellyn już się oczywiście nie pokazał. Nie zdołaliśmy też odnaleźć chatki, w której przepadł Wade. Co wydawało się zresztą bezsensowne, jako że nie odeszliśmy daleko i doskonale pamiętaliśmy tamto miejsce, poza tym, jak już zauważyłem, Rosana świetnie orientowała się w terenie. Kilkakrotnie opisałem jej wnętrze chaty – z całym jej brudem i opuszczeniem – lecz wciąż dopytywała o nowe szczegóły, jakby szukała jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia. Czy naprawdę nie zauważyłem tylnego wyjścia? Ani klapy w podłodze? Nie, niczego takiego tam nie było. Był tylko stół z talerzem, kubkiem i świecą. Nawoływaliśmy Wade’a po lesie, chociaż ja wiedziałem, że to bezcelowe, a i Rosana, jak sądzę, już o tym wiedziała. Chatka znikła i nasz przyjaciel znikł wraz z nią. Nie opowiedziałem Rosanie o Łące ani o swojej ostatniej rozmowie z Wade’em – jeśli to naprawdę Wade ze mną wtedy rozmawiał – nie z chęci dochowania tajemnicy ani ze strachu, że wyjdę na szaleńca, tylko dlatego, że o pewnych rzeczach nie da się opowiadać.

Postanowiliśmy iść dalej, żeby odszukać Czarną Kolumnę i, wraz z nią, dzieci. Od tamtego momentu nie zmrużyliśmy więcej oka. Zatraciliśmy potrzebę snu. Przystosowaliśmy sobie dwa długie kostury i ramię w ramię wędrowaliśmy po górskich ścieżkach niby dwoje pątników. Rosana przekonała mnie do użyteczności tych kijów – zwłaszcza na bardziej stromych odcinkach, a także na wypadek spotkania z dzikimi zwierzętami, szczególnie wilkami. Powiedziała, że kiedy chodziła po górach na północy Hiszpanii, zawsze nosiła przy sobie taki kij i nigdy by się bez niego nie ruszyła. Spędziliśmy tak kolejne trzy doby, za dnia idąc w deszczu, nocą odpoczywając bez snu, czasem przytuleni, żeby było nam cieplej. Aż spotkaliśmy Syreę.

Brzask zastał nas tego dnia, jak zwykle, dygocących z zimna i mokrych od porannej rosy. Chciałem wstać, by rozpalić ogień, i nagle otoczyły nas wilki.

Nie wiem, skąd się wzięły. Nocowaliśmy na skraju jodłowego lasu i wielkie zwierzęta wydawały się ucieleśnieniem jego mroku. Musiało być ich koło pięćdziesięciu, a okazały się tak ogromne, że aż nierealne. Nawet gdy stały na czterech łapach, ich wydłużone pyski znacznie górowały nad naszymi głowami. Szturchnąłem Rosanę, która leżała z zamkniętymi oczami – gdy je otworzyła, krzyknęła. Wilki otaczały nas ze wszystkich stron, kręgiem o mniej więcej dwudziestometrowej średnicy. Nie sprawiały wrażenia agresywnych ani groźnych. Niektóre poprzysiały na tylnych łapach. Inne zwiesiły języki, co według Rosany oznaczało pokojowe zamiary. Zdawały się nas pilnować i czekać na jakiś znak.

Wstaliśmy powoli, wspierając się o siebie plecami. Nie mieliśmy żadnej broni. Tylko nasze kostury. Ale czym byłyby dwa kostury w ewentualnym starciu z watahą olbrzymich wilków?

– Wilki nie atakują ludzi – szepnęła Rosana. – Nie bój się. Jeśli jeszcze się zbliżą, nie wykonuj gwałtownych ruchów. Obwąchają nas i sobie pójdą. Nie są chyba zdenerwowane ani głodne.

– Co ty możesz wiedzieć o wilkach? – rzuciłem, dygocąc ze strachu.

– Przez całe życie dużo chodzę po górach – odparła. – Miałam już takie spotkania kilkakrotnie. Naprawdę groźne są dziczące psy. Te, owszem, mogą cię zaatakować i pogryźć. Wilki nie.

Mówiła to wszystko jak ktoś, kto powtarza sobie pewną rzecz dla przyjemności, jaką za każdym razem przy tym odczuwa, nie byłem wszakże pewien, czy wierzy w prawdziwość własnych słów.

Z ciemności lasu wyłonił się gigantyczny samiec, pewnie przewodnik stada. Potem się zresztą okazało, że była to jednak samica. Miała bardzo jasną sierść, może nie białą jak śnieg, ale, owszem, białawą. Jej potężne ciało wręcz tonęło w zwałach tego futra, a piękne, wąskie, inteligentne, typowo wilcze ślepia zdawały się uśmiechać i skrywać jakieś dalekosiężne, zimne myśli. Na jej grzbiecie siedziała okrakiem dziewczynka. Mniej więcej dwunastoletnia, szczupła, ciemnoskóra i naga. Bardzo długie czarne włosy opadały jej gęstymi pasmami na plecy i słabo jeszcze rozwinięte piersi. Mimo swojej nagości miała na nosie okulary. Okulary w grubej fioletowej oprawce, doskonale mi znane. Biodra dziewczynki zasłaniała bujna sierść wilczycy, dlatego dopiero po chwili zauważyliśmy, że mała ma na sobie przepaskę Wamanich, zrobioną ze skórzanych pasków z ponaszywanymi muszelkami. Dostrzegłem też, że nosi kilka podobnych w stylu naszyjników.

– Syra! – zawołała Rosana.

Wielka biała wilczyca zatrzymała się jakieś pięć metrów od nas. W jej uchylonym pysku drgał długi różowy język. Potężne żółtawe kły przyprawiały mnie o dreszcze. Syra zakryła piersi rękami i parsknęła śmiechem. Ten gest zawstydenia mnie zaskoczył. Z pewnością wykonała go ze względu na mnie.

– Syra – rzuciłem. – Co się stało? Gdzie inne dzieci?

Zaśmiała się znowu i poprawiła okulary. Ponieważ zasłaniała się właściwie przedramionami, a nie dłońmi, mogła to z łatwością zrobić, lekko schylając głowę.

– Syra, córeczko – powiedziała Rosana. – Wszystko w porządku?

Syra gwałtownie zakasłała. Swoim suchym, chrapliwym kaszlem. Później znów zaczęła się śmiać.

– Syra, niech to szlag, odpowiadaj! – straciła cierpliwość Rosana.

Wilki zawarczały. Te, które zwieszały języki, zamknęły teraz pyski, a te, które siedziały na tylnych łapach, wstały.

– Złaż z tego psa! – poleciała stanowczo Rosana.

– Lepiej się uspokój – mruknąłem. – Denerwujesz je. I to nie są psy.

– Chodźcie, wilczki – zachęciła Rosana, zaciskając szczęki i schylając się po swój kostur, który uniosła obiema rękami wysoko w powietrze. – No, który chce dostać kijem?

– Zwariowałaś – stwierdziłem. – Przestań!

Zdumiewała mnie jej odwaga i zuchwałość.

– Mamo, odłóż ten kij – powiedziała Syra swoim zwyczajnym głosem. – Straszysz je!

Wielka biała wilczyca też już warczała, szczerząc kły.

– Odłóż ten kij! – powtórzyła Syra. – A niech to! Ty w ogóle nie słuchasz!

– Rosana, odłóż ten kij na ziemię – rozkazałem.

Zobaczyłem, że mała głaszcze szyję, głowę i uszy wilczycy, która przyjmuje te pieszczoty z wyraźnym zadowoleniem i się uspokaja.

– Musisz odłożyć ten kij na ziemię i powiedzieć, że koniec z prawem kija – odezwała się ponownie Syra. – My, wilki, nie przepadamy za prawem kija. My przepadamy za prawem wilków.

Rosana opuściła kij i powoli wsparła go o glebę.

– Musisz powiedzieć, że koniec z prawem kija – powtórzyła Syra. – My, wilki, nie przepadamy za prawem kija. Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Musisz tak powiedzieć.

– Jak? – spytała Rosana.

– Że koniec z prawem kija. Inaczej one mnie z tobą nie puszczą.

– Koniec z prawem kija – powiedziała Rosana. – No już, zrobione.

– Juan Barbarín też musi tak powiedzieć – dodała Syra, znowu parszkając tym swoim charakterystycznym śmiechem. Patrzyła na nas rozbawiona z grzbietu wilczycy, od czasu do czasu poprawiając na nosie okulary. – Uprawialiście seks? Chodzicie ze sobą? Na pewno już uprawialiście seks.

– Syra! – krzyknęła Rosana.

– Nie wolno ci na mnie krzyżeć – oświadczyła Syra. – Powiedziałaś, że koniec z prawem kija. Teraz Juan Barbarín też musi tak powiedzieć.

– Co mam powiedzieć?

– Że koniec z prawem kija.

– Koniec z prawem kija.

– Nie powiedziałaś tego tak naprawdę – rzuciła Syra, zaczynając ogryzać paznokcie. – Nie wierzymy ci. To znaczy wilki ci nie uwierzyły. Musisz to powiedzieć tak naprawdę, Juanie Barbarín.

Powtórzyłem, że koniec z prawem kija. Nie wiem, czym się różnił ten drugi raz od pierwszego. Tak czy owak Syra w końcu zsunęła się z grzbietu białej wilczycy wzdłuż jej prawego boku i ruszyła w naszą stronę. Wciąż zakrywała piersi przedramionami. Kilkakrotnie zakasłała. Rosana przyskoczyła do niej i mocno ją objęła.

– Gdzie ty byłaś? – szeptała, wtulając twarz w ciemne włosy dziewczynki.

– Gdzie ty byłaś, córeczko?

Ponad jej ramieniem Syra patrzyła na mnie. Była bardzo poważna i widziałem, że ma łzy w oczach. Nie rozumiałem jedynie, czy płacze z radości, że w końcu ją odnaleźliśmy, czy ze smutku, że musi się pożegnać z wilkami.

Natykamy się na Josepha i jego grupę

Wydaje mi się, że dzień później natknęliśmy się na Josepha i jego grupę. Syra opowiadała, że wraz z innymi dziećmi zabrano ją do obozu wysoko w góry i że pełno tam też było zbiegłych dzieciaków, które dzieliły się na walczące między sobą bandy, ponieważ wcześniej kazano im pracować w czymś w rodzaju kopalni, skąd wydobywały jakieś ciemne kamienie, a dorośli nie mogli tego robić, bo od razu bolała ich głowa, zresztą dzieci też pod koniec dnia bolała i dlatego wiele z nich wariowało i uciekało, i zaczynało walczyć między sobą, i były dwie armie, jak twierdziła Syra, jedna pod przywództwem chłopca zwanego Czerwonym Kłem i druga pod wodzą dziewczynki, Czarownicy Taylor, i te dwie armie robiły straszne rzeczy: zabijały przeciwników włóczniami, strzałami i nożami, a jeńców krzyżowały. Tak, powiedziała, przybijano ich do krzyży zrobionych z pni i gałęzi. Przywiązywano im do nich nogi, ręce zaś przybijano gwoździami i młotkami. Ci, co docierali do Czarnej Kolumny, podobno potrafili później fruwać i rzucali się w dół czegoś, co, jak zrozumiałem, było wielkim kotłem skalnym gdzieś w górach, i fruwało się potem nad nim i nad dolinami, i wszystkie walki między zbiegłymi dziećmi toczyły się właśnie o dostęp do Czarnej Kolumny i umiejętność fruwania, i to był wręcz cały cykl Dziecięcych Wojen – wciąż o to samo: o panowanie nad skałą, która dawała umiejętność fruwania. Ona, Syra, nic z tego nie widziała, słyszała tylko opowieści, gdyż zaraz na początku, jak wracali do obozu po dniu pracy w kopalni, odłączyła się od innych i zgubiła, i wkrótce spotkała wilki. Rosana wydawała się rozczarowana faktem, że jej córka nie zbiegła, lecz po prostu się zgubiła, i miałem wrażenie, że zaraz zacznie ją besztać za jej wieczne roztrzepanie i zamykanie się we własnym świecie. Syra opowiadała, że wilki odnalazły ją prawie od razu – pojawiły się w lesie, podeszły do niej, a ona zaczęła je głaskać po grzbiecie i uszach, bo myślała, że to psy, wataha wielkich psów,

psy zaś ogromnie lubiła i zawsze chciała jednego mieć, ale matka jej nie pozwalała. Rosana powtórzyła odruchowo, że mają za mały dom, a poza tym sama musiałaby się takim psem zajmować, co ją średnio pociąga. Potem spytaliśmy małą, ile czasu przebywała pośród wilków, na co odparła, że bardzo, bardzo długo. Wiele, wiele dni. Powiedziała, że rozmawiała z nimi i się nawzajem rozumieli, bo one są zupełnie jak ludzie. Sądzę, że nigdy nie słyszałem, by tak się rozgadała na jakiś temat. Dostrzegłem jednak, jaką trudność sprawia jej ujmowanie swoich przeżyć w słowa. Niejednokrotnie musieliśmy się z Rosaną domyślać, o co jej chodzi, gdy tak wyrzucała z siebie urywane zdania, i najprawdopodobniej właśnie dzięki temu niedoborowi ludzkich umiejętności komunikacyjnych potrafiła się tak dobrze porozumieć z wilkami, żyjąc z nimi i wędrując po wyspie, zawsze na grzbiecie białej wilczycy, wyjąc jak one i jak one jedząc i pijąc.

Kiedy spotkaliśmy Josepha i jego ludzi, potwierdziło się wiele spośród opowiadanych przez nią historii. Oni, owszem, dotarli do Czarnej Kolumny i widzieli dzieci fruujące niby kruki – dziesiątki dzieciaków kołujących nad cyrkiem skalnym, gdzie wznosiła się Czarna Kolumna, czyli po prostu gigantyczna ciemna skała stercząca z jednego ze stoków. Byli też świadkami walk między dziecięcymi bandami i spotkali Czarownicę Taylor: trzynastoletnią dziewczynkę, która żywiła się wyłącznie metalem wydobywanym w pobliżu Czarnej Kolumny, przez co zyskała specjalne moce, i uratowali mnóstwo maluchów przybitych do krzyża, wycieńczonych, właściwie umierających, później jednak, po odzyskaniu sił, uparcie wracających do Czarownicy Taylor albo Czerwonego Kła, żeby wraz z nimi walczyć o Czarną Kolumnę, od lat kontrolowaną przez trzecią bandę, czyli przez tak zwane Ptaki Nieskończoności, zdziczałe dzieci odżywiające się nie wiadomo czym i posłuszne nieokreślonej płciowo istocie, znanej jako Tremal Naik. Josephowi i reszcie nie udało się zobaczyć z bliska żadnego z fruujących, jednakże dzieciaki, które nadal mówiły po angielsku (albowiem uczestnicy Dziecięcych Wojen w większości pozapominali ojczystą mowę i porozumiewali się teraz w języku przejętym od wyspy, a chyba podobnym do języka Wamanich), no więc dzieciaki, które nadal mówiły po angielsku, opowiadały, że te, co fruują, ledwie przypominają ludzi; że możliwość unoszenia się w powietrzu wywołuje w nich oślepiającą euforię i że wyglądają naprawdę strasznie: oczy mają kocie lub gadzie, ręce zbyt długie, cienkie i kościste, palce podobne do szponów, skórę zaś często pokrytą ptasim

puchem.

Rosana i ja zrelacjonowaliśmy z kolei wszystko to, co przydarzyło nam się w Centrali. Mówiliśmy o zaporze energetycznej chroniącej półwysep przed błękitnym olbrzymem, znanym wśród *insiders* jako Omé, opisaliśmy życie w Likkendala City: wygodę tamtejszych domów wyposażonych w elektryczność i kanalizację, ukwiecone ogrody, szkołę, szpital, baseny i pola golfowe, jak również Abrahama Lewellyna, kamieniołomy i przymusową pracę, a Joseph, Sophie, Leverkusen i pozostali patrzyli na nas jak na wariatów, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszeli. Joseph oświadczył, że powinniśmy się wyprawić do Centrali i odbić resztę uwiezionych tam towarzyszy, więc skupiliśmy się na związanych z tym trudnościach. Zapytani, jak nam się udało uciec, wymieniliśmy z Rosaną skonsternowane spojrzenia, albowiem wyjaśnienie tego nie było wcale łatwe i wymagało – zwłaszcza ode mnie – choćby skrótowego poruszenia tematów takich jak osoba Aarva Pohjoli, historia wyspy, szesnastowieczne okręty i zawartość podziemnego spichlerza oraz, przede wszystkim, tego, co się stało, gdy szukaliśmy domu pana Pohjoli. Wreszcie udało nam się jakoś ująć to w słowa. Joseph dopytywał, co to znaczy, że „Wade zniknął”, a wysłuchawszy bardziej szczegółowej opowieści o naszej wyprawie w góry, zdenerwował się i oznajmił, że Lewellyn zmanipulował nas jak naiwne dzieci, bo domy nie zmieniają położenia i on osobiście nie wierzy w zapalające się ni stąd, ni zowąd światła ani w rzekome znikanie ludzi. Zasugerował nawet, że Wade dogadał się z Lewellynem, a cała ta historia jest jednym wielkim wyrafinowanym przedstawieniem. Na koniec rzucił, że „ten słynny pan Pohjola” to ewidentnie taki McGuffin, wymyślony przez Lewellyna czarnoksiężnik z krainy Oz, i że po prostu daliśmy sobie narzucić reguły gry nie do zaakceptowania.

– Mimo wszystko – powiedziałem upokorzony tymi insynuacjami, czując, że policzki mi płoną – nadal nie przyjąłeś do wiadomości, że na tej wyspie dzieją się rzeczy niewytłumaczalne?

– Nie, John, nie przyjąłem tego do wiadomości i nie przyjmę, bo ani na tej wyspie, ani nigdzie indziej nie dzieje się nic „niewytłumaczalnego”. Wszystko da się w taki czy inny sposób wytłumaczyć.

– To na pociechę ci powiem – mruknąłem – że wedle Lewellyna, który podkreślał to kilkakrotnie, widziana przez nas biała chmura *nie jest* latającym spodkiem i *nie ma* tu żadnych ufoludków.

– O, doskonale, bardzo mnie to uspokaja – odparł z goryczą Joseph.

– Kilka miesięcy temu – podjąłem – w zupełności bym się z tobą zgodził. Powiedziałbym na przykład, że ta historia z Pohjolą to prześladowające Lewellyna typowe paranoiczne delirium i że podobne przypadki dokładnie opisywał już Freud...

– Cóż, ja jestem chirurgiem – w głosie Josepha pobrzmiwał sarkazm. – I nie czytałem Freuda. Ale nie sądzę, żeby ten Pohjola był wytworem chorego umysłu. Abraham Lewellyn nie jest paranoikiem w większym stopniu niż ty czy ja. Nie, to nie delirium, tylko manipulacja, przedstawienie. Jak możesz tego nie widzieć, John?

– Cóż, nie było cię tam – odparowałem.

– Boże, John, domy, które raz są tu, raz tam? I za każdym razem wyglądają inaczej? Opuszczone chatki, w których zniemacka zapala się światło? Chodzenie gęsiego „gdzie nas nogi poniosą”?

– Na tej wyspie dzieją się rzeczy niewytłumaczalne – powtórzyłem. – Wielu z nich sam byłeś świadkiem.

– Czyli Wade w końcu zdołał cię przekabacić... – Joseph uśmiechnął się ze znużeniem. – Stary stuknięty mistyk z Indiany...

– Myślę, że go nie rozumiałeś. Wade nie był mistykiem. Był wędrowcem, miłośnikiem natury, człowiekiem czynu.

– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? – spytał Joseph. – Naprawdę uważasz, że zniknął? Wszedł nocą do opuszczonej chatki i przepadł, pochłonięty przez czarną dziurę ziejącą we wnętrzu tej wyspy? Serio, z waszej opowieści wynika, że zawarł z Lewellynem jakieś porozumienie. Którego częścią, jak zakładam, było pozbycie się was dwojga. Nie, John, o Wade’a się nie martw, z pewnością siedzi teraz w tym miasteczku, o którym mówiliście, kołyszając się w bujanym fotelu i popijając zimne piwo.

– Sam nie wiesz, co gadasz – warknąłem. – Po co miałby zawierać porozumienie z Lewellynem?

– Tego nie wiemy, John. Może działał z myślą o nas wszystkich. Może uznał, że ma szansę zrobić coś dla wspólnego dobra. Nie osądzam go. Przynajmniej do czasu, aż się z nim znowu spotkamy. Wtedy się dowiemy, co dokładnie zrobił i czy zrobił to także dla nas, czy wyłącznie dla siebie.

Milczałem.

Żegnaj, bracie wietrze.

– Wiesz co? – zaczął znowu Joseph. – Jednym ze źródeł rozpaczki naukowców, czymś, z czym walczyliśmy przez całe życie, jest przejawiana przez

większość ludzkości obsesja na punkcie różnych zwidów i urojeń. Naukowe podejście do świata nie jest łatwe. Zrozumienie choćby najprostszego zjawiska wymaga wielu lat studiów, nie wspominając już o tym, że mnóstwo rzeczy nam umyka, bo rzeczywistość okazuje się niewiarygodnie wręcz skomplikowana. Niemniej to właśnie nauka stanowi najbardziej wiarygodne narzędzie, jakim dysponujemy.

Westchnął głęboko. Wyczuwałem w nim zmęczenie, które dobrze znałem. Zmęczenie wynikające z długotrwałych prób wytłumaczenia czegoś, z nieustannej obrony jakichś pozycji.

Przez chwilę milczeliśmy obaj.

– Josephie – powiedziałem. – Wade nie żyje.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem pewien.

– Nie możesz być pewien. Widziałeś jego zwłoki?

– Nie.

– Więc nie możesz być pewien.

– Zgoda, nie mogę.

– A jednak jesteś.

– Nie jestem już pewien niczego – przyznałem. – Ale w tej kwestii mam prawie pewność.

– Szlag – rzucił Joseph. – Kiedy to się skończy?

– Co?

– Nie wiem. To. To wszystko.

Siedzieliśmy we dwóch na skałach, patrząc na rozpościerającą się u naszych stóp dolinę. Jak dwaj spotykający się po latach przyjaciele. Jak dwaj starzy żołnierze, którzy opowiadają sobie o stoczonych walkach.

– Ciężko wam chyba we troje, co? – spytałem wtedy.

– Jak to?

– No, z Sophie i Leverkusnem.

– A tak, cóż... – zaśmiał się Joseph. – Nawet sobie nie wyobrażasz. Strasznie się przez ten czas kłócili.

– A ty i ona?

Joseph znów westchnął.

– Nie wiem, John – szepnął. – Nie wiem.

– Daj spokój, doktoru. Musicie się jakoś z tamtym uporać.

– Sypiała ze mną – rzekł Joseph. – Była żoną Arna, ale sypiała ze mną.

A potem przespała się też z tym koleśkiem, John. To jednak daje do myślenia.

– To były wyjątkowe okoliczności – przypomniałem. – Przecież wiesz, co zaszło i dlaczego. Przestań o tym myśleć. Zapomnij.

– Nie umiem przestać o tym myśleć – przyznał Joseph.

– To może zniszczyć wasz związek – zauważyłem. – Musisz to wymazać z pamięci. Teraz. Już. Raz na zawsze.

– Łatwo powiedzieć.

– Zaciśnij zęby – zaproponowałem. – Patrz w przyszłość, do diabła. Pamiętaj o tym – dodałem, wskazując swoją lewą nogę. – Skoro w skrajnie złych warunkach potrafiłeś uciąć komuś nogę tak, żeby przeżył, możesz też teraz dokonać swego rodzaju duchowej autoamputacji.

Joseph nie odpowiadał.

– Chodziło o chore dziecko, Joe. O trzynastolatka, który się dusił. Dzień po dniu, noc po nocy.

– Były inne sposoby – rzucił Joseph.

– Może właśnie nie było – zaproponowałem.

Tamtego popołudnia zobaczyłem, że odszedłszy na bok, rozmawiają. Siedzieli na skałach, tyłem do mnie. Potem Joseph objął Sophie w pasie, ona zaś oparła głowę na jego ramieniu.

W górach panował ziąb i nie było to wcale przyjemne. Na wybrzeżu wspominałem chłody z nostalgią. Teraz, trzęsąc się z zimna, z tą samą nostalgią wspominałem upały.

Postanawiam iść wyżej w góry

W związku z informacjami dostarczonymi przez Syrę następnego ranka większość naszej grupy postanowiła udać się w okolice Czarnej Kolumny, żeby spróbować odnaleźć obóz, w którym przetrzymywano maluchy. Syra oświadczyła, że wyprawi się tam wraz z wilkami, bo wilki lubią dzieci, a poza tym nie boją się kopalni ani Czarnej Kolumny. Oświadczyła, że z taką eskortą nikt nie waży się ich tknąć. Był to plan nieco szalony, owszem, jednakże jego wariactwo doskonale pasowało do istniejących warunków.

Chodziło o to, by odbić dzieci, wrócić z nimi do Osiedla Katastrofa i tam sformować oddział, który udałby się po osoby nadal przetrzymywane w Centrali.

Myślę, że Rosana poczuła się zdziwiona i zraniona faktem, iż postanowiłem im nie towarzyszyć. Joseph powiedział, żebym wracał na wybrzeże, bo i tak zrobiłem więcej, niż można było ode mnie oczekiwać. Tyle że ja nie zamierzałem wracać na wybrzeże.

Prawdę mówiąc, do tamtego poranka nie miałem jasności, co uczynię dalej. Zasadniczo planowałem wraz ze wszystkimi szukać dzieci. Jednakże wtedy, tamtego poranka, stało się coś, co sprawiło, że zmieniłem zdanie. Gdy się obudziłem i spojrzałem w górę, stwierdziłem, że chmury, zawsze dotąd skrywające stożek wulkanu, rozproszyły się, po raz pierwszy ukazując go moim oczom.

Kontemplacja potężnej góry to nieodmiennie wzniosłe przeżycie. Tak to przynajmniej wówczas odczuwałem, obserwując spektakl rozgrywający się na moich oczach. Najwyższe, liczące się szczyty, szczyty, *które żyją*, są zazwyczaj skryte przed naszymi oczami. Z doliny nie bardzo je widać. A potem nagle zasłona znika i możemy sięgnąć wzrokiem niebotycznych wyżyn.

Usiadłem na kamieniu, aby przypatrzeć się wulkanowi, i niespodziewanie doznałem głębokiego, przemożnego poczucia, że patrzę na siebie samego

w lustrze i zarazem, jak orzeł, widzę świat z góry. Nigdy nie uprawiałem wspinaczki ani nie fascynowałem się wysokościami. Urodzony w mieście położonym na środku rozległego płaskowyżu zawsze tęskniłem raczej do morza. Nie podzielałem pasji wielu moich kolegów, którzy z zamiłowaniem jeździli na nartach, zaliczali kolejne ścianki i oddawali się temu, co lata później zaczęto nazywać „trekkingiem”. Definiowałem się jako „człowiek dolin, nie szczytów”. Nie znosiłem zimna, śniegu, skalistych zboczy, odmrożeń, grubych kurtek, ciężkich butów, plecaków, potu i zmęczenia, które zamienia człowieka w dyszącego, niezdolnego do sensownej rozmowy barana, uwielbiałem za to wybrzeża, łąki i nadmorskie deptaki. Nic w moim życiu ani charakterze nie pchało mnie w góry i aż do tamtego poranka nigdy nie odczuwałem potrzeby wspięcia się na żadną z nich.

„Musisz się wspiąć na górę, John”. Pamiętałem oczywiście te słowa, wypowiedziane przez Wade’a na Łące. Pamiętałem też tamtą antylopę czy sarnę, czy kozicę, która przyzywała mnie kopytem w dniu mego nieszczęścia (jak w duchu nazywałem dzień, kiedy straciłem stopę).

Musisz się wspiąć na górę.

Po chwili podeszła do mnie Rosana. Powiedziała: wspaniały widok, prawda? Kiedyś musimy się wybrać na ten wulkan. Nie wydaje się, żeby to było specjalnie trudne. Wiedziałem, że ma pod tym względem duże doświadczenie, i spytałem, jak tam dotrzeć bez lin, haków i w ogóle sprzętu alpinistycznego. Nie, nie, rzuciła, ja się nie wspinam, nigdy tego nie robiłam. Ja po prostu chodzę po górach. Jest wiele szczytów, na które można się w ten sposób dostać. Alpinści wybierają najtrudniejszą trasę, a my – najłatwiejszą. Spytałem więc, ile jej zdaniem zajęłaby wyprawa tam i z powrotem. Dwa dni w jedną, dwa dni w drugą stronę, odparła. Może trzy. Trudno powiedzieć. Najpewniej trzy, chociaż nigdy nie wiadomo, ile przyjdzie człowiekowi nadłożyć drogi: zdarzają się przeszkody, które trzeba okrążyć. Zdarzają się też burze, ulewy czy wichury, które trzeba przeczekać. Wtedy oświadczyłem: ta góra to ja. Rosana uznała, że mówię w przenośni. Tyle że gdzie jak gdzie, ale na wyspie metafory nie działały. Rozumiem, powiedziała, ja też się tak często czuję w górach. Rzecz w tym, że nie lubię samej siebie i kiedy myślę: „Ta góra to ja”, chodzi mi o to, że kiedy na nią wejść, to tak jakbym ją zdobyła na zawsze. Ja też nie lubię siebie samego. I nie wiem, czy polubię tę górę. Prawdę mówiąc, boję się jej, ale czuję, że mnie wzywa. I czuję, że ona to ja. Nie znam jej, przeraża mnie, ale nią jestem. Dlatego teraz na nią wejść.

Rosana stwierdziła, że taka wyprawa w pojedynkę to lekkomyślność, że trzeba zabrać ze sobą żywność i wodę, że takie obciążenie jeszcze utrudni marsz i żebym kilka dni zaczekał, to przygotujemy się i pójdziemy razem. Jednakże ja nie chciałem towarzystwa. Oznajmiłem, że muszę to zrobić sam. Potem uściskaliśmy się na pożegnanie. Oboje płakaliśmy. Rosana ostrzegła mnie, żebym w razie czego po trzech dniach się wycofał, bo inaczej nie starczy mi zapasów na zejście, a ja odrzekłem, że dziękuję jej za troskę, ale że nic mi się nie stanie. A nawet gdybym nie wrócił, strata byłaby niewielka. Ot, trzeciorzędny kompozytor zginąłby w górach na wyspie pośród oceanu. Tego ostatniego nie powiedziałem na głos, lecz tak właśnie myślałem.

Jak gdyby dla zrównoważenia faktu, że wulkan stał całkowicie odsłonięty, w dolinach zalegała mgła. Ze spienionych fal tego białawego morza wyłaniały się porośnięte sosnami stoki. Pożegnawszy się z resztą grupy idącą na ratunek dzieciom, patrzyłem przez chwilę, jak moi towarzysze schodzą zielonym zboczem i powoli, jeden po drugim, zanurzają w gęstym oparze. Dziwnie było to obserwować. Rosana nie odwróciła się, by jeszcze na mnie spojrzeć. Syra, owszem, zrobiła to: uśmiechnęła się do mnie i pozdrowiła mnie uniesioną dłonią. Kiedy wszyscy znikli mi z oczu, złapałem za kostur i ruszyłem pod górę.

Moja wspinaczka na wulkan

Miałem ze sobą żywność na sześć dni oraz wodę na dwa, zakładałem bowiem, że po drodze napotkam liczne strumienie i będę mógł uzupełnić jej zapasy. Sophie podarowała mi szal z białej wełny, który zarzuciłem sobie na ramiona obciążone już plecakiem, Leverkusen wręczył mi scyzoryk, a Rosana przyniosła parę czystych skarpet i niemal pełne opakowanie plastrów – tak ważnych dla wędrowców o wiecznie poobcieranych i poodciskanych stopach.

Początkowo w ogóle nie czułem, że się wspinam; odnosiłem wrażenie, że po prostu pokonuję kolejne naturalne przeszkody: rzeki, wąwozy, bagna, stawy i skaliste zbocza. Zdumiewała mnie zwłaszcza mnogość występujących w tej okolicy stawów – intensywnie zielonych i rojących się od komarów, chrząszczy wodnych i szarych ważek. W miarę jak wchodziłem coraz wyżej, zmieniały się roślinność i powietrze. Teren stawał się coraz bardziej kamienisty. Trakt czy raczej wyżłobiony przez wodę jar, którym przez jakiś czas wędrowałem, a który w tych warunkach mógł uchodzić za drogę, biegł między ogromnymi czerwonymi głazami. Gdy je mijałem, zdało mi się nagle, że oto przekraczam bramę do innego świata – świata wulkanicznych skał, dawno zastygłych potoków lawy i tefrowych pustyń. Co do flory, wokół dominowały powykręcane krzewy pokryte szarymi porostami, jakich nigdy wcześniej na wyspie nie widziałem. Zauważyłem też dziwne drzewa, których monstrualne pnie kojarzyły mi się z baobabami. Pierwsze rośło na skalnej półce, stercząc jak cudaczny strażnik. Nie miało jednak gałęzi jak baobaby; zamiast nich wieńczyły je jakby macki zakończone prześlicznymi różowymi kwiatami, które chwytały światło słoneczne i pachniały (o czym przekonałem się później) mandarynką i różą. Było to adenium – roślina sprzedawana czasem w amerykańskich kwiaciarniach w formie bonsai. Te, które napotykałem teraz, miały ponad trzy metry wysokości i wyglądały jak prawdziwe drzewa.

Później szedłem korytem wyschniętej rzeki. Wiło się pośród skalnych ścian z masą cienistych jaskiń na dole. Tu i ówdzie rosły kolejne okazy adenium, wszystkie ukwiecone. Jaszczurki przemykały między kamieniami w tym samym co one miodowym kolorze. Słońce paliło, ale wiał chłodny wiatr i powietrze było czystsze niż na wybrzeżu czy w dżungli. Przyglądałem się mijanym jaskiniom, zdjęty nieprzyjemnym wrażeniem, że są zamieszkałe.

Wąwóz stopniowo się wypłaszczył, a ja stanąłem u stóp omiatanej wichrem stromizny zdającej się wieść ku wulkanowi. Przysiadłem na zaokrąglonym głazie, by odpocząć i coś przekąsić. Spomiędzy pumeksowych kamieni obok wychynęła zniecka ogromna czarna skolopendra o falujących odnóżach. Odskoczyłem instynktownie, bojąc się ukąszenia, lecz stwór pospiesznie się oddalił i znów przepadł za jakąś skałą. Wiedziałem, że skolopendry potrafią wstrzyknąć groźną w skutkach truciznę. Pełen wstrętu jąłem rozgarniać kosturem skalne odłamki wokół, jednakże, na szczęście, niczego niepokojącego nie znalazłem.

Teren falował. Po pewnym czasie dotarłem na płaskowyż usiany białymi, różowawymi i brązowymi kamieniami. Stożek wulkanu miałem ciągle przed sobą. Potem zszedłem trochę niżej i straciłem go z oczu, wspiąłem się na kolejne wypiętrzenie i znów się pokazał, i w kolejnym obniżeniu ponownie znikł, aż w końcu zacząłem wpadać w rozpacz, bo zdawało się to ciągnąć w nieskończoność. Tego popołudnia, gdy byłem już wycieńczony i gotów szukać miejsca na nocleg, znalazłem się nagle w bardzo ładnej kotlinie o wklęsłych ścianach, na których igrały fantazyjne, zielone i niebieskie refleksy rzucane przez wodę płynącego dołem strumienia. Na jego dnie falowały poruszane przez nurt glony. Wydawało mi się, że w tej ciemnej głębi widzę dziecięce twarze, które coś mówią, śmieją się i płaczą. Później niespodziewanie ujrzałem przepływającą między nimi rusałkę, ale nachyliwszy się pospiesznie, stwierdziłem, że to ogromna, ponadmetrowa ambystoma, której cętkowana, cielistą skórą przypominała źle wyprawioną skórę ssaka. Płaz nurkował między podwodnymi roślinami, szukając zapewne jaj owadów, larw i drobnych skorupiaków. Głowę miał nieproporcjonalnie wielką, ogon – długi i gruby i zdawał się wisieć ponad własnym, widocznym na dnie cieniem, zamknięty w świetle niebieskiego światła i szmaragdowego piasku, całkowicie nieświadom ludzkich problemów. Pozazdrościłem mu, a zaraz potem zacząłem się zastanawiać, czy nadaje się do jedzenia i czy byłbym w stanie go złapać. Kiedy jednak spróbowałem, machnął ogonem

i niby cień przepadł pośród glonów.

W tej wydłużonej kotlinie na skalnych półkach widziałem dużo prostych jak topole drzew o zielonożółtych liściach. Dostrzegłem też kilka aloesów i kolejne okazy kwitnącego adenium. Aloesy skojarzyły mi się z południem Hiszpanii, choć te rosnące tam były mniejsze, a grube liście miały bardziej powyginane i zaopatrzone w białe kolce. Tak czy owak zakątek okazał się naprawdę uroczy i w innych okolicznościach z przyjemnością urządziłbym w nim piknik, wzięwszy ze sobą przyjaciółkę, butelkę wina i tomik wierszy. Woda strumienia w niektórych miejscach rozlewała się szeroko i białe głazy sterczały z jej czarnego zwierciadła jak klejnoty. Topole o drobnych listkach przydawały otoczeniu tajemniczego, idyllicznego piękna. Brakowało tylko rycerzy i wybranek ich serca, smoków oraz jednorożców. Odblaski na wklęsłych skalnych ścianach były w ciągłym ruchu.

O zmierzchu skryłem się w jednej z jaskiń. Intensywny diastrofizm sprawiał, że okolica obfitowała w mniejsze lub większe groty i nisze, z których wiele wyściełał drobny piasek, w porównaniu z kamieniami miękkimi niby puchowy materac. Rozpaliłem małe ognisko, żeby się ogrzać i odstraszyć zwierzęta, zjadłem kolację, położyłem się i, mile zaskoczony, poczułem, że chce mi się spać. Nie pamiętałem już, od jak dawna nie zmrużyłem oka. Gdy tylko przymknąłem powieki, ujrzałem trzy białe jednorożce galopujące jeden za drugim pośród wysokich żółtych kwiatów i na sekundę przed tym, jak zasnąłem, zrozumiałem, że już śnię.

Obudziłem się tuż przed świtem, wyrwany ze snu przez śpiew ptaka. Po chwili go dostrzegłem – siedział na skale nieopodal, u stóp adenium, dziobiąc coś z ziemi. To był szpak, chyba popularny w tym rejonie. Potem zauważyłem kolejne. Średnich rozmiarów, miały jaskrawożółte dzioby oraz czarne pióra usiane białymi plamkami i jednocześnie połyskujące zielenią i fioletem. Pomyślałem, że mógłbym któregoś upolować, tyle że nie wiedziałem, jak się do tego zabrać.

Gdy wyszedłem z groty i spojrzałem w górę, stwierdziłem, że stożek wulkanu znowu tonie w chmurach. Nie miałem poczucia, jakobym się do niego choć minimalnie zbliżył, i zacząłem się zastanawiać, czy to nie jest aby jeszcze jedno dziwne zagranie ze strony wyspy: zwodzić mnie i zwodzić bez końca.

Ze wspinaniem się, powiedziałem sobie, jest jak ze wspomnianiem.

Człowiek wspina się nie ku przyszłości, lecz ku przeszłości.

Wspinaczka jest jak schodzenie.

Wspinać się to się pozbywać. Wspinać się to się wyrzekać.

To był drugi dzień mojej samotnej wyprawy, ale nie ulegało wątpliwości, że nie dotrę do celu ani dziś, ani pewnie nazajutrz. Moją kotlinę zamykała skalna ściana, wzdłuż której, żłobiąc kamień, spływał zakosami, a gdzieś opadał kaskadami strumień. Gdybym zawrócił, straciłbym mnóstwo czasu, dlatego postanowiłem spróbować wspiąć się w górę strumienia. W zielonkawych od porostów zagłębieniach stała ciepława woda rojąca się od kijanek. Kawałek wyżej natknąłem się na skalny gzyms obrosnięty pachnącymi aloesami i, nie bez trudności, wydostałem się po nim na grań.

Począwszy od tego miejsca, teren stał się tak nieprzewidywalny, że wciąż się wahałem, którądy najmniej nadłożę drogi, gdyż skalne ścieżki ciągle zwodziły mnie na manowce.

Dotarłem w okolice właściwie pozbawioną roślinności, wietrzną i zamieszkaną wyłącznie przez skolopendry i jaszczurki. Wszędzie dookoła widziałem fioletowawe fałdy gór i głębokie kaniony. Zdumiewała mnie mnogość i głębokość tych ostatnich. Zdawały się ciągnąć we wszystkie strony aż po horyzont, połśniewając na skalnych krawędziach i połyskując w dole wodnymi ciekami. Fruwało ponad nimi mnóstwo kruków – chociaż może nie były to wcale kruki, tylko jakieś większe ptaki, na przykład sępy.

Później znalazłem się w dolince wyżłobionej przez deszcze w miękkich skałach, gdzie znowu rosły pojedyncze aloesy, adenium oraz dziwne drzewo o wężlastym pniu i rozłożystej koronie grubych, zielonych liści. Stwierdziłem, że to smokowiec, drzewo smocze. Jego obecność na pacyficznej wyspie wielce mnie zaskoczyła. Uznałem, że to jakiś wybryk natury, albowiem smokowce kojarzyłem raczej z Wyspami Kanaryjskimi (i oczywiście z magicznym werniksem, którym Stradivarius pokrywał swoje skrzypce), niemniej wkrótce napotkałem kolejny, i jeszcze jeden, i po chwili wędrowałem już przez prawdziwy las dracen smoczyc.

Gatunki rosnących po drodze drzew i innych roślin nie przestawały mnie zresztą zadziwiać. Kiedy sądziłem, że tak wysoko nic więcej się nie utrzyma, pejzaż wzbogacał się o nowe, niespodziewane okazy. Oprócz smokowców i aloesów mijałem balsamowce, których liście były słodkie i gorzkie zarazem, a także dziwaczne krzaki, których kora przypominała mi łupiny cebuli i mocno pachniała kadzidłem. Nic dziwnego – chodziło bowiem o boswellię, gatunek kadzidłowca.

Kadzidłowce, balsamowce, smokowce, aloesy... Powietrze wokół przesycały silne wonie.

Z niektórych miejsc miałem rozległy widok na całą wyspę: labirynt gór, przez które się od dłuższego czasu przedzierałem, dalej, nisko, zielony płaszcz dżungli, wyraźną linię wschodniego, nieznanego nam w ogóle wybrzeża oraz bezkres oceanu.

Po lewej stronie otwierał się teraz widowiskowy, purpurowo-fioletowy kanion, być może najrozleglejszy i najgłębszy spośród tych, które dotąd widziałem. Jego dnem, dopasowując się do krętej linii potężnych zboczy, płynęła groszkowozielona rzeka, cienka i poskręcana jak naczynie krwionośne. Skalne ściany ku wschodowi zaciągały się już intrygującym cieniem, ku zachodowi zaś błyszczały jeszcze w słońcu. Pojedyncze chmury płynące po niebie odbijały się na dnie kanionu przemieszczającymi się plamami. Tu i ówdzie sterczały z niego ostańce podobne do stoliw z Monument Valley albo do wenezuelskich *tepui*, tylko znacznie delikatniejsze i niekiedy porośnięte na czubku zwisającymi w próżnię smokowcami, w których gniazdowały sępy. Patrząc na te zawieszane w powietrzu zielone wysepki podtrzymywane przez skalne iglice, czułem ściskanie w dołku, mieszaninę odrazy i rozkoszy. Wyobrażałem sobie, że tam mieszkam, na jednym z tych słupów, na kamiennej parceli wielkości pokoju albo może kortu tenisowego. Wyobrażałem sobie, jak by to było się stamtąd wychylić, rzucić się w dół i spadać, spadać przez ten nieprawdopodobny krajobraz, i w końcu rozbić się na dnie. Wyobrażałem sobie odległy, prawie niesłyszalny dźwięk, jaki wydałoby moje miażdżone siłą grawitacji ciało, i majestatyczną obojętność, z jaką ten świat kamienia, światła i mocy przyjąłby ów anonimowy skok w pustkę. Tylko ptaki pożywiłyby się na moich resztkach i w ten sposób, jako ciało i krew, powróciłbym na górę, na skalne iglice, do nieba.

Nastał wieczór. Znalazłem osłonięty od wiatru zakątek pośród smokowców i boswellii, przytulne zagłębienie w skale, idealne na nocleg. Rozpaliłem ognisko i zjadłem przypadającą na ten raz porcję żywności, a potem jeszcze jedną, ponieważ byłem wygłodniały.

Ulegam wypadkowi

Rankiem trzeciego dnia ujrzałem coś wspaniałego. Ocknąwszy się o świcie, zobaczyłem, że chmury zakrywające wulkan znowu się rozproszyły. Teraz wyraźnie widziałem zarys stożka i mogłem mieć pewność, że w jego wnętrzu znajduje się potężny krater.

Samobójcze myśli z dnia poprzedniego, fantazje o rzuceniu się w tysiącmetrową przepaść już mnie opuściły. Czuję się zadowolony i pełen energii. Chociaż ciało miałem obolałe, owszem. Lewa noga bardzo mi dokuczała, podobnie jak dół pleców. Prawa stopa cała była otarta i odparzona, co próbowałem leczyć za pomocą soku ze smokowca, przypomniałem sobie bowiem, że gdzieś czytałem, jakoby Arabowie i Rzymianie używali go do takich celów. Najpierw trochę szczypało, ale po jakichś pięciu minutach odczułem znaczną ulgę. Uznałem, że powinienem wziąć ze sobą jak największy zapas tej lepkiej leczniczej substancji, toteż pierwszą godzinę dnia spędziłem, nacinając otrzymanym od Leverkusna scyzorykiem korę rosnących nieco niżej drzew smoczyc.

Byłem akurat pochłonięty tym niecodziennym zajęciem, zbierając czerwony sok do jednej ze skorup kokosa, którymi czerpałem zwykle wodę ze strumieni, gdy zniemacka poczułem, jakby ktoś dźgnął mnie w prawą stopę nożem. Krzyknąłem i upuściłem skorupę z sokiem na ziemię. Odwróciłem się, by sprawdzić, co się stało, i dostrzegłem kryjącą się wśród kamieni skolopendrę, która chwilę wcześniej wstrzyknęła mi w piętę swój jad. Wrzasnąłem z wściekłości, że oto ucierpiała moja jedyna stopa. Ból był silny i w następnych godzinach miał się tylko potęgować. Posmarowałem nakłute miejsce sokiem smokowca, usiłując sobie wmawiać, że mi to pomaga, jednakże pięta zaczęła wkrótce puchnąć, co sprawiało, że kolejne próby smarowania stawały się coraz trudniejsze i bardziej bolesne.

Wróciłem do płytkiej groty, gdzie spędziłem noc, zebrałem swoje rzeczy

i ruszyłem w dalszą drogę. Odnosiłem wrażenie, że między pniami smokowców ktoś się porusza: ubrani w kwieciste stroje chłopcy i dziewczynki o twarzach pomalowanych na czarno i ustach – na różne kolory. Boże mój, czyżby jad skolopendry wywoływał u mnie halucynacje? Kiedy przypatrywałem się uważniej, dzieci znikwały.

Ból stawał się trudny do zniesienia, lecz wydawało mi się, że szczyt wulkanu jest już blisko i że w ciągu paru godzin dotrę wreszcie do krateru. Teraz ludzkie kształty i oblicza widziałem wszędzie dookoła: w zarysie skał, w pniach mijanych smokowców, w kruchej korze kadzidłowców, nawet w chmurach. Wielkie, smutne twarze spoglądały z góry, uśmiechając się do mnie melancholijnie lub płacząc. Inne marszczyły czoła i otwierały usta, by mnie ostrzec. Jeszcze inne mi złorzeczyły. Jakaś kobieta coś krzyczała. Jakiś chłopak dmuchał, nadymając policzki, jakby chciał popchnąć chmurę-karawelę przez złotawy nieboskłon. Czasem łapałem się na tym, że wpatruję się w swoją prawą dłoń, jakby widoczne na niej linie stanowiły mapę. Czasem miałem wrażenie, że widzę przez nią niby przez okular.

Zbocze było długie i strome. Mimo ostrego słońca wiał chłodny wiatr, ale ja z wysiłku i tak pociłem się jak potępieniec. Kostur bardzo mi się przydawał i zdawałem sobie sprawę, że bez niego na pewno nie zaszedłbym tak daleko. Wspierałem się na nim z zacięciem, niemal z furją. Zaczynałem podejrzewać, że wbrew wcześniejszym założeniom i tego dnia nie osiągnę celu, i sama myśl o porażce napełniała mnie wściekłością. Tyle że stopa bolała mnie coraz bardziej i każdy krok stawał się torturą. W całej prawej nodze łapały mnie skurcze. Od czasu do czasu przystawałem, by posmarować się sokiem smokowca, widziałem jednak, że pięta czerwienieje, i obawiałem się martwicy. Co bym wtedy począł – z jedną jedyną stopą, do tego ogarniętą gangreną? Czy nie rozsądniej byłoby od razu zawrócić? Jednakże moje postanowienie, że zdobędę szczyt wulkanu, okazywało się niezłomne. Niezłomne i samobójcze, powiecie zapewne. Niezłomne i głupie. Możliwe. Człowiek nie decyduje, kogo kocha i o kim śni, ale może niekiedy zdecydować o swojej śmierci.

W górach, jak w życiu, padamy ofiarą własnych decyzji. To, że wybierzemy ścieżkę po lewej stronie zamiast tej po prawej albo pójdziemy na skróty zamiast dookoła, sprawia, że natykamy się później na takie, a nie inne niebezpieczeństwa. Zwłaszcza jeśli całkowicie brak nam doświadczenia – tak jak brakowało go wówczas mnie.

Przez kilka godzin szedłem wąską skalną półką biegnącą wzdłuż przepaści. Nie bardzo wiem, jak się tam znalazłem ani dlaczego znalazłszy się tam, nie postanowiłem zawrócić i poszukać bezpieczniejszej trasy. Zaczęło się chyba od dość szerokiej i wygodnej ścieżki, która zdawała się okrążyć górę, stopniowo jednak stromizna rosła, a ścieżka się zwężała, aż zamieniła się w ową półkę o szerokości mniejszej niż pół metra, ciągnącą się środkiem niemal pionowej ściany, i to właśnie tamtędy wędrował wasz przyjaciel, mozolnie kuśtykając na swojej protezie, z kosturem i prawą stopą spuchniętą od jadu. Myślę, że przez cały czas powtarzałem sobie: jeśli sytuacja się pogorszy, to się wycofam, tyle że sytuacja pogarszała się nieustannie (musałem już badać drogę przed sobą kosturem, bo skały gdzieniegdzie odpadały od ściany), ja zaś mimo wszystko parłem przed siebie, zupełnie jakby odwrót stał się tymczasem niemożliwy. Zupełnie jakby zawroty głowy i strach przed śmiercią zamiast paraliżować, wprawiały mnie w rodzaj ekstazy.

Później zastanawiałem się, skąd w ogóle taka półka. Nie mogła być dziełem rąk ludzkich, nawet wykutym dawno temu, gdyż w tej opuszczonej okolicy z pewnością nigdy nie było większego ruchu. Ludzie bez wątpienia wybierali zawsze inne szlaki dla siebie i swoich zwierząt. Musiało zatem chodzić o formację naturalną, zapewne skutek erozji skał.

Wciąż zadawałem sobie pytanie, co będzie, jeśli napotkam przeszkodę nie do pokonania. Jakiś wewnętrzny głos powtarzał mi ciągle, bym się wycofał, bo inaczej się zabiję, ale siła, która kazała mi dojść aż tutaj, popychała mnie dalej. W końcu konieczne stało się to, czego się bardzo obawiałem: musiałem przyłgnąć plecami do ściany i przesuwać się bokiem, jako że na nic innego nie starczało miejsca.

Usiłowałem nie patrzeć w dół, ale zarazem mocno mnie to kusiło. Albowiem miejsce było przepiękne. Nawet strach nie mógł mi tego przysłonić. Znajdowałem się już ponad chmurami, które powoli sunęły przez otaczające mnie rozpadliny w kierunku północno-wschodnim.

Widać też było znaczną część wyspy. Zachwycało mnie, że leży pode mną – jeśli nie cała (bo wulkan, na który się wspinałem, zasłaniał mi stronę zachodnią), to w każdym razie w pełnej rozciągłości z północy na południe. Zachwycało mnie, że mogę objąć ją tak wzrokiem. Widziałem również ptaki drapieżne, które kołowały w dole na swoich potężnych, rozpostartych szeroko skrzydłach, wypatrując w dolinach ofiary, i myślałem sobie, że gdyby któryś

postanowił mnie zaatakować, jednym machnięciem strąciłby mnie w przepaść. W górze, jakby oderwana od niewidocznego teraz szczytu, pojawiła się biała chmura, płynąca powoli przez niebo niczym nenufar zdany na łaskę rzeczno-prądu. Nie poruszała się tak jak inne chmury, może dlatego, że wisiała dużo wyżej niż one. I tylko trochę wyżej niż ja. Wyglądało to tak, jakby odbywała nad wyspą lot rozpoznawczy. Zakręciła, okrążając górę, i wkrótce znikła mi z oczu za skalnym załomem.

Jej przesuwanie się nade mną, kołowanie ptaków w dole, ruch cieni innych chmur w dolinach, rwanie rzek ku równinom i morzu, powolne obracanie się planety... Wszystkie te poruszenia odbywały się jednocześnie i zarazem były od siebie nawzajem całkowicie niezależne. Jak głosy nieskładające się w żaden spójny chór. Heterofonia. Było w tym jakieś rozpaczliwe piękno. Dziwne piękno, którego zazwyczaj nie ośmielamy się zauważać; piękno tego, co wzięło się nie wiadomo skąd; piękno ogromu i obojętności rzeczy; piękno anonimowego bezkresu świata.

Sądzę, że nigdy wcześniej nie doznawałem samotności w tak dzikiej i czystej formie. Przypomniałem sobie, jak czuł się Robinson Crusoe, gdy po raz pierwszy zobaczył swoją wyspę z góry. Ogarnęło mnie zapamiętanie wspólne, jak myślę, samobójcom i świętym. Poczucie, że dotarłem do kresu – takie, jakiego w życiu nigdy doświadczamy, choć w głębi duszy go przecież pragniemy. Poczucie prawdziwości: że naprawdę żyjemy i naprawdę *jesteśmy*, tu i teraz, i w ogóle; że przeżywamy świat tak, jak powinniśmy; jak zawsze nam się wydawało, że powinniśmy. Ptaki i czas, świętowanie i pustka...

Tak, to wspaniałe wrażenie, że jest się żywym. Wreszcie! Możliwość powiedzenia: to ja, Juan Barbarín, jestem tutaj i żyję.

Wykrzyczałem to: że żyję i jak się nazywam i nic w otaczającym mnie rozległym krajobrazie się nie zmieniło. Świat przyjął ten mój krzyk pełni z łagodnym przyzwoleniem.

Przesuwałem się wzdłuż tamtej skalnej półki jeszcze długo, nie umiałbym powiedzieć jak długo dokładnie. Wydawało mi się, że trwało to całe godziny, lecz niewykluczone, że jedynie trzydzieści czy czterdzieści minut, ponieważ lęk zniekształca percepcję czasu. W końcu półka się rozszerzyła, mogłem już iść przodem, nie bokiem, i zrozumiałem, że najgorsze za mną: zdołałem pokonać ten niebezpieczny odcinek. Niemal pionowa ściana wreszcie się skończyła i znów znalazłem się na zboczu, po którym dało się normalnie wędrować. Upadłem na kolana, dziękując mocom, które mnie strzegły. Nie

wiem, komu właściwie dziękowałem. Nie pamiętam.

Wspinaczka po kamienistym, dosyć stromym stoku nie była wcale łatwa, lecz mnie, po tym, co przeżyłem, wydawała się spacerem wielkowiejską aleją.

Fioletowawe podłoże zaścielały fragmenty lawy, tefrowe łzy skamieniałe miliony lat wcześniej. Wyrzucone kiedyś w gwałtownej erupcji trwały na swoim miejscu i trwać tak miały przez kolejne miliony lat.

Dotarłem do jakiegoś grzbietu, skąd zobaczyłem doliny zachodniej części wyspy, mniej od tej strony rozległej. Na południu ukazał mi się spory półwysep, na którym, jak mi się zdawało, mieszkali w swojej Centrali *insiders*. Tak, ta biała plamka na wybrzeżu to musiało być Likkendala City.

Stok osuwał się tu gwałtownie ku formacjom skalnym, które określa się mianem „kominów”. I właśnie w tym miejscu to się stało. Zdarzało mi się już wcześniej skądś spadać, jednakże nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego. Chyba potknąłem się o kamień albo może zbyt śmiało postąpiłem do przodu. Nogi mnie zawiodły i oto leciałem w dół, niezdolny niczego się złapać, boleśnie obijając się o skały, staczając się po niemal pionowym zboczu, pociągając za sobą ziemię i głazy, wzbijając fioletowawy pył... Widziałem, że w dole otwiera się przepaść, i rozpaczliwie usiłowałem zahamować. Podziwiane przez mnie wcześniej z góry „kominy” były coraz bliżej, wyznaczając granicę co najmniej tysiącmetrowego spadku. Pomyślałem, że zaraz umrę, ale nadal próbowałem czegoś się uchwycić – bez skutku. W końcu wpadłem między te sterczące skały. Nie wiedziałem, jak się osłonić. Leciałem teraz nogami w dół, więc to one najbardziej ucierpiały. Poczułem mocne szarpnięcie i ujrzałem, że moja proteza oddzieliła się od kikuta i spada. To było tak, jak gdyby ktoś oderwał mi kawałek ciała – tyle że aż tak nie bolało. Proteza, obijając się o wszystko po drodze, wpadła między dwa „kominy” i znikła mi z oczu. W dookolnej ciszy słyszałem ją jeszcze, jak skacze po kamieniach. Nie wiedziałem, czy ostatecznie wylądowała daleko: może i nie, jednakże spuszczenie się po nią stanowiłoby w tych warunkach akt prawie samobójczy. Zresztą, najprawdopodobniej uległa uszkodzeniu. A zatem zostałem bez lewej nogi – kaleka zagubiony głęboko w górach.

Pospiesznie oceniłem swój stan. Plecak miałem na ramionach; zamortyzował zresztą część uderzeń. Wyrznąłem się jednak mocno w tyłek. Ręce miałem otarte do krwi, prawą nogę obolałą, kości wszakże całe. Spuchnięta pięta, wbrew moim obawom, też nie odniosła większych obrażeń. Podpierając się rękami, ostrożnie postawiłem prawą nogę na ziemi,

wyprężyłem tors i lekko wychyliłem się poza „kominy”, które zatrzymały mój upadek. Tak, ziała tam straszna przepaść. Proteza przepadła.

Obróciłem się, by popatrzeć na zbocze, z którego się stoczyłem. Mniej więcej stumetrowy odcinek pokrywały luźne kamienie, nie miałem więc pojęcia, jak dostanę się z powrotem na górę.

Wydałem okrzyk wściekłości. Kłąłem na czym świat stoi, po hiszpańsku i po angielsku, i znowu po hiszpańsku. Przeklinałem wyspę. Przeklinałem pana Pohjolę. Wołałem Wade’a. Nie dostałem odpowiedzi. Ponad moją głowę kołowały ptaki wypatrujące żeru. Wiatr świstał pośród skał. Prosiłem o pomoc niebo. I błękitnego olbrzyma Omé. I Boga. Nigdy w Niego nie wierzyłem, ale teraz wyzywałem Go od najgorszych, zupełnie jakby był realną, zdolną mnie usłyszeć istotą.

Później, ochrypli od krzyku, zdyszany i dygocący na całym ciele uznałem, że nie chcę, by w tym miejscu zaskoczyła mnie noc. Zebrałem się w sobie. Co ciekawe, wspinaczka po kamienistym zboczu okazała się łatwiejsza, niż się spodziewałem. Posuwałem się na czworakach, od czasu do czasu przypadając do ziemi, by nie zsunąć się zbyt daleko z powrotem. Za każdym razem traciłem w ten sposób najwyżej kilka metrów. I wciąż kłąłem, wymyślając coraz to nowe inwektywy. Czasem też trochę płakałem. Czasem śmiałem się tak histerycznie, że musiałem przeczekiwać te ataki, by dopiero potem ruszyć dalej pod górę, przeklinając wszystkich i wszystko: Pohjolę, Lewellyna, Marianne, pana Kunzego, olbrzyma Omé, wyspę, chmurę, Boga, Indie, Ryszikeś, Stany Zjednoczone, Pierre’a Bouleza, Theodora W. Adorna, kursy w Darmstadicie, muzykę serialną, tańce ludowe, orkiestry studenckie, Hiszpanię i każdą rzecz, której w życiu nienawidziłem.

Zdołałem dostać się na grzbiet już po zmroku. Mój kostur wciąż leżał w miejscu, gdzie się potknąłem. Chwyciłem go w ramiona jak starego przyjaciela. Ciągle na czworakach odsunąłem się kawałek od niebezpiecznej krawędzi stoku, po czym z trudem wstałem, wspierając się na kosturze i prawej nodze. Stopa bolała mnie tak, że cały drżałem.

Byłem wycieńczony i obolały, lecz musiałem znaleźć jakieś schronienie. Powoli przedzierałem się między skałami. Zapachniało wodą, kadzidłowcami i trawą. W niemal całkowitej ciemności dostrzegłem migotanie niewielkiego jeziorka. Zdziwiłem się, że na takiej wysokości i tak blisko (jak mi się wydawało) czubka wulkanu utworzył się podobny zbiornik wodny. Przez chwilę sądziłem, że to zastała deszczówka. Ale nie – jeziorko wydawało się

czyste. Wokół zalegały płaskie kamienie. Były jeszcze ciepłe od słońca. Ukląkłem na brzegu, napełniłem butelki i chciwie piłem zimną wodę o mineralnym posmaku. Następnie odszedłem kawałek, wyciągnąłem się na trawie i raz jeszcze posmarowałem ukąszoną piętę żywicą smokowca. Coraz bardziej gęstniała i zakładałem, że nazajutrz nie nada się już do użycia. Ból nie słabł, obrzęk się zwiększał. Czułem, że jad skolopendry krąży w moim ciele wraz z krwią, sięga serca i mózgu, atakuje układ nerwowy. Nie wierzyłem, by mógł mnie zabić, po tylu godzinach nawet paraliż nie wydawał się możliwy, niemniej co jakiś czas chwytaly mnie drgawki i coraz mocniej dygotałem od gorączki. Poza tym było zimno. Bałem się tak bardzo, że rozważałem, czy się nie pomodlić. Tylko do kogo?

Skuliłem się na ziemi, okryłem, na ile się dało, szalem i mimo wszystko natychmiast zasnąłem. Przez całą noc śniłem o Cristinie i o białych koniach oraz jeleniach, które wchodziły do wielkiego domu bez drzwi i zaraz z niego wychodziły.

Kapłanki

Następnego ranka obudził mnie odległy śpiew. Żeńskie głosy wykonywały pieśń, która przypominała kościelną. Zdaje się, że przez dłuższą chwilę słuchałem jej, trwając w półśnie i nie całkiem rozumiejąc, jakie to dziwne – słyszeć coś takiego – w okolicznościach, w których się znajdowałem. Potem nagle otworzyłem oczy i odzyskałem świadomość, ale głosy nie umilkły.

Dokoła rosły czerwonawe paprocie, błyszczące teraz od rosy. W górze wisiało błękitne niebo. Po lewej leżał okrągły kamień. Było mi zimno, bolały mnie kości i rany z poprzedniego wieczoru. Instynktownie sięgnąłem po protezę nogi i wtedy przypomniałem sobie, że już jej nie mam. Moja prawa stopa nadal była mocno spuchnięta i nie wyglądała dobrze. Zaczerwienienie się rozlewało, przywodząc na myśl gangrenę, choć liczyłem, że tym razem do niej nie dojdzie. Usiadłem i zacząłem głęboko oddychać, by w ten sposób opanować strach. Potem, wspierając się na okrągłym kamieniu, wstałem. Jeziorko, z którego piłem wczoraj, znajdowało się jakieś trzydzieści metrów niżej: w owalu obrzeżonej płaskimi skałami wody odbijało się niebo. Dalej, za grzbietem, czaiła się mgła. A raczej, jak szybko pojąłem, jedna z chmur wiecznie zasłaniających szczyt góry.

Głosy dobiegały do mnie coraz wyraźniej. Śpiewały coś, co przywodziło mi na myśl *Ordo Virtutum* Hildegardy von Bingen. Zamarłem w oczekiwaniu, ostrożnie wychyliwszy się spośród paproci. Po chwili zza skał za jeziorkiem wyrzała czyjaś głowa, a za nią kolejna, i jeszcze jedna, i jeszcze... Śpiewające kobiety nadchodziły gęsiego, ubrane w ciemnobrązowe tuniki ściągnięte w talii sznurem lub skórzanym pasem. Niektóre były blondynkami, inne szatynkami lub brunetkami, i niemal wszystkie – poza dwiema czy trzema – wydawały się białe. Część miała włosy krótkie, część – długie. Niosły na plecach coś na wpół przysłoniętego włosami i fałdami ubrania. Początkowo sądziłem, że to małe skórzane plecaki. W miarę, jak jedna za drugą wyłaniały

się zza skał, kolejno je liczyłem. Doliczyłem się dwunastu.

Zeszły nad jeziorko, gdzie przestały śpiewać, a zaczęły się rozbierać. Prawie wszystkie nosiły mokasyny lub sandały, choć trafiło się też kilka par adidasów. Zdjęły buty i złożyły na ziemi to, co dźwigały na plecach, po czym rozwiązały sznury i rozpięły pasy, by ściągnąć tuniki przez głowę. Pod spodem były całkiem nagie i mogłem teraz stwierdzić, że są w różnym wieku, pewnie między dwudziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, chociaż większość musiała mieć około trzydziestki. Te dwanaście nagich ciał bardzo się między sobą różniło: niektóre okazały się smukłe i pociągające, inne dojrzałe i obfite, mocne i posągowe, okrągłe i zmysłowe, jasne, ciemne, owłosione i gładkie, wszystkie jednak wydały mi się pełne godności i ponadczasowego piękna, jakie zwykliśmy kojarzyć z antycznymi posągami i scenami z udziałem nimf oraz bogów. Twarzy prawie nie dostrzegłem, gdyż rozebrawszy się, kobiety natychmiast zasłoniły je tym, co wcześniej niosły na plecach, czyli ni mniej, ni więcej tylko wielkimi drewnianymi maskami Wamanich, ozdobionymi masą muszelek, rogów, sierści i piór i naśladowującymi pyski monstrualnych zwierząt. Potem przywódczyni, której różowe, szczupłe ciało obserwowałem z podziwem i chyba ze zdumieniem, znowu zaintonowała pieśń, po czym wraz z towarzyszkami weszła do wody po pas. Teraz tylko ona śpiewała, one zaś zanurzały dłonie w wodzie, by podnosić je kolejno do czoła, szyi, piersi i brzucha, oddając się najwyraźniej rytualnej kąpieli.

Salome.

Zrozumiałem, że to, co widzę, jest jeszcze jednym z fundowanych nam przez wyspę przedstawień.

Snem hrabiego Balázsa.

Snem pana Pohjoli.

„Dla niego cała materia świata to substancja, jego snu”, powiedział swego czasu Abraham Lewellyn.

„Pan Pohjola tworzy takie widowiska”, powiedział.

Cały świat jest jego snem.

Znowu poczułem się oszukany. Czyżbym był jedyną realną osobą na tej wyspie zjaw i fantasmagorii? Czy również stanowiłem element snu pana Pohjoli, tak jak twierdził Wade podczas naszego ostatniego spotkania? Pomyślałem, że kto wie, czy opowieści o szaleństwie dopadającym ludzi wewnątrz wyspy nie były prawdziwe, i że wizja tych nagich kobiet może stanowić po prostu objaw utraty zmysłów.

Miałem ochotę wrzeszczeć z rozpacz i wściekłości. Może nawet wrzasnąłem, nie wiem. Śpiewająca kobieta nagle umilkła, a jedenaście jej towarzyszek zwróciło maski w moją stronę. Usłyszały mnie, może i zobaczyły. Nie było sensu dalej się chować, więc postanowiłem stawić czoło tym wytworom własnej wyobraźni. Wyprostowałem się z trudem i, podpierając się kosturem, ruszyłem ku jeziorku. Zaraz jednak przystanąłem. Przez dłuższą chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami, niemal bez ruchu. Któraś z kobiet zasłoniła piersi przedramieniem, jak to czynią wyrzeźbione w marmurze nimfy. Inne stały z rękami zwieszonymi wzdłuż boków. Salome ani drgnęła.

Znów ruszyłem przed siebie. Utrzymanie równowagi bez protezy dużo mnie kosztowało i jakieś dziesięć metrów od brzegu jeziorka przewróciłem się w trawę. Leżałem tam, podparty na łokciu, i przypatrywałem się kobietom. Wydawało się strasznie dziwne, że są całkiem nagie, twarze zaś zasłaniają tymi pierzastymi, futrzastymi i rogatymi maskami. Efekt był brutalny, przerażający. Człowiek nie przypomina człowieka, jeśli nie widać jego twarzy.

– Kim jesteście? – spytałem. – Czego ode mnie chcecie? Dobrze wiem, że mi się śnicie. Może dałybyście mi coś onirycznego do zjedzenia? A może i ja mam stać się snem? Czy po to trafiłem na tę wyspę? Żeby zamienić się w sen i żyć takim nierealnym życiem do końca świata?

Wciąż na mnie patrzyły, sparaliżowane zaskoczeniem. Wtedy ze strachem pomyślałem, że popełniam nieostrożność, gdyż one są bez wątpienia całkiem rzeczywiste, ba, prawdopodobnie stanowią kolejną grupkę zamieszkujących wyspę szaleńców, niewykluczone wręcz, że tak samo jak partyzanci zwariowały w wyniku któregoś z eksperymentów prowadzonych na wyspie przez SIAR. Wyobraziłem sobie, że to zdziczałe mniszki, skalne jędze, które nienawidzą mężczyzn i złapią mnie teraz, i zrobią ze mnie kozła ofiarnego, tak jak inni powodowane jakimiś obsesjami albo obłąkańczymi prawami, narzucanymi samym sobie. Było już jednak za późno na ucieczkę, zresztą jakie szanse wobec ich przewagi liczebnej miałem ja – biedny inwalida u kresu sił?

Kobieta, która śpiewała i którą brałem za Salome ze snów hrabiego Balázsa, postąpiła ku brzegowi jeziorka, powoli krocząc przez wodę. Wyszła na trawę, nie próbując się zakrywać, i zbliżyła się do mnie, przyglądając mi się przez szpary w dzikiej masce z wyraźną fascynacją. Następnie uklękła tuż obok.

– Juanie Barbarín – powiedziała po hiszpańsku. – Jaki ty jesteś chudy!

I zdjęła maskę, i zobaczyłem jej twarz. Jej twarz – niezmierną jak powierzchnia Słońca. Jej twarz, przez którą zdawały się prześwitywać sceny z innego życia. W brązowych oczach błyszczało głębokie współczucie. Usta wykrzywił grymas bólu, jakby miała się zaraz rozpłakać. I rzeczywiście, po chwili na jej policzkach załśniły łzy.

– To naprawdę ty? – spytałem ochryple, z trudem wymawiając słowa. – Nie jesteś snem?

– Nie, nie jestem snem – odrzekła, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– To niemożliwe – powiedziałem. – To nie możesz być ty.

– Nie jestem snem. Sam sprawdź. – Ujęła moją prawą dłoń i podniosła ku swojej lewej piersi. – Czujesz, jak bije mi serce?

– Tak.

Potem przyłożyła moją dłoń do swoich ust. Patrzyłem na jej ręce. Nie były takie same. To znaczy – były takie same, lecz mnie wydawały się inne. Lata zmieniły je tak jak całą resztę jej ciała i po raz pierwszy Cristina nie wyglądała w moich oczach jak dziewczynka. To, co w niej z dziewczynki zostało, po prostu przydawało jej oczom i rysom delikatności, która głęboko mnie wzruszała. Dojrzałość jej służyła: nie była, jak u innych kobiet, zaczątkiem jej końca – właśnie dzięki tej dziewczęcej aurze, która nigdy, nawet w pomarszczonej starości, nie miała jej w pełni opuścić.

– Cristino – powtórzyłem. – To naprawdę ty?

– Tak, to ja – odparła.

– Cristino Villar, moja Cristino, co ty tu robisz?

– To ja, Juanie Barbarín, to ja.

– Nie jesteś majakiem? Nie jesteś snem?

– Nie, nie jestem snem. – Zaśmiała się znowu. – Jestem kobietą z krwi i kości. Jestem prawdziwa.

Spoglądała na mnie ze smutkiem i współczuciem, które mnie przerażały. Do oczu ciągle napływały jej łzy.

– Skąd się tutaj wzięłaś? – spytała.

– To długa historia – odparłem drżącym głosem.

– Jesteś sam? – pytała dalej. Jej towarzyski zbliżyły się do nas, patrząc na mnie ze strachem i rozglądając się wokół tak, jakby obawiały się ataku lub zasadzki.

– Tak, jestem sam – potwierdziłem. – Wspiałem się tutaj w pojedynkę.

– I nikogo z tobą nie ma?

– Nie, nie ma nikogo.

– Boże święty! Juanie Barbarín! – szepnęła, zerkając na kikut mojej lewej nogi. – Boże...

– Miałem drewnianą protezę – powiedziałem. – Zgubiłem ją po drodze. Pomóż mi, Cristino. Potrzebuję pomocy.

Teraz i mnie łzy płynęły po policzkach, a szlochałem tak gwałtownie, że nie byłem w stanie dźwignąć się z ziemi. Cristina włożyła tunikę, po czym znów przy mnie uklękła i przytuliła do piersi moją głowę. Uspokajała mnie głosem łagodnym jak szum strumienia płynącego pod wierzbami. Mówiła, a jej słowa zdawały się wybrzmiewać gdzieś poza czasem. Były jak dzieci biegające na golasa wśród rozgrzanych przez słońce zarośli. Jak dziewczęta z kwiatami we włosach i egzotycznymi ptakami na ramionach. Jak odbite w wodzie jabłka. Jak krople deszczu spadające na powierzchnię kałuży w jakimś odległym, cichym miejscu.

Dawny deszcz w Madrycie, uderzający o szare chodnikowe płyty.

Trawa na opuszczonych działkach.

Spalony samochód na jednej z nich.

Stokrotki. Maki. Zapach mokrej ziemi po wiosennej burzy.

Trixie, chodź tutaj, Trixie!

Gdzie się podział wasz piesek?

Jaki piesek?

Wasz piesek. Gdzie on się podział?

Trixie to nie piesek. To kapibara.

Dawne głosy rozbrzmiewające na granicy snu.

Deszcz w Madrycie.

Dzieciństwo w Madrycie.

Musisz się różnych rzeczy stopniowo uczyć. Nie ma sensu tak się rzucać.

Juanie Barbarín, siedź spokojnie!

No, chodźcie już! Kolacja gotowa.

Nie wolno zaglądać do jaskini. Mogą się tam czaić jakieś zwierzęta. To niebezpieczne.

On nie żyje! On nie żyje!

Mamo!

Mamo!

Cristino!

To tylko sen. Nic więcej.

Boże mój, Boże mój, Boże.

To tylko sen.

Jest ich wiele, zbyt wiele. Nikt nie dałby im rady.

Spokojnie, spokojnie. Po kolei. Pojedynczo. Powolutku.

Nie dam rady. Nie umiem. Nie dam rady.

Ale znowu z dołu, a teraz z góry. Wszyscy, wszyscy razem, z całych sił.

Teraz! Teraz!

Juanie Barbarín!

Nie zostawiaj rzeczy na zewnątrz. Nie widzisz, że każdy może je stamtąd zabrać?

Mogę cię tu pocałować?

Pocałuj mnie, gdzie chcesz.

Chcę cię całować wszędzie.

Możesz mnie całować, gdzie chcesz.

Padało przez cały weekend, a w poniedziałek znów wyszło słońce.

Pijesz tylko colę?

No dobra, to jedno piwo.

Kto mówi: jedno, mówi: dwa.

Zimno ci?

Mnie zawsze zimno. Zobacz, jakie mam ręce. Zobacz, jakie mam stopy.

Zawsze zimne.

Dlaczego?

Juanie Barbarín, znowu to zrobiłeś!

Zawsze to samo. Zawsze to samo, raz za razem.

To jakieś szaleństwo. Naprawdę. Zwyczajnie tego nie rozumiem.

Ja też nie. Przecież to absurd.

Kompletny absurd.

Kompletny.

Ale im wszystko jedno.

Uważaj przy przechodzeniu. Zawsze sprawdzaj, czy nic nie jedzie.

Patrz w lewo i w prawo, po dwa razy.

Tak, mam, tak.

W lewo i w prawo.

Tak, tak, przecież wiem.

Mamy Kwiecień.

Już Kwiecień? Coś takiego!

Jak ten czas leci, prawda?

Kiedyś Walencja wydawała się bardzo odległa. Taka egzotyczna: inny klimat, inne zapachy, inne jedzenie. Wyprawa do Walencji była prawie jak wyjazd za granicę.

Zapach kwiatów pomarańczy!

I jaśminów! Szczególnie wieczorami.

Tu się nie da spać.

Mamo, ugryzł mnie komar.

Swędzi?

Tak, bardzo. Posmaruj mi maścią.

Czasem tak było: dziwnie i nerwowo, ale później się pakowaliśmy, wyjeżdżaliśmy do innego miasta i wszystko zaczynało się od nowa.

Pełno tu wody! Całą noc padało!

Wyjdźcie stąd. Tu na pewno są szczury. Wyjdźcie stąd.

Ta kobieta oszalała. Stoi na środku ulicy i krzyczy. Ktoś powinien po nią pójść. Jeszcze przejedzie ją autobus. To niebezpieczne.

Zjawili się nocą. Wzięli nas z zaskoczenia.

Jeszcze raz. Ale uwaga na ligatury.

To jest w tonacji G-dur.

Moim ulubionym kompozytorem jest Mozart.

Moim – Brahms.

Brahms był Niemcem.

Wariatka. Coś ją przejedzie. Upiła się. Jest pijana.

To się więcej nie powtórzy.

Chodź, chodź ze mną do łóżka.

Nie, nie, to się więcej nie powtórzy.

Pragnę cię. Pragnę cię do szaleństwa.

Grasz w innej tonacji.

Uwaga na ligatury. Uwaga! Nie skupiasz się.

Mogę cię pocałować?

Nie prosi się o pozwolenie na pocałunek.

Nie?

Nie, po prostu się całuje.

A jeśli dziewczyna nie chce?

Wtedy dostaniesz w twarz.

To nie lepiej najpierw zapytać?

Nie.

Pada.

Już pada?

Tak.

Oj, ubrania!

Są na dworze?

Tak, wszystkie.

Dobranoc paniom, dobranoc wszystkim.

Dobranoc, dobranoc.

Wracajcie szybko.

Do widzenia!

Otwórz parasol.

Już, już.

Co za niecierpliwość!

Uniwersytet

Jej twarz nade mną. Nieogarniona twarz, nieogarnione myśli. Nieogarnione oczy, nieogarnione usta...

Juanie Barbarín. Pamięć wszystko tworzy, pamięć wszystko niszczy. Jesteśmy efektami działań pamięci. Ofiarami jej katastrof. Fantasmagoriami wyobraźni bogów.

Salome, zdradź mi sekret tego wszystkiego.

Tak, zaraz ci zdradzę. Sekret tkwi w chmurze i w tym, co się pod nią kryje.

Rozumiem. Górą jestem ja...

Tak, górą jesteś ty, a chmurą...

Górą jestem ja, a chmurą ty.

Ty i ja jesteśmy tym samym: odpryskami...

Odpryskami wyobraźni bogów.

Kiedyś, pewnego dnia, oboje zaczęliśmy nagle widzieć się nawzajem jako własne przekształcone odbicia. Nie widzieliśmy już tego drugiego, tylko samych siebie w tym drugim. Nie żebyśmy widzieli w nim dokładnie siebie samego – raczej widząc jego, myśleliśmy, że widzimy siebie. Właśnie wtedy zaczął się sezon miłości. Nastało jej apogeum.

Salome, Salome...

Jestem tutaj.

Gdzie?

Tu, za tobą.

Nie widzę cię.

Tu, pod tobą. Nad tobą. Wokół ciebie.

Czemu cię nie widzę?

Nie widzisz blasku? Blasku nad sobą?

Na szybie?

Tak, blasku na szybie. Ślizgającego się blasku.

Tak, tak, widzę. Błyszczące krople. Woda. To deszcz.

Nie, to nie deszcz.

Nie? A co?

To ja.

Ty jesteś deszczem?

Boję się otworzyć oczy.

Otwieram je powoli. Jestem sam w górach, sam pośród skał. Umieram z wyczerpania, głodu, pragnienia. Moja świadomość migocze, powraca i znów zanika. Jestem jak dogasający żar.

Żar w wyobraźni bogów.

Nie martw się, jestem z tobą.

Kim jesteś? Cristina...?

Cristina nie żyje.

Nie wierzę ci.

Tak, umarła trzy lata temu.

To niemożliwe, przed chwilą ją widziałem. Jest tutaj. Przed chwilą była.

Cristina nie żyje. Umarła przez ciebie. Umarła, myśląc o tobie.

Nie, to nieprawda. Zapomniała o mnie, zamknęła ten rozdział. Ułożyła sobie życie, poznała innego mężczyznę.

Jesteśmy jedynie fragmentami, fragmentami snów, cieniami fragmentów...

Otwieram oczy. Znajduję się małym pokoju o pobielonych ścianach, w łóżku, przykryty kolorową narzutą w peruwiańskim stylu. W ścianie jest kwadratowe okienko, przez które wpada słoneczne światło. Odnoszę wrażenie, że to światło zmierzchu, ale w takim razie – co się stało z resztą dnia? Wyparował? I przede wszystkim: kiedy zasnąłem? I wtedy sobie przypominam. Przypominam sobie, jak Cristina – jeśli to była Cristina – oraz inne kobiety przyniosły mnie tutaj. Długi tunel w skalnej ścianie, jego wylot, widok krateru, mężczyźni z brezentowymi noszami, białe budynki pośród sosen, zbocza krateru porośnięte drzewami iglastymi. Wydaje mi się, że dali mi coś do picia: gorący napar. Pewnie z jakichś uspokajających ziół, może nawet z dodatkiem środka nasennego.

Mam na sobie bawełnianą piżamę. Moja prawa stopa jest zabandażowana, czuję też, że ładnie pachnę: lawendowym mydłem. Wykąpali mnie, opatrzyli, ubrali w piżamę i położyli do łóżka, żebym odpoczął. Nie wiem, która godzina ani jak długo spałem.

Pokój jest bardzo skromny. Podłogę pokrywają nieregularne płytki

z terakoty. Wzdłuż sufitu biegną drewniane belki. Przy łóżku widzę drewniany, pomalowany na jasnozielono stolik, na którym stoi szklany wazon z kilkoma różowymi kwiatami adenium. W głębi dostrzegam skrzynię z sosnowego drewna – wyszlifowanego, lecz niepokrytego lakierem. Na ścianie, koło okienka wpuszczającego wieczorne słońce, wisi małe okrągłe lustro w mosiężnej ramie. Mój kostur leży przy łóżku, na ziemi. Obok ktoś umieścił trzy małe kwiaty, jakby chodziło o świętość.

Kiedy wstaję, podpierając się kosturem, uświadamiam sobie, jak zmęczony i obolały w gruncie rzeczy jestem. Kieruję się ku skrzyni, klękam na podłodze i unoszę wieko. W środku znajduję czyste, wyprasowane ubrania. Bawełnianą, chyba ręcznie szytą bieliznę, bawełniane, niebarwione spodnie w stylu ibizańskim, wiązane na pasek z tego samego materiału, długą jedwabną niebieską koszulę z pomarańczowymi guziczkami z masy perłowej oraz mój biały szal wyprany i starannie złożony. Nieopodal stoją skórzane sandały. Przymierzam nowy strój i wszystko pasuje. Nie widzę nigdzie starych ubrań. Ponieważ były naprawdę stare, porwane i brudne, pewnie je wyrzucono.

Ponownie biorę do ręki kostur i kuśtykając, wychodzę z pokoju. Wzdłuż korytarza o terakotowej posadzce ciągnie się szereg podobnych do siebie drewnianych drzwi. Gdzie jestem? W jakimś klasztorze? W gompie? Kawałek dalej po lewej stronie otwiera się łukowate wyjście na zewnątrz. Mozolnie zmierzam w tamtą stronę i widzę pokryty terakotowymi płytkami taras, balustradę z pożółkłego od starości kamienia oraz glinianą donicę z bugenwillą, której gałęzie o wspaniałych różowych kwiatach oplatają balustradę. Dalej widać niebo, a na nim – dwie chmury, ogromne jak wieloryby. Na ich tle sterczą palma daktylowa i dwa gigantyczne cyprysy. Gdy w końcu wychodzę na zewnątrz, stwierdzam, że taras ciągnie się wzdłuż całej fasady budynku i pozwala kontemplować otwierający się u moich stóp krater wulkanu. Spokojny, zielony pejzaż nie jest typowy dla tropików, jak na wybrzeżu. Ma w sobie coś śródziemnomorskiego.

Ten wielki, zielony krater otaczają potężne skalne ściany. Nie pojmuję, jak może istnieć coś tak ogromnego. To jakby osobny świat – z własnymi krainami, własnymi chmurami i cieniami chmur. Zastanawiam się nad średnicą krateru. Dziesięć, piętnaście kilometrów? Niemożliwe. A jednak oczy mnie nie zwodzą.

W pejzażu dominują wspinające się po zboczach majestatyczne iglaste lasy i spadziste górskie łąki, na których pasą się małe białe zwierzęta – tak

daleko, że nie rozróżniam, czy to krowy czy owce. Nad wszystkim górują mniej więcej czterystumetrowe, pozbawione roślinności, fioletowawe skały. Niemal pionowe, czynią z kotliny właściwie niezdobytą fortecę. Tunel, którym się tu dostaliśmy, można z łatwością zatopić albo inaczej zablokować. Zadaje sobie pytanie, czy mieszkańcy reszty wyspy wiedzą o tym żyznym, spokojnym zakątku.

Dno krateru zajmuje rozległa równina podzielona na działki rolne; tylko gdzieś tam trafiają się nieużytki lub zagajniki. Na niebie wisi kilka chmur, rzucających na pola plackowate, głębokie cienie. Pośród upraw wychwytyję intensywną zielen kukurydzy, złocistość pszenicy i połączoną miedź żyta. Kilka pofałdowanych wzniesień porasta chyba winorośl. Tu i ówdzie – przy drodze lub pośród zboża – rośnie wyrwana z kontekstu palma, samotna i wspianiała. Zdarzają się również obszary podmokłe i – jeśli wzrok mnie nie myli – między polami wije się rzeka obrosnięta bujnymi drzewami przypominającymi drzewa chlebowca. W środku odwróconego stożka krateru leży duże jezioro o nieregularnych brzegach, błyszczące jak lustro. Dalej położone miejsca trudno dojrzeć.

Budynek, gdzie się znajduję, wzniesiono dosyć wysoko na północnym zboczu krateru, w sosnowo-jodłowym lesie. Wśród drzew dostrzegam również inne konstrukcje, rozrzucone na różnych wysokościach. Stylem w większości przypominają tybetańskie świątynie – wspinające się po stoku i połączone tarasami, rampami i schodkami. Razem tworzą coś w rodzaju małego miasteczka. Jednakże ich styl nie jest jednorodny. Obok charakterystycznej tybetańskiej stolarki zauważam również elementy greckie: spomiędzy gąszczu azalii wyłaniają się białe posągi albo wręcz niewielkie amfiteatry, wśród sosen mającą jońskie kolumny.

– Bracie – mówi jakiś głos za moimi plecami.

Zwraca się do mnie wysoka jasnowłosa dziewczyna, ubrana w kremową tunikę, której fałdy ledwie zakrywają piersi, brzuch i uda. Przypomina hożą starożytną boginię.

– Salome chce się z tobą widzieć – mówi po angielsku, z delikatnym skandynawskim akcentem. – Chodź ze mną, proszę.

– John Barbarin – przedstawiam się, żeby przypadkiem nie nazywała mnie więcej „bratem”.

– Tulla Sjöstrom.

– Tulla. Jesteś Norweżką?

- Tak.
- Co to za miejsce?
- Słucham? – rzuca zdezorientowana.
- Gdzie my jesteśmy? Co to jest? Klasztor?
- To Uniwersytet – odpowiada Tulla. – Biały Uniwersytet.
- Biały Uniwersytet? Tak się to miejsce nazywa?
- Tak.
- Ale to nie jest prawdziwy uniwersytet.
- Owszem, prawdziwy – protestuje dziewczyna.
- Chciałbym porozmawiać z Cristiną – mówię. – Z Cristiną Villar?

Z Christine?

- Nie znam nikogo o takim imieniu.
- To ona mnie znalazła. Ona mnie tu przyniosła. Tym tunelem.
- Znalazła cię Salome – poprawia mnie Tulla.
- Salome?
- Chodź ze mną, a sam będziesz mógł ją o wszystko spytać. Salome już czeka.

Idziemy więc, pokonujemy schody i tarasy, mijamy kolejne budynki. Czuję się słaby i straszliwie zmęczony. Odwykłem od poruszania się bez protezy. Niektóre zabudowania wyglądają na opuszczone: roślinność wdziera się do ich wnętrza. Na jakichś zawilgoconych, żółtawych od porostów schodkach widzę ciężarną, postrzyżoną kozę, która zajadle wygryza spomiędzy stopni białe kwiaty. Pytam Tulli, co to za gatunek, ona zaś odpowiada, że to żałobne asfodele i że ta koza, Amaltea, żywi się wyłącznie nimi.

Z jednego z tarasów dostrzegam w dole, na starannie utrzymanym trawniku, w otoczeniu kwitnących na biało i różowo hortensji, prostokątny basen. Kąpie się tam i opala sporo mężczyzn i kobiet. Jakaś dziewczyna w granatowym sportowym kostiumie kąpielowym akurat skacze z trampoliny. Inna, ubrana w pomarańczowe bikini, wychodzi z wody i delikatnie kołysząc biodrami, wstępuje na aluminiowe schodki. Gruby brodaty mężczyzna wyciera się ręcznikiem. Zza ukwieconego krzewu wyłaniają się chłopak z dziewczyną, są nadzy i trzymają się za ręce.

Wchodzimy do budynku, w którym mieszczą się wielkie sale o drewnianych posadzkach i dużych okrągłych oknach. Wędrujemy wzdłuż galerii i czasem mogę przez otwarte drzwi zajrzeć do jakiegoś wnętrza. W jednym z pomieszczeń widzę grupkę odzianych w tuniki kobiet w różnym wieku,

tańczących w rytm łagodnej melodii wygrywanej na dulcimerze. W innym – mniej więcej czterdzieścioro mężczyzn i kobiet siedzących na drewnianej podłodze. Nad ich głowami przesuwa się powoli przezroczysta, opalizująca bańka, oni zaś wodzą za nią uniesioną prawą ręką. Jeszcze gdzie indziej jacyś mężczyźni tańczą wzdłuż wyrysowanych na podłodze linii układających się w geometryczne wzory. Dalej, przy stołach, na których leżą zwoje żółtawego papieru pokrytego szeregami cyfr i figur geometrycznych, mężczyźni i kobiety w podobnych tunikach rozmawiają przyjaźnie z krążącym pośród nich białobrodym starcem. W jednej z sal, ozdobionej wieńcami z pomarańczowych nagietków, studiuje się sanskryt. W innej dostrzegam fortepian i kilka dodatkowych instrumentów, na których muzycy grają akurat kwintet *Pstrąg* Schuberta, podczas gdy pięć dziewcząt, trzymając się za ręce, tańczy w rozwianych szatach na wielkim perskim dywanie. W jeszcze innej mężczyźni i kobiety siedzący po turecku na ziemi medytują wokół świecy, której płomień zmienia kolor z zielonego na różowy i z różowego na niebieski. Gdzieś jakaś dziewczyna z rękami złożonymi na podołku śpiewa przy akompaniamencie pianistki o długich rudych włosach, pod uważnym spojrzeniem nauczycielki. Zaskakuje mnie, że wykonują właśnie *Pieśń o Willi z Wesolej wdówki*. Co się w tym miejscu dzieje? Dokąd ja trafiłem? Kim są ci wszyscy ludzie?

Salome czeka na mnie w małym pokoju o drewnianej podłodze i wysokich prostokątnych oknach. W salach, które wcześniej widziałem, prawie nie było mebli, czasem trafił się stół z krzesłami albo niewysoki podłużny pulpit. Ludzie siedzieli bezpośrednio na ziemi, niekiedy na poduszkach lub małych taboretach, ewentualnie przy japońskich niskich stolikach. Tutaj podłogę zaścielają dywany, wzdłuż ścian ciągną się regały z książkami i ławki ustawione w podokiennych niszach, wykonane z bardzo gładkiego drewna w kolorze mocno zaparzonej herbaty. Salome zasiada na jednej z tych ławek. Ubrana jest w długą bawełnianą chabrową tunikę, delikatnie opinającą jej ciało. Jedna jej stopa, wygięta w łuk i bosa, wystaje spod rąbka sukni. Paznokcie pomalowane są na blady róż. Nie umyka mi również dyskretny makijaż: podkreślone oczy, usta, rzęsy...

Ale to Cristina. Powinienem był się domyślić. Salome to Cristina, a Cristina to Salome. Z uśmiechem kładzie dłoń na ławce, wskazując mi, bym usiadł obok. Na serdecznym palcu lewej dłoni ma pierścionek z czerwonym oczkiem. Zastanawiam się, czy to aby nie obrączka. Przysiadam niezgrabnie,

podpierając się w miarę możliwości kosturem, i przyjmuję tę samą pozycję co gospodyni: zginam nogę i kładę łokieć na parapecie okna.

Rozmawiamy. Ona tłumaczy mi, że na Uniwersytecie wszyscy nazywają ją Salome, bo taka jest tradycja; wielu nawet nie zna jej prawdziwego imienia. Uświadamiam sobie, że Salome to nie imię, raczej rodzaj tytułu. Pytam, czy to ona kieruje Uniwersytetem, a ona mówi, że tak, że przypadła jej rola rektorki, czyli pierwszej *inter pares*. Przebywa w tym miejscu od siedmiu lat, jak wyjaśnia, od czterech zaś sprawuje funkcję rektorki albo Mistrzyni Gry, gdyż tak brzmi pełna nazwa. Pytam więc, czym jest tak naprawdę to miejsce i co w nim robią ci wszyscy ludzie. Salome odpowiada, że Uniwersytet to naukowe centrum badawcze. Słowo „naukowe” zaskakuje mnie w kontekście tego, co widziałem po drodze. Salome twierdzi, że na Uniwersytecie prowadzone są badania empiryczne dotyczące istoty ludzkiej, świadomości i ewolucji. Powtarza, że chodzi o badania empiryczne, oddzielone od jakiegokolwiek filozofii, ideologii czy religii. Dlatego naukowe.

Moja mała Cristina urosła. Moja mała Cristina o urodzie wiecznego podlotka zamieniła się w posągową Salome; rozwinęła się w olśniewającą wersję tak przeze mnie kiedyś kochanej dziewczynki z Krainy Wrózek. Zdumiewa mnie, jak bardzo i jak zarazem niewiele się zmieniła. Czy wciąż wydaje mi się piękna? Prawdę mówiąc, wydaje mi się piękniejsza niż kiedykolwiek, ponieważ teraz stała się dla mnie tajemnicą. Zastanawiam się, czy urodziła dzieci, wyobrażam ją sobie w ciąży, z nabrzmiałymi piersiami i opuchniętymi wargami. Mówię sobie, że z pewnością została żoną innego, że przez te lata miała wielu innych, oddawała się im i przed nimi rozbierała, i całowała ich, i czuję ukłucie bólu i zazdrości. Młodzieńcza, świetlista aura jej nie opuściła, lecz to już nie dziecko, tylko kobieta w pełnym rozkwicie. To, na co tak czekałem, wreszcie się ziściło. Tyle że teraz Cristina nie jest już moja.

A ona? Czy boli ją mój widok? Wydaje się niezwykle spokojna, lekko poruszona niespodziewanym spotkaniem, ale spokojna. Emanuje spokojem podobnie jak to miejsce, jak ten pokój, jak te ławki pod oknami, gdzie siedzimy, jak napływające z zewnątrz falami wonie wiciokrzewu i trawy piżmowej, jaśminu i mięty. Jest w niej coś spokojnego i jednocześnie ciepłego, co głęboko mnie wzrusza. Coś czystego. Cała jest czysta. Ma czyste, pełne inteligencji i ciepła spojrzenie. Ale czy naprawdę istnieją czyste osoby, czyste spojrzenia? Czy da się żyć na tym świecie i pozostać czystym?

Wtedy zadaje mi pytanie, które zbija mnie z tropu. Pyta, czy ja to rzeczywiście ja. Zapewniam ją, że tak, że to ja, i próbuję zażartować, jednakże ona dopytuje, czy pamiętam, jak dostałem się na tę wyspę, i mówi, że muszę zrozumieć, iż to, co się zdarzyło, jest bardzo dziwne, tak dziwne, że aż właściwie niemożliwe. Jak to się stało, mówi, że przez przypadek wylądowałeś w tym odległym zakątku świata?

Opowiadam jej swoją historię. Opowiadam o katastrofie, o samolocie, który trzy miesiące wcześniej rozbił się u północnych wybrzeży wyspy. Salome dziwi się, że wraz ze mną ocalało tylu ludzi. Pyta, gdzie oni są, a ja odpowiadam, że zbudowaliśmy na plaży osadę i że większość moich towarzyszy wciąż tam przebywa, bo nikt przez cały ten czas nie przybył nam na ratunek. Salome mówi, że to akurat było do przewidzenia, gdyż wyspa jest właściwie niewykrywalna. Że pewnie szukano nas i szukano, aż przyjęto za pewnik, iż nasz samolot zatonął w oceanie. Pyta, jak nam się udało zorganizować i przeżyć. Bez wdawania się w szczegóły relacjonuję jej nasze starania i udzięki. Pytam z kolei, czy nie można by jakoś pomóc moim towarzyszom, ona zaś zapowiada, że zaraz się tym zajmie. Później prosi mnie o szczegóły dotyczące naszego życia w osadzie oraz jej położenia, żeby łatwiej było ją odnaleźć.

A mimo wszystko wciąż mam wrażenie, że nie do końca mi wierzy; że istnienie Osiedla Katastrofa i wszystkie nasze przejścia wydają jej się mocno wątpliwe.

– Ale powiedz – rzuca, spuszczać wzrok, jakby zdecydowała się w końcu poruszyć kwestię, która najbardziej ją intryguje lub martwi – skąd ci przyszło do głowy, by się tu wspiąć? I dlaczego samemu? Skoro jest was tak wielu i z jakiegoś powodu postanowiliście zbadać krater tego wulkanu, to czemu nie wyprawiliście się tutaj większą grupą?

– Nie chcieliśmy badać tego wulkanu. To mnie zależało, by tu przyjść.

– Ale czemu?

– To naturalne, że mnie o to pytasz – odpowiadam, uporczywie się w nią wpatrując. – Obawiam się jednak, że moja odpowiedź wcale nie zabrzmiała naturalnie. Przyszedłem tutaj, bo mi kazano.

– Kazano ci? Kto ci kazał?

– Cóż, przede wszystkim, jak sądzę, ty.

– Ja?

– Tak. Widziałem cię we śnie.

– We śnie... – powtarza Salome. – Opowiedz mi go.

– To nie był zwykły sen, raczej wizja, halucynacja. Zawołałem cię, wzywając pomocy. Nie wiem dlaczego. I nie wiem jak, ale cię zobaczyłem. Zobaczyłem cię ubraną w brązową tunikę, siedzącą przy stole zasypanym przedmiotami. A ty dałaś mi znak: ujrzałem antylopę albo kozę, przyzywającą mnie na górę kopytem.

– Kozę! – śmieje się Cristina. – To była Amaltea. Nasza koza Amaltea.

– Co to za koza?

– Jeszcze ją spotkasz. Kręci się tutaj i je asfodele. Jest ciężarna. Żywi się wyłącznie tymi kwiatami, których zresztą na Uniwersytecie pełno, i dlatego uważamy ją za wyjątkowo mądre zwierzę... Jak gdyby święte...

– Chyba już ją spotkałem.

– To ona cię tu sprowadziła.

– Ona oraz ty, jak sądzę.

Cristina spogląda na mnie z ciekawością. Później przymyka powieki i przez chwilę trwa w bezruchu. W końcu otwiera oczy i oznajmia, że też widziała mnie we śnie, kilka tygodni temu.

W tym jej śnie znajdowałem się w ciemnej jaskini z monstrualnymi płaskorzeźbami na ścianach. Leżałem na brzuchu, jacyś mężczyźni krępowali mnie powrozami, a jeden z nich, z czarną brodą i błyszczącymi oczami, trzymał w ręku siekierę. Krzyczałem i płakałem, i prosiłem, żeby nie robili mi krzywdy, ale tamten brodaty mężczyzna i tak uciął mi nogę. A wtedy ona, Cristina, weszła do tej jaskini i wydestała mnie na powietrze, na słońce, w góry, daleko od tego strasznego miejsca. I na zboczu pojawiła się Amaltea, kopytem wskazując mi drogę. Bo to ona, Cristina, ją po mnie wysłała.

Mówię, że tak: tak to się właśnie odbyło, a Cristina mnie nie rozumie. Wyjaśniam, że jaskinia, którą zobaczyła we śnie, była w rzeczywistości wnętrzem opuszczonej hinduskiej świątyni, z posągami Hanumana, boga-małpy, i innymi monstrualnymi podobiznami, i że w taki właśnie sposób Joseph amputował mi nogę. Cristina patrzy na mnie ze zgrozą i widzę, że oczy wypełniają jej się łzami.

– Chcesz powiedzieć, że ucięli ci nogę *siekierą*?

– Tak. Joseph, mój przyjaciel Joseph, nie miał lepszych narzędzi. Nie mieliśmy też żadnych środków znieczulających. Byliśmy wtedy uwięzieni. Na szczęście udostępniono nam tamtą siekierę i w ogóle pozwolono na operację. Inaczej już bym nie żył.

– Boże mój, Juanie Barbarín, amputowali ci nogę na żywca, bez znieczulenia?

– Właśnie tak.

– Czyli straciłeś ją niedawno? Kilka tygodni temu? Tutaj, na wyspie?

– Tak.

– Ale to przecież barbarzyństwo! To, co mi opowiadasz, to jakieś barbarzyństwo!

Niepowstrzymany szloch wyrywa mi się z piersi i Cristina obejmuje mnie, a ja płacząc na jej ramieniu. Wstydzę się tak płakać, szlochać i jęczeć niby kobieta albo dziecko, ale nie potrafię przestać.

– Przepraszam.

– Płacz, ile chcesz – szepcze Cristina. – Nie przejmuj się.

Mija minuta. Mija godzina. Mija rok.

Gdzieś w Karyntii jest ścieżka obrosnięta czarnymi bzami, a w jednym z tych bzów żyje bardzo stara kobieta, która śni świat.

Ta stara kobieta to Cristina. Tyle że ona nie jest stara, jest bardzo młoda. Młoda jak kępa kwitnącej lawendy.

Wiatr kołysze trawą na Łące.

– Jak to możliwe, że widziałas we śnie to, co się ze mną działo? – pytam. – Jak to możliwe, że oboje widzieliśmy to samo? To, co mówisz, jest całkowicie nierealne.

– Dlaczego?

– Bo sny rozgrywają się w naszej głowie. Nie można się nimi dzielić. Nie da się zobaczyć czyjegoś snu ani w niego wejść.

– Cóż – mówi Cristina – sam widzisz, że się jednak da.

Żegnamy się. Cristina się do mnie uśmiecha. Mówi, że teraz musi mnie zostawić, bo ma lekcje i masę spraw na głowie. Nie potrafię ukryć rozczarowania.

– Spotkamy się dziś wieczorem, przy kolacji – obiecuje. – Wolałabym dalej z tobą rozmawiać, Juanie Barbarín, ale obowiązki naprawdę wzywają.

– No dobrze.

– Później ktoś zdejmie z ciebie miarę, żeby zrobić ci nową protezę. W porządku? Mamy tu doskonałych cieśli. Z pewnością cię nie zawiodą.

– Bardzo ci jestem wdzięczny.

– Umiesz jeździć konno?

– Nigdy nie jeździłem.

– Cóż, w takim razie znajdziemy ci łagodnego wierzchowca. Bardzo spokojnego, zgoda? Dzięki temu będziesz mógł, jeśli zechcesz, odbywać przejażdżki po okolicy.

– Przejażdżki! Nigdy bym o czymś takim nie pomyślał.

– Mamy konia imieniem Aurelianus. Myślę, że się dla ciebie nada.

– Dziękuję.

– Boże mój, Juanie Barbarín – mówi Cristina. – Upłynęło tyle lat...

– Tak, tyle lat.

– Powiem Filemonowi, żeby się tobą zajął.

– Filemonowi? Naprawdę ktoś ma tak na imię? Czy Mortadelo też się w takim razie tu gdzieś kręci?

– To takie nasze uniwersyteckie imiona. – Cristina śmieje się na cały głos.

– Powiem mu, żeby ci wszystko pokazał i wytłumaczył. Spodoba ci się. Tak, sądzę, że ci się spodoba. Zaczekaj tu na niego, zaraz go przyślę.

Nachyla się nade mną i całuje mnie w policzek. Potem zostawia mnie samego.

Piszę o ciszy

Dni na Uniwersytecie płyną zdumiewająco spokojnie. Panująca w tym miejscu cisza zdaje mi się cudem. A przecież całymi miesiącami żyłem pod gołym niebem, nie słysząc innych hałasów niż odgłosy natury: morza, ptaków, deszczu. Jednakże cisza tu na górze jest innego rodzaju.

Ilekoć mówimy o ciszy, mówimy w gruncie rzeczy o jakimś typie dźwięku. Mówimy o ciszy, ale myślimy o morzu, wietrze lub ptakach. Mówiąc o ciszy, mówimy w istocie o przestrzeni.

Przestrzeń to możliwość. Rzeczy dzieją się, jeśli jest na nie miejsce – miejsce w przestrzeni i miejsce w czasie. Miejsce w naszej głowie, w naszej woli, w naszym życiu. Kiedy mówimy o przestrzeni i o ciszy, mówimy tak naprawdę o swoim życiu. O ciszy i przestrzeni koniecznych, by coś się zdarzyło.

Człowiek musi się nawalczyć o tę przestrzeń i o to, by być godnym tego, co wywalczył. Zbudować dom lub stać się jego właścicielem to jedno z najcięższych w życiu zadań. Tyle że posiadać dom to nic innego, jak posiadać przestrzeń. I – również – posiadać ciszę.

To samo z muzyką. Muzyka, ta prawdziwa, zawsze bierze się z ciszy. Jest możliwa tylko wtedy, jeśli osiągnęło się ciszę. Wtedy coś się odróżnia, coś tryska. I *to*, co tryska, to muzyka.

Muzyka jest niczym, jeśli człowiek nie czuje, w każdym momencie jej słuchania, że to jedynie maska bądź symbol ciszy; że cisza leży u podstaw każdego jej dźwięku, podobnie jak zanurzona w ciemnej wodzie łodyga podtrzymuje koronę nenufaru.

Zwykle mówimy: „Jaka cisza!”, gdy słuchamy śpiewu ptaków albo szumu wiatru. Szum wiatru często nazywamy ciszą. W bardzo dawnych czasach istoty ludzkie próbowały naśladować ptasie trele. Może właśnie w ten sposób nauczyły się mówić. Tak, niewykluczone, że taka misja przypadła ptakom

w królestwie zwierząt i że jakoś to tłumaczy legendę o Adamie i Ewie. Wąż otworzył świadomość Ewy, wyniósł ją do pozycji zwierzęcia. Ale założmy, że na początku był ptakiem. Dopiero pod koniec Jahwe skazuje go na czołganie się po ziemi. Dopiero pod koniec wąż staje się tym, czym jest dzisiaj. Kara, która go dotyka, jest podwójnie bolesna, gdyż wcześniej miał skrzydła. Zwierzę, które mówi i siedzi na drzewie – to musi być ptak.

Różne kultury upamiętniły tę legendę pod postacią smoka, który stanowi połączenie gada i ptaka, albo też pod postacią upierzonych węży.

Naśladowanie ptasich głosów pomogło nam rozwinąć narządy służące do emisji głosu, artykułowania słów. Nie, nie uważam – jak niektórzy osiemnastowieczni filozofowie – że istota ludzka, nim nauczyła się mówić, śpiewała, choć byłoby to piękne wytłumaczenie źródeł opery. Faktem pozostaje, że głos i muzyka zawsze szły w parze, i właśnie *to* tłumaczy istnienie opery, w której ci, co śpiewają, udają, że mówią.

Rozbrzmiewa muzyka. Co wtedy robimy? Milkniemy. To konieczne. Bez tego milczenia muzyka nie jest możliwa. Trzeba uciszyć głosy, które wciąż rozbrzmiewają w naszej głowie, by móc usłyszeć muzykę i ją zinterpretować. Mówimy im: cicho, no, cicho, muszę się wsłuchać. Muzyka zaprasza nas do milczenia. Muzyka tworzy ciszę.

Kiedy milknie, cisza jeszcze się potęguje. Niemniej coś wisi w powietrzu, ponieważ całkiem pusta cisza nie istnieje: pozostaje wspomnienie muzyki. Ślad po muzyce w cząsteczkach powietrza. I w cząsteczkach ciała.

Co wieczór wkraczamy w ciszę, by rano z niej wracać. Cisza nas żywi. Cisza to nasz ojciec. Dźwięk, z kolei, jest naszą matką. Matczyny głos wibruje w całym jej ciele i w końcu dociera, łagodny, do pogrążonego w owodniowym śnie płodu. Ilekroć śpiewamy, śpiewamy do ziemi i do matki. Śpiewamy, by matka nas usłyszała. Śpiewamy, gdy ogarnia nas strach. Ziemia nas chroni. Matka nas osłania.

Całe ludzkie życie składa się z tej obecności i z tej nieobecności. Pełnej, świetlistej nieobecności w tajemniczy sposób zawsze wypełnianej obecnością dźwięku.

Jesteśmy właścicielami tego, co posiadamy, oraz przerw między rzeczami, które posiadamy. Tyle że te przerwy, ich milczenie, są najważniejsze. W oddychaniu najistotniejszy jest moment tuż po wydechu. Na chwilę oddech się zatrzymuje i przez sekundę żyjemy, nie musząc oddychać. Przez tę sekundę jesteśmy nieśmiertelni. Przez tę sekundę nie jesteśmy zwierzętami, na moment

uwalniamy się od cykli natury. Umysł też wtedy przystaje i nagle *widzimy*. Spływa na nas jasność. Nasza świadomość bezgranicznie się rozszerza. Później maszyna ciała znowu zaczyna oddychać.

Gdybyśmy mogli nie oddychać przez kilka minut, nasza świadomość zyskałaby zdumiewający zasięg. Zobaczylibyśmy, poczuli i zrozumieli rzeczy, których nie widzieliśmy, nie czuliśmy i nie rozumieliśmy nigdy wcześniej.

W ciszy umysłu otwierają się drzwi wspomnienia.

Naszą najcenniejszą własnością jest to, czego nie mamy i nigdy nie będziemy mieli. Przerwy między rzeczami. Pustka. Cisza. Nasze myśli rodzą się w nas niezależnie od naszej woli, lecz ta cisza, która je rozdziela – tak, ona jest nasza. To w tej ciszy między jedną myślą a drugą możemy naprawdę poczuć się sobą.

Albowiem nasze prawdziwe ja zamieszkuje w ciszy i tylko w niej może się objawić.

Uniwersyteckie nauki

Cisza panująca na Uniwersytecie to nie tylko cisza wysokości, cisza wiatru, cisza muzyki, czyli ta, którą muzyka wytwarza wokół siebie, gdy rozbrzmiewa. To również cisza miłości. Ci, co się kochają, nic już nie mówią. Czasem widzę na którymś z tarasów dwie osoby, które trzymają się za ręce i kontemplują kotlinę. Czasem widzę, jak razem spacerują. Jak nago kąpią się lub wędrują pośród ukwieconych krzewów.

Odnoszę wrażenie, że to Uniwersytet zakochanych. Mówię o tym Cristinie, a ona umiera ze śmiechu.

Niestety rzadko ją widuję. Zawsze jest zajęta. Musi być w tysiącu miejsc, zadbać o tysiąc rzeczy. Udziela lekcji śpiewu. I tańczy – codziennie. Dni tutaj zazwyczaj kończą się tańcem, po kolacji, zwłaszcza w piątki i soboty. Mieszka tu wielu muzyków, którzy grają do tańca: rytmy indyjskie, brazylijskie, latynoskie, a nawet disco, niemal każdego dnia po kolacji, gdy wszyscy zaczynają tańczyć. Robią to godzinami. Mówię Cristinie, że nigdy w życiu nie widziałem takich imprezowiczów jak oni. „To nauka szczęścia”, odpowiada.

Nauka szczęścia. Czy tego tu uczą?

Filemon jest dość wysokim, kościstym i silnym siedemdziesięcioletkiem. Ubiera się w długą tunikę barwy kości słoniowej i nosi skórzane sandały. Włosy ma gęste i posiwiałe. Nos orli, jak u rzymskiego cesarza, podbródek wydatny. Twarz wyrazistą, poważną, ogorzałą. Przypomina średniowiecznego mnicha. Jest nerwowy, a zarazem nerwy ma jak postronki; jest twardy jak korzeń, a zarazem lekki. Już przy naszej pierwszej rozmowie poczułem do niego instynktowną sympatię.

– Jestem Filemon – rzekł do mnie w dniu, gdy się poznaliśmy. – Salome prosiła, bym się panem zajął i oprowadził pana po Uniwersytecie.

– Miło mi – odparłem. – Przypuszczam, że Filemon to nie jest pańskie prawdziwe imię.

– Na imię mam Ciran – śmieje się on na to. – Filemon i Salome to tradycyjne imiona uniwersyteckie. Rodzaj symbolicznych tytułów.

– Jest pan Irlandczykiem – mówię.

– Ze Sligo, jak William Butler Yeats.

– Nigdy nie byłem w Irlandii.

– *This land of Saints* – deklamuje Filemon głosem aktora teatralnego – *of plaster Saints!*

– W czym się pan specjalizuje? – pytam, spodziewając się, że odpowie, iż jest aktorem i przez wiele lat grał w Abbey Theatre.

– W fizyce teoretycznej – odpowiada. – Studiowałem w Trinity College w Dublinie, a potem na Oxfordzie i Harvardzie, gdzie następnie przez kilka lat wykładałem. Proszę mnie nie brać za jakiegoś mistyka-pedała albo proroka New Age – ciągnie wesoło. – Jestem naukowcem do szpiku kości i mogę tu panu wypisywać różne wzory w nieskończoność. Jestem jednym z tych świrów, którzy wierzą w teorię strun i M-teorię.

– Wszystko to bardzo mnie interesuje – zapewniam.

Ciran oprowadza mnie po Uniwersytecie i tłumaczy mi sens niektórych spośród odbywających się tam zajęć. Kompleks jest duży, składa się z wielu zabudowań. Działalność Uniwersytetu, wyjaśnia mi Ciran, opiera się na siedmiu założeniach. Pierwsze głosi, że istota ludzka nie może wykroczyć w swoim rozwoju poza siebie bez zewnętrznej pomocy. Drugie – że świadomość nie *mieści się* w mózgu, lecz że całe ludzkie ciało to mapa i emanacja świadomości, której źródło bije poza fizycznym ciałem. Trzecie – że wszystko, co wiemy o sobie i świecie, to wytwór naszego umysłu, i że chcąc się rozwijać, musimy wykroczyć poza swój umysł i wytwarzane przez niego kategorie. Czwarte – że nie da się rozumieć umysłem, ponieważ umysł rozumie wyłącznie poprzez sekwencje i wykluczenia. Piąte – że podstawowym środkiem rozumienia rzeczywistości jest ciało, jego doznania i jego ekspresja w postaci tańca, muzyki i śpiewu. Szóste – że poszukiwanie musi mieć charakter empiryczny, czyli oparty na osobistych doświadczeniach. Siódme – że poprzez medytację, wejście w głąb samego siebie, można poznać całą rzeczywistość wewnętrzną i zewnętrzną, obecną, przeszłą i przyszłą i że medytować trzeba nieustannie. Jak również – że rozdział na to, co „subiektywne”, i to, co „obiektywne”, nie odpowiada stanowi rzeczy, gdyż wchodząc w głąb samego siebie, tłumaczy Ciran, można też zyskać dostęp do rzeczywistości obiektywnych i, ogólnie, do obiektywnej rzeczywistości.

Nauki uniwersyteckie, wyjaśnia dalej, dzielą się na trzy grupy: nauki wstępne (związane zwłaszcza z działalnością artystyczną), nauki równoległe (czyli przede wszystkim ścisłe i humanistyczne) oraz nauki centralne (których celem jest samopoznanie i rozwój świadomości).

Zacznijmy od nauk wstępnych.

Pierwszą jest taniec, uważany za przedmiot szczególnie ważny, z którym wszyscy – każdy na miarę swoich możliwości – muszą sobie poradzić. Morwen, jedna z nauczycielek, opowiada mi, że tańce święte, tańczone przez wszystkich (w przeciwieństwie do bardziej wyspecjalizowanych układów, z którymi część uczniów zapoznaje się na zajęciach z baletu, tańca współczesnego, teorii tańca Marthy Graham, rytmiki Dalcroze'a i tak dalej) są bardzo proste, oparte na kształcie koła i spirali. To sposoby na wejście w kontakt z ziemią, ciągnie Morwen, na otwarcie w sobie pewnych „ośrodków świadomości”. Pytam, jak można otworzyć sobie w głowie dodatkowy „ośrodek świadomości” poprzez tańczenie w kółko. Zadaję to pytanie właściwie dlatego, że Morwen mi się podoba: ma trzydzieści lat, jest ruda i nosi złocistą tunikę podkreślającą jej kształty. Odpowiada wesoło, że skąd pomysł, jakoby te „ośrodki świadomości” znajdowały się w naszej głowie. Jeśli nie w głowie, pytam, to gdzie? Morwen kładzie sobie dłonie na podbrzuszu, w okolicy jajników, i swobodnie rozprawia o macicy, biodrach i kobiecej energii. Kolisty ruch bioder wyzwala energię seksualną, kieruje ją ku górze wzdłuż kręgosłupa, ożywia nas, czyni bardziej pozytywnymi i kreatywnymi, mówi Morwen, patrząc na mnie wyzywająco i niby to przypadkiem ukazując mi swój duży, różowy język, kojarzący mi się z językiem łani. Ach, ten boski cielesny przekaz! Pytam, czy ma to coś wspólnego z celtyckimi rytuałami, ze Stonehenge i mądrością druidów, na co Morwen śmieje się głośno, bezwstydnie ze mną flirtuje, dotyka mojego ramienia.

Zabiera nas na położoną trochę dalej łąkę, gdzie grupka kobiet tańczy nago w wiankach z żółtych kwiatów na głowach. Choć nagość jest na Uniwersytecie zjawiskiem dość powszechnym, trzymamy się z szacunkiem na uboczu. Morwen wyjaśnia, że tańczy się taki lub inny taniec w zależności od tego, jaka bogini albo jaki bóg wpływa na nas w danym momencie, i że istnieją tańce kobiece, tańce męskie i tańce mieszane. Boginie są następujące: Afrodyta, Hera, Artemiza, Hestia, Atena, Persefona i Demeter. Bogowie to Zeus, Posejdon, Hades, Hermes, Apollo, Dionizos, Ares i Hefajstos.

Pytam, jaki taniec wykonywany jest akurat w tej chwili, i Morwen odpowiada, że to jeden z najbardziej podstawowych, nazywany Tańcem Istoty Wewnętrznej. Chodzi w nim o ruchy stymulowane wewnętrznym impulsem rodzącym się gdzieś w okolicach splotu słonecznego. Patrząc na te nagie kobiety tańczące na trawie i odnoszę wrażenie, że znalazłem się w Grecji sprzed trzech tysięcy lat. Co się przez ten czas zmieniło? Na pewno nie kobiece ciała ani kształty polnych kwiatów, ani światło, ani wiatr. Wydaje mi się, że nigdy nie widziałem nic równie pięknego. Zastanawiam się, czemu nie oddajemy się takim czynnościom bez przerwy w zwykłym życiu.

Istota Wewnętrzna to coś, do czego oni bezustannie nawiązują. Coś tak dla nich oczywistego i zdefiniowanego jak ręka czy ząb. Ja wyobrażam to sobie jako coś w rodzaju wspaniałego zwierzęcia, które mieszka w każdym z nas, czy to w macicy, czy w okolicach splotu słonecznego, w prawej komorze serca albo w głowie; jako coś w rodzaju wewnętrznego boga, wolnego, świetlistego stworzenia, które, jak twierdzą, gdy zostanie obudzone, rozpościera ręce, prostuje nogi i rozpoczyna w naszym wnętrzu własny taniec.

Głos i śpiew też bardzo się na Białym Uniwersytecie liczą. Adepti uczą się różnych technik wokalnych, śpiewają partie operowe, *lieder* i pieśni liturgiczne, improwizują... Germańskie *lieder* (zwłaszcza autorstwa Schuberta, ale również Schumanna, Brahmsa, Hugona Wolfa, Straussa i tak dalej) uważane są za jeden z głównych szlaków na Ścieżce Melancholii, przy czym opera i operetka z całym swoim sentymentalizmem wcale im podobno nie ustępują, albowiem podstawowym celem śpiewu – każdego śpiewu – jest otwarcie serca.

W głównym uniwersyteckim gmachu co piątek odbywają się satsangi, śpiewane są mantry, a podobne sesje trwają niekiedy całymi godzinami. Wszyscy na Uniwersytecie żyją w przekonaniu, że mantry (dźwięk słów, nie ich sens) wpływają na wibrację komórek i przynoszą efekty lecznicze. Morwen i Ciran zabierają mnie na jedną z takich sesji: przez półtorej godziny śpiewamy chórem „Om Bhur Bhuvah Swaha/Tat Savitur Varenyam/Bhargo Devasya Dhimahi/Dhiyo Yo Nah Prachodayat”. Gdy wychodzimy z sali, doznaję niewytłumaczalnej błogości i mam wrażenie, że z moich oczu spadła szara zasłona. Obserwuję kruki na trawie oraz wysokie, kołysane wiatrem asfodele i czuję niepojętą miłość i spokój.

Ale czuję też coś jeszcze. Pęknięcie. Ból.

Boże mój, mam złamane serce. Złamane, zranione. Wyczuwam je w piersi,

pokawałkowane i utrzymywane w całości wyłącznie przez nacisk otaczających je tkanek. I wtedy płaczę. Czemu płaczę? Oddalam się od Morwen i Cirana, mozolnie kuśtykając wsparty na kosturze.

Światło słońca spada na świat i mnie spowija. Szczęście jest tutaj. Szczęście i cała jego tajemnica nagle stają się dla mnie oczywiste. Szczęście, ciepło, życie, istnienie, sam fakt bycia żywym, bycia tutaj, w tym miejscu, teraz, w tym momencie. Morwen i Ciran popatrują na mnie z daleka. Ale jak im to wytłumaczyć?

Trzymałem swoje szczęście w dłoniach i wypuściłem je w powietrze, a ono rozpostarło skrzydła i odleciało daleko, bardzo daleko. Właśnie tak je straciłem.

Muzyka jest na Białym Uniwersytecie dyscypliną podstawową. Adepti studiują różne style i tradycje, jak choćby indyjską muzykę karnatacką, jednakże szczególny nacisk kładzie się na europejską muzykę tonalną, nazywaną często Ścieżką Melancholii albo Muzyką Wielkich Mistrzów Przeszłości, a także na muzykę atonalną, mikrotonalną i spektralną, określaną jako Ścieżka Akustycznej Pełni i postrzeganą jako zwiastun nowego otwarcia świadomości. Czy to możliwe, bym tutaj, na Uniwersytecie, zaczął kochać muzykę, której zawsze nienawidziłem i się obawiałem? Wszyscy wokół fascynują się kompozytorami takimi jak Nono, Stockhausen, Morton Feldman, Saariaho, Haas... Filemon przejawia wobec tego ostatniego uwielbienie, które mnie zadziwia. Wciąż opowiada mi o *in vain* i o *Natures mortes*. Nie posiadam się ze zdumienia.

To wszystko pitagorejczycy: ich zdaniem muzyka przenika wszystko i wszystko wyjaśnia. Używają jej do leczenia chorób, uśmierzenia bólu, rozwiązywania problemów kosmologicznych, uspokajania umysłu i zagłębiania się na terytorium emocji, ponieważ świat emocji, nazywany przez nich Mądrością, ma według nich ściśle zdefiniowany i niemal fizyczny kształt.

Mądrość dzieli się na trzy poziomy: emocje niższe, oparte na pokrewieństwie; emocje wyższe, oparte na bezwarunkowej miłości do ziemi i wszelkich bytów; oraz emocje wielowymiarowe, które – przynajmniej dla mnie – są całkowicie nie do pojęcia.

Poziom emocji wielowymiarowych rządzi się ciekawymi prawami anatomii, która czasem przypomina coś w rodzaju geografii psychicznej albo ziemskiej hierofanii. Dla przykładu: o ile my czasem mówimy, że istota ludzka jest jak kwiat, o tyle oni uważają, że istota ludzka jest kwiatem, gałęzią,

drzewem, korzeniem i lasem, i chmurą, i słońcem, i przeszłością słońca, i jego przyszłością, i relacją słońca z innymi słońcami.

Ciran przyjaźni się z Giovannim, bibliotekarzem, Włochem o sprytnych niebieskich oczkach skrytych za okularami w grubych oprawkach, bardzo, moim zdaniem, sympatycznym. Giovanni jest ekspertem od średniowiecznej i renesansowej poezji nowołacińskiej, w wolnych zaś chwilach uprawia winorośl, z której robi całkiem niezłe różowe wino, smakujące trochę jak portugalski Mateus. Obiad jemy we trzech na tarasie biblioteki. Giovanni po prostu ustawia w wejściu pulpit, który sygnalizuje, że na czas posiłku biblioteka jest zamknięta, po czym raczymy się sałatką z pokrzyw, duszoną soczewicą oraz zapiekanymi cukiniami, zapijając je różowym winem domowej roboty.

Ciran i Giovanni opowiadają mi przy okazji o Uniwersytecie. O trzech niebieskich mnichach, których zadaniem jest uprawa tudzież suszenie leczniczych roślin i których zresztą zobaczymy jeszcze tego samego popołudnia, ubranych w charakterystyczne habity i pogrążonych w dyskusji nad rodzajami lawsonii w jednym z opuszczonych ogrodów.

Są też podobno trzej mnisi złoci, którzy pozyskują ekstrakty kwiatowe i wodę z rosy. Wytwarzają z nich mikstury do obróbki stanów ducha. Ich praca jest dla Uniwersytetu szczególnie ważna, dlatego nikt im nie śmie w jej trakcie przeszkadzać, by nie stracili kontaktu z Mądrością, dzięki której ich mikstury nabywają odpowiedniej duchowej wibracji.

Te mikstury, jak słyszę, świecą. Światłem, które bierze się z wróżki. Ciran i Giovanni pokazują mi fiołki z wróżkami w środku. Mówię, że nie wydaje mi się słuszne zamykanie wróżek w szklanych naczyniach, oni zaś z wielką powagą zapewniają, że nikt nigdzie wróżki nie zamknie, jeżeli ona sama tego nie zechce, i że nie powinienem przykładać do tych istot praw psychologii, czasu i miejsca, albowiem to stworzenia pierwotne, a poza tym nieśmiertelne.

Nie wiem, czy to skutek wypitego wina, ale znienacka wszystko to zaczyna wydawać mi się sensowne. Ba, nie tylko sensowne, ale też radosne; tak radosne, że zaczynam się śmiać. Śmieję się, słuchając o królestwie Mądrości, na myśl o tamtejszych roślinach i drzewach, i dziewczętach. A Ciran i Giovanni pytają (to naprawdę dziwne pytanie), czy aby tam kiedyś nie zawitałem.

Chodzimy na przedstawienia. Uniwersytet urządza wiele spektakli i obchodów. Są tu dwa teatry: jeden na wolnym powietrzu, będący dokładną

kopią tego z Epidaurum, a drugi pod dachem, mieszczący się w pięknym białym gmachu zwieńczonym pomalowaną na niebiesko kopułą i architektonicznie kojarzącym mi się z secesją. Wystawiają tam sztuki teatralne, opery i przedstawienia baletowe.

Teatr to również istotna dyscyplina, przede wszystkim dlatego, że podobno pozwala dotrzeć do świata emocji i pomaga w samopoznaniu. Bo na tym Uniwersytecie, mówi mi Bianca, jedna z nauczycielek gry aktorskiej, człowiek nie studiuje niczego poza samym sobą. W teatrze chodzi między innymi o odkrycie praw mechaniki, spojrzenie na siebie z zewnątrz, obserwację, jak wpływają na siebie nawzajem ciało, pamięć i uczucia.

Adepci uczą się więc technik aktorskich, ćwiczą pamięć zmysłową i pamięć emocjonalną, a także coś, co określa się mianem Konstelacji Rodzinnych i co polega na odtwarzaniu przeszłych i obecnych stosunków panujących w rodzinie jakiejś osoby, która dzięki temu może zrozumieć nie tylko swoją pozycję w rodzinnej historii, lecz także sieć rządzących nią symbolicznych i narracyjnych relacji, jak również wpływ wywierany na nią przez nieżyjących już krewnych. Przy okazji, obok różnych pięknych szczegółów, które niejednokrotnie zmieniają zainteresowane osoby do głębi, wychodzą na jaw rozmaite okrucieństwa, nadużycia i prześladowania.

Wchodzimy do głównego budynku, który przypomina wielopiętrowy pałac o licznych skrzydłach albo miasto w miniaturze, i zapoznaję się z różnymi ścieżkami: Ścieżką Melancholii, Ścieżką Pustyni, Poematem o Sroce, Ścieżką Ryb, Snem Świętego Eustachego, Bractwem Białej Róży...

Moi gospodarze są przekonani, że dzieła sztuki potrafią obudzić w nas wspomnienie czy przecucie Istoty Wewnętrznej, a poza tym mają wpływ leczniczy i regeneracyjny. Sztuka mroczna i świadome kulturowanie horroru wydają im się pozbawione sensu, jako że ich zdaniem w sztuce chodzi o piękno. Znają wszakże różne oblicza piękna: wenusjańskie (zmysłowe i świetliste), cyklopejskie (monumentalne), konwulsyjne (rytmiczne, połamane, fragmentaryczne, ironiczne, nowoczesne), meduzyjskie (potworne), nyktimenejskie (nocne, samotne i odległe), apollińskie (jasne, proporcjonalne i uporządkowane), nefretetejskie (związane z twarzą, spojrzeniem i osobowością), dionizyjskie (ekstazyjne, prędkie, zawrotne i pijackie) oraz wertumnusejskie (naturalne, delikatne i codzienne). Uprawiają malarstwo, rzeźbę, rysunek, sztukę portretu, surrealizm, poezję liryczną i epicką, powieść, powieść-rzekę, powieść-wyspę, powieść-pustynię, opowiadania i inne gatunki

literackie, niejednokrotnie w połączeniu z szeroko zakrojonymi i skomplikowanymi projektami z pogranicza tańca, muzyki i teatru.

Uprawiają również sztukę patrzenia, która daje ciekawe efekty terapeutyczne, i czasem umieją całymi popołudniami wpatrywać się w kołysane wiatrem róże albo jesiony, albowiem, jak zapewniają, spędzamy życie, nie widząc właściwie nic z tego, co nas otacza.

Cristiny prawie nie widuję. Zawsze jest zajęta tysiącem rzeczy. Niemniej pewnego wieczoru zastaję ją skupioną na doniosłym zadaniu zawieszenia huśtawki w ogrodzie Gardalis.

Gardalis to ogród znajdujący się powyżej budynków uniwersyteckich, gdzie rosną ogromne jodły błękitne – największe drzewa w kotlinie, niektóre osiagają osiemdziesiąt metrów wysokości. Cristina jest tam wraz z grupą kobiet, ubranych w kwieciste tuniki albo w dżinsy i podkoszulki, a w dwóch czy trzech przypadkach – w bikini. Huśtawka zwisa na dwóch długich i grubych złotych sznurach. Unoszę wzrok i dostrzegam siedzących na konarze jodły, jakieś czterdzieści metrów nad ziemią, kilku chłopców, którzy, przywiązując sznury, dla zabawy ciskają w dziewczęta na dole szyszkami. Jedna z tych ubranych w bikini huśta się pierwsza. Ponieważ sznury są bardzo długie, nawet nie odpychając się mocno od ziemi, ma się wrażenie fruwania: wychył jest bardzo duży, choć powolny. Widzę przesuwające się nade mną, ułożone równolegle, wyprostowane ku niebu gołe nogi, które w drodze powrotnej podkurczają się pod drewniane siedzisko.

Cristina i pozostałe kobiety śmieją się jak małe dziewczynki i kolejno wsiadają na huśtawkę. Cristina pozdrawia mnie i zachęca do zabawy. Ja wszakże nie mam ochoty na rozrywki. Cristina patrzy na mnie ze zdziwieniem i uświadamia sobie, że jestem w złym humorze.

Przejdźmy teraz do nauk równoległych.

Nauki się na Uniwersytecie nie zaniedbuje, choć – ponieważ celem Białych (jak zacząłem ich nazywać) jest samopoznanie – nie studiuje się jej samej w sobie, lecz w związku z innymi rzeczami. Są więc zajęcia z fizyki, matematyki, geometrii, fraktali i teorii chaosu, łączonych tu w zadziwiająco arbitralny sposób z psychologią oraz z czymś, co określa się mianem Morza Świadomości.

Naucza się także biologii czy raczej ogólnej wiedzy o organizmach żywych, obejmującej wszystko – od pierwotniaków po koncept biosfery. Ważna jest tak zwana teoria Gai, podobnie zresztą jak studia nad ekosystemami. Ekosystemy

wyróżnia się rozmaite, przy czym pojęcie ekosystemu naturalnego uchodzi za przestarzałe, albowiem opozycja naturalne-sztuczne też, jak się tu twierdzi, odeszła do lamusa. Pytam Cirana, czy inspirują się pracami Władimira Iwanowicza Wiernadskiego z jego koncepcją noosfery, ale w odpowiedzi słyszę, że czy to noosfera, czy chrystosfera Teilharda de Chardin to ujęcia zbyt ograniczone i upraszczające. Ciekawe natomiast wydają się teorie Vareli i Maturany na temat systemów autopoietycznych i samoorganizacji systemów złożonych. Dla nich, na Uniwersytecie, wszystko, co istnieje, jest energią, wariacją wibracji. Kultura i maszyny również należą do ekosystemu, tak samo jak kwiaty, gazy, idee, zwyczaje, prawa, sztuka....

Anatomia i fizjologia ciała odrywają szczególną rolę o tyle, że ludzkie ciało stanowi w pewnym sensie centrum pola prowadzonych na Uniwersytecie dociekań.

Inna zaskakująca gałąź nauki, którą się tutaj zgłębia, to lingwistyka, przez część profesorów (związanych, rzecz jasna, z Wydziałem Lingwistyki) uznawana za najważniejszą z nauk równoległych. Na Białym Uniwersytecie studiuje się zatem językoznawstwo ogólne, podstawy strukturalizmu, strukturalizm w naukach humanistycznych, poststrukturalizm i dekonstrukcję. Moi gospodarze łączą tę ostatnią z filozofią Wschodu i usiłują tłumaczyć ją w kategoriach filozofii tantrycznej, wedyjskiej i buddyjskiej, nakładając jedna na drugą dwie kultury i przenosząc filozoficzny nihilizm, do którego zdaje się prowadzić filozofia postmodernistyczna, w empiryczny krąg medytacji. „Dekonstrukcja podmiotu”, o której tyle się mówiło na Zachodzie jakiś czas temu, jest dla nich po prostu jedną ze wstępnych faz medytacyjnych i nie ma w sobie tych tragicznych czy destrukcyjnych implikacji, jakie widzą w niej niektórzy filozofowie. Zniknięcie podmiotu to w tym ujęciu stadium pośrednie między fikcją podmiotu, w której wcześniej żyliśmy, a objawieniem się prawdziwego „ja”.

Studiują też inne dyscypliny, które, szczerze mówiąc, wydały mi się strasznie nudne. Zwłaszcza te, jak to się mówi, humanistyczne. Wśród nich wielkim poważaniem cieszą się teoria systemów i semiotyka, których zwolennicy uważają je za najważniejsze ze wszystkich.

Tak docieramy do nauk centralnych.

Do tej grupy przynależy na przykład nauka oddechu. Sądzi się tutaj, że ludzka uwaga wyzwala pewne rodzaje energii i że uważny oddech wpływa w związku z tym na stan psychiczny jednostki, a także reguluje funkcje ciała,

jak choćby ciśnienie krwi czy, przede wszystkim, pracę gruczołów. Nauka oddechu ma więc na celu uzyskanie kontroli nad organizmem, nie wspominając już o tym, że stymuluje wydzielanie serotoniny i dopaminy i stanowi doskonały wstęp do medytacji. Poprzez pranajamę skutecznia się „uzdrawianie praniczne”, w którym ważną rolę odgrywa niekiedy wyciąganie ramion na boki.

Pytam ich, czy naprawdę w to wszystko wierzą, oni zaś odpowiadają zawsze tak samo: że nie wierzą w nic.

Uprawiają również samoobszerwację, która obejmuje studia nad funkcjonowaniem umysłu, studia nad mechanizmami oraz studia nad relacjami między ciałem, umysłem i emocjami. Studia nad mechanizmami uwzględniają praktyczne badania własnych wzorców zachowań, typów myślenia i mechanicznych poruszeń. To jest Czwarta Droga, jak mówią, możliwa do praktykowania w dowolnym miejscu i czasie, niewymagająca ani ciszy, ani specjalnych pozycji czy ubrań. I dlatego właśnie najtrudniejsza.

Ćwiczenie uwagi odbywa się na rozmaite sposoby. Uwaga, jak ciągle słyszę, to czynnik decydujący, jeśli chodzi o tak zwaną kreatywną zdolność świadomości. Koncentracja, czyli właśnie ćwiczenie uwagi, pozwala rozciągnąć okresy świadomości. Ponieważ wyczerpuje niższy umysł, skutecznie wycisza „wewnętrzny dialog”, efekt automatycznego działania umysłu. Wedle Cirana i Cristiny tak rozumiana uwaga to narzędzie ukierunkowujące pochodzącą ze świadomości energię w pożądaną stronę: skupia rozproszone promienie w jedną wiązkę, dzięki czemu siła umysłu może wywierać wpływ na stałą materię.

Z kolei odczynności albo nie-całkiem-bycia to techniki stosowane do przełamywania nawyków percepcyjnych, które utrzymują człowieka w klatce jego wizji, sprawiając, że przestaje odczuwać życie i zatracza wspomnienie o sobie samym. Odczynności to działania takie jak na przykład jedzenie lewą ręką u praworęcznych, przetrzymywanie w ustach ziarna ciecierzycy, zmiana stylu ubierania się, nieustanne skupianie się na pauzach między oddechami i tak dalej. W ten sposób jednostka ludzka uświadamia sobie sterujące nią mechaniczne odruchy i uwewnętrznione przesady.

Siloe, urocza Meksykanka, tłumaczy mi, że koncept bycia nie całkiem wziął się z pewnej książki argentyńskiego pisarza Julia Cortazara. Ona, Siloe, sama pisze, głównie poezję, i to właśnie pisarstwo przywiodło ją na Biały Uniwersytet, chociaż tutaj dodatkowo odkryła dla siebie medytację,

wizualizację i, przede wszystkim, taniec. Ten ostatni stał się osią jej życia. Mówię, że gdy byłem w jej wieku, osią mojego życia była miłość. Odpowiada, że i tę znalazła na Uniwersytecie, gdy spotkała Hiszpana José Luisa Olmeda. No tak, przyznaję, zapomniałem że to Uniwersytet zakochanych.

Hatha-joga zapewnia im wszystkim niesłychaną fizyczną elastyczność. Rozciągają mięśnie i stawy, w których, jak twierdzą, kumuluje się przeszłość. Hatha-joga pozwala też uspokoić umysł, otworzyć ośrodki energetyczne ciała (nazywane czakrami, co w sanskrycie oznacza „koło”) i osiągać rozmaite stany świadomości, jako że – podobno – każda pozycja automatycznie wyzwała określony stan. Asany oczyszczają ciało, zatrzymują proces starzenia się, pobudzają krążenie i harmonizują pracę poszczególnych narządów i gruczołów.

Wracam do ogrodu Gardalis, owładnięty wspomnieniem jego piękna. To właściwie nie ogród, bo nie ma tu żadnego ogrodnika, ale człowiek czuje się jak w ogrodzie. Trawniki są gęste i miękkie, z ciemniejszymi plamami dorodnych koniczyn. Pnie jodeł wyrastają z trawy jak strzeliste kolumny. Ruda wiewiórka z ogonem w kształcie litery „S” patrzy na mnie zaskoczona, po czym pędzi ku najbliższemu drzewu i pospiesznie się na nie wspina. Huśtawka wciąż wisi w tym samym miejscu na długich złotych sznurach. Siadam na niej, odkładam kostur na bok i lekko się kołyszę. Wystarczy delikatne pchnięcie. Sunę ponad trawą i własnym na niej cieniem, a potem odrywam się od ziemi i huśtam coraz wyżej. Odnoszę wrażenie, że wznoszę się tak, jakbym miał pofrunąć ponad jodłami, lecz po chwili znowu opadam. Mój cień muska trawę, stokrotki, ząbkowane listki dmuchawców, koniczyny, dzikie asfodele. Lecę do tyłu, jakby wsysany przez niematerialną zieleń lasu, a gdy huśtawka osiąga maksymalne wychylenie, napieram na nią jeszcze mocniej, żeby pofrunąć jeszcze wyżej. Jakiś głos szepcze mi na ucho: puść się, jak będziesz tam w górze. Mocno przytrzymuję się złocistych sznurów. Nie zamierzam się puszczać.

W ramach ćwiczenia uwagi ćwiczę się wizualizację i aktywną wyobraźnię – techniki służące świadomemu przeprogramowaniu umysłu poprzez tworzenie wewnętrznych obrazów. Szczególnie istotne okazują się kolory, którym przypisuje się tutaj najróżniejsze moce i właściwości. Wszyscy na Uniwersytecie przywiązują wielką wagę do barw kwiatów, owoców, liści i zwierząt, zwłaszcza ptaków. Skupiają się też na kolorystyce dzieł sztuki, czy to będą hinduskie freski, gotyckie witraże, renesansowe portrety czy pejzaże

Davida Hockneya. Jednakże najbardziej interesują się barwami psychiki. Zapewniają, że kolor jako taki wpływa na nasz stan fizyczny i psychiczny, stymuluje uśpione strefy naszego wnętrza i tym samym zapewnia nam dostęp do Wielkiego Umysłu oraz w ogóle wyższych poziomów duchowości.

Wielkim Umysłem nazywają coś w rodzaju umysłu międzyosobowego, który przechowuje niemal nieograniczoną ilość informacji na najróżniejsze tematy, takie jak przyszłość i przeszłość, i każda z jednostek ludzkich. Ten umysł międzyosobowy nie ma wiele wspólnego z naszym zwykłym „ja”, objawia się bowiem, gdy milknie odbywający się w nas wewnętrzny dialog, a małe „ja” zanika, podobnie jak „niższy umysł”. Małe „ja” pozostaje indywidualne, doświadczamy go zaś jako jedyne prawdziwego źródła i powodu wszystkiego, co nas otacza. Wielkiego Umysłu doświadcza się podobno głównie poprzez medytację. Wspiąwszy się na ten poziom, można dowiedzieć się dowolnej rzeczy, rozwiązać każdy problem: techniczny, naukowy, emocjonalny, psychiczny, praktyczny lub artystyczny, wejść w kontakt z bytami duchowymi albo osobami przebywającymi bardzo daleko w przestrzeni, zobaczyć przyszłość lub przeszłość, ocenić stan zdrowotny i energetyczny wybranej jednostki, leczyć na odległość, czerpać inspirację z niedostępnych inaczej opowieści, symboli, głosów, słów, obrazów, rozmów ze świetlistymi istotami i tak dalej.

Niemal wszystkie uprawiane na Uniwersytecie dyscypliny: taniec, śpiew, hatha-joga czy nauka oddychania postrzegane są jako przygotowanie do medytacji, która uchodzi za najważniejszą ze wszelkich aktywności. Wymaga idealnej koncentracji i całkowitej ciszy wewnętrznej. Nie da się tego stanu „osiągnąć”, jak mi tu tłumaczą, albowiem wchodzi się w niego, zrezygnowawszy z jakiegokolwiek działania, zamiaru, napięcia albo pragnienia, skupiając się wyłącznie na byciu. Jeśli się jednak w niego wejdzie, odkrywa się prawdziwe „ja”, a to już początek tego, co nazywa się tu prawdziwym życiem. W tym ujęciu nasze ludzkie życie, takie, jakie znamy, stanowi jedynie niejasne wspomnienie, rozmyty cień tego prawdziwego. Skoro jednak to prawdziwe się objawi, choćby na moment, nasza egzystencja na ziemi może się odmienić.

Jakby tego wszystkiego było mało, na Uniwersytecie pracuje się również ze snami. Chodzi o to, by utrzymać w trakcie snu jasność umysłu albo wręcz się w jego wnętrzu obudzić (taki stan nazywa się śnieniem) i posłużyć się nim do uzyskania „obiektywnych” doświadczeń: kontaktów z jednostkami

energetycznymi, zwiedzania odległych miejsc i wymiarów... Tutaj mieszczą się też podróże astralne, wszelkie typy wychodzenia z ciała oraz „doświadczenia z pogranicza śmierci”. Uważa się je tutaj za coś dość powszechnego i niekoniecznie związanego ze śmiercią mózgową, zatrzymaniem czynności serca czy wstrząsem anafilaktycznym, jak to się często twierdzi. Stan taki zdarza się podobno także podczas medytacji, spacerów na wolnym powietrzu lub kontemplacji dzieł sztuki.

Zajęcia ze śnienia wyjątkowo mnie intrygują. Uczę się sposobów wybudzania się wewnątrz snu i opuszczania ciała, chociaż, jak mi powiedziano, czasem potrzeba do tego długich lat ćwiczeń. Sprawę ułatwiają podobno wprowadzone przez Castanedę techniki kontrolowania energii, takie jak rekapitulacja.

Zdumiewają mnie opowieści na temat podróży astralnych. Niektórzy profesorowie potrafią, jak się zdaje, świadomie przenosić się na inne planety, które opisują mi nader szczegółowo.

Prowadzone są tu też studia nad czymś, co określa się mianem świętej seksualności. Punkt wyjścia jak zwykle stanowi przekonanie, że świat jest energią, ludzkie ciało jest energią, wszystko jest energią, także myśli i uczucia. Energię seksualną wiąże się z drugą czakrą. Celebryje się immanentną godność ludzkiego ciała (dlatego, jak sądzę, niektórzy mają za zadanie chodzić przez jeden dzień lub kilka dni nago) oraz seksualność jako ośrodek ludzkiego życia – jako że to właściwie jedyne, co łączy istoty ludzkie z różnych kultur. Tak pojmowana seksualność to źródło przyjemności i rozrywki, środek porozumienia z innymi, wyraz miłości, sposób na uświadomienie sobie swoich związków z życiem, naturą, gatunkiem ludzkim i boskością. Studiuje się więc metody stymulowania i przeciągania rozkoszy bez osiągnięcia orgazmu, jak również intensyfikowania tego ostatniego, albowiem postrzega się go w kategoriach mistycznych. Ludzka seksualność rozumiana wyłącznie w kategoriach reprodukcyjnych jest, jak się tu twierdzi, pozbawiona sensu, nie wspominając już o tym, że podobny punkt widzenia sprowadza człowieka do poziomu zwierzęcia. Większość problemów ludzkości wynika z niewytłumaczalnej nienawiści do ciała przesycającej wiele kultur: chrześcijaństwo zabrania seksualnych rozkoszy; w kulturach afrykańskich dokonuje się obrzezania kobiet; islam tłumi pierwiastek żeński; wedanta sławi celibat; dżinizm piętnuje wszelkie przyjemności zmysłowe: oprócz seksu także jedzenie i picie, co zresztą przeniknie później do buddyzmu i wspomnianego

już chrześcijaństwa. Z tym samym wiążą się zakazy spożywania różnych pokarmów (wieprzowiny czy alkoholu, mięsa w ogóle, produktów „nieczystych”) czy odsłaniania kobiecej skóry (w islamie i ortodoksyjnym judaizmie), powszechny opór wobec homoseksualizmu, podejrzliwość względem tańca, śpiewu, a nawet muzyki instrumentalnej (w ekstremistycznych wersjach islamu), utożsamianie tancerek, śpiewaczek i aktorek z prostytutkami, oświeceniowa pogarda dla sztuki, opery, powieści, poezji, liryzmu i emocji, konsekwentne przedkładanie rzekomo męskiej racjonalności nad rzekomo kobiecą uczuciowość i zmysłowość... Tak, mówi Cristina podczas jednej z naszych rzadkich rozmów, wydaje się, że cała historia ludzkości to ustawiczne zwalczanie nie tylko kobiet, ale i całego wymiaru egzystencji łączonego z kobiecością, a przejawiającego się w cielesności, tańcu, seksualności, rozkoszy i pięknie. Zamiast tego od zawsze promuje się władzę, porządek, umysł, podziały, wojnę, kary i kontrolę.

Wszystkie wykładane na Uniwersytecie nauki łączą się i sprawiają, że adepci ociągają spokój wewnętrzny, poczucie nieustannej szczęśliwości i ciągłą gotowość do pomagania innym.

W którymś momencie, mówi Filemon, człowiek dostrzega siebie samego. Potem dostrzega świat. Jeszcze później objawia się jego prawdziwe „ja”. A gdy objawi się prawdziwa rzeczywistość, wszystko na zawsze ulega zmianie i zyskuje sens. Zaczyna się wolność.

Rodzi się w nas wtedy coś nowego: jakieś centrum, jakby magnes, kamień czy płomień. I możemy już wracać do świata, bo osiągnęliśmy wewnętrzną stabilność. Choć możemy też, mówi Filemon, zostać tu i przekształcać się dalej.

Ale o tym, mówi, co się wówczas dzieje, nie można rozmawiać.

Moje przejażdżki po kotlinie

Uczę się jeździć konno. To był pomysł Cristiny, która zaproponowała, bym, czekając na nową drewnianą protezę, przemieszczał się na grzbiecie wierzchowca.

Dostałem do dyspozycji bardzo spokojnego siwosza, który nigdy nawet nie kłusuje, nie wspominając już o galopie. Na imię ma, pocziwiec, Aurelianus. Zjeżdżamy razem w głąb kotliny. Tak tu mówią: kotlina, choć w gruncie rzeczy chodzi o krater wulkanu. Jak wcześniej wspominałem, jest to dość rozległy teren przeznaczony w większości pod uprawy. Hoduje się tutaj kukurydzę, kawę, pomidory, ryż, cebulę, ziemniaki, owies, soczewicę, melony, kapustę, ogóreczniki, chmiel, jak również jabłka, migdały, orzechy włoskie, gruszki, figi, papaje, awokado, czereśnie i śliwki. Nigdy nie przypuszczałem, że wszystkie te gatunki mogą rosnąć razem. Ponadto są tu ule, z których pozyskuje się miód i воск na świece, na łąkach zaś pasą się krowy (w liczbie dwudziestu), byki (dwa) oraz spore stadka owiec i kóz. Wielu miejscowych to wegetarianie, ale nawet ci, którzy jedzą mięso, wolą nie zarzynać zwierząt i czekają, aż same zdechną. Z mleka, którego się raczej nie pije, wyrabia się różne gatunki serów i masła oraz jogurty, twaróg i śmietanę. Jaj, kolejnego źródła białka, dostarczają kury i indyczki. Ponieważ chmiel udaje się w kotlinie nad podziw, kwitnie produkcja piwa – w dwóch rodzajach: jasnym i ciemnym. Lokalna kawa, mało palona, jest bardzo delikatna w smaku. Krów i byków używa się jako siły pociągowej – zaprzęga się je do wozów, które stanowią główny środek transportu cięższych ładunków, oraz do pługów. To zwierzęta rasy charolaise: białe, krótkorogie i olbrzymie. Podobno większy z buhajów, Zeus, waży tysiąc czterysta kilogramów, dorosłe zaś samice osiągają nawet dziewięćset kilo. Są mocne, zdrowe, mleczne, szybko rosną i pięknie się rozmnażają, często rodząc bliźnięta. Teraz akurat nie ma zbyt wielu cielaków, widuję natomiast sporo jałówek. Zadziwia mnie uroda tych

ośniewających stworzeń, szlachetność ich kształtów. Szukając przykładów szlachetnego piękna, nie myślimy raczej o krowach, jednak te tutaj wydają mi się majestatyczne niby lwy, ogiery czy jelenie. Łby mają duże i kwadratowe, z kępką kędzierzawej sierści między małymi rogami. Byki o napiętych pod lśniącą skórą mięśniach emanują arogancką siłą. Oczywiście, ci, którzy się nimi zajmują, nie zachwycają się ich skórą czy sierścią, co najwyżej czynią rzeczowe uwagi o ich maści (*coat*). Ich maść jest więc śmietankowa. Podczas przejażdżek po kotlinie zawsze przypatruję im się z przyjemnością. I ciągle wracam do pytania, czemu wcześniej nie zwracałem na nie uwagi. Może gdybyśmy je podziwiali, nie dalibyśmy rady ich jeść? Zresztą, zwykliśmy podziwiać te zwierzęta, których się boimy, a pogardzać tymi, które boją się nas.

Nie wiem, ile pasie się w okolicy kóz. Myślę, że po tutejszych łąkach i lasach wałęsają się trzy albo cztery stada. Wyrabiany tu kozi ser jest przepyszny. Nie ma nic lepszego niż podwieczorek złożony z razowego chleba, koziego sera, suszonych fig i jasnego piwa.

Kotlina podzielona jest na poletka i pastwiska poodgradzane od siebie kamiennymi murkami, jakie często spotyka się w Hiszpanii. Pokrywające je porosty świadczą o tym, że zbudowano je dawno, choć niezwykle porządnie. Wody nigdzie nie brakuje, lecz specjalne kanały kierują ją dodatkowo tam, gdzie jej najbardziej potrzeba. Gromadzi się ją też w wielkich zbiornikach. Deszcz pada dość często, ale nie tak obficie jak na nizinach i podobno czasem zdarzają się kilkutygodniowe przerwy.

Temperatura tu, na górze, jest nader przyjemna. W słońcu może być gorąco, jednakże bez przesady. Noce i poranki bywają chłodne. Czasem aż się trzeba przykryć lekkim kocem. Poza tym wilgotność powietrza nie dokucza tutaj tak jak w innych częściach wyspy.

Mam teraz nowe, czyste ubrania, dobrze się odżywiam, a śpię w łóżku i pod dachem, wreszcie niezależny od zmian pogody oraz wolny od towarzystwa owadów. Bardzo się zaprzyjaźniłem z Aurelianusem. Razem odkrywamy kolejne zakątki kotliny. Ale nie jestem szczęśliwy. Istnieje cień, który wisi nade mną dniem i nocą. Ten cień to Cristina. To Salome.

Planuję jeszcze bardziej zagłębić się w kotlinę, dotrzeć do jeziora, które widziałem z góry i które musi wyznaczać środek krateru, tyle że nie znajduję dróg prowadzących dalej niż do pewnego punktu. Po drodze natykam się na chatki i szopy, w których czasem ktoś jest. Jeśli medytuje lub śpi, to mu nie

przeszkadzam. Jeśli jednak pracuje w polu czy doi krowy, zatrzymuję się i pytam, jak przedostać się do jeziora. Odpowiedzi są zawsze mętne i mało satysfakcjonujące.

Wzdłuż ścieżek rosną dziko granaty, jabłka, róże... Pytam, czemu nikt nie zbiera owoców, i słyszę, że jedzenia i tak jest za wiele, i że gdyby zbierać wszystko, co wyrośnie, nikt by tego nie przejadł, więc efekt byłby podobny. Oczywiście, robi się marmolady, ćatni i inne przetwory, przechowywane potem w spiżarniach, lecz kotlina mogłaby wykarmić społeczność dziesięć razy większą niż ta, która zamieszkuje ją obecnie.

Pytam, co jest tam dalej, i nikt nie potrafi mi tego wyjaśnić. Gdzie dalej? Mówię, że wokół jeziora. A, jeziora. Tyle że jezior jest kilka. Tak, zgadzam się, ale jedno jest większe od pozostałych. Nie wiem, czy naprawdę nie rozumieją, o co mi chodzi, czy tylko udają.

Pewnego dnia, w trakcie jednej z przejażdżek na siwoszu, zagłębiam się w las, oddalając od pól i ogrodów, i trafiam na coś w rodzaju wyschniętego strumienia: przecinające ścieżkę ciemne koryto, z którego woda odpłynęła, jak sądzę, w wyniku prowadzonej w kotlinie irygacji. Udaje mi się nakłonić Aurelianusa, by podążył tym nowym szlakiem. Drzewa są tu bardzo wysokie, choć to olszyny, takie, jakie często spotyka się na podmokłych terenach w Europie. Jedziemy tak przez jakieś dwa kilometry i w końcu otwiera się przed nami rozległy widok: wielkie łąki porozdzielane szpalerami drzew. Nigdzie nie widać bydła ani pól uprawnych, niemniej tu i ówdzie ciągnie się ścieżka albo zarośnięty już kanał. Tak czy owak znać, że okolica jest opuszczona. Tonące w chaszczach kamienne murki zaczynają się rozpadać, stare śluzy nie działają.

Usiłuję szukać dawnych drózek, ale tylko gdzieniegdzie prześwitują spośród krzaków. Poczucie, że jestem sam, z dala od wszystkiego, sprawia mi przyjemność. Z rozkoszą zagłębiam się w cień wiązów, dębów, jesionów i olch – drzew typowych dla umiarkowanych stref klimatycznych – pod którymi wiją się zarośnięte ścieżki. Wkrótce wyczuwam zapach wody i słyszę pokrzykiwania wodnych ptaków.

Jezioro pięknie błyszczy w słońcu. Wreszcie je znalazłem! Połąć wody wydaje się podzielona na osobne strefy – każda ma inny kolor i sprawia wrażenie, jakby leżała w innej czasoprzestrzeni: tu połyskuje srebrem, tam, w oddali – ciemnym fioletem, na głębinach – granatem, a przy brzegach – błotną zielenią. Porośnięte wysokimi drzewami wysepki zasłaniają to, co jest

po drugiej stronie.

Myślę sobie, że takie jezioro pozbawione odpływu i przez wieki gromadzące rozmaite osady musi być wręcz zatrute, ale nie.

Woda wygląda na czystą, przybrzeżne pałki i trzciny kołyszą się łagodnie na wietrze. Zarys brzegu jest przyjemnie nieregularny: małe zatoczki błyskają księżycowatymi plażami o białym piasku, zielone półwyspy wrzynają się w toń. Kieruję ku niej konia; Aurelianus pije chciwie. Dookoła pływają łabędzie i kaczkę, widać też czaple i żurawie. Skoro życie tu kwitnie, to muszą być i ryby, może pstrągi, chociaż nigdy nie zaobserwowałem, by mieszkańcy kotliny jedli coś podobnego.

Jadę wzdłuż brzegu łąką usianą wiosennymi kwiatami: rosna tu lwie paszcze, stokrotki, drobne, białe i żółte narcyzy, małe orchidee tygrysie o białych, różowo nakrapianych płatkach, anemony... Dalej zaczyna się linia drzew, między którymi dostrzegam drewnianą chatkę – ciemną i dziwnie groźną. Powoli wyłania się spośród dwóch wielkich cyprysów o nisko zawieszonych, gęstych koronach. Te cyprysy wyglądają jak mroczne kolumny. Wokół, rozrzucone po łące, rosna dęby, wiązy, jesiony... Czy cyprysy nie pochodzą z innego klimatu? Nie znam się zbyt na drzewach, ale to, co mam przed oczami, znowu przypomina ogród botaniczny, albowiem tylko tam mogą współistnieć tak różne gatunki: pielgrzany, cyprysy, wiązy... Jednakże najbardziej niepokoi mnie chatka.

Ściągam Aurelianusowi wodze. Chatka jest stara i wyraźnie od wielu lat opuszczona. A przecież się jej boję – może dlatego, że wydaje się identyczna jak ta, którą znaleźliśmy, szukając Pohjoli, w noc, kiedy znikł mój przyjaciel Wade.

Zbliżam się ostrożnie. Czy ten domek jest taki jak tamten czy nie? Wtedy panowały wokół ciemności, oświetlaliśmy sobie drogę dwiema latarkami. Byliśmy wszyscy wycieńczeni po długiej wędrówce, skrajnie napięci. Nie mogę więc twierdzić z pewnością, że to taka sama, a zatem ta sama chatka, jednakże rozpoznaję drewniany próg i okno z prawej strony, z szybami całymi, choć pokrytymi warstwą brudu.

Okrażam budynek z daleka i słyszę jakieś głosy. Serce zamiera mi w piersi. Na trawniku za domem bawi się kilka dziewczynek. Podskakują tanecznie i śpiewają, ale nie rozpoznaję piosenki. Mają po mniej więcej dziesięć lat. Różnią się kolorem włosów: pośród blondynek i rudych tylko jedna jest ciemna. Ubrane są w krótkie, staromodne, haftowane w kwietne wzory

sukienki oraz w długie, kolorowe podkolanówki.

– Cześć – wołam, żeby ich nie przestraszyć. – Co wy tutaj robicie?

Przystają i patrzą na mnie zaniepokojone. Jedna coś trzyma. Przytrzymuje to ostrożnie w stulonych dłoniach.

– Co tu robicie? – powtarzam. – Mieszkacie w tym domu?

Dziewczynka otwiera dłonie, wypuszczając to, co w nich trzymała. Okazuje się, że to wielka, bura ćma, która macha skrzydełkami i niezgrabnie leci ku chatce. Kolejna dziewczynka, ruda, zrywa jakiś kwiat i rusza w moją stronę.

– O, prezent – mówię, siląc się na uprzejmość.

Nigdy nie umiałem rozmawiać z dziećmi. Nie rozumiem ich i muszę wyznać, że, jak wielu starych kawalerów, nieco się ich boję.

Dziewczynka zbliża się i wręcza mi kwiat. To mak, ale dziwny – z dwoma płatkami czerwonymi, a dwoma białymi. Chyba nigdy takiego nie widziałem.

– Dziękuję – rzucam, biorąc go z jej ręki.

– Schowaj go – odzywa się dziewczynka, gestem wskazując, bym włożył go do kieszeni koszuli. – Schowaj go dobrze.

Mówi dziwnie, jakby śpiewała. Z akcentem, którego nie rozpoznaję.

– Okej, tak zrobię.

– Schowaj go – powtarza dziewczynka – na za sto lat.

– Na za sto lat?

– Tak, na za sto lat.

– Dobrze – odpowiadam.

Dziewczynka oddala się, idąc do tyłu, i nie spuszczając ze mnie poważnego spojrzenia. Później ona i jej towarzyszki zrywają się do biegu i znikają pośród drzew.

Próbuję podjechać bliżej do chatki, ale Aurelianus nie chce się ruszyć i wbija kopyta w ziemię.

– Halo! – krzyczę. – Jest tam kto? – Myślę, że okno zaraz się otworzy, i ukaże się Wade, który z uśmiechem będzie coś przeżuwał: orzech, jabłko, dziką gruszkę... – Wade! Wade Erickson! Jesteś tam? – nawołuję.

Nic, tylko cisza natury: chór owadów, odległe pokrzykiwania ptaków, szum wiatru w gałęziach.

– Pohjola! – wrzeszczę wtedy, a głos drży mi ze strachu. – Aarvo Pohjola!

Nikt nie odpowiada. Nic się w starej chatce nie porusza.

Odjeżdżam powoli. Z każdym krokiem stawianym przez konia czuję, jak wpływ chatki słabnie. Wciąż jednak na mnie działa, fascynuje niby czarne

serce bijące w środku świata albo może na jego obrzeżu, w jakimś ciemnym, ponurym zakątku. Nadal mam w ręku mak. Ostrożnie wkładam go do kieszeni koszuli, mówiąc sobie, że po powrocie na Uniwersytet zasuszę go w jakiejś książce.

Życie Cristiny

– Po roku spędzonym w aśramie w Ryszikeśu pojechałam do Nowego Jorku – mówi mi Cristina. – Tak się złożyło, że od czasu do czasu zaglądali do nas uczniowie pewnego wychowanka swami Kajlaśanandy, od dłuższego czasu prowadzącego w Nowym Jorku niewielkie studio jogi. Ci jego uczniowie prawie zawsze źle znosili pobyt w Ryszikeśu. Swami wydawał im się zbyt wyniosły i zdystansowany. Życie w aśramie uważali za strasznie ciężkie. Cały czas nic tylko karma joga, karma joga i karma joga, rozumiesz? Praca na rzecz guru, na rzecz aśramy, ciągła i bezinteresowna, wiecznie u stóp guru, w roli nic nieznaczącego wobec jego świetlistej wspaniałości pyłku albo komara. Kiedy jednak opowiadali o Dharmie, swoim mistrzu z Nowego Jorku, oczy im się rozjaśniały. Twierdzili, że Dharma jest całkiem inny od swojego nauczyciela. Nie kładł wielkiego nacisku na teorię, bardzo w aśramie ważną: wszystkie te terminy w sanskrycie i informacje na temat kamieni, planet oraz liczb, wypełniające nasze zeszyty. Odzywał się rzadko, a kiedy już to robił, mówił rzeczy bardzo proste i przejawiał duże poczucie humoru. Był podobno człowiekiem niezwykle skromnym. Chociaż miał wielu uczniów i zaczynał zyskiwać sławę, utrzymywał, że nie jest niczym mistrzem; że jest „tylko instruktorem”. „Żaden ze mnie guru”, powtarzał. Pociągał mnie ten głos dobiegający z daleka, ten człowiek, który twierdził, że nie jest mistrzem, w świecie, gdzie wszyscy czują się mistrzami i stosownie do tego zachowują. Byłam zmęczona Indiami. Z trudem znosiłam to doświadczenie. Wszystko okazywało się trudne: klimat, dieta, samotność, brud, wszechobecne owady i zwierzęta, upalne lato i mroźna, śnieżna zima. Doznania wewnętrzne, owszem, były intensywne, tyle że po kilku miesiącach przestałam czuć jakkolwiek radość. Musiałam wracać na Zachód. Chciałam poznać Dharmę. Więc poleciałam do Nowego Jorku i poznałam Dharmę, który stał się moim nauczycielem jogi na następne trzy lata.

– Dharma to imię w waszych kręgach dość rozpowszechnione, prawda? – pytam.

– Tak, chyba tak – odpowiada Cristina. – W sanskrycie znaczy: prawo. A czemu pytasz?

– Kiedy mówisz o tym Dharmie, u którego się uczyłaś w Nowym Jorku, nie masz chyba na myśli Dharmy Mittry...

– Tak, właśnie jego.

– Dharmę, który ma za żonę żydówkę imieniem Eva, a sam pochodzi z Brazylii? Jest niezbyt wysoki, śniady, kędzierzawy...?

– No proszę – śmieje się Cristina. – To ty go znasz?

– Poznałem go tutaj, na wyspie. On i jego żona lecieli z nami samolotem.

– To niemożliwe – protestuje Cristina. – Żarty sobie ze mnie stroisz.

– Nie, on jest tutaj, na wyspie – zapewniam. – W tym momencie przebywa w osadzie na plaży. To on zrobił mi protezę, którą zgubiłem w górach.

– Niemożliwe.

– Tak, to kolejny zdumiewający zbieg okoliczności.

– Zrobił ci protezę?

– Tak. Doskonałą, zginającą się w kostce.

– Dharma zawsze świetnie radził sobie z drewnem. W Nowym Jorku całymi dniami robił meble, parawany, szafy, ludy...

– Pomógł mi też zbudować moją chatę, niedługo po katastrofie. Na początku myślałem, że jest zwykłym cieślą.

– I naprawdę się tu znalazł? Na tej wyspie?

– Tak.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepcze Cristina, podnosząc ręce do twarzy.

W ten sposób dowiaduję się, że rok po powrocie z Ryszikeśu zamieszkała na Manhattanie, jakieś dwieście kilometrów od miejsca, gdzie mieszkałem ja, i że spędziła tam całe trzy lata. Przez całe trzy lata ja mieszkałem w Oakland w stanie Rhode Island, a ona w nowojorskim East Village. Przez całe trzy lata jej mieszkanie przy Saint Mark's Place i mój dom w Oakland dzieliło tylko jakieś dwieście kilometrów. Czyli trzy i pół godziny jazdy samochodem. Pięć – jeśli wsiadło się w pociąg na Penn Station, a później w autobus Greyhounda z Midway.

Nagle całe moje życie wydaje mi się absurdalne.

Siedzimy na jednym z tarasów. To moje ulubione miejsce na „kampusie” Białego Uniwersytetu. Wzdłuż balustrady ciągnie się falistą linią biała

kamienna ławka. Kamień jest tak wyslizgany, że przypomina fakturą jedwab. W kolistej przestrzeni wyciętej pośród płytek pokrywających taras rośnie figowiec. Po ścianie obok pnie się bujna bugenwilla, której różowe i fioletowe kwiaty (bo to w gruncie rzeczy dwie splecione bugenwille) stanowią królestwo os i motyli. Na ziemi leży kilka uschłych płatków. Wyglądają jak z papieru. Usiedliśmy z Cristiną na ławce i patrzymy na kotlinę. Zielone ściany krateru kreślą majestatyczny okrąg. Chmury, nieruchome na różnych wysokościach, przywodzą na myśl kwiaty dryfujące po stawie. Jak co wieczór na tle błękitnego jeszcze nieba kołują jaskółki.

Wiele ją kosztowało, by o mnie zapomnieć – wiele czasu, wiele podróży, wiele łez. W końcu poznała innego mężczyznę i zakochała się w nim. Właśnie wtedy naprawdę zaczął się długi i mozolny proces zapominania. To było pięć lat po naszym rozstaniu. Tamtego mężczyznę poznała w Meksyku, jak opowiada, na pewnym kursie. W owym okresie interesowała się szamanizmem. Jeździła do Peru i do Meksyku, gdzie spędzała coraz więcej czasu. W mieście Meksyk, w San Miguel Allende, w Real de Catorce, w Oaxace. Mężczyzna, w którym się zakochała, przyjaźnił się z Meksykanką przyjaźniącą się z kolei z jej znajomymi. Kobieta ta mieszkała w Polanco, dzielnicy miasta Meksyk, i organizowała w swoim domu najróżniejsze ezoteryczne spotkania. Spotykali się u niej mnisi buddyjscy, alchemicy, zwolennicy Aurobinda i Carlosa Castanedy, do którego grupy sama zresztą należała. Pytam o imię tej kobiety, a Cristina mówi, że jej imiona brzmiały: María Teresa Eloísa. Widząc zaskoczenie w moich oczach, pyta z niedowierzającym śmiechem, czy i ją również poznałem; czy i ona leciała z nami samolotem. Nie, nie leciała, odpowiadam, i nie znam jej osobiście. Ale jest między nami młoda Meksykanka, która, owszem, zna ją dobrze. Niejaka Xóchitl. I opowiadam o Anie Marii oraz Miguelicie. Chodzi ci, rzuca Cristina, o Miguelita z Pahuatlán? Tak, ona również go zna i również odwiedzała go w Pahuatlán, chociaż wtedy miał jeszcze skromną chatkę bez podłogi, z dymnikiem w dachu. Tak, zna Miguelita, nauczyła się od niego przygotowywać *temazcal* i cierpliwie, pokornie czekać, słuchała jego historii o kwiecie kukurydzy i kwiecie kakaowca, przy ogniu, w górach, słuchała tych historii, które nieodmiennie prowadziły ku „drugiej uwadze”, ku śnieniu. W jej opowieści Miguelito jest zupełnie inny niż w opowieści Oscara Panera: wyższy i bardziej tajemniczy, ale nie ulega wątpliwości, że to ten sam człowiek. Jak możliwe są podobne zbiegi okoliczności? Jak to możliwe, że

spośród garstki zebranych na chybił trafił z całego świata osób tak wiele zna się między sobą? Jak to możliwe? – pytam.

– Świadomość, że na świecie żyją miliony ludzi, sprawia, że zatracamy perspektywę – mówi Cristina. – A może po prostu wszyscy jesteśmy w rzeczywistości rodziną. Małą rodziną.

– Ta dziewczyna, Xóchitl, przeżyła w Pahuatlán coś okropnego. Tamta twoja znajoma ją ostrzegła, żeby tam nie wracała, bo to niebezpieczne. Nie wiem, co w niej albo w jej słowach zauważyła, że wyczuła zagrożenie.

– María Teresa jest niesamowita – stwierdza Cristina. – Naprawdę dużo wie.

– Podziwiasz ją.

– To moja mistrzyni i zarazem siostra – potwierdza Cristina. – Gdyby tutaj była, widziałabym ją w roli Salome.

Nie chcę jednak oddalać się od tematu, który najbardziej mnie interesuje. Mówiła, że swojego przyszłego męża poznała pewnego wieczoru na kolacji u Marii Teresy Eloísy i że po wyjściu stamtąd ruszyli we dwoje w stronę większej ulicy, by złapać taksówkę, a wieczór był zielonkawy, jak to w mieście Meksyk, opowiada, chociaż ja nie rozumiem, dlaczego wieczory są tam akurat zielonkawe, nie zaś niebieskie czy różowe, i zaczęli rozmawiać, i tak rozmawiali i spacerowali aż do rana pustymi ulicami pośród ogrodów, w których rosły wielkie uśpione mimozy i koralodrzewy, mijając też nocne lokale urządzone jak w latach sześćdziesiątych, i w końcu, nie uląkłszy się żadnego z niebezpieczeństw meksykańskiej nocy, znaleźli się w parku Alameda, gawędząc na ławce i kontemplując świt wstający ponad błękitnymi szybkami Wieży Latinoamerykańskiej. Dzieliła ich znaczna różnica wieku: on był mężczyzną dojrzałym, doświadczonego, lecz nietracącym humoru, surowym i zarazem pogodnym, zapalonym wędrowcem, ojcem dorosłych już dzieci, eksmężem paru żon i ofiarą jakiejś dawnej tragedii, człowiekiem zdecydowanym, pozbawionym wahań czy pretensji, realistą patrzącym śmiało w przyszłość i jednocześnie marzycielem. Sześć miesięcy później byli już po ślubie. Pobrali się w Baltimore, opowiada Cristina, gdzie on wtedy mieszkał, w kościele Świętego Stefana, dziewiętnastego marca. Zaskakuje mnie, że fakt zawarcia małżeństwa oraz data i miejsce tego wydarzenia są dla niej ważne. Gdy byliśmy razem, przez te długie i intensywne lata, taki temat nigdy nie wypłynął i sędzę, że żadnemu z nas dwojga, przynajmniej wtedy, nie zależało na zalegalizowaniu naszego związku. Pytam, czy miała na sobie białą suknię,

a ona mówi, że tak, białą, choć nie do końca tradycyjną. Pytam, czy miała na sobie coś niebieskiego, coś pożyczonego i coś nowego, a ona odpowiada, że tak, tak, jasne. A zatem wzięła ślub kościelny, w białej sukni i z bukietem kwiatów pomarańczy. Nie, to były kwiaty tarniny, uściśla, śliczne, drobniutkie kwiaty tarniny. Pytam, czy wciąż jest żoną tamtego, i słyszę, że tak. Wiem, że nie mam prawa czuć bólu, ale mimo wszystko czuję. Ból nie prosi o pozwolenie. Czuję ból i patrzę na jej dłoń, z tym pierścieniem, który zauważyłem od razu.

– Ja o tobie nigdy nie zapomniałem – mówię.

– Nie?

– Sądzę, że nie było przez te wszystkie lata ani jednego dnia, kiedy bym o tobie nie pomyślał.

– Ale była inna kobieta.

– Jak to?

– Wtedy. Jak ja byłem w Ryszikeśu.

– Nie. Nie było innej kobiety.

– Nie?

– Nie było innej kobiety. Nigdy nie było innej kobiety.

– Nie?

– Nie.

– Byłam przekonana, że kogoś poznałeś. Zawsze uważałam, że to ja ponoszę winę za nasze rozstanie, bo zostawiłam cię na tak długo samego w Madrycie. Zmienacka wyjechałam, znikłam i spędziłam prawie rok gdzieś indziej. A wiedziałam przecież, że nie jesteś stworzony do samotności. Wiedziałam, że nie wytrzymasz tyle czasu. To była z mojej strony nieodpowiedzialność. Dlatego ja ponoszę całą winę.

– W jednym się mylisz – stwierdzam. – Ostatecznie się okazało, że jestem prawdziwym mistrzem samotności.

– O, doprawdy?

– Od tamtej pory żyję sam.

– Tak?

– Tak.

– Czyli nie poznałeś nikogo, jak ja byłam w Indiach?

– Nie.

– No proszę, to dopiero niespodzianka.

– Dlaczego sądzisz, że kogoś poznałem?

– Zawsze zakładałam, że to właśnie się wydarzyło.
– Nigdy nie było innej kobiety. Ani wtedy, ani później.
– Ale chyba nawiązywałeś po drodze jakieś relacje.
– Wiele – odpowiadam. – Czyli żadnej.
– Chodzi mi o to, że chyba się jeszcze potem zakochałeś.
– Nie, nigdy więcej się nie zakochałem.
– Ale chyba z kimś mieszkałeś, choćby przez jakiś czas.
– No więc nie.
– Nie? Nigdy z nikim nie mieszkałeś?
– Nie dłużej niż tydzień.
– Tydzień! – woła Cristina, przykładając dłonie do twarzy w geście komicznego zdumienia.
– Zawsze byłem samotnym kocurem – mówię. – Kocurem szukającym wrażeń.
– Czyli się nie ożeniłeś, nie masz dzieci.
– Nie.
– Myślałam, że żyjesz sobie szczęśliwie wraz z rodziną gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Zawsze tak myślałam.
– Nie, Cristino. Nie mam żony, nie mam dzieci. Nie mam niczego. Oprócz psa Ballarda. Tylko on na mnie czeka.
– Masz psa? – śmieje się Cristina. – W życiu bym nie zgadła. Nigdy nie lubiłeś zwierząt...
– Nie.
– A więc? Skąd ci się wziął ten Ballard? Dostałeś go w prezencie?
– Powiedzmy, że go odziedziczyłem. Ale zaraz mi się spodobało, że mam kogoś, kto ode mnie zależy, kto szuka mojego towarzystwa, czeka na mnie i mnie potrzebuje. Spodobało mi się, że wracając do domu, słyszę szczekanie.
Cristina pogrąża się w milczeniu i spogląda w dal, na kotlinę. Spowija nas cień i słodkawy zapach figowca. Myślę sobie, że łatwo byłoby się wychylić przez balustradę, rzucić w dół i ze wszystkim skończyć.
– Cristino – mówię. – Twój mąż... Ten mężczyzna, którego poznałaś w Meksyku i za którego wyszłaś...
– Tak?
– To Ciran, prawda?
– Tak. To Ciran.
Teraz ja milknę.

– Bardzo go lubię – odzywam się w końcu, czując, że drżą mi wargi i ręce.
– Zaprzyjaźniliśmy się.

– Tak, wiem.

Ciran jest jej mężem. Tak, wiedziałem to, przeczuwałem. Nikt nie musiał mi tego mówić. Tyle że prawdziwy ból przychodzi dopiero wtedy, jak się coś ujmie w słowa. Najbardziej bołą nie rzeczy, lecz nazwy, które im nadajemy. Ciran jest mężem Cristiny. Cristina jest jego żoną. Jest żoną innego, nie moją.

Więc po co się tu wspinałem? Dlaczego musiałem zapuścić się aż tutaj?

Dwaj przyjaciele rozmawiają

Filemon mówi mi któregoś ranka, że kilka dni wcześniej odnaleźli Osiedle Katastrofa. Dzięki moim wskazówkom łatwo im poszło. Najwyraźniej jest tylko jedna duża rzeka z ujściem na północy wyspy, co, rzecz jasna, zaprzecza niektórym naszym wyobrażeniom na temat tutejszej geografii. Goran i Matwiej, nauczyciele, odpowiednio, tańca indyjskiego i kosmologii, wybrali się na wybrzeże z narzędziami oraz dwoma uniwersyteckimi cieślami, by pokazać rozbitkom, jak skonstruować kilka dużych statków, którymi, obrawszy odpowiedni kurs, można się dostać na szlak uczęszczany przez frachtowce. Mieli ze sobą list, który napisałem na prośbę Salome, przeświadczonej, podobnie jak ja, że inaczej rozbitkowie im nie uwierzą. Filemon opowiada, że zadanie okazało się łatwiejsze, niż się spodziewaliśmy: cieśle muszą zbudować jedynie dwa okręty, gdyż moi przyjaciele zdobyli już wcześniej żaglowiec zdolny pomieścić mniej więcej połowę rozbitków. Żaglowiec? Dziwię się, skąd go wytrzasnęli. Tak czy owak, zauważa Filemon, na samym żaglowcu daleko by nie odpłynęli. Wyruszyliby, ale wyspa ściągałaby ich raz po raz z powrotem. Natomiast trzymając się ściśle zaleceń, zdołają może przedostać się przez wąski przesmyk, który pozwala wyrwać się z jej magnetycznego czaru i dostać na otwarty ocean.

Jednakże wesołość, z jaką Filemon to mówi, sygnalizuje mi, że jest coś jeszcze.

– Nie wszyscy chcą odpłynąć – wyjaśnia Filemon. – Niektórzy z twoich przyjaciół postanowili wyprawić się tutaj.

– Jak to? – pytam rozradowany.

– Tak – potwierdza Filemon. – Też się zdziwiliśmy. Zakładaliśmy, że po trzech miesiącach cierpień każdy będzie chciał tylko wrócić do domu.

– Czyli niektórzy postanowili odwiedzić Uniwersytet?

– Tak, właśnie tak.

– I wkrótce tu będą?

Ciran z rozbawieniem wskazuje palcem posadzkę.

– Już tu są? – nie dowierzam.

– Tak. Przyprawdzili ich ze sobą. Parę godzin temu.

– Ale... kto? – pytam. – Kto przyszedł?

Ciran proponuje, żebym sam się przekonał. Nasi goście, mówi z uśmiechem, zdążyli już zażyć kąpieli, której bardzo potrzebowali, oraz przebrać się w czyste ubrania. Teraz zapewne jedzą śniadanie w palmowym ogrodzie. Spieszę więc w tamtą stronę. Wielu ich, więcej, niż się spodziewałem. Kto by przypuścił, że zdecydują się zapuścić aż tutaj, mając do wyboru powrót do swoich bliskich? Może zresztą oni akurat nie mają nikogo bliskiego. A może powoduje nimi niepowstrzymana ciekawość. Wszyscy mają na sobie jasną odzież typową dla Uniwersytetu. Oto oni, moi przyjaciele, moja rodzina: Joseph, Sophie, Sebastian, Carl, Rosana, Syra, Dharma Mittra, Eva, Julián i Matilde, Joaquín, Xóchitl i jeszcze dwie osoby z grupy Dharmy, Mike Garson i Lily Whittfeld oraz, ku mojemu zaskoczeniu, Jimmy Bruëll. Wylewnie witam się ze wszystkimi, ściskam Josepha i Sophie, później chłopców, Rosanę i Syrę, która zresztą odsuwa się ode mnie jak może. Oni wiedzieli, że mnie tu zastaną, ale i tak się cieszą. Joseph ogląda ślad po ukąszeniu skolopendry, wciąż przysparzający mi bólu, i mówi, że nie wygląda to dobrze i nie powinienem raczej tego miejsca zakrywać. Podano im herbatę, sok z grejpfruta, mleko, owoce, kozi ser, miód, suszone figi, kasztany gotowane w cukrze, chleb, smażone papryczki i jajecznicę z grzybami – prawdziwie luksusowe śniadanie, którym rozkoszują się z niemal religijnym namaszczeniem. Jedzą jak żebracy: wbijając wzrok w talerze i pochłaniając wszystko do ostatniego okruszka.

Widzę Joaquina i Xóchitl, jak zwykle razem, trzymających się za ręce i uśmiechniętych. Nie wiem w sumie, czy to dobrana para. Joaquín wydaje się zbyt kruchy, zbyt delikatny przy tej wysokiej Meksykance. Xóchitl jest prześliczna, śniada, ma wyraziste azteckie oczy i długie włosy, jednakże tkwi w niej coś tragicznego, coś ciemnego, strasznego, co mgliście przeczuwałem, a co teraz, znając jej historię, już rozumiem. Ale może to ta tragedia, ta straszna ciemność tak pociąga w niej Joaquina, tak jak ją pociąga w nim zapewne jego dobroć, ta otaczająca go aura leśnego skrzata, to widoczne u niego połączenie męskości i miękkości... Kto wie, może właśnie doskonale się dopełniają. Może ona jest dla niego łączem z rzeczywistością, on zaś dla

niej – łodzią ratunkową i schronieniem.

– Ja od początku wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni – oznajmia Joaquín. – Od pierwszych dni.

– Najpierw się przyjaźniliśmy – dodaje Xóchitl, patrząc na niego. – Miłość przyszła później.

Pytam Joaquina, czy przywitał się już z Salome, która kieruje tym miejscem, a on odpowiada, że nie: słyszeli o niej, ale jeszcze się z nią nie widzieli. Cóż, mówię, czeka cię spora niespodzianka. Pytam też, od jak dawna nie widział się ze swoją kuzynką Cristiną. Od lat, przyznaje, lata temu prawie wszystkim nam urwał się z nią kontakt. Nie wie jednak, czemu o niej wspominam. W końcu zdecydowałeś się poruszyć ten temat, rzuca. Sam nie chciałem tego robić, bo wiedziałem, że wam nie wyszło. Niemniej wydawało mi się nienaturalne, że przez cały ten czas ani razu nie wymówiłeś jej imienia. Że ani razu o nią nie zapytałeś. Tak, masz rację, mówię. Teraz będziemy rozmawiać o niej często. Sam zobaczysz. Ja zawsze bardzo kochałem Cristinę, oświadcza Joaquín. Moją angielską kuzynkę. Moją angielską kuzynkę, nieodrodną córkę swojej przepięknej angielskiej matki. Zauważam, że trudno jest nie kochać Cristiny. I dodaje, że bardzo się cieszę, że tu są: on, Julián i Matilde. Moi starzy przyjaciele. I moi nowi przyjaciele też.

Ale dlaczego właściwie zdecydowali się tu przyjść? Dharma z zainteresowaniem ogląda moją nową drewnianą nogę. Wyjaśniam mu, jak zgubiłem tę, którą mi zrobił, i w jakich okolicznościach dostałem następną.

– Cóż – mruczy, gładząc się po podbródku, jak zawsze wtedy, gdy głęboko nad czymś rozmyśla. – Może dałoby się ją nieco poprawić. Mają tu narzędzia?

– Mają wszystko, czego dusza zapagnie – zapewniam.

Zauważam, że Rosana i Jimmy Bruëll siedzą koło siebie i przerzucają się żartami. Ona jest malutka, a on bardzo wysoki, przy niej wręcz olbrzymi. Musi być też od niej z dziesięć lat młodszy. Niemniej widzę, że są teraz kochankami. Otacza ich ta ciepła łóżkowa aura, która utrzymuje się i poza łóżkiem. Rosana chyba dostrzega moje zdziwienie.

– Zaskoczony, Johnny boy? – Jimmy puszcza do mnie oko.

– Prawdę mówiąc, trochę tak – przyznaję.

Rosana się czerwieni.

– Jimmy dał się za mamę wychłostać – oznajmia Syra, śmiejąc się i ogryzając paznokcie.

– Syra! – upomina ją Rosana. Ale nie za paznokcie, tylko za to, że córka się

na ten temat wypowiada.

– Nadal ma ślady na plecach – dorzucą dziewczynka.

Później zaczyna głucho kaszleć.

Wade, Joseph, Rosana. Może nigdy nie spotkałem ludzi, z którymi czułbym się tak związany. Moi najlepsi przyjaciele. Trzy osoby, z którymi dzieliłem najintensywniejsze w życiu doznania, dla których ryzykowałem życie i którzy ryzykowali życie dla mnie. Teraz wszakże bractwo pierścienia się rozpadło. Chociaż może nie. Może Wade wciąż w jakiś sposób jest gdzieś na wyspie.

– Dużo się wydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania – stwierdzam później, rozmawiając z Josephem sam na sam. – Na przykład Rosana i Jimmy Bruëll.

– Rosana i Jimmy są parą – przytakuje Joseph. – Nic mnie już prawie nie dziwi, a to zdziwiło. Rosana, owszem, jest bardzo atrakcyjna, ale Jimmy’ego wyobrażałbym sobie raczej z jakąś botoksovą modelką ze „Sports Illustrated”.

– Może znudziły mu się modelki ze „Sports Illustrated”.

– No a ona? Co ona w nim widzi?

– Ja bym się aż tak bardzo nie dziwił – mówię niezgodnie z prawdą, powodowany polemicznym odruchem. – To naprawdę przystojny facet. Taki *ladies’ man*.

– Czyli twoim zdaniem chodzi o przelotny kaprys.

– Nie wiem.

– Wydajesz się zazdrosny. – Joseph się śmieje.

– Zazdrosny? Ja?

– Myślałem, że Rosana ci się podoba.

– Przyjaźnimy się – odpowiadam. – Przyjaźnimy się i nic więcej. Poza tym niewykluczone, że Jimmy się zmieni. Bo mnie ta wyspa zmieniła. Więc może zmieni też jego.

– Daj spokój, John, nikt się nigdy nie zmienia.

– Niektórzy owszem – oponuję. – Można zacząć źle, a skończyć dobrze. Nie sądzisz?

– No cóż, to możliwe – przyznaje Joseph, wyraźnie pragnąc porozmawiać o czymś innym.

Mija parę dni od przybycia moich przyjaciół do kotliny. Joseph i ja siedzimy na ławce przy drewnianym stole, w cieniu figowca, podziwiając skąpane w słońcu widoki i popijając jasne piwo, jak na starych druhów

przystało. Błękitne trzmiiele buczą między kwiatami figowca, nad naszymi głowami śpiewają szpaki. Uniwersyteckie budynki, tarasy i schody zaczynają się nieco powyżej miejsca, gdzie się znajdujemy. I nagle przypominam sobie inną naszą rozmowę: snułem nieprawdopodobne wtedy wizje, że moglibyśmy się kiedyś spotkać w jakimś cywilizowanym miejscu właśnie przy piwie. Ale tak jest ze wszystkim: rzeczy są albo trudne do pomyślenia, albo oczywiste. Są albo snami, albo nawykami – pośrodku nic nie ma.

Milczymy. Tutejsze piwo nigdy nie jest tak zimne, jak by sobie tego człowiek życzył, niemniej smakuje dobrze. Otwarta przestrzeń, gorzkawy smak na języku, ciepło słońca, łagodne uśpienie nerwów – wszystko to sprawia wielką przyjemność.

– Co to za miejsce, John? – pyta Joseph. – Czy popełniliśmy błąd, zjawiając się tutaj?

– Nie wiem, co to za miejsce – odpowiadam. – Wielu rzeczy wciąż nie rozumiem. Ale podoba mi się tu.

– Ale co ci wszyscy ludzie tutaj robią?

– Chyba próbują żyć inaczej. Są przekonani, że ludzkość mogłaby być inna, niż jest.

– I nie mają lekarza – stwierdza Joseph.

– Och, mają ich wielu – mówię, puszczając do niego oko – tyle że nie takich, którzy leczą naprawdę.

– Nie pojmuję, gdzie my właściwie jesteśmy – nie ustępuje mój przyjaciel, kreśląc w powietrzu łuk ręką. – Na innej wyspie? Co to takiego?

– Jesteśmy w kraterze wulkanu.

– W kraterze wulkanu? Jakiego wulkanu?

– Wulkanu, który wznosi się na środku naszej wyspy.

– Czyli wciąż jesteśmy na naszej wyspie.

– Tak, oczywiście. Jak się tutaj dostaliście? Nie widziałeś, którądy was prowadzą?

– Nie wiem... Zasnąłem i obudziłem się już tutaj. Podobnie jak reszta. Nie mam pojęcia, jak nas uspili. Niczego nam nie dawali.

– A Jimmy? Jak go uwolnili z Centrali?

– Nie musieli go uwalniać. Jimmy był już z nami w osadzie.

– O, naprawdę? Zdołał uciec?

– Wygląda na to, że ten cały Lewellyn po powrocie do Centrali wszystkich wypuścił. Po tych wszystkich przygodach, jakie mieliście z Wade'em i Rosaną

w górach...

– Doprawdy?

– Zszedłszy z gór, od razu oswobodził naszych.

– No proszę.

– Tak. Dał im żaglowiec i zapasy żywności, więc wrócili do osady wzdłuż wybrzeża. Ten żaglowiec stał wcześniej w porcie. Opowiadałeś nam o nim. Świetnie jest zresztą wyposażony.

– Dał im go? I tak po prostu ich wypuścił?

– Tak po prostu. Nikt nam niczego nie wytłumaczył.

– Ale dlaczego on to zrobił?

– Bracie, skoro ty nie umiesz odpowiedzieć na to pytanie... Znałeś Lewellyna najlepiej. Tylko z tobą rozmawiał, prawda?

– Tak.

– Rozmawialiście niemal codziennie, podczas gdy inni pracowali w kamieniołomie.

– Nie, nie codziennie, ale owszem, kilka razy. Nie wiem czemu, ale Lewellyn zabierał mnie w różne miejsca, pokazywał mi różne rzeczy, opowiadał mi o Centrali. Naprawdę nie wiem czemu.

– I nie potrafisz się domyślić, dlaczego wszystkich uwolnił i podarował im statek?

– Nie.

Milczymy przez chwilę, smakując piwo.

– Tam, w górach, wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy – mówię w końcu.

– Tak, opowiadałeś.

– Możliwe, że to pan Pohjola mu kazał – rzucam niewinnie, kątem oka obserwując reakcję Josepha.

– Pan Pohjola... – Mój przyjaciel głęboko wzdycha.

– Bo jak to inaczej wytłumaczyć? – ciągnę. – Skoro Lewellyn wypuścił wszystkich zaraz po powrocie z gór, to znaczy, że postąpił tak z powodu czegoś, co zaszło właśnie w górach.

– Cóż, to ty wiesz, co tam zaszło.

– Wiele dziwnych rzeczy.

– Ale w końcu nie znaleźliście tego Pohjoli.

– Nie.

– Szukaliście jego domu, którego nigdzie nie było, natknęliście się za to na opuszczoną chatkę i następnego dnia Lewellyn przepadł.

– Właśnie tak.

– A zatem Pohjola nie istnieje, a nawet gdyby istniał, nie mógłby niczego Lewellynowi kazać, bo go tam nie było.

– Na to wygląda.

– Wade nie wrócił – rzuca wtedy Joseph.

– A spodziewałeś się, że wróci?

– Nie wiem.

– Joe, Wade nie żyje.

– Nie wiesz tego. Nie możesz mieć pewności. Nie widziałeś, jak umierał. Nikt nie widział. Nikt nie umiera tylko dlatego, że wejdzie do jakiejś chatki.

– On znikł.

– Nikt tak po prostu nie znika.

– Wciąż myślisz, że jest u Lewellyna w Centrali?

– Ja już nic nie myślę, John. Przestałem myśleć.

Znów pograżamy się w milczeniu. Popijamy piwo. Joseph zerka na mnie i kiwa głową, jakby mówił: niczego sobie.

– Z tego, co widzę, odnaleźliście dzieci – stwierdzam.

– Tak, wszystkie, co do jednego.

– W jakim były stanie?

– Dobrym. Na początku nie bardzo mogły spać, ale stopniowo wróciły do normalności. Sebastian miał straszne bóle głowy, które jednak na wybrzeżu ustały. Dziwne jest tylko to, że Seymour zaczął mówić.

– To źle?

– Jest na to za mały. Zdarza się, że niemowlę w tym wieku wypowiada pierwsza słowa, ale on miał przecież poważnie uszkodzony mózg. Lekarze powtarzali Lizzie, że najprawdopodobniej nigdy mówił nie będzie.

– No tak.

– Wiem, co mi zaraz powiesz – rzuca Joseph. – Że na tej wyspie dzieją się cuda.

– Twoje słowa, nie moje.

– Naprawdę w to wierzysz? Wierzysz, że tutaj zdarzają się cuda?

– Nie wiem – odpowiadam. – Może zdarzają się wszędzie, tylko my tego nie widzimy.

– Rozmawialiśmy o tym. Ja w nie nie wierzę.

– Nikt w nie nie wierzy – mówię. – Cud to coś nie do uwierzenia. Tyle że tutaj może chodzić o coś innego.

- O co? O wyjątki od reguły?
- Nie wiem. O rzeczy niewytłumaczalne.
- Tak, rzeczy niewytłumaczalne...

Joseph urywa. Nigdy go to nie interesowało i zapewne nigdy nie zacznie.

– Ale co takiego usłyszeliście od Gorana i Matwieja, że zapragnęliście się tu dostać? – pytam.

– Oczywiście pokazali nam twój list. Inaczej byśmy im nie uwierzyli. Zresztą wielu nie wierzyło, że to list od ciebie. Wielu wietrzyło kolejny podstęp ze strony *insiders*. Tyle że później Goran i Matwiej zaczęli nam opowiadać o tym miejscu... – tłumaczy Joseph. – Ty też zresztą pisałeś o nim w liście. Od nich dowiedzieliśmy się, że mieszka tu jakieś pięćset osób. I że nie ma wśród nich żadnego chirurga ani w ogóle zwyczajnego lekarza. Zwyczajny lekarz. Śmieszy mnie to wyrażenie. Wygląda na to, że ostatni opuścił ich przed laty. Zaproponowali, bym się tu rozejrzał i, jeśli mi się spodoba, został. Spytałem Sophie o zdanie, a ona orzekła, że spróbować nie zawadzi.

– Dziwi mnie, że nie nalegała na powrót do Los Angeles.

– Tak, mnie też to dziwi. Ale ona ma w sobie żądzę przygód, John. Lubi wyzwania i nowości.

– Myślałem, że wszyscy mamy dość przygód na całe życie.

– Ja też tak myślałem.

– A Leverkusen? Zgodził się na rozstanie z synami?

– Nie wiemy, gdzie on jest – wzdycha Joseph. – Znikł. To kolejny powód, dla którego Sophie nie chciała opuszczać wyspy.

– Znikł?

– Znikł.

– Może *insiders* zaczęli teraz porywać architektów?

Joseph parska śmiechem. Obaj parskamy.

– Nie powinniśmy sobie z tego żartować – mówi on.

– Nie, nie powinniśmy.

Moja przedostatnia próba

Jednak coś się nie zgadza. Od początku. Od kiedy się tu zjawiłem. Wiem, że Cristina i Ciran nie mieszkają razem. Ona rezyduje w budynku położonym w górnej części kompleksu uniwersyteckiego i służącym za akademik dla kadry profesorskiej. Wiem, bo kilka razy ją śledziłem. Nie rozumiem, dlaczego sama mi tego nie pokazała. Dziwię się, że nie zaprasza mnie do siebie na herbatę czy kolację. Czy obawia się, że mógłbym to niewłaściwie zinterpretować? Pragnie zachować dystans? Boi się, że starałbym się znów nawiązać z nią intymne kontakty? Tak, nie ulaga wątpliwości, że się boi, nie chce dawać mi fałszywych nadziei i dlatego mnie okłamała. To znaczy nie do końca – bo prawnie wciąż są z Ciranem małżeństwem, tyle że od wielu lat nie żyją jako para. To takie angielskie: ta dbałość, by formalnie nie mijać się z prawdą! Ta hipokryzja, która napina rysy twarzy i wymusza uśmiech!

Mówi mi o tym wszystkim Ciran, gdy go o to pytam. Opowiada, że zbytnio się pośpieszyli ze ślubem. Po sześciu czy ośmiu miesiącach wspólnego życia odkryli, że do siebie nie pasują i że uczucie, które ich połączyło, to bardziej przyjaźń niż miłość. Relacja bratersko-siostrzana, głębokie duchowe porozumienie, ale nie miłość. Zamieszkali w Baltimore, a później w Taos w Nowym Meksyku. Wtedy już wiedzieli, że nie są w sobie zakochani. Niemniej dobrze się dogadywali, lubili przebywać w swoim towarzystwie. Lubili rozmawiać pod koniec dnia, razem podróżować, mieli wiele wspólnych zainteresowań i wielu wspólnych przyjaciół. Dlatego postanowili, że nie rozstaną się, tylko zrezygnują z sypiania ze sobą. Chociaż nie: tak naprawdę nadal sypiali w jednym łóżku, ale nie jak mąż i żona, lecz jak dwoje przyjaciół czy rodzeństwo.

Pytam Cirana, czy tworzyli „związek otwarty”, a on odpowiada, że nie, nie o to chodziło, choć oczywiście, w ich nowej sytuacji o żadnej zazdrości nie mogło być mowy. On sam złożył coś w rodzaju ślubów czystości. Nie na stałe,

poza tym wyłącznie przed samym sobą. Nawet Cristina początkowo o tym nie wiedziała. Wciąż razem mieszkali, bo było im z tym dobrze, zakładali jednak, że prędzej czy później ktoś pojawi się na horyzoncie: kobieta dla Cirana, mężczyzna dla Cristiny, a wtedy będą musieli podjąć jakieś decyzje.

Tymczasem lata mijały. Cristina miała w tym czasie kilka romansów, nie wiem ile, nie wiem jak intensywnych, chociaż chciałbym to wiedzieć – nie mam pojęcia dlaczego: co by mi ta wiedza dała albo co odebrała, przed czym mogłaby mnie ocalić, jednakże naprawdę pragnąłbym wiedzieć, z iloma dokładnie mężczyznami Cristina utrzymywała relacje, co do nich czuła i co robiła z nimi w łóżku. Ciran mi z grubsza o tym wspomina i zaraz tego żałuje, czując, że zdradza cudze sekrety. Mówi, że i on nie wykluczał, iż się w końcu zakocha, a wtedy zrezygnowałby z narzuconego sobie celibatu, tyle że do tego nie doszło, nikt się w jego życiu nie pojawił (zresztą, jak mi parę razy przypomina, był o piętnaście lat od Cristiny starszy i wyszedł już z wieku największych miłosnych uniesień), i jego mnisie życie trwało, z biegiem czasu dając mu dziwne poczucie lekkości i ulgi, jakby rezygnacja z seksu oznaczała rezygnację z problemu. Z Cristiną było inaczej. Próbuję go o to podpytywać, więc tłumaczy, że dużo o tym nie rozmawiali: Cristina mówiła mu czasem, że się z kimś spotyka, i chyba kiedyś zakochała się podczas wyprawy do San Francisco, jednakże nie są to tematy, które powinni poruszać dżentelmeni, a jeśli życie Cristiny tak mnie interesuje, powinienem ją po prostu o nie spytać.

Już myśl, że Cristina „spotykała się” i sypiała z innymi, mocno mnie dręczy, ale to, że miałaby się w kimś „zakochać” w San Francisco, wydaje się jeszcze poważniejsze.

– Opowiedz mi o tym mężczyźnie z San Francisco – rzucam kiedyś, gdy idziemy spacerem ku łąkom ogrodu Gardalis.

Wokół kosy raz po raz przysiadają na trawie, wiewiórki wspinają się po cedrowych pniach, na krzakach połyskują dojrzałe jeżyny.

– O jakim mężczyźnie? – pyta Cristina. – O czym ty mówisz?

– Cristino, dlaczego mnie okłamałaś?

– Ja cię okłamałam?

– Cóż, wiem, że *technicznie* to nie...

– W takim razie w ogóle nie. Nie mów, że cię okłamałam, skoro tak nie było.

– Czasem jesteś w stu procentach Brytyjką – stwierdzam. – Życie to nie test

na prawo jazdy: fałszywe odpowiedzi są niekiedy częściowo prawdziwe i na odwrót. Istnieją prawdy, które w gruncie rzeczy nie odpowiadają żadnej rzeczywistości, i takie, które pozorują kłamstwo, więc poniekąd nim są, i jeszcze inne, co do których wiemy, że druga osoba ich nie zrozumie, toteż formułując je, też w jakiś sposób kłamiemy. Ty zasugerowałaś mi, że jesteś w związku z Ciranem, a to nieprawda.

– Tak czy owak jakie to ma znaczenie?

– Powiedziałaś, że jesteś żoną Cirana.

– Bo *jestem* żoną Cirana. To całkowita prawda.

– Wiem, ale od dawna nie żyjecie razem.

– Tak czy owak jakie to ma znaczenie?

– Rozmawiałem z Ciranem, ale on nie chce mi nic powiedzieć. Nie chce o tobie mówić.

– I słusznie – wyrokuje Cristina. – Nie powinno się mówić o życiu innych.

– Cóż, w takim razie sama mi o nim opowiedz.

– Dlaczego, Juanie Barbarín? Jakie ty masz prawo do zadawania mi pytań? Skąd to nagle zainteresowanie?

Milczę, bo wiem, że ona ma rację.

– Chciałbym tu zostać – szepczę.

– Tu, na Uniwersytecie?

– Tak.

– Nie chcesz wrócić do domu, do swojego życia?

– Nikt tam na mnie nie czeka. Właściwie nie mam domu i nie mam życia.

– Masz i jedno, i drugie. Masz ładny, wygodny dom, jak sam mi mówiłeś. Masz dom swoich marzeń. I masz życie, oczywiście, że masz, problem polega na tym, że go nie lubisz.

– Nie bądź okrutna.

– Nie możesz tu zostać, Juanie Barbarín – oznajmia Cristina.

– Dlaczego?

To już Gardalis: usiane goryczką alpejskie łąki, z których widać całą kotlinę. Malutkie metalowe roboty zbierają z trawy błękitnawe cedrowe szyszki. Niepostrzeżenie wspięliśmy się do świętego ogrodu albo w miejsce, które ja postrzegam jako święty ogród, gdyż tak naprawdę to nie ogród, tylko górskie zbocze pokryte łąką i lasem.

– Nic się między nami nie wydarzy – rzuca Cristina po chwili milczenia. – Nie zostaniemy znów kochankami. Nie zostaniemy, Juanie. To się nie stanie.

– Ja nigdy... Ja nie myślałem...

– Znam cię – mówi ona. – Jesteś jak kapryśne dziecko: pragniesz tego, co masz przed oczami, a kiedy to znika ci z pola widzenia, natychmiast o tym zapominasz... Teraz mnie widzisz, stoję przed tobą i nagle chcesz mnie mieć dla siebie. Wyobrażasz sobie romantyczne scenariusze, marzysz, że dzięki temu magicznemu spotkaniu znów się w sobie zakochamy... Typowy jedynak, mały król, który chce wszystkiego i chce tego od razu. Jesteś egoistą, Juanie Barbarín, straszliwie niedojrzałym egoistą i lata cię nie zmieniły. Nawet ta wyspa cię nie zmieniła.

– Boże mój, Boże... – szepczę, ogłuszony cierpieniem. – Nie wybaczyłaś mi. Nigdy mi nie wybaczyłaś.

– Owszem, wybaczyłam – zaprzecza Cristina. – A właściwie nigdy nie sądziłam, że jest coś do wybaczenia. Już ci mówiłam, że zawsze mi się wydawało, że to wszystko moja wina.

– Nie, to nieprawda, nie wybaczyłaś mi.

– Może i nie – zgadza się.

Dotarliśmy do zawieszanej na wysokim drzewie huśtawki. Teraz wydaje się bez sensu. Cristina jest poruszona, szarpia nią sprzeczne emocje. Od przybycia na Uniwersytet nigdy jej nie widziałem w takim stanie. Nie wygląda już jak Salome, Mistrzyni Gry; wygląda jak zboliała kobieta na granicy łez.

– Zawsze mi się wydawało – mówi – że rozstaliśmy się przeze mnie: bo cię opuściłam i wyjechałam do Ryszikeśu. Ale prawda jest taka, że wyjazd do Ryszikeśu był pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam dla siebie od czasu, gdy cię poznałam.

– Co masz na myśli?

– Nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć po hiszpańsku. Zawsze stawiałam nasz związek na pierwszym miejscu. Wróciłam z Anglii dla ciebie, doprowadzając do wściekłości rodziców, którzy chcieli, żebym została tam na studia.

– Ale mówiłaś...

– Tak, tak mówiłam i może nawet w to wierzyłam albo próbowałam przed sobą udawać, że wierzę. Ale porównaj życie muzyczne w Anglii i w Hiszpanii. Porównaj szanse na zostanie śpiewaczką w Anglii, z masą festiwali, teatrów operowych i sal koncertowych, i w Hiszpanii.

– Ale w tamtym czasie...

– Szybko zrozumiałam, że jeśli marzę o karierze śpiewaczej, muszę wracać.

Ale nie chciałam rozstawać się z tobą, a ty nie chciałeś nigdzie jechać. Odbyłeś parę kursów w Wenecji i w Berlinie, wróciłeś do domu wystraszony i już nie chciałeś nigdzie więcej jechać.

– Wróciłem wystraszony, jak mówisz, bo nie podobała mi się muzyka, którą tam komponowano. Sciarrino, Nono, Donatoni, Berio, Boulez to nie byli moi idole!

– Nieważne. Tak czy owak, zaproponowałam ci wspólny wyjazd do Anglii, ale ty nie chciałeś. A ja uznałam, że to w porządku, bo nasz związek był dla mnie najważniejszy i gdybyś postanowił zamieszkać w Arabii Saudyjskiej, gdzie nie mogłabym śpiewać w ogóle, też bym tam z tobą pojechała.

– Wiem.

– Zawsze stawiałam na pierwszym miejscu ciebie i nasz związek, siebie na drugim. Zawsze.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz. Nie wiesz, bo nigdy się nad tym naprawdę nie zastanawiałeś. Sypiałeś, z kim popadło, najpierw w sekrecie, a potem, ponieważ cię parę razy nakryłam, nawet nie próbując niczego udawać. Powtarzałam sobie, że ci minie. Że na pewno coś tam musisz sobie udowodnić, zrekompensować, czy ja wiem... Kobieta zakochana to z definicji idiotka. Zawsze pozwalałam ci na wszystko.

– Nie wiem, czemu to robiłaś – mówię słabo. – Zachowywałem się strasznie. Zupełnie bez szacunku.

– Pozwalałam ci na wszystko, bo zawsze uważałam, że człowiek musi być wolny w swoich decyzjach, czego chce, a czego nie chce. Poza tym: co miałam zrobić? Zakazać ci sypiania na prawo i lewo? Jakbyś potrzebował czyjegokolwiek pozwolenia!

– Ale wszystko to musiało być dla ciebie okropnie upokarzające.

– Tak, było upokarzające. Ale jesteśmy wolnymi ludźmi, Juanie Barbarín. Ja cię tylko kochałam, nie byłam twoją właścicielką. Nikt nie jest właścicielem drugiej osoby. Mogłam cię opuścić, ale nie chciałam, bo wiedziałam, że ty też mnie kochasz, i miałam nadzieję, że z czasem zrozumiesz wagę naszej miłości. Co miałam zrobić? Rozumiałam, że jeśli zapragniesz innej kobiety, prześpisz się z nią bez względu na to, co ja powiem czy zrobię, więc uznałam, że nie życzę sobie kłamstw i że wolę, by wszystko odbywało się otwarcie... *In the open*, rozumiesz? Mówisz, że to był z twojej strony brak szacunku. A co kiedy okazywałbyś mi więcej szacunku? Zdradzając mnie

w ukryciu? Zatajając przede mną prawdę?

– Tak, nawet to byłoby lepsze.

– Myślałam sobie, że jedyne, co mi pozostaje, to zerwać z tobą na zawsze, ale nie chciałam tego, bo cię kochałam. Tak bardzo cię kochałam, Juanie Barbarín, tak bardzo. Jak nigdy nie kochałam nikogo innego. Umarłabym dla ciebie. Skoczyłabym w ogień.

– Ja dla ciebie też.

– Nie wątpię. Wiem, że mnie kochałeś. Wiem, że kochałeś mnie naprawdę, dlatego wciąż z tobą byłam. Ale ja stawiałam na pierwszym miejscu nasz związek, a ty siebie. To działało, póki zgadzałam się pozostawać na drugim planie i stosować się do twoich decyzji. Kiedy podjęłam własną, kiedy zrobiłam coś, co nie służyło nam, tylko mnie, ty znikłeś. Zresztą, wiedziałeś, że po powrocie z Ryszikeśu pojedę z tobą do Stanów. Poprosiłam cię tylko o rok dla siebie, Juanie Barbarín. Poprosiłam cię o rok, żeby potem rzucić wszystko i pojechać za tobą, ale to było zbyt wiele. Nie zadziało.

Oboje pogrążamy się w milczeniu.

– Cristino, ja cię kocham.

– Kochasz mnie?

– Tak.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że cię kocham. Kocham cię tak jak wtedy. Nigdy nie przestałem cię kochać. Nigdy nie kochałem nikogo innego.

Cristina siada na huśtawce, przytrzymując się jednego ze złotych sznurów, jakby nagle poczuła się bardzo zmęczona.

– Chcę ci coś powiedzieć – mówi, patrząc gdzieś w dal. – Za kilka dni nasi cieśle, którzy są na dole, w waszej osadzie, skończą pracę. Będziecie mieli dwa statki i żaglowiec i dzięki naszym instrukcjom zdołacie oddalić się od wyspy na tyle, by po jakichś dwóch dniach znaleźć się na szlaku frachtowców. To prawie jak autostrada przez ocean. Prędzej czy później jakiś statek was znajdzie i wam pomoże. Zabierzemy na brzeg tych, którzy będą chcieli, i sądzę, że powinieneś do nich dołączyć.

– To opinia czy rozkaz?

– Nie mogę ci niczego rozkazać. Tutaj nie wydaje się rozkazów. To raczej prośba. Proszę cię, żebyś odpłynął razem z innymi.

– Dlaczego?

– Bo nie ma sensu, żebyś tu zostawał. Bo jeśli zostaniesz, zrobisz nam

oboju krzywdę. Bo szybko odkryjesz, że jednak źle znosisz odosobnienie i ciszę. Bo nic z tego, co tu robimy, cię nie interesuje.

– Mylisz się, interesuje.

Cristina uparcie patrzy w pustkę. Zaciska szczęki.

W wiośnie życia stopniowo otwieramy oczy na cierpienie i tajemnicę świata, całkowicie nieświadomi, co nas czeka. Bo cierpienie i tajemnica to na tym świecie to samo co jasność i piękno. Tajemnica świata jest jego jasnością. Świat pokazuje nam zawsze swoją oczywistość. Pokazuje nam się taki, jaki jest, w całym swoim splendorze. A my zawzięcie szukamy jakiegoś znaczenia.

Ból i piękno to na tym świecie to samo, bo świat nie chce od nas, byśmy go rozumieli. Nie chce nawet, byśmy byli szczęśliwi. Chce jedynie, byśmy osiągnęli poczucie pełni, i nie zważa na środki.

Wszystko, co przeżywamy i pojmujemy, jest fragmentaryczne. Wielkie rozżarzone strzępy czasu w obramowaniu snu i ciemności – oto ludzkie życie. Do jakiej więc pełni możemy aspirować?

Pełnia powstaje wtedy, gdy do poczucia rzeczywistości dołącza pewność celu. Przebudzenie zaczyna się od ciała. Kiedy osiągamy pełnię percepcji, dusza rozumie, że jej los pozostaje nierozzerwalnie związany z losem świata. Pojawia się wtedy bardzo silne uczucie, które jest też pewnością i olśnieniem. Olśnieniem, które bierze się z miłości i wdzięczności. I jeśli czujemy tę miłość, tę wdzięczność, nic poza tym się nie liczy.

Ostatnia chatka

Cristina się myli: to, co tu robia, bardzo mnie interesuje. Uświadamiam sobie, że nauki na Białym Uniwersytecie zacząłem pobierać wkrótce po przybyciu na wyspę. Dochodzę do wniosku, że w gruncie rzeczy cała wyspa jest jego częścią. Kiedy to wszystko się zaczęło? Trudno powiedzieć. Może kiedy poznałem Rosanę. Może wszystko dla mnie zaczyna się zawsze od kobiety, która mnie pociąga i którą próbuję sobą zainteresować. Dołączyłem do „medytacyjnego kręgu”, żeby być blisko niej. Później dałem się wciągnąć. Czyżby jakoś podziałały na mnie te słowa, ta obecność, ta praktyka – choć trwały tak krótko i w tak niesprzyjających okolicznościach?

Co do reszty niemożliwych rzeczy, które przytrafiły nam się na wyspie, wolę się nad nimi nie zastanawiać. Co oznaczają? Jak je wytłumaczyć? Najwyraźniej chodzi tu o coś, co ma wiele wspólnego z dźwiękiem, z muzyką i z głosem. Ze śpiewem, z mówieniem. Śpiew i taniec to najważniejsze, co można robić w życiu, powiedział mi na Łące Wade, jeśli to z Wade'em wtedy rozmawiałem, ale nawet jeśli to nie był on, tylko pan Pohjola, w tamtej chwili to był jednak Wade, ten, który opowiadał mi o ptasich gniazdach na brzegami rzeki Wabash. Diabeł, bóg. Chór diabłów i bogów. Szczury i kurz. I droga pozwalająca uwolnić się od bogów: Biały Uniwersytet.

Moje halucynacje. Człowieczek (w rzeczywistości postawny mężczyzna), który twierdzi, że nazywa się Anton Bruckner. Mój sen o Rosanie, o Dharmie, o Brucknerze – ten, który przyśnił mi się w Centrali. Czy to był tylko sen? Przecież istnieją sny, co do których wiadomo, że nie są tylko snami. Tego, co powiedział mi wtedy Bruckner, nigdy nie zapomnę. Skąd one się wzięły? Do kogo należał ten głos? Kogo lub co słyszałem?

Chcę wrócić do ogrodu Gardalis, lecz nie znajduję drogi. W miarę, jak się wspinam, stok staje się coraz bardziej stromy. Natykam się na kamienne schody. Amaltea, ciężarna koza, wstępuje po stopniach, pogryzając kwiaty. To

ty, pytam, to ty wskazałaś mi drogę w góry? To ciebie widziałem w swojej wizji? Mijam ją i idę dalej. Dzwoneczek Amaltei dzwoni melancholijnie za moimi plecami. Wychodzę na słońce. Przyroda zielenieje, wilgotna i szczęśliwa. Chmury płyną po niebie.

Moja chmura!

Jest tam, w górze.

Olśniewająca.

Sunie na północny wschód, a ja podążam za nią.

Wędruję między cedrami. Widzę w oddali, wśród pni, mężczyznę. I jeszcze jednego. I jeszcze. Czy to Gardalis? Szukam huśtawki, by się upewnić, szukam drzewa o rosnącym wysoko poziomym konarze. Później mówię sobie, że może tę huśtawkę zdjęli. Wśród pni stoi pięciu czy sześciu mężczyzn. Jeden z nich przypomina Wade'a. Podchodzę do niego. Stoi nieruchomo, w cieniu, a kiedy zbliżam się jeszcze bardziej, stwierdzam, że to naprawdę Wade. Ręce położył na biodrach, nogi rozstawił szeroko, ciężar ciała wspierając na lewej. Ma plecak i gruby pas z nożem w skórzanej pochwie; drugi nóż przytroczył do prawej kostki.

– Wade – rzucam. – Co ty tu robisz?

Uśmiecha się i podnosi palec do ust.

– Ale... Wade, ty żyjesz?

Wskazuje na lewo. Każe mi iść dalej.

Po chwili las rzędzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci uśmiechają się do mnie, pozdrawiają mnie i pokazują mi drogę. Wychodzę z cienia cedrów i jodeł i trafiam na prostokątną łąkę podzieloną kamiennym występem na dwa poziomy. Na górnym, w głębi, stoi drewniana chatka o dwuspadowym dachu.

Przypomina mi tę, którą posiadał Gustav Mahler w Toblach w Tyrolu; tę, w której napisał *Pieśń o ziemi* oraz *IX Symfonię*. Ta też, jak tamta, ma w wychodzącej na południe fasadzie drzwi z szybką tudzież dwa duże okna po obu stronach; w ścianach bocznych wybito dodatkowo dwa mniejsze.

Tak, docieram na Łąkę, może po raz ostatni.

Coś się tu jednak zmieniło. Wszędzie pełno grobów. Kamienne płyty i krzyże zajmują cały niższy poziom. To cmentarz, gdzie od wieków chowa się tych, którzy zmarli na Białym Uniwersytecie. Idę między nagrobkami, w większości bardzo starymi. Odczytuję nazwiska i daty, starodawnie brzmiące miana, które nic mi nie mówią. Chyba szukam grobu Wade'a. I grobu z własnym imieniem. Ale wszystko wydaje się obce. Nie wiem, kim są ci

zmarli, choć to pewnie bez znaczenia. Czym są zmarli po śmierci? Niczym. Słowa wyryte w kamieniu mają niby trwać, ale nic nie znaczą. Amaltea podąża za mną, w pewnej odległości. Słyszę smutny brzęk jej dzwoneczka. Najpierw myślę, że to kościelne dzwony. Odwracam się w zaskoczeniu i widzę wyłaniającą się spomiędzy drzew kozę. Zwierzę wkracza na Łąkę i zaczyna skubać rosnące pośród nagrobków asfodele.

Zmarli patrzą na mnie ze skraju Łąki, nie śmiejąc na nią wejść. Co to wszystko znaczy?

– Wade – mówię. – Co to wszystko znaczy?

On wzrusza ramionami.

Wstępuję na wyższy poziom i stwierdziwszy ze zdziwieniem, że drzwi chatki nie stawiają oporu, zaglądam do środka. Wnętrze jest wygodnie urządzone i czyste, bez śladu kurzu czy pajęczyn. W głębi stoi pianino z taboretą, a pod wychodzącym na kotłnię podwójnym oknem – biurko z wyszlifowanego, nielakierowanego drewna oraz krzesło. Otwieram pianino i biorę kilka akordów. Instrument jest nastrojony i brzmi całkiem dobrze jak na tutejszą wilgoć i zmiany temperatury. To mniej więcej czterdziestoletni bösendorfer. Siadam na taborecie i zaczynam grać. Och, gdybym miał pianino podczas tego długiego pobytu na wyspie! Teraz ten pobyt dobiegł końca. Wkrótce stąd odpłynę, wrócę do swojego życia, swojego psa i swojego fortepianu.

Gram drugą część dwudziestej siódmej sonaty Beethovena. Później pierwszą balladę Chopina. Później początek *Koncertu włoskiego* Bacha. Wreszcie zaczynam adagio z *VIII Symfonii* Brucknera. Nagle ktoś puka do drzwi – tak mocno, że wystraszony przerywam grę. Pukanie się powtarza. Wstaję i kieruję się ku drzwiom. Przez szybkę nikogo nie widać. Czy ten po drugiej stronie się schylił? Czeką tam, skulony? Ale kto to może być? Wade? Anton Bruckner? Chwytam za prostą drewnianą gałkę i otwieram. Nikogo nie ma. Wychodzę, żeby się rozejrzeć. Nigdzie nikogo. Obchodzę chatkę, obserwuję trawiaste stoki i las. Nic z tego.

Mówię sobie, że wreszcie naprawdę jestem na Łące. Wreszcie zdołałem się tu dostać. Wreszcie zostałem dopuszczony. Niżej złotawe groby wtapiają się w wysoką trawę i kwiaty asfodeli. Widok tych wszystkich płyt i krzyży nie przygnębia mnie, raczej skłania do milczenia i spokojnej medytacji. W końcu zostałem dopuszczony. Walka się skończyła. Napięcie, które rzuciło mnie tutaj, ciskając z miejsca w miejsce jak piłkę między pięściami olbrzyma, od jednego

brzegu przepaści do drugiego, ustało i oto jestem na Łące, w tej łagodnej trawiastej przestrzeni, jaka znajduje się w głębi naszych myśli. Oto głębia świata. Oto świat, bo świat cały jest głębią, spoczynkiem, istnieniem. A ja jestem pogodzony z samym sobą. Dotarłem do krańca wszelkich walk. Akceptuję siebie takiego, jaki jestem. Akceptuję swoje życie, swoją karę, swoje objawienie, swoje ograniczenia, swoje błogosławieństwa. Walka się skończyła. Jestem pogodzony.

Wręczam mak

Niektórzy spośród tych, co zapuścili się tu na górę, postanowili mimo wszystko wracać do Osiedla Katastrofa i, dalej, do domu. Do tych, którzy zdecydowali się zostać, należą Rosana i Jimmy Bruëll. Jimmy spędza teraz całe dni w bibliotece, czytając książki o medytacji, a poza tym uprawia sztuki walki. Rosana oddała się pracy w polu i ogrodzie. W teorii wszyscy na Uniwersytecie zajmują się wszystkim na zmianę, lecz niekiedy można poświęcić się wyłącznie wybranemu przez siebie zajęciu. Rosana mówi mi, że zawsze chciała mieć większy kontakt z ziemią i że zamierza zostać na Uniwersytecie jeszcze przynajmniej rok, zanim wróci do świata. Wydaje się bardzo szczęśliwa, bardzo spokojna. Syra – przeciwnie, gdyż brak jej towarzystwa dzieci i nastolatków. Choć jest ich tu w sumie około trzydziściorga, w wieku od ośmiu do czternastu lat. Pokłóciła się z Sebastianem i na razie nie rozmawiają, ale nie sędzę, by miało to potrwać długo. Sophie i Joseph też chcą tutaj spędzić jeszcze z rok. Najmniej, jak sędzę, pasuje do tego miejsca Sophie. Świat mody, sztuki, ilustrowanych magazynów i wielkiej architektury, do którego przywykła, leży daleko stąd. Ale Sophie zawsze znajdzie sobie coś do roboty. Zresztą, nie chce opuszczać wyspy, póki się nie dowie, co z jej mężem. Tyle że jak ma się tego dowiedzieć w tym zagubionym pośród gór klasztorze? Gdyby naprawdę pragnęła odnaleźć męża, zorganizowałyby wyprawę poszukiwawczą. Ja mam przecucie, że Leverkusen nie żyje.

Xóchitl i Joaquín wracają do cywilizacji. Ona planuje znowu osiąść w Los Angeles, a on postanowił zamieszkać razem z nią. Na Juliana i Matilde czeka Madryt. Dla nich obojga, jak tłumaczy mi Julián, miesiące na wyspie stanowiły jedynie kontynuację długiej, podjętej dużo wcześniej podróży. Teraz mają ochotę wrócić do domu. Wracają również Lily Whittfield i Mike Garson, podobnie jak Dharma z Evą. Zakładałem, że właśnie on odnajdzie się tu

najlepiej, lecz Filemon mówi, że się mylę, bo Dharma spędził sporo czasu na własnym Białym Uniwersytecie, który dawno temu opuścił. Poza tym nie wiedziałem, że mają z Evą dzieci. Okazuje się, że mają dwoje, w Nowym Jorku.

Nie pojmuję, jak działa na wyspie komunikacja na odległość, niemniej Filemon twierdzi, że za parę dni statki na dole będą gotowe i że nazajutrz wyruszamy do osady. Nagle tworzy się pewien dystans między tymi, co odpływają, a tymi, co zdecydowali się zostać. Oni są najwyraźniej zadowoleni, spowici w górską świetlistość, my zaś denerwujemy się już przed podróżą. Wydają się nad nami w jakiś sposób górować. Niby to my powinniśmy się cieszyć, że wreszcie się wydostaniemy z tego piekielnego miejsca. Możliwe zresztą, że inni się cieszą, ale ja nie. Ja czuję się tak, jakby mnie stąd wyrzucano. Czuję, że nie zdołałem tej wyspy do siebie przekonać albo może jej zwyciężyć. Czuję, że zostałem pokonany.

Denerwujemy się. Wciąż wiele przed nami – musimy wydostać się na ocean i liczyć, że ktoś nas znajdzie, zanim wyczerpią się nam zapasy wody i żywności – jednakże, tak czy owak, nasza przygoda dobiega końca: wrócimy do domu, do rodzin, do przyjaciół, do ukochanych nawyków, do tego cudownego życia, które wcześniej wiedliśmy, nawet o tym nie wiedząc.

Usiłuję przekonać siebie samego, że też pragnę powrotu, i odmalowuję sobie w wyobraźni barwne obrazy: koncerty, restauracje, życie towarzyskie, mój gabinet, fortepian, książki, łóżko, wieżę Rosley College wystającą ponad wiązami, zmysłowe spojrzenia studentek kompozycji.

Oto ostatni dzień naszego pobytu na Białym Uniwersytecie. Rankiem intensywnie pada. Ulewa brzmi jak wściekła muzyka. Krople roztrzaskują się na parapetach i płytkach tarasów. Nie wiem, gdzie się podziać. Kieruję się do biblioteki i napotykam Joaquina z Xóchitl, siedzących na ławce pod daszkiem. Są tacy szczęśliwi, wciąż się całują i szepczą sobie coś na ucho. Mówią, że muszę ich odwiedzić w Los Angeles. Zapewniam, że tak zrobię, i zapraszam ich do Rhode Island, po czym uciekam, uciekam przed ich szczęściem.

Zaglądam do biblioteki, ale Giovanniego akurat nie ma, więc znów wychodzę na deszcz, gotów przemoknąć, lecz wtedy ulewa ustaje, a między gałęziami cedrów zaczyna prześwitywać słońce. Światło przenika przez gęste korony drzew, chmury się rozpraszają, rozwiane wiatrem, i świat się rozjaśnia. Wciąż wieje. I świeci słońce. Wiatr strząsa z jodłowych igieł ostatnie krople. Idę sam pod cedrami, krawędzią świata. Mokra trawa moczy

mi stopy. Nic już nie ma znaczenia. Wszystko skończone. Wszystko miałem i wszystko straciłem. Co znaczy życie? Nie wiem. Po co żyjemy? Nie wiem.

Wspinam się do ogrodu Gardalis, na stary cmentarz. Nim wejdę do chatki, znów przechadzam się między grobami i odkrywam jeden, na uboczu, na którym ktoś niedawno zostawił świeże róże i inne kwiaty. Podchodzę bliżej i zamiast krzyża widzę okrągławy kamień z napisem: „Prinz Mayerling von Thymus”. Niżej widnieją daty: 1823–1899. Zastanawiam się, kim był ten zapomniany dziewiętnastowieczny książę pochowany na Wyspie Głosów.

Wchodzę do chatki i czuję, że jestem w domu, w swoim ostatnim domu. To nieprawda, ponieważ ta chatka nie jest w rzeczywistości moim domem, tylko miejscem pracy, a zresztą nazajutrz wyjeżdżam stąd na zawsze. Mój gabinet w Oakland bynajmniej nie ustępuje jej zaciszą i wygodą, mam też u siebie znacznie lepszy instrument. Dlaczego więc odnoszę wrażenie, że to tutaj mógłbym wreszcie komponować wartościową muzykę? Siadam do pianina i zaczynam grać. Przez mniej więcej godzinę improwizuję. Później gram pierwszą część trzydziestej pierwszej sonaty Beethovena, jednej z moich ulubionych. Jest tam w okolicach reekspozycji fragment (zresztą nie ma w tej zaskakującej części niczego konwencjonalnego), w którym wznosząca się sekwencja szesnastek, za pierwszym razem z pozoru tylko ozdobna, zaczyna się nagle rozplatać w jedną z tych falujących, niekończących się melodii tak typowych dla późnego Beethovena: w kręty strumień delikatnych, tajemniczych dźwięków urywający się potem zniemacka na jednym akordzie. Trzeba go brać po króciutkiej pauzie, bardzo cicho. Grając tę sonatę, zawsze wyczekuję tego momentu. Jego słodycz i tkwiąca w nim obietnica nieodmiennie mnie rozbijają. Coś się tam otwiera – jakaś możliwość, jakieś okno. Jak w tym opowiadaniu Lorda Dunsany’ego, w którym przez okno widać inny świat. Jak u Keatsa, w *Odzie do słowika*, w której magia otwiera okna „na grzywaczy zwroty mórz groźnych zagubionych w krainach zaklętych”¹. Tamten akord zdaje się sugerować inną czasowość, niebiegnącą po linii z przeszłości w przyszłość. Zdaje się sugerować istnienie innych oczu, które widzą inne rzeczy. Istnienie jakiegoś innego wymiaru, którego nie potrafimy opisać i do którego niespodziewanie trafiamy. Jak gdyby czas zatrzymał się gdzieś pośród światła i cudowności. Muzyka się urywa i świat przystaje. A zaraz potem zagłębia się cień i melancholię. Bezczasowa ekstaza dobiega końca i sonata wraca na poprzednie tory. Serca znów biją. Płuca oddychają. Wizja się

zacierą. Okno się zamyka. Róże z innych światów są już tylko wspomnieniem.

Sonata rozwija się dalej, lecz niedługo. I niespodziewanie się kończy. Rozbrzmiewa jeszcze grany lewą ręką główny temat i tyle. Później zapada cisza.

Słucham panującej na wyspie ciszy. Wiatr szumi w gałęziach jodeł. Gdzieś w oddali śpiewa słowik, bliżej pokrzykuje kos. Te dwa głosy się nie łączą.

Wychodzę z chatki i siadam na kamiennym występie dzielącym Łąkę na dwa poziomy. Położoną niżej kotlinę zalewa światło, upodabniając ją do wielkiego jeziora, do morza słonecznego blasku.

Zamykam oczy i widzę lśnienie. Lśnienie kotliny między jodłami, lśnienie morza pośród palm. Lśnienie, które towarzyszyło nam przez te miesiące na wybrzeżu. Lśnienie świata w całym jego pięknie, którego nie potrafimy dostrzec. Dostajemy do dyspozycji raj i przez swoją małośćkowść zamieniamy go w pełne naszych demonów piekło.

Lśnij, morze świata, przypominaj mi o niekończących się cudach. Lśnij, morze Edenu! Ludzka przygoda dopiero się rozpoczyna!

I wtedy to się dzieje. Wtedy zaczyna się dziać.

Rosnę. Wyrastam ponad siebie samego. Rosnę ku chmurom. Jestem błękitnym olbrzymem, tak ogromnym, że mogę po sobie samym żeglować. Jestem morzem.

Wyrastam ponad siebie samego, ku szczytom myśli, ku granicom mojej ludzkiej formy.

Doświadczam przy tym lekkości, wzniosłości i pełni, jakiej nigdy nie doświadczałem. Coś zaczyna we mnie oddychać. Coś się otwiera, uwalnia. Coś się rozpoczyna.

I rosnę, wciąż wyżej, coraz bardziej ogromniejąc.

Później, gdy wszystko się kończy, chodzę do wieczora jak lunatyk, przepełniony szczęściem. Czy to prawda, pytam siebie samego, czy to w ogóle możliwe?

Przez resztę dnia szukam Cristiny, lecz nigdzie jej nie znajduję. Wiem, że mnie unika. Ale wiem też, że prędzej czy później musimy się pożegnać.

O zmroku sama do mnie przychodzi. Siedzę na tarasie, z którego zwykliśmy podziwiać zachód słońca, z książką w rękach, kiedy czuję na sobie jej cień. Nie słyszałem, jak się zbliżała, i oto stoi obok – niby duch o okrągłych biodrach. Siada przy mnie na kamiennej ławce. Umieram z pragnienia, by ją

objąć, pocałować jej ramiona i szyję, jednakże wiem, że nie wolno mi tego zrobić.

– W czasie naszej ostatniej rozmowy powiedzieliśmy sobie niemiłe rzeczy – rzuca Cristina neutralnym głosem. – Ja powiedziałam ci rzeczy bardzo niemiłe. Przepraszam.

– Zasługuję na nie. Zasłużyłem – odpowiadam.

– Nie, nie, to wszystko należy do przeszłości, nie wiem, czemu wróciło do mnie z taką siłą. Jeszcze raz cię przepraszam. Nie mam z tobą żadnych rachunków do wyrównania. Wszystko zostało wyjaśnione. Wszystko jest w porządku.

– Nie masz ze mną żadnych rachunków do wyrównania?

– Jeśli jakieś miałam, dawno dałam sobie z nimi spokój. Ale zdaje się, że jakaś część mnie pragnęła ci to wszystko wygarnąć.

– Jutro stąd odejdę, Cristino – mówię.

– Na to wygląda.

– Naprawdę znowu się pożegnamy?

– Za pierwszym razem tego nie zrobiliśmy.

– Jesteś zadowolona, że stąd zniknę?

– Nie.

– Czyli chcesz, żebym został?

– Nie.

– Dziś rano odkryłem pewne miejsce.

– Miejsce?

– Łąkę, naszą łąkę.

– Jaką łąkę?

– Naszą.

– Tę z ulicy Olmos?

– Tak.

– I to właśnie ją odkryłeś?

– Tak. Ty już ją znasz.

– Tak, znam ją.

– Skąd ona tutaj?

– Nie wiem.

– To cmentarz.

– Tak. Jest tam grób Mayerlinga, widziałeś?

– Tak.

- Nie wiemy, czy to naprawdę jego grób czy cenotaf.
- Jest też tam na górze chatka.
- Na górze zawsze jest jakaś chatka.
- Mógłbym zostać i tam pracować, nie sądzisz?
- Jutro stąd odejdziesz, Juanie Barbarín.
- Pozwól mi zostać.
- Nie mogę ci zabronić.
- Więc zostanę.
- Nie, jutro odejdziesz.
- Nie chcę stąd odejść.
- A ja nie chcę, żebyś tu został.
- Boże mój, jak ty mnie nienawidzisz! Nigdy nie przestałaś mnie nienawidzić.
- Jeśli zostaniesz, jeśli się uprzesz, by zostać, zrobię, co w mojej mocy, by cię nie widywać. Urządzą wszystko tak, by cię nie spotykać. Tu jest wiele osób i wiele rzeczy do zrobienia.
- Nie będziesz ze mną nawet rozmawiać?
- Już porozmawialiśmy, Juanie Barbarín. Porozmawialiśmy o dawnych czasach, pokłóciliśmy się i pogodziliśmy. O czym jeszcze mielibyśmy rozmawiać?
- Boże mój, jak ty mnie nienawidzisz.
- Nie nienawidzę cię, Juanie Barbarín.
- Owszem, nienawidzisz, a ja na to zasługuję. Zasługuję na wszystko, co mi się przytrafiło. Na wszystko.
- Milczymy przez chwilę.
- Cristino, dziś rano coś mi się zdarzyło na tej Łące. Na tym cmentarzu.
- Zdarzyło ci się coś?
- Zobaczyłem siebie samego jak nigdy wcześniej.
- O.
- Zobaczyłem ogromne błękitne morze, które lśniło.
- Aha.
- Nie ciekawi cię to? Nie chcesz o tym słuchać?
- Sam wiesz, że uszy nie mają powiek.
- Myślisz, że kłamię? Że to sztuczka, by cię przekonać? Boże mój, jaki okropny jestem w twoich oczach.
- Opowiedz, co ci się zdarzyło. Od lat słucham takich historii. Jedna

więcej mi nie zaszkodzi.

– Teraz uświadamiam sobie, że od przybycia na tę wyspę ciągle mi się coś zdarza. Nie chodzi tylko o ten sen, który przysnił się nam obojgu, co samo w sobie jest dość zdumiewające. Chodzi też o inne niewytłumaczalne rzeczy. Ale dziś rano to było coś odmiennego. Dużo bardziej intensywnego.

– Tak.

– Zrozumiałem, że całe swoje życie spędzam zamknięty w bardzo małym pomieszczeniu. Wiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Zamknięty w bardzo małym pomieszczeniu, nieświadom, że drzwi stoją otworem i że można wyjść na zewnątrz i iść, dokąd się nam spodoba. Wiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Chcę tam wrócić. Do tej chatki na górze.

– Otrzymałeś prezent – wzdycha Cristina.

– Tak, to prawda.

– Ale takich prezentów nie otrzymujemy codziennie. Co najwyżej kilka razy w życiu, zwykle w wyniku tajemniczych procesów, których nie jesteśmy do końca świadomi. Jeśli wrócisz jutro do chatki, nic się nie stanie. Teraz musisz zacząć pracować.

– Tego właśnie bym pragnął.

Cristina znowu głęboko wzdycha i przez moment odnoszę wrażenie, że jest czymś zajęta. Nie wiem dokładnie czym. Śpiewa sobie w duchu, powtarza mantrę, wykonuje jakieś ćwiczenia? Przymyka oczy i jej oddech się wyrównuje. Potem znowu na mnie patrzy.

– Słuchaj, Juan – mówi. – Ja nie zawsze jestem Salome. Czasem jestem po prostu Cristiną, głupią i upartą. Ale niekiedy muszę być Salome i teraz zwracam się do ciebie jako ona. Jeśli chcesz tu zostać, to możesz. Nikt nie może ci tego zabronić. Każdy, kto zapuka, zostanie wpuszczony, to jedno z praw Uniwersytetu. Zostań i bądź jednym z nas. Prowadź badania, szukaj, medytuj. Jesteś miłym gościem.

– Mówisz mi, że mogę zostać.

– Tak. Przybyłeś tu. Znalazłeś drogę i dlatego przyjęliśmy cię z otwartymi ramionami. Ale musisz zrozumieć, że ta miłość, którą ci tu ofiarowujemy, nie jest psychologicznym impulsem opartym na powinowactwie dusz, lecz czymś innym: bezwarunkowym i zarazem bezosobowym.

– Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że Salome pozwala mi zostać, natomiast Cristiny już nie zobaczę.

– Tamta Cristina już nie istnieje, Juan – mówi Salome. – Pojawiła się na moment. Bywa, że się taki okrucieństwo ostanie. Ale więcej się nie pojawi.

– Chcesz, żebym tu został, bo pragnę tu zostać, a nie dlatego, że pragnę zostać przy tobie.

– Tak.

– Ale ja chcę tu zostać z obu tych powodów.

– Więc będziesz cierpieć, a ja będę cierpieć przez ciebie.

– Nie ma szans, żeby Cristina zmieniła zdanie? – pytam.

Jednakże Salome wypowiedziała się już i teraz milczy. Dobrze znam tę minę, tę tak anglosaską postawę, satysfakcję z tego, że ucięło się wszelkie skargi i niezłomnie wykazało bezsensowność dalszych nalegań. Oczy jak szpady, usta surowe jak wyrok.

Nie wiem, co robić. Zamykam trzymaną w dłoniach książkę. Zauważam coś między jej stronicami. To kwiat, który sam kilka dni wcześniej między nie wsunąłem, żeby go zasuszyć. Wyjmuję go niezgrabnie, palce mi się trzęsą. Nie wiem nawet, po co go zasuszyłem. Jest spłaszczony, ale kolor zachował. To mak, który dostałem od dziewczynki w kotlinie; dziwny mak z dwoma czerwonymi i dwoma białymi płatkami.

– Masz – mówię do Cristiny. – Podarunek pożegnalny. Zachowaj go na za sto lat.

– Słucham?

Cristina spogląda na kwiat, który jej wręczam, po czym bierze go i delikatnie przytrzymuje na otwartej dłoni, uważnie mu się przypatrując. Widzę, że i jej trzęsą się palce.

– To mak? – pyta.

– Owszem.

– Mak z dwoma czerwonymi i dwoma białymi płatkami!

– Tak – potwierdzam, zdziwiony, że tak ją to zaskakuje.

– Co przed chwilą powiedziałeś?

– Żebyś go zachowała na za sto lat.

Wtedy ona zamyka oczy. Podnosi biało-czerwony mak do piersi. Zamyka oczy i chyba się uśmiecha. Mam wrażenie, że różowawy poblask rosnących obok bugenwilli pada na jej powieki i uśmiechnięte usta. Tyle że ten uśmiech nie wygląda już jak uśmiech, lecz jak grymas potwornego cierpienia.

A później spod jej gęstych, ciemnych rzęs wypływają łzy. Łzy, które płyną po jej policzkach tak jak dawniej, kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat, a mnie zdumiewała łatwość, z jaką przychodził jej płacz, te łzy niby deszcz – delikatny, ciepły i wiosenny...

1. Fragment w przekładzie Stanisława Barańczaka. [↵](#)

Ścieżki pod wierzbami

Dziewczyna, niemal dziewczynka, siedzi na stopniach schodzących nad Ganges. Wielka rzeka w kolorze kawy z mlekiem rwie między brzegami pokrytymi zwartą, ciemnozieloną roślinnością, pośród której biało połyskują delikatne świątynie: pagody zdają się unosić w powietrzu na chmurach tropikalnej zieleni. Pożółkłe ghatty opadają ku wodzie. Do kamiennych schodów przymocowano żelazne obręcze z przywiązanymi do nich sznurami, by ci, którzy wchodzą do rzeki na rytualną kąpiel, nie zostali porwani przez nurt. Dziewczyna wie, że musi się kąpać w ubraniu. Tak to już w Indiach jest. Mężczyźni zdejmują koszule i zostają w dhoti, kobietom jednak rozbierać się nie wolno. Pewnie mogłaby zaryzykować i włożyć kostium kąpielowy, ostatecznie jest z Zachodu, ale uznano by to za brak szacunku, ba, ona sama uznałaby to za brak szacunku. Mimo że panuje upał – wilgotny i ciężki – woda jest lodowata. Spływa z pobliskich Himalajów i nie zdążyła się po drodze ogrzać. Ganges, choć w tym miejscu bardzo już szeroki, wciąż zachowuje dziką energię górskiego strumienia. To młoda, wesoła rzeka, przygotowująca się do długiej podróży przez indyjskie równiny. Dziewczyna schodzi po stopniach, zbliża się do jednej z żelaznych obręczy i chwyta grubą linę. Schody ciągną się, niewidoczne, pod nieprzejrzystą powierzchnią i dziewczyna czuje zimną wodę najpierw na kostkach, potem na łydkach i biodrach. Kiedy staje w rzece po pas, bierze głęboki oddech i chowa się pod wodą wraz z głową, nie puszczając sznura. Prostuje się i znowu zanurza, i tak trzy razy. Powtarza mantrę: matko rzeko, oczyść moją przeszłość. Matko rzeko, uczyn mnie lekką. Nie chcę niczego zachować. Nie chcę niczego bronić. Zrywam wszelkie więzy, odrzucam wszystko, co mnie ogranicza i niewoli.

Ona wie, ile ją kosztują te słowa. Zrywam wszelkie więzy. Zrywam wszelkie więzy. On powinien się był zjawić już tydzień temu. Z Delhi do Ryzikeśu jedzie się samochodem kilka godzin. Może z dziesięć albo

dwanaście. Choć to tylko dwieście kilometrów. Tak czy owak dzień lub dwa powinny wystarczyć. Tymczasem kolejne mijają, a jego nie ma. Nachodzi ją straszne przeczucie. Później pewność: on się nie zjawi. Straciła go na zawsze. Na wszelki wypadek dzwoni do Madrytu. Dzwoni do ich wspólnego mieszkania, które zajmowali razem przez ostatnie lata, ale nikt nie odbiera. W końcu telefonuje do jego rodziców. Rozmawia z jego matką, która nigdy jej specjalnie nie lubiła. Teraz wydaje się zaskoczona, niemal wzruszona tym telefonem z tak daleka. Mówi, że on nie wyprawił się do Indii ani się nie wyprawi. Poleciał do Stanów. To niemożliwe, protestuje ona, to jakaś pomyłka. Nie, mówi jego matka, która chyba dopiero zaczyna rozumieć. O żadnej pomyłce nie ma mowy. Po prostu nie odważył ci się tego powiedzieć. Powiedzieć czego? Że nie zamierza odwiedzić mnie w Indiach? Nie, wyjaśnia cierpliwie, może z pewną satysfakcją jego matka. Że zamierza z tobą zerwać. Że już z tobą zerwał. To niemożliwe. Niemożliwe. Przecież nic się nie stało. Nawet nie rozmawialiśmy o rozstaniu. Nawet się nie pokłóciliśmy. Jak mógłby zerwać ze mną tak nagle, bez wyjaśnienia. Nic się nie stało? Głos jego matki, wysoki i piskliwy, w słuchawce brzmi jeszcze piskliwiej, przekazywany przez kolejne łącza na orbitę i z powrotem na ziemię. Uważasz, że nic się nie stało? Opuściłaś go. Wyjechałaś. Od jak dawna siedzisz w Indiach? Od niemal roku! Opuściłaś Juana. Oczekiwałaś, że polecą za tobą jak pies. Że rzuci wszystko, tak jak ty, rzuci karierę, i wyjedzie do... do tego miejsca, w którym przebywasz, a którego nazwa mnie nie interesuje. Miałaś tu dobrą pracę, Cristino, oboje mieliście dobrą pozycję, a ty machnęłaś na wszystko ręką i zostawiłaś Juana samego na całe miesiące. Czego się spodziewałaś? Że co się zdarzy? Że on do ciebie dołączy? Jeśli tak myślałaś, to w ogóle nie znasz mężczyzn. Ona nie wie, co odpowiedzieć. Odwykła od podobnych, pełnych agresji i urazy wymówek. Nawet madrycki akcent brzmi jej obco. I ta hiszpańska bezceremonialność, ta niemal fizyczna napastliwość. Wpadłaś w sidła jakiejś sekty, mówi jego matka. Powinnaś natychmiast wracać. Nie wiem, czemu twoi rodzice cię stamtąd nie zabiorą. Nie należę do żadnej sekty, zaprzecza słabo ona. Na miejscu twojego ojca wsiadłabym do samolotu i jak najszybciej ściągnęłabym cię do domu, mówi jego matka. Ja nie należę do żadnej sekty, powtarza ona. Dlaczego tak się do mnie zwracasz? Dlaczego? Co ja ci takiego zrobiłam? Unieszczęśliwiłam mojego syna. Mielicie wspaniałe życie. Zamiast marnować pieniądze na wynajem, mogliście wprawdzie spłacać kredyt, ale to już inna sprawa.

W każdym razie mieliście wspaniałe życie, dobrą pracę, wszystko, i to w tak młodym wieku! Więc czemu musiałaś się zadać z jakąś sektą?

Tak długie rozmowy słono kosztują. Cristina płaci za nie mnóstwo rupii. Próbuje dzwonić do Juana, ale bez skutku. Jego matka, niezbyt chętnie, dała jej jego numer i adres w Stanach. Połączenie zawsze się rwie, rozbrzmiewają jakieś hałasy, a czasem słyszy się własny głos w formie echa. Tak jest, gdy rozmawia z ojcem lub bratem. Z Juanem nigdy jej się nie udaje. Raz on w końcu odbiera i mówi: „Hello?”. A gdy ona się przedstawia, on, po chwili wahania, odkłada słuchawkę. Więc ona pisze do niego list, potem drugi i trzeci. Na adres w Oakland w stanie Rhode Island. Nie dostaje odpowiedzi.

Idzie nad Ganges z nadzieją, że wielka rzeka jakiejś jej udzieli. Zanurza się w lodowatej wodzie, dokonuje ablucji. Później, dygocąc z zimna i rozpaczy, wraca na górne stopnie ghatów. I zaczyna płakać. Mimo chłodu powtarza rytualną kąpiel. Prosi matkę rzekę o pomoc, o oświecenie. Jej łzy kapią do rzeki zmarłych, a ona błaga: nie zabieraj mi tej miłości, zostaw mi ją, tylko ją, zrezygnuję ze wszystkiego innego, ale jej mi nie zabieraj.

Czy nie chciałaś przypadkiem zerwać wszystkich więzów?

Ale tych nie, błagam, wszystkie inne poza tymi. Błagam, matko...

Wychodzi z wody cała roztrzęsiona. Znow siada na stopniach, niezdolna powstrzymać łez.

I wtedy go widzi, idącego brzegiem wraz z grupą pielgrzymów. To on, ubrany na biało: w białe spodnie, białą koszulę, biały szal, z długim kosturem w rękę, ale to bez wątplenia on. Ma na stopach sandały i wyraźnie utyka. Dlaczego tak utyka? Ona drży w mokrej odzieży, skulona na schodach, i patrzy, jak on, Juan Barbarín, idzie wraz z grupą Hindusów wzdłuż Gangesu. Później tamci gdzieś znikają i zostaje sam. Ona widzi, jak z uporem wpatruje się w wodę i chociaż trudno w to uwierzyć – to on, to naprawdę on. Biegnie ku niemu. Nie, to nie on. To odrobinę podobny do niego Hinduś. Ze znakiem śiwaitów na czole. Jest śniady, szczupły, ma migdałowe ciemne oczy, zupełnie takie same jak Juan. I piękny uśmiech. Ona patrzy na niego. On patrzy na nią i się uśmiecha. Potem złącza dłonie na wysokości serca i mówi: *Namaste*. Ona robi to samo. Ciągle drży w przemoczonym sari, które wiatr nieprzyjemnie przylepia do ciała.

– Jak się nazywasz? – pyta mężczyznę.

– Słucham? – dziwi się on. – Nie poznajesz mnie? To ja!

– Ja? – Cristina śmieje się przez łzy. – Co za „ja”?

Nagle dopada ją wątpliwość. Bo może to jednak on? Bardzo go przypomina, chociaż jest trochę starszy, kuleje i chyba ma protezę zamiast nogi. Poza tym jest Hindusem, tak, lekko podobnym do Juana Hindusem w średnim wieku, zresztą widywała go nad rzeką już wcześniej. I już wcześniej kilka razy pomyślała, że bardzo przypomina Juana, pewnie nawet wymienili spojrzenia i uśmiechy, a przynajmniej on się do niej uśmiechał, na tych schodach nad Gangesem albo na kamieniach przed aśramą, albo podczas wieczornego *arati*, na przeciwległym brzegu, kiedy wszyscy składają ofiary z kwiatów i zapalonych świec, które woda unosi w stronę Waranasi. Więc pewnie się wtedy do niego uśmiechnęła, a on narobił sobie nadziei i dlatego wrócił, żeby ją odszukać. A może to jednak przypadkowe spotkanie?

– Naprawdę nie pamiętasz mnie z innego życia? – pyta mężczyzna, wciąż się uśmiechając. Mówi po angielsku z tym cudownym hinduskim akcentem, śpiewnie, wymawiając „r” niemal jak Hiszpanie.

– Nie, nie pamiętam.

– Więc czemu na mnie patrzysz i się uśmiechasz? Czemu mnie pozdrawiasz, skoro mnie nie znasz?

– A ty pamiętasz mnie z innego życia?

– No pewnie. I nie z jednego, a z wielu. Przeżyliśmy ich razem wiele.

– Wiele?

– Bardzo wiele.

– Byliśmy małżeństwem?

– Tak, proszę pani. Z całym szacunkiem, ale byliśmy małżeństwem w wielu innych życiach.

Mężczyzna utyka i musi podporać się kosturem. Jest smukły, dobrze zbudowany, lecz przez to utyknięcie wygląda na biednego kalekę. Bo w sumie jest biednym kaleką. Pielgrzymem, który przybył do Ryszikeśu, żeby spędzić na dziedzińcu aśramy parę nocy i ruszyć dalej.

Jest napalonym żebrakiem – napalonym jak wszyscy włóczędzy i ci, co się nudzą. Dlatego z nią rozmawia. Chciałby jej podotykać, jak wielu Hindusów. Widzą kobietę z Zachodu i podchodzą do niej, i obmacują jej nogi, jej piersi. To się zdarza w kinie, w wieczornych pociągach. Są przekonani, że jej to nie przeszkadza, bo przecież kobiety z Zachodu to bezwstydnice. I w tym momencie rzeczywiście by jej nie przeszkadzało, choć ten człowiek jest nędznym żebrakiem. Mimo wszystko nie wydaje się nawet brudny. Wydaje się tajemniczy i pełen uroku, a spod warstwy znużenia emanuje jakimś dawnym

blaskiem. Ona pyta go, czy ma pracę. On odpowiada, że przez wiele lat był adwokatem w New Delhi, aż postanowił zrezygnować i zostać sadhu. Czy jest żonaty? Czy ma dzieci? To w Indiach pytania wręcz zbędne, bo tu wszyscy, zwłaszcza stołeczni prawnicy, mają rodziny. Ale on odpowiada, że jego żona umarła, a dzieci nie mieli, bo była niepłodna. Ona mówi, że bardzo jej przykro.

– A ty? – rzuca on. – Czemu jesteś taka smutna? Czemu masz łzy w oczach, Dipali? Gdzie twój mąż?

– Nie mam męża.

On, zdziwiony, pyta dlaczego. Nie rozumie, jak mogła się bez męża wybrać tak daleko. Do obcego kraju, w pojedynkę. To akurat dziwi tutaj wszystkich.

– Jestem sama. Jestem sama.

– Jesteś niezwykle piękna. Nie rozumiem. Pochodzisz z bardzo ubogiej rodziny?

– Nie.

– To może jesteś chora?

– Nie, nie jestem chora – odpowiada Cristina, omal nie parszcząc mimowolnie śmiechem.

– Wybacz mi, Dipali – przeprasza mężczyzna. Kiedy się uśmiecha, widać, że ma ułamany jeden z siekaczy.

– Dipali?

– Tak miałaś na imię. Kiedy byliśmy małżeństwem.

– Żarty sobie ze mnie stroisz.

– Nie, to prawda. Teraz nosisz inne imię, bo jesteś chrześcijanką, tylko dlatego.

– Nie jestem chrześcijanką.

– Jak to nie?

Ona nie ma ochoty na ten temat dyskutować.

– Naprawdę mnie nie pamiętasz? – pyta mężczyzna. – Widywaliśmy się już tutaj, nad rzeką. Uśmiechałaś się do mnie. Myślałem, że mnie pamiętasz, tak jak ja ciebie. Myślałem, że dlatego się uśmiechasz.

– Nie, po prostu kogoś mi przypominasz.

– Widzisz? A jednak!

– Nie, nie. Chodzi o to, że jesteś podobny do kogoś innego.

– Tak działa wspomnienie. Jeśli przyjrzy się ludziom dookoła, zawsze uznasz, że skądś ich pamiętasz. Niemal wszystkich, nawet tych, których nigdy

nie widziałaś. Spotkaliście się w poprzednich życiach.

– Nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło.

– Nie? Rozejrzyj się wokół. Wybierz jedną osobę, mężczyznę albo kobietę, nieważne, i przypatruj jej się z uwagą. Zobaczysz, co się stanie. Po chwili dostrzeżesz w tym kimś swoją córkę, matkę, siostrę, swojego ojca czy wuja, człowieka, który cię zabił albo którego ty zabiłaś. Człowieka, którego oszukałaś, człowieka, który oszukał ciebie...

– A nie wynika to po prostu z tego, że jako ludzie wszyscy jesteśmy do siebie dosyć podobni?

– Nie wiem. – Mężczyzna komicznie wzrusza ramionami. – Nie wiem.

– A może wszyscy jesteśmy jedną rodziną? Albo wręcz jedną istotą zmultiplikowaną miliony razy pod różnymi postaciami?

– Otóż to, Dipali. Otóż to.

Milczą przez chwilę oboje.

– Droga Dipali – odzywa się znowu mężczyzna, poważniejąc. – Jestem sadhu, zrezygnowałem z przyjemności, rodziny i dóbr doczesnych. Chciałbym pomóc ci w twoim smutku, ale nie mogę.

– Rozumiem.

– Coś ci jednak proponuję. Teraz nie mogę być z kobietą, nie mogę się z tobą ożenić. Ale kiedyś cię odszukam.

– W innym życiu?

– Mam nadzieję, że jeszcze w tym, bo inaczej mnie zapomnisz, Dipali. Zawsze mnie zapominasz, zawsze, raz za razem.

– Przykro mi.

– Ale nigdy do końca, Dipali.

– Tak jak teraz.

– Dam ci coś, żebyś wiedziała, że to ja. Dam ci biało-czerwony mak. Zapamiętasz?

– Biało-czerwony mak.

– Wręczę ci go i powiem: zachowaj go na za sto lat. W ten sposób poznasz, że to ja.

Ona zaczyna płakać. On mówi jej, żeby nie płakała; że nie trzeba. Ona wyjaśnia, że nie płacze bynajmniej z powodu jego słów. Opowiada o swoim chłopaku, o tym, jak ją opuścił, o nieodebranych telefonach i listach bez odpowiedzi. On nie zadaje pytań. Słucha uważnie, ale nie komentuje. Może nie do końca rozumie, a może jej opowieść ma dla niego inne znaczenie niż dla

niej.

– Czasem trzeba czekać, Dipali – oznajmia w końcu, patrząc na nią z ogromną czułością. – Droga żono, czasem trzeba czekać wiele lat. Ale ja do ciebie wrócę i wtedy mnie, owszem, rozpoznasz. Tylko musisz pamiętać o kwiecie, Dipali.

– O kwiecie?

– O białym maku. Biało-czerwonym. Będziesz pamiętać?

– Tak, będę.

Jeszcze jeden wariat nad brzegami Gangesu, mówi sobie ona, wracając do aśramy. Jeszcze jeden. Pełno ich tutaj. Nad rzeką, na uliczkach i dziedzińcach. Szaleńców, fakirów z wytrzeszczonymi oczami, staruszków o białych brodach i wąsach tak długich, że trzeba je wiązać z tyłu, śpiących na ziemi, wśród krowich odchodów i szcurzych tańców. Niektórzy to prawdziwi sadhu, szukający oświecenia poprzez wyrzeczenie, inni to zwykli żebracy, jeszcze inni – naprawdę biedni pomyłenci. Zwykle trudno odróżnić jednych od drugich.

Nazajutrz idzie nad rzekę, by znowu porozmawiać z nieznajomym. Nigdzie go nie widzi. I już go nie zobaczy. A nie zna nawet jego imienia.

– Dlaczego płaczesz? – pytam. – Cristino, dlaczego płaczesz?

Ona wzdycha głęboko, ociera policzki, patrzy na mnie, ale łzy nadal płyną. Patrzy na mnie i dalej płacze, a jej oczy zdają się kamienieć z bólu. Jej usta zaciskają się w grymasie takiego cierpienia, że czuję się, jakby ktoś wbił mi nóż w ciało. Cristina próbuje mówić, ale nie może. Podchodzę więc do niej i ją obejmuję. Chcę ją mieć przy sobie, nie potrafię się już powstrzymać. Trwamy tak przez chwilę, aż czuję, że jej oddech się uspokaja. Ujmuję w dłoń jej ciepłą od łez twarz i całuję ją w usta, a ona odwzajemnia pocałunek.

– Kochany mój – mówi. – Kochany...

– Czyli ty też mnie kochasz.

– Zawsze, kochany, zawsze.

Całujemy się długo, namiętnie. Każdy może nas na tym tarasie zobaczyć, ale najwyraźniej wcale jej to nie obchodzi. Kobieta i mężczyzna. Izolda i Tristan. Jej usta, jego usta. Jej twarz, jego twarz. Czas mija, czas znika. Zapachy wieczoru i wizgi jaskółek wirują i tańczą wokół. Chmury suną ponad morzem. Zwierzęta w dżungli szykują się na noc. Na firmamencie pojawia się nowa gwiazda. Szepczemy do siebie i całujemy się na zmianę. Mówimy o miłości.

Całujemy się i zapewniamy, że nigdy więcej żadnej rozłąki. I oddychamy wzajemnie swoim oddechem.

Teraz Cristina jest spokojniejsza, jej rozpalony, wilgotny policzek spoczywa na moim ramieniu. Głaszczę ją. Całe jej ciało faluje oddechem, a ona opowiada mi historię o tym, co przydarzyło jej się kiedyś w Ryszikeśu, kiedy, pogrążona w rozpacz, samotna i zagubiona w ciemności, spotkała nad Gangesem podobnego do mnie pielgrzyma, którego widziała tam już rok wcześniej i o którym mi nawet opowiadała. Był dokładnie taki jak ty, mówi, jak ty wśród tamtych paproci, nad jeziorkiem za krawędzią krateru, gdzie cię znalazłyśmy, pamiętasz? Miał biały szal na ramionach, długi pokrzywiony kostur, uciętą nogę, ba, nawet ułamany siekacz. Skąd, pyta, tyle zbieżności? I skąd, pyta dalej, mam ten biało-czerwony mak. Tłumaczę, że kilka dni temu dała mi go jakaś dziewczynka w kotlinie. Cristina wydaje się tym wzburzona. Wypytuje mnie o tę dziewczynkę, o jej wygląd, ubranie, włosy i o to, czy miała pierścionki, bransoletki albo coś w tym stylu i czy to ona kazała mi wypowiedzieć to zdanie o maku i stu latach.

– Powiedziała, żebym go zachował. Żebym go zachował na za sto lat.

– Tak ci powiedziała?

– Tak. Mówiła bardzo dziwnie, nie pamiętam, w jakim języku, ale jakby z trudem.

– Pojawiła się, dała ci ten kwiatek, kazała ci go zachować na za sto lat i znikła?

– Owszem.

– Ktoś z nią był?

– Tak, kilka innych dziewczynek. Bawiły się w coś, a potem gdzieś pobiegly.

– Widywałeś poza tym dzieci w kotlinie? – Cristina wpatruje się we mnie z uwagą, może wręcz z przestachem, a ja ciągle ją przytulam, całuję jej czoło, jej ciemne włosy, jej pulsującą skroń, i delikatnie wodzę dłońmi po jej ciele, jakbym się chciał upewnić, że naprawdę mam ją przy sobie.

– Jasne, że widywałem. Dlaczego tak cię to dziwi?

– Bo w kotlinie nie ma dzieci. To, co widziałeś, to nie były dzieci.

– Nie? A co?

– Bogowie.

– Bogowie? – rzucam z niedowierzaniem.

– Bogowie, demony, duchy... Myśli, kompleksy, popędy... Każdy nazywa

je inaczej. Tu, na Uniwersytecie, można je *zobaczyć*... Istnieją w świecie pośrednim. Są częścią nas, nieznanymi wymiarami naszych osobowości. A jednocześnie łączą nas z innymi. Przeskakują z czasu w czas i z przestrzeni w przestrzeń, tworzą połączenia, wywołują wizje i zbiegi okoliczności. Czasem nam pomagają, kiedy indziej nas atakują... Ale powiedz, co znaczy dla ciebie to zdanie: „Zachowaj go na za sto lat”.

– Myślałem, że chodzi o to, że przez całe życie spotykamy się i rozstajemy i że następnym razem będzie za późno, bo będziemy oboje martwi. Albo może o to, że za sto lat, kiedy umrzemy, spotkamy się w innym życiu i tam nam się uda.

– A więc naprawdę mnie kochasz.

– Tak, naprawdę.

Patrzymy na klucz żurawi. Chmury i ptaki przemieszczają się w tę samą stronę i ten szczegół z jakiegoś powodu napawa mnie szczęściem.

– Dużo cię to kosztowało, żeby mnie odnaleźć – mówi Cristina.

– Ale cię odnalazłem.

– Tym razem już się nie rozstaniemy. – Cristina podnosi moją dłoń do ust. – Tym razem jesteś mój na zawsze.

– Ale powiedz... Gdybym ci nie dał tego kwiatu...?

– Potrzebny był mi jakiś znak... Sygnał.

– Sygnał? A gdyby się nie pojawił?

– Sygnały pojawiają się, kiedy powinny.

– I tak ciągle na nie czekasz?

– Nie, nie ciągle. Nie potrzebuję znaku, żeby zjeść zupę. Ale w ważnych momentach...

– Jesteś szalona. Zawsze byłaś kompletnie szalona!

– Cicho bądź.

Całujemy się znowu, a ja znam jej usta tak dobrze, jakbyśmy rozstali się jedynie na parę dni czy parę godzin. Czuję, że czas nie mijał, bo ja jestem taki sam jak kiedyś i ona też jest taka sama jak kiedyś, i całujemy się w opuszczonym ogrodzie w Pozuelo, po drugiej stronie żywopłotu, wśród dziewanny, stokrotek i kopru. Moje nozdrza wychwytyją zapach wiciokrzewów, madryckiej wiosny i zdaje mi się, że słyszę szum aut na autostradzie do A Coruñi. Rozpoznaję język Cristiny i tę słodycz, która mnie zalewa, gdy go czuję w ustach. Skąd ta słodycz? Czemu pocałunki nas nigdy nie nużą? I wchodzimy w siebie nawzajem, i łączymy się w jedno. I jest w tym

coś nieskończonego i wzruszającego, tajemniczego i doniosłego. Miłość. Języki i dusze. Jak to się dzieje?

– Ale powiedz... Kim był ten sadhu znad Gangesu? Czy to byłem ja?

– Kto to wie? Kto wie, kim ty jesteś... Kim my wszyscy jesteśmy...

Teraz leżymy obok siebie nago, patrząc na siebie z lekkim uśmiechem. Od sceny z makiem minął rok. Cristina podpira głowę ręką, a jej długie ciemne włosy spływają wzdłuż przedramienia. Ma nabrzmiałe piersi – blade i poznaczone błękitnymi żyłkami. Jej brązowe sutki sterczą. Jej ogromny brzuch zdaje się sunąć w moją stronę. Jest tak wielki, że aż komiczny. Za parę tygodni przyjdzie na świat nasze dziecko. Nie ma tu ultrasonografów i nie wiemy, czy to córka czy syn. Wiemy natomiast, że jeśli urodzi się córka, nazwiemy ją Amapola¹. Jeśli syn – będzie nosił imię Erick, na pamiątkę Wade’a. Tak postanowiliśmy. Joseph odbierze poród. Martwi się, że brak mu środków znieczulających. Porody zdarzają się rzadko, a tutejsze kobiety i tak wolą rodzić bez żadnych zastrzyków. Joseph twierdzi, że przy drugim dziecku Cristina, świadoma, co ją czeka, będzie innego zdania. Ona się śmieje, że to możliwe. Mimo wszystko chyba trochę się boi. To, co nowe, przeraża. Ale też olśniewa i odmładza.

Wodzę po jej ciele wargami. Całuję jej piersi, jej wielki brzuch, napięty i wypukły niby kopuła świątyni, całuję jej uda, pokryty ciemnym meszkiem wzgórek łonowy, ciepły i przytulny jak najprzytulniejszy zakątek przytulnego, wygodnego, wypełnionego szczęściem domu. Cristina cała jest nabrzmiała i różowa jak dojrzały owoc. Ma nabrzmiałe i różowe usta, policzki, ramiona, biodra... Jej oczy i włosy błyszczą. Jest w niej jakaś różowa intensywność. Nawet jej nosek zdaje się lekko nabrzmiały i różowy, powieki też, jak po winie. Ta różowa intensywność mnie zachwyca. Oto przygoda, której kolejne zwroty nie przestają mnie wciągać. Oto oblicze, które nie przestaje wzruszać mnie i intrygować. Oto ścieżka pod wierzbami. Miłostna historia pośród zgiełku i pyłu świata.

1. *Amapola* (hiszp.) – mak. ↩

Tytuł oryginału: *Brilla, Mar del Edén*

Copyright © Galaxia Gutenberg and Andrés Ibáñez, 2014

This edition c/o SalmaiaLit, Literary Agency

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2017

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Izabella Marcinowska

Ilustracja na okładce © Andrés Ibáñez

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Lśnij, morze Edenu*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-820-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**